WYDAWNICTWO MACIERZY POLSKIEJ NR. 83.
Z FUNDACYI IM. TADEUSZA KOŚCIUSZKI NR. 4.

KULTURA POLSKA

435 RYCIN W TEKŚCIE

K. WOJCIECHOWSKI: DZIEJE LITERATURY POLSKIEJ.
F. KOPERA: DZIEJE BUDOWNICTWA I RZEŹBY W POLSCE.
S. TOMKOWICZ: MALARSTWO W POLSCE.
Z. JACHIMECKI: MUZYKA W POLSCE.
A. SZELĄGOWSKI: ROZWÓJ EKONOMICZNY W POLSCE DO R. 1795.
A. ZAKRZEWSKI, S. KOSZUTSKI, M. ŁEMPICKI, S. KEMRNER: STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE W KRÓLESTWIE POLSKIEM.
W. STUDNICKI: STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE NA LITWIE I RUSI.
W. SKARZYŃSKI: STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE W KSIĘSTWIE POZNAŃSKIEM.
D. KARASIEWICZ: STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE W PRUSIECH KRÓLEWSKICH.
F. KONECZNY: STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE NA ŚLĄSKU POLSKIM.
S. GŁĄBIŃSKI: STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE W GALICYI.
L. FINKEL: OSTATNIE LATA.

WE LWOWIE
NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ — SKŁAD GŁÓWNY W ADMINISTRACYI MACIERZY POLSKIEJ GMACH SEJMOWY.

CENA 8 KORON (W OPRAWIE 10 KORON).

WYDAWNICTWO MACIERZY POLSKIEJ NR. 83.
Z FUNDACYI IM. TADEUSZA KOŚCIUSZKI NR. 4.

KULTURA POLSKA

435 RYCIN W TEKŚCIE

K. WOJCIECHOWSKI: DZIEJE LITERATURY POLSKIEJ.

F. KOPERA: DZIEJE BUDOWNICTWA I RZEŹBY W POLSCE.

S. TOMKOWICZ: MALARSTWO W POLSCE.

Z. JACHIMECKI: MUZYKA W POLSCE.

A. SZELĄGOWSKI: ROZWÓJ EKONOMICZNY W POLSCE DO R. 1795.

A. ZAKRZEWSKI, S. KOSZUTSKI, M. ŁEMPICKI, S. KEMRNER: STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

W. STUDNICKI: STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE NA LITWIE I RUSI.

W. SKARZYŃSKI: STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE W KSIĘSTWIE POZNAŃSKIEM.

D. KARASIEWICZ: STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE W PRUSIECH KRÓLEWSKICH.

F. KONECZNY: STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE NA ŚLĄSKU POLSKIM.

S. GŁĄBIŃSKI: STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE W GALICYI.

L. FINKEL: OSTATNIE LATA.

WE LWOWIE
NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ — SKŁAD GŁÓWNY W ADMINISTRACYI MACIERZY POLSKIEJ GMACH SEJMOWY.

CENA 8 KORON (W OPRAWIE 10 KORON).

WYDAWNICTWO MACIERZY POLSKIEJ NR. 83.
Z FUNDACYI IM. TADEUSZA KOŚCIUSZKI NR. 4.

KULTURA POLSKA

OSOBNE ODBICIE Z DZIEŁA

„POLSKA, OBRAZY I OPISY"

435 RYCIN W TEKŚCIE

WE LWOWIE
NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ. □□ SKŁAD GŁÓWNY
W ADMINISTRACYI MACIERZY POLSKIEJ, GMACH SEJMOWY.

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

DZIEJE
LITERATURY POLSKIEJ

NAPISAŁ

DR. KONSTANTY WOJCIECHOWSKI

008 :93(438) :884 :929

2548/3

CZASY NAJDAWNIEJSZE
DO SCHYŁKU WIEKU PIĘTNASTEGO.

Pisma, a więc i piśmiennictwa Polska pogańska nie posiadała; utrzymują wprawdzie niektórzy, że przodkowie nasi posługiwali się w prastarych czasach przejętem od ludów skandynawskich prostolinijnem pismem, tak zwan. »runicznem«, lecz sprawa ta nie jest jeszcze należycie wyświetlona. Lud ciemny, oddalony znacznie od oświeconego zachodu, sąsiadujący od ściany wschodniej z nawpół barbarzyńskiemi jeszcze plemionami, stykał się wprawdzie z szczepem niemieckim, oddawna już chrześcijańskim, lecz sąsiad ów zachodni występował najczęściej jako wróg z mieczem w dłoni; nie promienie oświaty więc od niego padały, ale szło widmo wojny i zniszczenia. Gdy zaś nawet zjawiali się księża misyonarze z Niemiec, to nie rozumiejąc języka polskiego i posługując się tłómaczami, nie mogli skutecznie oddziaływać na swych słuchaczy ani budzić w nich miłości dla religii Chrystusa; to też i ci nieliczni ochrzczeni przez

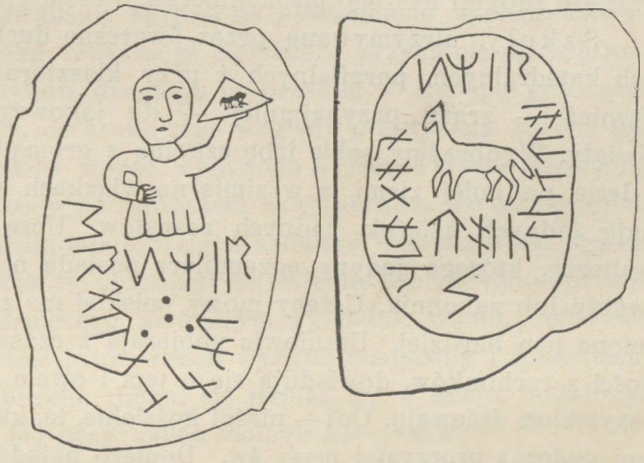

Fig. 1. Kamienie mikorzyńskie z pismem runicznem.

nich pozostawali w głębi duszy poganami. O działalności zaś misyonarskiej uczniów św. Metodego w dziewiątym jeszcze wieku nie potrafimy nic pewnego powiedzieć.

Przyjęcie chrześcijaństwa przez cały lud polski (966. r.) było dziełem dopiero Mieszka I. i jego bogobojnej żony Dobrówki. Oczywiście nie należy sobie wyobrażać, by istotnie naród cały stał się w jednym roku z pogańskiego chrześcijańskim. Tak nagłe przeobrażenie nie mogło się dokonać tam, gdzie przyjęcie nowej wiary było nakazane wprost z góry; więc też nie tylko obyczaje i obrzędy, ale i wierzenia pogańskie przechowywały się jeszcze długo. A że i duchowieństwo było obce, polskiego języka nie znało, więc ono przeobrażanie się społeczeństwa pogańskiego w chrześcijańskie dokonywało się tem powolniej.

Na zachodzie oddały oświacie niepomierne usługi k l a s z t o r y. U nas rola ich była skromniejszą, ograniczała się bowiem do nauki lepszej uprawy roli, hodowania jarzyn i drzew owocowych lub zakładania winnic; na ruch umysłowy natomiast wpływały klasztory nieznacznie. Nie wolno nam jednak zapominać, że tu, w klasztorach, powstały pierwsze księgi, najdawniejsze zabytki naszego piśmiennictwa, o czem zresztą niżej wspomniemy.

S z k o ł y, utrzymywane przez ówczesne duchowieństwo przy kościołach katedralnych, parafialnych i przy klasztorach, nie przyczyniały się również — zrazu przynajmniej — do jakowegoś bujnego krzewienia oświaty. Wyobraźmy sobie izbę szkolną z gromadką uczniów, siedzących w lecie na gołej ziemi, a w zimie na wiązkach słomy. Uczniowie ci nie mają żadnych książek, żadnych zeszytów. Uczą się czytać z łacińskiego psałterza, którego jedyny egzemplarz posiada nauczyciel: biskup, ksiądz zwykły lub zakonnik. Uczący mowy polskiej nie zna, więc nauczanie utrudnione tem bardziej. Uczniowie pobierają z czasem najważniejsze wiadomości z rachunków, dowiadują się o tem i owem z gramatyki, ale przedewszystkiem śpiewają. Co? — pieśni kościelne, te, które rozlegają się w świątyni podczas uroczystej mszy św. Dopiero najzdolniejsi z młodzieży, najczęściej ci, co przybyli wraz z duchownymi z zagranicy, uczą się w latach późniejszych krasomówstwa, astronomii, geometryi i innych przedmiotów, zaliczanych do tak zwanych »nauk wyzwolonych«.

Cóż będzie w przyszłości z tych uczniów? Z cudzoziemców — księża, z Polaków — sługi kościelne. Sługi, bo do szkół uczęszczała tylko uboga młodzież miejska, synowie zaś rycerzy trzymali się zdala od pogardzanych »żaków«.

Nie większy też pożytek był z szkół niemieckich, zakładanych po miastach przez nauczycieli wędrownych (t. zw. majstrów) od czasu, kiedy do Polski poczęła napływać ludność niemiecka i gęsto osiedlać się w naszych miastach. Tam znowu, w tych szkołach, językiem wykładowym był język niemiecki, a uczniami — synowie niemieckich kolonistów.

Lepiej poczęło dziać się dopiero w wieku trzynastym, kiedy to wśród duchowieństwa, wyższego zwłaszcza, zjawiło się już liczne grono Polaków, dbałych o mowę ojczystą, przestrzegających pilnie, by jako nauczycieli nie przyjmowano Niemców, nie znających języka polskiego. Biskupi grozili nawet karami kościelnemi tym, którzyby się z pod przepisów tych chcieli wyłamać. Odtąd też poczęła oświata chrześcijańska zapuszczać powoli głębsze korzenie wśród ogółu polskiego, ale zwrot stanowczy nastał dopiero wtedy, gdy Kazimierz Wielki założył w XIV. wieku w Krakowie u n i w e r s y t e t.

Jednostki udawały się wprawdzie już w poprzednich wiekach na wszechnice zagraniczne, ale były to tylko jednostki — dla ogółu źródło wyższej oświaty w kraju nie istniało. Włochy miały już w dwunastym wieku dwa uniwersytety, u nas była wówczas garstka szkół kościelnych i klasztornych. A jednak postępowaliśmy szybko za oświeconemi społeczeństwami Europy, kiedy już w roku 1364. mógł Kazimierz przystąpić do założenia w stolicy Polski uniwersytetu, drugiego po praskim w Europie środkowej. Skłoniły króla, co prawda, do kroku tego względy praktyczne. Trzeba było królowi zdolnych prawników wobec wydanego świeżo Statutu Wiślickiego i z powodu ciągłych procesów z drapieżnem Krzyżactwem. To też i wzór dla urządzenia wszechnicy krakowskiej wziął Kazimierz Wielki z włoskiego uniwersytetu w Bononii, na którym rozwinęły się świetnie właśnie nauki prawne.

Prócz wydziału prawniczego, na którym wykładało ośmiu profesorów, był jeszcze na uniwersytecie krakowskim wydział medyczny i filozoficzny, wydziału teologicznego brakło. Lękał się papież, by w kraju, oddalonym od Rzymu, nie wkradło się przy nauce teologii kacerstwo.

Uczniowie cieszyli się rozległym samorządem; sami z pośród siebie wybierali rektora uniwersytetu, który odbierał od nich przysięgę na posłuszeństwo i rozstrzygał spory między nimi, sami powoływali profesorów — tak, jak w Bononii.

Ale dzieło tak świetnie rozpoczęte nie miało trwać długo. Już w sześć lat po otwarciu akademii, bo w r. 1370, zamyka oczy wielki monarcha, a wraz z jego śmiercią poczyna i jego dziecię ukochane, wszechnica, chylić się ku upadkowi. Cóż dziwnego? Czyż mogły sprzyjać rozwojowi uniwer-

sytetu i nauk ciągłe zamieszki, napady, niepokoje, które trapiły ziemię polską aż do przybycia królowej Jadwigi? Przecie po śmierci króla Ludwika zapanował w Polsce zamęt ogólny, szerzyły się gwałty i rozboje! Nie wiadomo nawet, czy dotrwała wszechnica Kaźmierzowska do końca wieku czternastego. Pochodnia, która miała światłem swem oświecać kraj cały, gasła przedwcześnie.

Odnowienie, dźwignięcie z upadku najwyższego zakładu naukowego w Polsce było dziełem i nieśmiertelną zasługą królowej Jadwigi, jednej z najpiękniejszych postaci w naszych dziejach. Wskutek małżeństwa Jadwigi z księciem litewskim Jagiełłą otworzyło się dla Polski pole działania na wschodzie, wśród pogańskiej Litwy i Żmudzi. Jeśli między Polską i Litwą miała zawiązać się jakaś ściślejsza spójnia, to trzeba było przedewszystkiem pomyśleć o pozyskaniu Litwinów dla wiary Chrystusowej. A kiedy wreszcie szczep pobratymczy przyjął chrzest z ręki kapłanów polskich (w r. 1387.), trzeba było słać na Litwę duchownych, którzyby, rozumiejąc mowę ludu, mogli utwierdzać w wierze świeżo nawróconych. Założenie przez Jadwigę »kolegium litewskiego w Pradze« dla kleryków z Litwy zaradziło tylko pierwszej potrzebie naglącej. Należało więc uzyskać koniecznie od papieża zezwolenie na otwarcie w kraju wydziału teologicznego, bo zresztą i Polska potrzebowała duchowieństwa, a trwoga Rzymu przed kacerstwem stawała się z rokiem każdym coraz to płonniejszą. To też starania Jadwigi i Jagiełły odniosły pożądany skutek i papież Bonifacy IX. zatwierdził założenie uniwersytetu krakowskiego wraz z wydziałem teologicznym, a królowa polska ofiarowała przed śmiercią wspaniałe swe klejnoty i kosztowności na rzecz akademii.

Jak na uniwersytecie Kaźmierzowskim nauka prawa, tak na Jagiellońskim teologia była głównym celem wszechnicy; to też i wzór dla urządzeń wziął Jagiełło z uniwersytetu paryskiego, na którym szczególnie rozkwitły znów nauki teologiczne. Stosownie do głównego zadania zakładu najlepiej wyposażono profesorów teologii, wobec czego profesorowie wszystkich wydziałów starali się o to, by z czasem dostać katedrę teologiczną.

Życie tak studentów jak profesorów miało znamiona na poły klasztorne. Uczniowie mieszkali przeważnie w bursach, profesorowie w kolegiach profesorskich, poddani pod ścisłe reguły, za których przekroczenie groziły surowe kary. Rektora wybierali już teraz profesorowie z własnego grona, a w bursach przerabiali »bakałarze« ze studentami lekcye, »senior« zaś, t. j. »starszy« (jeden z grona profesorów), egzaminował ich i baczył

pilnie, ażeby wszyscy żyli »w bojaźni boskiej, skromności i pobożnych obyczajach«. Co prawda, przepisy pozostawały często na papierze, a kre-

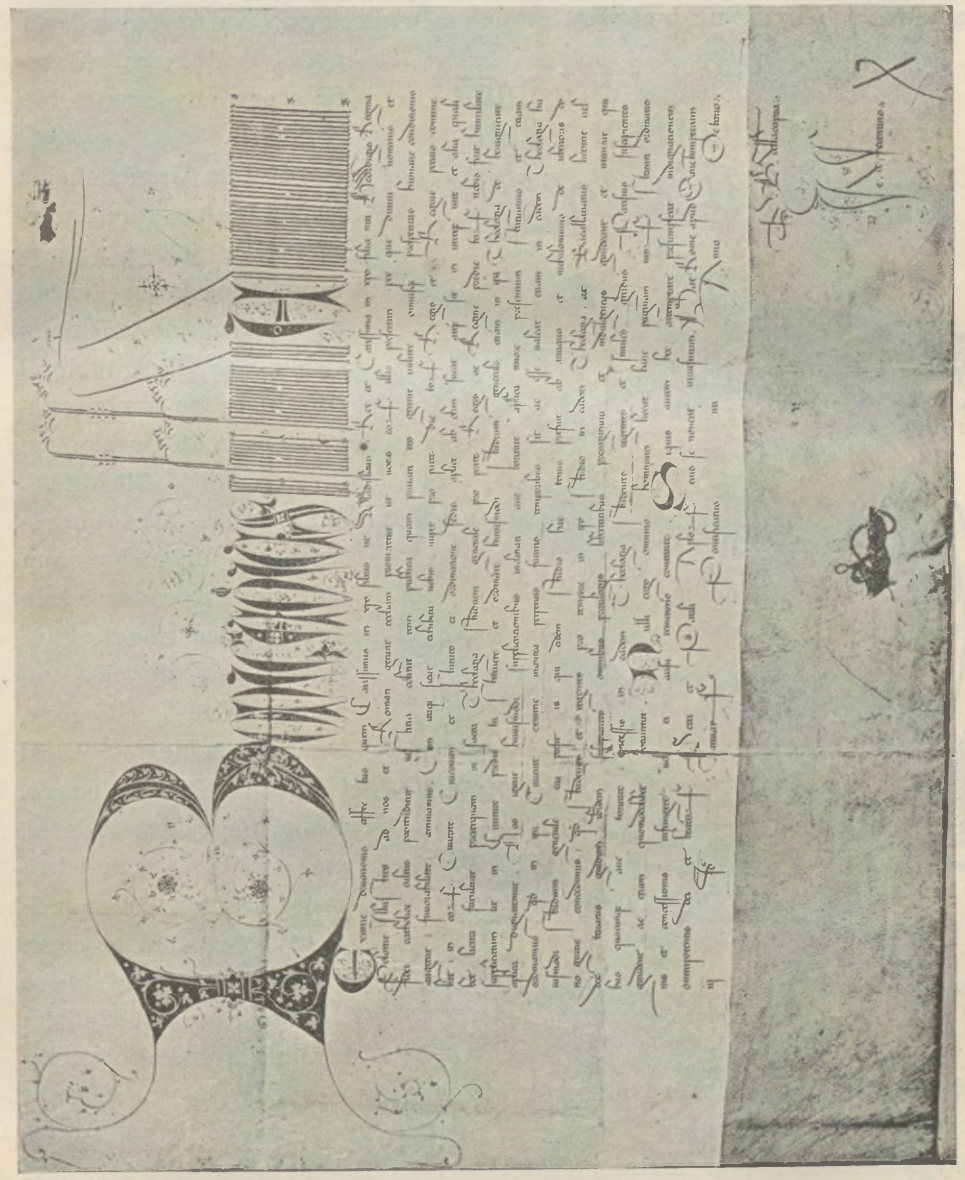

Fig. 2. Dyplom papieża Bonifacego IX., zatwierdzający wydział teologiczny na Uniwersytecie Jagiellońskim.

wka młodzież, może właśnie dlatego, że zbytnio skrępowana, wyprawiała nieraz po ulicach burdy, nie bardzo licujące z szatami akademika.

Wszechnica obdarzała wychowanków swych stopniami naukowymi.

Kto poddał się egzaminowi najniższemu, oczywiście z powodzeniem, zostawał »bakałarzem«, a wówczas mógł uczyć w szkołach niższych. Bakałarzowi wolno było po dwu latach dalszych studyów składać egzamin na »magistra«, co było już wyższym stopniem naukowym. Najwyższym była godność doktora (filozofii, medycyny, prawa lub teologii).

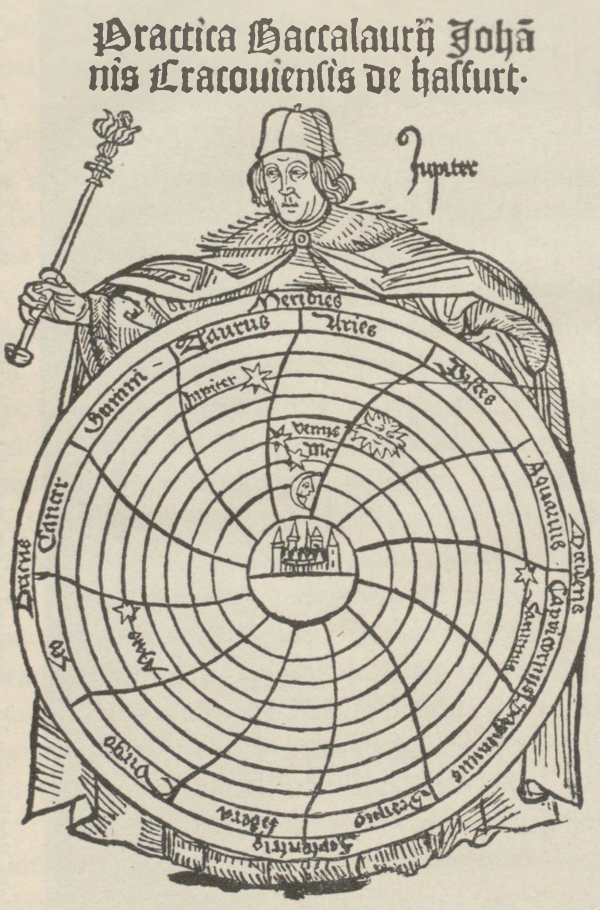

Fig. 3. Bakałarz Uniwersytetu Jagiellońskiego z mapą nieba.

Szkoła Jagiellońska, »Alma Mater« (matka żywicielka), jak ją nazywano, doszła w wieku piętnastym do niemałej świetności. Obok teologii rozwinęły się w niej znakomicie matematyka, astronomia i filozofia. Wszechnica nasza dorównywała uniwersytetom włoskim, a przewyższała wszechnice niemieckie. Garnęli się do niej na naukę Czesi, Węgrzy, Niemcy, a nawet Włosi i Francuzi. Doszło do tego, że już nie tylko studenci, ale bakałarze, magistrowie i doktorowie z uniwersytetu wiedeńskiego, bonońskiego, paryskiego i innych przyjeżdżali umyślnie do Krakowa, by słuchać wykładów polskich profesorów i pogłębiać swą wiedzę, nabytą w kraju ojczystym. Nawet duńscy i szwedzcy goście zasiadali na ławach uniwersyteckich, zwabieni sławą polskiej szkoły. Bo też wiek piętnasty jest dobą najświetniejszego rozkwitu akademii Jagiellońskiej.

Zabytki w języku łacińskim. Językiem literackim [1]) aż do początków

[1]) Językiem literackim zowiemy język, w którym pisze się dzieła.

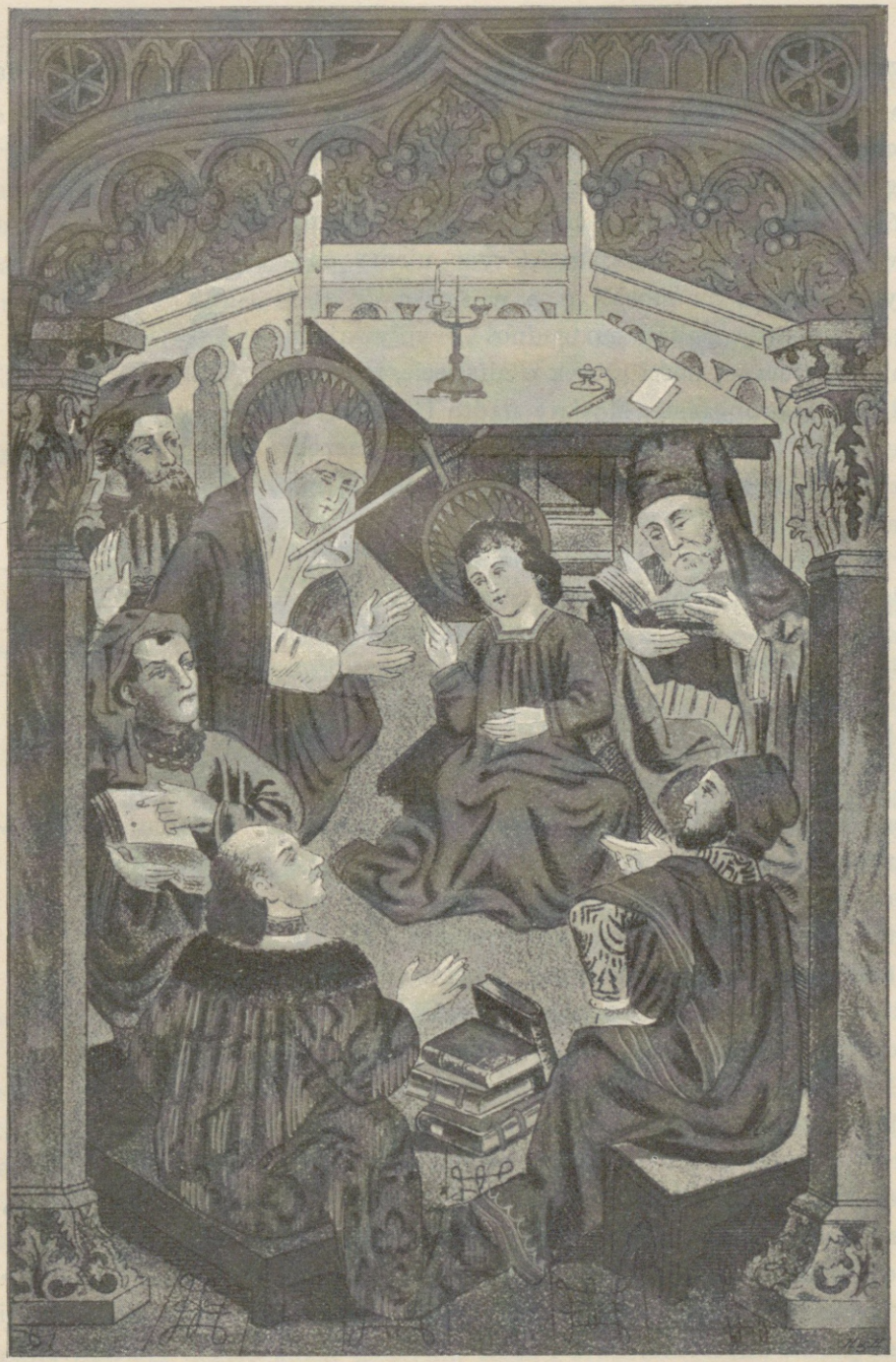

Fig. 4. Dysputa (t. j. uczona rozmowa) doktorów na uniwersytecie Jagiellońskim. (Z obrazu w kaplicy katedry na Wawelu).

XVI. wieku był wyłącznie niemal język łaciński. Zwyczaj pisania po łacinie panował wówczas w całej Europie, u nas zaś rozpowszechniło go duchowieństwo obce, przejęte niechęcią, a nawet pogardą dla języka polskiego. Trzeba zresztą dodać, że pisać po polsku nie było łatwo, przejęliśmy bowiem alfabet łaciński, w którym niema osobnych znaków na głoski: *ą, ę, w, ś, ź, ć, dz, sz, ż* i t. d. Nim więc pokonano trudność, wypływającą z niedostatecznej ilości głosek w alfabecie, musiało upłynąć sporo czasu. Musimy nadto i o tem pamiętać, że ci, co pierwsi w Polsce pisać zaczęli, przybyli z krajów obcych, że mowy polskiej nie znali.

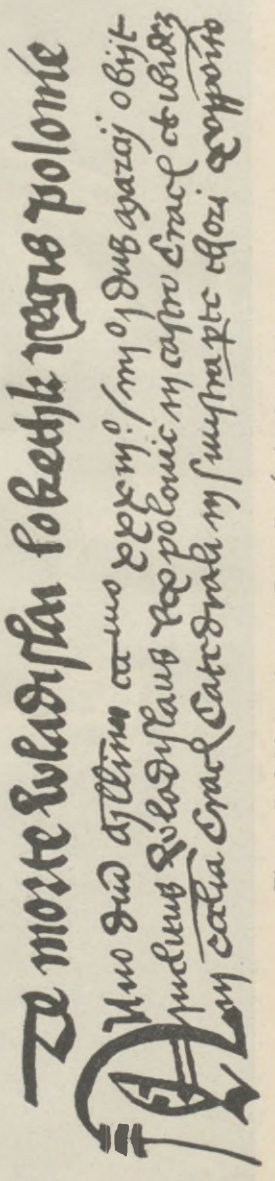

Fig. 5. Podobizna pisma z Rocznika Świętokrzyskiego.

Skromne były pierwsze początki. Ot, mnich w klasztorze, któremu przywieziono w darze wspaniałego, niezwykłej wielkości jelenia, zapisywał wypadek ten na brzegu karty pergaminowej, której środkiem biegł spis świąt ruchomych, przysłany przez biskupa. Innym razem ten sam mnich usłyszał o potyczce Polaków z Niemcami nad granicą, innym zaś razem o urodzeniu się księciu syna i wszystkie te szczegóły notował kolejno po sobie w porządku czasowym. W ten sposób powstawały r o c z n i k i, pierwsze zawiązki d z i e j o p i s a r s t w a na naszej ziemi, najstarsze nasze zabytki literackie, bo n. p. rocznik »świętokrzyski« pochodzi z wieku XII.

Większe znaczenie od roczników posiadają k r o n i k i, w nich bowiem opowiada już pisarz wypadki w jakimś ciągu, o ludziach i czynach ich wydaje własny sąd, a choć nie bardzo zastanawia się nad przyczynami zdarzeń historycznych, choć często nie sprawdza tego, co notuje, to przecież zbliża się już więcej, niż rocznikarz, do historyka w dzisiejszem słowa znaczeniu.

Autorem najdawniejszej kroniki, napisanej w Polsce i mówiącej o Polsce, nie jest Polak, lecz jakiś ksiądz cudzoziemiec, nazywany zwykle M a r-

cinem Gallem, choć imienia jego na pewne nie znamy. Wiemy tylko, że żył w drugiej połowie wieku XI. i w początkach XII. W książce swej przedstawił wypadki od Mieszka I., znajdujemy jednak u niego także podanie o Piaście, Rzepisze i aniołach i o zagryzieniu Popiela przez myszy. Pisał w sposób żywy i zajmujący, wykazując na każdej niemal karcie niemałe oczytanie i wykształcenie. Oto jak przedstawia chwilę z pobytu Ottona na dworze Bolesława Chrobrego:

»Widząc i podziwiając cesarz jego (t. j. Chrobrego) chwałę, potęgę i bogactwo, zawołał:

— Na koronę moją cesarską, daleko większe rzeczy widzę, niż mi opowiadano!

A potem, naradziwszy się ze swymi magnatami, dodał:

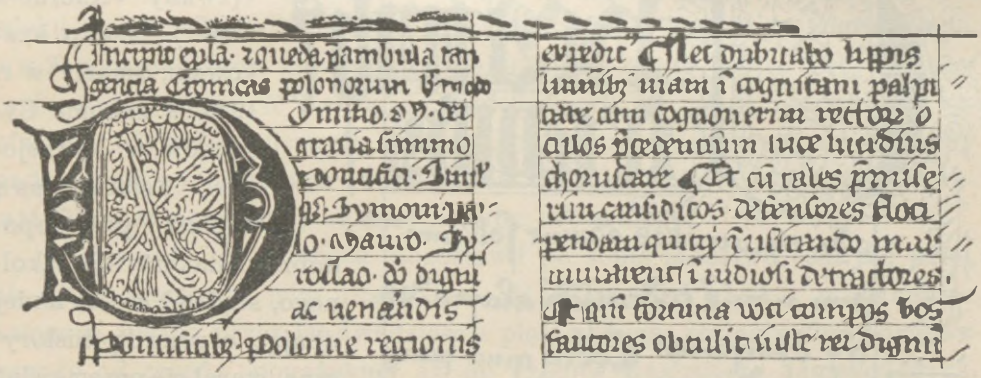

Fig. 6. Ustęp z kroniki Galla (odpis z drugiej połowy wieku XIV-go).

— Nie przystoi, żeby takiego męża księciem nazywać, ale godzi się go podnieść na królewską dostojność i koronę mu włożyć!

I wziąwszy cesarską koronę z głowy swojej, włożył ją na głowę Bolesława na znak związku przyjaźni i wręczył mu gwoździe z krzyża Pańskiego i włócznię św. Maurycego: Bolesław zaś darował mu ramię św. Wojciecha.

Tak świetnie przez cesarza na królewską godność wyniesiony, Bolesław całą wrodzoną sobie hojność okazał.

Przez trzy dni wspaniałe uczty wyprawiał, a codzień wszystkie naczynia i sprzęty przemieniał, stawiając coraz nowe i coraz droższe. Po każdej bowiem uczcie kazał naczynia złote i srebrne (bo drewnianych nie było), wszystkie puhary, kubki, misy, półmiski i rogi zbierać i cesarzowi ofiarowywać na znak honoru, a nie jako dar osobliwy.

Rozkazał też wszystkie opony jedwabne, posłanie, nakrycie, obrusy i ręczniki, których używano, odnieść do komnat cesarskich.

A wszystkie te dary cudnemi wydawały się cesarzowi...« i t. d.

W opowiadanie prozą wplatał Gallus wiersze łacińskie, z których np. wiersz opłakujący śmierć Bolesława Chrobrego dziś jeszcze wywiera wrażenie. Najobszerniej opowiedział dzieje panowania ukochanego przez siebie władcy Bolesława Krzywoustego [1]).

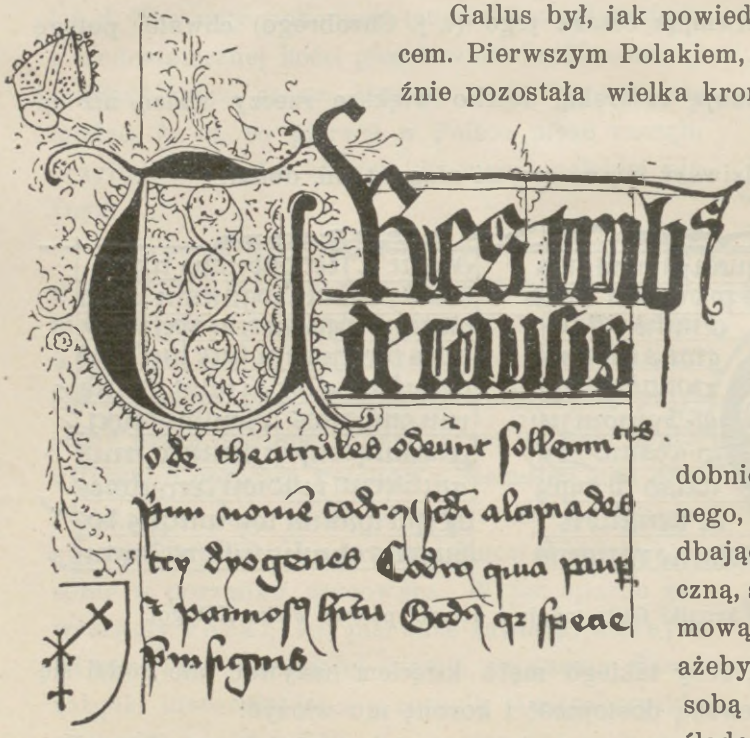

Fig. 7. Ustęp z kroniki Mistrza Wincentego.

Gallus był, jak powiedzieliśmy, cudzoziemcem. Pierwszym Polakiem, po którym w spuściźnie pozostała wielka kronika, choć w języku łacińskim pisana, był mistrz Wincenty (zwany »Kadłubkiem«), biskup krakowski, zmarły w r. 1223. w zakonie Cystersów w Jędrzejowie. Książkę swą napisał prawdopodobnie dla użytku szkolnego, stąd też często mniej dbając o prawdę historyczną, starał się przemawiać mową ozdobną, kwiecistą, ażeby uczniowie mieli przed sobą gotowy wzór do naśladowania. Ale mistrz Wincenty popadał często w przesadę i pisał stylem napuszonym, posługując się niezwykłymi wyrazami i zwrotami. W przeciwieństwie do Galla rozpoczął opowiadanie od czasów bajecznych i tu (w księdze I.) popuściwszy wodzów wyobraźni, kazał Polakom staczać walki z Aleksandrem Macedońskim, córce Juliusza Cezara wyjść za Krakusa, słowem wpadał na najdowolniejsze pomysły. Ale w księgach następnych jest już powściągliwszy, opowiadanie opiera na Gallu, jakkolwiek go rozszerza, poczem zaś kroczy o siłach własnych, zajmując

[1]) Na język polski przełożył kronikę Galla Zygmunt Komarnicki (Warszawa 1873)

się głównie dziejami panowania Kazimierza Sprawiedliwego, którego uwielbia. Dziwna to księga, o wielkich wadach i zaletach, tak w treści, jak w formie, do dziś jeszcze pilnie badana przez uczonych, którzy starają się z mnóstwa baśni i zmyśleń wyłuskać ziarno prawdy [1]).

Prócz dwóch wymienionych mieliśmy do wieku piętnastego innych jeszcze kronikarzy i to niepoślednich, znanych z imienia i nieznanych, mieliśmy w wieku czternastym niepospolitego nawet pisarza w osobie Janka z Czarnkowa, syna wójta z Czarnkowa, a podkanclerzego Kazimierza Wielkiego, ale wszystkich przyćmił znaczeniem i sławą

Jan Długosz [2]), chluba dziejopisarstwa polskiego w XV. wieku, mąż o wiedzy ogromnej, mogący się mierzyć z najznakomitszymi historykami we współczesnej Europie. Urodzony pod strzechą dzielnego rycerza grunwaldzkiego, wychowanek akademii krakowskiej, w bardzo młodym wieku został sekretarzem biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego, a w 21-ym roku życia kanonikiem krakowskim, zanim jeszcze przyjął święcenia duchowne. Król Kazimierz Jagiellończyk darzył go niezwykłem zaufaniem, używał do licznych poselstw, a nakoniec powierzył mu naczelny nadzór nad wychowaniem swych synów. W roku śmierci swej (1480) otrzymał Długosz nominacyę na arcybiskupa lwowskiego.

Niezwykły ten człowiek pozostawił po sobie mnóstwo cennych dzieł, ale najznakomitszą jego pracą jest »Historya Polski« w dwunastu księgach, pisana przez lat dwadzieścia pięć, a dająca rozległy obraz dziejów narodu od czasów pogańskich aż do rządów Kazimierza Jagiellończyka.

Wielki pisarz nie zadawalał się tak, jak niektórzy z jego poprzedników, jakąś jedną kroniką dawniejszą, jakąś wieścią, stąd lub z owąd pochwyconą, ażeby podać wiadomość o opisywanem zdarzeniu, lecz nagromadził mnóstwo źródeł, zebrał wszelkie możliwe kroniki i roczniki krajowe, akta urzędowe i kościelne, kroniki niemieckie, czeskie, węgierskie, ruskie i nauczył się obcych języków, ażeby wprost z tych źródeł korzystać. Słowem poznał wszelkie materyały, jakie tylko były mu dostępne. A gdy już taką mnogość dokumentów historycznych zgromadził, rozpoczął mozolną pracę nad porównywaniem sprzecznych wiadomości, ażeby wybrać tę, ku której pociągało go »większe do prawdy podobieństwo, powaga pisarzy lub powszechniejsze mniemanie« (własne słowa Długosza). Tak więc czynił

---

[1]) Na język polski przełożyli kronikę Mistrza Wincentego Andrzej Józefczyk i Marceli Studziński (Kraków 1832).

[2]) Rycina, przedstawiająca Długosza, jest na str. 508 w t. I. »Polski«.

pisarz nasz pierwsze poważniejsze usiłowania krytyczne. Na historyę zaś zapatrywał się jako na »nauczycielkę życia«, z której następne pokolenia czerpać mają wskazówki, jak postępować, a czego unikać.

Prawda, że są niedostatki i u niego, że tam, gdzie wiadomości brakło, odtwarzał przeszłość wyłącznie z wyobraźni, ażeby w przedstawieniu zdarzeń nie raziły czytelnika luki, że ustrój państwowy Polski za pierwszych Piastów przedstawiał sobie w tych kształtach, jakie widział za swych czasów, że wiedziony uczuciem patryotycznem znaczenie klęsk doznanych przez Polaków zmniejszał, znaczenie i rozmiary zwycięstw rozszerzał, ale czemże te wady, wspólne zresztą wszystkim współczesnym, wobec nadzwy-

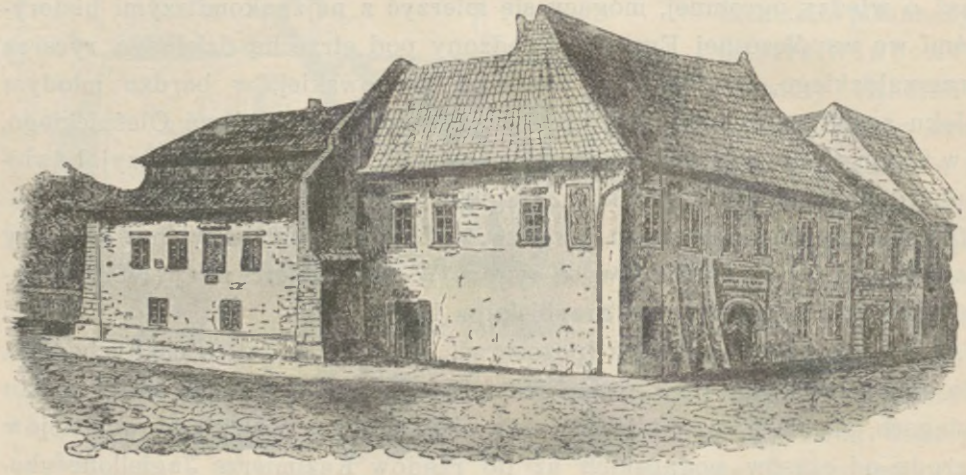

Fig. 8. Domek Długosza w Krakowie.

czajnych zalet, widniejących w Historyi Polski. Aż do wieku ośmnastego nikt Długosza nie przewyższył, nikt mu nie dorównał. A i dziś z czcią wspominamy jego imię, bo dodajmy, że Długosz był nie tylko wielkim, niepospolitym pisarzem, ale i czystym charakterem, zacnym nawskróś człowiekiem [1]).

Prócz roczników i kronik dochowały się z tych wieków najdawniejszych żywoty świętych (św. Wojciecha, św. Stanisława, św. Jacka, św. Kingi, św. Salomei), pieśni łacińskie na cześć św. Stanisława, pieśń o Albercie, wójcie krakowskim i inne. W pieśni o Albercie (z XIV. w.) uważa nieznany autor za przyczynę klęski Alberta rokosz podniesiony przez du-

[1]) Na język polski przełożył »Historyę polską« Karol Mecherzyński (w wydaniu zbiorowem dzieł Długosza, Kraków 1863—80).

mnego wójta, o Niemcach zaś wogóle wypowiada znamienne słowa, że dopóty łaszą się i kłaniają, dopóki nie porosną w pierze, ale gdy chwycą już władzę w rękę, niemasz gorszych nad nich gnębicieli. Przy pierwszej



Ryc. 9. Rycina z karty tytułowej optyki Witellona.

sposobności gotowi wyrugować Polaka z ziemi ojczystej, by później jeszcze mu urągać. Tak pisał niewiadomy z imienia autor w wieku XIV.

Nauki ścisłe nie mogły się oczywiście krzewić, dopóki nie było w Polsce uniwersytetu, a jednak mamy już w wieku XIII. uczonego, któ-



Fig. 10 Karta tytułowa z dzieła Jana z Głogowy.

rego dzieło o optyce [1]) zyskało sobie szeroki rozgłos za granicą i cieszyło się niem aż do w. XVII. Uczonym tym był Witello, urodzony w ziemi krakowskiej. W dziele swojem (pisanem w Rzymie) przedstawił z niezwy-

[1]) Optyką nazywamy naukę o świetle.

kłą jasnością i ścisłością zjawiska świetlne i prawa odbijania się światła tak w zwierciadłach, jak i w innych przedmiotach.

Pojawienie się tak niezwykłego dzieła w Polsce w wieku XIII. było jednak faktem odosobnionym; naprawdę zakwitły u nas nauki dopiero wówczas, gdy poczęły rozbrzmiewać słowa znakomitych uczonych z katedr akademii krakowskiej, a więc w wieku piętnastym.

Wówczas też rozwinęła się obok teologii filozofia, zwana filozofią »scholastyczną« od łacińskiego wyrazu »schola« (szkoła), bo uczono jej głównie w szkołach. Opierała się zaś ta filozofia na dziełach mędrca greckiego Arystotelesa (400 lat przed Chr.), od którego przejęła sztukę rozumowania, a więc sposób wyprowadzania niezawodnych wniosków. Przy pomocy Arystotelesa starali się ówcześni filozofowie wyjaśniać prawdy wiary, dogmaty katolickie, przyczem schodzili jednak czasem na zagadnienia, których umysł ludzki rozwiązać nie może. Wśród filozofów w w. XV. zasłynęli Jan z Głogowa, Jan ze Stobnicy, Michał z Wrocławia i inni; wszyscy wykładali we Wszechnicy Jagiellońskiej i wszyscy mogą stanąć obok pierwszorzędnych ówczesnych filozofów europejskich.



Fig. 11. Astronom, mistrz Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Wiek piętnasty jest również dobą niezwykłego rozrostu nauk matematycznych i astronomicznych. Astronomią opiekował się gorliwie nawet kościół, bo na podstawie obliczeń astronomicznych układano kalendarze. Co prawda, uprawiano na uniwersytecie obok astronomii również astrologię, t. j. sztukę wyczytywania z gwiazd przyszłości ludzkiej, przepowiadania naprzód słoty lub pogody, oznaczania stosownej pory do wyjazdu i t. p. Prawie wierzyć się dziś nie chce, że profesorowie uniwersytetu wydawali w owych czasach kalendarze z przepowiedniami odmian powietrza, z zapowiedziami klęsk lub chorób, które jakoby miały się zjawić w najbliższym roku. Gdy zaś wróżba taka, jak to być musiało, często zawiodła, usprawiedliwiali się tem, że przepowiednia była

trafna, lecz oparta na błędnych widocznie obliczeniach astronomicznych. To też chcąc zawodów takich na przyszłość uniknąć, pracowali pilnie nad doskonaleniem przyrządów astronomicznych, przysługując się w ten sposób wiedzy prawdziwej. Astronomów mieliśmy w piętnastym wieku wielu, ale jak w dziejopisarstwie Długosz, tak w tej gałęzi wiedzy przyćmił wszystkich Wojciech Blar z Brudzewa, za młodu uczeń, a później profesor w Uniwersytecie krakowskim. Posiadał on nadzwyczajny dar jasnego i zajmującego wykładu, a rozmiłowany w umiejętności, której się poświęcił, wykładał astronomię nawet wówczas, gdy został profesorem teologii, — poza murami uniwersytetu. Z jego to wykładów korzystał najznakomitszy nasz uczony w szesnastym wieku, Mikołaj Kopernik.



Fig. 12. Wojciech z Brudzewa, znakomity astronom i matematyk XV. wieku.

Jak widzimy więc, literatura łacińska w tym pierwszym okresie, jakkolwiek o skromnych bardzo początkach, wzmogła się jednak z biegiem czasu, a po założeniu wszechnicy w Krakowie rozwinęła się nawet świetnie, zabłysnęła w piętnastym wieku imionami pisarzy wielkich, stanęła na wyżynie europejskiej. Wiek ten wydał znanych w dziejach oświaty historyków, filozofów, astronomów, matematyków. Prawda, że wszyscy z nich pisali po łacinie, ale czyż dlatego dzieł ich nie mamy zaliczać do piśmiennictwa polskiego, skoro czuli się Polakami i dla chwały imienia polskiego pisali, a szli tylko za powszechnym zwyczajem? Nie, dzieła ich należą również do naszej literatury, są bowiem wyrazem ducha polskiego, a tworzą podwalinę późniejszego rozkwitu naszego piśmiennictwa w języku ojczystym.

Zabytki w języku polskim. Po łacinie pisano u nas — jak widzieliśmy — już w wieku dwunastym, posiadamy z tych czasów roczniki i kroniki; w wieku trzynastym przybywają żywoty świętych i niepospolite dzieło Witellona — literatura w języku ojczystym w czasach owych nie istnieje. O powodach wspomnieliśmy już wyżej, tu tylko zaznaczyć wypada,

że niezawodnie krążyły wśród ludu wówczas już (i dawniej) z ust do ust podania i pieśni, że w bardzo dawnych już czasach przedstawiano u nas »misterya«, t. j. sceny z życia Chrystusa lub świętych, ale słowa żywego nie spisano niestety. Ślady prastarej owej »literatury ustnej« pozostały niewątpliwie w dzisiejszych nawet pieśniach i podaniach ludowych, ale jak je odkryć, jak oczyścić z późniejszych naleciałości, skoro wiek każdy w piosnce takiej odwiecznej coś przekształcał, coś zmieniał, dodawał coś swojego? Daremny trud! już my dziś spuścizny tej odszukać nie potrafimy.

To, co spisano, pochodzi dopiero z dwóch następnych wieków, czternastego i piętnastego. Na znacznej części tych zabytków widać niemały wpływ języka czeskiego, niektóre są wprost z czeskiego tłumaczone lub przerobione. Przejęto w nich wiele wyrazów lub zwrotów żywcem z mowy pobratymczej, w one czasy — dodajmy — o wiele więcej zbliżonej do polskiej, niż dzisiaj. Czasem też trudno wskutek tego rozstrzygnąć na pewno, czy wyraz jakiś wzięto z języka czeskiego, czy też takie było brzmienie jego w mowie naszej.

Myśl ludu chrześcijańskiego, który z biegiem wieków zapominał coraz bardziej o pogańskich »skrzatach«, a rozmiłowywał się w boskiej nauce Chrystusa, zwracała się coraz więcej ku niebu, a że każdy chciał Boga chwalić w tej mowie, jaką od Boga dostał, więc też w języku ojczystym powstały najpierw utwory treści religijnej.

Do najdawniejszych należy pieśń »Bogarodzica«, a pierwsze jej zwrotki pochodzą, zdaje się, jeszcze z trzynastego wieku. Przypuszczano dawniej, że pieśń tę ułożył św. Wojciech; dziś wiemy na pewno, że mniemanie to było mylne, kto wszelako pieśń napisał, nie wiemy. Nieznajomy autor zwraca się w zwrotce pierwszej do Najświętszej Panny z gorącą prośbą, by wyjednała nam u Syna swego odpuszczenie grzechów:

Boga rodzica dziewica,
Bogiem sławiona Marya,
U Twego syna gospodzina,
Matko zwolena[1]) Marya,
Zyszczy[2]) nam
Spust winam. Kyrie elejson!

Chrystusa zaś błaga autor w zwrotce drugiej, by wysłuchał modlitwy naszej i dał nam na świecie »zbożny pobyt«, a po śmierci »rajski przebyt«:

Twego dzieła krzciciela Bożycze,
Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze,

[1]) z czeskiego = wybrana. — [2]) ziść.

Slysz modlitwę, jąż [1]) nosimy,
Tu dać racz, jegoż prosimy,
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt. Kyrie elejson!

W części dalszej mówi pieśń o Zmartwychwstaniu Pańskiem, a kończy się prośbą do Adama »bożego kmiecia«, co siedzi »u Boga w wiecu«, by nas tam powiódł, gdzie »królują anieli«. Poczem dopiero czytamy o męce Pańskiej:

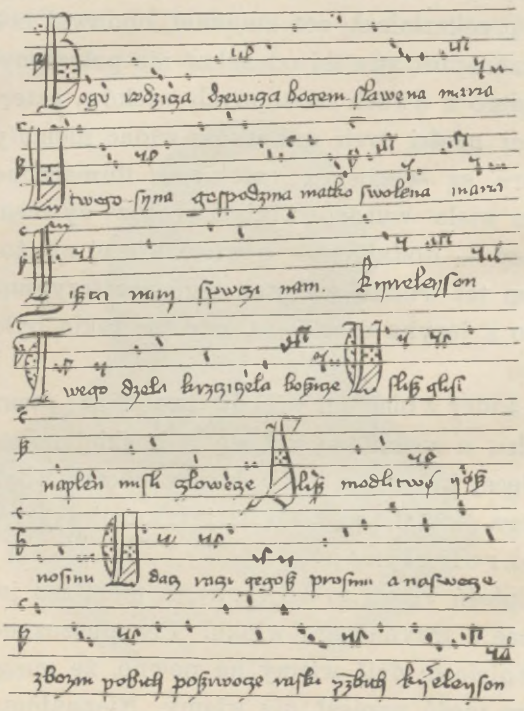

Fig. 13. Podobizna pieśni »Boga rodzica« (z rękopisu biblioteki Jagiellońskiej).

Ciebie dla [2]), człowiecze,
Dał Bóg przekłuć sobie
Ręce, nogi obie;
Kry [3]) święta szła z boku
Na zbawienie tobie.

Zwrotki następne pochodzą z czasów późniejszych.

Pieśń ta, ukochana przez naród polski, stała się z czasem hymnem bojowym naszych przodków, śpiewali ją przed bitwą rycerze grunwaldzcy, nuciły ją zbrojne szeregi pod Warną. Do dziś rozlega się ten hymn narodowy w katedrze gnieźnieńskiej po uroczystem nabożeństwie, a że i melodya z prastarych również zachowała się czasów, więc słuchacz doznaje złudzenia, jakoby przeniósł się w wieki Piastów i daje się porywać przecudnym dźwiękom, w których grają »szczęki zwycięstwa i radosne okrzyki tryumfu«.

W czternastym wieku płynęła z piersi narodu polskiego inna jeszcze pieśń do Bogarodzicy »Pozdrowienie Maryi«, wszelako nie tak piękna, jak hymn bojowy grunwaldzki, dziś zaś prawie nieznana.

Inne zabytki religijne z tego czasu, pisane już prozą, mają raczej znaczenie językowe niż literackie. Można z nich poznać ówczesną mowę polską, można śledzić wpływ języka czeskiego na nasze piśmiennictwo,

[1]) którą. — [2]) Dla ciebie. — [3]) Krew.

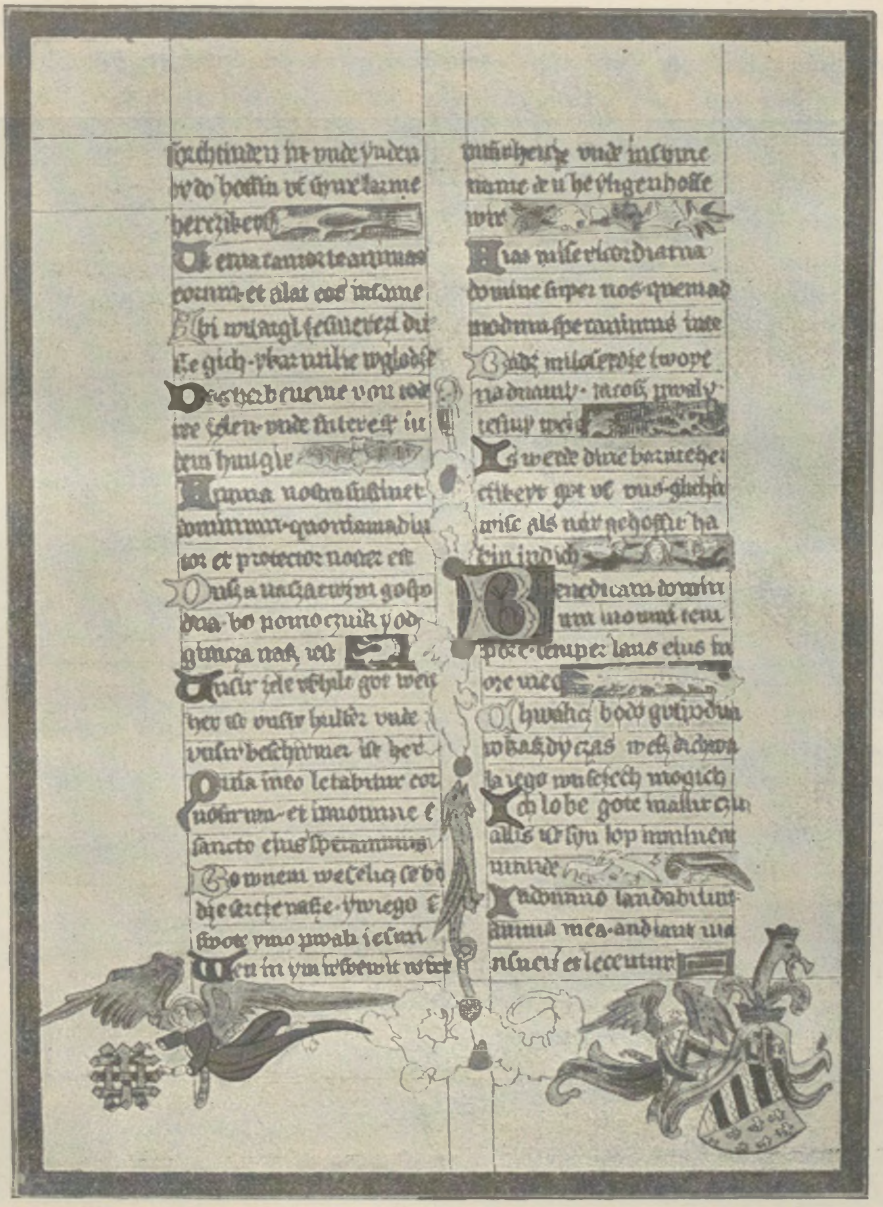

Fig. 14. Podobizna stronicy Psałterza Floryańskiego, zabytku z XIV. wieku.

ale duch, myśl praojców naszych w nich się nie przejawiły. Tu należą Modlitwa Pańska, Zdrowaś Marya i Wierzę w Boga, tu Kazania Świętokrzyskie (18 przypadkowo znalezionych pasków pergaminowych, z których

dała się ułożyć pewna całość), tu również zabytek najobszerniejszy ze wszystkich: »Psałterz floryański« nazwany tak od opactwa św. Floryana

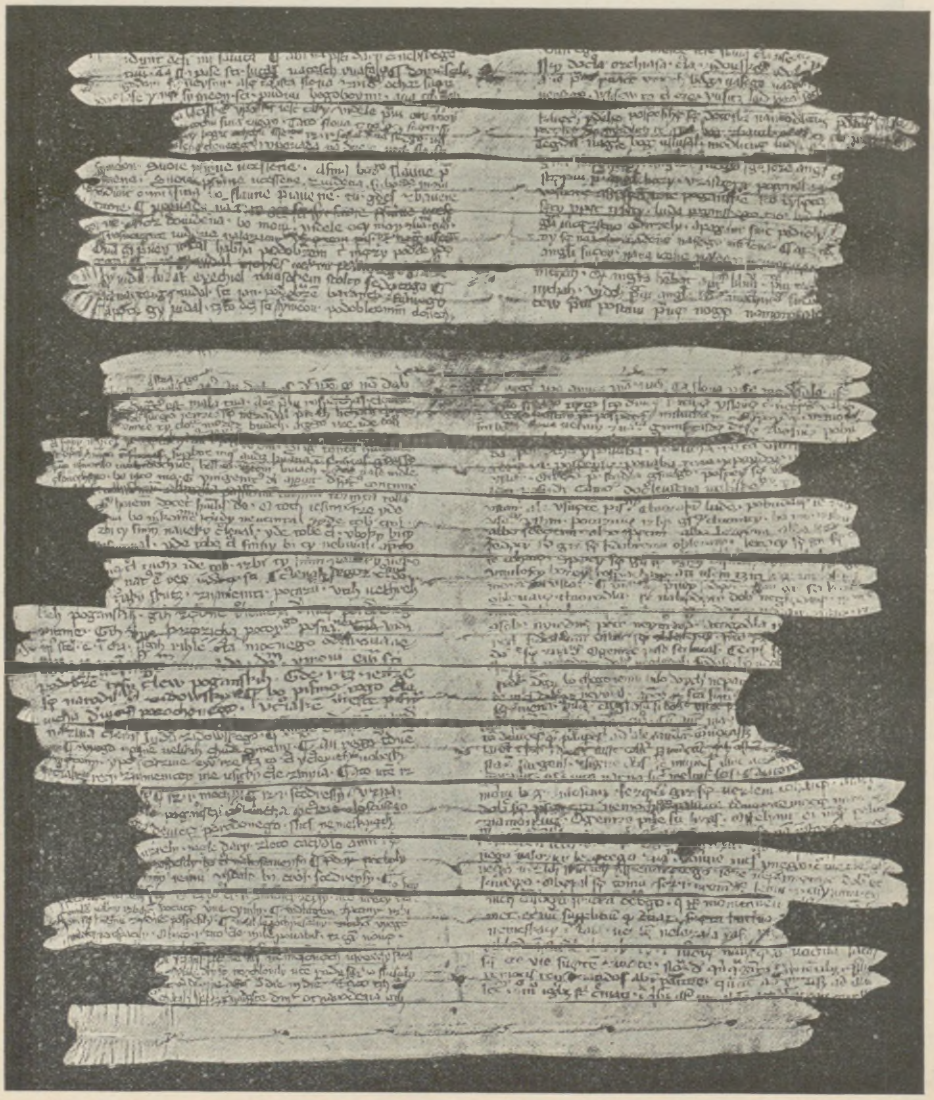

Fig. 15. Kazania świętokrzyskie, zabytek z XIV. wieku.

pod Lincem, gdzie go znaleziono, a zawierający przekład hebrajskich psalmów »Dawidowych« w języku polskim, łacińskim i niemieckim.

Z wieku piętnastego zachowało się zabytków religijnych w języku

polskim więcej. Mamy z tych czasów pierwszą naszą biblię, t. zw. »Biblię szaroszpatacką«, bo znalezioną w Saros-Nagypatak na Węgrzech, mamy książeczkę do nabożeństwa, zbiór modlitw, nowy przekład psalmów Dawidowych i inne zabytki mniej ważne.

Są też i pieśni: wielkanocne, do Matki Boskiej, lub poświęcone uczczeniu Świętych, tudzież kolędy, napisane przez autorów, nieznanych nam po większej części nawet z imienia.

Nie brak i legend, a więc opowieści z życia Chrystusa i Świętych, pełnych cudowności, nakreślonych żywo, a nieraz fantastycznie, z celem zawsze moralnym, bo zachęcających do umartwiania ciała, dobrowolnego ubóstwa, doskonalenia się wewnętrznego. Oczywiście legendy owe przerabiano bądź prozą, bądź wierszem z podań obcych, najwięcej z włoskich. Z licznych wierszowanych na szczególną uwagę zasługuje »Legenda o św. Aleksym«, gdyż najlepiej wyraża to, co średniowiecze uważało za szczyt człowieczeństwa: dobrowolne zaparcie się siebie.

Aleksy, jedyny syn możnego pana rzymskiego Eufemiana, idąc za wolą ojca, pojął za żonę córkę cesarza, ale poto, by w noc ślubną rozłączyć się z małżonką, tak on bowiem jak i ona złożyli ślub czystości. Pożegnawszy się z żoną, wyrusza w świat, złoto i srebro, jakie wziął ze sobą, rozdaje ubogim, a sam jako dziad żyje odtąd z jałmużny. Razu pewnego noc całą przeleżał przed bramą kościelną. Widok ten wzruszył serce Bogarodzicy, to też Przenajświętsza Panna kazała klucznikowi otworzyć drzwi świątyni i przygarnęła biedaka. Wieść o tym cudzie rozeszła się szybko po mieście, ludzie poczęli odtąd uważać Aleksego za świętego. Nie chcąc doznawać czci już za życia, opuścił Aleksy miejsce dotychczasowego pobytu i wsiadł na okręt, ale wiatr zaniósł go do rodzinnego Rzymu. T'u spotkał się z ojcem swoim, a niepoznany przez starca, przeżył u niego lat kilkanaście »pod schodami«. Wreszcie umarł. A wówczas nieba po raz wtóry cud uczyniły, bo oto nieporuszone ręką niczyją rozebrzmiały wszystkie dzwony, dając znać światu, że Pan przyjął zmarłego w grono świętych. Około barłogu żebraka zebrało się całe duchowieństwo, sam nawet papież i cesarz przybyli, ale nikt nie wiedział, kto był tym nędzarzem. Poznała go dopiero żona. Przy ciele zmarłego działy się cuda, a na pogrzebie taki był ścisk, że kazano między lud rozrzucać złoto i srebro, by tylko drogę opróżnić, ale i to nie pomagało. Wreszcie z wielkim trudem przywieziono ciało do kościoła św. Bonifacego, gdzie też je pochowano.

Legenda powyższa mieści w sobie wszystkie znamienne cechy utwo-

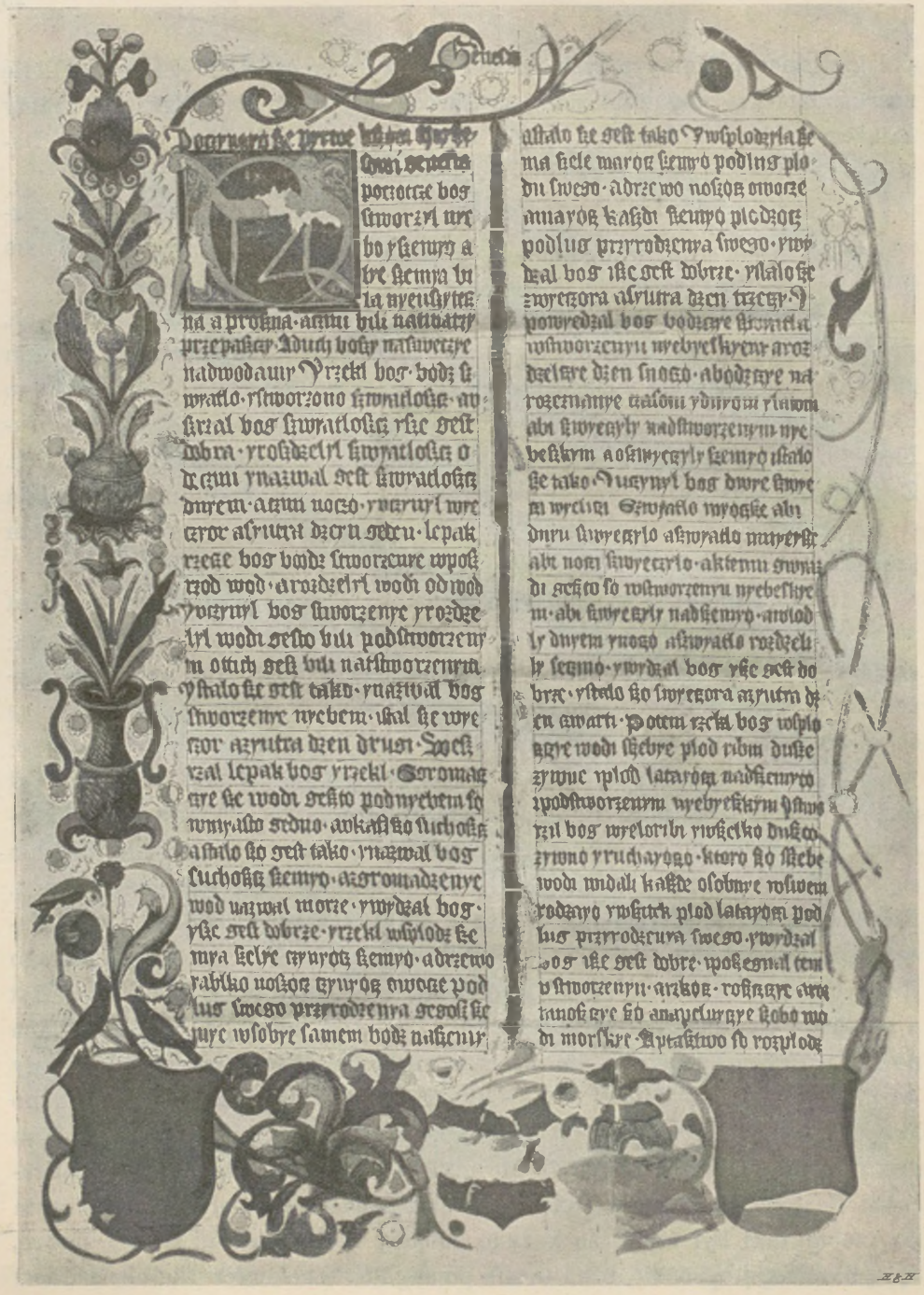

Fig. 16. Podobizna pierwszej stronicy Biblii szaroszpa[t]ackiej, zabytku z XV. wieku.

rów średniowiecznych. Osnowa jej fantastyczna, naiwności wiele (Aleksy żeni się z córką »cesarza«), wyrzeczenie się bogactw i zaparcie się — wyniesione na wyżyny ideału. Aleksy według tej legendy zostaje świętym dlatego tylko, że żyje dobrowolnie w nędzy, a życie spędza na modlitwie, nie słyszymy nic jednak o jego dobrych uczynkach, nie wiemy nic o tem, żeby pracował. I na tem właśnie polega różnica między zapatrywaniem autora średniowiecznego, a autorów późniejszych.

Przy schyłku wieków średnich myślano więcej o śmierci, niż dzisiaj, przygotowywano się do niej rozważniej, a rozmyślania nad życiem pozagrobowem nakłaniały ówczesnych do życia pokutniczego, tak częstego w tych czasach. Nic więc dziwnego, że i w piśmiennictwie ówczesnem znajdą się liczne utwory, których tematem będzie śmierć, jako koniec doczesnej wędrówki człowieka, zapominającego niestety często, że wiecznie żyć nie będzie. Przypomni mu to chuda postać niewieścia (nie przedstawiana jeszcze wówczas z kosą), wskaże, że władztwu jej ulega nietylko człowiek, ale cały świat zwierzęcy i roślinny, że głupi ten, co oddaje się rozkoszom, nie myśląc o rzeczach ostatecznych. Do utworów na ten temat napisanych należy n. p. »Rozmowa śmierci z magistrem«.

Pieśni historyczne są bardzo nieliczne, z miłosnych zachowały się ledwie ułomki, natomiast bardzo ciekawym jest wierszowany utwór obyczajowy »O zachowaniu się przy stole i czci dla niewiast«. Nieznajomy autor poucza, jak należy sprawować się przy jedzeniu, przestrzega przed rwaniem się do misy, zajmowaniem pierwszych miejsc, skąd potem ze wstydem musieliby usunąć się niebaczni, wyproszeni przez gospodarza! Kobietom zaś radzi, by nie krajały wielkich kęsów, bo mógłby je ktoś posądzić o żarłoczność: lepiej krajać mało, a często. Z utworu tego wnosić można, że przestrogi takie były jeszcze wówczas potrzebne.

Wartość językową posiadają przekłady na język polski statutu wiślickiego, statuty mazowieckie, jako też t. zw. »ortyle magdeburskie« (Urtheile), t. j. tłumaczenia wyroków niemieckich, wydawanych w miastach z ludnością niemiecką, która rządziła się prawami magdeburskiemi.

Jak z tego przeglądu piśmiennictwa w czasach najdawniejszych łatwo można poznać, wiek piętnasty przewyższa znacznie ilością i jakością dzieł kilka wieków poprzednich. Do wieku piętnastego mieliśmy zaledwie kilka roczników, kronik łacińskich, żywotów świętych i jedno tylko dzieło naukowe (Wittellona), w języku polskim prócz pieśni »Bogarodzica« nic, coby posiadało wartość literacką. Wiek piętnasty natomiast, wsparty pracą Aka-

demii Jagiellońskiej, wydaje już znakomitego kronikarza-historyka w osobie Długosza, świetnego matematyka-astronoma (Wojciecha z Brudzewa), niepospolitych filozofów i teologów. Pisali oni jednak po łacinie. W języku ojczystym nie mamy i w tym wieku także dzieł doskonałych, lub choćby wyrastających tylko ponad przeciętną miarę. To prawda; ale zato jakaż mnogość tych zabytków, jak wyrabia się polski język, jaka tam ustawiczna praca nad formą, rytmem i rymem. A wśród utworów niemała też rozmaitość. Są utwory prozaiczne i poetyczne, są religijne i świeckie, są ascetyczne (mówiące o umartwianiu się), obyczajowe, historyczne, ba miłosne!, choć twarde i chropawe. Język polski zyskuje coraz to więcej praw obywatelstwa, staje się podatniejszym, giętszym, piękniejszym. To też praca wieku piętnastego nie pójdzie na marne, owszem wyda plony obfite, ale społeczeństwo polskie będzie musiało czekać na nie jeszcze lat kilkadziesiąt.

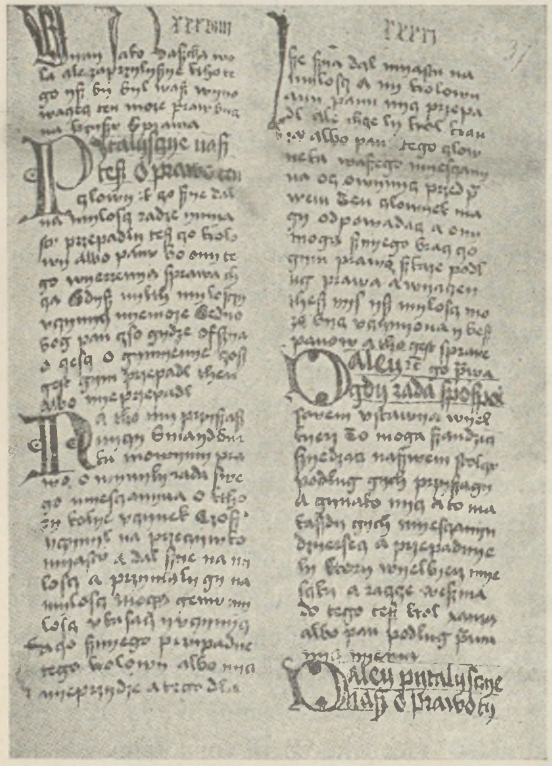

Fig. 17. Ortyle magdeburskie.

Pierwsze objawy humanizmu. Humanizmem nazywamy zapał i miłość dla świata starożytnego, dla literatury greckiej i rzymskiej i ideałów starożytnych. Piśmiennictwo greckie i rzymskie mieściło w sobie skarby nieprzebrane; zachwycało przepiękną harmonijną formą zewnętrzną, podbijało i podniecało umysł nadzwyczajną różnorodnością treści i głębokiemi myślami, nadewszystko zaś takiem ujęciem i przedstawieniem istot ludzkich, że mimo dziesiątek wieków, widzimy w nich zawsze obraz każdego z nas, poznajemy, iż natura ludzka jest w istocie swej niezmienna.

Do tych skarbów starożytnych zwrócono się z namiętnym zapałem najpierw we Włoszech w drugiej połowie wieku czternastego; rozczyty-

wano się w dziełach rzymskich i greckich, podziwiano i naśladowano ich formę, z czasem zaś poczęto przejmować się także myślami i ideałami wielkich pisarzy pogańskich. U nas zwrot ów rozpoczął się oczywiście później, ale znacznie wcześniej, niż w sąsiednich Niemczech; w pierwszej połowie XV. wieku spotykamy już w Polsce pierwsze przejawy humanizmu. Dostojnicy kościoła polskiego, powracając z soboru bazylejskiego (1431) przywożą z sobą dzieła mowcy rzymskiego Cycerona, a język jego wywiera na przywykłych do łaciny zeszpeconej i popsutej niezwykłe wrażenie. Z czasem dzieł takich napływa do Polski coraz więcej.

Współcześni, co prawda, nie wnikają jeszcze głęboko w ich treść, nie zastanawiają się nad tem, że pogląd starożytnych na świat i życie różni się zasadniczo od poglądu chrześcijańskiego i że zbytnie rozmiłowanie się w arcydziełach pogańskich może osłabić wśród ogółu uczucie chrześcijańskie, oni widzą przedewszystkiem szatę zewnętrzną tych dzieł, wspaniały język i styl, i zapał dla starożytnych godzą z głęboką religijnością.

Na czele ich stoi zrazu biskup-kardynał Zbigniew Oleśnicki [1]). Pisze on już łaciną wzorową, wprost świetną, tak że papież Pius II. stawia go za wzór Niemcom: »Niemcy wstydzić się powinni, że nie mogą pochlubić się tak szlachetnym i niezwykle uzdolnionym umysłem, któryby umiał myśli swe w tak piękne przystroić słowa«.

Obok Oleśnickiego są inni, mniej głośni, a jest i jeden znakomity, znany nam już Jan Długosz (w swej Historyi naśladował on w sposobie pisania rzymskiego historyka Liwiusza). Wszyscy oni przejęci byli podziwem dla formy starożytnych utworów.

Ale mamy w piętnastym już nawet wieku i takich, na których znajomość starożytnych wywarła wpływ głębszy. Nie mówimy tu o cudzoziemcach, bawiących w Polsce, jak Kallimach i Celtes, lecz są i wpośród Polaków jednostki, które przejęły się już sposobem myślenia starożytnych, a choć nie zachwiały się w wierze, to jednak na wzór Greków i Rzymian myślały przedewszystkiem o życiu doczesnem, wzruszając ramionami na średniowieczny ascetyzm. Do takich należał Grzegorz z Sanoka, arcybiskup lwowski, a w młodości magister Akademii Jagiellońskiej, w której pierwszy wykładał w nowy sposób o utworach łacińskiego poety Wergiliusza, kładąc główny nacisk nie na gramatykę, jak dotychczas czyniono, lecz na piękności językowe u tego autora. Wykłady jego miały budzić

[1]) Rycina przedstawiająca Oleśnickiego znajduje się na str. 487. w t. I. »Polski«.

zapał nadzwyczajny. Pisał też sam na wzór starożytnych poematy, z których zresztą zachowało się bardzo niewiele. Ale co u Grzegorza najciekawszem, to jego życie domowe. Choć postawiony na świeczniku kościoła lubił uczty i wesołe towarzystwo, stół jadalny nazywał miejscem »godnem najwyższego szacunku«, lubił ubierać się pięknie i modnie. Był on doskonałym przykładem, jak humanizm kształcił nietylko poczucie piękna, ale jak odmieniał wprost naturę człowieka, jak z surowych, bogobojnych, pełnych troski o życie pośmiertne ludzi, czynił jednostki wesołe, myślące o przyjemnościach doczesnych, rozmiłowane w życiu i zawsze gotowe do użycia. Nie będziemy się teraz dziwili słowom Długosza, kiedy gorszy się, że niejeden z humanistów »wyśmiewa wieczne porządki, nie wierzy już groźbom pism świętych, na zbawienie duszy i rzeczy ostatnie się nie ogląda«.

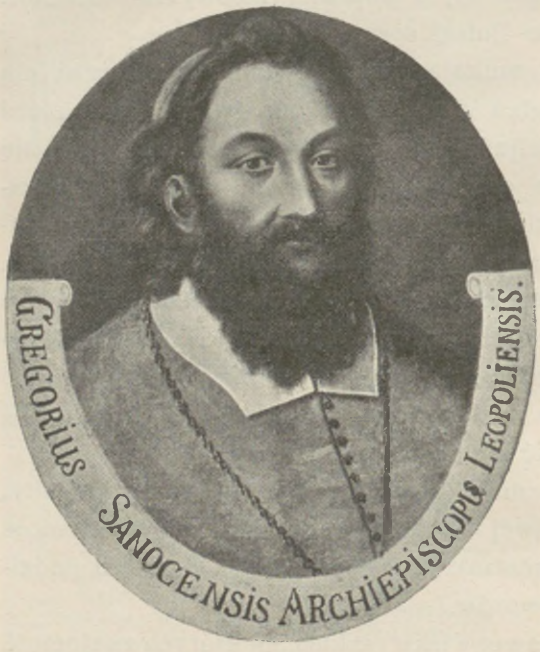

Fig. 18. Grzegorz z Sanoka.

To, cośmy mówili o Grzegorzu z Sanoku, to wiemy z żywota jego, napisanego przez Kallimacha. Inny jednak humanista, człowiek wprost już niepospolity, wojewoda poznański Jan Ostroróg, pozostawił nam dzieło, z którego można już bezpośrednio wnioskować o autorze. Ostroróg pisał swój »Memoryał w sprawie urządzenia Rzeczypospolitej« z młodzieńczą werwą i zapałem, a wyszedłszy z porównania ustroju państwa rzymskiego z królestwem polskiem, uznał, że reforma rządu i administracyi krajowej jest konieczna. Rozpoczął od kwestyi oddzielenia spraw państwa od spraw kościoła, protestował przeciw składaniu jakichkolwiek opłat Rzymowi, przeciw odwoływaniu się do Rzymu dla rozstrzygnięcia sporów, żądał mianowania biskupów przez króla i nałożenia na duchownych podatku. Rzucił myśl zaprowadzenia jednostajnego prawodawstwa dla wszystkich, domagał się powszechnej służby wojskowej. Jak z żądań tych widzimy, przyświecał już

Ostrorogowi ideał państwa nowożytnego. Najsympatyczniejszą jednak w jego memoryale jest pierwszy raz śmiało podjęta obrona narodowości polskiej przeciw napływowi niemczyzny. W XV. wieku były jeszcze na ziemi polskiej klasztory, które zamykały swe wrota przed Polakami, w niektórych kościołach miejskich wygłaszali księża kazania niemieckie, a miasta udawały się po wyroki sądowe do niemieckiego Magdeburga. Ostroróg występuje w dziele swem ostro przeciw takim praktykom i woła nie bez słuszności: »niech się uczy mowy polskiej, kto chce w Polsce mieszkać«.

Ostroróg umarł w roku 1501. Dzieło jego powstało w drugiej połowie wieku piętnastego.

A jakże zachowała się wobec prądu humanistycznego Akademia krakowska? Określonego stanowiska zrazu nie zajęła. W murach jej odbywały się wykłady o poezyi łacińskiej, objaśniano dzieła poetów rzymskich, ale z powagami średniowiecznemi nie zerwano. Zdaje się, że profesorowie ówcześni, podobnie jak większość humanistów, widzieli w starożytnych dziełach tylko piękną formę i na nią główną zwracali uwagę. Dopiero z czasem, gdy się okaże, że w humanizmie tkwi dla społeczeństwa chrześcijańskiego ukryte niebezpieczeństwo, że społeczeństwo to może przejąć od starożytnych pogański sposób myślenia, zawrze w murach Uniwersytetu walka między scholastykami a humanistami. Ale o niej pomówimy dopiero później.

Nie rozlał się więc, jak widzimy, w piętnastym wieku humanizm szeroko, nie wniknął po większej części głęboko nawet w umysły tych, którzy się nim przejęli. Wstrząsnął sposobem myślenia, wpłynął na życie kilku zaledwie jednostek, do szerokich warstw społeczeństwa nie dotarł. W literaturze zaś pozostawił ślady tak słabe i tak nieliczne, że o jakimś przewrocie w tym wieku niema nawet mowy. Przewrót ten dokona się dopiero w stuleciu szesnastem, ale wywołają go prócz humanizmu inne także czynniki.

DOBA ŚWIETNOŚCI

OD POCZĄTKÓW WIEKU XVI. DO JEGO SCHYŁKU.

Wchodzimy w dobę najświetniejszego rozkwitu naszego piśmiennictwa, niespodzianego, a tak olśniewającego, że później wieki całe przeminą, zanim będziemy mogli rozkoszować się dziełami równie znakomitemi, równie

mądremi, a niejednokrotnie wstrząsającemi wprost swą treścią. Chwałę wieku szesnastego przyćmi dopiero wiek dziewiętnasty, ale nie należy zapominać, że ten wiek XIX. miał wielkiego poprzednika, na którym się kształcił, kiedy szesnasty musiał wszystko tworzyć sam, dobywać z siebie — zwłaszcza, o ile przemawiał językiem ojczystym.

Musiały być oczywiście powody tej przemiany i tego rozkwitu i to nie tylko zewnętrzne, boć ziarno, najzdrowsze nawet, gdy padnie na rolę nieuprawioną, choć przyjmie się, krzewem dorodnym nie wybuja.

Zmieniło się też istotnie położenie i sposób życia społeczeństwa polskiego, a choć na korzyść u jednej tylko szlachty, ale też właśnie ta szlachta wydaje z pośród siebie pisarzy, szerzących sławę imienia polskiego.

Dostała się szlachta teraz do steru. Plany Kazimierza Jagiellończyka i Olbrachta, dążących do stworzenia silnej monarchii, spełzły na niczem. Polska przekształciła się w rzeczpospolitą szlachecką, szlachta pochwyciła władzę w swe ręce, a z biegiem wieku umiała zdobywać sobie coraz to nowe przywileje. Chłopa przywiązała do roli i kazała mu odrabiać pańszczyznę, mieszczanom odebrała prawo nabywania ziemi i sięgania po wyższe urzędy, sama zaś wysunęła się na czoło narodu, stała się wszystkiem. Oczywiście zrodziło to w niej poczucie własnej siły, pewność siebie, a zarazem i to przekonanie, że ma prawo i obowiązek mówić o wszystkiem, wszystko roztrząsać, o wszystkiem sąd swój wygłaszać. A zagadnień politycznych nasuwało się wiele, jak zawsze w społeczeństwie, które się przeistacza, które do czegoś dąży.

Był też i czas na zajęcia umysłowe. Życie rycerskie poczęło się już w XV. w. przedzierzgać w ziemiańskie, potomkowie w stal zakutych rycerzy grunwaldzkich woleli myśleć o pługu, niż o mieczu, woleli spławiać pszenicę do Gdańska, niż »siedm lat walczyć nie przestając«. W ślad za dostatkiem poszły wygody, ba zbytek, w następstwach zgubny, to prawda, ale na razie była myśl swobodna, był czas na zajmowanie się literaturą, na tworzenie jej, oczywiście w dalszym ciągu pod wpływem starożytnych. Tylko że humanizm, uwidoczniający się w XV. wieku w sposobie życia i dziełach jednostek, rozlewa się teraz szeroko, obejmuje dwory biskupie i dworki szlacheckie, a od czasu przybycia z Włoch królowej Bony wraz z wysoko ukształconem otoczeniem, staje się potrzebą i modą. Humanizm wieku szesnastego to już nie tylko podziwianie pięknej formy i języka starożytnych utworów, to przejmowanie się ich myślami i ideałami, to zmie-

niony obyczaj, sposób życia, to myśl wyswobodzona z pętów filozofii scholastycznej. Słusznie też zowią humanizm: odrodzeniem.

Do wspomnianych czynników przybył w szesnastym wieku jeden jeszcze, zdolny poruszyć i rozgorączkować umysły. W r. 1517. wystąpił w Niemczech Luter ze swoją nową nauką, a nowinki religijne poczęły szybko przenikać i do Polski, wiernej dotychczas córki Kościoła katolickiego. Rozpolitykowana szlachta sądziła, że ma tak samo prawo wyrokować w sprawach religijnych, jak w społecznych i państwowych, to też w Polsce zawrzało niebawem jak w ulu. Szlachcie podobała się nowa nauka, bo znosiła ciężkie dla niej sądownictwo kościelne, o dogmaty zaś wiary jej nie szło. Nie sądziła zresztą nawet, by hołdując nowinkom, zrywała tem samem z Kościołem katolickim, owszem mniemała, że jedno z drugiem da się pogodzić, że Kościół ustąpi coś zeswego, a Luter zeswego, i że przeprowadzi się reformę Kościoła tak, jak przeprowadziło się reformę państwa. Okazało się później, że się zawiodła, Kościół bowiem od prawd swych odstąpić nie mógł, to też ogromna większość wyrzekła się rychło nowej wiary i pozostała przy katolicyzmie, ale na razie opanował umysły szlachty ruch gorączkowy, co odbić się musiało również i w piśmiennictwie. Najwięcej zaś zyskał na tem język polski. Różnowiercy, chcąc pozyskać sobie jak najwięcej zwolenników, nawet wśród mniej oświeconego ogółu, przemawiali do niego w pismach w języku ojczystym, drukowali protestanckie przekłady biblii, rozrzucali wiersze polskie przeciw księżom i zakonom. Katolicy zaś bronili się, zrazu słabo, potem coraz potężniej, ale musieli posługiwać się tą samą bronią co protestanci, i tak język polski, do niedawna kopciuszek w piśmiennictwie, stawał się coraz bardziej językiem literackim.

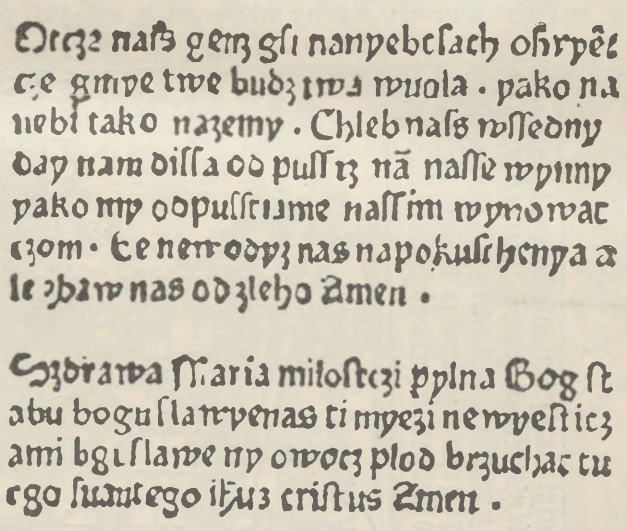

Fig. 19. Druk polski.
»Ojcze nasz« i »Zdrowaś Marya« z roku 1475.

Ażeby jednak ruch ów mógł objąć istotnie szerokie warstwy, do tego koniecznem było słowo drukowane, rękopisy bowiem, jako bardzo drogie, były rzadkością; posiadały je klasztory, dwór królewski, dwory biskupie, akademia krakowska, ogół nie stykał się z nimi zupełnie. Teraz książka przestaje być nadzwyczajnością, może ją nabyć każdy szlachcic, powstają bowiem w Polsce drukarnie. Druk wynaleziono, jak wiadomo, w XV. wieku, u nas w Polsce drukuje się już około roku 1475., ale zrazu idzie to nieświetnie. Dopiero w XVI. wieku liczba drukarń mnoży się nadzwyczajnie, możnowładzcy i szlachta, sprzyjający nowej wierze, zakładają tłocznie w swoich dobrach, ażeby bić w nich książki protestanckie; ilość druków



Fig. 19. Podobizna stronicy z Rozmów króla Salomona z Marchołtem.

do końca XVI. wieku dosięga cyfry 75.000, jak na owe czasy bardzo pokaźnej. Za pierwszą drukowaną książkę polską uchodzi Bonawentury »Żywot Pana Jezusa Krysta«, przełożony przez niejakiego Opecia (1518), poczem ukazują się »Rozmowy króla Salomona z Marchołtem«, powieść przetłumaczona z języka łacińskiego przez bakałarza Jana z Koszyczek, »Fortuny i cnoty różność« (powieść, przekład z czeskiego) i inne. Wraz z drukiem kształci się i sztuka rytownicza, jak to wskazuje choćby karta tytułowa biblii nieświeskiej (1563).

Jaki udział w ogólnym tym ruchu brały akademia i szkoły, o ile się do niego przyczyniały, o ile nań wpływały? Odpowiedź nie wypadnie pomyślnie. Akademia krakowska nie stanęła na wyżynach swego zadania.

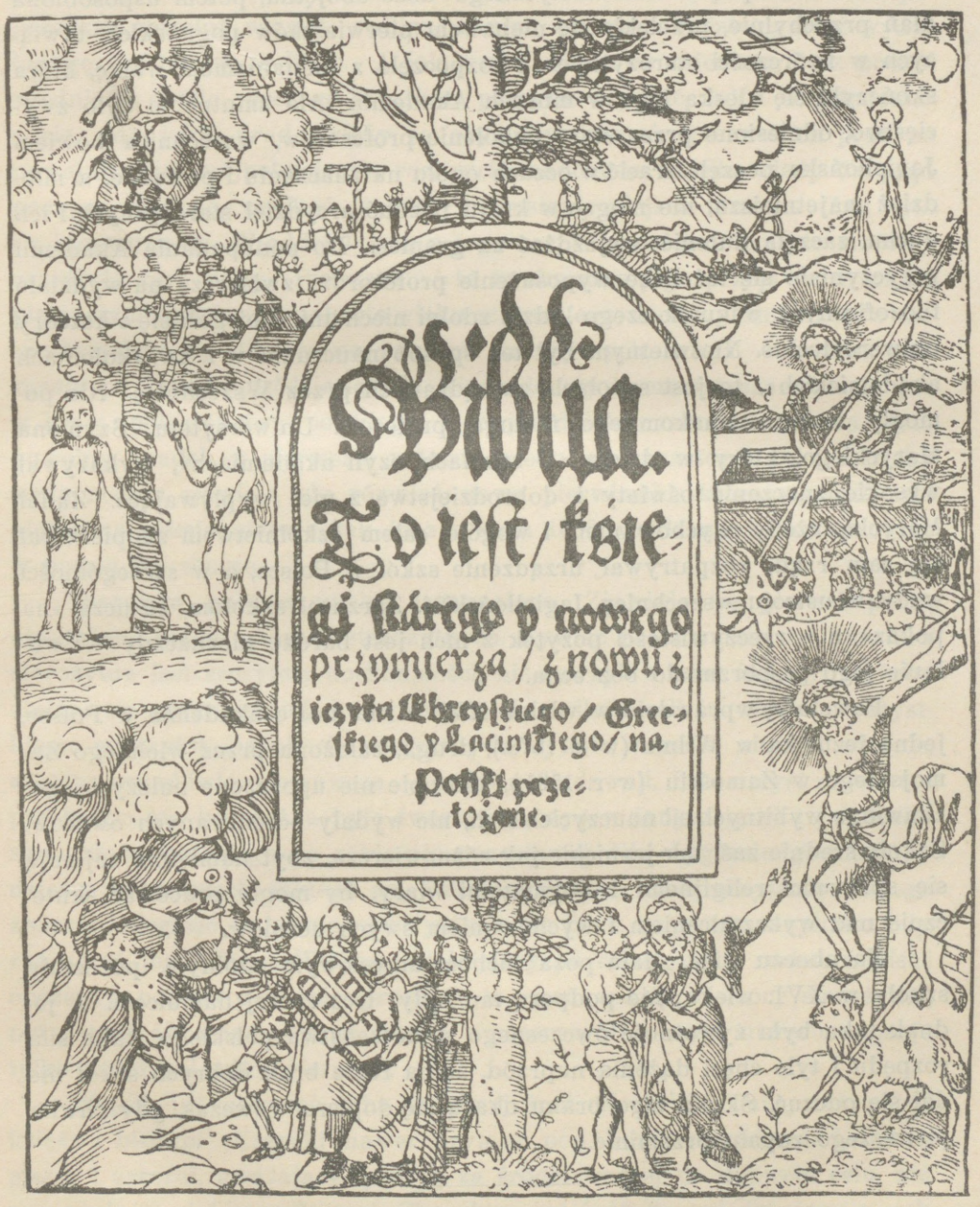

Fig. 21. Karta tytułowa Biblii nieświeskiej.

Zrazu wobec prądu humanistycznego dość obojętna, potem usposobiona dlań przychylnie, przelękła się niebawem pierwiastków pogańskich, tkwiących w twórczości starożytnych, i rozpoczęła z humanizmem walkę, która skończyła się klęską jego w murach Akademii. Ale smutne to było zwycięstwo, odniesione przez stare pokolenie profesorów, wszechnica bowiem Jagiellońska poczęła tracić w oczach ogółu na znaczeniu i powadze, a młodzież majętniejsza, nie mogąc w kraju poznać arcydzieł starożytnych i ich ducha, zaczęła tłumnie wyjeżdżać za granicę. Do podupadania Akademii przyczyniało się też liche wyposażenie profesorów, zwłaszcza na wydziale filozoficznym, wskutek czego ludzie zdolni niechętnie ubiegali się o katedry uniwersyteckie. Nieświetnym był też sposób nauczania w t. zw. »koloniach akademickich«, to jest szkołach zarządzanych przez Wszechnicę. Nie pomogły wołania znakomitego filologa, profesora Uniwersytetu, Szymona Maryckiego, który w dziele »O szkołach czyli akademiach«, wykazywał wysokie znaczenie oświaty i dobrodziejstwa z niej wypływające. Żądał Marycki, ażeby wychowaniem i wogóle całem szkolnictwem zaopiekował się sam rząd, rozpatrywał urządzenie szkół w Polsce, a w szczególności wady w ustroju wszechnicy Jagiellońskiej. Zarzucał szkołom, że uczą »na pokaz«, a w rzeczywistości pożytek z nich jest bardzo nieznaczny — i wołanie jego przebrzmiało bez echa.

Powstały wprawdzie w wieku XVI. dwie nowe akademie w Polsce, jedna jezuicka w Wilnie (w r. 1578.), druga, założona przez wielkiego Zamojskiego w Zamościu (w r. 1595.), ale obie nie uposażone należycie, pozbawione wybitnych sił nauczycielskich, nie wydały oczekiwanych owoców. Szkoły średnie zaś, tak jezuickie jak różnowiercze, zbyt namiętnie zajmują się sprawami religijnemi i dogmatami wiary, by mogły pracować skutecznie nad wykształceniem i wychowaniem swych uczniów.

Na uboczu więc, zdala poza ruchem umysłowym ogólnym, pozostały szkoły w XVI. wieku; nie podporą mu były, lecz raczej hamulcem. A jednak taka była żywotność ówczesnego społeczeństwa polskiego, taka siła rozpędu i tyle chęci dążenia naprzód, że na razie brak dobrych szkół nie dał się odczuć. Skutki tego braku okażą się dopiero wówczas, gdy chwila pierwszego zapału przeminie.

Nie należy sobie oczywiście wyobrażać, by dzieła literackie doskonałe w treści i formie pojawiły się w Polsce odrazu, jak świetny meteor na nie-

bie. Jak w świecie przyrody, tak i w literaturze chwilę rozkwitu musi poprzedzić powolny rozwój; roślina, zanim wystrzeli kwiatem, musi wydać łodygę i ubrać się w liście. A jak kwiat nie trwa wiecznie, lecz powoli więdnie i opada, poczem i roślina poczyna usychać, tak i w piśmiennictwie, gdy jakiś prąd świeży je ożywi, po okresie pierwszych prób na nowej drodze i najpełniejszym rozkwicie, nadchodzi chwila, kiedy ów prąd poczyna słabnąć, zanikać, dopóki nie ustąpi miejsca innemu. Tak było i z humanizmem. W oddziaływaniu jego na piśmiennictwo polskie możemy rozróżnić trzy doby. Pierwsza — to te skromne jego przejawy w wieku piętnastym i pierwszej połowie wieku szesnastego, kiedy piśmiennictwo nasze kształciło się dopiero na wzorach starożytnych, druga — to wiek szesnasty po latach pięćdziesiątych, kiedy ideały humanistyczne weszły już w krew społeczeństwa polskiego, wydając dzieła znakomite, trzecia — to powolny upadek w pierwszej połowie wieku siedmnastego. Ale w wieku siedmnastym zjawiają się również nowe pierwiastki, które wycisną swe piętno na piśmiennictwie, tak że z rokiem 1600. wejdziemy w nowy okres w naszej literaturze.

Pierwsza połowa wieku szesnastego. Zjawiają się pierwsi poeci, ukształceni już na wzorach starożytnych. Żywiąc przekonanie, że literatura starożytna jest szczytem doskonałości, nie marzyli o czem innem, jak żeby zbliżyć się przynajmniej do jej arcydzieł, naśladowali ją więc we wszystkiem: w języku, ozdobach poetycznych, rytmie, czasem niezbyt udatnie, czasem szczęśliwie, ale zawsze — tylko naśladowali. Przez myśl nawet nie przebiegło im, by można było tworzyć poezyę w innym języku jak łacińskim, słowa polskiego po sobie nie pozostawili. Nic oryginalnego nie znajdziemy w utworach takiego np. Pawła z Krosna, choć oczytanie u niego znaczne, biegłość w łacinie niezwykła, a nie brak i wprawy w rytmie. Gdy zaś uczeń jego, Jan z Wiślicy, zdolniejszy od nauczyciela, zechce napisać obszerny poemat o wojnie pruskiej, to, choć oparty o wzory starożytne, nie potrafi stworzyć pięknej całości, a poszczególne części utworu popsuje tylko ozdobami mitologicznemi.

Więcej już samymi sobą są dwaj inni, Krzycki i Dantyszek, obaj księża i biskupi (Krzycki nawet prymas pod koniec życia), obaj ludzie giętcy i zręczni, uważający poezyę za środek raczej do dopięcia celu, niż naprawdę w niej rozmiłowani. Charakter ani jednego ani drugiego z nich nas nie zachwyca, ale u Dantyszka znajdujemy przecie więcej uczucia a mniej złośliwości, niż u Krzyckiego, który z całym spokojem tych samych

uwielbiał i ganił w miarę tego, jak byli mu potrzebni, lub stawali na drodze. Obaj pisali wiersze okolicznościowe, historyczne, pobożne i miłosne, nie bez zręczności i talentu. Choć zakochani w sobie i własnemu dobru przeważnie oddani, myśleli przecież i o ojczyźnie i patrząc na zamęt wewnętrzny, na niesnaski religijne i groźną potęgę turecką, wypowiadali obawę o jej przyszłość: Krzycki — w »Skargach religii i rzeczypospolitej«, Dantyszek — w poemacie »O klęskach czasów naszych«.

Zadziwić i olśnić — rodaków i obcych — miał dopiero syn ubogiego kmiotka z Wielkopolski, przedwcześnie zmarły Klemens Janicki. Była to dusza nawskróś artystyczna, prawdziwy poeta z bożej łaski; co za szkoda, że umarł przedwcześnie i że pisał tylko po łacinie! Wysłany do Włoch przez marszałka koronnego, Piotra Kmitę, zyskał tam rozgłos i sławę a nawet wieniec laurowy od papieża. Szukał szczęścia na ziemi włoskiej, a znalazł chorobę! Stąd może ów ton tęsknoty w jego utworach, ów smutek, owa rzewność, jednająca mu serca nasze. A kochamy go i za jego przywiązanie do ziemi rodzinnej. Zachwycony pięknością przyrody włoskiej, woli przecież poeta ziemię ojczystą. W elegii do przyjaciela pisze:

»Świat ten szeroki i pięknie na świecie,
Lecz niema ziemi nad moją ziemicę!
Dziwię się Włochom, Polskę wielbię szczerze,
Tutaj podziwem, tam miłością stoję;
Do mojej Polski prawnie przynależę,
Tu mam gościnę, a tam bogi moje«.

(Przekład W. Syrokomli).

To też poeta tęsknił za ziemią rodzinną, zwłaszcza gdy już wiosna budziła się w naturze, a jego tam, w dalekiej stronie, choroba przykuła do łoża:

»Jest, lecz daleko, kraina wesoła,
Gdzie oko, serce zachwycić się może;
Jest lud poczciwy, co napełnia sioła,
Miejsca sądowe i świątynie boże.
. . . . . .
Wszystko młodzieje, wszystko k'sobie nęci,
Wiosna już czasy przyjemniejsze niesie,
Aż trzęsie echem silny śpiew ptaszęci,
W wodzie, w powietrzu, na ziemi i w lesie.
Lecz to nie dla mnie — ja smutny zostanę,
Gdy inni wiosną radują się świeżą,
Ja leżę chory — rozkosze wiośniane
Do mnie jak gdyby wcale nie należą...
O! byłbym zdrowym, cierpliwym, wesołym,
Silnie wytrwałym na pociski burzy,

Gdybym mógł z tobą powędrować społem,
Jak pierwszy tłumok potrzebny w podróży [1]).
. . . . . .
O! słodkie miejsce — siódmy rok upływa,
Jako nie byłem w domowej ustroni,
Choć tęskni do mnie moja dobra niwa,
A ja się modlę, by powrócić do niej.
O wrócę, wrócę w zagrodę domową —
Penaty moje! czujnemi oczyma
Matkę i brata chowajcie mi zdrowo;
Dość mi boleści, że ojca już niema!«

(Przekład W. Syrokomli).

I wrócił wreszcie poeta, biedny, schorowany, ale po to tylko, by znaleźć śmierć na ojczystej ziemi.

Była to natura dobra, czuła, wrażliwa, a przytem zdolność poetycka niepoślednia, choć i on, Janicki, nie potrafił otrząsnąć się z przemożnego wpływu starożytnych wzorów. Że zaś i on dumał nad losami swej ojczyzny, że o nią się trwożył, na to dowód w poemacie jego »Skarga Rzeczypospolitej na wady narodu«, napisanym pod wrażeniem nieszczęsnej wojny kokoszej. Dużo tam szlachetnego oburzenia na tych, co naprzód o sobie myślą, niż o ojczyźnie [2]).

I to właśnie, ów rys patryotyczny, owa myśl o Polsce i obawa o jej przyszłość odróżnia naszych humanistów od współczesnych zagranicznych i daje im nad tamtymi przewagę, bo zresztą, ogółem biorąc, nasi stoją niżej od obcych. Nie są tak wysoko, jak tamci, ukształceni, jest ich mniej i mniej piszą, a tworząc, trzymają się zbyt niewolniczo wzorów łacińskich. Natomiast ów związek utworów ich z ówczesnem życiem publicznem, ta troska o dobro ogólne jest rysem dodatnim, a w owych czasach wielkiej jeszcze siły i żywotności społeczeństwa polskiego — bardzo znamiennym.

* * *

Jeżeli jednak w literaturze pięknej, w poezyi, nie weszliśmy jeszcze w pierwszych dziesiątkach szesnastego stulecia na wyżyny, to zato nauka polska wydaje w tym czasie jednostkę tak genialną, że z prawdziwą dumą szczycimy się nią wobec całej Europy. Mężem tym jest wielki Mikołaj Kopernik, uczeń Akademii Jagiellońskiej, a po dziś dzień największa

[1]) Poeta poświęcił tę elegię znajomemu swemu Rafałowi Wargawskiemu, który jechał właśnie z Włoch do Polski.

[2]) Utwory Janickiego przełożył na język polski Władysław Syrokomla (1849).

jej chluba. On to w nieśmiertelnem swem dziele »O obrotach ciał niebieskich« (1543) udowodnił pierwszy w sposób niezbity, że nie słońce obraca się około ziemi, ale ziemia wraz z innemi ciałami niebieskiemi krąży około słońca. Twierdzenie to było czemś tak nowem i niesłychanem, że współ-

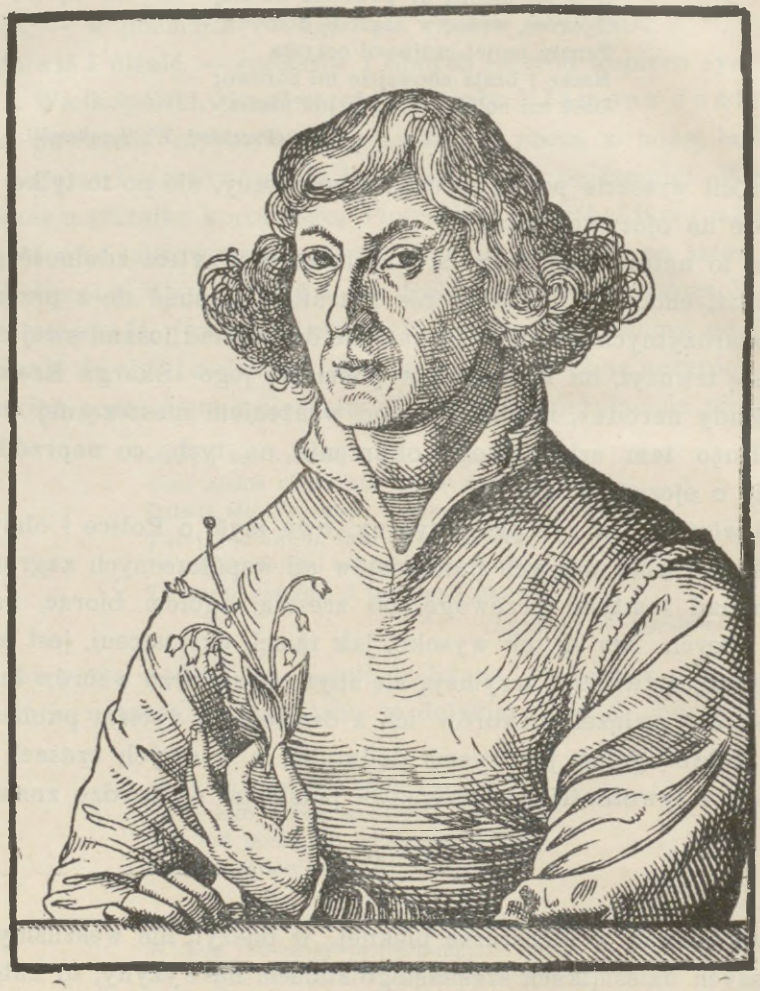

Fig. 22. Mikołaj Kopernik.

cześni przelękli go się po prostu, a znalazło się wielu, którzy poczęli zwalczać naukę Kopernika. Ale prawda ostatecznie zwyciężyła. Jak wobec tego odkrycia naszego uczonego zmienił się pogląd ludzi na świat, na stanowisko ziemi we wszechświecie, jak szeroka otworzyła się droga do nowych

odkryć astronomicznych — o tem zbytecznie mówić. Ale nowe te odkrycia nie były już niestety naszą zasługą, poczynili je Włosi i Niemcy.

Druga połowa wieku szesnastego. Literatura polityczna. Sto już lat blizko padają na grunt polski nasiona humanizmu; społeczeństwo, zaskoczone zrazu arcydziełami starożytnemi, rozczytuje się w nich obecnie coraz pilniej, zaczyna je coraz lepiej pojmować, coraz głębiej wnikać w myśli i poglądy poetów, mowców, polityków i filozofów rzymskich, a częściowo i greckich. Rozszerza się coraz bardziej widnokrąg współczesnych; po dobie niewolniczego naśladownictwa nadchodzi chwila, w której pisarze i poeci nasi, kochając zawsze starożytność, podziwiając ją nawet, nie zatracają już oryginalności, nie przestają być sobą.

W dobie, w której przekształcają się podstawy bytu państwa, w której jedni zyskują coraz to nowe przywileje, a drudzy tracą dawne swoje prawa, w której zjawia się nowa wiara, zdolna dokonać przewrotu także w ustroju państwowym (jak na zachodzie), musiała rozwinąć się najpierw literatura polityczna. Łatwo przewidzieć z góry, że jedni będą bronili zdobyczy szlacheckich, drudzy — sprawiedliwsi — wykazywać będą krzywdę upośledzonych, wskazywać środki zaradzenia złemu i podawać projekty reformy, że jedni będą zachwalali nową wiarę, drudzy zaś ujmą się za kościołem katolickim, i że przy takim sporze łatwo mogą wziąć górę namiętności.

Najczęściej dzieje się tak, że ci sami, których umysł zaprzątają zagadnienia polityczne, poruszają również sprawy religijne, łącząc je często z sobą. Przedstawicielami dwóch przeciwnych kierunków, bardzo zdolnymi, niepospolitymi nawet, są Modrzewski i Orzechowski.

Andrzej Frycz Modrzewski starszym jest od swego przeciwnika, urodził się bowiem w r. 1503., kiedy tamten w drugim dziesiątku szesnastego stulecia. W młodości już poznał dzieła starożytnych polityków, w młodości też zaznajomił się z naukami różnowierców i przejął się niemi. Po kilkuletniem podróżowaniu za granicami kraju powraca do Polski i występuje z szeregiem dziełek »O karze na mężobójstwo«, z których odrazu okazuje się, że ów szlachcic herbowy nie popłynął z prądem ogólnym, dążącym do wyniesienia stanu szlacheckiego na niekorzyść innych, lecz że nadewszystko ukochał sprawiedliwość, a obdarzony bystrym rozumem, przewidywał złe skutki, które mogą wyniknąć z krzywdzenia tysięcy. Krzywda ta zaś polegała na tem, że szlachcic za zabicie mieszczanina lub chłopa płacił karę pieniężną, nieszlachcic zaś za zabicie szlachcica ponosił

śmierć. Przeciwko tej krzyczącej niesprawiedliwości, uświęconej prawem, napisał Modrzewski cztery broszury, w których żądał jednego prawa dla wszystkich. Równocześnie zaś ujął się w innem dziele za mieszczanami, pokrzywdzonymi w inny znów sposób, bo sejmy odebrały im prawo nabywania i posiadania ziemi. Modrzewski nazywa zakaz ten wprost »niegodziwym i okrutnym«, wykazuje, że jest on tylko objawem karygodnej chciwości stanu szlacheckiego, przepowiada, że może kiedyś pomścić się na ojczyźnie, która dla jednych matką jest, a dla drugich macochą. Niestety, wołania jego nie odniosły wówczas skutku.

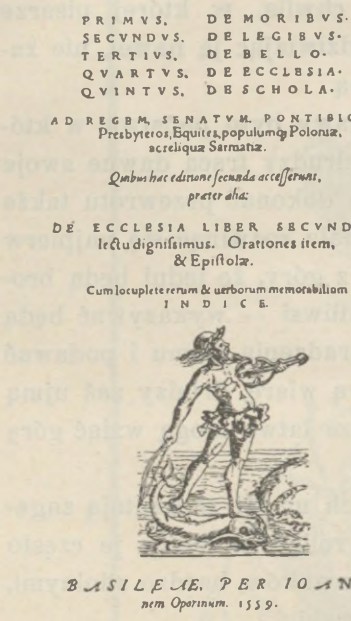
ANDREAE FRICII
Modreuij de Republica emen-
danda Libri quinque, recogniti
& aucti: Quorum

PRIMVS. DE MORIBVS.
SECVNDVS. DE LEGIBVS.
TERTIVS. DE BELLO.
QVARTVS. DE ECCLESIA.
QVINTVS. DE SCHOLA.

AD REGEM, SENATVM, PONTIFICES &
Presbyteros, Equites, populumq; Poloniæ,
accelique Sarmatiæ.

Quibus hac editione secunda accesserunt,
præter alia:

DE ECCLESIA LIBER SECVNDVS,
lectu dignissimus. Orationes item,
& Epistolæ.

Cum locupletete rerum & verborum memorabilium
INDICE.

BASILEAE, PER IOAN-
nem Oporinum. 1559.

Fig. 23. Karta tytułowa dzieła Modrzewskiego »O poprawie Rzeczypospolitej«.

Bez następstw też pozostały rady, wskazówki i przestrogi, wypowiedziane w innem dziele naszego autora, największem i najznakomitszem z wszystkiego, cokolwiek napisał, w dziele »O poprawie Rzeczypospolitej« (1551)[1]). Księga pierwsza »O obyczajach«, w której Modrzewski żąda dobrego przykładu z góry, nie wskazuje jeszcze na człowieka wyższego nad przesądy ogółu, ale zato księga druga i trzecia, »O prawach« i »O wojnie«, są najświetniejszym wyrazem przekonań postępowej części ogółu, a na Modrzewskiego każą nam patrzeć po wiekach z czcią i szacunkiem. Autor powraca w księdze o prawach raz jeszcze do kary za mężobójstwo i twierdzi, że »praw ten ma być warunek, aby wszystko ku uczciwości, a pospolitemu pożytkowi stanowiono tak, aby jednakie zapłaty cnotom, a zasie też jednakie karania złościom ustanowione były. A żadne wolności nie mają być tak wielce ważone, aby kto broniąc się niemi, miał karania uchodzić, albo niejedność karania odnosić«. Dzieje się jednak inaczej. Autor przytacza przykład taki. Dwóch ludzi, szlachcic i człowiek

[1]) Przekładu z łaciny na język polski dokonał Cypryan Bazylik w r. 1577.

»prostego stanu« pobili tak jednego szlachcica, który zresztą sam dał powód do bójki, że ten z ran odniesionych umarł. Zapytywany przed śmiercią, który z bijących zadał mu ranę śmiertelną, odpowiedział, że »oba mu zarówno byli ciężcy, iż zgoła nie wiedział, od którego z nich szkodliwsze rany podjął«. Mimo takie zeznanie, onego nieszlachcica ścięto, ale szlachcic równie winny »jeszcze żyje i mieszka między ludźmi«. »Izali dla Boga! — woła Modrzewski — ta sprawa nie jest takowa, która dwu Rzeczypospolitych potrzebuje dla tych dwojga rodzajów ludzi?«. Cóż to za państwo chrześcijańskie, w którem »dla jednej przyczyny jedne ścinają, a drugim folgują?«. »Nie trzeba się w tej Rzeczypospolitej, w której takie prawa panują, spodziewać onego końca, ku któremu ludzkie zgromadzenia bywają: aby wszyscy obywatele spokojnie, a szczęśliwie żyć mogli« — pisze z goryczą Modrzewski. Nie poprzestaje jednak na wykazaniu, jak niesprawiedliwą jest »różność praw i karania«, lecz idzie dalej i żąda odjęcia panu prawa sądzenia poddanego, a zaprowadzenia wspólnych praw i wspólnych sądów dla wszystkich. Żąda ustanowienia trybunału, wybieranego przez wszystkie stany. Dowodzeń równie mądrych i przekonywających nie brak i w trzeciej księdze »O wojnie«. Modrzewski rozróżnia wojnę godziwą, w obronie ojczyzny i wiary, od wojny złej, zaborczej. Do pierwszej radby każdej chwili widzieć gotową koronę polską; ale żeby wynik walki nie był wątpliwy, radzi zabezpieczyć ziemie ukrainne przed półksiężycem przez zakładanie na nich kolonii rycerskich, a w wojsku utrzymać ścisłą karność. A skoro na utrzymanie wojska trzeba pieniędzy, należy więc uporządkować skarb. W tym celu radzi Modrzewski zaprowadzić podatek przenośny, a oprócz tego podatek powszechny (dwadzieścia grzywien od stu dochodu), od którego wolnymi byliby tylko kmiecie. I znów ubolewać można tylko, że pomysł ten, jak zresztą i inne Modrzewskiego, nie wszedł w życie i nie zaradził częstym pustkom w skarbcu publicznym.

W trzy lata po ukazaniu się dzieła »O poprawie Rzeczypospolitej« wydrukował autor w Bazylei wydanie drugie, w którem dodał 2 księgi: o kościele i o szkole. Widać z nich, że Modrzewski, choć przychylający się ku protestantyzmowi, nie żywi jednak nienawiści ku katolikom, owszem marzy nawet o zjednoczeniu wszystkich wierzeń chrześcijańskich, o soborze, na którym wyrównałyby się wszystkie różnice. Z czasem zajmie Modrzewski stanowisko bardziej skrajne.

Poglądowi, myślom, projektom Modrzewskiego nie brakło zwolenni-

ków wśród współczesnych, ale niestety było ich za mało, by proponowane reformy wprowadzić w życie. A jednak można dziś śmiało powiedzieć, że gdyby w swoim czasie stały się rzeczywistością, inne losy przypadłyby w udziale Rzeczypospolitej polskiej. Boć w tych jego radach jest wszystko niemal: jest pierwszy krok ku zrównaniu stanów, jest prawodawstwo jednolite i opieka nad kmieciami, jest zabezpieczenie granic wschodnich Rzeczypospolitej, pełny skarb i karne wojsko, brak tylko reformy rządu, wówczas już potrzebnej i koniecznej. Niektóre myśli przejął Modrzewski od starożytnych, niektóre od dawniejszych polityków naszych (Ostroroga), ale najważniejsze i najdonioślejsze (jednolite prawo, powszechny podatek) są jego własnością i prawdziwą, wielką zasługą. To też znaczenie Modrzewskiego nie zamyka się w granicach Polski, jest ono europejskiem. Śmiałymi, opartymi na sprawiedliwości, a praktycznie pomyślanymi projektami wyprzedził on wielu, najznakomitszych nawet polityków europejskich, stał się dumą i chlubą naszej literatury politycznej w szesnastym wieku. Mieliśmy w tem stuleciu polityków o większym talencie pisarskim, ale nie mieliśmy mędrszych i głębszych.

Nie może się też mierzyć z Modrzewskim wspomniany już przeciwnik jego Stanisław Orzechowski, ksiądz i gorący obrońca katolicyzmu, a władający piórem tak świetnie, jak mało pisarzy naszych w XVI. wieku. Wsławiwszy się jako młody jeszcze człowiek »Turcykami« (1543), pismem zachęcającym do wojny z Turcyą, zajmował odtąd przez szereg lat opinię publiczną, tak swemi dziełami, jak też i własną osobą. W dziełach jego uderza przedewszystkiem brak stałości zasad. Raz bowiem narzeka na sejmy, wskazuje na ich daremność, na bezcelowe tygodniowe gadaniny, oburza się na szlachtę zato, że na włościan zwaliła wszelkie opłaty podatkowe, nie chciałby widzieć żadnej różnicy między szlachcicem, a nieszlachcicem, przestrzega przed niebezpieczeństwem płynącem z wolnego wyboru króla, a potem twierdzi i stara się udowodnić, że ustrój państwa polskiego, jego konstytucya, złota wolność szlachecka są czemś możliwie najlepszem, doskonałem, nie wymagającem najmniejszej zmiany. I tem różni się przedewszystkiem i zasadniczo od Modrzewskiego i tem go w opinii publicznej, której pochlebiał, zwycięża. Przez to działał szkodliwie, był hamulcem dla zbawiennych reform, podkopywał byt swej ojczyzny. A jednak ojczyznę tę kochał. W dziele »Quincunx albo wzór korony polskiej« (1564), woła z niekłamanem uczuciem bolu: »Byś serce moje rozkroił, nie nalazłbyś w niem nic innego, jedno to słowo: Zginiemy!... Przy-

puścili Pan Bóg na dzisiejszego Pana naszego śmierć, tysiące królów miasto jednego zarazem Polska mieć będzie... Już o śmierci jego myśląc, widzę na oko w Polsce rozerwaną radę, łupy kościelne, śmierci kapłańskie, złupienia domów, mordy i bitwy wnętrzne, spustoszenia pospolite; nakoniec koronę polską pływającą we krwi swojej domowej... Daj, miły Boże, śmierć pierwej!...« Kto tak pisał, ten złym Polakiem być nie mógł, ale mógł być i był zaślepionym. A był też i namiętnym, i dotknięty osobiście nie znał miary w oburzeniu, gotów zawsze do poświęcenia sprawy ogólnej dla sprawy prywatnej. Jako ksiądz pisze w obronie księży żonatych (były to czasy Lutra) i grozi, że sam również się ożeni. Biskupi ostrzegają przed surową karą, lecz izba poselska i senat staje po stronie Orzechowskiego. Wówczas biskupi, nie chcąc doprowadzać do zgorszenia, odkładają sprawę, zwłaszcza, że Orzechowski przyrzeka, iż bez zezwolenia papieża nie ożeni się. Przyrzeka i — żeni się! Podpada za to klątwie biskupiej lecz odwołuje się do Rzymu, a tymczasem, zanim



Fig. 24. Rycina z dzieła Orzechowskiego »Quincunx«, przedstawiająca Rzeczpospolitą, papieża i króla.

wyrok nadejdzie, zaprzątuje umysły wszystkich swą sprawą, pisze o niej bez ustanku, a papieżowi grozi, że jeśli sprawiedliwości nie uzyska (jak gdyby nie składał ślubów kapłańskich), to kościół polski oderwie od Rzymu. Dowodzi też, że pomiędzy katolicyzmem a szyzmą niema naprawdę różnicy. I kiedy tak karność kościelną łamie, a władzę duchowną poniża, puszcza jednocześnie w świat jedno dzieło po drugiem (Dyalog albo rozmowa, Quincunx, Policya Królestwa polskiego...), w których dowodzi, że władza świecka pochodzi od duchownej, że prymas stoi ponad królem, że biskupi powinni posiadać w sprawach kościelnych władzę sędziowską, że przyczyną wszystkiego złego w Królestwie są nowinki religijne i różnowiercy. »Chce nas Bóg zabić, bo my chcemy sami zginąć; nie chcemy się uznać, nie chcemy się kajać, nie chcemy Aryanów i Nestoryanów, bluźnierców od siebie precz wygnać, przeto chcemy dobrowolnie zginąć, duszę, ciało, króla i królestwo nakoniec stracić« — oto własne słowa Orzechowskiego. Dziwny człowiek! Wszystko się tam w jego głowie pomieści, wszystko sprzeczne pogodzi! Bo też niestałość, brak zasad niezłomnych, są zasadniczą cechą jego charakteru, obok tego zaś wysuwanie wszędzie na plan pierwszy swojego ja, to prywata nieszczęsna, przeciwko której piorunował w pismach swoich. Owo poczucie nadmierne własnej siły było znamieniem szlachty ówczesnej, ale u Orzechowskiego objawiło się ono w tak spotęgowanych kształtach, że przeszło wprost w namiętność. Ale też właśnie z tych względów jest Orzechowski wybornym wyobrazicielem tej poczynającej się już wówczas samowoli, a przytem tego wzburzenia powszechnego i zamieszania pojęć wśród szlachty, która równocześnie chłonęła w siebie poglądy polityków i filozofów starożytnych i hasła religijne płynące z Niemiec, a sama dobijała się władzy i wyrabiała w sobie przekonanie, że ona, a ojczyzna — to jedno. To też jeżeli Modrzewski jest sprawiedliwszym, mędrszym, głębszym, wytrawniejszym, to Orzechowski jest mimowolnie lepszym wyobrazicielem ducha swego czasu. Że obok tego jest świetnym stylistą w pismach tak łacińskich, jak polskich — o tem jużeśmy mówili.

Prócz dwóch wymienionych pisarzy politycznych byli i inni. Był n. p. Łukasz Górnicki, który w jednem z dzieł swoich (Droga do zupełnej wolności) zachwalał rządy możnowładcze, ale dzieła tego za życia nie wydrukował. Odradzili mu to właśnie możni panowie, obawiając się, by szlachta nie zaczęła patrzeć na nich podejrzliwem okiem. W innem piśmie (Rozmowa o elekcyi), również współcześnie nie ogłoszonem, wystąpił ostro

przeciw swawoli szlacheckiej, przeciw wadliwościom sądownictwa i nierówności karania, ale znaczenie główne Górnickiego nie na pismach politycznych polega. W literaturze polskiej jest on znany głównie jako autor Dworzanina polskiego (1566), dzieła pisanego wzorową, śliczną polszczyzną. Górnicki wprowadza czytelnika na pokoje biskupa Maciejowskiego i tu każe mu się przysłuchiwać rozmowie zebranej szlachty. A szlachta ta rozprawia o tem, jakim powinien być idealny dworzanin polski. Dowiadujemy się więc z tej rozmowy, jakie były obyczaje, zajęcia, zabawy, stan wiedzy najbardziej ukształconej warstwy społeczeństwa polskiego, dzieło bowiem Górnickiego, jakkolwiek przerobione z oryginału włoskiego, przykrojone jest do naszych potrzeb i naszych zwyczajów. To też tak ze względu na treść, jak i na zalety stylu i języka, Dworzanin polski należy do arcydzieł naszej literatury.

Poezya. Wówczas, kiedy literatura polityczna wydała już dzieło znakomite, szczyt wszystkiego, na cośmy się w szesnastym wieku zdobyli (mówimy o Modrzewskiego »O poprawie rzpltej«, 1551), poezya nasza humanistyczna w języku łacińskim po śmierci Krzyckiego, Dantyszka, Janickiego nie rozwijała się dalej, jakby czując, że rola jej już skończona i że odtąd, kto zechce być poetą polskim, musi nucić w języku ojczystym.

Ów zaś język ojczysty, wyrabiając się powoli lecz stale przez szereg wieków, począł już w pierwszej połowie tego stulecia stawać się językiem książkowym, chociaż — co prawda — wszystko, co w języku polskim pisano i drukowano, służyło wówczas jeszcze do praktycznego użytku. Najwięcej było przekładów: żywota i męki Chrystusa, żywotów Świętych, psalmów dawidowych, ale obok tego zjawiają się pieśni i rozmaite »rozmyślania« religijne oryginalne, a jest też i kilka książek treści świeckiej. Wszystko to wskazuje, że jest już wyraźna chęć pisania po polsku, że wśród społeczeństwa są tacy, którzy chcą czytać książki w języku ojczystym, słowem, że grunt jest już przygotowany, a trzeba tylko pisarza, któryby, nie oglądając się na przemożny zwyczaj, zaczął przemawiać do ogółu wyłącznie po polsku, a łacina będzie musiała ustąpić na plan drugi. I zjawia się taki pisarz, szlachcic samouk, postać typowa w XVI. wieku, imci pan

Mikołaj Rej z Nagłowic. Za młodu próżnuje pan Mikołaj, ochoty do książki niema, a choć nauk próbuje i w tej szkole i w owej,

jakoś mu to nie idzie. Nawet, gdy już ma lat 18 i gdy go chcą wysłać na dwór jakiegoś pana, aby się tam nieco »przetarł«, on, chcąc mieć uciechę, potnie czerwone sukno przeznaczone na kabat na drobne kawałki i poprzywiązuje wronom do ogona. Ale wreszcie rodzina umieści go na dworze wojewody Tęczyńskiego, a wówczas dwudziestoletni młodzieniec zawstydzi się okrutnie, widząc, że nic nie umie i że nie rozumie nawet, co mówią do niego — po łacinie. I z tego wstydu pocznie się uczyć, pracować nad sobą, aż wreszcie dojdzie do tego, że choć pisać po łacinie nie potrafi, to jednak wymiarkuje, o co tam w książce łacińskiej chodzi. A potem na dworze innego pana (hetmana Sieniawskiego), zaznajomi się z nauką różnowierców, posiadając zaś umysł łatwo zapalny, upodoba sobie w niej i odtąd głosić będzie zasady to protestanckie, to kalwińskie, będzie wpadał w sprzeczność (nie zdając sobie sam z tego sprawy), aż z czasem wyjdzie, mimo to wszystko, na podporę różnowierców w Polsce.

Pewności siebie doda mu, a mir u braci szlachty zapewni znaczny majątek. Wziął bo Rej niemało za żoną, dostawał nieskąpe podarki od magnatów i królów, a i sam gospodarzył wzorowo. Niejedno nawet miasteczko założył! Brać szlachta jednak nietylko szanowała pana Mikołaja, ale i lubiła niezmiernie, jako zawsze gotowego do hulanki i zabaw, jako człowieka towarzyskiego, wesołego a dowcipnego, a nadewszystko jako autora ciętych, a pełnych humoru wierszyków.

Rej bowiem za młodu już, choć nieuczony, czuł pociąg do pióra. Zaczął od przekładu psalmów, a potem wziął się do satyrycznych »rozmów« (dyalogów), które puszczał w świat bez oznaczenia ich swem imieniem. Wartość literacka tych jego pierwszych utworów była rozmaita, jednem jednak różniły się od dzieł innych poetów: wszystkie były pisane po polsku. Rej, jak o tem mówiliśmy, nie umiał dobrze po łacinie, ale językiem ojczystym posługiwał się nie bez świadomości, że robi dobrze, nie bez przekonania, że Polacy po polsku pisać powinni. W jednym z późniejszych wierszów powiedział wyraźnie:

»A niechaj narodowie wżdy postronni znają,
Iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają«.

W dyalogach satyrycznych nie ukrywał się Rej z niechęcią do duchowieństwa katolickiego, ale wytykał również wady szlachcie i urzędnikom, nie przepuszczał i kobietom. Nie wszystkie te »rozmowy« zachowały się w całości, niektóre zaginęły zupełnie i dziś znane nam są tylko z tytułów.

Pierwszym takim utworem satyrycznym była »Krótka rozprawa między trzema osobami: Panem, Wójtem i Plebanem« (1543). Dostało się w niej księżom i panom. I pan i wójt ganią księdza. Skargi zaczyna pan:

»Miły wójcie! cóż się dzieje,
Aboć się ten ksiądz z nas śmieje!
Mało śpiewa, wszytko [1]) dzwoni,
Msza nie była jako łoni... [2])
Jutrzniej, tej nigdy nie słychać —
Podobno musi zasypiać...«



Fig. 25. Mikołaj Rej z Nagłowic.

i tak dalej w tym samym tonie. Wójt w dysputę wdawać się nie myśli. Cóż on wie? — to ma »za wszytko zdrowie«, co usłyszy od księdza na kazaniu, a tam dowiaduje się:

»Iż, gdy wydam dziesięcinę,
Bych był nagorszy, nie zginę,
A damli dobrą kolędę,
Że z nogami w niebie będę...«

Pleban jednak broni księży:

»A iż się jeden obierze,
Iż wykroczy w swojej mierze,
A cóż owi drudzy krzywi,
Którzy są poczciwie żywi?«

Wyjątki więc winny, a po wyjątkach nie należy sądzić ogółu. Czy zresztą w świeckim stanie dzieje się lepiej? Kto więcej grzeszy: zaniedbujący się ksiądz, czy przedajny sędzia? A posłowie jak spełniają swe obowiązki?

»Każdy na swe skrzydło goni;
Pewnie pospolitej rzeczy
Żadny tam nie ma na pieczy«.

Słucha tego wszystkiego wójt, ale zachowuje się wobec tych swarów pana z plebanem obojętnie.

---

[1]) wszystko, tu w znaczeniu: wciąż, ustawicznie — [2]) zeszłego roku.

»Ksiądz pana wini, pan księdza,
A nam prostym zewsząd nędza«,

bo tamci się pogodzą,

»Ale nam chudym prostakom
Zewsząd cierpieć nieborakom«.

Rys to sympatyczny u Reja, że ujął się za niewesołą dolą kmieci gdy współcześnie znaleźli się inni, którzy szydzili z »leniwych chłopów«. Zgadzamy się z nim też zupełnie w tem, co pisze o zbytku, strojach, wystawnych ucztach, pijaństwie, jak i w tem, że szczęście tylko w cnocie znaleźć można.

Nie o wyszydzenie więc wad wyłącznie chodziło Rejowi w tym utworze, ale o moralizowanie raczej, o danie nauki swemu społeczeństwu. To samo znajdujemy i w innych »rozmowach« Reja, taki też cel jest dramatu naszego autora »Żywot Józefa« (1545).

Dotychczas nie mieliśmy dramatu w polskiej literaturze. Były »dyalogi pobożne«, przedstawiające Mękę lub Zmartwychwstanie Pańskie, ale drukiem ich nie ogłaszano; były to zresztą raczej rozmowy i sceny, łączące się z sobą bardzo wolno, pozbawione wewnętrznego węzła, któryby spajał je w całość jednolitą. Niema takiego węzła i w Żywocie Józefa, ale w każdym razie widnieje tam myśl przewodnia: krzywda poniesiona bez winy musi być wynagrodzona. Pomysł do dramatu wziął poeta od humanisty holenderskiego (Crocusa), ale przeprowadził go w swój sposób, a w budowie upodobnił do dawnych dyalogów pobożnych, bo dzieje Józefa od zaprzedania w niewolę do chwili, kiedy kłaniają mu się bracia i rodzice, przedstawił aż w 12 »sprawach«. Na scenę nie był dramat Reja przeznaczony.

Podobnie jak przy Żywocie, tak samo przejął Rej pomysł i wiele szczegółów od obcego pisarza przy innym również poemacie, najobszerniejszym, jaki kiedykolwiek napisał, p. t. »Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego« (1558). Ale i tu wzorem łacińskim nie krępował się zbytnio, a utwór zapełnił bardzo licznymi obrazami z życia polskiego. Ciekawy to poemat, choć treść jego tego rodzaju, że dziś żaden poeta nie podjąłby się opracowania jej w formie poetycznej. Oto młodzieniec, jeden z uczniów starożytnego Ipokratesa, »słysząc upominanie, które mu się dobrze podobało, (iż) nie zdało mu się jeszcze dosyć na tym, szedł niedaleko do drugiego filozofa, którego zwano Diogenes, prosząc, aby mu to szyrzy rozwiódł«, poczem od Diogenesa udał się do Epikura, od Epikura do Ana-

xagorasa i t. d. Zabłądził aż do piekła, zajrzał i do raju, szukając ciągle mądrości i prawdy, aż wreszcie spotkał Arystotelesa, który dopiero pouczył młodzieńca, jak ma żyć poczciwie. »A tak pod figurą tego to młodzieńca — pisze Rej — każdy się z nas tak tułać a tak się pytać powinien o powinności swojej cnotliwej, aby nie żył jako ine nieme zwierze i nie tracił sobie marnie wezwania i błogosławieństwa swego«.

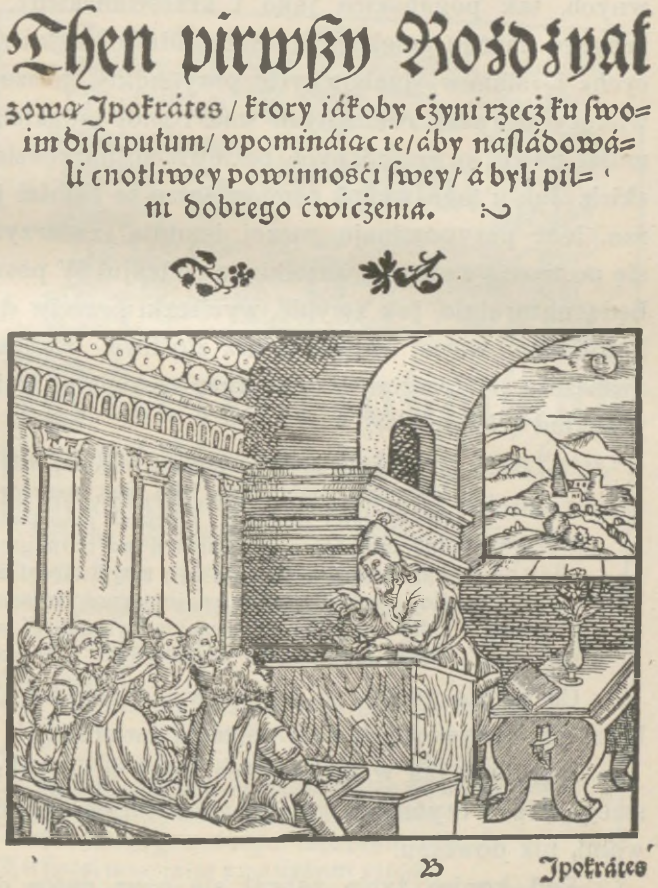

Fig. 26. Podobizna początku I-go rozdziału dzieła Reja »Wizerunek żywota człowieka poczciwego« (1558). (Rycina przedstawia Ipokratesa z uczniami).

A więc i w tym poemacie cel wyraźnie moralizatorski, ale tem wyższy utwór ten od poprzednich, że choć wyobraźni w nim mało, to forma jego jest już znacznie poprawniejsza, niż w dawniejszych.

»Uważajże ty z młodu [szkody i pożytki,
Jako masz w sobie skromić [niepotrzebne zbytki,
Bo jako się ty koła wolno [rozbiegają,
Już więc potem, wściąga- [jąc, uzdy nie targają,
Bo powiadają, z młodu że [się ostrzy tarnek,
A z nowotku po brzęku po- [znawają garnek...«

Widzimy, że wiersz płynie tu zupełnie gładko i potoczysto, jak u Reja jeszcze nie bywało.

Nie można tego powiedzieć o rymie i rytmie w innem dziele poetyckiem Reja »Zwierzyńcu« (1562). Autor musiał się tu łamać z trudnościami, bo księga cała składa się z samych tylko ośmiowierszowych całostek (epigramatów), a w ośmiu wierszach trudno powiedzieć wszystko, coby się

chciało, czy o jakiejś sprawie, osobie, czy rzeczy. To też dzieje się często tak, że albo myśl nie wyraża się należycie, albo forma kuleje. Posiłkując się i tutaj obcymi wzorami, przedstawił Rej kolejno w czterech rozdziałach »sprawy i postępki pamięci godne onych królów i inych stanów sławnych, tak pogańskich jako i krześciańskich«, »stany i domy niektóre zacnego narodu polskiego«, »przypadki osób ku sprawom świeckim należących« i »stanów duchownych przypadki«, poczem dał w szeregu ośmiowierszy obrazki rozmaitych wad i cnót ludzkich, a na ostatku nie zapomniał nawet o przeróżnych budowlach, narzędziach i sprzętach gospodarskich. Jak z tego widać, ośmiowiersze te całości jakiejś jednolitej nie tworzą, lecz przypominają raczej istotnie »zwierzyniec«, w którym znajdzie się po troszę zwierząt wszelkiego rodzaju. W poszczególnych epigramatach będą naturalnie, jak zwykle, wycieczki przeciw duchowieństwu i obrzędom katolickim, więcej rubaszne niż złośliwe. Rubaszności wogóle nie brak, zwłaszcza w trzecim i czwartym rozdziale Zwierzyńca. Oto choć jeden przykład (Na opilce):

»Cóż wżdy masz w tym za rozkosz, mój namilszy bracie,
Wszytkim śmierdzisz, jako pies, wszyscy patrzą na cię!
Oczyć, nogi zapuchły, a brzuch jako pudło,
Już chodzisz z taraskiem[1]), już na nogach szczudło.
I mnimasz, abyś żyw był, a tyś zdechł na poły,
Gdy owe wdzięczne swoje rozpuścisz sokoły.(?)
Zdać się, abyś wdzięcznym był, kiedyć w gardło leją,
Wierz mi, iż ci się z ciebie, jako z błazna śmieją!...«

Co godne uwagi, to to, że w Zwierzyńcu spotykamy także »bajki«, ludzi przedstawionych pod postacią zwierząt.

Podobnie jak w Zwierzyńcu, tak i w »Figlikach« Reja, bardzo chętnie swego czasu czytanych, więcej rubaszności, humoru nie liczącego się z słowami, niż dowcipu.

Pod koniec życia zabrał się nasz autor do wielkiego dzieła prozą, w którem chciał dać naukę i wzór swemu społeczeństwu, jak żyć i postępować powinno, ogłosił je zaś drukiem dwa lata przed śmiercią (1567) p. t. »Żywot człowieka poczciwego«. Czy każdego człowieka, byleby był poczciwym? Nie, tylko szlachcica stanu rycerskiego. Dla Reja bowiem ideałem był szlachcic ziemianin, który mógł wprawdzie za młodu podróżować, być na dworze i służyć wojskowo, ale w dojrzałym wieku musiał osiąść na roli i gospodarstwem się »parać«. Skąd wziął ideał takiego szlachcica? Po

[1]) Tarasek = daszek, zasłona, tu: daszek nad oczyma.

prostu z otoczenia, z wspomnień własnego żywota, po odrzuceniu z nich tego, co mu się nie wydało godnem pochwały. Kreśląc więc młodość »dzieciątka« szlacheckiego, nie każe go zbyt wcześnie oddawać do szkoły, »bo wżdy... i lepszy wczas w swem młodem wychowaniu mieć może i wżdy z onymi sprosnymi chłopięty szkolnymi pospołu róść nie będzie«. Lepiej niech słucha w domu rodziców i nauczyciela, a i później, gdy podrośnie, »niechże go z młodu nie bawią owemi gramatykami, logikami, arytmetykami, boć to i na stare przytrudniejszem«, ale niech chłopię takie (jak sam autor na dworze Tęczyńskiego) czyta »historye onych zacnych pierwszych ludzi«, a obok tego niech nauczy się i »konika osieść i jako sobie na nim poigrać« i »poszermować i poskakać i na luteńce pograć«. Młodość wygodna i przyjemna, ale jakie będą owoce z niej w latach dojrzałych? I na to jest rada. Niech młody człowiek jedzie za granicę i tam uczy się, patrząc i słuchając, niech potem ogładzi się do reszty na dworze możnego pana. »A jeśliby cię też w stan rycerski, albo też żołnierski myśl wiodła, wierz mi, iż tambyś się nie prawie źle udał, bo tam znajdziesz i dworstwo i to-


Zwierziniec

W ktorym rozmáitich stanow ludzi/ zwirzath/ y ptakow/ kstałty/ przypadki/ y obyczáye/ są własnie wypisáne. A zwłaszczá ku czásom dzisieyszym nászym nieiáko przypadáiące. Ná rok od národzenia Páńskyego

1562.

NIechże cie nic nie rusza/ moy namilszy brácie/
Jesliby co nie k mysli/ też przypádło ná cie.
Bo mi iednák łácniey s swym/ niż drażnić obcego/
Wszák ia thu nie wspominam/ co mi nic do thego.
Jedno ia tu ná pámięć/ swe dilekty licze/
Co im wszego dobrego/ iáko sobie życze.
A iż sie też wtaczáia/ y postronne rzeczy/
Radbych by sie s cudzych spraw/ miał káżdy ná pieczy.
Napowinnieyszy przyiaciel prawdá.
Trenorum iij.

Fig. 27. Karta tytułowa dzieła Reja »Zwierzyniec« (1562.).

warzystwo i ćwiczenie, a snać mało nie potrzebniejsze niźli u dworu«. Ale potem czas ci wracać, bracie, na rolę ojcowską, »wziąć żonkę poczciwą, a w bojaźni bożej wyćwiczoną« i gospodarzyć pilnie, choć nie frasownie, bo co komu z frasunku. »Azaż nie lepiej z żonką a urzędniczkiem, rano wstawszy, nadobnie namówić, czasy i przypadki ich rozważyć, a co potrzebniejszego wedle czasu rozmyślnie postanowić, czeladkę nadobnie rozprawić, każdemu, czego ma być pilen z powinności swej poruczyć, każdego nauczyć, czemuby sam sprostać do końca nie umiał«. Wtedy gospodarz »i sam się nie ufrasuje« i »smaczniej zje i wszytko mu przyjdzie, jak powiadają, by wianki wił«. Wogóle nie natężać się nigdy zbytecznie, używać, boć na to są dary boże, ale używać w miarę i z myślą o Bogu. Cóż przyjemniejszego dla »poczciwego« ziemianina jak wczesne lato? »Ano młode masłka, sereczki nastaną; ano kurki gmerzą, ano gąski gęgają, ano jagniątka wrzeszczą, ano prosiątka biegają, ano rybki skaczą; tylko sobie mówić: Używaj, miła duszo, masz wszytkiego dobrego dosyć! — a wszakoż z bojaźnią Bożą, a z wiernem dziękowaniem Jemu«. Najwięcej zaś pamiętać należy o Bogu na stare lata, kiedy już śmierć blizka i rachunek trzeba będzie zdać z całego żywota.

Czy ów człowiek »poczciwy«, którego nam Rej przedstawił, może być rzeczywiście wzorem? Chyba nie, bo choć jest poczciwym istotnie, choć ani Bogu, ani ludziom krzywdy nie czyni, a u siebie rządzi się dobrze, to przecież celem jego głównym jest użycie, a wszelkiego wysiłku, wszelkiego napięcia woli i myśli lęka się, jakby czegoś przeciwnego naturze ludzkiej. Ale właśnie dlatego też, że dzieło Reja nie przedstawia ideału, ale rzeczywistego szlachcica z szesnastego wieku z jego zaletami i wadami, posiada ono dla nas wartość pierwszorzędną. Na podstawie książki tej możemy sobie odtworzyć dziś żywot, upodobania, sposób myślenia przeciętnego ziemianina polskiego z czasów Zygmunta Augusta, a w znacznej mierze wizerunek samego Reja. Natura polska znalazła w »Żywocie« tym tak wierne odbicie, jak mało w którem z dzieł w naszej literaturze, a w żadnem z tych, które wydał wiek szesnasty.

Do Żywota dołączył autor też utwory wierszowane. Z tych zasługuje na szczególną uwagę »Przemowa krótka do poczciwego Polaka stanu rycerskiego«, nigdzie bowiem nie wypowiedział Rej tylu mądrych myśli, nigdzie nie osądził tak ostro naszych praw pajęczych, »z których się bąk wybije, a uwięźnie mucha«, naszej lekkomyślności, która przeszkadzała nam zabezpieczyć się przed sąsiadami, naszej bezradności wobec pustek

w skarbie publicznym. Inne mniej ważne utwory Reja pomijamy milczeniem, zaznaczyć tylko wypada, że ogromnie poczytną swego czasu była jego »Postylla polska« (wykład ewangelii w duchu kalwińskim) i Apokalipsa św. Jana (również dowolnie objaśniona).

Jakże wypadnie sąd ogólny o tym pisarzu-ziemianinie, jakie będą jego zasługi wobec polskiej literatury? Powiedzmy od razu — niepospolite. A największa ta, że on pierwszy począł pisać wyłącznie po polsku i od

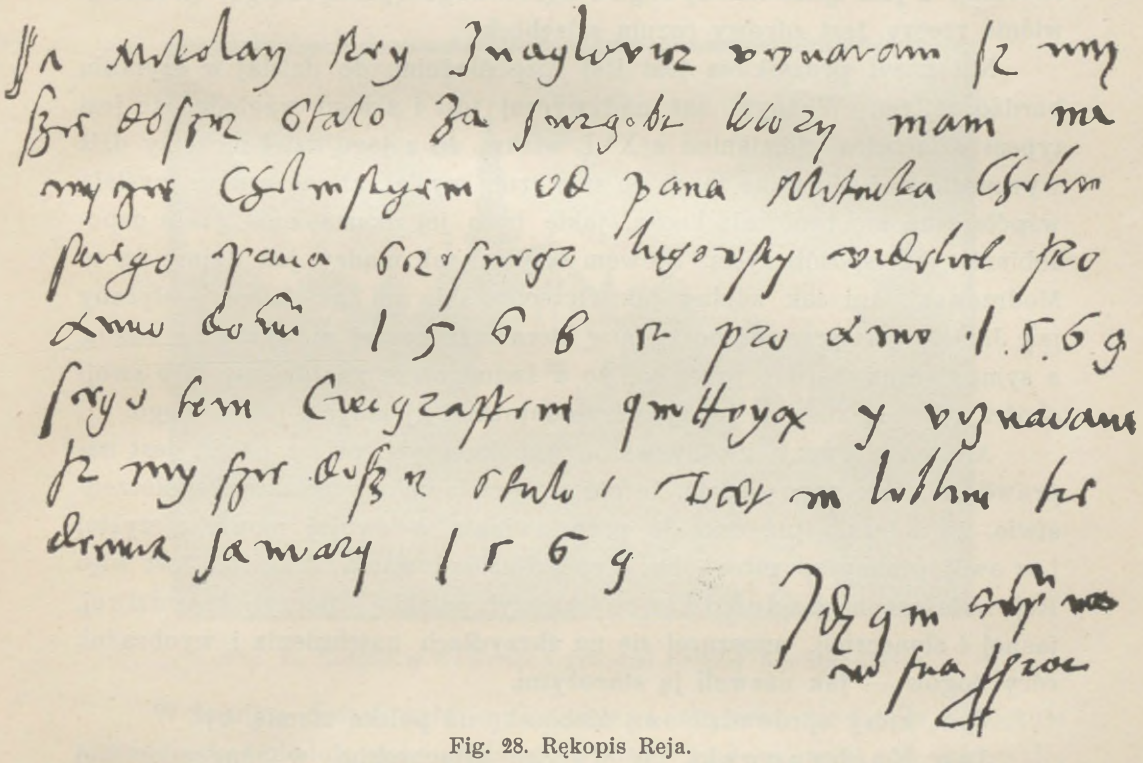

Fig. 28. Rękopis Reja.

razu zrobił wyłom w dotychczasowej zasadzie, iż w języku ojczystym można nucić pieśni nabożne, można pisać »O ziołach i mocy ich« lub »O puszczaniu krwi«, słowem książki przeznaczone do praktycznego użytku, ale nie podobna stworzyć obszernego poematu, prawdziwego dzieła literackiego. On powiedział sobie, że to przesąd i przeciwko temu przesądowi walczył. Ale nie dość na tem, że pisał po polsku, on pisał wiele, a do literatury polskiej wprowadził nowe rodzaje poetyckie; pisał zaś w sposób inny, niż jego poprzednicy, nie stosował się do przyjętych sposobów wyrażania myśli. Humanizm pozostawił na jego dziełach ślady raczej zewnętrzne niż istotne;

z utworów humanistycznych brał pomysły do swoich, przytaczał wiele imion bohaterów i mędrców starożytnych, ale nie bawił się na wzór humanistów w krasomówstwo, pojęcia starożytnych o pięknie nie przyswoił sobie bynajmniej.

Czy był wielkim poetą? Bez wahania możemy powiedzieć, że nie, i to nie tylko dlatego, iż widoczne u niego braki w formie, ale przedewszystkiem wskutek tego, że niema u niego natchnienia, niema silnej wyobraźni twórczej, a jest tylko dar żywego i obrazowego (plastycznego) przedstawienia rzeczy, jest zdrowy rozum szlachecki.

Natomiast prozaikiem jest Rej niepoślednim, do dzisiaj w czytaniu bardzo miłym. Ważnym zaś nadzwyczaj jest i z tego względu, że jest typem szlachcica ziemianina z XVI. wieku, że z jego dzieł możemy dziś wywnioskować nie tylko to, co on sam czuł i myślał, ale co czuła i myślała współczesna mu brać szlachecka, jakie było jej ukształcenie, jakie usposobienie, jaki sposób życia. Słowem Rej ani tak mądry, jak dajmy na to Modrzewski, ani tak zdolny jak Orzechowski, ani taki talent poetyczny jak Janicki, jest przecież postacią w literaturze naszej niesłychanie ważną, a sympatyczną bardzo przez to, że u żadnego nie znajdziemy tyle swojskości, tyle polskości w jej rysach dodatnich i ujemnych, jak u niego.

Ale ten pierwszy, głośny wśród współczesnych pisarz polski, jest naprawdę dopiero zapowiedzią, że coś się przełamało w polskiem społeczeństwie, że dojrzało już ono do przemawiania w swojej mowie ojczystej i w swój własny sposób — bez ślepego naśladowania drugich. Jest więc Rej zwiastunem nadchodzącej poezyi polskiej, poezyi prawdziwej, jasnej i słonecznej, unoszącej się na skrzydłach natchnienia i wyobraźni, córy bogów — jak nazwali ją starożytni.

Tym, który sprowadził ową niebiankę na polską ziemię, był

Jan Kochanowski. W dworku szlacheckim, w sandomierskiej stronie, ujrzał światło dzienne (1530) przyszły śpiewak »Trenów«, a wioska, w której się urodził, zwała się Sycyna. Jako czternastoletnie chłopię zapisał się na wszechnicę Jagiellońską, a potem podążył jak Janicki w dalekie krainy południowe, do Wenecyi i Padwy, aby kształcić się dalej i poznać na miejscu skarby literatury starożytnej. Przebywał więc za młodu szkołę dobrą, nie tak, jak Rej, który w wieku młodzieńczym niechętnie wdawał się z »oślą skórą« (pergaminem). Tam już pod włoskiem niebem począł Kochanowski pod wpływem otoczenia pisać pieśni, przeważnie miłosne, ale głównie w mowie obcej jeszcze — łacińskiej, na wzór poetów staroży-

tnych. Dopiero w Paryżu, dokąd poeta podążył z Padwy, zacznie coraz więcej pisać po polsku. Stanie się to po części pod wpływem francuskiego poety Ronsarda, który w utworach swoich odzywał się wyłącznie tylko w rodzinnym języku, twierdząc, »że to zbrodnia zaniedbywać swój język żywy i kwitnący, a odgrzebywać Bóg wie jakie popioły«. Za głosem jego i przykładem poszedł i nasz poeta, a choć zupełnie łaciny nie zaniedbał, to jednak posługiwał się nią odtąd tylko przygodnie. Z Paryża odwołała go do ojczyzny śmierć matki — ojca stracił już dawniej.



Fig. 29. Kościół w Zwoleniu z grobami rodziny Kochanowskich.

W spadku dostał połowę Czarnolasu, ale wieś nie nęciła widocznie dwudziestoośmio-letniego młodzieńca, kiedy nad uprawę roli ojcowskiej przeniósł życie na wielkim świecie, wstępując na dwór — zrazu magnata polskiego Jana Firleja, a potem króla Zygmunta Augusta. I trzeba było dopiero rozczarowań i zawodów, ażeby poeta po kilkuletnim pobycie na pańskich pokojach zapragnął ciszy wiejskiej i swobody niczem nie krępowanej, choćby na »małej roli przy źródlanej wodzie«.

Nim jednak do tego przyszło, Kochanowski dostawszy się w wir życia politycznego, zaskoczony wprost mnóstwem haseł politycznych, społecznych i religijnych, które w owych czasach padały ze stron rozmaitych i które stworzyły tak bujną literaturę polityczną, musiał zapoznać się z niemi, treść

ich roztrząsnąć, zapytać się w duszy, gdzie prawda i gdzie zbawienie ojczyzny. A był wówczas podkanclerzym koronnym niejaki Piotr Myszkowski, człowiek rozumny a sprytny, który poznał się na niezwykłym talencie młodego dziedzica Czarnolasu, więc też zaopiekował się nim gorliwie i starał się nagiąć do własnych zapatrywań, ażeby mieć w poecie podporę i obrońcę swoich zasad. Tak się też stało. Jedno z pierwszych pism politycznych Kochanowskiego, przybrane w kształt poematu, p. t. »Satyr«,[1]) było jakoby odbiciem przekonań Myszkowskiego, bo w głównych punktach zgadzało się z mową, którą podkanclerzy wygłosił na sejmie w r. 1563. Widać jednak z tego utworu, że poeta rozpatrzył się już przez czas pobytu w Polsce w położeniu politycznem swego kraju, że poznał już niebezpieczeństwa grożące ojczyźnie, poznał wady swoich ziomków i wady w ustroju państwowym i że pomyślał także o środkach zaradczych. Bolało go to nadewszystko, że Polacy zaczęli już w tych czasach zapominać rycerskiego rzemiosła, a o swoich wygodach myśleli więcej, niż o dobru ogólnem. Przodkowie mniej dbali o dostatki,

»Jednak ze swojem męstwem wielkie państwa brali
I bogatym książętom prawo ustawiali«.

A dziś co? Przed Tatarami nie potrafią się Polacy obronić, Moskalom pozwolili zabrać Połock. Obecne milczenie potęgi tureckiej to jakby cisza przed burzą, a nie należy zapominać o jeszcze jednym nieprzyjacielu:

»Tego tam nie wiem, jaką przyjaźń z Niemcy macie,
Albo jako daleko sobie dziś ufacie?
To tylko znam, że na was pilne oko mają
I co rok, to się pod was bliżej podsadzają«.

A Polacy tymczasem cóż robią? — gromadzą bogactwa... I żeby choć były tego jakie ślady, żeby naprawdę rośli w dostatki. Gdzie tam! Co zbiorą, to pożera najgorszy z wrogów, bo domowy, a na imię mu zbytek..

»... który jako morze
Wszystko pożre, byś mu tkał, nie wiem jako sporze.
Mało mu na jeden raz wszystkie roczne snopy,
Zje on, kiedy zasiędzie, grunt zaraz i z chłopy,
Na ostatek i pana; taki to gość w domu!
Aby miał zginąć, nie chce ustąpić nikomu.
Da kto pięćdziesiąt potraw, da on tyle troje;
Ty go upoisz, a on i woźnice twoje!«

[1]) Satyr był to bóg leśny u starożytnych. Poeta tak rzecz przedstawia, jakoby satyr taki, wypłoszony z lasu rąbaniem drzew na sprzedaż, skarżył się na smutne czasy dzisiejsze.

Tak to żyje się nad stan, potem zaciąga się długi, a potem — traci się ojcowiznę. Zabiera ją wierzyciel.

A one spory religijne czyż mogą przynieść co dobrego? Poeta radzi ustami satyra, ażeby rozstrzygnięcie ich pozostawić soborowi powszechnemu; on sam nie chce zgłębiać tajemnic bożych, a co przyrzekł na chrzcie, tego dotrzyma, choćby mu »miała spaść głowa«.



Fig. 30. Podobizna okładki »Satyra« Kochanowskiego.

A owe coraz liczniejsze procesy, a owe rozwlekłe a bezskuteczne obrady sejmowe? Czyż to wszystko nie oznaki psucia się społeczeństwa i nie zapowiedź rozstroju? Nie należy jednak rąk załamywać, ani opuszczać ich, ale szukać ratunku. Gdzie? — u podwalin! Zacząć od przyszłości narodu, od młodzieży, zreformować akademię i kształcić młódź w domu. Niech nie psuje się za granicą, niech nie zaprawia się do innych stosunków, ale niech zawczasu nawyka do tych praw i urządzeń, wśród których przyjdzie jej żyć i działać.

Czyż trzeba dodawać, że uwagi te roztropne, a rady zbawienne, że poecie, choć piszącemu pod wpływem Myszkowskiego, nawet i polityk musiał przyznać umysł bystry i sąd trafny? A czy trzeba zwracać uwagę na to, że język Kochanowskiego w Satyrze pozostawił daleko za sobą wierszowaną mowę Reja, choć nie zabłysnął jeszcze wszystkiemi późniejszemi

pięknościami? Nic dziwnego, że poeta zwrócił utworem tym powszechną na siebie uwagę i że odtąd ze słowem jego poczęto się liczyć.

Być może nawet, że »Satyr« i inny podobny treścią utwór p. t. »Zgoda« skłoniły króla do zamianowania Kochanowskiego jednym ze swych sekretarzy, a Myszkowskiego do ofiarowania poecie dochodów z probostwa poznańskiego. Teraz to oddał się Kochanowski ze swobodą twórczości poetyckiej. Pisał utwory krótsze i obszerniejsze, po polsku, a od czasu do czasu i po łacinie, tworzył fraszki wesołe i tęskne pieśni miłosne, przerabiał poemat łaciński Włocha Vidy »Szachy«, ale nie zapominał też o sprawach ważniejszych. Przypominały się one zresztą same. Oto zbliżał się sejm lubelski, na którym miało być zaprzysiężone połączenie Polski z Litwą (1569), oto dążył już ku Lublinowi i książe pruski, Albrecht, ażeby złożyć hołd królowi polskiemu i ślubować mu wierność. Chwila w dziejach Polski niesłychanie ważna, wszystkie umysły były nią poruszone, zjeżdżała się też szlachta do Lublina gwarnie i tłumnie z najdalszych dziedzin państwa polskiego. Przyjechał też, jak się zdaje, na tę uroczystość i Kochanowski, a dumą musiało wezbrać serce jego na widok, jak książe pruski klęcząc składał hołd potomkowi Jagiełły. Postanowił uczcić zdarzenie to rymem i napisał obszerny poemat p. t. »Proporzec albo hołd pruski«. Proporzec ów — to chorągiew, którą książe Albrecht miał po złożeniu przysięgi otrzymać od króla polskiego. Były na niej wymalowane z jednej strony wędrówki plemion słowiańskich, z drugiej zaś wszystkie bitwy i walki Polski z zakonem krzyżowym, a między niemi straszliwy pogrom grunwaldzki.

Ale oto zaczyna się uroczystość. »W zacnym ubiorze i w złotej koronie« zasiadł już król polski wśród senatorów i rycerstwa.

»Przystąp, Olbrachcie młody, zacnych książąt plemię,
Który trzymasz w swej władzy piękną pruską ziemię
Z łaski cnych królów polskich; uczyń panu swemu
Winną poczciwość...
A już więc syn książęcy upadł na kolana
I wyznał swe poddaństwo i zwierzchnego pana,
Obiecując na swą cześć k'temu znać się wiecznie,
A wiarę panu swemu zachować statecznie.
Zatem mu jest do ręki proporzec podany,
Kosztownemi farbami wszystek malowany,
Wielki, świetny, ozdobny, jaki za lat dawnych
W żadnym szyku nie był znan, ani w bitwach sławnych.
Ten jako skoro z drzewa swego był spuszczony,
A potem wzgórę na wiatr wolny wyniesiony,
Okazały się na nim rozliczne narody,
Króle, wojska, hetmany, rzeki, miasta, grody«.

Gdy proporzec ten, opisany teraz szczegółowo przez poetę, wziął do ręki książe Albrecht, uderzono natychmiast »w trąby i w głośne bębny«, a zarazem i »strzelbę ogromną puszczono« — poczem ruszyli wszyscy z miejsc za przykładem królewskim. »Ostatek dnia biesiady sobie przywłaszczyły«, ale król polski nie o ucztach myślał, on

»... pilnie szukał rady,
Jakoby przywiódł w jedność dwa wielkie narody,
Życząc Litwie i Polsce wiekuistej zgody«.

Nie wiemy napewno, czy Kochanowski pisał Proporzec jeszcze na dworze królewskim, czy już po przeniesieniu się do Czarnolasu. W tym bowiem czasie, około r. 1569., poeta doznawszy — jak już wspomnieliśmy — przykrości i rozczarowań, nieznanych nam zresztą bliżej, opuścił stolicę, jakkolwiek wstrzymywany przez opiekuna swego, Myszkowskiego. Tłómaczył się, że zatęsknił za spokojnem życiem wiejskiem, że chce zdala od gwaru wielkomiejskiego rozmyślać nad cudownem urządzeniem bożego świata — ot woła go ku sobie zieleń pól, wołają lasy i bory i niebo zasiane gwiazdami.

»Przeto ty tęskniącego za wczasy wiejskiemi
Nie wstrzymuj, o Myszkowski, rady życzliwemi.
. . . . . .
Nic wielkiego nie pragnę, w kochanej swobodzie
Z małej roli wyżyję przy źródlanej wodzie.
Złota chciwi niech w wnętrze ziemi się zakopią,
Niech ku krajom Indyjskim po morzach się topią.
Ja niech śledzę w przyczynach ten świat niezmierzony
I tor gwiazdom wędrownym wiecznie naznaczony.
. . . . . .
Czemu księżyc zakrytą lub pełną twarz nosi?
Co gasi wielkie światła na niebieskiej osi?
Co miota łyszczącymi piorunami z góry?
Skąd obłoki i czemu gradem sieją chmury?
. . . . . .
Jaka moc ziemią trzęsie, morską ciszę zrywa?
Skąd krynicom i rzekom wiecznie woda spływa.

To — dodaje poeta — będzie »dni moich zabawą«, nad tem będzie on teraz rozmyślał.

Osiadł więc w Czarnolesiu, gospodarował z zapałem, rad niezmiernie, że nie musi już »zważać na skinienie czyjeś«, przesiadywał pod cienistą lipą przed dworkiem, zastanawiał się nad życiem, nad jego wartością, i doszedł do przekonania, że szczęścia nie da ani bogactwo, ani przepych, ani

dostojeństwa, bo to wszystko rzeczy niepewne, znikome. Na świecie niema nic statecznego, wszystko mija i zmienia się,

»Bo czas nie da trwać żadnej rzeczy w jednej mierze,
A jako wszystko niesie, tak zaś wszystko bierze.
Widziałem ja po razu piękny kwiat przyjemny;
A widziałem zaś wieczór zwiędły i nikczemny;
I drzewa, które teraz odziały się w liście,
Złupi z tego ubioru mroźnej zimy przyjście«.

Tak samo też mija młodość i życie ludzkie; nie zawsze

»Róża kwitnie i lelija,
Nie zawżdy człek będzie młody,
Ani tej, co dziś urody«.

A w innym wierszu żali się poeta:

»Jeleniom nowe rogi wyrastają,
Nam, gdy raz młodość minie,
Już na wiek wiekom ginie,
A zawsze gorsze lata przypadają«.

To też trzeba korzystać z obecnego czasu, weselić się, póki pora, póki służą młodość i zdrowie. Poeta, jako prawdziwy humanista, chciał z życia wydobyć wszystkie powaby, nie gardził dozwoloną uciechą. W prześlicznym wierszu do Firleja dał wyraz tym zapatrywaniom:

»Firleju, już słońce ogniste lipcowe[1])
Gorącym płomieniem naciska nam głowę,
A szparkich i bystrych wód fale
Zmęczyły się, płynąć w upale.

I cicho i głucho, i pola i knieje
Stanęły jak martwe, wiatr po nich nie wieje,
Zaledwo gdzieś w cieniu na rosie
Skrzekocą koniki w przekosie.

Gdzie jawór szeroko rozwiesił swe cienie,
Tam znajdziesz zielone i chłodne schronienie,
Nie będziem się troszczyć skwarami,
Gdy dach gęsto-liści nad nami.

Namaścim czupryny ku większej ozdobie
I w chłódku na trawie położym się sobie
Przy różach szkarłatnych, dojrzałych,
Przy liliach wonnych i białych.

Pachołcy, hej wina! niepróżno wam gwarzę,
Odbijcie gwóźdź stary w smolonym ankarze

[1]) Przekład z łacińskiego Wł. Syrokomli.

I lejcie do szklenic, do czarek
Dymiący, niebieski nektarek.

Bogdajby dzień cały upłynął nam żywo
I smutek przepędził i myśl frasobliwą,
A jutro na bój się powleczem
Z pawężą [1]), pancerzem i mieczem«.

Tak, bo poeta od spełnienia obowiązków nie uchyli się z pewnością, bo wesołość nie powstrzyma go od trudów, jeżeli sprawa ogólna tego zażąda. Byle sił nie zabrakło, byle zdrowie posłużyło, to »szlachetne zdrowie«, którego wartość ceni się dopiero po stracie.

To są też pierwsze podstawy szczęścia ludzkiego, pierwsze, ale nie jedyne. Koniecznem jest obok tego ograniczenie swych pragnień, umiejętność poprzestawania na małem:

»Kto ma swego chleba,
Ile człeku trzeba,
Może nie dbać o wielkie dochody,
O wsi, o miasta i wysokie grody.
To pan, zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem;
Kto więcej szuka, jawnie to znać daje
Sam na się, że mu jeszcze nie dostaje«.

Najważniejszym jednak warunkiem szczęścia ziemskiego jest zadowolenie z siebie samego — czyste sumienie.

Radość przejmuje serca ludzkie na widok nadchodzącej wiosny, kiedy to »świat się wszystek śmieje... ptacy sobie gniazda obmyślają, a przededniem śpiewać poczynają...«

»Ale to grunt wesela prawego,
Kiedy człowiek sumienia całego,
Ani czuje w sercu żadnej wady,
Przeczby się miał wstydać swojej rady? [2])
Ale kogo gryzie mol zakryty,
Nie w smak idzie mu obiad obfity,
Żadna go pieśń, żadny głos nie ruszy,
Wszystko idzie na wiatr mimo uszy«.

Oczywiście sumienie czyste może mieć ten tylko, kto żyje cnotliwie. To też ty, człowiecze,

»Nie dufaj w złoto i w żadne pokłady,
Każdej godziny obawiaj się zdrady,
Fortuna, co ma, to zasię wziąć może,
A u niej żadna dawność nie pomoże.

---

[1]) pawęża = tarcza podłużna — [2]) radości.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda;
Nad wszystkiem inszem panuje przygoda...«

A w innym wierszu tak się odzywa poeta:

»Cnocie niebo zapłata i wieczne wesele,
W rozkoszach świata tego źle pokładać wiele;
Wszystko to jako trawa czasu swego minie,
Ale sława poczciwa i po śmierci słynie«.

Kto posiadł tę sławę poczciwą (zasłużoną), a znalazł jeszcze wiernego przyjaciela, ten już niczego więcej nie może pragnąć do prawdziwego szczęścia. Bo prawdziwy przyjaciel to skarb drogi i niemały — pierwszy po cnocie:

»Cnota nad wszystko, a skarbu większego
Nad przyjaciela niemasz uprzejmego,
Kto się w skarb taki dobrze zapomoże,
Póki żyw, upaść w ubóstwo nie może«.

Oto już i wszystko, czego człowiekowi na świecie potrzeba, aby było dobrze jemu, a z nim i drugim. Może mu się w czemś nie poszczęścić, może doznać jakiejś przykrości, ale gdy ma zadowolenie wewnętrzne, gdy spełnił wszystko, co do niego należy, przykrość ta przeminie, jak noc ciemna, jak śnieg zimowy, a nadzieja znów człowiekowi zaświta. Więc

»Nie porzucaj nadzieje,
Jakoć się kolwiek dzieje

pisze Kochanowski

Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,
A po złej chwili piękny dzień przychodzi.
Patrzaj teraz na lasy,
Jako przez zimne czasy
Wszystką swą krasę drzewa utraciły,
A śniegi pola wysoko przykryły.
Po chwili wiosna przyjdzie,
Ten śnieg znienagła zejdzie,
A ziemia, skoro słońce jej zagrzeje,
W rozliczne barwy znowu się odzieje.
Nic wiecznego na świecie,
Radość się z troską plecie,
A kiedy jedna weźmie moc największą,
Wtenczas masz ujrzeć odmianę najprędszą.
Ty nie miej za stracone,
Co może być wrócone;
Siła Bóg może wywrócić w godzinie,
A kto Mu kolwiek ufa, nie zaginie...«

Jak widzimy, poeta mniej rozmyślał nad tajemnicami przyrody, a więcej nad zagadką życia, a i tu znów mniej nad jego celem, a więcej nad warunkami jego szczęśliwości. Nie sięgał skrzydłami swemi wysoko, ale zato doszedł do niezwykłej równowagi, do owej harmonii wewnętrznej, której wielu nie zdołało osiągnąć do końca żywota. W praktycznej swej filozofii niewiele odbiegł od Reja, podobnie bowiem jak ojciec piśmiennictwa polskiego, za pierwszy warunek szczęścia poczytał spokojne sumienie, życie cnotliwe. Podnioślejszym zaś jest Kochanowski zawsze głównie przez to, że myśli swe wypowiada w piękniejszej od Reja formie, unikając wszelkiej rubaszności, wszystkiego, coby mogło budzić niesmak.



Fig. 31. Jan Kochanowski z Czarnolasu.

W cnocie szukał sam szczęścia ziemskiego, cnoty też przedewszystkiem żądać musiał od towarzyszki życia, kiedy począł myśleć o założeniu rodzinnego ogniska. W poemacie »Dziewosłęb« powiedział to wyraźnie:

»A ja zaś tak rozumiem, że do ożenienia
Nie stanu rycerskiego, nie dobrego mienia,
Nawet ani gładkości tak wam szukać trzeba,
Jako wstydu a cnoty, darów przednich z nieba«.

Taką żonę cnotliwą a pobożną, z niezbyt wysokiego rodu, znalazł Kochanowski w Dorocie Podlodowskiej. Szczęście zawitało teraz w dom poety, nastały dla niego dni jasne i pogodne. Żona »słodkiemi słowy« umiała »wywabić troskę« z piersi poety umiała zapobiedz »mężowym kłopotom« — to też poeta dziękował Bogu gorąco za taką towarzyszkę, nazywając siebie »trzykroć szczęśliwym«.

Prawdopodobnie przed ożenieniem jeszcze, ale już jako narzeczony, napisał Pieśń świętojańską o Sobótce. Przedstawił w niej w ogólnych zarysach naszą uroczystość ludową, święconą w noc wigilijną przed św. Janem, a pieśń jedenastą poematu poświęcił pięknej Dorocie. Całość składa się z pieśni dwunastu, a panuje w nich wielka rozmaitość. Dwanaście »panien«

nuci z kolei piosenki, bądź to osnute na motywach ludowych, bądź miłosne, bądź opisowe, przedstawiające wiejskie wczasy, dostatki i prace. Czytamy tam i o szkodliwych następstwach, płynących z zaniedbywania świąt, i o zabawach wiejskich (ciągnienie kota) i o niestatecznym Szymku, na którego narzeka jedna z dziewcząt, i o zajęciach i obyczajach na wsi. Nie brak i podania starożytnego o Filomeli (słowiku), Epopsie (dudku) i Prokusie (jaskółce), ale najpiękniejszą jest pieśń, w której poeta opiewa upalne lato polskie:

»Gorące dni nastawają,
Suche role się padają;
Polny świercz, co głosu staje,
Gwałtownemu słońcu łaje.
Już mdłe bydło szuka cienia
I ciekącego strumienia,
I pasterze, chodząc za niem,
Budzą lasy swojem graniem.
Żyto się w polu dostawa
I swoją barwą znać dawa,
Iż już niedaleko żniwo;
Mniej się do sierpa co żywo!«

W pieśni ostatniej wychwala Kochanowski nieocenione zalety życia wiejskiego:

»Wsi spokojna, wsi wesoła!
Który głos twej chwale zdoła?
Kto twe wczasy, twe pożytki
Może wspomnieć zaraz wszytki?« [1])

Najszczęśliwszym czuł się poeta wśród swych pól i lasów!

Ale wypadki polityczne ówczesne nie dozwoliły mu usunąć się zupełnie od spraw państwowych, a zresztą i sam poeta, gdy o sprawy ogólne chodziło, nie myślał bynajmniej ociągać się ze spełnieniem swej powinności.

W czasie, kiedy Kochanowski zaślubił Dorotę Podlodowską, Zygmunt August już nie żył, a na tronie polskim siedział Henryk Walezyusz. Ale ten po pięciomiesięcznym pobycie w kraju umknął — jak wiadomo — do Francyi, a Polacy musieli znów oglądać się za nowym władcą. Celem zastanowienia się, kogoby obrać królem, zjechała się szlachta do miasta Stężycy, a na obrady przybył również Kochanowski. Współubiegających się o tron polski było wielu, kandydatami byli cesarz niemiecki, król szwedzki, carewicz rosyjski, niektórzy panowie polscy, a w ostatniej chwili także Stefan Batory, książę siedmiogrodzki. Poeta przemawiał za cesarzem niemieckim

[1]) Wszystkie.

Maksymilianem, a choć cesarz na zebraniu owem nie miał wielu zwolenników, taka już była wówczas powaga Kochanowskiego, taka cześć otaczała go powszechna, że zapalczywa szlachta wysłuchała ze spokojem wśród zupełnej ciszy przemówienia poety, wiedząc, że twórca Satyra i Hołdu pruskiego mógł się mylić, ale nie mógł źle życzyć swojej ojczyźnie. Tymczasem niechęć stronnictw popierających różnych kandydatów rosła z dniem każdym, groziła otwarta wojna domowa. I wówczas to Kochanowski napisał pełen siły i uczucia, podniosły prawdziwie wiersz Do zgody:

»Nic nie masz nad cię, niebo cię przywiodło,
By siać pociechę pomiędzy ludami.
Święta jedności! tyś niebieskie godło,
Że Pan Bóg z nami!
O święte bóstwo! nie uskąp twej łaski,
Weź pod twe oko starej Polski dolę,
Hamuj narodu ślepego niesnaski,
Hamuj swawolę.
Niech bratni oręż nie bije na braci,
Lecz łbów tatarskich pogruchota czaszki,
Niechaj nam Turczyn swoją krwią zapłaci
Dawne porażki...[1])

Życzenie końcowe poety nie spełniło się. Nie Polacy »pogruchotali czaszki« zbójeckich sąsiadów, lecz Tatarzy wpadli podczas bezkrólewia do Polski, spustoszyli Podole i uprowadzili 50.000 ludu w jasyr! Okrzyk boleści i zgrozy dobył się z piersi poety

»Wieczna sromota i nienagrodzona
Szkoda, Polaku! — ziemia spustoszona
Podolska leży, a pohaniec sprosny
Nad Dniestrem siedząc, dzieli łup żałosny!

Ach i jakiż to łup? Łup żywy, to nasze córki, żony i siostry! któż je więcej oglądać będzie, kto głos ich posłyszy? A kto je porwał, kto taką klęskę zadał Polakom, czy regularne wojska?

»Zbójce, niestety, zbójce nas wojują,
Którzy ani miast, ani wsi budują;
Pod kotarzami tylko w polach siedzą,
A nas nierządne, ach nierządne jedzą«.

Czas już ostatni, by ocknąć się, »zetrzeć sen z oczu« i pomyśleć o obronie granic, a przedewszystkiem obrać króla, boć to brak jego właśnie ośmielił Tatarów do wtargnięcia w głąb Polski.

[1]) Przekład z łacińskiego Wł. Syrokomli.

I dostała wreszcie Rzplta władcę, a został nim ten, który zrazu najmniej miał zwolenników: książe siedmiogrodzki, Stefan Batory. Kochanowski zrazu niechętny nowemu panu, gdy poznał wojenne jego zamysły przeciw Moskwie i Turcyi, gdy ujrzał, że to król nie malowany, a wróg i karciciel swawoli, przylgnął całem sercem do niego. A i król nawzajem cenił wysoko poetę, poznawszy go zapewne za pośrednictwem kanclerza Jana Zamojskiego.

Niebawem pójdą ci dwaj ludzie — król i poeta — razem obok siebie, zmierzając ku wspólnemu celowi. Poeta będzie popierał zamysły królewskie, będzie opiewał jego zwycięstwa i głosił jego chwałę, a będzie to czynił tem wymowniej i tem skuteczniej, bo teraz właśnie talent jego zmężnieje, wejdzie w okres dojrzałości i największej płodności. O Kochanowskim, jako o autorze pieśni, Satyra, Zgody, Sobótki mówilibyśmy z uznaniem, szacunkiem, ale nie żywilibyśmy dla niego czci, nie uznawalibyśmy go za największego poetę aż do czasów Mickiewicza. Teraz to dopiero za rządów Batorego zjawią się dzieła, które poezyę polską wyniosą na nieznane dotąd wyżyny, a nam każą uchylić czoła przed śpiewakiem czarnoleskim.

W jakiś czas po wstąpieniu Stefana na tron, zawitał kanclerz w dom poety i wtajemniczył go w zamysły królewskie. Prosił go też, ażeby napisał jakiś utwór, w którymby odsłonił najważniejsze wady polskie, wykazał niebezpieczeństwa z wad tych płynące i poparł politykę królewską. Król chciał wydać wojnę Rosyi, ale wprzód musiał sejm uchwalić podatki na wojnę. Trzeba więc było pozyskać dla tej myśli szlachtę, której Kochanowski dawno już zarzucał gnuśność i zniewieściałość. Teraz w tym utworze, o który go prosił Zamojski, miał wskazać poeta również na niebezpieczeństwo, grożące ze strony Rosyi, i zachęcić Polaków do walki. Obaczmyż, jak to uczynił.

Po Zgodzie i Satyrze trudno było już pisać poemat w tym samym rodzaju i duchu, bo byłaby to już rzecz powszednia i wrażeniaby nie zrobiła. Ażeby wstrząsnąć umysłami szlachty, trzeba było czegoś nowego, zdolnego oddziałać już wprost swoją formą. I Kochanowski napisał — dramat.

Wątek wziął ze starożytnych opowiadań o wojnie trojańskiej, a w szczególności z III. księgi Homera Iliady, ale stosunki, wspomniane tam zaledwo, rozprowadził i oświetlił w sposób samodzielny.

Opowiadali sobie Grecy, że na kilkaset lat przed Chrystusem porwał

Parys, syna króla trojańskiego, Pryama, królowi jednego z państewek greckich, Menelausowi, żonę jego Helenę. Oddania jej żądali posłowie greccy, Ulisses i sam Menelaus. W Troi znaleźli oni gościnę u prawego obywatela trojańskiego Antenora, który przyjął chętnie Greków u siebie, bo wiedział i czuł, że stała im się krzywda.

Właśnie z tą chwilą, kiedy posłowie greccy przybywają do Troi, a w mieście ma się odbyć pod przewodnictwem króla narada, czy oddać Helenę, rozpoczyna się dramat Kochanowskiego, zatytułowany przez poetę: Odprawa posłów greckich.

Królewicz trojański, Parys (zwany także Aleksandrem), stara się pozyskać dla siebie stronników, ażeby na radzie mieć większość głosów i ażeby Heleny Grekom nie oddano. Człowiek to zły, który nie waha się chwycić przekupstwa, byle tylko mieć dość zwolenników, i dlatego posłał już członkom rady podarki kosztowne do domu, które oni, nie lepsi od niego, przyjęli. Starał się również pozyskać dla siebie zacnego Antenora, ale uczciwy ten człowiek podarków nie przyjął, twierdząc, że

»Nie ufa swej sprawiedliwości,
Kto złotu mówić od siebie rzecz każe,
Lecz i to człowiek małego baczenia,
Który na zgubę Rzeczypospolitej
Podarki bierze«...

Tymczasem zjawia się Parys i zaczyna się rozmowa, w której królewicz próbuje po raz ostatni zjednać sobie przeciwnika. Porozumienie jednak między tymi ludźmi, jednym nawskróś szlachetnym, a drugim do gruntu zepsutym, jest niemożliwe. Więc też rozchodzą się, poróżnieni jeszcze bardziej, Parys w gniewie, Antenor spokojny, obaj zaś mają spotkać się na radzie, którą właśnie król Pryam, ojciec Parysa, zwołał.

Na scenę występuje teraz Helena, żona Menelausa, oczekująca niecierpliwie wyniku obrad. Niedługo czeka na wieści, zjawia się bowiem Trojańczyk, który był na zebraniu rady, a wnet opowie wszystko Helenie, co tam widział i słyszał.

Oto stary król Pryam zagaił posiedzenie, wyjaśnił, o co chodzi, zaręczył, że choć Parys jest jego synem, »a krew nie woda«, to on jednak wykona uchwałę rady, choćby dla syna niemiłą.

»Syn mój w Grecyi żonę dostał, nie wiem jako;
Tej się upominają od Greków posłowie.
Wydać, albo nie wydać — w tem rozmysłu trzeba«.

Po królu zabrał głos chytry, niegodziwy Parys. Umie on się przymilić zebranym, umie ich ująć pięknemi słówkami. Zaręcza, że tak sprawiedliwości ich ufa, iż zupełnie zdaje się na ich wyrok. Wszyscy — powiada — wiedzą, jakie on życie pędził dotychczas

»...wolałem po gęstych dąbrowach
Prędkie jelenie gonić, albo dzikie świnie;
Anim ja tego sobie za niewczas poczytał
W budzie leśnej się przespać...«

O Helenie ani myślał! Ale cóż, bogini Wenus obiecała mu najpiękniejszą kobietę za żonę, a Helena była najpiękniejszą z tych, które on znał. Czy to jego wina, że była ona już żoną Menelausa? A zresztą, czy to Trojanie nie doznali licznych krzywd od Greków? Niech Grecy przedtem wynagrodzą im te krzywdy, a potem dopiero upominają się o Helenę.

Szmer wszczął się w sali, gdy Parys przestał mówić. Jedni (pewnie przekupieni przez niego) przyznawali mu słuszność, drudzy mu jej odmawiali. A wtem odezwał się Antenor i szmer ucichł natychmiast. Mowa jego była prosta, bez wykrętów. Zwrócił on się do króla i rzekł:

»Prawdzie długich wywodów, królu, nie potrzeba;
Aleksander, w Grecyi gościem w domu będąc
Człowieka przedniejszego, na gościnne prawa
Nie pomnąc, żonę mu wziął i przywłaszczył sobie.
By mu był niewolnicę najlichszą przemówił,
Winienby mu był został; cóż, kiedy wziął żonę!«

Teraz Menelaus upomina się o Helenę,

»...a ja zwrócić radzę,
Abyśmy ku zelżeniu niesprawiedliwości
Nie przydali...
...To też niewątpliwa,
Że Grekowie Heleny nie tylko przez posła
Ale nawet i przez miecz domagać się będą
Niechże się Aleksander tak drogo nie żeni,
Żeby małżeństwo swoje upadkiem ojczyzny
I krwią naszą miał płacić!...

Mądre słowa Antenora musiały wielu przekonać, bo oto zabiera po nim głos jeden i drugi i trzeci członek rady, a każdy sądzi, że istotnie według praw boskich i ludzkich należy Helenę oddać Grekom. Aż wreszcie dorwał się głosu jeden z popleczników Parysa: Iketaon. Musiał sporo wziąć od uwodziciela, bo gardłuje za nim zawzięcie:

»Owa, jako nam kolwiek Grekowie zagrają,
Tak my już skakać musim! Bać się nam ich każą,

A ja owszem się lękam. Teraz nam Helenę
Wydać każą, po chwili naszych się żon będą
I dzieci upominać...
Sprawiedliwości proszą, a grożą nam wojną;
Daj chceszli — alboć wydrę!...

Siebie — prawi — uważają za panów, a nas Trojan za sługi. Takiemu ludowi nie można ustępować.

Gdy Iketaon skończył, wszczął się wielki zgiełk w sali. Wszyscy prawie wołali, że Iketaon ma słuszność, i ci, co siedzieli, i ci, »co za stołkami stali«. Nie pozwolono nikomu dojść do głosu, wrzawa rosła coraz większa.

»Marszałkowie laskami w ziemię coraz bijąc, posłuchajcie, panowie!« — wołali, ale i to było daremne. Hałas trwał ciągle.

Wtedy ktoś zawołał, że szkoda czasu tracić; lepiej głosować przez rozstąpienie się. Zgodzono się na to, i cóż się okazało? Oto przy Parysie stanęli prawie wszyscy, po przeciwnej zaś stronie znalazła się ledwo garstka. Parys przekupił lub obałamucił ogromną większość zebranych! Król stwierdził, że rada jest przeciwna oddaniu Heleny, żona Menelausa pozostanie więc w Troi. Zwyciężyło przekupstwo i zła wola. Prawda na razie uległa. Ale nie na długo! Posłowie greccy Ulisses i Menelaus, odjeżdżając, zaprzysięgają zemstę Trojanom. Ulisses, opuszczając miasto, wypowiada złowrogie słowa:

»O nierządne królestwo i zginienia blizkie!
Gdzie ani prawa ważą, ani sprawiedliwość
Ma miejsce, ale wszytko złotem kupić trzeba.
Jeden to marnotrawca umiał spraktykować,
Że jego wszeteczeństwa i łotrowskiej sprawy
Od małych aż do wielkich wszyscy jawnie bronią«.

A takich ludzi, jak Parys, jest w Troi więcej. Jeden pociąga dziesięciu za sobą, a ci drugich psują.

»... Patrz, jakie orszaki
Darmozjadów za nimi, którzy ustawicznem
Próżnowaniem a zbytkiem jako wieprze tyją.
Z tego stada, mniemacie, że się który przyda
Do posługi ojczyzny? Jako ten we zbroi
Wytrwa, któremu czasem i w jedwabiu ciężko?
Jako straż będzie trzymał, a on i w południe
Przesypiać się nauczył?...«

Państwo, które takich obywateli posiada, zgnuśniałych, żyjących w zbytku, odwykłych od walki, nie potrafi się obronić, Grecy zaś walkę podejmą.

Posłowie odjeżdżają, wojna już w powietrzu, ale w Troi o obronie nikt ani myśli. Daremno zacny Antenor, trwożny o los ojczyzny, zachęca króla Pryama, aby rozpoczął przygotowania wojenne, bo oto już i

»Pograniczni piszą
Starostowie, że greckie wojska ściągają się«.

Pryam śmieje się z obaw Antenora i zarzuca mu tchórzostwo. Daremno córka Pryama, Kassandra, natchniona duchem proroczym, przepowiada w potężnych słowach zgubę Troi, Pryam i przepowiedni nie wierzy. Aż tu nagle rotmistrz przychodzi z hiobową wieścią i donosi, że Greków pięć galar już nadpłynęło, już na wybrzeża wpadli, już łupy wzięli. Za nimi płynie na okrętach ogromne wojsko greckie. Tu już żartów niema, tu czas najwyższy przedsięwziąć środki obronne, ale niedołężny Pryam zapowiada dopiero na dzień następny posiedzenie rady, która ma myśleć o obronie.

Antenorowi już tego za wiele. Źle to wróży — powiada — że

»Na każdy rok nam każą radzić o obronie.
Ba! radźmy też o wojnie, nie wszystko[1]) się brońmy,
Radźmy, jak kogo bić; lepiej, niż go czekać.

Na tem dramat Kochanowskiego się kończy, ale my wiemy, że smutne proroctwa Kassandry się sprawdziły, że Grecy po kilkuletniem oblężeniu zdobyli i spalili Troję, mieszkańców jej wycięli, nie oszczędzali nikogo.

Dramat ten grano przed królem i królową polską w Ujazdowie pod Warszawą w r. 1578., podczas uroczystości weselnej Zamojskiego, który żenił się z księżniczką Radziwiłłówną. Współcześni zapisali, że kiedy aktor grający Antenora wymówił słowa: »Radźmy, jak kogo bić; lepiej, niż go czekać«, szlachta polska, obecna na przedstawieniu, uderzyła w szable, tak że szczęk pałaszy rozszedł się po całym teatrze. Widocznie zrozumiała dobrze, że słowa te odnoszą się do wojny moskiewskiej, do której parł Stefan Batory, wiedząc, że lepiej bić wroga, niż czekać go w domu.

Ale musiała taż szlachta zrozumieć też inne rzeczy w dramacie, który, choć opowiadał dawne dzieje trojańskie, odnosił się mimo to do Polski i do jej stosunków. Poznała ta szlachta z pewnością, że gdy Kochanowski opisywał naradę w Troi, myślał o sejmie polskim, na którym tak samo mowca nie mógł często przyjść do głosu, choć marszałek bił laską w ziemię. Poznali Polacy, obecni na przedstawieniu, że gdy Kochanowski mówił ustami Ulissesa o młodzieży trojańskiej pogrążonej w zbytkach, rozmiło-

[1]) Nie tylko.

wanej w wygodach, odwykłej od oręża, to myślał o młodzieży polskiej, której już dawno też same wady wytykał. Zrozumieli jeszcze Polacy doskonale, że gdy poeta mówił o nieobwarowanych granicach trojańskich, to myślał przedewszystkiem o Polsce i Polakom to właśnie kazał bić wroga, a nie czekać, dopóki on nie wpadnie do kraju.

Co za szkoda, że poeta sam nie był obecny na przedstawieniu Odprawy posłów, że nie słyszał tego szczęku pałaszy, jaki się rozległ po odegraniu dramatu!

A teraz pytanie, czem był ten dramat w polskiej literaturze? Przedewszystkiem nadzwyczajną nowością. Reja Żywot Józefa był, jak wspomnieliśmy, raczej zbiorem rozmów niepowiązanych wspólnym węzłem, w budowie wiersza, w rytmie i rymie często ułomnym, był pierwszą śmielszą próbą, a nie dramatem prawdziwym. Kochanowski zbudował swój dramat zupełnie na wzór sztuk starożytnych, wprowadził nawet chóry, przedzielające poszczególne części dramatu. Język w Odprawie piękny, poetyczny, poważny, wiersz płynie swobodnie, potoczyście. Prawda, że to, co w dramacie najciekawsze, przebieg narady w Troi, opowiedziane ustami posła, nie pokazane wprost na scenie, ale Kochanowski poszedł tu za swymi wzorami, za autorami starożytnymi, którzy z zasady nie przedstawiali scen zbiorowych. Uczynił to dopiero poeta angielski Szekspir (przy schyłku XVI. w.). Prawda też, że katastrofy, kary na Trojan i Parysa za wiarołomstwo nie widzimy, lecz oczekujemy jej tylko, wierząc wróżbom Kassandry, ale mimo te usterki musimy uznać Odprawę za utwór niepośledni, nie ustępujący w niczem najlepszym dramatom, jakie pojawiły się wówczas w Europie. Szkoda, że inni nie poszli u nas za przykładem Kochanowskiego, że pierwszy w XVI. wieku dramat znakomity był zarazem i ostatnim.

Przed napisaniem jeszcze Odprawy posłów, od szeregu lat pracował Kochanowski nad przekładem na język polski jednego z arcydzieł literatury światowej — Psalmów Dawidowych (wyd. r. 1579). Tłumaczenia cudownych tych pień hebrajskich istniały u nas już przedtem, były przekłady Lubelczyka, Wróbla i inne, ale nie mogły nawet równać się z oryginałem, nawet nie zbliżały się do niego. Dopiero Kochanowski dokonał tego, czego nie zdołał nikt przed nim ani po nim w naszej literaturze, dał przekład tak świetny, tak oddał ducha i charakter pierwowzoru, że znów żaden z współczesnych przekładów europejskich nie mógł się z nim mierzyć. Dzieło Kochanowskiego nie straciło do dziś swego znaczenia; w jego tłumaczeniu psalmy umieszcza się dziś w książkach do nabożeństwa,

niema chyba na ziemi polskiej człowieka, któryby nie nucił »Kto się w opiekę poda Panu swemu«, pieśni pomieszczonej również w tym zbiorze. Współcześnie zaś był Psałterz Dawidów zjawiskiem nadzwyczajnem. Poeta potrafił oddać w przekładach poszczególnych psalmów najrozmaitsze uczucia, potrafił przemawiać słodko, tęsknie, lękliwie i groźnie, potężnie, z taką mocą, jakby zagrały surmy Archanioła. Od chwili zjawienia się tego dzieła język polski stał się zdolnym do wyrażania najdelikatniejszych uczuć, poeta uczynił z tego języka przedziwnie czułe narzędzie, jakby czarodziejskie skrzypki, na których, byle mistrz się znalazł, to wygrać potrafi cudowne, rozkoszne melodye.

Mistrzem tym miał być zrazu ciągle jeszcze sam Kochanowski — niestety, nie na wesołą przyszło zagrać mu nutę.

Bóg oszczędzał dotychczas wielkich cierpień naszemu poecie. Ojca i matkę stracił w młodym jeszcze wieku, stratę tę miał więc czas przeboleć W późniejszem życiu doznał zapewne niejednej przykrości; wiemy, że gryzły go jakieś troski na dworze króla Zygmunta Augusta, ale wszystko to nie było zmartwieniem wielkiem, pod którem poeta musiałby się ugiąć. Od jakiegoś zaś czasu, od chwili, kiedy osiadł na wsi, zaczął być naprawdę szczęśliwym.

Aż nagle zagląda nieszczęście pod jego strzechę. Ukochana córeczka, Urszulka, córeczka niespełna trzechletnia zapada w chorobę, a choć pewno poeta robi wszystko, co może, by ją uratować — umiera. Był to dla Kochanowskiego pierwszy cios niesłychanie bolesny, bo jeżeli dla każdego ojca straszną jest zawsze śmierć dziecka, to cóż dopiero, jeśli to dziecko jest niezwykle dobre, posłuszne, jeżeli choć takie malutkie, już samo wiersze układa, tak że się wszyscy nadziwić nie mogą! A taką była Kochanowskiego Urszulka.

Straszny żal ścisnął serce poety i pod wpływem tego żalu napisał swe Treny (1580).

Zrozpaczony ojciec wzywa wszystkie płacze, łzy, troski i narzekania, by przybyły w jego dom i pomogły mu opłakiwać Urszulkę.

»Wszystkie a wszystkie zaraz w dom się mój znoście,
A mnie płakać mej wdzięcznej dziewki pomożcie,
Z którą mię niepobożna śmierć rozdzieliła
I wszystkich moich pociech nagle zbawiła«.

Nadaremno chciał poeta wyrwać dziecinę z szponów śmierci. Była to taka próżna praca, jak trud ptaszyny, by uchronić przed drapieżnikiem swoje pisklęta. I piskląt nie obroni i sama może życie postradać,

»... bo i na samą okrutnik zmierza,
A ta nieboga ledwie umyka pierza« —

pisklę zginąć musi.

»Takli moja Urszula, jeszcze żyć na świecie
Nie umiawszy, musiała w rannem umrzeć lecie!
I nie napatrzywszy się jasności słonecznej,
Poszła nieboga widzieć kraj ów nocy wiecznej«.

I to, co się stało, już się odstać nie może!

»A ty pociecho moja! już mi się nie wrócisz
Na wieki, ani mojej tęsknicy ukrócisz.
Nie lza[1]), nie lza, jeno się za tobą gotować,
A stopeczkami twemi ciebie naśladować;
Tam cię ujrzę, da Pan Bóg; a ty więc z drogiemi[2])
Rzuć się ojcu do szyi rączynkami swemi«.

Gdyby była kiedykolwiek Urszulka umarła, zawsze śmiercią swoją sprawiłaby była ojcu ból srogi; ale przynajmniej, gdyby dłużej żyła, byłby się ojciec nią nacieszył. Lecz Opatrzność chciała widocznie doświadczyć poety...

A takie to dobre, rozkoszne było dziecię! Przez dzień cały śpiewało, szczebiotało »jako słowiczek w krzaku zielonym«. A teraz któż nieszczęśliwemu ojcu zanuci?

»Prędkoś mi nazbyt umilkła, nagle cię sroga
Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna szczebiotko droga!
Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami —
I tę trochę teraz płacę sowicie łzami;
A tyś ani umierając śpiewać przestała,
Lecz matkę ucałowawszy, takeś żegnała:
Już ja tobie, moja matko, służyć nie będę.
Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasiędę;
Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać,
Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać,
. . . . . .
A matce, słysząc żegnanie tak żałośliwe,
Dobre serce, że od żalu zostało żywe«.

Gdzie poeta spojrzy, wszędzie widzi ślady Urszulki. Tu jej sukienka, tu zabawki, tu wstążki. Więc ból jego wzmaga się.

»Nieszczęsne ochędóstwo![3]) żałosne ubiory
Mojej najmilszej córy!
Poco me smutne oczy za sobą ciągniecie?
Żalu mi przydajecie.
Już ona członeczków swychwami nie odzieje,
Nie masz, nie masz nadzieje.

[1]) Nie inaczej. — [2]) Z drogiemi należy łączyć z: rączynkami swemi. — [3]) Stroje.

Już ona w mogiłce w szatach śmiertelnych spoczywa. Biedna matka!

». . . . . nie takąć dać obiecowała
Wyprawę, jakąć dała.
Giezłeczko [1]) tylko dała, a lichą tkaneczkę,
Ojciec ziemi bryłeczkę
W główki włożył. Niestetyż, i posag i ona
W jednej skrzynce zamkniona!«

Któż nie doświadczył tego, jak po śmierci drogiej osoby czuje się jej brak. Jak zawsze się zdaje, że ona nadejdzie, że tylko gdzieś wyszła, a kiedy się wreszcie przypomni sobie, że odeszła na wieki, jaką straszną pustkę czuje się dokoła. Tak też i poeta się skarży:

»Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Urszulo, tem zniknieniem swojem.
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było;
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło!
. . . . . .
Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje«.

I nacóż przydały mu się jego rozmyślania poprzednie, nacóż te głoszone przezeń prawdy, że człowiek uczciwy a mądry nigdy wielkich cierpień nie dozna? Cóż mu teraz ta mądrość pomoże. Ona mu nie odpowie nawet, gdzie jego dziecina przebywa teraz...

»Urszulo moja wdzięczna, gdzieś mi się podziała?
W którą stronę, w którąś się krainę udała?
Czyś ty nad wszystkie nieba wysoko wzniesiona
I tam w liczbę aniołów małych policzona?
Czyliś do raju wzięta? czyliś na szczęśliwe
Wyspy zaprowadzona...
Czyli się w czyścu czyścisz, jeśli z strony ciała
Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?
Czyś po śmierci tam poszła, kędyś pierwej była,
Niżeś się na mą ciężką żałość urodziła?

Ale gdziekolwiek jesteś,

Pociesz mię, jako możesz, a staw się przedemną
Lubo snem, lub cieniem, lubo marą nikczemną«.

Poeta dochodzi do tego stopnia rozpaczy, że zaczyna wątpić, czy człowiekowi przyda się na cokolwiek cnota. Cierpi zarówno człowiek zły jak i cnotliwy — fraszka więc cnota!

»Kogo kiedy pobożność jego ratowała?
Kogo dobroć przypadku złego uchowała?
Nieznajomy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy,
Nie mając ani dobrych ani złych na pieczy«.

[1]) Czepeczek na głowę.

Ale wnet się poeta opamiętywa, widzi, że słowa jego niedalekiemi były bluźnierstwa, więc woła:

»Żałości! co mi czynisz? owa już oboje
Mam stracić, i pociechę i baczenie swoje?

Gorączkowo szuka teraz pociechy, w rozpamiętywaniu cudzych nieszczęść, w poezyi, w niepamięci, którą czas zwykł przynosić. Wszystko napróżno — »wieczna tęsknica« trawi poetę.

Do Boga ani razu jeszcze się nie zwrócił, nie szukał w nim ucieczki, choć w psalmach tak pięknie śpiewał »Tyś obrona moja!« Aż wreszcie ten chrześcijański poeta dojrzał, że niesłusznie narzekał i rozpaczał dotychczas, że to Bóg go doświadcza.

»Pańska ręka mię dotknęła,
Wszystką mi radość odjęła;
Ledwie w sobie czuję duszę
I tę podobno dać muszę.
Lubo wstając gore jaśnie,
Lubo padąc słońce gaśnie,
Mnie jednako serce boli
I nigdy się nie utuli.
Oczu nigdy nie osuszę
I tak wiecznie płakać muszę.
Muszę płakać; o mój Boże!
Kto się przed Tobą skryć może?«

Pociechy, jakie mu nauka, wiedza, mądrość zsyłały, nic nie pomogły...

»A ja zatem łzy niech leję,
Bom stracił wszystką nadzieję,
By mię rozum miał ratować,
Bóg sam mocen to hamować«.

Widzimy więc, że poeta już myśli o Bogu, już wierzy, że On może »pohamować« żal jego, ale jeszcze się nie ukorzył przed Panem, jeszcze nie wyznał, że źle robił, narzekając i mówiąc, iż »fraszka cnota«. Ale wreszcie dochodzi do zupełnego poznania swego błędu, czuje, że w żalu zgrzeszył, i prosi Boga w prześlicznym hymnie o przebaczenie.

»My nieposłuszne, Panie, dzieci Twoje
W szczęśliwe czasy swoje
Rzadko Cię wspominamy,
Tylko rozkoszy zwykłych używamy.
Miej nas na wodzy, niech nas nie rozpycha
Doczesna rozkosz licha!
Niech na Cię pomniemy
Przynajmniej w kaźni, gdy w łasce nie chcemy.
. . . . . .

Wielkie przed Tobą są występki moje,
Lecz miłosierdzie Twoje
Przewyższa wszystkie złości —
Użyj dziś Panie nademną litości!«

I Bóg zlitował się nad poetą, błagającym w tak ciężkiej boleści Jego zmiłowania, i zesłał na niego sen pocieszający. Oto kiedy raz, dręczony bólem, nie mógł zasnąć i zaledwie nad ranem, po bezsennej nocy, zmrużył oczy, ukazała mu się we śnie jego zmarła matka z Urszulką na ręku. Zganiwszy syna, że oddaje się niepomiernemu żalowi, pocieszyła go, że jego dziecina świeci »między anioły i duchy wiecznymi, jako wdzięczna jutrzenka«. Cóż straciła na tem, że wcześniej umarła? — uniknęła tylko »pracy, frasunków, łez, żałości« i wszystkich smutków ziemskich. Nie takie rozkoszne to życie ludzkie! Trzeba o tem pamiętać, a w żalu trzeba szukać ukojenia w rozumie, resztę zaś zdać na czas, który goi największe rany.



Fig. 32. Jan Kochanowski nad zwłokami Urszuli (według obrazu Matejki).

»Tu zniknęła, jam się też o-
[cknął. — Acz-żem prawie
Nie pewien, jeślim przez sen
[słuchał, czy na jawie«.

Tren ten ostatni pisany już znacznie spokojniej niż poprzednie; widać, że ból poety począł się zmniejszać, a rana zabliźniać.

Wszystkich trenów jest razem dziewiętnaście. Poeta nie pisał ich w tym porządku, w jakim są ułożone, lecz układ ich jest już wynikiem rozmysłu artysty, przygotowującego dzieło swe do druku. Dwa pierwsze są jakoby wstępem, z sześciu następnych poznajemy przymioty Urszulki, a ból w nich jest świeży, dojmujący; w trenach od 9—13 poeta szuka pociechy w mądrości, ale nie znajduje jej, traci więc wszelką nadzieję i poczyna bluźnić. W trenach następnych (14—18) żąda poeta pocieszenia od poezyi, spodziewa się znaleźć ulgę w rozpamiętywaniu cudzej boleści, ale znajduje ją dopiero w oddaniu się Bogu. W trenie ostatnim spływa na nieszczęśliwego ojca ukojenie. Wskutek tej różnorodności nie ogarnia czy

telnika znużenie, mimo że przedmiot wydaje się na pozór w treści swej jednostajnym. Przyczynia się do tego i forma poszczególnych pieśni, zmieniająca się kilkakrotnie, i ta jeszcze okoliczność, że treny o charakterze uczuciowym mieniają się kolejno z trenami opisowymi i refleksyjnymi (zawierającymi rozmyślania). Przyczynia się do tego i prześliczny wprost język, wyrobiony na tłómaczeniu Psalmów, i liczne niepowszednie przenośnie i porównania.

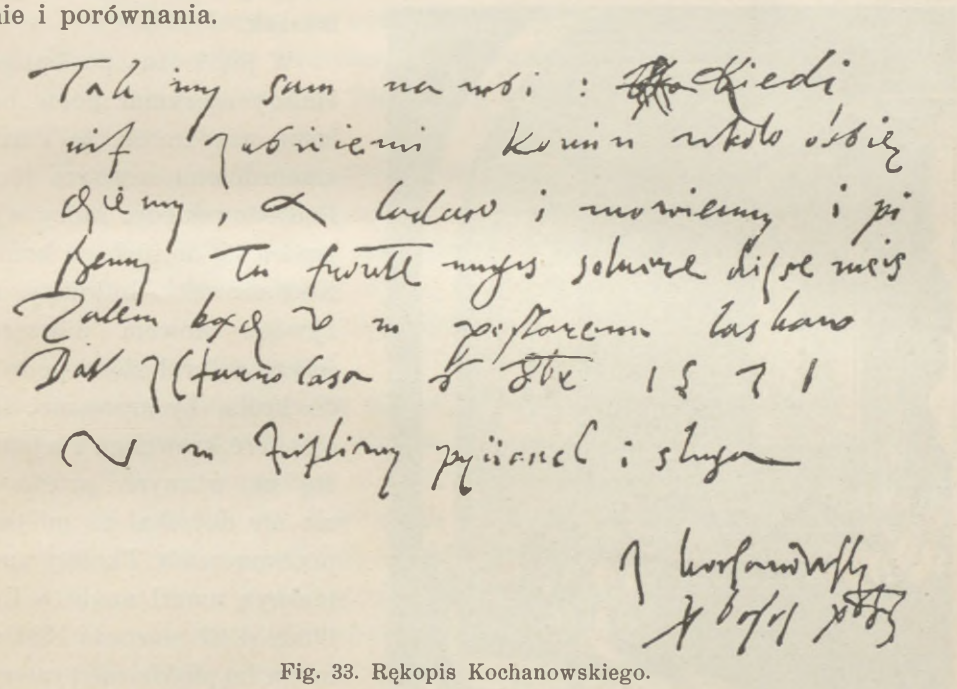

Fig. 33. Rękopis Kochanowskiego.

To też Treny są prawdziwem arcydziełem. Zależność ich od literatury klasycznej jest stosunkowo skromna — najsilniej jeszcze występuje ona w filozoficznych poglądach poety. Znaczenie zaś ogromne Trenów polega nie na samych tylko zaletach zewnętrznych, ale i na tem także, że są one obrazem cierpień człowieka nowożytnego, że przedstawiają wreszcie wszelkie stany boleści, posuwającej się aż do zwątpienia i bluźnierstw, szamocącej się z sobą napróżno i milknącej wreszcie pod wpływem kornego poddania się woli Bożej.

Znalazły Treny zaraz po ukazaniu się i znajdowały później przez całe wieki mnóstwo naśladowców, ale żaden z nich nie dorównał mistrzowi

Oto już wszystkie z ważniejszych dzieł Kochanowskiego. Z innych zasługują jeszcze na uwagę F r a s z k i, pisane w różnych czasach, zbliżone

do Reja Figlików, ale mniej rubaszne, choć często wesołe i lekkie. Pochodzą one przeważnie z lat młodości poety, z chwil pobytu jego na dworze Firleja i króla; później, gdy Kochanowski spoważniał, gdy stracił ukochaną swą Urszulkę, gdy niebawem śmierć porwała mu drugą córeczkę, Hannę, wesele pierzchło gdzieś daleko, a zaczęły się dni smutku, nie sprzyjające powstawaniu nowych fraszek.

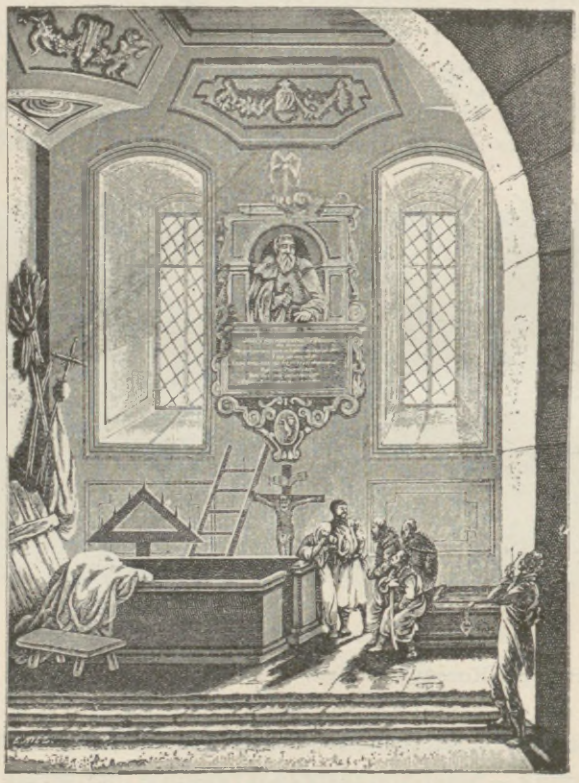

Fig. 34. Nagrobek Jana Kochanowskiego w kościele w Zwoleniu.

W jakiś czas po śmierci Hanny otrzymał poeta bolesną wiadomość, że Turcy zamordowali szwagra jego Podlodowskiego, który wyprawił się do nich po konie. Kochanowski, dotknięty do żywego nowem nieszczęściem, wybrał się w podróż do króla, by upomnieć się o śmierć krewnego i o pomstę na winnych prosić — ale nie dojechał na miejsce przeznaczenia. Tknięty apopleksyą umarł nagle w Lublinie d. 22. sierpnia 1584. r., mając lat pięćdziesiąt cztery.

Czem był Kochanowski w polskiej literaturze, co zrobił dla niej, w czem tkwi jego zasługa i znaczenie? Odpowiedź krótka: oto stworzył on poezyę polską z niczego prawie, uczynił ją odrazu wielką i tak wspaniałą, że wieki nic z jej piękności nie ujęły. Bo też był on pierwszym poetą natchnionym, a obdarzony niezwykłem poczuciem artystycznem stworzył też język poetyczny, udoskonalił formę, wprowadził mnóstwo nowych miar wierszowych, słowem umiał wyrażać uczucia swe i myśli w przepiękny sposób. Większe zaś utwory umiał w ten sposób obmyśleć, że poszczególne ich części odpowiadają sobie, łączą się w pewną jednolitą całość, czyli że odznaczają się układem artystycznym. Zalety te

nie są u Kochanowskiego wynikiem jakiejś wrodzonej tylko zdolności, owszem używał on wszelkich środków poetyckich z głębokiem zrozumieniem, dlaczego się nimi posługuje, był pierwszym polskim artystą świadomym.

Obdarzony wyobraźnią lotną, choć niezbyt bujną, rozumem bystrym, dawał się jednak głównie powodować uczuciu, to też i z pośród utworów jego najpiękniejszymi są uczuciowe (liryczne). Wystarczy wymienić Treny, Pieśni, przekład Psałterza. A uczucie jego objawia się w sposób niezwykle prosty, często jest rzewne, a zawsze szczere; czuć, że płynie z głębi serca.

Choć znał literaturę starożytną i współczesną włoską i francuską, nie uległ żadnej tak, by stać się naśladowcą, przeciwnie tam nawet, gdzie miał wzór obcy przed oczyma, pozostawał jednak samym sobą, a przejęty gorącą miłością ojczyzny, o niej często śpiewał w swych poematach, potrącając w strunę narodową także tam, gdzie mówił o prastarych zapasach Greków i Trojan.

W życiu swojem całem, w myślach i uczuciach, w poglądzie na świat i na sprawy polityczne swego narodu — wszędzie jest on najpiękniejszym wyrazem cywilizacyi polskiej w XVI. wieku. A jest też i chlubą poezyi polskiej i postacią na tle wieków tak wybitną, że głos zgodny pokoleń uznał go za największego aż do czasów Mickiewicza.

To pewna, że z współczesnych — choć znakomitych nie brakło — żaden mu nie dorównał. Talentem niepospolitym np. odznaczał się

Mikołaj Sęp Szarzyński, ale zmarł młodo (1581), tak że wrodzone mu zdolności poetyckie nie miały czasu się rozwinąć. W poezyi jego widoczny jest — może poczuciem śmierci spowodowany — odcień głębokiego smutku, ale bez owej rzewności, którą widzieliśmy u Janickiego. Szarzyński, uznawszy wszystko, co ziemskie, za marne i znikome, nie wydobył z tego przeświadczenia takiego wniosku, jak humaniści: »używajmy życia, dopóki żyjemy«, lecz pożądał raczej śmierci, jako wybawicielki od nędz ludzkich. Zdawał on sobie doskonale sprawę z przeciwieństw między pragnieniami ciała i duszy i wołał ze smutkiem w swych sonetach: »I nie miłować ciężko i miłować« [1]). Nie miłować trudno, boć miłość nakazana

[1]) Sonetem nazywamy bardzo kunsztowny, krótki, 14-owierszowy utwór poetyczny, w którym poszczególne wiersze rymują się w ściśle określony sposob, a całość dzieli się na dwie części. Pierwsza zawiera dwie zwrotki czterowierszowe, druga dwie zwrotki trójwierszowe.

nam jest przez naturę, a miłować ciężko, boć wszystko, i to, co kochamy, mieni się i psuje. Złoto, sława, rozkosz i »stworzone piękne oblicze« — wszystko to jest tylko cieniem »wiecznej i prawej piękności«. Ku niej więc dążyć nam należy i ku temu, który jest źródłem dobra wieczystego, ku Bogu.

Poematy historyczne, rycerskie Szarzyńskiego świadczą o opisowej także zdolności tego poety. Śmierć jednak kazała mu zbyt rychło zamilknąć.



Fig. 35. Sebastyan Klonowicz.

I Kochanowski i Szarzyński odznaczali się uczuciami łagodnemi i obaj zasłynęli — Szarzyński w mniejszym oczywiście stopniu — jako lirycy. Utworów opisowych większych, o znaczniejszej wartości, nie pozostawili po sobie. Brakło więc w poezyi polskiej jednej gałęzi, która szeroko już, świetnie rozwinęła się była w owych czasach w krajach zachodnich i południowych, brakło poezyi epicznej (opisowej).

Zapobiegł temu brakowi po części

Sebastyan Klonowicz z rodu mieszczanin wielkopolski, w młodych latach urzędnik w magistracie lwowskim, a później burmistrz Lublina. Był to jednak umysł bez żywszej wyobraźni, wypadający łatwo z równowagi, skłonny na widok nieprawości do gniewu, umysł rozumujący przytem ciągle, gotów zawsze do rozprawy z przeciwnikiem. Zamiast dawać żywe i piękne opisy, wolał Klonowicz pouczać, rozprawiać, a czasem się gniewać, rzadko zaś potrafił zdobyć się na tyle spokoju, by nakreślić plastyczny (wyrazisty) obraz czy natury, czy ludzi.

Zdołał uczynić to w opisie Rusi Czerwonej *(Roxolania)*, poemacie epicznym, bardzo pięknym, niestety pisanym po łacinie[1]). Jakie barwne tam

[1]) Na język polski przełożył Roxolanię Syrokomla.

obrazy pięknej ziemi polsko-ruskiej, znaczniejszych grodów (Lwowa, Przemyśla, Kijowa), zwyczajów i obyczajów ruskiej ludności. Może najładniejsza to rzecz z wszystkiego, cokolwiek napisał, choć poemat ten jest jednym z jego najwcześniejszych.

Inny utwór, po polsku już pisany, »Flis« nie odznacza się niestety temi zaletami. Nie opis podróży Wisłą (z Warszawy do Gdańska) był głównym celem poety, ale raczej pouczenie czytelnika, jak żeglować należy. Prawda, że poznajemy z poematu także obyczaje flisaków, ich język, miejscowości, około których przepływają, ale opisy te toną w morzu rad i przestróg.

Uczyć społeczeństwo swoje chciał też poeta w innym wielkim utworze, znów łacińskim, p. t. »Zwycięstwo bogów« *(Victoria deorum)*, lecz nie chodziło tu już Klonowiczowi o jakieś szczególne okoliczności, wśród których człowiek może się znaleźć, ale o całe życie jego, o to, jaką powinna być jednostka i społeczeństwo całe. Jako mieszczanin wykazuje gorliwie, że prawdziwe szlachectwo nie polega na herbach i bogactwie, ale na cnocie, na duszy szlachetnej, na życiu uczciwem.

Jeżeli w Zwycięstwie bogów obok pouczania i moralizowania odzywa się tu i ówdzie ton satyryczny, to wprost satyrą[1]) jest najgłośniejszy do dziś utwór Klonowicza: »Worek Judaszów«. Mówi podanie, że Judasz nosił u pasa worek zszyty z czterech skór: wilczej, lisiej, rysiej i lwiej. Stosownie do tych czterech części worka mówi autor o czterech rodzajach łupiezców: o złodziejach, oszustach, pieniaczach i magnatach, co broją bezkarnie, ale tych ostatnich zbywa krótko, »bo strach pisać o tej skórze wiele«. W obrazach roztoczonych przed oczyma czytelnika jest dużo życia i dużo siły i te zalety pokrywają częściowo brak artystycznego układu. Nawet dziś czytamy chętnie ów utwór, dowiadując się ze zdziwieniem o takich rysach wśród współczesnych poecie, jakichbyśmy im nie przypisywali.

Któż dziś np. przypuszczałby, że w Polsce w XVI. w. znajdowali się handlarze ludźmi. A jednak Klonowicz mówi wyraźnie, iż łotrowi takiemu »mało na tem, iż obory kradnie« —

»Ale i wolne ciała zawodzi w kraj cudzy
I przedaje na targu, mówiąc, że są słudzy.
Wywodzi ich na rynek właśnie jakby konie
I pastwi się nad niemi w nieznajomej stronie«.

[1]) Satyrą zowiemy utwór poetyczny, który kreśli w obrazach przywary i błędy ludzkie, niekiedy szydząc z nich, niekiedy chłoszcząc bezlitośnie.

Albo ów ustęp o »pątnikach«, którzy poto tylko »pielgrzymują« do Włoch, aby tam sobie cugli popuścić:

»Już się polscy pątnicy uprzykrzyli Włochom,
Którzy się przypatrzyli naszych ludzi fochom.
Jedzą wiele, często się upijają radzi,
A jednego występek wielu naszym wadzi,
I często z kilku łotrów szacują nas wszytkich,
I tak się musim wstydzić ich przymiotów brzydkich«.

A takich obrazów znamiennych, zadziwiających nas dzisiaj swą treścią, jest w Worku Judaszowym bez liku.

Ze smutkiem przecież wyznać trzeba, że Klonowicz oznacza już powolne chylenie się poezyi polskiej po krótkim, świetnym rozkwicie — ku upadkowi. Że ten zwrot nie nastąpił zbyt nagle, że przez czas jakiś, choć niedługi, utrzymała się ona jeszcze na wyżynach, to zawdzięczyć musimy rówieśnikowi Klonowicza, również mieszczaninowi z rodu, równie jak on piszącemu po łacinie i po polsku, a świetnemu znawcy literatur starożytnych i ich miłośnikowi. Poetą tym był

Szymon Szymonowicz (ur. 1558. we Lwowie, um. 1629). Świetne wychowanie i niezwykłe wykształcenie uzdolnionego młodzieńca skłoniło wielkiego Zamojskiego do zajęcia się nim. Stosunki między poetą a kanclerzem zacieśniły się, gdy Szymonowicz wystąpił w szeregu utworów w obronie swego opiekuna przed napaściami zawistnych magnatów i gdy na zlecenie jego zajął się urządzeniem akademii zamojskiej. Za wpływem Zamojskiego uzyskuje Szymonowicz szlachectwo, a znaczenie jego wśród współczesnych rośnie, gdy papież Klemens VIII. za poemat łaciński p. t. »Prorok Joel« przysyła mu wieniec poetycki.

Podziw budził jego dramat: »Czysty Józef« *(Castus Joseph)* pisany również po łacinie, a zupełnie już na wzór dramatów greckich, ale sławę trwałą, bo nieprzebrzmiałą do dzisiaj, zyskał sobie dopiero Szymonowicz przez wydanie zbioru poezyi p. t. Sielanki (1614).

Co nazywamy sielanką? utwór poetyczny, kreślący sielskie życie ludzi spokojnych, zazwyczaj szczęśliwych, najczęściej pasterzy. Rodzaj to poezyi wsławiony w III. w. przed Chr. przez greckiego poetę Teokryta, a w dwa wieki później przez rzymskiego Vergiliusa. Wszelako późniejsi naśladowcy, starając się kreślić w sielance obrazy pełne prostoty, popadali w przesadę, dawali rzeczy ckliwe, pasterzom kazali kochać się jak romansowym kawalerom, inni zaś pod postacią pasterzy i pasterek przedstawiali (jak to i Vergilius już czynił) ludzi z wielkiego świata.

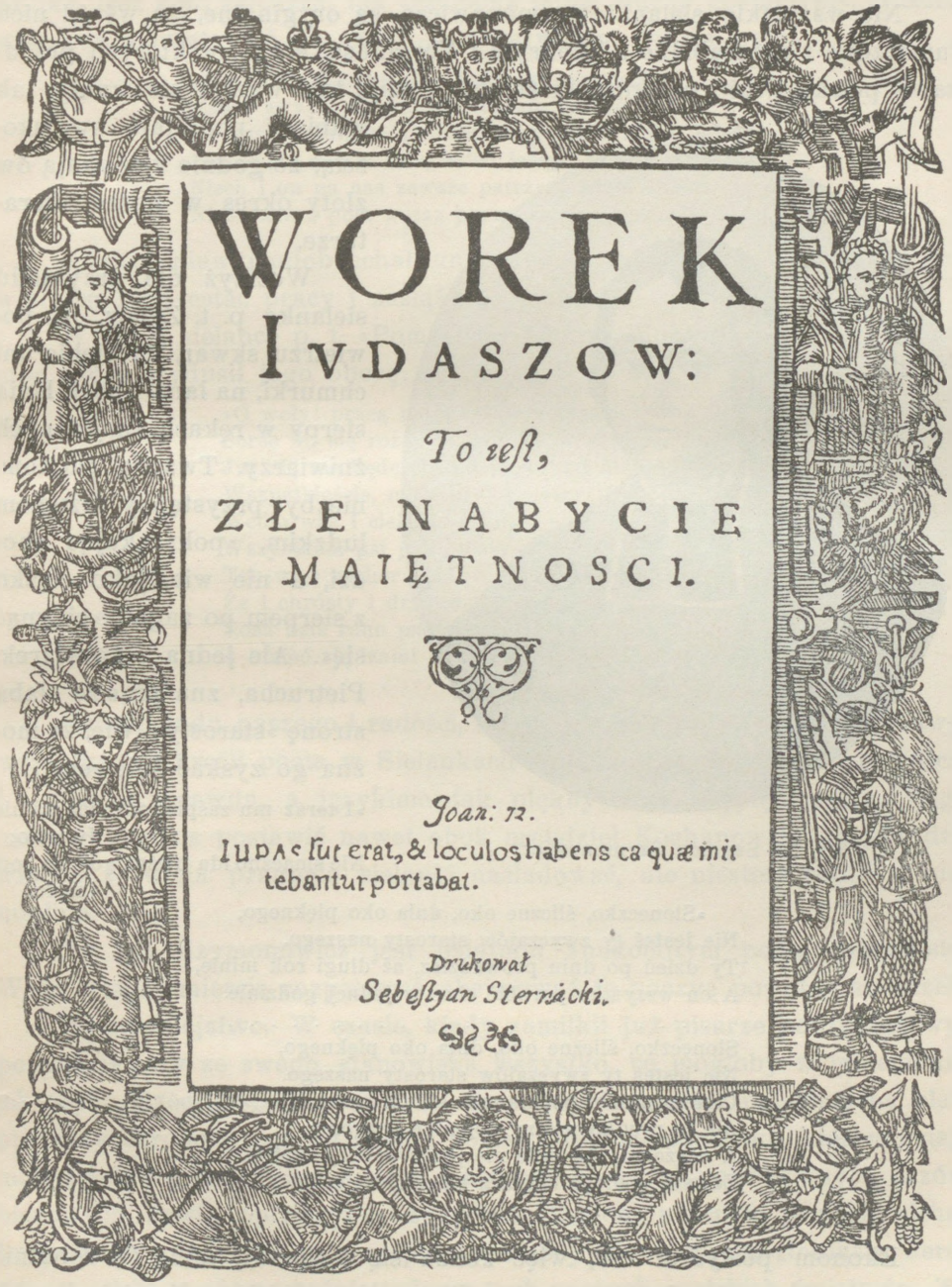

Fig. 36. Karta tytułowa »Worka Judaszów«.

Nie wszystkie sielanki Szymonowicza są oryginalne, są wśród nich tłumaczone i przerabiane z Teokryta i Vergiliusa, ale te, w których przedstawił polską wieś i polskich wieśniaków, mają taki wdzięk niezwykły, tak wabią i podbijają swojskością, że godnie zamykają ów złoty okres w naszej literaturze.

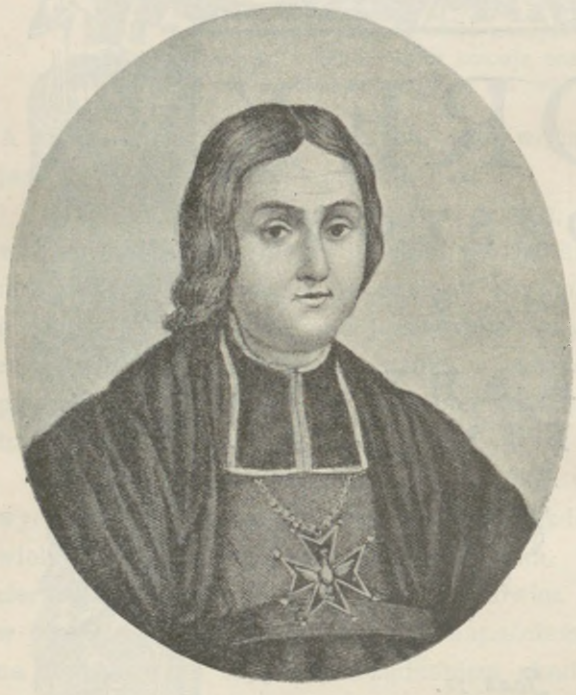

Fig. 39. Szymon Szymonowicz.

Weźmyż dla przykładu sielankę p. t. Żeńcy. W powietrzu skwar, na niebie ani chmurki, na łanie zboża lśnią sierpy w rękach zmęczonych żniwiarzy. Twardy ekonom, niezbyt przystępny uczuciom ludzkim, »pokrząkując chodzi, a nie wie, jako ciężko z sierpem po zagonie ciągnąć się«. Ale jedna z żniwiarek, Pietrucha, zna przecie słabą stronę »starosty«, wie, że można go zyskać śpiewem...

»I teraz mu zaśpiewam, acz mi nie [wesoło;
Nie smaczno idą pieśni, gdy się poci [czoło.

»Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.
Ty dzień po dniu prowadzisz, aż długi rok minie,
A on wszystko porobić chce w jednej godzinie.
. . . . . .
Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.
Ciebie czasem pochmurne obłoki zasłonią,
Ale je prędko wiatry pogodne rozgonią:
A naszemu staroście nie patrz w oczy śmiele,
Zawsze u niego chmura i kozieł na czele«.
. . . . . .

Ekonom posłyszał coś, więc zbliża się z surową miną do robotnic »i nakłada ucha«. A wówczas sprytna Pietrucha zmienia treść swej piosnki. Prosi słonka, by pouczyło starostę, iż jak gwiazdy gromadzą się nie koło

słonka, lecz koło księżyca, tak »czeladka lepiej słucha gospodyni«. Niechże więc pan starosta już się ożeni — a wszystkim będzie lepiej.

»Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Naucz swych obyczajów starostę naszego.
Ty nas ogrzewasz, ty nam wszystko z nieba dajesz,
Bez ciebie noc; z tobą dzień jasny, gdy ty wstajesz:
Niech i on na nas zawsze patrzy jasnem okiem;
Niech nas z pola wezas puszcza, nie z ostatnim mrokiem«.

Koniec śpiewki udobruchał gniewnego starostę. Pozwolił nawet żniwiarzom zaprzestać pracy i zasiąść do jadła.

W innej sielance p. t. »Pomarlica« biedny Wonton skarży się na pomór, który wydusił jego oborę:

»O woły! pracą moją pilnie wypasione,
Serce mi się rozsiada, gdy na was wspomionę!
Już się nie będę chełpił pięknymi nabiały —
Wszystkieście, moje krowy, wszystkie pozdechały!
Wedle was i cieliczki padły i ciołacy;
Wszystkich psi jedli, wszystkich jedli grubi ptacy!
Tak więc wicher obali w borze sosny całe,
Że i chrósty i drzewka nie zostaną małe.
Rosa dziś rano padła, trawy otrzeźwiały,
A mnieć się łzami oczy tylko nie zalały«.
. . . . . .

Smutki ludu naszego i radości, obyczaje i przesądy, zajęcia i zabawy, wszystko to kreśli poeta w Sielankach swoich z niezwykłą barwnością i z niemałą prawdą, a językiem tak pięknym, że najpiękniejsze z jego utworów można postawić nawet obok arcydzieł Kochanowskiego. Nic dziwnego, że wielu pragnęło sielanki naśladować, ale niestety robili to nieudolnie.

Bo też Szymonowicz jest ostatnim znakomitym poetą-humanistą. Wraz z jego śmiercią rozpoczyna obejmować tę poezyę powolny zmierzch.

Kaznodziejstwo. W czasie, kiedy zamilkli już pisarze polityczni, wypowiedziawszy ze swego stanowiska wszystko, co mogłoby w mniemaniu ich ocalić Rzeczpospolitą, wysuwa się w piśmiennictwie polskiem na plan pierwszy skromna, pokorą zgięta, postać kapłana-zakonnika, któremu najmilszą lekturą jest Pismo święte, a którego barki od dobrowolnych razów biczowych krwią opływają co tygodnia. Czołem przed tą postacią cichą! bo to jeden z naszych mocarzy pióra, potężny talent, mowca złotousty, Jeremiasz polski, a równocześnie jeden z tych naszych »polskich świętych«. To

Piotr Skarga Pawęski (1536—1612). Zakonnik Jezuita, kaznodzieja katedry lwowskiej, potem rektor akademii wileńskiej, potem przeło-

żony OO. Jezuitów przy kościele św. Barbary w Krakowie, wreszcie kaznodzieja króla Zygmunta III. przez lat 24, był Skarga przez całe życie niesłychanie czynny, niezmordowany wprost, oddany cały Bogu i ojczyźnie. Założył wiele bractw pobożnych, stworzył bractwo opieki nad więźniami, bank dla biednych, spieszył zawsze i wszędzie z pomocą duchową i materyalną wszystkim potrzebującym, zamykając się sam w ciasnej, ubogiej celce.

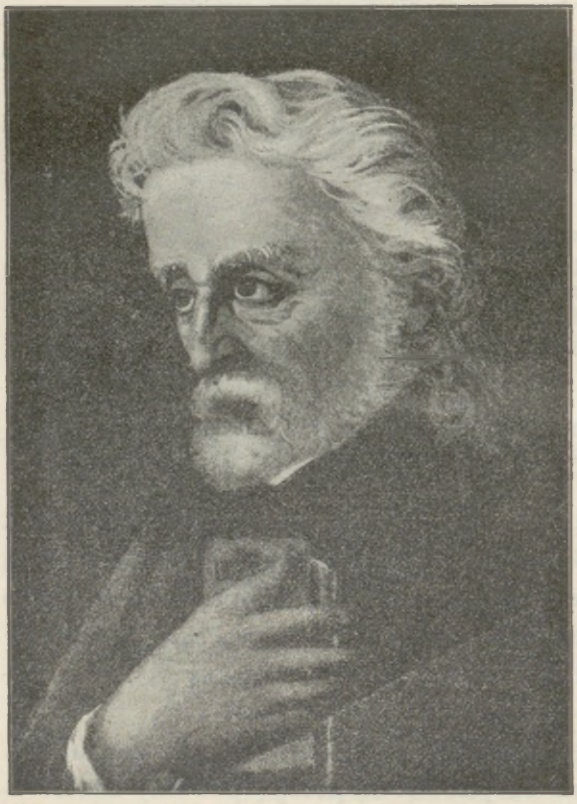

Fig. 38. Ksiądz Piotr Skarga.

We Lwowie, w Wilnie, w Krakowie nawrócił mnóstwo różnowierców, wśród nich kilku z możnego rodu książąt Radziwiłłów. Walczył ze schizmą słowem i piórem, przyczynił się do powstania Unii brzeskiej, przeciwdziałał rokoszowi Zebrzydowskiego, a wśród tych wyczerpujących siły prac i zajęć, pisał niezwykle wiele, a pisał tak, jak w prozie nikt jeszcze przed nim nie potrafił.

Kim był Skarga jako pisarz? Zaprawdę odpowiedź na to pytanie nie łatwa. Był historykiem, bo wydał nieocenione, prześliczne, czytane do dziś pilnie »Żywoty świętych«, był uczonym teologiem, jak o tem świadczy prócz innych znakomite dzieło »O jedności kościoła Bożego«, był niepospolitym kaznodzieją, czego dowody złożył w kazaniach na niedziele i święta i w kazaniach przygodnych, ale był prócz tego genialnym politykiem, wprost jasnowidzem, prorokiem, o czem czwartemu już pokoleniu porozbiorowemu mówią jego »Kazania sejmowe« (1597).

Kazania? Tak jest. Przed zebranymi posłami, senatem, monarchą i dworem królewskim padały z ust jego słowa, czasem potężne jak piorun,

czasem bolesne jak łkanie serdeczne, a czasem prorocze jak gdyby objawienie boże. Modrzewski i inni przemawiali do szlachty w imię rozsądku, w imię sprawiedliwości i nadchodzącego jutra, Skarga, kapłan i zakonnik, postanowił przemówić w imię religii, wstrząsnąć sumieniami, wykazać, że postępowanie szlachty i możnych jest nie tylko zgubne, ale jest — grzeszne,

Kazań sejmowych wydanych jest ośm. Roztrząsa w nich kaznodzieja »sześć szkodliwych chorób« Rzeczypospolitej, które jej »blizką śmierć ukazują«. A choroby te to: nieżyczliwość ludzi ku Rzeczypospolitej i prywata, niezgoda i rozterki sąsiedzkie, naruszenie religii katolickiej i herezye, osłabienie dostojności i władzy królewskiej, prawa niesprawiedliwe i wreszcie grzechy jawne o pomstę do Boga wołające.

Ażeby obrzydzić owe grzechy, przypomina najpierw Skarga, przeciwko komu je się popełnia — przeciw matce swojej!

»Jakoż najmilejszej matki swojej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła i wychowała, nadała, wyniosła? Bóg matkę czcić rozkazał! Przeklęty, kto zasmuca matkę swoją. A która jest pierwsza i najzasłużeńsza matka, jako ojczyzna, od której imię macie i wszystko, co macie, od niej jest?... Patrzcie, do jakich dostatków i bogactw i wczasów ta was matka przywiodła, a jako was ozłociła i nadała, że pieniędzy macie dosyć, dostatek żywności, szaty tak kosztowne, sług takie gromady, koni, wozów takie koszty, dochody pieniężne wszędzie pomnożone. Sama tylko matka mało ma... Pierwej samodziałki boki wasze pokrywały, a teraz aksamity i jedwabie... Pierwej proste potrawy, a teraz ptaki i kapłony. Pierwej jedna misa wszystkim, a teraz półmisków kilkadziesiąt. O najmilsza matko, już zbytkują dzieci twoje! źle tych dostatków używają, na grzechy, na sprosności, na utraty, na próżności! »A ja co winna? mówi, mają rozum, mogą tych darów używać na chwałę Bożą, na obrony i zamki i inne na zły czas gotowości i do zbawienia przysługi. Ja nie winna, iżem w dawaniu matka; oni winni, co mnie nie słuchają, a dobroci mojej i Boskich darów źle używają«.

A jakiż straszny obraz przyszłości roztacza kaznodzieja przed zebranymi posłami w kazaniu 3-em o niezgodzie domowej:

»Nastąpi postronny nieprzyjaciel, jąwszy się za wasze niezgody, i mówić będzie: »Rozdzieliło się serce ich, teraz poginą«. I taka niezgoda przywiedzie na was niewolę, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą... Język swój i naród swój pogubicie i ostatki tego narodu tak starego i po świecie szeroko rozkwitnionego potracicie i w obcy się naród,

który was nienawidzi, obrócicie, jako się inszym przydarzyło. Będziecie nie tylo bez pana krwie swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwej ważono, będą. Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli, w głodzie, w pragnieniu, w obnażeniu i we wszystkiem niedostatku i włożą jarzmo żelazne na szyje wasze...«

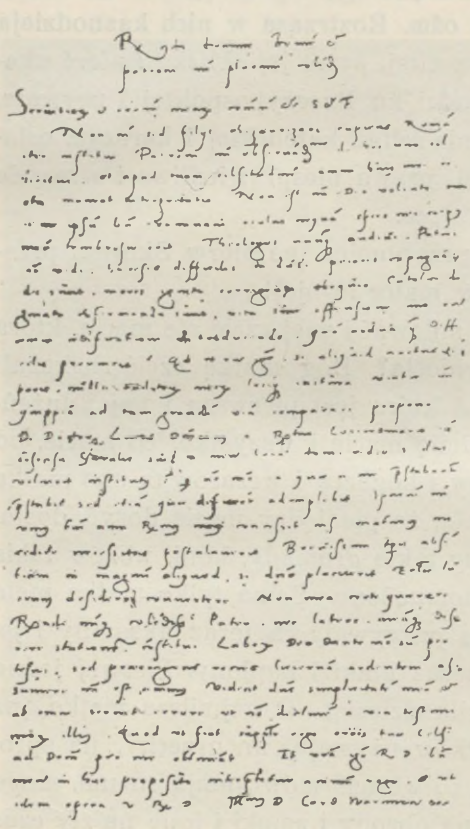

Fig. 39. Rękopis księdza Skargi.

My, czwarte już pokolenie pogrobowe, widzimy, z jaką straszną dokładnością ziściły się te złowrogie proroctwa kapłana. Wszystko przewidział, wszystko przepowiedział! Otośmy dziś bez królestwa swego, wzgardzeni, ubodzy, znieważani przez tych, którzy nam czołem bili, z żelazną obręczą na szyi... Wszystko się sprawdziło! Nie można do dziś czytać tych słów ze spokojem, coś nas dławi, coś rwie się w nas i targa.

Ale jak balsam spływa na nas pociecha wypowiedziana w kazaniu ósmem: o niekarności grzechów jawnych.

»Tyś, Panie, rzekł — woła Skarga: ‚jeśli naród on pokutować będzie, opuszczając złość swoją, ja też odmienię to złe, którem umyślił czynić im'. Pokutujmyż, a wracajmy się do Pana Boga naszego: a on sam uleczy jako począł... Ożywi nas i po dwu dniu trzeciego dnia wzbudzi nas. Pierwszy dzień niech będzie żałości i skruchy prawej i spowiedzi grzechów naszych, drugi — poprawy i nagrody wszelakiej do pokuty prawej potrzebnej, a trzeci dzień — usprawiedliwienia naszego«.

Dzień pierwszy jużeśmy przeżyli, dzień drugi już się rozpoczął, kiedyż nadejdzie dzień trzeci?

Kazania sejmowe Skargi są najpiękniejszem zjawiskiem wśród prozy polskiej w szesnastym wieku. Jest w nich polot poetyczny, a przytem

wielka prostota; widać, że artysta świadomy swej sztuki, nie nadużywa środków krasomówczych, czasem zapomina o nich pozornie i właśnie przez to działa tem pewniej.

Czyż trzeba dodawać, że napięcie uczucia patryotycznego nigdy jeszcze i u nikogo nie było tak silne? Że w Kazaniach zespoliła się przedziwnie gorąca miłość Boga z miłością ojczyzny? że nigdzie wreszcie nie spotkaliśmy się z taką znajomością natury polskiej, jak w nich właśnie, i nigdzie z tak śmiałem odsłonięciem wszystkich wad i błędów przyrodzonych nam i nabytych.



Fig. 40. Marcin Kromer.

Dziejopisarstwo. Obraz piśmiennictwa złotego wieku nie byłby zupełnym, gdybyśmy nie wspomnieli o naszych historykach. Nieświadom istotnego stanu rzeczy przypuszczałby niezawodnie, że ta gałęź naszej literatury, oparta o dzieła wielkiego Długosza, rozwinie się świetnie, zdobędzie nowe sposoby badania i przedstawiania dziejów. Przypuszczałby tak i omyliłby się. W wieku XVI. widoczny raczej zastój, niż postęp. Mamy w tym czasie naprzykład jednego historyka, który pisze dzieje powszechne — Marcina Bielskiego — ale ten nie okazuje tej bystrości w ocenie źródeł, co Długosz, przytacza wiele bajek, wymysłów, słowem nie ma wy-

robionego zmysłu krytycznego. Syn jego Joachim Bielski, choć źródeł szuka pilnie, nie umie się pozbyć w swej Kronice polskiej wad ojca. Ceniony ogromnie przez współczesnych Marcin Kromer opiera się w dziele swem pisanem po łacinie: »O pochodzeniu i dziejach Polaków« głównie na Długoszu.



Fig. 41. Maciej Stryjkowski.

Słowem w kronikach pozostajemy w tyle i za wiekiem XV. i za współczesną Europą. Bardzo np. uczony historyk Maciej Stryjkowski nie umie nadać swej »Kronice polskiej, litewskiej, żmudzkiej i wszystkiej Rusi« jasnego układu, ani też ocenić należycie wartości źródeł, z których korzysta.

Mamy zato w tym czasie znakomitych monografów, t. j. pisarzy przedstawiających poszczególne wypadki dziejowe, a wśród tych na plan pierwszy wysuwa się towarzysz wypraw wojennych Stefana Batorego Reinhold Heidenstein, autor dzieła łacińskiego »O wojnie moskiewskiej« i »Dziejów polskich od śmierci Zygmunta Augusta«. Jego to uważamy dziś za najznakomitszego przedstawiciela dziejopisarstwa polskiego w XVI. wieku.

Gdy przypomnimy sobie, jak wyglądał nasz dorobek literacki na początku szesnastego stulecia, a jak przy jego schyłku, ujrzymy olbrzymi, nadzwyczajny wprost rozwój. Z niepozornego pączka rozwinęła się nasza literatura w kwiat pełny, prześliczny, wstąpiła na wyżyny przedtem nieznane. Wszechwładny do niedawna język łaciński ustąpił prawie zupełnie miejsca językowi ojczystemu, a pod piórem takich mistrzów, jak Górnicki, Kochanowski, Skarga, język ten stał się zdolnym do wyrażania najróżnorodniejszych wrażeń, uczuć i myśli. Tak w poezyi jak w prozie widoczny jest prawdziwy artyzm, pisarze nasi myślą nie tylko o tem, co mają powie-

dzieć, ale wiedzą doskonale, jak muszą mówić, ażeby wywrzeć pożądane wrażenie.

Te środki artystyczne wzięli nasi poeci i prozaicy od starożytnych, u których wszyscy kształcili się, których uwielbiali. Od nich przyjęli wszystkie niemal formy, zwłaszcza w poezyi, a z czasem nawet coś więcej, bo pojęcia filozoficzne, bo pogląd na świat i życie. A jednak naśladowcami prostymi starożytnych nie byli. Zapatrzeni w obce wzory odnosili wszystko do stosunków rodzinnych, pisali dla swoich, dbali o swój kraj i o jego potrzeby, byli wszyscy bez wyjątku pisarzami narodowymi.

Proza jest bujniejszą, pełniejszą od poezyi. W poezyi rozwinęła się świetnie naprawdę tylko liryka. Lirykiem jest Janicki, Kochanowski, Szarzyński. Obok niej kroczy satyra, zwłaszcza polityczna, należy bowiem dodać, że prócz Kochanowskiego (w Satyrze i Zgodzie) i Klonowicza, mieliśmy w tym wieku innych także satyryków, mniej dziś znanych i czytywanych, jak Marcina Bielskiego (kronikarza) lub braci Andrzeja i Piotra Zbylitowskich. Ale inne działy poezyi leżą prawie odłogiem.

Zato w prozie jakież życie, jaka rozmaitość, jaka nierzadko — potęga! Literatura polityczna święci swoje gody, religijna ma przedstawicieli znakomitych — między innymi obrońcę katolicyzmu Hozyusza, w kaznodziejstwie dość wymienić Skargę, w dydaktycznem zaś (pouczającem) piśmiennictwie Żywot Reja lub Dworzanina Górnickiego. Nawet dziejopisarstwo, choć za innymi działami prozy nie podąża dość szybko, może się poszczycić Heidensteinem. Słowem rozkwit prawdziwy, ogromny, ilością i jakością zdumiewający. Nie nadarmo nazwano ten wiek złotym wiekiem w naszej literaturze!

DOBA ZASTOJU

OD POCZĄTKU XVII. WIEKU DO JEGO SCHYŁKU.

Wiek XVI. był wiekiem walk duchowych, ścierania się rozmaitych zdań i poglądów, to też wydał bogatą literaturę — przedewszystkiem polityczną. Wiek XVII. jest dobą walk fizycznych z nieprzyjaciółmi wewnętrznymi i ościennymi, w takich zaś czasach literatura schodzi zazwyczaj na plan drugi. A są to właśnie czasy, na które przypada nieszczęsny rokosz Zebrzydowskiego, wyprawa wołoska z klęską cecorską, bunt Chmiel-

nickiego, najazd Szwedów, wzięcie Podola i Ukrainy przez Turków... Szlachta nie zsiadała z konia, w ręku dzierżyła miecz nie pióro, a jeżeli brała się do pisania, to albo poto, żeby przedstawić wypadki, w których brała udział, albo żeby się pisaniem zabawić. Żywioł zaś mieszczański znika w literaturze, bo miasta, zgnębione przez szlachtę, w upadku.

To, co przedtem do pisania popychało, te walki i spory o formę rządu, o udział w nim szlachty, o wyznanie religijne, to wszystko teraz ustaje. Szlachta dostała się już do steru i teraz pragnie tylko ochronić od zamachów »złotą wolność«; poczyna używać... Różnowiercy pokonani, katolicyzm tryumfuje. Z początkiem wieku padają ostatnie strzały, ale stroną atakującą są teraz katolicy, nie protestanci. Z czasem nastaje cisza zupełna. Zapał dla humanizmu ostygł już również. Słowem wszędzie zastój, wszędzie obniżenie dawnego poziomu.

Szkoły były wprawdzie liczniejsze niż w poprzedniem stuleciu, ale nauczanie w nich pozostawiało wiele do życzenia. Akademia krakowska podupada teraz coraz bardziej, zamojska zaś i wileńska ledwie dają znaki życia. W podobnym upadku znajdują się kolonie akademickie. Rozpowszechniają się wprawdzie szkoły jezuickie i pijarskie, ale poświęca się w nich zbyt wiele czasu teologii i uprawia się z zapałem zbyt wielkim łacinę ze szkodą innych nauk. Niebawem rozpoczną się gorszące walki między akademią krakowską a Jezuitami i Jezuitami a Pijarami. W walkach tych chodzić będzie zawsze o przywilej nauczania w jakiejś miejscowości, Akademia będzie się sprzeciwiała zakładaniu szkół przez Jezuitów, Jezuici będą walczyli przeciw powstawaniu szkół pijarskich. W walkach tych wezmą wkońcu udział także uczniowie i będą się zaprawiali za młodu do sporów a nawet bijatyk! Smutne to są doprawdy czasy.

W wieku XVI. stan szkół nie był też świetny, ale był zapał dla humanizmu, ale młodzież wyjeżdżała na obce uniwersytety i wracała do kraju skąpana w źródle wiedzy europejskiej. Obecnie wyjazd za granicę ustaje i w ten sposób zrywa się ostatnia nić, wiążąca nas bezpośrednio z zachodem.

Poezya religijna. Mówimy dlatego najpierw o utworach o silnem zabarwieniu religijnem, bo religijność owa i pobożność zjawia się nie tylko czasowo najwcześniej, ale wyciska ona znamienne piętno na całem życiu umysłowem, a w ślad za tem i na piśmiennictwie wieku siedmnastego. Nigdy nie byliśmy tak skłonni do religijnych uniesień jak wówczas, nigdy nie czciliśmy tak gorąco imienia Maryi, jak w tym czasie, nigdy zapał reli-

gijny nie wydawał takich wręcz widomych owoców, jak wówczas. Dość przypomnieć oblężenie Częstochowy...

Cóż dziwnego, że i w literaturze przesiąknięte jest wszystko tym duchem czasu, że mnożą się utwory religijne w takiej obfitości, jak nigdy przedtem ani potem.

Pisze je już przy schyłku szesnastego wieku i na początku siedmnastego ks. Stanisław Grochowski, pisze Kasper Miaskowski, ale najświetniejszym przedstawicielem ówczesnego prądu religijnego jest

Wespazyan z Kochowa Kochowski (ur. 1630, um. 1699), uczeń akademii krakowskiej, potem rycerz w wojnach kozackich i szwedzkich, wspólnik rokoszu Lubomirskiego w dobrej wierze, a z czasem podkomorzy z łaski króla Jana III., »uprzywilejowany dziejopis« królewski. Z królem Janem wyruszył też na wyprawę wiedeńską, a po wyprawie zamknął się w swojej wiosce, oddał się pobożnym rozmyślaniom i czekał tu śmierci zatopiony w modlitwach.

Gdybyśmy chcieli wskazać typowego szlachcica ziemianina z wieku siedmnastego z jego nawyknieniami, wierzeniami, z brakiem stałych i silnych zasad w życiu, ale poczciwego, kochającego ojczyznę po swojemu i szkodzącemu jej bez swojej woli, to wskazalibyśmy Kochowskiego. Wyobrażamy go sobie jako dobrego gospodarza i dzielnego rycerza, a przytem sodalisa Maryańskiego, odmawiającego pilnie godzinki, nie opuszczającego żadnego odpustu, a odgrażającego się przy każdej sposobności niecnym heretykom. Bardzo to zajmująca postać, a przez swoje nawskróś polskie znamiona sympatyczna.

Na wielkie rzeczy Kochowski się nie porywał, a przynajmniej rzadko. Pisał przeważnie drobne utwory, a te znowu w ogromnej większości na chwałę Bożą. W zbiorze lirycznych swych wierszy »Nieprożnujące próżnowanie« całą księgę drugą, poświęconą Matce Boskiej, zapełnił pieśniami pobożnemi, modlitwami do Matki Jezusa, psalmami pokutnymi. W innych księgach są już utwory różnej treści, miłosne, lekkie i poważne, a nie brak też wierszy opiewających wypadki historyczne. Z tych ostatnich przebija wszędzie głęboki patryotyzm, choć często źle widzący i rozumujący.

Co bardzo znamienne, to fakt, że nawet w zbiorze »Fraszek« (dwie księgi) znajdują się niektóre, wywołane religijnem uczuciem. Ale większość jest wesoła, często dowcipna, a nie rzadko — co dziwne u Kochowskiego — nieprzyzwoita. Człowiek ten umiał pogodzić gruby żart, tak gruby, że czasem nie da się powtórzyć, z budującą pobożnością.

Pobożnością tą wiedziony obierał czasem tematy, które z natury rzeczy nie nadają się do poetycznego opracowywania. Jakże bowiem zrobić poemat z przydomków Panny Maryi, choćby o każdym napisać ładnych nawet kilka wierszy. A jednak Kochowski, obrawszy sobie za wzór ogród szlachecki podzielony na »szpalery i kwatery«, podzielił na podobne grupy przydomki Matki Boskiej, a opatrzywszy każdy kilku wierszami, napisał »Ogród panieński pod sznur pisma św. wymierzony«, nadając chybionemu w pomyśle dziełu dziwaczny w dodatku tytuł.

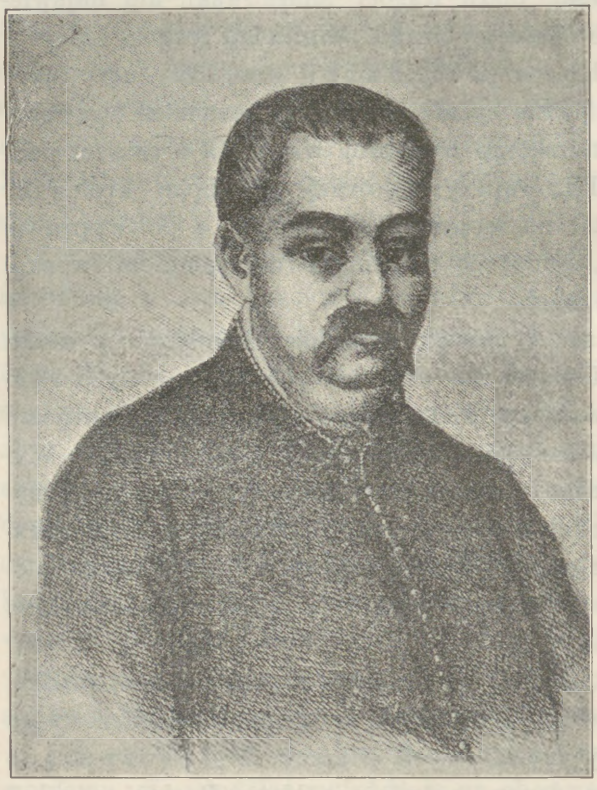

Fig. 42. Wespazyan z Kochowa Kochowski.

Tak samo trudno stworzyć poemat z różańca, a jednak Kochowski i o to się pokusił.

Ale obok utworów dziwacznych treścią i formą są, jak widzieliśmy, także ładne, a jest jeden wprost prześliczny. Głęboka religijność i szczery patryotyzm złączyły się razem i wydały dzieło, przypominające pienia starożytnych hebrajskich proroków. Podobieństwo nie jest przypadkowe. Kochowski naśladował w swej »Psalmodyi polskiej« rozmyślnie i szczęśliwie poetyczny język pisma świętego, naśladował formę psalmów hebrajskich. Umiał zaś uderzyć w ton niesłychanie wysoki, podniosły. Czy to raduje się z powodu wybrnięcia z grzechów, czy dziękuje Bogu za dobrodziejstwa, czy złorzeczy zrywającym sejmy, czy nuci pieśń tryumfalną z powodu zwycięstwa wiedeńskiego — wszędzie jest natchniony, niepospolity, wzniosły.

Oto wyjątek z psalmu XVI., opiewającego tryumf Jana III.:

»Boże! cośmy uszyma naszemi słyszeli, co nam ojcowie nasi powiadali: tego się teraz oczy ludu twego z pociechą napatrzyły.

Ręka Twoja, Panie, nie ludzka, pogany starła; a oto strachem zjęci z bystrego Dunaju wodami na wyścigi lecieli.

Patrzało na hardość ich wschodzące słońce — a toż na odwieczerzu widziało sromotnie rozgromionych.

Przepadli wszyscy purpuraci ich, którzy mówili: posiądźmy ziemię chrześciańską.

Stąd niech poznają, że Pan imię Twoje, o Jehowo!

Nie nam tedy, Panie! podłemu gminowi, ale Imieniu Twemu świętemu, które cudowne jest, niech będzie od nas chwała, wdzięczność i poszanowanie na nieprzeżyte wieki. Amen«.

Czyż nie przypominają nam się żywo psalmy Dawidowe?

A co jeszcze bardzo znamienne w Psalmodyi Polskiej, to pojmowanie Polski jako ludu wybranego, to wiara w podobieństwo jej losów z losami Izraela. Kiedyś po latach wielu mówić będą to samo i w tonie tym samym Mickiewicz, Słowacki i inni, ale poprzednikiem ich jest — i to pamiętajmy — Kochowski.

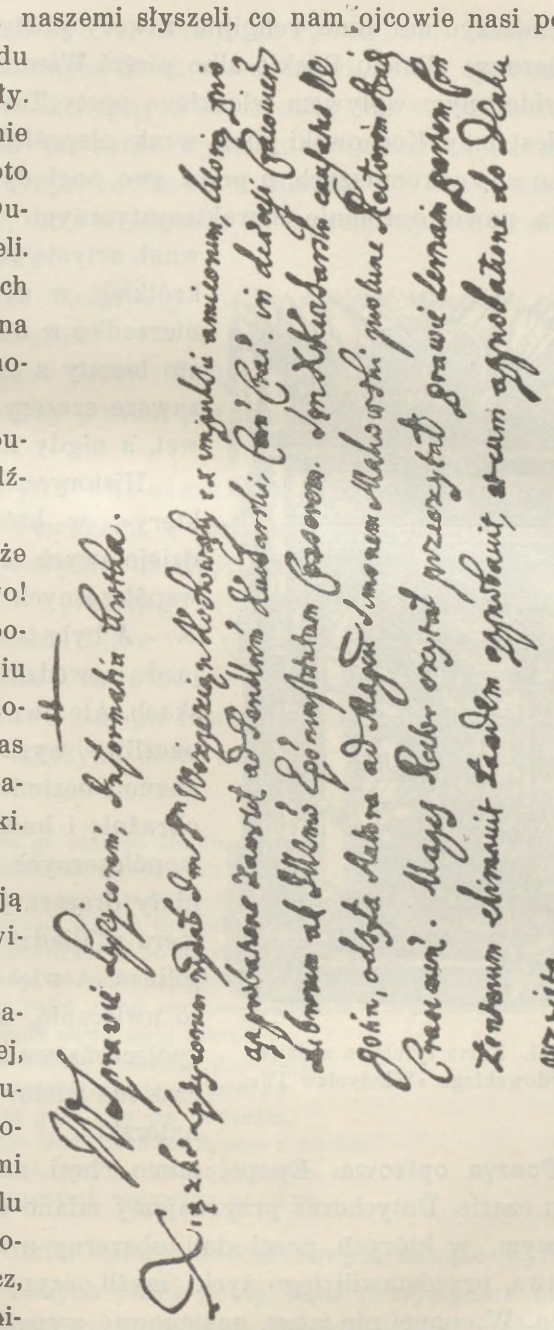

Fig. 43. Rękopis Kochowskiego.

Psalmodya jest najszczytniejszem dziełem Wespazyana. Nie mogą się

z nią mierzyć ani inne religijne utwory poety, ani poemat opisowy (niedokończony) »Dzieło Boskie albo pieśni Wiednia oswobodzonego«, pisany pod widocznym wpływem włoskiego poety Tassa.

Jest tedy Kochowski poetą wcale niepoślednim, w siedmnastym wieku jednym ze znakomitszych, a przez swe poglądy, przez swą pobożność niezwykłą, nawet ogromnie charakterystycznym. Kochanowskiemu nie dorównał, artystą zdołał być tylko w wierszach krótkich, w utworach większych popadał nierzadko w dziwactwa, opracowywał często tematy z gruntu niepoetyczne, ale był zawsze szczerym, czasem podniosłym nawet, a nigdy nizkim.



Fig. 44. Karta tytułowa z dzieła Twardowskiego »Władysław IV«.

Historycznem dziełem są jego »Klimaktery«, w których opowiedział barwnie dzieje swych czasów, dając wierną kronikę współczesnych wypadków.

A były to czasy buntów kozackich, najazdu szwedzkiego, klęski spadały po klęskach. Ale owe ciągłe wojny, najazdy, rozpaczliwe wysiłki obrońców, bohaterstwa znane i bezimienne musiały podniecać wyobraźnię i budzić myśl, że przed oczyma współczesnych rozgrywa się równie wspaniały dramat, jak ów opiewany przez Homera w Iliadzie czy w Eneidzie przez Vergiliusa. A więc — budziła się myśl — warto to uwiecznić, trzeba to spisać i tak dać społeczeństwu swemu to, czego ono dotychczas nie miało: wielki opisowy poemat bohaterski.

Poezya opisowa. Epopei mimo chęci najszczerszych nie stworzono w tym czasie. Dotychczas przyznajemy miano epopei tylko tym poematom opisowym, w których poeci dali obszerny a barwny obraz swego społeczeństwa, przedstawili jego życie, myśli, czyny i zajęcia. Ale i to nie wystarcza. W epopei nie mogą następować wypadki za wypadkami, nie wiążąc się z sobą, leez musi być jakiś węzeł łączący wszystkie zdarzenia w pewną całość; jedne osoby muszą się wydobywać na plan pierwszy, inne

znikać w półcieniu, czyli musi być to, cośmy już raz nazwali kompozycyą artystyczną. W wieku siedmnastym niema o tem mowy. Pisze np. obszerne poematy opisowe Samuel ze Skrzypny Twardowski, ale są to raczej rymowane kroniki biegnących po sobie wypadków, aniżeli dzieła sztuki. (Np. ogromny utwór p. t. »Wojna domowa z Kozaki i Tatary, Moskwą, potem z Szwedami i Węgry«, lub »Władysław IV«, poemat przedstawiający panowanie króla Władysława).

Epopei nie stworzył też obdarzony wielką zdolnością epicką, może najznakomitszy poeta tych czasów:

Wacław Potocki (um. 1696). Wielu z pism jego nie ogłoszono jeszcze drukiem, a najpiękniejszy poemat poznano dopiero w połowie wieku dziewiętnastego.

Poematem tym to »Wojna chocimska«, przedstawiająca zapasy między sułtanem tureckim Osmanem, a wojskiem polskiem pod wodzą Chodkiewicza. A opis to niezwykle barwny, nastrój poematu nierzadko podniosły, gorący, zdolność wyrazistego (plastycznego) przedstawiania rzeczy — zwłaszcza w opisach bitew — nadzwyczajna. Język śliczny, jędrny, pełen nowych wyrazów i zwrotów.

Oto wojsko nasze posuwa się po równinie przeciw »ścierwu bisurmańskiemu«. Jęczy ziemia »gęstymi ubita kopyty«, a na czele zastępów jedzie wódz sędziwy.

»Chodkiewicz, acz go starość długim wiekiem zgniata.
Jednak serca wielkością sił ciała nadpłata,
Twarz usławszy powagą i sędziwe skronie,
Na statecznym przed wojska krzepił się hładonie.
Igra krew w Lubomirskim, bo młodość krzemięzna
Żadnych szwanków na ciele, żadnych razów nie zna.
Jędrnie mu we lwiej piersi ono serce żywe,
Im bliżej czuje pole sławy swej szczęśliwe.
Pod nogami koń dzielny i według podoby,
Który do przyrodzonej chodzy i ozdoby
Widząc, że złotem gore i co ma za jezdca,
Stać spokojnie nie może, lecz na miesce z miesca
Stąpa, wymusknionej go szukając nodze,
Rzuca wodze i munsztuk upieniony głodze«.

Widzimy, ile w tym krótkim czternastowierszowym ustępie wyrażeń bądź nowych zupełnie, stworzonych przez poetę, bądź przejętych z mowy potocznej, widzimy, z jaką plastyką nakreślony ów koń i jego ruchy niecierpliwe. A ten piękny pełen siły język i wyrazista plastyka to nie jedyne zalety Wojny chocimskiej. Nie wolno nam bowiem zapominać o ogólnej

myśli poematu, o tem, że autorowi przyświecał ideał rycerza-obywatela »broniącego krwią własną ojczyzny i cywilizacyi europejskiej przed najazdem dziczy wschodniej«, że poeta patrzył na naród polski jako na żywą całość mającą swe posłannictwo. Z wierszy eposu przebija głęboka wiara, że Opatrzność czuwa nad losami jednostek i narodów, że naród wiodący życie uczciwe zginąć nie może, ale wzamian prędzej czy później prawica Boża dotknie »gwałcicieli prawdy i sprawiedliwości«. I dlatego to z takim zapałem kreślił Potocki wielkie czyny bohaterskie, a z ironicznym uśmiechem wspominał o »piecuchach« i »perfumowanych galantomach«.

A jednak i Wojna chocimska ma niedostatki. Ów nastrój podniosły, o którym wspomnieliśmy, nierzadko opada, a czasem znika zupełnie; opowiadanie główne przerywa mnóstwo uwag często długich, a nie wiążących się z całością, a całości owej brak, podobnie jak u Twardowskiego, artystycznego układu, wspólnego węzła, osnowy. To też i Wojna chocimska nie jest epopeją, choć jest jednym z najświetniejszych poematów opisowych z XVII. wieku.

Nie ma już tego znaczenia próba epopei religijnej, a w rzeczywistości przeróbka części Nowego Testamentu p. t. »Nowy zaciąg pod chorągiew starą tryumfującego Jezusa«. Rażą w utworze tym częste wyrażenia rubaszne.

Potocki pisał również powieści poetyckie, rodzaj jak gdyby romansów, rozpowszechnionych bardzo we współczesnej literaturze zagranicznej. Treść ich, stosownie do wzoru, z jakiego Potocki korzystał, jest mniej lub więcej fantastyczna, czasem w wysokim stopniu nieprawdopodobna. Do takich należy np. »Syloret«, w którym autor opisuje przygody aż trzech pokoleń, przyczem naraża bohaterów opowiadania na mnóstwo niebezpieczeństw, uśmierca ich na pozór i wskrzesza, każe im brać udział w morderczych bitwach, gubić się nawzajem i odszukiwać, dopóki wreszcie nie doprowadzi do pomyślnego rozwiązania. We wszystkich tych powieściach wydobywa się na plan pierwszy żywioł rycersko-romansowy, którego brakło w piśmiennictwie poprzedniego stulecia, we wszystkich odgrywa ważną rolę, zapomniana dawniej niemal w literaturze — kobieta.

Nierychło wyczerpalibyśmy szereg pism Potockiego, gdybyśmy chcieli wspominać o wszystkich. Prócz eposów historycznych i religijnych, prócz powieści napisał on wiele krótszych utworów historyczno-politycznych, mnóstwo fraszek (Jovialitates), treny na śmierć syna, rodzaj dramatu religijnego o Zmartwychwstaniu Pańskiem i t. d. Przypominamy, że wielu jego

utworów nie ogłoszono dotychczas drukiem, a nie wszystkie może odszukano.

Potocki jest jak gdyby uzupełnieniem Kochowskiego. Obaj obdarzeni niemałym talentem poetyckim, ale tamten przedewszystkiem liryk, ten — epik. Obu brak wyższego wykształcenia artystycznego nie dozwala stworzyć arcydzieł, ale tamten w drobnych utworach i w Psalmodyi, ten w Wojnie chocimskiej okazują, że w piersiach ich gorzało natchnienie prawdziwe.

Widzieliśmy już, że w XVII. wieku rozwija się nowy rodzaj literacki, powieść fantastyczna, nieznana w latach dawniejszych. Skąd brali pisarze wątek do swoich utworów? Z zagranicy. Tam na południu i zachodzie, we Włoszech, Francyi i Hiszpanii, pisano już od XIV. wieku rycersko-miłosne opowiadania, pełne dziwnych przygód, działające silnie na niewybredną wyobraźnię. Małe cacka, choć zazwyczaj niebardzo moralne, tworzył we Włoszech Bokaczjo, a te jego »nowelki« przerabiano również, rozszerzano i ubierano nierzadko w szatę poezyi. U nas pod wpływem wzorów obcych napisał cały szereg ogromnych romansów, bądź prozą, bądź wierszem Hieronim Morsztyn. Ujął je w dwa zbiory, jeden p. t. Philomachia, drugi pod tytułem dłuższym i dziwacznym: Antypasty małżeńskie, wdzięcznego smaku, cukrem prawdziwej a szczerej miłości małżeńskiej zaprawione. Dla przykładu pomówimy o najbardziej może znamiennej ze zbioru tego, »Banialuce«, powieści pełnej takich nieprawdopodobieństw, że dziś, gdy kto chce dać komuś do poznania, iż mówi nie do rzeczy, powiada po prostu: »pleciesz banialuki«. Jakaż jest tedy treść onej »Uciesznej historyi o zacnej królewnie Banialuce«? Oto syn Króla Południowego wyprawia się z giermkiem na polowanie, ale błądzi w lesie. Wtem widzi przed sobą piękny zamek, strzeżony przez lwa i niedźwiedzia. Zwierzęta owe rzucają się na psy królewicza, a on tymczasem dostaje się do wnętrza pałacu. Niebawem nadjeżdża właścicielka jego, piękna Banialuka, która ujęta pięknością i uprzejmemi słowy królewicza, oddaje mu swe serce, a jako zadatek miłości — połowę pierścienia. Królewicz powraca na dwór ojca, nie zapomina jednak o Banialuce, owszem odwiedza ją codziennie. Zachowanie się jego wzbudza podejrzenia w pewnej księżnej, kochającej się tajemnie w przystojnym młodzieńcu. Radzi się więc owa księżna towarzyszki swej, czarownicy, co ma robić, a ta przekupuje giermka i dowiaduje się od niego o wszystkiem. Giermek godzi się nawet podać panu swemu zaczarowane jabłko w pałacu Banialuki, a gdy królewicz zjadł to jabłko, wpadł natychmiast w letarg

i konwulsye. Konwulsye owe powtarzają się codzień podczas odwiedzin, aż nareszcie Banialuka zrozpaczona odjeżdża, a zamek druzgoce piorun. Nieszczęsny królewicz wyprawia się teraz w świat, by odszukać swą narzeczoną. Ale drogi nie umie mu wskazać ani pustelnik, król zwierząt, ani drugi pustelnik, król ptaków, aż dopiero trzeci, władca wiatrów, rozkazuje jednemu z nich zanieść królewicza do miejsca pobytu królewny. W pałacu narzeczonej pracuje królewicz jako parobek, czekając końca trzechletniej żałoby, którą sobie Banialuka wyznaczyła. Wreszcie okres smutku mija, przed pałacem ma się odbyć turniej książąt, a zwycięzca ma dostać rękę pięknej królewny. Do walki staje też i niepoznany przez nikogo królewicz, zwycięża wszystkich, a gdy zdumieni przeciwnicy pytają, kto to taki, on nie mówi nic, lecz posyła królewnie jakiś przedmiot zawinięty w papier. Banialuka rozwija i o mało w szał nie wpada z radości — to połowa jej pierścionka! Oczywiście młodzi biorą zaraz ślub, a po ślubie koronują się na parę królewską.



Fig. 45. Andrzej Morsztyn.

Zarówno »Banialukę«, jak i inne romanse w tym rodzaju czytano w swoim czasie niezwykle pilnie, z prawdziwym zapałem, czytano pilniej, niż Kochowskiego i Potockiego, i zachwycano się nimi bardziej, aniżeli utworami tamtych poetów.

Hieronim nie był jedynym z możnej wówczas rodziny Morsztynów,

który zabawiał się sztuką pisania. Owszem próbowali swych sił i Stanisław i Zbigniew, ale wszystkich prześcignął podskarbi koronny, Andrzej, i dzięki jemu to liryka erotyczna czyli pieśni miłosne zajęły w piśmiennictwie ówczesnem miejsce wcale poczestne.

Andrzej Morsztyn odbija w sobie najlepiej właściwości współczesnej liryki europejskiej, a w szczególności włoskiej i francuskiej. Wielki pan, podskarbi wielki koronny, nie uważał się Morsztyn za poetę, a tylko »zabawiał się«, jak wielu wówczas możnych pisaniem, nie przeznaczając bynajmniej, jak oni, utworów swych do druku. Ot, pisał dla wytchnienia, w wolnych chwilach, czasem, aby okazać, że i jego stać na gładki wierszyk, czasem, żeby którejś z dam dworu zrobić miły podarunek z pięknej piosenki, a rzadko, bardzo rzadko z rzeczywistej potrzeby.

Liryczne pieśni Morsztyna odznaczają się przedewszystkiem, podobnie jak ich pierwowzory, niezwykłą sztucznością, wyszukaną budową zwrotek, licznemi ozdobami i ozdóbkami, uczucia zaś, wyrażone w nich, są zazwyczaj zmysłowe. Rzadko, bardzo rzadko kiedy odezwie się ton rzewniejszy, szczerszy. A jednak piękności odmówić im niepodobna. Weźmy dla przykładu choć jedną jego piosnkę: »Na kwiatki«:

»Kwiateczki świeżo urwane z ogroda,
Puścicie się chętnie dla Kasi swej grzędy,
Czeka was wielka nagroda:
Natka was za kształt i w swe włosy wszędy.

Nie mogło szczęście lepiej igrać z wami
I nie żałujcie ni gruntu ni rosy,
Mając, gdy was skropię łzami,
Me łzy za rosę, a za grunt jej włosy.

Lecz przy jej złotym bawcie się warkoczu
I, byście na twardość równały się z stalą,
Chrońcie się pilnie jej oczu:
Jedno was rodzi słońce — te dwa spalą.

I choćby się wam zginąć przytrafiło,
Piękną wam szczęście wasze śmierć przybiera,
I niech wam mdleć będzie miło
Dla tej, dla której wszystek świat umiera«.

Dodajmy jednak, że w wierszu tym niema zwykłej u Morsztyna swawoli, że jest to jedna z piosnek jego szlachetniejszych.

Prócz tych drobnych utworów pisał Andrzej także większe, pozostawił po sobie naśladowany z obcych wzorów obszerny poemat: »Psyche«,

osnuty na podaniu o miłości bożka Amora do Psyche. Najznamienniejszymi jednak płodami Morsztyna pozostaną jego liryki.

Z innych poetów lirycznych bardzo miły jest Zimorowicz. Jak mu na imię? Nie wiemy. Było dwóch braci Zimorowiczów: Szymon i Józef Bartłomiej; Szymon umarł w młodych leciech, J. Bartłomiej, burmistrz Lwowa, dożył sędziwego wieku. Pod imieniem Szymona wyszedł zbiór pieśni, zatytułowanych »Roksolanki«, ale pod temże imieniem także i »Sielanki nowe ruskie«, choć o tych ostatnich wiemy na pewno, że napisał je Józef Bartłomiej. Stąd niepewność, kto jest autorem Roksolanek? Zdaje się jednak, że Szymon. W przeciwieństwie do liryków Morsztyna odznaczają się »roksolanki« wielką prostotą, naturalnością, uczuciem rzewnem a tęsknem, a przytem śliczným językiem. Jak proste i szczere musiał mieć serce ten, który taką npiosnkę wyśpiewał:



Fig. 46. Szymon Zimorowicz.

»Kochaneczku, mój kwiateczku, milszy nad róże,
Nad lilie, konwalie i co być może
Przyjemnego w pięknem lecie,
Kiedy bierze na się kwiecie barwę rozliczną!

Twa osoba, twa ozdoba, mój oblubieńcze!
I nad zioła, owo zgoła i nad młodzieńce,
Których teraźniejsza chwila
Młodością przyozdobiła, bardziej jest śliczną.

Choć młodzieńcy swymi wieńcy mnie obsyłają,
Choć dziewczyny rozmaryny wonne mi dają,
Sama wdzięczność twoja miła
Serce moje zniewoliła; ja nie wiem czemu«.

I ów właśnie wdzięk formy, ta śpiewność i lekkość języka budzą w nas podejrzenie, czy mógł napisać Roksolanki J. Bartłomiej, który bądź co bądź nie rozwinął w żadnem innem swem dziele tylu zalet i powabów. A pisał ich burmistrz i obrońca miasta Lwowa — wiele i rozmaitych. Są wśród nich i poematy historyczne i satyryczne, są i hymny religijne, są i sielanki. W siedmnastym wieku? w czasie walk i pożogi i nieustannego szczęku oręża? Pewnie, dziwne to, ale są. Pisze sielanki Gawiński, pisze Heraklius Lubomirski, a najciekawsze, najbardziej oryginalne właśnie Józef Bartłomiej Zimorowicz.

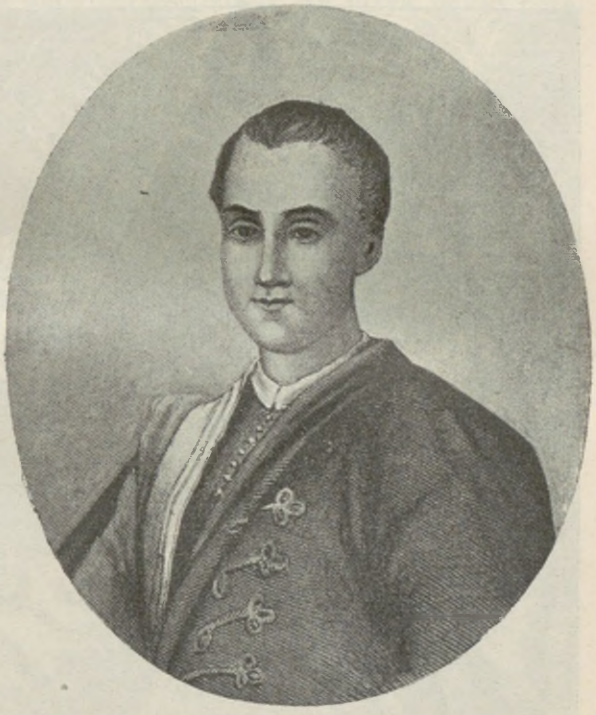

Fig. 47. Józef Bartłomiej Zimorowicz w młodości.

Czemu tak ciekawe i oryginalne? Przedewszystkiem z powodu języka. Zimorowicz naśladował wprawdzie Szymonowicza, ale wiedziony zdrowym instynktem przejął podobnie, jak to czynili inni, wiele wyrażeń z mowy potocznej, ba nawet prowincyonalizmów. Następnie z powodu treści. Wśród »sielanek« bowiem Zimorowicza nie brak i takich, które malują wiernie lud ówczesny, a że to były chwile burzliwe, więc będą tam także opisy mordów, łupiestw i spustoszeń. Do takich sielanek »krwawych« należą »Kozaczyzna« i »Burda ruska«.

Lepszą karm wszelako niż sielanka miała w wieku siedmnastym satyra. Istotnie, gdzie i kiedy tyle było przeciwieństw między tem, co być powinno, a tem, co było w rzeczywistości, między prawem a samowolą, obowiązkiem a sobkostwem. Tymczasem, rzecz dziwna, satyra nie rozwija się w tym wieku nawet tak korzystnie, jak w poprzednim. Naprawdę zaś, satyryk jest tylko jeden, Krzysztof Opaliński (um. 1656), wielki pan, wojewoda, ale pamięci przeklętej, bo pod Ujściem zdradził króla i ojczy-

znę, oddając Wielkopolskę Szwedom. Dziwna rzecz, że taki właśnie człowiek zabrał się do pisania satyr. Wiele jednak w nich przesady. Kiedy jeszcze mówi Opaliński o życiu publicznem, o zrywaniu sejmów, o niechęci do władzy, to przyznajemy mu słuszność; nie przeczymy też jeszcze, gdy czytamy o złem wychowaniu młodzieży, o uciskaniu włościan, lub o zbytku i marnotrawstwie, ale gdy pan wojewoda pisze:

»Radzę wam, i synkowie
[i córeczki, strzeżcie
Zdrowia i życia swego.
[Nie trudno tu będzie
O takowe napoje albo i
[potrawkę,
Których wy nie strawicie.
[Matusia potężnie
Myśli o was, jakoby pod
[ziemię was wniosła«

to musimy stwierdzić, że to już nie przesada, ale oszczerstwo.



Fig. 48. Karta tytułowa poezyi Sarbiewskiego.
(Rysunek Rubensa).

Cóż mówić o wartości artystycznej satyr? Wiersz biały, nierymowany, a język ciężki, zeszpecony łacińskimi wtrętami.

Nie wyczerpaliśmy bynajmniej ani szeregu utworów poetycznych XVII. stulecia ani nawet imion autorów, mówiliśmy tylko o najważniejszych. Poza tymi piszących wiersze jest jeszcze bardzo wielu, a wśród nich są nawet znakomici, jak np. Piotr Kochanowski, synowiec wielkiego Jana, i Maciej Sarbiewski. Pierwszy przełożył świetnie na język polski epopeję Tassa »Jerozolimę wyzwoloną« i Ariosta »Or-

landa szalonego«, drugi pisał prześliczne liryki po łacinie, biorąc sobie za wzór rzymskiego piewcę Horacego, ale poświęcając w utworach więcej miejsca obrazom przyrody, niż czynił to mistrz jego.

Oczywista utwory Sarbiewskiego, księdza i profesora teologii w uniwersytecie wileńskim, przenika duch chrześcijański. Na język polski przełożył je Władysław Syrokomla.

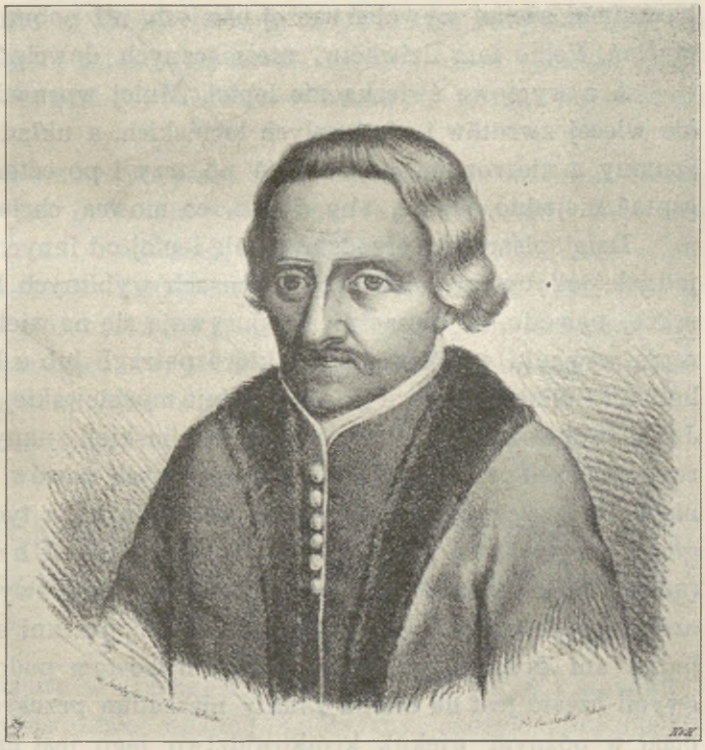

Fig. 49. Andrzej Maksymilian Fredro.

Proza w stuleciu poprzedniem rozrosła się bujnie, w sposób wprost nieoczekiwany, zjawili się znakomici politycy, kaznodzieje... W wieku siedmnastym Starowolski, polityk, nawet w najlepszych, najrozumniejszych pismach swoich powtarza tylko to, co powiedzieli przed nim już inni, a w najsilniejszych, najwięcej miłością ojczyzny przepojonych dziełach (jak: »Lament matki korony polskiej«) zdobywa się tylko na żal wielki, na okrzyk rozpaczy wobec coraz to widoczniejszej ruiny, nie stać go zaś na wskazanie skutecznych środków zaradczych. Ale ten przynajmniej patrzy dobrze i rozumuje zdrowo. Natomiast inny pisarz-polityk Andrzej M. Fredro, autor znanych Przysłowi, broni już w swych pismach dwóch nieszczęść Polski, wolnej elekcyi i liberum veto, a wspomniany już wyżej Stanisław Herakliusz Lubomirski, choć widzi zło i nad niem ubolewa, w możliwość poprawy nawet już nie wierzy. Co za bolesna różnica pomiędzy dwoma wiekami, pomiędzy wielkimi dziadami, a skarłowaciałem potomstwem! Już krok tylko

do budzącej dziś grozę »politycznej« zasady: Polska nierządem stoi. Na marne poszedł hojny i znojny siew Skargów i Modrzewskich...

Kaznodziejstwo i polityczne i to, co czuwać ma nad poprawą obyczajów i życia jednostki, również w upadku. Księża Birkowski i Młodzianowski starają się podtrzymać jeszcze świetną tradycyę, ale sami nie są już wolni od wad ogólnych — zwłaszcza Birkowski. Natomiast inni zdolni są kazaniami swemi wywołać raczej uśmiech, niż pobudzić do poważnych rozmyślań. Pełno tam dziwactw, niesmacznych dowcipów, domieszek łaciny...

A z wymową świecką nie lepiej. Mniej wprawdzie w niej dowcipów, ale więcej zwrotów i zdań całych łacińskich, a układ taki zawiły, styl taki szumny a niezrozumiały, że dziś po trzy i po cztery razy musimy przeczytać niejedno zdanie, aby dociec, co mowca chciał w niem powiedzieć.

Dziejopisarstwo przedstawia się lepiej od innych działów, nie dlatego jednak, jakobyśmy mieli w tych czasach wybitnych historyków, ale z tego raczej powodu, że ówcześni nie porywają się na wielkie dzieła, ale odtwarzają wypadki współczesne, na które patrzyli lub o których słyszeli. I tak hetman Żółkiewski pisze dzieło o wojnie moskiewskiej, ojciec króla Jana III., Jakób Sobieski, daje obraz wojny chocimskiej, znany nam już Kochowski rozwija przed oczyma czytelnika dzieje swych czasów. Prócz wspomnianych nie brak innych, obok kronik są i pamiętniki, z tych zaś szczególny rozgłos zdobyły sobie pamiętniki Imci Pana Jana Chryzostoma Paska (um. 1703). Dlaczego? Czy autor dał wierny obraz swych czasów, czy odznaczał się głębszym umysłem i rozumiał lepiej, niż inni, swój wiek i ludzi? Ani jedno ani drugie. Z prawdą pan Chryzostom podobnie jak z sąsiadami swymi często jest na bakier i fakty nierzadko przekręca (może dlatego, że pisał w późnym wieku), krótkowidztwo jego jest czasem aż wprost zdumiewające. Rozumować pan Pasek nie lubi ani nie umie, ojczyznę swą kocha, bo daje ona wolność szlachcie, modli się, bo tak mu ksiądz każe, ale zdzierstw się dopuszcza i słowo łamie bez skrupułów. Skąd o tem wiemy? — z pamiętników. I dlatego tak one cenne? Tak jest, dlatego właśnie, bo dozwalają nam wejrzeć w duszę przeciętnego szlachcica z XVII. wieku, bo dają nam obraz nie tylko życia samego autora, ale ogółu braci szlachty.

Na szczególną uwagę zasługują jeszcze w tym wieku »panegiryki«, t. j. pochwały rozmaitych osób, ale wypowiedziane w tak przesadny sposób, na jaki zdobyć się umie tylko proste pochlebstwo. Panegiryków tych w języku polskim i łacińskim pojawia się moc niezliczona, stają się one

istną plagą XVII. wieku, chwali się wszystkich na prawo i na lewo. Pojawiają się nawet przepisy, jak chwalić należy!

Tak tedy w XVII. wieku i poezya i proza znajdują się w upadku, ale pierwsza nie pozbawiona jest pewnych zalet, bo chociaż autorowie nie umieją się zdobyć na artystyczny układ, brak im często poczucia smaku i piękna, brak wykształcenia, a »bawią się« tylko pisaniem w chwilach wolnych od zajęć, mimo to jednak poezyą XVII. wieku pomiatać nam nie wolno. Żywioł bowiem swojski, szlachecki, rodzimy, duch rycerski i religijny były bardzo poważnemi jej zaletami — dawała ona wierny obraz czasu i ludzi.

Gorzej z prozą. Po staremu pisze się u nas kroniki, nasi filozofowie-scholastycy zajmują się poważnie »głębokiem zagadnieniem«, czy pies może być kozą, nasi uczeni uśmiechają się pobłażliwie, gdy im ktoś wspomni o odkryciu Kopernika. Zastój i martwota powszechna, tylko mowcy wygłaszają szumne i niezrozumiałe »perory«, a prasy drukarskie aż uginają się pod nawałą panegiryków. W dodatku to, co jest, zeszpecone »makaronizmami«, to jest domieszką łaciny do języka polskiego [1]).

DOBA NAJWIĘKSZEGO UPADKU I PRZESILENIE

OD POCZĄTKU WIEKU XVIII. DO CZASÓW STANISŁAWA AUGUSTA.

Z mroku wchodzimy w czarną, potworną noc. W parze z upadkiem moralnym społeczeństwa idzie upadek polityczny. Rosya gospodaruje w Polsce jak gdyby już w swojej prowincyi, a w kraju ciągłe zamieszki, sejmy nie dochodzą, potomkowie rycerzy grunwaldzkich »jedzą, piją i popuszczają pasa«.

Skądżeby wśród takich warunków, na takim podkładzie społecznym i umysłowym miała wyróść literatura. To też naprawdę niema jej. Są tylko obrzydliwem pochlebstwem zaprawione panegiryki, senniki, książki wróżbiarskie i t. d. Takich to »dzieł« zjawia się teraz istna powódź, a odstraszają nas one dziś samymi już tytułami. Oto posłuchajmy, jak zatytułował Ks. Chmielowski swą encyklopedyę, dzieło, które na tle ogólnem przedstawia się jeszcze stosunkowo korzystnie: »Nowe Ateny albo Akademia

[1]) Właściwie makaron oznacza utwór łaciński upstrzony zwrotami polskimi.

wszelkiej scencyi pełna, na różne tytuły jak na classes podzielona, mądrym dla memoryału, idyotom dla nauki, politykom dla praktyki, melankolikom dla rozrywki erygowana«. Przecie to dziwactwo! A cóż mówić o innych »dziełach« i ich tytułach. Nie będziemy się teraz dziwili, że poetkę o zdolności zupełnie średniej, Elżbietę Drużbacką, autorkę poematów religijnych i romansów fantastycznych w rodzaju Banialuki, okrzyczano wśród takich warunków za gwiazdę pierwszorzędnej świetności, komiczne wiersze ks. Baki o śmierci niechybnej uważano za zjawisko niezwykłe, a kronikę współczesnych wypadków Erazma Otwinowskiego uznano za znakomite dzieło historyczne. Tak to na czarnem tle nawet marne płomyki wydają się świetnemi ogniskami. Niech jednak słońce zejdzie, a zgasną bez śladu.

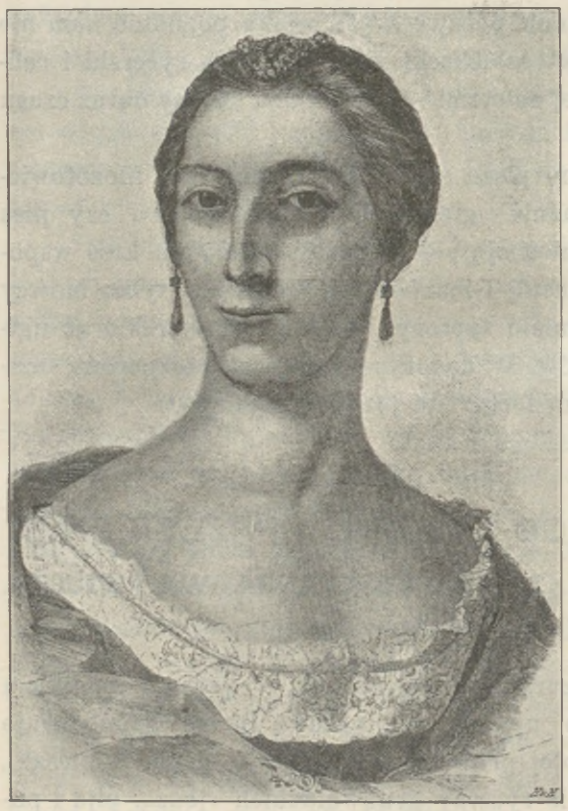

Fig. 50. Elżbieta Drużbacka.

Niebawem też miała zaświtać istotnie na niebie zorza słoneczna. Upadek coraz głębszy, rozkład, zepsucie poczęły wreszcie otwierać oczy co rozsądniejszym, a ci obejrzawszy się wokół siebie, zobaczyli, że jeszcze krok na tej drodze, a zguba niechybna. I oto rozlega się okrzyk: ratunku! A choć zrazu nikt nie słucha, choć wołanie »ratujcie ojczyznę, ratujcie siebie!« przebrzmiewa bez echa, to jednak po pewnym czasie w społeczeństwie bezwładnem przez lat kilkadziesiąt pojawi się jakiś ruch, po długiej, ciężkiej chorobie okażą się oznaki przesilenia.

Najwytrwalszym, niestrudzonym wprost szermierzem odrodzenia duchowego jest zakonnik ze zgromadzenia OO. Pijarów

Stanisław Konarski. Złotemi głoskami należy zapisać to imię nie tylko w dziejach naszej literatury, ale i szkolnictwa i wyobrażeń poli-

tycznych i wogóle całego życia duchowego. Urodzony w roku 1700, po skończeniu nauk i przywdzianiu szaty zakonnej, zrazu nauczyciel w Podoleńcu i Warszawie, potem uczeń i nauczyciel w znakomitej szkole rzymskiej, powraca po krótkim jeszcze pobycie w Paryżu do Polski i tu odrazu daje się poznać wybornem dziełem o prawach polskich.

Rozumie on doskonale, że z tem pokoleniem, wyrosłem w tradycyi saskiej, wiele już nie zrobi, że jemu trzeba tchnąć w pierś młodzieży ducha miłości ojczyzny, zrozumienia obowiązku, dać jej wiedzę i rozum i hart woli. Tą też myślą wiedziony otwiera w Warszawie w roku 1740 zakład naukowy pod nazwą *Collegium nobilium*. Czem różniła się ta nowa szkoła od wszystkich innych? Oto przedewszystkiem tem, że Konarski zbliżył ją do życia, kazał w niej uczyć fizyki, więcej matematyki, historyi obcej i polskiej, geografii, prawa międzynarodowego i polskiego, języka ojczystego, francuskiego, niemieckiego, o czem w innych szkołach nie miano pojęcia. Następnie polecił Konarski obciążać mniej pamięć uczniów, a rozwijać w nich zdolność myślenia, rozumowania. Nareszcie nadał szkole swej charakter narodowo-patryotyczny, prawił uczniom o potrzebie wzmocnienia rządu i ograniczenia samowoli szlacheckiej. Rózga straciła w Collegium uświęcone swoje prawa, a miejsce jej zajęły kary moralne. Naukę przerywały ćwiczenia fizyczne, zabawy i rozrywki. Gdy zaś okazało się, że owoce

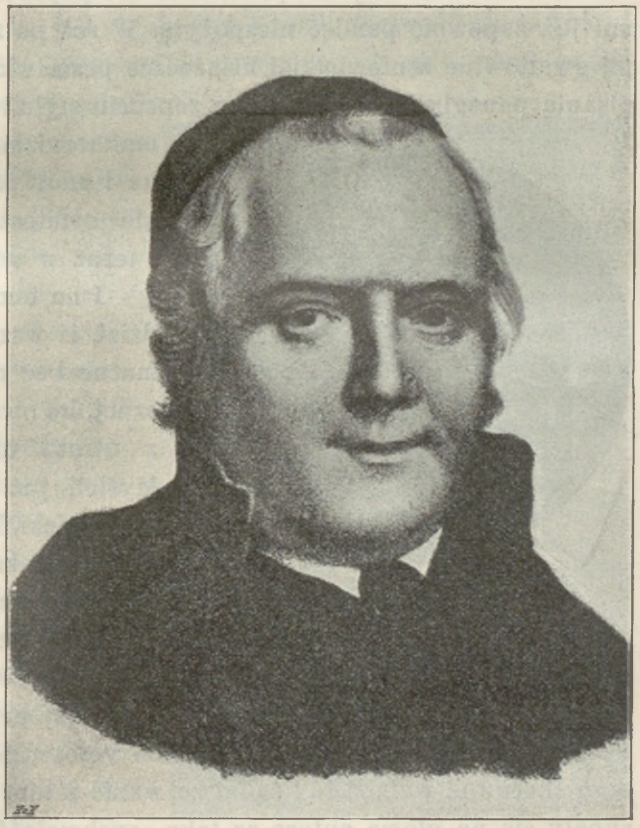

Fig. 51. Ks. Stanisław Konarski.

takiego sposobu wychowania są dobre, przeprowadził w kilkanaście lat później podobną reformę we wszystkich szkołach pijarskich. Jezuici, niechętni zrazu Konarskiemu, musieli pójść wobec opinii ogólnej w jego ślady i zreformować również swoje szkoły, i tak znikały powoli zakłady, w których młodzież nadarmo dotychczas czas traciła.

Ale niestrudzony ten pracownik nie poprzestał na tem dziele, zdolnem mu już zapewnić pamięć niespożytą. W rok po założeniu Collegium wystąpił gwałtownie w niewielkiej książeczce przeciwko haniebnemu zwyczajowi pisania panegiryków, przeciwko zepsuciu stylu i jego szumności, przeciwko makaronizmom. I znowu zawrzała walka i znów oburzano się na nowatora, ale ostateczne zwycięstwo przypadło i teraz w udziale Konarskiemu.



Fig. 52. Medal ku czci Konarskiego.

I na tem nie koniec. Konarski wiedział, iż wszelkie prace mogą pójść na marne bez dokonania reformy politycznej, bo owoce ich mogą zniknąć wraz z utratą niepodległości państwowej. Myśleli już o tem przed nim i inni, a Karwicki, Jabłonowski, król Leszczyński żądali zabezpieczenia wolności sejmów bez znoszenia liberum veto. Konarski poszedł dalej. W obszernem swem dziele »O skutecznym rad sposobie« (1760—1763) przypomniawszy wszystkie nieszczęścia, sprowadzone na kraj przez zrywanie sejmów, wykazał bez osłonek szkodliwość liberum veto, a potem uderzył namiętnie na tego »bałwana wolności« i żądał zerwania z nim raz na zawsze. Gromy posypały się na głowę autora za taką »zuchwałość«, dzieło jego palono jako »bezbożne«, nieomal nie okrzyczano Konarskiego buntownikiem i zdrajcą. A ten kapłan obywatel odpowiadał na zarzuty rzeczowo ale spokojnie i cieszył się w duchu, widząc, że od chwili ukazania się jego dzieła nikt nie miał już odwagi założenia veto w sejmie.

Pod koniec życia usunął się Konarski od spraw bieżących, choć nie zaprzestał pracować. Otworzywszy oczy swemu społeczeństwu, popchnąwszy je na drogę rozwoju i reform, zakończył pełen chwały żywot w Warszawie w r. 1773. Stanisław August obdarzył go medalem ze znaczącym napisem: *Sapere auso* (Temu, który odważył się mieć rozum).

DOBA WPŁYWU FRANCUSZCZYZNY

OD R. 1763. DO WYSTĄPIENIA A. MICKIEWICZA (1822).

Wschodzą powoli plony zabiegów Konarskiego i współczesnych mu pracowników. Okres martwoty już się skończył, rozpoczyna się okres pracy. Zrazu ruch jest słaby, próby pierwsze — nieśmiałe, ale gdy młode pokolenie podrośnie, hasło odrodzenia rozebrzmi po całych obszarach ziem polskich i zacznie się wszędy taka praca gorączkowa, taki ruch, jakiego nie widzieliśmy nawet w wieku szesnastym.



Fig. 53. Józef Jędrzej Załuski.

Wzmagający się wpływ rosyjski na politykę otworzył oczy wszystkim zdrowiej myślącym, rozniecił w nich uśpione uczucia patryotyczne, zachęcił do oporu. Rozpoczęta przez Konarskiego praca nad doskonaleniem szkolnictwa nie ustaje teraz bynajmniej. Gdy papież zniósł w roku 1773. zakon Jezuitów, sejm polski uchwalił przeznaczyć fundusze jezuickie na cele wychowania narodowego i powołał osobną »Komisyę edukacyjną«, która też zaraz zabrała się raźno do pracy. Zreformowała pogrążone w najwyższym upadku uniwersytety Jagielloński i Wileński, podzieliła kraj na dziesięć okręgów szkolnych, wypracowała nowy sposób nauczania we wszystkich szkołach od najwyższych do najniższych. Co więcej, założyła przy obu uniwersytetach seminarya nauczycielskie, t. j. zakłady, w których mieli kształcić się przyszli nauczyciele, i powołała do życia Towarzystwo ksiąg elementarnych, wkładając na nie obowiązek wydawania wzorowych podręczników szkolnych. Twórcą ustaw Komisyi był sekretarz jej Grzegorz Piramowicz.

Do podniesienia poziomu oświaty i rozbudzenia ruchu literackiego przyczyniła się niemało również Biblioteka Załuskich, założona przez Józefa Jędrzeja Załuskiego, a otwarta jeszcze w r. 1747. dla publiczności, później zaś ofiarowana przez właściciela krajowi. Ona to przypomniała ówczesnym dzieła pisarzy polskich z XVI. wieku, ona dała popęd do wydawnictw historycznych.

Nie należy też zapominać i o osobistym wpływie króla Stanisława Augusta. Opiekował on się gorliwie szkołami, odwiedzał je często osobiście, gromadził koło siebie ludzi uczonych i poetów, goszcząc ich na słynnych obiadach czwartkowych, założył teatr publiczny w Warszawie (1765). Dobry przykład, idący z góry, oddziaływał na szerokie warstwy społeczeństwa.

Jeśli jednak czynniki wspomniane ocuciły naród polski i popchnęły go na nową drogę, to kierunek tej drogi wskazała nam Francya. Wpływ francuski szerzył się u nas już od dawna, już od czasów Władysława IV, ale obecnie za Stanisława Augusta francuszczyzna zalała wprost krainę polską. Literatura zaś francuska z drugiej połowy w. XVII. i z w. XVIII. należała do świetniejszych w Europie. Oparła się ona na wzorach starożytnych, ale dzieła powstałe pod ich wpływem zabarwiła na swój sposób. Brała tematy głównie z życia dworskiego, zajmowała się chętniej królami i książętami, aniżeli życiem szerokich warstw społeczeństwa. Dążyła do jasnego wyrażania myśli, a występując przeciw wyobraźni, chciała zrobić z poezyi piękną prozę. Potworzyła ściśle określone prawidła, czem ma być dramat, czem sielanka, czem oda i t. d. i żądała ścisłego stosowania się do tych zasad. Dzieła wieku XVIII-go przesiąknięte były dążnością reformatorską, pisarze chcieli poprawić ustrój społeczeństwa, wywalczyć jednostkom większą swobodę. Niektórzy występowali też przeciw urządzeniom kościelnym, co więcej przeciw dogmatom wiary.

Te hasła francuskie szerzą się u nas szybko zapomocą czasopism literackich, jak Monitora, Zabaw przyjemnych i pożytecznych i innych.

Zobaczymy, że literatura nasza odzwierciedli w sobie w sposób mniej lub więcej wierny prądy zachodnie.

Doba Stanisławowska. Poezya. Pierwsze objawy odrodzenia literatury dadzą się dostrzedz już za czasów saskich, a zaznaczają się przedewszystkiem na płodach literatury dramatycznej.

Już w Collegium nobilium grywali uczniowie w teatrze studenckim tłumaczone (za zachętą Konarskiego) przez Pijarów dramaty francuskie, a za przykładem Pijarów poszli Jezuici i poczęli znów wystawiać w tea-

trzykach szkolnych komedye, które przerabiał z francuskiego komedyopisarza Moliera zasłużony ks. Bohomolec. Zaprawiwszy się tak na komedyach studenckich, począł później pisać Bohomolec również oryginalne utwory i wyśmiewał w nich wady ogólno ludzkie i rodzime polskie. Wzory do swych komedyi brał tak on, jak i inni autorowie z Francyi. Tak więc początek jest już zrobiony i wskazane źródło, skąd czerpać będą autorowie nasi pomysły i formę dla tych pomysłów.



Fig. 54. Franciszek Bohomolec.

Za panowania Stanisława Augusta kończy się już okres prób, a poezya nasza rozwija żagle śmiało i szeroko. Nie odrazu jednak może się pozbyć znamion, które utrwaliły w niej lat dziesiątki — musi przebyć drogę przejściową, wydać utwory łączące w sobie cechy dwóch epok, a najlepszym wyobrazicielem tej doby przejściowej jest Adam Stanisław Naruszewicz (ur. w r. 1733, um. 1796). Uczeń szkół jezuickich, potem sam Jezuita, choć oczytany w literaturze francuskiej i wielki jej miłośnik, nie umiał pozbyć się rubaszności, właściwej czasom saskim, nie zdołał uwolnić swego stylu od wyrażeń ciężkich, a często niezgrabnych. Natura krzepka, zdrowa i prawa niezdolna była do delikatnego szyderstwa, którem celowali Francuzi, ale na widok złego wybuchała oburzeniem. Patryota gorący, przywiązał się serdecznie do króla, jak długo widział dobre jego chęci, i czuł wdzięczność dla Stanisława Augusta za wyniesienie go na tron biskupi, ale gdy król przystąpił do nieszczęsnej konfederacyi targowickiej, zerwał z nim stosunki. Na wieść o rozbiorze popadł w obłąkanie... Czcił rozum, walczył z przesądami i zabobonami, a oparty o literaturę francuską, w której rozsądek

właśnie odgrywał główną rolę, pragnął i naszą poezyę uczynić jasną i trzeźwą. Posypały się z pod jego pióra bajki, ody, satyry, sielanki, rodzaje poetyckie ulubione we Francyi i najbardziej tam rozpowszechnione. We wszystkich tych utworach widoczny też wpływ autorów francuskich, w bajkach — Lafontena, w satyrach — Boala, ale miasto francuskiej elegancyi spotykamy się w nich raczej z pewną rubasznością, a miasto szyderstwa z oburzeniem. W odach porusza najrozmaitsze tematy. Co nazywamy odą? Utwór odznaczający się polotem myśli, opiewający jakiś przedmiot stylem pięknym, podniosłym. Nie wszystkie ody Naruszewicza odpowiadają tym warunkom, ale są wśród nich i bardzo silne, a w jednej p. t. »Głos umarłych« wznosi się poeta niezwykle wysoko, ogarnia okiem przeszłość, teraźniejszość i przyszłość narodu, gromi wady, roztrząsa sumienie publiczne...

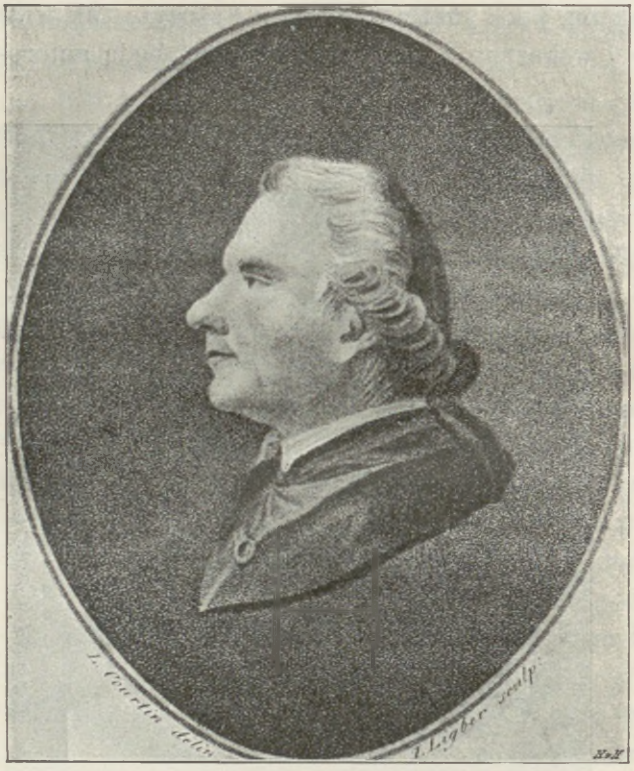

Fig. 55. Adam Stanisław Naruszewicz.

»Czegóż się błędny uskarżasz narodzie,
Los twój zwalając na obce uciski?
Szukaj nieszczęścia w twej własnej swobodzie
I bolej na jej opłakane zyski:
Żaden kraj cudzej potęgi nie zwabił,
Który sam siebie pierwej nie osłabił.
Stargawszy węzeł pokoju i zgody,
Niegdyś w najwyższej władzy osadzony,
Rozbiegliście się jako liche trzody
Bez wodza, rządu, rady i obrony,
Ostygło dobra publicznego serce:
Albo pochlebce alboście oszczerce.«

Poeta-monarchista ubolewa w dalszych zwrotkach nad osłabieniem władzy królewskiej, bezrząd przeraża go, a zgubne skutki jego widzi on doskonale:

»Pod jednej matki skrzydła rozpostarte
Sierocych piskląt garnie się drużyna,
Gdy na nie orlik, pazury otwarte
Z góry podnosząc, uderzać poczyna.
Wyście ją z piórek obnażyli marnie:
Czemże was w trwodze ta matka ogarnie?

Prorocze słowa! Nie ogarnęła ta matka piórami swych piskląt, a ten, który z trwogą myślał o chwili onej walki z orlikiem, w szaleństwie zakończył życie.

Przez ten swój gorący patryotyzm, przez tę śmiałość wypowiadania swego sądu i wobec »przewodników« narodu i wobec »herbownej gołoty« przez tę troskę szczerą o los ojczyzny jest dla nas Naruszewicz postacią niezmiernie sympatyczną.

Jest też Naruszewicz i znakomitym historykiem, a swoją »Historyą narodu polskiego« postawił odrazu dziejopisarstwo nasze na wyżynie europejskiej. Potrafił on odtworzyć świetnie przeszłość, pojął wybornie różnice zachodzące pomiędzy wiekami, umiał wynajdywać między zdarzeniami związek przyczynowy, a zawsze starał się być bezstronnym. Rozpoczął dzieje Polski od przyjęcia chrztu przez Mieszka, a doprowadził do ślubu Jadwigi z Jagiełłą. Zasługi Naruszewicza jako historyka są też znacznie większe niż jako poety, mimo że on pierwszy czy jako autor ód, czy sielanek, czy satyr dawał po smutnej dobie strasznego zepsucia smaku rzeczy względnie dobre.

Jak gdyby przeciwieństwem autora Głosu umarłych jest najbardziej popularny za czasów Stanisława Augusta, a do dziś czytany i podziwiany Ksiądz biskup Ignacy Krasicki. Jeżeli Naruszewiczowi brakło elegancyi, to ten posiadał ją w najwyższej mierze, jeżeli tamten bywał szorstkim, to ten podbijał wdziękiem, gdy tamten oburzał się i gromił, to ten uśmiechał się i szydził, a szydził tak niemiłosiernie, choć na pozór niewinnie, że więcej działał śmiechem, niż tamten gniewem.

Za młodu znajomy dobry Poniatowskiego, jeszcze nie króla, otrzymywał później od koronowanego przyjaciela ciągłe dowody pamięci i w 31-ym roku życia został biskupem warmińskim z tytułem książęcym i krociowymi dochodami. Ale ksiądz biskup wolał Warszawę niż Warmię, to też od czasu do czasu tylko odwiedzał swoją dyecezyę. Dopiero gdy

Pomorze przeszło pod zabór pruski, osiadł na stałe w swem biskupstwie i oddał się z zapałem pracy literackiej. Wówczas to, po roku 1772., powstały najznakomitsze jego dzieła. Pod koniec życia został Krasicki arcybiskupem gnieźnieńskim. Umarł w r. 1801.

Ksiądz biskup odznaczał się usposobieniem spokojnem, łagodnem, namiętnością nie unosił się nigdy, a z wszystkich walk wewnętrznych wychodził zwycięzko. Widział zdrożności, widział zło rozwielmożnione, ale miasto oburzać się na nie, wolał je wyśmiać. Najznakomitsze też są te utwory Krasickiego, w których na ustach ukrytego poza osoby i sytuacye autora błądzi uśmiech. A więc przedewszystkiem »Satyry«. Nie miała jeszcze nic podobnego polska literatura. W satyrze np. pierwszej »Do Króla« nie wiemy doprawdy, kogo gani poeta, z kogo się śmieje. Czyni zarzuty królowi, na pozór niesłuszne, takie, z którymi występowali niechętni Poniatowskiemu, ale po zastanowieniu się widzimy, że w części tych zarzutów tkwi jednak prawda. Tak np. nieoświecona szlachta miała za złe królowi, że otacza się uczonymi, poetami. Krasicki wyrzuca mu to:

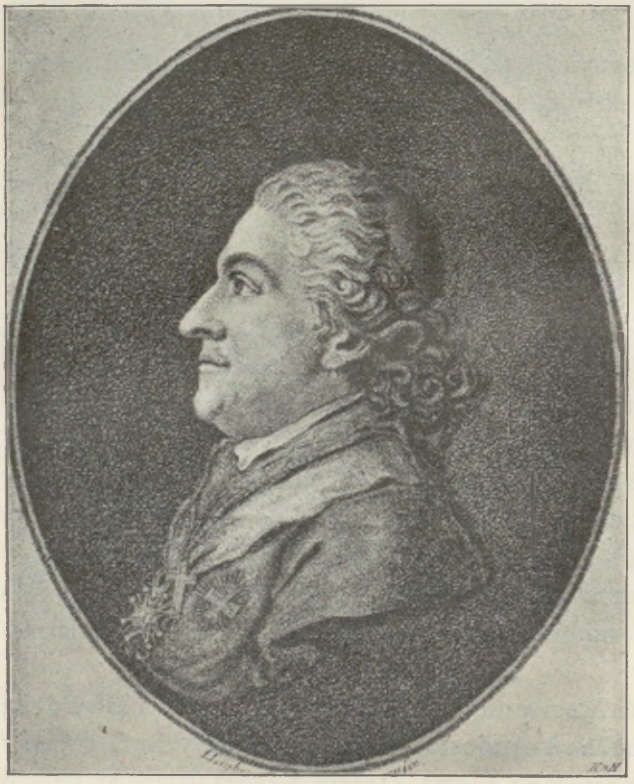

Fig. 56. Ignacy Krasicki.

»Księgi lubisz i w ludziach kochasz się uczonych;
I to źle. Porzuć mędrków zabałamuconych.
Żaden się naród księgą w moc nie przysposobił,
Mądry przedysputował, ale głupi pobił«.

Istotnie okazało się to przy najbliższem starciu z Rosyą, ale z wierszy powyższych trudno poznać, czy Krasicki szydzi z przeciwników króla, czy przeciw niemu samemu zwraca ostrze satyry.

Arcydziełami są takie satyry, jak Pijaństwo, Żona modna, Życie dworskie, Pochwała głupstwa, Odwołanie...

W Pijaństwie np. przedstawia dwóch ludzi: trzeźwego i nałogowego pijaka. Ostatni żali się na swój nałóg, wstydzi się wczorajszego ucztowania, zakończonego sporem i guzami, aż wreszcie kończy słowami, które wyglądają jak gdyby zapowiedź poprawy:

Bogdaj w piekło przepadło obrzydłe pijaństwo!
Cóż w niem? tylko niezdrowie, zwady, grubijaństwo,
Oto profit[1]): nudności i guzy i plastry.
— Dobrze mówisz — przerywa drugi — podłej to zabawa hałastry:
Brzydzi się niem człek prawy jako rzeczą sprosną,
Z niego zwady, obmowy nieprzystojne rosną...

i tak dalej prawi z prawdziwem przejęciem ów znajomy i gdy sądzi, że już pijaka nawrócił na dobrą drogę, kończy słowami:

Te są wstrzemięźliwości zaszczyty, pobudki,
Te są. — Bądź zdrów! — Gdzie idziesz? — Napiję się wódki!

Otóż jest i poprawa! Czy Krasicki oburzał się tu na owego pijaka, czy gromił go? Bynajmniej, nakreślił tylko wierny jego obraz, ale tak wierny, że kto się w tem zwierciedle obaczy, gotów się sam siebie przestraszyć.

Albo owa »żona modna«, za którą nieszczęsny małżonek wziął posag, a która potem wywraca mu dom do góry nogami, rozpędza służbę, niszczy stary, wspaniały ogród parkowy, a na koniec wyprawia bal i ogniami sztucznymi puszcza mu z dymem zbiory całoroczne, gumno i stodołę!

Nie oszczędził nikogo Krasicki. Dostało się w jego satyrach i marnotrawcom i graczom i złym panom i mędrkom, ale zawsze tak, że nikt osobiście nie mógł się uczuć dotkniętym, choć obraz swój ujrzał tam niejeden. Świetnem zaś jest Odwołanie, w którem Krasicki niby przepraszając, chłoszcze tem dotkliwiej:

Ciesz się, Piotrze zamożny, ozdobny i sławny,
Dobrym kunsztem urosłeś; nie złodziej lecz sprawny,
Nie szalbierzu, lecz dzielny umysłów badaczu,
Nie zdrajco, ale z dobrej sprawy korzystaczu,

[1]) Korzyść.

Nie rozpustny, lecz w grzeczne krotochwile płodny,
Przystąp Piotrze bezpiecznie, boś pochwały godny.
. . . . . .
...W czem złe karty? Kto przegrał, ten gani;
Ci, co do tego stanu nie są powołani,
Próżno bluźnią. Że dobre, wypróbuję snadnie:
Wojciech, ów sławny Wojciech, kiedy gra, nie kradnie.
Niechby grał, niechby grali oszusty, matacze,
Hypokryty, złodzieje, oszusty, pieniacze,
Mniejby było szkarady... i t. d.

Naturalnie — uśmiechnie się każdy — a niechby znów gracze kradli, toby wtedy, gdy kradną, nie przegrywali w karty! Taki to świetny humor, zaprawiony ironią, przeziera co chwila z satyr Krasickiego.


SATYRY.

Za Przywileiem.

w Warszawie 1779.

Nakładem y Drukiem MICH. GRÖLLA,
Księgarza Nadwornego J. K. Mci.

Fig. 57. Pierwsza stronica »Satyr«.

Nie mniejszym mistrzem okazał się Krasicki jako autor »Bajek«. Z tych krótkich, częstokroć czterowierszowych obrazków wypływa zawsze nauka poważna, a niejedna z bajek jest zgryźliwą satyrą. Do jakiegoś jednego, znanego wypadku nie odnosi się bajka nigdy, każdą tłumaczyć można w sposób ten lub inny, ale w tem właśnie uwydatniło się mistrzostwo Krasickiego. Niektóre odnoszą się widocznie do ówczesnych stosunków polskich. Wystarczy przytoczyć znane ogólnie »Ptaszki w klatce«:

»Czegóż płaczesz? staremu mówił czyżyk młody,
Masz teraz lepsze w klatce, niż w polu wygody.
Tyś w niej zrodzon, rzekł stary, przeto ci wybaczę,
Jam był wolny, dziś w klatce, i dlatego płaczę«.

Oczywiście, po przeczytaniu przychodzi nam na myśl pokolenie porozbiorowe, które wyobraża tu

ów młody czyżyk, ale bajkę powyższą można równie dobrze odnieść do prywatnych stosunków, do rozmowy np. między ojcem, który stracił wolność osobistą, a synem.

Podobnie ma się rzecz z bajką »Jagnię i wilki«:

»Zawżdy znajdzie przyczynę, kto zdobyczy pragnie:
Dwa wilki jedno w lesie nadybały jagnię.
Już je miały rozerwać. Rzekło: jakiem prawem?
Smaczneś, słabeś i w lesie... zjadły niezabawem«.

To jagnię to Polska, wilki to państwa ościenne, ale równie dobrze jagnięciem może być człowiek prywatny, ograbiony przez łotrów silniejszych od siebie.

Ponieważ bajki Krasickiego są przeważnie krótkie, autor nie mógł dawać wykończonych malowideł tak, jak to czynił bajkopis francuski Lafonten, ale zato umiał on jednem wyrażeniem określić doskonale znamienną cechę jakiegoś zwierzęcia, akcya zaś w bajkach Krasickiego tak żywa, że są one jakby malutkimi dramatami.

Satyry i Bajki uznano powszechnie za najznakomitsze utwory Krasickiego. Mniejszą już wartość posiadają na wzór francuski pisane, a wcześniejsze od tamtych, żartobliwe eposy. Przedstawiona w Myszeidzie walka myszy i szczurów z kotami (przyczem spotykamy i króla Popiela) jest dla nas dziś niezrozumiałą. Śmieszność zaś cała polega chyba na poważnem przedstawieniu niepoważnej treści.

Zabawniejszą już jest Monachomachia, przedstawiająca w żartobliwy sposób spór między mnichami, tak gorący, że po izbie poczynają przelatywać księgi, a ułagodzony ukazaniem się na stole ogromnego puharu wina. Współcześni wszakże wzięli za złe księdzu biskupowi wydanie tego poematu, zwłaszcza w chwili, gdy rząd pruski znosił polskie klasztory. Ażeby udobruchać niechętnych, napisał Krasicki »Antimonachomachię«, w której przyznawał, że żart jego był nieco za swobodny, ale że poematu swego nie wymierzył przeciw zakonom, tylko przeciw złym zakonnikom.

Jak długo Krasicki obracał się w kole lekkich satyr, krótkich bajeczek, żartobliwych eposów, tak długo znajdował się na swoim gruncie i tworzył rzeczy wdzięczne, a nawet bardzo piękne. Gdy jednak zapragnął wstąpić na wyżyny poważniejszej twórczości, siły go opuszczały. Okazało się to przy »Wojnie chocimskiej«, do której zabrał się, nie wiedząc oczywiście nic o poemacie Potockiego, spoczywającym wówczas jeszcze w rękopisie. Wyobraźni twórczej w szerszym zakresie nie miał bowiem Krasicki. Miał jej

jednak dość, ażeby stworzyć zajmującą powieść — był bowiem Krasicki także i autorem powieści. Rodzaj ten rozwinął się znacznie na zachodzie. Romans fantastyczno-rycerski przeżył się już wprawdzie i nikt nie chciał już czytać dziwnych przygód zaczarowanych księżniczek, ale zato zjawiły się powieści, w których autorom chodziło o przedstawienie czułych serc, wzniosłych uczuć (tak zwane powieści sentymentalne), a obok nich powieści pouczające (dydaktyczne), tudzież obyczajowe o tematach z życia codziennego, zaprawne częstokroć satyrą. Tak było na zachodzie, a u nas? U nas po fantastycznych rymowanych powieściach Drużbackiej — szczera pustka, ale że czytelników chętnych nigdy nie brakło — czytano powieści francuskie. Pierwszy krok stawia dopiero Krasicki, pisząc swe »Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadki«. Osnowa powieści bardzo zajmująca. Oto młody panicz, Mikołaj Doświadczyński, odebrawszy liche ale modne wychowanie francuskie, broi w domu i poza domem, a potem puszcza się w podróż do Paryża. Tu brnie w długi, a bojąc się więzienia, postanawia uciec. Puszcza się tedy okrętem do Batawii, ale w drodze napada na statek burza, rozbija go, a fale zanoszą naszego panicza na brzeg nieznanej wyspy, zamieszkanej przez plemię Nipuańczyków. Tu zapoznaje się Doświadczyński z zupełnie nowymi stosunkami, widzi społeczeństwo zgodne, nieznające sporów, procesów, wojen, zbytków, ani... pieniędzy. Słowem takie społeczeństwo, o jakiem marzył w XVI. w. Anglik Morus, a w XVIII. wieku francuski filozof Rousseau (Russo). Ale Doświadczyński, znalazłszy u brzegu wyspy szczątki rozbitego okrętu z pozostałymi skarbami i łódź z wiosłem, porzuca gościnne plemię i puszcza się na morze. Niestety, los nie przestaje go ścigać. Kapitan spotkanego okrętu zabiera mu skarby, a jego więzi i sprzedaje do kopalń złota w Ameryce. Tu dokonywa się moralna przemiana w duszy bohatera. Wykupiony z kopalni przez litościwego Kwakra, doznaje pan Mikołaj licznych jeszcze przygód, dostaje się do więzienia w Hiszpanii, aż wreszcie, po długiem tułactwie, powraca do ojczyzny, ale nauczony już doświadczeniem, zaczyna nowe życie, oddaje się pracy, spłaca długi, aż z czasem zjednywa sobie ogólne uznanie sąsiadów i staje się ozdobą swego społeczeństwa.

Do jakiegoż rodzaju powieści zaliczymy Przypadki Doświadczyńskiego? Odpowiedź nietrudna. Część pierwsza aż do wylądowania na brzeg wyspy Nipuańczyków — to powieść obyczajowa, pisana według wzorów angielskich i francuskich, część druga przedstawiająca pobyt na wyspie to znów

tak zwana »utopia«[1]), część trzecia zaś przypomina dawne jeszcze przygody awanturnicze, opisywane ongiś z lubością w naszych romansach fantastycznych. Tak więc Krasicki w jednej powieści obznajomił czytelników polskich z rozmaitymi jej rodzajami zagranicznymi i zapełnił rażącą lukę w naszem piśmiennictwie.

Wyłącznie dydaktyczną jest inna powieść księdza biskupa »Pan Podstoli«. Podobnie jak ongiś Rej w swym »Żywocie«, tak tu Krasicki nakreślił obraz ziemianina, bardzo zacnego, bardzo gospodarnego, troszczącego się o służbę i o wieśniaków, wygłaszającego wysoce rozumne uwagi i o najwyższych obowiązkach społecznych i o drobnych szczegółach z życia codziennego. »Pan Podstoli« jest tedy rzeczą bardzo cenną, ale jako rozprawa, jako traktat; powieścią w ściślejszem znaczeniu tego słowa nazwać książki tej nie można.

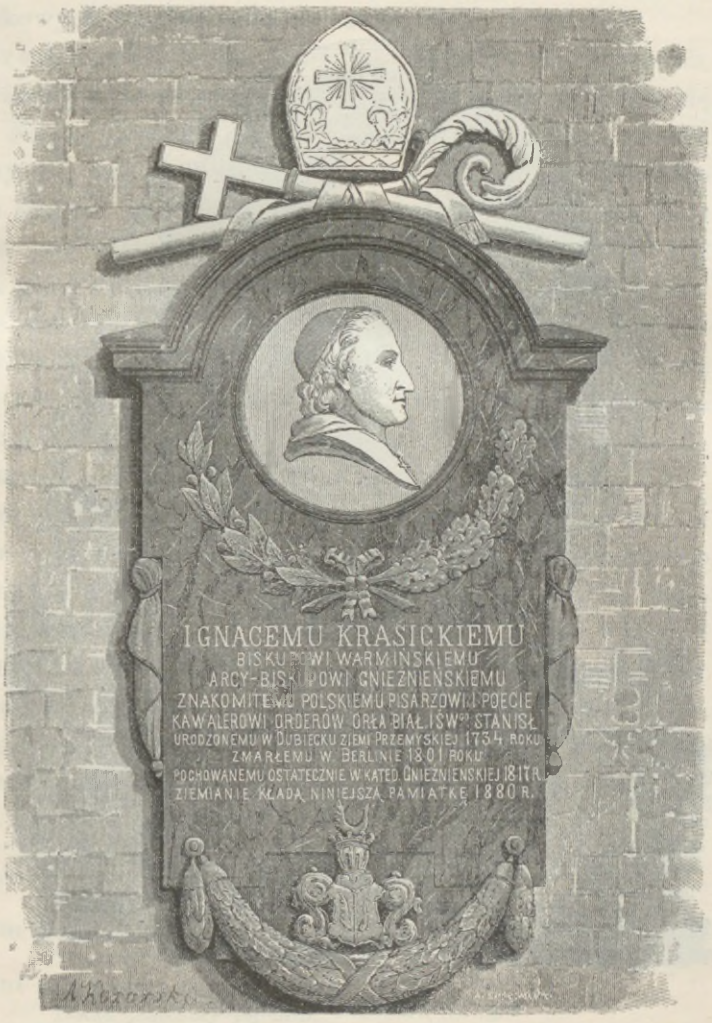

Fig. 58. Pomnik Ignacego Krasickiego w katedrze płockiej.

[1]) Nazwa »utopia« pochodzi od dzieła wspomnianego angielskiego pisarza Morusa p. t. »Utopia«. Przedstawił Morus w tem dziele wymarzony, niepodobny do urzeczywistnienia ustrój społeczny.

Prócz wymienionych pozostawił po sobie Krasicki jeszcze mnóstwo pism innych, tak oryginalnych jak i tłumaczeń z obcych języków. Moglibyśmy mówić jeszcze i o komedyach i o drobnych utworach lirycznych i o »listach« poetycznych i o wielu innych utworach, był bowiem Krasicki poetą bardzo płodnym.



Fig. 59. Stanisław Trembecki.

Pisarz to świetny, zwłaszcza doskonały stylista, a choć za przykładem Francuzów zaniechał ks. biskup (ze szkodą dla języka) używania wielu barwnych wyrazów staropolskich, to jednak zdziałał dla mowy polskiej ogromnie wiele, oczyścił ją z dziwactw, uczynił ją na nowo płynną i dźwięczną. Odznaczając się usposobieniem chłodnem nieco, nie kreślił ani obrazów płomiennych, ani nie używał wyrażeń lub zwrotów silnych, potężnych. Rozsądek — to było jego hasło, umiarkowanie — to najwyższa dla niego cnota. Wyobraźnia Krasickiego nielotna (tak, jak i u innych współczesnych), ale zato co za dar spostrzegania, zwłaszcza przywar, co za umiejętność wyszydzania ich, co za dowcip!

Wzorem jest dla niego piśmiennictwo francuskie, nie popadnie jednak nigdy w ślepe naśladownictwo, na każdym utworze wybije piętno orygi-

nalności. Wśród współczesnych jest też bezsprzecznie najznakomitszym, zasługa zaś i znaczenie Krasickiego zwiększają się, gdy uprzytomnimy sobie, czem była poezya polska przed nim, a co on potrafił z niej zrobić.

Obok Naruszewicza i Krasickiego do przyjaciół króla i do uczestników obiadów czwartkowych należał również szambelan

Stanisław Trembecki, poeta, jak i oni, ale różny od obydwóch, a mistrz języka tak świetny, że niemasz w tych czasach nikogo, ktoby się mógł z nim równać. Nawet Krasicki musi mu pod tym względem ustąpić. Ale na formie kończy się też zasługa Trembeckiego, treść bowiem jego utworów w wysokim stopniu niesympatyczna źle świadczy o autorze jako o człowieku. Smutno powiedzieć, że był czas, w którym Trembecki był poplecznikiem Rosyi, pisał wiersze na cześć carowej Katarzyny... Przeciw zasadom jednak nie działał, bo zdaje się, że żadnych zasad nie miał — stracił je za młodu w Paryżu. Po rozbiorze Polski wyjechał wraz z królem do Grodna, a potem do Petersburga, po śmierci zaś Stanisława Augusta przeniósł się do Tulczyna, gdzie żył z łaski przewódcy Targowicy, Szczęsnego Potockiego. Umarł, zapomniany przez najbliższych, w r. 1812.

Za poetę z zawodu Trembecki się nie uważał, o wiersze swoje nie dbał, drukiem ich nie ogłaszał — utwory jego zebrali i wydali przyjaciele szambelana. A jednak pod względem formy są to małe arcydzieła. Jego »Bajki«, pisane stylem pysznym, jędrnym, pełnym śmiałych wyrażeń i zwrotów, służyły za wzór Mickiewiczowi. Gdzieindziej znów przedziwny wdzięk i lekkość wiersza. Ale zapał nasz dla Trembeckiego natychmiast ostyga, gdy przeczytamy np. utwór na cześć ambasadora rosyjskiego Repnina, którego rządy zapisały się straszliwie w pamięci Polaków. Oto z jakiemi słowy zwraca się do niego poeta:

»Już oko suche promieniem skromnym
W nową się dolę wpatruje,
Już serce szczęściem jęte przytomnem
Trosków minionych nie czuje.
Już nam fortuna ulepsza rzeczy,
Dotąd jesteśmy jej mili,
Tego nam bacznej oddała pieczy,
Kogośmy sobie życzyli.
. . . . . .
Sprawco radości, przyjm nas w twe łono,
Niech cię otoczy to koło;
Niech pełne słusznej wdzięczności grono
Tańczy i śpiewa wesoło.

Czy to nie poniżające Polaka?

Oprócz bajek, listów poetycznych, ód, satyr, pisał Trembecki także większe poematy, z których najpiękniejszym może jest »Zofiówka«. Zofiówką nazwał Szczęsny Potocki ogród wspaniały, założony przezeń dla żony, Greczynki rodem, imieniem Zofia. Piękności ogrodu tego opiewał właśnie poeta. We Francyi stały się szczególniej modnymi poematy opisujące parki i ogrody, opiewano z zapałem naturę sztuczną, wypielęgnowaną ręką człowieka, zapominając o bożych borach, łąkach i łanach. Trembecki więc poszedł za przykładem swych mistrzów, ale prześcignął ich barwnością wyrażeń, śmiałością porównań; treść natomiast z natury rzeczy musiała pozostać jednostajną, a więc nudną.

Oto początek poematu, opiewający zalety Ukrainy:

Miła oku, a licznym ożywiona płodem,
Witaj, kraino, mlekiem płynąca i miodem!
W twych łąkach wiatronogów rżące mnóstwo hasa,
Rozroślejsze czabany twe błonie wypasa.
Baran, którego twoje utuczyły zioła,
Ciężary chwostu jego nosić muszą koła;
Nasiona, twych wierzone bujności zagonów,
Pomnożeniem dochodzą babilońskich plonów;
Czernią się żyzne role, lecz bryły tej ziemi
Krwią przemokły, stłuszczone ciały podartemi.
. . . . . .

Czytając utwory Trembeckiego, nie wiemy, czy podziwiać mamy ich formę, czy potępiać ich autora jako człowieka. Zachwycamy się nim i czujemy do niego niechęć i żal równocześnie...

Sympatyczniejszym jest już dla nas znajomy, a przez czas jakiś nawet przyjaciel Trembeckiego, ale mniejszy od niego talentem Tomasz Kajetan Węgierski. Jak on zepsuty, jak on hulaka, nie zatracił jednak poczucia godności osobistej, nie schlebiał nigdy nikomu dla nizkiej korzyści.

»Nie mam w ustach czułości, nie bzdurzę o cnocie,
Nikt mnie jednak przy podłej nie zastał robocie,
Dla zysku nic nie czynię, prawdę mówić lubię,
Nieprzyjaciół skrytymi podstępy nie gubię« —

pisał o sobie Węgierski. Zapomniał jednak dodać, że nie tylko lubił mówić prawdę, ale że chętnie czynił to w sposób zjadliwy, że drwił często z ludzi niemiłosiernie, że zwracał się nierzadko wprost przeciw pewnym osobistościom. Większy utwór pozostawił Węgierski tylko jeden: Organy, epos

żartobliwy, zbliżony treścią do Krasickiego Wojny mnichów, ale mniej od tamtej zabawny.

Ci czterej poeci: Naruszewicz, Krasicki, Trembecki i Węgierski są wyobrazicielami kierunku rozumowego w literaturze. Wszyscy hołdują hasłom oświecenia i postępu, ale z zacofaniem walczą z chłodną rozwagą, a dla ośmieszenia przeciwników chętnie posługują się satyrą. Uczucie nie przejawia się u nich, a jeśli u Naruszewicza np. znajdzie ono wyraz, to przybierze najczęściej formę gniewu lub oburzenia.

Jakby przeciwieństwem tej grupy »trzeźwych« są dwaj «uczuciowi» poeci: Karpiński i Kniaźnin, skłonni zawsze do rozczuleń, nawet do łez.

Skąd wzięła się u nich ta uczuciowość? Przedewszystkiem zwrócić należy uwagę na to, że młodość ich przypadła na tragiczne chwile nieszczęść narodowych, że serce musiało im pękać z żalu na widok hańby, rozbiorów, upokorzeń, jakich Polska doznawała. Nadto zaś ulegli oni nowszym prądom, przedzierającym się do nas z Francyi, gdzie dość już miano poezyi »rozumnej«, śmiechu i szyderstwa i gdzie też obudziła się tęsknota za serdecznymi wybuchami uczucia. Prawda, że popadnięto tam w przesadę w wyrażaniu uczuć, że wylewano za wiele łez, ale bądź co bądź zwrot był dokonany, uczucie odzyskało w poezyi swoje prawa.

Przydomek »poety serca« uzyskał też u nas przedstawiciel tego kierunku Franciszek Karpiński, urodzony w Hołoskowie w r. 1741. Po zmysłowych, niesmacznych często wierszach »miłosnych« Trembeckiego lub Węgierskiego jakże miłego doznajemy wrażenia, gdy przeczytamy jedną lub drugą sielankę Karpińskiego. Jak rzewnie, łagodnie, tęsknie wyraża się tu uczucie, ile wdzięku znajdujemy np. w jednej z najwcześniejszych jego sielanek p. t. »Do Justyny. Tęskność na wiosnę«:

Już tyle razy słońce wracało
I blaskiem swoim dzień szczyci;
A memu światłu cóż to się stało,
Że mi dotychczas nie świeci.

Już się i zboże do góry wzbiło
I ledwie nie kłos chce wydać;
Całe się pole zazieleniło;
Mojej pszenicy nie widać!

Już słowik w sadzie zaczął swe pieśni,
Gaj mu się cały odzywa;
Kłócą powietrze ptaszkowie leśni;
A mój mi ptaszek nie śpiewa!
. . . . . .

A nawet owa »Laura i Filon«, sielanka nucona dawniej w każdym dworku szlacheckim, dziś nieco ośmieszona, niej jest bez zalet.

Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły
I coś tam klaszcze za borem.
Pewnie mnie czeka Filon mój miły
Pod umówionym jaworem.
. . . . . .

Wezmę z koszykiem maliny moje
I tę plecionkę różową:
Maliny będziem jedli oboje,
Wieniec mu włożę na głowę...

Przecież to ładne, a chociaż prawda, że nieco czułostkowe, że zakochane dziewczęta wiejskie parobczaków nie wieńczą, ale to już policzyć trzeba na karb naśladownictwa wzorów francuskich. Ogół też pokochał prawdziwie pienia Karpińskiego, a najlepszym dowodem popularności poety jest to, że niektóre z religijnych jego pieśni do dziś jeszcze śpiewa lud polski po świątyniach bożych i w domu. »Kiedy ranne wstają zorze«, »Wszystkie nasze dzienne sprawy«, »Bóg się rodzi, moc truchleje«, te modlitwy i kolędy są już dziś własnością ogółu. A nie brak utworów pięknych i wśród pieśni świeckich. Głośny bardzo »Powrót z Warszawy na wieś«, elegia, w której poeta skarży się na obojętność wielkich panów dla siebie, mniej zapewne jest sympatyczna, ale takie »Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta« należą do najpiękniejszych utworów lirycznych z doby stanisławowskiej.

Ty śpisz, Zygmuncie! a twoi sąsiedzi
Do twego domu w goście przyjechali!...[1])
Ty śpisz! a czeladź przyjęciem się biedzi
Tych, co cię czcili, co ci hołdowali!...
Gorzkie wspomnienie! Gdy szczęście przeminie,
Czemuż i pamięć o niem nie zaginie?

Ojczyzno moja! na końcuś upadła!
Zamożna kiedyś i w sławę i w siłę!...
Ta, co od morza aż do morza władła,
Kawałka ziemi nie ma na mogiłę!...
Jakże ten wielki trup do żalu wzrusza!
W tem ciele była milionów dusza!
. . . . . .

[1]) Naturalnie mówi tu poeta o zaborczych państwach, które rozebrały Polskę.

Poeta kończy słowami:

Zygmuncie! przy twoim grobie,
Gdy nam już wiatr nie powieje,
Składam niezdatną w tej dobie
Szablę, wesołość, nadzieję
I tę lutnią biedną!...
Oto mój sprzęt cały!
Łzy mi tylko jedne
Zostały!

My dziś po przeżyciu gorszych jeszcze klęsk narodowych, nadziei nie składamy, to też rozpacz ta beznadziejna razi nas u poety, ale przyznać musimy, że tak silnego wyrazu żalu i bolu po stracie ojczyzny nie znaleźliśmy przed »Żalami Sarmaty« w piśmiennictwie polskiem.

Zdziwienie, ale miłe zdziwienie ogarnia nas, gdy czytamy niektóre piosnki Karpińskiego, wyśpiewane zupełnie na sposób ludowy:

Dobranoc, Jacenta,
I wy, rączki czyste,
I słodkie oczęta
I piersi parzyste.

Ja nie spać statecznie
Całą noc gotowym,
Bo któż śpi bezpiecznie,
Przy skarbie takowym?

Toć to najwidoczniejszy mazurek! Kiedyś, po latach, najwięksi poeci zwrócą się do poezyi i życia ludu, ażeby zaczerpnąć stamtąd natchnienia do swej twórczości.

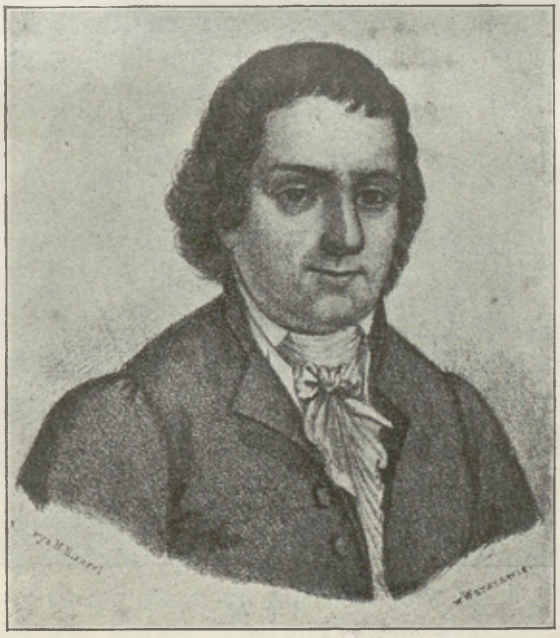

Fig. 60. Franciszek Karpiński.

Karpiński był głównie poetą lirycznym, to też kiedy zapragnął tworzyć tragedye i komedye, siły mu nie dopisały. Dziś nikt ich już nie czyta.

Podobnemi, jak Karpiński, właściwościami usposobienia i zdolności odznaczał się Franciszek Kniaźnin (um. 1807). Sekretarz ks. Czartoryskich, przebywał stale przez szereg lat w Puławach, a przywiązany szczerze do całego domu książęcego, uważany przez Czartoryskich niejako za

nadwornego poetę, pisał niejednokrotnie na życzenie i wedle wskazówek księżny czy księżniczki, krępując w ten sposób przyrodzone prawa twórczości.

Charakter jego utworów podobny do Karpińskiego, ale uczucia jego miększe, a sposób ujawniania się tych uczuć często mdły i nużąco jednostajny. Nigdzie silniejszego wyrażenia, nigdzie jakiegoś gorętszego zwrotu. Ciągle poeta się kocha, ciągle łzy leje z powodu braku wzajemności, ale znów wynajduje inny przedmiot miłości i znów na nowo poczyna się smucić. Pierwszy taki wylew uczucia może nas nawet rozrzewni, ale drugi, trzeci i dziesiąty — znudzi. Z większą już przyjemnością czytamy jego liryki patryotyczne, tem bardziej, że znajdują się wśród nich naprawdę ładne, świadczące o gorących uczuciach Kniaźnina jako Polaka. Taki np. wiersz jak »Do Ojczyzny« wzbudzi nawet i w dzisiejszym czytelniku myśli poważne:



Fig. 61.

Kędyż te słupy, te granice twarde,
Które nasz Chrobry oznaczał [żelazem?
Tenże to naród cary wiązał harde,
Gromiąc i orły i księżyce ra- [zem?

Myż to, Polacy, owych mężów plemię,
Co nam krwią swoją kupili tę ziemię?

O wielkie dusze! których tu nie zliczę,
Jeśli z swej na nas poglądacie chwały,
Zacni Tarnowscy, mężni Chodkiewicze!
Na cóż przykłady nam wasze zostały?
Takeśmy podli, że was bierze trwoga
Błagać za nami zwróconego Boga?

Gorzkie to słowa, straszne dla współczesnych...

Na wyróżnienie zasługuje z pośród innych utworów Kniaźnina sztuka Cyganie, osnuta na tle życia cyganów i ludu wiejskiego. Jest ona dowodem, że poeci poczynają już zwracać uwagę na lud. Od czasu do czasu bądź obierają życie ludu za tło swych utworów, bądź też piszą na sposób pieśni ludowych.

Kniaźnin tworzył także poematy opisowe i bajki. Te ostatnie nie są bez wartości.

Koniec życia miał Kniaźnin tragiczny. Zacny, ojczyznę nad wszystko miłujący poeta, nie potrafił przenieść upadku Polski, popadł podobnie jak Naruszewicz — w obłąkanie. Nieszczęśliwym zaopiekował się przyjaciel jego, komedyopisarz Zabłocki.

W okresie stanisławowskim rozwinęła się, jak widzieliśmy, głównie liryka i satyra, ale obok tego są ciągłe próby stworzenia dramatu. Bądź dramaty, bądź komedye piszą: Naruszewicz, Krasicki, Karpiński, Kniaźnin i inni, mniej znani. Przykład szedł z Francyi. A tam właśnie zachwycano się dramatami dwu znakomitych poetów, Kornela i Rasyna, i komedyami nieocenionego Moliera.

W ostatnich dziesiątkach XVIII. wieku poczyna się u nas rozwijać szczególnie bujnie komedya. Dlaczego komedya właśnie? Prawdopodobnie należy objaw ten połączyć z ogólną dążnością reformatorską w tym czasie, z walką wydaną wówczas ciemnocie umysłowej, politycznej i grzechom społecznym. Komedya zaś nadawała się szczególnie dobrze do wyśmiania przeciwników reformy, do wyszydzenia ich myśli, nałogów i upodobań. Dążność ta reformatorska wyciska już znamienne piętno na komedyach Bohomolca, a w dalszym ciągu da ona się spostrzedz w utworach Zabłockiego i Niemcewicza.

Wzorem dla nich, jak i dla tamtego, będzie Molier. Będą więc nasi komedyopisarze przedstawiali zabawne typy, to jest ludzi, którzy łączą w sobie znamiona wielu osób pewnego rodzaju. Skąpiec więc np. będzie nietylko trząsł się nad groszem, ale będzie odmawiał sobie wszystkiego (co nie jest nieodzowną cechą skąpca), drugiego nie poratuje, choćby ten był w największej nędzy, będzie się pieścił z pieniądzmi, całował je, a wreszcie każe się z workiem dukatów zakopać do grobu. Tak samo, dajmy na to, tchórz połączy w sobie znamiona rozmaitych ludzi tchórzliwych.

Przedstawienie tych typów jest też głównym celem komedyi molierowskiej, osnowa jej bowiem jest bardzo prosta, a rozwiązanie zawikłania

niewybredne. Osoby główne działają zresztą na scenie bardzo niewiele, a kierują niemi zazwyczaj ich służący, posługując się rozmaitemi sztuczkami i intrygami. Jak w starożytnej komedyi, tak i tutaj wszystko dzieje się w jednym dniu i na jednem miejscu.

Wszystkie te właściwości komedyi Molierowskiej przejął

Franciszek Zabłocki (ur. 1754., um. 1821.), uważany za ojca komedyi polskiej. Dawał jaskrawe typy ludzi zabobonnych, lekkomyślnych sowizdrzałów, upartych pieniaczy, a kreślił te postaci tak wyraziście, z taką drobiazgowością, że wrażają się one stale w pamięć czytelnika. O morał mu nie chodziło, kazań w sztukach swych nie prawił, ale przez wierne nakreślenie ujemnego charakteru już go ośmieszał — podobnie jak to czynił Krasicki w swych satyrach. W jednej np. z najlepszych swoich komedyi, w »Sarmatyzmie», przedstawiając spór graniczny między szlachcicem Góronosem a Żegotą, daje doskonały obraz i tych głównych postaci i ich otoczenia. Góronos łączy w sobie wszystkie ujemne cechy szlachty z czasów saskich, pyszni się nad miarę ze swego rodu, wadzi się z sąsiadami, każdej chwili gotów do bójki, w domu swym urządza pijackie uczty, a z tą próżnością i z warcholstwem idzie u niego w parze dostateczna głupota. To przeciwieństwo człowieka »oświeconego«, to »sarmata«, z wszystkiemi wadami pokolenia saskiego. Ale jest w innej komedyi, w »Fircyku w zalotach«, typ młodzieńca, który widocznie odebrał już modne wychowanie francuskie, któremu braku oświaty i ogłady towarzyskiej nie można zarzucić, ale który w życiu wybrał z tego, co nowe, to tylko, co dla niego wygodne. Jego światowość bowiem polega

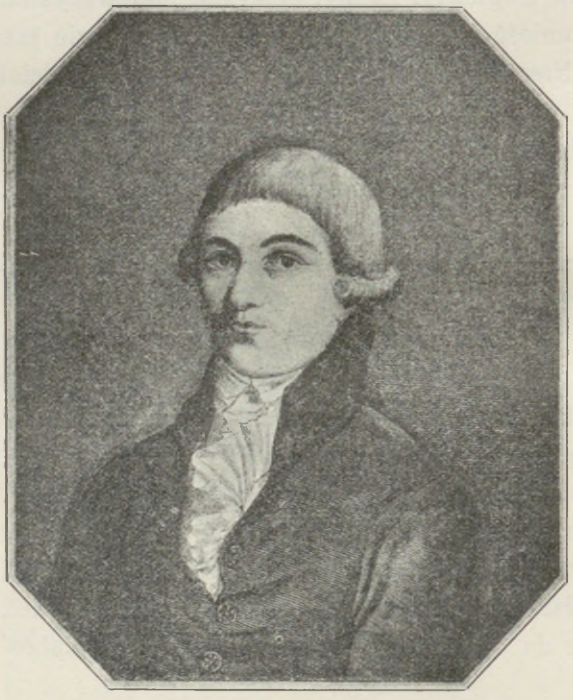

Fig. 62. Franciszek Zabłocki.

na tem, że ubiera się pięknie i modnie, że dokonywa podbojów miłosnych, że gra w karty i robi długi. Takich Fircyków liczyła wówczas Warszawa na setki. W innej znów komedyi, »Zabobonniku«, spotykamy się z typem człowieka, który wyrósłszy w czasach, kiedy literaturę tworzyły senniki, a »czarownice« gorzały na stosach, nie może się pozbyć dawnych przesądów i zabobonów, boi się sów, kruków i puhaczy, wierzy w czary, a lękliwość swą i łatwowierność posuwa do granic wprost śmiesznych. Taki »zabobonnik« staje się igraszką w rękach swych sług, którzy zresztą we wszystkich komedyach Zabłockiego odgrywają ważną rolę. A jest tych komedyi bardzo wiele, około 80, oryginalnych jednak tylko dziesięć. Pisał Zabłocki językiem pięknym, wierszem władał gładko, a jeśli w komedyach jego są niedostatki, to są one w znacznej części skutkiem zbyt ścisłego trzymania się wzoru — sztuk molierowskich.

Jeśli Zabłocki ośmieszał w swych komedyach wady charakterów ludzkich, to inny pisarz, o którym później szerzej pomówimy: Julian U. Niemcewicz, wyszydził w komedyi swej p. t. «Powrót posła« błędne i szkodliwe zapatrywania polityczne pewnej części społeczeństwa szlacheckiego. Tytuł komedyi: »Powrót posła«, dlatego, bo podczas przerwy wśród obrad sejmu czteroletniego powraca w dom rodziców swych, Podkomorstwa, syn ich Walery, poseł i gorący zwolennik tych haseł, które wydały wiekopomną konstytucyę 3. maja. W domu Podkomorstwa bawi wówczas Starosta z żoną i córką Teresą, którą Walery kocha, nie bez wzajemności. Ale pobraniu się młodych stają na przeszkodzie polityczne zapatrywania starosty i drugi konkurent Teresy, nicpoń, łgarz i marnotrawca Szarmancki. Pan starosta nie może zwłaszcza przebaczyć posłowi jego postępowych zapatrywań. Bo jak to pięknie było za czasów saskich

»Jak to Polak szczęśliwie żył pod Augustami!
Co to za dwory, jakie trybunały huczne,
Co za paradne sejmy, jakie wojsko juczne.
Człek jadł, pił, nic nie robił i suto w kieszeni.
Dziś się wszystko zmieniło i bardziej się zmieni.
Zepsuli wszystko, tknąć się śmieli okrutnicy
Liberum Veto, tej to wolności źrenicy! *(płacze)*
Przedtem bez żadnych intryg, bez najmniejszej zdrady
Jeden poseł mógł wstrzymać sejmowe obrady,
Jeden ojczyzny całej trzymał w ręku wagę!
Powiedział: nie pozwalam, i uciekł na Pragę.
Cóż mu kto zrobił: jeszcze za tak przedni wniosek
Miał promocyę i dostał czasem kilka wiosek!
Dzisiaj co kto dostanie? nowomodne głowy

Chcą robić jakieś straże, jakiś sejm gotowy,
Czyste do despotyzmu otwierają pole«.

A taką nowomodną głową jest właśnie Walery.

Piorunuje więc pan Starosta na pana posła, kpi sobie z niego i ani chce słyszeć o tem, by ten »mędrek« miał zostać jego zięciem. Ale położenie zmienia się zasadniczo, gdy wychodzi na jaw, że współzawodnikowi Walerego, Szarmanckiemu, chodzi niestety tylko o posag.

Niemcewicz pragnął w tej komedyi, napisanej w czasie obrad sejmu 4-letniego, głównie ośmieszyć przeciwników reformy, chciał wykazać ich głupotę, ich samolubstwo i zacofanie. Celu swego dopiął w zupełności, a zarazem stworzył na długi czas typ sztuki patryotycznej o politycznem zabarwieniu.

Patryotyczną dążnością odznacza się też sztuka Wojciecha Bogusławskiego p. t. »Cud czyli Krakowiacy i Górale«, osnuta na tle życia wiejskiego i kreśląca typy ludowe. W stosunku do »Cyganów« Kniaźnina tworzył »Cud« postęp, wnikał lepiej w naturę wieśniaka i lepiej ją przedstawiał.

Inne utwory dramatyczne tego autora — a napisał on ich wiele — nie mają już tego znaczenia. Ale za to nieocenione są zasługi Bogusławskiego jako dyrektora teatru. Dawał on przedstawienia w Warszawie w Wilnie, Grodnie, Dubnie, a gdy Galicya przeszła pod rządy austryackie, przeniósł się do Lwowa ze swą trupą. W tych smutnych czasach, kiedy jedni wołali: wszystko stracone, a drudzy popadali w melancholię i obłąkanie, kiedy państwa zaborcze rozpoczęły walkę z językiem polskim, w tych czasach dawanie przedstawień polskich, krzewienie zamiłowania do literatury ojczystej było zasługą niepowszednią, było czynem obywatelskim.

Proza. Literatura polityczna. Minęły dwa wieki od tej chwili, kiedy Modrzewski wzywał społeczeństwo do poprawy Rzeczypospolitej. Ale nie upłynęło jeszcze lat dwieście od czasu, kiedy rozlegał się z ambony głos Skargi, rzucający straszne przepowiednie »będziecie bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwej ważono, będą«. Nie upłynęło lat dwieście i przepowiednie spełniły się z taką dokładnością, jak gdyby słowa Skargi były objawieniem bożem: w roku 1772. dokonany został pierwszy rozbiór Polski. I dopiero wówczas otworzyły się oczy, zaczęła się praca pospieszna, gorączkowa, około zachowania tego, co pozostało.

Rzecz jasna, że w takiej chwili, kiedy wszyscy myślą o środkach ratunku, musi rozwinąć się literatura polityczna, której zadaniem właśnie jest obmyślanie poprawy ustroju państwowego i społecznego.

Rozwija się też ona istotnie niezwykle świetnie, a wyobrazicielami jej głównymi są Stanisław Staszic i Hugo Kołłątaj. Pierwszy

X. Stanisław Staszic (ur. 1755., um. 1826.), jest nietylko pisarzem politycznym, ale i myślicielem, filozofem. Potomek rodziny mieszczańskiej, znał dobrze upośledzenie, jakiego ten stan doznawał, tem też goręcej przejął się wolnościowemi, republikańskiemi hasłami Zachodu. Widząc słabość rządu, wadliwy ustrój społeczny Polski, groźne stanowisko państw sąsiednich, począł myśleć nad sposobami zaradzenia złemu i z tych rozmyślań wypłynęło dziełko, które zjednało mu miano ojca demokracyi polskiej.

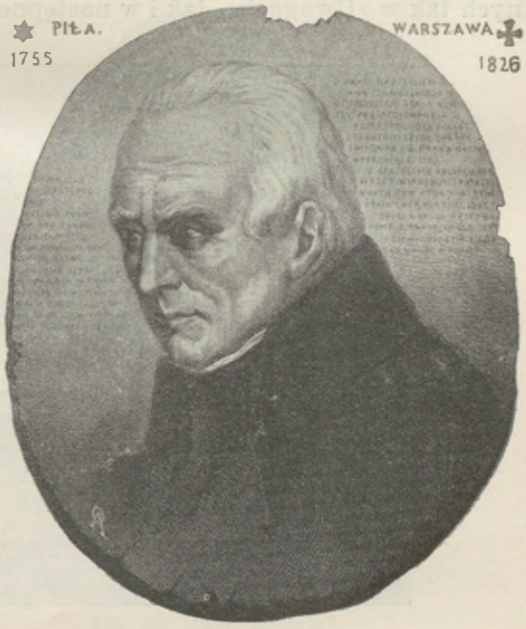

Fig. 63. Stanisław Staszic.

Tytuł tego dziełka »Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego« (1785). W rzeczywistości o Janie Zamojskim niema tam prawie mowy, ale są natomiast myśli tak głębokie, rady tak zbawienne, jakich nie słyszało jeszcze polskie społeczeństwo. Jest więc przedewszystkiem myśl wielka, po raz pierwszy podniesiona publicznie: myśl uwłaszczenia włościan. A uwłaszczenie ludu rolnego to według Staszica nietylko naprawienie dotychczasowej krzywdy, ale to pozyskanie Polsce milionów obywateli, zabezpieczenie wolności ojczyzny. Wolny chłop jednak nie może już być sądzonym przez dawnego dziedzica, wszyscy powinni być poddani pod te same sądy i wszystkich obywateli powinna ojczyzna otaczać jednaką opieką. Żąda dalej Staszic także dla miast reprezentacyi w sejmie, udziału w rządzie. To konieczne reformy w ustroju społecznym. A ustrój państwowy? Zgubności liberum veto dowiódł już niezbicie Konarski, to też Staszic nie potrzebował silić się nad wykazaniem, że samowola jednego

nie jest »źrenicą wolności«, ale najgorszą niewolą, bo uleganiem tyraństwu. Natomiast odmalował w groźnych obrazach szkodliwość wolnej elekcyi i przypomniał, jak to niedawno »wolny« lud wybierał pod groźbą bagnetów rosyjskich Stanisława Augusta na rozkaz »Północnej Pani«.

Łatwo się domyślić, że książka Staszica wstrząsnęła umysłami współczesnych. Posypało się mnóstwo broszur, zachwycano się wywodami autora i ciskano na niego gromy. Pocieszającym jednak było objawem, że znalazło się więcej zwolenników Staszica, niż przeciwników jego projektów, rzuconych tak w »Uwagach«, jak i w następnem dziele »Przestrogi dla Polski«. Tam autor raz jeszcze i jeszcze namiętniej podniósł potrzebę uwłaszczenia włościan. Postanowił też zrobić próbę na własną rękę i w zakupionej przez siebie Hrubieszowszczyźnie oddał chłopom ziemię na własność. Chciał dać dobry przykład drugim i czyn ten jego nie poszedł na marne, bo kiedy po latach hasło uwłaszczenia rozległo się na nowo, powoływano się na Staszica, jako na tego, który myśl usamowolnienia włościan potrafił już dawno wprowadzić w życie.



Fig. 64. Kościół i szkoła w Hrubieszowie.

Jest też Staszic na tle ówczesnem, kiedy to ludzi o wybitnych zdolnościach było wielu, ale brakło silnych, pięknych charakterów, zjawiskiem niepowszedniem. Panuje u niego najściślejsza zgoda pomiędzy tem, co

głosił i pisał, a pomiędzy jego życiem. Oszczędny dla siebie, cały grosz zaoszczędzony obracał na cele publiczne. Jego to staraniem stanął w Warszawie okazały dom Towarzystwa Przyjaciół nauk.

Zdolnościami nie ustępował Staszicowi drugi wybitny pisarz owego czasu

X. Hugo Kołłątaj (ur. 1750., um. 1812.). Umysł praktyczny, człowiek stworzony do czynu przedewszystkiem, znany nam już jest z przeprowadzenia reformy na uniwersytecie krakowskim i z prac w komisyi edukacyjnej.

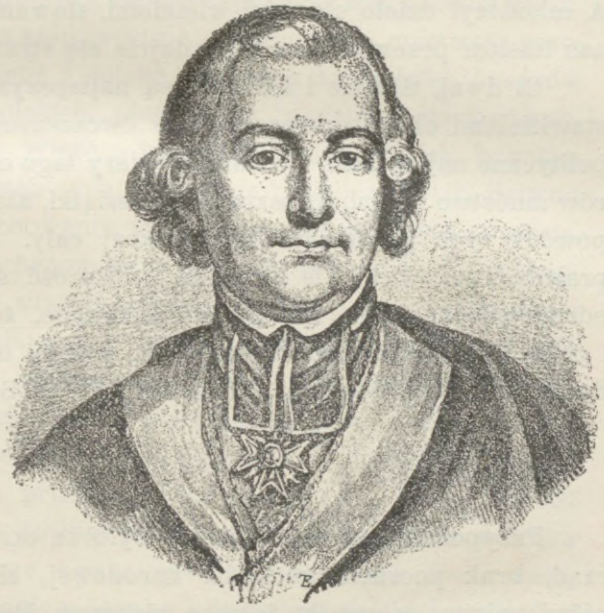

Fig. 65. Hugo Kołłątaj.

Kiedy sejm konstytucyjny był już postanowiony i kiedy mówiono już powszechnie o tem, że ma on wprowadzić ważne zmiany w ustroju państwowym, Kołłątaj wystąpił z swymi »Listami o przyszłym sejmie« — wydanymi bezimiennie — w których rozwinął cały program reformy. Zaczął praktycznie od wojska i żądał 60.000 regularnego żołnierza, nie 100.000, jak inni, ale za to wskazywał szczegółowo środki utrzymania armii w takiej sile. W innych sprawach zasadniczych zgadzał się ze Staszicem. Żądanie sankcyi królewskiej dla uchwał sejmowych świadczy o niepospolitym rozumie politycznym u Kołłątaja, prowadziło ono bowiem do tak koniecznego wówczas wzmocnienia władzy królewskiej. W sprawie włościańskiej zajął Kołłątaj stanowisko bardziej konserwatywne niż Staszic, nie z przekonania oczywiście, ale w tym celu, ażeby projekt jego nie upadł. Przemawiał więc nie za uwłaszczeniem włościan, ale za nadaniem im wolności osobistej i za wprowadzeniem kontraktowych umów co do robocizny pomiędzy dziedzicami, a wieśniakami. Projekt Kołłątaja przeszedł na Sejmie czteroletnim prawie w zupełności. Widać z tego, jak świetnie znał

nasz pisarz swoje społeczeństwo, jak wiedział, czego można od niego żądać.

Kiedy po kraju poczęły krążyć odezwy konfederacyi Targowickiej, bezczeszczące uchwały z 3. maja, manifesty króla pruskiego i »najjaśniejszej Imperatorowej«, pełne fałszów i wykrętów, wydał Kołłątaj wraz z F. Dmochowskim i J. Potockim znakomite dzieło »O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3. maja«, w którem przedstawił dzieje reformy, jej ducha, jej cel i odparł świetnie wszystkie oszczerstwa Targowiczan i ich opiekunów. A zakończył dzieło słowami wielkiemi, słowami, które do dziś dnia są dla nas hasłem przewodniem: »nie dajcie się strawić!«.

Ci dwaj, Staszic i Kołłątaj, są najlepszymi, najznakomitszymi przedstawicielami obozu postępowego w ówczesnem społeczeństwie, a ich pisma polityczne najlepszem wyznaniem wiary tego obozu. Ale obok nich jest autorów mnóstwo innych, broszur nie dziesiątki, ale setki, a w czasie sejmu istna powódź tych publikacyi zalewa kraj cały. Niektóre z nich pachną co prawda Targowicą, ale ogromna większość świadczy niezbicie o tem, że odrodzenie duchowe narodu już dokonane, że jest już świadomość złego i chęć poprawy, a choć hartu woli, energii męskiej jeszcze niema, to jednakowoż w porównaniu z tem, co było za Sasów, postęp ogromny.

Przypomnijmyż bo sobie, co było za czasów saskich. W kraju bezrząd, brak poczucia godności narodowej, ciemnota. Szkoły w upadku, piśmiennictwo w upadku jeszcze większem. Popatrzmyż teraz, co przyniósł wiek ośmnasty. W kraju we wszystkich dziedzinach życia ruch, zapał, praca gorączkowa, reformuje się szkoły, reformuje się rząd, padają hasła coraz to rozumniejsze, aż wreszcie plon tych usiłowań zbiorowych wschodzi w konstytucyi 3. maja. A piśmiennictwo? To robi olbrzymi krok naprzód. Przedewszystkiem oczyszcza się język. Znikają makaronizmy, napuszoność, dziwactwa, mowa polska odzyskuje dawną czystość, dźwięczność, doskonali się, pięknieje. W poezyi zjawiają się te wszystkie rodzaje literackie, które rozwinęły się we Francyi, po długotrwałym zastoju — rozkwit nadzwyczajny! Prawda, że poezya ta jest chłodna, że uczucie, choć się w niej nawet ujawnia, nie wznosi się nigdy wysoko, płomieniem nie wybucha, ale tam, gdzie rozum wystarcza, zjawiają się rzeczy nawet niepospolite. Wogóle poezya nie stoi jednak na wysokości chwili, rolę jej natomiast

obejmuje proza. Tam się skupia uczucie narodu, tam są prześliczne objawy miłości ojczyzny i bolu patryotycznego, a w takich »Uwagach« Staszica jest więcej siły i uczucia, niż w całej twórczości Krasickiego. Proza też, nie poezya stanisławowska, rzuca hasło przyszłym pokoleniom »nie dajcie się strawić«.

Po rozbiorze (do Mickiewicza). Państwo polskie zniknęło już z karty Europy. Straszna, pogrobowa cisza zaległa obszary polskiej ziemi. Zdaje się, że wszystko stracone niepowrotnie. Aż głuchą tę martwotę przerywa pieśń, płynąca echem, skądś z daleka, aż hen z zachodnich krańców Europy. To pieśń legionów polskich, pieśń życia, nadziei, zmartwychpowstania: Jeszcze nie zginęła! Wieść o legionach i czynach ich bohaterskich poczyna budzić w sercach tych, którzy pozostali w kraju, dziwną otuchę i myśl o ratunku, o zachowaniu tego, co jeszcze nie było stracone.

Więc przedewszystkiem ochrona języka, mowy rodzinnej, tej podwaliny odrębności narodowej. A właśnie przeciw mowie polskiej rozpoczęła się najpierw robota państw zaborczych. Ażeby jej przeciwdziałać, postanowili przejęci patryotycznym duchem, znani w Polsce mężowie, Albertrandy, Czacki, Stanisław Potocki i inni, związać się razem celem czuwania nad czystością języka polskiego, i tak powstało w Warszawie, pozostającej wówczas pod zaborem pruskim, Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Położyło ono niebawem zasługi nadzwyczajne. Podzielone na kilka wydziałów, dało popęd do prac naukowych w rozmaitych kierunkach. Członkowie jego zajęli się badaniem języka i literatury polskiej, podłożyli podwaliny pod znajomość prawa polskiego, pracowali nad historyą ojczystą, a pozostawili też znakomite dzieła z zakresu nauk przyrodniczych i filozofii ścisłej.

Pod zaborem rosyjskim ogniskami oświaty były uniwersytet wileński i liceum wołyńskie w Krzemieńcu [1]). Wszystkie zaś wogóle szkoły na Litwie i Rusi podniosły się wskutek zreformowanego planu wychowania, opracowanego przez dawnych członków komisyi edukacyjnej.

Naturalnie, gdy w r. 1807. powstało Księstwo Warszawskie, myśl polska schroniła się tu przedewszystkiem i tu zaczęła się najgorliwsza

---

[1]) Liceum jest to szkoła średnia, wyższa jednak od gimnazyum, choć nie dorównująca uniwersytetowi.

praca około umocnienia podstaw polskości. W zakresie szkolnictwa szczególną uwagę zwrócono na szkółki elementarne miejskie i wiejskie: liczba ich za czasów Księstwa zwiększyła się z 137 do 1491. A i po upadku Księstwa nie spuszczają Polacy z oka szkolnictwa i umieją za Królestwa kongresowego uzyskać w r. 1817. uniwersytet polski w Warszawie.

Poezya. Jakiż będzie pierwszy głos poezyi wśród tak zmienionych, a smutnych warunków, cóż ona powie po upadku ojczyzny? Owszem, będzie ona miała wiele do powiedzenia. Już w r. 1795. odzywa się kapłan, proboszcz w Kazimierzu Dolnym, wiosce w pobliżu Puław,

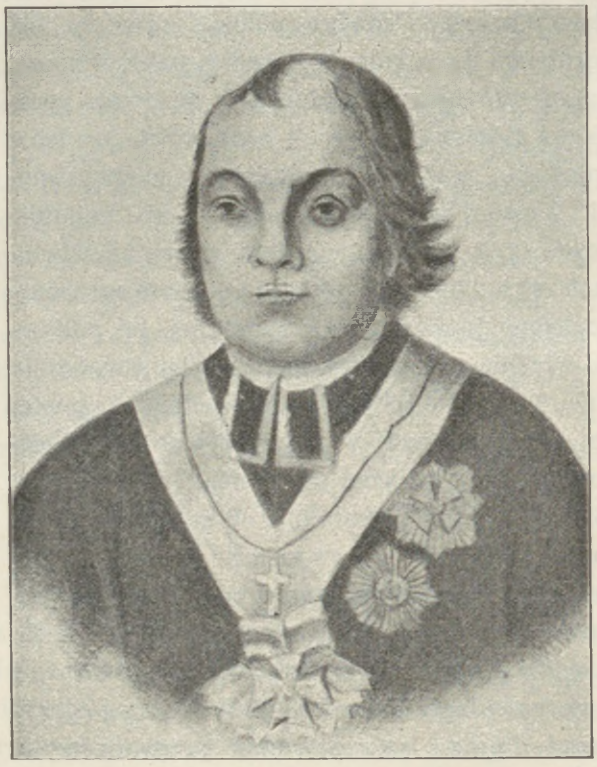

Fig. 66. Jan Paweł Woronicz.

Jan Paweł Woronicz (um. 1829.), pisząc swą »Świątynię Sybilli«. Co mieści w sobie ten poemat? Utwór to opisowy, a więc zapewne coś w rodzaju Zofijówki Trembeckiego? opis Puław i domu w ogrodzie puławskim (Świątyni Sybilli)? Gdzież tam, zupełnie coś innego. Prawda, opis Puław jest, ale nie jest on celem poematu. Cel jest inny: nakreślenie głównych rysów dziejów narodu polskiego, do czego podnietę daje autorowi widok pamiątek, nagromadzonych w owym domu w ogrodzie, w owej Świątyni Sybilli. A więc pierwiastek patryotyczny uwydatniony bardzo silnie, a więc wskrzeszona chwała przeszłości, świetność minionych dni. Ale jest w tym poemacie jeszcze jedna strona, głęboka religijność i ufność w Bogu i pociecha: nie wszystko stracone, jest ktoś silniejszy od złości ludzkiej, jest Bóg! Pojednajcie się z Nim, a On dopomoże wam w boju o wolność.

»Równo Jego kosztuje, czy świat nowy stworzyć,
Czy tym kazać wstać z grobu, których chciał umorzyć,
Skoro więc się z Nim nowem przymierzem złączycie
I na wskrzeszenie waszej sławy zasłużycie:
Nie zagrzebie waszego rodu ta mogiła«.

Tak przemawiał przezacny kapłan do swego społeczeństwa, a te same uczucia i myśli widnieją w całej twórczości poetycznej ks. Woronicza

Z tej miłości ojczyzny i myśli o przyszłości wypłynęła praca jego nad »Pieśnioksiągiem polskim«. Miał to być zbiór poematów religijnych, moralnych i historycznych, któreby odzwierciadlały w sobie ducha narodu i mówiły o jego przeszłości od najdawniejszych czasów. W pieśnioksiągu miały się znaleźć i znane już utwory i nowe umyślnie przez Woronicza napisane.

Na czele Pieśnioksiągu miał być umieszczony hymn Woronicza do Boga, zakończony znamiennemi słowy:

Łzy nasze są świadkami błędu i poprawy,
A Ty patrzeć nie możesz na łez ludzkich [zdroje
Ni się wyprzesz Twych dzieci, Rodzicu łaskawy!
Cóż Ci zostaje? Wyrzec dawne słowa Twoje:
»Kości spróchniałe, powstańcie z mogiły,
Przywdzijcie ducha i ciało i siły!«

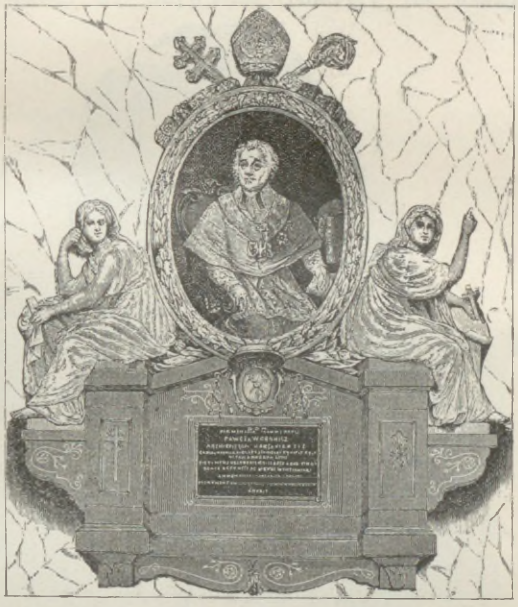

Fig. 67. Grobowiec Woronicza w kościele farnym w Warszawie.

Woronicz, później biskup krakowski, a z czasem arcybiskup warszawski, zasłynął również ślicznemi kazaniami, z których zwłaszcza niedzielne, do ludu wygłaszane, odznaczają się serdeczną prostotą.

Tak więc poezya porozbiorowa powstaje pod znakiem patryotyzmu i religijności.

Gdy zaś po pierwszych chwilach odurzenia pocznie świtać nadzieja lepszej przyszłości, obudzona wojennymi czynami legionów, gdy Napoleon ogłosi światu, że dąży do odbudowania Polski, wówczas uczucie niewypo-

wiedzianej radości ogarnie serca Polaków i wtedy to zaczną się mnożyć pieśni patryotyczne, o d y n a p o l e o ń s k i e.

Wśród tych piewców chwały Napoleona największe uznanie zdobył sobie

K a j e t a n K o ź m i a n (ur. 1771., um. 1856.), uważany przez starsze pokolenie za znakomitego poetę. W uwielbieniu dla Napoleona posuwa się Koźmian tak daleko, że nie waha się w jednej odzie, mówiąc o czynach cesarza Francuzów, zawołać: »Sam Bóg nie dałby nam więcej«.



Fig. 68. Kajetan Koźmian.

Ody napoleońskie, pisane na wzór francuskich, są też może mimo pewnej sztuczności najpiękniejszymi z wszystkich utworów Koźmiana. On sam jednak przywiązywał najwięcej wagi do dwóch wielkich swoich poematów: »Ziemiaństwa« i »Stefana Czarnieckiego«.

W »Z i e m i a ń s t w i e« pragnął przedstawić nietylko powaby kraju rodzinnego, ale i zachęcić do uprawy ziemi ojczystej. O oryginalność się nie starał, z dumą powtarzał, że wstępuje w ślady Wergiliusza, a naśladował także francuskiego piewcę »Ogrodów«, Delila. Ażeby nadać poematowi swemu formę jak najpiękniejszą, »strugał i piłował« wiersze i tak w pocie czoła pracował przez lat 25! Mimo jednak takich wysiłków autora, my dziś możemy uznać Ziemiaństwo jedynie za udatne naśladownictwo wzorów obcych. Jeżeli jednak w tym utworze udało się Koźmianowi stworzyć upragniony poemat dydaktyczno-opisowy, to zamiar stworzenia epopei nie powiódł mu się zupełnie. »S t e f a n C z a r n i e c k i«, choć pisany znów na wzór epopei rzymskich i francuskich, choć odznacza się wierszem pięknym, jakby rzeźbionym, nie jest niczem innem, jak rymowaną kroniką wypadków z czasów wojny szwedzkiej.

Koźmian zasłynął jako zawzięty wróg Mickiewicza, a jako gorący wielbiciel poezyi rzymskiej i francuskiej.

»Nie nowość, wytworność, śmiałość,
Miara to jest doskonałość«

napisał w jednej z ód swoich, lękając się wszystkiego, coby odbiegało od ukochanych przezeń wzorów.

Naśladowanie starożytnych uważał za najwyższy szczyt, na który wspiąć się zdoła poeta. To też sława jego, jak głośną była za czasów Księstwa warszawskiego i Królestwa kongresowego, tak później przebrzmiała zupełnie, odkąd zwycięstwo odniosło hasło, że nie kłanianie się obcym bogom, ale oryginalność jest pierwszym warunkiem prawdziwej poezyi.

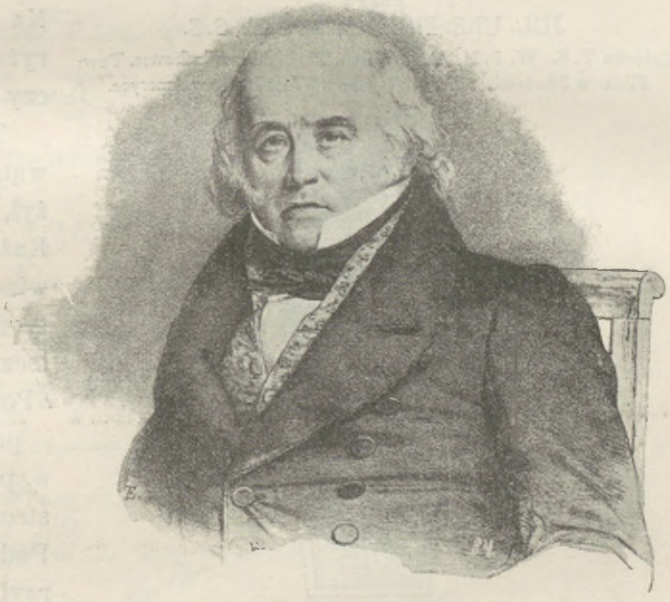

Fig. 69. Julian Ursyn Niemcewicz.

Nie tak bezwzględnymi byli dwaj inni współcześni Koźmianowi poeci, znajomi i przyjaciele jego, Wężyk i Morawski. Pierwszy z nich autor poematu opisowego »Okolice Krakowa« i kilku dramatów, drugi znany z gawędy »Dworzec mojego Dziadka«, obaj godzili się już z nowemi hasłami poetyckiemi, które w drugim i trzecim dziesiątku XIX. wieku rozbrzmiewały po ziemi polskiej.

Na przełomie dwóch kierunków w literaturze stoi znany nam już z »Powrotu posła«

Julian Ursyn Niemcewicz (ur. 1758., um. 1841). Postać to bardzo sympatyczna. Zastać go można przy każdej robocie patryotycznej, wszędzie jest czynny, zawsze niestrudzony. Za młodu adjutant X. Czartoryskiego, potem poseł na sejm czteroletni, potem adjutant Kościuszki, do-

staje się wraz z wodzem pod Maciejowicami do niewoli petersburskiej. Uwolniony wyjeżdża do Ameryki, ale na wieść o utworzeniu Księstwa warszawskiego powraca do ojczyzny i tu zajmuje od razu wybitne stanowisko w rządzie Księstwa. W r. 1830. widzimy go znów wśród powstańców, a potem w podróży do Anglii w celu uzyskania pomocy dla działań powstańczych. Na ostatek osiada w Paryżu i tu na tułactwie kończy pracowity swój żywot.

SPIEWY
HISTORYCZNE
z MUZYKA i RYCINAMI,
przez
JUL. URS. NIEMCEWICZA, S. S.
Członka T. K. W. P. N, Akad: Wilen. To: Nauk: w Krakowie. Tow: Filoz: w Filadelfii, i Tow: Woysk: w West Point w Ameryce.

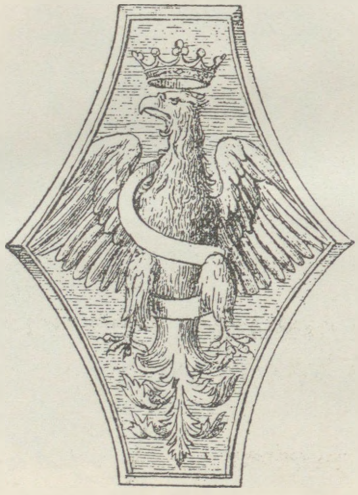

Orzeł z Kaplicy Jagiellońskiéy w Krakowie.

Wyciśnięto w WARSZAWIE.
w Drukarni Nro 646. przy Nowolipiu.
1816

Fig. 70. Podobizna pierwszej stronicy »Śpiewów historycznych.«

Talent literacki miał niewątpliwie, ale go lekceważył, używał go jako środka. Każdy jego utwór wypowiadał jakąś myśl patryotyczną, polityczną, czy społeczną. W znanym nam już »Powrocie posła«, wyszydził przeciwników reformy, a podniósł wysoko ideały stronnictwa patryotycznego. Pod wrażeniem chwili tworzył »Bajki« i nie żałował w nich chłosty tym, którzy na nią zasłużyli. Patryotyczna myśl ożywia czytywane dziś jeszcze: »Śpiewy historyczne« (1816). Pobudka do napisania ich wyszła z łona Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Chodziło o przypomnienie młodemu pokoleniu czynów sławnych przodków, o rozbudzenie w ich piersiach uczucia miłości ojczyzny. Spełnić to zadanie miał Niemcewicz. Poeta zabrał się do pracy z zapałem i niebawem już przedłożył Towarzystwu 33

»Śpiewów« opiewających znakomite czyny królów i bohaterów polskich. Do tekstu dziełka dołączono muzykę i ryciny, na końcu zaś

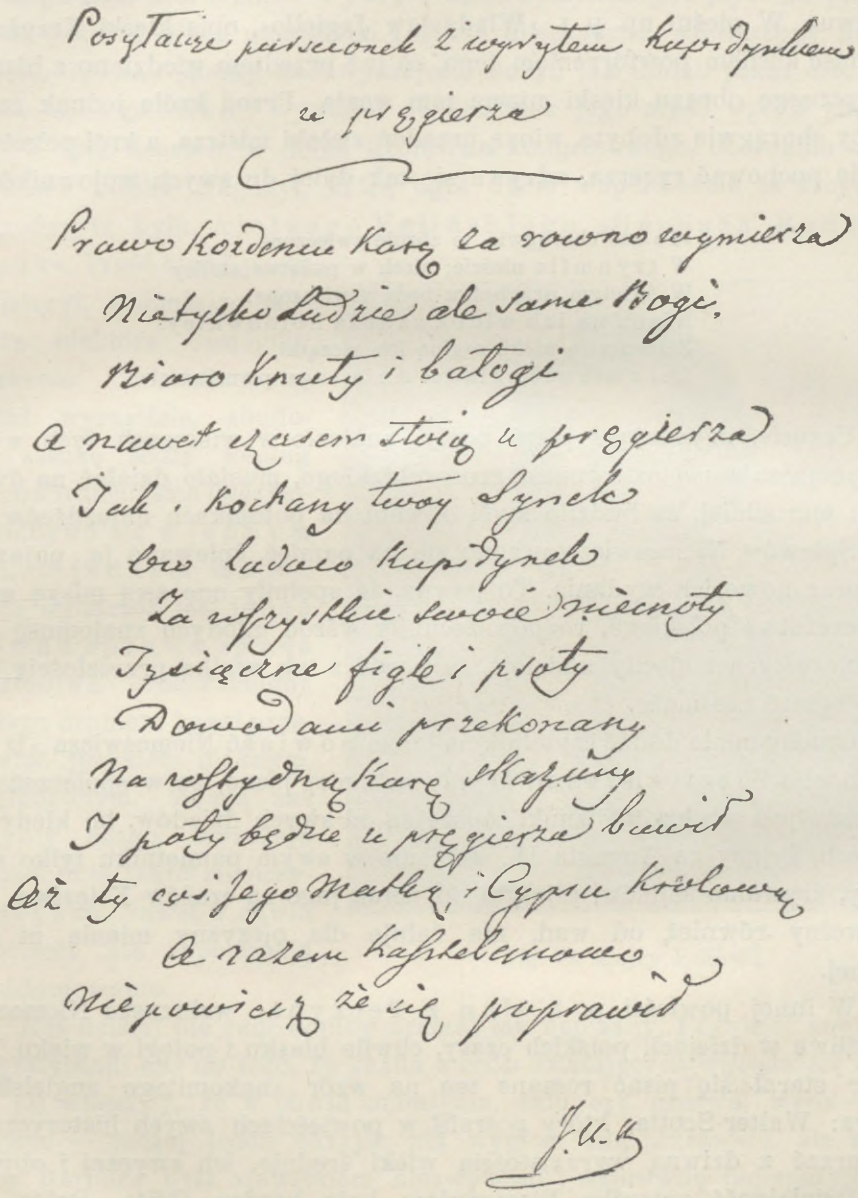

Fig. 71. Rękopis Niemcewicza.

dodał sam poeta uwagi historyczne, i książka poszła w świat, rozchwytywana przez publiczność. W przeciągu trzech lat bito już trzecie wydanie.

Czemu przypisać należy tak nadzwyczajne powodzenie dzieła? Oto gorącemu uczuciu patryotycznemu, miłości dla Polski, widocznej z każdego »śpiewu«. W pieśni np. p. t. »Władysław Jagiełło«, opis klęski Krzyżaków jest dość suchem powtórzeniem tego, co już przedtem wiedziano z historyi, plastycznego obrazu klęski niema tam wcale. Przed króla jednak znoszą Polacy chorągwie zdobyte, wiozą przedeń zwłoki mistrza, a król poleciwszy godnie pochować rycerza, odzywa się tak dalej do swych wojowników

»Te zaś chorągwie, te zbroje zwleczone
W tryumfie nieście; niech w państwa stolicy
W świętym przybytku będą zawieszone;
Niech na ich widok zadrżą hołdownicy.
Zczernią je wieki, zaginą ich szczątki,
Lecz nic nie zgładzi dnia tego pamiątki«.

Uczucie, ożywiające pierś poety, znalazło w wierszach tych wyraz, a wspomnienie owego tryumfu grunwaldzkiego, musiało działać na ówczesnych tem silniej, że budziło myśl odwetu na potomkach najeźdźców.

Śpiewów Niemcewicza uczono się na pamięć, śpiewano je, pojawiały się coraz nowe ich wydania. To pewna, że spełniły one swą misyę wśród społeczeństwa polskiego, rozpowszechniły wśród młodych znajomość dziejów ojczystych i nieciły nadzieję, że naród z tak wielką przeszłością dziejową zginąć nie może.

Otuchy miała dodać czytelnikom także powieść Niemcewicza »Dwaj panowie Sieciechowie«. Wypływa z niej jasno, że w społeczeństwie polskiem jest postęp, że wnuki lepsze są od swych dziadów, bo kiedy pan Sieciech, żyjący za Augusta II., zapisuje w swym pamiętniku tylko same burdy, zrywanie sejmów, pijatyki, to wnuk jego za czasów Księstwa, choć nie wolny również od wad, nie żałuje dla ojczyzny mienia ni krwi własnej.

W innej powieści p. t. »Jan z Tęczyna« wskrzesza Niemcewicz szczęśliwe w dziejach polskich czasy, chwile blasku i potęgi w wieku XVI. Autor starał się pisać romans ten na wzór znakomitego angielskiego autora: Walter-Scotta, który potrafił w powieściach swych historycznych odtwarzać z dziwną wyrazistością wieki średnie, ich zwyczaj i obyczaj.

Działalność autorska Niemcewicza była bardzo obfita. Prócz »Powrotu posła« napisał jeszcze szereg komedyi i dramatów, przesiąkniętych zawsze myślą patryotyczną. Pisał poezye liryczne, ody, elegie, dumy histo-

ryczne, a nawet ballady, świadczące, że nie obcą mu już była nowsza poezya angielska, która miała wywrzeć niebawem ważny wpływ na piśmiennictwo polskie. Pisał pamiętniki i dzieła historyczne. Obdarzony usposobieniem żywem, płodny nadzwyczajnie, służył, jak umiał, przez całe życie swemu społeczeństwu i wywierał na kierunek jego myśli wpływ znaczny.

W tych czasach, w dobie Królestwa kongresowego, doczekała się też literatura polska tragedyi, którą ogół uznał współcześnie za arcydzieło. Tragedyą tą była Alojzego Felińskiego »Barbara Radziwiłłówna«. Treść wziął poeta z historyi, zmieniając jednakże niektóre szczegóły zdarzenia. Charaktery nakreślił wyraziście, zbudował sztukę ściśle według wzorów francuskich (wszystko odbywa się w jednym dniu, w jednem miejscu, a osią wydarzeń jest jedna główna sprawa, sprawa małżeństwa królewskiego), osobom dramatu kazał przemawiać językiem pięknym, wygładzonym. Mówią zaś wszyscy długo, wyrażają się ozdobnie, jakby się przygotowywali. Nawet w chwili uniesienia nie zapominają o deklamowaniu.



Fig. 72. Alojzy Feliński.

Nas dzisiaj nie zadowoliłby dramat tak napisany. Późniejsi autorowie przyzwyczaili nas do tego, że każda z osób działających wyraża się w sposób jej właściwy, że w chwili uniesienia, żalu czy gniewu, wyda — jak w życiu — raczej jeden okrzyk, niż wygłosi całą przemowę, ale w owe czasy Barbara była zjawiskiem niezwykłem i naprawdę najlepszym dramatem polskim.

Proza naukowa ma w tym czasie znakomitych przedstawicieli w braciach Śniadeckich. Starszy z nich Jan Śniadecki zasłynął jako mate-

matyk i astronom, młodszy Jędrzej jako chemik i fizyolog[1]). Obaj byli profesorami w uniwersytecie wileńskim, a Jan zasłużonym, długoletnim jego rektorem. Na polu językoznawstwa odznaczył się Samuel Linde przez ułożenie obszernego »Słownika języka polskiego«, w którym objaśnił pochodzenie i znaczenie wszystkich używanych w mowie wyrazów. Nie brak też pracowników i w innych działach nauki, ale pod względem znaczenia nie mogą się oni mierzyć z wymienionymi. W każdym razie ruch naukowy, który rozpoczął się w wieku XVIII., nie osłabł, owszem potęgował się i dobrze świadczył o społeczeństwie, które jakkolwiek pozbawione niepodległości, jednak podążało raźnie za oświeconą Europą.

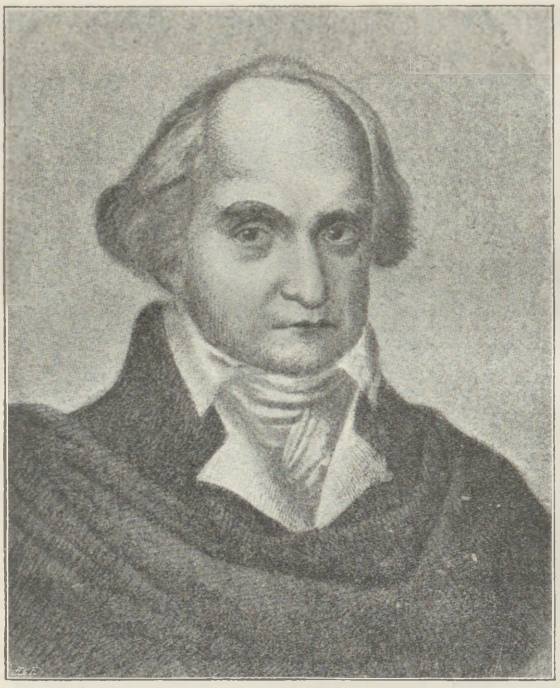

Fig. 73. Jan Śniadecki.

Literatura porozbiorowa wogóle jest dalszym ciągiem stanisławowskiej — poeci tej doby naśladują, tak jak ich poprzednicy, Francuzów, posuwają się w tem naśladownictwie nawet dalej. Oryginalność należy do rzadkości, co więcej uważaną jest za pewien rodzaj zuchwalstwa, ba za nieuctwo! Widocznie X. nie czytał najznakomitszych autorów, skoro ich nie naśladuje — tak rozumuje Koźmian i Kółko literatów z Towarzystwa Przyjaciół Nauk!

Ale ta naśladownicza, przepisami skrępowana literatura porozbiorowa ma przecież takie zalety, jakich daremniebyśmy szukali w płodach doby stanisławowskiej. Oto obudzony pod wpływem nieszczęść narodowych duch religijny i patryotyczny ujawnia się teraz w piśmiennictwie

[1]) Chemikiem nazywamy uczonego, który zajmuje się badaniem zmian, jakim podlega istota i skład ciała, fizyolog zaś bada prawa, według których odbywa się życie ustrojów.

z wielką mocą, wszystkie utwory są nim przesiąknięte. Wszyscy pisarze pracują z myślą o przyszłości i poświęcają swój talent idei odrodzenia narodowego. Zmysłowość, płochość, żart swawolny znikają obecnie zupełnie, poezya ma zbyt poważne przed sobą zadania, ażeby mogła myśleć o bawieniu czytelnika. I to znowu jej zasługa, w tem jej wyższość nad wiekiem ośmnastym.

DOBA MICKIEWICZOWSKA

OD R. 1822 DO R. 1863.

Jak my, tak i cała niemal cywilizowana Europa ulegała przez lat kilkadziesiąt tym przepisom, które dla twórczości literackiej ustanowili Francuzi. Dusiła się w tych więzach, ale zrzucić jarzma nie miała odwagi. Wreszcie wyobraźnia, natchnienie, żywe uczucie upomniały się o swoje prawa i rozpoczęła się gorąca walka z »przepisami«. Głębsze badania nad arcydziełami literatur starożytnych doprowadziły do wniosku, że »klasyczne« utwory francuskie nie są bynajmniej klasycznymi, bo ani Homer, tworząc Iliadę, ani Sofokles, pisząc swoje dramaty, nie przestrzegali żadnych sztucznych przepisów, ale słuchali głosu natchnienia, a tematy do swych arcydzieł czerpali z życia narodowego. Jeśli więc chcemy być klasykami — wołano — to idźmyż w ślady poetów starożytnych i nie krępujmy się żadnymi przepisami, choćby na podstawie ich dzieł wytworzonymi. Zwróćmy się podobnie, jak oni robili, do podań rodzimych, ojczystych, posłuchajmy pieśni ludowej, stwórzmy literaturę narodową, jaką było piśmiennictwo greckie. Precz z przepisami, precz z naśladownictwem, precz z wszystkiem, co — prócz rozumu — krępuje natchnienie poety.

Taki okrzyk podniesiono na Zachodzie, takie myśli rozwijali w swych pismach znakomici wśród Niemców pisarze Herder, Lessing i inni; zawrzały umysły, zapaliły się serca i oto z tego fermentu wyrosła niebawem przecudna literatura narodowa niemiecka, wykwitły arcydzieła Goethego i Schillera. Odrodzenie to dokonało się w Niemczech już w XVIII. wieku.

Do nas wieści pierwsze o tem, co się działo zagranicą, poczęły przedzierać się mniej więcej od roku 1815-go zapomocą czasopism, w których znajdowali czytelnicy bądź to utwory poetów niemieckich i angielskich w prze-

kładzie, bądź rozprawki objaśniające, na czem nowa poezya polega. Poznawali też ze sceny dramaty Lessinga, Schillera, Szekspira.

Szybszemu przyjęciu się na gruncie naszym nowych haseł dopomogło zajęcie się u nas ludem, na który poezya zachodnia baczną zwróciła uwagę. Tam w Niemczech i Anglii chodziło ówczesnym o wydobycie na światło dzienne poezyi ludowej, wierzeń ludowych, podań i opowieści, ażeby na tej podstawie stworzyć narodową literaturę — u nas powód zajęcia się ludem był zrazu inny. U nas ludem zajmował się Kościuszko i poprowadził chłopów krakowskich na moskiewskie armaty, zajmowali się ludem Staszic i Kołłątaj, ale po to, by zgotować mu lepszą dolę i pozyskać go dla sprawy polskiej, a dopiero później zrozumiano, że znajomość życia, myśli i poezyi ludu może oddać także literaturze przysługi niepomierne. Poczęli więc co gorliwsi, zwłaszcza z pośród młodzieży, przebiegać wzdłuż i wszerz polską ziemię, spisywać podania i piosnki, opisywać obyczaje ludowe, czasopisma zaś pomieszczały chętnie artykuły tych podróżników. Tak to powoli zbierał się materyał, z którego niebawem miało wykwitnąć prawdziwie narodowe piśmiennictwo.

Poezya. Zawsze niemal tak się dzieje, że zanim zjawi się mistrz, który wyśpiewa wszystko, o czem marzą dusze współczesne, powstaje przed nim jakiś przedsłannik, jakby Jan Chrzciciel biblijny i ten prostuje drogi pańskie, stawia pierwsze kroki na tej drodze, po której mistrz śmiało już kroczyć będzie. Takim przedsłannikiem nowego kierunku jest w dobie tej

Kazimierz Brodziński. Jedna to z najsympatyczniejszych postaci w naszem piśmiennictwie. Jako małe dziecko ucieka z domu przed złą macochą i szuka schronienia w chatach wieśniaczych, jako żołnierz polski bierze udział w kampanii rosyjskiej, potem, po latach, jako profesor uniwersytetu warszawskiego wykłada z wielkiem zrozumieniem przedmiotu o piśmiennictwie polskiem i budzi zapał dla ojczystej literatury. A choć znają i cenią go wszyscy, on zawsze jest pełen skromności, o sobie nie myśli.

W piśmiennictwie naszem przypada mu rola zaszczytna. On pierwszy usiłuje wskazać poezyi polskiej drogę, po której kroczyć powinna.

Czyni to przedewszystkiem w rozprawie swej »O klasyczności i romantyczności«. Romantyzmem nazwano właśnie ów nowy kierunek na Zachodzie, dążący do swojskości i oryginalności, a upominający się o prawa dla natchnienia i wyobraźni. Brodziński wyjaśnił bliżej istotę tego kierunku, żądał oryginalności również od poezyi polskiej, pragnął, by stała

się ona narodową, by brała pomysły z życia i pieśni ludu. Sądził, że nie należy nam naśladować ślepo Niemców i Anglików, owszem wołał głosem stanowczym: »nie bądźmy echem cudzoziemców«. Poezyi klasycznej nie potępiał, bo widział w niej piękną formę, na której dalej kształcić się należy. Zajmował więc stanowisko pośrednie.

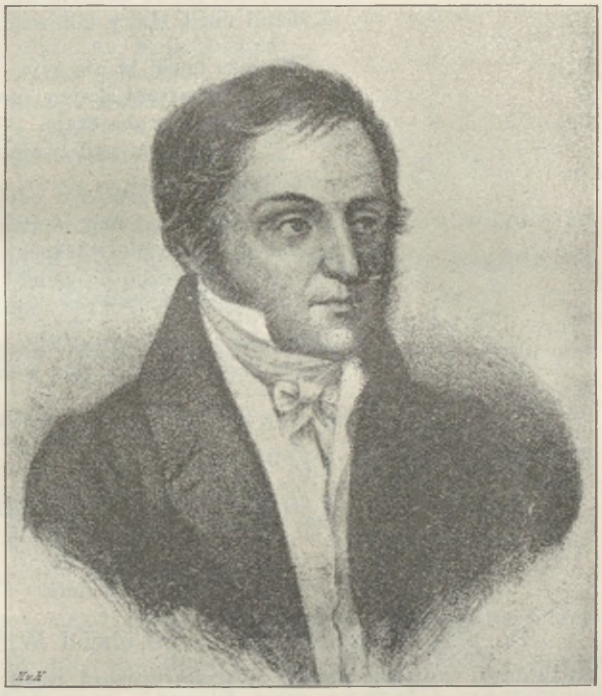

Kazimierz Brodzinski
Prof. Sekr. Kr. A. U.

Chcąc obznajomić publiczność z nową literaturą zagraniczną, tłumaczył sam utwory poetów niemieckich i angielskich, ażeby zaś zapoznać ją z poezyą ludową słowiańską, przekładał na język polski pieśni ludowe słowackie, chorwackie, czeskie i inne.

Chciał jednak i sam dać przykład, jak poeta powinien czerpać pomysły z życia ludu, by tworzyć poezyę prawdziwie narodową i napisał swego »Wiesława« (1820). »Wiesław« jest sielanką. W Proszowskiej ziemi żyje zamożny gospodarz Stanisław z żoną swą Bronisławą. Dawno już, w czasie wojny, stracili oni starszą córeczkę, a na jej miejsce przygarnęli do siebie sierotę, Wiesława. Gdy Wiesław dorósł, pragnęli mu oddać młodszą swą córkę Bronikę za żonę. Lecz młodzieniec poznał w powrocie z Krakowa, dokąd jeździł po zakupno koni, uroczą Halinę, drużkę na weselu wiejskiem, na które przypadkiem natrafił. Uroda dziewczęcia oczarowała młodego wieśniaka. Zaproszony na tany

»Wiesław się za pas ujął ręką prawą,
Zagasił wszystkich poważną postawą;
W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie,
Ojcom za stołem skłonił się przystojnie.
Halina pląsa z miną uroczystą,
Oburącz szatę ująwszy kwiecistą:
On tupnął, głowę nachylił ku ziemi
I zaczął nucić słowy takowemi:

Niechże lepiej ja nie żyję,
Dziewczę! skarby moje!
Jeśli kiedy oczka czyje
Milsze mi nad twoje.

Patrzajże mi prosto w oczy,
Bo widzi Bóg w niebie,
Że mi ledwo nie wyskoczy
Serduszko do ciebie!

. . . . . .
Halina w pląsach przed nim ucieka,
On w ręce pleszcząc goni z daleka...«

Taniec i śpiewy trwają dalej, aż wreszcie Wiesław kończy słowami, w których jest już wyznanie:

Grajcie, skrzypki! bo się smucę
W opłakanym stanie,
Z konikami ja powrócę,
Serce tu zostanie.

Po przybyciu do domu, nie chciał Wiesław taić przed przybranymi rodzicami swych uczuć, wyznał przed nimi wszystko i prosił, by mu dozwolili pojąć Halinę za żonę. Z niechęcią i smutkiem przyjął zrazu Stanisław to wyznanie Wiesława, a Bronisława i Bronika zalały się łzami. Dopiero mądre uwagi starego Jana, przyjaciela Stanisława, zwróciły całą sprawę na właściwą drogę. Młodzi — mówił Jan — mają swoje prawa i swoją naturę, starzy nigdy ich nie zrozumieją, więc swobodę trzeba im zostawić, niech sami stanowią o swojem szczęściu. Pod wpływem tych mądrych uwag zgodził się Stanisław, by Wiesław udał się z Janem »na zwiady« do chaty Haliny. »Zwiady« wypadły pomyślnie. Jan stary rozpoczął dziewosłęby, a Wiesław pełen otuchy skłonił się do nóg matce Haliny. Lecz stara kobieta, choć uradowana szczerze, nie mogła zataić przeszkód, które utrudniały pobranie się młodych. Oto Halina nie była bynajmniej jej córką, ale zbłąkaną sierotą, przygarniętą przed laty w czasie wojny. Zaledwie to Jan usłyszał, dziwna go radość objęła, nie mógł już usiedzieć na miejscu, zaprosił Halinę i jej matkę przybraną do chaty Stanisława —

i wnet wszyscy wyruszyli w drogę. Mijali wsi i pola, aż wreszcie przybyli do siedziby Stanisława. Gdy Halina ujrzała wioskę »w kwitnących sadach« i »stary kościół z blaszanymi szczyty«, pierś jej poczęła podnosić się dziwnem rozrzewnieniem, zaczęło ją ogarniać nieznane, błogie uczucie. Aż na widok krzyża starego, otoczonego wierzbami, padła na kolana i zawołała ze łzami w oczach:

»Mocny mój Boże! toć moja rodzina!
Gdzie moja matka, gdzie moja jedyna?
Tu się bawiłam, tu zbierałam kwiatki,
Ale nie widzę rodzicielskiej chatki:
Bo tu inaczej wszystko dawniej stało;
Nie tak, jak mi się w pamięci zjawiało«.

Sprawdziły się przewidywania Jana, poznała Halina swą wioskę rodzinną, okazało się, że ona była tem dzieckiem Stanisława, zaginionem przed laty, a przytulonem przez litościwą kobietę.

»Jak się witała rodzina złączona,

kończy poeta —

Jedno drugiemu oddając do łona;
Jakie pytania, dzięki, odpowiedzi,
Jako się zbiegli ciekawi sąsiedzi;
Jako Bronika starszą siostrę ściska,
Nie znając straty, a czując, co zyska; —
Tego wam, moi mili towarzysze,
Jakobym pragnął, nigdy nie opiszę«.

Brodziński wyprowadził w »Wiesławie« czytelnika z komnat królewskich i książęcych, w których mu już duszno było, pod otwarte, piękne niebo polskie, pokazał mu lud nasz, skreślił jego zwyczaje, zaczerpnął więc u tego źródła, z którego wyszło odrodzenie literatur zachodnich. I dlatego powszechnie uważają »Wiesława« za pierwszy objaw odrodzenia naszej poezyi.

Wszelako prawdziwego przewrotu w literaturze polskiej miał dokonać dopiero największy poeta polski i jeden z wielkich w świecie:

Adam Mickiewicz.

Miejscem urodzenia Adama była Litwa, wioska Zaosie pod Nowogródkiem (24. grudnia 1798). Tu wzrastał, tu płynęło dzieciństwo jego »sielskie, anielskie«, zanim rodzice jego nie przenieśli się do Nowogródka, gdzie Adam począł chodzić do szkoły powiatowej.

Rok 1812. utkwił bardzo silnie w umyśle 14-letniego studenta. W roku tym ujrzał przemarsz armii napoleońskiej przez Nowogródek, ujrzał woj-

sko polskie, »stada jasnych kit i chorągiewek«, słyszał piosnkę kościuszkowską i pieśń legionów »Jeszcze nie zginęła«.

Po szkole powiatowej przyszły studya wyższe, uniwersyteckie, w Wilnie, słynnym wówczas ze znakomitych profesorów, jak braci Śniadeckich, Lelewela i innych. Mickiewicz z zapałem poświęcał się naukom, ale brał również udział żywy w życiu młodzieży, należąc do tajnych związków: Filaretów (przyjaciół cnoty) i Filomatów (przyjaciół nauki). Hasłem związ-



Fig. 75. Zaosie, miejsce urodzenia Adama Mickiewicza.

kowych były trzy pełne treści słowa: ojczyzna, nauka, cnota, a Mickiewicz wraz z przyjacielem swym Tomaszem Zanem umieli wytworzyć wśród tego kółka kolegów dziwnie serdeczny nastrój. Dla tego grona przyjaciół napisał Mickiewicz, zrywający się już wówczas do lotu, kilka wierszy t. zw. filareckich.

Niebawem nadeszły wypadki, które miały zamącić spokój poety. Adam zakochał się w czasie wakacyi uniwersyteckich w pannie Maryli Wereszczakównej, a miłość ta po trzech latach skończyła się bolesnym roz-

dźwiękiem. Przedtem jednak spotkały go inne jeszcze przykrości. Po skończeniu uniwersytetu musiał udać się poeta, jako stypendysta rządowy, na posadę nauczyciela do Kowna, ale tu znalazł stosunki niemiłe. To też Adam żył w odosobnieniu, a czas wolny od zajęć dzielił między dalekie przechadzki (na ulubioną dolinę Kowieńską) i czytanie poetów niemieckich (Goethego, Schillera) i angielskich (Szekspira, Byrona, Walter-Scota). Pod wpływem rozczytywania się w dziełach tych poetów, stał się Mickiewicz gorącym zwolennikiem nowego kierunku w poezyi i sam też począł pisać w tym duchu.

W r. 1820. otrzymał wiadomość o śmierci ukochanej matki, a zanim przebolał tę stratę, nadeszła wieść inna, o ślubie panny Maryli Wereszczakównej. Straszne chwile przeżywał teraz poeta. Zmienił się do niepoznania, popadł w niebezpieczny rozstrój nerwowy, żarły go ból i rozpacz. Kto inny byłby może uległ na jego miejscu, Adam jednak potrafił przemódz się, poznać swój stan, a jak z rany muszli perłowej powstaje kosztowny klejnot, tak z ran serca poety wypłynął cudny poemat miłości: nieśmiertelne »Dziady«. Teraz to zebrał Mickiewicz utwory swoje i ogłosił je drukiem: w roku 1822. tomik pierwszy: »Ballady i Romanse«, w roku 1823. tomik drugi: »Grażynę« i »Dziady«. Wraz z ukazaniem się tych utworów odrodzenie poezyi polskiej było faktem dokonanym.

Trzeba sobie uprzytomnić stan naszej literatury za pierwszych lat Królestwa kongresowego, kiedy to »strugano« i »piłowano« wiersze, ażeby zdać sobie sprawę, jak nadzwyczajną nowością były poezye Mickiewicza. Biło z nich życie, błyszczała młodość, znać na nich było zapał twórczy poety. Ballady i romanse! Przerazili się starzy, poważni klasycy. Cóż to za nowy rodzaj poezyi? Oni nic takiego nie znali... Otworzył tomik ballad senator Koźmian i czytał:

Zbrodnia to niesłychana,
Pani zabija pana.
Zabiwszy grzebie w gaju,
Na łączce przy ruczaju,
Grób liliją zasiewa,
Zasiewając tak śpiewa:
»Rośnij kwiecie wysoko.
Jak pan leży głęboko!
Jak pan leży głęboko,
Tak ty rośnij wysoko«.

Jak to, cóż to za poemat? Patrzy na tytuł i widzi napis: Lilie — ballada. A cóż to za poezya — woła oburzony — ależ to wiejskie, gminne!

Ale młodzież była zachwycona. Znalazł się wreszcie genialny twórca, który zerwał z przepisami francuskimi, który sięgnął do skarbów rodzimych, poezyi ludowej i wydobył stamtąd prawdziwe perły. Bo czyż nie mieści w sobie niebywałych piękności taka ballada np. jak Świtezianka? Z jakim wdziękiem potrafił poeta odtworzyć podanie ludowe o boginkach wodnych i upiększyć je własną fantazyą...

»Jakiż to chłopiec piękny i młody?
Jaka to obok dziewica?
Brzegami sinej Świteziu wody
Idą przy świetle księżyca.

Każdą noc prawie, o jednej porze,
Pod tym się widzą modrzewiem,
Młody jest strzelcem w tutejszym borze,
Kto jest dziewczyna? ja nie wiem.

Nie wie o tem i młodzieniec, a jednak oczarowany pięknością dziewicy, przysięga jej na piekielne potęgi dochowania wiary. Dziewczyna znika, strzelec zostaje sam i powraca dziką drogą nadwodną do swej chatki. Wtem wiatr zaszumiał, »pękają tonie«, z fal jeziora wyłania się przecudna dziewczyna.

To Świtezianka! Zachwyt ogarnia młodziana, nieświadomego, kim jest to przecudne zjawisko, a boginka, roztaczając przed nim swe wdzięki, poczyna go wabić do siebie: pójdź do mnie...

Walczy z sobą nieszczęśliwy młodzian, opiera się pokusie, aż wreszcie, zwabiony ponętą, rzuca się w tonie jeziora.

I teraz Świtezianka przypomina nieszczęsnemu jego przysięgę. Ona doświadczyć chciała tylko jego wierności... Za złamanie przysięgi ziemia pochłonie ciało młodzieńca, oczy jego »żwirem zagasną«.

»A dusza przy tem świadomem drzewie
Niech lat doczeka tysiąca,
Wiecznie piekielne cierpiąc zarzewie
Nie ma czem zgasić gorąca«.

I otwiera się otchłań podwodna i porywa z sobą Świteziankę i młodzieńca...

Takich utworów, osnutych na podaniach ludowych, znajduje się więcej wśród ballad i romansów Mickiewicza. Ale są i inne. Są i takie, które odnoszą się do wspomnień z życia samego poety, są i humorystyczne (jak »Pani Twardowska«). Wszystkie przenoszą nas w świat nowy, różny od znanego nam dotychczas w poezyi, wszystkie działają silnie na wyobraźnię,

a przytem podbijają językiem pełnym prostoty, a jednak obrazowym, bogatym, plastycznym.

Wywołał też Mickiewicz wśród młodych mnóstwo naśladowców, ale niewielu z nich tylko zdołało stworzyć rzeczy prawdziwie piękne. Większość popadła w przesadę. Ładne jednak ballady pisał także przyjaciel Mickiewicza Odyniec, ładne również Aleksander Chodźko. Tego ostatniego znana jest ogólnie ballada »Maliny«, opowiadająca o siostrze wyrodnej (»Przez litewski łan jedzie, jedzie pan...«).

Napisana przez Mickiewicza w Kownie »Oda do młodości« nie weszła w zbiór utworów wydanych w pierwszym tomiku. Wydrukował ją poeta osobno.

Jeden to z najcudniejszych klejnotów w naszej poezyi. Poeta przeciwstawia w niej dwa światy: jeden »bez serc, bez ducha», marny, samolubny, drugi — pełen zapału, nadziei, miłości. Ten drugi to świat młodych, gotowych zawsze do poświęceń dla szczęścia ogółu, choćby z potarganiem szczęścia osobistego.

»Razem młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i ślizka,
Gwałt i słabość bronią wchodu;
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!«

Do dziś jest Oda do młodości wyznaniem wiary młodzieży polskiej, zagrzewa umysły, rozpala serca, budzi pragnienie czynu i lepszego, pełniejszego żywota.

Jakaż ogromna różnica w nastroju pomiędzy Odą, a poematem, napisanym w rok po nich — drugą i czwartą częścią D z i a d ó w. Tu, w Odzie, poeta chce bryłę świata z posad poruszyć, tam przedstawia siebie jako upiora »na świecie jeszcze, ale nie dla świata«. Złamała poetę — miłość.

Co oznacza nazwa »Dziady«? Oto obrzęd ludowy, pogański, święcony mimo zakazów duchowieństwa jeszcze za czasów Mickiewicza na Litwie, obrzęd, na cześć zmarłych, którym lud wyprawiał raz w rok ucztę, wierząc, że przybywają na nią duchy przodków. Mickiewicz przedstawił właśnie w szeregu obrazów owo święto Dziadów, na tle zaś obrzędu roztoczył dzieje nieszczęśliwej swej miłości. Z zamierzonych czterech części poematu dramatycznego wydał tylko drugą i czwartą, ale i te tworzą dla siebie pewną całość [1]).

Przypatrzmyż się im bliżej.

[1]) Po śmierci poety ogłoszono drukiem urywki części pierwszej.

Wieczór, scena przedstawia wnętrze kaplicy, »ciemno wszędzie, głucho wszędzie«, guślarz, otoczony ludem, wzywa czyśćcowe duszyczki, ażeby przybyły na zastawioną dla nich ucztę. Po niedługiej chwili zjawia się istotnie para dzieci ze złocistemi pióry u ramion.

To Józio i Rózia, dzieci z tej właśnie wioski, za życia zbyt szczęśliwe, a teraz choć ze skrzydełkami u ramion, nie w niebie, bo tam zamknięta dla nich droga.

»Czegóż potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?«

pyta guślarz chłopczyka-aniołka. I otrzymuje odpowiedź, że nie trzeba im nic z tego, co im ofiarowuje. Czego innego one pragną. Oto na ziemi było im zbyt dobrze, więc proszą o gorczycy dwa ziarnka.

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według bożego rozkazu:
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie.

Aniołki dostają po ziarnku gorczycy i na zaklęcie guślarza znikają.

Zjawia się jednakże wnet duch inny. Straszne to, przerażające widziadło:

»W gębie dym i błyskawice;
Oczy, na głowę wysiadły,
Świecą jak węgle w popiele;
Włos rozczochrany na czele;
A jak suchy snop cierniowy
Płonąc miotłę ognia ciska:
Tak od potępieńca głowy
Z trzaskiem sypią się iskrzyska«.

To zmarły pan, dziedzic tej wioski. Za życia nie uczuł nigdy litości w swem sercu, znęcał się nad swymi poddanymi, więc po śmierci spotkała go kara straszliwa. Oto duchy sług jego, które on pomorzył głodem, zaklęte w ptactwo żarłoczne, wloką się za nim i gdy go głód dręczy, one zjadają mu pokarm, a gdy go pragnienie pali, wypijają mu napój.

Daremnie lud zebrany w kaplicy, umiejący przebaczać, podsuwa upiorowi jadło i napój, żarłoczne ptactwo rzuca się na pokarm i nie dopuszcza do niego ducha dziedzica. Więc wreszcie widmo wyznaje samo

»Niema, niema dla mnie rady!
. . . . . .
Tak muszę dręczyć się wiek wiekiem:
Sprawiedliwe zrządzenia Boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże«.

Na zaklęcie guślarza znika i to widziadło. Miejsce jego zajmuje urocza dziewczyna wiejska, Zosia...

»Do nóg biała spływa szata,
Włos z wietrzykami swawoli,
Po jagodach uśmiech lata,
Ale w oczach łza niedoli«.
. . . . . .

Czegóż tej »duszeczce« potrzeba, dlaczego ona do nieba dostać się nie może? Jest przyczyna i ważna. Za życia grzeszyła oschłością serca, śmiała się z tych, którzy miłość jej ofiarowali. Za to po śmierci »nieznajomym ogniem pała«, a dziś nie pragnie niczego..., tylko niech młodzieńce za ręce ją ujmą, niech z nimi chwileczkę poigra, niech zazna, co to jest miłość

»Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według bożego rozkazu:
Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie«.

Pocieszone przez guślarza i to widmo znika i zbliża się już koniec obrzędu. Guślarz każe odemknąć drzwi kaplicy, zapalić lampy

»Przeszła północ, kogut pieje,
Skończona straszna ofiara,
Czas przypomnąć ojców dzieje...
Stójcie...

Chór (wieśniaków).

Cóż to?

Guślarz.

Jeszcze mara!

Guślarz (do jednej z wieśniaczek).

Pasterko, ot tam w żałobie...
Wstań: bo czy mi się wydaje,
Czy ty usiadłaś na grobie?
Dziatki! patrzajcie dla Boga!
Wszak to zapada podłoga,
I blade widmo powstaje...
Zwraca stopy ku pasterce,
Wzrok dziki i zasępiony
Utopił całkiem w jej oku.
Patrzcie, ach patrzcie na serce!
Jaka to pąsowa pręga,
Tak jakby pąsowa wstęga,
Albo jak sznurkiem korale,
Od piersi aż do nóg sięga?
Co to jest, nie zgadnę wcale!
Pokazał ręką na serce:
Lecz nic nie mówi pasterce.

Tajemnicze to widmo nie odpowiada na żadne pytania ani zaklęcia guślarza. Wpatrzone w pasterkę stoi straszne i nieruchome, nie wzrusza się nawet przekleństwem. Nie pomaga ani kropidło z ołtarza, ani stuła, ani gromnica... I dopiero gdy guślarz każe wziąć pasterkę pod ręce i wyprowadzić za kaplicę, upiór postępuje za nią w milczeniu...



Fig. 76. Maryla Wereszczakówna.

Kogo wyobrażać miało owo widmo? Oto, jak domyślić się łatwo, poeta chciał tu przedstawić siebie samego. Serce zraniła mu miłość nieszczęśliwa ku Maryli (pasterce w żałobie). Przedstawiał tu więc poeta siebie jako upiora, któremu widocznie również zamknięta do nieba droga, ale który nie skarży się, na zapytania nie odpowiada. Upiór ów zacznie mówić, wybuchnie całą lawiną oskarżeń, żalów i łez serdecznych, ale uczyni to dopiero w części czwartej, w domu księdza, nauczyciela swego z czasów dzieciństwa.

Tam on zjawi się o porze wieczornej i przedstawi się księdzu jako pustelnik »umarły dla świata«. Ale dziwny to pustelnik! Na prośbę księdza, aby ogrzał się przy kominku, odpowiada, wskazując na piersi:

Pogrzej się!... dobra, księże, arcy przednia rada!
Nie wiesz, jaki tu[1]) żar płonie:
Mimo deszczu, mimo chłodu,
Zawsze płonie!

Cóż to za ogień taki gwałtowny? To płomień miłości, pożerający nieszczęsnego.

Skargi namiętne poczynają się teraz dobywać z piersi »pustelnika«. Oto ukochana pożegnała go raz na zawsze, od innego przyjęła obrączkę ślubną, a przecież Bóg przeznaczył ich »ku wspólnemu życiu«. I czemu to zrobiła? Za ubogim był dla niej kochanek, a ona złota pragnęła!

»Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!
Postaci twojej zazdroszczą anieli:
A duszę gorszą masz, gorszą niżeli...
Przebóg! tak ciebie oślepiło złoto
I honorów świecąca bańka wewnątrz pusta!
Bodaj!... Niech, czego dotkniesz, przeleje się w złoto;
Gdzie tylko zwrócisz serce i usta,
Całuj, ściskaj zimne złoto!
. . . . . .
Zabiłaś mię zwodnico! Nieba Cię ukarzą!
Sam ja...

Ale po tym wybuchu nienawiści i złorzeczeniach, nieszczęsny Gustaw (bo takie miano »pustelnika«), przerzuca się w uczucia wprost inne, przypomina sobie tkliwość, wrażliwość dawnej kochanki, tak skorej do łez... I on miałby odwagę, sumienie ją smucić? on, który ją tak kochał i zawsze jeszcze kocha. I tak to skarga, to żal, to uczucie nienawiści, to litości, płyną kolejno z piersi Gustawa. Cierpi nad miarę... I cierpieć ma tak on, Gustaw-upiór długo jeszcze, lata całe — aż kochankę jego »Bóg w swoje objęcia powoła«. Natenczas śladem jej, cień jego błędny »wkradnie się do nieba«

»Bo słuchajcie — kończy Gustaw — i zważcie u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto za życia choć raz był w niebie,
Ten po śmierci nie trafi od razu«.

Po wypowiedzeniu tych słów upiór Gustawa znika.

Dlaczego i Gustawowi »zamknięta do nieba droga?«. Oto zbyt oddał się jednemu, ziemskiemu uczuciu, nie myślał o obowiązkach, ciążących na każdym człowieku, zapomniał o ziemi, na której i dla której obowiązany

[1]) w piersiach.

był pracować. Tak to poeta osądził sam siebie, tak rozpacz, której się poddał, potępił.

Zrozumiemy już teraz związek części czwartej Dziadów z drugą i myśl przewodnią utworu. Oto w szeregu obrazów (widm zjawiających się na obrzędzie Dziadów), przedstawił poeta duchy ludzkie, błąkające się po świecie, a odcięte od nieba, dlatego, że nie spełnili swych obowiązków na ziemi. A tymczasem, ażeby trafić do nieba, potrzeba przejść wprzód przez ziemię i nie uchylić się przed żadnem zadaniem, ani trudem człowieczym. Taką to myśl głęboką, a wysoce moralną wysnuł Adam z własnego nieszczęścia... A obok tego wyśpiewał pieśń miłosną w słowach tak gorących, potężnych i wstrząsających, jak nikt jeszcze przed nim nie potrafił.

Jeśli »Dziady« były przez swą tajemniczość i fantastyczność, przez siłę gwałtownego uczucia, doskonałym objawem nowego kierunku w poezyi, to drugi poemat, pomieszczony w tym samym tomiku, G r a ż y n a, jest jeszcze w pewnej mierze echem klasycyzmu. Jest też ów utwór dowodem, że poeta który w nieznany dotychczas sposób umiał kreślić uczucia osobiste, potrafił zdobyć się również na świetną przedmiotowość.

W Grażynie nakreślił Mickiewicz na tle walki Litwinów z Krzyżakami przepiękny obraz bohaterskiej niewiasty, która ojczyznę umiłowała nad życie własne, bo głowę swą oddała za jej dolę...

Noc. »Wiatr północny chłodzi«, pod bramę zamku Nowogródzkiego przybywają dwaj posłowie krzyżaccy. Przybywają na wezwanie księcia nowogródzkiego Litawora, który poróżniwszy się z księciem litewskim Witołdem o ziemię lidzką, chce w związku z Krzyżakami napaść na Lidę i zagarnąć ją pod swą władzę. Ale posłowie nie dostają się do Litawora, bo służba przypuszcza, że książę już śpi, nikt zaś nie śmie iść go obudzić. Odważa się na to dopiero stary sługa i powiernik książęcy, Rymwid, i przekonywa się, że Litawor o spoczynku nie pomyślał jeszcze, zbyt bowiem zajęty jest jakimiś planami. Powoli wydobywa Rymwid z księcia tajemnicę. Dowiaduje się, że książę ze świtem postanowił wyruszyć przeciw Witołdowi i że porozumiał się już w tej sprawie z Krzyżakami. Daremnemi okazują się wszelkie prośby i zaklęcia Rymwida, choć mówi rozumnie i silnie.

«Bogdajbym nigdy nie dożył tej pory,
Brat przeciw bratu ma podnosić dłonie!
Wczora wyszczerbił na Niemcach topory,
Dziś ma je ostrzyć ku Niemcom obronie?
Zła jest niezgoda, ale gorszą zgodą

Chcesz nas pojednać; raczej ogień z wodą!
. . . . . .
...*(bo)* krzyżackiego gadu nie ugłaszcze
Nikt, ni gościną, ni prośbą, ni dary.

Ale słowa te padają na grunt niepodatny. Litawor wyprawę postanowił nieodwołalnie — Rymwid ma natychmiast przygotować wojsko do pochodu.

Krwawi się serce starego Litwina na myśl o tej bratobójczej wojnie, ale nie traci jeszcze Rymwid nadziei, że uda mu się przeszkodzić wyprawie. Wie on, że nad księciem ma wielką przewagę małżonka jego

Z cór nadniemeńskich pierwsza krasawica,
Zwana Grażyną, czyli piękną księżną.

Podobna mężowi swemu z postawy, chętnie dzieliła z nim trudy i często »spiąwszy na czole białe szpony rysie, pośród strzelczego hasała orszaku«.

Wojny i sądy i tajne układy
Częstokroć od jej zależały rady,
Acz innym rzecz ta nie była świadoma«.

Ale Rymwid mądry odgadł to, więc też podążył prosto do księżnej, by jej całą sprawę przedłożyć. Grażyna pospieszyła istotnie do Litawora, ażeby odwieść go od grzesznego przedsięwzięcia, a niebawem ujrzał Rymwid ze zdziwieniem i radością, że giermek księżnej odprawił posłów krzyżackich z niczem. Srogiej tej obelgi nie przenieśli jednak Krzyżacy bezkarnie. Wódz krzyżacki natychmiast »jazdę z lasu ruszył« i podążył wprost na Nowogródek. Wypadki przybierają tedy nagły, a niespodziewany obrót. Przeraziła się też w pierwszej chwili Grażyna groźną tą wiadomością, ale wnet odzyskała zwykły spokój, oświadczyła, że idzie zbudzić męża, a pieczę nad wojskiem zwierzyła Rymwidowi. Niebawem ujrzano księcia w pełnej zbroi; stąpał tylko niepewnym jakimś krokiem i »gniewem lub troską zdał się kołatany«. Ale objął dowództwo nad wojskiem i poprowadził je »między kurhany i krzaki«, a niebawem Litwini znaleźli się naprzeciw zbrojnych zastępów niemieckich.

Ten widok gniewy w książęciu poduszcza.
Skoczył z wyniosłem nad czołem żelazem;
Wali się zbrojna w ślady jego tłuszcza,
Ale się wodze dziwią, że tym razem
Wojsko bez sprawy ladajako puszcza...

Więc Rymwid »pańską zastępując wolę«, sprawił zastępy Litwinów i wnet zawrzała bitwa zacięta. Jednakowoż szala zwycięstwa poczęła przechylać się na stronę niemiecką, szyki litewskie zaczęły się łamać.

»Wtem z góry zagrzmiał straszliwy głos męża«. Niespodzianie zjawił się na polu walki nieznajomy nikomu rycerz w czarnej zbroi i jak piorun spadł na Niemców. Duch wstąpił ponownie w Litwinów. A niebezpieczeństwo groziło im już straszliwe, bo oto komtur krzyżacki ugodził właśnie śmiertelnie Litawora.

Jęknął mąż czarny, a jak czarna chmura
Ryknąwszy, błyśnie piorunowym gradem,
Z taką szybkością leci na komtura.
Zaledwie z pierwszym zwarli się napadem,
Pojrzeć, aliści komtur już pod koniem,
A rycerz bieży i tratuje po nim.

Śmierć komtura rozstrzygnęła zwycięstwo na korzyść Litwy — cóż, kiedy wódz Litwinów otrzymał również ranę śmiertelną. Nie Litawor to był jednak, lecz... przebrana w zbroję męża — Grażyna. Poświęciła się, ażeby nie dopuścić do bratobójczej walki. Litawor zaś z żalu za małżonką poniósł wraz z nią śmierć dobrowolną na stosie...

Grażyna jest powieścią historyczną prawdziwą i pierwszą w naszej literaturze, bo nietylko z nazw i pozorów, lecz przez wniknięcie w ducha tych czasów, które przedstawia, przez nakreślenie postaci żywych, zgodnych z prawdą historyczną. Jest też prawdziwym poematem bohaterskim, sławi w podniosły sposób wielki czyn patryotyczny.

W powieści tej zdumiewa nas przedmiotowość autora, zdolność ukrywania się z własnemi uczuciami, tem więcej, że niewielki to przedział czasu oddziela »Grażynę« od »Dziadów«.

Obydwa poematy wyszły, jak wiemy, w roku 1823., pamiętnym odtąd dla literatury polskiej. Ale rok ten miał być pamiętnym także w życiu samego Mickiewicza. W roku tym bowiem, z rozkazu senatora rosyjskiego Nowosilcowa aresztowano go w Wilnie, w którym chwilowo przebywał, i osadzono wraz z innymi Filaretami w więzieniu XX. Bazylianów. Przez sześć miesięcy trzymano go w niem, jak gdyby zbrodniarza, a winą jego było, że ośmielił się należeć do Towarzystwa, którego hasłem było: ojczyzna, nauka, cnota! Obrona była daremna. Zesłano »spiskowców« na Sybir, w odległe gubernie państwa rosyjskiego, a Mickiewicza wywieziono do Petersburga, poczem dalej do Odessy. Miał tam pełnić w liceum obowiązki nauczyciela. Adama żarła tęsknota za ojczyzną, dręczyła nuda, opanowywało zniechęcenie. Prawdziwym balsamem była dla niego w takiem położeniu wycieczka na uroczy Krym, którą odbył w gronie znajomych. Po raz pierwszy obaczył wówczas Mickiewicz góry i zachwycił się ich piękno-

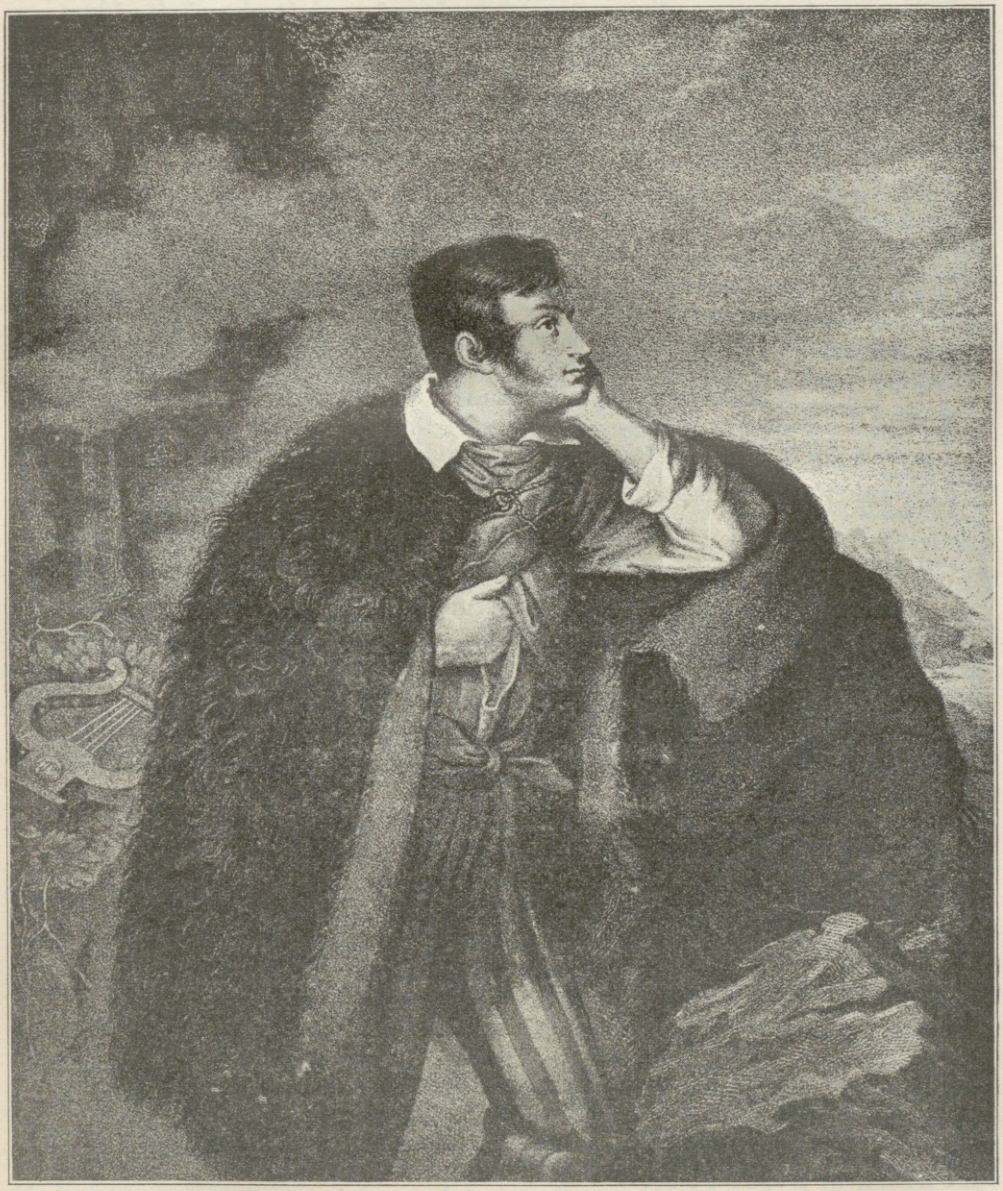

Fig. 77. Mickiewicz w Krymie (na skale Judahu).

ścią. Owocem też tej podróży były »Sonety Krymskie«, w których wyśpiewał cuda południowej, ale dzikiej przyrody. Język poety przypomina tu barwną, pełną przenośni mowę ludów wschodnich, a zdolność kreślenia plastycznych obrazów przyrody dochodzi do wyżyn, przez Mickiewicza nawet dotychczas nie osiągniętych. Czyż nie zarysowuje się przed naszemi oczyma jak żywy przepiękny krajobraz nadmorski, gdy przeczytamy takie n. p. wiersze:

Łąka w kwiatach, nad łąką latające kwiaty:
Motyle różnobarwne. Niby tęczy kosa
Baldakimem z brylantów okryły niebiosa.
Dalej szarańcza ciągnie swój całun skrzydlaty.
A kędy w wodach skała przegląda się łysa,
Wre morze i odparte z nowym szturmem pędzi;
W jego szumach gra światło jak w oczach tygrysa.

A jak poeta umie oddać grozę, którą budzi potężna góra na Krymie: Czatyrdah! Co za prześliczne przenośnie! »Ciemny las twoim płaszczem«, chmurny twój zawój »haftują błyskawic potoki«, pod nogi podesłałeś »ziemie, ludzi, gromy« i słuchasz tylko głosu Bożego, o potężny wierchu!

A jednak wśród tych cudów natury pierś poety podnosi się westchnieniem, czoło pokrywa mrok smutku. W sonecie »Pielgrzym« skarży się:

U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice:
Dlaczegóż stąd ucieka serce w okolice
Dalekie, i niestety! — jeszcze dalsze czasy?
. . . . . .
Dlaczegóż roztargniony wzdycham bez ustanku
Do tej, którą kochałem w dni moich poranku?

Myśl o Maryli nie uleciała jeszcze z serca poety.

Poświęcił też i jej tam na obczyźnie cały szereg sonetów, a te wraz z innymi, miłosnymi, które pisał w Odessie, i z krymskimi, utworzyły spory zbiorek, wydany przez Mickiewicza w Moskwie w r. 1826. Rząd rosyjski opiekował się bowiem gorliwie zesłańcem i jeszcze w r. 1825. przeniósł poetę do dawnej stolicy państwa rosyjskiego, do kancelaryi księcia Galicyna. Tu w Moskwie powstał jeden z najznakomitszych poematów Adama: »Konrad Wallenrod«.

Któż to taki? To Krzyżak ponury, tajemniczy, jakby jakimiś wyrzutami sumienia gryziony, obrany właśnie przez »braci« dla męstwa swego Wielkim Mistrzem Zakonu. Skąd pochodzi zamyślenie jego, skąd ta szczególna u niego wrażliwość na dźwięk słów: ojczyzna, Litwa, kochanka, po-

winność — nikt o tem nie wiedział, oprócz starego Halbana, z którym Konrad lubił szeptać pokryjomu. Ktoby śledził jednak Mistrza, ten mógłby go łatwo był ujrzeć w nocnych godzinach u stóp wieży, w której mieszkała zamurowana pobożna jakaś pustelnica. Wówczas to w powietrzu rozlegały się jakieś skargi, narzekania, a potem czułe słowa miłości. Widocznie łączyły Mistrza z pustelnicą jakieś związki, światu nieznane.



Fig. 78. Góra Czatyrdah na Krymie.

Tymczasem Litwin, co przed laty zdala
Omijał bramy zakonnej stolicy,
Teraz do koła wsi co noc podpala
I lud bezbronny chwyta z okolicy;
Pierwszy raz dzieci z rodziców swych progu
Drżały na straszny dźwięk żmudzkiego rogu...

Nareszcie zdaje się, że Wielki Mistrz zdobędzie się na czyn, przez wszystkich upragniony. W Malborgu ma odbyć się w dzień patrona uczta, na którą zaproszony jest także i gość litewski Witołd. Ten przybył prosić Zakon o pomoc przeciw rodakom. Komturów i »braci« zebrało się wielu, już krążą puhary, już rozlegają się okrzyki biesiadne. Ale Wielki Mistrz zażądał piosenki. Powstawali więc kolejno rozmaici śpiewacy i głosili to męstwo i pobożność Konrada, to opiewali dzieje miłosne pasterzy.

Nie zadowolili Mistrza. On innej żądał pieśni; »dzikiej i twardej, jak hałas rogów i oręża szczęki«. Wówczas wychylił się z pośród paziów starzec jakiś nieznany, z zakrytem czołem i oczyma, i zawołał, że on gotów piosnkę taką zanucić.

Dawniej Prusakom i Litwie śpiewałem,
Dziś jedni legli w ojczyzny obronie;
Drudzy, żyć nie chcąc po ojczyzny zgonie,
Dobić się wolą nad jej martwem ciałem,
Jak sługi wierne w dobrym i złym losie,
Giną na swego dobroczyńcy stosie;
Inni sromotnie po lasach się kryją;
Inni jak Witołd, między wami żyją.

Ale po śmierci, Niemcy, wy to wiecie,
Sami spytajcie niecnych zdrajców kraju,
Co oni poczną, gdy na tamtym świecie
Wskazani wiecznym ogniom na pożarcie,
Zechcą swych przodków wywoływać z raju,
Jakim językiem poproszą o wsparcie?

Zżymać się poczęli Niemcy na te słowa starca (nie rozumieli litewskiej mowy), poczęły się gwary i krzyki. Ale Konrad uciszył rycerzy, a Wajdelota począł nucić na nowo. Śpiewał teraz o strasznych spustoszeniach które czyni zaraza na Litwie.

Zgubne zjawisko! ale więcej zguby
Wróżył Litwinom od niemieckiej strony
Szyszak błyszczący ze strusimi czuby
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony.

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła.
Ach! kto litewską duszę mógł ochronić,
Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić!

Będzie śpiewał wajdelota, bo pieśń ludu to »arka przymierza między dawnemi i młodszemi laty«, to wróżba lepszej przyszłości, bo w niej chroni się tradycya narodowa, miłość ojczyzny i bohaterski zapał.

Ale wajdelota nie poruszy dziejów odległych...

I swoich czasów śpiewak nie obwini,
Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki,
O nim zaśpiewam, uczcie się, Litwini!

I zaczął starzec dziwną opowieść o jakimś napadzie krzyżackim na miasto litewskie. Podczas napadu porwali Krzyżacy małego chłopczynę

litewskiego i zawieźli na dwór wielkiego mistrza Winrycha, który dziecko litewskie pokochał jak swe własne. Ale Walter Alf (tak zwał się chłopczyna) uciekał od niego do starego Wajdeloty, Litwina, tłumacza w wojsku niemieckiem. Ten opowiadał mu o Litwie, o krzywdach, których Litwini doznają wciąż od Niemców, i budził w duszy jego nienawiść ku Krzyżakom. Gdy jednak mały Alf w bezsilnym gniewie ciął nożem kobierce Winrycha, wajdelota hamował te wybuchy słowami:

Tyś niewolnik: jedyna broń niewolników jest zdrada.
Zostań jeszcze i przejmij sztuki wojenne od Niemców,
Staraj się zyskać ich ufność...

Alf usłuchał przestróg starca. Wreszcie wyrósł na młodzieńca. Raz w czasie walki Krzyżactwa z Litwą, uszedł wraz z Wajdelotą ku Litwinom i dostał się na dwór księcia Kiejstuta. Temu wnet stał się potrzebny, bo umiał sypać okopy i szykować hufce. Książe Kiejstut miał córkę Aldonę, Alf nawrócił ją na wiarę chrześcijańską. Młodzi pokochali się. Kiejstut zezwolił na małżeństwo i Alf z Aldoną żyli odtąd szczęśliwi. Aż Niemcy urządzili znów straszny napad na Litwę. W bitwie padły tysiące rycerzy, a Niemcom nadchodziły wciąż świeże posiłki. Wówczas Alf opuścił ojczyznę i młodą żonę, którą zostawił w klasztorze, a sam wyruszył w świat z wajdelotą. Postanowił dostać się między Krzyżaków, ażeby zadać im prędzej czy później cios śmiertelny.

Biada — kończy wajdelota

...biada, jeżeli dotąd nie spełnił przysięgi;
Jeśli, zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony zatruwszy...
Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświęcił...

Słowa wajdeloty wywarły piorunujące wrażenie na Konradzie. Usta mu drżały, oczy rzucały błyski straszliwe. Zapragnął dokończyć pieśni starca i zaśpiewał balladę o Almanzorze, wodzu Muzułmanów, który udając miłość dla najeźdźców hiszpańskich, zarazę im przyniósł i w ten sposób wygubił nieprzyjaciół.

Nie zrozumieli słuchacze, jaki związek zachodzi między śpiewem wajdeloty, a pieśnią Wielkiego Mistrza...

Zapowiedziana wojna wreszcie wybuchła. Ale oblężenie Wilna szło opieszale, Niemców padały krocie. Gdy zaś Litwinom nadeszły posiłki, Mistrz uciekł pierwszy z pola bitwy i dopuścił do strasznego pogromu Krzyżaków.

Resztki zbiedzone, zgłodniałe, powróciły do Malborga. Ale wówczas

zebrał się sąd tajny krzyżacki, ażeby wydać wyrok na sprawcę nieszczęścia. Jeden z sędziów odsłonił przed zebranymi dziwną tajemnicę, że Mistrz ich nie jest Konradem Wallenrodem. Bawił on tylko przed laty w orszaku Wallenroda jako giermek, a gdy Wallenrod zginął bez wieści, on walczył w Hiszpanii pod jego imieniem. Kim on jest, niewiadomo, ale słyszano, że z pustelnicą rozmawiał po litewsku!

Sąd skazał Wielkiego Mistrza na śmierć. Ale Alf-Walter, on to był bowiem, nie czekał na wykonanie wyroku. Wypił puhar trucizny i depcąc płaszcz krzyżacki z pogardą, rzucił przed śmiercią sędziom swym te słowa:

Gotowem umrzeć — czegóż chcecie więcej?
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy?
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy.
Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów,
Tam marzną waszych ostatki szeregów.
Słyszycie? wyją głodnych psów gromady,
One się gryzą o szczątki biesiady!
Ja to sprawiłem; jakem wielki, dumny,
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem!
Jak Samson jednem wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem!

Słowa te były ostatniemi w jego życiu. Na wieść o jego śmierci umarła i pustelnica — Aldona. Przeżył ich tylko Halban, ów mistrz Alfa w młodości, ów pieśniarz przebrany za wajdelotę podczas uczty zakonnej. Przeżył ich, aby sławę czynu Alfa rozgłosić światu na wieki. Gdzieby sam nie dotarł, tam pieśń jego doleci

...i kiedyś w przyszłości
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości!

Po wyjściu poematu orzekł Koźmian, jeden z pierwszych, że myśl utworu jest niemoralna, że zdradę wielbi w nim autor jako bohaterstwo i szczepi w ten sposób w sumienie narodu jad trucizny. Po Koźmianie występowali inni z zarzutami podobnymi. Ale pomylili się. Poemat nie jest pochwałą zdrady. Gdyby poeta chciał dać nam w Wallenrodzie ideał, nie byłby przecież kazał doznawać bohaterowi swemu wyrzutów sumienia, Walter-Alf nie byłby się spodziewał po zgonie mąk piekielnych, jak to z jednej rozmowy jego z Aldoną widzimy. Nie chciał więc poeta uczynić ze zdrady cnoty, ale chciał dać w Wallenrodzie uosobienie miłości ojczyzny, »namiętnej, podniesionej do najwyższej potęgi, do całkowitego zaparcia się i poświęcenia«. Walter-Alf szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie

było w ojczyźnie«. Aby ją tem szczęściem obdarzyć, poświęcił los swój i Aldony, złożył ofiarę z życia własnego i z czegoś więcej niż z życia, bo — z duszy. Miłość ojczyzny stała się silniejszą od pragnienia szczęścia za grobem.

Klasycy gniewali się na Wallenroda nietylko o rzekomą jego myśl przewodnią, ale i dlatego także, że był to utwór »romantyczny«. Istotnie w budowie i w sposobie przedstawienia bohatera, nakreśleniu jego charakteru widać pewne podobieństwo między poematem Mickiewicza a dziełami wielkiego poety angielskiego Byrona. Istotę poezyi Byrona stanowiło poczucie rozdźwięku pomiędzy światem myśli i uczuć, a smutną rzeczywistością. Bohaterowie bajronowscy to ludzie zgorzkniali, zwarzeni cierpieniem, a zawsze owiani mrokiem tajemnicy; zetknęli się kiedyś ze światem, ale świat podeptał ich uczucia, więc dziś stronią od zwierząt ludzkich, nienawidzą ludzkie plemię, mszczą się na niem.

Podobne rysy znamienne widzimy i u Konrada Wallenroda, a jednak jakaż ogromna różnica dzieli owego tajemniczego Litwina od bohaterów bajronowskich. Tamci cierpią, nienawidzą i mszczą się zawsze z pobudek osobistych, on, Wallenrod cierpi, nienawidzi i mści się za krzywdy swego narodu.

Konrad Wallenrod wyszedł w Petersburgu w r. 1828. W mieście tem bawił Mickiewicz już od kilku miesięcy, przyjmowany gorąco przez wielbicieli jego geniuszu — Polaków i Moskali. Poeta sam wówczas był przeświadczony o swej potędze twórczej, a to przeświadczenie odbiło się na krótkim, ale przepięknym poemacie p. t. »Farys«, napisanym właśnie w Petersburgu. Poemat ów przedstawia jeźdźca arabskiego, który pędzi przez pustynię i przezwycięża wszelkie przeszkody, spotykane w drodze. Nie zwabiła go cieniem swych liści palma zielonowłosa, nie przeraziły groźby nagich kamieni ani sępa, nie powstrzymała w podróży chmura, ani nawet najgroźniejsze widowisko: karawana trupów, zasypanych piaskiem, ani pan pustyni, potężny, a straszliwy huragan...

Ryknął i ku mnie [1]) w kształcie piramidy ciągnął.
Oddechem ognistym palił,
Skrzydłami kurzawy walił,
Ciskał w górę, bił o ziemię,
Nasypywał żwiru brzemię...
Ja zrywam się, walczę śmiało,

[1]) Osobą opowiadającą jest sam Farys

Targam jego członków kłęby,
Ćwiertuję piaszczyste ciało,
Gryzę go wściekłymi zęby.
Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem;
Nie wydarł się! Wpół ciała zerwał się i runął,
Deszczem piasku z góry lunął
I legł u nóg mych długim, jak wał miejski trupem!

Odetchnął wówczas Farys i utopił wzrok hen w niebiosach »wyżej, wyżej i wyżej, aż do niebios szczytu«.

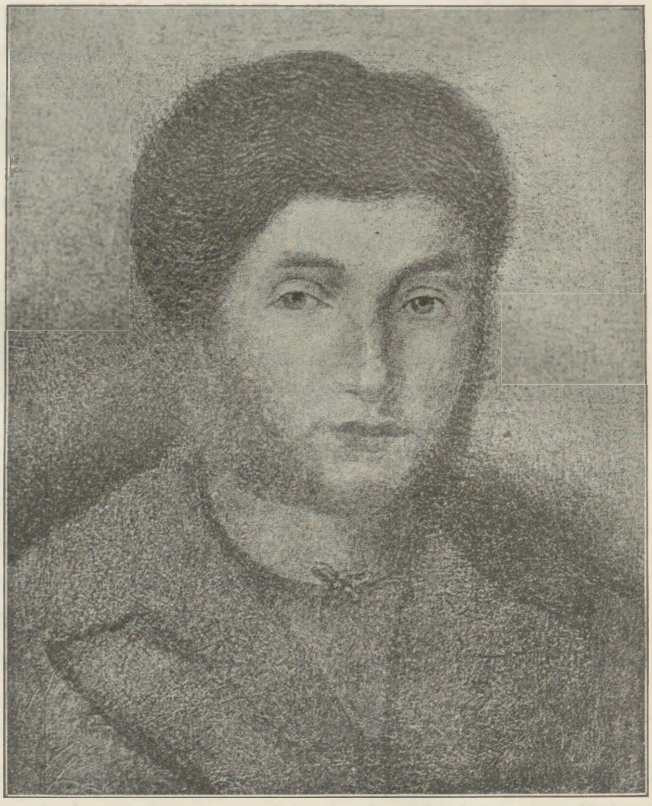

Fig. 79. Mickiewicz w czasie pobytu w Rzymie. (portret Stattlera).

Z poematu całego wieje poczucie dzielności wewnętrznej, tej siły, którą daje wielki, genialny talent.

Pobyt w Rosyi, choć osłodzony licznymi stosunkami przyjacielskimi, był jednak dla Mickiewicza męczącym, więzień »polityczny« nie był panem swojej woli. Kiedy więc otrzymał wreszcie upragnione pozwolenie na wyjazd, opuścił bezzwłocznie granice państwa rosyjskiego, ażeby już więcej nie wrócić. Wypłynął statkiem z Kronstadtu do Lubeki, a stąd przez Niemcy i Szwajcaryę podążył do Włoch i w listopadzie 1829. stanął w Rzymie.

Wszedł tu w koło ludzi, przejętych najżywszemi uczuciami religijnemi, obcował z wysoce ukształconym X. Chołoniewskim, bywał w domu hrabstwa Ankwiczów, których córka Henryka i przyjaciółka jej mogły stanowić wzór, jak religijność stosować należy także w życiu codziennem. Mickiewicz niereligijnym nie był nigdy, lecz mało zajmował się zagadnieniami

wiary. Tu w wiecznem mieście dokonał się w sercu jego zwrot stanowczy, stał się gorącym katolikiem. Pokochał też tę, która dopomogła mu do wejścia na nową drogę — hrabiankę Henrykę Ewę — głęboko i równie jak Marylę nieszczęśliwie, ojciec bowiem panny, hrabia Ankwicz, magnat dumny, ani chciał słyszeć o związku córki swej z poetą. I ta więc sielanka zakończyła się rozdźwiękiem. Ale nieszczęścia osobiste, jak w roku 1823., nie długo mogły trapić duszę poety, bo zanosiło się na wypadki znaczenia doniosłego. Był to rok 1830. W Polsce wrzało już od dawna, nad krajem wisiała burza. Rzecz dziwna, że Mickiewicz jakby przeczuwając to, co nastąpi, napisał wówczas tam, w Rzymie, wiersz pełen niezwykłej siły, »Do Matki Polki«.

Nie każe poeta radować się matce, gdy dziecko jej będzie chciwie słuchało opowiadań o dziejach swych przodków i zapalało się miłością ojczyzny.

O matko Polko! źle się twój syn bawi!
Klęknij przed Matki Bolesnej obrazem,
I na miecz patrzaj, co Jej serce krwawi:
Takim wróg piersi twe przeszyje razem!

Bo choć »w pokoju zakwitnie świat cały«, choć rządy sprzymierzą się z sobą, syn twój, matko, skosztuje chleba gorzkiego.

Wcześnie mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza,
By przed katowskim nie zbladnął obuchem,
Ani się spłonił na widok powroza...

W grudniu doszła do Rzymu wieść o wybuchu powstania. Mickiewicz chciał jechać, ale na razie stanął na przeszkodzie brak pieniędzy. W kilka dopiero miesięcy mógł wyruszyć, ale gdy przybył do Księstwa Poznańskiego, ażeby przedostać się za granicę, zastał kordon strzeżony tak pilnie, że o przekradzeniu się nie było mowy. W Poznańskiem więc doczekał nieszczęsnego końca wojny. Z bolem niewymownym w duszy patrzył na niedobitki wojsk ciągnące za granicę, dręczyło go to, że sam nie brał czynnego udziału w boju, ale postanowił dla ojczyzny swej pracować, jak mógł, i walczyć z jej wrogami piórem, »kiedy miecze schowane«. W Dreźnie, dokąd przeniósł się z Poznańskiego, oddał się też z namiętnym zapałem twórczości poetyckiej, a czerpiąc natchnienie w nieszczęściu swego narodu, wyśpiewał wszystkie jego łzy i bole, napisał trzecią część »Dziadów« [1]).

[1]) Cześcią t r z e c i ą nazwał poeta tę część dlatego, bo były już dwie: druga i czwarta. Część trzecia nie wchodzi jednak między drugą i czwartą.

Poeta postanowił dać w tym poemacie obraz cierpień i męczeństwa narodu, a na tem tle przedstawić przeobrażenie religijne, które dokonało się w duszy jego własnej w Rzymie. Z »historyi prześladowań« dał Mickiewicz w części trzeciej obraz tego, na co patrzył własnemi oczyma i w czem sam wziął udział — obraz śledztwa Nowosilcowa w r. 1823. na Litwie.

We wstępie (prologu) poznajemy w celi więziennej więźnia Gustawa. Duchy dobre i złe walczą o jego duszę. Więzień budzi się i pisze na ścianie »1823. Umarł Gustaw, urodził się Konrad«. Co to znaczy? Oto Mickiewicz przedstawia tu siebie samego, zamkniętego przed laty w więzieniu wileńskiem, w którem on, kochanek Maryli (Gustaw z IV. części Dziadów), odrodził się duchowo, zapomniał o własnych cierpieniach, a serce swe oddał innej kochance: ojczyźnie, jak bohater jego poematu — Konrad (Wallenrod). W scenie następnej gromadzą się w celi Konrada współwięźniowie — Filareci, żeby obchodzić wspólnie wigilię Bożego Narodzenia. Rozpoczyna się rozmowa, smutna, bo na temat śledztwa i doznanych w więzieniu katuszy. Jeden z więźniów, Sobolewski, opowiada, jak wracając z śledztwa, widział rzecz straszną: wywożenie kibitkami małych chłopców, studentów

...Najmłodszy, dziesięć lat nieboże,
Skarżył się, że łańcucha podźwignąć nie może,
I pokazywał nogę skrwawioną i nagą;
Policmajster przejeżdża, pyta, czego żądał;
Policmajster człek ludzki, sam łańcuch oglądał:
»Dziesięć funtów, zgadza się z przepisaną wagą«...

Ha, taki on ludzki ów policmajster, jak i ten, który skazywał to dziecko na Sybir, jak cała urzędowa Rosya. Ale oto inny obraz:

Wywiedli Janczewskiego .. poznałem: oszpetniał,
Zczerniał, zchudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał,
. . . . . .
Uważałem na więźnia postawę i ruchy:
On postrzegł, że lud płacze, patrząc na łańcuchy,
Wstrząsnął nogą łańcuch, na znak, że mu niezbyt ciężył,
A w tem zacięto konia: kibitka runęła;
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,
I trzykroć krzyknął: »Jeszcze Polska nie zginęła!«...
Wpadli w tłum... ale długo ta ręka ku niebu,
Kapelusz czarny jako chorągiew pogrzebu,
Głowa, z której włos przemoc obdarła bezwstydna,
Głowa niezawstydzona, dumna, zdala widna,
Co wszystkim swą niewinność i hańbę obwieszcza
I wystaje z czarnego tylu głów natłoku,

. . . . . .
Ta ręka i ta głowa zostały mi w oku
I zostaną w mej myśli...
Jeśli zapomnę o nich, ty, Boże, na niebie,
Zapomnij o mnie!...

Pod wpływem tych opowiadań Sobolewskiego w piersiach zebranych wzbiera uczucie nienawiści ku prześladowcom. Najpierw dwaj z uwięzionych, a potem Konrad śpiewa pieśń tchnącą pragnieniem zemsty...

Tak! zemsta, zemsta, zemsta na wroga
Z Bogiem — i choćby mimo Boga!

Ale słychać dzwonek pod bramą, to odwiedziny straży więziennej. Wszyscy rozbiegają się, w celi zostaje sam Konrad. I teraz to nadchodzi chwila wielka.

Konrad rozpoczyna rozmowę z sobą, a potem z Bogiem. Uważa się za potężnego twórcę — siłę daje mu uczucie. Uczuciem tem zbrojny chce dojść aż tam, gdzie graniczą Stwórca i natura. Zdaje mu się, że stanął twarzą już wprost przed obliczem Bożem:

...jestem człowiek, i tam, na ziemi me ciało;
Kochałem tam, w ojczyźnie serce me zostało...
Ale ta miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku.
. . . . . .
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić...
Nie mam sposobu — i tu przyszedłem go dociec.

Tym sposobem uszczęśliwienia narodu byłaby, według Konrada, władza, którąby mu Bóg oddał nad narodem, władza tak potężna, jaką on — poeta — sprawuje już nad myślą i słowem:

Jeśli mi nad duszami równą władzę nadasz,
Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył,
I większe, niźli Ty, zrobiłbym dziwo:
Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!
Daj mi rząd dusz!...
. . . . . .

Ale Bóg milczy, nie odpowiada na zuchwałe żądanie. A wówczas prośby Konrada stają się coraz gwałtowniejszemi, namiętniejszemi, aż wreszcie przemieniają się w groźby. A gdy Bóg i teraz milczy, Konrad wybucha bluźnierstwem:

Odezwij się: bo strzelę przeciw Twej naturze!
Jeśli jej w gruzy nie zburzę,
To wstrząsnę, całym państw Twoich obszarem;
. . . . . .
Krzyknę, żeś Ty nie ojcem świata, ale

»Carem« — dopowiada głos dyabła, a Konrad w tejże chwili słania się i pada. Duszę jego opętał szatan.

Kiedy jednak zdawało się, że Konrad zgubiony już na wieki, w celi nieszczęsnego więźnia zjawia się postać nowa, braciszek Bernardyn, Ksiądz Piotr. Ten poznaje, że Konrad opętany jest przez szatana, świadczą o tem słowa nieszczęśliwego. Rozpoczyna więc Ks. Piotr egzorcyzmy, zły duch opuszcza ciało Konrada, a wówczas Ksiądz Piotr pada krzyżem i zanosi do Stwórcy korne błaganie:

Panie, otom ja sługa dawny, grzesznik stary,
Sługa już spracowany i niegodny na nic:
Ten młody, zrób go za mnie sługą Twojej wiary,
A ja za jego winy przyjmę wszystkie kary;
On poprawi się jeszcze, on wsławi Twe imię.
Módlmy się. Pan nasz dobry! Pan ofiarę przyjmie!

I Bóg ofiarę przyjmuje...

Sceny dramatu się zmieniają. W jednej z następnych widzimy znów Ks. Piotra. Modli się on, leżąc krzyżem na ziemi. Bóg, który milczał, słuchając dumnych wezwań opętanego pychą Konrada, zsyła pokornemu swemu słudze widzenie, odsłaniające mu przyszłe losy Polski. Widzi Ks. Piotr kibitki ciągnące na północ, widzi straszne cierpienia swego ludu. Oto naród polski jak Chrystus przybity do krzyża i jak Chrystus niewinnie. Ludy sąsiednie znęcają się nad nim. Ale z tego pogromu jedno dziecię uchodzi cało — ono będzie wskrzesicielem narodu. (To pewno lud polski).

Wśród widzenia Ks. Piotr zasypia, duszę jego biorą aniołowie na ręce, ażeby ponieść ją w niebo, przepoić snami niebiańskimi, a przed modlitwą ranną znów złożyć ją w ciało.

Równocześnie złe duchy znęcają się nad śpiącym senatorem (Nowosilcowem) i nasyłają nań sny męczące, a potem wywlekają duszę z ciała i niosą ją nad granicę piekielną, aby tam zaznała już za życia mąk wszelakich.

W scenach następnych widzimy, jak Nowosilcow znęca się nad młodzieżą wileńską. Prowadzą też i Konrada na śledztwo. Wyrokiem sądu skazany na wywiezienie na północ. Wywożą go właśnie w noc Dziadów. Tam na znanym cmentarzu czeka go kobieta w żałobie, pasterka czeka

swego Gustawa. Ale Gustaw, który w więzieniu wileńskiem przemienił się już w Konrada, nie zatrzymuje się na cmentarzu. Kibitka uwozi go w krainę lodów i śniegów.

Taka jest najogólniejsza treść Dziadów części trzeciej.

Zapytajmy, co łączy nowy ten dramat z poprzedniemi częściami? Oto przedewszystkiem osoba bohatera — Gustawa, który tu przemienia się w Konrada. Węzłem łączącym jest jednak także myśl inna, wyrażona w poemacie, wiara w związek pomiędzy światem żywych a światem duchów, wpływ tego ostatniego na pierwszy. Aniołowie i szatani, którzy w poemacie wywierają wpływ na ludzi, nie są bynajmniej jakąś ozdobą poetycką, lecz rola ich jest wyrazem najistotniejszych wierzeń poety.

Czem były i są »Dziady« dla społeczeństwa polskiego — czyż trzeba się nad tem rozwodzić? Były one nie tylko jękiem zbolałej duszy narodu, nie tylko niezrównanym, niebywałej siły obrazem nadludzkich cierpień, przez które naród ten przeszedł, ale były czemś więcej — drogowskazem na przyszłość, pociechą i nauką. Poeta wzywał w poemacie tym społeczeństwo do pracy nad odrodzeniem moralnem, a przez odrodzenie wskazywał drogę do — wolności.

Czytano Dziady z zapałem takim, z jakim nawet Wallenroda nie przyjęto, głos uwielbienia rozległ się wśród emigracyi i na ziemi polskiej, ale z równym też zapałem ścigano w zaborze rosyjskim czytelników poematu...

Po napisaniu Dziadów wyjechał Mickiewicz do Paryża, gdzie już roiło się od wychodźców polskich. Ci narzekali na nieszczęsny wynik świeżo stoczonej kampanii, szukali winowajców, oskarżali się nawzajem — jak zwykle w nieszczęściu.

Mickiewicz ze smutkiem patrzył na tę rozterkę wśród bohaterów z pod Ostrołęki. Postanowił dać upomnienie emigracyi, wskazać jej drogę właściwą i napisał stylem biblijnym »K s i ę g i n a r o d u p o l s k i e g o i p i e l g r z y m s t w a p o l s k i e g o«. Rozwinął tu szerzej rzucone już poprzednio myśli. »Zaprawdę powiadam wam: nie wy macie uczyć się cywilizacyi od cudzoziemców, ale macie uczyć ich prawdziwej cywilizacyi chrześcijańskiej« — oto myśl przewodnia tego dzieła. Bo też Polska — według Mickiewicza — to naród wybrany, Chrystus, Mesyasz narodów. Zgon jej nie karą był, ale ofiarą za nieprawości innych ludów.

Jakkolwiek wychodźcy czytali »Księgi« ze łzami w oczach i uznali je za »ewangelię narodową«, nie wydobyli z nich takiej nauki, jaką Mickie-

wicz chciał im podać — spory wśród nich nie ustawały. A wówczas poeta odwrócił się z niechęcią od tej emigracyi zgiełkliwej a niezgodnej i z tęsknotą począł myśleć o owych dawnych, lepszych chwilach, które spłynęły mu w rodzinnej ziemi. I czem więcej tęsknił i rozmyślał nad tem, co stracił bezpowrotnie, tem żywiej zarysowywał się przed jego oczyma obraz przecudnej krainy ojczystej, w wyobraźni powstawały postaci o opalonych licach i zawiesistym wąsie, zmartwychwstawali jak żywi Bartki i Macieje z zaścianków litewskich. Przesuwały się obrazy polowań i grzybobrania, uczt i zabaw, sąsiedzkich zebrań i gawęd, wszystko, na co patrzył w dzieciństwie swem »sielskiem, anielskiem«.

Powoli umysł poety z obrazów tych, podsuwanych mu przez wyobraźnię, począł układać spójną całość. Powstał pomysł poematu, który zrazu sielanką miał być tylko, ale przy pisaniu rozszerzał się ciągle, aż urósł w epopeję, objął całe życie narodu, jego zwyczaje i obyczaje, jego myśli i pragnienia, uchwycił duszę polską. To, co napróżno dać nam pragnęli Potocki, Krasicki, Koźmian, dał nam dopiero Mickiewicz w swoim »Panu Tadeuszu«.

Czyż trzeba przytaczać treść tego poematu? Zna go już dziś każde dziecko polskie, czyta go rzemieślnik, robotnik, wieśniak. Spełniło się życzenie poety, który niczego więcej nie pragnął, jak tylko dożyć tej pociechy,

Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy,
Żeby też wzięły wieśniaczki do ręki
Te księgi, proste, jako ich piosenki.

Skąd wziął poeta takie mnóstwo osób, które spotykamy w poemacie, a z których każda żyje własnem życiem, ma własne obyczaje, mówi własnym językiem? Odpowiedź na to, że zmyśleń jest w »Panu Tadeuszu« wogóle bardzo mało. Rzeczywistość, choć dawna, choć w latach dziecięcych jeszcze oglądana, tkwiła jednak bardzo silnie w umyśle poety i wiele ze zdarzeń osób wziął poeta wprost z życia, z dworków i zaścianków litewskich. Ale są tam i takie postaci i sceny, które Mickiewicz nakreślił pod wpływem opowiadań Rzewuskiego, niezrównanego gawędziarza, z którym poznał się w Odessie, a który w Rzymie opowiadał poecie przedziwne historye z życia szlachty staropolskiej. Tu i ówdzie znalazły też w epopei odbicie własne przejścia życiowe Mickiewicza, i tak dumny Stolnik ma mieć rysy pokrewne hr. Ankwiczowi, Ewa ma przypominać hrabiankę Henrykę Ewę, a pomysł nieszczęśliwej miłości Jacka i Ewy miał powstać pod wpływem wspomnień własnych przejść miłosnych poety w Rzymie.

Fakt ten, iż Mickiewicz wprowadził do »Pana Tadeusza« postaci, na które przeważnie patrzył własnemi oczyma, odbił się na poemacie bardzo korzystnie. Nie przedstawiał poeta ludzi, których nie znał, obojętnych więc dla siebie, owszem tych, którym w epopei swej kazał mówić i działać, kochał, często szanował, i stąd znalazł się w »Panu Tadeuszu« ów podkład uczuciowy, który mimo przedmiotowości autora, tak podbija czytelnika i chwyta go za serce.

Obraz społeczeństwa, roztoczony w »Panu Tadeuszu«, rozległy. Obejmuje całą jedną warstwę narodu — szlachtę polską, począwszy od karmazynów aż do szaraczków. Mamy tu magnata, trzęsącego zaściankami, który w czasie wyborów spraszał »panów braci« na ucztę, a po wyborach udawał, że nie przypuszcza nawet, by »pan brat« mógł marzyć o jakiejś równości szlacheckiej. To stolnik Horeszko. Mamy dalej Podkomorzego, liczącego w rodzie swym wojewodów, pierwszego urzędnika w powiecie, objawiającego jednak swą pańskość tylko prawdziwą grzecznością wobec wszystkich i przestrzeganiem zwyczajów towarzyskich. Do »panów« zaliczyć też trzeba i Hrabiego. Jest jednak i szlachcic wioskowy, pan Sędzia Soplica, zawołany gospodarz, nie wolny od żyłki pieniactwa, ale z duszą najpoczciwszą, pełen gorącej ojczyzny miłości, szanujący tradycyę staropolską. Nie brak i Wojskiego, typowego rezydenta w dawnych dworkach szlacheckich, poufnego pana domu, prawie przyjaciela i zastępcę we wszystkich sprawach przygodnych.

Szlachtę urzędniczą reprezentują Asesor, Rejent i Woźny, zajmujący najniższy szczebel w tej urzędniczej drabinie. Ci wszyscy (prócz — naturalnie — Stolnika) bądź przebywają stale w Soplicowie, bądź pozostają w bliższych z Sędzią stosunkach.

Ale obok Soplicowa żyje w Zaścianku Dobrzyńskim szary tłum szlachecki, owi Bartki i Macieje, ponazywani różnemi imioniskami, uprawiający rolę w pocie czoła, podobnie jak sąsiedzi ich, chłopi. Ale od chłopów się różnią: »siermięgi nie noszą, lecz kapoty białe w czarne pręgi. A w niedzielę kontusze. Strój także szlachcianek najuboższych różni się od chłopskich katanek. Zwykle chodzą w drelichach albo perkaliczach, bydło pasą nie w łapciach z kory, lecz w trzewiczkach, i żną zboże, a nawet przędą w rękawiczkach«. Wśród nich to znajdują się owi Kropiciele, Konewki, Brzytewki, te pyszne typy pełnej fantazyi szlachty zagrodowej, wraz z naturalnym swoim przewódzcą, Maćkiem nad Maćkami. Z takiego to środowiska wyszedł także Klucznik Gerwazy, sługa, ale szlachcic, ceniący swoje

pochodzenie, choć duszą oddany tylko tym, na których dworze przepędził większą część żywota.

Jak widzimy, mnogość postaci, wzbogacona jeszcze nieśmiertelną postacią Jacka Soplicy i jego syna Tadeusza. Rozliczne te osoby łączą ze sobą i pobudzają do działania trzy sprawy. Najmniejszą z nich doniosłość ma miłość Tadeusza i Zosi, to też sielanka miłosna schodzi rychło na plan drugi, a na pierwszy wysuwa się sprawa inna, spór między Soplicą a Hrabią o zamek. Ta pobudza już namiętności wielu osób i dozwala objawić się prawdziwym ich charakterom, ale zarazem dozwala poecie wprowadzić rozliczne opisy wiejskich zabaw, urządzanych właśnie z powodu pobytu Podkomorzego w domu Sędziego Soplicy. Gdy jednak owa druga sprawa, spór o zamek, blizką jest już rozwiązania, występuje z niezwykłą siłą czynnik trzeci, zaznaczony, choć nieśmiało, od samego początku poematu: idea patryotyczna, dążenie wszystkich tych warstw, zajętych dotychczas sprawami życia codziennego, do odzyskania niepodległości narodowej.

Odsłania się więc przed nami dusza polska i w życiu powszedniem i w podnieceniu, wywołanem sprawami natury osobistej, i w chwili uniesienia najwyższego, kiedy porwana zapałem patryotycznym dąży do uszczęśliwienia całego narodu.

Prawda, że osoby wszystkie, które w poemacie działają, należą — z wyjątkiem Żyda Jankla — do warstwy szlacheckiej, ale też wówczas, niestety, tylko szlachta zajmowała się sprawami ogólno-narodowemi.

Ażeby dać poznać dokładnie usposobienie, zwyczaje, nałogi, sposób myślenia, zalety i przywary tej warstwy szlacheckiej, trzeba ją było przedstawić na tle rozmaitych zdarzeń i wypadków, trzeba więc było wprowadzić rozmaite sceny, wiążące się choćby tylko pośrednio z osnową. I dlatego to mamy w poemacie tyle tak zwanych »epizodów«, owe polowania, grzybobrania, uczty, sejmiki i bitwy. Wszystkie one przyczyniają się w wysokiej mierze do wszechstronnego przedstawienia życia narodu w owej chwili.

Jeżeli jednak mimo takiego natłoku zdarzeń i osób, a co ważniejsza, mimo wprowadzania na plan pierwszy coraz to silniej działających czynników, poemat zachowuje jednolitą barwę, to zawdzięczyć to należy nieocenionemu humorowi, który oblewa w epopei wszystkich i wszystko łagodnem swem światłem. Poeta kocha tych, których obrazy nam kreśli, wady ich widzi i jako epik bezstronny nie pomija ich milczeniem, ale uśmiecha się wobec nich pobłażliwie, przedstawia je z pogodnym humorem. Humor

ten przemienia wypadki, sytuacye bardzo nieraz groźne, we wprost żartobliwe. Gdy »burzliwa i niezmiernie skora do w i e s z a n i a« szlachta wpada do dworu Soplicy i gdy Sędzia wzdryga się, słysząc jej wykrzyki, czytelnik razem z Soplicą odczuwa rodzaj trwogi. Obawiamy się, że napad ten może skończyć się jakimś okropnym gwałtem. I oto co czytamy... Dobrzyńscy

...w y s z u k u j ą w r o g a,
Do domu nie wpuszczeni, biegną do folwarków
Do kuchni — gdy do kuchni weszli, w i d o k g a r k ó w
Ogień ledwie zagasły, potraw zapach świeży
Chrupanie psów, gryzących ostatki wieczerzy,
C h w y t a w s z y s t k i c h za s e r c a, myśl wszystkich odmienia,
Studzi gniewy, zapala p o t r z e b ę j e d z e n i a.

No napad nie straszny!

Dzięki temuż humorowi poety osoby najpoważniejsze w poemacie nie przytłaczają nas swoją powagą, a najtragiczniejsze nie odbierają nam spokoju, bo każda z nich ma jakąś słabostkę, którą poeta odkryje nam z uśmiechem. Poważny np. Podkomorzy będzie szukał zawsze bez skutku swojej karabeli, a tragiczny Jacek ubawi nas swoją tabakierą i tabaką, od której »wielcy ludzie kichali«.

A cóż mówić o humorze tym przy obrazach przyrody, jak one ożywiają naturę, jak blizką nam ją czynią:

Tu kapusta, sędziwe schylając ł y s i n y,
Siedzi i zda się d u m a ć o l o s a c h j a r z y n y,
Ówdzie podnosi złotą kitę kukurudza;
Gdzieniegdzie o t y ł e g o widać b r z u c h harbuza,
Który od swej łodygi aż w daleką stronę
W t o c z y ł się jak gość między buraki czerwone.

Kto nie uśmiechnie się, czytając ten opis? Ale nie wszystkie obrazy natury są humorystyczne, wszystkie tylko są przepiękne. Mickiewicz doszedł w nich do takiego mistrzowstwa, że nieraz zdaje się nam, jakobyśmy patrzali na obraz malarski: widzimy wszelkie barwy i odcienie tych barw. Kiedyindziej znów ulegamy złudzeniu, że słyszymy istotnie poświsty wichrów i ryki burzy, kiedyindziej, że słyszymy chrzęst sierpów w zbożu i świst kos siekących otawę. Wdzięk tych opisów podnoszą jeszcze przecudne porównania. Oto np. słońce dochodzi już ostatnich kresów nieba

Całe zaczerwienione, j a k z d r o w e o b l i c z e
G o s p o d a r z a, gdy prace skończywszy rolnicze
Na spoczynek powraca. Już krąg promienisty
Spuszcza się na wierzch boru i już pomrok mglisty,
Napełniając wierzchołki i gałęzie drzewa,

Cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa;
I bór czernił się nakształt ogromnego gmachu,
Słońce nad nim czerwone, jak pożar na dachu.
Wtem zapadło do głębi; jeszcze przez konary
Błysnęło, jako świeca przez okiennic szpary,
I zgasło..



Fig. 80. Celina z Szymanowskich Mickiewiczowa.

Porównań takich krótkich i obszerniejszych z szczegółami wykończonymi jest ilość niezliczona.

Czyż trzeba pisać jeszcze osobno o stylu w »Panu Tadeuszu«, o tej mowie prostej, potocznej prawie, a jednak podniesionej do najwyższej potęgi doskonałości? Wszakże język »Pana Tadeusza« jest wzorem, na którym kształci się trzecie już pokolenie, wszak nikt go dotychczas prześcignąć nie zdołał.

I czyż trzeba dowodzić, że »Pan Tadeusz«, mieszczący w sobie tyle nieporównanych zalet, jest największem arcydziełem w poetyckiej literaturze polskiej, że jest szczytem, do którego ona dotychczas dojść zdołała? Ale nie tylko w literaturze naszej, ale i w europejskiej niema prócz poematów Homera epopei, któraby mogła się mierzyć z tą »historyą szlachecką«, jak Mickiewicz skromnie nazwał swoje dzieło. Kiedyś, gdy zdobędziemy przynależne nam miejsce wśród ludów Europy i gdy język nasz uzyska w niej takie stanowisko, jakie ma dziś angielski lub francuski, świat zadziwi się, ujrzawszy, że przez lat tyle nie poznał najkosztowniejszej perły, jaką wydała literatura wieku XIX. Ale żeby poznać i ocenić wszystkie piękności »Pana Tadeusza«, trzeba koniecznie czytać go w oryginale.

Po napisaniu owego arcydzieła Mickiewicz tworzył już bardzo mało. W dodatku z przeznaczonego dla teatrów francuskich dramatu pod tytułem

»Konfederaci barscy«, zachował się zaledwie początek, innego zaś dramatu (»Jakób Jasiński«) poeta nie dokończył. Rzecz dziwna istotnie: w trzydziestu kilku latach życia twórczość Mickiewicza jakby się już wyczerpała! Fakt ten, dla literatury naszej smutny bez wątpienia, da się jednak po części wytłumaczyć. Poetę opadły kłopoty familijne. W r. 1834. ożenił się z Celiną Szymanowską, osobą dobrą, ale słabowitą, cierpiącą na obłęd, który uleczony pozornie, powracał znowu po czasie. Do trosk płynących z choroby żony przyłączyła się wnet inna — brak środków do życia. Kiedy zaś objął ofiarowaną mu przez rząd szwajcarski katedrę literatury łacińskiej w uniwersytecie w Lozannie, musiał rozpocząć żmudną pracę profesorską, pożerającą mu czas i zaprzątającą umysł zagadnieniami, obcemi dotychczas dla poety. Wnet potem rząd francuski powołał go na profesora literatur słowiańskich w kollegium francuskiem w Paryżu. Mickiewicz posadę przyjął, ażeby nie zajął jej Moskal lub Niemiec i z katedry nie siał fałszów o naszej literaturze i narodzie, ale nowy ten rodzaj zajęć obarczył znów nadmiernie poetę, zwłaszcza, że Mickiewicz pojmował stanowisko swe bardzo poważnie i przygotowywał się pilnie do wykładów. Wykłady były świetne, uczęszczały na nie tłumy publiczności, ale twórczość poety zamilkła. Niebawem miał też zaważyć na szali wzgląd inny — znajomość Mickiewicza z Litwinem Towiańskim.



Fig. 81. Uniwersytet w Lozannie.

Dziwny ten człowiek uważał się za Apostoła. Twierdził, że ludzie popsuli naukę Chrystusa i że on, Towiański, otrzymał od Boga posłannictwo ażeby słowo Jego głosić znowu na ziemi. Zalecał, jak i kościół, pokorę, czystość myśli, modlitwę, ale utrzymywał, że człowiek, podniósłszy ducha

swego do Boga, może czynić cuda, tem łatwiej zaś ludzi dwóch lub więcej, jeżeli duchem połączą się z sobą. Głosił także, że z połączenia ducha Francyi i Polski wyjdzie odrodzenie świata.



Fig. 84. Andrzej Towiański.

Mickiewicz przejął się tą nauką, a wpłynął na to i ten wzgląd, iż Towiański uleczył mu chorą żoną z obłędu. Około Towiańskiego i Mickiewicza zgromadziło się niebawem grono osób, pozyskanych również dla nowej wiary. Pomiędzy »Towiańczykami« znaleźli się wybitni poeci, jak Słowacki, Goszczyński, Gorecki. Rozpowszechnianiu się dalszemu »towia-

nizmu« położył kres Kościół, który uznał naukę za błędną, ale Mickiewicz, choć poróżnił się z »mistrzem«, nie porzucił już »prawd«, w których widział przyszłe odrodzenie Polski i ludzkości. Co więcej, począł rozpowszechniać zasady towianizmu z katedry, a gdy wobec tego właściwy cel wykładów zszedł na plan drugi, rząd francuski odebrał mu posadę. Rozpoczęły się więc znów dla Mickiewicza gorzkie chwile — walki o chleb powszedni. Najznakomitszy poeta polski, chwała nasza wobec wszystkich ludów Europy — wstyd powiedzieć — był czasem... głodny. A jednak

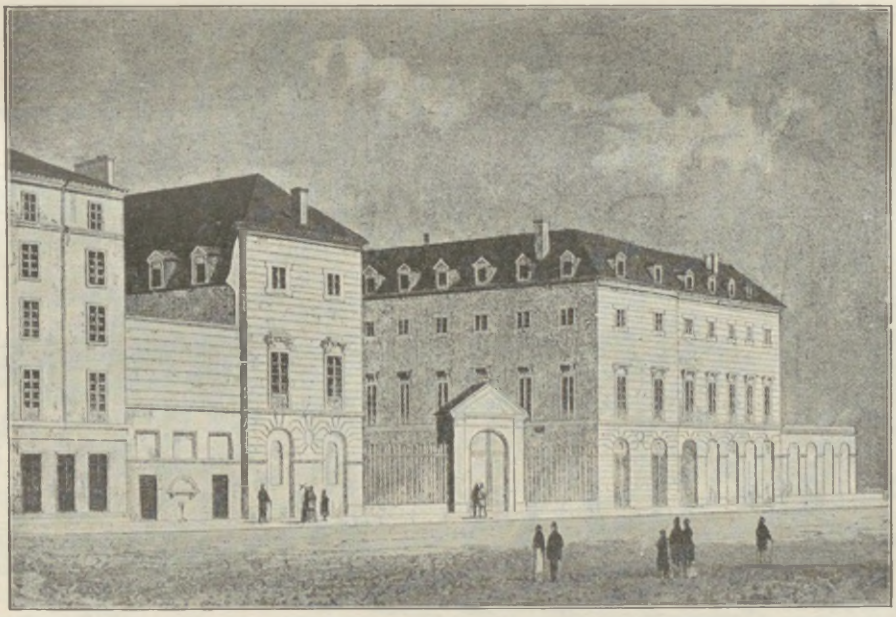

Fig. 85. Kollegium francuskie w Paryżu.

w tak przykrych nawet warunkach myśl jego zwracała się zawsze ku Polsce, o jej doli myślał, nie o sobie.

Kiedy w r. 1848. rozpoczęły się we Włoszech ruchy narodowe, poeta pospieszył do Rzymu i zaczął tam formować legion polski, który miał wkroczyć do Austryi. Gdy myśl tę trudno było urzeczywistnić, założył w Paryżu dziennik, poświęcony »sprawie wolności ludów«, a więc przedewszystkiem ludu polskiego. Wojna krymska, która wybuchła w r. 1855., pobudziła znów poetę do działania. Wypracował pomysł utworzenia legionu na Wschodzie, a otrzymawszy od rządu francuskiego zasiłek pieniężny, podążył do Konstantynopola.

Tu zaskoczyła go niespodzianie choroba. Przebieg jej był szybki i groźny. Ratunek okazał się daremnym. Dnia 26. listopada 1855. r. zakończył Mickiewicz życie, przytomnie, przyjąwszy wprzód sakramenta św. Ciało zabalsamowano i odwieziono do Paryża, ale w r. 1890. sprowadzono drogie zwłoki do Polski i pochowano w katedrze na Wawelu. Spoczął wśród królów, on, wódz duchowy narodu, prawdziwy władca — serc i umysłów pokoleń.



Fig. 86. Mickiewicz w obozie w Turcyi.

Czem jest dla nas Mickiewicz? Nie łatwa odpowiedź. Jest pierwszym poetą gienialnym, jest mistrzem słowa, twórcą epopei narodowej, jednym z wielkich poetów świata. Ale to nie wszystko. Moglibyśmy go czcić za to, dumnymi być z niego, kochaćbyśmy go nie musieli. A my go kochamy, my mówimy o nim z uczuciem takiem, jakie żywi się dla osób najdroższych. W czem tkwi źródło tej miłości? Oto w tem uczuciu potężnem, które rozpierało pierś poety, którem on objął naród cały »wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia«. On chciał uszczęśliwić swój naród, chciał z niego pieśń żywą stworzyć, chciał go podnieść do Boga i postawić przed

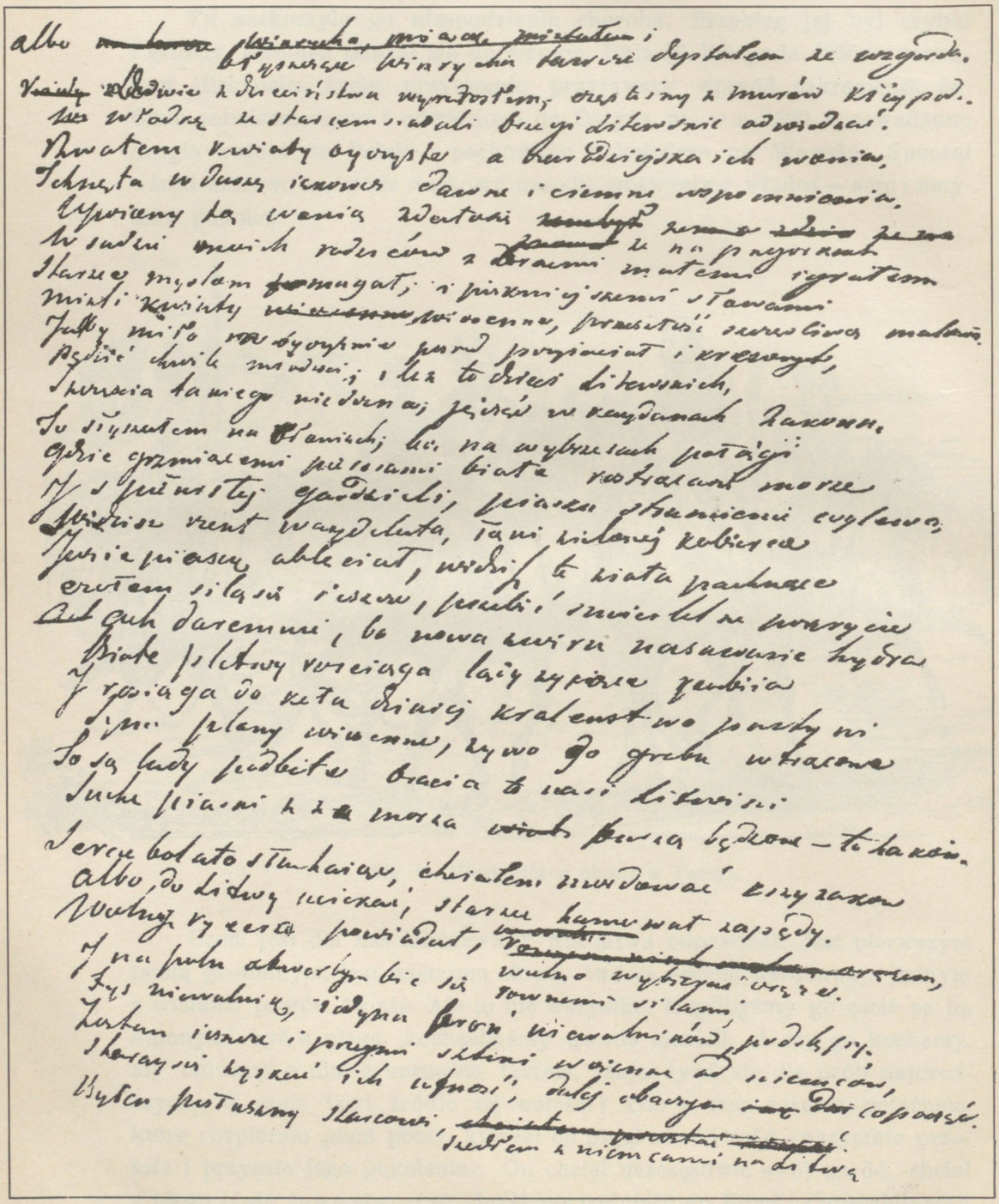

Fig. 87. Kartka z rękopisu »Konrada Wallenroda«.

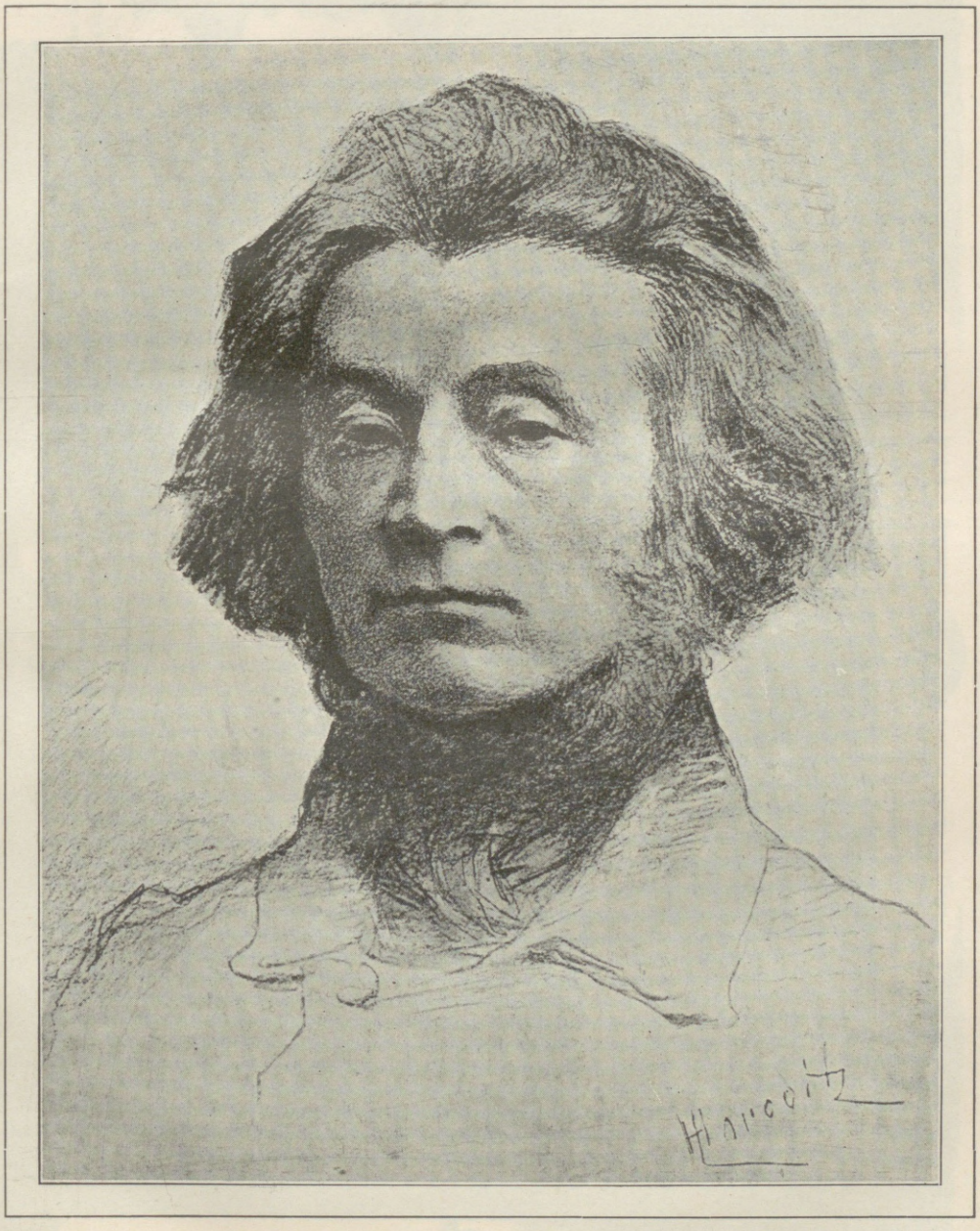

Fig. 88. Adam Mickiewicz.
(Portret Horowitza).



Fig. 89. Mickiewicz na łożu śmiertelnem.

ludzkością, jak pochodnię gorejącą. A pragnienie to wcielił w swe dzieła i w życie swoje. Nic tam u niego ze samolubstwa, niczego on nie chce dla siebie, cierpienia swe składa na ołtarzu ojczyzny, Gustawowi każe się przemienić w Konrada. Ta płomienna miłość ojczyzny wstrząsa nami w Wallenrodzie, porywa nas w »III. części Dziadów«, rozrzewnia w »Panu Tadeuszu». Mickiewicz jest poetą narodowym, jak żaden inny może poeta w świecie: z życia narodu czerpie swe natchnienie, opiewa jego dolę i nie-

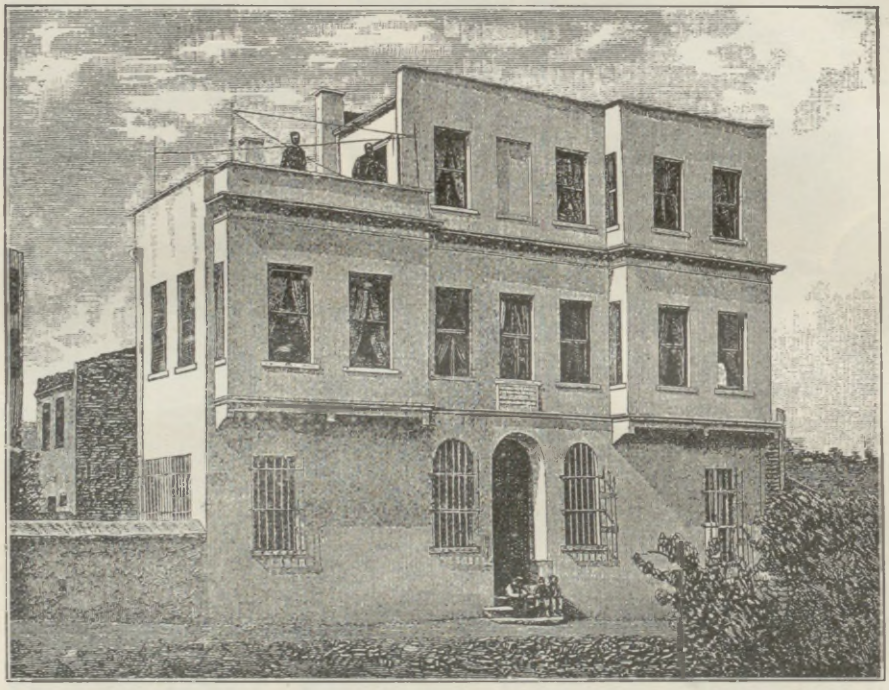

Fig. 90. Dom w Konstantynopolu, w którym umarł Mickiewicz.

dolę, dla niego pracuje, wskazuje mu drogę przyszłości, kocha go do szaleństwa.

Od innych wielkich poetów europejskich XIX. wieku różni się głęboką swą religijnością. Wierzy on święcie w obcowanie dwóch światów: doczesnego i nadziemskiego i z wiary tej wysnuwa najpiękniejsze pomysły poetyczne, sprowadza aniołów na ziemię, on, który ludzi chciał poprowadzić w świat anielski. To też trzecie już pokolenie wpatruje się w niego, jak w swą gwiazdę przewodnią, karmi się jego myślami, rozgrzewa piersi swe uczuciem miłości, które tak potężnym płomieniem z dzieł

jego bije, czerpie nadzieję z tej wiary, którą miał poeta w przyszłość Polski.

Zaiste, godzien był spocząć między tymi, którym naród przez wieki oddawał, co miał najdroższego: koronę i berło królewskie.

Jak kiedy Wojski w »Panu Tadeuszu« zagrał przecudną pieśń myśliwską, echo poniosło daleko jej dźwięki, a setki drzew litewskich powtórzyły melodyę, tak samo pieśń Mickiewicza znalazła od pierwszej chwili tysiączny odgłos w sercach rodaków. Ogół, zwłaszcza młodych, zachwycał się jego poezyą, wrażliwsi z tego ogółu, ludzie obdarzeni talentem poetyckim, starali się iść w ślady mistrza, poczęli sami tworzyć na wzór Mickiewicza.

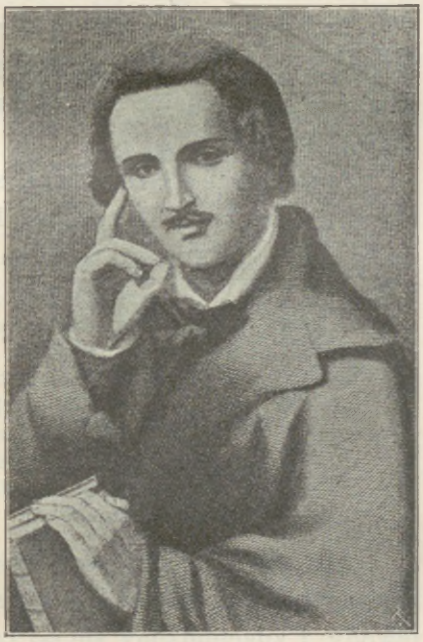

Fig. 91. Stefan Garczyński.

Posypały się więc zrazu ballady, potem dramaty fantastyczne w guście »Dziadów«, potem sonety. Wśród powodzi wierszy lichych i pomysłów dziwacznych zdarzały się jednakże i rzeczy piękne, a nawet niepospolite. Do takich należał poemat »Wacława dzieje«, napisany przez Garczyńskiego, serdecznego przyjaciela Mickiewicza. Poeta podejmuje w utworze swym zagadnienie wielkie: walki rozumu z uczuciem; dwie te potęgi zmagają się nawzajem w duszy Wacława. Dziś poemat ten mało znany. Większymi względami cieszą się sonety wojenne Garczyńskiego, kreślące bohaterskie walki z powstania, w którem poeta brał czynny udział.

Do rzędu poetów, którzy zrazu zwłaszcza pozostawali pod silnym wpływem Mickiewicza, należał również Stefan Witwicki i wyższy od niego talentem, towarzysz podróży Adama do Włoch, Antoni Edward Odyniec, który zasłynął jako tłumacz poetów angielskich, dalej Aleksander Chodźko, o którego pięknej balladzie »Maliny« jużeśmy nawet wspomnieli, Gosławski i inni. Tę grupę poetów nazwano u nas »litewską« — niesłusznie, bo

jakaś »litewszczyzna« nie jest bynajmniej ich znamieniem. Więcej już uzasadnienia ma nazwa »pisarzy ukraińskich«, nadana innemu gronu poetów, Malczewskiemu, Zaleskiemu i Goszczyńskiemu, bo ci istotnie opiewali w swych poematach przedewszystkiem Ukrainę. Najmłodszym z tego grona był

Antoni Malczewski (um. 1826). Za życia nieszczęśliwy i zapoznany, po śmierci stał się sławnym, a poemat jego »Marya« jest utworem (po dziełach Mickiewicza) najulubieńszym u polskich czytelników. (Wyszedł w Warszawie 1825).

Budowa onej »powieści ukraińskiej« tajemnicza, z ukrywanym umyślnie wątkiem osnowy, wskazuje, że poeta czytał pilnie powieści Byrona. Przypatrzmyż się kolejno tym obrazom, które poeta przesuwa przed oczyma czytelnika.

Step ukraiński, obszerny, a milczący, spokojny, a groźny. Wśród burzanów przemyka się postać Kozaka, pochylonego do grzywy końskiej. Spieszy z jakimś rozkazem, »a żwawy, wierny konik Kozaka rozumie«.

Pędzą — a śród promieni zniżonego słońca
Podobni do jakiego do niebianów gońca.
I długo i daleko słychać kopyt brzmienie,
Bo na obszernych polach rozległe milczenie.
Ani wesołej szlachty ni rycerstwa głosy,
Tylko wiatr szumi, smutne uginając kłosy,
Tylko z mogił westchnienia i tych jęk z pod trawy,
Co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy.
Dzika muzyka...

Ale ucho Kozaka pieści się z nią, jak z najpiękniejszą melodyą. To obraz pierwszy. W drugim przenosimy się do zamku wielkiego pana, wojewody, i znachodzimy się od razu wśród grona gości, na wspaniałej uczcie. Powód do uczty ważny: wojewoda, który od dawna był »w rozprawie« z synem swoim, Wacławem, pogodził się z nim obecnie, a chcąc nagrodzić dawną oziębłość, jest dla syna niezwykle czułym, serdecznym. Wprawne jednak oko zauważyłoby w twarzy wojewody przebłyski dzikiej radości, które wskazywały, że dumny pan ma jakiś plan ukryty, zgubny może dla syna. Przypuszczenie to mogła utwierdzić okoliczność, że kiedy goście już się rozeszli lub rozjechali, a mieszkańców zamku sen ogarnął, sam tylko wojewoda do snu się nie ułożył, lecz przechadzał się ciągle po swojej komnacie, ciężkiemi widocznie trapiony myślami. Na tych samotnych dumaniach zastało wojewodę wschodzące słońce. Przy jego blaskach ujrzał on Wacława wyruszającego z zamku na czele rycerzy.

Na tem kończy się obraz drugi, a czytelnik nie wie zupełnie, jaki związek może zachodzić pomiędzy wyprawą Kozaka przez stepy, a ucztą w domu wojewody i troskami możnego pana. Kiedy trudzimy się, ażeby związek ów wyśledzić, wyobraźnię naszą zajmuje już obraz trzeci. Pod staremi lipami duma Miecznik stary. Duma nad smutną dolą córki swej Maryi, a ona sama w Piśmie świętem szuka pociechy i z chrześcijańską pokorą poddaje się woli Niebios. Jakiż to cios ją dotknął tak srogi? Wyjaśnia nam to rozmowa jej z Miecznikiem. Oto Marya opuszczona przez swego męża, opuszczona bez swej winy, a serce jej ciągle krwawi się na myśl, że niema już tego, którego ukochała nad wszystko.



Fig. 92. Antoni Malczewski jako dziecko.

Gdyby Miecznik był w domu, nie byłoby doszło do tego związku, ale on walczył na polu z Szwedami, a tymczasem nieboszczka matka Maryi na ślub zezwoliła. A teraz co? Obelgę znieść trzeba i czekać rozwodu, o który możny pan dla syna swego w Rzymie kołacze.

Czytelnik po przeczytaniu tej części poczyna dorozumiewać się, że tym możnym panem, który nie chce uznać ślubu syna swego z Maryą, jest znany nam już wojewoda i że powodem takiego postępowania jest nierówność rodowa i majątkowa Wacława i Maryi. Przypuszczenia jego się sprawdzają... Na dwór Miecznika przybywa Kozak z pismem od wojewody, (ten sam Kozak, który pędził przez stepy), a pismo owe zawiera radosną nowinę dla Miecznika i córki. Oto wojewoda uznaje małżeństwo syna z Maryą, co więcej, sądzi, że Wacław powinien na takie szczęście zasłużyć i przed zamieszkaniem z żoną zdobyć sobie sławę rycerską w walce z Tatarami, którzy właśnie rozpuścili zagony po Ukrainie. Miecznik niezupełnie wierzy w szczerość wojewody, ale tymczasem przybywa w jego dom sam Wacław. Wyprzedził swe hufce, ażeby znaleźć się czemprędzej w objęciach żony, a teraz wita ją z uniesieniem radości. Na krótko tylko już mają się rozłączyć. Poskromi tylko najeźdźczą hordę tatarską, a potem nic im już nie zamąci wspólnego szczęścia. Wacławowi postanowił

towarzyszyć Miecznik, w starym wojowniku bowiem zagrała krew rycerska. Walka z Tatarem to jemu nie pierwszyzna! Sam dał znak do wymarszu...

Dosiadł bystrego konia, lecz troski miał w oku
Młody Wacław i w pierwszym osadził go skoku;
Dosiadł bystrego konia, lecz spojrzał wesoło
Stary Miecznik i w pędzie zawinął nim koło.
Za nimi brzmią puzany, za nimi, za nimi
Zrywają się rycerze jakby ptaki z ziemi.
. . . . . .
Już we wsi kurz osiada; jeszcze przerywanie
Zdala wojennych rogów dolatuje granie —
I cicho — jak na sercu Śmierć swój obraz kreśli;
I pusto, smutno, tęskno — jak u Maryi w myśli.
Wzniosła swą lekką postać do góry, do góry:
Nic nie widać, tylko wiatr szare goni chmury.
Zniżają się kolana, prośba ręce składa,
Z oczu w niebo utkwionych kroplami żal spada;
I cicho — jak modlitwa w łono Boga płynie;
I pusto, smutno, tęskno — jak gdy szczęście minie.

Smutek jakiś ogarnia też i serce czytelnika, boi on się tej wyprawy, a z myśli nie schodzi mu ponura postać wojewody.

Tymczasem wyobraźnię jego zajmują obrazy coraz to nowe. Przed opustoszałym dworkiem Miecznika rozmawia stary jego sługa z jakiemś pacholęciem małem. Dziwne to pacholę. Młode jeszcze, a mówi o sobie, że kiedy się śmieje, to »jak za pokutę«, że z duszy jego »wypleniono radość«. Wygląda ono tak, jak gdyby było nieszczęściem, które przybrało na siebie postać ludzką. Może też przyszło zwiastować nieszczęście! Ale rozmowę jego z sługą przerywa niespodzianie zjawienie się tajemniczych zamaskowanych ludzi, którzy przybyli tu niby kulikiem. Sługa nie chce ich zrazu wpuścić do wnętrza domu, lecz potem ujęty ich ruchami, tańcami, śpiewem, odważa się na ten krok nierozważny. Czytelnik nie wie, co myśleć ma o tych przybyszach, ale mrozi go piosnka, którą maski »wrzasły niedobranym chórem«, powtarzając co zwrotkę złowróżbne słowa:

Bo na tym świecie
Śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie
I w bujnym kwiecie!

Tymczasem Miecznik i Wacław byli już daleko w stepie. Nie szczędził stary rycerz wskazówek przed walką swojemu zięciowi, a potem podzielił wojsko na dwie części, ażeby z dwóch stron zaskoczyć Tatarów. W zwy-

cięstwo wierzył na pewno. Ale Wacław, dręczony złem przeczuciem, jechał smutny i zamyślony, a jakiś głos wewnętrzny szeptał mu ciągle: »zdobędziesz ty trumnę!« Rozmyślania przerwał widok, który roztoczył się przed oczyma rycerzy. Wieś w płomieniach! To dzieło Tatarów! Słychać jęki, płacz, okrzyki rozpaczy! A tymczasem han tatarski, ostrzeżony przez swoje czaty o zbliżaniu się polskich chorągwi:

Zebrał znaczniejsze hordy w taniec ulubiony.
Tam — za wsią — stoją, całe zakrywają pole;
Bór w lewo, strumień w prawo, a oni w półkole.
Widzi ich dobrze Wacław, ale razem zważa,
Że napad uchybiony na zgubę naraża;
Jak się cofnąć przez ogień? ej! któż zdoła minąć,
Co mu niebo przeznaczy — zwyciężyć czy zginąć?
Czyja wola to za mną! — rzekł i spiął rumaka...
. . . . . .
Jakżeby wodza polskie odstąpiły szyki?
To i oni w płomienie: śród blasku pożogi,
Przez głownie i zarzewia szukają swej drogi.
Już za wsią — i wraz szybko, sfornie, lekko, śmiało
Rozwinęło się wojsko i w linii ostało;
Zagrzmiały wszystkie trąby jednym strasznym dźwiękiem,
Porwały się kopyta z jednym głośnym brzękiem.

Dzielne było natarcie, ale liczba wrogów przeważająca. Męstwo Polaków okazało się bezsilnem. Zatrata groziła niechybna, przeciwko Wacławowi zwróciły się tysiące mieczów tatarskich. W tej jednak straszliwej chwili niebezpieczeństwa, gdy już wszystko zdawało się straconem, świeże hufce Polaków wypadają z przyległego lasu. To Miecznik przybywa z odsieczą! Widzą Tatarzy, że dostali się w pułapkę. W jednej chwili walka przybiera obrót dla nich złowrogi. Bój przemienia się w rzeź pohańców, połączone siły polskie odnoszą nad niewiernymi świetne zwycięstwo... Po bitwie wyprawił Miecznik zięcia swego do domu, sam zaś obiecał powrócić nazajutrz z rycerstwem. Z niepokojem podążał Wacław do progów swej żony, a złowrogie przeczucia, które jak kruki osiadły jego serce, nie zawiodły go niestety. Straszny czekał go w cichym dworku widok. Zastał Maryę na łożu nieżywą! A kiedy w rozpaczy wybiegł z ciałem żony na dziedziniec i wołał pomocy, wychyliło się z zarośli owo pacholę i opowiedziało mu, że to goście — maski zdradliwe — utopiły Maryę w stawie. A Wacław zrozumiał w mgnieniu oka, czyje to było dzieło. Zrozumiał, dlaczego ojciec wyprawił go na Tatarów, i zamiar straszliwy zrodził się w jego głowie. Dosiadł rumaka i z dobytym mieczem popędził w dal jak duch zemsty i zniszczenia. Ach, wiemy, w czyich piersiach miecz ten utonie...

A Miecznik? Miecznik zapamiętał się z bólu:

I dziwno, tak nieczułym stał się na pogrzebie,
Jakby już dusza jego była z córką w niebie.

A potem Bogu oddał się cały. Przebywał więcej na cmentarzu u mogił córki i żony, niż wśród żywych, i tam przy tych mogiłach znaleziono go raz nieżywego.

I cicho, gdzie trzy mogił w posępnej drużynie;
I pusto, smutno, tęskno — w bujnej Ukrainie.

Poemat skończony.

W dziwny nastrój wprawia nas czytanie »Maryi« Malczewskiego. Duszę omotuje jakiś smutek i to smutek wywołany nie tylko losami bohaterów poematu, ale płynący i z tych stepów ukraińskich, po których »tylko wiatr szumi smutne uginając kłosy«, i z słów pacholęcia i z przeczuć Wacława. Ponury ów nastrój potęguje tajemnicza, grozy pełna postać Wojewody i owe maski złowrogie, których straszna pieśń przejmuje nas dreszczem zgrozy. Cóż, gdy dobiegniemy końca poematu i przekonamy się, że zbrodnia odniosła tryumf, że szlachetni albo odeszli w krainę śmierci, albo wydani zostali na pastwę życiu, od śmierci gorszemu — przygnębienie nas ogarnia! Pierwszy to poemat polski, który życie ludzkie w tak ciemnych okazał barwach. Smutną musiała być dusza autora »Maryi«, a ból doznany w życiu odbił się w nastroju poematu. »Marya« ma wielkie znaczenie jako pierwsza również powieść o charakterze wybitnie narodowym. Żaden z poetów naszych nie zdobył się przed Malczewskim na nakreślenie tak szczerze polskich postaci, jak postać Miecznika lub Maryi, żaden, prócz Potockiego w »Wojnie chocimskiej«, nie potrafił się tak przejąć duchem rycerskim narodu i z taką siłą a plastyką odtworzyć jego bojów kresowych z wrogami chrześcijaństwa. A cóż mówić o języku, o śmiałości wyrażeń poetyckich, o przepięknych obrazach natury ukraińskiej! Byron, choć głośny na cały świat, nie napisał ani jednego poematu tak wspaniałego.

Malczewskiego ochrzczono z powodu »Maryi« mianem poety »ukraińskiego«. Na przydomek ten jednak z o wiele większą słusznością zasługuje

Józef Bohdan Zaleski, na Ukrainie urodzony (1802) i wychowany, zakochany w przyrodzie ukraińskiej i ludziach. Po powstaniu z r. 1830., w którem wziął udział, musiał opuścić granice Polski i odtąd czy w Paryżu wśród wiru życia, czy we Włoszech i Ziemi św., dokąd podróżował, czy gdziekolwiekindziej przebywał — tęsknił za swą Ukrainą... Pociechę znalazł w życiu rodzinnem, spokojnem i szczęśliwem. Gromem

uderzył weń dopiero rok 1863. Katastrofa narodowa wstrząsnęła nim do głębi i pogrążyła w ciężkim smutku. A potem przyszły nieszczęścia osobiste, strata przyjaciela, żony, córki, zięcia, a potem utrata wzroku i słuchu. Strapiony ciężko, ale nie złamany na duchu, dożył Zaleski sędziwego wieku, znosząc dopust boży z wielką siłą. Umarł w r. 1886.

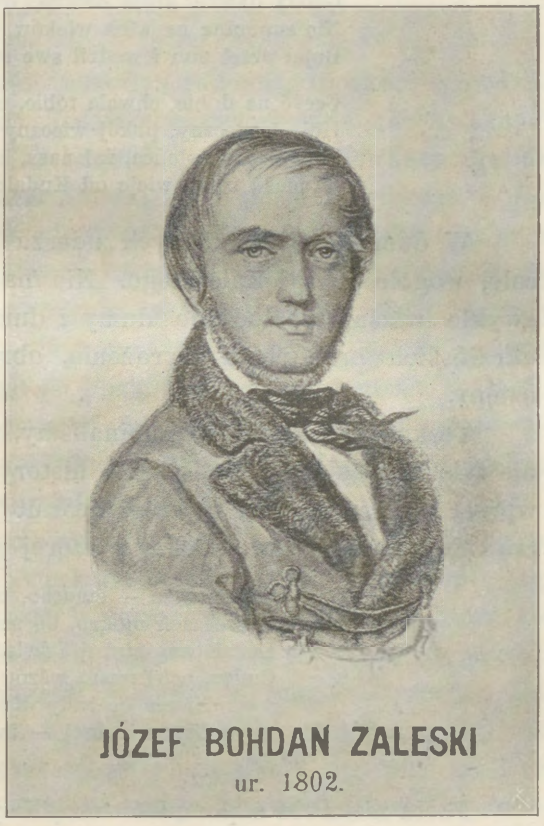

Fig. 93.

Najpiękniejsze są z utworów Zaleskiego te, w których daje wyraz swym uczuciom. Uczucia te są rzewne, świadczą o naturze łagodnej i miękiej, której obcy jest gniew, namiętność. Jest w nich odcień tęsknoty i smutku, ale niema tej melancholii, którą widzieliśmy u Malczewskiego. Natchnienie czerpał Zaleski z pieśni i życia Ukrainy. Ukochał szczególnie te chwile z jej przeszłości, kiedy to wspólnie z Polską wspólnych gromiła wrogów. Z zamiłowaniem kreślił pełne fantazyi postacie Kozaków, umiejących kochać, ale i bić się i ginąć za sprawę matki Polski. Hetman Kosiński np. żegna młodą swą żonę i tak do niej przemawia:

Łez i oczu żal się Boże!
Cóż łamanie rąk pomoże?
Kiedy wola sejmu, króla
Każe bić się nam.
Wolniej, wolniej, koniu chyży!
Niech się luba do mnie zbliży;
Stój, stój chwilę,
Niech się schylę,
Pocałunek dam.

Tak przemawia Kozak, hetman ukraiński. A oto posłuchajmy, jak w innej dumie p. t. »Lach serdeczny na marach« Kozacy opłakują swego wodza Lanckorońskiego — Polaka:

Cześć na dobie, pokłon tobie, atamanie nasz,
Sojusz stary szczerej wiary mołojców swych znasz:
Już ty nie nasz, my nie twoi, hej, sojusz skończony!
Wracasz, ojcze, na słobodę, do swej Lanckorony.

Żal się Boże! step i morze obiegliśmy z nim.
Grody dawne, kraje sławne, Wołosza i Krym
Nie zapomną na wiek wieków, jak z pola na pole
Bujał orzeł tam i wodził swe stado sokole.

Cześć na dobie, chwała tobie, chwała, póki nas!
Hej, Serdeczny, pokój wieczny w niepożyty czas!
Póki świata, słońca, żal nasz, żal nieukojony
W pieśń niech wieje od Kudaku aż do Lanckorony!

W dumach tych i innych uderza nas niezwykła śpiewność, znamię całej wogóle poezyi Zaleskiego. Nie nadarmo wsłuchiwał się w tak niezwykle właśnie melodyjne dumy i dumki ludu ukraińskiego. Z pieśni ukraińskich brał poeta wyrażenia, obrazy i porównania, niekiedy całe ustępy.

Tęsknota, o której wspominaliśmy, znalazła u Zaleskiego swój wyraz nie tyle w pieniach o podkładzie historycznym, ile w dumkach, nuconych wprost z serca, chociaż również na nutę ukraińską. Prześliczną np., pełną rzewnego uczucia jest dumka, w której poeta wyraża żal swój za Ukrainą.

Smutnoż tu — smutno, bracia, za Dunajem!
I w oczach mokro, bo sercami tajem;
Ludzie nas nudzą i świat cały nudzi;
Cudzo, och! pusto wśród świata i ludzi!
Niema bo rady dla duszy kozaczej;
U nas inaczej — inaczej — inaczej!
. . . . . .

Poeta nie może zapomnieć szczęśliwych chwil młodości, widzi oczyma duszy wioskę rodzinną, słońce i niebo ukraińskie:

Darmo błądzę oczyma,
Mokrą mrugam powieką,
Mojej wioski tu niema —
Ach, daleko! daleko!
. . . . . .

Ach! czas rozdarł zasłonę,
Rozwiał mary omamień,
I me serce strapione
Ciśnie boleść jak kamień.

Rzewność i tęsknota przechodzą w dumce tej w uczucie ciężkiego smutku i bolu.

Ale stan taki u poety nie trwa długo. Ponure zamyślenie nie odpowiadało jego naturze. Sam on w jednej z piosnek powiada o sobie:

Łza na krótko oko ciemi,
Częściej płoną w niem rozkosze;
Bo co ziemskie, rzucam ziemi,
Co niebieskie, w niebo wznoszę.

Nutą zaś wprost już wesołą, melodyą radosną, »poskoczną« odznaczają się »wiośnianki« i »szumki« Zaleskiego, wzorowane na »hałaśnych, śmiałych« pieśniach ukraińskich i na »słodkich, cichych« śpiewkach Serbów.

Prócz drobnych utworów pisał Zaleski także poematy większe. W fantastycznych »Rusałkach« śpiewa pieśń miłości, którą zwie »złotym snem na kwiatach«. Prześlicznie przedstawia tu walkę w duszy Kozaka, Cisława Zorzy, owładniętego miłością ku Zorynie, igrającej w tęczowych blaskach w gronie Rusałek. Gdy Zoryny nie widzi, tęskni za nią Cisław i obawia się, że może ją utracić, a gdy jest jej blizkim, drży przed utratą wolności, swobody mołojeckiej. Wreszcie wolna dusza kozacza odnosi zwycięstwo nad uczuciem, Cisław chce żyć dla sławy. »Miłość i tęsknota«, owe »dwie prządki ludzkiego żywota« są więc główną treścią i tego utworu.

Ale są i poematy inne, przesiąknięte myślą głębszą, zakrojone na wielką skalę. Do takich należy »Duch od stepu« (1836). Przewodnią jego myślą jest, że ludy podnoszą często bunt przeciw myśli Bożej, która kieruje losami narodów. Ludziom bowiem, opierającym się na marnym rozumie, zdaje się, że rozum ów potrafi zastąpić wyroki Opatrzności. Bóg jednak karze wówczas opornych i taka kara dotknęła też naród polski. Ale pod wpływem klęski i nieszczęść ludy odradzają się, więc też i dla Polski zaświta przyszłość szczęśliwa. Widzimy, jak odbiegł tu Zaleski od przekonań Mickiewicza, który upadek Polski uważał za karę bez winy, a Polskę-męczennicę porównywał do Chrystusa, poświęcającego się za grzechy świata.

Rzewne, gorące uczucie religijne poety widnieje z sielanki, zatytułowanej »Przenajświętsza rodzina«. Poemat przedstawia chwil kilka z młodości Chrystusa. Zaleski nie znał jednak jeszcze wówczas, gdy pisał ten utwór, Palestyny, stąd przyroda w poemacie nie ma barwy wschodniej, a przypomina raczej Ukrainę.

I oto wszystkie już ważniejsze utwory Zaleskiego. Wszędzie, jak widzieliśmy, dużo uczucia tęsknego, rzewnego, wszędzie (nawet w »Duchu od stepu«) nuta ukraińska, wszędzie obok wdzięku i lotności wielka prostota.

Pieśni poety odznaczają się niezwykłą dźwięcznością, wiersz płynie jak melodya, język giętki, pełen krasy, tworzy obrazy mieniące się tysiącem barw i blasków.

Jest też dla nas poezya Zaleskiego niezwykle miłą. Kochamy ją, jak i samego poetę, którego żywot należy do najpiękniejszych, najczystszych. Prawdziwy żywot chrześcijański!...

Czara życia nie wciąż miodna.
Gdy cykutę spełnić trzeba [1]),
Chrześcijanin, spełnię do dna
I — wesoło spojrzę w nieba.
Duch nie zgaśnie przez skonanie...
A dla ziemi u mogiły
Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mnie wznosiły...

Oto słowa poety, które wyrzekł sam o sobie.

Charakterem jako człowiek, charakterem też jako poeta różni się od Zaleskiego

Seweryn Goszczyński. I on pochodził z Ukrainy, a z Zaleskim kolegował w szkołach w Humaniu. Przeszedł potem krainę naddnieprzańską wszerz i wzdłuż, poznał dokładnie lud tamtejszy, ale nie rozkochał się jak Zaleski w tęsknych dumkach ukraińskich, nie upiększał Kozaków, przeciwnie, dostrzegł wśród nich rysy inne: dzikość i porywy hajdamackie. Przed powstaniem listopadowem znalazł się w Warszawie, a pamiętnej nocy 29. listopada należał do garści tych, którzy z szaloną odwagą rzucili się na pałac Belwederski, ażeby uwięzić W. księcia Konstantego. Potem walczył w kilku bitwach, a potem, jak inni, musiał uchodzić z Królestwa. Przez dłuższy czas bawił w Galicyi, ale wydalono go stąd za przygotowania do wybuchu powstańczego. Wówczas przeniósł się do Paryża, wstąpił tam do koła Towiańczyków i był gorliwym wyznawcą nowej nauki. Umarł we Lwowie w r. 1876.

Zaliczają Goszczyńskiego również do grupy poetów »ukraińskich«, głównie z powodu »Zamku Kaniowskiego« (1828.), poematu osnutego na tle dziejów polsko-ruskich.

Złowroga nuta dźwięczy w tej powieści poetycznej. Już samo tło odrazę w nas budzi — bunty i rzezie hajdamackie w r. 1768. — a na tem tle dopiero rozsnuwa się historya pełna scen strasznych, postaci ohydnych.

Bohaterem jej jest Kozak Nebaba, który skrzywdził dziewczynę Kse-

[1]) Cykuta = trucizna. Tu: cykutę spełnić = znieść ból.

nię, a potem ją porzucił, sam zaś, zbiegłszy do Kaniowa, został tam atamanem Kozaków dworskich. Niepomny miłości Kseni, zakochał się w Kaniowie w kozaczce Orlice. Ale Orlikę kocha także rządca zamku, a gdy ta wstrętem odpłaca mu jego miłość, zły człowiek chwyta się podstępu. Stawia na warcie pod szubienicą, na której wisi trup jakiegoś winowajcy, brata Orliki, a zna prawo, karzące śmiercią szyldwacha, przy którego strażowaniu zginąłby powierzony jego pieczy zbrodniarz.

Wietrzna jesienna zawyła noc zdala,
Warzą się wiry w zamąconem łożu;
Złośliwy obłęd igra po rozdrożu.
Podróżny z cichem szeptaniem pacierza
Mija rozdoły świstające trzciną;
W skrwawionych szponach zgłodniałego zwierza
Dławione bydlę poryka doliną.
Pod szturmem wiatru, co silnie dmie górą,
Słychać skrzypienie głównej szubienicy:
Trup się kołysze, pies wyje ponuro,
Śmierć snu osiadła w zamku okolicy.
Szablą czasami pobrząkując krzywą
Szyldwach wisielca, wzdłuż płaskiego wzgórza,
Zwijając wąsy, przechadza się żywo.
. . . . . .
Szelest po krzakach. Czy ptak pierzchnął z gniazda?
Coś majaczeje, coś po drodze bieży.
Tfu! W imię Ojca... To tumany dyable.
Po cieniach nocy wszystko się rozniosło.
Kozak opatrzył janczarkę i szablę
I dawną drogą chodził dalej śmiało.
W świetle księżyca, co wyjrzy czasami,
Mignął ktoś bielą i zagasł tam w krzaku:
I śpiew dziewiczy przeleciał z wiatrami;
Ten śpiew, znajomy, budzi dreszcz w Kozaku.
Alboż to dziwno, że słowa dziewczyny
(Poznać ją można po jej miłej nucie)
W burzliwem sercu syna Ukrainy
Ocknęły nagle burzliwe uczucie?
Oho! już niema Kozaka u wzgórza.
A księżyc znowu mgłami się zachmurza
I noc mokrymi tumanami bije
I szubienica skrzypi i pies wyje
I po rozdrożu igrają bałwany
I wicher, z jękiem, dmie w zamkowe ściany.

Podstęp się udał. Żołnierz (brat Orliki), zwabiony śpiewem znajomej dziewczyny, opuścił na chwilę wzgórze, a tymczasem służba na rozkaz rządcy porwała wisielca z szubienicy. Szubienica groziła teraz bratu Orliki. Dla ocalenia go nieszczęsna dziewczyna została żoną rządcy.

Teraz wysuwa się w poemacie na plan pierwszy Nebaba. Palony zazdrością i chęcią zemsty, dąży do obozu herszta hajdamaków Szwaczki, ażeby go sprowadzić na Kaniów. W drodze staje mu Ksenia, która tu za nim przybyła, ale Nebaba pozbywa się jej łatwym sposobem, poprostu pięścią miażdży jej twarz. Szwaczkę zastaje pijanego, staje więc sam na czele watahy i dąży ku Kaniowowi. To samo czyni Szwaczka po odzyskaniu przytomności i uprzedza nawet Nebabę, a podburzywszy mieszczan kaniowskich, uderza z nimi na zamek. Zdobywa go i podpala, a Orlika morduje równocześnie w komnacie znienawidzonego rządcę. Zbrodnia jednak mści się na niej samej — popada w obłęd. Rozpasana banda Szwaczki wpada tymczasem do zamku, a znalazłszy tylko trupa rządcy, puszcza się w pogoń za Orliką, która ucieka przed swymi pobratymcami na wieżę zamkową. Wpadają tam za nią z Szwaczką na czele, ale wieża strawiona pożarem wali się i przywala gruzami swymi wszystkich: Orlikę, Szwaczkę i Kozaków. Tymczasem w pomoc zamkowi nadchodzą polskie wojska koronne i rozpoczyna się bitwa pod zamkiem z watahą Nebaby. Hajdamacy wycięci, Nebaba schwytany i wbity żywcem na pal. Na ustach jego składa pocałunek Ksenia.

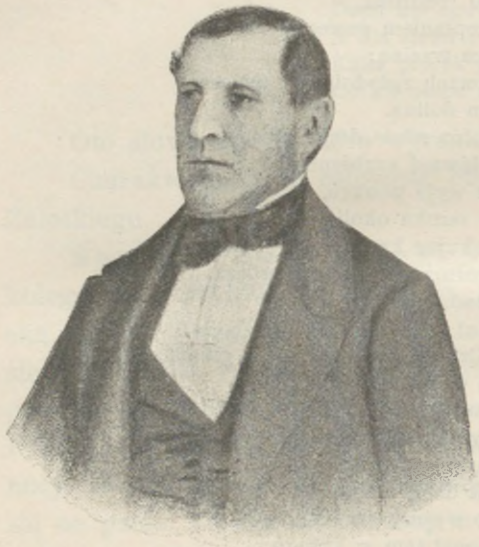

Fig. 94. Seweryn Goszczyński.

Straszliwy rzeczywiście »poemat«. Ale to jasne, że kto obrał sobie jako tło czasy hajdamacczyzny, ten nie mógł napisać sielanki, że poemat, dający obraz Ukrainy z r. 1768., musiał budzić grozę. Ponurych obrazów zdrad, mordów i rzezi nie rozjaśnia żaden błysk pogodny, na którym oko mogłoby spocząć i odpocząć po tylu okropnościach.

Budowa poematu jest bajronowska, wątek osnowy odsłania się powoli, jak w Malczewskiego Maryi lub w Mickiewicza Wallenrodzie.

Z innych utworów Goszczyńskiego zasługuje jeszcze na uwagę powieść, napisana prozą, p. t. »Król Zamczyska«. Królem tym jest Machnicki, niby obłąkany, w rzeczywistości człowiek pełen głębokich myśli. Nazywa on się królem zamku Odrzykońskiego, a w zamku tym widzi wyobrażenie Polski

całej. Mury wierzchnie się walą i nic już ich od zagłady nie powstrzyma, ale pod ziemią są podwaliny, silne i trwałe — to lud. Ten lud przetrwa wszelkie burze i z niego odrodzi się kiedyś naród polski.

Przekonania Machnickiego są w tym wypadku przekonaniem autora.

Goszczyński napisał także piękny poemat p. t. »Sobótka« — ale go nie ukończył.

Talent poetycki Goszczyńskiego ma właściwe sobie znamiona, które odróżniają go od innych współczesnych. Kiedy Malczewski rozkochany w przeszłości ojczyzny kocha Ukrainę, jako ziemię mogił polskich, a Zaleski jako pełną cudów ziemicę, która wydała bohaterskich atamanów kozackich, Goszczyński widzi w tejże Ukrainie krwawą hajdamacczyznę, fantazya jego lgnie do obrazów ponurych, wstrząsających. Kiedy Malczewski śpiewa na nutę pełną bezdennego smutku, na który nie znajdziesz lekarstwa, a Zaleski podbija nas jakąś rzewną tęsknotą, z utworów Goszczyńskiego wygląda nie smutek, nie rzewność, ale namiętność ponura i groza. W tem jest on różny od tamtych, ale nie niższy, ani nie wyższy. Jest jednak niższym od nich pod jednym względem i to ważnym. Malczewski i Zaleski są skończonymi artystami, Malczewski w języku, w kreśleniu obrazów, w układzie, Zaleski w tworzeniu drobnych cacek, zadziwiających lekkością, dźwięcznością, niezwykłym rytmem i rymem; Goszczyński o formę zbytnio się nie troszczy, przekonany, że w poezyi treść jest rzeczą najważniejszą. Stąd pewne u niego nierówności, a czasem zaniedbanie formy. To jego niedostatek, a ten przy braku gorącego uczucia sprawia, że poezye jego działają na wyobraźnię, szarpią nawet nasze nerwy, ale w duszę nie wnikają.

Tak przebiegliśmy najważniejsze płody literackie (w zakresie poezyi) do roku 1830., przyczem o Mickiewiczu mówiliśmy i po r. 1830. Widzieliśmy, jak w przeciągu lat dziesięciu charakter poezyi zmienił się zasadniczo jak zrzuciła ona z siebie pęta przepisów francuskich, odrodziła się i wydała w tym krótkim przeciągu czasu takie arcydzieła, jakich napróżnoby szukać w piśmiennictwie kilku ubiegłych wieków. Uczucie i wyobraźnia odzyskały zaprzeczane im dawniej prawa do bytu. Nowe myśli i pragnienia musiały też wytworzyć dla siebie nowe słownictwo, oryginalny, pełen siły żywiołowej styl poetycki. Język staje się giętkim, muzykalnym, zdolnym

do wyrażeń najróżnorodniejszych uczuć, o natężeniu i zabarwieniu najrozmaitszem, od porywów bohaterskich, od potężnych głosów namiętności, do najczulszych drgnień serca ludzkiego. Uczuciem tem obejmują poeci naturę także, kochają jej piękno, rozumieją poezyę łąk nadniemeńskich i stepów ukraińskich, czy akermańskich. Mimo formy przejętej przeważnie z poezyi angielskiej i niemieckiej, mimo dalej nawet sięgających wpływów tych literatur (zwłaszcza Byrona), jest poezya nasza z tych lat prawdziwie narodową, nie dla tego tylko, że jest często patryotyczną, ale że odtwarza świat polski, dusze polskie, że natura polska odbija się w niej lepiej, wierniej, aniżeli we wszystkich dziełach klasyków. Patryotyczna struna nie dźwięczy nawet przed r. 1830. zbyt silnie, a dopiero po r. 1830. żywioł patryotyczny wybuchnie z mocą niebywałą, przygłuszając wszystko, co nie wyrosło z uczuć narodowych. Będzie to następstwo powstania i klęski.

Na ostatnie lata przed wybuchem powstania przypadają pierwsze utwory poety, który do roku 1830. prawie nieznany, potem należycie nieoceniony, w ostatnich dopiero czasach zdobywa sobie namiętnych wielbicieli i sięga w świecie poezyi, obok Mickiewicza, po purpurę królewską. To

Juliusz Słowacki.

W pierwszej dobie swej twórczości, w poematach napisanych przed r. 1830., odzwierciedlił on najlepiej panującego wówczas w Europie ducha »bajronizmu«, dał szereg postaci pozostających w niezgodzie z światem, znajdujących dziwną rozkosz w dręczeniu drugich, a dręczących się również we własnem wnętrzu.

To, że Słowacki uległ wpływowi Byrona z łatwością, było następstwem i wrodzonej mu wielkiej wrażliwości i warunków, wśród których się wychowywał. Odebrał bowiem wychowanie miękkie, pod okiem matki (ojca stracił w 5-tym roku życia — 1814.), w towarzystwie dwóch sióstr przyrodnich, które kochały go gorąco, ale psuły najwidoczniej. Później oddziałał też wpływ przyjaciela-kolegi, młodzieńca o chorobliwej wyobraźni, a nerwach przeczulonych. W bardzo młodym wieku już się Juliusz kochał i — naturalnie — nieszczęśliwie, a miłość ta nieodwzajemniona stała się jednem ze źródeł niechęci i goryczy do ludzi. Grunt do przejęcia się duchem utworów Byrona był więc podatny.

Istotnie, którykolwiek z poematów Słowackiego z przed r. 1830. weźmiemy do ręki, wszędzie spotykamy się z postaciami bajronowskiemi. Taką postacią będzie »Hugo«, obciążony tajemnemi zbrodniami komtur zakonu krzyżackiego, przypominający nieco Wallenroda, taką będzie »Mnich«, przeklęty przez ojca Araba za przyjęcie chrześcijaństwa, popełniający na bracie i ojcu mimowolne zbrodnie, a potem dogorywający w klasztorze, taką postacią bajronowską jest również »Arab«, siejący wokół siebie zniszczenie z nienawiści do ludzi, takiemi postaciami są »Żmija«

Ostatni z wymienionych utworów świadczy już jednak i »Jan Bielecki«.

że autor jego nie tylko włada przecudnie językiem polskim — ta zaleta widoczna wszędzie — ale że to poeta, który potrafi tworzyć również postacie, pełne prawdy i życia.



Fig. 95. Juliusz Słowacki jako dziecko (w postaci amorka).

Bielecki, przez złych ludzi skrzywdzony niewinnie, potem odstępca od wiary ojców, obarczony zbrodnią, nękany wyrzutami sumienia i przeklęty przez własne społeczeństwo, ma w sobie wprawdzie wiele z bohaterów bajronowskich, ale ma także i on i inne osoby, występujące w poemacie, niektóre rysy rdzennie polskie. Poeta oparł się w utworze po raz pierwszy na podaniach historycznych, a zwrócenie się do tradycyi narodowej okazało się zbawiennem.

Do najwcześniejszych utworów Słowackiego należą również dwa dramaty: »Mindowe« i »Marya Stuart«. Jakkolwiek były to p i e r w s z e dramaty poety, posiadały jednak zalety niepospolite i świadczyły chlubnie o dramatycznym talencie autora. Kto tak rozpoczynał, po tym można się było spodziewać, gdy dojrzeje, rzeczy wielkich.

Znaczenie wielkie obu sztuk polegało na tem, że w nich po raz pier-

wszy polska poezya dramatyczna zerwała całkowicie z przepisami francuskimi o jedności czasu i miejsca i wogóle wyzwoliła się od naśladownictwa dramatu francuskiego. Słowacki obrał sobie wzór inny, genialnego poetę Szekspira, który zamiast bohaterów sztywnych, popisujących się ozdobną wymową, sztucznych, dawał postaci żywe, a dusze ich odsłaniał aż do głębi. Postaci te brał z rozmaitych warstw społecznych (nietylko z dworu królewskiego), na scenę nie lękał się wprowadzać tłumów, o jedność czasu i miejsca nie dbał. Nieszczęśliwy los, kara, która spada na jego bohaterów, nie jest następstwem przeznaczenia, ale winy ich, ich własnej słabości.

Mimo zasadniczego wpływu Szekspira nie brak w »Mindowem« i »Maryi Stuart« także postaci bajronowskich, nie brak zresztą i wpływu innych poetów. Było to już właściwością natury Słowackiego, że najchętniej brał pomysły od drugich, przekształcał je w swej wyobraźni i dawał często dzieło, doskonalsze od wzoru. Pięknie też porównał go jeden z naszych pisarzy do bluszczu, który pnie się w górę, wysoko, ale musi owinąć swe sploty około jakiegoś konaru.

Ta zawisłość od drugich obok bardzo bujnej fantazyi, zdolności kreślenia przecudnych poetyckich obrazów i mistrzowskiego władania językiem — to znamiona, które widoczne są już w tych najwcześniejszych utworach poety. Wyszły one w Paryżu. Poeta osiadł w tem mieście w roku 1831., opuściwszy kraj w chwili, kiedy powstanie rozlało się szeroko po całej ziemi polskiej. Dlaczego to uczynił, do dziś na pewno niewiadomo. Musiały być jednak jakieś ważne powody, bo sam wybuch powstania powitał z największym zapałem, z uniesieniem. Sławił rewolucyę narodową w Odzie do wolności, Kuligu, Pieśni legionu litewskiego, Hymnie do Bogarodzicy

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas, Matko Boża,
To ojców naszych śpiew!
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon,
Wolności rośnie krzew.
Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron.

Kto z takiem upojeniem powtarzał słowo: wolność, ten nie mógł być obojętnym synem ojczyzny.

W Paryżu zetknął się Słowacki z wybitnymi przedstawicielami emi-

gracyi, poznał się też z Mickiewiczem, ale poeci nie nawiązali z sobą serdecznych stosunków. Słowackiego bolało to, że ogół uważał Mickiewicza za swego wodza duchowego, a na niego nie zwracał uwagi. Dręczony żądzą osiągnięcia sławy pisał Juliusz coraz to nowe utwory, z których jednak większym jest tylko poemat »Lambro« w dawnym duchu bajronowskim.

Kiedy przeczytał trzecią część »Dziadów« i ujrzał tam niekorzystnie przedstawionego swego ojczyma (Dr. Bécu, zausznika Nowosilcowa), powziął do Mickiewicza śmiertelną urazę. Ażeby nie widywać się z nim nawet, opuścił Paryż i wyjechał do Szwajcaryi (1832), gdzie przebywał bądź w Genewie bądź w jednej z wiosek górskich przez lat cztery.

Podrażniona duma szukała zadosyćuczynienia. Przez Mickiewicza czuł się dotkniętym podwójnie: sądem, który Adam wydał ongiś o jego poezyach, mówiąc, że są świątynią bez Boga, i owem właśnie przedstawieniem w ciemnych barwach Dr. Bécu. Ale Słowacki obrał szlachetny rodzaj »zemsty« — postanowił stworzyć dzieło, któreby przyćmiło najwspanialszy wówczas utwór Adama: »Dziady«. Pisał też w Szwajcaryi swego »Kordyana« z wyraźną myślą o współzawodnictwie, a ażeby myśl tę uczynić jasną, dał utworowi taki sam kształt, jaki posiadają »Dziady«, kształt dramatu fantastycznego. Co więcej kazał bohaterowi swemu otrząsnąć się również z cierpień osobistych i rozgorzeć miłością ku ojczyźnie, ale potem odrodzonego postanowił poprowadzić na wyżyny bohaterstwa, dać mu pole do czynu. Kordyanowi, jak Mickiewicz Konradowi w »Dziadach«, dał też wiele rysów osobistych.

Wykonanie nie zupełnie odpowiedziało zamiarowi. Słowacki marzyciel, Słowacki goniący za sławą, Słowacki wreszcie — czciciel Byrona, stworzywszy Kordyana na podobieństwo własne, nie mógł zrobić go równocześnie bohaterem działającym, bo w nim samym nie było wówczas warunków do bohaterstwa czynnego.

Przypatrzmy się bliżej temu utworowi.

W akcie pierwszym poznajemy rozmarzonego, znudzonego życiem młodzieńca. Wiek dziecięcy prawie nie przeszkadza mu (jak Słowackiemu) kochać się w Laurze. Dręczony beznadziejną miłością postanawia Kordyan zakończyć cierpienia samobójstwem. Ale zamiar w czyn się nie przyobleka.

W akcie drugim widzimy Kordyana, starszego już znacznie, jak szuka środków uleczenia chorej swej duszy. Wszystko go jednak zawodzi. Dopiero w Szwajcaryi na szczycie góry Mont-Blanc, pod wpływem czaru

potężnej natury wstępuje w niego nowe życie, czuje budzącą się w sobie gorącą miłość ojczyzny, postanawia wrócić do ojczystego kraju.

Istotnie, w akcie trzecim widzimy już Kordyana w Warszawie. Odbywa się właśnie koronacya cara Mikołaja na króla polskiego, a równocześnie w pieczarze podziemnej jednego z kościołów zgromadzają się spiskowi. Jest wśród nich i Kordyan. Pragnie on nakłonić zebranych do zamachu na cara, sądząc, że z śmiercią jego wybije dzień zmartwychwstania dla Polski. Tak! Śmierć ciemięzcy —

A potem kraj nasz wolny! potem jasność dniowa!
Polska się granicami ku morzom rozstrzela
I po burzliwej nocy oddycha i żyje.
Żyje! czy temu słowu zajrzeliście w duszę?
. . . . . .

Tak sądzi Kordyan, ale zebrani sądzą inaczej. Czują oni, że do wolności nie dochodzi się przez skrytobójczy mord. Wobec tego postanawia Kordyan działać na własną rękę. Jako podchorąży ma on najbliższej nocy stać na straży w zamku królewskim, wówczas więc zamierza dokonać krwawego czynu. Ale w chwili stanowczej ogarnia go śmiertelna trwoga, z okrzykiem Jezus Marya pada przed sypialnią carską bez czucia na ziemię. Na polecenie cara uwięziono go i oddano do szpitala waryatów. Stamtąd jednak każe go wyprowadzić W. książe Konstanty, ażeby go wydać »na śmierć i na męki«. Na placu Saskim ma się odbyć popis wojska polskiego, a widzem ma być również car. Tam to sprowadzono Kordyana.

Wielki książe (do Kordyana. Pieniąc się)

Ha! psie polski! przyszedłeś — czemuś taki blady?
Przewidziałeś, co czeka? Kacie! roskolniku...
. . . . . Car ciebie darował
Zemście mojej... Car ciebie sam w grobie pochował!
Z książęcej dłoni dyabły wydobyć nie mogą!
. . . . . Dać tu cztery konie.
Ha, ty psie, masz gorączkę, ale ciało zdrowe?
Każdy z członków zostawisz na końskim ogonie,
A koń mój najsilniejszy zerwie z karku głowę.
Milczysz! Ha, ja się wścieknę... ten pies ciągle milczy.
(Uderza kułakiem w pierś Kordyana)
Słuchaj, do twego ciała głód uczułem wilczy,
Kąsałbym.
(Zgrzyta zębami)
Cha! cha! Carze, lubisz konne sztuki?
Pokażę ci ogromny skok... Znieść karabiny,
Ustawić w piramidę, pozczepiać za kruki,

Ostrzem do góry — związać jak snopy, jak trzciny.
(Żołnierze ustawili piramidę z karabinów).
Teraz, psie! siadaj na koń... i leć z nim do dyabła.
Ty milczysz... co? na widok dusza ci osłabła?
Myślisz, że się zlituję. — Wszak poświęcam konia,
Konia poświęcam, słyszysz? a ciebie? No! w drogę.
No! ruszaj, ruszaj, ruszaj...
(Ostygając)
No, posłuchaj, Lachu, wstydem płonę...
Mówiłem o Polakach, że chłopy szalone,
Gotowi z królewskiego zamku w Wisłę skoczyć...
(Proszącym głosem)
No, Lachu, jeśli żywy przeskoczysz bagnety,
To daruję ci życie...

Kordyan.

Dzięki, książe! dzięki,
Żeś mi powiedział wszystko... Gdyby dar żywota
Można zyskać ruszeniem palca u tej ręki,
To nie ruszyłbym palcem.

Wielki książe.

Boi się hołota!

Na ten zarzut odpowiada Kordyan krótko »Niech mi konia podadzą...« Puścił się lotem wichru, spiął rumaka i przesadził najeżony las bagnetów. Książe, który chełpił się zawsze przed carem polskiem wojskiem, zachwycony tym skokiem, obiecuje ocalić Kordyanowi życie. Ale sąd wojenny skazał go na rozkaz carski na śmierć. Ułaskawienie, wyjednane przez W. księcia, nadchodzi w chwili, gdy komendant podniósł już rękę, ażeby dać hasło rozstrzelania Kordyana.

Taka jest treść dramatu. Czy Słowacki okazał się w nim zwycięskim współzawodnikiem Mickiewicza? Odpowiedź dość trudna. »Kordyan« jest bez wątpienia utworem znakomitym, nie tylko dlatego, że napisany jest prześlicznym językiem, że zawiera sceny nieporównanej piękności (cały akt III), ale i dlatego, że daje obraz znacznej części ówczesnego społeczeństwa polskiego, kochającego namiętnie ojczyznę, gotowego do poświęceń, ale nie zdolnego do męskiego, mądrze obmyślanego czynu. Na próżnoby jednak szukać w tym utworze owych myśli głębokich, które Mickiewicz zamknął w III. części »Dziadów«, napróżno tych wieszczych przeczuć, które oświetlają i wskazują drogę przyszłej Polsce. Kordyan ginie, poemat urywa się, a czytelnik doznaje smutnego wrażenia, takiego, jakie odnosi się z obcowania z człowiekiem o pięknych porywach, ale słabej woli.

Wszelako nie należy zapominać, że Kordyan, jakkolwiek tworzy dla siebie całość, miał być tylko częścią trylogii[1]) i to częścią pierwszą, że więc ostatniego słowa poeta w nim nie wyrzekł. Część druga miała kreślić obrazy powstania listopadowego, część trzecia zaś przedstawić chwile po powstaniu. Zamiaru tego poeta nie wykonał, dramatów dalszych nie stworzył. W poemacie jednak napisanym później p. t. »Anhelli« pomieścił Słowacki to, co pierwotnie przeznaczał do części trzeciej trylogii. Tam to w szeregu obrazów, pełnych niewysłowionego smutku, roztoczył przed oczyma czytelnika tragiczne dzieje wygnańców, którzy rozdarci niezgodą, pędzą żywot godzien litości, dręczą się nawzajem i giną, dopóki ostatnich z nich Bóg śmiercią nie pokarze za bluźnierstwo. Wyróżnia się z pośród nich jeden tylko Anhelli, czysty »jak lilia«, o sercu pełnem miłości i litości dla ludzi. Jego to obrał sobie Bóg za ofiarę za grzechy narodu. I on także umarł na wygnaniu, ale po jego śmierci zorza olbrzymia zajaśniała na niebie, a z zorzy tej powstał rycerz zbrojny na koniu i głosem wielkim ogłosił światu, że wybiła godzina wolności.

Podobnie więc jak Mickiewicz w »Dziadach«, jak Zaleski w »Duchu od stepu«, pragnął Słowacki w »Anhellim« spojrzeć w przyszłość narodu i dać odpowiedź na dręczące duszę jego pytania. Poemat jest przeto związany z ogólnym prądem myśli ówczesnej, jest jednym z silnych wyrazów wieszczej poezyi narodowej. A myśl, która z niego wypływa, da się streścić w słowach: przez cierpienie i ofiarę czystej, szlachetnej jednostki do wolności narodu. Zrozumiemy jednak łatwo, że prześliczny poemat zawiera myśl błędną. Polska może powstać tylko wysiłkiem wszystkich, nie zaś biernem cierpieniem jednego człowieka.

Jeszcze przed napisaniem tego utworu powstało kilka innych poematów pierwszorzędnej piękności. Wogóle niezwykle szczęśliwym dla literatury był ten okres życia poety. W duszy Juliusza rodził się pomysł po pomyśle, talent rozwijał się potężnie, wyobraźnia snuła obrazy to ponure, jak noc, to lekkie, powiewne, jak chmurki tęczowe na niebie. Obok wstrząsającego groźnemi scenami dramatu p. t. »Mazepa« pisze Słowacki przecudną pieśń miłości p. t. »W Szwajcaryi«, osnutą na wspomnieniach wycieczki w góry w towarzystwie panny Wodzińskiej, która wdziękiem swym niewieścim wzbudziła w sercu poety serdeczniejsze uczucia. Obok dramatu

[1]) Trylogią nazywali starożytni trzy dramaty, związane z sobą myślą i tworzące wspólną całość. Dziś nazywamy tak trzy utwory, ściśle z sobą związane (np. Trylogia Sienkiewicza).

(niedokończonego) p. t. »Horsztyński« powstaje urokiem baśni czarodziejskiej owiana »Balladyna« i »Lilla Weneda«.

Dwie ostatnie tragedye miały być znów, jak Kordyan, częściami większej całości, ale zakrojonej na szersze rozmiary, bo obejmującej w myśli autora sześć wielkich dramatów. W utworach tych chciał poeta odtworzyć bajeczne dzieje Polski, od chwil najdawniejszych, od zawiązków państwa polskiego, aż do czasu, w którym miejsce podań zajęły pewne wiadomości historyczne. Z zamierzonych dramatów sześciu mamy jednak tylko dwa, właśnie Lillę Wenedę i Balladynę.

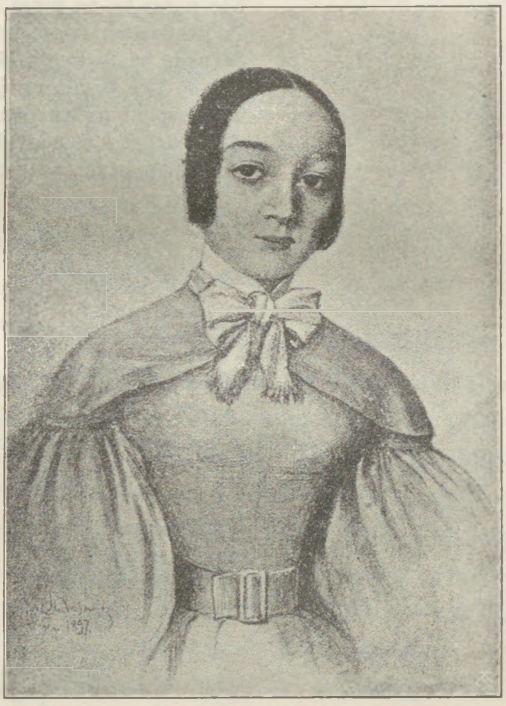

Fig. 96. Marya Wodzińska.

Lilla Weneda powstała później, niż Balladyna, później też wyszła z druku, ale że w wielkiem owem przedsięwzięciu dramatycznem miała zajmować miejsce pierwsze, lub jedno z pierwszych, zajmiemy się nią przed Balladyną, która szereg ów miała zamykać.

Któż to jest owa Lilla Weneda? To córka Derwida, króla Wenedów, plemienia osiadłego w okolicy Gopła. Krainę tego ludu łagodnego i szlachetnego, naszli Lechici pod wodzą króla Lecha, a choć ich w porównaniu z Wenedami garstka tylko, gromią plemię tubylcze, mimo rozpaczliwego oporu. Oto właśnie zastępy Wenedów poniosły wielką klęskę, a król Derwid i dwaj jego synowie Lelum i Polelum dostali się do niewoli. Wódz Lechitów, Lech, nie jest złym człowiekiem, ale ma żonę okrutną, Gwinonę, i ta kazała nieszczęsnemu Derwidowi wyłupić oczy. Zapóźno przybywa do obozu Lechitów córka królewska, Lilla Weneda, która, jako chrześcijanka już, ufając pomocy panny Najświętszej, obiecywała sobie uprosić u wrogów uwolnienie ojca i braci.

Dwie kobiety, Lilla i Gwinona, jedna o sercu gołębiem, druga — tygrysiem, spotykają się teraz z sobą.

Lilla

O! pani,
Ja przyszłam prosić za ojcem i braćmi.
Nie patrz ty na mnie srogo — ja pokorna.
Ja przyszłam twoje nogi rosić łzami,
Ja będę za to twoją sługą; będę
Płótno twe bielić, twoje krowy doić,
Twe szpaki takich nauczę wyrazów,
Że w dzień i w nocy będą dziękowały
Za moich braci, za mojego ojca.
. . . . . .

Gwinona

Za późno przyszłaś.

Lilla

O! nie mów! o! nie mów!
Ja tu leciałam jak gołąb do dzieci
. . . . . Gdzie mój ojciec?

(*Derwid* wchodzi z wyłupionemi oczyma i podnosi ręce nad Lillą Wenedą).

Derwid

Puśćcie mnie! krwią chcę ją widzieć i mózgiem.
Ona tu musi być. Tu, tu ją widzę —
O! bądź przeklęta!

Lilla

Ojcze! To ja, ojcze!

Derwid

Co? — to głos mojej córki, o! niebiosa!
Ja córki mojej nie widzę.

Lilla

Mój ojcze,
Tobie wydarto oczy! — Czy zupełnie?
Czy ty zupełnie mnie nie widzisz, ojcze?
. . . . . .
O! srodzy ludzie! o! ludzie okrutni!
Pani! ty jesteś niewinna? co — prawda?
Tego nie mogła uczynić kobieta?
Ty sama teraz cierpisz! — o! na Boga
Dajże mi teraz pani, tego starca!
. . . . . .

Derwid

Mój słowiku,
Cicho bądź! jędzy tej nie ruszaj.

Jędzą nazwał Derwid Gwinonę. Więc też okrutna ta kobieta, chcąc przypomnieć królowi-niewolnikowi, że gniew jego jest bezsilnym, odzywa się do niego

Pamiętaj, że ja mam cię zabić władzę.

Ale wówczas Lilla, jakby w natchnieniu jakiemś, zaprzecza Gwinonie, jakoby miała siłę to uczynić

Okrutna pani! nie, ty nie masz władzy!
O! nie, ty nie masz w sobie takiej władzy:
Ja ci powiadam z głębi rozdartego
Serca, że nie masz nad nim władzy żadnej.
Wymyśl trzy razy śmierć najokropniejszą,
Trzy razy wszystko wymyślisz napróżno.
Trzy razy będę ojca zbawicielką,
A ty się spłonisz, żeś taka bezsilna
Przeciw rozpaczy mojej ostatecznej.

Gwinona, pewna wygranej, przyjmuje to wyzwanie słabej dzieweczki. Cieszy się nawet, że będzie mogła dowoli znęcać się teraz nad nieszczęsnym starcem, bez oporu ze strony Lecha. Każe więc Derwida przywiązać za siwe włosy do drzewa, a własnym dzieciom mierzyć do niego z łuku. Ale na prośby Lilli, a za przyzwoleniem Lecha, jeden z synów Derwida, Polelum, zręcznym rzutem topora przecina włosy ojca i w ten sposób uwalnia go od śmierci. Lilla odniosła pierwsze zwycięstwo. Gwinona wpadła wówczas na pomysł inny. Kazała wrzucić Derwida do wieży, napełnionej wężami, ale Lilla grą na harfie tak oczarowała gadziny, że te nie rzuciły się na starca. A kiedy wreszcie z rozkazu Gwinony zamknięto nieszczęśliwego do ciemnicy, aby tam zginął z głodu, i teraz wynalazła Lilla sposób ocalenia starca: nakarmiła Derwida liliami wodnemi, z których wieniec uwity miała na czole. Gwinona musi uwolnić teraz króla Derwida, ale że syn jej Lechon dostał się właśnie do niewoli Wenedów, potrzeba jej zakładnika, któryby ręczył jej za życie syna. Zakładnikiem mogłaby być Lilla (wie bowiem Gwinona, że za jej głowę oddałby Derwid sto Lechonów), ale poręką taką mogłaby być i — harfa króla Derwida. Jakto? harfa? Tak jest, bo harfa to czarodziejska, obdarzona cudowną własnością, bo dźwięk jej strun — według proroctwa siostry Lilli, Rozy Wenedy — rozpali odwagą serca Wenedów i powiedzie ich do zwycięstwa. Nie wie o tej czarownej mocy harfy Gwinona, ale, niestety, dowiaduje się o niej, domyśla się jej z zachowania samego Derwida. Kiedy bowiem Lilla ma już odprowadzić ojca do obozu Wenedów, Derwid zatrzymuje ją zapytaniem:

Córko! a moja harfa?

Więc Lilla zwraca się z ponowną prośbą do Gwinony:

O królowo!
Widzisz mój ojciec cały drży z radości.
Aleś ty pewnie, pani, zapomniała,
Że ci nie może dziękować oczyma,
Więc ja za niego leję łzy — i jeszcze
Za ojca mego muszę być natrętną:
Ja ciebie proszę, wróć mu harfę złotą,
Którą mój ojciec miał od swego ojca;
O! wróć mu pani tę harfę! o! wróć mu.

Gwinona

Przynieście harfę, którą ja kazałam
W cedrowej skrzyni uśpić rozpłakaną.

Lilla

Ojcze, Ty harfę mieć będziesz.

Derwid

Oddała?

Gwinona (na stronie do *Lecha*)

Widziałeś, Lechu, gdy wspomniał o harfie,
To z jego powiek wybiegły czerwone
Dwie łzy, ogromne łzy — czy uważałeś?
To były straszne łzy...

Lech

I cóż kobieto?

Gwinona

Co? — nie rozumiesz... Córka albo harfa
Zostanie tutaj zakładnicą — widzisz
Ten człowiek musi wybrać między dwoma,
A ja w zakładzie wezmę rzecz wybraną:
Rozumiesz? gdyby nie te łzy czerwone,
Anibym kiedy była pomyślała,
Że tu jest wybór.

Istotnie, Derwid musi wybierać. Ciężką stacza z sobą walkę. Miłość ojcowska każe mu nie opuszczać Lilli, miłość narodu harfę wziąć z sobą. Straszliwie pasuje się w duszy, a kiedy Lilla, gotowa zawsze do poświęcenia, błaga go, aby o niej nie myślał, a wybierał to, co uszczęśliwi jego naród, on woła na wpół nieprzytomny:

Niebiosa! — córko, gdzie ty jesteś?...
Ja kocham moją córkę. O gołąbko,
Chodź i ślepego prowadź. Córko — prowadź
I wyjdźmy prędzej stąd. — Córko, a harfa?

Lilla

O? harfa skarży się, żeś ją opuścił.
(Trąca o struny).

Derwid

Harfa skarży się na mnie?

Lilla

Ojcze, jęczy.

Derwid

Jęczy! — Gdzie moja harfa? — czy to mara?
Słyszycie! harfa jęknęła, słyszycie?
O! dajcie niech ją obejmę w ramiona!
Dajcie! to córka królów rozpłakana.
(Chwyta harfę, obejmuje i ucieka z nią).
Gdzie drzwi? — rycerze, gońcie mnie z mieczami!
O! ja tej harfy nie dam — Harfy nie dam!
(Pada piersią na harfie).

To dla Gwinony dość. Zrozumiała ona, że w harfie ukryta jest jakaś moc czarnoksięska, i jako rękojmię postanowiła ją, nie Lillę zatrzymać. Lilla ma po harfę powrócić, ale z Lechonem. Niestety, Lechona zamordowali Wenedzi z zemsty, zmyleni fałszywą wieścią, że Derwid i Lilla ponieśli śmierć z ręki Lechitów. Powraca więc Lilla, po odprowadzeniu ojca do obozu Wenedów, sama po harfę, gotowa pozostać w domu straszliwej Gwinony, byle król odzyskał cudowne narzędzie. Poświęcenie szlachetnej dzieweczki idzie jednak na marne. Gwinona, rozjuszona wieścią o śmierci syna, dusi nieszczęsną Lillę, i nietylko, że nie odsyła Derwidowi harfy, ale wpada na szatański pomysł, zamyka trupa Lilli do skrzyni i każe odnieść ją do obozu Wenedów i wręczyć Derwidowi jako harfę. Tymczasem zawrzał ostatni zażarty bój między dwoma plemionami. Zbliża się chwila rozstrzygająca. Lud Wenedów z rozpaczą oczekuje dźwięków strun czarownego narzędzia i oczekuje napróżno. Po otwarciu przysłanej skrzyni, znajduje w niej Derwid zimne zwłoki Lilli..., harfy niema. Król przebija się nożem ofiarnym, Wenedzi ponoszą klęskę. W walce giną też Lelum i Polelum, ponosi śmierć i Gwinona. Nad pobojowiskiem zjawia się postać Bogarodzicy.

Idea zasadnicza dramatu jest jasna: lud Wenedów, choć liczniejszy i dorodniejszy od Lechitów, ponosi w walce z nimi klęskę, bo nie ma wiary we własne siły, nie ma wiary w przyszłość, bo zbawienia szuka w pieśni i cudzie, a nie w sile oręża. Zwycięzcami zostają Lechici-karły, ale ufni

w potęgę miecza. Bolesna to prawda, a miała ona być jakby przestrogą dla Polaków i jakby wytłumaczeniem naszego upadku.

To też dramat ten, potężny sam w sobie, bo kreślący los tragiczny, nie jednostki już, ale narodu całego, musi poruszyć szczególnie serca polskie, boć Wenedzi to właśnie obraz Polaków. Myśmy przeżyli te wszystkie męki konania i w chwili, gdy nam się ziemia z pod nóg usuwała, szukaliśmy ratunku w cudzie i ginęliśmy, jak zginął lud Wenedów. Ale z poematu, o myśli na pozór rozpaczliwej, bije potężny głos i wezwanie: Krzepcie się i miejcie wiarę we własną moc, bo zwyciężają tylko silni i ufni.

Ponurej tragedyi nadaje dziwnego uroku prześliczna postać Lilli Wenedy. Nieszczęśliwa córka królewska czaruje nas po prostu swą tkliwością niewieścią, ogromem miłości rodzinnej, zdolnością do poświęcenia bez granic. Jedna to z najszlachetniejszych postaci kobiecych nietylko w literaturze polskiej, ale w ogólnej światowej.

Lilla Weneda miała być, jak przypominamy sobie, pierwszym z sześciu dramatów kreślących dzieje bajeczne Polski. Dlaczego pierwszym? Oto dlatego, że poeta chciał w nim przedstawić p o w s t a n i e państwa polskiego, idąc za przypuszczeniem niektórych uczonych, że plemię obce podbiło lud polski, narzuciło mu się na przewodników, ale potem przejęło od niego mowę, a w późniejszych dziejach występowało jako szlachta polska. Lechici więc mają tu wyobrażać tych właśnie zaborców, późniejszą szlachtę. Dodajmy jednak, że przypuszczenie, jakoby szlachta polska była potomstwem najeźdźców i jakoby państwo polskie powstało w drodze podboju, liczy wśród uczonych coraz mniej zwolenników.

Szereg sześciu dramatów miała zamykać »B a l l a d y n a«. W dramacie tym, mającym pozory historyczności, bardzo jednak wiele zmyśleń i fantazyi. Już sam wątek treści wziął poeta z świata baśni, osnuł bowiem tragedyę na podaniach i pieśniach ludowych i odzwierciedlających te podania balladach: Mickiewicza »Liliach« i Chodźki »Malinach«. Pomysł zaś wprowadzenia »Świata duchów«, które odgrywają w utworze tym ważną rolę, przejął poeta z przecudnego dramatu Szekspira »Sen nocy letniej«. Oczywiście duchy owe, wpływające na przebieg zdarzeń w poemacie, przenoszą myśl czytelnika również w świat fantazyi i to bardziej nawet, niż opowieść o złej dziewczynie, która zabiła swą siostrę. Ową złą dziewczynę wiejską, morderczynię siostry, nazwał poeta Balladyną. Jeszcze ona nic złego nie popełniła, jeszcze zbrodnia jej nie plami, a czytelnik odwraca się już od niej z niechęcią, z rozmowy jej bowiem z matką sta-

ruszką, poznaje w niej brak serca. Nie dostrzegł tego parobczak wiejski, Grabiec, może dlatego, że rozumu nie ma za wiele, i zakochał się w niej na dobre. Ale ta miłość Grabca wchodzi w drogę uczuciom rusałki Goplany, królowej jezior, bo ona — choć istota nadziemska — pokochała namiętnie wieśniaka Grabca, a wzajemności nie doznaje niestety. Bierze się tedy na sposób. Wysyła posłusznego sobie ducha Skierkę, by w czarodziejski sposób nakłonić rycerza Kirkora do poślubienia Balladyny — pragnie bowiem usunąć rywalkę swoją z przed oczu Grabca. Ale Skierka nie dobrze spełnia polecenie, gdyż Kirkor wskutek jego czarów uczuwa jednaką miłość ku obu córkom ubogiej wdowy: Balladynie i Alinie. Wybór trudny, rycerz się waha, więc Skierka chcąc naprawić błąd popełniony, śpiewa niewidzialny do ucha wdowy:

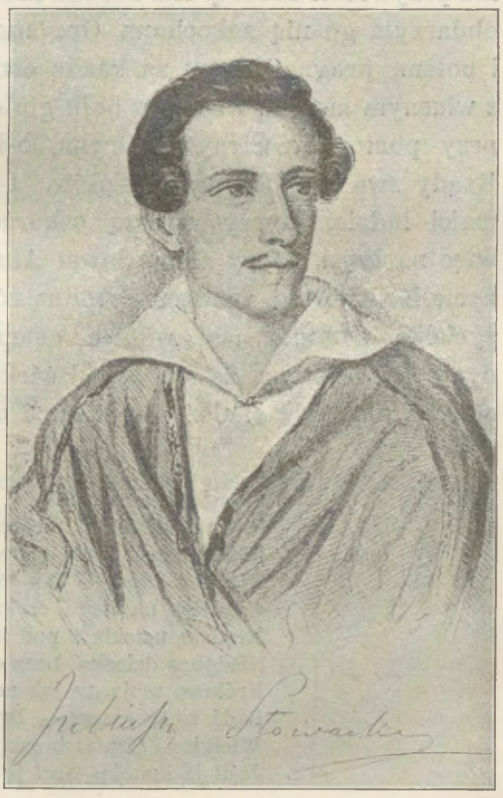

Fig. 97. Portret Słowackiego.

Matko, w lesie są maliny,
Niechaj idą w las dziewczyny,
Która więcej malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze.

Wdowa idzie za tym głosem i radą, a gdy i Kirkor na plan jej się zgadza, wysyła istotnie obie córki do lasu z dzbanami na maliny. I tutaj to w borze, uniesiona szałem zazdrości Balladyna, pragnąc koniecznie sama zostać żoną rycerza, wbija nóż w piersi siostry. Kłamie potem przed matką, że Alina uciekła z kimś z wioski, zawodzi obłudne żale i rękę, splamioną krwią siostry, ozdabia pierścieniem ślubnym. Zostaje żoną Kirkora. Ale teraz dopiero objawia się w całej nagości ohydna dusza tej kobiety. Ledwie osiadła w swym zamku, ledwie pożegnała męża, który musiał odjechać w ważnych sprawach wojennych, już wdaje się w karygodne stosunki z dowódcą straży pałacowej Kostrynem, już matkę swą zwie mamką, a potem zamyka ją w wieży o głodzie, a potem wypędza precz na słotę i burzę.

Pustelnika, któremu się zwierzyła z zabójstwem siostry, szukając u niego rady na krwawą plamę na czole, każe zabić, aby nie było nikogo, ktoby o zbrodni jej wiedział. Nie wiedziała tylko, że czynem tym popełnia zbrodnię podwójną, bo pustelnik ów był prawym królem Polski, strąconym z tronu Popielem III., i w jego to sprawie walczył rycerz Kirkor, chcąc mu przywrócić koronę. Ale korona królewska znalazła się na głowie Grabca, obdarzyła go nią zakochana Goplana — więc Balladyna i Grabca zabija i potem, pragnąc tronu za każdą cenę, staje na czele zastępów do walki z własnym mężem. Kirkor w boju ginie, a Balladyna, pozbywszy się jeszcze przy pomocy trucizny Kostryna, osiada wreszcie na tronie królewskim. Rządy swe rozpoczyna od sądów. I oto przed królową zjawiają się rozmaici ludzie, którzy wnoszą oskarżenia na niewiadomych zbrodniarzy: więc na łotra, który zamordował Alinę, więc na truciciela, który wydarł życie Kostrynowi, więc na wyrodną córkę, która matkę wygnała. Tą oskarżycielką ostatnią jest wdowa oślepła — właśnie sama matka Balladyny. Nie wie ona, że stoi przed córką, a skargę zanosi, nie, żeby pomsty szukać, ale żeby znaleźć litość choć u obcych.

Na dzieci
Skargę zanoszę. Mówią, że królowa
Piękna jak Anioł, niechaj ona sądzi...
Miałam dwie córki stara, biedna wdowa,
Żywiłam obie. — Jak to często błądzi
Człowiek na ziemi, czekając pociechy —
Młodsza uciekła z pod matczynej strzechy,
Niedobre dziecko. Lecz druga! — o Boże! —
Królowo moja, ty jak anioł biała,
Sądź że ty sama! — Druga poszła w łoże
Wielkiego Grafa: bogdajbym skonała,
Jeśli ja kłamię; Graf ją wziął za żonę.
. . . . . .
Aż tu mnie jednej nocy te córczysko
W obliczu ludzi zaparło się głośno...
A! córko, mówię, bądźże ty litośną
Dla starej matki, co już blizka truny.
Była noc straszna i deszcz i pioruny,
Pioruny i deszcz i ciemno i burza,
Córka kazała wypędzić z podwórza
Mnie starą matkę na wichry i deszcze,
W noc i w pioruny i w burze i jeszcze
Głodną kazała — Niech jej Pan Bóg Stwórca
Przebaczy! — Głodną wypędzić z podwórza,
Do lasu... Wiatr mię poniósł za łachmany,
Piorun wypalił oczy. O! różany
Mój królu! złoty mój panie! litości!

Kanclerz

Pani, ty milczysz? Takiej nieprawości
Mszczą się okropnie nasze mądre prawa.

Balladyna

Przecież nie śmiercią.

Kanclerz

Lechitów ustawa
Śmierć przypisuje na niewdzięczne dzieci.
A ty staruszko, nazwij po imieniu
Wyrodną córkę, a kat ją ukarze...

Wdowa

Co? śmierć na córkę?... Panie, bądź mi zdrowy.
Żegnaj królowo, ja wracam do boru,
Będę żyć rosą...

Kanclerz

Podług ustaw toru
Kto zaniósł skargę, odstąpić nie może.
Wyznaj...

Wdowa

Nie! Nie! Nie!

Więc nieszczęśliwą, oślepłą staruszkę wzięto na tortury, ale i pod wpływem mąk matka nie wydała imienia wyrodnej córki.

Umarła cicho... A na suchej twarzy
Dwa wykopała dołki śmierć kościana
I w obu dołkach stoją łzy.

Balladyna

Od rana
Siedzę na sądach, a żaden z nędzarzy
Tak nie pracuje długo i tak znojnie.
Już noc panowie.

Kanclerz

Nie... to czarna chmura
Wisi nad zamkiem. Poradź się spokojnie
Twego sumienia, czego warta córa,
Dla której matka taką śmiercią kona?

Balladyna

Wy ją osądźcie.

Kanclerz

Niech twoja korona
Przybierze blasku sądom sprawiedliwym.
Ona zaprawdę winna ogniem żywym
Być obrócona na węgiel piekielny.
Osądź ją...

Wszyscy

Osądź.

Kanclerz

Jak Bóg nieśmiertelny
Winna jest sądu.

Wszyscy

Pociąć ją na ćwierci.

Kanclerz

Radź się sumienia i sądź.

Balladyna (po długiem milczeniu)

Winna śmierci!

(Piorun spada i zabija królowę — wszyscy przerażeni).

Kanclerz

Król-kobieta piorunem Boskim zastrzelony,
Zamiast w koronacyjne bić w pogrzebu dzwony...

Same niebiosa ukarały zbrodniarkę.

Jak widzimy, główną osnowę dramatu stanowi szereg zbrodni popełnionych przez Balladynę. Po pierwszej następuje druga, z niej wypływa trzecia i tak dalej, aż wreszcie Balladyna przekształca się w jakiegoś potwora, któregoby darmo szukać na ziemi, tem bardziej, że wszystkie łotrostwa spełnia bez walki wewnętrznej, z zupełnie z zimną krwią.

Największą ozdobą poematu jest świat fantastyczny: Goplana, Skierka, Chochlik. Takie to postaci lekkie, powiewne, jakby istotnie z mgły i barw tęczy utkane, taki język ich przecudny, pełen poezyi najczystszej, że owładają one całkowicie naszą wyobraźnią i przemawiają do nas silniej, niż pierwowzory ich w »Śnie nocy letniej« Szekspira. Oto n. p. scena z aktu pierwszego, w których poznajemy zwinnego Skierkę i leniwego Chochlika.

Skierka

Gdzie jest Goplana, nasza królowa?

Chochlik

Śpi jeszcze w Gople.

Skierka

I woń sosnowa,
I woń wiosenna nie obudziła
Królowej naszej! woń taka miła!
Czyliż nie słyszy, jak skrzydełkami
Czarne jaskółki biją w jezioro,
Tak, że się całe zwierciadło plami
W tysiące krążków.

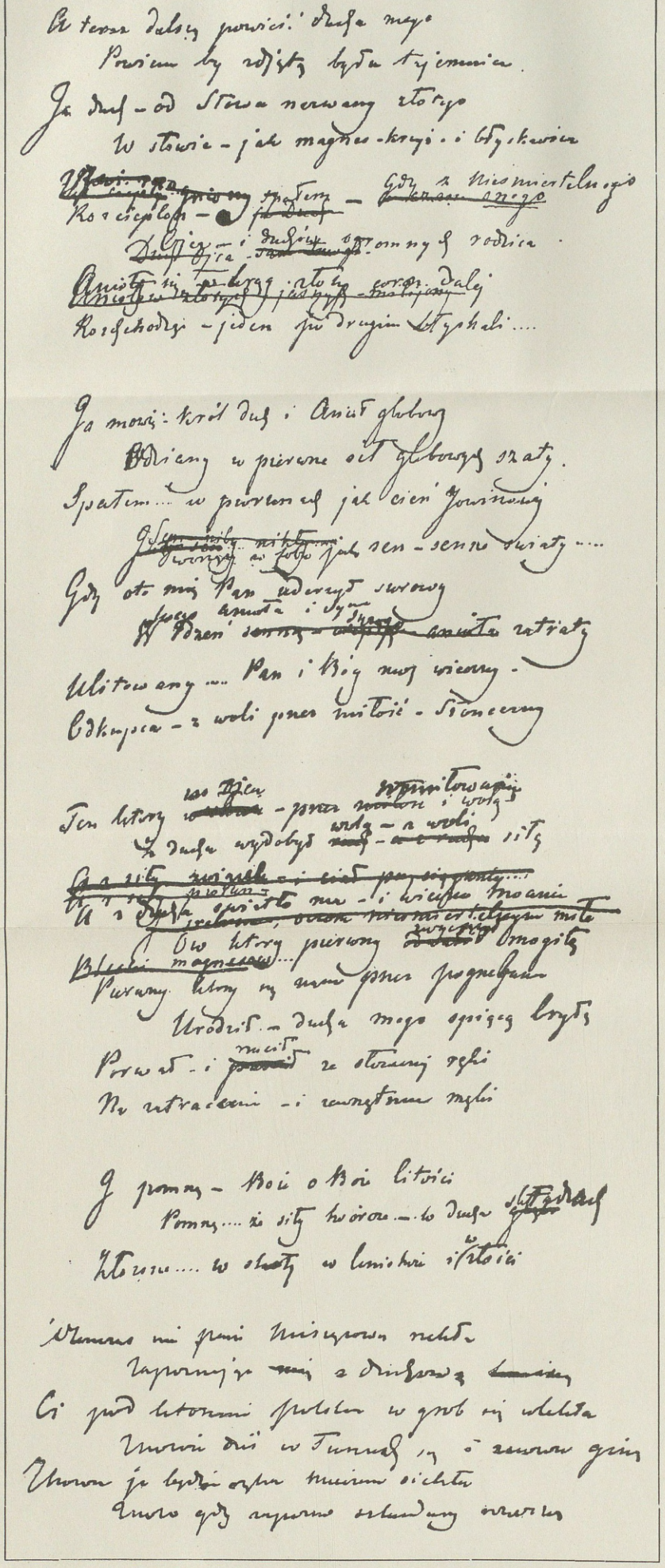

Fig. 98. Rękopis »Króla Ducha«.

Chochlik

Za nadto skoro
Zbudzi się jędza, i będzie
Do pracy nas zaprzęgać! To w puste żołędzie
Wkładać jaja motylic — to pomagać mrówkom
Budującym stolice, i drogi umiatać
Do mrowiska wiodące... to majowym krówkom
Rozwiązywać pancerze, aby mogły latać
. . . . . .
Pracuj, jak koń pogański, pracuj całe lato,
A zimą śpij u chłopa za brudnym przypieckiem,
Między garnkami, babą szczerbatą i dzieckiem.

Skierka

Ach! patrz! na słońca promyku
Wytryska z wody Goplana;
Jak powiewny liść ajeru,
Lekko wiatrem kołysana;
Jak łabędź, kiedy rozwinie
Uśnieżony żagiel steru,
Kołysze się — waha — płynie
. . . . . .
Ach czarowna! któż odgadnie
Czy się trzyma fal obrączki?
Czy się na powietrzu kładnie?
Czy dłonią na kwiatach się wiesza?

Chochlik

Radzę ci uciekajmy, mój Skierko kochany,
Wiedźma gotowa zaraz nową pracę zadać.
Albo obracać młyny, skąd woda uciekła
Biednemu młynarzowi, lub każe spowiadać
Leniwego szerszenia, nim pójdzie do piekła
Za kradzież słodkich miodów... lub malować pawie.

Skierka

Więc uciekaj... ja się bawię...

Gdy czytamy te wiersze, dźwięczne, jak słodkie brzmienie muzyki, zdaje nam się istotnie, że bawimy w jakiejś czarownej, zalanej złotymi blaskami słońca krainie, a Chochlik i Skierka przestają być zjawiskiem niespodziewanem.

To też z prawdziwym żalem żegna czytelnik przy końcu dramatu królowę Gopła i jej towarzyszy, kiedy ulatują z kluczem żórawi na północ. Odlot tych istot fantastycznych ma prawdopodobnie oznaczać, że odtąd miejsce baśni zajmuje w dziejach Polski prawda historyczna. Dzieje bajeczne się skończyły.

Plon poetycki z czasów pobytu Słowackiego w Szwajcaryi był, jak

widzimy, bardzo obfity. Jeszcze silniej miała pobudzić twórczość poety daleka podróż, o której marzył od dawna, a którą odbył teraz istotnie. Zwiedził Włochy i Rzym (zawarł tam znajomość z Zygmuntem Krasińskim), z Włoch podążył do Grecyi, a stamtąd popłynął okrętem do Afryki, do Aleksandryi. Na morzu, dręczony tęsknotą za ojczyzną, której już tyle lat nie oglądał, napisał przecudny »Hymn o zachodzie słońca«.

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski,
Choć wiem, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!
Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Przybywszy do Afryki, podążył na łódce po Nilu do Kairu, zrobił wycieczkę do piramid, a potem puścił się na wielbłądzie w podróż ku Palestynie. W El-Arish odbył dwunastodniową kwarantannę, poczem udał się do Jerozolimy i tu spędził noc na modlitwie u grobu Chrystusa. Po zwiedzeniu Ziemi świętej wrócił w kwietniu 1838. do Włoch i zamieszkał tu we Florencyi. Z końcem roku był już w Paryżu.

Z licznych poematów, większych i mniejszych, które powstały w okresie podróży, jednym z najpiękniejszym jest »Ojciec zadżumionych«. Wspomnieliśmy właśnie, że w pobliżu miasteczka El-Arish musiał Słowacki odbyć dwunastodniową kwarantannę. Przed namiotami jego widniał las palmowy, w stronie północnej szumiało morze Śródziemne, a na wydmach piaszczystych błyszczał grobowiec Szecha, w którym grzebano zmarłych na dżumę. W wigilię Bożego Narodzenia rozszalała się straszliwa burza pustynna, rwała płótna namiotu, huczała krwawymi piorunami. Wszystkie te obrazy przyrody, to pełne bezmiernego smutku, to grozą przejmujące, działały niezwykle silnie na wrażliwą wyobraźnię Słowackiego. Gdy zaś w czasie kwarantanny zjawił się pewien lekarz i opowiedział poecie, jak w tem samem miejscu nieszczęśliwy jakiś podróżnik stracił na dżumę rodzinę całą i pozostał sam jeden na świecie, poeta miał już gotowy pomysł poematu.

Osobą opowiadającą uczynił Słowacki nieszczęsnego ojca.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona —
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A wieczór — wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona z synaczkiem przy piersiach warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam, gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha —
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha.
A ja samotny wracam!...

Straszliwa też boleść szarpie pierś nieszczęśliwego. Wszak tak niedawno to jeszcze, jak wielbłądy jego leżały pod namiotem, a

Dziecko jak mały aniołek w obrazku
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie...

Wszystko oddychało szczęściem i spokojem. Aż nagle najstarszy syn wypiwszy wodę z dzbanka spragnionemi usty, powalił się u nóg najmłodszej siostry, »jak palma złamana«. Ratunek był za późny. Trupa porwała straż, a zdrętwiałej z przerażenia i bolu rodzinie wyznaczono nowych dni czterdzieści kwarantanny.

Tej samej nocy umarły dwie dorosłe córki, Hafne i Amina, i rankiem wywleczono je, sine, jak żelazo z namiotu.

Widzisz to słońce w niebie lazurowem?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą,
Zawsze to niebo niesplamione chmurą:
A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,
Że słońce słońcu nierówne złotemu
I już nie takie, jakie było wczora,
Ale podobne do słońca-upiora.
A niebo, które patrzało na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
Tak mi się mgliste zdawało i grube
Ziemi wyziewem i słońca purpurą,
Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

Ale dziesięć dni przeszło, a śmierć nie nawiedziła ponownie namiotu. Otucha poczęła wstępować w serce biednego Araba. Nie wierzył, by Bóg, zabrawszy mu troje dzieci, miał go pozbawić całej rodziny.

O! była to więc piekielna godzina,
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna,
Śmierć zobaczyłem...

Najpierw drobny znak wystąpił na twarzy, potem dziecko poczęło to rumienić się, to blednąć, a potem krocie plam żelaznych pojawiły się na ciałku. Śmierć przyszła po nową ofiarę — dziecko zmarło, a Arabowi naznaczono nowych dni czterdzieści.

Tyle bezpośrednio po sobie doznanych ciosów obezwładniło uczucia nieszczęsnego ojca, boleść była już dla niego chlebem powszednim, niech Bóg wszystko bierze — mówił do siebie nawpół nieprzytomnie. I zabrał mu Bóg średniego synka, a ani jedna łza nie zwilżyła powiek Araba. Z trwogą najwyższą myślał on teraz o córce tylko, o najukochańszem, najlepszem swem dziecku, o Hatfe swej drogiej.

Ach! ona była domu mego panią!
Ona, jak jaśni anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołyseczce strzegła
I, gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
I wszystkie nasze opłakała ciosy
I wszystkie nasze łzy — wzięła na włosy.

Dziesięć dni wreszcie minęło, śmierć mogła już »na gwiazdy odlecieć«, nadzieja wstąpiła ponownie w piersi rodziców. A potem minęły jeszcze trzy tygodnie.

We śnie obaczył wówczas Arab dwie zmarłe swe córy, Hafne i Aminę, jak szły, trzymając się za ręce, i schylały się nad łożem matki, nad kołyską dziecka, aż wreszcie obie położyły sine swe ręce na śpiącą Hatfe. Zbudził się przerażony śmiertelnie z dzikim okrzykiem na ustach i przekonał się... że Hatfe jego żyje...

Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
Córka!!! Lecz na co z boleścią się szerzyć?
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna najstraszniejsza chwila:
Kiedy ją bole targały zabójcze,
Wołała: ratuj mię, ratuj, mój ojcze!
I miała wtenczas czerwone usteczka,
Jak młoda róża, kiedy się rozchyla.

I tak umarła ta moja dzieweczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci;
A piękna była, jak anioł, po śmierci.

Rozpacz wżarła się teraz jak upiór w serce Araba. Złociste piaski pustynne wydawały mu się równiną piekielną, świat cały zmienił się w jego oczach. A jakby na urągowisko muezyn obwieszczał co wieczora nieszczęsnym mieszkańcom namiotu — wielkość Boga. Więc bluźnierstwo dobywa się z piersi Araba.

O! bądźże mi Ty pochwalony Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
Zarazą, która dzieci me wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki.
O Allach! Akbar Allach! jesteś wielki!

Ludzie poczęli stronić od tkniętego zarazą namiotu, a nawet ptaszyny, które przedtem zbiegały się do okruchów jadła, uleciały hen gdzieś daleko.

W namiocie było już troje tylko z licznej rodziny, ojciec matka i niemowlę. Lecz Allach, jakby nie znał już zupełnie litości, zabrał rodzicom i to ostatnie dzieciątko.

I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze i moje ostatnie!!!
Śmierć mi je czarna wzięła nielitośnie
I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już obaczy!
I już nie wróci nigdy — o rozpaczy!!!

A po dziecku przyszła kolej na matkę. Przed śmiercią przyznała się nieboga, że chcąc zachować jakąś pamiątkę po dziecinie, odgrzebała mogiłkę o północy, wyjęła stamtąd obrazek i ucięła pukielek włosków maleństwu, a potem ucałowała je w różowe jeszcze usteczka. Ten pocałunek zabił nieszczęsną. Arab pozostał sam na świecie...

Przed oczyma jego przesuwały się ciągle »sine, okropne lica« jego rodziny, zdawało mu się, że rozmawia z swemi dziećmi, a z tych śnień obłędnych budziły go tylko wycia hyen nad trumnami po nocach.

Stałem się wreszcie, jak wąż, gdy ochłodnie.
I przechodziły mi dnie i tygodnie
Bez żadnych bolów, pamiątek, omamień.
Stałem się twardy i zimny jak kamień.

Groźny to stan, bo zazwyczaj jest zwiastunem i zapowiedzią szaleństwa. Ale z pogromu tego miał wyjść Arab ze zmysłami zdrowymi. Przypadek wywołał przesilenie.

Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda;
I ach! nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozpłakałem się jak dziecko — głośno.

Ten płacz był dla nieszczęsnego zbawieniem. A może byłby wolał zmysły postradać, bo i cóż mu z tej wolności, którą go po czterdziestu dniach obdarzono.

O! gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy
Będę wyrywał koły i powrozy,
Które — o Boże wiekuisty, świeć mi! —
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.

A teraz?... Teraz sam, sam jeden... Ach nie sam, bo z żalem, ze zgryzotą, z cierpieniem bezdennem. Bóg tylko mu pozostał, jako ucieczka ostateczna, a jako wybawienie — droga życia, wiodąca — na cmentarz.

Od czasu »Trenów« Kochanowskiego mimo mnóstwa poematów, w których rozmaici autorowie opłakiwali zgon drogich im osób, nie było w literaturze polskiej tak silnego wyrazu bolu rodzicielskiego. A co doprawdy dziwne, to fakt oczywisty, że Słowacki, pisząc »Ojca zadżumionych«, sam podobnych katuszy, jak on Arab, nie przeszedł, że więc prześcignął innych poetów, chociaż musiał mocą wyobraźni dopiero przenosić się w duszę złamanego bolem człowieka. Inni opiewali to, co sami przeżyli, a jednak ból ich jest raczej narzekaniem, a rozpacz robi wrażenie sztucznych okrzyków, pełnych przesady. U Słowackiego jest prawda, prawda najwyższa.

Ale i inne niepospolite zalety posiada poemat. Mimo, że przedstawia tyle zgonów bezpośrednio po sobie, nie nuży, nie męczy, owszem podbija wyobraźnię czytelnika nadzwyczajną rozmaitością obrazów. To już zasługa artyzmu poety. Po śmierci pierwszego syna i nagłego skonu dwóch córek, każe on dotkniętemu ciosem ojcu odrętwieć z bolu, a potem lękać się tylko przyszłości. Po śmierci najmłodszego syna wybucha już Arab skargami głośnemi, »oby nie umarł — woła — lub się był nie rodził!«. Ale gdy mu to dziecko zagrzebano w mogile, z nadmiaru bolu obojętnieje na czas jakiś i mówi niebaczny »niech Bóg wszystko bierze«. Dopiero śmierć najulubieńszej córki wprawia go w szał rozpaczy, popycha do bluźnierstwa, do szydzenia z dobroci Bożej. Potem zaś krwawi się jego serce po dwakroć jeszcze, po śmierci i dziecka najmłodszego i żony, ale wybu-

chy żalu nie przechodzą już jednak w rozpacz. A potem nadchodzi rezygnacya, dusza Araba kamienieje, staje się nieczułą na wszystko, dopóki płacz głośny nie obudzi jej z tego stanu. Co za ogromna skala uczuć, w jak rozmaitych przejawach odsłania się nam ból rodzicielski. I to właśnie nadaje poematowi ową rozmaitość, o której wspomnieliśmy. Ale poeta wydobywa ją przy pomocy innych także środków. Jak Kochanowski, ustępy opisowe przeplata z uczuciowymi, naturę zaś przedstawia w coraz to innem oświetleniu i barwach, każąc jej zmieniać się stosownie do uczuć, jakie podnoszą się w piersi cierpiącego. Nic dziwnego! Wszak to sam Arab opisuje tę naturę, a któż nie wie, że ten sam obraz przyrody inaczej przedstawia się nam w chwili szczęścia, inaczej, gdy nas ból gniecie. Słowacki kreśli te obrazy przyrody płomiennym, przecudnym językiem.

»Ojciec Zadżumionych« jest jednem z wielkich arcydzieł naszej literatury.

Inne poematy, stworzone w okresie podróży, nie stoją już na tej wyżynie: ani »Wacław«, który miał być dalszym ciągiem Maryi Malczewskiego, ani »Poemat Piasta Dantyszka o piekle«, w którym poeta nakreślił obraz mąk piekielnych, jakich doznają zdrajcy i katy ojczyzny. Natomiast wyróżnia się utwór »Grób Agannemnona« — przez silne, podniosłe uczucie patryotyczne.

Z dzieł, napisanych po powrocie do Paryża, oprócz znanej nam już Lilli Wenedy, zasługuje na uwagę nieukończony poemat p. t. »Beniowski«. Na tle dziejów konfederacyi barskiej rozsnuł tu poeta prześliczną opowieść o miłości ubogiego szlachcica, Beniowskiego, ku córce starosty A-wicza, Anieli. Wszelako nie ten wątek jest głównym celem poematu, albowiem na plan pierwszy wysuwają się w nim osobiste sprawy i stosunki poety. Słowacki schłostał w utworze tym znienawidzonych krytyków i dziennikarzy, a nie oszczędzał osób, czcigodnych zresztą, ale poecie niemiłych, pomiędzy nimi i Mickiewicza. Docinki te i uwagi, częstokroć bardzo zjadliwe, mogą nam się nie podobać, świadczą jednak bądź co bądź o mistrzostwie pióra poety także i w zakresie satyry.

Wiele pierwiastku satyrycznego tkwi w innym również utworze Słowackiego z tego okresu twórczości, w dramacie »Niepoprawni«. Niestety, utwór to niewykończony. Wydano go, podobnie jak i inny dramat »Beatrix Cenci«, po śmierci poety.

W roku 1842. przystąpił Słowacki do sekty Towiańskiego. Fakt ten wywarł na Juliusza wpływ ogromny, a zaznaczył się wybitnie w dwóch

kierunkach. W usposobieniu poety zaszła zmiana bardzo korzystna: duma, żądza sławy znikły, Słowacki stał się pokornym i cichym, wyrzekł się próżności, a szczęścia szukał w wierze i w modlitwie. Pogodził się z Mickiewiczem, dawne niechęci i uprzedzenia wygasły w nim zupełnie. Twórczość jednak poety ucierpiała, przynajmniej w pierwszych latach po przystąpieniu do sekty. Wierząc w bezpośrednie obcowanie duchów z istotami ludzkiemi, brał wszelkie pomysły, rodzące się w jego głowie, za ich głos, za ich natchnienie, to też wyobraźnia i przedtem już bardzo bujna, pozbawiona teraz koniecznego hamulca: rozumu, rozkiełzała się i wydała płody, świadczące o rozprzężeniu talentu. Do takich utworów należą n. p. »Ksiądz Marek« i »Sen srebrny Salomei«.

Po jakimś czasie jednak objawiło się korzystne przesilenie. Poeta nie porzucił wprawdzie nauki Towiańskiego, ale zrównoważywszy porywy natchnienia rozwagą, starał się przy pomocy zasad Towianizmu i własnych wierzeń wytłumaczyć najtajniejsze zagadki bytu narodowego. I z takiego to usposobienia duchowego i potrzeb duchowych wyrósł poemat potężny »Król Duch«, nie doprowadzony do końca, ale odsłaniający w tem już, co jest, śmiałą i niepospolitą myśl autora. Słowacki wierzył w wędrówkę dusz, w przechodzenie duszy z jednego ciała w drugie i na tej wierze wsparty, postanowił przedstawić Króla-ducha narodu, jak ten wcielając się w rozmaite postaci, wiódł naród polski po drodze wzlotów i upadków. Ogromna szkoda, że utwór ten nie ukończony, odznacza się on bowiem niepospolitą siłą, wielkim artyzmem, a przedewszystkiem zadziwia myślą o potędze jednostki ludzkiej. Dziś też coraz częściej słyszy się zdanie, że »Król Duch« to najgenialniejszy utwór wielkiego poety. Jeszcze na łożu śmierci dyktował Słowacki wiersze tego poematu, a przestał o nim myśleć dopiero w dniu zgonu (3 kwietnia 1849).

Choroba piersiowa zabrała go literaturze w sile wieku, w czterdziestym roku życia, w chwili, gdy talent jego odzyskał równowagę i poeta począł wstępować na najwyższe szczyty.

A była to zdolność twórcza zupełnie niepospolita. Znamieniem jej najwybitniejszem była wyobraźnia lotna i bujna, jak u żadnego z naszych poetów. Wyobraźnia ta umykała chętnie z świata rzeczywistego, którym gardziła, a mknęła w krainy świetlane, wymarzone, piękniejsze. To też kiedy Mickiewicz genialnie rzeczywistość odtwarzał, Słowacki ją przedziwnie pięknie przetwarzał. W parze z tą wyobraźnią o królewskiej mocy szła uczuciowość miękka, o wrażliwości niezwykłej, zdolna do wy-

śpiewania wszystkich tęsknot duszy, wszystkich czarów przyrody. Brakło tylko duszy Słowackiego trzeciego czynnika, który Mickiewiczowi oddał berło królewskie w poezyi: zdolności do chłodnej, trzeźwej rozwagi artystycznej. Wszystkie natomiast niemal poematy Juliusza olśniewają przepięknym wprost językiem. Prawdziwy to władca mowy polskiej! Rządzi on nią, jak pan samowładny, a ona posłuszna jest każdemu jego skinieniu. Mistrz to nad mistrze! Dał nam istotnie to, co dać pragnął, kiedy wołał:

Chodzi mi to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga nimfy miętki,
A czasem piękny jak Aniołów mowa...
. . . . . .

Widzieliśmy, że poezya po roku 1830. zmieniła zasadniczo swój charakter. Z patryotycznej, jaką była za czasów Księstwa warszawskiego i później, stała się wieszczą, starała się odgadnąć przyszłość Polski. Po roku 1830. wychodzą »Dziady« (część III), »Duch od stepu«, »Anhelli«, że wymienimy tylko najważniejsze z tego zakresu poematy; we wszystkich celem głównym jest odpowiedź na pytanie, czy Polska obudzi się do nowego życia i jaką drogą należy jej kroczyć, aby dzień zmartwychwstania przybliżyć. Nikt jednakże tak jasno i wymownie onej drogi nie wskazał, nikt tak niezbicie konieczności zmartwychwstania Polski nie udowodnił, jak trzeci z wielkiej trójcy poetyckiej

Zygmunt Krasiński.

Niepospolite zdolności objawiły się już w wątłem ciele dziecięcem, a zdolności te mogły się szczęśliwie rozwijać wskutek korzystnych warunków wychowania, Zygmunt bowiem (ur. 1812.) pochodził z rodziny zamożnej, ojciec był hrabią i generałem polskim, matka z domu ks. Radziwiłłówna. Wcześnie też objawiła się i zdolność tworzenia: w piętnastym roku życia napisał Krasiński pierwszą większą powieść, w siedmnastym zaś drugą (»Władysław Herman i jego dwór«). Obie osnute były na tle historycznem i utworzone na wzór powieści angielskiego pisarza Walter-Scotta.

Chwile uniwersyteckie, które każdemu nasuwają zazwyczaj wspo-

mnienia najmilsze, smutnie zapisały się w umyśle młodego poety. Niesłusznie przez kolegów zelżony, skrzywdzony, musiał opuścić ojczyznę i z woli ojca przenieść się do Szwajcaryi, ażeby dalsze studya odbywać w Genewie. Tu pisał dalej powieści i powiastki, ale pod wpływem Mickiewicza, z którym zetknął się w r. 1830., doszedł do przekonania, że szumność i przesada nie tworzą poezyi, ale prawda i tylko prawda. Na zwrot w twórczości wpłynął niebawem także wypadek inny, nierównie ważniejszy, a niesłychanie bolesny. W Rzymie, w którym bawił chwilowo, doszła go wieść o wybuchu powstania. Ośmnastoletni młodzieniec o duszy gorącej, miłością ojczyzny przejętej, rwał się, chciał jechać, walczyć — ojciec surowo w listach zabraniał. Cierpienia Zygmunta dochodziły do szaleństwa... Na domiar złego ojciec, nie licząc się zupełnie z uczuciami syna, kazał mu po upadku powstania przyjeżdżać do Warszawy, a potem zabrał go z sobą do Petersburga, by tam przedstawić go jako wiernego poddanego carowi Mikołajowi. Nietrudno sobie wyobrazić, przez jakie piekło udręczeń przeszła wówczas szlachetna dusza poety! Skutek podróży był jednak błogosławiony, w Petersburgu bowiem powstał pomysł jednego z najpiękniejszych poematów Krasińskiego. Ten poemat to — »Irydyon«.

Kogo oznacza to imię? Irydyon było mianem Greka, w którego rodzie od pokoleń już gorzała nienawiść ku zaborcy szczęśliwej ongiś Grecyi — rozbójniczemu Rzymowi. Ale nie pora była na zemstę, bo Rzym stał jeszcze potężny, gotów każdej chwili zgnieść powstanie i ugasić je krwią tych, co śmieliby podnieść rękę przeciw panu świata. Dopiero za cezarów poczęła chwiać się dawna potęga olbrzyma. Za Heliogabala rozszalała się już rozpusta, zniewieściały dusze potomków wielkich wojowników, a największym z rozpustników i najdzikszym z szaleńców był sam cezar. Teraz to postanowił Irydyon przystąpić do wykonania planu swoich przodków. Sprzysiągł się z niewolnikami, których w Rzymie liczono na tysiące, z niezadowolonym motłochem, z wszystkimi uciemiężonymi, a wszyscy przysięgli słuchać go ślepo. Na przeszkodzie stoją Irydyonowi dwa jeszcze obozy: chrześcijanie i garść Rzymian zachowujących starodawne, uczciwe zwyczaje. Do ostatnich należy Aleksander Sewerus, siostrzeniec Heliogabala, upatrzony przez niektórych na następcę niedołężnego cezara.

Irydyonowi zależy głównie na chrześcijanach przez wzgląd na znaczną ich ilość. Ażeby ich pozyskać, przyjmuje chrzest, ażeby zaś mieć w gronie chrześcijan kogoś, ktoby ciągle ich pobudzał do czynu i rozpraszał ich wątpliwości, rozbudza namiętną miłość w sercu najświętszej z chrze-

ścijanek Kornelii Metelli i pozyskuje ją zupełnie dla swego planu: zemsty nad Rzymem. Czyni to, idąc za podszeptem Masynissy, starca numidyjskiego, którego on sam uważa za swego przyjaciela, a który jest wcielonym szatanem.

Do wybuchu wszystko już przygotowane. Wypadki same ułatwiają Irydyonowi rozpoczęcie planu zemsty. Oto właśnie stronnicy Aleksandra Sewera sprzysięgli się ze strażą przyboczną Heliogabala, ażeby cezara strącić z tronu, a osadzić na nim Aleksandra. Irydyon postanawia skorzystać z tej świetnej sposobności. Ujmuje się niby za Heliogabalem, staje jako jego obrońca, w rzeczywistości jednak pragnie wśród ogólnego zamętu wywołać w Rzymie rewolucyę, podpalić miasto i załatwić się odrazu z cezarem i kandydatem na cezara. Hasła wydane, oddziały zwolenników Irydyona zajęły placówki, na dany znak ma się rozpocząć grabież i mord. Brak tylko jeszcze zbrojnych chrześcijan. Spóźniają się, a bez nich siły Irydyona za słabe... Gorączkowa chwila oczekiwania... Naprożno! Chrześcijan, dążących ku miastu, powstrzymał biskup Wiktor. Nie ich rzeczą knuć plany zemsty, Chrystus kochać kazał, nie zabijać... A tymczasem Aleksander wkroczył już do miasta, już tam bój wre zacięty, już Heliogabal legł trupem. Irydyon zgubiony... Wprawdzie Aleksander gotów mu przebaczyć, byle się ukorzył, ale Irydyon, który lat tyle pieścił się



Fig. 99. Zygmunt Krasiński jako dziecko.

myślą straszliwej zemsty nad Rzymem, nie będzie przecież karku zginał przed zwycięzcą. Staje więc do walki i... ponosi klęskę. Wszystko stracone. Żywym nie odda się on w ręce Rzymianom, nawet trupa jego nie dostaną, oto wstępuje na stos. W chwili, gdy ogarnąć go mają płomienie, zjawia się obok niego Masynissa, porywa go z sobą i unosi wysoko, na szczyt góry. Myśl Irydyona, zawiedzionego we wszystkich swych nadziejach, zwraca się teraz do Chrystusa, ale szatan raz jeszcze odnosi nad nim zwycięstwo. Oto obiecuje go uśpić, a w zamian za wyrzeczenie się Chrystusa obudzić go po wielu wiekach i pokazać znienawidzony Rzym pogrążony w upadku i hańbie. Za taką cenę oddaje Irydyon duszę swą szatanowi.

Masynissa obietnicy dotrzymał. Obudził uśpionego w XIX. wieku i ukazał mu gruzy i ruiny, jako jedyne szczątki Rzymu cezarów. Wszystko przepadło, potęga, sława, legiony zbrojne, cezar i dwór jego. Irydyona pierś dziwną poi się rozkoszą... zginęło nienawistne państwo, niema już tyrana jego ojczyzny. Nad miastem rozpiął ramiona pogardzany dawniej krzyż. Ale na widok tego krzyża smutek jakiś pada na serce Irydyona. On wyparł się tego znaku zbawienia, on go nie ukochał, on złamał życie i stargał szczęście tej, dla której krzyż ten był ongiś największą osłodą. A teraz czas mu iść na zatracenie... Ale w niebiesiech ujmują się za nim. Anioł-Kornelia czuwa nad tą duszą obłąkaną i nie odstępuje jej, choć Masynissa poczytał ją już za swoją własność. »Wparłszy stopy w kipiący piasek, głowę schyliwszy na spalone piersi, dopomina się o prawa swoje«. »Wrogu nieśmiertelny! (mówi szatan-Masynissa do Boga) on moim, on żył w zemście, on nienawidził Romy«. Lecz anioł, rozwiązując tęczę skrzydeł' potrząsając złocistymi puklami: »o Panie! on jest moim, bo on kochał Grecyę«. »I od walki potęg zamgliło się powietrze...« To ogień piekieł palił stopy Irydyona, to na głowę jego kładły się blaski niebieskie, tłumy »rwały« go na dół i drugie tłumy »ciągnęły w górę«, nadzieja budziła się w sercu jego i gasła. Aż wreszcie zabrzmiał wyroczny głos z góry: »Powstań, o synu Grecyi... Świadectwem Kornelii, modlitwą Kornelii ty zbawion jesteś, boś ty k o c h a ł Grecyę!« Zbawion więc jest Irydyon, ale zbawion nie bez pokuty, bo oto głos Stwórcy rozlega się dalej jak piorun:

»Idź na północ w imieniu Chrystusa — idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów« (w Polsce). »Tam powtórna próba twoja, po raz drugi miłość twoją (ojczyznę) ujrzysz przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać — i męki tysiąców wcielą się w jedno serce

twoje! Idź i ufaj imieniu mojemu... A po długiem męczeństwie zorzę rozwiodę nad wami — udaruję was, czem aniołów moich obdarzyłem przed wiekami — szczęściem — i tem, co obiecałem ludziom na szczycie Golgoty — wolnością!«

Co ma oznaczać owo zakończenie Irydyona? — to bowiem, co było przed niem, zrozumieliśmy doskonale. Plan Irydyona: zniszczenie Rzymu nie powiódł się, bo poczęty był w nienawiści, bo do odzyskania wolności narodu nie idzie się przez samą zemstę, nie idzie się po trupach drugich, często niewinnych. Rzym upadł i bez przyczynienia się Irydyona, jest bowiem wyższa Sprawiedliwość, która zbrodnię karze, a władza Rzymu nad światem opierała się właśnie na szeregu zbrodni. Ale taż Sprawiedliwość Boża zapewnia zwycięstwo cnocie, choćby wzgardzonej przez możnych tego świata. Z woli tej Sprawiedliwości tron namiestników Chrystusa stanął w miejscu, z którego przedtem cezarowie siali rozkazy swe światu. Nie Grecya Rzym obaliła orężem, ale podbił go Chrystus bronią stokroć potężniejszą — miłością.

T'a myśl poematu jest jasna, tośmy zrozumieli, ale dlaczego Irydyon, zbudzony po wiekach, ma iść do polskiej krainy, co ten wyrok boży ma oznaczać?

Oto, że Polska znalazła się wobec państw zaborczych w tem samem położeniu, co Grecya ongiś przed wiekami wobec Rzymu, że tak samo jak w piersiach niejednego z Greków powstawała myśl zemsty, tak i Polak niejeden przejęty jest tem samem uczuciem. Ale uczucie to nie zbuduje niczego, bo jest niechrześcijańskiem, bo budować może tylko miłość i praca. »Czyń ciągle i bez wytchnienia« mówi głos Boży do Irydyona, to znaczy: pracuj dla ojczyzny, jeśli chcesz ją zbawić. Myśl to wielka i dobrze świadczy o społeczeństwie, które ją z siebie wydało. Lichy to bowiem naród, który tylko nienawidzieć umie, a miotając się na swych wrogów czy przeciwników, sądzi, że już przez to siebie uszczęśliwia. Nienawiść zatruwa tylko duszę, a przez to szkodzi najwięcej temu, który uczucie to żywi w swem sercu. Przed wrogiem bronić się musimy — ale też co innego jest obrona najświętszych skarbów: wiary i mowy ojczystej, a co innego zemsta i nienawiść.

Zgubnych tych uczuć dostrzegł jednak Krasiński nie tylko w stosunkach jednych narodów do drugich, ale także w łonie społeczeństw narodowo jednolitych. Uczucie nienawiści zaznaczyło się silnie w walce klas, biedni nienawidzili bogatych, dążyli do wydarcia im bogactw, ażeby sami

mogli zacząć używać. Stare to dzieje i walka stara, jak świat, a dzisiaj namiętniejsza nawet niż przed laty. Cóż jednak będzie, gdy przyjdzie do wybuchu, gdy wydziedziczeni i bezdomni za noże chwycą, jaki będzie koniec tej walki, co z niej wyniknie? Takie pytanie, jeszcze przed napisaniem Irydyona, zadawał sobie Krasiński i ujrzał przed oczyma swemi krwawą łunę w przyszłości i dramat straszliwy: walkę bratobójczą. A co potem? Odpowiedź dał poeta w utworze, który zatytułował »Nieboską Komedyą«.

W Europie wybuchła rewolucya. Słudzy rzucili się na swych panów, głodni na sytych, krew leje się już strugami, rozpasana tłuszcza dogadza najdzikszym, najwstrętniejszym swym namiętnościom. Władzę nad nią przywłaszczył sobie człowiek o wielkiej sile woli i rozumie przenikliwym, Pankracy. Oblęga on właśnie okopy św. Trójcy, dokąd schronili się ostatni obrońcy dawnego ładu, ale zgnuśniali, pozbawieni wiary w zwycięstwo. Tymi Pankracy gardzi, tych przeznaczył na rzeź, ale w pobliżu okopów mieszka w zamku swym hrabia Henryk, jeden z najszlachetniejszych z pośród znikającej szlachty. Jego to chciałby Pankracy ocalić, bo jego jednego ceni, w nim jednym widzi godnego siebie przeciwnika. Postanowił więc udać się do jego zamku i w tym celu wysłał do Henryka Przechrztę, ażeby zawiadomił hrabiego o przybyciu wodza rewolucyonistów. Hrabia Henryk jednak, korzystając ze sposobności, używa Przechrzty za przewodnika i, przebrany, każe mu się zaprowadzić w środek obozu tłuszczy. Oczom jego przedstawiają się sceny groźne i wstrętne. Wokoło szubienicy tańczą i śpiewają mężczyźni i kobiety.

Głosy.

»Chleba, zarobku, drzewa na opał w zimie, odpoczyku w lecie — hura — hura!

Bóg nad nami nie miał litości — hura!

Królowie nad nami nie mieli litości — hura!

Panowie nad nami nie mieli litości — hura!

My dziś Bogu, królom i panom za służbę podziękujemy — hura — hura!

. . . . . .

Hr. Henryk (do Przechrzty).

Cóż to za głosy, twardsze i dziksze, wychodzące z tej gęstwiny na lewo?

Przechrzta.

To chór rzeźników, JWPanie.

Głosy rzeźników.

Obuch i nóż — to broń nasza, szlachtuz — to życie nasze. Nam jednoczy bydło, czy panów rznąć.

Dzieci siły i krwi, obojętnie patrzym na drugich słabszych i bielszych; kto nas powoła, ten nas ma; dla panów woły, dla ludu panów bić będziem,

Obuch i nóż — to broń nasza, szlachtuz — życie nasze — szlachtuz — szlachtuz — szlachtuz«.

I tak dalej i dalej... Straszny obóz...

Ma dość tego widowiska hr. Henryk, wraca do swojej siedziby, ażeby stamtąd na czele hufcu wiernych mu chłopów wyruszyć na pomoc zamkniętym w okopach. Ale przedtem odwiedza go Pankracy. Dwaj ci ludzie, zanim spotkają się na polu walki stoczą dziś bój śmiertelny — na słowa Boć do porozumienia między nimi przyjść nie może. Jeden ukochał wiarę i tradycyę ojczystą, drugi burzy wszystko, bo dla niego jedyną świętością jest — chleb. Gdy hr. Henryk wskazuje na portrety wielkich swych przodków, Pankracy wybucha szyderstwem:



Fig. 100. Zygmunt Krasiński.

»Tak, chwała dziadom twoim na ziemi i niebie — w rzeczy samej jest na co patrzeć.

Ów starosta baby strzelał po drzewach i żydów piekł żywcem. Ten z pieczęcią w dłoni i podpisem: kanclerz — sfałszował akta, przekupił sędziów, trucizną przyspieszył spadki — stąd wsi twoje, dochody, potęga!... Lubię tego w zielonym kaftanie — pił i polował z bracią szlachtą, a chłopów wysyłał, by z psami gonili jelenie. Głupstwo i niedola kraju całego. — Oto rozum i moc wasza. Ale dzień sądu blizki, i w dniu tym obiecuję wam, że nie zapomnę o żadnym z was, o żadnym z ojców waszych, o żadnej chwale waszej.

Hr. Henryk.

Mylisz się... Ani ty, ani żaden z twoichby nie żył, gdyby ich nie wykarmiła łaska, nie obroniła potęga ojców moich. Oni wam wśród głodu

rozdawali zboże, wśród zarazy stawiali szpitale, oni wam postawili świątynie i szkoły... Słowa twoje łamią się na ich chwale, jak dawniej strzały pohańców na ich świętych pancerzach, one (słowa) zaginą jak skowyczenia psa wściekłego, co bieży i pieni się, aż skona gdzie na drodze... A teraz czas już tobie wynijść z domu mego. Gościu, wolno puszczam ciebie.

Pankracy.

Do widzenia na okopach świętej Trójcy. A kiedy wam kul zabraknie i prochu...

Hr. Henryk.

To zbliżym się na długość szabel naszych«.

Rozstali się obaj nieprzekonani nawzajem, obaj gotowi do walki.

Do spotkania przychodzi niebawem, bo hr. Henryk przedarł się z swoim oddziałem do okopów św. Trójcy i tam objął dowództwo nad szlachtą. W zwycięstwo nie wierzył, trudno bo mu było mieć wiarę, gdy miał do czynienia z ludźmi o sercu króliczem, bez poczucia własnej godności. To też walka zbliża się szybko ku końcowi. A kiedy już nabojów zabrakło, gdy syn ukochany hrabiego, trafiony kulą, legł trupem, Henryk, widząc, że wszystko stracone, rzucił się w przepaść. Okopy zdobyli rewolucyoniści, wszyscy z szlachty, którzy pozostali przy życiu, dali gardło.

Ale Pankracy wie, że to koniec walki, ale nie koniec pracy. »Nie czas mi jeszcze zasnąć — mówi do jednego z swych towarzyszów. — Patrz na te obszary, na te ogromy... Trzeba zaludnić te puszcze... wydzielić grunt każdemu, by w dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. Inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest«. A kiedy ów towarzysz chce mu dodać otuchy słowami: »Bóg wolności sił nam podda« — Pankracy wzdryga się: »Co mówisz o Bogu? — ślizko tu od krwi ludzkiej«. I nagle straszliwe zjawisko roztacza się przed jego oczyma — w chmurach ukazuje mu się postać olbrzymia Chrystusa. »Jak słup śnieżnej jasności stoi ponad przepaściami — oburącz wsparty na krzyżu, jak na szabli mściciel. Ze splecionych piorunów korona cierniowa.. Od błyskawicy tego wzroku chyba mrze, kto żyw!...« Przestrach śmiertelny ogarnia wodza tłumów. »Ciemności, ciemności!« — woła rozpaczliwym głosem. On chciałby osłonić się przed tym palącym wzrokiem Syna Bożego, ale daremnie. Z okrzykiem: Chrystusie, zwyciężyłeś! — Pankracy pada i kona.

Jakto? więc to Chrystus zwyciężył? nie ci, którzy wycięli w pień swo-

ich wrogów, a teraz oto zdobyli ostatnią ich placówkę? Co oznacza ten okrzyk Pankracego, co widzenie jego przedśmiertne? Spodziewalibyśmy się, że po zgnieceniu przeciwników urządzi on teraz nowe społeczeństwo na nowy sposób, tymczasem zrazu troska osiada na jego czole, potem lęk go zdejmuje przed krwią rozlaną, a potem czyta na siebie w niebiesiech we wzroku Chrystusa wyrok — potępiający. Dlaczego? Bo potrafił burzyć i niszczyć, ale czuje, że nie potrafi budować. Krwawe jego czyny z nienawiści wyrosły, więcej mu chodziło o pogrzebanie starego świata, niż o uszczęśliwienie nowego — więc niebo czynom jego nie błogosławi. I nie rychlej ów tłum zwycięski znajdzie szczęście na ziemi, aż uzna, że miłość chrześcijańska a nie zemsta jest najwyższem prawem.

Wspaniały poemat! a tem godniejszy podziwu, że autor jego, choć sam potomek możnego rodu arystokratycznego, z prawdziwą bezstronnością potrafił nakreślić oba wrogie sobie obozy. Po jednej stronie wściekła nienawiść i rozpasanie wszelkich namiętności, po drugiej brak wiary w siebie, zniewieściałość, zamiast czynów piękne słówka, charaktery naogół — słabe. Do kogóż należy przyszłość i zwycięstwo? Do nikogo — odpowiada Krasiński — »zbrodnie nowe przyjdą stare karać i same się potępić w obliczu Boga«. Jedni, zgnuśniali, muszą ustąpić, drudzy, splamieni krwią, muszą dusze swe przetworzyć, jeśli chcą istnieć jako społeczeństwo. Oto »nieboska« komedya, która ma się rozegrać w przyszłości...

W obu tedy utworach, jak widzimy, i w »Irydyonie«, wydanym w r. 1836., i w »Nieboskiej Komedyi« (1835) zwycięstwo odnosi myśl chrześcijańska, dzieła poczęte bez miłości owoców nie wydają. Poeta wierzy święcie, że zasady chrześcijańskie muszą być stosowane nie tylko w życiu codziennem, prywatnem, ale i w politycznem, w stosunkach między różnemi klasami tego samego społeczeństwa i w stosunkach międzynarodowych. Niebawem posunie się Krasiński o krok dalej i wysnuje z przekonań swych wniosek daleko idący. Powie sobie, że tam, gdzie zasada miłości chrześcijańskiej została zgwałcona, tam błąd musi być przedewszystkiem naprawiony, a potem dopiero może być mowa o prawdziwym postępie ludzkości. Z tego przeświadczenia wewnętrznego wypłynie nowy poemat »Przedświt« (1843). Nie będzie to już dramat, jak »Nieboska« i »Irydyon«, i napisany będzie nie prozą lecz wierszem. W »Przedświcie« zajmuje się poeta już wprost przyszłością Polski, a przyszłość ta przedstawia mu się w dziwnie jasnych barwach. Filozof polski Cieszkowski głosił, że po wielkim okresie przedchrześcijańskim i obecnym chrześcijańskim musi nadejść okres trzeci,

w którym zasada miłości objawi się nie tylko w stosunkach między jednostkami ludzkiemi, lecz także między narodami i państwami. Twierdzenie to Cieszkowskiego odpowiadało najgłębszym przekonaniom naszego poety, nie dziw przeto, że przejął je bez zastrzeżeń. Jeżeli jednak — mówił — ten okres trzeci ma się zjawić, to przedtem wyrównanem musi być to, co przyjście jego dotychczas uniemożliwia: krzywda wyrządzona narodom. Takiej krzywdy zaś doznał nadewszystko naród polski, przez rozbiór jego nauka Chrystusowa o miłości doznała najstraszliwszego zaprzeczenia. Jedno więc z dwojga: albo ludzkość nie będzie naprzód postępowała, albo, jeśli ma postępować i doskonalić się, musi naprawić przedtem gwałt dokonany na polskim narodzie. Ponieważ zaś doskonalenie się ludzkości jest pewnikiem niezbitym, przeto i zmartwychwstanie Polski jest wyższem ponad wszelką wątpliwość. Rozbiór jednak, chociaż był zbrodnią, a dla Polski — chwilowem nieszczęściem, przyniósł jej przecież dobro wielkie, dar błogosławiony. Polska bowiem pokrzywdzona najsrożej, zrozumiała najlepiej Chrystusowe prawo miłości, kiedy inne narody brnęły i brną dalej w grzechach i nieprawościach. Myśl Chrystusowa schroniła sią odtąd w duszach polskich, a jak trzeba było śmierci i zmartwychwstania Chrystusa, ażeby obudzić sumienie w jednostkach ludzkich, tak konieczną była śmierć, ale i koniecznem jest zmartwychwstanie Polski, ażeby zbawić narody. Polska jest Chrystusem narodów, umęczoną za ich grzechy, ażeby podnieść je i poprowadzić ku Bogu.

Taki jest bieg myśli we Wstępie do »Przedświtu«. W samym poemacie rozprowadza poeta myśli te dalej. Widzi on już oczyma ducha przyszłość, a w niej chwilę wielką i świętą — chwilę zmartwychwstania Polski.

Jak blask słońca, tak jej lice!
I z błękitu ma źrenice —
A jej wzrokiem błyskawice!
Nad jej czołem z krwi korona:
Wieniec wspomnień purpurowy...
Lecz już przeszły wszystkie bole,
I duch Boży na jej czole —
Naokoło już świat nowy!

Tej Polsce świetlanej, słonecznej wszystkie ludy cześć oddają

I przyklękły — i słyszałem
Głos, co woła w wiecznem niebie:
»Jak im Syna niegdyś dałem,
Tak im, Polsko! daję ciebie!
Syn mój jeden był i będzie,
Lecz myśl Jego żyje w tobie,

Bądź więc prawdą jak On wszędzie,
Ja cię Córką moją robię!«

Polska wiedzie narody do Królestwa Bożego na ziemi...

Jest »Przedświt«, jak z treści jego widzimy, poematem mesyanistycznym i to w stopniu wyższym, niż wszystkie inne, tym samym duchem przejęte. Żaden poeta nie głosił tak jasno i z takiem przekonaniem, że śmierć Polski była w dziejach czemś podobnem do śmierci Chrystusa na krzyżu i że następstwem śmierci tej i odrodzenia będzie zbawienie narodów. Żaden z poetów tak Polski nie wywyższył, żaden nie wyznaczył jej tak szczytnej, wyjątkowej roli. To też wrażenie poematu było nadzwyczajne, dziwna otucha wstąpiła w serca polskie. Jakto? więc upadek nasz był tylko chwilowym, więc odrodzenie nasze jest czemś pewnem, koniecznem nawet? I odrodzenie to spełnić się musi nawet bez naszego przyczynienia się, a gdy zmartwychwstaniemy, będziemy królowali innym narodom? Nie tylko otucha, ale i duma wypełniła serca polskie. Wszelako uczucia te opierały się na kruchych podstawach. Rozbiór Polski był zbrodnią niewątpliwie, ale do spełnienia tej zbrodni myśmy grzechami swymi sami dopomogli. Ażeby być Chrystusem narodów, trzeba być doskonałym, nam zaś do tej doskonałości daleko. Niepodległości nie odzyskamy, zanim nie będziemy jej godni i sami sobie jej nie wywalczymy. Jest w poemacie wiele prawdy i myśli wzniosłych, ale ostateczny

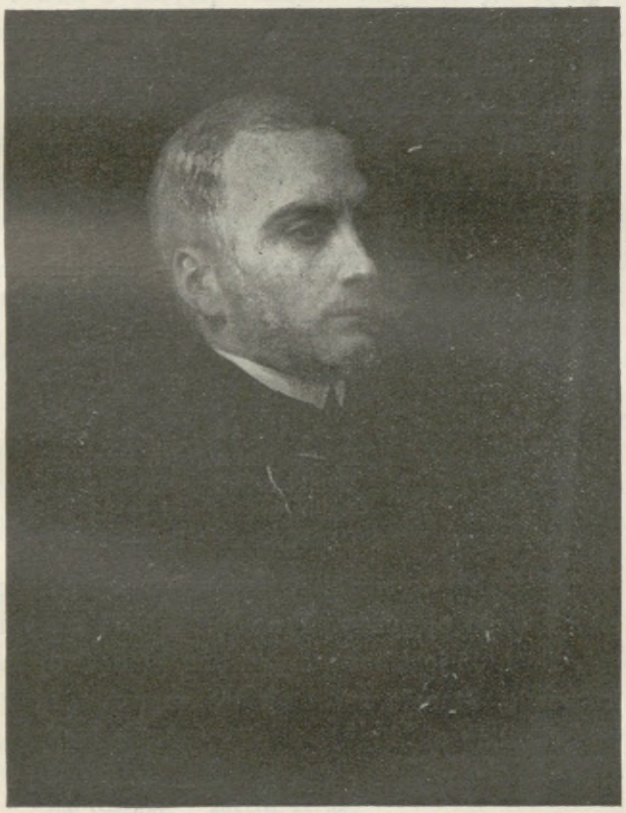

Fig. 101. Portret Zygmunta Krasińskiego z późniejszych lat życia.

wniosek — jak widzimy — o tyle mylny, że poeta daje nam wszystko bez naszej pracy i zasługi.

Poeta zobaczył sam zresztą niebawem, że nie tylko miłość Chrystusowa zamieszkała w sercach Polaków — przynajmniej nie we wszystkich. Zapaleńcy niektórzy, w chwalebnem dążeniu do odzyskania niepodległości, poczęli się chwytać środków złych, a nawet zbrodniczych. Tu i ówdzie dały się słyszeć głosy nawołujące do rzezi szlachty jako tej warstwy, która kraj zgubiła, a dziś opóźnia jego odrodzenie. Przeraził się wówczas Krasiński, zadrżał na myśl, że jego naród, naród wybrany, splamić się może rozlewem krwi bratniej. Postanowił wystąpić z przestrogą i napisał »Psalm miłości«.

Złe środki — wołał — nie wiodą do zbawienia

Nie jest czynem — rzeź dziecinna!
Nie jest czynem — wyniszczenie!
Jedna prawda boska, czynna,
To — przez miłość: przemienienie!
Jeden tylko, jeden cud:
Z szlachtą polską polski lud.
. . . . . .
Z tego ślubu jeden Duch,
Wielki naród polski sam,
Jedna wola, jeden ruch,
O! zbawienie tylko — tam!

Szlachtę wycinać! A wszakże ta szlachta piersiami swemi przez wieki całe broniła ojczyzny. Prawda, że był czas, kiedy grzeszyła wobec Polski, ale któż jest bez winy, a ona błąd swój stokrotnie po rozbiorze odpokutowała. Stanęła znów na czele narodu, niosła mu mienie i życie w ofierze. Nigdzie nie brakło synów szlacheckich,

Ich za Polskę — ścigał świat!
Ich za Polskę — męczył kat,
Nie od wczoraj — od lat wiela
Pierś im palił skwarny brzeg,
Lub krył oczy wygnań śnieg
I więziła cytadela!
. . . . . .

I teraz w ich piersiach bratobójczy nóż zanurzać?!

Hajdamackie rzućcie noże
I oszczerstwa i bluźnierstwa,
By carycy w grobie kości
Nie skleiły się z radości,
Trup nie parsknął w śmiech szyderstwa!
Hajdamackie rzućcie noże!

By nie klęły na was wieki,
Że cel wieków — znów daleki!

Tym celem wieków — odrodzenie ojczyzny, a oddalić chwilę odrodzenia może — zbrodnia.

Poeta dodał do »Psalmu miłości« dwa inne jeszcze: »Psalm wiary i nadziei« i wydał razem w r. 1845. p. t. »Psalmy przyszłości«. Niestety! w rok potem »hajdamackie noże« zabłysły w powietrzu. Nadszedł złowrogi rok 1846., taki ohydny, jakiego nie pamiętały dzieje Polski — rok nieszczęsnej rzezi galicyjskiej... Prawda, że wywołał ją kto inny, nie ci, przeciw którym poeta wystąpił, niemniej jednak okazało się, że obawy jego płonnemi nie były. Wyraz temu przeświadczeniu smutnemu dał poeta w »Psalmie żalu«. Gorzkie przeżywał chwile. Przekonał się, że daleko było społeczeństwu polskiemu do »anielskiej« doskonałości, że wiele złego tkwi w nas jeszcze... A bez dobrej woli naszej nic się nie odmieni na naszą korzyść. To też kiedy dawniej mówił poeta o blizkiem zmartwychwstaniu, jako o czemś pewnem, teraz — w »Psalmie Dobrej Woli« — czyni je zawisłem od nas samych.

»Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!« — woła z wdzięcznością ogromną — dałeś nam »tysiącletnie panowanie«, uświetnione czynami chrześcijańskiej miłości, pozwoliłeś nam po rozbiorach zachować sławę i ducha odporu, dałeś nam krzyż ciężki do dźwigania, ale krzyż, który nas zbliża do Ciebie, Boże...

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
. . . . . .
Lecz wolną wolę musiałeś zostawić —
Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić!
. . . . . .
Z wolnością tylko Twój duch się wciąż swata —
Nikt niewolnikiem w bezmiarach wszechświata!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

»Psalm Dobrej Woli« jest ostatniem słowem myśli Krasińskiego, jest dopełnieniem dawniejszej jego pieśni, jest też i sprostowaniem tego, co w rozumowaniu jego poprzedniem było błędnem.

Wyszedł on w roku 1848., a jest ostatnim wyrazem nietylko poezyi Krasińskiego, ale całej wogóle poezyi wieszczej. Mickiewicz wówczas już nie pisał, Słowacki zamknął w roku 1847. szereg arcydzieł »Królem Duchem«, Krasiński tworzył wprawdzie i potem jeszcze (»Resurrecturis«, »Nie-

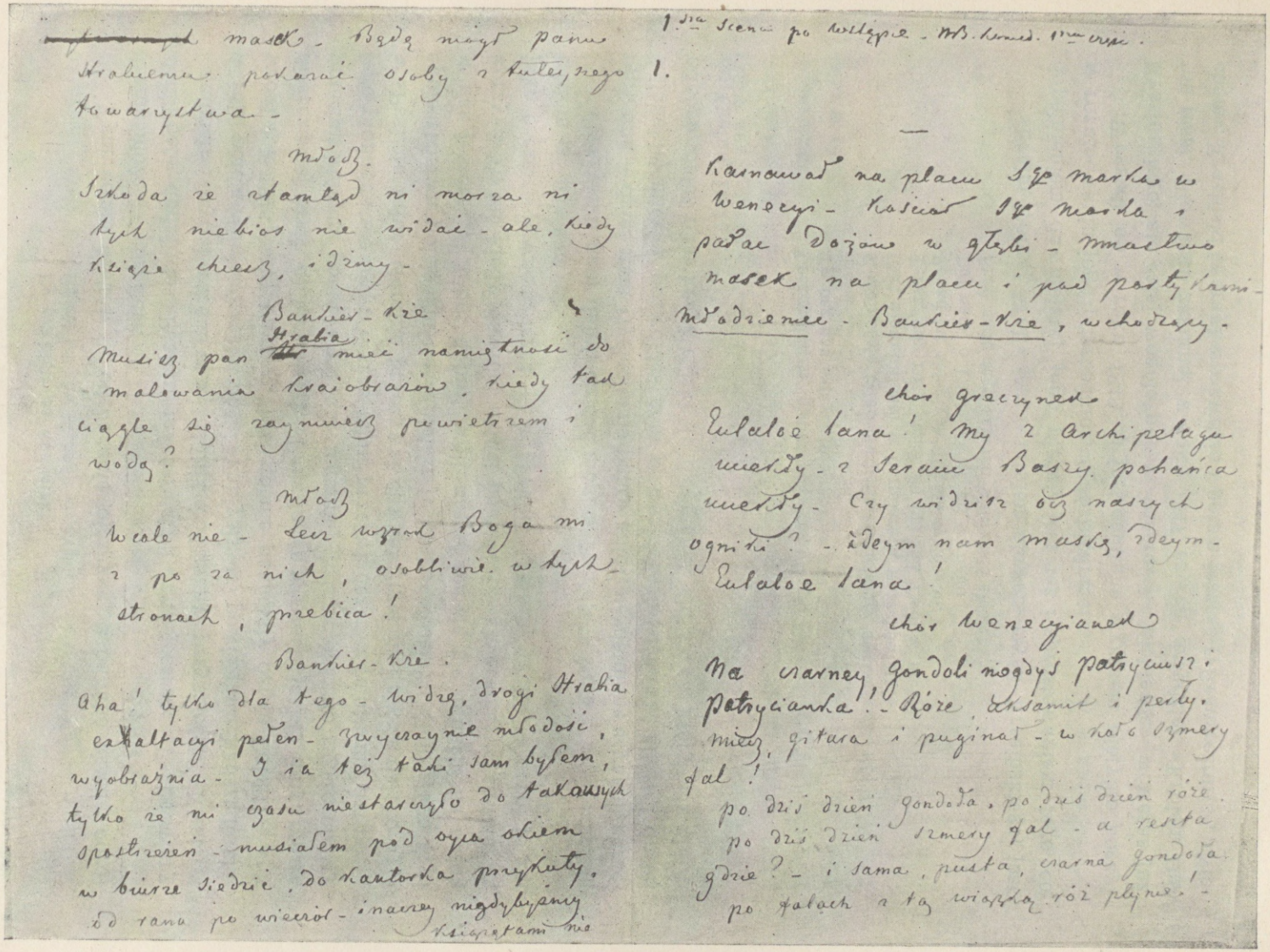

masek - Będę mógł panu
Hrabiemu pokazać osoby z tutejszego
towarzystwa -

Młodz.

Szkoda że ztamtąd ni morza ni
tych niebios nie widać - ale, kiedy
książe chcesz, idźmy -

Bankier-Kże

Musisz pan Hrabia mieć namiętność do
malowania kraiobrazów, kiedy tak
ciągle się zaymujesz powietrzem i
wodą?

Młodz

Wcale nie - Lecz wzrok Boga mi
z po za nich, osobliwie w tych
stronach, przebica!

Bankier-Kże.

Aha! tylko dla tego - widzę, drogi Hrabia
exaltacyi pełen - zwyczaynie młodość,
wyobraźnia - I ia też taki sam byłem,
tylko że mi czasu niestarczyło do takowych
spostrzeżeń - musiałem pod oyca okiem
w biurze siedzić, do kantorka przykuty,
od rana po wieczór - inaczey nigdybyśmy
książętami nie

1.sza scena po wstępie - NB. komed. 1sza część.

1.

—

Karnawał na placu Sgo Marka w
Wenecyi - Kościół Sgo Marka i
pałac Dożów w głębi - mnóstwo
masek na placu i pod portykami -
Młodzieniec - Bankier-Kże, wchodzący -

Chór Greczynek

Eulaloe lana! My z Archipelagu
uciekły - z Seraiu Baszy pohańca
uciekły - Czy widzisz ocz naszych
ogniki? - Zdeym nam maskę, zdeym -
Eulaloe lana!

Chór Wenecyianek

Na czarney gondoli niegdyś patryciusz i
patrycianka! - Róże, aksamit i perły.
miecz, gitara i puginał - w koło szmery
fal!
po dziś dzień gondoła, po dziś dzień róże.
po dziś dzień szmery fal - a reszta
gdzie? - i sama, pusta, czarna gondoła.
po falach z tą wiązką róż płynie! -

Fig. 102. Kartka rękopisu »Niedokończonego Poematu« Krasińskiego.

dokończony Poemat« i inne), ale myśli wypowiedzianych dawniej już nie pogłębił. Rok tedy 1848. jest jakby słupem granicznym pomiędzy wielką poezyą proroczą, a tą skromniejszą, która po niej miała się zjawić.

Tej pierwszej — wielkiej — świetnym przedstawicielem jest właśnie Krasiński. I Mickiewicz i Słowacki pragnęli uchylić zasłony okrywającej przyszłość narodu, ale dawali się porywać natchnieniom wieszczym, przeczuciem pragnęli odgadnąć przyszłość nieznaną, przepowiadali jakby w uniesieniu proroczem. Krasiński, który rozbrat między straszliwą rzeczywistością, a tem, co być powinno, odczuwał nie mniej silnie, jak oni, chciał jednak r o z u m e m, m y ś l ą dotrzeć do tajemnic przyszłości. Rozumiał, że stoimy jakoby na trzęsawisku, żeśmy niczego niepewni, że chcą nam wydrzeć język, wiarę — i ból wielki zrodził się w jego duszy nietylko z powodu tego, cośmy stracili, ale i tego, co nam jeszcze grozi. A obok niebezpieczeństw zewnętrznych widział i wewnętrzne. Do dusz polskich wciskał się jad nienawiści — narodowej i społecznej. To wszystko uświadomił sobie Krasiński lepiej niż inni, więc też i większy niepokój go ogarnął i skwapliwiej szukał ratunku. Znalazł go w chrześcijańskiej zasadzie miłości bliźniego i na tej podstawie oparł swoje rozumowania. Doszedł do wyniku, że cierpienie nie jest jeszcze zagładą, że oczyszcza ono dusze, do Boga zbliża i że przyszłość tego, kto cierpi niewinnie, pewniejszą jest, niż tego, kto spełnia rolę kata. Bóg miłości nagrodzi tych, którzy świętem tem uczuciem przejęci, zaniechają zemsty, a kochać tylko będą i pracować. Albowiem światem rządzi Sprawiedliwość i ta karze złych, a wywyższa cierpiących, a niewinnych. Stąd i przyszłość narodu polskiego jest pewna, co więcej, naród nasz stanąć musi kiedyś na czele innych ludów, by wieść je w krainę miłości.

We wszystkich utworach chodziło Krasińskiemu mniej o piękno, a więcej o prawdę, nie zachwycać chciał, ale nauczać. Stąd płynie owa przewaga w jego poematach rozumu nad uczuciem i wyobraźnią, stąd jego prawo do miana p o e t y - m y ś l i c i e l a. Nikt też nie wpłynął tak na sposób myślenia swego społeczeństwa, jak autor »Przedświtu«. Myśli jego przeszły w krew i w ducha narodu, podniosły go, uszlachetniły, dodały mu dziwnej mocy w znoszeniu prześladowań.

Stąpaliśmy po najwyższych szczytach poezyi. Wraz z Mickiewiczowskim »Konradem« dotarliśmy aż do podnóża tronu Bożego, zwiedza-

liśmy z Anhellim krainę wygnania, ażeby złożyć Panu w ofierze za ocalenie narodu — serce czyste, cierpiące, przeżywaliśmy wieki dziejów z Irydyonem, ażeby wyczytać z nich myśl Chrystusową. Zabłądziliśmy w krainy górne, nieziemskie, obcowaliśmy z wybranymi, z prorokami... Taką poezyą darzyła społeczeństwo emigracya. A tymczasem w kraju życie płynęło jak dawniej, to szare, jednostajne życie. Społeczeństwo, pozbawione jednostek najdzielniejszych, już przez to samo nie mogło w porywach i natchnieniach podążać za emigracyą, w dodatku zaś nałożono tym, co pozostali w kraju, kaganiec na usta, nie dozwolono im wypowiadać myśli ni uczuć gorętszych. Mimo to piśmiennictwo rozwija się i w Królestwie i w Poznańskiem i w Galicyi — nie tak górne, nie takie promienne, ale też i nie tak marne, by o niem mówić nie warto.

Do pewnego stopnia uzupełnia ono nawet literaturę emigracyjną. Gdy tamta buja po obłokach, ono stąpa po ziemi, gdy tamta odbiegła od życia codziennego, ono z niego właśnie bierze tematy. Ma też to piśmiennictwo zupełnie inne znamiona niż emigracyjne, jest niższem zapewne od tamtego, służy jak gdyby do zaspokojenia codziennych naszych potrzeb umysłowych, ale nie jest bynajmniej mniej narodowem, niż najpiękniejsze utwory wieszcze. Przecież to wówczas właśnie szerzy się piosnka patryotyczna, mnożą się w nieskończoność śpiewki nieznanych najczęściej autorów o bojach roku 1830-go, a urągając kordonom i cenzurze, przechodzą z ust do ust, rozlegają się w każdym dworku szlacheckim, w domach mieszczańskich, w zagrodach patryotycznego włościaństwa. Wówczas też pisze Wasilewski prześliczne swoje Krakowiaki, a Pol, o którym później szerzej powiemy, wydaje »Pieśni Janusza«. »Grzmią pod Stoczkiem armaty«, »Nie masz pana nad ułana«, »Lecą liście z drzewa«, wszystko to utwory pomieszczone w tym właśnie zbiorku.

Ale obok tej skromnej piosnki, nie drukowanej często nawet, są i dzieła poważniejsze, a są i niepospolite.

Świetnie zwłaszcza rozwija się w kraju komedya i powieść — dwa rodzaje, których zupełnie brak na emigracyi.

K o m e d y a w latach trzydziestych? Wówczas, gdy grzmi oręż, gdy ziemia polska krwią ocieka, gdy Sybir zaludnia się naszymi braćmi? Toć przecie zjawisko dziwniejsze chyba nawet od sielanki w czasie najazdów szwedzkich. Istotnie, tak się to na pozór wydaje, fakt ten jednak da się doskonale wytłumaczyć. Przedewszystkiem są już komedye i przed r. 1830., powstałe zatem w czasie, kiedy społeczeństwo nie było jeszcze w smutku

bezdennym pogrążone, gdy śmiech był potrzebą życia. Ale po roku 1830. — czyż sam Mickiewicz nie napisał »Pana Tadeusza«, w którym taka mnogość zabawnych, humorystycznych typów? Nie! przedstawianie śmieszności

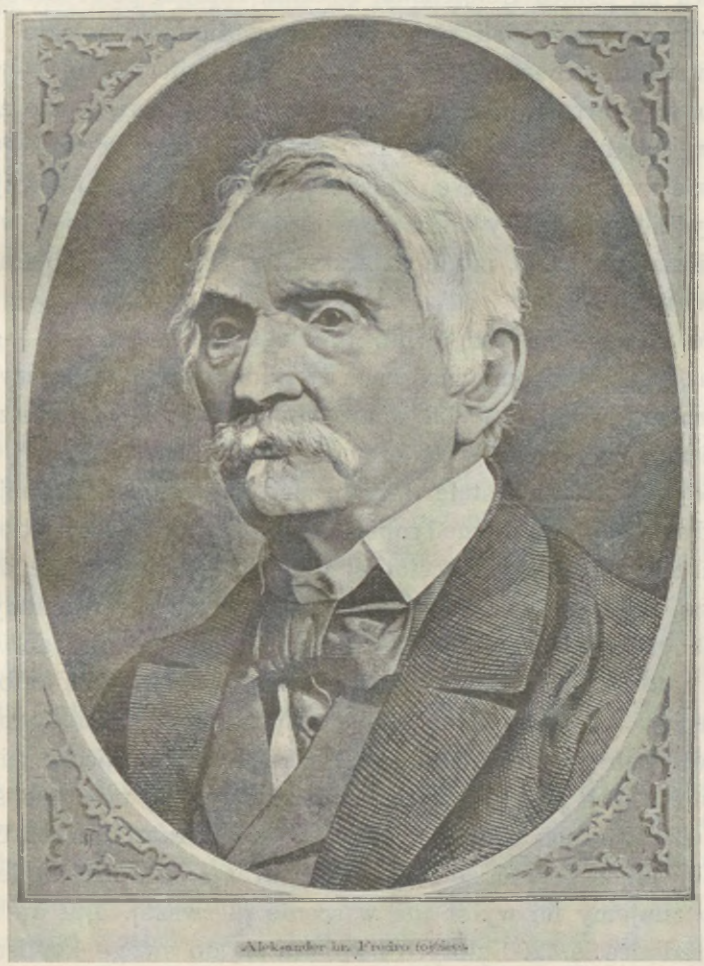

Fig. 103. Aleksander hr. Fredro (ojciec).

ludzkich nie jest zbrodnią nawet w czasach najsmutniejszych, byle z utworów, kreślących te śmieszności, biła miłość dla swoich, dla blizkich, byle autor kochał tych nawet, których wady odsłania. A właśnie w tak dobroduszny sposób ośmieszał wady swego społeczeństwa

Aleksander hr. Fredro (ur. 1793., um. 1876.). Żołnierz napoleoński, kapitan w pułku strzelców konnych, odbywszy pełną chwały kampa-

nię wojenną, osiadł po upadku Napoleona we Lwowie. Po bojach i znojach, ze szczytu marzeń o niepodległej ojczyźnie, spadł w szarą rzeczywistość życia, która była i smutną i... śmieszną równocześnie. Młodzi bohaterowie, okryci sławą na polach Smoleńska, Drezna, Lipska, powróciwszy w progi domowe, rychło zapomnieli o szczytnych zadaniach polskiej młodzieży, a utonęli w wirze zabaw, uciech, namiętności, a nierzadko i — w sieci długów. Zdobywcy armat nieprzyjacielskich gonili teraz często za groszem, ukrytym w szkatule lichwiarza. I mężczyźni i kobiety wiedli życie bez celu, ot takie zwykłe światowe, marne życie. Korzystniej odbijali na tem tle lekkomyślnej młodzieży i sknerów-dorobkiewiczów starzy wiarusy polscy, o zawiesistym wąsie, minie dziarskiej, a sercu złotem, pełnem zawsze ducha wojennego.

Fredro patrzył na ten świat, przewijający się przed jego oczyma, ubolewał nad jego lekkomyślnością, a że obdarzony był niezwykłym zmysłem spostrzegawczym, chwytał w lot wszystkie wady i śmieszności i postanowił okazać je jakoby w zwierciadle — w komedyi.

Komedya polska nie stała dotychczas na wyżynie europejskiej, mieliśmy zaledwie jednego komedyopisarza, który obrawszy sobie za wzór Moliera, dał nam kilka sztuk o istotnej wartości literackiej, t. j. Zabłockiego. Po nim cisza, przerywana od czasu do czasu tylko jakąś komedyjką Niemcewicza, albo lichą »jednodniówką«, o której wnet zapominano.

Aż w r. 1821. zjawia się na scenie warszawskiej »Geldhalb« Aleksandra hr. Fredry. Choć to jedna z pierwszych sztuk komedyopisarza, widnieje z niej talent niepowszedni. Typy skreślone wyraziście, mimo pewnej przesady bije z nich prawda, wypadki toczą się żywo po sobie, śmieszności pełno i w charakterach osób i w sytuacyach [1]). Autor umie kilku rysami tak nakreślić jakąś postać, że wiemy już odrazu, co o niej mniemać. Geldhaba np. poznajemy na wylot już w scenie pierwszej. Dał on na spalone właśnie przedmieście 1200 złotych i zwraca się do swego komisanta z temi słowami:

Dowiedz się, czy w gazecie będę umieszczony?
Chciałbym tam mieć wyraźnie artykuł ten cały:
(dając kartkę, czyta)
»Jaśnie Wielmożny Geldhab, dziedzic Samochwały,
Przybyszowic, Grypsowa, Łówki et cetera [2]),
Et cetera pamiętać, który równie wspiera

[1]) Sytuacya: to samo, co położenie, w którem znajdzie się z własnej woli czy mimowolnie pewna osoba lub osób więcej.

[2]) et cetera = i tak dalej.

(z przyciskiem).
Licznych swoich poddanych, jak wszystkich dokoła,
Których tylko w niedoli wynajdywać zdoła,
Raczył dać na spalone Bamberga przedmieście
Z zwykłą hojnością złotych polskich tysiąc dwieście.
Komisant. Gdy dobroć twoja, Panie, tak dla obcych skora,
Siostra, co w niedostatku, od pół roku chora,
Bez wątpienia, próśb swoich skutkiem się ucieszy,
Gdy Pan procent przyspieszyć...
Geldhab. Nic Pan nie przyspieszy.
Komisant. Ten list przekona, w jakiem strapieniu zostaje.
Geldhab (z niecierpliwością). Cóż to, nie wiesz, że córkę za księcia wydaję?
Gdy mnie fraszkami nudzić ułożyłeś sobie,
Myśleć o nich nie będę w tej tak wielkiej dobie,
Mając innych ważniejszych zatrudnień tysiące;
I termin też wypłaty aż za dwa miesiące.
Napisz Waćpan, że bardzo żałuję niebogi,
Ale pomódz nie mogę... bywaj zdrów... czas drogi.
(Odwraca się).

Ot i wiemy już od razu, z kim mamy do czynienia. Widocznie, ów Pan Geldhab, to sknera obrzydliwy, człowiek bez serca, ale przedewszystkiem człowiek bezdennie próżny, chciwy ludzkich pochwał i w tej swojej próżności niesłychanie śmieszny. Kto w jednej z pierwszych swoich sztuk okazał taki dar wyrazistego przedstawiania osób, po tym można się było spodziewać bardzo wiele. I oczekiwania nie zawiodły publiczności polskiej. W przeciągu lat kilkunastu stworzył Fredro cały szereg komedyi, a śmiało powiedzieć można, że w każdej następnej zalety jego pióra występowały z coraz to większą siłą, aż wreszcie scena polska ujrzała arcydzieła: »Zemstę«, »Śluby panieńskie«, »Pana Jowialskiego«.

Trzy arcydzieła, a każde w innem rodzaju, w każdem inne typy, inny świat. Sprzeczać się, które z nich najwyższe, byłoby stratą czasu — we wszystkich dusze polskie objawiają się z niebywałą wyrazistością, w oświetleniu niezrównanego humoru. Przypatrzmyż się przynajmniej jednej z tych komedyi, najbardziej przez publiczność ukochanej »Zemście«.

Mamy dwa typy z czasów saskich, dwóch szlachciców: Cześnika Raptusiewicza i Rejenta Milczka. Raptusiewicz jest gwałtowny, samowolny, ale szczery i otwarty, Milczek — umie nad sobą panować, prawa przestrzega przynajmniej pozornie, udaje potulnego, w rzeczywistości jest zawzięty, zazdrosny, a zawsze obłudny. Dziwne zrządzenie losu kazało mieszkać dwom tym ludziom tuż obok siebie, w jednym zamku — przedziela ich tylko mur graniczny. Naturalnie, że o mur ten powstanie spór pomiędzy nimi, że dojdzie do procesów, do bójki. Rejent każe mur naprawiać,

Cześnik wysyła swoich ludzi pod wodzą Papkina (pieczeniarza, żyjącego z łaski Cześnika), by murarzy spędzili. Proces gotowy, Rejent pisze skargę (pełną łgarstw) do sądu, Cześnik woli poszukać zadośćuczynienia w inny sposób, zgodniejszy z jego naturą — wzywa Rejenta przez Papkina na pojedynek. Ale Rejentowi nigdy zemsty nie dosyć. Nie cierpi on Cześnika za jego minę pańską, za jego szlachetność, za miłość, którą cieszy się u ludzi, to też pragnąłby mu tak dokuczyć, by go o szaleństwo choćby przyprawić. Wie on, że w domu Cześnika mieszka przy bratanicy jego, Klarze, Podstolina, wdówka — jak wieść niesie — bogata i że Cześnik ma zamiar z nią się ożenić. Wydrzeć wrogowi swemu narzeczoną, toby dopiero zemsta była nielada! Takiej radości piekielnej warto poświęcić choćby szczęście syna własnego! Ma bowiem Rejent syna, Wacława, a choć młodzieniec ów zakochany jest w bratanicy Cześnika, Klarze, i cieszy się wzajemnością, nieludzki ojciec postanawia, dla dogodzenia swej zemście, ożenić go z Podstoliną. A Podstolina niebardzo się wzbrania, owszem gotowa porzucić starszego narzeczonego dla — młodszego. Daremne prośby, daremne błagania, na wszystkie zaklęcia odpowiada Wacławowi Rejent, że dba tylko o jego szczęście i dodaje słodko »Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba«. Ażeby plan swój ubezpieczyć tem lepiej, spisuje umowę, według której ta strona, któraby zerwała układ małżeński, ma zapłacić drugiej stronie 100.000 złp. Wacław w rozpaczy! Na szczęście dowiaduje się o niegodnych zamysłach Rejenta Raptusiewicz i nie rozumując wiele, postanawia nie tylko przeszkodzić całemu planowi, ale wypłatać jeszcze Rejentowi porządnego figla. Nie odbierzesz ty mi narzeczonej — myśli z radością — ale ja ci syna zabiorę. Pozna szlachcic, »jak się panu w kaszę dmucha«! Sprowadza tedy podstępem do swego domu Wacława i każe mu wybierać jedno z dwojga: albo więzienie, albo rękę Klary. Nie dwa razy Wacławowi taką rzecz powtarzać. Przecie on Klarę kocha gorąco, a tylko ojciec stał dotychczas na przeszkodzie. Ślub odbywa się na poczekaniu w zamkowej kaplicy! Ale Cześnik, zajęty »swataniem« bratanicy z Wacławem, zapomniał, że miał się stawić o oznaczonej godzinie w lesie, żeby się rozprawić na szable z Rejentem. Rejent tedy, który czekał napróżno, przybywa sam w dom Cześnika w chwili, kiedy Wacław z Klarą wychodzą z kaplicy — jako małżeństwo. Wściekłość go ogarnia. Ale tak już nauczył się nad sobą panować, że tylko wyrzuca przez zęby urywane słowa »To... za wiele...« Co? za wiele? — odpowiada Cześnik

Tyś mi ukradł moją wdowę,
By ją zmienić na synowę —
Jam zatrzymał twego syna,
By mu sprawić tu wesele —
Masz więc byka za indyka!

Kiedy sytuacya staje się niesłychanie naprężoną, nagle słowa Podstoliny nadają wszystkiemu inny obrót. Okazuje się, że majętną wcale ona nie była, że zatem Wacław nie pomnożyłby bynajmniej przez ten ożenek majątku. A Rejent jest chciwy, Rejent tem się głównie cieszył, że Cześnikowi odbierze narzeczonę bogatą. Gdy więc teraz w dodatku Klara zobowiązuje się z swego majątku wypłacić Rejentowi 100,000, jako odszkodowanie zastrzeżone umową, nie pozostaje mu nic innego, jak pogodzić się z faktem i uznać małżeństwo syna z Klarą. Zemsta, którą knuli Cześnik i Rejent, wyszła na dobre Wacławowi i Klarze.

To treść komedyi, ale czyż zwięzłe podanie osnowy może dać wyobrażenie o zaletach utworu? Podana treść, to tylko jak gdyby skielet, a właśnie ten skielet — osnowa odgrywa we wszystkich komedyach Fredry mniej ważną rolę. Główne ich znaczenie spoczywa w sytuacyach, a przedewszystkiem w charakterach. I tu więc nakreślenie charakterów kilku postaci rozstrzyga o wartości utworu, a do takich właśnie mistrzowsko przedstawionych typów należą Cześnik, Papkin, Rejent. Zamiast mówić o nich, posłuchajmy ich samych.

Przypominamy sobie, jak to Cześnik wysłał Papkina w dom Rejenta, ażeby wyzwał go na pojedynek. Papkin, łgarz wielki, tchórz udający junaka, nie bardzo był skorym do tego poselstwa, bo się bał po prostu Rejenta. Z nieśmiałością więc wielką wstępuje w jego progi, a wsuwając się trwożliwie, zapytuje słodko:

Wolno wstąpić?

Rejent. Bardzo proszę.

Papkin (z najniższym ukłonem i nieśmiało).
Pana domu i Rejenta
Widzieć w godnej tej osobie,
Chluba wielka, niepojęta,
Spada na mnie w tejże dobie,
Jak niemylnie, pewnie wnoszę.

Rejent (pokornie). Tak jest — sługa uniżony.
Wolnoż mi się w odwet spytać,
Kogom zyskał honor witać?

Papkin (na stronie). Hm! pokorna coś szlachciurka,
Z każdem słowem daje nurka.
Niepotrzebne miałem względy.
(śmielej). Jestem Papkin.

(Rejent wskazuje z ukłonem krzesło na środku. Papkin przypatruje się z uwagą Rejentowi, który, jak zawsze, z założonemi na piersiach rękoma, nieporuszenie w miejscu stoi. Papkin mówi dalej — do siebie).

Jak uważam,
Skończę wszystko bez pomocy.
(głośno, wyciągając się na krześle)
Jestem Papkin — lew północy;
Rotmistrz sławny i kawaler —
(okazując gestem wstęgi orderowe)
Tak, siak, tędy i owędy.
Mądry w radzie, dzielny w boju,
Dusza wojny, wróg pokoju.
. . . . . .
Jednem słowem krótko mówiąc,
Kula ziemska zna Papkina.
Teraz, bratku, daj mi wina.

Rejent (po krótkiem wahaniu, na stronie)
Nemo sapiens nisi patiens [1]).

(Dostaje butelki z pod stolika; — patrzy w nią do światła, nalewa lampeczkę i podaje Papkinowi, który tymczasem mówi co następuje:)

Papkin (na stronie). O! — Brat szlachcic tchórzem podszyt!
Po zleceniu od Cześnika
Może sobie udrę łyka (nakrywając głowę).
(pije) Cienkusz! (pije) deresz! (pije).
Rejent (na stronie). Nadto śmiało.
Papkin. Istna lura, Panie bracie,
Cóż, lepszego tu nie macie?
Rejent. Wybacz Waszmość, lecz nie stało.
Papkin. Otóż to jest szlachta nasza!
(ze wzgardą). Siedzi na wsi — sieje, wieje —
Zrzędzi, nudzi, gdera, łaje,
A dać wina — to nie staje.

(Idzie do stolika, nalewa sobie; Rejent nieporuszony prowadzi go oczyma).

Nie proś, nie nudź, hreczkosieju,
A lepszego daj u dyaska!
Rejent. Ależ, mości dobrodzieju...
Papkin (pijąc). Mętne, kwaśne nad pojęcie —
Istna lura, mój Rejencie!
Rejent (na stronie). Cierpliwości wiele trzeba;
Niech się dzieje wola Nieba.
(z ukłonem) Pozwól spytać, Panie drogi,
Gdyż nieznana mi przyczyna,
Co w nikczemne moje progi
Marsowego wiedzie syna?
Papkin (rozpierając się na krześle przy stoliku).
Co? — Chcesz wiedzieć?
Rejent. Proszę o to.
Papkin. Więc staję tu, wiedz niecnoto,

---

[1]) Bez cierpliwości niema mądrości.

Z strony Jaśnie Wielmożnego
Cześnika Raptusiewicza,
Co go ranka dzisiejszego
Twych służalców sprośna dzicza,
Godna jednak pryncypała,
W jego zamku napaść śmiała.

Rejent. Mówże, Waszmość, trochę ciszej,
Jego sługa dobrze słyszy.

Papkin. Mówię zawsze podług woli.

Rejent. Ależ bo mnie głowa boli.

Papkin (jeszcze głośniej). Że tam komu w uszach strzyka,
Albo że tam czyj łeb chory,
Przez to nigdy w pieśń słowika
Nie odmienią głos stentory.

Rejent (słodko). Ależ bo ja mam i ludzi,
Każę oknem cię wyrzucić,

(Papkin w miarę słów Rejenta wstaje zwolna, zdejmując kapelusz).

A tam dobry kawał z góry.

Papkin. O, nie trzeba.

Rejent. Jest tam który!
Hola!

Papkin. Niech się Pan nie trudzi.

Rejent. Pan jak piórko stąd wyjedzie.
(do służących). Czekać w czterech tam za drzwiami!

Papkin. Ale nacóż to, sąsiedzie,
Tej parady między nami?

Rejent. Teraz słucham Waszmość Pana.
(sadzając go prawie gwałtem).
Bardzo proszę — bardzo proszę;
(siada blizko, naprzeciwko).
Jakaż czynność jest mu dana?
(nie spuszcza z oka Papkina).

Papkin. Jesteś trochę nadto żywy;
Nie wiedziałem, Bóg mi świadkiem,
Że tak bardzo masz słuch tkliwy —
Przestrzeż, proszę, gdy przypadkiem
Jakie słówko głośniej powiem.

Przepysznie nakreślona scena! Ów tchórzliwy, potem uzuchwalający się, a potem znów truchlejący ze strachu Papkin i ten Rejent cichy, potulny, zapowiadający Papkinowi z nieporównaną słodyczą, że każe go oknem wyrzucić, są nakreśleni w krótkiej tej scenie tak świetnie, z taką wyrazistością, że nie patrząc się na nich widzimy ich, nie słuchając — słyszymy. A ileż śmieszności tkwi w tem przerażeniu Papkina, w tem zdjęciu przezeń kapelusza w chwili, gdy usłyszał zapowiedź napowietrznej podróży! Dodajmy, że słodki Rejent groźbę spełnił, a dzielny Papkin potoczył się ze schodów...

Gdybyśmy chcieli przypomnieć tu wszystkie równie wyborne sceny,

musielibyśmy chyba całą prawie »Zemstę« przepisać. Charaktery zarysowują się w nich z nadzwyczajną wyrazistością, wprowadzone osoby poznajemy nawskróś. Przeciwieństwem Rejenta jest — jak wspomnieliśmy — Cześnik. Porywczość i samowola — oto dwa jego pierwszorzędne znamiona. Chce uwięzić Wacława... — pomysł nieco za śmiały, ale łatwiejszy do zrozumienia, niż to, że chce go żenić z Klarą na poczekaniu, nie zastanowiwszy się ani chwili nad tem, czy ona pragnie tego związku, czy będzie szczęśliwą z mężem, którego jej stryj wyszukał w przeciągu minuty. To coś więcej niż samowola, to lekkomyślność, to igranie z szczęściem drugich.

A jednak Cześnika lubimy. Dlaczego? Bo jest on wyobrazicielem, typem tej części szlachty, która, chociaż od wad nie wolna, choć grzeszy zapalczywością i nierozwagą, strzeże jednak praw honoru, do obłudy nie posunie się nigdy, a jak skorą jest do gniewu i zemsty, tak też skłonną do przebaczenia. Rejent przeciwnie przedstawia w osobie swojej owych pieniaczy z czasów saskich, tych krętaczy bez krzty sumienia, ukrywających pod maską słodyczy i uległości najgorsze popędy. Dodajmy, że dwa te typy zachowały się wśród Polaków do dzisiaj. I stąd to znaczenie niezwykłe tej komedyi — w Cześniku i w Rejencie obaczą się jak w zwierciadłach tysiące i setki tysięcy osób. Ogólny pomysł komedyi przypomina Zabłockiego »Sarmatyzm«, ale Fredro prześcignął o wiele swego poprzednika.

»Zemsta« jest arcydziełem i wskutek świetnej charakterystyki osób i budowy wzorowej i sytuacyi niezwykle zabawnych. W »Panu Jowialskim« podziwiamy głównie sposób nakreślenia kilku postaci. Dobrze nam w dworku państwa Jowialskich. Serdeczność tu panuje prawdziwa, gościnność ogromna, humory u wszystkich doskonałe — życie płynie jak w jakiejś krainie z baśni, bez trosk, wstrząśnień, bez bólów. Tak, jest dużo serdeczności, humoru, ale baczny widz, uśmiawszy się do syta z wszystkich bajeczek i przysłowi Pana Jowialskiego, z klatek dla ptaszków, robionych przez jego syna Szambelana, z wszystkich figlów, które obmyśla się pilnie w domu państwa Jowialskich, zapytuje się wreszcie: jakto? i to treść życia tych ludzi, żadnej tam poważniejszej myśli, żadnego dążenia? Niestety! »Historya ogromnie wesoła i ogromnie przez to smutna!« — śmiech i na śmiechu się kończy.

Młody Jowialski (Szambelan) ma córkę Helenę. O rękę jej stara się niejaki pan Janusz, ale Helena go nie kocha. Matka napiera na nią, by

nie odrzucała konkurenta — biedna dziewczyna sama nie wie, co robić. Nadzieja jej w ojcu i w dziadku. Ale niestety ojciec — to stare dziecko, zakochane w ptaszkach, klatkach i pułapkach, a dziadek... dziadek rozsądniejszy niewątpliwie, ale niestety niczem się poważniej nie zajmie; on lubi śmiać się, żartować, a nadewszystko — mówi przysłowia i bajeczki.

Helena chciałaby poradzić się dziadka, jaką ma dać odpowiedź Januszowi. Właśnie mówiła o konkurencie swoim z ojcem, Szambelanem, ale od niego nie dowiedziała się niczego: w przeciągu kilku minut poradził jej iść za Janusza, nie iść, zwlekać z odpowiedzią. W tej chwili wchodzi dziadek Jowialski.

P. Jowialski. Dzień dobry, panie Janie: jak się masz, Helusiu. — Co tam słychać?

Helena. Nic, kochany Dziaduniu.

P. Jowialski. Nic, to zbytku niema.

Szambelan. Radziliśmy trochę.

P. Jowialski. Gdy szukasz rady, strzeż się zdrady.

Helena. Między mną a ojcem tego lękać się nie można.

P. Jowialski. Zapewne, zapewne, ale przez to przysłowie dobre. I o czemże była rada.

Szambelan. O tem, czy ma iść za Janusza, czy nie iść.

P. Jowialski. Na czemże stanęło? bo: koniec dzieło chwali.

Szambelan. Jeszcze na niczem, podobno, wszak prawda?

Helena. Na niczem.

Szambelan. Nie dość jeszcze zna — jak powiada — swego wielbiciela.

P. Jowialski. Zjesz beczkę soli, nim poznasz dowoli.

Helena. Właśnie dlatego waham się jeszcze i prosiłam o trzy dni do namyślenia się; a jeżeli Dziadunio Dobrodziej będzie łaskaw, to mi jeszcze na tydzień zezwoli.

P. Jowialski. A jeżeli się oglądasz na to, że jaki może lepszy trafi się zalotnik — rzecz niepewna. Lepszy wróbel w garści, niż kanarek na powietrzu.

Helena. Ja też zupełnie pana Janusza nie odprawiam — o zwłokę tylko proszę.

P. Jowialski. Jak czasem przebieranie na złe wychodzi, nauczy mała bajeczka o osiołku — znacie ją?

Wszyscy. Znamy.

P. Jowialski. Więc słuchajcie: (Przytacza znaną bajeczkę o »oślinie«, która »pośród jadła z głodu padła«).

Helena. Jednak, kochany Dziaduniu Dobrodzieju, lepiej nie mieć męża, jak mieć niedobrego.

P. Jowialski. To niedowiedzione. — Lepszy rydz, niż nic.

Helena. Nie chciałabym matki obrażać, a i o moją spokojność, o moje szczęście idzie mi także niemało.

P. Jowialski. Między młotem a kowadłem.

Helena. Może też i matka...

P. Jowialski (sens kończąc). Nie będzie tak uparta. — O, tak! Im kot starszy, tem ogon twardszy.

Biedna Helena! poradził jej już ojciec i dziadek. Wiele może z tych rad skorzystać! Ale czytelnik, czy widz, nie o Helenie myśli w pierwszej chwili, nie ubolewa nad nią bynajmniej, bo jego wyobraźnia zajęta jest dwoma świetnie nakreślonemi postaciami, właśnie ojcem i synem Jowialskim. I śmieje się szczerze i serdecznie, słuchając, jak syn co minuty wypowiada sprzeczne zdania, a ojciec do wszystkiego wynajduje na poczekaniu stosowne przysłowia. Ale kiedy doczyta sztuki do końca, spostrzega, że z poza zabawnych scen i postaci prześwieca myśl niewesoła. Zwróciliśmy już na to uwagę, że w poczciwym domu państwa Jowialskich nikt się niczem poważnem nie zajmie — wszyscy pożądają tylko śmiechu i śmieją się też do syta. Ale Jowialski ojciec, choć poza przysłowiami swemi świata nie widzi, ma przynajmniej myśl bystrą, rozsądek zdrowy, a w danej chwili potrafiłby zapewne i działać — Jowialski syn (Szambelan) jest już wprost dzieckiem, bez własnej woli, bez sądu i zdania, a kiedy za przykładem ojca zechce powiedzieć przysłowie, to wypowiada takie mądre uwagi, jak: »Łatwo grubemu kijkowi... nie: Łatwiej cienki... źle: Gruby cienkiego kijka... nie, nie: Łatwo kijek grubowego...« i t. d. Ojciec mógłby być pożytecznym, ale mu to nie w głowie, woli się bawić i śmiać, syn odziedziczył po ojcu słabe jego strony, ale zalet nie odziedziczył. Gdyby komedya ta miała być obrazem dwóch pokoleń i ich wartości moralnej, to obraz byłby niezwykle smutny.

Fredro jednak nie chciał — jak się zdaje — wyprowadzać wniosku ogólnego, może raczej pragnął zwrócić tylko uwagę, żeśmy skłonniejsi do naśladowania wad swoich ojców, niż do pielęgnowania ich zalet. Młodym zaś wybaczał nawet lekkomyślność, wiedząc, że przywara to u nich powszechna. Lekkomyślny Gustaw w »Ślubach panieńskich« zdobywa

sobie przebojem sympatyę czytelnika, bo wadę lekkomyślności wynagradza sprytem, dowcipem, a nadewszystko szlachetnem, złotem sercem. Śmiejemy się natomiast ze statecznego, poważnego, ale płaksiwego mazgaja, Albina.

Nie sposób nam omawiać wszystkie komedye Fredry i podnosić wszystkie ich zalety. Tom cały musielibyśmy im poświęcić, boć do wybornych należy również i »Dożywocie« i »Ciotunia« i »Damy i huzary« i »Zrzędność i przekora« i liczne z pośród komedyi »pośmiertnych« — od roku bowiem 1835., z nieznanego dobrze powodu nic już Fredro nie drukował. Taka w nich moc ogromna zabawnych typów, wysoce śmiesznych sytuacyi, wyrażeń dowcipnych, że trudno nam zrozumieć, skąd znalazło się w głowie komedyopisarza tyle świetnych pomysłów. Niewątpliwie brał je z życia. Fredro miał bowiem przedziwny a rzadki dar podchwytywania śmiesznostek ludzkich i niezwykle plastycznego ich odtwarzania. Idąc za wzorem Moliera, nie przedstawiał on ludzi przeciętnych, jakich się w życiu spotyka, ale typy, a więc ludzi łączących w sobie właściwości wielu osób. Postępował zatem podobnie jak Zabłocki, lecz w tem był wyższym od niego, że w postaci swoje tchnąć umiał wielką siłę życia i prawdy. W osobach, stworzonych przezeń, pozna się niewątpliwie każde pokolenie — tak umiał on przeniknąć do głębi niezmienną po wsze czasy naturę ludzką. Tacy Cześnicy lub Rejenci, jak byli przed stu laty, tak są i dzisiaj, choć zmieniły się stosunki, myśli, wyobrażenia — i dlatego jak dla przodków naszych, tak i dla nas jest przedstawienie »Zemsty« prawdziwą ucztą duchową.

A cóż mówić o innych zaletach utworów Fredry? Wypadki biegną w nich żywo po sobie, zwrot w nich nastąpi właśnie tam, gdzie go najbardziej potrzeba, śmieszność wyniknie zawsze z charakterów osób, a nie z sztucznie wymyślonych sytuacyi.

Język Fredry pełen życia, siły, a przytem wielkiej prostoty, ma tę jeszcze niepoślednią właściwość, że zmienia się stosownie do potrzeby, że rozmaite osoby przemawiają w utworach jego w różny sposób.

Jest też Fredro w literaturze naszej postacią niezwykle szanowną, wielką. On dopiero postawił komedyę polską na wyżynie europejskiej, on pierwszy stworzył w tej gałęzi piśmiennictwa prawdziwe arcydzieła. A że arcydzieła te są nawskróś narodowe, że dusza polska może się w nich przeglądnąć, jak w zwierciedle, za to nie tylko cenimy go, ale także kochamy.

Wówczas, gdy Fredro przestał już zasilać teatr lwowski i warszawski swemi sztukami, uwagę ogólną zwrócił na siebie autor inny, który rozpocząwszy jeszcze w roku 1815. zawód literacki, w pięć lat później zwrócił się do dramatu, a choć przebojem nie zdobył sobie uznania publiczności, z czasem jednak potrafił pozyskać sobie jej względy i niemałą wziętość. To Józef Korzeniowski (ur. 1797., um. 1863). Na niektóre właściwości jego utworów wpłynął może zawód, któremu się poświęcił, był bowiem nasz autor profesorem (w Krzemieńcu i Kijowie), potem dyrektorem w gimnazyum charkowskiem, a z czasem inspektorem szkolnym i dyrektorem wydziału w Komisyi wyznań i oświecenia. Może w tym rodzaju zajęć tkwi po części źródło owej chętki moralizowania, tak częstej w jego komedyach.

Wśród utworów dramatycznych znajdują się niektóre bardzo piękne jak »Mnich«, przedstawiający ostatnie chwile Bolesława Śmiałego w klasztorze ossyackim, jak »Andrzej Batory«, ale największego uznania doznał dramat p. t. »Karpaccy górale«. Świetnie tu przedstawiona postać Hucuła: Antka Rewizorczuka, jego przywiązanie do gór ojczystych i do swobody, jego szlachetna duma i pogarda śmierci, a nawet jego mściwość, gdy doznaje okrutnej krzywdy ze strony nieludzkiego mandataryusza. Charakter ludu i obyczaj jego pochwycone też trafnie i oddane z siłą. Niektóre z pieśni pomieszczone w dramacie jak »Czerwony pas, za pasem broń«, lub »Hej bracia opryszki, dolejcie do czary« stały się już dziś własnością ogółu polskiego, choć wielu nie wie, skąd one pochodzą i kto jest ich autorem.

W komedyach nie stanął Korzeniowski na tej wyżynie, co w dramacie. Napisał ich wiele, niektóre, jak np. »Żydzi« lub »Panna mężatka« mają nawet trwalszą wartość, ale wogóle w utworach tych niema ani tego humoru, którym Fredro odrazu podbija czytelnika, ani tej zdolności żywego, wyrazistego przedstawiania postaci. Jest za to co innego, jest zwrot ważny w naszem komedyopisarstwie: przejście (pod wpływem nowszych komedyi francuskich) od kreślenia typów do przedstawiania ludzi takich, jakich spotykamy w życiu — obdarzonych zatem nie rysami ogólnymi, lecz osobistymi. Krok to ważny, płodny w następstwa, bo odtąd typy nie powrócą już do naszej komedyi.

Ośmieszał Korzeniowski w swych komedyach marnotrawców, próżniaków, szalbierzy, plotkarzy i plotkarki, modnisiów i kokietki, kreślił wady w barwach jaskrawych, ażeby je obrzydzić, występował w roli kaznodziei,

prawił nauki przez usta wprowadzonych do sztuki osób. Mają więc komedye jego wyraźny cel, wybitnie zaznaczony, czyli innemi słowy mają zawsze tendencyę. I to również szczegół ważny, bo odtąd w komedyopisarstwie naszem rozpocznie się cały szereg tendencyjnych utworów.

Komedye Korzeniowskiego, prócz kilku wybitniejszych, są już dziś ogółowi prawie nieznane, ale też nie one są najlepszą cząstką jego twórczości. Korzeniowski bowiem zasłynął głównie jako powieściopisarz, stworzywszy w tym dziale kilka wybitnych utworów.



Fig. 104. Michał Czajkowski.

Powieść, jak i komedya przed Fredrą, nie miała u nas prawdziwie wielkich przedstawicieli. Zjawił się wprawdzie na emigracyi talent niepowszedni Michał Czajkowski i dał szereg barwnych powieści, osnutych na tle stosunków polsko-kozackich, ale bohaterowie jego poczęli niebawem być wszyscy podobni do siebie jak bracia rodzeni, czytelnik znał ich ubiór i ruchy, ale duszy ich nie poznawał, a choć widział ich wśród rozmaitych tajemniczych zdarzeń, nie wiedział, co oni tam porabiają, zdarzeniami bowiem rządził najczęściej przypadek. I Czajkowski więc mimo zdolności wielkiej, mimo prawdziwie poetycznej wyobraźni nie stworzył arcydzieła żadnego.

Inaczej pojął rolę powieściopisarza Józef Korzeniowski. Nie poematy chciał on pisać, ale przedstawić to, co widział, odtworzyć życie. Nie szukał też ani nadzwyczajnych zdarzeń, ani ludzi niepospolitych, ani namiętności potężnych, owszem najchętniej przebywał w świecie codziennych zatrudnień, interesów i pożądań. Wśród postaci w jego powieściach czytelnik spotyka dobrych swoich znajomych, widzi ten świat, który go właśnie otacza.

Któż naprzykład nie poznał w swojem życiu bodaj jednego łowcy posagowego? — zjawisko to przecie i gdzieindziej i u nas dość częste. A Korzeniowski w pierwszej swej większej powieści p. t. »Spekulant«

wprowadza takiego właśnie »myśliwca«. Jest nim niejaki pan August Molicki, który wobec panny Klary Wołczyńskiej udaje miłość, udaje nawet porządnego człowieka, choć jest szulerem i oszustem, byle tylko upolować piękny jej posag. Łowy nie udają się niestety. Rodzice panny poznali się na oszuście i wypowiedzieli mu dom, a Klara, choć sprzyjała gorąco Augustowi, na zaklęcia matki wyszła za niekochanego Marszałka. Z czasem poznała się jednak na zaletach serca i charakteru małżonka i znalazła w życiu rodzinnem spokój i szczęście.



Fig. 105. Józef Korzeniowski.

Wszystko to sprawy codzienne i ludzie powszedni. Są wśród nich źli, są szlachetni, ale niema niepospolitych. A cóż częstszego, jak przedstawione tu dzieje serca kobiecego? Ileż to dziewcząt kocha się skrycie czy jawnie w pierwszym poznanym elegancie, ileż z nich doznaje rozczarowania, ile wychodzi za mąż bez miłości, aby potem dopiero poznać, co jest prawdziwą podstawą i warunkiem tego uczucia. Istotnie, codzienne dzieje! A jednak mimo niewyszukanych sytuacyi i myśli przewodniej nienowej powieść podoba się, jest ładną, ba jest jedną z najlepszych przed rokiem 1850. Dlaczego? bo świat, choć pospolity, pochwycony został trafnie, a oddany z wielką prawdą, bo ludzie tu żyją, a charaktery — ujemne zwłaszcza — odznaczają się prawdziwą plastyką, a przytem powieść pisana w sposób pogodny, miły, z istotnym, ujmującym wdziękiem...

To samo da się powiedzieć i o innej powieści, »Kollokacyi«, wydanej w rok po »Spekulancie« (1847). Większa tu jednak rozmaitość charakterów i — więcej satyry.

Wyraz »Kollokacya« oznacza częściowe posiadanie jednej majętności przez wielu właścicieli. Takimi kollokantami jest szlachta Czapliniecka, żyjąca nad stan, naśladująca niezręcznie wielkich panów, a przez to bardzo śmieszna. Siedzący pod pantoflem żony pan Płachta, strojąca się w aksamity pani Płachcina, usiłujące mówić po francusku panny Płachcianki, za-

wodzący czułe pienia pan Jakób, porozumiewający się zapomocą wąsów bracia Smyczkowscy, to wszystko są figury tak zabawne, że mogłyby się znaleźć w najlepszej komedyi. A obok nich dopiero — szczupak dybiący na karasie: pan prezes Zagartowski, człowiek słodki, ach jaki słodki, wydziedziczający powoli nieopatrznych kollokantów — postać tak świetna, że na zawsze pozostaje w pamięci czytelnika.

Wogóle Korzeniowski okazał wielki dar kreślenia postaci ujemnych lub śmiesznych. Zwłaszcza zewnętrzne znamiona osób, ich poruszenia, gesty, strój — to wszystko występuje bardzo plastycznie.

Obdarzony sam umysłem trzeźwym, w którym rozsądek odnosił zawsze zwycięstwo nad zapałem i wyobraźnią, miał też w powieściach swoich (jak w komedyach) zawsze cel praktyczny na oku, zachwalał oszczędność, pracowitość, posłuszeństwo wobec starszych i mędrszych, wytrwałość w przedsięwzięciach. Poruszał się głównie wśród świata szlacheckiego, choć nie stronił też od sfer rzemieślniczych (jak w »Krewnych«).

Całość jest zawsze starannie obmyślana, opisy barwne, język ładny, pełen prostoty. W stosunku do tego, co było, do niedawna, stanowi Korzeniowski postęp ogromny. Ale ruch w tej dziedzinie piśmiennictwa ożywia się wogóle pod koniec pierwszej połowy wieku niezwykle. Kraszewski, o którym później szerzej pomówimy, pisze coraz to lepiej, zjawiają się poczytne powieści Grabowskiego, wyrasta niespodzianie gawęda i powieść szlachecka, »szlachetczyznę« uwielbiająca. Pierwszym, który niedwuznacznie wystąpił w obronie onej szlachetczyzny, »sarmatyzmu«, był

Henryk hr. Rzewuski (ur. 1791., um. 1866). Od ojca przejął niechęć ku konstytucyi 3. maja, a niechęć tę starał się później uzasadnić w sposób rozumowy. Posunął się nawet z czasem do twierdzenia tak niedorzecznego, jak to, że czem w kościele są kacerstwa, tem w społeczeństwie reformy. Jedne i drugie prowadzą do rozkładu. Przykładem właśnie konstytucya 3. maja, która, zniszczywszy Rzeczpospolitę szlachecką, doprowadziła Polskę do zguby...(!)

Tak zapatrujący się na przeszłość naszą autor wystąpił w r. 1839. z szeregiem gawęd staropolskich p. t. »Pamiątki Imci Pana Seweryna Soplicy«. Trudno jednak było wywnioskować z tych obrazków, jakie są zapatrywania pisarza, osobą opowiadającą uczynił bowiem pana cześnika Seweryna Soplicę. Obdarzył zaś tego szlachcica, pamiętającego czasy saskie, przedziwnym darem opowiadania. Ot gawędzi sobie pan cześnik, a przed nami jak żywe powstają postaci Rejtana, ks. Radziwiłła Pa-

nie Kochanku, księdza Marka, Stanisława Augusta, starosty kaniowskiego Potockiego..., przewija się jakby w szeregu pysznych malowideł niewysokie pod względem duchowym, ale barwne życie szlachty przy schyłku XVIII. wieku, orgie, pijatyki, bójki, rozpędzanie trybunałów, a obok tego posty i biczowania... Szalony taniec, wystawiony jako wzór dobrych obyczajów

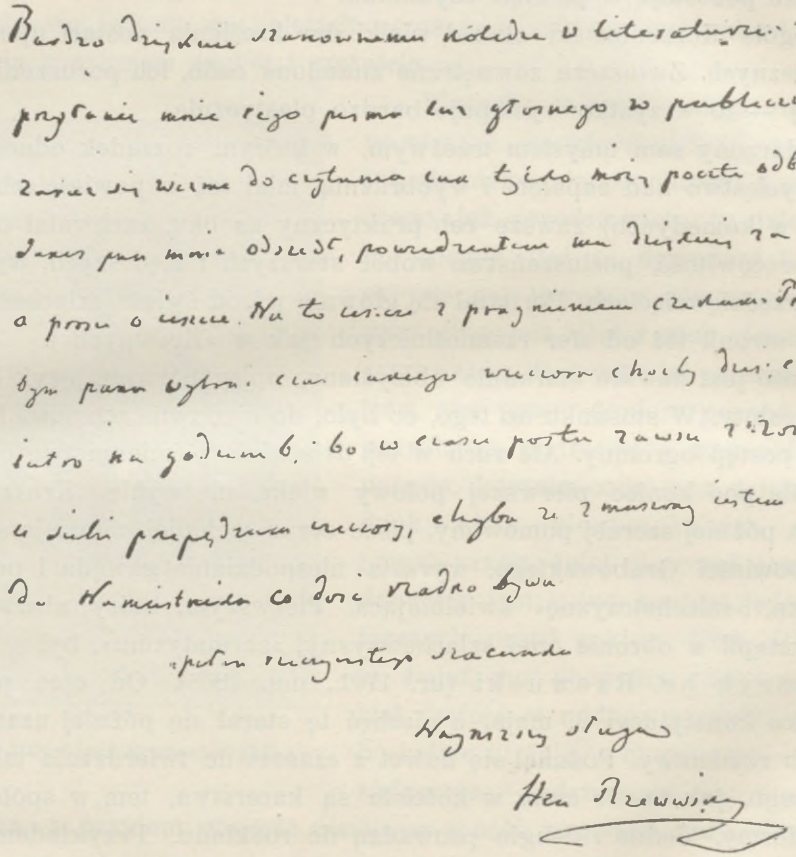

Fig. 106. Rękopis Rzewuskiego.

przez pana cześnika parnawskiego. A jakaż to niezrównana postać sam ów pan cześnik Soplica. Wierzy on np. święcie w równość szlachecką. »Wszyscyśmy — woła — równi byli między sobą. Pan był szlachcicem bogatym, a szlachcic był panem ubogim... Szlachcic najuboższy był równy magnatowi...« i mimo tę wychwalaną równość całuje pan cześnik magnatów w kolana i pada im do nóg jak długi, mimo tę równość broni niesłusznej sprawy księcia Radziwiłła, boć chleb jego jadł »i to smaczny«, mimo

równość głosuje, jak mu pan każe, a przed podróżą do »równego« sobie starosty kaniowskiego spowiada się, nie wiedząc, czy odjedzie żyw z jego zamku. To też cześnik ze swoją uniżonością wobec »braci« magnatów, ze swoim patryotyzmem Radziwiłłowskim, ze swoją religijnością, która polega na odmawianiu różańców i przestrzeganiu postów — jest świetnym przedstawicielem owej ciemnej masy szlacheckiej, której nic już nie poradziły hasła wieku oświeconego. Współcześni podnieśli okrzyk zachwytu, czytając przepyszne owe obrazki. Istotnie było się nad czem unosić. Podziw powiększała nieznana dotychczas prostota opowiadania. Zdaje się, że w opowiadaniu tem niema zgoła żadnej sztuki, i w tem właśnie leży sztuka największa.

Jeśli jednak »Pamiątki Soplicy« są arcydziełem, to na miano to zasługuje w szerszej mierze »Listopad« (1845), powieść kreśląca już nie pewne tylko sceny, lub postaci z życia szlachty w XVIII. wieku, ale dająca rozległy jego obraz. Pierwsza to znakomita nasza powieść historyczna.

Osnuta jest na tle wypadków przed i podczas konfederacyi barskiej. Dwaj bracia, Ludwik i Michał Strawińscy, odbierają wskutek szczególnych warunków wprost odmienne wychowanie. Starszy, Ludwik, jako młodzieniec kilkunastoletni nosi już suknię francuską a pluderki niemieckie, młodszy Michał za nic nie zrzuciłby swego kontusika i żółtych butów. Los rozdzielił ich już od młodości. Ludwik udaje się do Francyi, wstępuje tam do wojska, pozyskuje szacunek i zaufanie wodzów. Miły, przystojny, układny, dowcipny zdobywa sobie przebojem serca kobiece. Tam też w Paryżu zawiera znajomość z panem stolnikiem litewskim a przyszłym królem polskim, Stanisławem Poniatowskim. Bardzo mu się przysłużyła ta znajomość, bo gdy powrócił do Polski, Stanisław August, siedzący już na tronie, obdarzył go rozmaitemi godnościami i uczynił naczelnikiem kancelaryi królewskiej.

Inną drogą poszedł Michał. Odbywszy praktykę u głośnego w swoim czasie prawnika, za pożyczone na procent od ojca pieniądze otworzył kancelaryę i wnet pozyskał sobie wśród szlachty wziętość i rozgłos. Gdy zawrzała walka między Radziwiłłem a królem, on stanął po stronie książęcej. Po wojnie osiadł przy boku ojca i zaręczył się z córką znajomego jenerała, Zofią Kunicką. Przy łożu śmiertelnem ojca zdołał wyprosić u konającego, by nie wydziedziczał starszego swego syna, Ludwika.

Niebawem dwaj bracia mają po długiej rozłące ujrzeć się i bliżej poznajomić. Ludwik przybył w sprawach politycznych i majątkowych na Litwę

i tu na dworze nieświeskim poznał narzeczoną Michała. Pannie, która nie kochała narzeczonego naprawdę, podobał się ogromnie modny, wielkoświatowy kawaler, a gdy Ludwik musiał potem zabawić czas dłuższy u ojca jej w sprawie działu majątkowego, młodzi poznali się bliżej i — pokochali. Z czasem przyszło do wyznań wzajemnych i do — porwania Zofii przez Ludwika.

Tymczasem w kraju zawrzało. Zawiązała się konfederacya barska, a w jej szeregi wstąpił nieszczęsny Michał. On to zdołał dotrzeć w przebraniu do Warszawy i wręczyć królowi pozew konfederatów. Plan jednak porwania króla nie powiódł się, Stanisława Augusta ocalił Ludwik, schwytawszy sprawców zamachu, a między nimi brata własnego, Michała. Michał ma być stracony. Ludwik w rozpaczy. On temu bratu, który zawsze wobec niego kierował się uczuciem rodzinnem i najwyższą szlachetnością, odebrał najpierw narzeczoną, a teraz ma się stać pośrednim sprawcą jego śmierci! Błaga Stanisława Augusta o zmiłowanie... nadaremnie! Pragnie ułatwić bratu ucieczkę z więzienia — ale Michał plan ten odrzuca bez wahania. Wszystko stracone. Ludwik popada z rozpaczy w śmiertelną chorobę, a tymczasem Michał ponosi śmierć z ręki kata. Powróciwszy do zdrowia, postanawia Ludwik Strawiński opuścić znienawidzonego teraz króla i przenieść się do Francyi. Ale oto wpada mu do ręki artykuł gazety francuskiej, w której wyczytuje, że on, Strawiński, podle zdradził własnego brata, aby tylko dostąpić zaszczytów. Tego już za wiele, tego już i on przenieść nie może. Wystrzałem z pistoletu odbiera sobie życie. Wdowa po samobójcy, nieszczęśliwa Zofia, stara się znaleźć pociechę w Bogu i w miłosiernych uczynkach.

Taka jest osnowa powieści, w najogólniejszych — rozumie się — rysach. Ale nie na tej osnowie, choć bardzo pięknej i wzruszającej, polega jej wartość. Osnowa jest tu nawet rzeczą mniej ważną, o wartości rozstrzyga mistrzowskie malowidło dwóch światów: staroszlacheckiego, którego przedstawicielami są ojciec Strawińskich, Michał, ks. Radziwiłł, jenerał Kunicki, ksiądz Kleofas... i reformatorskiego, dążącego do zmian politycznych i obyczajowych, który reprezentują znowu król, Ludwik, szambelan, ksiądz Prosper... Autor mimo bezsprzecznej sympatyi ku obozowi staropolskiemu i zachowawczemu potrafił zdobyć się na uznania godną bezstronność, po jednej i po drugiej stronie przedstawił jednostki szlachetne, pełne najlepszych chęci. Sposób opowiadania swobodny, szeroki. Autor bynajmniej nie spieszy do końca, kreśli obyczaje szlachty, sposób jej życia,

uczucia i myśli. Plastyka zaś rozlicznych postaci nie ustępuje zupełnie figurom w »Pamiątkach Soplicy«. Autor tak potrafił wmyślić się we wiek XVIII-ty, tak wcielić się w dusze ówczesnych ludzi, że nie chce się nam wprost wierzyć, by Rzewuski znał czasy te tylko z książek i opowiadania. Takim darem wnikania w różne czasy i w różnych ludzi odznaczają się tylko wielkie talenty.

Rzewuski był też powieściopisarzem naprawdę wielkim, a jego »Listopad« powieścią historyczną do Sienkiewicza może najznakomitszą. Ta to powieść obok »Pamiątek Soplicy« stała się podwaliną jego sławy i mimo niemiłych przekonań autora przekazała imię jego wdzięcznej pamięci pokoleń. Inne powieści Rzewuskiego nie stoją już na tej wyżynie.

Znaczenie naszego powieściopisarza jest w literaturze bardzo ważne. Od niego rozpoczyna się zwrot ku staroszlachetczyźnie, od niego bierze też początek gawęda szlachecka, sławiąca dawne czasy, jak gdyby jakiś wiek złoty.

Niezależnie od Rzewuskiego kreślił obrazy minionych czasów Ignacy Chodźko (»Obrazy litewskie«, »Podania litewskie«), ale nie dorównał autorowi »Pamiątek Soplicy« ani barwnością opisów ani plastyką przedstawianych postaci. Więcej natomiast u niego uczucia, silniej uwydatnia się gorąca, szczera miłość ojczyzny.

Nie wszyscy to powieściopisarze, którzy występują przed rokiem 1850., ale już z dzieł tu wspomnianych widać, że powieść rozwinęła się u nas w owych czasach znakomicie i że ona wraz z komedyą i dramatem podtrzymywała sławę piśmiennictwa krajowego. Prawda, że ani w powieści ani w dramacie nie poruszają autorowie tak ważnych i podniosłych zagadnień, jak czynią to w swoich utworach poeci nasi na emigracyi, ale czyż będzie się kto dziwił temu, gdy przypomni sobie ostrze cenzury, tępiącej wszystko, co mówiło o przyszłości, co wkraczało w zakres »poezyi wieszczej«.

W piśmiennictwie naukowem również postęp widoczny. Chociaż owoce badań naszych uczonych nie mogą się mierzyć z tem, do czego dochodzi w owych czasach nauka u ludów cieszących się wolnością, w każdym jednak razie robimy, co możemy, podążamy wytrwale za Europą, a tem, cośmy zrobili na polu nauk historycznych, możemy z nią nawet współzawodniczyć, w czasach tych bowiem nasze dziejopisarstwo może się poszczycić nowym genialnym talentem. Jest nim

Joachim Lelewel (ur. 1786., um. 1861). W życiu tego człowieka, któremu stało czasu i na wykłady uniwersyteckie w Wilnie (do r. 1824)

i na utrzymywanie żywych stosunków z młodzieżą i na działania polityczne przed i podczas powstania i na żmudne wreszcie, a uwieńczone świetnym skutkiem badania naukowe, uderza przedewszystkiem przedziwna, niesłychana wprost pracowitość. Pracował z zapałem i w Wilnie i w Warszawie, dokąd przeniósł się po r. 1824., ale podziw wzbudził dopiero tą zdolnością zaparcia się siebie i wyrzeczenia wszelkich uciech światowych, jaką okazał za granicą. Po upadku bowiem powstania musiał Lelewel, jak i inni, opuścić ojczyznę i wówczas to osiedlił się zrazu w Paryżu, a potem w Brukseli, gdzie zamknięty w ubogiej izbie spędzał w niej długie dnie, miesiące i lata, pochylony nad księgami, z twarzą wynędzniałą, oczyma zapadniętemi, ale siejącemi dziwny blask.

Niemały też był owoc tej pracy całego żywota. Badał zrazu dawniejsze kroniki polskie, przeszedł potem do studyów nad wiedzą geograficzną u starożytnych, poczem zajął się zebraniem wiadomości o najrozmaitszych dziełach polskich, o bibliotekach prywatnych i drukarniach. Sporządził z kolei spis i opis księgozbiorów u różnych narodów od czasów prastarych aż do najnowszych, wydał dzieło o pieniądzach w wiekach średnich i »geografię wieków średnich« (dwa ostatnie po francusku), a na ostatek szereg znakomitych prac w dwudziestu tomach pod zbiorowym tytułem »Polska, dzieje i rzeczy jej«. Już z krótkiego tego przeglądu można wywnioskować, jak rozległy zakres badań obejmował umysł tego uczonego, a jeśli dodamy, że wszystkie jego prace odznaczały się nadzwyczajną gruntownością, że w niejednej porobił odkrycia pierwszorzędnego znaczenia, czem prześcignął uczonych zagranicznych, dopiero zrozumiemy ów podziw, jaki wzbudził nie tylko w Polsce, ale także we Francyi, Belgii i Anglii. Umiał on nie tylko docierać do najbardziej ukrytych źródeł, ale potrafił także ocenić ich wartość, ich znaczenie, a z przekazanych przez nie wiadomości wydobywać bystre wnioski. Nie ograniczał się zaś w badaniach swych, jak dotychczasowi nasi uczeni, do źródeł rękopiśmiennych, ale przybrał do pomocy źródła nieznane — wykopaliska, monety, wykazując, że często mówią one o czasach i ludziach, o których zresztą zniskąd żadnych nie mamy wiadomości. Pouczał też, jak należy wykopaliska te badać, jak wnioskować, z którego wieku pochodzą, jak rozróżniać prawdziwe od fałszowanych. Pod tym względem jest Lelewel jednym z największych uczonych w całej Europie, a dla nas chlubą prawdziwą.

Ale Lelewel wystąpił również z nowym poglądem na dzieje Polski. Twierdził on, że gminowładztwo, a więc wiece, później zaś sejmiki i sejmy,

były przyrodzoną podstawą naszego bytu i rozwoju dziejowego i że w miarę, jak oddalaliśmy się od tych urządzeń republikańskich, cofaliśmy się wstecz. Uznawał przeto formę rządu republikańską jako jedynie odpowiednią dla Polski i zbawienną. Przeciwko temu jednak poglądowi wystąpili późniejsi nasi historycy z poważnymi zarzutami.



JOACHIM LELEWEL

w swej pracowni w Brukseli.

Fig. 107.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że wielki ów uczony napisał również bardzo przystępne, pod względem ujęcia i przedstawienia przedmiotu, dziełko p. t.: »Dzieje Polski, które stryj synowcom potocznym sposobem opowiedział«.

Ani rozległością wiedzy ani bystrością wnioskowania nie dorównywali Lelewelowi dwaj inni historycy, którzy pod on czas, gdy Lelewel bawił za granicą, prowadzili swoje badania w kraju, w Galicyi, ale i ich zasługi są niemałe. Mówimy o Auguście Bielowskim i o Zygmuncie Helclu. Pierwszy z nich zasłużył się głównie naukowem wydaniem dawnych źródeł rękopiśmiennych, odnoszących się do dziejów Polski, drugi wydaniem i objaśnieniem zabytków prawa polskiego.

Także i współczesne chwile znalazły swego dziejopisa.

Historyę bohaterskiej walki o niepodległość nakreślił z wielkim talentem przedwcześnie zmarły Maurycy Mochnacki. Niestety jego »Powstanie narodu polskiego w r. 1830—31« pozostało dziełem nieukończonem. Ten sam pisarz zasłynął również jako krytyk literacki, a w książce swej o literaturze polskiej w wieku XIX. bronił poetów »romantycznych«. On też

pierwszy podniósł piękności Malczewskiego »Maryi«, nieocenionej przedtem należycie przez publiczność.

W naukowy sposób całe dzieje piśmiennictwa polskiego starał się opracować Michał Wiszniewski i istotnie stworzył rzecz doskonałą, choć doprowadził ją tylko do czasów Zygmunta III. Zasługą jego pozostanie, że dzieje literatury związał z całem życiem narodu i wykazał, jak historya polityczna tudzież obyczaje i myśli społeczeństwa znajdują swe odbicie w piśmiennictwie.



Fig. 108. Józef Kremer.

Nadzwyczajnym rozwojem pochlubić się może filozofia ścisła, która ongiś, w wieku XV-tym, tak bujnie krzewiła się na wszechnicy Jagiellońskiej, a potem zamarła zupełnie, ażeby odżyć dopiero po wiekach. Wszyscy filozofowie nasi w tych latach pozostają pod silnym wpływem znakomitego filozofa niemieckiego Hegla i na nim to oparci starają się zbadać zagadki bytu, wszyscy jednak jako najwyższą prawdę uznają przedewszystkiem Boga. W gronie tem widzimy Józefa Kremera i Karola Libelta, a obaj oni zajmują się również badaniami estetycznemi, a więc dociekaniem, czem jest wszelkie piękno i na czem polega; widzimy Ferdynanda Trentowskiego, który występuje w jednem z dzieł z oryginalnem twierdzeniem, że ostateczne zdobycie prawdy powierzyła Opatrzność ludom słowiańskim; widzimy Augusta Cieszkowskiego, który znów głosi, iż blizkie już są czasy powszechnej miłości chrześcijańskiej nie tylko między jednostkami, ale we wzajemnych stosunkach narodów i państw. Twierdzenie Cieszkowskiego znalazło — jak przypominamy sobie — poetyczny wyraz w poglądach wypowiedzianych przez Krasińskiego w »Przedświcie«. Obok wymienionych myślicieli są i inni, jak Gołuchowski, lub genialny Hoene-Wroński. Błogosławione to czasy dla naszej filozofii polskiej.

Ale i inne działy piśmiennictwa nie leżą odłogiem. Sprawą wychowania młodych pokoleń zajmuje się Klementyna z Tańskich Hof-

manowa i pisze w tej sprawie bardzo pouczające dzieła. Kaznodziejstwo, które po niezapomnianym Skardze odłogiem leżało aż do czasów ks. biskupa Woronicza, może się teraz poszczycić ks. Hieronimem Kajsiewiczem. W kazaniach swych, wysoce patryotycznych, odsłaniał on i gromił wady narodowe, wzywał do pokuty i poprawy, chciał zgotować narodowi swemu lepszą, szczęśliwszą przyszłość. Piękny wzór kapłana-patryoty.

Piśmiennictwo narodowe rozszczepiło się — jak widzieliśmy — po roku 1830. jakoby na dwa olbrzymie konary, z których jeden wybujał aż pod niebiosa, drugi zaś trzymał się bliżej ziemi. Ten pierwszy konar — to literatura na emigracyi, drugi — to piśmiennictwo w kraju.



Fig. 109. Klementyna Hofmanowa.

Na emigracyi nad wszystkimi rodzajami literackimi górę wzięła poezya. Jakby na jakieś zaklęcie czarodziejskie wyrasta szereg przecudnych poematów, poezya wstępuje na nieznane przedtem wyżyny, sięga »gdzie wzrok nie sięga«, łamie »czego rozum nie złamie«. Na czele całego zastępu duchów natchnionych idą trzej wieszcze, kapłani swego ludu prawdziwi, i śpiewają Polsce i światu o cierpieniach swego narodu. Ale nie poto nucą ów hymn boleści, aby łzy wywołać i litości błagać, lecz ażeby naród swój pokrzepić i poprowadzić w krainę świetlanej przyszłości. Wierzą, że z krwi męczenników zejdzie plon obfity: odrodzenie narodu, że zmartwychwstanie on szczęśliwszy i lepszy, niż był nim ongiś. Poetów mniej obchodzi życie realne, dusza jednostki, miłość i wszystkie skarby życia doczesnego. Nie przedstawiają też ludzi zwyczajnych, takich, jacy chodzą po ziemi, ale piersi bohaterów swych poją tęsknotami i pragnieniami milionów, a gdy im każą dążyć do czegoś, to celem tych dążeń będzie... zbawienie narodu (Konrad, Kordyan, Anhelli, Irydyon...). Zaprawdę, poezya to na-

rodowa w najszczytniejszem tego słowa znaczeniu, najsilniejszym zaś jej składnikiem uczucie! A obok tej górnej, po zawrotnych wyżynach szybującej siostrzycy, rozwija się w kraju piśmiennictwo inne, nie tak szczytne, ani upajające, ale zato obdarzone znamieniem pewnem, którego poezyi brakło: silniejszem odczuciem potrzeb życia rzeczywistego, codziennego. Piśmiennictwo to, nie gardząc uczuciem, uważa jednak rozum za głównego swego przewodnika, nie odrzucając myśli o przyszłości, zajmuje się jednak głównie stanem teraźniejszym swego społeczeństwa i każe mu wziąć się do pracy w pocie czoła i zapewnić sobie byt, jeśli nie szczęśliwy, to znośny. Takie zasady wszczepiają w szerokie koła swego narodu nasi pisarze obyczajowi, a przedewszystkiem Korzeniowski. Są jednak i inni, rozkochani również, jak poeci emigracyjni, w przeszłości narodu, ale nie obdarzeni tak orlim wzrokiem, jak tamci, nie obejmują myślą całej tej przeszłości i nie wyprowadzają z niej wniosków na przyszłość. Dla nich cnotą jest wszystko, co wyrosło z gleby rdzennie polskiej, choćby w skutkach okazało się złem i zabójczem. Ci pisarze są już zapowiedzią nowego prądu w naszem piśmiennictwie, który z hasłami wielkich swych poprzedników nie zerwie wprawdzie zupełnie, ale obok ich ideałów postawi swoje — niższe, a przez to... dla ogółu przystępniejsze.

PO ROKU 1848.

Wyrastało bo nowe pokolenie, wśród warunków zupełnie zmienionych. Pokolenie to, wychowane w atmosferze popowstańczej, wykarmione wielkiemi hasłami o równości i braterstwie ludzi, chciało hasła te w czyn wprowadzić, a więc przedewszystkiem zapewnić ludowi lepszą dolę, by wraz z nim upomnieć się o wydartą niepodległość. I tych to właśnie ludzi zaskoczył rok 1846., pamiętny ohydną rzezią, ćwiartowaniem szlachty przez obałamuconych chłopów polskich. I wówczas to mniej bystro na rzeczy patrzący powiedzieli sobie: Ach, więc to tak wygląda ów wolny lud, takie są owoce owej siejby równości społecznej! »Lepiej było nie żyć, niż doczekać takich czasów« — pisał Kajetan Koźmian. Znaczna część ówczesnego pokolenia odwróciła się ze zgrozą od chwili obecnej, a z rozrzewnieniem zaczęła wspominać owe szczęśliwsze dawne czasy, kiedy to szlachcic był panem w swojej wiosce, kiedy to opiekował się ludem, a lud widział w nim naturalnego swego przewodnika.

A potem nadeszła rewolucya w roku 1848. Powitana zrazu jako »jutrzenka swobody«, zawiodła wnet pokładane w niej oczekiwania. Po wybuchu, uwieńczonym chwilowem zwycięstwem, zapanowała ogólna reakcya, pod zaborem zaś rosyjskim ruch rewolucyjny wcale się nawet nie objawił. Uwłaszczenie włościan w Galicyi — krok w rozwoju życia społecznego ważny — odbił się jednak zrazu przykro na stosunkach finansowych dziedziców, i znów poczęto przypominać sobie dawne czasy, kiedy to nie było szczęśliwszego w całej Europie człowieka nad szlachcica polskiego.

To też po roku 1848. nastaje zwrot w społeczeństwie naszem bardzo znamienny, zwrot, do którego przygrywką były już dzieła Rzewuskiego, powraca fala staroszlachetczyzny. Na obniżenie poziomu literatury wpływa też brak potężnych talentów. Umilkli najwięksi nasi poeci, Słowacki umarł, Mickiewicz przestał tworzyć zupełnie, Krasiński ostatnie słowo wypowiedział w »Psalmie dobrej woli«. Tradycyę wieszczów stara się przechować jeden tylko Kornel Ujejski.

Piśmiennictwo krzewi się obecnie wyłącznie niemal w kraju, a krzewi się o tyle swobodniej, że pod zaborem rosyjskim ucisk za panowania Aleksandra II. nieco złagodniał. Zwolnienie cenzury wpłynęło korzystnie na rozwój dziennikarstwa; dzienniki dostają się teraz w zapadłe dworki szlacheckie, wciskają się w domki mieszczańskie i niosą wszędzie promyk oświaty.

Gorzej jest w Galicyi i w Poznańskiem. Kiedy Warszawa ma uniwersytet polski z wykładami polskimi, pod zaborem pruskim i austryackim szkoły są ciągle jeszcze niemieckie, a w Poznańskiem zacznie się wnet brutalna walka żywiołu germańskiego z wszystkiem, co polskie, zacznie się rugowanie Polaków z ziemi rodzinnej. Nic też dziwnego, że ruch literacki zaniknie tam prawie, boć wszystkie siły narodowe zwrócą się ku rozpaczliwym wysiłkom około ocalenia ziemi, mowy i wiary ojczystej.

Naczelne miejsce zajmuje w literaturze zawsze jeszcze

Poezya. Ona najlepiej odbija w sobie upodobania ogółu. Społeczeństwo nasze zmęczyło się bujaniem w obłokach wraz z wielkimi duchami wieszczów narodowych, zapragnęło więc strawy lżejszej, a nawet i formy bardziej zrozumiałej, przystępnej. Myślało z tęsknotą o »szczęśliwych czasach« Polski »szlacheckiej« i skwapliwie szukało obrazu tych czasów. Jedno i drugie dawała mu ówczesna poezya. Forma gawędy, zbliżona do potocznego opowiadania, o budowie zupełnie swobodnej, stylu prawie codziennym, nie nużyła zupełnie, nie wymagała skupienia myśli. Obrazy

z życia staropolskiego, wychwalanie dawnych czasów, wskrzeszanie postaci o wąsie szumiastym z karabelą przy boku — to był właśnie ulubiony w ówczesnej poezyi temat. I stąd jej znaczenie w ówczesnem społeczeństwie i mir niezwykły — nie odpowiadający wewnętrznej jej wartości.

Wybornym przedstawicielem owej gawędy szlacheckiej jest Wincenty Pol (ur. 1807, um. 1872), potomek rodziny niemieckiej, ale z duszą i sercem nawskróś polskiem. W roku 1830. znalazł się w szeregach powstańczych, a potem pod wpływem świeżych wypadków napisał owe bardzo wdzięczne, wspomniane już przez nas »Pieśni Janusza« (Grzmią pod Stoczkiem armaty, Lecą liście z drzewa, Piękna nasza Polska cała i t. d.). Wszelako główną podstawą sławy poetyckiej Pola stały się jego »gawędy«.

Pierwsza, którą puścił w świat, to »Pamiętniki Benedykta Winnickiego«. Bardzo to już znamienna opowieść. Treść jej mało znacząca, ale zato obyczaje staroszlacheckie występują w niej z dziwną wyrazistością. Niestety obyczaje — z doby upadku życia szlachty. Młody Winnicki, trzymający się »klamki pańskiej« na dworze wojewody bełzkiego, wysłany z listami do księcia Radziwiłła Panie Kochanku, czeka na odpowiedź trzy lata (!). Doczekawszy się jej wreszcie, wraca obdarzony hojnym upominkiem, a stęskniony za rodzicami postanawia odwiedzić po drodze domową zagrodę. Z ładnem jednakże spotyka się powitaniem. Oto spiesząc do ojca, wjechał biedak w otawę, w roztargnieniu zapomniał zdjąć czapkę przed figurą w polu, a w dodatku w domu nie pomyślał z uciechy wielkiej o tem, że to dzień postny! To też w mniemaniu ojca popełnił szereg zbrodni, za które powinien surowo odpokutować. I odpokutował! Ojciec zesmagał go batem i wtrącił do komórki więziennej o chlebie i wodzie.

Z przedstawienia rzeczy wynika, jakoby poeta godził się w zupełności na sposób postępowania niezbyt mądrego, rozmiłowanego w »bockowskim« ojca i — tak też było istotnie. Było to już pochwalanie obyczaju szlachty w XVIII. wieku, niedobrego, bo zbytniej surowości rodziców wobec dorosłych nawet dzieci. Kiedy jednak w tej gawędzie patrzył Pol zbyt różowo tylko na obyczaj domowy szlachecki, to w gawędach, pisanych po roku 1846., rozszerzył ten sposób patrzenia także i na stosunki publiczne i chwalił w przeszłości naszej to nawet, co zasługuje na bezwzględne potępienie.

Tak np. w gawędzie p. t. »Sejmik w Sądowej Wiszni« czytamy, że mają odbyć się wybory, a stronnictwo jedno obawia się, by drugie go

nie przegłosowało. Na jakiż więc wpada pomysł? Oto upaja swoich przeciwników, ściąga im szarawary i uniemożliwia w ten sposób branie udziału w wyborach (które w dodatku odbywały się w kościele). Ale pod koniec sejmiku wpadają ci pokrzywdzeni do świątyni, dobywają szabel i już, już ma w domu bożym polać się krew bratnia, gdy ukazuje się ksiądz z Przenajświętszym Sakramentem i odrazu ucisza burzę. Pol zachwycony!

Pokaż mi — woła — dziś człowieka, coby w imię Boga
Miecz zatrzymał nad głową, gdy ma w ręku wroga!...

Prawda, dziś trudniej o to, ale czyż dlatego szlachtę przedstawioną przez poetę można uważać za wzór? Czy szlachetnym był pomysł upajania przeciwników, czy piękny to obyczaj pić aż do nieprzytomności, czy prawdziwie religijny człowiek odważyłby się wpaść do kościoła z mieczem w dłoni, czy, dalej, na drugim sejmiku nie powtórzy się podobna scena, a gdy księdza zabraknie, czy krew się nie poleje? Takie pytania nasuwają się dziś przy czytaniu gawędy, ale nie nasuwały się one ani ogromnej większości współczesnych, ani autorowi.



Fig. 110. Wincenty Pol.

Pisał Pol gawęd więcej (»Pacholę hetmańskie«, »Wit Stwosz«, »Stryjanka«...), a choć w innych niema tak rażących grzechów przeciw pojmowaniu przeszłości dziejowej, to niema też i zalet, które znamionowały wspomniane powyżej utwory. W tamtych była — przyznać to trzeba — pewna zamaszystość, pewne zacięcie staropolskie, była jakaś buńczuczna fantazya, styl oryginalny, »kontuszowy« — w innych opowiadanie staje się suche, a nagromadzenie szczegółików szkodzi całości.

Osobne miejsce wśród poematów Pola zajmuje »Mohort«, poemat bohaterski — w zamiarze poety, w rzeczywistości zaś również gawęda. Tem

jednak różni się »Mohort« od innych pokrewnych poematów, że więcej w nim podniosłości i więcej ducha rycerskiego. Ów Mohort, to czujny rycerz kresowy, pędzący żywot na stannicy ukraińskiej, rozkochany w swojej służbie i oddany jej tak, że śpi nawet w postawie siedzącej, z bronią w ręku.

Sędziwy, dzielny, groźny i ponury,
Na koźle z drzewa uciosanym siedział
Niby na koniu. A choć sobie drzymał,
Czuwał jak żóraw i o sobie wiedział,
Bo śpiąc pistolet w prawej ręce trzymał.
Biały włos lekko osrebrzał mu głowę,
A rysy były tak pięknie surowe,
Że więcej prawie podobien z daleka
Był do posągu, niźli do człowieka.

Król St. August chciał go za ćwiczenie w rzemiośle wojennem swego synowca, Józefa, obdarzyć wyższą rangą wojskową i starostwem, ale Mohort nie przyjął tych darów... Jakże mu było porzucać swoje stanowisko? Nadszedł rok 1792. Wojska rosyjskie zmuszają armię polską, pozostającą pod dowództwem ks. Józefa, do cofania się; straż przednią wiedzie — Kościuszko, tylną — Mohort. Podczas przeprawy przez groblę boryszkowską Mohort dla ocalenia cofających się rzuca się na działa rosyjskie i wybawia wprawdzie swoich, ale sam ginie...

Poemat jest bez wątpienia piękny, ale ma i niedostatki. Bohater robi istotnie wrażenie posągu, tak mało widzimy go w roli czynnej, w chwili działania. Zato rycerskość wojska polskiego występuje w pełnym blasku.

Z innych utworów Pola do dziś ma gorących wielbicieli »Pieśń o ziemi naszej«.

A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?
Tych Górali i Litwinów
I Żmudź świętą i Rusinów?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Twe kurhany i mogiły
I twe dzieje, co się ścmiły.

Wyleć ptakiem z tego gniazda!
Miłać będzie taka jazda:
Spojrzeć z góry na swe ziemie
I rodzinne swoje plemie...

Zwrotki te to wstęp do poematu. W poemacie samym podbija nas rzeźkość, a dużo tam przytem zachwytów, dużo miłości; czasem ozwie się

jakby jakaś zaduma, która wnet jednak zniknie na widok nowych cudów wśród przyrody polskiej. Przed oczyma duszy czytelnika przesuną się obrazy i Polski całej prawie i Litwy i Żmudzi i Rusi, a każdy obraz inne obudzi wrażenia i myśli. Pol tak odczuje i zrozumie życie przyrody, że czytelnik podda się całkowicie uniesieniom poety i pocznie patrzyć na świat jego oczyma. Obok natury występują i ludzie, szlachta i chłopi, i »tęgi« Mazur i Żmudzin »pracowity, gospodarny i poważny i nabożny« i Litwin »cichy, rzewny, skryty«. Poeta potrafi scharakteryzować każde plemię kilku dosadnemi wyrażeniami, czasem jednym zamaszystym zwrotem.

Jakby uzupełnieniem »Pieśni o ziemi« jest napisana później »Pieśń o domu naszym«, o ustępach również bardzo pięknych. Ładne są także

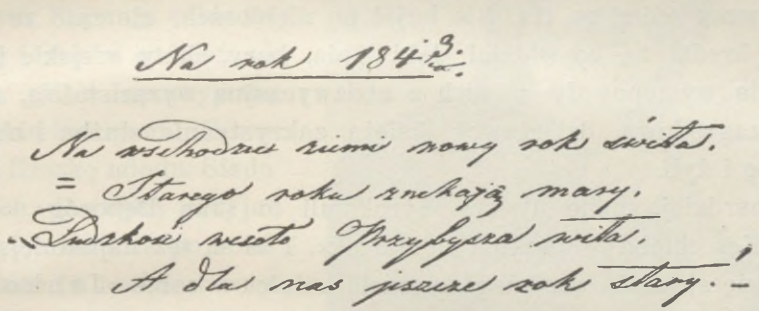

Fig. 111. Rękopis Pola.

»Obrazy z życia i podróży«, wiersze napisane pod wpływem pobytu w Tatrach, kreślące przyrodę górską, dające obrazy z życia górali, wskrzeszające dawne podania miejscowe.

Pol nie był poetą wielkim, brakło mu potężnej wyobraźni, wielkich pomysłów i wielkich myśli, a jednak znaczenie jego w literaturze jest niemałe. W nim odzwierciedla się doskonale duch czasu, on jest wybornym wyobrazicielem rozwielmożnionego wówczas prądu staroszlacheckiego, zakresem zaś swoich natchnień, formą swą nawet odpowiada doskonale tym wymaganiom, jakie społeczeństwo ówczesne stawiało literaturze w ogólności, a poezyi w szczególności. Nie można twierdzić, by brakło mu siły plastyki, owszem postaci jego żyją i wrażają się w pamięć, ale wśród postaci tych niema rozmaitości, figury są do siebie podobne, a następstwem tego jest, że odczytywanie większej ilości utworów Pola bezpośrednio po sobie — nuży. Styl ma oryginalny o zacięciu staropolskiem, pełen zwrotów przejętych z gawęd szlacheckich i z gwary ludowej, ale i styl ten jest zawsze jednaki, to też choć ujmie zawsze, nigdy nie rozpali, nie wstrzą-

śnie. Jednem słowem Pol to szlachcic-gawędziarz, prawiący w miły sposób o dawnych lepszych czasach.

Jeśli Pola nazwalibyśmy pieśniarzem szlachty »kontuszowej«, »karmazynów«, to drugi w tym czasie gawędziarz

Ludwik Władysław Kondratowicz, znany ogólnie pod zmyślonem imieniem Władysława Syrokomli (ur. 1823., um. 1862), mógłby otrzymać miano pieśniarza zagrodowej braci szlachciców szaraczków. Możnym panom nie dowierzał Syrokomla i nie lubił ich, sam pochodził z ubogiej rodziny szlacheckiej i przez całe życie z biedą się parał. Stąd to współczucie jego gorące dla wszystkich nieszczęśliwych, stąd rzewna nuta we wszystkich niemal jego utworach, a choć śmiech zjawi się czasem u niego, wnet zaćmi go łza. Nie bujał po niebiosach, ale zato ze znaczną plastyką kreślił to, co widział: łąki, pola, bory, chaty wiejskie i dworki szlacheckie występowały w nich z nadzwyczajną wyrazistością, a ludzie: szlachta zagrodowa, dzierżawcy, księża, zakrystyanie, służba i chłopi poruszali się i żyli.

Najbardziej znane utwory Syrokomli to »Jan Dęboróg«, »Szkolne czasy«, »Kęs chleba«, »Janko Cmentarnik«. I te są też najładniejsze.

Najwięcej może rzewnego uczucia mieści w sobie »Janko Cmentarnik«. Ów Janko to młody parobczak wiejski, hoży, rzeźwy, serdeczny, a usłużny, którego pan bierze za hajduka do swego dworu w Karpatach. Janek, choć mu dobrze, tęskni za wioską swą rodzinną, ale nie rychło ma ją ujrzeć. Gdy we Francyi tworzą się legiony polskie, dąży do nich i pan Janka z wszystkimi hajdukami, i Janek odbywa całą kampanię wojenną w Niemczech, we Włoszech, w Hiszpanii. Walczy dzielnie, dostaje nawet krzyż zasługi, wodzowie go chwalą, a jednak Janek

O swojej wiosce śni całe noce,
W brzękocie bębnów, wśród trąb zgrzytania
Wiejski się obraz przed nim odsłania:
Słyszy kościelny dzwonek cichutki,
Słyszy skowronka piosnkę pobudki.
. . . . . .
Śpi na biwaku na suchej ziemi,
A dusza jego hula ze swemi!

Po pięciu latach tułaczki wraca w pamiętnym roku 1812. do kraju ojczystego — niestety... wojsko maszeruje innym szlakiem, wioskę jego pomija. Kiedy zaś po klęsce nad Berezyną powraca tuż koło zagrody rodzinnej, musi spieszyć, bo wiezie rannego pana, a Moskale tuż za nimi.

Dowiaduje się tylko, że ojciec już w grobie, a matka leży chora śmiertelnie. Przybywa wreszcie po wielu trudach do dworu pańskiego w Karpatach i odtąd pielęgnuje przez długi szereg lat biednego pana-kalekę. Dopiero po śmierci pana wyprawia się w strony ojczyste, odnajduje swą wioskę — ale... Ale tu już wszystko inaczej, niż było, inne chaty, inne twarze, inni ludzie. Gdy pyta o swoich znajomych, wieśniacy śmiechem go przyjmują — toć wszystko wymarło! Więc wielki ból ściska pierś starego żołnierza. On z tymi ludźmi nowymi żyć nie będzie, ale i wioski swej nie porzuci. Najmuje sobie tedy chatkę i chodzi codzień na cmentarz, gdzie spoczywają jego ojcowie i znajomi. Bierze też z sobą flaszkę miodu. Siada na grobach dawnych przyjaciół, przepija do nich po kolei i przypomina im i sobie dawne czasy. Ludzie śmieją się z niego i nazywają go cmentarnikiem, ale on na to nie zważa. Wreszcie pewnego razu znajdują go martwego u bram cmentarnych.



Fig. 112. Władysław Syrokomla.

Syrokomla — jak widzimy — wziął wątek do tego utworu z życia ludu. Umiał on odczuć duszę wieśniaka. W innym utworze, w »Wielkim Czwartku« odtworzył dolę pieśniarza wioskowego, w »Ułasie« nakreślił postać starego chłopa dopomagającego szlachcie w walce z wrogami, codziennego jednak życia ludu, zwykłych, powszednich postaci chłopskich nie przedstawił.

Choć mniejszy talentem od Pola, cieszył się Syrokomla ogromnem uznaniem i miłością wśród czytelników, a i my dziś chętnie czytamy jego utwory. Podbija nas szczerość poety, ujmuje rzewne uczucie, rozbraja

szlachetna zawsze myśl jego utworów. Zasłynął Syrokomla także jako tłumacz łacińskich poematów Janickiego, Kochanowskiego, Klonowicza, Szymonowicza i Sarbiewskiego. Dramaty jego nie mają większej wartości.

Lud, widzieliśmy to, zyskał już dawno w poezyi prawo obywatelstwa. W dobie, o której mówimy, pieśniarzem ludowym, »lirnikiem mazowieckim«, jak go nazywano, jest

Teofil Lenartowicz (ur. 1822, um. 1893). Jest on tak zakochany w swojem Mazowszu, że poza niem przez długi czas świata niemal nie widzi, do czego zresztą przyznaje się sam z zupełną szczerością:

Myśl moja cicha, jak moja chata,
Nad dym ojczystej wioski nie wzlata;
Oko nie sięga dalej i szerzej,
Jak do tych lasów, jak do tych krzyży,
Jak do tej wody, co płynie srebrna;
Czyż większa mądrość człeku potrzebna?

I roztaczają się w jego piosnkach wszystkie powaby wsi mazowieckiej, szumią bory, śpiewają roje ptaków, a w sercach ludzkich częściej radość niż smutek.

Chłopak pędzi a krzyka,
Że aż kładą się szkapki;
Grajek wziął się do smyka,
Spuścił nogi przez drabki;
Dylu, dylu, od ucha!
Kto ma uszy, niech słucha!

Jakże bo się nie radować, kiedy

Na zachodzie pogoda,
W jasnem niebie wesele:
Dał Bóg ludziom, oj wiele,
Może jeszcze co doda!

To zasadniczy ton wszystkich niemal utworów poety, a przedewszystkiem zawartych w zbiorze »Lirenka«. Dużo słońca, dużo wesela!

Trudno zaprzeczyć, że z tych skocznych rytmów przegląda naprawdę dziarska dusza naszego Bartka czy Maćka, co to umarł już i leży na desce, ale gdyby mu zagrali, to przecie »podskocyłby jesce!«

Oczywiście nie wszędzie będzie to junackie zacięcie. Gdy Lenartowicz, oparłszy się na wierzeniach ludowych, pokusi się o odmalowanie nieba i piekła, tak jak lud je sobie wyobraża, to zmieni się i nastrój i forma utworu. A takie właśnie obrazy mamy w »Zachwyceniu« i w »Błogosławionej«. Lud wierzy, że dusze osób, pogrążonych w letargu, przebywają przez czas uśpienia na tamtym świecie i oglądają wszystkie jego dziwy i cuda.

Idąc za tem wierzeniem, każe Lenartowicz w »Zachwyceniu« obudzonej z letargu matce opowiadać dziecku swemu, co widziała, wędrując po zaświatach. Zobaczymy, że niebo np. zgodnie z wyobrażeniami ludu będzie zupełnie odpowiadało wiosce mazowieckiej, tylko bardzo a bardzo pięknej. I tak drzewa rosną w krainie rajskiej

...jak w naszym gaju,
Same jabłonie i wielkie grusze;
Na nich najczystsze umarłych [dusze
Za dobry żywot, za świętą cnotę
Poprzemieniane w owoce złote,
Ale ich z drzewa zrywać nie [trzeba,
Bo zaraz lecą w górę do nieba.

A Pan Jezus to owieczki bieluchne pasie na łące. Ale nie owieczki to, jeno dusze błogosławione, »które cierniową zniosły koronę«.

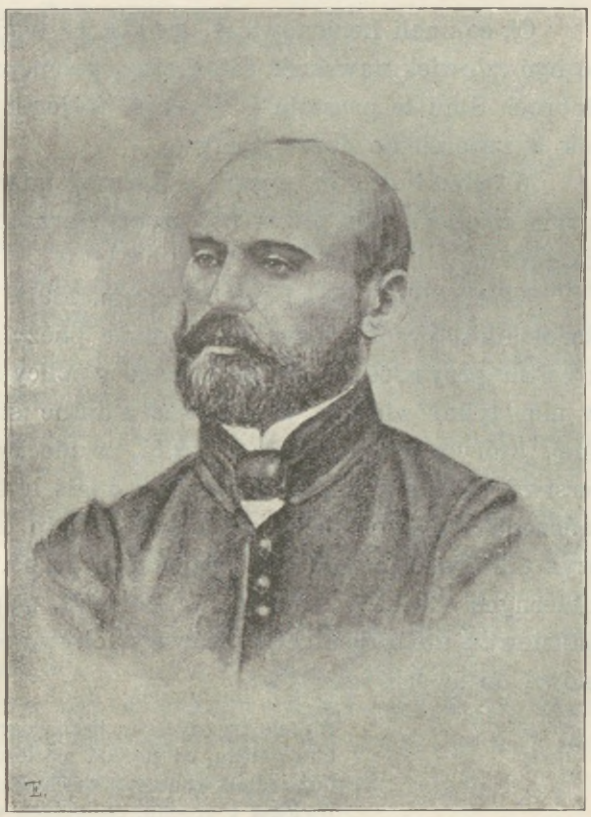

Fig. 113. Teofil Lenartowicz.

Prześliczne obrazy, a mimo, że przypominają naszą wieś polską, takie powiewne jakieś, ulotne, że czuje się, iż to przecie świat już inny, »tamten« świat...

Zgodnie z wyobrażeniami ludu nakreślił też poeta w »Szopce« sceny ze stajenki betleemskiej, wprowadzając nawet figury, znane z jasełek ludowych: Heroda, Śmierć, Dyabła i t. d. W części drugiej »Szopki« wprowadził na scenę najważniejsze postaci z dziejów Polski, ażeby w ten sposób obudzić w widzach obok uczuć religijnych także i patryotyczne.

Patryotyczna struna dźwięczy wogóle często w twórczości Lenartowicza. Zwraca on się chętnie do przeszłości dziejowej i śpiewa o wielkich jej chwilach (»Ze starych zbroic«). A komuż nieznana jest »Bitwa racławicka« i odezwa Kościuszki do chłopów polskich:

Puszczaj kosę na te chwasty,
Co nam pola głuszą,
Kochaj Polskę, nie połową,
Ale całą duszą.
. . . . . .
Widzisz Moskwę — to niewola,
Bij! — a będziesz wolny!

Ci, co znali Lenartowicza, mówią, że trudno go było nie kochać. Miał to być człowiek nawskróś szlachetny, pełen prostoty, a przytem ujmującej dobroci. Stąd ta prostota i szczerość w jego utworach — odbiła się w nich jak w zwierciedle dusza poety.

W wielki dzwon poezyi wieszczej uderzył i wystąpił przed ludem swym w onej dobie nie w roli gawędziarza czy lirnika, ale w roli poety-kapłana

Kornel Ujejski (ur. 1823, um. 1897). Nie popłynął z prądem, ale do ostatka wysoko dzierżył sztandar poezyi, której hasłem była miłość, a celem przyszłość. Biurokratyczne i policyjne rządy w Galicyi obudziły w nim tylko większą siłę oporu, smutne stosunki w Warszawie ówczesnej, którym przyjrzał się z blizka, wznieciły w nim tylko porywy bohaterstwa. Taki wielki, taki potężny ongiś lud — dziś skowany potrójnym łańcuchem niewoli leży obumarły u stóp swoich zwycięsców... Jakto? czyż tak wszechmocna jest przemoc fizyczna. A cóż się stało, gdy pan niezmiernych obszarów, król perski Daryusz, wypowiedział wojnę malutkiemu państewku ateńskiemu. Oto wówczas obywatel ateński Milcyades tak przemówił do swych rodaków:

Wy się trwożycie tą liczbą ogromną?
I tą potęgą, co się zda niezłomną?
Cóż jednak znaczy taka ćma motłochu,
Wylęgła z prochu, czołgająca w prochu,
Którą do boju popędzają biczem,
Aby nie pierzchła przed wolnych obliczem?

I lud wykrzyknął: »Śmierć albo zwycięstwo!«

Już Persowie i Medowie wkroczyli do Grecyi, już pod Maratonem ustawiły się naprzeciw siebie nieprzejrzane krocie barbarzyńców i garstka Greków. Ale Grecy nie tracą otuchy. Oto na znak dany podnieśli już miecze, już tarcze wysunęli przed siebie i pędem puścili się na wrogów...

W Atenach zaś pusto. Kto jeno mógł miecz udźwignąć, ruszył na plac boju, w mieście zostali tylko starcy, kobiety i dzieci. Ale ci w trwodze śmiertelnej. Czyż bogowie zechcą cudu dokonać? Czekają wieści z pola

bitwy, ale już i słońce zaszło i gwiazdy wypłynęły na niebo, a wieści niema. Aż wtem

Cyt — cyt; coś w pobliżu wrzasło...
Prędkimi kroki ktoś po bruku bije
I woła: Tchu! Tchu! Głosu! Grecya... żyje!
Cześć! Cześć!... Milcyades! Tchu! Zwycięstwo z nami!
Kobiety z domów wyszły z pochodniami...
Z gałązką lauru Grek ulicą bieżył
I padł, wołając: Zwycięstwo! — Już nie żył.
A lud się ciśnie, podnosi mu głowę,
Rozrywa zbroję; — całe ciało zdrowe!
Ni śladu rany!

Radość go zabiła!

Takie to zapasy garstki wolnych z tłumami niewolników przedstawił poeta w »Maratonie«, a nie chodziło mu tu bynajmniej o wskrzeszanie sławy zamierzchłych wieków, ale o żywy przykład dla swego ludu. Wołał on tym poematem do swego narodu: Patrz! i ucz się! Co znaczy świętość sprawy, dla której się walczy, co znaczy jedność, dokąd prowadzi duch bohaterski... Do zwycięstwa, do wolności!

»Maraton« zwrócił uwagę ukształconych kół na młodego, bo dwudziestoletniego dopiero poetę, ale imię Ujejskiego znalazło się na ustach każdego Polaka dopiero po złowrogich wypadkach roku 1846. Kiedy najgorętsi przyjaciele ludu ostygli nagle dla niego w swej miłości, wtedy Ujejski wystąpił z swemi »Skargami Jeremiego«, zbiorem lirycznych poematów, w których potrafił wznieść się ponad uprzedzenia i przemówić, jak przemawiali prorocy hebrajscy.

Żali się poeta, żeśmy rozprószeni, bezsilni, ubolewa gorzko, że dzieci z podmowy tygrysiej »wytoczyły krew ojcowską«, ból wielki i smutek głęboki przelewają się w słowa modlitwy potężnego hymnu:

Z dymem pożaru, z kurzem krwi bratniej
Do Ciebie Panie bije ten głos!
Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos.

...bo oto

Syn zabił ojca, brat zabił brata,
Tysiąc Kainów jest pośród nas.

Ci Kaini — to chłopi polscy, co nożem uderzyli w pierś szlachecką. Ale poeta, choć ręce łamie nad tym czynem krwawym, nie rozpacza jednak, morderców nie przeklina, przeciwnie on pierwszy ujmuje się za zbałamuconymi, boć wie, że ich — ciemnych — użyto tylko za narzędzie...

Ale, o Panie, oni niewinni,
Choć przyszłość naszą cofnęli wstecz.
Inni szatani byli tam czynni,
O! rękę karaj, nie ślepy miecz.

Jak ten hymn kończy się słowami otuchy, tak i następne w »Skargach Jeremiego». Poeta wierzy, że po pokucie nadejdą znów chwile jasne, i że Bóg nie zapomni o ludzie swoim, który zawsze był mu wiernym.

W »Skargach Jeremiego« pisanych pod wpływem »Psalmów hebrajskich«, a po części »Psalmów« Krasińskiego, jest taka siła uczucia, taki ból patryotyczny obok najczystszej miłości całego narodu, taka wiara w lepszą przyszłość, że zupełnie zrozumiałym jest zapał, z jakim przyjęto te pienia. Wywarły one nawet silniejsze wrażenie od »Psalmów« Zygmunta, a »Chorał« (Z dymem pożarów) stał się pieśnią narodową, a nawet czemś więcej, bo narodową świętością.

Ujejski wydał »Skargi« w Paryżu w r. 1847. Tam to zapoznał się teraz z Mickiewiczem, z Zaleskim, a z Słowackim nawet zaprzyjaźnił, do grona Towiańczyków jednak nie wstąpił. Po powrocie do Galicyi poświęcił się gospodarstwu wiejskiemu. Sądził, że wolno mu już teraz zstąpić z dawnych wyżyn i być »pogodnym, cichym, jasnym« — istotnie też w zbiorkach poezyi, wydanych teraz (»Kwiaty bez woni«, »Zwiędłe liście«), znać pewne obniżenie, ale niebawem płomienne natchnienie powróci i w »Melodyach biblijnych« odezwie się znów piewca chorału głosem potężnym. W utworach tych, przedstawiających zdarzenia z dziejów Izraela lub wyrażających ból nad smutną jego dolą, będzie poeta starał się zaznaczyć podobieństwo między losem ludu wybranego a losami Polski, ażeby pospieszyć ze słowami przestrogi i pokrzepienia.

Prześliczny jest też szereg utworów p. t. »Tłumaczenia Szopena«. W wierszach, objętych tym tytułem, chciał Ujejski wypowiedzieć to samo co genialny nasz muzyk w swych melodyach, wzbudzić w czytelnikach to samo uczucie. Przedsięwzięcie było niezwykle trudne, ale uwieńczone skutkiem pomyślnym. »Tłumaczenia Szopena« wywierają istotnie wrażenie pokrewne, jak muzyka, do której są dostrojone. Najpiękniejszym może z tych utworów jest »Marsz pogrzebowy«, w którym poeta oddał z niezwykłą siłą rozpacz narzeczonego na pogrzebie narzeczonej. Wśród »Tłumaczeń« są jednak i utwory lekkie, powiewne, jak mazurki Szopena.

Poza wymienionymi napisał Ujejski bardzo wiele drobnych poematów, wiele wierszy okolicznościowych. Są wśród nich utwory rozmaitej wartości, znanym zaś ogólnie jest »Pogrzeb Kościuszki«:

Biją razem wszystkie dzwony, jak ludowe głosy,
Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się pod niebiosy,
A nad nimi dzwon Zygmunta, żałość górująca,
Wszystko chłonie, a to niby ojczyzna płacząca.
. . . . . .

Już ponieśli towarzysze naczelnika na Wawel między króle, a w świątyni rozpoczęto mszę żałobną. Ale gdy po nabożeństwie zasunięto rygle podwoi, »chłopstwo wzniosło krzyk boleści: Och już go zamknęli!«

A z tego żalu ludu wypłynęła myśl wielka, myśl nie poddana przez nikogo: Hej do Maciejowic! Jest tam ziemia zroszona krwią naczelnika, tę ziemię jak świętość złoży lud w urnę, a na niej jakby na fundamencie usypie mogiłę swemu wodzowi. Jak pomyśleli, zrobili. I urosła wspaniała mogiła... A mogiła ta staje się w poemacie wyobrażeniem całego ludu polskiego, który kiedyś pójdzie w ślady wielkich Bartoszów Głowackich.

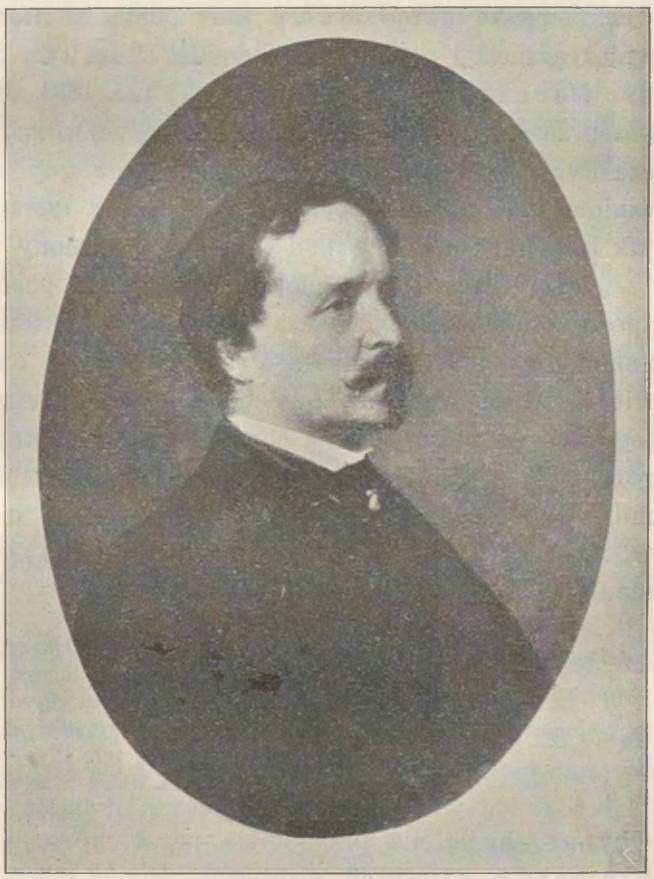

Fig. 114. Kornel Ujejski.

Prawie we wszystkich utworach Ujejskiego ukryta jest jakaś myśl szlachetna, a wiele zawiera pobudkę do czynu. Uważał bo Ujejski poezyę za środek do budzenia w społeczeństwie ducha bohaterskiego, podniosłych dążeń, do wskazywania mu wielkich celów. Tem on różni się od innych współczesnych, a zbliża do wieszczów naszych narodowych. Choć im nierówny, wielkim jednak

jest i pozostanie, nie tylko przez to, że tradycyę wieszczą przechował, ale przez żar swych uczuć, przez wielką moc słowa, przez zdolność oddania bolu patryotycznego, dla którego potrafił znaleźć niezwykle silny wyraz.

Nie zapominajmy dodać, że Ujejski pisał także umyślnie dla ludu, jak np. »Ptasie gniazdko«, utwór przejęty myślą nawskróś szlachetną, mający budzić uczucia ludzkości w sercach czytelników.

Wówczas kiedy Ujejski był już sławnym i czczonym, począł drukować pierwsze swoje utwory inny poeta, w którego piersiach wrzały również uczucia i porywy bohaterskie. Poetą tym był

Mieczysław Romanowski (ur. 1834, um. 1863). Niestety, wielki bezsprzecznie talent nie miał czasu się rozwinąć. Ognista dusza młodzieńcza rwała się do czynu męskiego, to też gdy wybuchło powstanie styczniowe, znalazł się poeta natychmiast w szeregach walczących i bił się jak lew. Padł w bitwie pod Józefowem trafiony w same czoło.

Dwudziestodziewięcioletni młodzieniec pozostawił jednak po sobie sporo utworów poetyckich, a wśród tych niektóre niepoślednie. Wszystkie znamionuje gorące uczucie. Często wyraża się ono rzewnie, nigdy płaczliwie — nawet wówczas, gdy ból i gorycz zalewają pierś poety. Oto dni jego żywota przypadły na chwile, w których karły zajęły miejsce bohaterów. On wie, że zmartwychwstanie nagle nadejść nie może, ale gorzko mu, gdy czasem nawet wiarę w lepszą dolę musi przyćmić zwątpienie. O! niczem wobec takich cierpień ból osobisty. O pokrzepienie więc płynie modlitwa do Boga:

Nie błagam Ciebie, byś mi ulżył krzyża,
Napełń pierś moją bolem, jak chcesz, Panie!
Nie żądam, by dziś błyskawica chyża
Z niebios zabłysła nam na zmartwychwstanie;
Jeno mi w życiu rozmnóż tyle siły,
Bym mógł się patrzeć z wiarą w te mogiły.

Oby na chwilę nie przemknęła przez mózg poety myśl, że »wieszcze kłamstwa wieszczyli proroczo«, oby w dzień skonu przekleństwa nie wyrzekły jego usta...

Więc niech zapomnę o podłości bratniej,
Niech stoję — choćby grobów stróż ostatni.

Bohaterskiej duszy za ciasno było wśród ówczesnego pokolenia gawędziarzy! Z przeszłości naszej ukochał on to tylko, co w niej naprawdę było wielkiem, nie czasy saskie opiewał jak inni, ale boje nasze pełne

chwały. Wyobraźnię jego zajęły szczególnie krwawe walki, staczane w wieku XVII., obudzenie się narodu po najeździe szwedzkim było w jego wyobrażeniu jedną z tych wielkich chwil, których powtórzenia się w dziejach naszych wyglądał. Na tle owych walk osnuł dwa poematy: »Łużeccy« i »Dziewczę z Sącza«, ostatni napisany pod widocznym wpływem »Pana Tadeusza«. Zapał patryotyczny bije z każdego wiersza tej niby sielankowej powieści mieszczańskiej, która w miarę rozwoju wypadków przekształca się w prawdziwy poemat bohaterski. Wielkiemi zaletami odznacza się także dramat Romanowskiego »Popiel i Piast«.

Oprócz wymienionych poetów cieszyła się w owych czasach wielkiem uznaniem kobieta Jadwiga Łuszczewska, pisząca pod zmyślonem imieniem Deotymy. Stworzyła ona szereg poematów historycznych, objętych wspólnem mianem »Polska w pieśni«.

Jeśli jednak zestawimy to, co dała nam poezya przed rokiem 1850., z plonem poetyckim z doby omawianej właśnie, to wypadnie nam bądź co bądź stwierdzić znaczne obniżenie się ideałów. Nawet natchniony Ujejski jest w znacznej mierze echem genialnych swych poprzedników. Narodową, swojską jest ta literatura lat pięćdziesiątych, niestety swojszczyzna ta jest nierzadko równoznaczna — z wychwalaniem wad przeszłości.

Ten sam duch widoczny jest także w rozwijającej się teraz nadzwyczaj bujnie powieści.

Powieść stanęła już przed rokiem 1850. przez Korzeniowskiego, a zwłaszcza Rzewuskiego niezwykle wysoko. Obecnie berło w tej dziedzinie piśmiennictwa obejmuje piszący już od lat kilkunastu

Józef Ignacy Kraszewski (ur. 1812, um. 1887). Niełatwo bynajmniej przedstawić obraz działalności niestrudzonego tego pracownika, niełatwo nawet wymienić wszystkie jego prace. Gdybyśmy chcieli wyliczyć tu wszystko, cokolwiek napisał, musielibyśmy kilka stron zapełnić samymi tytułami dzieł jego i artykułów! Niezwykły bo to doprawdy był człowiek, o woli tak żelaznej i pilności tak niezmordowanej, że nadarmo byłoby szukać nie tylko u nas, ale i zagranicą przykładu podobnej zdolności zaparcia się siebie. Dodajmy bowiem, że Kraszewski poza pracą twórczą brał żywy udział w życiu publicznem, że był redaktorem czasopisma »Ateneum«, a potem »Gazety codziennej«, że znalazł czas na sprawowanie urzędu kuratora szkół wołyńskich i dyrektora teatru w Żytomierzu, że był prezesem kilku towarzystw, a ponadto zajmował się gospodarstwem w tych latach, w których przebywał na wsi — a niczego nie umiał robić

połowicznie, każdemu zajęciu oddawał siebie całego! Szczególnie zaś zdumiewającym jest fakt, że umiał zachować energię i spokój umysłu nawet w nieszczęściu, nawet w chorobie i pracować nawet w najniekorzystniejszych warunkach. Kiedy po dłuższym pobycie w Żytomierzu i krótszym w Warszawie osiadł w r. 1864. na stałe w Dreźnie, rząd saski aresztował go i osadził w więzieniu r. 1883. pod zarzutem zdrady stanu. Otóż w więzieniu śledczem, które trwało dni 17, napisał Kraszewski całą jedną powieść, drugą rozpoczął, a oprócz tego przetłumaczył pięć komedyi rzymskiego autora Plauta! Skazany zaś i osadzony w twierdzy magdeburskiej za »udzielanie rządowi francuskiego... doniesień... o armii niemieckiej« napisał tam w przeciągu roku jedenaście powieści! Nawet w ostatnich latach życia, kiedy go z powodu ciężkiej choroby uwolniono za kaucyą z więzienia, nie zaniechał pracy. Zgrzybiały, dotknięty astmą i biciem serca starzec przeniósł się do Włoch i tu pisał ciągle, niezmordowanie, do ostatnich chwil życia.

Cóż dziwnego, że ogół otaczał go czcią nadzwyczajną! W roku 1879. urządzono mu wspaniały obchód jubileuszowy, posypały się hojne dary, deputacyi, listów, wieńców nie można było zliczyć. Hołd był to wielki, ale zasłużony. Kraszewski jednak nie chciał, by zapał ogólny przeminął, nie pozostawiwszy po sobie owoców, owszem upamiętnił piękne te chwile czynem o znaczeniu ogólnonarodowem. Oto pieniądze, ofiarowane mu przez zacnych ludzi, przeznaczył na założenie »Macierzy Polskiej« i w ten sposób, dodawszy do daru kilka własnych tysięcy, stał się fundatorem instytucyi, która od chwili powstania czyni to, co robił jej założyciel przez całe życie: sieje oświatę i miłość ojczyzny między najszersze warstwy narodu.

Zwłoki powieściopisarza spoczywają w Grobie zasłużonych na Skałce w Krakowie.

Działalność Kraszewskiego nie tylko była niesłychanie obfita, ale rozciągała się w bardzo rozległem przeciągu czasu, bo objęła lat blizko sześćdziesiąt. Kraszewski zaczął pisać przed pojawieniem się III. cz. »Dziadów«, »Pana Tadeusza« i wszystkich znakomitych dzieł Słowackiego i Krasińskiego, przestał zaś tworzyć wówczas, gdy publiczność zachwycała się już powieściami historycznemi Sienkiewicza!

Przeżył on trzy rewolucye, patrzył na budzące się kilkakrotnie nadzieje i na straszne klęski narodowe, był świadkiem powstawania i zamierania najsprzeczniejszych haseł, krańcowo przeciwnych prądów. A że była to dusza niezwykle wrażliwa, że gorączkowo szukał zbawienia i upatrywał

go w każdym nowym kierunku myśli narodowej, nic dziwnego przeto, iż na dziełach jego, na ich idei przewodniej wycisnęły rozmaite hasła, rozlegające się w przeciągu tych lat sześćdziesięciu, różne piętna. Kraszewski należy do kilku okresów, a w każdym jest inny!

Pierwszą powieść (»Biografia sokalskiego organisty«) ogłosił Kraszewski w r. 1830., a w ślad za nią poszedł w krótkim przeciągu czasu szereg innych. W młodziutkim, bo zaledwo 22-letnim autorze można było zauważyć zdolność do odtwarzania scen z życia codziennego, do pod-



Fig. 115. Kraszewski w pracowni drezdeńskiej.

chwytywania śmieszności u szlachty, mieszczan i włościan. Poezya romantyczna nie oddziałała jeszcze wówczas na pisarza — zapatrzonego w humorystów angielskich. Ale prąd, przebiegający wówczas całą Polskę, zbyt był silny, ażeby nie miał porwać młodego autora. To też powieści następne nie mrożą czytelnika szyderskim uśmiechem, przeciwnie, autor współczuje już widocznie z swoimi bohaterami. A bohaterowie ci to ludzie nieszczęśliwi, nierozumiani przez otoczenie. Unoszą się na skrzydłach poezyi, marzą, cierpią, narzekają — aż kończą na... trunkach gorących. Nie brak im żadnego z możliwych przymiotów, oprócz — hartu woli. Takim jest Gustaw w powieści »Poeta i świat« (1839). Ma on jakieś nieokreślone pragnienia, trawi się sam w sobie, ludzi unika... cóż mu oni dać mogą?

A autor wyraża te cierpienia bohatera w sposób silny, bólem jego się przejmuje.

Kiedy jednak po kraju przebiegła iskra haseł demokratycznych, a wzdłuż i wszerz ziem polskich zabrzmiała pobudka: »przez wolny lud do wolnej ojczyzny«, zawołał i Kraszewski za Wallenrodem: »Dosyć już płaczu i cóż wypłaczemy« i uderzył w wielki dzwon kwestyi społecznej. Nie mogąc z powodów cenzuralnych przemawiać bezpośrednio za uwłaszczeniem i obywateleniem włościan, czynił to w sposób pośredni i w całym szeregu powieści wydanych między rokiem 1842. a 1848. (»Ulana«, »Ostap Bondarczuk«, »Budnik«, »Jaryna«) wykazywał smutną dolę ludu, zgubne skutki poddaństwa i pańszczyzny, nadużycia ze strony złych dziedziców, niechęć okazywaną wykształconym nawet synom chłopskim. Powieści te były prawdziwym czynem obywatelskim, docierały bowiem tam, dokąd uczone traktaty zazwyczaj nie dochodzą, i rozpraszały zakorzenione przesądy. Obok tych powieści »ludowych« pisał współcześnie oczywiście i inne. Te inne właśnie (»Pamiętniki nieznajomego«, »Sfinks«) okazują, że myśl Kraszewskiego pod wpływem zajmowania się filozofią ścisłą pogłębiła się w owych czasach — umysł pisarza zajęły bowiem zagadnienia ogólniejszej natury: czem jest życie ludzkie, czem szczęście, czem miłość, czy można pogodzić szczęście osobiste z dobrem ogólnem i t. p.

Niestety niedługo utrzymał się powieściopisarz na tych wyżynach. Wrażliwość na prądy współczesne była znamienną jego cechą i ta wrażliwość kazała też Kraszewskiemu zapomnieć o niedawno głoszonych postępowych zasadach, o tak świeżych jeszcze roztrząsaniach filozoficznych, a popłynąć z reakcyą, która zapanowała u nas po roku 1848. Przez jakiś czas będzie teraz Kraszewski wiernym towarzyszem Rzewuskiego i Pola i popadnie w te same wady w ocenianiu przeszłości, co oni, a skrajnymi poglądami prześcignie ich nawet czasem. On, który z takim bolem malował niedawno jeszcze smutne stosunki pańszczyźniane, obecnie nazwał w »Ładowej pieczarze« poddaństwo dobrodziejstwem raczej niż przymusem, boć dziedzic »kierował gminą ludu, której był raczej ojcem z ducha, niż panem z materyi...; żywił, karmił, bronił, a na chwilę z oka nie spuszczał«. W umiłowaniu swojszczyzny doszedł Kraszewski tak daleko, że w »Dyable« znalazł słowo przygany nawet dla konstytucyi 3. maja, dlatego, że na brzmienie jej ustaw wpłynął wzór Francyi. Wogóle stał się Kraszewski w tym czasie zawziętym nieprzyjacielem »cudzoziemczyzny«. Najbardziej sprzyjał »poczciwej« szlachcie wioskowej, widząc w niej najlepszą ochronicielkę

zwyczajów ojczystych — natomiast w ciemnych barwach przedstawiał arystokracyę, jako w połowie zcudzoziemczałą, a moralnie nizko stojącą (»Komedyanci«). Poglądom tym nie pozostał jednak długo wiernym. Na zmianę zapatrywań wpłynęła z jednej strony podróż za granicę, z drugiej nowy wiew postępowych haseł, który około roku 1860. przepływał przez Polskę. Autor »Ostapa« i »Jaryny« przypomniał sobie wówczas dawniejsze swoje demokratycznym duchem przejęte utwory i począł na nowo głosić, że poddaństwo i pańszczyzna (które wówczas istniały jeszcze pod zaborem rosyjskim) są nie tylko niepożądane, ale dla ludu wprost zgubne, że przeto powinnyby być w imię dobra ludu zniesione (»Historya kołka w płocie«).

W tym to czasie da się też zauważyć u Kraszewskiego znaczne udoskonalenie pod względem artystycznym. Kiedy dawniej szkicował tylko postaci w swych powieściach, obecnie stara się dawać wizerunki dokładne, sytuacye zaś rozwija obszernie.

Zbliżał się rok 1863., zaczął się szereg demonstracyi, których końcem miał być wybuch powstania. W Kraszewskim zagrały sprzeczne uczucia; powstania się lękał jako niewczesnego, rewolucyjny nastrój porywał go jednak i kazał mu wyrażać się o demonstracyach z najżywszą sympatyą. Kiedy zaś wybuch zakończył się klęską, a po ziemi polskiej począł hulać knut moskiewski, Kraszewski dał wyraz bolowi patryotycznemu, malując w szeregu powieści krwawą niedolę nieszczęsnej krainy. Spiskowców przedstawiał wówczas jako bohaterów, przeciwników powstania — jako ludzi lichych pod względem moralnym. Powieści te powstańcze wydawał pod imieniem Bolesławity (»Szpieg«, »Dziecię starego miasta« i in.). Jakkolwiek zaś niebawem ochłonął, a powstańców nazwał nawet »dziećmi... z zawiązanemi oczyma«, to jednak, gdy w Krakowie powstało stronnictwo »Stańczyków«, które, potępiwszy powstanie, nawoływało do zgody z rządem i do pracy spokojnej w wytworzonych przez dzieje warunkach, Kraszewski wystąpił namiętnie przeciwko programowi stronnictwa, uważając go za odstępstwo od ideałów narodowych.

Nie przeszkodziło mu to w kilka lat później, gdy t. zw. »warszawscy pozytywiści« (o których później szerzej) podnieśli również hasło »pracy od podstaw« — z zaniechaniem myśli o przewrotach politycznych, ale z uwagą zwróconą na rzeczywiste stosunki, — zgodzić się na głoszone przez nich zasady i w szeregu powieści wielbić pracę jako główną rękojmię odrodzenia narodowego, wzywać do liczenia się z istniejącymi warunkami, a wyśmiewać marzycieli (»Resurrecturi«, »Lalki», »Niebieskie migdały« i inne).

Jak zwykle bowiem, tak i teraz nie zdołał Kraszewski oprzeć się prądowi, lecz dał mu się unieść. Przekonaniom tym pozostał już jednak wiernym do końca swej twórczości literackiej.

Widzimy, że umysł powieściopisarza był jakoby zwierciadłem, odbijającem w sobie wszystko, co chwila dziejowa przyniosła, a ideę stałą miał jedną tylko, bardzo ogólną — dobro ojczyzny. Tej jednak służył wiernie, jak tylko mógł i umiał najlepiej. Z dziwną odwagą podejmował się prac, za ciężkich na barki nie jednego, ale dziesięciu ludzi — i z zapasów wychodził zwycięsko. Zdumiewa nas ilość jego dzieł — wszystkie razem tworzą do sześciuset tomów — ale zadziwia również rozmaitość jego twórczości. Widzieliśmy już, że wśród powieści jego były współczesne o najrozmaitszym charakterze, bo malujące bądź życie rozmaitych warstw społeczeństwa, bądź wewnętrzne życie jednostek, bądź wypadki polityczne. Prócz współczesnych pisał jednak także i historyczne, przedstawiając w nich rozmaite chwile z rozmaitych okresów dziejów naszych. Wpadł potem na pomysł odtworzenia w szeregu powieści całej historyi Polski i istotnie doprowadził plan swój do skutku aż do połowy wieku XVIII. Pierwszą w tym szeregu i najpiękniejszą może jest »Stara Baśń«, powieść przenosząca nas w zamierzchłą przeszłość, w bajeczne czasy Popiela i Piasta.

Ale na powieściach nie koniec. Pisał bowiem Kraszewski dramaty także (np. »Trzeci maja«), komedye (»Miód kasztelański«), obszerne poematy bohaterskie z dziejów Litwy (»Witolrauda«, »Mindows«, »Witoldowe boje«), poezye liryczne... To owoce jego twórczości artystycznej — ale te wyczerpują tylko część jego działalności. Nie podobna bowiem zapomnieć o jego pracach naukowych, historycznych, filozoficznych, literackich, o opisach podróży, o licznych artykułach politycznych i t. d. i t. d. Doprawdy, nie wiemy, jak starczyło mu czasu na to wszystko, jak sił nie zabrakło.

Naturalnie, musiał mieć wielką łatwość pisania, a wszystkiego dokonywać z nadzwyczajnym pośpiechem. Tak też było istotnie. Kraszewski nie miał zwyczaju i nie mógł nawet obmyślać dokładnie planu swych utworów, osnowę szkicował sobie tylko w myśli, a szczegóły podsuwała mu już przy pisaniu wyobraźnia. Kiedy mu to zarzucano i robiono uwagę, że pisze za wiele, on odpowiedział z niezwykłą skromnością: »Mnie nie chodzi wcale o siebie, o moje pisma. Inny mam cel. Nie wierzę w nieśmiertelność literacką i niewiele stoję o sławę; mnie chodzi o to, aby pismami swemi, przykładem, krzykiem, biciem i t. d. poruszyć, rozruszać, zachęcić,

aby otworzyć drogi drugim... Oto mój cel, moja sława, której pragnę, sława pobudziciela. Dlatego to ja nie wypracowuję tego, co piszę, ani dbam o przyszłość pism swoich. Jedną drogę otworzywszy, rzucam się na drugą. Tak piszę, tak żyję i pragnę, aby kiedyś o mnie tylko to powiedziano, żem się przyłożył do obudzenia ruchu umysłowego za moich czasów«.

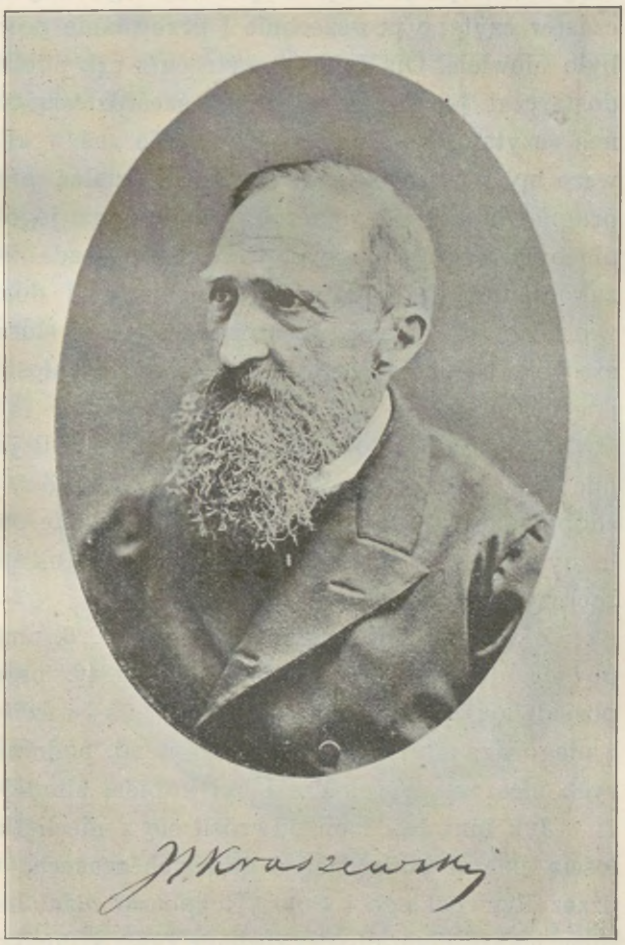

Fig. 116. Józef Ignacy Kraszewski.

Tej zasługi z pewnością nikt mu nie odmówi, ale niesprawiedliwymi bylibyśmy, gdybyśmy mu ponad sławę pobudziciela nie przyznali nic więcej. Kraszewski był bowiem talentem twórczym wcale niepospolitym, a wśród spuścizny jego jest wiele utworów o wartości niepośledniej.

Wyobraźnia jego była wprost niezmordowana. Stworzyć tysiące postaci, setki tysięcy sytuacyi — to nie byle kto potrafi! Wśród figur zaś jego wybornie zwłaszcza nakreślone są natury proste, takie, o których mówimy, że »serce noszą na wierzchu«. Duszę takich ludzi poznajemy ze słów, z gestów, z poruszeń, a Kraszewski umie właśnie doskonale podpatrzeć takie zewnętrzne objawy życia i doskonale je oddać. Natury głębsze nie występują już w powieściach jego z taką plastyką, jak wogóle odtworzenie wszelkich przejść wewnętrznych nastręcza mu znacznych trudności. Układ powieści mniejszych, jednotomowych, nie pozostawia nic do

życzenia. Wypadki rozwijają się w nich naturalnie, wszystkie zdarzenia skupiają się około jednego, wspólnego węzła, natomiast w utworach większych tego skupienia brak.

Jakiekolwiek jednak byłyby niedostatki powieści Kraszewskiego, musimy na nie przymknąć oczy wobec ogromnych zasług pisarza. Aż do jego czasów czytano powszechnie i przeważnie powieści francuskie — polskich było niewiele. On dopiero wytrącił z rąk publiczności te obce romanse, on dostarczał jej przez lat blizko sześćdziesiąt strawy zdrowej a obfitej, on nas »czytać po polsku nauczył«. Że zaś w każdej jego powieści była zawsze myśl jakaś ukryta, że chciał działać przez nie uszlachetniająco, że pragnął oświecać i nauczać, tem zasługa jego większa. Powieść bez celu nie była według niego powieścią. Jej zadaniem winno być »prostowanie zakorzenionych fałszów, wytępienie wad domowych...; każda potrzeba wieku tętnieć w niej powinna, każdy żal słuszny znaleźć echo, każde poczciwe pragnienie obrońcę, każda wada chłostę«. To własne słowa autora i te najlepiej mówią o nim i za nim.

Wówczas, kiedy Kraszewski przeszedł już przez szereg przewrotów duchowych i miał za sobą dziesiątki tomów, którymi w ciągu lat całych zdobywał sobie uznanie i rozgłos, zjawił się powieściopisarz, który odrazu jednym z pierwszych swych utworów podbił publiczność i wzbudził w niej zachwyt. Był to

Zygmunt Kaczkowski (ur. 1826, um. 1896). Zrazu gorący postępowiec, demokrata, schwytany w r. 1846. przez obałamuconych chłopów, posiedziawszy w kajdanach dwa lata w więzieniu lwowskiem, wyszedł z niego z zapatrywaniami zmienionemi, podobny do wielu innych, dla których nieszczęsny rok rzezi był kubłem zimnej wody.

Jak inni, tak i on odwrócił się z niechęcią od rzeczywistości, a z miłością począł rozmyślać o dawnych czasach, wychwalanych już wówczas przez Rzewuskiego i Pola. Rozpoczął działalność powieściopisarską świetnem malowidłem obyczajowem z życia szlachty sanockiej »Bitwą o chorążankę« (1851) i odrazu zyskał miano pisarza znakomitego. Dlaczego? Czy błysnął jakimś świetnym pomysłem, czy odsłonił nam do głębi dusze współczesne? Ani jedno ani drugie. Dał raczej zewnętrzny obraz życia szlachty, scharakteryzował tylko kilka typów junacko-pijackich, ale zrobił to z taką brawurą, z takimś jakimś rozmachem, z taką miłością przytem tych czasów i ludzi, których przedstawiał, że musiał zachwycić czytelników, którzy wówczas takiej właśnie strawy łaknęli. W »Bitwie o cho-

rążankę« wszyscy znakomicie się biją, a jeszcze świetniej piją, wszyscy są mocno »poczciwi«, dbają o »honor powiatu«, a po rozbiorze nie myślą o niczem innem, jak o hulankach i burdach. Smutny świat i smutni ludzie, mimo że śmieją się tak wesoło! Ale publiczność w latach pięćdziesiątych nie bardzo zastanawiała się nad moralną wartością kontuszowych bohaterów.

Autor zachęcony powodzeniem zabrał się do dalszej pracy, ale obliczonej na szerszą skalę. Dał cały cykl opowiadań pod zbiorowym tytułem »Powieści ostatniego z Nieczujów«. Sam ukrył się — na wzór Rzewuskiego, a osobą opowiadającą uczynił imci pana Nieczuję, brata-szlachcica, zakochanego wielce w klejnocie szlacheckim, gardzącego żydem, mieszczaninem i chłopem. Ów pan Nieczuja, poczciwa zresztą dusza, uważa magnatów za urodzonych przywódców w życiu publicznem, sam jest równie skory do tańca, jak i do różańca, bo choć zuch, jest bardzo pobożny, odwiedza miejsca cudowne, a przytem wierzy zabobonom. Blizki to w przekonaniach krewny pana cześnika Seweryna Soplicy....

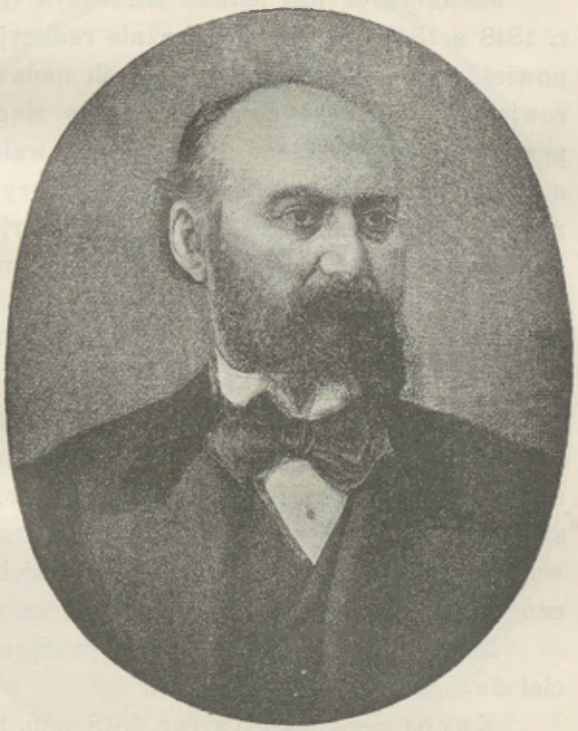

Fig. 117. Zygmunt Kaczkowski.

Z biegiem czasu i Kaczkowski jednak otrząsnął się z tych upodobań w gruncie wstecznych i począł patrzeć bystrzej na wychwalaną przeszłość. W dalszych powieściach historycznych przedstawił już nawet smutne czasy upadku Polski we właściwem świetle, a w »Anuncyacie« scharakteryzował konfederacyę barską bardzo trzeźwo, jako ruch narodowy, któremu nie brakło planów istotnie bardzo pięknych, ale brakło siły i czynów. Na taki pogląd zdobył się jednak dopiero w r. 1858., wtedy, kiedy i Kraszewski już zamyślał o odwrocie.

Kiedy po długiej przerwie w pisaniu, spowodowanej zajęciami bankierskiemi w Paryżu, powrócił pod wpływem rozgłosu Sienkiewicza do tworzenia, dał dwie powieści historyczne (»Abraham Kitaj«, »Olbrachtowi rycerze«), w których odtworzył w świetny sposób ducha przedstawianych epok. W powieściach współczesnych jednak oceniał nowsze prądy zbyt surowo, robiąc z młodych potwory z mózgiem rozumującym bardzo trzeźwo, ale bez odrobiny serca (»Zaklika«).

Jakakolwiek jest jednak tendencya tych wszystkich utworów między r. 1848 a 1863 — a jest przeważnie reakcyjna — to jedno jest pewnem, że powieść rozwinęła się w tych latach nadzwyczajnie. Piszą dawniejsi autorowie Korzeniowski, Rzewuski, pisze ciągle niezmordowany Kraszewski, przybywa nowy talent Kaczkowski, walczy po swojemu Dzierzkowski, a obok tych drukują pierwsze swe utwory młodsi, którzy później dopiero mieli zdobyć szerszy rozgłos, Jeż i Zacharjasiewicz. Powieści autorów tych odbijają w sobie doskonale ducha czasu. Pielęgnują tradycyę, chwalą przeszłość, wysokich wzlotów w nich nie znaleźć, ale ten bogaty rozwój zapowiada, że jeśli w przyszłości praca nie ustanie, to powieść zdobędzie sobie naczelne stanowisko i wydrze berło z rąk chylącej się ku upadkowi poezyi. Na razie zrobiła jedno — wyparła z kraju romanse francuskie.

Łatwo przypuścić, że w czasie ogólnego zwrotu ku wspomnieniom z przeszłości, rozwinie się dziejopisarstwo. Mniej prawdopodobnem się wyda, by historycy w okresie gawęd staroszlacheckich, podnoszących wady narodu do wyżyn cnót staropolskich, potrafili zdobyć się na konieczną bezstronność i przedstawić przeszłość tak, jak na to zasługiwała.

Istotnie, w pierwszych swych pracach historycznych jest przedstawiciel ówczesnego dziejopisarstwa

Karol Szajnocha (ur. 1818., um. 1868.) takim samym wielbicielem przeszłości, jak nasi poeci. Sumienny badacz nie mógł jednak długo dać się unosić uczuciu, to też w późniejszych swych dziełach wypowiedział poglądy zasadniczo różne od pierwszych uniesień.

Zaczął od poezyi, powieści i dramatów, ale rychło przekonał się, że pole to dla niego niewłaściwe i zwrócił się do prac historycznych. Niemało zaś było tu do zrobienia. Na zachodzie od lat już trzydziestu sposób przedstawiania wypadków dziejowych zmienił się ogromnie. Historycy starali się o opisy malownicze, plastyczne, o dawanie wyrazistych, nie pozbawionych artystycznej wartości charakterystyk, by czytelnikowi pozwolić tem lepiej wniknąć w ducha czasu i dusze postaci dziejowych. U nas najzna-

komitszy wówczas historyk Lelewel dbał właśnie o sposób przedstawienia rzeczy bardzo mało. I Szajnocha nie odrazu wszedł na nową drogę, ale już w »Szkicu« historycznym o Bolesławie Chrobrym okazał, że potrafi być poważnym uczonym, a równocześnie prawdziwym artystą, że zdoła malowniczo nakreślić tło dziejowe, dać barwny obraz przedstawianej osobistości, przenieść czytelnika w odległe czasy i pozwolić mu czasy te zrozumieć.

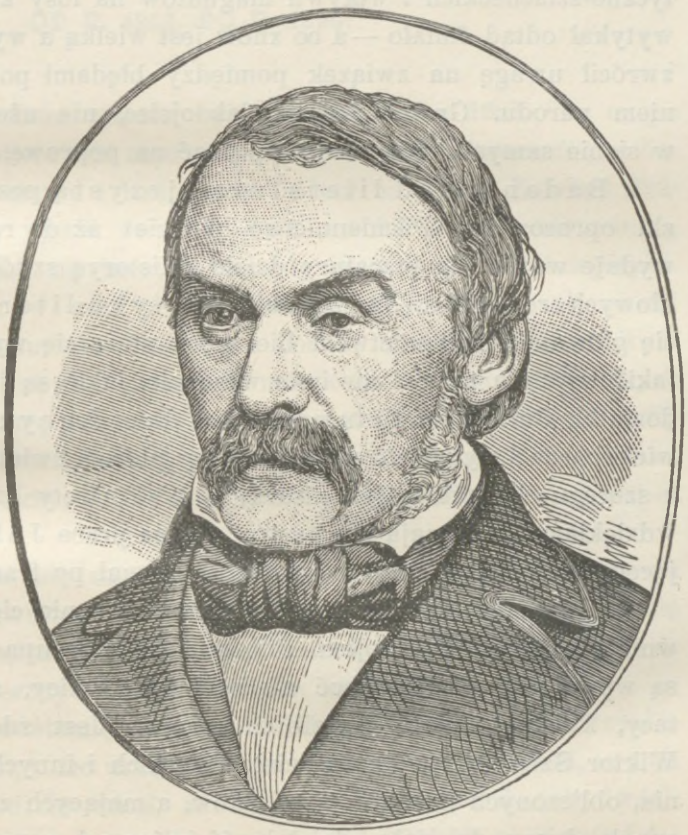

Fig. 118. Karol Szajnocha.

Zalety te będą już stale wszystkim pracom Szajnochy towarzyszyły. Czy to będą dalej »Szkice historyczne«, czy dzieła obszerne jak »Jadwiga i Jagiełło« lub »Dwa lata dziejów naszych« (wybuch buntu Chmielnickiego), zawsze obraz będzie niezwykle żywy opowieść będzie działała silnie na wyobraźnię czytelnika.

Przymiot ten, o znaczeniu z pewnością wielkiem, nie mógłby jednak rozstrzygać o wartości dzieł Szajnochy, barwność opowiadania nie wystarczy bowiem w dziele historycznem. Otóż Szajnocha posiadał i inne warunki na znakomitego historyka. Bystry jego umysł umiał zawsze, widząc skutek, odnaleźć jego przyczynę i naodwrót wyśledzić wszelkie następstwa jakiegoś zdarzenia dziejowego. Rozumiał on to doskonale, że w życiu narodu wszystko z sobą się łączy, że nie można, omawiając jakiś wypadek polityczny, nie uwzględnić stosunków społecznych w danym czasie, że nie można pominąć położenia ekonomicznego, prądów religijnych i umysłowych, wpływu wypad-

ków zagranicznych. Stąd to każdy fakt historyczny występuje u niego we wszechstronnem oświetleniu — autor daje zawsze obraz całego cywilizacyjnego stanu okresu, którym się zajmuje.

Ta ścisłość w badaniach i ta zdolność ogarniania całości doprowadziła z czasem Szajnochę do surowej oceny naszych urządzeń demokratyczno-szlacheckich i wpływu magnatów na losy kraju. Wady przeszłości wytykał odtąd śmiało — a co znów jest wielką a wyłącznie jego zasługą — zwrócił uwagę na związek pomiędzy błędami politycznymi a usposobieniem narodu. Gromił jednak jak ojciec, nie ażeby odebrać nam wiarę w siebie samych, lecz ażeby wpłynąć na poprawę.

Badania nad literaturą ojczystą postępują dalej. Maciejowski opracowuje »Piśmiennictwo polskie« aż do roku 1830., Łukaszewicz wydaje ważne dla literatury dzieło »Historyę szkół«. Obok tych prac źródłowych rozwija się szczęśliwie krytyka literacka, która, zajmując się głównie piśmiennictwem bieżącem, stara się wyjaśnić, dlaczego utwór jakiś wywiera takie a nie inne wrażenie, jakie są jego zalety, a jakie niedostatki. Berło dzierży tu przez czas długi Łucyan Siemieński, człowiek bardzo wykształcony, władający piórem świetnie, znany dziś głównie z szeregu charakterystyk pisarzy p. t. »Portrety literackie«. Niemniejszym wdziękiem odznaczają się bystre, piękne prace Juliana Klaczki, pisującego do dzisiaj, niestety wyłącznie niemal po francusku.

Piśmiennictwo ściśle naukowe nie cieszy się w tej dobie równie pomyślnym rozwojem. Filozofia ścisła w upadku, w innych działach są wprawdzie dzielni choć nieliczni pracownicy, ale — co znamienne — tacy, którzy młodość spędzili za granicą. Jest zdolny lekarz-przyrodnik Wiktor Szokalski, znany z dzieł lekarskich i innych ogólniejszego znaczenia, obliczonych na ogół czytelników, a mających za zadanie wyjaśnić stosunek duszy do ciała, działalność mózgu i nerwów, rozmaite wypadki utraty zwykłej świadomości i wykazać, że rozmaite cudowne na pozór zjawiska dadzą się wyjaśnić w sposób naukowy. Jest też bardzo na swój czas znakomity ekonomista, Józef Supiński, którego dzieło »Szkoła polska gospodarstwa społecznego« było nie tylko owocem długoletniej nauki, ale napisane było z prawdziwym zapałem. Inne działy nauk leżą niestety odłogiem.

W ogólności w tej dobie między rokiem 1848. a 1863. da się zauważyć, jak to już tylokrotnie stwierdziliśmy, znaczne obniżenie tak poziomu umysłowego, jak i dążeń ogólniejszych. Z martwoty, w którą zaczęliśmy popa-

dać, obudzi nas klęska, a następstwa jej popchną nas w zupełnie innym kierunku od tego, w którym podążaliśmy dotychczas.

DOBA POZYTYWIZMU

OD R. 1863. DO R. 1890.

Zasadniczym powodem zwrotu było powstanie z r. 1863. To, co po niem nastąpiło, było potwornem zaprzeczeniem wszystkich marzeń poetów o blizkiem zmartwychwstaniu i Królestwie Bożem na ziemi. Zamiast Polski — królowej ludów, ujrzał świat i ujrzeli swoi Polskę — niewolnicę, naznaczoną szubienicami, na których zawisły ciała najszlachetniejszych. A prześladowcy wpadli w szał prześladowania. Wygnano język polski z urzędów i ze szkół, usunięto Polaków z posad urzędowych, na Litwie i Rusi zabroniono nam nabywać ziemię, ba mówić na miejscach publicznych po polsku! Nawet literaturę polską wykłada się w przekształconym z Szkoły Głównej uniwersytecie warszawskim po rosyjsku! A cóż mówić o cenzurze, co o systemie szpiegowskim, co o zesłaniach w drodze administracyjnej — bez sądu!

Tak samo poczęto się znęcać nad żywiołem polskim pod zaborem pruskim. Tu chciano gwałtem przerobić Polaków na Niemców, a gdy się to nie udało, zaczęto kolonizować prastarą kolebkę piastowską, ażeby za wszelką cenę »niebezpieczny« żywioł *ausrotten* (wytępić).

W jednej Galicyi odetchnęliśmy swobodniej od chwili, gdy otrzymaliśmy częściowy samorząd. Do urzędów wprowadzono język polski, w ślad za tem od r. 1867. także do szkół, z biegiem zaś czasu i do obydwóch uniwersytetów. Ale Galicya jest tylko małą częścią Polski, a gdzieindziej ucisk przechodził wszelkie możliwe granice.

Otóż gdy unaoczniono sobie, że na wielkiej przestrzeni ziem polskich był on bezpośredniem następstwem powstania i klęski, nastąpił zwrot w zapatrywaniach na politykę narodową. Powiedziano sobie, że ruchy zbrojne są nie na czasie, że trzeba tedy pogodzić się z istniejącymi warunkami, a zacząć pracę od podstaw, oświecać lud i siebie, brać się do handlu i przemysłu, by pomnożyć zasoby materyalne społeczeństwa, słowem zakasać rękawy do pracy »organicznej«. Takie przekonania zaczęły się wyrabiać i ustalać pod zaborem rosyjskim, a równocześnie w Galicyi. Pod

wpływem zarówno świeżej klęski ogólno-narodowej, jak i zmienionych stosunków w tej dzielnicy, powstał prąd ugodowy. Program t. zw. »stańczyków« był podobny do programu warszawskiego, kładziono tu jednak nacisk na potrzebę lojalności wobec Austryi, na potrzebę wytworzenia silnego rządu. Tu i tam liczono się z rzeczywistością i nie mówiono nic o najważniejszem zagadnieniu narodowem: o niepodległości. Prąd ten jednak, o znaczeniu przeważnie politycznem, nie mógł wywołać sam w usposobieniu ogółu stanowczego zwrotu. W pomoc przyszedł mu pogląd naukowy przeszczepiony na nasz grunt z Francyi i Niemiec, znany pod imieniem p o z y t y w i z m u. Co oznaczała ta nazwa? Oto kierunek w filozofii, uznający głównie doświadczenie jako źródło wiedzy. Pozytywizm gromadzi tedy wyniki doświadczeń i buduje z nich gmach wiedzy, odrzuca zaś wszystko, co się nie da sprawdzić zmysłami lub rachunkiem. Młodzi przyjęli z zapałem ten pogląd, wygłoszony przez francuskiego filozofa Comte'a, i rozpoczęli walkę ze zwolennikami dawniejszego kierunku. Rozpoczął się szereg utarczek, a potem bój zacięty, który — co dziwna — prowadzono nie przy pomocy dzieł naukowych, ale w artykułach dziennikarskich! Walcząc w imię rozumu, występowali pozytywiści przeciw marzycielstwu, przeciw objawom wrażliwości, przeciw »bolejącym« poetom. Gdy zaś zwolennicy dawnego romantycznego kierunku zarzucili im zbytnią »trzeźwość«, odpowiedzieli z szyderstwem, że zarzucać komuś trzeźwość mogą tylko nałogowi pijacy!

Gdy tak pozytywiści walczyli w Warszawie, w Galicyi staczali niemniej zacięte boje stańczycy. Tym znów zarzucano służalstwo, widoki osobiste, brak uczuć patryotycznych. Stańczycy odpowiadali, że nie jest patryotyzmem »tromtadracya«, ani »warcholstwo«, ani knowanie spisków, sprowadzających nieszczęścia na naród. Walka zaogniła się i trwała długo. Ostatecznie i pozytywiści i stańczycy odnieśli zwycięstwo, pierwsi w opinii ogółu, drudzy przez dostanie władzy politycznej w swoje ręce.

Jest to łatwem do zrozumienia, że w okresie, w którym rozum zdobywa sobie władzę naczelną, nad poezyą zapanuje proza. Był nawet czas, kiedy sądzono, że poezya już umarła. Oczywiście mylono się. Poezya jest nieśmiertelna i żadne badania ani »doświadczenia« jej nie wyprą, bo jest ona potrzebą umysłów i serc ludzkich.

Poezya. Cóż ona powie w tej dobie »trzeźwości«, jakie będą jej ideały, jak potrafi przemówić do »rozumnych«, »pozytywnych« umysłów. Czy za wzorem wieszczów roztoczy przed narodem obraz jego cierpień, czy zechce

odgadywać tajemnicę przyszłości i zaprowadzi nas przed oblicze Boże? Świat duchów? Bóg? tajemnice? — takie kwestye nie istniały dla pozytywistów. To dobre było niegdyś, ale dziś, gdy fabryki huczą, gdy społeczeństwo ma się podnosić materyalnie — to wszystko pieśń już przebrzmiała. Nie poezyi, ale wiedzy nam dajcie — woła młoda prasa. Więc »córa bogów« odwraca się od społeczeństwa ze wzgardą i tak długo rzuca nań gromy i szydzi zeń — dopóki? — dopóki się z niem nie pogodzi, pozornie przynajmniej.

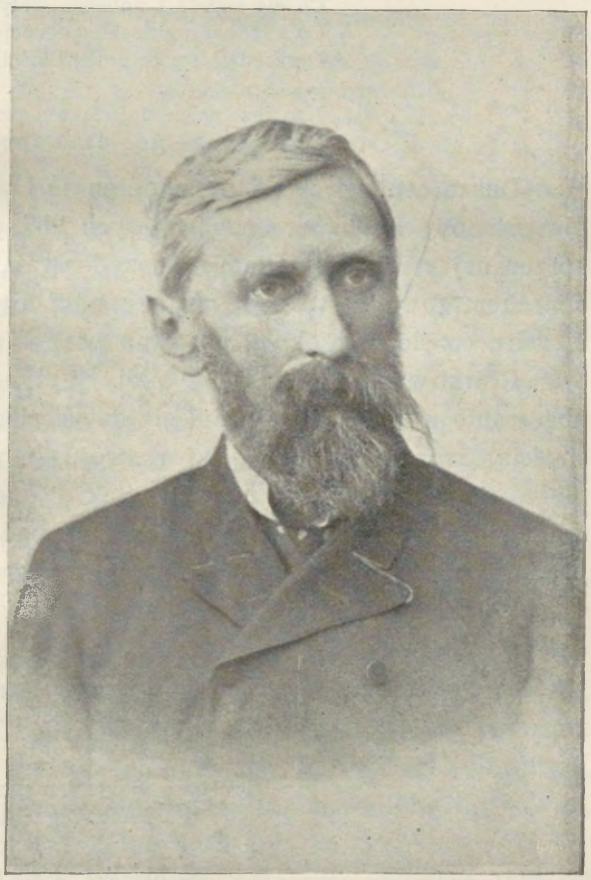

Fig. 119. Adam Asnyk.

Doskonałym wyobrazicielem tych właśnie pragnień, zawodów, smutków i rezygnacyi, jakie wówczas właśnie odzwierciedlały się w poezyi, jest

Adam Asnyk (ur. 1830., um. 1897), znany pod pseudonimem El...y. Zrazu po roku 1863., kiedy rozpoczął się ruch pozytywistyczny, gdy rozległo się hasło »precz z mrzonkami«, a w Galicyi polityka ugodowa po częła obznajamiać ogół z swojemi zasadami, on wychowany jeszcze na pieniach wielkich wieszczów, nie mógł popłynąć z prądem, uczuł w piersi ból wielki, żal serdeczny i był »tylko jednej rozpaczy przystępny«.

O czem tu śpiewać — pytał — w tej dobie »rozumu« i »rozwagi«? Piewcy wielcy powstawali tylko w czasach bohaterskich i wtedy wyśpiewywali uczucia ogółu. A dziś? Co ich zapali? Miłość ojczyzny?...

Miłość ojczyzny? Ta dziś pustym dźwiękiem,
Co nie brzmi wcale, albo brzmi szaleństwem,

Nasi mężowie, śpiąc na łożu miękkiem,
Biją w dzwon trwogi przed niebezpieczeństwem,
Gdy kto ten wyraz powie z cichym jękiem,
I obrzucają swój naród przekleństwem
Zato, że śmiał się targnąć na kajdany
I drgnął na chwilę, własną krwią oblany...

Wzrośliśmy wśród »dziwnego świata«:

Co się zapału i uniesień wstydzi,
Co każdem wzniosłem uczuciem pomiata
I wszędzie szuka śmieszności i szydzi;
. . . . . .
I to jest nasze największe przekleństwo!
Otaczające nas dziś społeczeństwo.

Dusze czujące żywo, a niezdolne do bohaterskich wysiłków, do ciskania gromów choćby na wrogów swych idei, popadają wobec rzeczywistości sprzecznej z ich marzeniami, w szyderstwo, w ironię, śmieją się gorzkim śmiechem zawodu. W taką ironię popadł też Asnyk i szydził z tych »trzeźwych«, co się wyrzekli wzniosłych porywów.

Równowaga nadeszła później. Wpłynęło na nią w znacznej mierze obcowanie z przyrodą. Poczuł się dziecięciem natury, jej cząstką, jej własnością, zrozumiał prawa jej rozwoju, uświadomił sobie, że jak natura ulega pewnym stałym prawom, tak i duch ludzki — jej dziecię — nie może się z pod nich wyłamać; że nie podobna tedy złorzeczyć nowym prądom, boć one są koniecznością i są warunkiem postępu.

Wyraz temu nowemu poglądowi dał w utworze »Daremne żale«:

Daremne żale, próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.

Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe:
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę.

Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą!
Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

Tylko o jednem należy pamiętać: nowa droga nie może być gościńcem dla samolubów, trzeba wciąż »naprzód iść i świecić!«

Jak przytoczone wyjątki, tak i większość utworów Asnyka ma charakter »rozumowy«, »mózgowy« (refleksyjny), często nawet wznosi się

poeta w swych poematach na wyżyny filozoficzne, ale w wielu także utworach uczucie tryska żywym, pełnym namiętnych barw strumieniem, a czasem znów dźwięczy, jak melodya smętna, jak łzy po śnie młodości (»Echo kołyski«). Posłuchajmy, z jakiem uniesieniem opiewa czary wiosny:

Pięknym jest ten gaj,
Piękną jezior toń,
Pięknym świeży maj,
Co roznosi woń;

Piękny jasny dzień,
Co blask złoty śle,
Pięknym nocy cień
Na błękitów tle;

Szczęście, rozkosz tu,
Szczęście, rozkosz tam!
Piersiom braknie tchu
Czerpać zachwyt sam.

»Kocha« — pluszcze staw,
»Kocha« — szemrze zdrój,
»Kocha« — brzęczy z traw
Złotych muszek rój. i t. d., i t. d.

Na łonie natury zapominał poeta o bolu, o łzach, wyzbywał się ironii.

Wogóle Asnyk — to natura poetyczna bardzo wrażliwa i bardzo złożona. Sto strun brzęczy na jego harfie, a każda wydaje dźwięk inny. Nie szukać tam jednolitej myśli przewodniej — Asnyk to poeta doby przełomowej, jak ona zmieniający się ciągle, jak ona niepochwytny. Jedno w nim tylko niezmienne — to gorący duch obywatelski, gorąca miłość ojczyzny i — zawsze piękna forma. Jego wiersze nie ustępują pod względem piękności znakomitym naszym mistrzom, taka w nich melodyjność, taka rozmaitość i kunsztowność zwrotek. Nic dziwnego — Asnyk kształcił się na Słowackim.

Dramaty poety (»Kiejstut«, »Bracia Lerche« i in.), choć pełne wdzięku, nie posiadają siły tragicznej. Komedye bardzo są miłe.

Wówczas, kiedy Asnyk dochodził już do niejakiej równowagi duchowej i powiedział sobie: »daremne skargi, próżny żal«, w piersiach kobiety, poetki, zawrzał wulkan uczucia, wzbudziło się tysiąc pytań, powstała wielka rozterka. Prądy pozytywistyczne zachwiały dogmatem religijnym, poruszyły na nowo dawne wątpliwości, cisnące się tem silniej do mózgu, że nowa filozofia nie chciała na nie odpowiadać.

Czem jest Istota Boska, skąd się wzięły wierzenia religijne, jaki cel istnienia ludzi na ziemi, skąd bierze się cierpienie, skoro Bóg jest panem świata wszechlitościwym — oto pytania, które porusza w pierwszych swych utworach w sposób namiętny

Marya Konopnicka (ur. 1846). Wrażliwa dusza kobieca, współczująca każdej łzie nieotartej, nie może pogodzić się z takiemi zdaniami, jak »zawsze byli bogaci i biedni, zawsze szczęśliwi i nieszczęśliwi«, więc niepokój ją ogarnia i pyta: dlaczego?!

Ty mi się nie dziw! ja stoję na ziemi,
Po której idą tłumami smutnemi
Ludzie, których ja braćmi memi zowię...
Stoję — i patrzę — i płaczę nad niemi,
I gdybym była Bogiem, to każdemu
Dałabym spokój, i światło, i zdrowie.
I myśląc o tej wieczystej wszechmocy,
Którą mi wiara wskazuje w błękicie,
I o tej nędzy, i o łzach tajemnych,
O tych stęsknionych — i smutnych — i sennych,
Dla których śmiercią jest życie;
Gubię się w pełnej przerażenia nocy,
I pytam namiętnie: czemu?

Ach, cóż-bo dziś nie zachwiane, »co wiecznie pewne? niezłomne, prawdziwe?«

Więc odpowiedzią jest ból tylko i smutek wielki. Ogromna większość utworów poetki jest przesiąknięta tym bólem... Wobec nędzy istnienia milkną wszystkie inne struny na lutni poetki, a odzywa się tylko pieśń cierpienia. O, bo jest nad czem płakać! Ileż to nędzy na całej Bożej ziemi! Ale poetka widzi ją przedewszystkiem wśród swoich, wśród ukochanego ludu polskiego, którego obdarowano wprawdzie wolnością — uwolniono go od pańszczyzny — ale równocześnie pozostawiono własnej ciemnocie i niezaradności. Prawdziwi to w o l n i n a j m i c i!

Z niezwykłą, wstrząsającą czasem siłą, kreśli poetka niedolę tego ludu.

Ot chłop zbiedzony stoi nad strugą wody, a ta kusicielka to mruga nań, to coś do niego szepce. Jakaś ręka wyciąga go ze świata: czas, chłopie, spocząć ci!

Jak też ten miesiąc świeci...
Ach ratuj Matko boża!...
W barłogu głodne dzieci
W stodole niema zboża...
Dał Pan Bóg ciężkie dni!

A cóż ja im pomogę...
Hej, w drogę! w srebrną drogę!
Na spodzie piasek złoty
Opłucze krwawe poty.
Obmyje krwawe łzy!
. . . . . .

Za górką bledną zorze...
Przybliża się godzina...
Ha!... w Imię Ojca.., Syna...
Co za szum!... mocny Boże,
Bądź miłościw mi!...

Kogo obwiniać za śmierć tego chłopa?

A oto zgon inny, zgon w kwiecie wieku — na wojnie. Wyjeżdża król na boje, na zwycięstwo grają mu surmy złote, a w szeregach kroczy wśród



Fig. 120. Marya Konopnicka.

rot zbrojnych parobczak młody, Stach. Jemu tylko zdroje i kłosy zaszumiały . na tęsknotę, na niedolę

A na wojnie świszczą kule,
Lud się wali jako snopy,
A najdzielniej biją króle,
A najgęściej giną chłopy.

Szumią orły chorągwiane,
Skrzypi kędyś krzyż wioskowy,
Stach śmiertelną dostał ranę,
Król na zamek wracał zdrowy.

A jak wjeżdżał w jasne wrota,
Wyszła przeciw zorza złota,
I zagrały wszystkie dzwony
Na słoneczne świata strony.

A jak chłopu dół kopali,
Zaszumiały drzewa w dali,
Dzwoniły mu przez dąbrowę
Te dzwoneczki, te liliowe...

Kto zawinił śmierci tego Stacha parobczaka? — Poetka odpowiedzi nie daje. Nie pisze ona artykułu społecznego, nie może więc wdawać się w rozumowania, w szukanie winowajcy. Koniec piosenki sam »czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa«.

Są jednak utwory nie tylko o zabarwieniu społecznem, ale z wyraźną społeczną tendencyą, utwory, w których poetka oburzona na wadliwe nasze urządzenia, nie potrafi ukryć własnych zapatrywań i da im niekiedy silny wyraz.

Przed sądem staje biedna, wynędzniała dziecina — sierota. Ręce nagie, wychudłe, sine, pierś zapadła. Sędzia ma sądzić to biedactwo. »Czy w wiosce jest szkoła?« — zapytuje oskarżonego? — »Nie«.

O niechże was Chrystus rozsądzi — mówi głos z góry, a właściwie serce poetki —

Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi?
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą...
Niechże was Chrystus rozsądzi!

Mnóstwo jest takich obrazów cierpienia ludzkiego, cierpienia niezasłużonego wśród utworów Konopnickiej. Ale poetka nie może przenieść na sobie, ażeby nie wskazać właściwego sprawcy niedoli i nie zawołać: tyś winien!

Zrazu upiększa poetka lud, czyni go cichym, cierpiącym — nie daje pełnego obrazu jego charakteru. Z czasem wnika coraz głębiej w duszę ludu i tworzy prawdziwe arcydzieła. Stara się też oddawać rozmaite uczucia ludu, przemawia jego językiem, buduje zwrotki na wzór śpiewanek ludowych.

Jakże cię mam brać dziewczyno,
Jakże cię mam brać,
Kiedy mi cię z białej chaty
Nie chcą ojce dać?...

Anim ja nie ptak skrzydlaty
Anim ja nie ptak,
Żebym z tobą leciał w górę;
Przez ten modry szlak!
Oj padają łzy z wierzbiny,
Oj padają łzy!...
A kiedyż ty, słonko moje,
Będziesz świecić mi?...

We wszystkich utworach poetycznych czaruje nas Konopnicka prześliczną formą. Poetka jest niesłychanie czuła na wrażenia słuchowe i posiada niezwykły dar oddawania dźwięków — stąd ta melodyjność, ta śpiewność jej poezyi. W języku widać było zrazu wielki wpływ Słowackiego. Potem pod wpływem rozczytywania się w Piśmie św. i wsłuchiwania w pieśń ludu wyrobiła sobie Konopnicka język własny, oryginalny, pełen przedziwnej krasy.

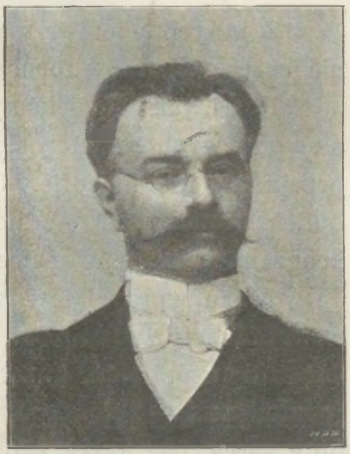

Fig. 121. Andrzej Niemojewski.

Tak samo, jak Konopnicka, jest »w niezgodzie z niebem«

Andrzej Niemojowski (ur. 1864), bo i on nie umie pogodzić doli biednych z sprawiedliwością najwyższą. Odczuwa i on także silnie krzywdy warstw pracujących, ale wzrok jego wytężony jest głównie w stronę robotników fabrycznych, a w pierwszej mierze robotników polskich.

»Gdzie Polska z Pana Tadeusza?« — woła w zbiorku poezyi »Polonia irredenta«. Nic, tylko dymy i dymy, kominy fabryczne i góry węgla. Gdzie »panów staropolskie plemię?« Wszyscy uszli — pozostał tylko lud roboczy. Ale z ludu tego nowa Polska powstanie.

Najznamienniejszymi z jego utworów są te, które pomieścił w zbiorach »Podziemia«, »Łuny», »Ziemia obiecana«. Obrazy te odsłaniają ponurą dolę robotników fabrycznych i kopalnianych. Wiodą oni w grobach podziemnych, czy nad ziemią zbudowanych, życie przeciwne naturze. Oto kopalnia węgla. Za chwilę w przepaście jej mają się spuścić robotnicy...

Ta otchłań... Czy brama do piekieł czeluści?
Zgrzytnęły żelazne zapory.
Nim oko swój promień do głębi zapuści,
Już lecim, już lecim w głąb czarnych czeluści,
W głąb niosą maszyny — potwory!

Kaganiec jak gwiazda u bladej drży skroni,
Jak głucho, jak czarno, jak wrogo!
W głąb lecim i lecim, a głębię mrok słoni...
Czy brakło na ziemi dla ludzi już błoni?
Czy tam się pomieścić nie mogą?

I lecim w głąb ziemi... Kaganiec ścian trąca,
A wkoło brzmi cicho głos rzewny:
»Ty chciwy człowieku! Czy nie żal ci słońca?
»Czy wrócisz?... Któż pyta!... My lecim bez końca,
Jak Ludzkość... na szali niepewnej«.
. . . . . .

Z innych poetów owej doby, niezbyt zresztą licznych, należy wymienić jeszcze mistrzów formy Wiktora Gomulickiego i Felicyana Faleńskiego.

Poeci, jak widzieliśmy, szukają dróg nowych; po gromach, miotanych na »trzeźwych«, godzą się jednak z nimi, poczynają rozumować jak oni, przejmują ich filozofię. Uczucia jednak nie wyrzekają się, owszem z pobudek uczuciowych podnoszą kwestyę społeczną, stawiają ją jako swój program, w imię jej walczą... Podobnie postępują poeci dramatyczni.

Zrazu wprawdzie i w dramacie rozlega się głos protestu przeciwko nowej filozofii życia. Józef Narzymski nakreśliwszy w swych »Pozytywnych« obraz dwu pokoleń, kazał nam widzieć w pokoleniu starszem same cnoty, w młodszem — zbiór wad najoczywistszych. Ci młodzi to ludzie bez odrobiny serca, bez krzty zapału, wyrachowani, samolubni, pod względem narodowym — bezbarwni. Cóż to ma jednak wspólnego z filozofią pozytywną? Z pewnością nic — ale nie wina to Narzymskiego, że ci młodzi, którzy zwali się niewłaściwie »pozytywnymi«, wyśmiewali istotnie wszelką uczuciowość, a wołając o pracę »od podstaw«, zapominali o ideałach ogólniejszych. Protest Narzymskiego łączył się z okrzykiem oburzenia, który rozlegał się w pierwszych utworach Asnyka. Natomiast wodzem młodych »pozytywistów« był w owym czasie

Aleksander Świętochowski (ur. 1849), znany pod przybranem imieniem Władysława Okońskiego. Bojownik nowych haseł nieustraszony, stał się wkrótce dla przeciwników niebezpiecznym szermierzem. Walczył ironią, ostrym dowcipem, szyderstwem, ośmieszał i miażdżył. W przeciwieństwie do innych »pozytywistów«, którzy chwytali tylko hasła chwili, ale z filozofią nową się nie zaznajomili, zgłębił on dobrze wiedzę współczesną i sam dał szereg rozpraw filozoficznych.

Rozum znalazł w nim gorącego czciciela, marzycielstwo — zdecydowanego przeciwnika. Nie uznawał żadnych powag, ani powagi tradycyi —

żądał prawa swobodnego wypowiadania myśli, uszanowania praw człowieka, wolności najzupełniejszej. »Dla nikogo się nie poświęcę — mówi bohaterka jednego z jego dramatów. — Ile ludzi, tyle osobnych światów — ja jednym z nich i wiem o tem... Nie chcę żyć jedynie ruchami gromady, ale przedewszystkiem żyć dla siebie i przez siebie. Wszędzie rozpostrzeć mi wolno moje ludzkie prawa, gdzie one cudzych nie naruszą«. To też bohaterowie dramatów Świętochowskiego są najczęściej bojownikami w imię idei wolności osobistej, a padają w walce z tłumem, który nie znosi wyższych, mędrszych i lepszych od siebie. Czasem zdaje się, że Świętochowski porusza kwestyę społeczną, kwestyę »fabrykantów i robotników, a on tymczasem posługuje się obrazem społecznym jako środkiem tylko do przeprowadzenia swej zasadniczej myśli. »Aureli Wiszar« chcąc o przeć stosunek między pracodawcami a pracownikami na uczciwej zasadzie, przypuszcza ostatnich do zysków w założonej przez siebie fabryce. Robotnicy widzą w nim też słusznie swego dobroczyńcę. Ale krok Wiszara zagraża interesom innych fabrykantów — rozpoczyna się tedy walka podstępna, podła, w której Wiszar ostatecznie pada, a wyzyskiwacze dotychczasowi tryumfują. Smutny obraz. Ale czy Świętochowskiemu chodziło tu o kwestyę społeczną, o robotników i pracodawców? Być może, ale przedewszystkiem chciał on wskazać, jak szlachetne usiłowania jednostki idą na marne wobec »tradycyjnego« zwyczaju wyzyskiwania słabszych przez silniejszych, wobec oporu masy.

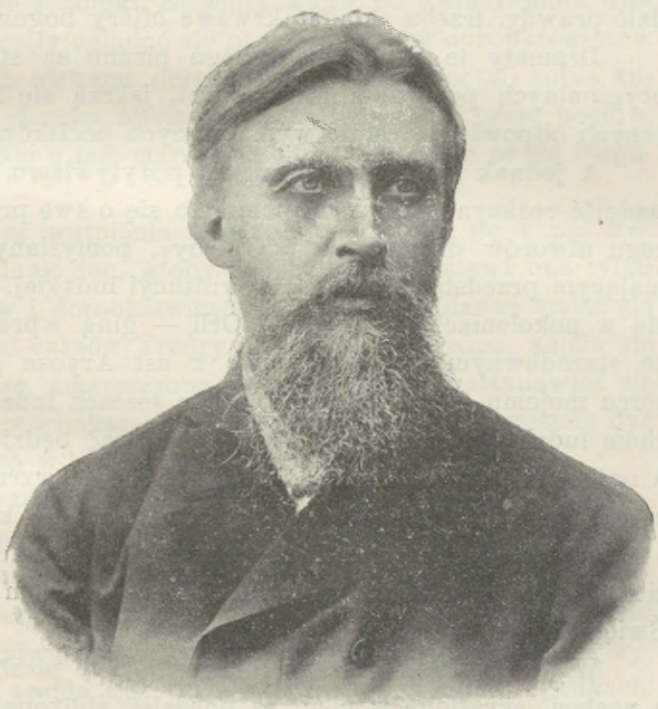

Fig. 122. Aleksander Świętochowski.

W »Aspazyi« (tak nazywała się żona greckiego męża stanu, Periklesa) przedstawia walkę wolnomyślnej demokracyi z zacofanem, samolubnem, a religijnem (z pozorów) stronnictwem zachowawczem. Stronnictwo to, chcąc zgnębić Periklesa, oskarża w »tradycyjny« sposób żonę jego o »znieważanie wiary i moralności«. Wszakże od broni tej legło już tylu filozofów i myślicieli greckich! To nic, że naiwna wiara Greków legnie kiedyś w gruzach wobec blasku prawd nowych, śmielszym umysłom nie wolno dochodzić prawdy, trzeba składać krwawe ofiary bogom i ich małżonkom...

Dramaty te Świętochowskiego pisane są stylem świetnym, pełnym oryginalnych porównań i przenośni, iskrzą się krociami dowcipów, zręcznych odpowiedzi, celnie wymierzonych pocisków...

A jednak i u tego szermierza pozytywizmu, czciciela rozumu, miała nadejść reakcya — uczucie upomniało się o swe prawa. W złożonym z szeregu utworów dramacie p. t. »Duchy«, pomyślanym na szeroką skalę, bo mającym przedstawić rozwój cywilizacyi ludzkiej, dwa duchy, odradzające się w pokoleniach — Aryosa i Orli — giną wprawdzie zawsze w walce ze starodawnym zwyczajem, ale z ust Aryosa płyną słowa: »Boże, daj sercu mojemu tyle miłości, ile jest w sercach ludzkich cierpienia... Gmachem ludzkiej wiedzy czas ciągle wstrząsać będzie i rozwalać go w gruzy, a najdrobniejszego uczucia serc ludzkich nie wzruszą wieki. Więc wołam z woli boga jedynego do... wszystkich ludzi — kochajcie się!«

Ostatniem słowem czciciela rozumu jest — miłość... Wzgardzone uczucie odzyskuje utracone prawa, »Duchy« bowiem są ostatnim dramatem Świętochowskiego.

W powiastkach naszego autora, bo i te pisał, jest więcej obserwacyi, a postaci, skreślone w nich, są bardziej zbliżone do ludzi rzeczywistych, niż w dramatach.

Gdy zestawimy postaci »pozytywne« z sztuki Narzymskiego z temi postaciami, które stworzył w dramatach swych wódz pozytywistów, Świętochowski, ujrzymy, że między wnętrzem duchowem jednych i drugich jest przepaść niezmierna. Pozytywni Narzymskiego, to ludzie gardzący uczuciem, ufni tylko w rozum, ale rozum ten pojmują oni jako zdolność do praktycznego urządzenia sobie życia. Ideały wszelkie, a w szczególności narodowe zowią mrzonkami (psułyby im one spokojne trawienie), słowem, pozytywni Narzymskiego to chłodni samolubi, postaci zaś Świętochowskiego, choć przewodnikiem ich jest również rozum, walczą w imię idei, w imię wolności osobistej, w imię praw człowieka.

Nie winą wodzów było, że tłum hasła ich wypaczył, i gdy oni wołali o swobodę myśli i życia, tłum krzyczał: użycia!

A użyciu sprzyjały warunki. Rozwijający się przemysł fabryczny wzbogacił mnóstwo jednostek, a choć równocześnie wyłaniała się kwestya socyalna: podziału bogactw, kwestyę tę na razie spychano, a właściciele fabryk i warstatów wołali: my jesteśmy prawdziwymi obywatelami, bo wytwarzamy przemysł krajowy, pracujemy »od podstaw«. Poczęły się wytwarzać bardzo znamienne stosunki. Szlachta, która po uwłaszczeniu włościan popadła w długi, zaczęła oglądać się na fabrykantów dorobkiewiczów i żenić swych synów z ich córkami, dorobkiewicze żydzi poczęli sobie kupować arystokratycznych zięciów. Miejsce miłości, opiewanej przez poetów, zajął interes — pieniądz. Nie o tem marzyli ci, którzy wołali o pracę »organiczną«.

Stosunkami tymi, bez wątpienia niezdrowymi, zajęła się u nas komedya. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że przedstawi ona tylko zabawne typy bankrutów i dorobkiewiczów i pozwoli widzowi śmiać się do syta. Nie, komedya od czasów Fredry spoważniała bardzo, zajęła się niewesołem położeniem ze zmarszczoną brwią, poczęła zastanawiać się i rozmyślać nad nowymi warunkami społecznymi. Właściwie przestała być komedyą — tak mało było w niej wesela i śmiechu...

Najwybitniejszym przedstawicielem tego nowego zwrotu w komedyopisarstwie jest Kazimierz Zalewski. W sztukach jego króluje mieszczaństwo, zbogacone, skłonne do użycia, pewne siebie, a obok niego widzimy przedstawicieli starych rodów, szukających wśród tego nowego świata deski ratunku. Wytwarzają się sytuacye zupełnie nie sercowe, sytuacye bez bohaterów, na scenie słyszy się ciągle o pieniądzach, spadkach, księgach handlowych, o długach. Te długi są często węzłem całej osnowy, »bohaterowie« nie walczą z światem, ani z sobą, ale z tem właśnie widmem. Ażeby je od siebie odpędzić, prawią »miłosne« słówka, nie zawsze pięknym, ale zawsze bogatym żydóweczkom, które znów z woli próżnych swych ojców nie wzbraniają im swej ręki.

Całe gromady znikczemniałych pasorzytów przesuwają się przed oczyma widza również w komedyach E. Lubowskiego. Sprawy finansowe, gorączka wzbogacenia się, są także osią najlepszych sztuk Sarneckiego.

Widz śmieje się jeszcze, patrząc na sztuki Bałuckiego i Przybylskiego, ci bowiem autorowie, nie wnikając głębiej w stosunki współczesne, starają się przedewszystkiem odsłonić śmieszności: Bałucki — mieszczań-

stwa, Przybylski — poczciwych »wisusów« szlacheckich, poza tem jednak «komedya« przybiera raczej charakter dramatu. Nawet sztuki Józefa Blizińskiego (um. 1893.), który z wszystkich ówczesnych komedyopisarzy jest najbardziej polskim i najwięcej przechował w sobie ducha szlacheckiego, wzbudzają w widzu, mimo woli autora, myśli bardzo poważne. Mimo woli autora — bo ten satyry dawać nie pragnął, o tendencyi społecznej nie myślał, na wady świata szlacheckiego patrzył nawet z pobłażliwym uśmiechem. A jednak?... Widz na przedstawieniu śmieje się razem z autorem, ale po chwili rozwagi dochodzi do wyniku, że przecie w tych postaciach, które oglądał, pod pozorami poczciwości mieści się dużo zgnilizny, że w tych naszych »hreczkosiejach« walka o byt, wywołana nowymi stosunkami, pożłobiła rysy, przejmujące smutkiem...

Dramaty i komedye, o których mówiliśmy, były ściśle związane z objawami chwili bieżącej. Obok nich jednak rozwija się dramat inny, wpatrzony w przeszłość Polski, szukający w niej natchnienia — dramat historyczny. Nie można powiedzieć, by zagadnienia, które zaprzątały wówczas umysły ogółu, nie odbiły się na nim zupełnie. Ale już przez to samo, że zajmował on się przeszłością, że wnikać musiał w inne czasy i dusze innych ludzi, wyzwalał się w znacznej mierze z więzów chwili bieżącej, a ogarniał szersze horyzonty. Nie wyrzekł się tylko myśli politycznej. Były to czasy powstania w Galicyi stronnictwa »stańczyków«, a jednym z organizatorów jego był Józef Szujski. Stronnictwo to — jak wspomnieliśmy — kładło szczególnie silny nacisk na potrzebę silnej władzy, wskazując na samowolę jednostek, jako na jeden z powodów rozprzężenia w dawnej Polsce. Cóż dziwnego, że Szujski nie wyrzekł się także, jako autor dramatów, przeprowadzenia w nich myśli przewodniej: nadmierna pycha, buta i samowola zgubiły nas, a więc odrodzenia szukać należy w poskromieniu tych wad — w karności. Pycha sprowadza nieszczęście na Szkotów w »Wallasie«, pycha gubi ród cały w »Zborowskich« i zagraża dobru publicznemu, pycha prowadzi do zguby »Marynę Mniszchównę« — naodwrót jednak ta, która potrafiła poddać wolę swoją woli ogółu: »Królowa Jadwiga« staje się zbawieniem, szczęściem swej ojczyzny. Karności! — woła w tych wszystkich swoich dramatach Szujski, bo bez niej niemasz odrodzenia narodu.

Dramaty Szujskiego, pełne prawdziwie tragicznej grozy, miejscami wstrząsające, mają jedną wadę — są zanadto historyczne. Autor, historyk znakomity, chciał wtłoczyć w nie całą swoją wiedzę. Postaci jego są wyo-

brażeniami prądów dziejowych, czy wad naszych nieszczęsnych, ale niema w nich ruchu, życia, są zbyt sztywne.

O wierność dziejową starał się w swych dramatach historycznych również Adam Bełcikowski.

Na podaniach starogreckich, żydowskich, hiszpańskich, ale też i na tle przeszłości Polski osnuwa dramaty swoje i tragedye wspomniany już Felicyan Faleński, a jeśli o kim, to o nim możnaby powiedzieć, że nie poddając się prądom współczesnym, potrafił usunąć się w krainę czystej sztuki, oddawać się tej rozkoszy, jaką twórcy daje tworzenie. Może być, że z tego też właśnie powodu utwory jego tak mało znane są ogółowi. Pisane w chwili, kiedy ten ogół szukał w każdem dziele sztuki jakiejś myśli żywotnej, legły w niezasłużonem zapomnieniu.

Powieść święci teraz najwspanialsze swoje gody. Nigdy jeszcze nie pisało ani tylu równocześnie pisarzy, ani tak znakomitych, nigdy też nie dotknęła powieść tak różnorodnych objawów życia jak teraz.

Ten popęd, który istniał już oddawna, ażeby życie kreślić wiernie, z »realizmem«, staje się teraz potrzebą zupełnie świadomą. Powieściopisarze przedstawiają tylko to, co dokładnie poznali, nie pozostawiają zaś niczego w powieści bez uzasadnienia. Postaci w powieściach mogą więc np. podlegać najrozmaitszym przejściom duchowym, ale przejścia te muszą być prawdopodobne, znaleźć uzasadnienie naukowe. Autorowie starają się również o t. zw. »przedmiotowość«, kryją się z swoją osobą, unikają wygłaszania zdań od siebie, nie uprzedzają nas z góry, jaki będzie charakter wprowadzanych osób, lecz dozwalają poznać ten charakter z postępków, słów i ruchów danych postaci. Zwrot ów w sposobie pisania dokonywa się dość szybko — nawet dawniejsi pisarze naginają się do nowych wymagań. A jaki jest duch powieści, do czego ona dąży? Na to pytanie jednem słowem nie odpowiemy, albowiem dążenia te będą się z biegiem lat zmieniały. Są przedewszystkiem pisarze starsi, którzy tworzyli już przed rokiem 1863., i ci niezupełnie pójdą ręka w rękę z najmłodszymi. Do takich należał

Teodor Tomasz Jeż, pisarz znany przeważnie pod tym pseudonymem, choć właściwe imię jego Zygmunt Miłkowski (ur. 1824). Jeśli młodość życia jest rzeźbiarką, to wyrzeźbiła ona istotnie żywot pisarza-pułkownika. W r. 1848. walczył Jeż w powstaniu węgierskiem i znajdował się w ogniu mnóstwa bitew, potem dotarł z rozbitkami do Turcyi, potem oparł się w Anglii. Tu wstąpił do Towarzystwa Demokratycznego. Z po-

lecenia głównego komitetu »demokracyi europejskiej« udał się następnie do Mołdawii, a podczas wojny krymskiej przeszedł jako agent komitetu Serbię i Bułgaryę. W r. 1863. wziął udział w walce o wolność, poczem wiódł żywot tułaczy, aż osiadł na stałe w Szwajcaryi.

Pierwszą powieść napisał jeszcze w roku 1858., a odtąd puścił ich w świat cały szereg. We wszystkich przyświecała mu idea, której życie swe całe poświęcił: idea demokratyczna — na artystyczne opracowanie przedmiotu nie zwracał uwagi zbyt wielkiej. Zaczął zaś pisać w czasach, kiedy pod zaborem rosyjskim istniała jeszcze pańszczyzna, przeciw temu to więc zabytkowi wymierzył przedewszystkiem swe groty, przemawiając w imię praw człowieka i obowiązku ludzkiego i narodowego. Czy to weźmiemy do ręki »Wasyla Hołuba«, czy »Historyę o prapradziadku«, czy inną jaką z pierwszych jego powieści, z każdej wyczytamy tę myśl demokratyczną.

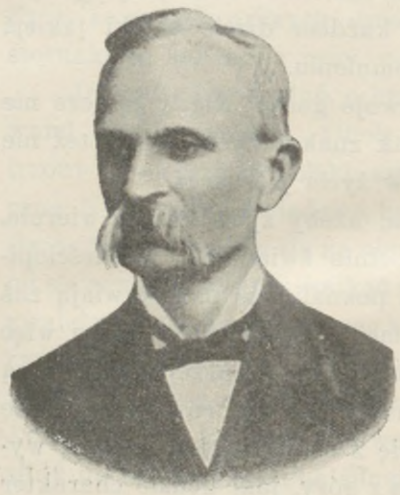

Fig. 123. Teodor Tomasz Jeż (Zygmunt Miłkowski).

Nie tylko jednak ludem zajmował się Jeż w swych utworach powieściowych. Arystokracyi wytykał samolubstwo, gonienie za osobistą korzyścią z poniżeniem godności własnej i narodowej, szlachcie marnotrawstwo i próżniacze życie, kobietom brak należytego wykształcenia — nawoływał zaś do pracy mrówczej, wytrwałej, do nauki, do sumiennego pełnienia obowiązku.

Marzycielstwo potępiał, rozumiał bo dobrze, że trzeba się liczyć i z duchem czasu i z istniejącymi warunkami — i w tem był podobny do pozytywistów. Ale nie potępił tak, jak oni, uczucia i obejmował szersze od nich widnokręgi, nigdy nie tracił z przed oczu celów ogólno-narodowych.

Do starszych, znanych szerokiemu ogółowi pisarzy należał również Jan Zacharyasiewicz. Z młodszych zadął zrazu najgłośniej w surmę bojową znany nam już z wesołych komedyi Michał Bałucki. Dlaczego — wołał — poeci wolą widok ruin, niż porządnego, murowanego budynku, czy naprawdę ruiny poetyczniejsze są niż owoce pracy ludzkiej? A czy inżynier nie jest czemś nieskończenie wyższem od marzyciela, czy nie korzystniej jest rachować, niż marzyć? Praca jest wszystkiem, praca jest zba-

wieniem i lekarstwem na wszystkie rany. Myśli te rozsnuwał w powieściach o wątku zawsze bardzo zajmującym, obrazy dawał plastyczne, a choć o przedmiotowość nie bardzo się starał, a w dusze ludzkie głęboko nie wnikał, był bardzo przez ogół lubianym i poczytnym.

Wysoko dzierżyła i dzierży sztandar postępu

Eliza Orzeszkowa (ur. 1842). Uczucia nie potępiła ona nigdy, ale w życiu wyznaczała mu skromne miejsce, sądząc, że główną sprężyną wszelkiego działania powinien być rozum. Cała jej twórczość woła o »czynów stal!« Społeczeństwo swoje chciałaby ona pchnąć na drogę nową, ale jako myślicielka wie dobrze, że przedtem trzeba poznać przyczynę dotychczasowego zastoju i przyczyny tej szuka. Znajduje ją w wadliwem, złem wychowaniu młodych pokoleń, wychowaniu, które mężczyznę prowadzi do sobkostwa i chęci użycia, a kobiecie każe myśleć tylko o zabawach i strojach. Skutki takiego prowadzenia rozwija autorka w szeregu obrazów powieści p. t. »Pan Graba«.

W następnych utworach powieściowych dotyka coraz boleśniejszych objawów społecznych. W »Nizinach« daje pełen grozy obraz ciemnoty ludu, wyzyskiwanego przez pokątnych doradców, w »Dziurdziach« wskazuje jeszcze dobitniej, do czego ta ciemnota prowadzi. Oto chłopi, nie źli zresztą wcale, mordują niewinną zupełnie wieśniaczkę dlatego, że uważali ją za »wiedźmę!« Oświaty! — woła przez te powieści coraz głośniej autorka. Światła, światła jak najwięcej! Niech to światło rozprószy mroki, przesądy i zabobony, niech obejmie promieniami swymi także ciemne masy żydowskie, niech sprawi, by takie szlachetne jednostki, jak »Meir Ezofowicz«, nie były wyklinane przez swych współwyznawców! Niechże ten promień światła rozjaśni także smutną dolę kobiety, nauczy ją pracować, przygotuje do życia!

Walcząc w imię postępu i światła, występowała jednak Orzeszkowa przeciwko robocie socyalistów i ostrzegała przed skutkami tej roboty. Lękała się zwłaszcza »międzynarodówki«, lekceważącej sprawę narodową, a gromiła i tych, którzy z trwogi przed rządem zaborczym dla przyszłości narodowej przestali pracować. Nie wystarczy — mówi autorka — praca materyalna, około zdobycia chleba, jeśli jej nie będzie przewodniczyła idea narodowa! Tę myśl przeprowadza Orzeszkowa w jednej z najpiękniejszych swoich powieści, w »Nad Niemnem«.

Czytając ten utwór, sądzimy zrazu, że autorce nie chodziło o nic innego, jak tylko o odmalowanie zwyczajów szlachty litewskiej, zamożnej

i zaściankowej, jakoteż wzajemnych stosunków między jedną a drugą, czasem zatargów. Słyszy się wprawdzie o »burzy«, która przeleciała przed laty nad okolicą, o wielkich celach, ku którym zdążali wówczas wielcy i mali, o bitwie, w której obok dziedzica padł skromny szlachcic zaściankowy, widzi się, że od tej pory serca oziębły, ale wyobraźnia czytelnika zajęta »romansem«, pomiędzy panną »ze dwora« a ubogim szlachetką z zaścianka, nie zdaje sobie sprawy, do czego autorka zdąża. Myśl przewodnia wyłania się dopiero pod koniec. Między właścicielem dworu, panem Benedyktem Korczyńskim, a szlachtą z zaścianka jest proces o kawałek gruntu. Proces wszczęli zagrodowcy, ale choć chciwość grała tu znaczną rolę, przeważała nienawiść ku dziedzicowi. Czyż bo kto kiedy usłyszał od niego życzliwe słowo? Broniąc zagrożonego kawałka ziemi, nie tylko, że nie zbliżył się nigdy do swych sąsiadów, ale był dla nich nad wyraz ciężkim! Że z takiego stosunku wzajemnego wynikała szkoda ogólno-narodowa, boć waśnili się ci, którzy tam na Litwie »Nad Niemnem« powinni byli iść ręka w rękę wobec wspólnego niebezpieczeństwa, o tem pan Benedykt nie pomyślał. Nie myślał też o uświadomieniu narodowem zagrodowych sąsiadów — gdzieżby! on lękał się zawsze i wszystkiego, przy nim nie wolno było żadnego »świętego« imienia wspominać! Aż oto w roli sędziego występuje syn pana Benedykta, a nasłuchawszy się w zaścianku skarg na ojca bez liku, wybucha tak namiętnem oskarżeniem, że stary zdobywa się w pierwszej chwili tylko na rozpaczliwy wykrzyk »Witoldzie!« Ach bo ten Witold cisnął mu w oczy gorzkie wyrzuty: strach wieczny, ostrożność niewolnika, którego drżeniem przejmuje sam dźwięk obroży, obojętność dla wszystkiego, co nie żywi i nie odziewa ciała... brak miłości dla ziemi i ludzi...

Więc Korczyńskiemu poczęły chodzić po mózgu jakieś dawne mary, więc zmartwychwstała mu przed oczyma jego własna młodość...

»Słuchaj — zaczął — jeżeli wam się zdaje, że wy pierwsi wymyśliliście wszystkie szlachetne uniesienia i wzniosłe dążności, że wy pierwsi poczęliście kochać i ziemię i lud i sprawiedliwość, to popełniliście błąd gruby i grzech przeciw sprawiedliwości... Ten lud... to wasze bożyszcze... Boże wielki! tażeśmy się ku niemu jak szaleńcy rzucili, krzywdy przez ojców jeszcze wyrządzone własnemi choćby ciałami pragnęliśmy naprawić... Ha, ha! górne marzenia... wielkie nadzieje... ogniste zapały!... Wszystko jak w wodę wpadło! Śmiech na wspomnienie bierze!«

Więc mówił, opowiadał, co stało się i działo.

Cóż było robić? co było robić? Mówiono, wołano, zaklinano: »Ziemia! ziemia! trzymałem ziemię«...

Tak ta ziemia była na Litwie wszystkiem, bo raz stracona, przechodziła niepowrotnie w ręce Moskali.

»Ale w jeden punkt zapatrzony, inne z oczu tracił, w jednem namiętnem usiłowaniu skupił wszystkie siły i na nic innego już mu ich nie stało«.

Aż teraz oto syn występuje wobec niego jako sędzia surowy, a pod wpływem płomiennych słów dziecka ojciec poznaje, że pobłądził, że niejednego zaniedbał, że stracił z oczu ideał ogólniejszy, narodowy...

I w tej to właśnie spowiedzi Benedykta Korczyńskiego spoczywa punkt ciężkości całej powieści, ta spowiedź to nie tylko kajanie się, ale i okrzyk pełen siły i pełen treści: praca organiczna nie prowadzi sama do celu, rezygnacya jest samobójstwem, ideał narodowy musi przyświecać każdej pracy.



Fig. 124. Eliza Orzeszkowa.

Pod względem artystycznym nie wszystkie utwory autorki naszej są równe. Zrazu nie umiała ona zdobyć się na przedmiotowość, w układzie zaś długo nie potrafiła utrzymać trafnego stosunku między częściami opowieści a całością. Z czasem pozbyła się tych wad, a pogłębiwszy obserwacyę, poczęła dawać utwory wprost niepoślednie. Do takich należy np. »Cham«, powieść nie tylko najpiękniejsza z wszystkiego, co napisała Orzeszkowa, ale także jedna z najznakomitszych powieści wogóle polskich. Znaczenie Orzeszkowej polega jednak głównie na podnoszeniu przez nią zagadnień społecznych. Nie masz niemal utworu, w którymby autorka nie walczyła w obronie doniosłej jakiejś myśli. Jest też ona obok Świętochowskiego najlepszą przedstawicielką prądu »pozytywistycznego«, o ile on odbił się w literaturze pięknej.

W szeregu walczących znaleźli się zrazu również dwaj najznakomitsi

nasi powieściopisarze: Prus i Sienkiewicz, ale niebawem każdy z nich poszedł swoją drogą. Pierwszy

Bolesław Prus (właściwe imię Aleksander Głowacki, ur. 1847.) uzyskał u czytelników miano pisarza-myśliciela. Miano zasłużone, bo wielki powieściopisarz wznosi się istotnie często do wyżyn filozoficznych, ale określające znaczenie Prusa jednostronnie, bo jest on również znakomitym artystą — poetą.

Jak inni »młodzi«, tak i Prus uważał zrazu uczucie za czynnik w życiu ludzkiem najmniej potrzebny, a nawet później, bo już pod koniec wieku, pisał, że »najsilniej trzeba rozwijać wolę, potem myśl, a potem uczucie«. A jednak? A jednak po szeregu obrazków i szkiców, w których było wiele śmiechu, Prus uderza w tę strunę, której dźwięk radby był u innych zagłuszyć, i daje powiastki pełne — rzewnego uczucia. Prawda, że ogarnia niem zrazu istoty, budzące w sercu każdego litość z powodu swej bezsilności — to jest małe dzieci. W rzewny, humorystyczny sposób kreśli autor objawy duszy dziecięcej, a rozumie ją tak, jak nikt przed nim w literaturze. Z wielką miłością rzeźbi np. prześliczną postać Anielki, słodkiego dziewczątka, w którego główce już budzą się pierwsze myśli, które tak strasznie tęskni do mamy, a dotknięte ciężką chorobą, na wieść, że mamy jej już niema, umiera... Albo ów Jasio z »Sierocej doli«, krzywdzony przez ludzi nie złych, ale głupich lub ciemnych, posądzony o złodziejstwo, tułający się po mieście w noc ciemną, czyż nie wzrusza nas do łez?

Niebawem wyznaczy Prus uczuciu pewną, określoną rolę. Nie ma ono mieć nic wspólnego z marzycielstwem — przeciwnie powinno wieść do męskich czynów. »My od uczucia — pisze — żądamy tylko tego, ażeby było szczęśliwem, tj. doznawało przyjemności, a przynajmniej »wzruszeń«. Tymczasem uczucie, jak wszystko na tej ziemi, winno być użytecznem, czyli służyć za pobudkę do czynów i to nie byle jakich, ale użytecznych: użytecznych dla naszego własnego rozwoju, użytecznych dla innych ludzi i wreszcie dla całego społeczeństwa«.

Obaczmyż, jak objawia się owa »użyteczność« uczucia w dalszych powieściach Prusa. O przykład nie trudno. Weźmy do rąk »Placówkę«. Któż jest w niej »bohaterem«? Oto chłop ciemny, dość leniwy, chciwy na grosz, ale ożywiony jednem wielkiem uczuciem: miłości ziemi. Dziedzic, pan z panów, sprzedaje po przodkach odziedziczoną wieś w Poznańskiem komisyi kolonizacyjnej na balu — podczas mazura, chłop Ślimak na słowa Niemców: »Słuchaj, chcemy grunt twój kupić«, ogląda się za siebie i pyta

zdziwiony: Grunt? grunt?... A cóż wy, panowie, macie za prawo kupować mój grunt?

— Mamy pieniądze...

— Ja za pieniądze nie sprzedam. To przecie moja ziemia. Siedzieliśmy tu z dziada, pradziada, jeszcze za czasu pańszczyzny, i to się nazywała nasza zagroda. Później mój ojciec dostali ten grunt, z ukazu, na własność i to jest opisane w komisyi... Rządowy omentra ziemię tę zmierzył, na wszystkich papierach są podpisy i pieczęcie, jak się należy, zatem... zatem... jakiem prawem wy chceta kupować mój grunt, kiedy on jest mój?... Mój własny, no?...«



Fig. 125. Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).

Dla kolonistów opór chłopa, pochodzący z miłości ziemi, jest klęską niepowetowaną. Oni na górce Ślimaka chcieli ustawić wiatrak, a o to »nie sprzedam« rozbijają się wszystkie ich plany.

Ziemia zostaje przy Ślimaku, Niemcy muszą ustąpić, kawał ojcowizny ocalał przed zalewem kolonistów. Kto to sprawił? Uczucie, uczucie bierne nawet, bo nie zdobywające się bynajmniej na czyn, ale silne i obdarzone niezwykłą mocą wytrwania, a przez to w najwyższym stopniu użyteczne.

Uczucie takie, zamknięte w sercu prostem, w mózgu nieukształconym, wydaje opierających się podbojowi niemieckiemu Ślimaków, doprowadzone do świadomości, poparte wiedzą i wolą, tworzy bohaterów, a przynajmniej popycha do bohaterskich porywów.

Człowiekiem stworzonym na bohatera jest Wokulski w »Lalce« Prusa.

W sercu jego mieści się skarb uczucia, wolę ma silną, inteligencyę niepospolitą. Cóż kiedy zaletami temi przerasta właśnie swe pokolenie. Nie tylko więc nie znajdzie poparcia, ale owszem spotka się na każdym kroku z zaporami. Kupcy nie dowierzają mu, bo Wokulski znalazł wstęp do arystokracyi, arystokracya patrzy nań przez ramię, bo Wokulski jest kupcem, jedni i drudzy jednak radziby ciągnąć zyski z przedsiębiorstw przez niego pomyślanych. Ciągnąć zyski i — nic więcej, chyba... oczerniać go zaocznie. Energia Wokulskiego łamie jednak te przeszkody, aż rozbija się o... lalkę — o pannę ze zrujnowanego, pańskiego domu. Bohater powieści kończy samobójstwem. Przyczyna jego klęski leżała jednak nietylko w otoczeniu, nietylko w ptasim mózgu i ptasiem sercu panny Izabeli, ale i w nim samym. Choć przerósł on swoje pokolenie, nie doszedł nigdy do zgody wewnętrznej, wahał się między tem, co nakazywał rozum, a tem, czego wymagało uczucie, więc tem łatwiej rozbił się o przeszkody zewnętrzne... Smutne zakończenie, tak jak smutny obraz społeczeństwa, wśród którego żyje Wokulski. Jest to właśnie owo pokolenie, które ustępowało z pola po roku sześćdziesiątym trzecim. Same marne jednostki, bez szlachetniejszych porywów, bez wielkiej myśli przewodniej. A jeśli trafi się nawet człowiek zacny, jak książe, to ten zaczyna i kończy tylko na deklamacyach o »naszym nieszczęśliwym kraju«. Jakże kochaną, prześliczną postacią na tem tle sobkowskiem jest stary subjekt Rzecki, o duszy romantyka, o naiwności dziecka, wierzący zawsze w gwiazdę napoleońską i w rychłą sprawiedliwość na ziemi. Tylko jego uczucie jest znów bezpłodnem, bo nie wykracza poza granicę marzeń... »Placówka« i »Lalka« były już powieściami znakomitemi, ci jednak, którzy śledzili rozwój talentu Prusa i pamiętali, jak stale wznosił się na coraz wyższe szczeble, mogli przypuszczać słusznie, że nie ustanie w tym pochodzie do doskonałości.

Chwilowo zawiedli się. »Emancypantki« nie są nowym krokiem na drodze doskonalenia się artystycznego. Przyznając to, musimy jednak dodać, że powieść ta jest silniejszym i jaśniejszym wyrazem idei autora, niż powieści poprzednie. Co znaczy wyraz »emancypantka«? Mianem tem oznaczają kobiety, które dążą do zrównania się pod każdym względem z mężczyznami, by módz tak samo pracować dla siebie i dla ogółu, jak mężczyźni. U nas prąd ten »emancypacyjny« budził się kilkakrotnie i przycichał, aż ozwał się znowu silniej po roku sześćdziesiątym trzecim. Prądem tym zajął się też Prus w swej powieści i — bez namysłu go potępił. Dlaczego? Dlatego, że w usiłowaniach owych wolnomyślnych kobiet nie dostrzegł nic

użytecznego. Żadna z jego emancypantek nie kocha naprawdę nauki, nie myśli szczerze o pracy, ale jedna oddaje się jej tak długo, jak długo zmuszają ją do tego — nudy, druga — jak długo nie ma innych środków do życia, trzecia? trzecia wcale nie pracuje, ale emancypacyę pojmuje jako równouprawnienie z mężczyznami w trwonieniu pieniędzy. Wszystkie po cichu wzdychają do męża, i niech się trafi jaki taki oblubieniec — rzucają się uszczęśliwione w jego objęcia. Ponad temi krzykliwemi »działaczkami« unosi się »geniusz uczucia«, ciche, słodkie dziewczę, Madzia Brzeska, która najszczęśliwsza jest wtedy, gdy może otrzeć łzę nieszczęśliwemu, a największą rozkosz znajduje w poświęceniu. Prawda, nie dokonywa ona bohaterskich czynów i ona zresztą spotyka się co krok z niechęcią lub nawet szyderstwem lub oszczerstwem ze strony otoczenia, ale jej te przeszkody nie zrażają. Idzie przez życie cicha, o siebie nie dbając, a gdzie się zjawi, tam budzi uśmiech szczęścia, przynosi pociechę, ujarzmia dzikie dusze. Prawdziwy anioł litości i dobroci... A Prus, ośmieszywszy niemiłosiernie płytkie krzykaczki, schłostawszy marne społeczeństwo, które na takim skarbie, jak Madzia, nie poznaje się, albo poznać się nie chce — z zawiści, woła: oto jest cała kobieta, to wzór, to ideał, bo ta nie rozumuje, ale idzie za głosem uczucia i spełnia czyny użyteczne. Ludzkości ona nie przetworzy, społeczeństwa swego nie zreformuje, ale może i powinna być gwiazdą przewodnią dla wielu...

Czyż zawsze jednak rolą uczucia ma być tylko niesienie ulgi jednostkom, czy nie przeznaczono mu pchnąć świata na nowe, lepsze tory? Na to odpowiedź daje Prus w ostatniej, najznakomitszej może swej powieści, w prawdziwem arcydziele: »Faraonie«.

Z pól nadwiślańskich, z ulic Warszawy, przenosi nas autor nad święte wody Nilu w czasy starożytnego Egiptu, na setki lat przed Chrystusem. Zaznajamia nas z dworem »boskiego« Faraona, z kapłanami trzęsącymi Egiptem, z armią, z chłopem egipskim, Żydem, Grekiem i Assyryjczykiem. Poznajemy najdokładniej cały ustrój państwowy, rozumiemy wzajemny stosunek klas i warstw rozmaitych, a na tem tle dopiero rysuje się wyrazista postać młodego następcy tronu, Ramzesa. Około jego osoby skupia się osnowa całej powieści. Ramzes ma czułe serce na niedolę ludzką. Widzi, że kapłani gromadzą nadmierne bogactwa i rządzą w państwie samowładnie, a lud upada pod ciężarem pracy, płaci ogromne daniny i ginie z głodu. Taki stan rzeczy jest według niego czemś nie tylko nieprawidłowem, ale wprost zbrodniczem. On to wszystko zreformuje, bogaczom ujmie

mienia, ludowi ulży w pracy, uszczęśliwi kraj, którego ma być władcą. Niech tylko władcą zostanie. Ale walka lekką nie będzie. Kapłani poznali już w nim swego wroga, otoczyli go siecią intryg, gotowi posunąć się do ostateczności. Następca tronu lekceważy to niebezpieczeństwo. Niebawem zawrze bój na śmierć i życie. Stary władca Egiptu umiera — Ramzes zasiada na tronie przodków. Niestety omylił się w rachubach. Lekceważył wiedzę i to lekceważenie go zgubiło. W chwili, gdy na dane przezeń hasło wybucha bunt ludności przeciw kapłanom, ci korzystając z przewidzianego rachunkiem zaćmienia słońca, rzucają postrach na lud dobywający się do skarbca. Oto właśnie tarcza słoneczna znika, a w powietrzu rozlega się straszliwy głos przekleństwa na lud, który znieważa świętości. Przerażenie, rozpacz, jęki... kapłani zwyciężają, niebezpiecznego zaś Faraona usuwają sztyletem. Ramzes mógł również dowiedzieć się o przypadającem zaćmieniu słońca, zgłaszał się nawet do niego mędrzec, by mu to oznajmić — ale on nawet słuchać go nie chciał...

A więc szlachetne zamiary podeptane, a więc egoizm górą? Nie. Ramzes wprawdzie ginie, ale następca jego na tronie arcykapłan Herhor nie może już igrać z wzburzonym ludem i musi wprowadzić wszystkie reformy, obmyślane przez Ramzesa. Uczucie odniosło więc ostateczny tryumf — przyczyniło się do uszczęśliwienia społeczeństwa. Padł wprawdzie bohater, którego serce pragnęło nadewszystko uszczęśliwienia, ale idea jego zwyciężyła.

To ostatnie dotychczas słowo Prusa, ale w niem zamyka się jego wiara w postęp ludzkości, w zwycięstwo ideału. »Faraon« mówi jednak jeszcze coś więcej: Samo uczucie, zwłaszcza, gdy chce wieść do użytecznych czynów, jest niesłychanie silną sprężyną, ale nie jest wszystkiem. Ramzes nie byłby zginął, gdyby był powodował się również rozwagą, rozumem i nie lekceważył wiedzy. Uczucie jest potęgą, ale uzbrojone w oręż rozumu!

Charakterystykę talentu Prusa nie łatwo podać — talent ten rozwijał się w naszych oczach, doskonalił, aż wstąpił na wyżyny nie dla wielu dostępne. Zrazu kreślił Prus obrazki pełne karykatur, chciał równocześnie bawić i nauczać, o artyzm nie dbał. Potem przesadne rysy w postaciach jego znikają, autor stara się dawać ludzi coraz podobniejszych do rzeczywistych, a gdy się uśmiecha, to przez łzy — staje się humorystą w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. Do dusz ludzkich wnika coraz głębiej, obejmuje wzrokiem nie jednostki już lub grupy, ale całe społeczeństwa. W »Faraonie« zaś humor dawny znika nawet, a Prus występuje jako poważny myśliciel...

Olbrzymi talent, jeden z wielkich w naszej literaturze, nie mniejszy z pewnością choć różny od drugiego mocarza pióra, od Sienkiewicza.

Henryk Sienkiewicz (ur. 1846.) stanął odrazu w pierwszych swych »nowelach« wysoko. Wprawdzie »Humoreski z teki Worszyłły« nie są arcydziełem, ale świadczą już o dużym talencie. Hasłem w nich była, jak i u innych współcześnie, »praca od podstaw«. Bohater »Humoresek«, Wilk Garbowiecki, ulepsza grunta, uczy chłopów czytać, zakłada czytelnię dla »inteligencyi« wiejskiej, apostołuje, jak może i gdzie może. Wobec oporu chłopów i szlachty zabiegi jego idą przeważnie na marne — ale..., ale autor wskazał czytelnikowi, jaki jest jego program i jak patrzy na swoje społeczeństwo. Patrzył nie różowo.

Punkt widzenia nie zmienił się i w następnych utworach, zmienił się jednak sposób tworzenia i pojawiła się struna nieznana — rzewność. Czy autor przemawia od siebie bezpośrednio, rozczula się, roztkliwia? Nigdy, ale to, co przedstawia, zdolne jest wzruszyć czytelnika aż do łez. Myśl społeczna nie znika, ale nie wysuwa się na plan pierwszy, jak w »Humoreskach«, owszem, trzeba ją umieć teraz wyczytać. Mamy np. prześliczne opowiadanie »Szkice węglem«. Jest tam pan Zołzikiewicz, pisarz gminny, z wypomadowaną głową, człowiek »postępowy«, zasadzający ową postępowość na bezwyznaniowości, słowem człowiek w wysokim stopniu śmieszny. Niestety, nie tylko śmieszny, ale i zły. Gdy jego zaloty miłosne, zwrócone do poczciwej wieśniaczki Rzepowej, nie odnoszą skutku, zaczyna się mścić. Przy pomocy środków niegodziwych, podłych, oddaje męża wieśniaczki w sałdaty. Rozpacz Rzepowej, szukanie ratunku, zawód po zawodzie! Sąd gminny boi się pisarza, więc pomódz nie może, ksiądz każe złożyć cierpienia u stóp krzyża, właściciel dworu przyrzekł sobie nie mieszać się do spraw gminnych, sędzia powiatowy nie ma czasu, by wysłuchać nieszczęśliwej... Niema rady, trzeba iść z prośbą do samego pisarza. Idzie więc, a ten owszem rad bardzo tym odwiedzinom, tylko że kiedy sam zyskuje wszystko, czego chciał, dokumentu potrzebnego nie oddaje. Ale mąż Rzepowej obelgi nie zniesie. I dzieje się rzecz straszna. Chłop ucina siekierą żonie głowę, a sam podpala chatę i dworskie gumna i ucieka w świat. A pan Zołzikiewicz? Ten będzie dalej pomadował włosy i oszukiwał chłopów najbezczelniej.

Ostatecznie myśl ta sama, co w Orzeszkowej »Nizinach«, tylko że kiedy tam malowidło jest obszerne, zgubne skutki działania pokątnego adwokata pokazane na szeregu przykładów, a myśl społeczna widnieje, jak na dłoni, tu mamy jeden obrazek, widzimy tylko jeden czyn podły pana

Zołzikiewicza. Tak, ale ten jeden wypadek należy uogólnić i uogólnić także zachowanie się innych osób w tem opowiadaniu: księdza, dziedzica, sędziego, a potem wydobyć odpowiedni wniosek: nieszczęśliwy ten nasz lud, którego pisarz gminny okpiwa, a którym nie zaopiekuje się ani ksiądz, ani dwór, ani rząd. Oskarżenie zatem na dwie strony: przeciwko własnemu społeczeństwu (jego warstwom wyższym) i przeciw wrogiemu rządowi.

Podobnie w innych nowelach. Powodem śmierci »Janka muzykanta« jest ciemnota ludu, który nie dorósł do sądzenia, powodem śmierci Michasia (w opowiadaniu »Z pamiętników poznańskiego nauczyciela«) — zła wola, nieludzkość rządu wrogiego nam, męczącego dzieci polskie nauką w niezrozumiałym, obcym im języku.

Oskarżenie zatem znów na dwie strony.

W tych (i innych) obrazkach Sienkiewicz przedstawia ludzi takimi, jakimi są, bynajmniej ich nie upiększa. Oto »Bartek Zwycięzca«, skrzywdzony nieludzko przez Prusaków, a przez to przedmiot naszego współczucia, nie jest bynajmniej podobnym do chłopów Brodzińskiego. Autor tak go charakteryzuje: »Bohater mój nazywał się Bartek Słowik, ale ponieważ miał zwyczaj wytrzeszczać oczy, gdy do niego mówiono, przeto sąsiedzi nazywali go Bartek wyłupiasty. Ze słowikiem istotnie mało miał wspólnego, natomiast jego przymioty umysłowe i... naiwność zjednały mu także przezwisko: »Głupi Bartek«. Ten to Bartek dokazuje cudów waleczności pod Gravelotte, zdobywa sztandar, budzi podziw wśród dowódzców niemieckich, ale po bitwie takie odpowiedzi daje generałowi niemieckiemu Steinmetzowi, który chciał się przekonać, czy może go zrobić podoficerem. »Skąd jesteś? — pyta generał. — Z Pognębina — odpowiada Bartek. — Dobrze. Imię twoje? — Bartek Słowik. — Wiesz, za co bijesz Francuzów? — Wiem, Celencyjo... (Excelencyo!) — Powiedz... — Bartek poczyna się jąkać: »Bo... bo... bo to także Niemcy, tylko ścierwa gorsze!«

Dotychczas kreślił Sienkiewicz niedolę ludzką, wskazywał, że dzieje się źle, ideału — jak dziać się powinno — nie wskazał. Tematy brał z życia współczesnego, dawał obrazy niezwykle plastyczne, a zabarwiał opowiadanie humorem. Przedstawiał wrażenia drobne, na pozór mało znaczące, ale z poza tych niby drobnostek wyglądało widmo niedoli społecznej.

Kiedy jednak zachwyceni nowelami czytelnicy oczekiwali dalszych w podobnym rodzaju obrazów, autor wystąpił niespodzianie z opowieścią »historyczną« z odległych czasów »Niewolą tatarską«, a po niej z wielką powieścią z XVII-go wieku: »O g n i e m i m i e c z e m«.



Fig. 126. Henryk Sienkiewicz.
(Portret Pochwalskiego).

Cóż da się porównać z wrażeniem, jakie wywarło ukazanie się tej książki! Rozległ się głos podziwu, głos zachwytu i tryumfu! Nie zginęliśmy — wołano — nie tylko nie marniejemy, ale widocznie jest w nas sił i życia wiele, kiedy w pośród nas powstał taki mistrz i wyrasta takie arcydzieło. Powieść była istotnie dziełem w całem tego słowa znaczeniu niepospolitem. Sienkiewicz tak trafił w niej w ducha wieku i tak go oddać zdołał, jak nikt przed nim, stworzył ludzi żywych, a tak prawdziwych, że nie chce się wierzyć, by Podbipięta lub Zagłoba byli postaciami zmyślonemi, a choć starał się przedstawiać ludzi takimi, jakimi byli (z ich cnotami i wadami), to jednak umiłował ich widocznie i to nie tylko jednostki, ale cały naród i cieszył się każdym jego tryumfem, bolał nad każdą klęską. Ta to miłość właśnie, wyzierająca z każdej kartki dzieła, sprawia, że czytelnik daje się porwać uczuciom, które władały sercem autora, i na ludzi i wypadki patrzy jak na coś bardzo blizkiego i drogiego.

Jądrem powieści jest stary spór pomiędzy Rusią a Polską, który wówczas zaognił się, aż wybuchł pożarem, myślą przewodnią — oczyszczenie Polski z zarzutów, którymi obarczano ją często niesłusznie. Rozmowa Chmielnickiego z Skrzetuskim to jakby jakiś sąd w sprawie pomiędzy dwoma narodami.

— Spójrz, co się dzieje na Ukrainie! — mówi Chmielnicki. — Hej ziemia bujna, ziemia matka, ziemia rodzona, a kto w niej jutra pewien? kto w niej szczęśliw? kto wiary nie pozbawion, z wolności nie obran?... Gdzie przywileje kozackie? Król dał, królewięta odjęli... Łzy nie obeschły po pobitych, ściętych, na pale wsadzonych — a teraz — patrz! co świeci na niebie — tu Chmielnicki wskazał przez okienko na płonącą kometę — gniew Boży! bicz Boży!«

A na to Skrzetuski głosem zrazu »cichym i smutnym«:

— Ach! choćby to była i prawda, ktoś ty hetmanie jest, abyś się sędzią i katem kreował?... Tyranię paniąt i szlachty widzisz, ale tego nie widzisz, że gdyby nie ich piersi... tedyby ta ziemia, mlekiem i miodem płynąca, pod stokroć cięższem jarzmem tureckiem albo tatarskiem jęczała!

Tu głos pana Skrzetuskiego potężniał coraz bardziej...

— Możesz-li mi rzec, że między wami są tylko sprawiedliwi? A żeś mię pytał, gdzie są przywileje kozackie, tedy ci odpowiem... Zdarły je bunty wasze, zdarły niespokojności i napady, nakształt tatarskich czynione. Kto Tatarów w granice Rzeczypospolitej puszczał, by dopiero na powracających i łupem obciążonych dla zysku napadać? — wy! Kto, przebóg! —

lud chrześcijański, własny, w jassyr oddawał? wy i wy! Czego tedy chcesz? Czy aby wam przywileje na wojnę domową, rozbój i łupiestwo były wydane? Zaiste więcej wam przebaczono, niźli odjęto!« Gdy Chmielnicki na te zarzuty ma jedną tylko odpowiedź — rzuca się na Skrzetuskiego z nożem — sam się osądza. Takie jest stanowisko autora. Ale nie posądzajmy go o stronniczość. Kto z taką plastyką nakreślił wysoce poetyczną postać Bohuna — Rusina i wlał w nią tyle uczuć szlachetnych, ten nie Rusinów nienawidził, nie w nich godził, lecz — w hajdamaków. »Ogniem i mieczem« tedy to opowieść przedmiotowa, obraz schwycony w chwili strasznej — mordu i pożogi, niesłychanie wierny a żywy. Ogół przyznał mu miano arcydzieła.

Jeszcze publiczność nie ochłonęła z podziwu po przeczytaniu tej powieści, kiedy niezmordowana wyobraźnia autora poczęła snuć inne obrazy na tle dziejów siedmnastego wieku i niebawem ukazał się z czasów wojny szwedzkiej »Potop«, a po »Potopie« »Pan Wołodyjowski«. Wszystkie trzy powieści razem tworzą przecudną Trylogię.

Czem są te dwie następne powieści w stosunku do »Ogniem i mieczem«? Są poniekąd dalszym ciągiem. Kreślą dzieje tego samego wieku w latach kolejno po sobie następujących, a choć powieść pierwsza daje obraz szamotania się Polski z buntem kozackim, druga walk z Szwedami, trzecia (przy końcu) z półksiężycem — to jednak główny bohater pozostaje ten sam — Rzeczpospolita w drugiej połowie siedmnastego wieku, a nawet niektóre postaci (Zagłoba, Wołodyjowski) występują we wszystkich trzech powieściach. A jednak charakter tych dwóch następnych jest różny. W pierwszej osią główną jest walka między dwoma bratnimi, poważnionymi narodami, w »Potopie« — losy i poprawa zepsutego Kmicica, na którym okazuje się, że odrodzenie polityczne narodu musi wyprzedzić odrodzenie moralne, głównem zaś zadaniem »Pana Wołodyjowskiego« jest nakreślenie obrazu życia domowego w dworku szlacheckim i na stannicy kresowej. W »Ogniem i mieczem« przeciwstawione są dwa społeczeństwa: polskie i ruskie, a że akcya toczy się przy błysku noży rezuńskich, na całość pada złowrogi blask jakiejś dzikości; w »Potopie« jest walka między dwoma narodami cywilizowanymi, ale o przeciwstawienie tu nie chodzi (choć czytelnik porównywa karność Szwedów z anarchią polską, jak też naodwrót polską dobroduszność z szwedzką zaciekłością) — zadaniem jednak głównym autora było ukazać naród polski w chwili moralnego upadku, ubezwładnienia ducha i w chwili odrodzenia się w nim starych cnót rodzimych: miłości Boga i ojczyzny; w »Panu Wołodyjowskim« wre-

szcie sprawy publiczne ustępują na plan drugi, rycerzy, których oglądaliśmy dotychczas w ogniu walki, widzimy przy ognisku domowem, a pod koniec dopiero mistrz »struny natęża« i pokazuje nam tę Rzeczpospolitą w dziejowej jej roli jako przedmurze chrześcijaństwa w zapasach z niezwalczoną wówczas jeszcze potęgą turecką. Kamieniec wprawdzie się poddaje, Wołodyjowski wysadza się w powietrze, ale pokrzepienie i odwet blizkie, bo oto zjawia się mąż olbrzymi, hetman chrześcijański, Sobieski. Czytelnik ogląda przy końcu dzieła pogrom Turków pod Chocimem, a myśl jego wybiega dalej i zatrzymuje się pod Wiedniem...

Wszystkie te powieści mają wspólne zalety. Autor wniknął w nich w sposób zadziwiający w ducha czasu — obraz XVII. wieku odtworzył w sposób niezwykle wierny. A cóż mówić o niezrównanych obrazach przyrody, o prześlicznych, niezwykle plastycznych opisach bitew i o genialnie pomyślanych, poszczególnych postaciach, z których każda odrębna, każda myśli po swojemu, przemawia swoim językiem, zawsze jest sobą. Taki książe Jeremi, Radziwiłłowie, Opaliński z historycznych, a ze zmyślonych całkowicie lub częściowo: Zagłoba, Podbipięta, Kmicic, Wołodyjowski, Roch Kowalski, Rzędzian — toż to nasi doskonali znajomi! Taką plastyką poszczycić się może tylko Mickiewicz w »Panu Tadeuszu«.

Sienkiewicz zakończył Trylogię wyznaniem, że napisał ten szereg tomów z niemałym trudem »ku pokrzepieniu serc«. Bardzo to cenne wyznanie. Mamy bowiem świadectwo, pochodzące bezpośrednio od autora, że tworzył nie dla przyjemności własnej tylko, ale przejęty myślą obywatelską, chęcią obudzenia w społeczeństwie polskiem dążności narodowych i wiary w swoje siły. W czem to pokrzepienie ma leżeć — to jasne. Przez ziemie polskie przepędziła wichura kozacka, szwedzka, a potem dziesięćkroć groźniejsza muzułmańska, a jednak z tej toni wyszła Rzeczpospolita cała... Ponosiła klęskę zawsze, ilekroć traciła wiarę w siebie, gromiła i zadziwiała świat, gdy wiarę tę odzyskiwała...

Nie wątpcie więc, miejcie wiarę — bije z tych wszystkich kart głos potężny — a nie znajdzie się taka moc, któraby was zmódz zdołała.

Robiono Sienkiewiczowi zarzut, że pisał hymny na cześć szlachetczyzny. Dziwny zarzut. Gdzie i kiedy? Przez to, że wywyższył Wiśniowieckiego? ależ okazał także magnatów w roli zdrajców, przedstawił upadek szlachty przed Częstochową. Że zaś to, co było w niej cnotą, nazwał po imieniu, przeto to zwolennik »szlachetczyzny» jak Pol, ba jak Rzewuski! Ci, którzy tak twierdzą, po polsku nigdy nie myśleli, nie czuli.

W Tyńcu, w gospodzie pod Lutym Turem, należącej do opactwa, siedziało kilku ludzi, słuchając opowiadania wojaka bywalca, który z dalekich stron przybywszy, prawił im o przygodach jakich na wojnie i w czasie podróży doznał.—

Człek był brodaty, w sile wieku, pleczysty prawie ogromny, ale wychudły; włosy nosił ujęte w pątlik czyli w siatkę nazywaną paciorkami, na sobie miał skórzany kaftan z pręgami wyciśniętemi przez pancerz, na nim pas, cały z miedzianych klamr, za pasem nóż w rogowej pochwie przy boku zaś krótki kord podróżny.—

Tuż przy nim za stołem siedział młodzieńczyk o długich włosach i wesołem spojrzeniu, widocznie jego towarzysz, lub może giermek, bo przybrany także po podróżnemu w taki sam kosmyciskany od zbroicy skórzany kaftan. Resztę towarzystwa stanowiło dwóch ziemian z okolic Krakowa i trzech mieszczan w czerwonych składanych czapkach, których cienkie końce zwieszały się im z boku aż za łokcie.—

Gospodarz niemiec w płowym kapturze z kołnierzem wycinanym w zęby lał im z konwi sytne piwo do glinianych stągiewek i nasłuchiwał ciekawie przygód wojennych.

~~Jeszcze raz ciekawiej słuchali mieszczanie. W owych czasach nie gardziło jeszcze niemi tak jak później nieraz zdarzało się widzieć w gospodach kupców pijących za pan brat zwłaszcza z ubożną szlachtą.— Dawna nieprzyjaźń, jaka za czasów Łokietka wszczęła między szlachtą a mieszczanami ucichła więc ich nawet widziano chętnie, bo jako ludzie u których o grosz łatwiej a do tego wdzięczni za cześć, płacili zwykle za herbowych.—~~

Jeszcze ciekawiej jednak słuchali mieszczanie. W owych czasach, nienawiść jaka dzieliła za czasów łokietkowych miasto od rycerskiego ziemiaństwa znacznie już była przygasła, mieszczaństwo zaś nosiło głowy górniej niż w wiekach późniejszych. Jeszcze zwano ich wówczas „des allerdurchlüchtigsten Königes und Herren" i cenzono ich gotowość „ad concessionem pecuniarum". Dlatego też nieraz zdarzało się widzieć w gospodach kupców pijących za pan brat, zwłaszcza z ubożną szlachtą widziano ich nawet chętnie, bo jako ludzie u których o gotowy grosz łatwiej płacili zwykle za herbowych.

Tak więc siedzieli teraz i rozmawiali mrugając od czasu do czasu na gospodarza aby napełniał stągiewki.—"

Fig. 127. Karta z rękopisu »Krzyżaków«.

Po »Trylogii« nadeszła pełna nieocenionego humoru »Ta trzecia«, a po niej coś tak różnego od »Ogniem i mieczem« i »Potopu«, jak różnym jest człowiek dzisiejszy od bohaterskich postaci Skrzetuskich i Kmiciców. Sienkiewicz napisał »Bez dogmatu«.

Cywilizacya nowożytna dała ludzkości wiele dobrego, ale też i wiele złego, bo umożliwiając nadmiar używania, zagroziła jednostce przesytem, podsuwając zaś mnóstwo zagadnień, zwichnęła równowagę umysłową człowieka, a nierzadko podcięła jego wolę.

Takim nieszczęśliwcem bez woli, bez wiary w cokolwiek, »bez dogmatu« jest Płoszowski. Pisze on swój pamiętnik, a w nim notuje z drobiazgową dokładnością wszystkie swoje myśli, chwilowe popędy, wahania, uczucia, pół-pragnienia — i to cała jego praca. Żywiej nie zajmuje się niczem, a z tego braku zainteresowania się czemkolwiek wypływa brak jakichkolwiek dążeń, a z tego znowu brak woli. Kiedy wreszcie zajęcie budzi w nim kobieta i rodzi chęć posiadania jej, wola jego cała skupia się około tego pragnienia. Cóż dziwnego, że śmierć istoty ukochanej staje się równocześnie wyrokiem dla Płoszowskiego. Nieszczęsny kończy samobójstwem. Smutny obraz i surowa przestroga dla współczesnych...

Ale autor na przestrodze nie poprzestał, nie zadowolił się odsłonięciem rany — postanowił dać coś więcej, wskazać nie tylko, jakimi być nie powinniśmy, ale także, jakimi być nam trzeba. To też w powieści, napisanej po »Bez dogmatu«, w »Rodzinie Połanieckich«, znajdujemy w osobie Połanieckiego przeciwstawienie Płoszowskiego. Połanieckiemu daleko do wytworności bohatera »Bez dogmatu«, jest w nim nawet wiele szorstkości, ale zato człowiek ten coś kocha, do czegoś dąży, a co postanowi, to potrafi wykonać. Jest on doskonale przysposobiony do walki życiowej, to też gdy Płoszowski nie robi nic i kończy samobójstwem, jemu życie schodzi na pracy, którą wieńczy osiągnięcie zamierzonego celu.

Płoszowski nie miał dogmatu żadnego, nie miał i religijnego. Było mu bez niego źle, źle bardzo, zwłaszcza, gdy przyszło nieszczęście. Połaniecki jest w sprawach religijnych zrazu obojętny, nie myśli o nich, nie czuje potrzeby roztrząsania spraw wiary. Ale ta potrzeba zjawia się. Wywołuje ją śmierć kochanego bardzo dziecka, a odtąd, raz się zjawiwszy, już ona mu nie da spokoju, dopóki nie powróci do »służby bożej« w duchu chrześcijańskim. I wtedy dopiero znajdzie Połaniecki pełne szczęście. Sienkiewicz nie kryje się tedy z tem, że według niego dogmat religijny jest potrzebą jednostek i społeczeństwa.

Religia chrześcijańska każe jednak iść za głosem sumienia, kochać Boga i ludzi, a w stosunkach z nimi unikać kłamstwa. Jak też tę zasadę stosuje w życiu nasze społeczeństwo chrześcijańskie? Oto stosuje tak, że posługuje się najczęściej... kłamstwem. Najsilniej napiętnował autor tę haniebną wadę, o ile uwidocznia się ona w stosunkach małżeńskich. Są małżeństwa uczciwe, ale są i nieuczciwe i tych jest w powieści więcej. Łamią wiarę małżeńską żony, łamią i mężowie — a nawet i Połaniecki, taki silny, taki zaufany w siebie, nie potrafi oprzeć się pokusie. Tylko, że u niego zjawia się wnet skrucha, żal wielki, a wyrzuty sumienia dręczą go niemiłosiernie. Sienkiewicz zajmuje tedy wobec wiarołomstwa mężczyzny stanowisko zupełnie niedwuznaczne i potępia je bez ogródek.

Jak widzimy, w »Rodzinie Połanieckich« nie o romans chodzi, ale o dusze ludzkie, o moralne prawidła, które obowiązywać powinny społeczeństwo. Autor nie myśli wskazywać jakichś prawd nowych, wystarczają mu dawne: chrześcijaństwo jest potęgą, religia jest potrzebą, dogmat jest podstawą szczęścia człowieka — oto co można było wyczytać w »Połanieckich«.

Jest potęgą, potrzebą, podstawą szczęścia... ale czy niczem więcej? Na to daje Sienkiewicz odpowiedź w »Quo vadis«.

Rzym za Nerona, orgia rozpusty, rozpasanie najdzikszych instynktów — toż to był temat jedyny dla Sienkiewicza, dla niego, obdarzonego tak nadzwyczajnym darem plastyki. Tam wszyscy żyli życiem zewnętrznem, tam wielkość polegała nie na samotnem pasowaniu się z sobą, ale na olśnieniu siebie i drugich. To zaś, co chwyta zmysł wzroku: życie objawiające się w ruchu, w działaniu, to umiał Sienkiewicz zawsze świetnie odtwarzać. Ale nakreślić ten świat drugi, cichy, te dusze żyjące miłością Chrystusa, te wyobrażenia i myśli pierwszych Chrześcijan i tych, co byli na drodze do przyjęcia nowej wiary — to była trudność niemała, przedsięwzięcie — dla innego autora — niebezpieczne.

Obraz Rzymu pogańskiego dał Sienkiewicz wspaniały, niezrównany, chrześcijańskiego bardzo wzruszający, zwłaszcza od chwili, gdy zaczynają się prześladowania i męczarnie. W jednym i drugim obrazie z pośród szarej masy wysuwają się niektóre postaci na plan pierwszy i z tych właśnie możemy sądzić o ogóle. Jest więc potworny błazen, okrutnik, pan Rzymu, Cezar — Nero. Jest jego poufny, Tigellinus, łotr na pierwszy rzut oka, kiedy Nero może łudzić pozorami. Jest też łotr w innym gatunku, nie w pałacu mieszkający, lecz w zaułku, Chilo Chilonides, udający filozofa,

chytry, mściwy, gotów każdego zaprzedać, nawet swego dobroczyńcę, nie człowiek, ale i nie zwierzę, bo w zwierzęciu nie zmieściłoby się tyle podłości. To ci, w których najlepiej odbiło się zwyrodnienie świata starożytnego, ale poza nimi są tysiące mniej lub więcej podobnych. — Szlachetnych jest w tym świecie garstka tylko: to Aulus Plaucyusz, Winicyusz, Petroniusz... Z tych Aulus Plaucyusz pozostaje w powieści w półcieniu, a tamtym dwom do ideału ludzkiego daleko. Winicyusz podłości wprawdzie nie popełni, zna swój honor żołnierski i strzeże go, ale własne zachcianki uważa za prawo, a o okrucieństwo i u niego nie trudno. Petroniusz to najszlachetniejsza roślina, wyrosła na glebie pogańskiej, lecz ten jest dobry, szlachetny nie wskutek przeświadczenia, że dobrym być należy, ale dlatego, bo okrucieństwo, podłość, kłamstwo jest dla niego czemś wstrętnem. Choć widzi, że Rzym pogański pędzi w jakąś straszliwą przepaść, przeciwdziałać temu, zdobyć się na czyn jakiś nie umie. Istota to szlachetna z gruntu, ale chora, bez woli, jeden z objawów tego rozkładu, któremu wszystko ulegało.

A teraz przeciwstawienie tych szalejących lub bezwładnych — świat chrześcijański w jego przedstawicielach. Wzrok nasz pada przedewszystkiem na postać ucznia Chrystusowego Piotra. To święty jednak i w tym ludzkiego już nic niema. On myśli tylko o Chrystusie i o tej trzodzie, której pasterzem został i za którą gotów głowę położyć. Obok św. Piotra występuje też św. Paweł, ale ten pozostaje w półcieniu.

To święci. A inni z świata chrześcijańskiego? Wybitnych postaci niewiele, ale te, które są, nakreślone zostały po mistrzowsku. Choć wszystkie wyznają Boską naukę, każda z nich jest sobą, a co ważniejsza, w pojmowanie tej nauki wnosi każda własne wyobrażenia. Dusza chrześcijańska w najszlachetniejszem pojęciu — to Lygia. Ta kocha rzeczywiście wszystko i wszystkich przez Chrystusa i dla Chrystusa i nigdy w niczem przeciw nauce nie wykroczy. Ale jest Ursus, barbarzyniec, sługa Ligii, nasz prapra-przodek, Polak bowiem, podobnie jak Ligia była Polką. Ten baranka miłuje nadewszystko, ale żałuje, że Jezusik nie przyszedł na świat w puszczach polskich, tam bowiem nie tylko nie byłby doznał żadnej krzywdy, ale bracia Ursusa nie żałowaliby mu niczego, łupy pobrane na nieprzyjaciołach znosili, za króla swego uważali. A gdy ma odbić Ligię wysłańcom Winicyusza, to zapowiada z góry, że »już tam lepiej nikomu nie podsuwać się pod jego pięści, choćby w żelaznej zbroi... Bo czy to żelazo takie mocne! Jak godnie stuknąć w żelazo, to i głowa pod niem nie wytrzyma«.

To dusza chrześcijanina-barbarzyńcy szczytna w swej prostocie. Ale spotykamy się także z postacią chrześcijanina-fanatyka. Kryspus w pierwszym wieku chrześcijaństwa zapowiada tylko sąd straszliwy, ten sam Kryspus w wiekach średnich wysyłałby na stos heretyków...

Inne postaci chrześcijan to Glaukus, Miriam, Nazaryusz i całe masy tych cichych i męczonych. Gdy podczas pożaru Rzymu wszyscy tłoczą się szaleją, depcą i mordują nawzajem, garstka robotników wynosi z pożaru tych, co mdleli, rzeźwi ich i powraca do życia. Ta garstka — to chrześcijanie..., a obraz ten mówi więcej, niżby powiedziało dwadzieścia figur, obdarzonych niebotycznemi cnotami.

Na tle strasznych czasów Neronowych snuje się miłość poganina Winicyusza ku chrześcijance Ligii. I patrzymy na to, jak na twardą naturę żołnierską, niezepsutą, lecz nawskróś pogańską, działa nauka Chrystusowa, jak powoli ją prostuje, uszlachetnia, nie bez oporu, nie bez walki. U Winicyusza jednak był bądź co bądź grunt o tyle podatny, że dusza jego była uczciwa — a taka prędzej czy później się podda. Ale Chilo Chilonides? Czy wobec takich, jak on, chrześcijaństwo pozostanie bezsilnem? W rozwiązaniu tego zagadnienia okazuje się właśnie całe mistrzostwo Sienkiewicza, głęboka jego znajomość dusz ludzkich. Chilo Chilonides obcując z chrześcijanami (żeby ich zdradzać), pochwytał to i owo z ich nauki, ale poto tylko, aby ich uczucia miłości, ich wiarę wyszydzać. W takiego człowieka, by przejrzał, uderzyć musi grom — i bije też w Chilona, kiedy widzi nieludzkie, niewinne męczarnie chrześcijan, dzieło — rąk jego. Niema też w całem »Quo vadis« większego tryumfu chrześcijaństwa nad chwilę, w której najzacieklejszy wróg trzody Chrystusowej zostaje wyznawcą Boskiej nauki i dla niej śmierć okrutną ponosi!

Genialnie tedy nakreślone dwa światy, genialnie oddziaływanie jednego świata na drugi. To już wystarczyłoby, żeby powieść była arcydziełem, lecz jest w niej jeszcze coś, jest siła, która dozwala kreślić obrazy potężne. Przypomnijmy sobie tylko potworną ucztę u Nerona, przywołajmy na pamięć opis pożaru Rzymu lub sceny męczarni chrześcijan. Czuje się, że przed naszymi oczyma rozgrywa się coś olbrzymiego...

»Quo vadis«, przetłumaczone na wszystkie cywilizowane języki, obiegło świat cały, okryło chwałą nietylko autora, ale i ojczyznę, która wydała wielkiego pisarza...

A przecie po tych tryumfach zdobytych po napisaniu powieści, osnutej na tle dziejów obcych, umiłowanie do tego, co swoje, wróciło. Sienkie-

wicz stęsknił się za światem, wśród którego dotychczas przebywał, i nawrócił do malowania przeszłości polskiej. Tylko teraz obrał sobie chwilę najwyższej świetności Polski, czasy Jagiełły.

Zadanie było trudniejsze, niż przy pisaniu »Trylogii«. Wiek XVII. znamy nam jest z wielu pamiętników współczesnych, przedstawiony jest prześlicznie w szeregu szkiców historycznych prof. Kubali, do wieku XV. źródeł i opracowań historycznych jest nierównie mniej. Tu wyobraźnia musiała być czynniejsza, z ułamków musiała budować całość. A całość niebylejaką, jeśli chciało się nakreślić nietylko prawdopodobne sceny z życia ówczesnego, ale oddać i duszę powszechną — duszę wielką. Polska ówczesna szła bowiem do wielkości, była w niej siła żywiołowa, poczucie tej siły, a to wszystko w powieści musiało się znaleźć. I znalazło się! Czujemy istotnie ten »pęd« do mocy, do sławy, widzimy przed sobą postaci nie na dzisiejszą miarę krojone. Ale »pędowi« owemu staje w poprzek tama, wał potworny, który nietylko chce powstrzymać dzielny nanaród w jego pochodzie, ale grozi runięciem na niego i przysypaniem swem rumowiskiem. To Zakon krzyżowy!

I otóż znów trudność nielada; zrozumieć i oddać duszę tego Zakonu, zestawić z sobą dwa światy: polski i niemiecki i wskazać, skąd i dlaczego przyszła na ten drugi zagłada.

Mamy przed sobą ten zakon jak żywy. Poznajemy najwyższych jego urzędników, wchodzimy w serce zakonu: do Malborga, odsłania się przed nami cała jego wartość i wszystkie sposoby postępowania. I widzimy, że ci niby rycerze, co walczą pod znakiem krzyża, to nie dość, że zbóje, że rabusie, że okrutnicy, ale to krzywoprzysiężce. Zbrodnię po zbrodni popełniają, ażeby utrzymać się przy tem, co zagarnęli, a nie cofną się przed żadną podłością ani ohydą...

A teraz znów przeciwstawienie tej jaskini zbójeckiej: świat polski. Przed oczyma naszemi przesuną się rozmaite postaci. Autor przedstawi je w sposób rozmaity. Na jedne będziemy patrzyli, jak na obrazy, będziemy o nich dobrze wiedzieli, jak wyglądali, utkwią nam dobrze w pamięci ich ruchy niektóre, ale do głębi dusz ich nie zajrzymy. Do takich należą Jagiełło, Jadwiga i nieszczęsna żona Zbyszka, Danuśka. Postaci inne znów przesuną się tylko przed naszemi oczyma, a dusze ich będziemy musieli sobie odtworzyć z słów nielicznych, które wypowiadają. To możni panowie polscy — uosobienie rozumu politycznego, potężne umysły, które doprowadziły do skutku unię z Litwą, a przygotowały Grunwald. Inni

zaś jeszcze, jak Zbyszko i Maćko, to ludzie z krwi i kości, doskonali nasi znajomi, bo autor pozwala nam ciągle z nimi obcować i nie ukryje przed nami żadnego ich czynu ni myśli. I Zbyszko i jego »stryk« znamienni są przez to, że w nich skupiają się dwa dążenia, które prowadzą zawsze każdy naród do potęgi: żądza sławy i żądza ziemi. Obaj są przedstawicielami średniej ówczesnej warstwy szlacheckiej, ogładzonej już, poddanej niejakiemu wpływowi Zachodu. Nie wszyscy jednak współcześni podobni byli do potomków rodu Gradów. Obyczaj wielu herbowych był jeszcze gruby, nieokrzesany, nadmiar sił wyładowywał się w nich w napadach i bójkach, a nadmiar gniewu chociażby w przetoczeniu olbrzymiego głazu z jednego miejsca na drugi. Wilk i Cztan są właśnie wybornymi wyobrazicielami tych nawpół jeszcze pogańskich dusz szlacheckich.

Obraz wieku nie byłby jednak zupełny, gdyby nie ksiądz opat z Tulczy, nie de Lorch, Sanderus, Jagienka i straszliwy Jurand ze Spychowa. Wszystko to postaci tak znamienne, że one dopiero nadają właściwą barwę tym czasom, które powieściopisarz chciał przedstawić. Najsilniej wraża się w umysł postać Juranda ze Spychowa. Olbrzym ten, pokrzywdzony okrutnie przez Niemców, poprzysiągł im zemstę i mścił się tak, że wkrótce stał się postrachem całego pogranicza. Przed jednym drżały dziesiątki. Aż wreszcie Niemcy dostają go w swą moc — niecnym podstępem. Kiedy go zaś zmogli, okaleczyli i oślepili, lew ten poddaje się z pokorą woli Bożej i kończy żywot jak człowiek święty. Jego wróg największy, Krzyżak Zygfryd, zmożony również nieszczęściem, wiesza się... Umiejący czytać dużo z tej historyi wyczyta. Zrozumie więc najpierw, do jakiej wściekłości potrafili Niemcy doprowadzać swemi łotrostwami, pojmie dalej myśl autora, że było to jednak igranie z ogniem, że przebranie miary mści się, ale zobaczy też różnicę pomiędzy duszą polską a krzyżacką. Ta odkryje się w innym końcu żywota Juranda i Zygfryda. Po jednej stronie były czyny straszliwe, wywołane rozpaczą, ale grunt był szlachetny, po drugiej było łotrowstwo, podłość i — nic więcej.

Cóż będzie, gdy zetkną się te dwie moce, krzyżacka i polska. Na to odpowiedź na końcu dzieła — będzie Grunwald... Ale jak do tego przyszło, dlaczego potęga krzyżacka z twierdzami, wojskami niezrównanemi, z niebywałem ćwiczeniem wojennem, musiała runąć w tem starciu? Na to znów odpowiedź daje jeden z możnych panów ówczesnych, Zyndram z Maszkowic: »Długom ja — prawi — o wszystko wypytywał. Nienawidzą w całych Prusiech Krzyżaków i księża i szlachta i mieszczanie i kmiecie...

Kto musi służyć, służy — ale zaraza każdemu milsza, niż Krzyżak. Ot co jest...« A potem jeszcze dodaje: »Jakże myślicie? Nie zwali ci się z konia przy pierwszem starciu rycerz, choćby najmocniejszy, ale taki, któren ma poderżnięty poprąg u siodła i strzemiona«. Sienkiewicz, który wszystko co pisał, pisał »dla pokrzepienia serc«, chciał niewątpliwie słowy temi wskazać na dzisiejszych potomków Krzyżactwa, którzy również przebrali miarę zuchwalstwa i zbrodni i których także może spotkać los rycerza z poderżniętym popręgiem u siodła...

Tak więc przebiegliśmy długi szereg pism autora »Ogniem i mieczem«, a nie wspomnieliśmy tylko o jego utworach dramatycznych. Nic nie mówimy też o ostatniej powieści »Na polu chwały« (z czasów Sobieskiego), bo ma to być dopiero pierwsza część nowej, wielkiej »trylogii«.

Wszystkie powieści Sienkiewicza razem wzięte są prawdziwym czynem obywatelskim. Wszystkie, czy przypominały dawne czasy, czy wskazywały na braki i potrzeby dni teraźniejszych, czy opiewały chwałę i wielkość chrześcijaństwa, budziły otuchę, dodawały siły do znoszenia jarzma wtłoczonego nam na szyję, były »pokrzepieniem« najprawdziwszem. Stąd ta miłość dla Sienkiewicza, ta cześć, która jest równocześnie i ukochaniem.

Siła główna wielkiego pisarza leży w darze niezwykłej plastyki, w zdolności niesłychanie wyrazistego odtwarzania osób i scen zbiorowych. Sienkiewicz jest znakomitym malarzem i gdy przedstawia nam bitwę, czy też kreśli obraz przyrody, widzimy nietylko obraz ten dokładnie, potrafimy powiedzieć, jak szczegóły układają się w nim w całość, ale widzimy nawet barwy i odcienie barw. Siła jego leży też w języku tak przedziwnym, że kto chce mówić pięknie po polsku, powinien obok poezyi Mickiewicza uczyć się na pamięć jego prozy. Najwyższa piękność tego języka leży, jak w »Panu Tadeuszu«, w najwyższej prostocie.

Określiliśmy po krótce, w najgłówniejszych rysach, znaczenie trzech najwybitniejszych autorów powieści: Orzeszkowej, Prusa i Sienkiewicza, którzy sławą przyćmili, a wpływem przewyższyli pisarzy dawniejszych. Ale powieść polska w tej dobie po latach sześćdziesiątych rozpleniła się tak bujnie, że dzieła wspomnianych pisarzy są zaledwie drobną cząstką ogólnej, niezmiernie obfitej produkcyi. Objąć jej całej nie sposób. Gdybyśmy chcieli choćby pobieżnie omówić działalność wszystkich autorów, z których wielu wypadnie nazwać znakomitymi, musielibyśmy napisać tom cały. Do takich obdarzonych prawdziwym talentem należy

Władysław Łoziński, który — pisząc jeszcze przed Sienkiewiczem — odrazu pierwszemi powieściami zyskał sobie rozgłos, a w miarę jak ukazywały się kolejno następne jego utwory, zdobywał uznanie coraz szczersze. Przykuwał uwagę czytelnika akcyą ogromnie żywą, kreśleniem wypadków niezmiernie interesujących, podniecających wyobraźnię, a zawsze prawdopodobnych. Przed kilku laty wydał najdoskonalszą, jaką mamy dotychczas, powieść ludową p. t. »Oko proroka«, pod zmyślonem imieniem Wł. Lubicza. Ślicznym wprost jest obrazek p. t. »Madonna Busowiska«. Postać biednej kobiety, która zrazu myśli o wystawieniu krzyża z powodu śmierci syna, a potem naciuławszy grosza, stawia w cerkwi ołtarz, zapomina powoli, o co jej przedtem chodziło, a napawa się myślą, że ona to już naprawdę »fundatorka«, nakreślona jest z wielką znajomością duszy ludzkiej. Łoziński zasłynął także wybornemi pracami naukowemi, rzucającemi dużo światła na przeszłość naszą. Język we wszystkich jego utworach jest wprost wytworny.

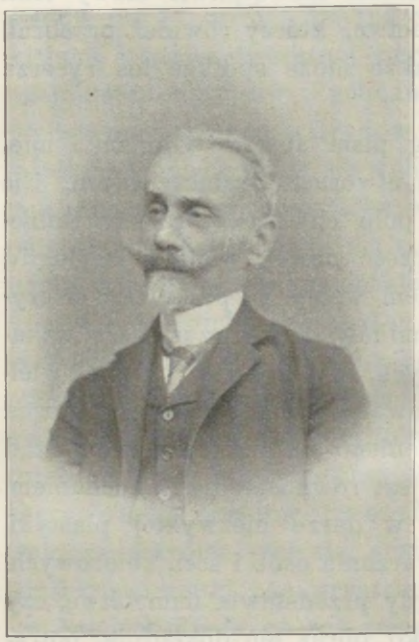

Fig. 128. Władysław Łoziński.

Rówieśnikiem Sienkiewicza jest Adam Krechowiecki. Obdarzony talentem niemałym, stara się dawać w swych powieściach historycznych obrazy wewnętrznego życia narodu, a jest surowszym sędzią czasów minionych, niż autor »Trylogii«. Nie znosi miernoty, kocha się w postaciach wielkich, wielkich choćby w zbrodni, byle wyższych nad przeciętną miarę. Pisze także powieści współczesne, a w tych porusza zagadnienia ważne, poddaje ścisłemu rozbiorowi bieżące prądy umysłowe, starając się objąć okiem żywot kilku pokoleń. W dziadach widzi dusze bohaterskie, w synach już tylko marzycieli, we wnukach — jednostki chore na nerwy i brak woli. I w powieściach współczesnych unika autor zdarzeń drobnych i szarzyzny życia, a lubuje się w scenach dramatycznych, pełnych siły.

Zajmujące powieści historyczne pisze również Jeske-Choiński, znany także jako krytyk literacki.

Powieściami, osnutemi na tle życia ludu, wsławił się Sewer (Ignacy Maciejowski) (um. 1901). Dużo poezyi prawdziwej jest w takich jego obrazkach, jak »Przybłędy«, »O świętą ziemię«, »Wiosna« i inne. Miłość ziemi jest głównem znamieniem i siłą tego chłopa, którego maluje nam Sewer, dla ziemi chłop ten posunąć się gotów nawet do zbrodni. Dziewczę, porzucone przez parobczaka dlatego, bo ten bierze inną »z gruntem«, nie dziwi się nawet i żalu do niewiernego nie czuje. Inne powieści Sewera, nie z życia ludu, są już słabsze. Ulubionym w nich przez autora typem jest człowiek, który w imię postępu walczy z losem i ludźmi i albo zwycięża, albo pada, ale pada, wskazawszy innym drogę do światła.

Z pośród innych trudno nie wspomnieć o Janu Lamie (um. 1886.), świetnym humoryście, przeciwniku hasła »zgody z losem« (smagał w swych powieściach stosunki galicyjskie, konserwatystów, a od czasu do czasu także demokratów), o Maryanie Gawalewiczu, który w utworach swoich roztrząsa rozmaite zagadnienia społeczne, o Klemensie Junoszy (um. 1898.), znanym z doskonałych obrazków z życia żydów, chłopów i drobnej szlachty zagonowej, o Maryi Rodziewiczównej, autorce »Dewajtisa«, rozmiłowanej w malowaniu niezłomnych postaci męskich i t. d.

Wszyscy ci autorowie obok powieści pisali także »nowele«, rodzaj, który po latach sześćdziesiątych rozwinął się u nas bardzo bujnie, głównie pod wpływem Francyi. Nowela nie daje obrazu życia, jak powieść, nie kreśli szeregu sytuacyi, z których dopiero składa się całość, nie przedstawia rozwoju charakteru, lecz obiera za przedmiot jedno tylko zdarzenie, kreśli zazwyczaj jeden tylko rys charakteru, a zawsze dozwala domyślać się więcej, niż poznać z tego, co daje. Jeślibyśmy powieść — pisze Orzeszkowa — mogli porównać do powierzchni szmatu ziemi, oświetlonej przez słońce, to nowelę porównaćby należało do błyskawicy, oświetlającej jednostkę w krytycznej chwili, lub jedną sytuacyę.

Jak powiedzieliśmy, nie było niemal po roku 1860. autora, któryby obok powieści nie pisał także nowel. Było jednak wielu, którzy zasłynęli głównie jako noweliści. Ponad szarzyznę wybili się obok kobiet Ostoi, Hajoty, Estei także Kosiakiewicz, Gomulicki, a przedewszystkiem dwaj ludzie z duszą prawdziwie poetyczną: Dygasiński i Szymański.

Pierwszy Adolf Dygasiński (um. 1903.) malował z przedziwną znajomością w nowelach swych świat zwierzęcy, a czynił to w ten sposób, że czytelnik spostrzegał łączność pomiędzy tym światem, a światem ludz-

kim, a dalej pomiędzy jednym i drugim, a naturą. U Dygasińskiego wszystko żyje, ziemia jest kochanką słońca, na jego przyjście (na wiosnę) stroi się w zieleń i kwiaty, po jego odejściu przywdziewa smutną, białą szatę. Słońce, pan wielki, ojciec wszystkiego, jest źródłem radości i szczęścia. Najwspanialszym utworem Dygasińskiego, złożonym z szeregu obrazów, są »Gody życia«, jak gdyby hymn na cześć słońca i jak gdyby pieśń pochwalna na cześć ptaszka mysikrólika, tego najwierniejszego syna ziemi. Ot zima się zbliża... »Ni go tu w ojczyźnie widoki zysków nie wabią, ni go pieśń cicha, serdeczna nie uczyni sławnym wśród wron i wróbli. Najbiedniejszy on z ptaków, a nie ucieka. Zostać i przetrwać wszystko — to proporzec mysikrólika. On jest synem Ziemi rzetelnym, jej ludem, a jego pieśń — podaniem, pieśnią ludową«. A cóż to za scena, gdy z jaja, podrzuconego do gniazdka mysikrólika, wykluwa się młoda kukułka, gdy podrzutek wyrzuca potem z gniazdka prawych dziedziców, gdy sowa pożera ptaszkowi samiczkę ukochaną, a on to wszystko potrafi znieść z poddaniem się, choć z bolem, by potem znów nucić pieśń na cześć słońca...

Krainę wygnania, Sybir, przypomniał nam Adam Szymański swymi »Szkicami«. Idziemy z autorem w przestworza śnieżne, oglądamy chatki skazańców i znachodzimy w ich piersiach tęsknotę ogromną, chęć niezmierną ujrzenia choć raz jeszcze tych pól, »gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała...« Łzy nam stają w oczach, gdy jeden z wygnańców, który w wigilię chce wypowiedzieć długą mowę, zdolny jest w chwili krytycznej wyrzec tylko słowa: »Panowie! opłatek wprost z Warszawy«. I łzy nam stają w oczach, gdy widzimy starego Srula z Lubartowa, jak dopytuje się, czy tam w Polsce rośnie jeszcze »to białe, takie jak groch, tylko nie groch, koło domów w ogrodach latem, na takich wielkich kijach?« Biedak zapomniał, że »to białe« nazywa się fasola, a że te szare małe ptaszki, co to na zimę pozostają w Polsce — to wróble.

Prócz wymienionych była (i jest) u nas jeszcze grupa powieściopisarzy, którzy wstępując w ślady autorów francuskich, starali się odtwarzać życie z bezwzględną szczerością, nie zatajać w niem żadnych objawów, choćby najwstrętniejszych. Ci chętnie wstępowali do zaułków, mieszczących wyrzutki społeczeństwa, by odsłonić »bolesne rany«. Popadli jednak (jak i ich francuscy mistrze) w przesadę i zamiast »bezwzględnej prawdy« dawali prawdę spaczoną, bo kreślili jeno obrazy brudów życia. A życie ma chyba także wiele stron pięknych. Do grona tych pisarzy (zwanych naturalistami) należy Gabryela Zapolska, Antoni Sygietyński, Zygmunt

Niedźwiecki. Zapolska jednak zmieniła z czasem ton, poczęła poruszać zagadnienia narodowe, a nawet starała się kreślić postaci bohaterskie. Niezwykłem powodzeniem cieszą się jej utwory dramatyczne (»Małka Szwarcenkopf«, »Tamten« i in.), a to z powodu szlachetnej dążności bądź społecznej, bądź patryotycznej.

Po roku sześćdziesiątym zrobiła bardzo znaczne postępy **nauka polska**. Podjęto bardzo szczęśliwą myśl wydania siłami zbiorowemi wielkiej Encyklopedyi, ażeby każdy, chętny wiedzy, mógł z niej zaczerpnąć takich wiadomości, jakichby pragnął. Nad ogromnem tem 28-tomowem wydawnictwem pracowało wielu znakomitych uczonych polskich, szczególnie jednak zasłużyli się około wydania tego pomnikowego dzieła wybitny historyk Julian Bartoszewicz (um. 1870), (dzieła jego wyszły w 12 tomach), i Kazimierz Wójcicki (um. 1879), znany autor wielu dzieł, w których opisywał starożytności polskie i obyczaje ludowe. »Encyklopedya« była dowodem wzmagającego się ruchu na polu umysłowem i zapowiedzią dalszych usiłowań. Istotnie też rozpoczęła się wnet praca ożywiona, a w owoce płodna.

Najświetniej rozwinęło się

Dziejopisarstwo. Nie stało się to bez przyczyny. Historycy otrzymali niezmiernie cenną podstawę do badań w wydawnictwach źródeł dziejowych (dokumentów prawniczych, dawnych kronik i innych zabytków), podjętych przez Bielowskiego i Helcla. Pierwszego »Pomniki dziejopisarstwa polskiego« (1864—1872), drugiego »Starodawne prawa polskiego pomniki (1856—1872) stały się podwaliną umiejętnej pracy na polu historyografii. Przekształcona w r. 1872. z Towarzystwa Naukowego Akademia Umiejętności w Krakowie poczęła również wydawać mnóstwo materyałów i dokumentów historycznych, pozostających przedtem w ukryciu. Nadto uniwersytet krakowski, a później lwowski dostały osobne katedry historyi polskiej, a młodzież zaprawiała się w t. zw. »seminaryach« do pracy naukowej. Ułatwień podobnych doznały jednak i inne nauki, a przecież dały się prześcignąć historyografii. Dlaczego? Bo po nieszczęśliwym roku 1863. zaczęto znów gorączkowo pytać, dlaczego Polska upadła, co było powodem następnych niepowodzeń, czy wewnątrz nas nie leży powód najgłębszy. Poczęto radzić nad tem, jaką drogę postępowania obrać na przyszłość, a w rozstrzygnięciu tych zagadnień musiała być przedewszystkiem pomocna historya, ta »nauczycielka życia«. Historycy (niektórzy przynajmniej) stają się równocześnie i badaczami i politykami, publicystami.

Przodował w rozwiązywaniu wielkich zagadnień dziejowych naszej przeszłości

Józef Szujski (ur. 1835., um. 1883). Od roku 1869. profesor historyi polskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim, sekretarz generalny Akademii przez pierwszych 10 lat jej istnienia, człowiek i pisarz niepospolitej miary, głęboki myśliciel i — jak wspomnieliśmy — niepośledni poeta-dramaturg, napisał już w latach 1862—1866 wielkie dzieło »Dzieje Polskie podług ostatnich badań spisane«. W dziele tem jednak nie tylko oparł się na »ostatnich badaniach«, ale przedarłszy się z ogromnym wysiłkiem przez nieopracowane dzieje dwóch ostatnich wieków, podał je pierwszy w jednym ciągu, w całości. Te »Dzieje«, po dziś dzień wielkiej wartości, były podstawą dalszego rozwoju naszego dziejopisarstwa. Z szerokich i gruntownych badań wysnuł Szujski, pod wpływem rozpacznych chwil po powstaniu, szereg myśli i uwag, które zamieścił w broszurze »Kilka prawd z dziejów naszych« (1867). Naród polski — mówił — upadł z własnej winy i tylko własną zasługą może się dźwignąć. Upadliśmy, bośmy byli niekarni, nierządni, bośmy nie byli dość katolikami, bośmy uciskali lud. Ażeby więc wolność odzyskać, nie spiski należy tworzyć, ale wyrobić w sobie zdolność do stworzenia rządu. Spiski po uwłaszczeniu mają »absolutną (zupełną) niesłuszność, strona normalnej organicznej pracy absolutną słuszność«.



Fig. 129. Józef Szujski. (portret Matejki).

Znakomity badacz starał się zawsze z przeszłości wydobyć naukę na przyszłość, odkrywał bez litości wady narodowe, szukał przyczyny upadku. Był bowiem Szujski także politykiem i publicystą, kierowniczym umysłem stronnictwa zachowawczego. Ale pola pracy naukowej nie opuścił. Dał sze-

reg znakomitych rozpraw w »Opowiadaniach i roztrząsaniach historycznych« (zwłaszcza odnoszących się do czasów Jagiellońskich) i pełne oryginalnych poglądów dzieło »Odrodzenie i reformacya w Polsce«, dbając zawsze i nadewszystko o wykrycie ścisłej prawdy historycznej. Jeden z wielkich umysłów w dziejach naszej nauki.

Obok Szujskiego w tym samym duchu pracował

Ks. Waleryan Kalinka (ur. 1826, um. 1886), zasłużony bardzo jako kapłan i przełożony Domu OO. Zmartwychwstańców we Lwowie. W dziele p. t. »Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiem« twierdzi Kalinka, że »droga, po której nas dotąd wiedziono, droga rewolucyjna od szałów i niecierpliwości prowadzi do znużenia i niemocy«. Znamienne to słowa, tem znamienniejsze, że wypowiedziane jeszcze przed powstaniem. Po roku 63 cim zacznie je część pisarzy naszych powtarzać przy każdej sposobności. Na emigracyi był Kalinka wraz z Klaczką współpracownikiem pisma tygodniowego »Wiadomości polskie«, które zajmując się wszystkimi objawami życia polskiego, powiada miało równocześnie zagranicę o prześladowaniach, spadających wówczas na Polskę w nieprzerwanym ciągu.

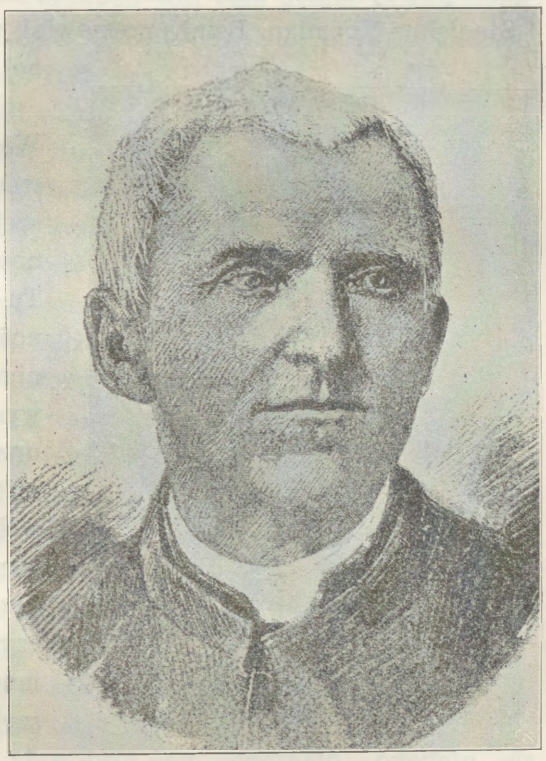

Fig. 130. Ks. Waleryan Kalinka.

Rok 1863. odchorował Kalinka zapaleniem mózgu. Gdy wyzdrowiał, wziął się do opracowania tych czasów, w których rozstrzygnęła się ostatecznie sprawa niepodległego bytu Polski, i w pięć lat po powstaniu narodowem wydał dwutomowe dzieło »Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta«. Smutne te chwile przedstawił w barwach bardzo ciemnych. W przedmowie do dzieła wystąpił ostro i bezwzględnie przeciw tym, którzy

chwalili wszystko w przeszłości, bali się prawdy, zasłaniali wady narodowe troskliwie. Przedmowa ta zrobiła wielkie wrażenie, lecz choć oburzano się na autora, nie czuł się on odosobnionym, podobne bowiem stanowisko zajęli (choć głównie wobec teraźniejszości, wobec »samołudzenia się«) autorowie szeregu artykułów, pomieszczanych w »Przeglądzie polskim« pod tytułem »Teka Stańczyka«, Stanisław Tarnowski, Józef Szujski i Stanisław Koźmian. I oni przemawiali w imię trzeźwości, w imię »rozumnej miłości ojczyzny«.

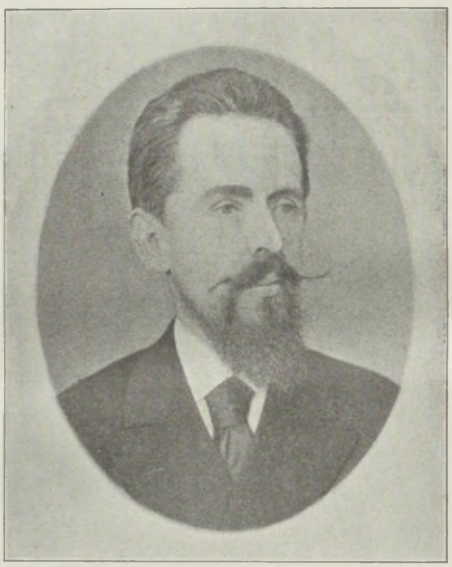

Fig. 131. Ksawery Liske.

Kalinka na zarzuty nie zważał. Wierny swemu hasłu, że tylko prawda może zbawić, zabrał się do dalszej pracy, a owocem jej było dzieło nowe »Sejm czteroletni« (3 tomy). Tu dał wszechstronny obraz działalności Wielkiego Sejmu i podjętych na nim zbawiennych reform, z których wyszła konstytucya 3. maja. Na tem urwał wielki dziejopisarz — śmierć wytrąciła mu pióro z ręki. Rozumował autor dobrze i oceniał słusznie zarówno znaczenie tego sejmu dla przyszłych pokoleń, jak przełomowy czyn, który objawił się we wiekopomnej konstytucyi, chlubie naszej naszej narodowej. Ale zastanawiając się głęboko, dlaczego nie uratowała nas ona od upadku, od rozbiorów mocarstw ościennych, odkrył nielitościwie wady i błędy, które się do tego przyczyniły: wśród zapału »stronnictwa patryotycznego« brak trzeźwości praktycznej, liczącej się z okolicznościami rozwagi, dowierzanie i oddanie się Prusom, które podjudzały Polskę przeciw Rosyi, tylko na to, aby skłonić ją na swoją stronę. Ostro potępił stronnictwo rosyjskie, wykazał mu przekupstwo i brak godności narodowej. Wśród walki tych stronnictw stał król słaby charakterem, bezsilny i na dwie strony targany, ale według ks. Kalinki polityk lepszy, jaśniej widzący od stronnictwa patryotycznego, bo nie chciał drażnić Rosyi, przewidywał wiarołomstwo Prus, a nie widział sposobu skutecznej obrony w razie wkroczenia wojsk rosyjskich. I to dzieło ks. Kalinki, napisane silnym,

prześlicznym językiem, zarazem obrazowo, jak przekonywająco, wywarło wielkie wrażenie. Wprawdzie podniosły się głosy przeciw takiemu poglądowi, zbijał je wytrawny znawca tych czasów Tadeusz Korzon, ale nikt nie śmiał zarzucić braku miłości Ojczyzny prawdy szukającemu dziejopisarzowi.

Obok tych dwóch, Szujskiego i Kalinki, jest całe grono zasłużonych znakomitych nawet badaczów naszych dziejów. Ścisłej prawdy historycznej, bez żadnych celów politycznych, szukał Ksawery Liske (um. 1891.), autor »Studyów z dziejów XVI. wieku«. Niestrudzony jako profesor w Uniwersytecie lwowskim, umiał obudzić w uczniach swoich miłość i zapał do nauki, a równocześnie wpoić w nich sposób umiejętnego badania zagadnień dziejowych. On także był założycielem Towarzystwa historycznego i doskonałego czasopisma »Kwartalnik historyczny«. Zasłużył się też jako wydawca aktów grodzkich. Równocześnie i przyjaciel Szujskiego Tadeusz Wojciechowski, prof. historyi polskiej na uniwersytecie lwowskim, stał zdala od politycznych dążności w nauce, a zagłębiał się w najstarsze dzieje narodu. Jego dzieła, jak »Chrobacya, rozbiór starożytności słowiańskich«, »O rocznikach polskich«, »O Piaście i piaście«, »Szkice historyczne XI. w.«, to prace, pouczające nas, jak mózg uczonego potrafi łączyć w sobie daleko posuniętą zdolność krytyczną z wyobraźnią twórczą. Wojciechowski jest jednym z największych żyjących dziś historyków polskich. Jako badacz początków szlachty polskiej zdobył sobie głośne imię Franciszek Piekosiński, niestrudzony wydawca źródeł, autor znakomitego dzieła »O monecie w Polsce w XIV. i XV. wieku«. Prastare czasy bada również Wojciech Kętrzyński (także wydawca wielu zabytków). Czasami Mieszka II. i Kazimierza Jagiellończyka zajmował się Anatol Lewicki († 1899.); »Skarbowość w Polsce« opracował i »Rządy sejmikowe« oświetlił Adolf Pawiński († 1896.). Ten wraz z Aleksandrem Jabło-



Fig. 132. Tadeusz Wojciechowski.

nowskim (badaczem historyi Rusi), ogłosił dwadzieścia kilka tomów źródeł dziejowych. »O reformacyi w Polsce i ucieczce Walezego« pisał Wincenty Zakrzewski, znany jako autor doskonałych podręczników historyi powszechnej. Czasy Augusta II. znalazły badacza w osobie Kazimierza Jarochowskiego († 1888.).

Śladem Szajnochy poszedł znakomity historyk Ludwik Kubala. Ten posiada dar bardzo cenny: zdolność przedstawiania przeszłości w barwach żywych, z niezwykłą plastyką. Badaniami swemi objął głównie wiek XVI. i XVII., a jego »Szkice historyczne« natchnęły, jak wiadomo, Sienkiewicza do napisania »Trylogii«. (Porówn. str. 325). Z innych dzieł niezwykle cenną jest dwutomowa praca o Jerzym Ossolińskim.

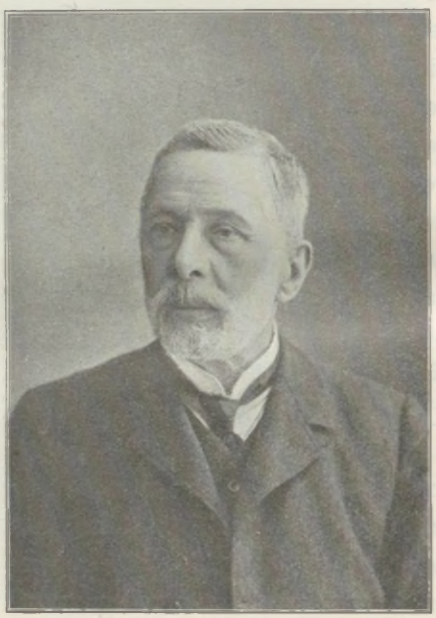

Fig. 133. Ludwik Kubala.

»Szkice« rozpleniły się bardzo bujnie w literaturze historycznej i przyczyniły do zajęcia się żywszego naszą przeszłością. Nieraz jednak przyjmowały ton powieściowy, jak u Antoniego Rollego (dr. Antoni J).

Rychło rozpoczęła się praca nad wszystkimi niemal okresami dziejów Polski, praca naukowa, bardzo gruntowna, ścisła. Wyszedł cały szereg monografii Aleksandra Semkowicza, Aleksandra Hirszberga, Antoniego Prochaski, Augusta Sokołowskiego, Władysława Smoleńskiego, Fryderyka Papéego i in.

Ujął całość dziejów Michał Bobrzyński, były wiceprezydent Rady szkolnej krajowej. Wypowiedział w dziele swem »Dzieje Polski w zarysie« mnóstwo nowych sądów, a rozpatrując głównie wewnętrzne stosunki w Polsce, uznał za czasy najświetniejsze wiek XV. (niezwykle wysoko podniósł Kazimierza Jagiellończyka), w XVI-tym zaś wieku, nazywanym dotychczas wiekiem »złotym«, dostrzegł początków naszego upadku. Dzieło to wywołało burzę podobną jak dzieła Szujskiego i Kalinki. Oprócz »Dziejów« ogłosił Bobrzyński wiele innych, cennych prac historycznych i wydał doskonale niemało zabytków prawa polskiego.

Najlepszą u nas historyę powszechną napisał Tadeusz Korzon, wyborny znawca czasów Stanisława Augusta, autor znakomitego dzieła o Kościuszce, cennej pracy »Dola i niedola Jana Sobieskiego«. Należy on do najsumienniejszych, najpoważniejszych badaczów naszej przeszłości [1]).

Liczne wydawnictwa zabytków, odnoszących się do prawa polskiego, wywołały całą szkołę prawników polskich. Dzieła ich dozwoliły nam wniknąć głębiej w stosunki wewnętrzne dawnej Polski, zrozumieć objaw niejeden, przedtem niedość jasny. Autorem wielu rozpraw z zakresu prawa polskiego jest znakomity uczony Oswald Balzer, autor pomnikowego dzieła »Genealogia Piastów«, a wybornymi znawcami historyi kościoła w Polsce i prawa kościelnego są profesor uniwersytetu Jagiellońskiego Bolesław Ulanowski i Władysław Abraham wykładający w uniwersytecie lwowskim.

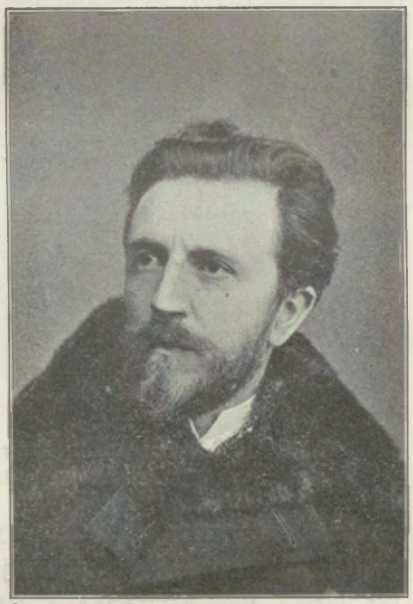

Fig. 134. Michał Bobrzyński.

Wogóle historycy nasi grupują się głównie około dwóch wszechnic polskich. Po śmierci Liskego działają w uniwersytecie lwowskim Bronisław Dembiński i Ludwik Finkel, w Krakowie po ustąpieniu Stanisława Smolki (autora dzieła o Mieszku Starym) Wiktor Czermak, Karol Potkański i Stanisław Krzyżanowski. W ostatnich latach pozyskał sobie wielką poczytność Szymon Askenazy, autor żywota ks. Józefa Poniatowskiego. Młodych historyków zjednoczył »Przegląd historyczny«, wydawany w Warszawie przez Jana Kochanowskiego. Rozumie się, że w przeglądzie tym wymieniliśmy tylko najwybitniejszych (pominięto zupełnie najmłodszych), ale już z tego szeregu imion i dzieł można poznać, jak bujnie zakwitła u nas w tych czasach historyografia, jaki ruch — nieznany przedtem nigdy — tu zapanował.

Inne gałęzie nauki nie mogą się wprawdzie poszczycić takimi wynikami, jak dziejopisarstwo, ale postęp jest i tu widoczny, a w badaniach

[1]) Portret Korzona znajduje się na rycinie przedstawiającej uczestników Zjazdu Rejowskiego. Korzon był prezesem tego Zjazdu.

nad historyą piśmiennictwa ojczystego nawet znaczny. Pracę ułatwiała badaczom znakomita Bibliografia (spis wszystkich dzieł) Karola Estreichera i prace bibliograficzne Władysława Wisłockiego.

Jak gdyby nauczycielem całego pokolenia historyków literatury jest Antoni Małecki (ur. 1821), były profesor uniwersytetu Jagiellońskiego i lwowskiego. Wzór, jak należy opracowywać monografie naszych pisarzów, dał Małecki w prześlicznem 3-tomowem dziele »Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła« (I. wydanie 1866). Oparłszy się na utworach poety (tak ogłoszonych drukiem, jak i spoczywających w rękopisach), odtworzył



Fig. 135. Medal pamiątkowy wybity przez uniwersytet lwowski na cześć Antoniego Małeckiego w 80. rocznicę urodzin.

znakomicie wizerunek duchowy Słowackiego, wykazał związek między poezyą Juliusza a poezyą europejską, poddał utwory poety bystrej ocenie. To też mimo licznych prac o Słowackim dzieło Małeckiego nie traci bynajmniej na wartości. — Wielkie też są zasługi Małeckiego jako badacza języka i jako historyka. Swą gramatyką języka polskiego (mniejszą i większą) dał on podnietę do dalszych gruntownych badań na tem polu, swojemi zaś »Studyami heraldycznemi«[1]) dowiódł ogromnej wszechstronności umysłu, bo przerzucając się w inny zupełnie zakres badań, potrafił stworzyć również rzecz bardzo cenną. Niezwykle to wytrawny uczony, a podbijający czytelnika wielką prostotą i darem jasnego przedstawiania najtrudniejszych zagadnień.

Następca jego na katedrze uniwersyteckiej Roman Pilat (um. 1906) położył podobne zasługi na polu badań nad historyą literatury, jak Liske

[1]) Heraldyka, nauka o herbach.

w historyografii. Prowadził doskonale, z zamiłowaniem prawdziwem, »seminaryum« i dawał wytrawne wskazówki, jak pracować należy. Jak Liske potrafił skupić historyków w Towarzystwie historycznem, tak Pilat historyków literatury w Towarzystwie literackiem im. A. Mickiewicza. Towarzystwo to wydało pod redakcyą Pilata szereg Pamiętników, poświęconych badaniom dzieł Mickiewicza, nadto zaś podjęło wielkie umiejętne wydanie wszystkich dzieł poety. Obecnie wydaje kwartalnik »Pamiętnik literacki« [1]). Prace naukowe Pilata, jak »Literatura polityczna sejmu czteroletniego« i in., odznaczają się wielką gruntownością, a badania jego nad rękopisami »Pana Tadeusza« pozwoliły nam poznać, jak powstawało największe nasze arcydzieło.

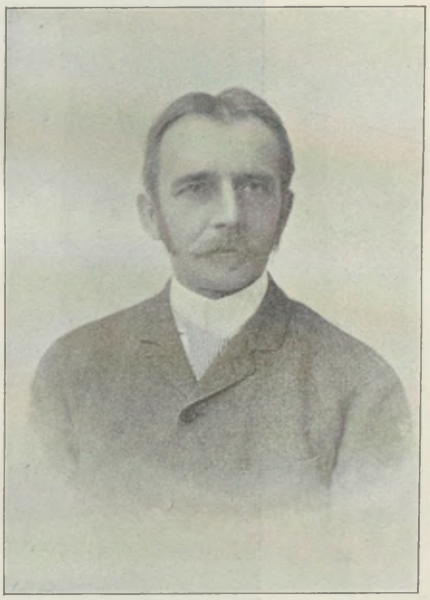

Fig. 136. Roman Pilat.

Wytwornym pisarzem jest Stanisław Tarnowski, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego i prezes Akademii Umiejętności w Krakowie. W studyach swych, a jest ich wiele, stara się o rozbiór dzieł głównie pod względem estetycznym i moralnym. W wielkiej swej pięciotomowej »Historyi literatury polskiej« pragnął dać obraz rozwoju myśli i uczuć narodu polskiego, o ile one odzwierciedliły się w dziełach pisanych w porządku ściśle czasowym. Myśli te i uczucia związał ściśle z tłem politycznem; a oceniał je z własnego swego punktu widzenia. Czynił to z zupełną świadomością. Twierdził bowiem, że autor »ma prawo powiedzieć, co myśli, dlatego, że jest człowiekiem, że myśli. Ma prawo i sądzić. Ma prawo powiedzieć, że podług jego sumienia to jest dobre, a to złe, podług jego sumienia to jest mądre, a to głupie; podług jego uczucia to jest piękne a to brzydkie, to szlachetne a to nizkie«. Istotnie też w »Historyi literatury« Tarnowski od sądów nie stroni, ale owszem to, co złe, wytyka, co szlachetne, podnosi, naucza, przekonywa, czasem gromi. Chce być sumieniem narodowem, chce do sumienia docierać. Dzieło, choć bardzo obszerne,

[1]) Pomysł stworzenia Towarzystwa im. A. Mickiewicza wyszedł od poety Władysława Bełzy, znanego szerokim kołom, zwłaszcza z doskonałych wierszy i powiastek dla dzieci.

czyta się jak powieść, tak zajmująco jest napisane, tak powabnie, językiem niezwykle świetnym. Z innych prac Tarnowskiego wymienić należy »Pisarzów politycznych XVI. w.«, tudzież dzieła o Kochanowskim i Krasińskim.



Fig. 137. Stanisław Tarnowski (portret Matejki).

Obraz literatury od czasów najdawniejszych aż do dni dzisiejszych nakreślił także uczeń Aleksandra Tyszyńskiego

Piotr Chmielowski (um. 1905.), jeden z najpracowitszych i najsumienniejszych badaczy, autor mnóstwa prac o wielkiej wartości (»A. Mickiewicz, zarys biograficzno-literacki«, »Józef Ignacy Kraszewski«, »Zarys literatury polskiej z ostatnich lat dwudziestu«, »Studya i szkice« i i. I on od sądu nie stronił, na sąd zaś jego wpływał zawsze stopień »uży-

teczności«, jaką utwór w sobie zawierał, jakkolwiek nie zamykał oczu Chmielowski także na wartość estetyczną dzieła. Ten sam punkt widzenia pozostał i w »Historyi literatury polskiej«, dokładniejszej i bardziej szczegółowej, niż Literatura Tarnowskiego, ale nie napisanej tak pięknie, nie mającej tej zalety, by przy czytaniu, w umyśle czytelnika z szczegółów układała się całość. Na pokolenie swe wywarł Chmielowski wpływ znaczny' był on jednym z wodzów pozytywistów i głosicielem ich haseł. Dlatego też nie mógł się pogodzić z poezyą najmłodszych, a nawet nie szczędził im surowych upomnień.

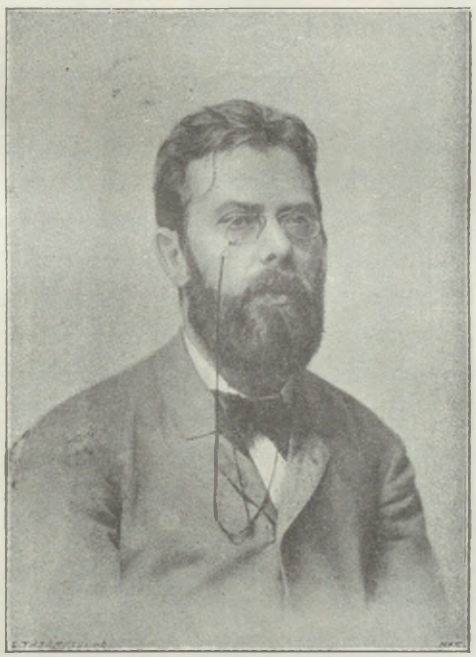

Fig. 138. Piotr Chmielowski.

Niemałe zalety posiada także trzecia obszerna historya literatury napisana przez Aleksandra Brücknera. Odznacza się śmiałymi a bystrymi sądami, darem obejmowania jednym rzutem oka rozległych horyzontów, a ma tę także zaletę, że zawiera pogląd na piśmiennictwo słowiańskie i na związek jego z polskiem. Oprócz historyi literatury napisał Brückner bardzo wiele prac (wielkie dzieło o Mikołaju Reju), wydał mnóstwo nieznanych utworów z rękopisów, a studyami swemi nad wiekiem XVII. zmienił pod wielu względami pogląd nasz na piśmiennictwo tej doby.

»Illustrowane dzieje literatury polskiej« pisze Henryk Biegeleisen, znany ze studyów nad »Panem Tadeuszem«.

Jako autorowie monografii zasłużyli się wielce: Władysław Nehring (profesor uniwersytetu wrocławskiego), znany oprócz innych dzieł ze »Studyów literackich«; Adam Bełcikowski; Włodzimierz Spasowicz (znany ogółowi z »Dziejów literatury polskiej«); prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Józef Tretiak, autor prac o Mickiewiczu i Słowackim, tudzież cennych »Szkiców literackich«; profesor uniwersytetu lwowskiego Józef Kallenbach, autor najpiękniejszej monografii o Mickiewiczu i gruntownego dzieła o Zygmuncie Krasińskim, tudzież wielu innych

prac naukowych; Wilhelm Bruchnalski, również profesor lwowskiego Uniwersytetu, doskonały znawca średniowiecza i humanizmu polskiego, badacz dzieł Mickiewicza; Maryan Zdziechowski; Walery Gostomski; Ignacy Chrzanowski, autor doskonałej monografii o Marcinie Bielskim i innych prac naukowych; B. Czarnik, K. J. Heck, A. Mazanowski, S. Windakiewicz, F. Hösick, Z. Wasilewski, tudzież wielu młodych pracowników, których nie wymieniamy. O piśmiennictwie współczesnem pisze Wilhelm Feldman.

Humanizmem polskim zajmowali się z dawniejszych Zygmunt Węclewski i Karol Mecherzyński, z nowszych Ludwik Ćwikliński (autor wybornej pracy o Janickim), Kazimierz Morawski (znany ukształconemu ogółowi z »Historyi Uniwersytetu Jagiellońskiego«), Bronisław Kruczkiewicz i inni.

Historyę literatury powszechnej, obszerną, napisał Julian A. Święcicki, mniejszą Ludomił German. W zbiorowem opracowaniu historyi literatury powszechnej brali udział obok innych Edward Grabowski i Edward Porębowicz. Ostatni jest również tłumaczem wielu utworów obcych, a jego przekład »Boskiej Komedyi» Danta zaliczyć należy do arcydzieł.

Historya kultury i sztuki ma również wybitnych przedstawicieli, żeby wymienić tylko Franciszka Sobieszczańskiego, Aleksandra Przeździeckiego, Edwarda Rastawieckiego, Władysława Łuszczkiewicza, Maryana Sokołowskiego, Stanisława Tomkowicza, Jana Bołoza Antoniewicza, Feliksa Koperę, Jerzego hr. Mycielskiego, X. Jana Fijałka, Antoniego Karbowiaka, działającego na obczyźnie w trudnych warunkach Gustawa br. Manteuffla i in. O Władysławie Łozińskim jużeśmy wspomnieli, mówiąc o powieści tej doby.

Badania w różnych dziedzinach wiedzy odbywają się ciągle, a wyniki ich są znaczne, ale zajmować się niemi nie możemy, bo weszlibyśmy w krainę historyi umiejętności. Wspomniemy więc tylko, że filozofia odżywa teraz po chwilowym upadku, choć nie święci takich tryumfów, jak po roku 1830. Najwybitniejszym przedstawicielem filozofii »pozytywnej« jest Julian Ochorowicz, autor rozpraw »O wolności woli«, »Duch i mózg« i wielu innych. Rzecznikiem kierunku, starającego się pogodzić hasła filozofii dawniejszej z wynikami filozofii »pozytywnej« jest Henryk Struve, profesor filozofii w uniwersytecie warszawskim. Ważnem jest jego dzieło »Wstęp do filozofii«, zawierające »rozbiór krytyczny zasadniczych pojęć o filozofii«. Wybitnymi uczonymi są również Maurycy



Fig. 139. Zjazd uczonych polskich w Krakowie w 400 rocznicę urodzin Reja.

Szereg IV. *(u góry)*. 1. J. Kowalikowski. 2. A. Friedberg. 3. K. Morawski. 4. E. Świeykowski. 5. M. Janik. 6. J. Stein. 7. M. Reiter. 8. M. Mann. 9. J. Korzeniowski. 10. L. Bernacki. 11. E. Kunze. 12. J. Reinhold. 13. M. Dunin Wąsowicz.

Szereg III. 1. J. Radwan. 2. H. Łopaciński. 3. J. Leniek. 4. M. Dubiecki. 5. O. R. Koppens. 6. J. Flach. 7. Ks. J. Siemieński. 8. J. Magiera. 9. B. Baranowski. 10. L. Dziama. 11. S. Estreicher. 12. A. Szelągowski. 13. K. Bartoszewicz. 14. W. Rolny. 15. S. Kossowski. 16. A. Lekszycki. 17. S. Krzyżanowski. 18. M. Goyski. 19. M. Witanowski. 20. S. Cercha. 21. K. Wojciechowski.

Szereg II. 1. J. Ptaszycki. 2. S. Waszyński. 3. W. Sobieski. 4. R. Zawiliński. 5. K. Heck. 6. J. Łoś. 7. W. Nowodworski. 8. W. Czermak. 9. B. Gubrynowicz. 10. F. Hoesick. 11. T. Grabowski. 12. W. Wittyg. 13. A. Kolessa. 14. F. Giedrojć. 15. S. Dickstein. 16. A. Rehman. 17. L. German. 18. Hr. J. Dunin Borkowski. 19. J. Ujejski. 20. S. Turowski. 21. S. Zakrzewski. 22. S. Dobrzycki.

Szereg I. *(od dołu)* 1. W. Bruchnalski. 2. W. Abraham. 3. Ks. A. Lubomirski. 4. A. Kryński. 5. S. Ptaszycki. 6. J. Baudouin de Courtenay. 7. J. Trzecieski. 8. Hr. M. Rey. 9. T. Korzon (prezes zjazdu). 10. Hr. S. Tarnowski. 11. Hr. M. Rey. 12. O. Balzer. 13. Ks. W. Chotkowski. 14. L. Finkel. 15. M. Sokołowski. 16. F. Papée. 17. S. Kutrzeba. 18. A. Chmiel.

Straszewski, X. Stefan Pawlicki, Adam Mahrburg, Kazimierz Twardowski, Mścisław Wartenberg i in. Wpływowi »towianizmu« uległ niepospolity uczony Wincenty Lutosławski. Filozofia odżyła zatem po chwilowem uśpieniu, a znakomicie prowadzone seminarya na uniwersytecie lwowskim wydały już kilku uczonych i pozwalają rokować piękne nadzieje na przyszłość.

DOBA NAJNOWSZA.

Młodzi w Warszawie wołali po r. 1863. w dobrej wierze: praca od podstaw, odrodzenie ekonomiczne, zakładanie fabryk! — i hasła ich oblokły się po części w czyn. Młodzi w Galicyi wołali również w dobrej wierze: bądźcie karni, liczcie się z siłami, kochajcie ojczyznę rozumnie!... Dążenia jednych i drugich wydały wiele wyników dodatnich, ale wydały i ujemne: oto zbyt daleko posuniętą trzeźwość, czasem samolubstwo, pokrywane dobrem ojczyzny, nierzadko brak szerszych dążeń.

Najmłodsi, wychowani w tej atmosferze, czuli, że im źle, że im duszno, ciasno, ale nie wiedzieli już nawet, czego chcieć, i nie wierzyli, żeby można chcieć z powodzeniem. Było im źle i z innego powodu. »Pozytywiści« nucili pieśni pochwalne na cześć wiedzy, sądząc, że ona jedna zdolna jest zaspokoić wszelkie pragnienia ludzkie. I zawiedli się. Wiedza nie zbankrutowała wprawdzie, jak głoszą niektórzy, ale nie odsłoniła też wszystkich zagadek i tajemnic bytu, nie zastąpiła dogmatu, bo zastąpić go nie mogła.

Smutni, zniechęceni, nazwali się młodzi »schyłkowcami«, »dekadentami«, patrzyli z góry na »zjadaczy chleba«, a wzdychali (nie zawsze szczerze) do nicości, »nirwanny«. Znienawidzili społeczne dążenia pozytywistów i poczęli się upominać gwałtownie o prawa jednostki. Jestem sam dla siebie światem — wołał każdy z nich — co obchodzi mię jakieś społeczeństwo, które o mnie się nie troszczy, które jest niższe odemnie, bo składa się z głodnych lub sytych miernot. Ale też w tem niżsi są najmłodsi od romantyków, którzy ukochali »cały naród«, chcieli prowadzić go w świetlane krainy szczęścia, uczynić królem ludów, bo zresztą mają ci młodzi z romantykami wiele podobieństw.

Zmiana w wyobrażeniach już się odbywała, kiedy w r. 1894. wystąpił Miriam (Zenon Przesmycki) z przekładem utworów dramaturga belgijskiego Maeterlincka i z wstępem, którym poprzedził owe przekłady. Ten wstęp, zawierający hasła nowego kierunku za granicą, stał się jak gdyby uderzeniem laską o skałę — wytrysnął zdrój nowej poezyi. Przesmycki odegrał przy schyłku wieku taką rolę, jak w pierwszych jego dziesiątkach Kazimierz Brodziński. Wyjaśniał istotę zwrotu za granicą w szeregu odczytów, artykułów (pomieszczanych w piśmie »Chimerze«), starał się skupić młodych wokoło wspólnego sztandaru. Tłumaczył, że sztuka powinna być sztuką »czystą«, »sztuką dla sztuki«, że zatem musi być wolna od wszelkich ubocznych celów, choćby społecznych, czy patryotycznych. Poeta, jak ptak, ma śpiewać sobie i tym, którzy go zrozumieją.



Fig. 140. Zenon Przesmycki (Miriam).

Chcąc oddziałać na czytelnika, musi go poeta wprowadzić w pewien »nastrój«, a dopnie tego przez odpowiedni dobór słów i zgłosek, któreby już samem swem brzmieniem budziły pewne wrażenia i wywoływały obrazy. Język, słowo, odgrywa tedy u najmłodszych ważniejszą rolę, niż kiedykolwiek przedtem. Przy pomocy niespodzianych połączeń wyrazów można wywoływać — twierdzą oni — wrażenia znacznie głębsze, aniżeli zdołano dotychczas. W parze z tem idzie określanie barw dźwiękami (»hu-

cząca purpura«), dźwięków barwami (»zielonawy szept«), a stanów duszy — dźwiękami, barwami, woniami.

Wielu tych haseł i środków rzecznikiem był Przesmycki, a choć we własnych utworach drogą wskazywaną drugim nie poszedł, to jednak wpływ jego był bardzo znaczny.

Nim jednak jeszcze Przesmycki zawołał: »poezyo wskrześnij«, pojawiały się już od czasu do czasu utwory Tetmajera, które świadczyły, że poezyę poczyna przenikać jakiś nowy wiew.

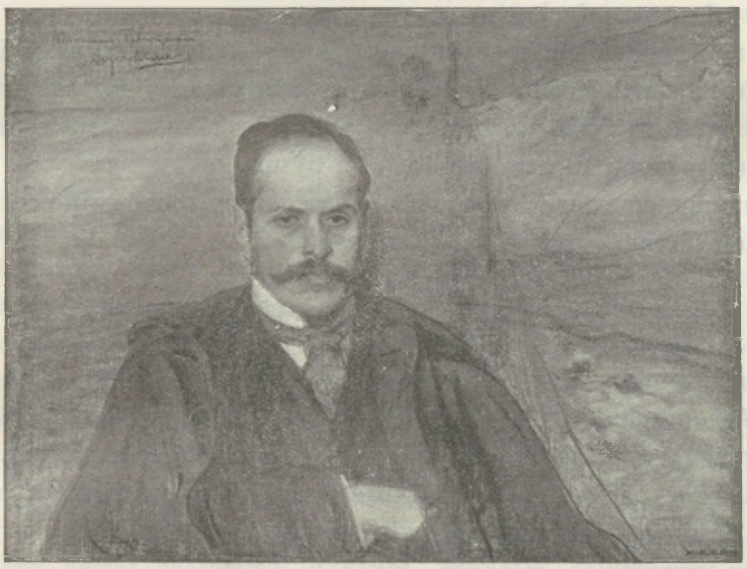

Fig. 141. Kazimierz Przerwa Tetmajer.

Kazimierz Przerwa Tetmajer (ur. 1865.) był też do niedawna najlepszym przedstawicielem tych młodych, których dręczy nuda, którzy nie mogą znaleźć celu, i przez to są bardzo nieszczęśliwi.

Melancholia, tęsknota, smutek, zniechęcenie
Są treścią mojej duszy... Z skrzydły złamanemi
Myśl ma, zamiast powietrzne przerzynać bezdenie,
Włóczy się, jak zbarczone żórawie, po ziemi.

Dusza poety ginie w jakiejś czarnej toni i nie może być inaczej, gdy — tak twierdzi Tetmajer — »dziś pierwsze nasze myśli są zwątpieniem, nudą, szyderstwem, wstrętem i przeczeniem«. Poetę trapi »najokropniejsze z wszystkich pytań«: »poco?« Dla kogo żyjemy? te żałoby, cierpienia i smutki nasze dla kogo?

I oto dobywa się z piersi poety rozpaczliwy hymn:

Złemu mnie z szponów wyrwij, bom jest utrapion srodze,
Nirwano! [1])
I niech już więcej w jarzmie krwawiącem kark nie chodzę,
Nirwano!
Żem żył, niech nie pamiętam, ani wiem, że żyć muszę,
Nirwano!
Od myśli i pamięci oderwij moją duszę,
Nirwano!

Myśl zasadnicza tego hymnu pojawia się w wielu utworach w rozmaitym czasie powstałych.

Dziwnem wydać się może, że poeta, który wzdycha do nicości, opiewa w namiętnych strofach miłość, nazywa ją najwyższą z sił, sercem serca... Ale sprzeczność to tylko pozorna, bo poeta i w miłości szuka zapomnienia, chwilowej bodaj utraty świadomości bytu.

Zapomnieniem darzy go także czar natury, choć widok jej cudów budzi w nim często nieokreślony jakiś smutek.

I jakaś dziwna mię pochwyca
Bez brzegu i bez dna tęsknica,
Niewysłowiony żal

szepce poeta, spoglądając ze Świnnicy na Tatry.

Przeświadczenie, że poeta czuje głębiej, niż tłum ludzki, wiedzie go do lekceważenia tego tłumu, do pogardy. Ludzkość całą nazywa on bezduszną, ciemną, bezmyślną, orłowi więcej, niż lotnych szlaków, zazdrości prawa do »zimnej spokojnej pogardy«.

Jak u wszystkich młodych, tak i u Tetmajera forma przedziwnie kunsztowna. Umie on naprawdę wywołać taki nastrój, jaki pragnie, posługując się znanymi środkami, powtarzaniem pewnych głosek, wierszy i zwrotek.

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,
Idzie przez łąki i moczary,
Po trzęsawiskach i rozłogach,
Po zapomnianych dawno drogach,
Zaduma polna, Osmętnica...
Idzie po polach, smutek sieje

[1]) Nirwana = nicość.

Jako szron biały do księżyca...
Na wód topiele i rozchwieje,
Na omroczone, śpiące gaje,
Cień, zasępienie od niej wieje,
Włóczą się za nią żal, tęsknica...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
Na grób dziewczyny młodej siada,
W świat się od grobu patrzy blada...
Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Popatrzmy na pierwsze i ostatnie cztery wiersze. Powtarza się w nich głoska *a* 11 razy, głoska *o* 12 razy, nadto nagromadził tu poeta głoski *s*, *z* i *dz*. Środkami tymi wprawia nas w podobny nastrój, jaki budzi się w nas istotnie na odgłos dzwonów.

Spotykamy się też u niego z określaniem dźwięków barwami, barw dźwiękami, woniami i t. d.: (melodya s r e b r n o l i c a, szum ś w i e t l a n y, włosy d ź w i ę c z ą pieśnią w o n n ą, b ł ę k i t n e dusze itd.).

W ostatnich czasach powstała rozterka w duszy poety. Obudziły się w nim wątpliwości, czy dobrą obrał drogę, czy nie wprowadzał trucizny w organizm swego narodu, czy podniósł, uszlachetnił kogo swymi utworami, czy »tłum«, ta rzesza cierpiąca, nie zasługuje przypadkiem nie na pogardę, lecz na litość. Duchem wzniesiony nad ziemią, pełen urągania dla niej — com zrobił dla ludzi? — zapytuje siebie poeta. »Jednegom ducha nie podniósł w błękity, jednejem myśli nie podniósł z popiołu«. »Cóżem wart, choć wszystkie uczucia w człowieku poruszę, cóż jeśli bóstwa nie rzucam mu w duszę?« Z pytań tych widać, że i Tetmajer pojmuje poezyę jako kapłaństwo. Na nową drogę wstąpił on już przez napisanie dramatu »Zawisza Czarny«, pieśni pochwalnej na cześć bohaterstwa. W wydanym zaś ostatnim zbiorku poezyi ta struna bohaterska już nie ucicha, owszem dźwięczy donośnie. Miejsce zwątpienia zajmuje coraz częściej poczucie siły. A nam cieszyć się tylko wypada, że obdarzony wielkim talentem poeta odzyskał równowagę wewnętrzną i znalazł w życiu swem cel. Okazuje się, że nie jesteśmy jeszcze tak przeżyci i chorzy, by wzdychać do nicości.

Pewne cechy wspólne z Tetmajerem posiada

J e r z y Ż u ł a w s k i. I dla niego po wiośnianych porywach nadeszły dnie smutku

Piosnko moja! cóż to tobie?
narodzona ledwo wczora
dumasz dzisiaj już o grobie;
płakać tylkoś ciągle skora?

pyta poeta, a piosnka odpowiada:

Jam młoda, lecz widziałam wiele!
więcej bolu niż szczęścia, więcej łez niż śmiechu,
wielkie miasta widziałam leżące w popiele,
wielkie płuca, dla których brakło już oddechu,
i wielkie zbrodnie w sercach potężnych ukryte,
wielkie węże widziałam w zwalonym kościele
i znaki wczesnej śmierci w młodych czołach ryte.

Cóż więc zmroziło pieśń wesela? Oto widok cierpień, nędzy i zbrodni ziemi. Pieśń poety widziała wszystko i »dziś młoda latami... cierpieniem stara«.



Fig. 142. Jerzy Żuławski.
(portret St. Wyspiańskiego).

Niebawem też zjawi się w progu poety znany nam już gość złowrogi — pytanie, które dla Tetmajera było męczarnią przez czas długi: »poco żyjemy?«.

Poeta będzie się jeszcze pasował z sobą, zerwie się od czasu do czasu do lotu, ale skrzydła, podcięte zwątpieniem, wnet opadną.

O! nie jesteś ty dobre, ani złe nie jesteś,
o! nie jesteś ty straszne, ani też ponętne,
jeno puste ogromnie i czcze jesteś, życie!...

Do takiego samego wyniku doszedł Tetmajer, tylko, gdy tamten wyciągnął ramiona do nicości, jako do oswobodzicielki, Żuławski znalazł ostoję inną: myśl! »Myśl jest wszystkiem! myśl boża w człeku światem włada«, a kto pozna jej moc, »ten jest panem przed wiekiem, na wieczność i ninie; skrzydła jego: stworzenie i drugie zagłada«.

To uwielbienie »myśli« nie jest dziełem przypadku — Żuławski bowiem ukochał tę myśl jako poeta-filozof. Myślicielem jest on w swoich dramatach, porusza w nich zagadnienia wagi pierwszorzędnej i rozwiązuje w szeregu obrazów. Bardzo pięknym jest dramat p. t. »Eros i Psyche«, w którym poeta pokazuje nam duszę ludzką tęskniącą do światła i miłości.

Wogóle w twórczości wszystkich poetów da się zauważyć w ostatnich

czasach przełom bardzo znamienny. Wszyscy przestają biadać nad sobą, a poczynają obejmować coraz szersze horyzonty. I tak między innymi Antoni Lange (również poeta-myśliciel) nie zawahał się złożyć wyznania

»Kłamstwem byłem sam sobie,
Połowę już uszedłem żywota mej drogi,
I życie moje przeszło jałowe, bezpłodne«,

bo oto »tyle pracy« i »winy dawnych wieków spłacać« nam trzeba, a »rzucić puchy melancholii zgubnych«.

Przełom innego rodzaju dokonał się w twórczości poety, którego dziś głos ogółu zalicza do najznakomitszych.

Jan Kasprowicz (ur. 1860) był zrazu szermierzem postępu, chciał burzyć gmachy budowy społecznej, kreślił niedolę ludu i niesprawiedliwy rozdział dóbr tego świata, a poezyę uważał niemal za środek do walki.

Patryotyzm jego krwawi się na myśl o wywłaszczeniach w Poznańskiem, a nadzieję widzi w ludzie. Lud ten kocha głęboko, kocha zagony i chaty chłopskie; on, który wyszedł z ludu, wspomina je z rozrzewnieniem:

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy, proste, jak wy, bez rozkoszy...
Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej! czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?!...

Ale ludu nie upiększa. Choć krwawą jego kreśli dolę, kreśli ją zupełnie prawdziwie. Oddziaływa zaś na niego więcej zewnętrzna strona życia ludzi i przyrody, niż jego głębie. Zaprzątają go zagadnienia społeczne, innych niemal nie porusza. Z tego koła myśli wyrwie dopiero poetę ból własny, ból, który odtąd pocznie być »źródłem« jego pieśni i »macierzą natchnienia«.

Bądź pozdrowiona, o ty bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści,
Spowita płaszczem bezdennego cienia,
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia,
Boleści!...

Poeta mówi odtąd często o rozpaczy, o trosce ukrytej, o śmierci... Zagadnienia społeczne znikną, a choć obrazy nędzy ludu będą się jeszcze przesuwały przed oczyma czytelnika, to jednak nuta bojowa zamilknie.

Koicielką bolu, który dręczy poetę, będzie natura i miłość, dumanie

nad istotą jednej i drugiej. Dwie te potęgi będą olbrzymiały coraz więcej w wyobraźni twórcy, zajmą ją całą. Do jednolitego poglądu nie dojdzie na razie; miłość będzie u niego raz pierwiastkiem niszczącym, wyjaławiającym, drugi raz ożywczym. Natura natomiast przyniesie mu ukojenie. Widnokrąg zaś poety rozszerzy się znacznie. Kasprowicz wyrzecze się tych, którym służył do niedawna, a których ideałem był tylko pełny żołądek. Nędzą bowiem tej ziemi nie jest jedynie głód, jest nią raczej człowiek sam, jest »beznadziejność nadchodzących dni«. »Ból jest koniecznością, jest istotą bytu«. I oto z takiego wątku myśli i z takiego nastroju popłyną hymny: »Ginącemu światu...«



Fig. 143. Jan Kasprowicz.

W »Dies irae« (Dzień sądu) przewijają się kolejno obrazy nędzy i grzechu ludzkiego (Adama), głowy w cierniowej koronie krwią ociekającej i Ewy jasnowłosej, przyczyny grzechu i nieszczęścia. I patrzymy na występki dni dzisiejszych, na tryumfy rozpusty i rozpasania. Aż zjawia się archanioł boży z surmą i rozpoczyna się sąd Boży, sąd straszliwy. A Adam z rezygnacyą dziwną poddaje się temu sądowi, niech zginie on i niech świat cały zginie z nim razem. Hymn »Święty Boże« kończy się straszliwem łkaniem, bluźnierstwem, wywołanem rozpaczą.

Ale poeta ocknie się wnet. Kiedy dotychczas winę nędzy ludzkiej przypisywał Bogu, w »Mojej pieśni wieczornej« przypisze ją grzechom i zbro-

dniom ludzkim, a będą wśród nich i takie, od których włos jeży się na głowie. Więc nie narzekanie dobywa się z piersi poety, ale głos skruchy niezmiernej i jęk: Karz mię, Panie!

Fałszywym byłem prorokiem
i nie umiałem powstrzymać bluźnierstwa
przeciwko Tobie, tak, jak dzisiaj bluźnię!
Pogardę niosłem tłumowi,
jego zczerniałym, spracowanym dłoniom,
jego łachmanom, przesyconym potem!
Ornat na siebie kładłem i koronę
i wziąwszy jabłko do ręki i berło,
kazałem klękać przed swymi rozkazy,
jakby nie było Twego majestatu!
Moja to wina, moja wielka wina!
Karz mnie!
Bom ci ja człowiek, skazany na karę,
bo dzień mój przygasa,
a zorza jego się krwawi
i świat się mój pali!«

Twórczość poetyczna Kasprawicza zakreśliła tedy ogromne koło. Poeta wyszedł od nędzy tej ziemi i do niej wrócił, ale z jak rozszerzonym horyzontem, z jak odmiennym nastrojem. Z utworów publicystycznych przez drogę bolu własnego doszedł do hymnów, w których wyśpiewał cierpienia ogólnoludzkie, ból istnienia. A wobec tego bolu rezygnacya jak u naszego chłopka, a obok tego biblijne pojęcie grzechu. We wszystkich tych ostatnich utworach ton posępny, nastrój i podniosłość tragiczna. Poematy Kasprowicza to jakby rzeźba w marmurze, stąd i styl odrębny, składnia niecodzienna, wiersz czasem twardy, ale ten styl pozostaje w doskonałej harmonii z treścią, a jest na wskróś oryginalny, jest prawdziwą własnością poety.

Nie poszedł w utworach swych lirycznych za prądem ogólnym Łucyan Rydel. Skarży się i on nieraz na łzy i smutki, na serce krwawiące i chore, ale jest to smutek przejściowy. Wnet bowiem przeklnie łzy, boć niewolno im płynąć wtedy, gdy huczy grom i gdy dach stawiać trzeba nad głową. Gdy zaś cierpienie, które żadnego przecie nie oszczędza człowieka, zmoże poetę, ma on wówczas Chrystusa, przed którym się wypłacze, i ulgi dozna...

Z barłogu mego, z czarnej nędz otchłani,
Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem,
Jako żeglarze wichrami chłostani,
Jako pielgrzymi w zbłąkaniu tułaczem —

Z głębi mej duszy w przestwory gwiaździste
Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem,
Chryste, o Chryste!

Jam kwiat więdnący na życia łodydze,
Weź mnie do Siebie,
Dość mi obłędów, które wkoło widzę,
Dość mi już własnych upadków i wzlotów,
Weź mnie na ciszy łono wiekuiste,
Weź mnie do Siebie,
Chryste, o Chryste!

W obrazach natury, pełnych plastyki, czuć, że poeta opiewa polską wieś, nasze niebo, nasze łany i lasy. Poeta kocha serdecznie ziemię ojczystą, tęskni za nią, gdy jej nie widzi.

Serce mi się wciąż wyrywa
Do dalekich moich stron,
Do tej ziemi ukochanej
Serce mi się wciąż wyrywa...
U nas teraz na wsi żniwa,
Złotokłosy pada plon,
Śpiewką żeńców dźwięczą łany,
Głos po niebie się rozpływa,
A na kłosach wiatr przygrywa,
Jak na harfie wyzłacanej.

Jego pieśni miłosne nie dyszą żarem namiętnym, uczucie nie wyraża się nigdy gwałtownie, a już niezwykła prostota uczuć przebija w ślicznych utworach, objętych wspólnym tytułem »Mojej żonie«.

Pod trawami, co z wiatrem się trzęsą,
Świeci głębia tej wody przeźroczej —
Tak ukryte jaśnieją pod rzęsą
Twe głębokie i przejrzyste oczy.

Jak w tej wody niebieskiem przeźroczu
Odbijają się niebios błękity —
Tak w niebieskiem spojrzeniu twych oczu
Raj miłości jaśnieje odbity.

albo

U mojej Jadwisi
Warkocz jeden — drugi,
A jasny, a długi
Za główeńką wisi
I ciężą głowisi
Te dwie złote strugi.

A gdy je rozplecie,
To się tych warkoczy
Złoto szczere toczy:
Istny cud na świecie!
— A wy aż giniecie,
Moje chciwe oczy. i t. d.

Głębi zawrotnych, wzlotów niebosiężnych niema w poezyi Rydla — to prawda, ale zato dużo jest uczucia, szczerości, prostoty, a nadewszystko swojskości.

Z uznaniem nadzwyczajnem spotkał się dramat Rydla »Zaczarowane koło«. Dlaczego? Przedewszystkiem z powodu zalet istotnych, prześlicznego języka, bardzo zajmującej treści i doskonałego odtworzenia świata ludowego. Młynarka, która za podszeptem dyabła zabija męża do spółki z młodym parobkiem, aby zostać jego żoną, potem dodaje współwinnemu odwagi, kiedy zaś ten jej ukochany topi się, dostaje pomięszania zmysłów, oddana jest z ogromną prawdą. Opętany przez Młynarkę parobek Jasiek jest także postacią żywą, nakreśloną doskonale. Ale publiczności stęsknionej za światem fantastycznym, za cudownością, przypadło do serca głównie zaczarowane jezioro, postać Dziadka leśnego i dyabłów Boruty i Kusego, zachwyciło ją poetyczne opracowanie podań swojskich, ludowych, to też mniej zważała na pewne niedostatki, pewną niejasność w łączeniu szczegółów. Żaden też inny dramat Rydla nie wywarł takiego wrażenia, jak właśnie »Zaczarowane koło«.



Fig. 144. Łucyan Rydel (portret Wyspiańskiego).

Nie wymieniliśmy bynajmniej wszystkich poetów tworzących dzisiaj. Znaczny rozgłos zdobyli sobie np. Kazimierz Gliński, Kazimierz Laskowski, Or-ot (Artur Oppman), lub opiewający Podhale Władysław Orkan (Smreczyński), znany także z nowel i dramatów, osnutych na tle życia górali. Obok tych jest mnóstwo talentów młodych, rokujących często najpiękniejsze nadzieje, a takiej obfitości płodów poetyckich, jak obecnie, nie pamiętają wprost dzieje polskiej literatury. W ostatnich zwłaszcza czasach zjawili się tacy, którzy mogą się stać jej chlubą. Ci zerwali z narzekaniami, nie chcą być »piewcami« bezpłodnej niemocy, ale owszem szukają nowych źródeł siły. Leopold Staff i Tadeusz Miciński należą do nich w pierwszym rzędzie.

Pierwszy, Leopold Staff, jest właśnie najsilniejszym wyrazem i dowodem, że rola »schyłkowców« już się skończyła, że myśl młodych

powstaje z popiołów. Obdarzony potężną władzą myśli i uczucia tworzy sobie swoje światy, piękniejsze i doskonalsze od rzeczywistych...

Tylko duch słaby, by wierzyć w sny swoje,
Musi je dłoni dotknięciem uderzyć —
Ja niemożności niezliszczalne roję,
Bowiem w to umiem wierzyć, w co chcę wierzyć!

A chce poeta wierzyć i wierzy w potęgę jednostki ludzkiej, w moc woli, w szczęście ogromne, które daje doskonalenie siebie. On to szczęście zdobył już sobie — »Mam duszę i samotność, więc wszystko mi dano« — posiadł wolność wewnętrzną. Zdobył ją także i Tadeusz Miciński, poeta wiodący nas w krainę potęgi ducha.

I wszędzie słychać niemilknącą pobudkę: granie do odwrotu i do — zwycięstwa; zwija się sztandary, na których wypisano: cierpienie i niemoc, a wydobywa się nowe z hasłem: przez cierpienie do potęgi.

Ten sam zwrot widać także i w dziedzinie dramatu. Dramat na tej wyżynie, jak w Anglii lub choćby we Francyi, nigdy u nas nie stanął. Najświetniejsza jego chwila, to były czasy Słowackiego, później nie miał przedstawiciela gienialnego ani jednego, więc też poczęło się rozpowszechniać mniemanie, że Polakom brak wogóle zdolności do stworzenia wielkiego dramatu. Czasy dzisiejsze przeczą temu twierdzeniu. Pojawiło się wiele dzieł niepospolitych, a ta dążność nieustająca, ten »pęd do wielkości«, który jest i który pragnie wypowiedzieć się w dramacie, dozwala rokować najpiękniejsze nadzieje. Objawem bardzo znamiennym, a zarazem wysoce zajmującym, jest wielka różnorodność w najnowszym naszym dorobku dramatycznym. Różnorodność ta zaznacza się i w formie i w treści samej i w sposobie patrzenia na życie.

Dramat t. zw. »realistyczny«, ten, który wespół z powieścią starał się zobrazować życie rzeczywiste i poruszał rozmaite zagadnienia społeczne, trwa dalej, ale autorom dzisiejszym chodzi więcej o odmalowanie stanów duszy ludzkiej, aniżeli o wierne nakreślenie tła z wszelkimi szczegółami. Zjawiskiem przejściowem był dramat pisany na wzór belgijskiego poety Maeterlincka. Maeterlinck starał się w sztukach swych wywołać pewien »nastrój«, pragnął uwydatnić w nich związek między naturą a człowiekiem, a kładł silny nacisk na rozmaite mało zbadane objawy życia ludzkiego, jak np. przeczuciowość. U nas wstąpili w ślady Maeterlincka Tetmajer, Rydel i inni, ale dramat ten maeterlinkowski jako sztucznie przeszczepiony na nasz grunt, jako dalej sam przez się pozbawiony warunków żywotno-

ści, boć nastroje i przeczucia są jeno cząstką objawów życia ludzkiego, zaniknął też prędko. Ogół pozostał wobec niego obojętnym.

Z zachwytem natomiast przyjęła publiczność próbę wskrzeszenia dramatu na poły fantastycznego, zabarwionego cudownością, na sposób dramatów romantycznych. Tego rodzaju utworem jest Rydla »Zaczarowane koło«, o którem już wyżej była mowa.

Namiętność ludzką odtwarza w swych dramatach (i w powieściach) Stanisław Przybyszewski. Żądza hula tam jak wicher i niszczy wszystko po drodze, rozum — »śmieszny doradca« — cofa się przed namiętnością po króciutkiej chwilowej walce, a potem, potem zjawia się straszny władzca: sumienie, które widzi, co złe a co dobre, ale przestrzedz przed złem nie ma mocy. Człowiek cierpi, choć bez winy, bo grzechowi nie mógł się oprzeć. Tak patrzy na życie Przybyszewski we wszystkich swych utworach. Chodziłoby jednak o to, czy taka jest treść życia istotnie? Odpowiedź może być tylko jedna: nie! Autor źle widzi świat, zapatrzył się tylko w jeden objaw życia, ten objaw sztucznie rozszerzył, a znaczenie jego grubo przesadził. Żądza, namiętność nie musi być zawsze zwycięską, nie jest nią zawsze, rozum umie ją w karbach utrzymać, sumienie krępować jej pochód. Pogląd zatem jednostronny, błędny — ale daje on klucz do zrozumienia utworów Przybyszewskiego.

Prawa do swobodnego życia jednostki, do rozwijania właściwości osobistych głosi

Jan August Kisielewski (ur. 1876). Z dramatów jego najwyższym jest utwór »W sieci«. Podbił on wprost publiczność nutą bojową, pieśnią głoszącą prawa jednostek, jednostek młodych, rwących się do życia, niezdolnych do kłamstwa, gardzących opinią, względami, korzyścią, idących za własną gwiazdą przewodnią. Wątek dramatu bardzo prosty. Jest państwo radcostwo, ludzie nieźli, ale bez wyższego pojęcia życia, z ogro-



Fig. 145. Jan August Kisielewski.

mnie ciasnym widnokręgiem. Mają kilka córek. Z tych jedna, Jula, ma w sobie iskrę bożą, talent malarski, a ufna w ten dar, który z sobą przyniosła, chce sztuce tylko poświęcić się cała. W tych pragnieniach umacnia ją Jura (Jerzy Boreński), młody poeta, który »pluje« na »fachową literaturę«, »fachową muzykę«, wogóle na wszelką fachowość, a wierzy tylko w natchnienie. I w Juli i w Jurze war życia kipi, oboje lecieliby gdzieś pod słońce, by wydrzeć mu promienie. Ale od czegóż »sieć«, sieć stosunków ludzkich, plotek, zdawkowej moralności i spraw żołądkowych. Jula musi zostać wbrew woli żoną »pana sędziego« Rolewskiego, który tak rozumie się na sztuce, jak ślimak na bohaterstwie, musi połamać skrzydła, zwichnąć życie sobie i mężowi, by po latach zobaczyć się z Jerzym Boreńskim, sławnym teraz Boreńskim, niestety suchotnikiem. I jego nie oszczędziła sieć życia, a domyślamy się, że zgnębiła jego, poetę, walka o byt.

»Jura« jako mężczyzna był swobodniejszy, mógł pójść swoją drogą, choćby kresem jej miał być... wybuch krwi, Jula związana silniejszymi pętami z rodziną, musiała zaplątać się w sieci. Pieśń na cześć młodości, swobody, kończy się zgrzytem...

Zwrot ku ideałom narodowym, ku wielkim zagadnieniom, poruszanym przez naszych wieszczów, ku wzlotom podniebnym zaznaczył się najsilniej w twórczości jednego z najwybitniejszych dziś przedstawicieli poezyi polskiej, Stanisława Wyspiańskiego.

Stanisław Wyspiański (ur. 1869) nie dał się nigdy pociągnąć hasłom »schyłkowców«, nie opłakiwał nigdy swej słabości, nie wołał, że sztuka powinna stać poza narodem i być tylko ogólnoludzką. Od młodości wchłaniał w siebie cierpienia i nadzieje całego społeczeństwa, a duch polski, który z taką siłą począł w ostatnich czasach przeć znów naprzód, który zdobył chłopa polskiego dla ojczyzny, a dąży stale do stopienia całego narodu w jedną całość żywą, wlewał życie w jego twórczość, wlewał w nią siłę, moc.

W poematach swych wskrzeszał Wyspiański postaci z naszej przeszłości, w których była siła i zrozumienie zagadek bytu narodowego, w dramatach po prześlicznych sztukach stworzonych na wzór tragedyi greckich (»Meleager«, a zwłaszcza »Protesilas i Laodamia«) zwrócił się do życia polskiego i dał »pieśń z roku 1831.«, »Warszawiankę«, targającą bolem każde serce polskie, a potem stworzył dramat ludowy »Klątwę«, w którym na sposób tragedyi greckiej kazał władać przeznaczeniu. Jeśli

jednak wspomnianymi utworami zachwycał znawców, to wstrząsnął, porwał cały ogół dopiero dramatem »Wesele«.

Potężnej, a przytem zuchwałej niemal wyobraźni trzeba było, ażeby stworzyć sztukę, w której świat rzeczywisty, kreślony z prawdą najszczerszą, wchodzi w stosunek z światem mar, obcuje z nim, wierzy w jego ist-

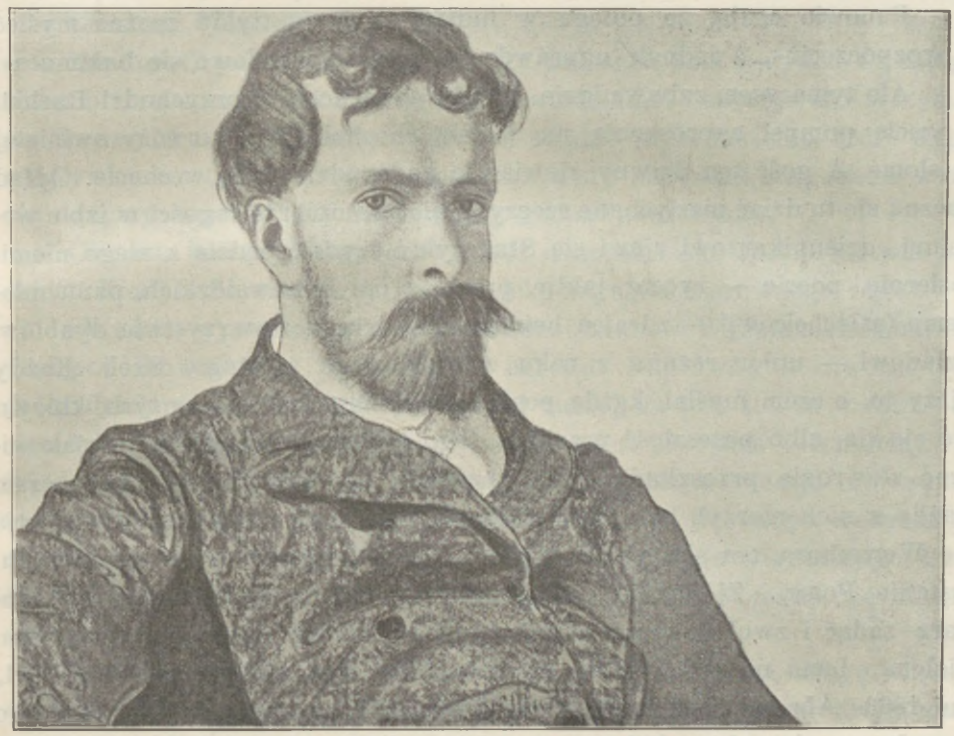

Fig. 146. Stanisław Wyspiański (portret własny).

nienie nawet po zniknięciu widziadeł — a czytelnik, czy widz, zdumiony, olśniony, poczyna również wierzyć w możliwość tego wszystkiego, co się przed oczyma jego przesuwa...

Cóż to jest »Wesele«? Rzeczywiste, prawdziwe wesele poety z dziewuchą wiejską, na które zjeżdżają się goście z Krakowa różnych stanów, poeci, dziennikarze, radczynie, panny... Jest i »gospodarz«, człowiek ukształcony, miejski, który dawniej już osiadł na wsi i również ożenił się z chłopką, jest i ksiądz i żyd karczmarz i córka jego Rachela i tłum wieśniaków. Muzyka gra, zabawa idzie ochoczo, przed oczyma naszemi przesuwają się, jak w jasełkach, pary rozmawiających, pan brata się z chłopem,

tylko widać, że to zbratanie pozorne. Czują to chłopi, a jeden z najmędrszych z pośród nich, Czepiec, mówi bez ogródek do dziennikarza:

Pon się boją we wsi ruchu,
Pon nos obśmiwajom w duchu. —
A jak my, to my się rwiemy
ino do jakiej bijacki.
Z takich jak my był Głowacki.

Panowie czują, że potęga w ludzie, że z nim tylko można myśleć o »rozpoczęciu«, a jednak naprawdę to tylko »narodowo się bałamucą«.

Ale tymczasem zabawa idzie. Wśród podochocenia przychodzi Racheli i poecie pomysł zaproszenia na wesele chochoła, krzaku róży owiniętej w słomę. A gość ten dziwny zjawia się nadspodziewanie w chacie. Odtąd zaczną się tu dziać niesłychane rzeczy. Upiór po upiorze zagości w izbie weselnej, dziennikarzowi zjawi się Stańczyk i szydzić będzie z niego niemiłosiernie, poecie — rycerz jakby prosto z pól grunwaldzkich, panu młodemu (szlachcicowi) — zdrajca hetman Branecki w towarzystwie dyabłów, dziadowi — upior rezuna z roku czterdziestego szóstego, Szeli. Każdy ujrzy to, o czem myślał, każda postać przypomni każdemu z tych, którym się zjawia, albo przeszłość przeklętą jego, czy jego przodków, co jak widmo złowrogie przeszkadza dziś zbrataniu się narodu, albo to, o czem każdy z nich marzył, by — na marzeniu skończyć. Gospodarzowi zjawia się Wernyhora, ten słynny Wernyhora, który przepowiedział zmartwychwstanie Polski. Zjawia się i daje mu złoty róg, a w ten róg ma gospodarz zadąć i zwołać stany przed kaplicą i czekać Wernyhory z Archaniołem... I ma nadejść wielka chwila, której nie doścignął ani rok 1831., ani 1863. Ale cóż się dzieje? Gospodarz oddaje złoty róg Jaśkowi i jego wysyła ze zleceniem, które sam miał spełnić, a Jasiek schylając się po czapkę z pawiemi piórami, róg gubi. A bez rogu owego, bez tego hasła czarodziejskiego, które jedyne zdolne jest wszystkich pobudzić, musi przepaść wszystko. Więc choć w chacie gromadzą się o świcie wieśniacy z kosami, Wernyhora nie przybywa, bo Jasiek róg zgubił... Ach, za wcześnie oddał mu go gospodarz, Jasiek nie dojrzał jeszcze do piastowania go, nie rozumiał, że komu taki skarb powierzono, ten nie o czapce z pawiem piórem, ale o nim tylko powinien myśleć. Więc gorączkowe wyczekiwanie wszystkich kończy się rozczarowaniem. Niema Wernyhory! Co tam, ale jest Chochoł. Ten tu teraz panem wszystkich, ten się tu teraz rozrządzi. Broń każe zebranym odebrać, sam na skrzyni się umieści i zacznie grać i przyśpiewywać

miałeś chamie złoty róg,
miałeś chamie czapkę z piór:
czapkę wicher niesie,
róg hula po lesie,
ostał ci się ino sznur.

A że muzyka to na nutę narodową, więc tłum staje do tańca i w takt tonów porusza się sztywnie, wolno, martwo — zwartem kołem weselnem.

Straszne Wesele!

Nie dorośli jeszcze do »rozpoczęcia«. Szlachcic zdał wszystko na chłopa, chłop nie zrozumiał, jaka na nim odpowiedzialność spoczywa, i wszystko poszło na marne, a tryumfuje Chochoł, smutne przeznaczenie, które ciągle wygrywa nam tylko narodowe piosenki, a my jak senni, zasłuchani w nie, nie dążymy naprzód, ale odprawiamy grobowe weselisko...

Cierpki, bolesny, rozpaczliwy sąd o dzisiejszem społeczeństwie polskiem. Kiedyż nie zatracimy już tak lekkomyślnie czarownego rogu?

»Wesele« wywarło ogromne wrażenie. Uznano w Wyspiańskim godnego następcę Słowackiego, przewodnika narodu. Naprawdę, w utworze tym drogi działania nie wskazał. Powiedział raczej, że jest źle, że w roku »tysiąc dziewięćsetnym« nie byliśmy jeszcze godni przyjścia Wernyhory. To też dramat, gdy się w niego wmyślimy, przygnębiające raczej robi wrażenie, a otuchą napawa w nim tylko widok tego ludu polskiego, dziarskiego, uświadomionego, skorego do »bijacki« na wspomnienie Głowackiego, i budzi się w nas wiara, że lud ten prędzej czy później zbiegnie się na głos złotego rogu...

Poeta pragnął jednak wskazać i drogę postępowania, drogę wiodącą do celu, i po »Weselu« napisał »Wyzwolenie«. Jako utwór artystyczny dramat ten stoi znacznie niżej od »Wesela«, ale ważnym jest przez to, że poeta zrywa w nim z poezyą dawniejszą, nie chce Polski w niebie, ani Polski wiodącej narody do królestwa Bożego, ale chce, żebyśmy byli tacy jak inni, byśmy dążyli do niepodległości, jak dążyły do niej inne ludy. Jest więc »Wyzwolenie« nowym dowodem, jak Wyspiański wchłania w siebie duszę i nastrój zbiorowy, boć właśnie w latach ostatnich rozebrzmiały na nowo hasła: siłą, nieugiętością, wszelkimi środkami, jakimi zdolni jesteśmy rozporządzać, zdobędziemy niepodległość.

Oprócz wspomnianych napisał Wyspiański wiele jeszcze innych utworów: »Legion«, »Noc listopadowa«, »Akropolis«, »Bolesław Śmiały«... Każdy z nich ma wartość ogromną. Z nim, z Wyspiańskim, odżyła poezya wieszcza, po długich latach oczekiwania zjawił się znów duch górny, jeden

z tych, co przerastają swoje pokolenie, a są drogowskazami dla pokoleń następnych.

Nie zapomnijmy dodać, że Wyspiański jest nie tylko gienialnym poetą, ale i znakomitym malarzem, o talencie nawskróś oryginalnym.

Przewrót, jaki dokonał się w poezyi, zaznaczył się także w powieści. Wytwarzają się nowe kształty, różnorodność i tu znaczna. Ścisłą obserwacyą zbliża się do dawniejszych powieściopisarzy najbardziej

Władysław St. Reymont (ur. 1868.). Świat zewnętrzny oddaje on z wyrazistością wyborną, maluje z zamiłowaniem obrazy tłumów, rządzonych jakąś ślepą mocą, tak, że tłumy te, oglądane z daleka, robią wrażenie zegarów, w których obraca się mnóstwo kółek bez własnej woli — po prostu nakręcone przez jakąś tajemniczą rękę: konieczność. Tłum taki spotykamy przedewszystkiem w powieści »Ziemia obiecana«. Kłębi się on przed naszemi oczyma, poszczególne jednostki w nim zmagają się z sobą, walczą, a wszystko pędzi przed siebie na oślep, jak bezduszna machina. Autor jednak nie ogranicza się na odmalowaniu tego tłumu, lecz przez nagromadzenie obrazów jaskrawych nędzy robotników, grzechów, cierpień i nudy możnych, woła wyraźnie: precz z tem życiem, które stworzyły wielkie miasta, pieniądz i żądza użycia, w sobie szukajmy szczęścia, szukajmy ducha nieśmiertelnego, który na łonie natury tylko da się odnaleźć. To też powieść ta, kreśląca stosunki fabryczne w Łodzi, jest właściwie wielkim protestem przeciwko dzisiejszym stosunkom społecznym i wezwaniem do życia zgodnego z naturą.



Fig. 147. Władysław Reymont.

Podobnie w »Komedyantce« i w »Fermentach«. I tu rozlega się głos protestu przeciwko więzom dzisiejszego życia. Treść i idea tych utworów przypomina nam dramat Kisielewskiego »W sieci«. (Powieści Reymonta powstały wcześniej). Widzimy tu tak samo młodą dziewczynę, rwącą się do lepszego życia, do sztuki, do jakiegoś świata wyższego, którego treści panna Janina nie umie sobie nawet uzmysłowić, i padającą w walce podobnie jak Jula. Świat ducha przeciwstawiony więc znów bezdusznej maszynie życia, druzgocącej wszystkie szlachetniejsze porywy.

Jako arcydzieło zapowiada się nieskończona jeszcze powieść »Chłopi«. Tak wiernie, jak Reymont w tym utworze, chłopów polskich nikt nie przedstawił i nikt w życiu naszego ludu nie znalazł tyle poezyi — bez upiększania go jakiegokolwiek. Jest w tem dziele niebywała siła (np. taniec na weselu Boryny) i nadzwyczajne piękno.

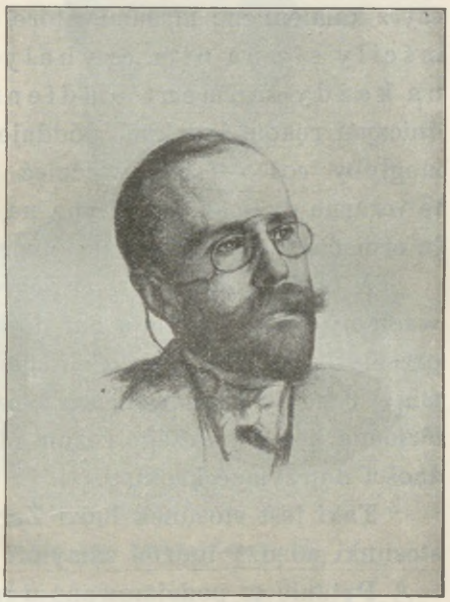

Fig. 149. Wacław Sieroszewski.

Z wszystkich powieści Reymonta wygląda dusza tęskniąca, ale tęsknoty swe wyraża twórca przez piętnowanie tego, co dziś złe, głupie lub nikczemne. Jedną miłość widać w nim wielką, miłość ludu i natury. W naturze widzi Reymont, jak malarz, tysiące barw, blasków, a te spostrzeżenia malarskie oddaje z prawdziwym przepychem słowa.

Natura jest też ukochaniem innego pisarza, pisującego pod pseudonimem Sirki. Właściwe jego nazwisko Wacław Sieroszewski (ur. 1868.). Weźmy dla przykładu powieść »Risztau«. Osnowy prawie niema, widzimy kilka osób oderwanych od społeczeństwa, żadnych zagadnień, żadnego rozwoju charakterów, a natomiast dużo światła, woni, fal morskich, skał, lodowców. Czytelnik też, z woli autora, więcej uwagi zwraca na naturę, niż na ludzi; ona bo jest ich panią, ona ich żywi, grozi im, igra z nimi, a przytem taka ona... piękna, choć złowroga. A ludzie? Ot jakieś stworzonka, bez których tu wśród gór, u podnóża Risztau, zupełnieby się obeszło. Mają oni swe troski, smutki, nadzieje, ale wszystko to niknie wobec piękności, grozy i potęgi przyrody. A jednak w dzieciach tej przyrody, ludziach, najnędzniejszych nawet, tkwi dobroć, kryją się skarby uczucia, zdolności do poświęceń...

A poświęceń tych trzeba dziś więcej, niż kiedykolwiek. Trzeba się wyzbyć samolubstwa, oddać na usługi bliźnich-niewolników, bo tak każe obowiązek. Takie zasady głosi

Stefan Żeromski (ur. 1864.). Wielki pisarz, jeden z największych wśród współczesnych! I on naturę kocha, a ta miłość wiedzie go do ożywiania jej, do współczucia z nią. W jednem z opowiadań czytamy, że czło-

wiek musi zniszczyć górę kamienistą, bo wnętrze jej przedstawia wartość dla niego. Rozpoczyna się więc praca. »Odwieczne kamienie jęczały pod młotami, waliły się całe urwiska, niestrudzonemi uderzeniami podkopywane, zlatywały ze szczytów i kruszyły się na drobne cząstki ogromne bryły, podważone wysiłkiem ramion... Codziennie o świcie zaczynało się to spotkanie siepaczy z kamiennemi masami, które, nim uległy zuchwałej napaści człowieka, mściły się na nim, czyhały na każdą chwilę jego nieuwagi, na każdy moment omdlenia«. Broni się rozpaczliwie natura zbrodniczym rękom ludzkim, poddaje się, ale nie bezkarnie. Kopalnie węgla mogłyby coś o tem powiedzieć. Ziemia, z której łona wydziera człowiek te »czarne dyamenty«, »czyha na niego z bryłami, które ruszył, ażeby mu je cisnąć na głowę, nim się obejrzy«.

A bohaterowie Żeromskiego odczuwają dziwny żal na widok tej »sromoty natury«. Znają oni doskonale »wszystkie mądre, twórcze prawa przemysłu«, ale równocześnie płaczą »we wnętrzu duszy swej nad tą ziemią«. Jest bo jakiś »łańcuch niezgłębionej sympatyi« między człowiekiem a ziemią, jest coś, »czego rozum nie ima i czemu wyobraźnia nie jest w możności dotrzymać kroku«...

Taki jest stosunek ludzi Żeromskiego do ziemi. A jakie są wzajemne stosunki między ludźmi samymi?

Pytanie to podejmowano u nas w powieści, począwszy od pierwszych dni XIX. wieku. I jedni zamykając oczy na wszystko, widzieli tylko pary kochające się, przeważnie nieszczęśliwie, potem poczęto poruszać zagadnienia społeczne i bądź to zachwycano się stanem istniejącym, bądź też zaznaczano upośledzenie jednych warstw przez drugie. Nawet z najmłodszych, Reymont, taki punkt wyjścia obiera w »Ziemi obiecanej«. Żeromski patrzy na świat inaczej. Wie on o tem lepiej od innych, że jest źle, odczuwa to silniej od wszystkich niemal współczesnych, ale klątwy na jedną jakąś warstwę nie rzuca. U niego, jak u Kasprowicza, ból jest treścią istnienia, cierpienie wlecze się jak cień za człowiekiem, wdziera się wszędzie, a Żeromski dopatrzy go tam, gdzie inni widzą tylko szare, obojętne życie. Ludzie cierpią, często z przyczyny drugich, ale tamci drudzy są częstokroć mimowolnymi tylko sprawcami udręczeń... Darmo szukalibyśmy tych »czarnych charakterów«, które zadają ciosy bohaterom powieści Żeromskiego, nie, ich ból wypływa ze zwyczajnego biegu wypadków ludzkich. A i ci, którzy cierpią, nie są bez winy, i oni są sprawcami bolu... Ale tu dopiero zabiera głos autor i woła: obowiązek społeczny! nie wolno

rąk opuszczać, ale spełnić trzeba swą powinność, krzywdy wyrównywać, nieść pomoc i ulgę. Obowiązek! huczy potężnie wezwanie rzucone społeczeństwu.

Doktor Piotr kocha serdecznie ojca, a dla ojca tego jest jedynem światłem, jedyną osłodą ciężkiego jego położenia. Ale oto przekonywa się po powrocie do domu, po odbyciu studyów, że ojciec posyłał mu pieniądze z oszczędności, zrobionych na robotnikach przez obcinanie im płacy. Więc choć mu się serce krwawi, rzuca starego biedaka i idzie w świat, by pracować i oddać to, z czego żył, a co było potem i krwią robotnika... nienagrodzonego.



Fig. 149. Stefan Żeromski.

A więc Judym, również doktor, porzuca narzeczoną, która mogła mu być szczęściem, którą kocha nad wszystko, bo powiedział sobie, że jego obowiązkiem jest nieść ulgę biednym, chorym, nad wyraz nieszczęśliwym robotnikom fabrycznym, a obawia się, że zapał jego, dobra wola, pęd do czynu zniknęłyby wśród szczęścia rodzinnego. A Judym nie upiększa wcale robotnika, przeciwnie, on gotów raczej złorzeczyć im wszystkim zato, że przez nich traci osobiste szczęście, a jednak woli pokrwawić pierś własną, niż nie spełnić obowiązku!

Obowiązek! — bije jak dzwon potężnie wielkie słowo Żeromskiego.

Mistrz w kreśleniu świata zewnętrznego, patrzy jednak w głębię duszy ludzkiej. Nie żądza (jak u Przybyszewskiego) jest treścią życia, ale rozterka duchowa, z której jako zwycięzca wychodzi — sumienie.

Żeromski napisał także przepiękną powieść historyczną, osnutą na tle dziejów polskich za czasów Napoleona I., p. t. »Popioły«. Wniknął w niej nadzwyczajnie w ducha czasu, przedstawił w ogromnej ilości obrazów najróżnorodniejsze objawy ówczesnego życia, a obok tego zdołał tchnąć wiarę w czytelnika, że te bohaterskie walki, które nakreślił z siłą

potężną, były płodnymi popiołami, z których w przyszłości wybuja owocny siew.

Z młodszego pokolenia najbardziej znamienną jest twórczość Gustawa Daniłowskiego. I on, jak Żeromski, widzi nędzę ludzką, i jemu na ten widok serce się krwawi i on każe iść w bój. W powieści p. t. »Z minionych dni« pokazuje nam trzy pokolenia, dziada, ojca i wnuka, jak idą na zagładę za sprawę... Czyż jednak praca pokoleń może pójść na marne?

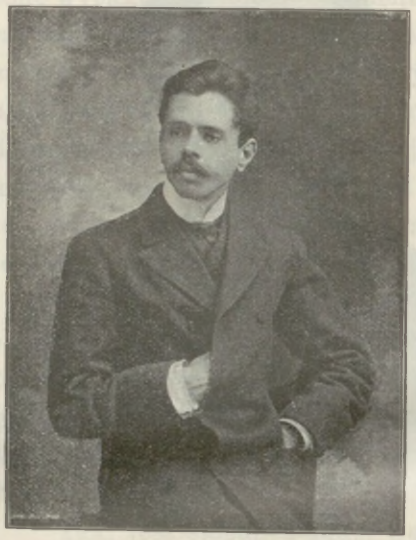

Fig. 150. Gustaw Daniłowski.

Na tem kończymy obraz naszej literatury. Widzieliśmy, że poziom jej wznosił się i opadał, odbijały się w niej rozmaite prądy europejskie, ale wszystkie umiał duch polski przeniknąć własnem tchnieniem, rudę przekształcić na złoto czyste, wszędzie znaleźć cząstkę najlepszą, ażeby jej użyć dla »pokrzepienia serc«. Poeci nasi obejmowali i obejmują ramionami naród cały, chcą go dźwignąć, uszczęśliwić i złożyć u stóp Bożych, jako kwiat najpiękniejszy. Kapłaństwem była zawsze literatura nasza, a w niej przedewszystkiem poezya, służbą narodowi była i dobrą mu pragnęła nieść nowinę. Więc i za naszych czasów jak dym nikły rozwiały się wszystkie marne, samolubne hasła, a tryumfuje obowiązek, poświęcenie! Poświęcenie dla bliźnich, dla narodu...

Pięćset lat już tej służby, a zawsze jednako ona wierna. Pięćset lat! Tysiące, tysiące ksiąg, tyle myśli, tyle natchnień, porywów, skarg i pokrzepień. Bogaty skarb, godzien doprawdy poznania i ukochania godzien. Tu naród składał »swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty«, tu wszystko, co w nim wielkiego, świętego.

A że tego, co nizkie, prawie nie znajdzie, że szlachetności dużo, że uczuć patryotycznych ogrom, że i dziś nie ustajemy, lecz stale podążamy naprzód, więc — w górę serca!

DZIEJE
BUDOWNICTWA I RZEŹBY
W POLSCE

NAPISAŁ

DR. FELIKS KOPERA.

WSTĘP.

O STYLACH.

Sztuka jest to umiejętność tworzenia dzieł sprawiających wrażenie na duszę człowieka i przenikających do jego uczuć, a jako taka jest jednym z najbezpośredniejszych objawów umysłu ludzkiego i najrzetelniejszym jego wyrazem. To też niemal każde pokolenie ludzkości odzwierciedla się w sztuce. Inne były ideały ludzi żyjących za czasów Piastów, a inne za czasów Jagiellonów, inne za Wazów, a inne w epoce Napoleona. Jeśli chcemy dzieło sztuki poznać, musimy rozpatrzeć je na tle epoki, na tle jej dziejów, dążeń i wymagań.

Objawy sztuki są różne: poezya, muzyka i sztuki plastyczne. Sztukami plastycznemi nazywamy tę dziedzinę twórczości, która wydaje dzieła dotykalne, a więc domy Boże i mieszkania ludzkie, oraz naśladuje naturę, czy to przedstawiając kształty człowieka, zwierząt, roślin i inne formy wypukle czyli w trzech wymiarach, lub też odtwarzając świat i jego zjawiska na płaszczyźnie w dwu wymiarach. W pierwszym przypadku tworzy budowniczy czyli architekt, w drugim rzeźbiarz, a w trzecim malarz.

Te trzy działy idą nieraz w parze: formy architektoniczne łączą się z rzeźbą i malarstwem.

Budownictwo czyli architekturę, rzeźbę i malarstwo zaprzęga się często do wyrobów użytkowych i sprzętów. Wtedy rękodzielnik upiększa nimi swoje dzieło, ale nie tworzy z nich przedmiotów takich, któreby wyłącznie miały za cel piękno, jak n. p. posąg, albo obraz, a w tym przy-

padku mamy do czynienia ze sztuką stosowaną czyli przemysłem artystycznym, który jest dziełem rękodzielnika, pragnącego stworzyć rzecz użyteczną ale piękną zarazem.

A zatem sztuki plastyczne dzielimy na architekturę czyli budownictwo, rzeźbę, malarstwo i przemysł artystyczny.

W architekturze rozróżnia się style. Przez styl rozumiemy formy cechujące twórczość czasów i ludów.

Grecy wytworzyli trzy style: naprzód dorycki, potem joński, a wreszcie koryncki. Rzymianie, którzy korzystali ze zdobyczy Greków, przejęli te trzy style i używali ich równocześnie obok siebie. Kiedy państwo rzymskie upadło, upadła i sztuka; powoli jednakże sztuka podnosi się coraz wyżej, opierając się ciągle na wzorach rzymskich i wreszcie chrześcijańska cywilizacya tworzy nowy styl t. zw. styl romański, właśnie dlatego tak nazwany, że artyści wzorowali się na zabytkach Rzymu czyli Romy.

Styl ten rozwija się w latach 1000—1300 w całym zachodnio-chrześcijańskim świecie. Ponieważ monumentalne budynki wznoszono głównie dla chwały Bożej, przeto przedewszystkiem kościoły dają pojęcie o tym stylu.

Plan romańskich kościołów wzoruje się na budowlach rzymskich i domach modlitwy pierwszych chrześcijan, na tak zwanych bazylikach.

Bazylika jest to podłużny czworokątny budynek. Wnętrze bazyliki dzielą kolumny czyli kamienne słupy o podstawach i głowicach [1]) na trzy lub pięć podłużnych części czyli nawy. O planie układu bazylikowego poucza fig. 151 i 152. Środkowa część czyli nawa środkowa jest najwyższa, a okna jej wychodzą na świat ponad dachami naw bocznych. Część środkową nakrywa dach dwu spadkowy, nawy boczne dach pulpitowy. Ścianę tylną nawy środkowej zamyka półkole (absyda) tworząc nyżę, w której mieści się ołtarz główny.

Epoka romańska do tego typu kościelnych budowli przekazanych przez pierwszych chrześcijan dodała sklepienie, którem starochrześcijańskie bazyliki się nie posługiwały. Ta zmiana pociągnęła za sobą grubość murów. Kościół romański stał się ciężką massywną budową, która też przybrała niebawem charakter fortecy (zob. fig. 154 i 155), co tem bardziej było konieczne, że kościoły w tych czasach bardzo często musiały służyć za twierdze. Stąd to bazyliki otrzymują wieże. W rozwiniętym planie

[1]) Jak wyglądają kolumny zob. fig. 157 i 171.

romańskiego kościoła spotyka się jednę, a nawet dwie nawy poprzeczne, a także dwie lub więcej absyd, gdyż liczba ołtarzy w kościółkach coraz to więcej się mnoży. Nad nawami bocznemi pojawiają się galerye otwarte do środka kościoła czyli tak zw. empory, przeznaczone dla książęcego dworu.

Forma półkolistego łuku pojawia się wszędzie. Nawet do ozdoby murów używano łuków, których szeregi połączone razem tworzą tak zw. fryz arkadkowy (zob. na ryc. 163). Małe kolumny dzielą okna na dwa lub trzy przeźrocza, są to t. zw. okna bliźnie (u wieży na rycinie 155. widzimy takie okna).

Kapitel romański [1]) ma kształt kostki, stąd nazywa się kostkowy. Kolumny są silne i przysadziste. Wogóle uwydatnia się wszędzie siła i prostota.

Materyałem, którym te epoki się posługują, jest kamień.

Budowle romańskie ozdabiano rzeźbami, w tej epoce bowiem rzeźba zaczyna budzić się z uśpienia. Najwięcej pola miał rzeźbiarz, ozdabiając wejście do kościoła czyli portal [2]).

Ozdoby te, czyli ornamentacya, utworzone są ze wstęg, oraz kształtów roślinnych stylizowanych, t. j. układających się podług geometrycznego, regularnego wzoru. Plecionki ze wstęg lub gałązek z postaciami ludzi lub zwierząt są głównie w użyciu (zob. fig. 180 i 185). Także fantastyczne zwierzęta, jak gryfy, bazyliszki, syreny i t. d. ozdabiają mury (zob. fig. 181).

Styl gotycki nastąpił po romańskim i jest jego dalszym rozwojem. Postęp tego stylu leży w tem, że zamiast ciężkiego okrągło-łukowego sklepienia, które wymagało grubych murów, wprowadzono sklepienie o łuku ostrym, które pozwalało posługiwać się cienkimi murami, a następnie mury te wznosić wysoko. W tych punktach, gdzie sklepienie najwięcej parło na ścianę, dawano podpory, zwane szkarpami [3]), albo też o szkarpy jeszcze opierano łuki przerzucane czyli łuki przyporne. Wprowadzenie łuków ostrych, cienkich i wysokich ścian, spowodowało przewagę linij pionowych i strzelistych o formach ostrego łuku (zobacz fig. 165).

Budowle są bardzo rozczłonkowane nie tylko w planie, ale w ogólnej zewnętrznej postaci, ozdabia je mnóstwo wieżyczek, okna dochodzą do wielkich rozmiarów, ale zawsze są one wązkie a długie, a przytem jeszcze dzielone w kierunku pionowym laskami, w części zaś łukowej laski te

---

[1]) Co to są kapitele, pouczają fig. 185.

[2]) Taki portal widzimy na rycinie 178.

[3]) Szkarpy takie widzimy na rycinie 160.

rozwijają się w bogatą nieraz koronkę, w tak zwany maswerk (zob. fig. 165).

Sklepienie jest nie tylko krzyżowe, ale przybiera formę gwiazdy, wachlarza, sieci, a nawet kryształowej powierzchni (zob. fig. 170).

Kolumny są smukłe i ozdobione liśćmi.

W epoce gotyku rozwinęło się życie mieszczańskie, to też stawiano już nie tylko kościoły, ale domy mieszczańskie, hale targowe ratusze, mury i baszty obronnych miast i t. p. Budowle te świeckie mają wyniosłe szczyty z zazębieniami i spadziste dachy. Ze ścian występują kryte balkony czyli erkery lub wykusze. Okna są dowolnie umieszczone, jak praktyczne względy wymagały, i najczęściej nie troszczono się o regularny rozkład, to też gotycki styl cechuje wielka różnorodność w rozczłonkowaniu mas, która nadaje im odrębną cechę i nastrój.

Ozdoby roślinne, aczkolwiek stosowane do budownictwa i do wytkniętych z góry linij, są odtwarzane według natury a nie według szablonu, rzeźbiarze naśladują świat roślinny tych ziem, w których przebywają.

Rzeźba upiększa tę architekturę, a posągi przyparte do ścian stojące na podstawkach czyli konsolach i pod baldachimami, to najzwyklejsze zadanie rzeźbiarzy. Na sklepieniu, gdzie krzyżują się żebra sklepienne, często spotyka się tarczę, t. zw. zworniki, pokryte płaskorzeźbami.

Materyałem, z którego wznosi się budowla, jest nie tylko kamień, jak w epoce romańskiej, ale także cegła i drzewo.

Budowle ceglane tem różnią się od kamiennych, że budowniczowie zamiast łuków przypornych posługują się szkarpami, dalej tem jeszcze, że budowle te mają mniej ozdób, a jeżeli je mają, to ozdoby te są kute w kamieniu i wstawiane do wątku ceglanych ścian, dalej architekci używają obok cegły zwyczajnej jeszcze cegły polewanej i układają ją we wzory (zob. fig. 163). Stara cegła ma powierzchnię chropowatą, nadającą budynkom oryginalną cechę i piękną poważną omszałą barwę.

Drewniane gotyckie budownictwo posługuje się temi samemi formami, ale przekształca je w sposób swojski. Stąd też, zwłaszcza w Polsce, budowle te mają wielkie znaczenie dla miejscowej architektury: nie są to bowiem dzieła zagranicznych budowniczych, ale robota miejscowych cieśli, którzy wprowadzali swojskie rodzime pomysły i ozdoby.

Gotyk panuje od XIII. aż do XV. w. Po XV. w. już obok gotyku rozwija się odrodzenie i trwa do XVII. w. Styl odrodzenia czyli renesansu

zrywa zupełnie z gotykiem. Jest to powrót do sztuki Greków i Rzymian dokonany z całą świadomością i odczuciem piękna.

Odrodzenie wyszło z tej ziemi, gdzie zostały ruiny dawnych gmachów rzymskich — z Włoch. Symetrya i niezakłócona niczem harmonia to zasada budynków. Są one tak pomyślane w planie i w szczegółach, że nie można nic dodać ani odjąć bez zepsucia pięknej całości. Łuki okrągłe są lekkie i smukłe, a nie ciężkie i masywne jak w stylu romańskim, to też po lekkości i delikatnej robocie natychmiast można odróżnić styl romański od stylu odrodzenia (zob. fig. 172).

Wyrazem tej jednolitości i zespolenia form odrodzenia jest kopuła. Zwyczajnie kościół wygląda w ten sposób: nawę główną przecinano nawą poprzeczną, a kopułę umieszczano na miejscu skrzyżowania (zob. fig. 171). To też kopuła jednoczy i wiąże całą budowę w jedną nierozerwalną całość. Stawiano przytem kaplice czworoboczne w planie, a górną ich część wieńczyła kopuła, przyczem przejście z czworoboku w kolistą część przeprowadzano bardzo umiejętnie.

Zamiłowanie do kopuły wzięto od Rzymian, jak i wszystkie inne upodobania. Zewnętrzna strona kościoła robi wrażenie także swą kopułą najczęściej zakończoną latarnią, kulą i krzyżem, a także frontem ładnie i równo rozczłonkowanym, który to front zdobią gzymsy, przyparte kolumny, nyże z figurami świętych, a wszystko wykute bardzo pięknie i ozdobnie nadaje piętno renesansowemu kościołowi (zob. fig. 171).

Wieże, o ile są, służą tylko do ozdoby frontu i nie są wysokie. Kończą się zaś zwykle kopułkami lub latarniami. Wnętrze traci coraz to więcej charakter poważny, a przybiera natomiast pozór pałacu przeznaczonego na służbę bożą. Nawa boczna ustępuje miejsca nawie głównej, w której ześrodkowuje się wrażenie budowy. Dochodzi do tego, że nawy boczne z czasem zamieniają się w kaplice połączone wspólnem przejściem. Bogactwo i przepych im później, tem są większe, wreszcie w XVII. i XVIII. w. wnętrze kościoła przedstawia się jak salon (fig. 172).

Obok kościołów rozwijają się pałace. Budowy te są bardzo ozdobne, pełne przepychu, formy są nader delikatne i obliczone na znawców, bo zamiłowanie do sztuki stało podówczas wysoko. W planie przedstawiają się pałace te jako budowa w czworobok o czworobocznym dziedzińcu, wzdłuż którego biegną korytarze; też same korytarze jako galerye widzimy w piętrowych częściach (zob. fig. 173). Front domu jest nadzwyczaj starannie obmyślany, rozłożenie okien i drzwi tak przeprowadzone, by wszędzie pa-

nowała harmonia. Mury facyaty wznoszono często z wielkich ciosów kamienia, który tak opracowano, aby to piętno pomnikowego materyału wydobyć, a taki mur nazywa się rustyką. Ozdoby składają się z liści nadzwyczaj bogato przedstawionych i starannie wykutych. Formy roślinne łączą artyści z formami zwierzęcemi, mitologicznemi, a nawet różnymi przedmiotami, jak świeczniki, maski, zbroje i t. d. Kształty nagie przedewszystkiem przedstawiano, postępując za wzorem Greków i Rzymian. Najpowszechniej jako ozdobą posługiwano się nagimi aniołkami.

Zamiłowanie do marmuru jest bardzo wielkie i idzie w parze z zamiłowaniem do przepychu.

Odrodzenie przekształca się w **barok**. Różnica pomiędzy stylem odrodzenia a barokiem leży w ogólnym charakterze. W renesansie całość jest gruntownie obmyślaną i każdy szczegół odgrywa rolę: nie można tu nic ująć ani dodać bez zepsucia harmonii, w baroku siła wrażenia nie leży w konstrukcyi, ale w malowniczości, gzymsy n. p. niczego tam nie dźwigają, jak w renesansie, ale są użyte poprostu do ozdoby. Posuwają się architekci do tego nawet, że gzymsy umyślnie przerywają i nie wahają się umieścić w przerwie jakąś figurę. Nie wzdrygają się kolumny stawiać wolno bez żadnej łączności, a na wierzchu kolumny sadzać figury.

Sale tak kościołów jak pałaców są okazałe. Ozdoby figuralne przesadne i pełne teatralności. Ale w swoim rodzaju barokowe budynki są piękne. Figury, aczkolwiek w teatralnych pozach, mają układ pełen wdzięku, ruchy są zgrabne i linie choć powyginane i wyszukane, są mistrzowskie.

Domy stają się coraz to potężniejsze. Bramy zdobią potężne figury trzymające gzymsy czyli t. zw. Karyatydy. Kolosalność, przepych, bogactwo, i niepokój znalazły tu znakomity wyraz i stworzyły styl mimo wielkiej łączności z renesansem, bo nawet żyjący jego formami, odrębny w całym charakterze i pełen wysokiej nieraz wartości.

Styl ten panuje głównie w XVII. w. W wieku XVIII. pojawia się styl **rokoko**.

Formy kolosalne, wyskakujące gzymsy, przestały robić wrażenie, a natomiast jako oryginalność XVIII. w. pojawiają się formy wprost odmienne, formy płaskie. Ozdoby roślinne jak wisiory lub wieńce zwisają u płaskich kolumn przypartych do ścian czyli pilastrów; ulubionym szczegółem dekoracyjnym jest muszla. Styl ten zresztą w zasadzie trzyma się odrodzenia, tylko dekoracya głównie nadaje mu odrębne piętno.

Po tym stylu pojawia się styl Napoleona I. czyli cesarstwa, albo też

zwany empire[1]). Jest to znowu zwrot do sztuki Greków i Rzymian, naśladownictwo świątyń greckich, domów, bram tryumfalnych, a nawet sprzętów dawnych Greków i Rzymian. Różnica między empirem a odrodzeniem jest ta, że gdy budowniczy odrodzenia posługiwał się swobodnie sztuką Greków i Rzymian według swego poczucia piękna, to budowniczy epoki cesarstwa naśladował tę sztukę i starał się odtworzyć coś podobnego do greckich i rzymskich budynków, o ile na to pozwalały warunki.

Po naśladowaniu sztuki Greków i Rzymian przyszła kolej na naśladowanie gotyku, a ponieważ stylu starogotyckiego gruntownie nie znano, naśladowano go bardzo powierzchownie i naiwnie. Okres ten nazywa się okresem nowogotyckim czyli neogotykiem.

Dzisiejsza sztuka odtwarza różne style, a więc romański, gotycki, odrodzenia, barok, rokoko, przekształcając dawne formy dla nowych potrzeb. Style te często zmieniają budowniczowie, zastosowując się do nowożytnych technik, czyli modernizują.

Secesyą nazywają się próby stworzenia nowych form. Każdy budynek dzisiejszy, któremu budowniczy nie nadaje piętna jednego z dawnych stylów, ale stara się wprowadzić nowe formy piękna, nazywają dzisiaj secesyą, czyli odstępstwem od utartych i uznanych kierunków, jakimi są dawne style.

RZEŹBA.

Rzeźba dzieli się na dwa działy: na rzeźbę posągową, która tworzy kształty tak, jak one w naturze się przedstawiają, formy są tu ze wszech stron dostępne;

na płaskorzeźbę, gdzie kształty częściowo dobyte są z tła: rodzaj ten rzeźby wchodzi poniekąd w zakres malarstwa.

Materyał, z którego rzeźbiarz wydobywa kształty, jest różnorodny, różnorodność ta pociąga za sobą inną technikę, a za tą idzie inne piętno dzieła.

Rzeźby mogą być wykonane: z kamienia, z drzewa, z bronzu, z gliny, ze stiuku, z kości słoniowej i t. d.

[1]) czytaj: ampír.

Rzeźby z kamienia najczęściej wiążą się z budownictwem; uzupełniają one dzieło architekty. Ozdabiają ściany, filary, portale i t. d., niemniej jednak tworzą odrębną od architektury całość. Główny dział tworzą tu grobowce, które z natury rzeczy musiały mieć monumentalny charakter.

Z drzewa rzeźbiono ołtarze o kształtach nieraz architektonicznych. Ołtarze te mają często kształt otwierającej się szafy, a zatem mają szafiasty środek, drzwi zaś tej szafy dwuskrzydłowe tworzą boczne części, wskutek tego ołtarze mają trójdzielną formę, stąd nazwa tryptyk. Okrągłe rzeźby wspólnie z płaskorzeźbami wypełniały środkową część i zdobiły pola otwartych skrzydeł (zob. fig. 188).

Posągi z drzewa przeznaczano głównie do wnętrza kościołów, a płaskorzeźby zdobiły sprzęty kościelne, jak ambony, ławki i t. d., uzupełniając wyroby przemysłu artystycznego.

Aby wykonać rzeźbę w bronzie, trzeba naprzód wykonać ją w glinie, potem uzyskać z tej gliny matrycę czyli formę, a z niej dopiero wydobyć dzieło. Odlew wykończa się ręcznie i wydobywa najdelikatniejsze szczegóły czyli cyzeluje.

Z bronzu wykonywano posągi, medaliony, medale, ozdoby i t. p.

Można wykonać także dzieło z gliny, a wtedy glinę trzeba wypalić w ogniu; w tej postaci glina nazywa się terrakotą. Ołtarze, płaskorzeźby, biusty wykonywano tą techniką.

Stiuk jest to zaprawa wapienna z dodaniem gipsu i miałko utłuczonego marmuru. Z zaprawy tej można otrzymywać rzeźby, ugniatając odpowiednio miękki materyał, który zaraz schnie i twardnie. Ze stiuku robiono głównie dekoracyę wnętrza sal w XVII. i XVIII. w.

Kość słoniowa przedewszystkiem nadawała się do drobnych rzeźb, małych ołtarzyków, skrzyneczek, figurek małych i t. p., a najulubieńszą była w średnich wiekach.

Historya rzeźby wiąże się z rozwojem stylów. Rzeźby epoki romańskiej są bardzo nieudolne jeszcze. Chodzi o ogólne podobieństwo w odtwarzaniu natury. Jeśli rzeźbiarz przedstawia człowieka, nie zależy mu bynajmniej na dokładnem naśladowaniu i opracowaniu części ciała i szczegółów, jak ręce i nogi. Przy tej jednak nieudolności i prostocie rzeźby mają nieraz wysoką artystyczną wartość przez szczerość odczucia, nastrój religijny i powagę. Szczerość religijnego uczucia przedewszystkiem jest ich wybitną cechą, którą potem spotyka się rzadko.

W gotyckiej rzeźbie zdobywa artysta coraz to większe wykształcenie,

umie odtwarzać już cechy osobiste człowieka i zwraca uwagę na podobieństwo do natury, opracowując szczegóły; nadto rzeźby tej epoki posiadają wiele szczerej poezyi i wdzięku. Postacie kobiece mają oryginalne i zwracające uwagę piętno: biodra mianowicie wysunięte są naprzód a pierś cofnięta (zob. fig. 187). Miało to przyczynę w zwyczaju używania płaskiego obuwia, a następnie w modzie leżącej w duchu ascetycznej epoki ukrywania kobiecego biustu. Suknia układa się ładnie i starannie, a nieraz rzeźbiarz wprost używa jej za ozdobę obrazu, mnąc fałdy i rozrzucając je dla zapełnienia przestrzeni.

Roślinna ornamentacya tego okresu zasługuje na szczególniejszą uwagę. Artysta studyuje rośliny i odtwarza nie tylko ich zewnętrzne kształty, ale odczuwa szkielet budowy. Zrywa on z suchemi i sztucznemi formami, przekazanemi przez przeszłość, a studyuje naturę.

Odrodzenie korzysta z rozwoju rzeźby Greków i Rzymian. Doskonałość w odtwarzaniu form ciała, a zwłaszcza nagości, jest główną cechą rzeźby odrodzenia podobnie jak rzeźby greckiej: różnica leży w tem, że obok formy zewnętrznej artyści starają się daleko silniej odtworzyć stan i nastrój duszy człowieka. Rzeźbiąc n. p. Matkę Boską, nie tylko doskonale przedstawiają kształty kobiety i dziecka, ale odczuwają i odtwarzają miłość matki, jej przeczucia i obawy. Bogactwo, delikatność ozdób i szlachetność linii dochodzą do najwyższych granic.

Rzeźba epoki baroka ma te same cechy co barokowe budownictwo Nie wystarczały już spokojne linie ciała, starano się postaci przedstawiać w pozach wyszukanych i takich, aby formy ciała nastręczały wiele trudności. Teatralność i przesada cechuje figuralne kompozycye tej doby.

Epoka empiru zaznaczyła się także naśladowaniem rzeźby greckiej. Posągi udrapowane są w togi, a kompozycye mają piętno epoki i harmonii właściwej rzeźbie greckiej.

Najnowsza rzeźba przeciwnie, zwraca się do natury. Rzeźbiarz obserwuje naturę tę ściśle i gruntownie, albo też stara się wyrazić myśl i nastrój.

STYL ROMAŃSKI.

Z przyjęciem chrześcijaństwa dostaje się do Polski sztuka. Ani mogiła Krakusa ani Wandy nie są dziełami artysty. Luźne ozdoby przedmiotów

przedhistorycznych to zarodek sztuki, wybitniejsze przedhistoryczne zabytki z zakresu rzeźby należą do wyjątków.

Z budynków przedhistorycznych nie dochowało się u nas nic. Gdy na Zachodzie i Wschodzie chrześcijańska cywilizacya miała już dziesięć wieków za sobą, u nas rozpoczynał się pierwszy wiek oświaty.

Sztuka podówczas była chrześcijańską i powszechną, była wierną niewolnicą religii, nawróconą Rzymianką, dla której ojczyzną był cały świat. Szczątki dzieł, pozostałe po dawnych Rzymianach, a znajdowane

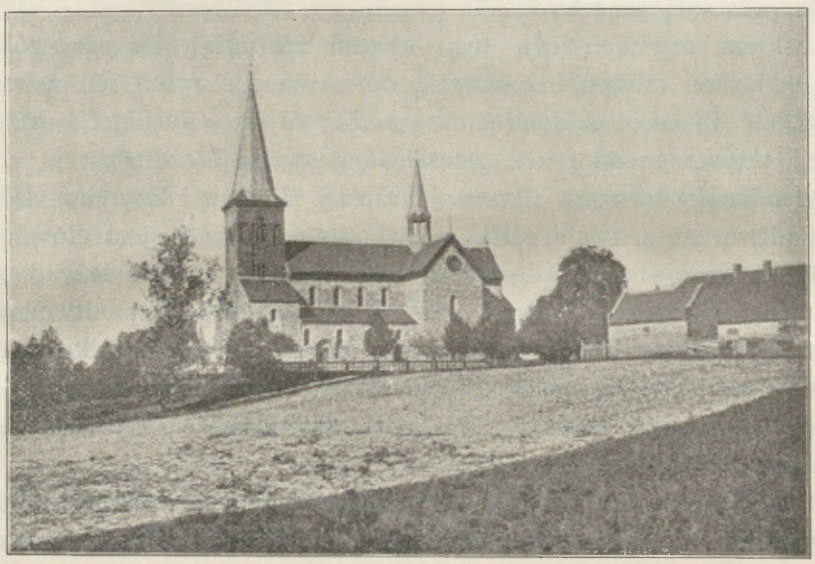

Fig. 151. Kościół w Kruszwicy.

wśród gruzów, naśladowano niewprawnie, jak najprościej i najłatwiej. W budownictwie i jego ozdobach, w rzeźbie, w przemyśle artystycznym, jak barwa błękitu w zamąconej fali przebija dawna grecka i rzymska, czyli t. zw. klasyczna sztuka. Właśnie w tym czasie, kiedy misyonarze Zachodu nieśli oświatę do Polski, sztuka zdobywała się na większe pomysły, tworzył się już rodzaj budynków odrębny, wzorowany jednak na monumentalnych gmachach dawnych Rzymian, to też budynki te nazwali uczeni romańskimi, sztuka zaś tej epoki otrzymała nazwę romańskiej [1]).

Pierwsze więc zabytki sztuki u nas były romańskie. Niewiele ich dziś pozostało.

[1]) Rzym — przypominamy — po łacinie nazywa się Roma, stąd uczeni nazwali sztukę romańską.

Cechą główną i zasadniczą romańskiego stylu i zdobyczą wielką średniowiecznej sztuki jest rozpowszechnienie w miejsce starożytnych pułapów, sklepień z kamienia, niezgrabnych i ciężkich, ale koniecznych wobec ustawicznych wojen i pożarów, kiedy każdy budynek miał służyć zarazem do obrony, a przedewszystkiem kościół był twierdzą, czyli obronnem castellum. Następstwem tej zmiany były grube mury z kamienia, niewielkie okrągławe okna, któreby w razie potrzeby mogły służyć za strzelnice. Do podpierania i podziału wnętrza użyto nie tylko kolumn, ale innych słupów czyli filarów, jak w klasycznej sztuce, piętrząc je niekiedy we dwa rzędy. Oto, co ta epoka wytworzyła, a wytworzyła nie tyle przez poczucie arty-

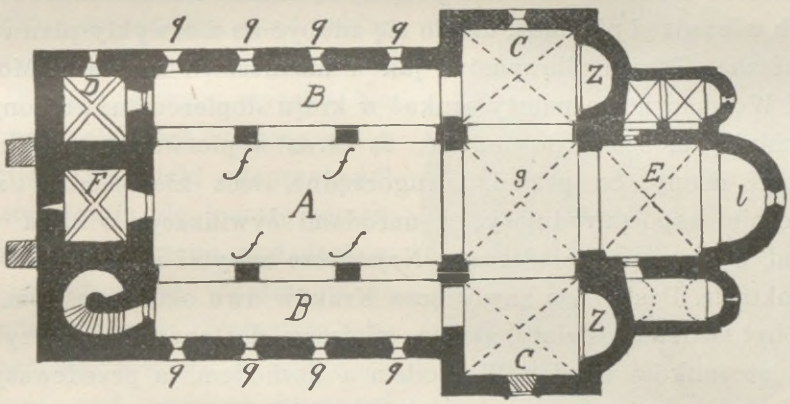

Fig. 152. Przekrój poziomy kościoła w Kruszwicy.
A nawa główna, *B* nawy boczne, *C* nawa poprzeczna, *l Z* absydy, *f* filary, *q* okna, *D* wieże, F część międzywieżowa.

styczne, ile z potrzeby. Głównym i prawie wyłącznym przedmiotem tej architektury, była budowa kościołów.

Kościoły mają kształt podłużny, prostokątny, z wejściem przeważnie od strony zachodniej. Wieże silne, umieszczone częstokroć nie tylko na froncie, ale z tyłu, a nawet ze wszystkich stron, miały znaczenie baszt fortyfikacyjnych i strażnic zarazem. Wewnątrz kościoła prócz czworobocznej przestrzeni dla wiernych było jeszcze miejsce na ołtarz w formie półkulistej nyży osobno sklepionej, zwanej absydą. Wnętrze takie dzielono kolumnami i filarami na trzy nawy (zob. fig. 152). Środkowa z naw jest najszersza i najwyższa. Wszystkie trzy nawy przecina częstokroć w pobliżu absydy przestrzeń, szerokości nawy środkowej, zwana nawą poprzeczną. Skutkiem tego plan kościoła otrzymał formę krzyża, a na przecięciu powstało

wyraźnie uwydatniające się miejsce w kształcie kwadratu z filarami na narożach, które były niejako zrębem i ogniskiem całej budowli. Taki plan uwidocznił się na zewnątrz. Nawa środkowa wznosi się nad nawami bocznemi i pokryta jest swobodnie dachem załamanym pod kątem, dachem siodłowym, podczas gdy dwie niższe nawy mają dach skośny, przyparty do ścian nawy głównej, nazwany pospolicie pulpitowym (zob. fig. 151). U tylnej ściany rozróżnia się zewnątrz doczepioną absydę. W górnej zaś części kościoła wewnątrz biegnie niejednokrotnie ponad nawami bocznemi galerya, czyli balkon, zwany emporą, miejsce dla dostojników i dworu.

Oczywiście nie należy sądzić, że istniały u nas budowle pierwszorzędnej wartości. Zaledwie niewiele potężnych miast i siedzib duchowieństwa, bogatych w wiedzę i pieniądz, mogło się zdobyć na niezwykły plan i z niego się wywiązać. Takich olbrzymów, jak w niemieckich miastach: Moguncyi, Spirze i Wormacyi, nie należy szukać w kraju dopieroco nawróconym. Na naszą chlubę możemy powiedzieć, że zaraz w pierwszym wieku naszej cywilizacyi mamy, co prawda drugorzędne, lecz niepoślednie zabytki, a skutecznie współzawodniczyć z narodami cywilizacyą o kilka wieków starszymi, było niepodobieństwem. Najstarsze zabytki romańskie w Polsce są w Krakowie. Postęp ten zawdzięcza Kraków dwu okolicznościom, pierwszej, że był siedzibą oświaty, stolicą, miejscem dostępnem dla przybyszów i stacyą stosunków między Wschodem a Zachodem, a przedewszystkiem ostoją Zachodu, którego przecież leżał dość blizko. Jak w innych kierunkach cywilizacyi, tak w dziedzinie sztuki zakon Benedyktynów położył wielkie zasługi. Wprowadzenie murów z ciosu i fabryki budowlanej do Polski im przypisać należy. Z nimi wiąże się budowa romańskiej katedry na Wawelu, w dolnej części tylko dochowanej.

Widok pierwotnej katedry na Wawelu przekazano nam na pieczęci katedralnej krakowskiej z XII. wieku, przedstawiającej kościół romański o trzech nawach, z nawą środkową wyższą, w której szereg okien wyraźnie się uwydatnia ponad pulpitowym dachem niższej nawy bocznej (zob. fig. 153). Widać dwie wieże u frontu z absydą z tyłu. Wiemy jednakże na pewno, że także z frontu znajdowała się absyda, to też wejście było z boku, tuż obok wieży.

Dolna, podziemna część kościoła, znajdująca się pod tą częścią, gdzie na widoku pieczęci widzimy obie wieże i przód kościoła, dochowała się. Jest to t. zw. krypta, dziś nieco przekształcona, ale pierwotnie sklepiona hala z absydą, podzielona wzdłuż potężnymi filarami z monolitu, o nad-

zwyczaj prostych bazach i kapitelach. Ołtarz znajdował się przed absydą: był to poprostu stół, czyli mensa, przy której kapłan odprawiał mszę, twarzą zwrócony do ludu (fig. 184).

Katedra na Wawelu wystawioną została z końcem XI. i z początkiem XII. w. Obok katedry, w obrębie zamkowych fortyfikacyi, tuż pod samym Wawelem, jako najdalej wysunięta placówka, stanął w XII. w. kościół św. Andrzeja (zob. fig. 155). Zewnętrzna strona tego kościoła dziś jeszcze przedstawia się jako romańska budowa, o pięknych wieżach, z czworoboku przechodzącym w ośmiobok (hełmy wież pochodzą jednak z XVIII. w.). Okna wież, na każdej części ośmiobocznej ściany po dwa, o jednym wspólnym filarze, t. zw. okna bliźnie, tworzyły rodzaj przeźroczy, skąd można było rozglądać się po okolicy i śledzić wroga. Fasada stroma, wysoka, bez wejścia tworzyła pierś budowy, o którą rozbijały się ataki nieprzyjaciół. Z tyłu uwydatnia się jeszcze romańska absyda, ozdobiona pod dachem fryzem arkadkowym. Wnętrze budowy przedstawiało się pierwotnie jako przestrzeń trójnawowa z emporami biegnącemi nad nawami bocznemi i nad nawą główną w poprzek nad wejściem. Empory te przeznaczono dla książęcego dworu, który tu nabożeństw słuchał. Wnętrze przerobiono w XVIII. w., ale dziś jeszcze można dopatrzeć się dawnych form. Budowa cała jest z ciosu bardzo starannie układanego w warstwy.



Fig. 153. Widok pierwotnej romańskiej katedry na Wawelu, odtworzony z pieczęci.

Cały szereg romańskich budowli stanął w Krakowie: kościół św. Wojciecha, św. Jana, św. Mikołaja, z których dochowały się tylko resztki.

Wszystkie te budowle są z ciosu, cegłą posługiwała się przedewszystkiem epoka gotycka i te style, które po tej epoce nastąpiły.

Grupa kościołów, które wystawiono w Krakowie z końcem XI. i XII. wieku, świadczy, że rozwinęła się tu na większą skalę fabryka budowlana, będąc naprzód na usługach dworu, potem służąc duchowieństwu i magnatom, a zawsze jej celem było stawianie kościołów.

Jeden z tych możnowładców, Piotr Własłowicz Dunin, postawił wiele

kościołów na Śląsku i w różnych stronach Polski, które sam fundował, lub też jego rodzina, wypełniając widocznie jego wolę. Do tych kościołów należały dwa nieistniejące dziś kościoły św. Wincentego i Panny Maryi na Piasku w polskim podówczas Wrocławiu. Z tego ostatniego kościoła ocalały wstawione dzisiaj do innego kościoła ozdobne drzwi czyli portal, który daje pojęcie o portalach romańskich kościołów, zwężających się ku wnętrzu i bogato rozczłonkowanych i zdobionych (zob. fig. 178). Nad wejściem tuż pod łukiem było miejsce na rzeźbę. Kościoły w Strzelnie, Kazimierzu biskupim pod Koninem, w Krobi, Kotłowie, Kościelcu w Wielkopolsce, w Żarnowie w Opoczyńskiem uważa się za fundacye Duninów. Z innych rodzin zaznaczyli się wznoszeniem kościołów Odrowąże, Toporczyki, Śreniawici, a z budowli tych dochowały się kościoły w Wysocicach w Krakowskiem, w Kościelcu pod Proszowicami i w Prandocinie pod Słomnikami. Wszystkie te kościoły możnowładców podobnie jak kościół na Wawelu i św. Andrzeja stanęły w pobliżu grodów. Możnowładcy i książęta panujący obok drewnianych zamków i fortyfikacyi



Fig. 154. Kościół św. Prokopa w Strzelnie.

wznosili kościoły z ciosu. Kościół, w którym mieściły się niejednokrotnie bogate skarbce, znajdował w grodzie ludzi do obrony na zawołanie, a w niebezpiecznej chwili mury jego służyły za dostateczną ochronę, gdy



Fig. 155. Kościół św. Andrzeja w Krakowie.

grodzisko zawiodło. Wybitnym przykładem takich kościołów prócz katedry na Wawelu (o ile sądzić można ze wspomnianego widoku na pieczęci) i kościoła św. Andrzeja, jest kościół św. Prokopa w Strzelnie (zob. fig. 154) i kościoły parafialne w Wysocicach w Krakowskiem, w Żębocinie w Proszowskiem, w Kościelcu na Kujawach, w Żarnowie, w Opoczyńskiem, kol-

legiata w Tumie pod Łęczycą, klasztor w Czerwińsku, kościół w Inowrocławiu.

Jednym z najgodniejszych uwagi kościołów poza Krakowem jest kościół w Kruszwicy, aczkolwiek w późniejszych czasach, a nawet jeszcze w XIX. wieku zmieniono znacznie jego charakter nieumiejętnem odnowieniem (zob. fig. 151). Jest to budowa bazylikowa w kształcie krzyża płasko kryta i trójnawowa. Oba ramiona krzyża mają od wschodu półokrągłe absydy. Obok chóru znajduje się z każdej strony zakrystya, każda opatrzona absydą. Stąd powstała malownicza grupa absyd (fig. 156). Na froncie wznosiły się pierwotnie dwie wieże. Dzisiejsza jedyna wieża pochodzi z w. XVI.

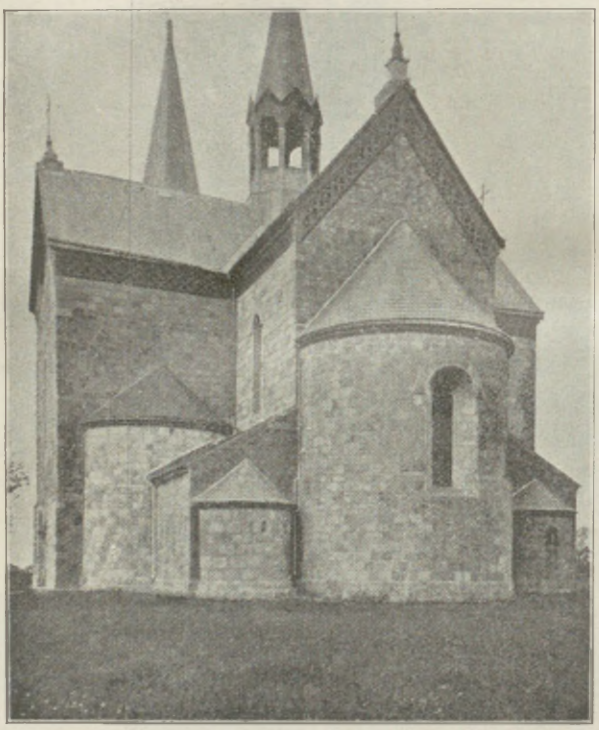

Fig. 156. Widok kościoła w Kruszwicy, z tyłu.

Kollegiata w Tumie pod Łęczycą zasługuje również na uwagę. Jest to także bazylika trójnawowa, każdą zaś z naw kończy od zachodu absyda, obok tego jednak nawy boczne mają po bokach absydy. Nawa główna posiada nadto absydę od zachodu podobnie jak pierwotna katedra na Wawelu, nawy zaś boczne kończą się od zachodu wysokiemi wieżami. Wieże te opatrzono u dołu strzelnicami, ponad któremi znajdują się okna dwudzielne, a jeszcze wyżej trójdzielne.

Kościoł postawiono z granitu polnego, starannie ociosanego, obramienia około filarów natomiast są z piaskowca.

Obok wymienionych kościołów wspomnieć jeszcze należy o kollegiacie św. Marcina w Opatowie w Sandomierskiem, bazylice trójnawowej z nawą poprzeczną i absydami, kościele trójnawowym św. Jana w Mogilnie na

Kujawach. Dochowały się nadto kościółki jednonawowe bardzo prostej budowy z absydą od wschodu i wieżą od zachodu w Kościelcu pod Inowrocławiem, Lubinie, Gieczu, Kotłowie, w Poznaniu (kościół św. Jana Jerozolimskiego), w Siewierzu, w Dziekanowicach pod Wieliczką. Ślady zaledwie romańskiej architektury dochowały się w przebudowanych kościołach w Czerwonej Wsi pod Krzywinem, w Murowanej Goślinie, Objezierzu, Łabiszynie koło Szubina, Tulcach niedaleko Poznania, w Kościelnej Wsi pod Kaliszem.

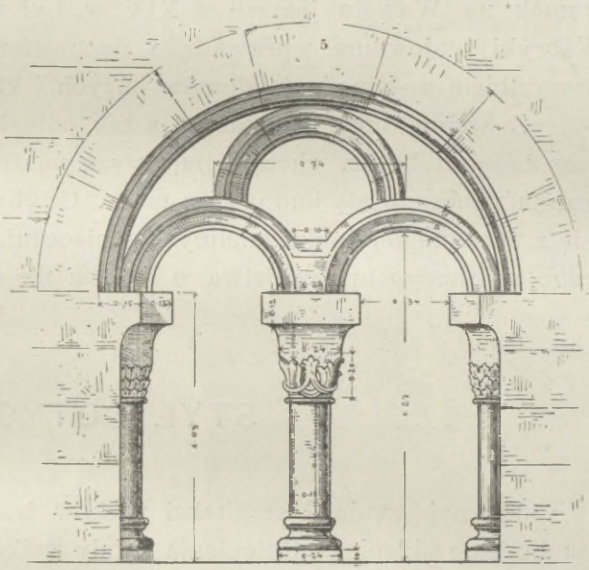

Fig. 157. Okno romańskie w kościele w Wąchocku.

Obok tych kościołów o planie podłużnym i prostokątnym jest jeszcze inny typ kościołów romańskich: są to kościoły okrągłe. Kościoły te bardzo rzadkie, zawdzięczają swój kształt wpływowi bizantyńskiej architektury, a w szczególności świątyni Grobu Chrystusa w Jerozolimie. Ze źródeł pisanych wiemy, że okrągłym był kościół św. Feliksa i Adaukta, N. P. Maryi na Wawelu i kościół N. P. Maryi w Wiślicy. Z dochowanych kościołów tego typu zale dwie kościół św. Prokopa w Strzelnie tu zaliczyć można (zob. fig. 154). Jest on okrągły z absydą od wschodu, od zachodu ma jednak wieżę nieodpowiadającą dośrodkowej budowie. Wykończoną dośrodkową budową był kościół na Ostrowie jeziora Lednicy między Poznaniem a Gnieznem, ale doszły nas z niego tylko ruiny, z których jednak dokładnie odtworzyć można plan pierwotny.

Na ziemiach naszych i na Rusi powstał atoli inny typ dośrodkowej budowy — obcy na zachodzie — typ romańskiego budynku według planu właściwego bizantyńsko-ruskiej architektury. Jest to cerkiew okrągła, na planie kwadratu z trzema absydami od wschodu i kopułą, a zatem plan jej odpowiada planowi innych bizantyńsko-ruskich cerkwi. Lecz plan ten wykonano w stylu romańskim. Jest to właśnie najlepsze świadectwo ście-

rania się od najdawniejszych czasów na naszej ziemi dwu prądów cywilizacyi, wschodniego i zachodniego, dla którego to ścierania nasza ziemia przez cały ciąg historyi polskiej najdogodniejszem była polem. Przykładem jest cerkiew św. Pantalomona we wsi Św. Stanisław pod Haliczem, jedyny zabytek znajdującego się dawniej na tem miejscu starego Halicza.

Ze świeckiej architektury epoki romańskiej nie dochowało się nic i niezawodnie świeckich gmachów z ciosu nie stawiano podówczas, skoro zamek na Wawelu jeszcze w XIV. w. był w znacznej części drewniany. Fabryki budowlane wprowadziło duchowieństwo i używało ich przedewszystkiem do stawiania domów bożych i klasztorów.

Z architektury drewnianej z tak odległej epoki również nie doszedł nas żaden zabytek, chociaż najstarsze nasze kościoły stawiano z drzewa, zanim nauczono się budować z ciosu. Gdyby z nich choć jeden dochował się z tak odległej epoki, mielibyśmy nieoceniony przykład naszego prastarego rodzimego budownictwa, o którem nie mamy ani pojęcia.

STYL GOTYCKI.

Już najdawniejsi architekci wieków średnich zwracali baczną uwagę na budowę sklepień. Sklepienia miały tylko wspanialsze budowle, inne przykrywano zwykłym dachem z drzewa. Te usiłowania doprowadziły do nowego stylu, zwanego gotyckim lub ostrołukowym. Styl ten ułatwiał budowę w chwili, gdy miasta i mieszczaństwo zdobyły sobie potęgę i bogactwo, których nie szczędziły w przedsiębiorstwach budowlanych, owszem łożyły wielkie sumy przez długie lata na wspaniałe gmachy, a przedewszystkiem na kościoły. To spowodowało rozkwit architektury i wykształcało mistrzów i robotników, nauczyło organizacyi budowy, jednem słowem wytworzyło znakomicie urządzoną fabrykę budowniczą, złożoną z mnóstwa świeckich osób, podczas gdy dawniej budownictwo było głównie w ręku duchowieństwa. To też około kościołów powstają wspaniałe budynki świeckie, jak ratusze, pałace, zamki. Ten nowy styl pojawił się we Francyi około r. 1160., a rozpowszechnił się w całej cywilizowanej Europie, trwając przez wieki XIII—XV., a nawet dłużej jeszcze. Wytworzyły się jego różne rodzaje w różnych krajach, zawsze jednak cechą tego stylu jest w zasadzie wszędzie to samo, jednakowo zbudowane sklepienie. Jest ono krzyżowe



Fig. 158. Kościół Najśw. Panny Maryi w Krakowie.

i ma za podstawę łuk ostry. Przez łamanie łuku, t. j. przez zmianę okrągłołuku na ostrołuk zmniejszyło się parcie na ściany boczne, a przeniosło na podstawę. Ciśnienie zapomocą żeber sklepiennych rozłożyło się na filary, z których przyścienne otrzymały nadto podpory od zewnątrz. Wobec tego ściany nie dźwigają tyle ciężaru sklepienia, jak w sztuce romańskiej, i nie mają zadania bronić się przed jego naciskiem, zamykają one tylko przestrzeń. Można było wprowadzić bez przeszkody wielkie i liczne okna. Budowa nie tylko stała się lekką, ale wewnątrz przybyło jej światła. To też w budynkach gotyckich rozróżniać należy przedewszystkiem szkielet, potem ściany, nadające mu zewnętrzną formę, na dalszym planie szczegóły architektoniczne, które te ściany rozczłonkowują i urozmaicają, a w końcu ornamentacyę, która ozdabia całość.

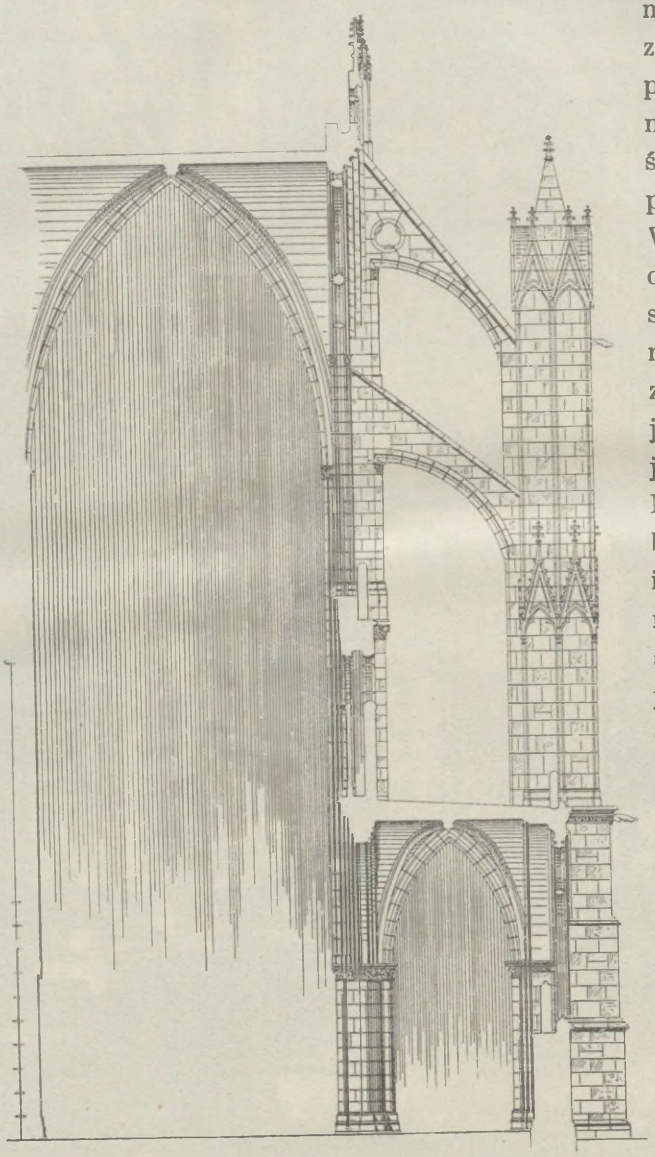

Fig. 159. System konstrukcyjny murów sklepiennych w zachodniej Europie.

Na budownictwie z kamienia wyrobił się ten sposób budowy, potem dopiero zastosowano ją do innego materyału północy, zwłaszcza naszych ziem — cegły.

Skoro znaleziono sposób zwężania murów, można było wznosić te mury wysoko, a przytem sklepienie lekko tak osadzać, jakby zawisło w powietrzu zdaleka od ziemi. Również filary strzelają smukle w górę i uwydatniają kierunek pionowy, są one przytem profilowane bogato, przez co stają się jeszcze smuklejsze.

W planie kościołów, podobnie jak w epoce romańskiej, najpospoliciej spotykamy formę krzyża. Jednakowoż nawę poprzeczną cofano częstokroć ku nawie głównej, a zato wydłużano presbiteryum i w ten sposób chór nabrał więcej przestrzeni. Nawy boczne znacznie niższe są od głównej, ale na północy i u nas także stawiano kościoły zw. halowymi, gdzie wszystkie nawy były podniesione dorównej wysokości. Chór kończono kilku ścianami, które w planie przedstawiają się jak połowo-, sześcio-, ośmio- lub dziesięcioboku i t. p. Podobne zakończenia mają także częstokroć boczne nawy.

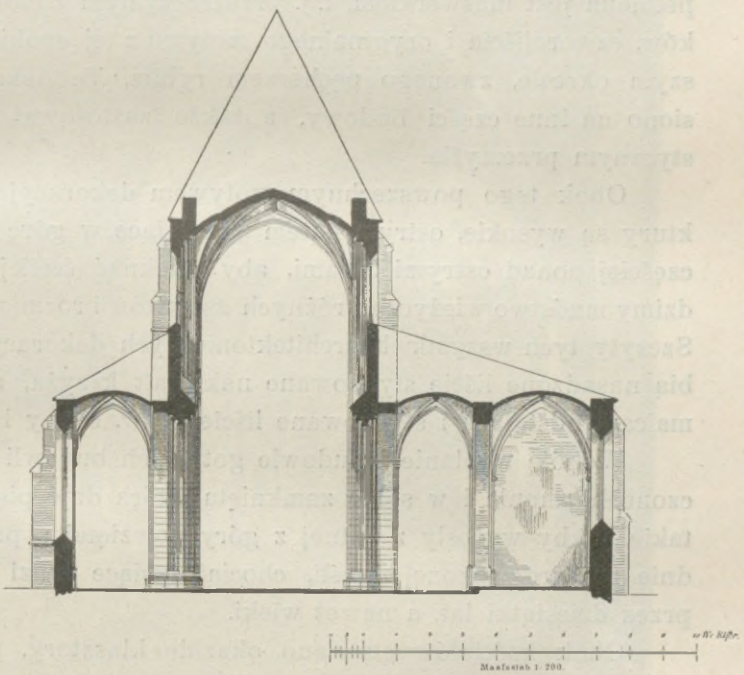

Fig. 160. System konstrukcyjny wspierania murów sklepiennych w Polsce.

Zewnątrz kościołów przedewszystkiem wieże odrazu ściągają na siebie uwagę. Powszechnie jest ich dwie od strony zachodniej, jednak często na przecięciu się nawy głównej z poprzeczną dodawano jeszcze jednę wieżę.

Ogólny zatem widok gotyckiego kościoła to wznosząca się w górę nawa główna, nakryta spadzistym siodłowym dachem, do której przytyka nadto z każdej strony niższa nawa o dachu pułapowym. Nawa główna przedłuża się ku wschodowi w chór. Na poprzek zaś między chórem a nawami rozciąga się nawa poprzeczna, a w miejscu, gdzie się obie nawy prze-

cinają, wznosi się niejednokrotnie wieża lub wieżyczka. Dwie wieże od frontu, a między niemi bogaty portal dopełniają ogólnego widoku gotyckiego kościoła.

Zewnętrzny ten widok stoi w ścisłym związku z wnętrzem i całą konstrukcyą. Wszystko jest obliczone, wymierzone i przeprowadzone z drobiazgową ścisłością. Okna wązkie a wysokie, poprzedzielane są nadto jeszcze wzdłuż laskami, tylko górna część kończąca się ostrym łukiem wypełniona jest maswerkiem, t. j. przeźroczystym zdobnym wzorem z kół, łuków, czworoliścia i oryginalnego motywu z tej epoki, zwłaszcza w późniejszym okresie, zwanego pęcherzem rybim. Tę dekoracyę okien przeniesiono na inne części budowy, a także zastosowano ją w rzeźbie i artystycznym przemyśle.

Obok tego powszechnym motywem dekoracyjnym gotyckiej architektury są wysokie, ostrym kątem strzelające w górę szczyty osadzone najczęściej ponad ostrymi łukami, aby zamknąć ściślej całość. W końcu widzimy mnóstwo wieżyczek różnych kształtów i rozmiarów zwanych fijalami. Szczyty tych wszystkich architektonicznych dekoracyjnych motywów zdobią nasadzone liście stylizowane nakształt krzyża, a krawędzie ich urozmaicają odstające i stylizowane liście t. zw. kraby lub żabki.

Wogóle w planie i budowie gotyckich budowli uwydatnia się wykończona harmonia i w sobie zamknięta, która daje piętno dziełom gotyckim takie, jakby wyrosły z jednej z góry powziętej a prawidłowo i bezwzględnie przeprowadzonej myśli, chociaż tysiące ludzi nad niemi pracowało przez dziesiątki lat, a nawet wieki.

Obok kościołów stawiano okazałe klasztory, pałace, zamki i domy mieszkalne, obmyślane w planie i wykonane w szczegółach z wielkim artyzmem. Ozdobą tych budynków i ich właściwością są przedewszystkiem krużganki z arkadami i krzyżowem sklepieniem. Krużganki te zamykały zwykle czworoboczny dziedziniec najczęściej ze studnią w pośrodku. Prócz krużganków zasługują na uwagę przylegające do nich kapitularze klasztoru czyli sale, gdzie zbierano się na naradę, i refektarze czyli pokoje jadalne.

Gdy sklepienia już nie sprawiały budowniczym trudności, poczęli oni wysilać się na ozdobną ich konstrukcyę, przyczem układano żebra w różne wzory, jak gwiazdy i kunsztownie wiązane siatki. W końcu sklepienie to przybrało kształty powierzchni kryształu.

Zamki wiązały się ściśle ze stylem twierdz obronnych, co przeszkadzało ich artystycznemu rozwojowi. Pierwszy znany nam zamek w goty-

ckim stylu, wykonany konsekwentnie, jest zamek krzyżacki w Malborgu, założony w r. 1280. a r. 1309. zamieniony na rezydencyę wielkich mistrzów zakonu. Wystawiono go z tego materyału, który na północy zastępuje miejsce kamienia, z cegły nadzwyczaj starannie opracowanej [1]).

Daleko więcej nadawały się do artystycznego rozwoju zewnętrznych kształtów ratusze. Dolna część budowy bywa najczęściej od strony rynku



Fig. 161. Krużganki klasztoru OO. Dominikanów w Krakowie.

otwarta, tworząc podłużny a wązki przedsionek, z jednej strony mający arkady, a z drugiej ścianę. Górną część poza arkadami w głąb zajmuje wielka sala sklepiona, albo też nakryta drewnianym dachem. Okna bywają częstokroć czworoboczne, a między niemi mieszczą się nisze zwykle z figurami, wznoszą się szczyty, wieżyczki, występują kryte balkoniki czyli erkery i t. p. Bardzo często z ratuszem organicznie wiąże się wieża jako strażnica, skąd straż czuwała nad bezpieczeństwem miasta.

[1]) Porównaj »Polska« T. I. Fig. 119 i 126.

Oprócz ratusza wznoszono kupieckie hale i sukiennice, gdzie gromadzili się mieszczanie i kupcy, którzy wskutek rozwoju handlowych stosunków i przemysłu zyskiwali sobie coraz większe znaczenie.

Do świeckiej architektury należą mury miasta, a głównie bramy stawiane nieraz ozdobnie i z artyzmem. Ponad bramą wznosi się wieża, albo bramy strzegą dwie wieże, połączone z sobą murami, i silniej jeszcze uwydatnia się obronny charakter (zob. fig. 162).

Domy mieszczańskie otwierają się od ulicy. Dziedziniec, w którym skupiało się u Greków i Rzymian rodzinne życie, ustępuje na dalszy plan i służy gospodarskim celom, a zarazem jako przestrzeń potrzebna do oświetlenia wnętrza. Wejść było wiele. Starano się, aby miał osobny wchód warsztat czy mieszkanie, a inne izby również osobny dostęp. Różnorodność części domu uwydatniała się tem bardziej skutkiem tych osobnych wchodów. Domy stawiano wysokie, gdyż przestrzeń miasta była ograniczona i zamknięta, a ludność się wzmagała; stąd powstawały uliczki wązkie i ciemne; to znów było przyczną, że domy miały wiele okien umieszczonych tuż przy sobie. Szczyt ostry zwykle wieńczy bardziej głęboki, aniżeli szeroki dom, przedzielony dziedzińcem na przednią i tylną część. Ściany z cegły i gliny nadawały się do barwnej dekoracyi, a belki z drzewa, deski i t. p. do plastycznego obrobienia. Niekiedy do ścian wewnątrz podpartych dla siły szkarpami przyczepione są erkery czyli wykusze, wieżyczki, ganki i balkony. W ten sposób dom przedstawiał się rozczłonkowany, różnobarwny, niemal pstry, malowniczy.

Oprócz ciosu i cegły używano innego jeszcze materyału — drzewa, i tym materyałem niewątpliwie posługiwano się najczęściej.

Dwie są głównie odmiany budownictwa drewnianego pod względem konstrukcyjnym. Pierwsza z tych odmian obejmuje budynki utworzone przez połączenie z sobą ułożonych poziomo okrągłych lub ciosanych pni drzewa, które się odpowiednio wiąże na węgłach i układa warstwami, tworząc powoli zamkniętą budowę. Druga powstaje za pośrednictwem ram z poziomych i pionowych belek, któremi objętą przestrzeń wypełnia się tarcicami lub belkami do ram tych przystosowanemi. Ta ostatnia konstrukcya jest zasadą budownictwa norwegskiego, podczas gdy pierwsza ma zastosowanie w budownictwie drewnianem reszty Europy tak u nas, jak na Rusi, jak i w innych częściach północnej Słowiańszczyzny.

Na ziemiach polskich kościoły gotyckie stawiano z cegły, używając przytem mniej lub więcej ciosu, ilekroć chodziło o uwydatnianie części

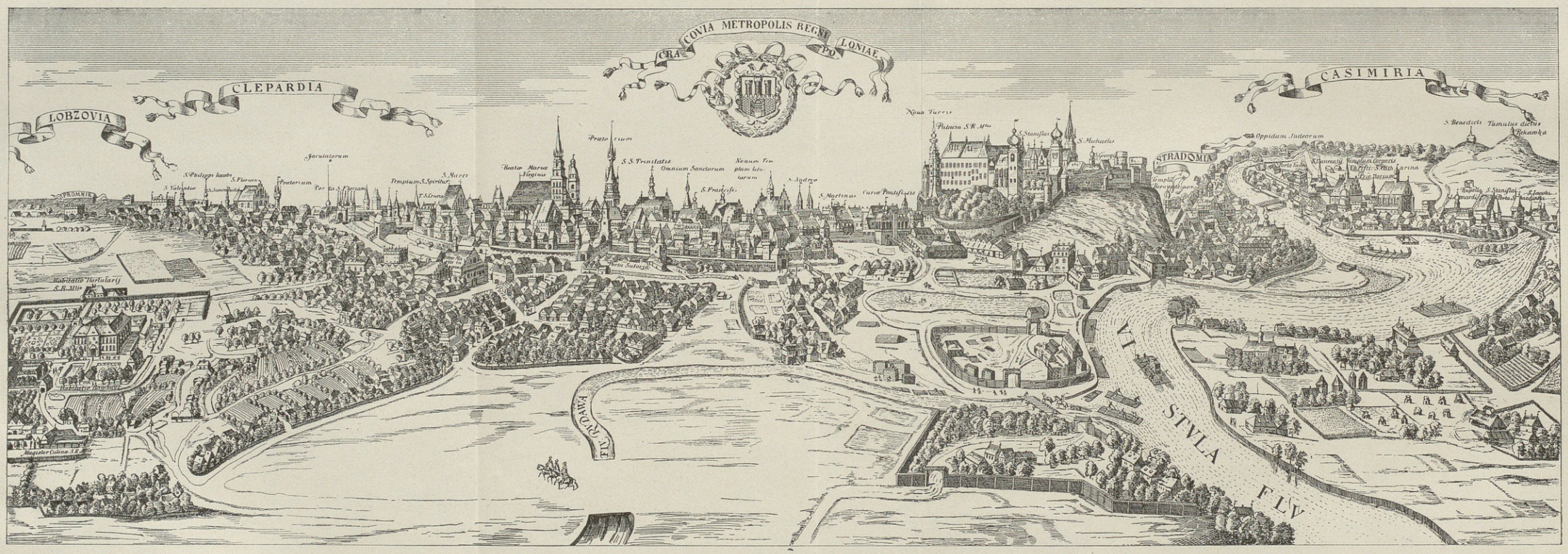

Fig. 162. Widok Krakowa z XVII. wieku.

architektonicznej i konstrukcyi. Rozszerzali styl ten u nas zakonnicy, w szczególności Cystersi, których ojczyzną była Francya, gdzie gotyk powstał i wydał wspaniałe owoce. Obok nich Norbertanie czyli Premonstratensi wielkie położyli zasługi koło wprowadzenia do nas gotyku. Dominikanie i Franciszkanie wprowadzili go do miast, gdzie za ich przykładem poszli mieszczanie i stawiać poczęli w nowym stylu nie tylko kościelne, ale i świeckie budynki. Cystersom zawdzięczamy kościoły w tak zwanym stylu przejściowym, który był właściwie jeszcze stylem romańskim, jednak styl ten posługiwał się motywami zaczerpniętymi z gotyckiej architektury. Przykładem jest kościół w Sulejowie, poświęcony r. 1232. Jest to obszerna budowa o trzech nawach i ostrołukowem sklepieniu nawy głównej, zawieszonem wysoko w górze. Sklepienie to jest krzyżowe, a żebra jego zbiegają się dołem z gurtami i wspierają na służkach. Sklepienia nawy bocznej są ostrołukowe i podłużne. Szczegóły zwracają uwagę skromnością ozdób. Ściany dano jednakże dość grube. Podobny jest kościół w Koprzywnicy, poświęcony w r. 1207. Klasztor w Wąchocku, wystawiony w pierwszej połowie XII. w. posiadał już mury cieńsze, a natomiast w miejscach silniejszego naporu sklepienia przystawiano szkarpy stopniowo zwężające się ku górze. We wszystkich tych trzech kościołach presbiteryum kończy się prostokątnie; materyał — to cios starannie obrobiony. Jednakże nie brakło w tej epoce kościołów ceglanych. Tu przedewszystkiem wymienić należy kościół św. Jakóba w Sandomierzu, pierwotnie dominikańska trójnawowa budowa. Spotyka się tu szkarpy i łuki ostre, obok tego jednak pełno motywów romańskich, jak okna, portal, fryzy. Bogata ornamentacya romańska przeprowadzona została jednakże w cegle. Najstarsza część dominikańskiego kościoła w Krakowie, tylna część presbiteryum stylowo z tym

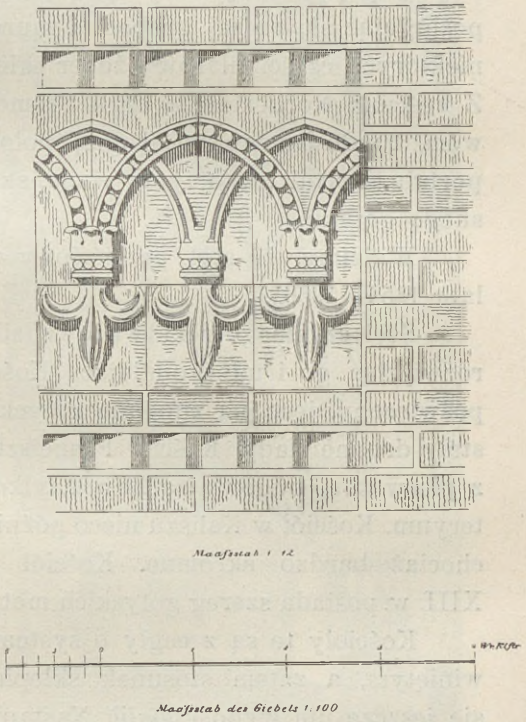

Fig. 163. Fryz arkadkowy kościoła OO. Dominikanów w Krakowie.

kościołem się łączy. Uwydatnia się także fryz bardzo ładny z cegły formowanej. Kościół w Mogile pod Krakowem zbudowany przez Cystersów jest wielką trójnawową budową z nawą poprzeczną. Stanął on w latach 1253 do 1266 i w przeciwstawieniu do poprzednich kościołów wykazuje wpływy niemieckie. Z pierwotnej budowy zachowały się nawy boczne sklepione ostrołukowo, ostrołukowe kaplice bliźnie, filary w stylu romańskim i ślady zamurowanych okien ostrołukowych. Zewnątrz presbiteryum i nawy poprzecznej znajdują się ceglane fryzy. Szkarp użyto nieśmiało, posługując się raczej grubością murów. Budowla jest ceglana z wyjątkiem niektórych części filarów i żeber sklepiennych, które wykonano z kamienia. Z kościoła Norbertanów czyli Premonstrantów na Zwierzyńcu pod Krakowem, fundowanego w drugiej połowie XIII. w., nie pozostało nic prócz portalu. Portal ten o typie romańskim ma jednak kapitele w stylu wczesnego gotyku.

Widzimy, że styl przejściowy z romańskiego w gotyk przypada na lata 1154—1266.

Styl czysto gotycki wprowadzili Franciszkanie w latach 1252—1330. rozwijając go i udoskonalając. Kościół Klarysek w Zawichoście r. 1259 poświęcony, jest już zupełnie gotycki i tylko z dawnego romanizmu pozostały drobne ślady. Kościół Franciszkanów w Krakowie ukończony r. 1269. z pierwotnej budowy zachował tylko wczesno gotycki maswerk w presbiteryum. Kościół w Kaliszu nieco późniejszy ozdabiają piękne rozety okienne, chociaż bardzo skromne. Kościół Franciszkanek w Gnieźnie z końca XIII. w. posiada szereg gotyckich motywów nieudolnie przejętych z zachodu.

Kościoły te są z cegły o systemie szkarp niedostatecznie jeszcze rozwiniętym, a zatem stosunek sklepień do szkarp pod względem techniki się jeszcze nie wydoskonalił. Nastąpiło to w XIV. w., w którym powstały kościoły Franciszkańskie w Nowym Sączu i kościół Klarysek w Starym Sączu. Kościół w Nowym Sączu nie dochował się w starej postaci i ostatnie jego ślady pierwotnej budowy zniknęły niedawno. Do budowy obu kościołów użyto ciosu.

Prezbiteryum zakończono nie prostokątnie jak dotąd, lecz połową wieloboku. Maswerki wykonano wprawnie, nadając im skończone artystyczne kształty. Do tego samego typu należy kościół Benedyktynek w Staniątkach i kościół Dominikanów w Oświęcimiu. Obie budowy są halowe. Franciszkańskie ciosowe kościoły przygotowały grunt do najwyższego rozwoju ceglanej architektury gotyckiej. Bardzo piękną budową ceglaną i bardzo



Fig. 164. Kościół św. Krzyża w Krakowie.

rozwiniętą, aczkolwiek niewielką, jest kościół katedralny na Wawelu w swoich gotyckich częściach. Do budowy użyto jednak dużo ciosu. Budowa ta w planie i we wszystkich szczegółach na wskróś gotycka. Stoi ona na czele kościołów gotyckich o krakowskim odcieniu. Charakterystyczną cechą tych budowli jest, że szkarp przeciwdziałających ciśnieniu sklepień nawy środkowej nie przerzucano od nawy głównej zapomocą łuków na szkarpy naw bocznych, ale wprost prowadzono te szkarpy wzdłuż filarów, nie tylko zatem szkarpy te uwidoczniają się na zewnątrz kościoła ponad dachami naw bocznych, ale także wewnątrz kościoła od strony nawy bocznej łącząc się z filarami (fig. 159 i 160). Wskutek tego filary nie mają kształtów tak smukłych i regularnych jak na zachodzie. Chociaż ten sposób budowania zaprowadzono jeszcze w XIII. w. w Wąchocku, z całą świadomością użyto go jednak w Krakowie, a katedra na Wawelu dała początek. Krakowskie kościoły są wysokie i strzeliste, a zatem odpowiadają istocie stylu gotyckiego. Wewnątrz kościołów uwydatniano nadto arkadę, dzielącą prezbiteryum od nawy głównej czyli t. zw. tęczę, na której w poprzek umieszczano belkę z krucyfiksem. Katedra krakowska wyróżnia się od innych gotyckich budowli krakowskich nawą poprzeczną i nawą obiegającą, która będąc przedłużeniem nawy bocznej, obiega presbiteryum. Nawa ta obiegająca pierwotnie była podobnie nizka, jak i nawy boczne, dopiero w XVIII. w. podniesiono ją do wysokości nawy głównej, szpecąc w ten sposób kościół. Wzdłuż nawy bocznej obiegającej wystawiono cały szereg kaplic symetrycznie rozmieszczonych tak, że wiązały się one w jedną piękną całość.

Katedra stanęła w pierwszej połowie XIV. w. Już w drugiej połowie XIV. stulecia zastosowano to samo na większą skalę w Maryackim kościele. W miejsce prostokątnego zakończenia presbiteryum, dano wielobocznе, użyto już mniej ciosu, a przedewszystkiem wystawiono większą i smuklejszą budowę. Części kamienne pokrywa nadto rzeźba ornamentacyjna i figuralna. Na przedłużeniu naw bocznych, u frontowej facyaty stanęły dwie wieże, z których wyższa ukończona w XVI. w. ma bardzo piękne zakończenia drewniane. Wnętrze kościoła odznacza się strzelistością. Trzeba było już doskonale rozwiniętej techniki, ażeby na takiej wysokości rozwiesić sklepienie. Odznacza się przedewszystkiem prezbiteryum rozczłonkowaniem ścian i ozdobnością kapiteli. W dalszym ciągu przebudowywano i stawiano w tym stylu kościół Dominikanów, jednak bez wież frontowych. W XV. w. stanął kościół św. Katarzyny z później dodaną cio-

sową okładką nawy południowej i bogato udekorowaną kruchtą. Od zewnątrz zasługuje na uwagę przedewszystkiem prezbiteryum o szkarpach podobnie jak w Maryackim kościele zakończonych kwiatonami. Nieco później w XV. w. wykończono kościół Bożego Ciała z frontowemi wieżami i bardzo ładną zagłębioną facyatą. Wszystkie te kościoły zawdzięczają swój byt wielkiemu ruchowi budowlanemu, któremu dał początek i rozpęd Kazimierz Wielki. Zaczętą w XV. w. budowlę prowadzono przez XV. i XVI. w.

Z budowlami temi, a zwłaszcza z katedrą krakowską, jest w związku katedra gnieźnieńska. Ma ona, podobnie jak i katedra krakowska nawę obiegającą i szereg kaplic z nawami bocznemi się wiążących. Podobnie wystawiono ją z cegły i ciosu. Budowa stanęła w XIV. w., lecz została przebudowaną. Na sposób krakowski wybudowano także kościoły na prowincyi, aczkolwiek są one mniejsze. Tu należy fara w Krośnie, z której dochowało się tylko w tym stylu prezbiteryum, kollegiata w Nowym Sączu z resztkami rzeźb ornamentalnych na facyacie. Kościół w Ruszczy pod Krakowem, w Drzewicy w Opoczyńskiem, w Radomiu, Bochni, Rzeszowie i Bolechowicach, zachowały tylko ślady nieznaczne pierwotnej budowy.

W drugiej połowie XV. wieku wyrobił się odmienny nieco rodzaj Zwracają przedewszystkiem uwagę mury o układzie cegieł we wzory i odrzwia schodowato zwężające się ku górze. Przykład takiej budowy przedstawiają kościoły w Raciborowicach i Luborzycy pod Krakowem, św. Magdaleny w Szczepanowie koło Bochni, Wielogłowach pod Nowym Sączem. W okolicach, gdzie nietrudno było o kamień, stawiano z ciosu. Tu należą kościół z XIV. w. w Piasku Wielkim pod Wiślicą dziś w ruinie, w Łapczycy pod Bochnią, w Dębnie pod Wojniczem, w Starym Sączu, w Nowym Sączu, w Bieździecy w Jasielskiem, w Bobowej, w Strzyżowie, Czchowie, Wojniczu, Szydłowcu, Jaśle, Skalbmierzu, w Starym Korczynie, w Końskich, w Żarnowie i t. d. znajdują się kościoły ceglane lub kamienne, jednonawowe lub trójnawowe mniej lub więcej dochowane. Na uwagę zasługuje kościół św. Krzyża w Krakowie jednonawowy jednakże z filarem w pośrodku, który dźwiga sklepienie nadające filarowi kształt palmy. Podobny układ mają niektóre kaplice w Krakowie, oraz kościółki w Skotnikach, w Lublinie, w Kurzelowie i Chlewiskach w Opoczyńskiem.

Do większych kościołów zaliczyć należy dwunawowy kościół ciosowy w Wiślicy, trójnawową katedrę we Lwowie, kościół parafialny w Niepoło-

micach, Franciszkański w Krośnie, parafialny w Olkuszu, w Stobnicy, katedrę Sandomierską, farę w Bieczu i kościół w Drohobyczu.

Osobny odcień mają kościoły w Wielkopolsce, na północnem Mazowszu, w Augustowskiem i na Litwie. Rozwinął się on pod wpływem ar-

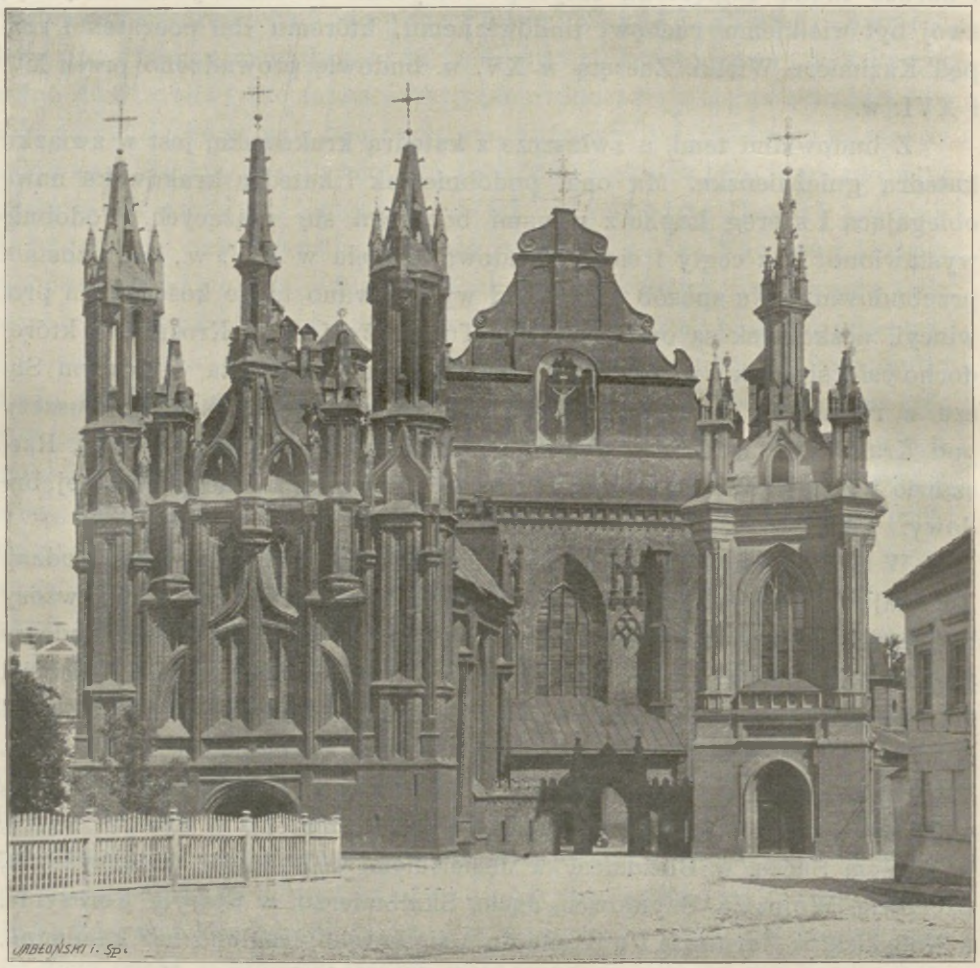

Fig. 165. Kościół św. Anny w Wilnie.

chitektury krzyżackiej, a głównie budowli toruńskich. Cechą jego jest brak ciosu, prostota i ociężałość, a natomiast zdobność murów uzyskano układaniem barwnej lub formowanej cegły. Tu należą kościoły w Paradyżu w Wielkopolsce, kościółek w Głuszynie pod Poznaniem, oba z XIII. w., gdzie styl jeszcze nie jest wyrobiony. Katedra we Włocławku z XIV. w.

przerobiona daje pojęcie o czysto ceglanych budowlach tych dzielnic Polski. Oto inne stylowo pokrewne kościoły: kościół w Koronowie w Poznańskiem, w Gostyniu i w Niewkowie, kościół P. Maryi w Poznaniu, kościoły w Łeknie i Kurniku, w Nowem Mieście, w Bninie, w Dolsku, kościół Bożego Ciała w Poznaniu, w Kostrzynie, Bydgoszczy, w Rogoźnie, w Gębicach, w Krotoszynie, w Wągrowcu, w Międzyrzeczu, w Opalenicy. Nie możemy



Fig. 166. Kościół drewniany w Dębnie pod Nowym Targiem.

nadto pominąć takich zabytków jak kościół katedralny w Warszawie, Bernardynów w Przeworsku, parafialny w Nowem Mieście pod Dobromilem. W kościółkach tych pojawia się częstokroć sklepienie kryształowe, gwieździste, maswerki przybierają kształty płomyków. Nie podobna tu wymieniać całego szeregu kościołów gotyckich, ograniczamy się zatem tylko do najważniejszych. Bardzo piękny kościół św. Anny w Wilnie odznaczający się oryginalną przeźroczystą facyatą, ułożoną z krzyżujących się i wijących misternie lasek, jest najdalej wysuniętą na północny wschód budowlą gotycką o wyższej artystycznej wartości (fig. 165). Powszechnie facyaty ko-

ściołów gotyckich zwężają się schodowato, tworząc zazębienia, któremi ozdabiano kościoły także od strony prezbiteryum.

Nie brak drewnianych kościółków gotyckich. W architekturze drewnianej w czasie rozwoju gotyku budownictwo naśladowało plan ceglanych i kamiennych kościołów i profilowania. Kościoły te są zwykle jednonawowe. Są nakryte sufitami z desek. Wieża frontowa nie łączyła się konstrukcyjnie z nawą. Ma ona podobnie jak i kościół sam od wewnątrz dach wsparty na słupkach t. zw. soboty. Zakończenie wież dawano na wzór baszt fortyfikacyjnych, używając ganków czyli hurdycyi za ozdoby. Tu zaliczamy kościół w Skrzyszowie i Szynwałdzie w Tarnowskiem, w Sękowej w Gorlickiem, kościółek w Dębnie w Nowotarskiem (fig. 166), w Krużlowej w Sądeckiem i w Libuszy pod Gorlicami. Kościoły św. Bartłomieja w Mogile i św. Bernardyna w Grybowie mają nawet odrzwia gotyckie.

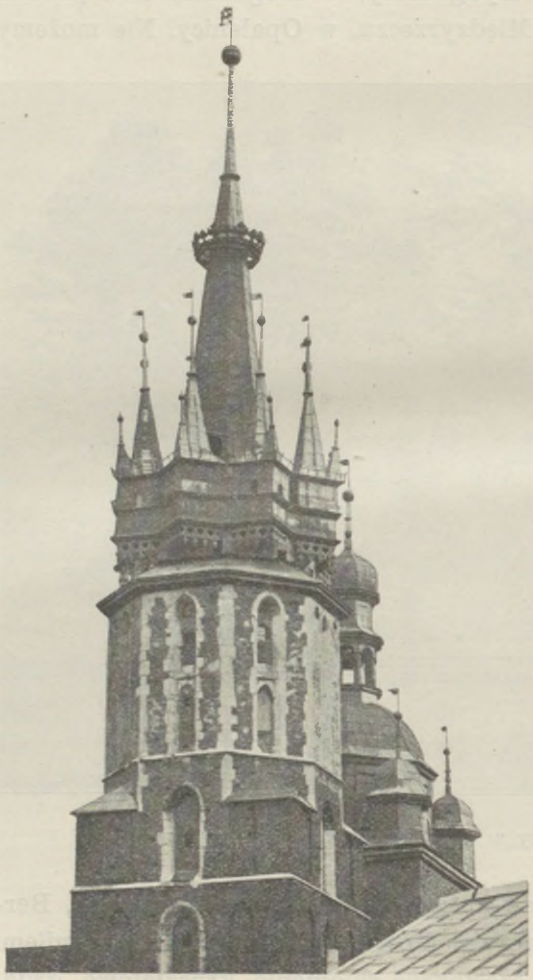

Fig. 167. Szczyt wieży kościoła N. P. Maryi w Krakowie.

Bardzo piękną pozostałością architektury drewnianej są hełmy wież gotyckich nakrywające wieże kościołów murowanych. Arcydziełem sztuki jest zakończenie wyższej wieży Maryackiego kościoła w Krakowie. Koło jednego szczytu grupuje się szereg mniejszych szczytów dostosowanych do murów wieży. Do małych szczytów dostawiono jeszcze mniejsze szczyciki. Wszystko to tworzy bardzo piękną proporcyonalną i lekką całość (fig. 167).

Aczkolwiek ruch budowlany w epoce gotyckiej objął także gmachy

publiczne i świeckie domy mieszkalne, gotyckich budynków świeckich dochowało się bez porównania mniej. W pierwszym rzędzie wymienić należy królewską rezydencyę na Wawelu, z której tu i ówdzie zachowały się mury, a nawet całe części pierwszej murowanej rezydencyi królów polskich. Zamek z murów wznosić począł Kazimierz Wielki. Tą najstarszą częścią jest południowo-wschodnia strona ponad kościółkiem św. Idziego. Basztę wielokątną wyskakującą z narożnika zamku na silnych na skale opartych



Fig. 168. Sukiennice w Krakowie przed odnowieniem.

arkadach wybudowali Jadwiga i Jagiełło. Zwie się ta budowa »Kurzą Stopą« zapewnie dla swego kształtu. Na zewnątrz widać herby króla i królowej. Zdaje się, że była to kaplica zamkowa. Zamek w ogólnym dzisiejszym kształcie pochodzi z XVI. w. i jako taki należy raczej do dzieł typowych sztuki odrodzenia, aniżeli do sztuki gotyckiej. W XIV. w. stanęły także Sukiennice. Cały szereg luźnych kramów na krakowskim rynku zastąpił Kazimierz Wielki jedną wielką halą targową, mającą kształt trójnawowej bazyliki. Nawa główna tworzyła właściwą nakrytą halę, nawy boczne mieściły sklepiki z ladami na wewnątrz hali. Strona zewnętrzna nie była otwarta jak dziś, ale zamknięta i z czasem przytuliło się do niej

wiele domów, bud i budynków (fig. 168). Z tych najstarszych Sukiennic dochowały się zaledwie mury środkowej hali ze szkarpami widnemi na zewnątrz ponad dachami naw bocznych. Twórcą takich Sukiennic był Marcin Lindintolde i wykończył je przed rokiem 1390.

Z pałaców, kamienic i domów wogóle dochowało się bardzo mało. Burzyły je i przerabiały późniejsze wieki, burzą i przerabiają bez przerwy dzisiejsze.

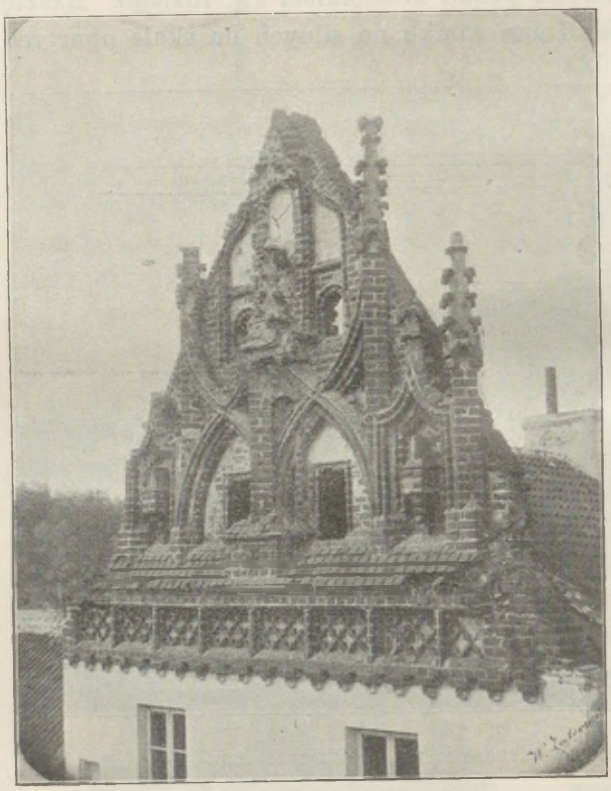

Fig. 169. Szczyt domu gotyckiego w Kownie.

Do XIV. w. budowano mieszkania z drzewa. Gdy Kazimierz Wielki wystawił zamek z cegły i kamienia, za przykładem monarchy poszli najmajętniejsi mieszczanie. Dawne widoki miast pouczają nas, jak wyglądały ówczesne domy. Były to wązkie, głębokie gmachy, zwracające się ku ulicy frontem opatrzonym szczytem. Stały zbite w masę jeden obok drugiego, mając wspólne ściany (fig. 162). Domy z drzewa i kamienice obok siebie tworzyły malownicze grupy. Szczyty przybrały kształt trójkąta albo też były schodowate lub zazębione, a nawet ozdobione koronką z powyginanych łuków (fig. 169). Zwykle zewnątrz ściany domów wystawały kryte balkoniki kończące się ostro spadzistym daszkiem. Są to erkery czyli wykusze. Okna umieszczano parami, tu i ówdzie okienne otwory dzielono na prostokątne pola kamiennemi poziomemi i pionowemi belkami jak kratą.

Zwykle dom budowano na parter i jedno piętro. Pokoje były sklepione, albo też miały strop z drzewa ułożony na belkach uwydatniających się i ozdobnie ociosanych, a częstokroć cały pułap był tu i ówdzie malo-

wany niebieską i czerwoną farbą, a nadto niekiedy złocony. Parter, do którego wchód znajdował się od ulicy, zawierał składy, sklepy i t. p. Okna mieściły się dość wysoko. Dolną część budowy stawiano z kamienia, górną z cegły. Okna piąter osadzone były bezpośrednio pod szczytem.

Obramienia tak okiennych jak wchodowych otworów dawano z kamienia. Mury zwężały się lekko ku górze, a lica ich przedstawiały się często skośnie, zwłaszcza w dolnych częściach. Kamienice rynków miały występujące podcienia. Za domami rozciągały się podwórza.

Domy te, rzadkie dzisiaj, wywierają na nas wrażenie swą malowniczością. Ponieważ liczono się tylko ze względami praktycznymi w konstrukcyi i nie przestrzegano prawideł symetryi jak w późniejszych wiekach, domy mają pełno krzywizn, naddatków, przyczepek, przeróbek. Ozdoby tak architektoniczne, jak rzeźbiarskie, a niejednokrotnie malarskie, uzupełniają tę różnorodną powichrzoną całość.

Domy grupujące się koło rynku otaczano murami i basztami. Przykład takich fortyfikacyi dają nam resztki dawnych krakowskich murów z basztami i floryańską bramą, którą poprzedza t. zw. barbakan, rodzaj małej twierdzy z gankami wewnątrz, krytymi gankami wysuniętymi na zewnątrz i wieżyczkami (fig. 200). Tu i ówdzie zachowały się w miastach resztki murów obronnych miejskich, jak w Sandomierzu, Lublinie, w Wilnie i Kamieńcu i w miastach pomorskich.



Fig. 170. Sklepienie gotyckie kryształowe zakrystyi kościoła św. Anny w Wilnie.

ODRODZENIE.

Odrodzeniem nazwano rozkwit sztuki polskiej XV. i XVI. w., kiedy artyści poczęli zwracać żywą uwagę na zabytki świata klasycznego tak rozpowszechnione we Włoszech. Badając je, kształcili się i przyswajali sobie cały zasób artystycznych zdobyczy klasycznego świata. Było to odrodzenie się sztuki i wogóle kultury starożytnych Rzymian, a później także Greków przez bezpośrednie zetknięcie się z tem, co po kulturze Greków i Rzymian pozostało. Nie tylko z tego punktu patrząc, epokę tę nazwać można epoką odrodzenia, ale ludzkość odrodziła się niejako przez to, że porzuciła stare utarte średniowieczne szablony, poczęła myśleć ściślej i gruntowniej, chociaż nie bez tego przecie, aby średniowiecznych powag nie zastąpiły powagi świata klasycznego, a średniowiecznych wzorów wzory klasyczne.

Artyści w zetknięciu się z zabytkami świata starożytnego zaczęli obserwować życie i naturę i naśladowali ją w sztuce. Naśladowanie to nie było tak nieporadne i nieporęczne, jak w średnich wiekach. Zabytki rzeźby klasycznej przedstawiały przeważnie piękne typy i rozwinięte artystycznie kształty. Przedewszystkiem w antyku podobała się masywność, harmonijny układ i rozczłonkowanie. Zalecano harmonię stosunków, sądząc, że piękno jest to harmonia części i członków taka, żeby nic bez szkody nie można było dodać, ani ująć. Artysta z siebie samego i swojej indywidualnej natury musiał czerpać zasady i kierunki i indywidualizm jego silnie zaczął się uwydatniać. W ten sposób osobistość artysty miała zupełnie inne znaczenie jak w średnich wiekach. Badania starożytności uprawiali nie tylko uczeni, ale także artyści. Zdjęcia ruin Rzymu i usiłowania, żeby je ująć w całość, zatrudniały wielu architektów. W pierwszych czasach starali się oni zastosować w praktyce budowlanej najczęściej kapitele i pilastry, filunki i ściany. Zadania budowlane kościołów i pałaców wymagały samodzielnego postępowania architektów i ograniczały naśladowanie antyku do pojedynczych części i dekoracyi. Obok tego jednak dostawały się zwolna do nowych dzieł sztuki odczuta z antyku czystość, przejrzystość i piękność w ustosunkowaniu mas. Na tej właśnie harmonii mas i na pięknem zestawieniu kontrastów polega istotny efekt renesansowych budowli.

W kościołach pojawia się kopuła. Wprowadził ją do katedry florenckiej architekt Brunelleschi, który na skrzyżowaniu naw umieścił olbrzymią

kopułę, biorąc natchnienie z budownictwa klasycznego. Rok rozpoczęcia tej kopuły 1420. uważa się za początek odrodzenia. Tenże sam Brunelleschi postawił szereg budynków, a między nimi kaplicę Pazzich. Z początkiem XVI. w. ogniskiem architektonicznego ruchu staje się Rzym. Zaczyna się czas rozkwitłego renesansu, który trwa do roku 1580. O ile renesans XV. w. był nieśmiały i skromny, o tyle rozkwitłe odrodzenie odznacza bogactwo i przepych. Architekci lubują się w budowaniu pałaców o facyatach okazałych. W zakresie architektury kościelnej powstaje kościół św. Piotra w Rzymie, budowa dośrodkowa z olbrzymią kopułą na skrzyżowaniu naw. Plan kościoła zmienia się, nawa główna staje się szeroką halą bogato przyozdobioną, nawy boczne zwężają się, potem dzieli się je ścianami, tworząc w ten sposób szereg kaplic odrzwiami złączonych z sobą. Fasada im dalej w XVI. w., tem więcej przybiera cechę kulis teatralnych; proste dawniej linie architektoniczne wyginają się w gzymsy przerywane i powtarzane bez potrzeby. W ten sposób zwolna powstaje barok, a ten znów ustępuje miejsca stylowi rokoko, który rezygnuje z architektonicznych linij i dąży do dekoracyi płaskiej i wytwornej. Wogóle w baroku i w stylu rokoko chodzi przedewszystkiem o malowniczość, a punkt artystycznej twórczości przenosi się z Włoch do Francyi. Tu przedewszystkiem wprowadzono do wnętrza budynku ramę, której towarzyszą kwiaty, muszle, stalaktyty i groty skaliste. Rodzaj tych ozdób nazywa się roccaile, stąd nazwa rokoko. Style baroko i rokoko oddaliły się od dawnej sztuki klasycznej i wyrodziły. Dopiero z końcem XVIII. i początkiem XIX. w. ponownie zwrócono się do starożytnej klasycznej sztuki i wtedy powstał styl empire.

Renesans dostał się do Polski z początkiem XVI. w. i to wtedy, kiedy we Włoszech powstały już najpiękniejsze dzieła epoki odrodzenia. Dostał się do nas dzięki wpływom Węgier i inicyatywie Zygmunta Starego. Do pierwszych wybitniejszych budowli epoki odrodzenia należy kaplica Zygmuntowska na Wawelu. Zygmunt Stary zapragnął mieć dla siebie kaplicę, w którejby nie tylko mógł się modlić, ale w którejby także spoczęły jego zwłoki. Budowa stanęła w latach 1518—1530, a architektem, który ją wykonał, był Bartłomiej Berecci z Florencyi.

Zewnątrz w dolnej części przedstawia się kaplica jako budowa kwadratowa bez okien, poprzedzielana bardzo starannie opracowanymi pilastrami, wspartymi na cokole. Na architrawie znajduje się data 1520 i napisy. Pomiędzy pilastrami mieszczą się na jednej ze ścian tarcza herbowa z orłem przepasanym literą S, pod którym mieści się łaciński napis

brzmiący w polskim języku: *Nie podziwiaj przechodniu tej wspaniałej i wniosłej kaplicy i kamieni rzeźbionych dłutem Fidiasza, Zygmunt wystawił to dzieło, który wzniósł i zamek, lecz słusznie praca ta sławniejsza, bo gdy tamten gmach jest chwilowy, ten wystawił sobie na wieczne mieszkanie.*

Ponad czworoboczną podstawą wznosi się ośmioboczny bęben z oknem okrągłem na każdej stronie, naroża ozdobione są pilastrami. Na bębnie wspiera się kopuła, ideał architektów odrodzenia, pokryta miedzianą łuską pozłoconą później kosztem Anny Jagiellonki. Wyżej jeszcze stanęła latarnia o wydłużonych okrągłołukowych arkadach. Dach latarni pokrywa metalowa korona. Latarnia przechodzi w smukły ośmiobok, zakończony szpicem. Na szpicu zaś mieści się kula, a na niej stoi nagi aniołek dźwigający koronę i jabłko z olbrzymim krzyżem.

Całej tej konstrukcyi zewnętrznej odpowiada wewnętrzna. Każda ze ścian dolnej kwadratowej części dzieli się w kierunku pionowym na część środkową z nyżą złożoną z łuku wspartego na impostach i dwu części bocznych ujętych pilastrami, między którymi znajduje się nyża z figurą stojącą, a wyżej jeszcze medalion z popiersiem. W poziomym kierunku każda ściana składa się z cokołu, na którym wspierają się pilastry z nyżą w pośrodku, a wyżej gzyms i architraw (fig. 195).

We wschodniej nyży znajduje się ołtarz, naprzeciwko niego od strony zachodniej grobowiec Zygmunta Starego (fig. 194), który następnie podniesiono w górę, ażeby zrobić miejsce pomnikowi Zygmunta Augusta.

Od północnej strony mieszczą się stalle, a od południa wejście.

Figury stojące w nyżach przedstawiają patronów kaplicy, medaliony zaś czterech ewangelistów i królów Dawida i Salomona. Ołtarz wiązał się z głównem wezwaniem Chrystusa i N. P. Maryi, przedstawiając sceny z życia Matki Boskiej i Jej Syna.

Bęben i jego okna, kopuła, zarówno jak i dolne części, wogóle wszystkie pola pokryte są rzeźbionymi ornamentami, a na sklepieniu latarni architekt umieścił napis świadczący, że dzieło jest utworem Bartłomieja z Florencyi.

Pod względem proporcyi i umieszczenia kopuły, kaplica Zygmuntowska należy do arcydzieł odrodzenia. Wywarła też ona ogromny wpływ na sztukę w Polsce. Na jej wzór powstały kaplice św. Jacka, Myszkowskich i kaplica Lubomirskich przy kościele Dominikanów w Krakowie, oraz kaplica Wazów w katedrze. Ale nie tylko w Krakowie zaznaczył się ten wpływ. W Poznańskiem pod wpływem kaplicy Zygmuntowskiej sta-

nęła kaplica w Kościelcu, zakrystya w kościele Klarysek w Bydgoszczy, kaplica Opalińskich w Radlinie i Gostowskich w Środzie. W niektórych z tych kaplic dolna część jest ośmioboczna, a kopuła niejednokrotnie przechodzi w owal. Nawet w epoce baroka typ kaplicy Zygmuntowskiej się utrzymał. Tu zaliczyć należy kaplicę Firlejów w Bejscu pod Wiślicą, najznakomitszy zabytek po kaplicy Zygmuntowskiej, i kaplicę św. Jacka przy kościele Dominikanów w Krakowie. Z barokowych mniejszych budowli centralnych wymienić należy kaplicę Kampianowską przy katedrze we Lwowie, dzieło Pawła Rzymianina z lat 1619 i następnych, ukończoną w r. 1642. przez Pfistera, Wrocławianina, okrytą rzeźbą zewnątrz i wewnątrz, kaplicę Lubomirskich w Niepołomicach i drugą na zamku w Wiśniczu z pierwszej połowy XVII. w. Niektóre z kaplic ozdobione były stiukami, którymi tak chętnie posługiwali się artyści baroka. Przykładem jest kaplica Oświęcimów w Krośnie, zbudowana w r. 1647. Naczelne miejsce zajmuje kaplica św. Kazimierza przy katedrze wileńskiej, stawiana w r. 1636. według projektu Niderlandczyka Dankersa de Ry z kopułą na bębnie ośmiobocznym. Kaplica ta z powodu swoich rzeźb i dekoracyi malarskiej stoi na czele kaplic barokowych. Obok kaplic stawianych przez zagranicznych architektów powstają kaplice stawiane przez miejscowych kamieniarzy. Formy rozpowszechnione na Zachodzie a zastosowane przez tychże przekształcają się i nie zawsze odpowiednio są użyte, stąd powstaje rodzimy renesans i rodzimy barok. Tu należy kaplica Boimów we Lwowie, wykonana w latach 1609—1619 przez miejscowych artystów, zostających pod kierunkiem niemców Pfistera i Scholca.

Z kościołów renesansowych posiadamy wspaniały kościół św. Piotra w Krakowie (fig. 171). Kościół ten stoi na pograniczu między renesansem a barokiem. Dzieło wiąże się z zakonem Jezuitów, dla którego król Zygmunt III. własnym kosztem wzniósł tę wspaniałą świątynię. Jest to w tym rodzaju i stylu najznakomitszy w Polsce zabytek architektury. Budowę prowadził naprzód Jezuita Jan Marya Bernardone z Como, a po jego śmierci r. 1655. Jan Gislenus Rzymianin. Prace trwały przez lata 1597—1635. Za wzór służył główny kościół Jezuitów w Rzymie il Gesú, dzieło Vignoli.

Kościół w planie przedstawia formę krzyża i jest budową centralną, ukoronowaną wspaniałą kopułą w środku. Obszerna nawa zwraca odrazu uwagę widza. Jezuitom chodziło o to, aby zgromadzić pobożnych razem i skupić ich koło ambony. Stąd nawy boczne zredukowano do nieznacznych rozmiarów, a mimo to jeszcze wiążą się one z nawą środkową.

W ten sposób starano się złączyć ściślej z nawami bocznemi szereg kaplic. Kopuła nie tylko panuje nad budową zewnątrz, zwłaszcza od strony zachodniej, ale uwydatnia się wewnątrz budowy. Rośnie ona w miarę zbliżania się od wejścia ku głównemu ołtarzowi i w całym majestacie występuje, gdy widz pod nią stanie; wtedy jej stosunek do naw i chóru, polegający na znakomitem obmyśleniu proporcyi, zaznacza się w całej pełni i nadaje budowie piętno wybitnego artyzmu. Sferycznie sklepiona absyda dostraja się do kopuły. Potężne gzymsy nawy głównej nie tyle mają znaczenie architektoniczne, ile raczej dążą do wywołania urozmaicenia i malowniczości. O przepychu i okazałości budowli świadczy facyata rozczłonkowana architektonicznie, ozdobiona inkrustacyą [1]) marmurową i posągami. Ogrodzenie przed facyatą z dwunastu apostołami w patetycznych pozach wykonał Hieronim Canavesi.

Ten sam architekt, który stawiał kościół św. Piotra, jest twórcą jezuickich kościołów w Nieświeżu i Kaliszu, a nadto stawiał on z Belgiem Baudarthem Kalwaryę Zebrzydowską na podgórzu karpackiem. Z jezuickich budowli zasługują na uwagę: kościół we Lwowie oraz dominikański kościół w Jarosławiu. Niektóre z barokowych kościołów nie mają kopuły, niemniej styl ich jednak odpowiada duchowi baroka.

Jednem z najpiękniejszych dzieł rozwiniętego renesansu i z wielkiem poczuciem piękna obmyślanem i wykonanem, jest kościół Kamedułów na Bielanach pod Krakowem. Stawiał go architekt Andrzej Spezza. Miejsce naw bocznych zajmują już kaplice. Nawy poprzecznej i kopuły brak. Na szczególniejszą uwagę zasługuje piękna facyata z ciosu z dwiema wieżami. Wnętrze zdobią sztukaterye, które wykonali Włosi Succatori i Andrzej Castelli. We Lwowie są także z tej epoki dzieła w tym samym stylu, ale bez podobnej artystycznej wartości. Na uwagę zasługują: cerkiew wołoska z t. zw. wieżą Korniaktowską, niegdyś bardzo piękną, a obecnie zepsutą, pierwotnie dzieło Barbona (fig. 145 t. I). Po śmierci Barbona budowę cerkwi prowadzili Włosi. Robota trwała przez ostatnie dziesiątki XVI. i początki XVII. w. Plan budowy odpowiadał wprawdzie obrządkowi greckiemu, ale zato w wykonaniu zaznaczył się styl Zachodu, obejmujący całą Polskę. Daleko gorszą budową jest lwowski kościół Bernardynów. Wogóle po całej Polsce rozrzucone są kościoły w stylu baroka. Plan przyjmuje najrozmaitsze kształty, nieraz nawet kształt rotundy otoczonej niższą nawą boczną, przyczem nie

[1]) Inkrustacyą nazywamy tu wypełnianie przestrzeni kolorowymi marmurowymi płytami według pewnych linii.

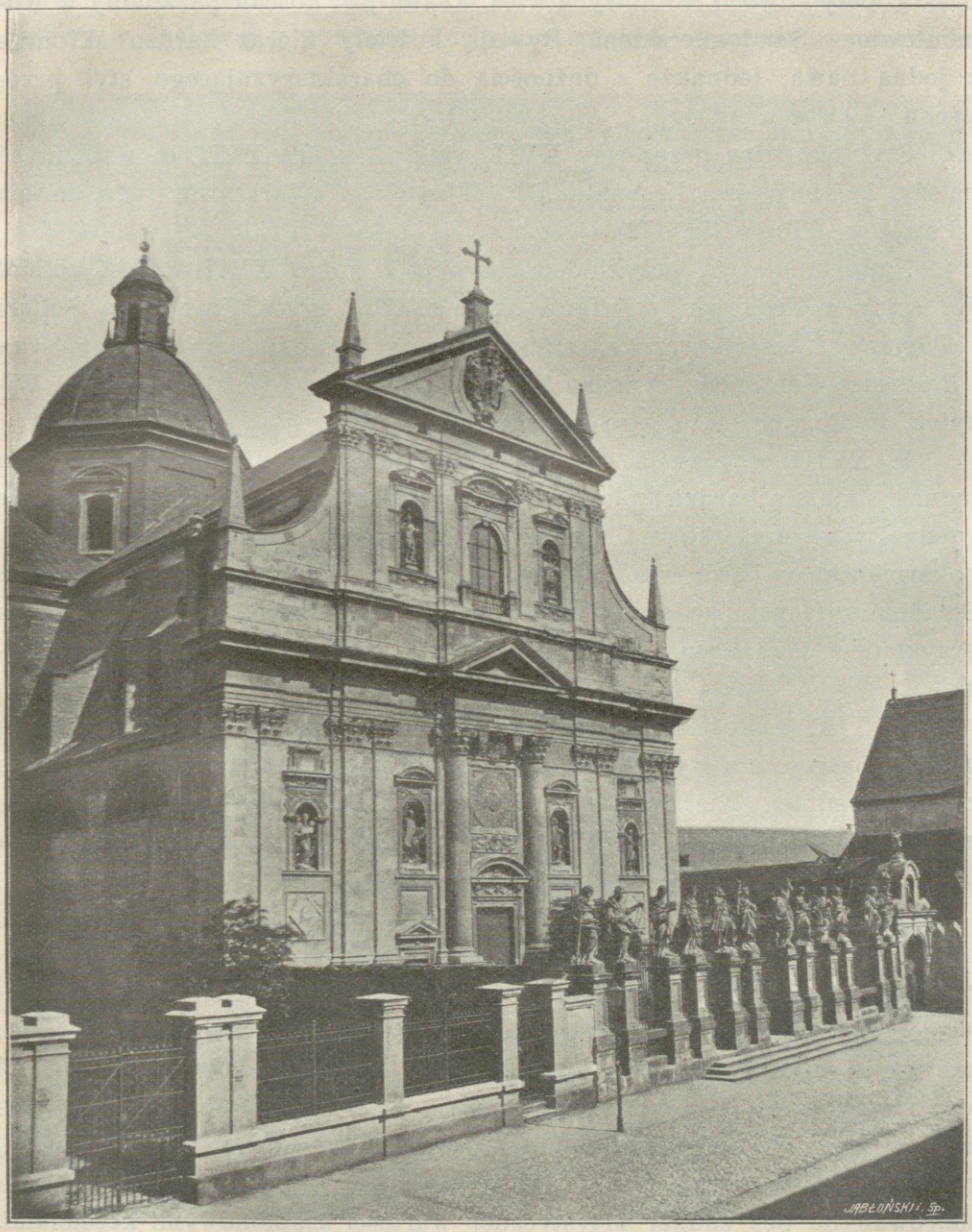

Fig. 171. Kościół św. Piotra w Krakowie.

brak kopuły i dwóch frontowych wież. Takim jest kościół parafialny w Klimontowie w Sandomierskiem. Bywają kościoły nieraz bardzo skromne z jedną nawą, jednakże z dążnością do charakteryzującego styl przepychu.

Styl ten trwa przez cały XVII. wiek. Z końca XVII. w. wspomnieć należy kościoły św. Krzyża i PP. Wizytek w Warszawie i św. Piotra i Pawła w Wilnie (fig. 172).

Najpiękniejszym przykładem baroku z końca XVII. w. jest kościół św. Anny w Krakowie, stawiany około r. 1700. przez Franciszka Sollari i Tilmana Luksemburczyka, a dekorowany wewnątrz przez Franciszka i Baltazara Fontanów. Wymienić jeszcze należy krakowski kościół PP. Wizytek, według projektu tego samego architekta.

W XVIII. w. rozwija się styl ten w dalszym kierunku, dekoracya jednak staje się bardziej płaską i posługuje się formami muszli. Powstaje wtedy styl zwany rokoko. Tu należą w Warszawie kościół pobernardyński, pokarmelicki, w Krakowie klasztor Karmelitanek, kościół Misyonarzy na Stradomiu, facyata kościoła Pijarów, kościół na Skałce. Bardzo pięknym przykładem tego stylu, jest mały kościół parafialny w Dukli w Krośnieńskiem.

W XIX. w. kościoły przybierają linie prostsze. Kolumny, klasyczne gzymsy, odgrywają wybitną rolę. Zwrot do sztuki klasycznej zaznacza się coraz to silniej. Nie brak kościołów naśladujących świątynie pogańskie, co głównie uwydatnia się w facyacie. Taką klasyczną facyatę otrzymała jeszcze w końcu XVIII. w. katedra poznańska.

Architektura kościelna drewniana, rozwijała się w dalszym ciągu, trzymając się jeszcze w XVI. w. tradycyj gotyckich i wprowadzając gdzieniegdzie tylko w szczegółach renesans. Charakterystyczną cechą tych kościołów są t. zw. podcienia, t. j. daszki wsparte na słupach i biegnące wzdłuż zewnętrznych ścian kościoła. Ciekawym przykładem jest kościół w Koniecznej w dyecezyi tarnowskiej i kościoły na Podkarpaciu. Nie brak jeszcze przykładów kościółków drewnianych z końca XV. i z XVI. w., chociaż niestety nikną one z każdym rokiem rozbierane i zastępowane murowanymi bez żadnej artystycznej wartości szablonowymi kościołami. Architektura drewniana nie nadawała się do stylu baroka. Kopuły, filary i wyskakujące gzymsy nie miały tu zastosowania. Dekoracyę tę można było wprowadzić jedynie posługując się polichromią: nie tylko architekturę, ale i figury malowano na ścianach drewnianych kościołów, jak w Glina-

rowej pod Bieczem i w Grywałdzie w Nowotarskiem. Trójnawowy kościół halowy w Szalowej w powiecie Gorlickim ozdabia wewnątrz nawet rzeźba.



Fig. 172. Kościół św. Piotra i Pawła w Wilnie.

Początek rozwojowi świeckiej architektury w stylu odrodzenia dał zamek królewski na Wawelu.

R. 1499. wybuchł pożar w krakowskim zamku i zniszczył królewską rezydencyę. Naprzód zaczęto stawiać budowę na mniejszą skalę, ale później zabrano się do budowy wielkiego i wspaniałego gmachu. Architektem, który objął kierunek nad budową, był Włoch Franciszek della Lore i prowadził ją w latach 1510—1516.

Zamek jednakże o takim planie, w jakim go dzisiaj widzimy, wykończył Bartłomiej Berecci, Włoch z Florencyi, który po śmierci Franciszka della Lore objął budowę i najprawdopodobniej prowadził ją według planu swojego poprzednika. Pomagał mu Mikołaj Castiglione, Florentczyk.

Budowę ukończono przy schyłku pierwszej połowy XVI. w., jednakże i wieki następne niejedno po sobie tam zostawiły. Dziś tak wewnątrz jak zewnątrz pod względem architektonicznym zmieniło się dużo. Pozostało mimo to wiele, co tłómaczy nam pochwały współczesnych, zachwycających się gmachem. Imponujący dziedziniec z arkadami dokoła nie tylko na dole, ale na obu piętrach gmachu wykazuje odrazu system renesansowej budowy pałacu. Dzisiaj arkady te podmurowane wyglądają ciężko i niezgrabnie, pierwotnie jednak ich struktura była lekka i pełna artyzmu (zob. fig. 129 t. I). Zwłaszcza szczupłe a nadzwyczaj silne kolumny drugiego piętra dźwigały rzeźbiony pułap wystającego dachu. Oryginalną cechą tych kolumn jest, że nad ich kapitelem znajdują się charakterystyczne koszyczki. Pułapy były bardzo ozdobne. Szereg olbrzymich okien otwierał z jednej strony widok do sal z galeryi, a z drugiej wspaniały widok na Kraków. Nad dziedzińcem panowała wysoka baszta zw. »Wybranką«. Ozdobne odrzwia i marmurowe schody prowadziły do sal. Sale były wielkie, niektóre z nich miały stałe przeznaczenie, jak sala senatorska, poselska, marszałkowska. Najdłużej przetrwała sala poselska, bo do końca XVIII. w., a wszyscy piszą o niej z podziwem. Mieściła się ona na drugiem piętrze, była obszerna i wspaniale urządzona. Drzwi do niej wyłożono kosztownem drzewem, perłową masą i kością słoniową. W suficie jej osadzono 193 piramid z gałkami złoconemi. Między temi piramidami mieściły się głowy snycerską robotą misternie wyrabiane i malowane, a było ich 196. W pośrodku sufitu znajdowały się trzy orły, pogoń i wąż jako herb Bony Sforzy, a nadto zwisał pająk spiżowy, przy którym widziało się lwa trzymającego herby koronne i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Poniżej fryzu sufitowego na ścianach sali wymalowano postacie królów i królowych. Tak ozdobiona izba służyła na przyjęcia posłów zagranicznych i dopiero r. 1663. stała się sejmową.

Zewnątrz styl odrodzenia nie zaznaczył się tak wybitnie. Symetryczność i regularność w układzie okien, gzymsów i wsporników u poddasza, dachy zdobne dachówkami układanemi we wzory, dymnikami i kominami, wszystko to wyglądało bardzo okazale i harmonijnie.

Za przykładem dworu poczęto stawiać zamki magnackie i domy w stylu odrodzenia. Zamków w stylu odrodzenia dochowało się niewiele.

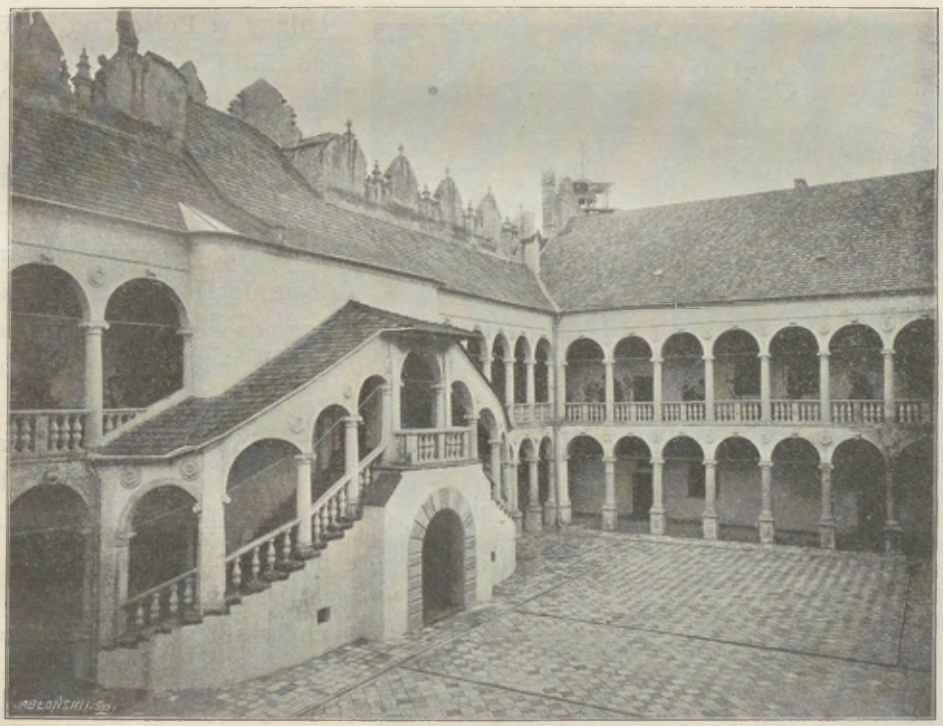

Fig. 173. Dziedziniec zamku w Baranowie.

Wspaniały zamek tęczyński popadł w ruinę. Daleko mniej rozległy od zamku tęczyńskiego i nie tak wspaniały jest zamek w Baranowie w powiecie tarnobrzeskim (fig. 173). Wystawił go Andrzej Leszczyński, wojewoda kujawski, w latach 1579 a 1602.

Naśladując króla i magnatów, poczęto stawiać domy w stylu odrodzenia i ozdabiać nimi miasta. Kamienice mieszczańskie tej epoki mają rozwinięte fronty, dziedzińce obszerne i otoczone krużgankami na arkadach. Często używano przytem motywów gotyckich i to objawiało się przedewszystkiem w ozdobach okien i drzwi. Charakterystycznym motywem,

który w Krakowie się wytworzył, są to tak zwane attyki czyli szczyty domów, zasłaniające dach i jego spadzistość. Włoskim architektom chodziło o to, ażeby całość dostroić do linii horyzontalnej, a temu właśnie przeszkadzały konieczne u nas spadziste dachy, które trzeba było zakryć. Attyki były rozczłonkowane arkadkami. Przykład takiej attyki widzimy na Sukiennicach, których przebudowę w stylu odrodzenia prowadził architekt Jan Marya Padovano, pracujący w Polsce od r. 1541 do 1573. Ozdobą każdego domu nadto był portal. Gzyms podpierały kolumny, a na gzymsie znajdowały się napisy. Facyatę zdobiły często rzeźby, a niekiedy malowanie. Domy miały w miejsce dzisiejszych numerów godła, częstokroć rzeźbione przez artystów. Tu i ówdzie w stylu odrodzenia stawały ratusze, a do najpiękniejszych zaliczyć należy ratusz w Poznaniu (fig. 109 t. I).



Fig. 174. Portal domu krakowskiego przy ul. św. Jana.

Obok architektów Włochów spotyka się i Polaków stawiających budynki w stylu odrodzenia. Architekci ci nie przestrzegają stosownego użycia form i motywów sztuki odrodzenia, stąd rozluźnia się organizm renesansowej dekoracyi architektonicznej i wytwarza się polski renesans, w którym wybitną rolę odgrywa malowniczość, a nie konsekwentna i ściśle organiczna konstrukcya. Do najwybitniejszych polskich architektów należy krakowski architekt Gabryel Słoński (* ok. 1520, † 1598).

Barok nie zaznaczył się wielkiemi zmianami w planie domów odrodzenia. Ta sama malowniczość, którą widzimy w stylu kościołów, ta sama zaznacza się i tutaj. Dawne formy renesansowe zostały rozczłonkowane

i pogięte, aby przedstawiały się najokazalej, ale pod względem malarskim. Karyatydy trzymają gzymsy nieusprawiedliwione żadną architektoniczną potrzebą (fig. 174). Obok wkraczania jednej dziedziny sztuki w drugą uwydatnia się przeszczepianie jednej techniki w technikę zasadniczo różną form giętych, form kartuszowych, w kamień. Styl baroka zaznaczył się wspaniałemi budowami głównie w Warszawie, a styl rokoka i empiru tam przedewszystkiem ma siedzibę. W XVIII. w. ruch budowlany w Warszawie był

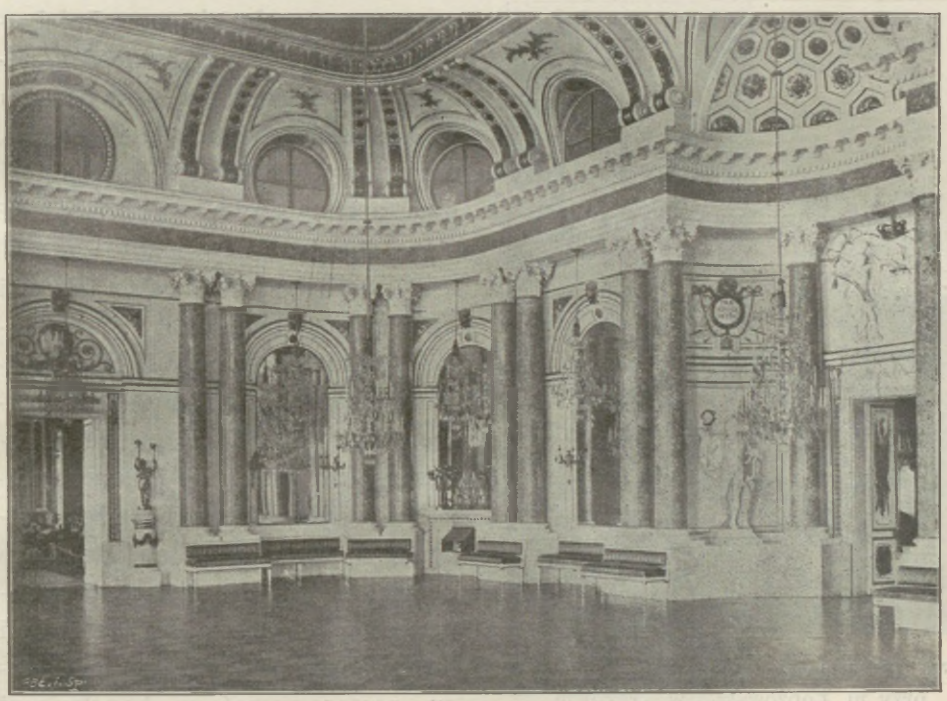

Fig. 175. Wnętrze sali pałacu królewskiego w Warszawie.

bardzo wielki i głównie uwydatnił się budowaniem rezydencyi pańskich. Styl ten wogóle nadawał się do ubierania ścian, salonów i wnętrz (fig. 175). Częstokroć budynek późno barokowy ozdabiano ornamentacyą rokokową.

Styl empire zaznaczył się budynkami o froncie z potężnych kolumn dźwigających przyczółek; w ten sposób stawiano nie tylko pałace i kościoły, ale dwory i dworki wiejskie.

Architektura drewniana świecka tej epoki zasługuje na większą uwagę. W domach szlacheckich drewnianych wpływy te są widoczne w harmonii i symetryi, oraz w szczegółach żywo przypominających architekturę

odrodzenia. Piękne renesansowe arkady umiano tutaj zastosować, a wnętrze w braku rzeźb ozdabiano polichromią, na którą nie tylko wpłynęła polichromia odrodzenia, ale także i rzeźba. Przebija się to w arkadach podcieni, jak n. p. we wsi Wroceniu nad Biebrzą. To samo można powiedzieć o bóżnicach, gdzie obok najróżnorodniejszych motywów zachodniej sztuki pojawiają się jeszcze motywy wschodnie. Drewniane te bóżnice są niejednokrotnie o wiele ciekawsze od bóżnic murowanych, w których silniej zaznaczał się styl czy to gotyk, czy renesans, a wskutek tego mniej uwydatniała się oryginalność. Znakomitym przykładem jest bóżnica w Nasielsku. Niezmiernie ciekawe, mające wybitną wartość pod względem artystycznym, są częstokroć stare domy.

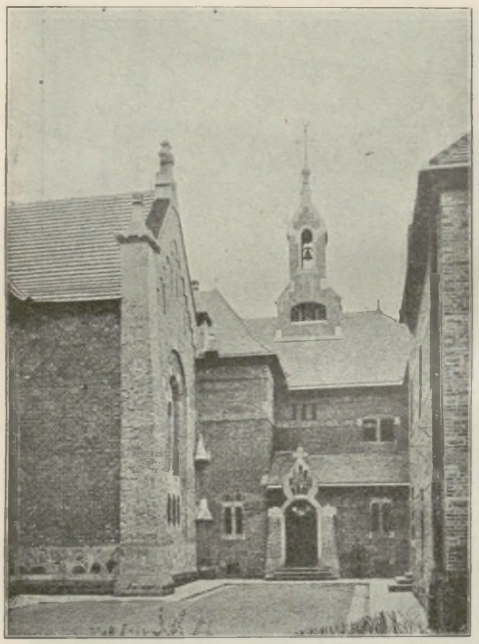

Fig. 176. Klasztor Karmelitanek bosych przy ul. Łobzowskiej w Krakowie.

Jeżeli na prowincyi miejscowi kamieniarze brali motywy z włoskiej sztuki epoki odrodzenia i konstruowali je po swojemu, wytwarzając w ten sposób na prowincyi renesans, który możnaby nazwać polskim, to daleko bardziej przekształcono te motywy w architekturze drewnianej, gdzie miejscowi budowniczowie i cieśle zmuszeni byli formy obmyślane dla budowy z ciosu zastosowywać w konstrukcyi drewnianej. Cały szereg ganków z charakterystycznemi podcieniami zastępującemi arkady dochował się. Podcienia te żywo przypominają kolumnady i galerye pałaców. Nie brak nawet przykładu ustawiania dwu piąter słupów na wzór układu kolumn zamku na Wawelu. Niestety, dwory i domy takie nikną coraz to więcej. Szkoda jest tem większą, że architektura ta jest rodzimą i oryginalną.

W XIX. w. architekci u nas podobnie jak zagranicą starają się tworzyć w różnych stylach, a częstokroć stare gmachy restaurują, dostrajając się do charakteru starożytnych budowli. Do architektów tych należał Karol Kremer (ur. 1812, um. 1860), który odnowił i szczęśliwie uzupełnił gmach

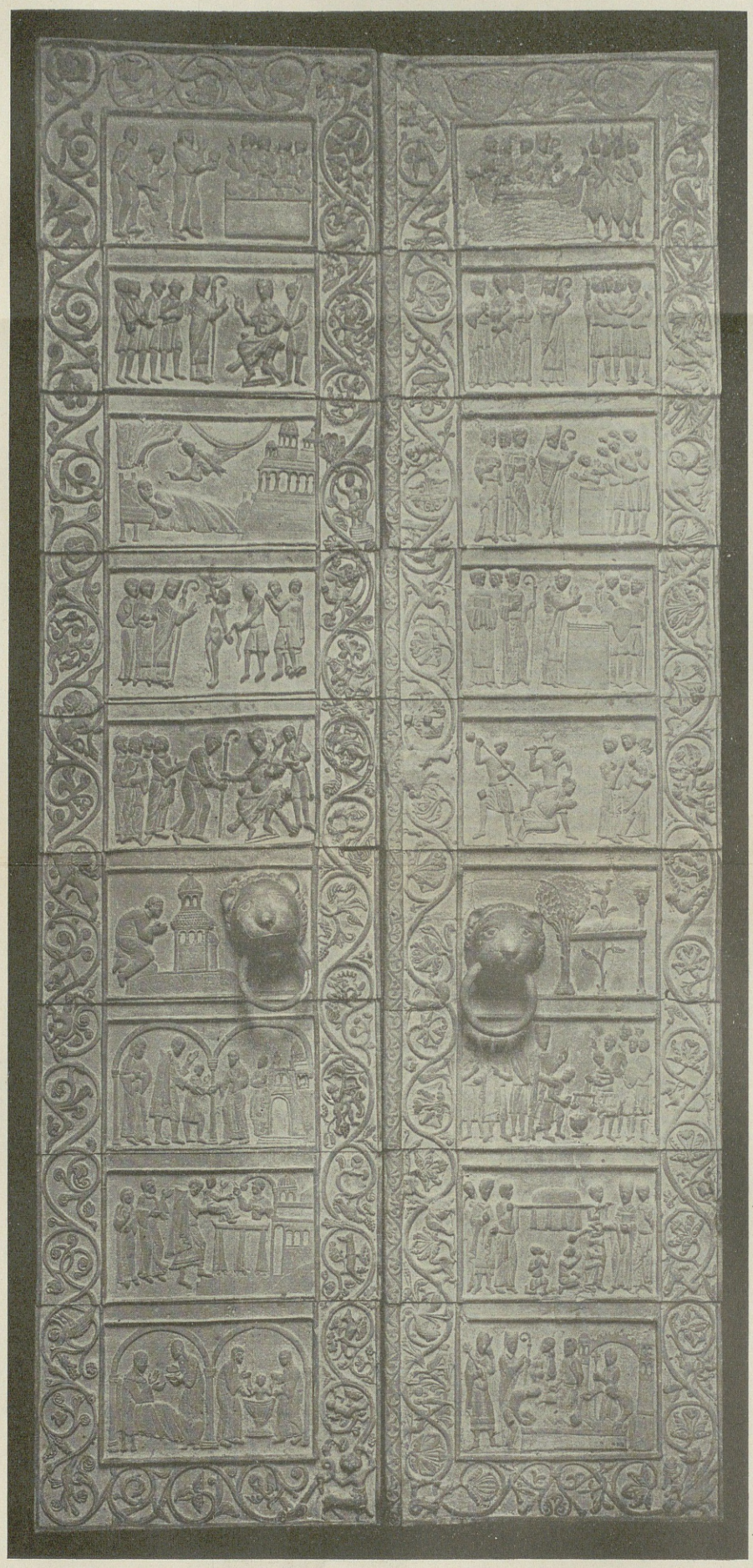

Fig. 177. Drzwi bronzowe w katedrze gnieźnieńskiej.

biblioteki jagiellońskiej. Doskonale odczuwał charakter naszego gotyku Feliks Księżarski, twórca gmachu nowego uniwersytetu w Krakowie.

W stylu odrodzenia budował nowożytne gmachy Filip Pokutyński (ur. 1829, um. 1879). Dziełem jego jest gmach Akademii Umiejętności w Krakowie. Dzięki dobrze uchwyconym proporcyom gmach przedstawia się bardzo korzystnie, skromnie i poważnie. W duchu odrodzenia stawiał budynki Tomasz Pryliński (ur. 1847, um. 1895). Gmach Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, a przedewszystkiem odnowienie Sukiennic wiążą się z jego nazwiskiem.

W chwili bieżącej posiadamy kilku wybitnych architektów: niektórzy z nich znakomicie odczuwają dawną sztukę i umiejętnie odnawiają dawne zabytki, inni tworzą, korzystając z zasobu dawnych form, inni wreszcie starają się stworzyć budynki w nowym stylu, przyczem niektórzy dbają o piękność linii i form, inni o malowniczość. Przykładem nowoczesnego budownictwa jest świeżo wzniesiony kościół Karmelitanek bosych w Krakowie, projektowany przez Franciszka Mączyńskiego i Tadeusza Stryjeńskiego (fig. 176), domy Teodora Talowskiego i w. in.

RZEŹBA.

Rzeźbą chrześcijańska epoka zajmowała się w pierwszych kilku wiekach mniej, niż architekturą i malarstwem. Zbyt lękano się pogańskich bogów i ich kultu. To też unikano stawiania posągów i wkrótce rozkwit rzeźby się urwał. Przed XI. w. posługiwano się wprost fragmentami dzieł rzymskich, o ile w nich można się było dopatrzeć jakiejkolwiek choćby dalekiej alluzyi do nauki Chrystusa. To, co stworzono po wyczerpaniu fragmentów, było tylko barbarzyńskiem naśladowaniem.

Wobec takiego stanu rzeczy rzeźba ograniczyła się do łatwych tematów i do najprostszej techniki. Zaprzestawszy wykonywać posągi bogów, zwrócono się do tak powszechnie i na wielką skalę używanej w pogańskich czasach płaskorzeźby, bo ta była łatwiejszą i bardziej wraz z malarstwem odpowiadała nowej cywilizacyi, służąc jednemu celowi: illustracyi pisma świętego i legend z zadaniem wywołania religijnego nastroju i uczuć.

Wiara, z którą artysta odtwarzał dzieje Chrystusa i męczenników, jego naiwność i szczerość były genezą dzieł w miejsce rozmiłowania się

w piękności kształtów i linij wysoko artystycznie wykształconych Greków i Rzymian.

W miejsce cywilizacyi rzymskiej narody barbarzyńców stwarzać zaczęły nową oświatę, którą prowadził kościół. Sztuka tych barbarzyńców jest oryginalna, bez wykształcenia niemal: jest to sztuka ludowa. W architekturze, gdzie konieczne jest wykształcenie doświadczeniem minionych pokoleń zdobyte — bo inaczej gmachby runął — tradycye Rzymu musiały się trzymać tak długo, jak długo nie wprowadzono radykalnych ulepszeń, które stały się nowemi i oryginalnemi zasadami. W rzeźbie można było tworzyć bez grozy zawalenia się dzieła wiele lat a nieraz wieków, można było próbować. To też rzeźba rozwijała się na zasadzie innych praw i mogła samodzielnie się kształcić.

Dziś nie potrafi się nieraz rozróżnić dzieła sztuki wiejskiego samouka od romańskiego zabytku, tak ona jest artystycznie dziecięcą, prostą, bez znajomości zasadniczych prawideł kompozycyi, proporcyi i poszczególnych form, mimo usilnej dążności do naśladowania natury. A jednak obok tego pojawia się w dziedzinie tworzenia najbujniejsza fantazya, ta sama, która dała życie tysiącom legend ludowych i baśni.

Ze wszystkich nielicznych w rozwoju rzeźby XI. i XII. w. ognisk najważniejszym jest dla nas Hildesheim. Od chwili, gdy zasiadł na stolicy biskupiej Bernward (993—1022), rozpoczął się żywy ruch artystyczny. Przedewszystkiem pracowano około rzeźby w bronzie i wykonano wielkie pomysły naówczas i choć na nizkim poziomie artystycznym, jednakowoż zrobiono wielki krok naprzód. Drzwi katedry w Hildesheim dają pojęcie o tej sztuce. Jest na nich wyobrażony szereg płaskorzeźb, opowiadających sceny z pisma św. Kompozycya nie zapełnia przestrzeni, figury występują z tła jednakowo pomimo różnicy kształtów, proporcye naturalnie niestosowne, w całości jednak widać pomysłowość opowieści i zmysł plastyki, brak tylko artystycznego wykształcenia. Węzły, które nas z Hildesheim łączyły, wpłynęły niewątpliwie na naszą sztukę, a drzwi katedry gnieźnieńskiej i płockiej (dziś w Wielkim Nowogrodzie) są pośredniem następstwem rozsiedlenia się ogniska sztuki w sąsiedztwie Polski.

Drzwi katedry gnieźnieńskiej wykonane w bronzie pokryte są płaskorzeźbami, związanemi ściśle z kulturą naszego narodu. Płaskorzeźby te przedstawiają żywot św. Wojciecha (fig. 176). Całość składa się z 18 scen, ujętych w ozdobione ornamentacyą roślinną ramki. Pierwsza płaskorzeźba od dołu na lewo przedstawia matkę św. Wojciecha i chrzest świętego,

druga, ofiarowanie chorego dziecka Bogu przed ołtarzem, trzecia, oddanie chłopca do szkoły w Magdeburgu, czwarta, modlitwę świętego, piąta, nadanie pastorału przez cesarza, szósta, wypędzenie czarta, siódma, sen, w którym Chrystus poleca świętemu wykupno niewolników, ósma, jak święty przyprowadza niewolników przed księcia z prośbą o zasiłek na wykupno, dziewiąta opowiada cud świętego w klasztorze św. Aleksego w Rzymie, gdy święty, usługując braciom, upuścił napełniony winem kielich bez uszkodzenia; dziesiąta płaskorzeźba, poczynająca się od góry, przedstawia podróż morską świętego do Prusaków, jedenasta, chrzest Prusaków, dwunasta, nawracanie ich i naukę, trzynasta, mszę św. Gaudentego w obecności św. Wojciecha, czternasta, śmierć męczeńską św. Wojciecha, piętnasta przedstawia tylko pal z głową świętego i ciało jego leżące na marach, przywiązane do drzewa, z orłem pilnującym zwłok; szesnasta scena, najciekawsza dla nas, wyobraża Bolesława Chrobrego, wykupującego ciało św. Wojciecha na wagę złota w chwili, gdy na szalę kładą głowę świętego, siedmnasta, sprowadzenie zwłok do Polski, ośmnasta, wreszcie, umieszczenie zwłok świętego w katedrze gnieźnieńskiej.

Ramki ozdabiające pola są dla nas bardzo ciekawe ze względu na ozdoby, pouczają nas one o ornamentyce roślinnej, ułożonej według geometrycznych linij i o motywach figuralnych, wplecionych w tę ornamentykę.

Pokrewne drzwiom gnieźnieńskim są drzwi w Wielkim Nowogrodzie, poprzednio należące do katedry płockiej. Tak samo kompozycya podzielona jest na pola wypełnione płaskorzeźbami, a zarazem ozdobione portretami biskupów magdeburskiego i płockiego. Na obu drzwiach, Magdeburg odgrywa pewną rolę: na drzwiach gnieźnieńskich św. Wojciecha prowadzą do Magdeburga, na drzwiach płockich przedstawiono magdeburskiego biskupa. Z tego też miasta, pozostającego pod wpływem artystycznym Hildesheimu, wyszły drzwi obu pierwszorzędnych katedr.

Wogóle z końcem XI. do połowy XII. w. pojawiają się coraz to częściej ogniska sztuki. Artystyczne wykształcenie i znajomość techniki do tego stopnia się wzmogły, że coraz wydatniej wyłania się doskonałość nie tylko w Niemczech, ale wszędzie we Francyi i Anglii sztuka robi ogromny postęp, a zamiłowanie do dekoracyi, do ozdobnych portali wzmaga się i popiera rozwój rzeźby. W prowincyach nadreńskich, w Westfalii i na Morawie spotykamy zabytki z tej epoki stosunkowo dość liczne jako dowód artystycznych potrzeb danego czasu. Ruch ten dofalował i do nas. W Wielkopolsce, na Śląsku, w Płockiem, w Łęczycy i w pobliżu Krakowa

zostawił on cały szereg dzieł rzeźbiarskich; były to głównie ozdoby portali.

Bardzo piękny portal kościoła św. Wincentego we Wrocławiu Duninowskiej fundacyi XII. w. daje nam pojęcie o tego rodzaju rzeźbie (fig

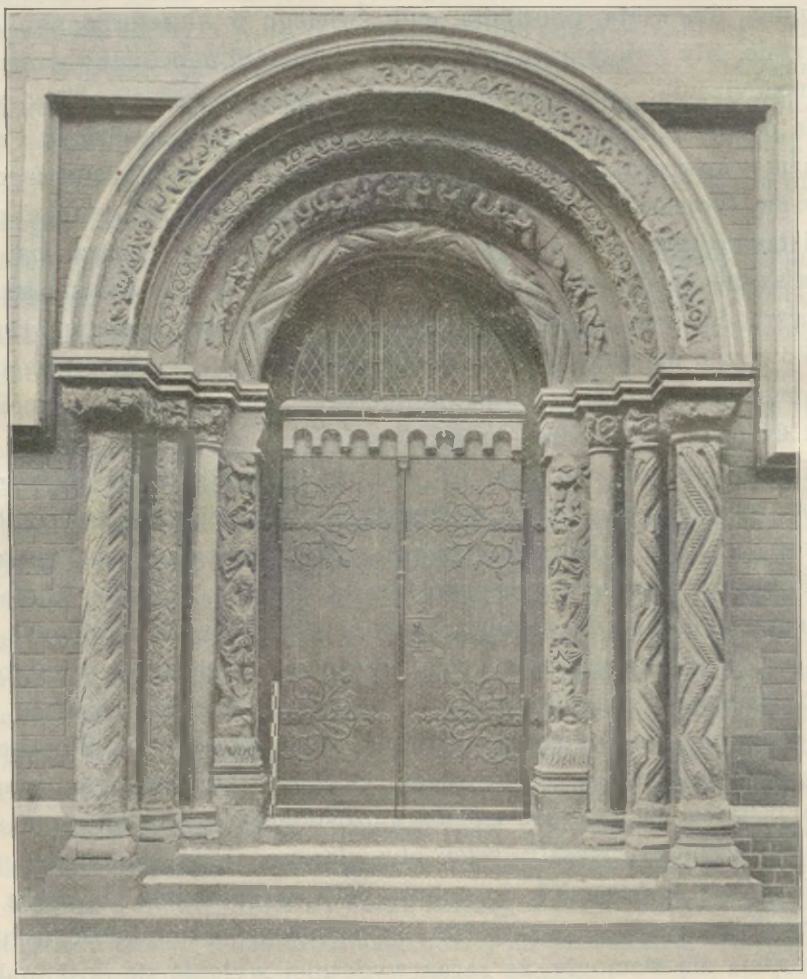

Fig. 178. Portal romański w kościele św. Wincentego we Wrocławiu.

178). Widzimy tam ornamentacyę geometryczną, roślinną, figuralną, ta ostatnia bardzo prymitywna. Pod łukiem a bezpośrednio nad wejściem mieszczące się pole portalu, zwane tympanonem, ozdabiano rzeźbą przedstawiającą zazwyczaj patrona kościoła, któremu fundator niesie w ofierze



Fig. 179. Tympanon kościoła św. Prokopa w Strzelnie w Poznańskiem.

model świątyni. Takie portale dochowały się we Wrocławiu, w Strzelnie (fig. 179), w Łęczycy, w Wysocicach i t. d.

Rzeźbiarska dekoracya dzieli się na geometryczną, roślinną i figuralną. Dekoracya geometryczna będąca niezawodnie dalszym rozwojem geometrycznych, przedhistorycznych ornamentacyj pozostawiła dosyć przykładów z tej epoki. Spotykamy często w naszych romańskich zabytkach różnorodne geometryczne wzory, jak szachownice, arkadki, a przedewszystkiem węzły i kunsztownie komponowane plecionki, wijące się bez początku i końca (fig. 180).

Dekoracya roślinna jest schematyczną i służy do wypełnienia przestrzeni według ściśle obmyślanej symetryi.

Ozdób, wzorowanych na roślinach, romańska epoka bardzo mało używała. Jeżeli się je spotyka, są jakby naśladownictwem roślinności sztucznej, ułożonej według obmyślanego geometrycznie planu, w wyborze zaś naśladują antyk, jakby ci ludzie zatopieni w abstrakcyach, ślepi byli na otaczającą ich przyrodę. Dekoracya taka roślinna przedewszystkiem ozdabia kapitele. Każdy prawie ozdobniejszy romański kościół może dostarczyć przykładu tej ornamentacyi.



Fig. 180. Fragment rzeźby geometrycznej romańskiej w katedrze na Wawelu.

Trzeci rodzaj ornamentacyi — to ornamentyka figuralna, przedstawiająca formy zwierzęce i kształty ludzkie. Wprowadzono do epoki

romańskiej mnóstwo fantastycznych zwierząt i najróżnorodniejszych potworów (fig. 181 i 182). Jest to płód fantazyi ludów, którym wszędzie były wspólne baśnie o gryfach, smokach i dziwolągach. Dostały się nawet



Fig. 181. Gryf z krypty katedry na Wawelu.

do uczonych, którzy je adaptowali i poczynili z nich symbole religijnych pojęć. Przykładem takiej ornamentacyi jest fantastyczne zwierzę z krypty



Fig. 182. Rzeźba romańska w opactwie w Sulejowie.

na Wawelu. Spotyka się bardzo często kształty ludzkie, szczególnie głowy lub same twarze (fig. 183).

Bardzo ciekawymi zabytkami ówczesnej rzeźby są średniowieczne pieczęcie (fig. 184).

Na wielką skalę rzeźba poczęła rozwijać się w epoce gotyckiej.

Jak w katedrze na Wawelu spotykamy się z wyrobionym gotyckim stylem po raz pierwszy, tak tam również stanął pierwszy monumentalny pomnik i grobowiec Władysława Łokietka (fig. 189 t. I). Pomnik składa się z cokołu lekko profilowanego, na którym spoczywa sarkofag czyli tumba podłużna nakryta płytą o brzegu mocno wystającym i skośno ściętym, a na tumbie leży postać króla. Jest to typ grobowców prosty i stary, który powstał pod wpływem greckich i rzymskich sarkofagów. W XIV. w. grobowce takie rozpowszechnione były na Zachodzie, a nasz grobowiec jest niezawodnie najdalej na Wschód posuniętym objawem tej grobowcowej sztuki.



Fig. 183. Fragment muru kościoła romańskiego N. P. Maryi w Inowrocławiu.

Postać królewska spoczywa na tumbie w takiej pozycyi i ubraniu, jak ją zapewne artysta widział, kiedy królewskie ciało wynieśli z zamku i umieścili w katedrze na widok publiczny. Głowa o długich kręconych włosach w koronie spoczywa na poduszce, twarz również z długimi kręconymi włosami ma dużo indywidualności. Kostyum króla skromny: długa toga, płaszcz zarzucony na ramiona, miecz i sztylet przy boku. W jednej dłoni berło, w drugiej jabłko. Nogi spoczywają na krokształynie ozdobionym liśćmi winogradu, w pośrodku których znajduje się kobieca głowa. Na takich krokształynach umieszczano figury w postawie stojącej, przypartej do ściany filarów. Od tego motywu nie mógł się uwolnić artysta i użył go, pomimo, że zbyteczny i niestosowny był u leżącej figury. Tumbę zdobią płaskorzeźby, przedstawiające płaczki i różne stany: biskupa z romańskim pastorałem w ręku, księży, mnichów i mniszki. Każda z figur komponowana jest starannie, kobiety mają pozę

modną podówczas: biodra wysunięte naprzód, tak, że ciało od szyi do stóp wygięte jest nakształt łuku, przyczem głowa schylona bywa skromnie. Wyraz uczuć oddany głównie przez gest rąk. Draperya układana artystycznie. Tumba tak pojęta i tak skomponowana nie jest osobliwym zjawiskiem dzieła sztuki, podobna ona jest do licznych dochowanych pomników tego rodzaju na Zachodzie. Pomnik był malowany czyli polichromowany i miał baldachim, który przepadł. Dzisiejszy baldachim jest nowy.



Fig. 184. Pieczęć średniowieczna.

Wcześniejszy od grobowca Jagiełły to grobowiec Henryka IV., księcia wrocławskiego i krakowskiego, znajdujący się w kościele św. Krzyża we Wrocławiu. Jest on z wypalonej gliny i malowany. Kompozycya i architektura są podobne jak w grobowcu Łokietka, jednak bogatsze i nieco więcej skomplikowane. Jaki artysta stawiał grobowiec Władysława Łokietka, nie wiemy. Faktem jest, że od grobowca Władysława Łokietka poczyna się świetny rozkwit rzeźby w Krakowie, który trwa do r. 1365. Ten nagły i parę dziesiątek lat trwający rozwój nie jest produkcyą miejscowego cechu, lecz dzieło to najwidoczniej wędrujących stowarzyszeń robotników z mistrzem na czele.

W tej samej katedrze, zapewne współcześnie, powstały rzeźbione zworniki, przedstawiające świętych, Chrystusa, aniołów i herby.

Najpiękniejszemi rzeźbami, jakie znajdują się przed Stwoszem w Polsce, są rzeźby prezbiteryum kościoła N. P. Maryi w Krakowie. Pochodzą one tak, jak wszystkie dotąd omawiane gotyckie rzeźby z czasów Kazimierza Wielkiego. Są tam rzeźby figuralne, roślinne i herby. Przedewszystkiem odznaczają się bardzo wypukłe rzeźby we wnękach łuków okiennych.

Środkowe okno wielokątnego zamknięcia prezbiteryum przedstawia bardzo piękną głowę Chrystusa z obliczem poważnem, pełnem słodyczy, otoczonem nimbusem. Pięć drobnych postaci aniołków z rozpostartemi skrzydłami pnie się po bokach i u spodu głowy.

W pierwszem oknie od południa widać posążek N. Panny z Dzieciątkiem na lewej ręce. U jednego i drugiego boku Madonny klęczy anioł skrzydlaty, a dwaj inni klęczą u jej stóp. Dalej ku południowi przedstawił rzeźbiarz zwycięstwo kościoła nad synagogą, jeszcze dalej św. Krzysztofa, olbrzyma, dźwigającego na sobie dziecię Jezus i podpierającego się drzewem; przechodzi on rzekę, która wyobrażona jest w postaci syreny. Z dru-

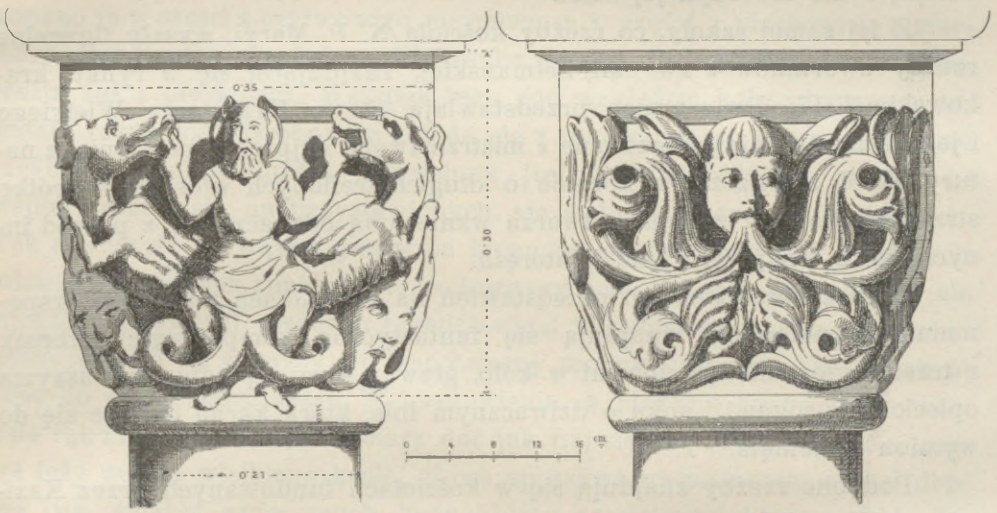

Fig. 185. Kapitele romańskie w kościele w Czerwińsku.

giej strony rzeźbiarz umieścił dawnych panów św. Krzysztofa, którym on służyć nie chciał, a między nimi i szatana z koroną na głowie. Całe to przedstawienie zgodne z duchem legend i pojęć średnich wieków. Nie możemy tu wymieniać wszystkich kompozycyi, zwrócić jednak musimy uwagę na fryz biegnący pod dachem zewnątrz prezbiteryum, przedstawiający różne podania i opowieści średniowieczne, zaczerpnięte ze świata klasycznego, jak opowieść o potędze miłości, której bohaterem jest największy filozof Arystoteles i największy wódz Aleksander Wielki, ujarzmieni przez kobietę Filis.

Wewnątrz kościoła znajdują się wspaniałe dekoracye roślinne, kute w kamieniu. Są to wielkie kapitele służek czyli dinstów w liczbie 12.

Kapitele te zdobią sploty naturalistycznych liści, z których każdy jest odrobiony mistrzowsko i subtelnie. Oprócz tego jest mnóstwo kapitelików drobniejszych. Roślinna ornamentacya odznacza się odczuciem natury, aczkolwiek jest ona stylizowaną. Rzeźbiarz zerwał z martwemi formami epoki romańskiej i odtworzył roślinność północnych pól, łanów i lasów. W miejsce liścia akantu, przejętego z epoki klasycznej, pojawiają się liście dębu, winogradu, paproci, arunku, nenufaru i klonu, z dziwną obserwacyą prawdy i stylowych warunków.

Piękne kapitele kościoła N. P. Maryi wskazują, że rzeźbiarze przybyli do nas z gotowym zasobem studyów roślinności, posługiwali się nią wybornie, a nie stworzyli jej sami.

Z tej samej szkoły, co rzeźby kościoła N. P. Maryi, wyszły figuralne rzeźby zwornikow t. zw. sali hetmańskiej, znajdującej się w rynku krakowskim l. 17. Dwie z nich przedstawiają głowy Kazimierza Wielkiego i jego żony Adelajdy, wykonane z mistrzostwem, najprawdopodobniej z natury. Król zwłaszcza w koronie o długich trefionych włosach, z krótko strzyżoną brodą i wąsami, z twarzą wzniesioną odznacza się z pośród innych rzeźb i najwięcej budzi interesu.

Oprócz heraldycznych przedstawień na zwornikach tejże sali i wspomnianych portretów, znajdują się fantastyczne kompozycye: zwornik z trzema głowami splecionemi w koło, głową zwierzęcą z długiemi uszyma oplecionemi rogami i suka o dziwacznym łbie, która karmi cisnące się do wymion szczenięta.

Podobne rzeźby znajdują się w kościołach fundowanych przez Kazimierza W. w Wiślicy i Stobnicy.

Wszędzie widać obserwacyę wziętą z natury, podobnie, jak z natury zaczerpnął artysta wzory do ornamentacyi roślinnej.

Do tego samego cyklu rzeźb, co rzeźby kościoła N. P. Maryi, należy portal w kościele OO. Dominikanów w Krakowie. Jest on z piaskowca. Zdobi go roślinna ornamentacya, przedewszystkiem liście winogradu z winnemi gronami. W motywy roślinne wpleciono formy zwierzęce: wielki ptak chwyta mniejszego, inny drapieżnik chwyta małego ptaka, gdzieindziej znowu czołga się smok po gałęzi. U kapiteli filarków przedstawiono klęczące postaci, u kapiteli zaś węgarów znajdujemy drobne postaci Adama i Ewy, których artysta wśród roślinności niby w raju przedstawił. Anioł z mieczem ognistym wychyla się, aby ich wygnać na padoł ziemi. Po drugiej stronie widać anioła z mieczem i jakąś figurę w pośrodku. Tu i ów-

dzie znajdują się po kościołach gotyckich szczegóły rzeźbione architektonicznych motywów, jak w skarbcu katedralnym w Krakowie, które z jednego czasu i jednej szkoły niezawodnie pochodzą, tej jednakże wartości, co rzeźby kościoła N. M. Panny, sala hetmańska i portal kościoła OO. Dominikanów, nie mają.

Cały szereg grobowców u schyłku XIV. i XV. w. daje nam pojęcie o rzeźbie gotyckiej, chociaż grobowce te daleko częściej przedstawiają kompozycyę rytą w kamieniu, aniżeli rzeźbioną. Z drugiej połowy XIV. wieku najwspanialszem dziełem grobowcowem jest grobowiec Kazimierza Wielkiego (fig. 193. t. I).

Dzieło to stoi daleko wyżej od grobowca Władysława Łokietka; wykonano je w części z czerwonego marmuru, a w części z piaskowca; z marmuru jest tumba z cokołem, królewska postać i kolumienki baldachimu, reszta zaś z piaskowca. Wskutek tego pod względem kolorystycznym powstała rozmaitość. Grobowiec składa się z tumby, której ściany ozdobiono rzeźbami: ściana dłuższa podzielona jest architektonicznie arkadkami wspierającemi się na przystawionych, ale wolno stojących kolumienkach. Tak utworzyła się wązka galeryjka biegnąca wzdłuż ściany. W głębi tych misternych arkadek znajdują się siedzące postacie. Nie są to już płaczki, ale spokojni i poważni mężowie przedstawieni w pełnej szlachetnego wyrazu pozie. Ubrani są wszyscy we współczesny modny kostyum. Figury zwrócone do siebie rozmawiają. W usadowieniu, w ułożeniu draperyi, w układzie rąk i nóg starał się rzeźbiarz dać jak największą rozmaitość. Na tumbie leży postać wielkiego króla, głowa spoczywa na poduszce, a nogi depczą lwa, symbol zwierzęcych instynktów i namiętności, który zwykle dawano zmarłym na znak walki ze złem i zwycięstwa.

Króla wyrzeźbił artysta tak, jakby nie był martwy, ale żywy. Strój jest koronacyjny. Głowa spoczywa na poduszce, nieco schylona i wydłużona ku widzowi, ażeby lepiej i wyraźniej można zobaczyć rysy. Król, który wprowadził życie dworskie do Polski, wzorowane na obyczajach Zachodu, ma włosy długie, trefione, spadające w lokach na ramiona, brodę równo strzyżoną, starannie utrzymywaną i rurkowaną w loki.

Układ figury jest niezwykły; zapowiada włoskie quatroczento czyli epokę tworzącego się renesansu. Proporcye są dobre, draperya lekko fałdowana bez przesady i maniery gotykowi właściwej. Rzeźbiarz świadomy był swojej sztuki i efektów.

Na tumbie wznosi się ośm kolumienek, które dźwigają baldachim.

Wnętrze baldachimu ma piękne sklepienie, na którem były malowane gwiazdy na niebieskiem tle.

Oto najwspanialszy grobowiec XIV. wieku. Jak on powstał na naszej ziemi, kto go wykonał, zgoła niewiadomo. Szlachetność architektonicznych konstrukcyi, subtelność drobiazgowa w wykonaniu szczegółów, przemawiają za francuzkiem pochodzeniem rzeźbiarza, bo są to cechy właściwe przedewszystkiem francuzkiej sztuce. Wszystkie wogóle rzeźby z czasów Kazimierza Wielkiego mają to piętno francuzkiej sztuki. Tłómaczy się to stosunkami Polski z rodziną andegaweńską. Elżbieta, siostra Kazimierza Wielkiego, była żoną Roberta d'Anjou. Wędrowni architekci i rzeźbiarze w epoce gotyku najliczniejsi, całemi grupami przenosili się z miejsca na miejsce, być zatem może, że tacy artyści rodem z Francyi wykonali wszystkie omawiane rzeźby.

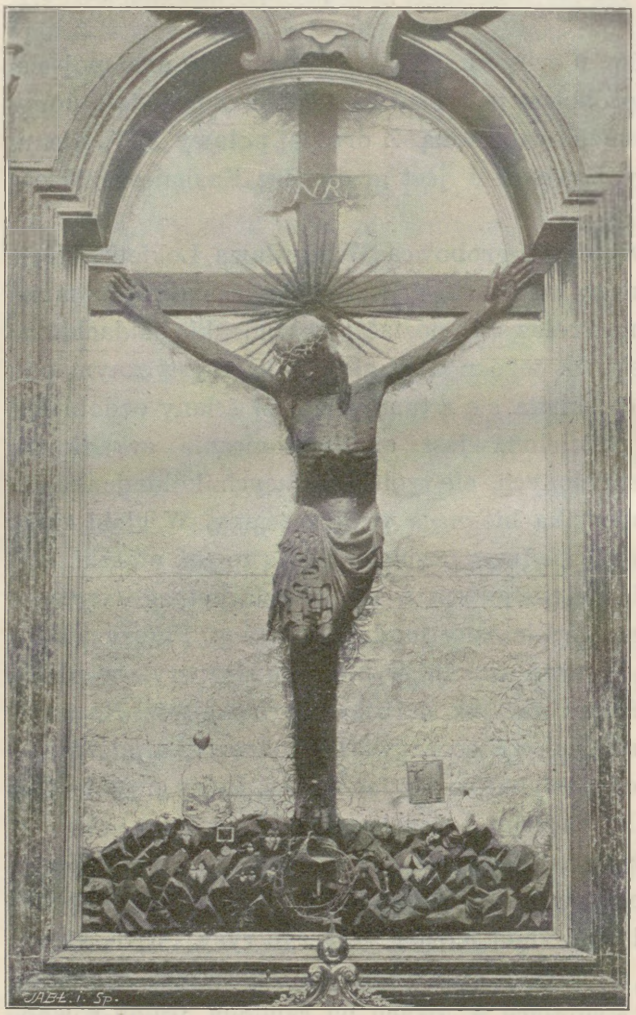

Fig. 186. Krucyfiks Jadwigi w katedrze na Wawelu.

Z samego schyłku XIV. w. pochodzi tak zwany krucyfiks Jadwigi, znajdujący się w katedrze na Wawelu w lewej nawie obiegającej prezbiteryum (fig. 186). Figura Chrystusa przedstawia widocznie chwilę przed

skonaniem, kiedy ciało opuściło się już, a głowa na dół opadła. Rzeźba ma wiele jeszcze wad w proporcyi, w traktowaniu anatomii, ale widać, że artysta posiadał technikę wyrobioną, celował w układzie i piękności draperyi, a zarazem w piękności natury, chociaż tylko powierzchownie. Ze schyłku XIV. i początku XV. w. pochodzi cały szereg figur, przedstawiających N. P. Maryę z dzieciątkiem Jezus. Figury te rzeźbiono w postaci stojącej, w biodrach przegiętej, o piersi cofniętej. Włosy spadają na ramiona. Obliczu umiał artysta nadać dużo wdzięku. Najwięcej jednak wagi przykłada do draperyi. Rzeźby znajdujące się w Muzeum Narodowem, a pochodzące z różnych okolic Polski, dają nam pojęcie o typie posągów N. P. Maryi tej epoki (fig. 187). Nie tylko jednak w drzewie spotyka się tak przedstawianą N. P. Maryę, ale także w kości słoniowej, czego najlepszym przykładem figura Matki Boskiej w kościele OO. Reformatów w Krakowie.



Fig. 187. Posąg N. P. Maryi w Muzeum narodowem w Krakowie.

Z pierwszej połowy XV. wieku najwybitniejszą rzeźbą jest grobowiec Władysława Jagiełły w katedrze na Wawelu. Grobowiec ten postawiono na wzór grobowca Kazimierza Wielkiego i Władysława Łokietka.

Pomnik jest z czerwonego marmuru i składa się z sarkofagu i spoczywającej na nim postaci królewskiej o wydatnej wypukłorzeźbie. Baldachim, który go zdobi, jest dziełem epoki odrodzenia i dano go w miejsce dawnego gotyckiego baldachimu. Pola sarkofagu ozdobiono płaskorzeźbami, przedstawiającemi osieroconych dygnitarzy państwa i herby ziem. Na cokole sarkofagu biegną psy i sokoły.

Na sarkofagu spoczywa postać królewska. Figura przedstawia nam

średniego wzrostu człowieka, leżącego bezwładnie, portretowanego po śmierci. Artysta jednak umiał nadać wysoce artystyczny układ figurze: w rękę prawą włożył królowi berło, w lewej ręce położonej na piersi król trzyma jabłko i jednocześnie ramieniem obejmuje długi miecz. Stopy gniotą smoka. Postać królewską wyrzeźbiono z prostotą odpowiadającą prostocie królewskiego stroju, w jakim zwykle chodził i rysom jego twarzy. Twarz tę odtworzył artysta z wielkim realizmem. Szczegóły wykonane są z mistrzostwem, a przytem artysta miał na względzie całość. Wiedział on dobrze, z jakiego punktu ma traktować postać, zastanawiał się nad liniami kompozycyi i starał się wywiązać z zadania w sposób artystyczny. W kompozycyi rzeźb sarkofagu znać także niepospolitego artystę. Nie tylko w ruchach figur widać naśladowanie życia, ale w każdym szczególe. To też sarkofag Władysława Jagiełły jest jednem z najpiękniejszych dzieł XV. w. w Polsce.

Nie wymieniamy tutaj całego szeregu płyt grobowcowych tak licznie jeszcze zachowanych w kościołach i krużgankach klasztorów, nie wymieniamy również całego szeregu płaskorzeźb wmurowanych w ściany domów, wyobrażających N. P. Maryę, której ofiarodawca składa w darze model budynku, czyli tak zw. tablic erekcyjnych, bo za ciasne na to są ramy tej pracy. Zastanawiamy się tylko nad najważniejszemi dziełami sztuki na naszej ziemi. Najwybitniejszym artystą, o którym nam obecnie przychodzi pisać i któremu więcej musimy poświęcić miejsca, jest Wit Stwosz

Wit Stwosz urodził się około r. 1435., gdzie, dokładnie niewiadomo. Umarł r. 1533. Niewątpliwie był to jeden z pierwszorzędnych i najwszechstronniejszych artystów z tej strony Alp w epoce, kiedy styl gotycki doszedł do szczytu rozwoju, a odrodzenie poczęło zdobywać sobie grunt, by ostatecznie styl gotycki wyrugować. O jego rodzicach, młodości i nauczycielach nic wcale nie wiemy. Najprawdopodobniej kształcił się w szkole Michała Wohlgemuta, najwybitniejszego podówczas malarza i rytownika w Norymberdze, który podejmował się także wykonywania całych ołtarzy wraz z wiążącą się z nimi ściśle snycerską robotą. Zrazu, jak się zdaje, działalność artystyczną rozpoczął od rytownictwa i malarstwa. Najwcześniejszem znanem jego dziełem jest ołtarz w kościele N. P. Maryi w Krakowie. Jest to jego praca największa, a zarazem jedno z największych dzieł średniowiecznej sztuki. Prawdopodobnie Wit Stwosz już w r. 1464. był mieszkańcem Krakowa. Zapewne jednak dopiero r. 1477. z rozpoczęciem ołtarza maryackiego założył większy warsztat, a r. 1481. po

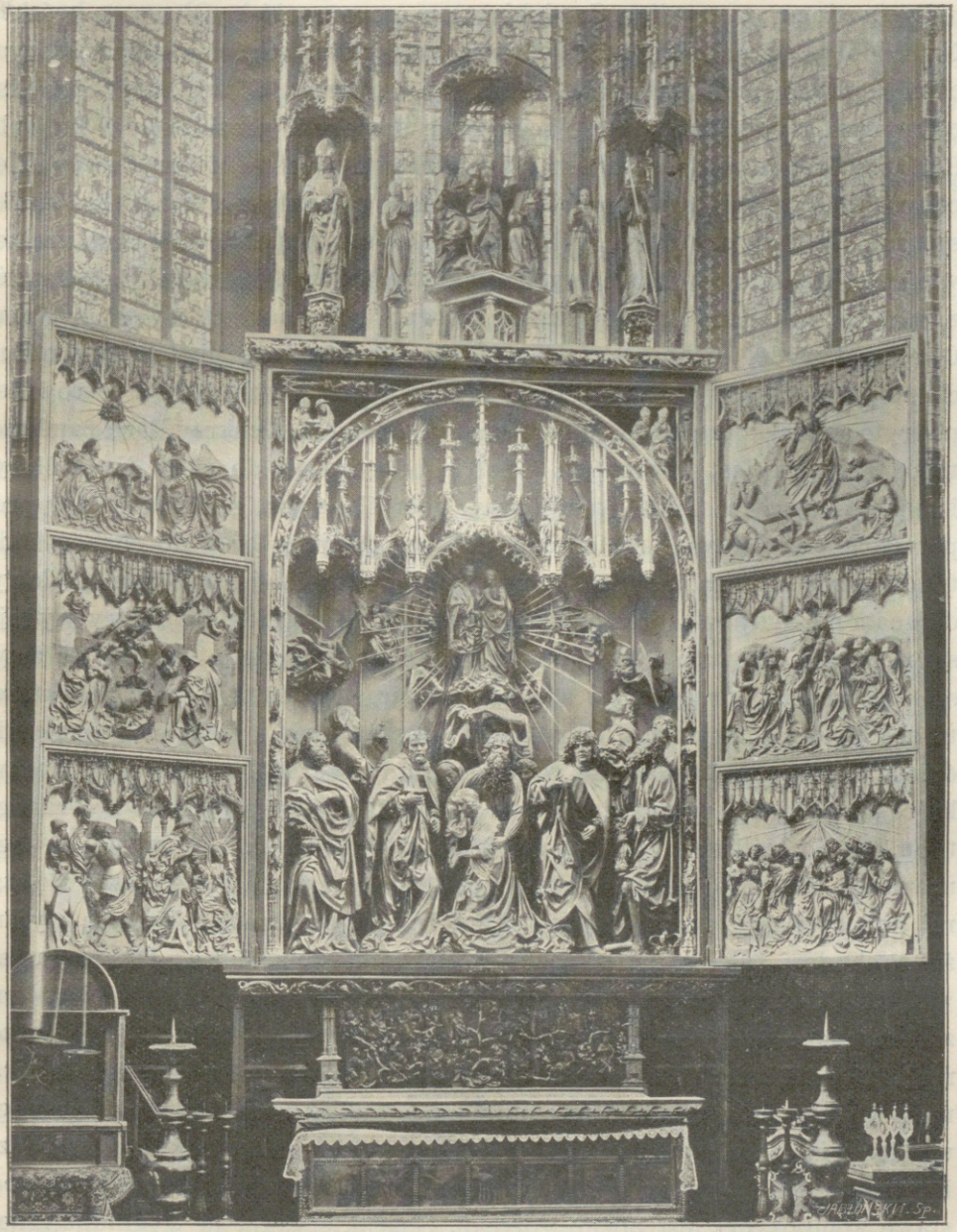

Fig. 188. Ołtarz Wita Stwosza w kościele N. P. Maryi w Krakowie.

nabyciu domu przy ulicy Grodzkiej, tam go przeniósł. Ołtarz w kościele N. P. Maryi ukończył r. 1489. Z tego warsztatu oprócz ołtarza maryackiego wyszły bez wątpienia liczne inne ołtarze. Ołtarz maryacki jest olbrzymim tryptykiem, zajmującym całą szerokość prezbiteryum kościoła (fig. 188). Zbudowany i rzeźbiony jest z drzewa, a następnie malowany i złocony. Całość składa się z predelli, ze środkowej kompozycyi głównej, umieszczonej w szafie tryptyku, w której mieści się grupa figur nadnaturalnej wielkości, ze skrzydeł ruchomych, pokrytych płaskorzeźbami, a wreszcie z zakończenia ponad szafą, które tworzą trzy baldachimy z grupami. Oprócz skrzydeł ruchomych mieszczą się ukryte poza nimi drugie nieruchome, widoczne tylko wtenczas, gdy szafa jest zamkniętą; i te również pokryte są płaskorzeźbami. Wszystkich płaskorzeźb na skrzydłach zamkniętego tryptyku jest dwanaście. Treścią odnoszą się do życia N. P. Maryi i męki Zbawiciela. Całość kompozycyi pomyślana jest gruntownie i w proporcyach przedstawia się bardzo dobrze. Artysta brał do ruchów i do typów wzór z otaczającej go przyrody. Uwydatniał jeszcze silniej głowy, dając im niekiedy większe rozmiary, wskutek czego niektóre figury wydają się za nizkie. Głowom umiał jednak nadać wiele wyrazu. Widać, że artysta wciągnął do pracy wiele studyów, licząc się jednak z tradycyą, której trzeba było się trzymać. Różnorodność wykształcenia i chęć urozmaicenia dzieła przebija najwidoczniej w opracowaniu szczegółów, jak np. włosów, które u każdej figury przedstawione są inaczej, odpowiednio do wybranego typu. Co do traktowania ciała nie tylko w tem dziele, ale i w innych jego utworach uwydatnić należy troskliwość, z jaką artysta przedstawić się starał pod draperyą ukryte formy, układ i kształty korpusu. Ręce są wydłużone, chude i żylaste, układ palców starannie obmyślany. Draperya jak wszędzie u Stwosza, tak i tutaj, charakteryzuje jego dzieło: jest ona zmięta, pełna niespokojnych fałdów i powichrowanych linii. Różnicę materyału zawsze rzeźbiarz uwydatniał, przeważnie jednak do układu brał usztywnione płótno, mnąc je i układając według własnego artystycznego upodobania, a miał zamiłowanie przedewszystkiem do szerokich płaszczyzn i łączenia ich z drobnemi i misternemi. Architektura służąca za podstawę kompozycyi jest późno gotycka. Charakteryzują ją wyginane iglice, łuk szafy jest jednakże już okrągły. Kolory są proste z przewagą lazuru i złota, do których dostrajają się inne barwy. Tu i ówdzie rzeźba wkracza w dziedzinę malarstwa: artysta przedstawiał zapomocą subtelnej płaskorzeźby całe krajobrazy, uzupełniając je przytem barwami. Wogóle

użył do dzieła wszystkich sił i sposobów, którymi rozporządzał. Nie tylko przedstawił nam grupę wykończoną ze wszystkich stron, ale i płaskorzeźbę najróżnorodniej traktowaną. Jak w środkowej grupie widzimy plany, tak w płaskorzeźbach roztacza się cała gradacya planów aż do znikających w oddali szczegółów architektury, lub krajobrazu. Z tą samą wszechstronnością stara się wciągnąć do dzieła najrozmaitsze motywy, architektoniczne wzory, zwierzęta, rośliny, wplatając je w opowieść, lecz podporządkowując całości, która jest poświęcona życiu i chwili śmierci, oraz wniebowzięcia N. P. Maryi. Żaden rys, żaden motyw nie wydobywa się i nie współzawodniczy z tym celem.

Ażeby lepiej poznać na przykładzie twórczość artysty, przyjrzyjmy się najważniejszej środkowej scenie. Na sam przód wysunął artysta N. P. Maryę, a tak ją przedstawił, że widać jej brak sił i zanik życia; ręce nie mogą się utrzymać i ułożyć do modlitwy i mamy to uczucie, że postać runęłaby bezwładnie na ziemię, gdyby nie wysoki i silny apostoł, który ją bez natężenia podtrzymuje. Grupę tych dwu osób pełną wdzięku skomponował rzeźbiarz z wielkim artyzmem: Matka Boska klęczy w profilu, a podtrzymujący ją apostoł z brodą, stoi naprost. Jest to zatem zespolenie dwu różnych układów, nad którymi wznosi się postać trzecia w profilu stojąca, z pochyloną głową i rękami założonemi nad czołem w żalu i rozpaczy. Ręka lewa wysuwa się śmiało naprzód i z taką pewnością artystycznego efektu, jakiego przed Stwoszem nie widzieliśmy. Grupy tej z trzech figur złożonej dopełniają dwie głowy, przypatrujące się z za ramion podtrzymującego Matkę Boską apostoła, Jej spokojnej śmierci.

Na prawo widzimy cztery figury. Najbliższa postać Matki Boskiej, zapewne św. Jan, nieco pochylona w tył podnosi szatę, aby nią obetrzeć łzy. Trzej inni obok niego apostołowie patrzą w górę, jakby mieli wizyę Wniebowzięcia. Grupa ta łączy akcyę dolnej części z górną. Jeden z apostołów na przodzie, na prawo, trzyma kadzielnicę, na lewo, najbliższy M. Boskiej, zapewne św. Piotr, ma książkę w ręku i czyta modlitwę za konających, w lewej ręce miał widocznie niegdyś gromnicę, której dzisiaj brak. Dalej na lewo stojący apostoł prawą ręką podtrzymuje wspartą na kolanie kropielnicę z wodą święconą. W głębi widać w profilu pół figury apostoła, zdmuchującego dogasającą świecę, policzki jego wydęły się silnie. Na samym lewym brzegu kompozycyi uwydatnia się tylko głowa zamyślona i pełna smuku. Cała ta scena przedstawia moment, w którym dusza Matki Boskiej dobywa się z ciała, aby połączyć się z Chrystusem. Wszystkie figury mają układ

jak najróżnorodniejszy, część z nich na drugim i trzecim planie mieści się na wyższem podyum, aby ją można było uwydatnić, a przytem wiążą się one z figurami pierwszego planu, w jedną naturalną, a przecież z artyzmem obmyślaną kompozycyę.

Wniebowzięcie to grupa złożona z dwu pięknych, idealnych osób i w przeciwstawieniu do figur dolnych przykrótkich, o wydłużonych kształtach, zapewne dla uzmysłowienia wzlotu — zresztą obie figury przedstawił Stwosz jako nadziemską wizyę. Madonna złożyła ręce do modlitwy przed Bogiem, a wreszcie lekko przysuwa się do Niego, jako do syna. Chrystus podtrzymuje jej szaty, jakby ją zabierał do nieba. U stóp jej i po bokach aniołowie, dalej anioł grający na organku, a na prawo również anioł, zwracając się ku grupie apostołów, wskazuje im zjawisko. Wszyscy anieli w locie, pełni siły i chęci służenia Wniebowziętej.

Cała przestrzeń jest ściśle wypełniona, a promienie złociste, padające od wznoszącej się grupy, urozmaicają miejsce wolne, niezakryte aniołami.

Nad całą tą kompozycyą wznosi się baldachim, a zamyka ją śmiało zatoczony łuk renesansowy. U baldachimu iglice ozdobione są przypartymi i stojącymi w różnych pozach figurkami męskiemi, których układ i kształty przypominają figury odrodzenia. Iglice na przedzie są wygięte i zlewają się w półksiężyc, znany nam już z baldachimu Kazimierza Jagiellończyka. Wnęk okrągłego łuku zapełniają figurki wznoszące się na filarach i pod baldachimami, które są zarazem podstawą następnych figur. Figurki są bardzo pięknie skomponowane i w pełnych rozmaitości pozach. Wszystkie zwracają się twarzami ku ścianie głównej. Również wnęki narożników szafy wypełniają takież same postacie. W samych narożnikach mieszczą się grupy złożone z dwóch figur przedstawiających ojców kościoła.

Ponad ołtarzową skrzynią wznosi się podstawka o przeźroczach wypełnionych maswerkiem, podparta z boku kolumienkami u każdego naroża. Na podstawce mieści się grupa będąca dalszem i ostatniem rozwinięciem scen przedstawionych w szafiastej części ołtarza — koronacya N. P. Maryi. W środku grupy siedzi Matka Boska ze złożonemi do modlitwy rękoma, pochyliwszy skromnie głowę, na którą Bóg Ojciec i Syn Boży wkładają koronę, ponad nimi wzlata Duch św. Po bokach, na filarkach użytych jako podstawa stoją aniołowie: jeden z nich gra na organkach, drugi na gitarze. Obok na filarkach nieco grubszych, znajduje się z każdej strony postać biskupa w pontyfikalnym stroju. Są to św. Patronowie polscy: św.

Wojciech i św. Stanisław. Ponad wszystkiemi temi figurami unosi się lekko rozpięty baldachim, dzielący się na partye dostosowane do całości.

Część między ołtarzem i szafą, t. zw. predella, przedstawia drzewo genealogiczne Jessego, na którem mieszczą się figury w różnych pozycyach i w różnie ułożonych draperyach.

Wartość artystyczna ołtarza jest wielka, jest to jedna z najpotężniejszych kreacyi wieków średnich. Widać, że artysta wciągnął do pracy wiele studyów. Draperya szczególniej charakteryzuje Stwosza: jest zmięta, pełna niespokojnych fałdów i powichrzonych linij.

Roku 1489. ukończono ołtarz.

W roku 1442. runęło sklepienie. Katastrofa ta spowodowała nie tylko wystawienie nowego ołtarza, ale także krucyfiksu rozpiętego na tęczy między prezbiteryum a nawą główną.

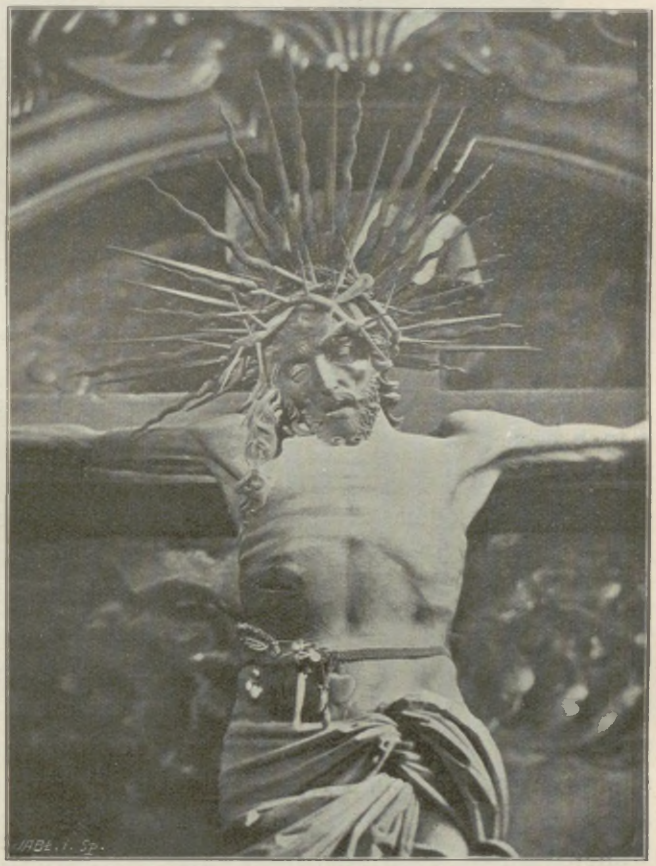

Fig. 189. Krucyfiks w kościele N. P. Maryi w Krakowie.

Niewątpliwie wykonanie nowego dzieła polecono Witowi Stwoszowi. Krucyfiks przedstawia Chrystusa w nadnaturalnej wielkości. Głowa szczególniej zasługuje na uwagę. W otoczeniu ciemnych włosów odbija blada i pełna bólu twarz Chrystusa z rozchylonemi ustami. Na głowie lekka cierniowa korona.

Daleko większą wartość ma inny krucyfiks, umieszczony w tymże samym kościele w południowej jego nawie (fig. 189). Na potężnym krzyżu o grubych

czworograniastych belkach rozpięty jest nagi Chrystus w pozycyi silnie wyprężonej. Chrystus już skonał i lekko skłonił głowę na piersi. Wykonanie twarzy odrazu świadczy o dziele wielkiego mistrza. Rzeźbiarz pojął Chrystusa jako człowieka w sile wieku z czołem pełnem zmarszczek, o policzkach zapadłych pod wpływem męki i bólu. Ciało jest piękne i nie znać na nim katuszy i chłost, jedynie w prawym boku szeroka i głęboka rana. Oko już nie pała, zaszło bielmem i ani śladu w nim życia: powieki są na pół otwarte. Usta rozchylone, dolna warga nieco opuszczona i bólem lekko skrzywiona. Z wielką znajomością anatomii przedstawił artysta ciało z poczuciem układu muskułów, tętnic i żył.

Wogóle w całości i szczegółach krucyfiks przedstawia się jako pierwszorzędne dzieło nie tylko średnich wieków, ale nawet i dziś do najwybitniejszych dzieł sztuki należy.

Innem znakomitem dziełem jest grobowiec Kazimierza Jagiellończyka w katedrze na Wawelu.

Dzieło składa się z dwóch części: sarkofagu i baldachimu. Każdą z tych części tworzył inny artysta, mianowicie sarkofag Wit Stwosz, zaś baldachim Jorek czyli Jurek Huber.

Pod względem artystycznym dzieła te wybitnie się od siebie wyróżniają i dzieło Hubera, aczkolwiek jest nie pospolitem, arcydziełem już nie jest. Na tumbie spoczywa postać królewska. Król w koronacyjnym stroju leży, mając głowę i ramiona pogrążone w miękkiej i podatnej poduszce. Na głowie bogato ozdobiona korona składa się z obrączki, na której artysta odtworzył perły i drogie kamienie i z wieńca liści powichrzonych i powiązanych z sobą. Twarz chuda o pomarszczonem czole, z wystającymi policzkami, wydatnym nosem i wysuniętą brodą. Oczy otwarte, skóra twarzy oddana w sposób mistrzowski. Usta mają wargi silnie rozwinięte, włosy w puklach dobywają się z pod korony i spadając na skronie, zakrywają uszy. Szyja starca pomarszczona z muskułami rozluźnionymi. Kapa koronacyjna sztywna i ciężka została wskutek pozycyi leżącej wtłoczoną w ramy kompozycyi i częściowo zmiętą, a częściowo pogięła się w wielką wklęsłą płaszczyznę. Szlak jej ozdobiony kamieniami i perłami. Ręce wykonane są w mistrzowski sposób. Lewa ręka trzyma ciężkie berło zakończone u wierzchu kielichem z liści. U stóp króla po jednej i po drugiej stronie mieszczą się wspięte na tylnych łapach dwa lwy zakute w przyłbice, na których spoczywają korony: jeden z tarczą o herbie austryackim dzierży obnażony miecz królewski, drugi trzyma w pazurach herb państwa



Fig. 190. Wit Stwosz: Grobowiec arcybiskupa Zbigniewa Oleśnickiego w katedrze gnieźnieńskiej.

a jako klejnot jego hełmu widnieje zrywający się do lotu orzeł w koronie.

Cała ta płyta wykonana jest bardzo starannie: artysta stawiał sobie trudne zadania z całą świadomością. Na tumbie przedstawił rzeźbiarz utartym zwyczajem biadające stany. Jest to szereg studyów, ruchów i typów, opracowanych z poczuciem artystycznem. Wszystkie postacie przedstawione są tutaj w pozycyi siedzącej, każda jednak ułożona jest odmiennie. Tę rozmaitość widać w wykonaniu szczegółów. Chodziło artyście o to, aby różnorodnie opracować ten sam temat. Na baldachimie widzimy u kapiteli dźwigających podniebie cały szereg płaskorzeźb, przedstawiających sceny ze starego i nowego testamentu. Sceny te zostały niezawodnie wyrzeźbione przez Hubera, który też na jednym z kapiteli zostawił swoje nazwisko. Niezawodnie rysunków dostarczył mu Wit Stwosz, to też kompozycya przedstawia wybitną artystyczną wartość. Artysta umiał wyzyskać powierzchnię i na takiej przestrzeni przedstawić cały szereg zdarzeń. Na tumbie u stóp królewskich pozostawił artysta swój monogram z datą 1492.

Prócz tego grobowca wykonał Wit Stwosz i inne. Zaliczyć tu należy grobowiec Piotra z Bnina we Włocławku, postawiony staraniem Kalimacha i zbliżający się do typu współczesnych włoskich grobowców, oraz grobowiec Zbigniewa Oleśnickiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, znajdujący się w katedrze gnieźnieńskiej (fig. 190). Wykonany w czerwonym marmurze przedstawia zmarłego arcybiskupa w płaskorzeźbie w pozie stojącej: lewa noga podtrzymuje ciężar ciała, podczas gdy prawa nieco zgięta wypoczywa; układ to cechujący przedewszystkiem figury klasyczne, a następnie epoki odrodzenia. Postać arcybiskupa skomponował artysta na tle draperyi, podtrzymywanej przez dwa skrzydlate anioły, których ciała uwydatniają się z pod fałdów. Jest to najklasyczniejsza z figur Wita Stwosza i najbardziej do renesansu zbliżona.

Z dzieł Stwosza wymienić jeszcze należy płaskorzeźbę na placu Maryackim w Krakowie, wmurowaną w ścianę jednego z domów, a przedstawiającą Chrystusa w ogrojcu, również wybitnej artystycznej wartości.

Mały krucyfiks w drzewie, znajdujący się w Muzeum Narodowem w Krakowie, zdaje się być studyum do krucyfiksu w nawie bocznej kościoła N. P. Maryi. Te są prace rzeźbiarskie Wita Stwosza, które wykonał w Polsce.

Jest jednak jeszcze praca, w której Wit Stwosz brał udział, ale wykonana w Norymberdze, to płyta grobowcowa Piotra Kalimacha, znajdu-

jąca się w kościele OO. Dominikanów w Krakowie (fig. 191). Wykonana w bronzie ze współudziałem Piotra Vischera, słynnego norymberskiego ludwisarza, jest tylko częściowo dziełem Stwosza. On to niezawodnie modelował postać Kalimacha w pozie siedzącej, zajętego pracą. Wnętrze mieszkania humanisty pod względem kulturalnym zasługuje na szczególniejszą uwagę.



Fig. 191. Grobowiec Kalimacha w kościele OO. Dominikanów w Krakowie.

Wit Stwosz pozostawił w Krakowie swego syna Stanisława i niezawodnie uczniów. Istnieje dosyć znaczna liczba rzeźb przypisywanych ogólnie Stwoszowi, które nie mają tego wybitnego talentu, co dzieła Wita Stwosza. Wartość ich jest różnorodna. Dzieła takie, jak ołtarz św. Stanisława w kościele N. P. Maryi w Krakowie, oraz bardzo do niego zbliżony pod względem wartości artystycznej ołtarz św. Jana Chrzciciela w kościele św. Floryana w Krakowie, są niepospolitemi dziełami sztuki. Jest natomiast

wielu rzeźbiarzy, którzy pozornie naśladują nie tylko manierę Stwosza, ale kopiują jego utwory, zwłaszcza sceny z maryackiego ołtarza. Takie wywierały wrażenie dzieła, pozostawione przez tego wielkiego mistrza, który bawił w murach Krakowa od r. 1464—1496 w czasie najpełniejszego rozwoju swego talentu.

Szlachetniejszym i trwalszym materyałem, jakiego używano do nagrobków obok kamienia i drzewa, był bronz. Z końcem XV. i początkiem XVI. w. pomniki grobowcowe z bronzu stają się coraz to powszechniejsze.

Najstarszy z dochowanych pomników bronzowych w Krakowie jest pomnik Kalimacha Buonacorsi, sekretarza królewskiego, zmarłego r. 1496., który w części wykonał Wit Stwosz, a o którym już mówiliśmy.

W grobowcu tym obramienie wykonał inny artysta, który z tem dziełem wchodzi na widownię sztuki w Polsce, t. j. Piotr Vischer. Żył on w Norymberdze w latach 1455 a 1529.

Dzięki stosunkom ze Stwoszem Piotr Vischer otrzymał cały szereg zamówień do Polski. Pierwszym w tym szeregu jest grobowiec Kallimacha-drugim grobowiec Uriela Górki, biskupa poznańskiego, zmarłego r. 1498. Jest to płyta z wyrytą postacią zmarłego i znajduje się w poznańskiej katedrze. Przedstawia na tle wzorzystej materyi postać biskupa w pontyfikalnym stroju. Grobowiec jest bardzo ładny, rysunek jest subtelny i częściowo zapomocą kresek cieniowany. Ponad biskupem wyrył artysta gotycki baldachim. Napis otacza ornament roślinny. Dalszem dziełem pracowni Vischera jest grobowiec Bernarda Lubrańskiego, kanonika poznańskiego zmarłego r. 1499., znajdujący się w poznańskiej katedrze. Jest to płaskorzeźba, przedstawiająca kanonika w postawie stojącej z rękami złożonemi do modlitwy, także pod gotyckim baldachimem. Wpływ odrodzenia zaznaczył się najwidoczniej w opracowaniu dwóch nagich figur, trzymających tarczę.

W kościele N. P. Maryi w Krakowie znajduje się inne dzieło pracowni Vischera: jest to grobowiec Emerama Salomona, zmarłego r. 1504. Przedstawia on postać już nie w niezdecydowanej pozie na pół stojącej, na pół leżącej, ale z ruchem i z życiem, a przytem z wykwintną elegancyą. W ustawieniu figury artysta rozmyślnie starał się o piękne formy. To już cecha świadomego dążenia do artyzmu wykształconego na antyku, to jest cecha Odrodzenia. Artysta przedstawił postać na tle wnętrza architektury gotyckiej i dywanu.

Piękniejszem i bardziej rozwiniętem dziełem tego samego artysty jest



Fig. 192. Nagrobek Andrzeja Szamotulskiego w parafialnym kościele w Szamotułach w Poznańskiem.

grobowiec Piotra Kmity na Wawelu. Kmita umarł w r. 1505., po tym więc roku pomnik wykonano. Jest to płyta przedstawiająca rycerza w postaci stojącej, zwróconego w trzech czwartych w lewo i stojącego na posadzce w perspektywicznem skróceniu przedstawionej. Figurę wykonano w subtelnej płaskorzeźbie. W prawej ręce trzyma on proporzec z mistrzowskiem poczuciem draperyi, lewą rękę wsparł na rękojeści miecza. Tło obrazu ozdobione jest wzorzystym dywanem, a narożniki ożywiają płaskorzeźbione centaury. Na lewo obok proporca znajduje się miecz owinięty rapciami. Po bokach płyty umieścił rzeźbiarz płaskorzeźbione posążki św. Piotra i Pawła. Aczkolwiek architektoniczne motywy są gotyckie, to jednak figury wszystkie wykonano w stylu odrodzenia. Prawie współcześnie z tej samej pracowni Piotra Vischera wyszedł grobowiec kardynała Fryderyka Jagiellończyka, zmarłego r. 1503., znajdujący się w katedrze na Wawelu przed ołtarzem głównym. Jest to także płyta grobowa położona na posadzce prezbiteryum. Przedstawia ona kardynała w pontyfikalnym stroju, stojącego wprost na tle gotyckiej architektury i dywanu. Cała kompozycya jest ryta i jest również mistrzowska, jak i poprzednie wymienione dzieła tegoż artysty, tylko bogatsza i ozdobniejsza. Po bokach wyryto figurki św. Wojciecha i Stanisława. Do tej płyty Zygmunt Stary kazał dorobić drugą płaskorzeźbę, którą umieszczono pionowo między schodami prowadzącemi do prezbiteryum, a która już jest dziełem rozwiniętego odrodzenia.

Bardzo pięknem dziełem Vischerowskiem jest grobowcowa płyta, przedstawiająca Andrzeja Szamotulskiego w parafialnym kościele w Szamotułach w Poznańskiem (fig. 192). Dalej pomnik Piotra Salomona z Benedyktowic w kościele N. P. Maryi w Krakowie i inne płyty mniejszej wartości uzupełniają szereg dzieł pracowni Vischera. Aczkolwiek wszystkie te płyty mają wyraźne piętno sztuki odrodzenia, to jednak jeszcze spotyka się w nich formy gotyckie. Rzeźbę skomponowaną zupełnie w duchu odrodzenia i pierwszą rzeźbą zupełnie renesansową jest grobowiec króla Jana Olbrachta, prócz płyty z wizerunkiem króla wcześniej wykonanej, a pochodzącej z epoki gotyckiej.

RZEŹBA ODRODZENIA.

Obok naśladownictwa antyku, który przedewszystkiem zaznaczył się w ornamentacyi i w traktowaniu draperyi, pojawia się bezpośrednie i różnorodne zbliżenie się do natury, jednem słowem życie i ruch. I to jest



Fig. 193. Grobowiec króla Olbrachta w katedrze na Wawelu.

właśnie początkiem nowej epoki. Pojawiają się artyści, którzy do dzieła robili studya z natury, obserwowali i rozumieli ruchy, a szczegóły wiązali w jedną zamkniętą całość: w jedno pełne świadomego artyzmu dzieło. Nie wahali się przedstawiać nagości, której w średnich wiekach kościół nie znosił, a przedstawiali ją dlatego, że dała im ona pole do wprowadzenia w swój utwór piękna i wzbogacenia kompozycyi.

Już u Stwosza dopatrywaliśmy się śladów odrodzenia i to powierzchownych, przedewszystkiem w użyciu okrągłego łuku i w napisach, chociaż nie brak wybitnej cechy wspólnej Stwoszowi z artystami odrodzenia, t. j. znajomości anatomii; ale tę wyrobił sobie sam Stwosz, który ani rzeźb klasycznych ani artystów odrodzenia nie widział i nie znał, a z Włochów tylko bawiący w Krakowie Kallimach najprawdopodobniej na niego oddziaływał. Drugi ślad odrodzenia, to płyty Vischera, towar importowany z Niemiec, w których, jak widzieliśmy, tu i ówdzie przebijają się wybitne cechy odrodzenia.

Dopiero wspomniany grobowiec Olbrachta jest dziełem wykonanem na miejscu przez włoskiego artystę (fig. 193).

Pierwszy ten włoski artysta dostał się do Polski z Węgier, dokąd sztuka odrodzenia pierwej dotarła, aniżeli do innych sąsiadujących z Polską krajów.

Grobowiec zajmuje rozmiarami całą ścianę w jednej z kaplic w katedrze na Wawelu. Tumba z postacią królewską umieszczona jest w nyży tworzącej jakby łuk tryumfalny. Właśnie ten łuk tryumfalny jest dekoracyą rzeźbiarską i jest już na wskróś dziełem odrodzenia, podczas gdy płyta z postacią królewską jest jeszcze dziełem średniowiecznej sztuki. Na dekoracyę składają się kandelabry, rogi obfitości, panoplie, owoce, a ornamenta te odpowiadają przeznaczeniu, t. j. głoszą chwałę życia królewskiego, pełnego owoców i w ten sposób są niejako panegirykiem dla zmarłego. Dekoracya jest skupioną i dobrze obmyślaną. Tej harmonii tak pomyślanej nie zakłóca ani jeden szczegół zbyteczny: jest ona przytem prostą i jasną. Grobowiec wystawił Zygmunt Stary jeszcze jako książe wspólnie z matką Elżbietą Austryaczką.

Rzeźba renesansu zakwitnęła, kiedy Zygmunt Stary wstąpił na tron, a przedewszystkiem w czasie budowy kaplicy Zygmuntowskiej. Bardzo piękne płaskorzeźby ozdobiły wnętrze tego znakomitego dzieła. Na dekoracyę złożyły się ornamentacya roślinna i figuralna rzeźba. Ta ostatnia nieraz jest bardzo świecką: widzimy tu satyrów, Wenus, amorków, maszkarony, ludzi skomponowanych w ten sposób, że formy ich przechodzą w ornamentacyę roślinną, jednem słowem, sztuka klasyczna odżyła w całej pełni. Autorem jest Bartolomeo Berecci i jego pomocnicy, którzy w latach 1520—1530 wykończyli to dzieło. Główną rzeźbą jest jednakże grobowiec Zygmunta Starego (fig. 194). Pierwotnie wyglądał on inaczej jak dzisiaj, kiedy nie było jeszcze sarkofagu z postacią Zygmunta Augusta, a wtedy

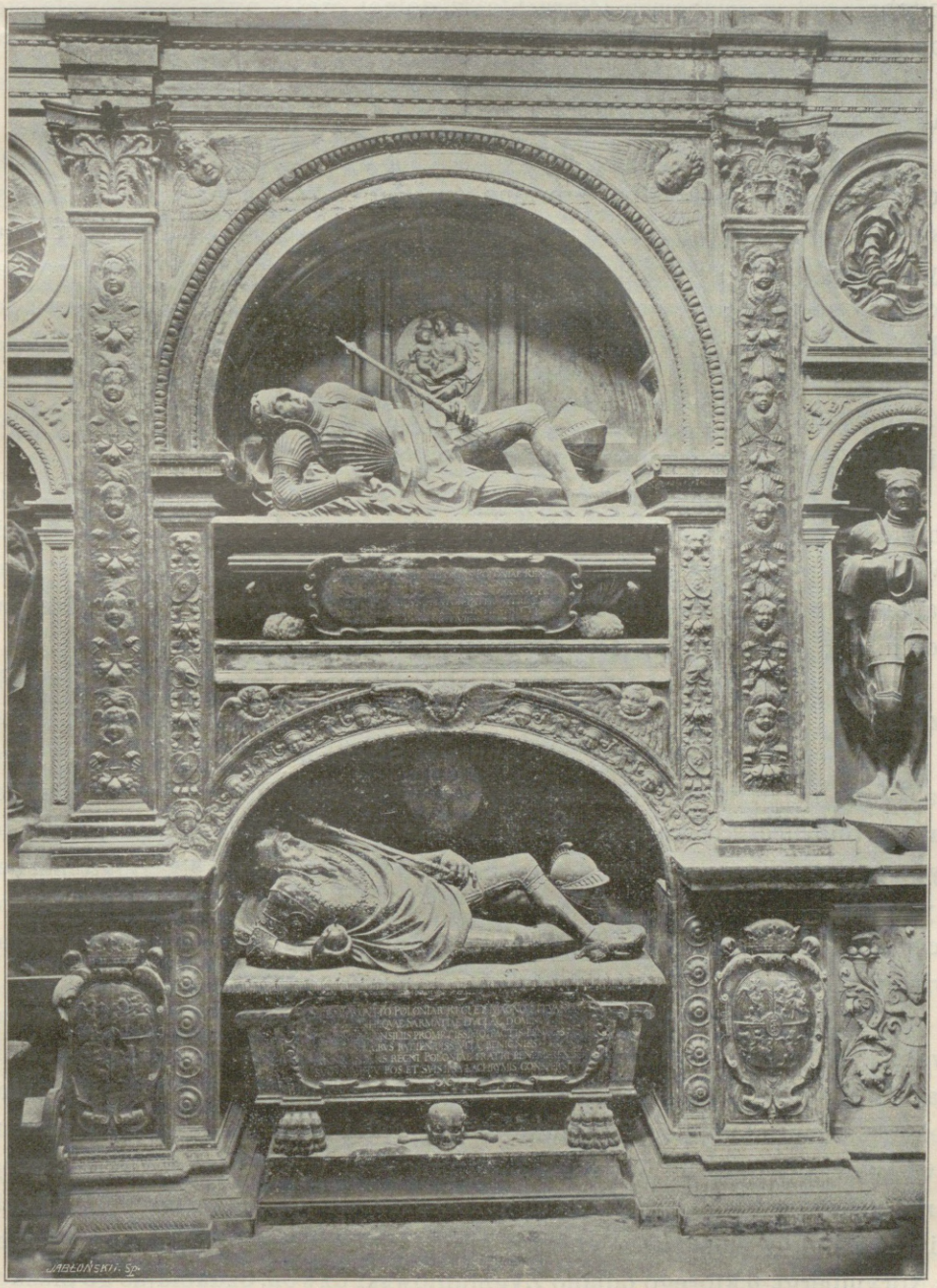

Fig. 194. Grobowiec Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta w katedrze na Wawelu.

podobnie jak w grobowcu Olbrachta w dolnej części nyży znajdowała się spoczywająca na tumbie postać króla, nad którą wisiał medalion z N. P. Maryą. Postać królewska jest bardzo ładnie pojętą, króla wyobrażono nie jako trupa, ale jako rycerza, który na chwilę zasnął.

Obok płaskorzeźbionej dekoracyi i oprócz rzeźby, przedstawiającej króla, znajdują się rzeźby figuralne św. Patronów kaplicy. Są to figury skomponowane zupełnie w duchu odrodzenia i ustawione tak, ażeby można było przedstawić piękne kształty i linie: ciało wspiera się na jednej nodze, podczas gdy druga noga wolno opuszczona spoczywa. Stosunek piersi do głowy jest również starannie obmyślany: wszędzie widać wielką dbałość o formę. Obok tych rzeźb zdobią kaplicę jeszcze medaliony przedstawiające w popiersiu postaci z Pisma św. Materyał, jakim posługiwano się, jest piaskowiec i czerwony marmur.

W tym samym duchu odrodzenia wykonano bardzo piękny baldachim nad grobowcem Władysława Jagiełły. Wykonali go ci sami artyści. Widzimy tam obok roślinnych figuralne kompozycye, a między nimi nagie kształty kobiece, medaliony starożytne, wóz rzymski i rzymskie panoplia.

Cały szereg czysto renesansowych i pięknych rzeźb wykonano współcześnie w Krakowie, a następnie rozsyłano na całą Polskę. Najpiękniejsze z grobowców współczesnych Zygmuntowi Staremu znajdują się w katedrze na Wawelu i w katedrze tarnowskiej. Nie są one wprawdzie tak wielkie, jak grobowiec królewski, ale są równie piękne. Najczęściej należą do typu mniejszego przyściennego grobowca o bardzo ładnej architektonicznej nyży. Piękno leży w proporcyach i ustosunkowaniu części, w szlachetności linij, gdzie dekoracyj rzeźbiarskich brak, wreszcie w barwnem zestawieniu materyału.

Obok tych rzeźb, wykonywanych w marmurze i piaskowcu, powstawały także rzeźby odlane w bronzie. Około r. 1520 była w Krakowie ludwisarnia, gdzie artyści miejscowi odlewali dzieła. Przykładem tej rzeźby jest aniołek na szczycie kaplicy Zygmuntowskiej, dalej słynny dzwon Zygmuntem zwany w katedrze na Wawelu. Z tej pracowni wyszedł nadto cały szereg armat, bardzo ładnie zdobionych płaskorzeźbami, które znane są nam dzisiaj z rysunków zaledwie. Wybitnym krakowskim ludwisarzem był Jan Behem z Norymbergi, u którego odlano Zygmuntowski dzwon, ozdabiając go płaskorzeźbami; z jego też pracowni zapewne wyszły wspomniane dzieła, a także medalion umieszczony nad sarkofagiem Zygmunta Augusta w kaplicy Zy-

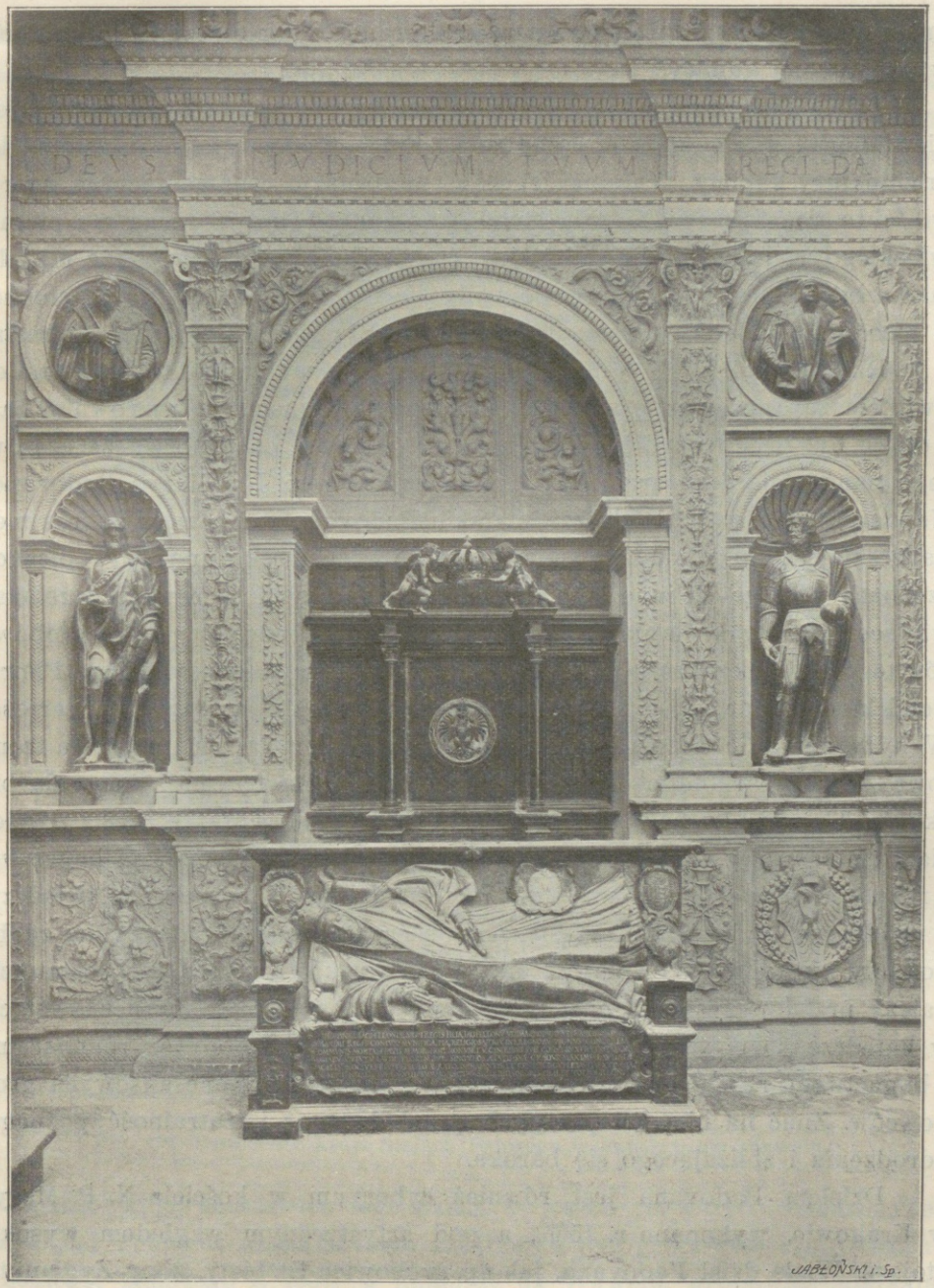

Fig. 195. Wnętrze kaplicy Zygmuntowskiej z grobowcem Anny Jagiellonki, żony Stefana Batorego, w katedrze na Wawelu.

gmuntowskiej, oraz aniołki trzymające koronę, a umieszczone na stallach w tejże samej kaplicy.

Tak piękna i zdobiona grawirunkami krata kaplicy Zygmuntowskiej niewiadomo, gdzie została wykonana. Krata ta dostraja się układem do architektury kaplicy. W dolnej jej części przeważają ornamentacyjne wzory właściwe renesansowi niemieckiemu, podczas gdy część górna ma piętno włoskiego renesansu. Do zabytków rzeźby zaliczyć należy także medale lane i bite, które w tej epoce pojawiły się i poczęły się rozpowszechniać. Z nich najpiękniejsze to medale Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta.

Rzeźba, która tak wspaniale rozwijała się za Zygmunta I., niemniej kwitnęła za czasów jego następcy Zygmunta Augusta, który również jak i ojciec był wielkim miłośnikiem sztuki. Główną osobistością za czasów jego panowania jest architekt i rzeźbiarz zarazem Jan Marya Padovano. Najstarsze datowane dzieła rzeźbiarskie Padovana wchodzą w zakres medalierskiej sztuki i tłómaczą nam biegłość rzeźbiarską artysty w płaskorzeźbach zdobiących inne jego dzieła. Medalami tymi są medale przedstawiające portrety króla, jego żony i dzieci. Najpiękniejszym zaś z grobowców tego architekty-rzeźbiarza jest grobowiec biskupa krakowskiego Piotra Tomickiego, zmarłego r. 1555. Grobowiec ma wysoką artystyczną wartość. W nyży znajduje się sarkofag marmurowy z postacią biskupa, a na frontowej ścianie sarkofagu dwa bardzo piękne amorki trzymają insygnia biskupie. Tło nyży tworzy płaskorzeźba przedstawiająca Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus i z św. Piotrem, patronem zmarłego. W proporcyi bogactwo i różnorodność ornamentacyi tak w formach jak i w technice świadczy o wybitnych zdolnościach artysty. Cały szereg grobowców Padovana zdobi kościoły nie tylko w Krakowie, ale i poza Krakowem. Do tych ostatnich należy przedewszystkiem grobowiec Jana i Jana Krzysztofa Tarnowskich w katedrze tarnowskiej, wystawiony po r. 1567. Grobowiec rozmiarami i bogactwem rzeźb zajmuje pierwsze miejsce wśród renesansowych grobowców. Znać na nim już przepych, przeładowanie i teatralność późnego odrodzenia i zbliżającego się baroka.

Dziełem Padovana jest również cyboryum w kościele N. P. Maryi w Krakowie, wykonane r. 1555., a pod artystycznym względem wysoko stojące. Wiele dzieł Padovana, jak np. grobowiec Elżbiety, żony Zygmunta Augusta, przepadło.

Obok Padovana pracują jeszcze inni Włosi, ale żaden z nich nie może się z nim mierzyć różnorodnością wykształcenia, wysoko rozwiniętym zmy-

słem artystycznym i biegłością w technice. Wybitne jedynie obok niego miejsce zajmuje Polak Jan Michałowicz z Urzędowa. Dzieła jego powstały pod wpływem sztuki włoskiej, jednak, że nie są to utwory Włocha, można poznać po bliższem rozpatrzeniu się. Widać już pewne rozluźnienie form



Fig. 196. Grobowiec króla Stefana Batorego w katedrze na Wawelu.

w zastosowaniu, aczkolwiek jego dzieła są jeszcze na wskróś renesansowe. Najwięcej znanemi dziełami tego rzeźbiarza jest grobowiec Piotra Boratyńskiego, zmarłego r. 1558. w katedrze na Wawelu, grobowiec Mikołaja Korycińskiego w kościele OO. Dominikanów w Krakowie, a najpiękniejszy niezawodnie grobowiec biskupa Andrzeja Zebrzydowskiego, zmarłego r. 1560., także w katedrze na Wawelu, oraz w tejże samej katedrze kaplica

Różyców z grobowcem Filipa Padniewskiego, stawiana pod wpływem kaplicy Zygmuntowskiej. Tak samo jak Padovano, dostarczał on grobowców do różnych kościołów Polski. Jan Michałowicz z Urzędowa jest niewątpliwie najwybitniejszym polskim rzeźbiarzem XVI. wieku.

Przykładem zupełnego zwyrodnienia późnego odrodzenia jest grobowiec Stefana Batorego (fig. 196). Grobowiec ten jest rozczłonkowany na mnóstwo części, a przytem przeładowany plastyczną dekoracyą, jak wieńce, herby, tablice z napisami i płaskorzeźbą przedstawiającą w alegorycznej formie zdobycie Smoleńska. Rzeźbiarz starał się o wydobycie malarskich efektów przy zachowaniu ogólnego typu grobowca. Następstwem było wprowadzenie różnorodnego materyału, piaskowca, czerwonego marmuru i alabastru.



Fig. 197. Grobowiec króla Jana III. w katedrze krakowskiej.

Grobowiec Stefana Batorego jest dziełem Włocha, Santi Gucci, który osiadł w Krakowie.

Tenże sam artysta wykonał stalle w kaplicy grobowcowej Stefana Batorego, a widzimy w nich podobną dążność do efektów malarskich ze szkodą ornamentacyi. Przebija to najwidoczniej w kompozycyi naczółka, który nie posiada wcale gzymsów, lecz powierzchnia ozdobiona jest inkrustacyą marmurową i arabeskową, oraz ornamentacyą przypominającą motywy kartuszy wykonanych z blachy a naśladowanych w kamieniu. Do tego samego typu należy grobowiec Jordanów Spytków z Melsztyna, znajdujący się w kościele św. Katarzyny w Krakowie, grobowiec Montelupich w kościele N. P. Maryi w Krakowie i wiele innych po całej Polsce.

Rzeźba epoki baroka ma również piętno tej teatralności i dążności do efektów. Najlepszym przykładem tego rodzaju rzeźby jest ogrodzenie kościoła św. Piotra w Krakowie z 12 figurami przedstawiającemi aposto-

łów w patetycznych i powykręcanych formach, a wykonanych przez Hieronima Canavesi. Zwłaszcza ołtarze XVII. w. ozdabiano figurami podobnie przedstawionemi. Grobowce straciły zupełnie dawny typ, którym zawsze służył łuk tryumfalny. Są to przeważnie epitafia nieraz olbrzymich rozmiarów, ozdobione mnóstwem potężnych poprzerywanych i powyginanych gzymsów, nie grających żadnej konstrukcyjnej roli i allegorycznemi rzeźbami pełnemi patosu. Najchętniej używa ta epoka czarnego i jasnego marmuru. Głównym przykładem takich grobowców jest grobowiec Michała Korybuta i Jana Sobieskiego w katedrze na Wawelu (fig. 197).

Gdy we Francyi w XVIII. w. wytworzył się nowy styl zwany rococo, Francuzi nazwali go stylem regencyi, a to z tego powodu, że rozwinął się w latach regencyi po śmierci Ludwika XIV. (1712—1723). Zaznaczył się ten styl w dekoracyi przedewszystkiem wnętrza. Barokową ornamentacyę zastąpiła nowa lżejsza, która pozbyła się zupełnie pozostałych jeszcze z baroku nielicznych prostych linij. Wygięcia i skręty zajęły ich miejsce, motyw muszli stał się główną ozdobą używaną w różnych odmianach. Dekoracya wogóle staje się płaską, bo w ten sposób mogła się we właściwym sobie stylu najlepiej rozwinąć. Jako przykłady tego stylu służyć mogą kaplica biskupa Grota na Wawelu i liczne fasady domów i wnętrz tej epoki. Ołtarze i grobowce mają to samo piętno pomimo najróżnorodniejszej kompozycyi.

Gruntowniejsze studya nad antykiem doprowadziły do naśladowania klasycznej sztuki. Ten kierunek rozwinął się z chwilą nastania Cesarstwa we Francyi, to też nazwano go stylem cesarstwa (empire). Z tych ostatnich epok niewiele posiadamy pierwszorzędnych zabytków, bo też najpiękniejsze czasy rzeźby łączą się z najpiękniejszymi czasami Polski XV. i XVI. wieku.

W XIX. wieku dopiero koło r. 1830 rozpoczyna się rzeźba rozwijać. Rzeźby jednak sprowadza się z zagranicy. Najwybitniejszym artystą dostarczającym rzeźb dla Polski był Duńczyk Thorwaldsen. W katedrze na Wawelu znajduje się jego piękny posąg Chrystusa i pomnik Włodzimierza Potockiego, w kościele Dominikanów we Lwowie nagrobek hr. Borkowskiej, w Homlu pomnik ks. Józefa Poniatowskiego, przeznaczony dla Warszawy, lecz nigdy tam niepostawiony.

Z polskich artystów wymienić należy Wiktora Brodzkiego (um. 1904), którego liczne dzieła znajdują się w prywatnem posiadaniu. Bardzo dobrze charakteryzuje tego artystę dzieło »Pierwsze podszepty miłości«,

znajdujące się w Muzeum narodowem w Krakowie. Dalej wymienić należy Walerego Gadomskiego, którego piękny pomnik Kopernika znajduje się w klatce schodowej Akademii Umiejętności w Krakowie, a Herodyada w Muzeum narodowem. Spokój kompozycyi i piękno form, to główne zadania, jakie stawia sobie artysta. Idąc w tym kierunku, co Brodzki, odczuwał jednakże piękność form daleko subtelniej. Do najlepszych jego dzieł obok Herodyady należy pomnik przeznaczony dla papieża Piusa IX. do katedry na Wawelu, dotąd nie wystawiony. Artystą niezwykłej miary jest Marceli Guyski (ur. 1830, um. 1893). Odznaczył się w pierwszym rzędzie wybornymi biustami, do których przedewszystkiem zaliczyć należy popiersie Adama Mickiewicza w Muzeum narodowem w Krakowie. Uczniami jego są utalentowani rzeźbiarze Tadeusz Błotnicki i Alfred Daun.



Fig. 198. Marceli Guyski: Mickiewicz w Muzeum narodowem w Krakowie.

Współczesna nasza rzeźba stoi wysoko. Niestety na wielkie, monumentalne dzieła społeczeństwo nasze się nie zdobywa, to też w tym kierunku nie mają rzeźbiarze nasi wiele pola. Pomnik Mickiewicza w Krakowie dłuta Teodora Rygiera pełen artystycznych zalet, tylko niefortunnie umieszczony na rynku krakowskim, oraz pomnik Mickiewicza w Warszawie Cypryana Godebskiego — to największe rzeźbiarskie przedsięwzięcia XIX. w. Pomniki królowej Jadwigi i Władysława Warneńczyka w katedrze na Wawelu wykonane przez Antoniego Madeyskiego odznaczają się klasycznym spokojem, pięknością i szlachetnością linii. Pomnik Artura Grottgera na plantacyach krakowskich, wykonany przez Wacława Szymanowskiego, należy do najpiękniejszych dzieł współczesnej sztuki. Niepospolitym artystą jest Pius

Weloński. Jego Gladyator w Muzeum Narodowem w Krakowie i drugi egzemplarz w Towarzystwie Zachęty Przyjaciół sztuk pięknych w Warszawie, oraz pomnik Bojana na plantacyach w Krakowie, postawiony na cześć Bohdana Zaleskiego, to najpiękniejsze dzieła tego artysty, którego utwory odznaczają się pięknością kształtów i charakterystyką postaci i chwili.

Ten sam kierunek klasyczny reprezentują Piotr Wójtowicz (ur. 1862), którego grupa »Porwanie Sabinki«, zdobi Muzeum narodowe w Krakowie,



Fig. 199. Jan Szczepkowski: Dziewki, w Muzeum narodowem w Krakowie.

oraz Pleszowski Antoni, autor Smutku, znajdującego się również w Muzeum narodowem.

Kierunek klasyczny a zarazem szukanie nowych dróg i pomysłów przebija się w utworach Stanisława Lewandowskiego: Słowianinie zrywającym pęta, w Muzeum narodowem w Krakowie, i Herodyadzie, znajdującej się w prywatnem posiadaniu.

Na wskróś nowożytnym rzeźbiarzem jest Konstanty Laszczka. Biusty tego artysty odznaczają się wielką subtelnością odczucia i subtelnością form. Niepospolitym artystą jest Henryk Glicenstein; cechuje tego artystę wy-

kwintność i delikatność form przy żywem odczuciu sytuacyi i chwili. Bardzo pięknym w pomyśle jest projekt na pomnik Mickiewicza Antoniego Kurzawy († 1898), a znajdujący się w Muzeum narodowem. Szczerość i prostota, odrzucenie wszelkiego szablonu, to cechy, które nadają szkicowi wybitną wartość.

Z najmłodszej generacyi rzeźbiarzy wybitnie zaznaczył się Jan Szczepkowski, autor Dziewek (w Muzeum narodowem w Krakowie).

Medalierstwo rozwija się także. Rzeźbiarze Wacław Szymanowski, Madeyski, Lewandowski wykonali bardzo ładne medale, a wymienić tu także należy Wincentego Trojanowskiego i Jana Raszkę.

Wogóle w rozwoju współczesnym naszej rzeźby uwydatniają się wszystkie niemal prądy zagraniczne, przeważają zaś wpływy francuskie. Swojskiego oryginalnego pierwiastka trudno na razie się dopatrzeć, piętno oryginalne niezawodnie jednak wyłoni się w miarę rozwoju tego działu sztuki. Społeczeństwo nasze coraz to więcej zwraca uwagę nie tylko na obrazy, ale i na rzeźbę, a ten dział sztuki bez porównania więcej potrzebuje poparcia, a nawet omal obejść się bez niego nie może.

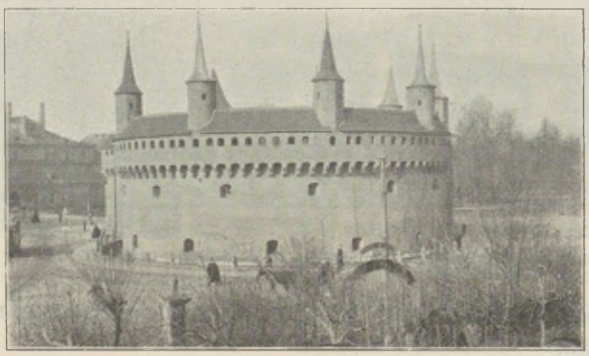

Fig. 200. Barbakan bramy floryańskiej w Krakowie.

MALARSTWO W POLSCE.

NAPISAŁ

STANISŁAW TOMKOWICZ.

Zastrzega się reprodukcyę dzieł sztuki ogłoszonych w niniejszej części dzieła.

Klisze do barwnych reprodukcyj obrazów Pruszkowskiego, Fałata i Wyczółkowskiego pochodzą z zakładu »Zorza w Krakowie.

Przeszłością swoją, religią, życiem umysłowem, kulturą całą należy Polska do zakresu cywilizacyi zachodniej, zwanej też łacińską, bo na niej język łaciński, tradycye rzymskie wycisnęły swoje niezatarte piętno. Położona na rozgraniczu świata zachodnio-europejskiego i świata słowiańsko-bizantyńskiego, pośrednio nawet azyatyckiego, podlegała w ciągu dziejów sprzecznym wpływom. Na naszej to ziemi płynące z przeciwnych stron prądy duchowe i kierunki myśli spotykały się, krzyżowały i staczały ze sobą walkę. Ostatecznie szala przechyliła się ku Zachodowi, a za przyjętym przez naród obrządkiem łacińskim poszły zapatrywania i upodobania, pojęcia moralne i prawne, związki polityczne i duchowe, smak w rzeczach piękna: wszystko to łączy nas z Zachodem Europy. Stamtąd czerpiemy karmię dla umysłu i większą część poglądów i zamiłowań, stamtąd pochodzą okulary, przez które patrzymy na świat. Ale w grono narodów zachodnich weszła Polska stosunkowo późno, jako siostrzyca ich najmłodsza.

Cywilizacyi kwiatem jest sztuka; bywa także jej miarą. Kiedy Włosi, Francuzi, Niemcy i inni już dawno mieli swoją poezyę i sztukę, my dopiero pierwsze kroki zaczęliśmy stawiać na tej drodze, budziły się dopiero umysły do pracy twórczej. A z pomiędzy sztuk pięknych malarstwo nasze jedno z ostatnich się narodziło — tem większa chluba i zasługa, że w krótkim czasie wielką przebyło drogę i dziś wewnętrzną wartością swoją i znaczeniem, zarówno jak zajętym obszarem poczesnego w świecie dobiło się stanowiska. Najstarsze zabytki architektury u nas sięgają blizko r. 1000; rzeźby posiadamy od początku XIII. w. Ślady płodów tych sztuk dochowały się w kościołach i klasztorach na ziemi naszej, a choć nie można twierdzić

na pewne, iżby artyści miejscowi polscy byli ich twórcami, samo istnienie tych zabytków, których niewątpliwie było kiedyś znacznie więcej, dowodzi, że dzieł artyzmu potrzebowało już społeczeństwo owych odległych epok, lubowało się niemi, nie żałowało nakładu na nie.

O obrazach w Polsce nie mamy z wcześniejszego średniowiecza pewnych wiadomości, zwłaszcza o obrazach sztalugowych. Zachowały się jedynie słabe próby zdobienia jednobarwnymi ornamentami ścian budynków. Naród rolniczy, zajęty ustalaniem i obroną granic od wrogów, posiadał już liczne kościoły murowane i drewniane, bo tego wymagały potrzeby kultu religijnego; miał gdzieniegdzie nad drzwiami kościołów rzeźby wykonane zapewne ręką kamieniarza, co gmach stawiał; ale nie miał czasu ni sposobu myśleć o malowanych obrazach. Najdawniejszych u nas pomników malarstwa należy szukać po księgach rękopiśmiennych, t. zw. iluminowanych, czyli ozdobionych obrazkami, miniaturami. Niestety i te wśród wojen i rozruchów rozproszone zostały. Reszty ich znajdują się po archiwach kilku katedralnych kościołów, jak w Płocku, Krakowie i Gnieźnie. Najważniejsze odkryto niedawno w Petersburgu, dokąd wywiezione zostały ze zbiorami polskimi. Są między nimi cenne zabytki sztuki z XI. i XII. wieku, a niektóre z nich powstały może nawet w Polsce, choć je wykonała ręka cudzoziemca, kapłana lub mnicha. Zresztą nieliczne obrazy kościelne, z których najstarszy znany jest mozaikowym, sprowadzano jeszcze zapewne z zagranicy.

Pierwsze wiadomości o malarzach miejscowych u nas posiadamy z XIV. w. Panowanie Kazimierza Wielkiego jak pod różnymi innymi względami, tak i pod względem rozbudzenia życia umysłowego, a w szczególności interesu dla sztuki stało się chwilą przełomową. Ale i z tego jeszcze czasu, z wieku XIV., obrazy w Polsce policzyć możemy na palcach. Są to malowania ścienne w klasztorze w Lądzie (Lędzie) i może jeszcze parę fragmentów, odkrytych w najnowszych czasach po kościołach i klasztorach krakowskich, jeden lub dwa małe obrazki po zbiorach naszych, wreszcie kilka kwater okien kolorowych w klasztorze Dominikanów, może także w kościele P. Maryi w Krakowie. Zdaje się, że szklarzami byli Polacy, w każdym zaś razie miejscowi mieszczanie. Z tej też epoki pochodzi pierwszy rękopis miniaturowy (płocki) zapewne z pod polskiej wyszły ręki.

Dopiero po r. 1400. dzieła malarstwa pojawiają się u nas w większej cokolwiek ilości. Wykonywano je sposobem jeszcze średniowiecznym. Więc miniatury malowano farbami wodnemi na pergaminowych kartach ksiąg

pisanych dla illustrowania modlitw lub czytań pobożnych. Do kościołów robiono okna kolorowe w ten sposób, że z szyb zabarwionych i wykra-



Fig. 201. Obraz nagrobkowy w Ruszczy pod Krakowem, z r. 1425.

wanych układano rodzaj mozaiki; za kontury rysunku służyły listewki ołowiane przytrzymujące te szybki, a tylko cienie, rysy twarzy, fałdy szat nakreślano farbą brunatną, w ogniu potem stapianą ze szkłem. Malowanie

kolorami na szkle białem lub kolorowem jest wynalazkiem stosunkowo późnym. Do obrazów na murze używano u nas niekiedy sposobu freskowego, tj. kładzenia farb wodnych i wapiennych wprost na świeżym tynku, częściej rodzaju farb mieszanych z żółtkiem i octem (t. zw. *tempera*), kładzionych na tynku suchym. Obrazy ołtarzowe, często składane w t. zw. tryptyki, i mniejsze obrazki nagrobkowe malowane również temperą na drzewie, a przy końcu XV. w. czasem powlekano je po wierzchu pokostem. Z końca średniowiecza posiadamy już w kraju pewną liczbę takich obrazów datowanych. Jednym z najstarszych jest znany obraz nagrobkowy z Ruszczy pod Krakowem z r. 1425 (fig. 201).

Te najstarsze znane obrazy nie stanowią jeszcze malarstwa polskiego w ścisłem znaczeniu. Choćby malowane były w Polsce, mogły być dziełem cudzoziemskiej ręki. Wiadomo, że mieszczaństwo nasze było wówczas przeważnie niemieckie, a także w klasztorach, które były siedliskiem twórczości artystycznej i rozsadnikiem oświaty, bywało bardzo wielu Niemców i Czechów. Szkoła malarska w Pradze w XIV. w. kwitnęła i oddziałała na sztukę ościennych narodów, wnosząc do niej wpływ słynnego Giotta i malarstwa włoskiego. Dopiero w XV. w., który jest czasem polszczenia się naszych miast i klasztorów, znamy już z zapisek archiwalnych cały poczet nazw malarzy polskich zakonnych i świeckich. Niestety mało które z nich ze znanymi obrazami złączyć jesteśmy w możności.

Za Jagiełły pojawia się nowy czynnik, który wpłynął na wprowadzenie malarstwa na nowe tory. Za przykładem stosunków niemieckich powstają cechy malarskie po miastach: naprzód w Krakowie, potem wkrótce we Lwowie i po innych miastach. Organizacya to była raczej rzemieślnicza, na wzór innych cechów rękodzielniczych, i wprowadziła też do produkcyi artystycznej pierwiastek rzemieślniczy. Do cechu krakowskiego, który istniał już w r. 1410., a r. 1490. nowy otrzymał statut, należą prócz malarzy, snycerze, pokostnicy, szklarze i siodlarze, t. j. wszyscy ci, którzy z malarzami współdziałają, aby wykonywać na zamówienia ołtarze, okna kolorowe i szczyty czyli ozdobne tarcze turniejowe lub wojenne.

Już sam fakt stowarzyszania się tych twórców obrazów, którzy byli na wpół artystami, na wpół rzemieślnikami, świadczy wymownie, że wcale znaczną musiała być ich liczba i oczywiście wzmogły się w porównaniu do wieków poprzednich potrzeby artystyczne społeczeństwa. Równolegle bowiem z niemi wzrasta produkcya. Zachowała się z XV. w. dość pokaźna liczba ołtarzy szafiastych czyli tryptyków, obrazów luźnych, chętnie wów-

czas wieszanych po kościołach jako epitafia nad grobami; a wiadomo, że było jednych i drugich kiedyś dużo więcej. Były także malowania ścienne



Fig. 202. Z ruskich malowań z r. 1470. na ścianach i sklepieniu kaplicy świętokrzyskiej na Wawelu.

po kościołach i klasztorach naszych. Do niedawna wiedzieliśmy o nich bardzo mało. Zdawało się, że prawie wszystkie zaginęły. Tymczasem w kilku

latach ostatnich wyszło ich na jaw wcale niemało. W samym Krakowie odkryto ich cały szereg z pod pobiały, której gruba warstwa pokrywała je przez kilka wieków: znalazły się w katedrze, w kościele św. Krzyża, w refektarzu klasztoru dominikańskiego, wreszcie świeżo najpiękniejszy i największy ich zbiór odsłonięto częściowo w krużgankach klasztoru św. Katarzyny, gdzie niegdyś, jak się zdaje, wszystkie ściany niemi były przyozdobione. Z zachowanych także pozostałości barwnych i figuralnych witraży czyli okien kolorowych kościelnych widać, że szklarstwo artystyczne stało w tym czasie u nas na stopie całkiem europejskiej. Malarstwo krakowskie nabrało rozgłosu i wzięcia, utwory jego rozchodziły się po prowincyi, a nawet po krajach ościennych, na Śląsku, zwłaszcza też na Spiżu czyli pograniczu węgierskiem. Sztuka malarska stała niemal wyłącznie w usługach kościoła, służyła do ozdoby domów bożych, do przypominania prawd wiary lub zasad moralności w salach sądowych i ratuszowych, i pobudzania do modlitwy w mieszkaniach prywatnych. W tej również epoce nie brak wpływów obcych, zagranicznych. Pod ich znakiem stoi twórczość miejscowa przynajmniej co do form zewnętrznych, często i co do ducha. Cech krakowski zorganizowany jest na modłę praskiego. W stolicy kraju, a także we Lwowie i innych większych miastach zatrudnioną jest jeszcze zawsze pewna liczba malarzy Niemców; obok nich pojawiają się od czasu do czasu i Rusini, sprowadzani przez Jagiełłę i Kazimierza Jagiellończyka z Wilna i Kijowa dla przyozdabiania wnętrz mieszkań krakowskich, kaplic na Wawelu i kościołów po kraju. Było to wynikiem otoczenia ruskiego, do jakiego w swej ojczyźnie byli przyzwyczajeni Jagiellonowie, i ich stosunków rodzinnych. Wszak matką Kazimierza Jagiellończyka była księżniczka ruska. Śladem tych upodobań artystycznych dworu pozostały do dziś dnia malowania ruskie pokrywające ściany i sklepienia kaplicy Jagiellońskiej czyli świętokrzyskiej w katedrze krakowskiej (fig. 202), a także świeżo w Lublinie, dawniej zaś w Sandomierzu odkryte reszty fresków kościelnych. Polichromia kaplicy świętokrzyskiej na Wawelu stanowiąca cykl obrazów religijnych, jest najwspanialszym zabytkiem malarstwa średniowiecznego zachowanym w naszym kraju.

Sztuka ruska u nas ulegała nieco wpływom Zachodu, sama jednak nie wywarła wielkiego wpływu na malarstwo nasze, które w ogólnych swoich cechach było zawsze odnogą sztuki zachodniej. Niemniej już w średnich wiekach nie można w niem nie dopatrzeć się pewnych znamion odrębnych od malarstwa zachodniego, tak co do siły kolorytu, przechodzącej w niejaką

surowość i rubaszność, jak i co do swojskiego typu postaci ludzkich, widocznie na modelach miejscowych wzorowanych. Pod tym względem przedstawia ono pokrewieństwo z malarstwem Śląska, wtedy jeszcze zupełnie prawie polskiego. I kto wie, czy nie byłaby się wytworzyła wówczas wyraźna, samodzielna sztuka polska, gdyby nie zwrot na nowe tory za silnym powiewem z południa, który się dał uczuć, zanim te różnorodne czynniki miały czas przeniknąć się, wytrawić i wydać płód dojrzały.



Fig. 203. Pogrzeb św. Katarzyny Aleksandryjskiej z cyklu obrazów Hansa Suessa z Kulmbachu w kościele Maryackim w Krakowie.

Aż do początku XVI. wieku nie przestają działać prądy niemieckie, dochodzące do nas czy to pośrednio przez Czechy i Śląsk czy bezpośrednio, z nad Renu, ze Saksonii, z Norymbergi. Te ostatnie są najsilniejsze. Z Norymbergi przenosi się pod koniec XV. w. do Krakowa słynny snycerz Wit Stwosz, który potęgą swego geniuszu, widocznie pokrewnego naszemu duchowi narodowemu, wytwarza w nowej ojczyźnie całą szkołę i nawet na malarstwo krakowskie silny wpływ wywiera. Stamtąd nieco później przybywa prawdopodobnie Hans Suess z Kulmbachu (fig. 203), znakomity twórca obrazów kościelnych, towarzysz i naśladowca wielkiego malarza niemieckiego Dürera, malarz subtelny i dzielny kolorysta; stamtąd zjeżdża brat Dürera, zdolny malarz Hans i zdobi ściany komnat zamku królewskiego na Wawelu oraz maluje por-

trety (fig. 204). Budzi się w społeczeństwie zajęcie powszechne dla sztuki, zakwita nawet handel rycinami mistrzów zagranicznych podobnie jak znów handel lanemi w metalu lub wybijanemi na formie płaskorzeźbami małych rozmiarów czyli t. zw. plakietami artystów zachodnich dostarcza wzorów naszym złotnikom i ludwisarzom (lejącym dzwony, działa). Nabiera siły wytwórczość artystyczna miejscowa. Rozszerza pole działania i zatacza dalsze kręgi. Zatrudnia coraz więcej rąk ludzi świeckich i obok przedmiotów kościelnych zaczyna zajmować się tematami z życia codziennego wziętymi, przybiera pierwiastki świeckie. Nowa technika malarstwa olejnego wchodzi w miejsce dotychczasowych sposobów średniowiecznych. Dawne tła idealne, złote lub lazurowe ustępują przed tłami krajobrazowemi lub architektonicznemi. Nabiera znaczenia i samodzielności portret, którego świetne okazy z początków XVI. w. zachowały się w zbiorze wizerunków biskupów kra-



Fig. 204. Portret Tomickiego, biskupa krak., w krużgankach franciszkańskich w Krakowie. Obraz Hansa Dürera z XVI. w.

kowskich, w krużgankach klasztoru Franciszkanów w Krakowie. Upodobanie w sztuce, przedtem mającej główne schronienie w kościołach i na dworze królewskim, ogarnia szersze warstwy narodu, obrazy zstępują do dworów szlacheckich i domów mieszczańskich.

I na tę właśnie chwilę przypadł nagły zwrot, który zakreślając smakowi estetycznemu nowe kierunki, zachwiał tradycyami dotychczasowemi. Zygmunt I., jeszcze jako książę otaczał opieką artystów włoskich. Z chwilą małżeństwa jego z Boną, księżniczką z rodu włoskiego Sforzów, którzy byli miłośnikami sztuk pięknych, zaczyna się napływ do Polski artystów Włochów. Rugują oni powoli wpływy niemieckie, wprowadzając nowe czynniki sztuki t. zw. odrodzenia, znajdującej się w ich ojczyźnie w pełnym rozkwicie, a będącej połączeniem pierwiastków sztuki klasycznej dawnych Rzymian z duchem chrześcijańskim. Początkowo otrzymywaliśmy jedynie architektów i rzeźbiarzy, którzy zaczęli od przyozdabiania katedry krak. i siedziby królewskiej na Wawelu. Ci przybysze tak zawładnęli smakiem naprzód na dworze królewskim, a potem i w szerszych kołach społeczeństwa, że zbliżone do niemieckiego rodzime nasze malarstwo, które zaczęło było wydawać wcale udatne owoce, zamarło i uschło jak gałąź pozbawiona soków. Mieliśmy w samym Krakowie zastęp malarzy obrazów, drzeworytników, miniaturzystów czyli przyozdabiaczy rękopisów, oraz dekoratorów ścian i szklarzy artystycznych. Za powiewem smaku włoskiego zdaje się, że publiczność odwraca się w XVI. w. od tych uczniów i zwolenników szkoły niemieckiej. Cech malarski kurczy się i już tylko nawpół martwy prowadzi żywot, schodząc do roli bardzo podrzędnej. Na tę chwilę po połowie wieku przypada rozszerzenie się w kraju innowierstwa; protestanckie sekty sztuce nieprzychylne nie tylko wywołują zastój w życiu malarstwa religijnego, ale pustoszą kościoły i niszczą w nich obrazy stare.

Malarstwo włoskie zapanowało w Polsce nie w czasie, kiedy stało najwyżej, lecz właściwie dopiero w drugiej połowie XVI. w., kiedy już było przekwitło i straciło młodzieńczą siłę. Wtedy to zaczęli osiedlać się u nas wprawdzie nie pierwszorzędni, ale zawsze jeszcze dobrzy malarze, którzy nauczyli nas dbać o piękną formę, o wdzięczny koloryt, o malowniczy układ kompozycyi i wprowadzili cały przybór realnych teł i perspektywy, a więc peizażu, wnętrz architektonicznych. Oni też przynieśli ulepszoną technikę farb olejnych i malarstwo na płótnie; przedtem malowano obrazy na murach i na tablicach drewnianych. Im zawdzięcza malarstwo szeroki rozmach dekoracyjnej sztuki końca XVI. w. i dwóch blizko wieków następnych.

Jednym z najczynniejszych i najpłodniejszych był Tomasz Dolabella, Wenecyanin, który za Zygmunta III. zaludnił kościoły krakowskie wielkiemi scenami z życia i męczeństwa świętych, często sztucznie z mnóstwa postaci ludzkich złożonemi. Znamionują go wielka wirtuozya, łatwość pędzla w pobieżność przechodząca i południowa żywość kolorytu. Twórczość jego najlepiej poznać z dekoracyi kilku kaplic kościoła na Bielanach pod Krakowem; obrazy krakowskie przeważnie zniszczały w pożarze 1850. r., resztę zepsuła nieumiejętna gorliwość późniejszych odnawiaczy. Po burzy reformacyi zawitała epoka zwycięstwa katolicyzmu i potęgi zakonu Jezuitów. Tryumf kościoła jest też przedmiotem wielkich płócien, będących słabym odblaskiem kierunku malarzy weneckich Weroneza i Tintoretta, któremi zapełnili kościoły nasze uczniowie Dolabelli w początku XVII. w. (Cieszyński, Blechowski, Zwinowski, Porrhebius — może Porębowicz albo Porębski — trzej Proszowscy i inni). Przybywają też wciąż jeszcze malarze z Włoch jak Zyganty, Bisaldi, Astolf Vagiola, Nozeni, brat Wenanty Kameduła i t. d. Pracujący obok nich malarze nasi przeważnie naśladują fakturę Włochów, stronę zewnętrzną, nie przejąwszy się duchem malarstwa włoskiego. Równolegle wszakże występuje znów u nas od końca XVI. w. wpływ Niemców i Niderlandczyków, których dzieła ceniono na dworze następców domu



Fig. 205. Portret Jana III., obraz Tricyusza z XVII. w. w uniwersytecie Jagiellońskim.



Fig. 206. Chrystus na krzyżu. Obraz olejny Trycyusza w Bolechowicach pod Krakowem, w kościele.

Jagiellońskiego. Kober, wrocławianin, maluje portret Batorego, Rubens portrety Zygmunta III. i Władysława IV., a kilku Niderlandczyków, uczniów i naśladowców wielkiego mistrza flamandzkiego Rubensa przenosi się do Polski i zostawia tu liczne swoje dzieła, między nimi Piotr Dankerts de Ry, dekorator kaplicy św. Kazimierza w Wilnie. Wspomnieć też należy rozpowszechnienie u nas sztychów Rubensa i Van Dycka. Żyje w pierwszej połowie XVII. w. Polak, nawet znakomity i sławny sztycharz Jan Ziarnko, który jednak osiadłszy w Paryżu wynarodowił się i samo nazwisko swoje tłómaczył na język włoski (Grano) lub francuski (Le Grain).

Naród nasz zawsze cechowała łatwość przyswajania sobie obcych właściwości. Kilku też ówczesnych naszych malarzy rodzimych naśladuje — nie bez powodzenia flamandzkich i holenderskich mistrzów; są to krakowianin Frecherus, którego znamy jeden ale wyborny portret biskupa Trzebickiego u Franciszkanów w Krakowie, lub brat Lexycki, zdolny kolorysta, nadzwyczaj płodny; przyozdabia on kościoły i klasztory bernardyńskie w Kalwaryi, Przeworsku, Lwowie i Krakowie, mnogością wielkich płócien, w których na swój sposób wyborną techniką kopiuje z rycin utwory religijne Rubensa. Drugorzędnymi malarzami tegoż kierunku, pracującymi w Polsce, są jeszcze w owym czasie Strobel, wrocławianin (katedra we Włocławku), Eleuter czyli Siemiginowski (kościół św. Anny w Krakowie i św. Krzyża w Warszawie) i t. d. Malują oni wszyscy wielkie płótna ołtarzowe i obrazy do przyozdobienia obszernych ścian kościołów. Dwaj bracia Lubieniecy wprowadzają u nas pierwsi obrazki rodzajowe z życia codziennego zaczerpnięte w duchu szkół niderlandzkich. Natomiast raczej do szkoły francuskiej zaliczany bywa Tricius albo Trecy, krakowianin, portrecista kilku królów polskich, wkońcu malarz nadworny Jana III. (fig. 205). Malował także obrazy religijne (fig. 206).

Obok tego wszakże nie ustaje wpływ szkół włoskich epoki upadku. Pomimo maniery niemieckiej przebija on się w dziełach Siemiginowskiego. Neapolitańczyk Altomonte maluje w Polsce zwycięstwa Sobieskiego, które przyozdabiają kościół w Żółkwi. Wpływ ten włoski wydaje nawet u nas w pierwszej połowie XVIII. w. dwóch niepospolitych artystów: Czechowicza (fig. 207) i Konicza (fig. 208), obu Krakowian i uczniów szkoły rzymskiej. Pierwszy zostawił około 300 dzieł, częścią portretów, częścią obrazów religijnych, w których jednak unikał większej ilości postaci ludzkich i nie umiał wyrazić głębszych uczuć. Czasem po prostu kopiował Karola Marattę, Guido Reniego, Rubensa. Technikę miał po-



Fig. 207. Św. Anna Samotrzecia, obraz Czechowicza z XVIII. w. w kościele św. Mikołaja w Krakowie.

prawną, koloryt słaby i blady, jakby akwarelowy, farbami wodnemi osiągnąć się dający. Natomiast drugi, mniej płodny i mniej wykwintny, był samodzielniejszym i obdarzony większym talentem pod względem kolorytu, światłocienia czyli ustosunkowania przeciwieństw siły światła i świetlnej mocy barw, a zwłaszcza pod względem umiejętnej kompozycyi i dramatyczności. Malował głównie obrazy ołtarzowe, w których lubił sceny tłumne i zawiłe. Obaj oni licznemi płótnami przystroili kościoły krakowskie. Czechowicza portrety rodzinne spotkać nadto można po wielu domach szlacheckich.

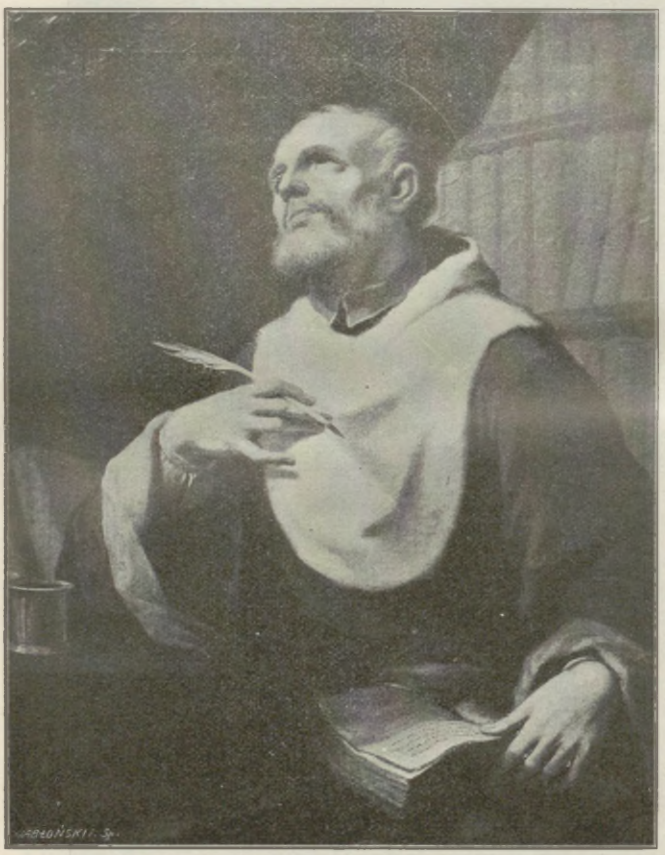

Fig. 208. Św. Jan Kanty, obraz Konicza z w. XVIII. w kapitularzu na Wawelu.

Produkcya wymienionych i paru jeszcze innych malarzy polskich tego czasu nie zaspokajała jednak zwiększających się potrzeb artystycznych społeczeństwa. Już obudził się był wśród rodów magnackich duch gromadzenia po pańskich siedzibach zbiorów dzieł sztuki. Zamożniejsi Polacy utrzymywali rozległe stosunki z Zachodem, żenili się niejednokrotnie z cudzoziemkami, wiele podróżowali po Niemczech, Francyi i Włoszech. Czyta się o tem dosyć w żywotach możnowładców naszych XVII. i XVIII. w. Stamtąd to przywozili zapewne niejeden słynny obraz, stamtąd przywozili żyłkę do zakładania zbiorów dzieł sztuki za przykładem wielkich rodów cudzoziemskich. Równą

w tem rolę odgrywała próżność jak i rozwijający się smak. Gromadzą obrazy: Mikołaj Wolski, fundator Bielan pod Krakowem, Lubomirscy w Wiśniczu, Ossolińscy, Wiśniowieccy. W pierwszej połowie XVIII. w. słyszymy o pierwszem z nas przedsiębiorstwie wystawy obrazów. Zebrał ją w r. 1729. Piotr Parys, malarz ks. Wiśniowieckiego, kaszt. krak., i z tym zbiorem kilkuset — oczywiście zagranicznych — obrazów jeździł do Lublina, Za-



Fig. 209. Scena rodzajowa z XVIII. w. Obraz Smuglewicza w Muzeum narodowem w Krakowie.

mościa, Lwowa i Warszawy, urządzał wenty (sprzedaże) i loterye. Przez cały też wiek XVIII. sprowadzano artystów zagranicznych, zwłaszcza do przyozdabiania malowaniami dekoracyjnemi wnętrz licznych kościołów. Więc słyszymy o dekoratorach Dankwarcie, Karolu Montim, Piotrze Molitorze, Eckstеinie, X. Hüblu, X. Prechtlu, X. Ahornie, którzy perspektywicznymi widokami budowli i obrazami pełnymi śmiałych skróceń pokrywają sklepienia i ściany kościołów krakowskich, lwowskich, w Wielkopolsce, na Mazowszu, Podolu i Litwie.

Epoka panowania Stanisława Augusta, który był największym u nas opiekunem sztuk pięknych, niewiele w tych stosunkach przyniosła zmian.

Długoletnie wytrwałe usiłowania królewskie podnoszą wprawdzie dobry smak w narodzie i poziom wymagań artystycznych, a nawet przyczyniają się do spopularyzowania sztuki w społeczeństwie, lecz na razie mało skutecznemi się okazują co do rozwoju samodzielnego życia artystycznego w kraju, nie wskrzeszają rodzimych talentów, któreby zaważyły na szali malarstwa naszego. Odkryty i kształcony przez króla Kucharski osiada na całe życie za granicą, a dzieła jego w Polsce są nieznane. Uzdolniony Warszawianin Franciszek Smuglewicz, maluje w Warszawie i Wilnie techniką poprawną liczne alegorye, sceny historyczne i rodzajowe (fig. 209), widoki i obrazy religijne, ale jest właściwie Włochem z usposobienia, postaci jego pozują na klasycznych Rzymian, a peizaże również nie przypominają kraju rodzinnego. Gdańszczanin Daniel Chodowiecki, słynny w Europie rysownik, sztycharz i ilustrator, prócz nazwiska nic polskiego nie miał, choć się sam do polskości przyznawał i nieraz rysował typy lub grupy kontuszowe, a nawet sceny z historyi polskiej.

Działalność cywilizacyjna światłego ostatniego monarchy w dalszych dopiero następstwach miała przynieść na polu sztuki owoce. Stanisław August nie tylko zbierał wybitne dzieła malarstwa — a wiadomo, że za królewskim przykładem możni panowie zaczęli tworzyć galerye prywatne — nie tylko sam rad otaczał się zdolnymi artystami obcymi, ale przygotowując grunt dla przyszłości, ściągał do Warszawy z zagranicy dobre siły nauczycielskie, mające warunki zachęcenia talentów miejscowych do uprawy malarstwa; przykład króla wzbudza mecenasów sztuki pośród możnych rodzin w kraju. Ściągani przez nich osiadali na czas krótszy lub dłuższy w Polsce: Mirys, Marteau, Beloto czyli Canaletto, słynna Vigée-Lebrun, Bacciarelli, Norblin i wnosili krzyżujące się kierunki szkół francuskich, włoskich i niemieckich. Niektórzy z nich zwabieni tu byli już nieco wcześniej, jeszcze za panowania miłujących sztukę Sasów. Utalentowany faworyt królewski, Włoch Bacciarelli, słynny zwłaszcza ze znakomitych portretów Stanisława Augusta [1]) całkiem się z czasem spolszczył i założył w zamku w Warszawie pierwszą w Polsce szkołę malarską. Osobne miejsce w historyi podniesienia nauk i sztuk w Polsce należy się niezwykle kulturalnej rodzinie Czartoryskich, których systematyczna, wszechstronna i umiejętna działalność była niesłychanie płodną w dobroczynne skutki, a zasługi bodaj czy nie donioślejsze w tym kierunku od

[1]) Jeden z nich odtworzono w tomie I. »Polski« (fig. 277).

królewskich. Dzięki ich staraniom Puławy stały się ogniskiem, z którego przez długie lata promieniowały na całą Polskę szlachetne potrącenia i prądy cywilizacyjne. Przywołany przez nich Francuz kształcony w Dreźnie, Norblin, obok bacciarellowskiej założył również swoją szkołę malarską w Warszawie. Zachęta skutkowała; garnie się młodzież do ołówka i pędzla; ze szkół tych obu wychodzi zastęp zdolnych artystów, jak ceniony miniaturzysta portretowy Leseur, portrecista Rustem, znakomity prawdziwie europejski malarz koni i typów wojskowych Aleksander Orłowski (fig. 210), dalej bardzo uzdolniony malarz portretów i scen history-



Fig. 210. Tańczący Kozacy. Rysunek Orłowskiego w zbiorze Pawlikowskich we Lwowie.

cznych oraz obrazów kościelnych, rysownik wybornych typów, uczeń Bacciarellego, Krakowianin Kazimierz Wojniakowski i kilku innych. Ruch więc obudził się niemały. Z tem wszystkiem malarze ci nie tworzyli jednolitej narodowej szkoły, dzieła ich nie posiadają cech wspólnych, odróżniających je od produkcyi zagranicznych. Byli wprawdzie malarze polscy, ale jak słusznie powiedziano, nie było jeszcze malarstwa polskiego. Jest ono w tym czasie, mimo widocznych usiłowań zbliżenia się do ludu i przyrody kraju, beznarodowe, kosmopolityczne. Jedynie w młodocianych pracach Orłowskiego można dopatrzeć się cech swojskich, zacięcia szlachecko-polskiego — niestety artysta o talencie tak niepospolitym i tak nawskróś polskim, na lata późniejsze osiadłszy w Petersburgu, zupełnie się z czasem wynarodowił. To szlacheckie zacięcie przebija niekiedy także w portretach

Płońskiego i karykaturach Jakóba Sokołowskiego, obu już należących do epoki porozbiorowej.

Jak mało zaś wszyscy wyżej wymienieni czynili zadość wzrastającym artystycznym potrzebom społeczeństwa, dowodem tego liczny ciągle jeszcze napływ do Polski artystów cudzoziemców. Tak w epoce rozbiorowej osiedlają się tu na czas jakiś ulubieni włoscy portreciści: Jan Lampi i syn jego Franciszek, oraz Józef Grassi, tudzież austryacki portrecista Pitschmann; tak później, już w początku XIX. wieku zjawiają się w Galicyi Niemcy: portrecista Schweikart, peizażysta Lange, w Krakowie miniaturzysta Sonntag. Już samo zestawienie tych nazwisk obcych, do których możnaby dodać niejedno jeszcze inne, wskazuje, że sztuka w owym czasie nie była wypływem potrzeby całego społeczeństwa, ale raczej rzeczą mody i fantazyi możnych, czemś zbytkownem, obcem i napływowem — a znamiennym jest fakt, że jeszcze w r. 1816., gdy wydawano w Warszawie Śpiewy historyczne Niemcewicza, dzieło napisane z polecenia Tow. Przyjaciół nauk i mające budzić w młodzieży ducha patryotycznego, aby uzyskać kompozycye rysunkowe do zdobiących książkę sztychów, musiano odwołać się do wiedeńczyka Frey'a, sprowadzonego niedawno do kraju przez Czartoryskich. Podobnie przesiedlony z Drezna do Puław Richter illustrował pierwsze wydanie popularnej historyi Polski »Pielgrzyma z Dobromila«. Tak więc szerokie warstwy, uczące się z tych dzieł miłości ojczyzny, patrzały przytem na ryciny robione przez Niemców.

Już w owej epoce nie tylko publiczność nasza zaczyna odczuwać brak produkcyi artystycznej, odpowiadającej uczuciom i ideałom narodowym, czego jednym z dowodów popularność wyżej wspomnianych illustrowanych dzieł patryotycznych — ale wśród samych artystów pojawia się choć w słabych zarodkach zwrot pomyślny. Zwrot to od kosmopolityzmu, co ani pragnień narodu nie mógł zadowolić, ani na szerokiem polu artyzmu międzynarodowego, europejskiego nie zdołał doprowadzić do wielkich wyników — ku sztuce opartej na pierwiastkach swojskich. I rzecz dziwna, że pierwsze hasło do tego wyszło z pracowni cudzoziemca: Norblina, który przebywając długo w Polsce z zapałem i wytrwałością studyował polskie typy (fig. 211), polski krajobraz oraz polskie sceny rodzajowe i zostawił niezliczone rysunki świadczące o wielkiem zżyciu się z przybraną ojczyzną, a pełne werwy i nacechowane niepospolitym talentem. Uczeń jego, portrecista i sztycharz Michał Płoński, poszedł po części tymi samymi szlakami; wśród rysunków i rycin, odtwarzających znakomi-

cie dzieła wielkich mistrzów zagranicznych malarstwa, zostawił też pewną ilość utworów poświęconych przedmiotom wziętym ze świata polskiego. Niestety przedwczesna choroba i śmierć nie dała rozwinąć się w całej pełni działalności niezwykle uzdolnionego artysty. Nie byli uczniami Norblina, ale pod jego wpływem tworzyli swoje widoki polskich krajobrazów, starożytnych gmachów i miast: malarz Głogowski Jerzy, Lwowianin, działający między r. 1800. a 1831., i sztycharz widoków kościołów, zamków i ruin Vogel, Polak mimo niemieckiego swego nazwiska.



Fig. 211. Trębacz. Rysunek Norblina.

Niewątpliwie zwrot ten ku rzeczom ojczystym wywołany został przewrotami, jakie przeszły ponad krajem w ostatnich trzech dziesiątkach lat XVIII. w. W pomyślności mało zwracamy uwagi na otaczający nas codzienny świat, na atmosferę, wśród której żyjemy, a która w znacznej części stanowi warunek naszego zadowolenia i szczęścia. Wielki mistrz czasów porozbiorowych, Mickiewicz, we wstępie do nieśmiertelnej opowieści »Pan Tadeusz« porównał w rzewnych słowach ojczyznę do zdrowia:

Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie:
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej [ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Mickiewicz wraz z emigracyą tęsknił, tułając się na obczyźnie, ale i ci, co zostali w kraju, nauczyli się cenić i kochać kraj dopiero po utracie niepodległości, po strasznych pogromach 1792. i 1795. r., bo naród pozbawiony niepodległości żyje tylko połową życia, dusi się jak ryba wyjęta z wody. Myśl artystów, w których piersi jak w soczewce kryształowej skupiają się promienie uczuć społeczeństwa, nie mogła poprzestać na przypominaniu sobie i odtwarzaniu pędzlem krajobrazów swojskich i typów rodzimych, ale musiała pchać rękę do kreślenia scen patryotycznych, wspomnień narodowej wielkości, chwil tryumfu i świetności, walk bohaterskich o obronę

niepodległości. To dopiero mogło zbudzić długo uśpione umysły, rozgrzać i podnieść w górę serca. Jednym z najpierwszych, który wstąpił na tę drogę, był Krakowianin, Michał S t a c h o w i c z. Wypowiedział on, jak umiał, ołówkiem i pędzlem to, co leżało na dnie uczuć polskich, i stąd jego wzięt o ść — mimo artystycznej nieudolności. Samouk ten, zdolności wcale miernych, zajmuje nawet miejsce ważne w historyi malarstwa polskiego, bo płodną swą działalnością położył niezawodnie podwalinę do późniejszego rozwoju sztuki narodowej, czerpiącej swoje soki z wierzeń, ideałów i cierpień narodu, tudzież z przyrody kraju ojczystego. W licznych, choć rozmiarami niewielkich obrazach, wykonanych niekiedy olejno, częściej farbami wodnemi, a najczęściej rysunkiem piórkowym i tuszem, odtwarzając sceny z historyi Krakowa, widoki miasta rodzinnego, obchody pamiątkowe i portrety patrycyuszów, stał się ulubionym i typowym malarzem patryotycznego mieszczaństwa krakowskiego. Tutaj niemal w każdym dawniejszym domu znajdziesz jedną z licznych kopii lub repropukcyi »Przysięgi Kościuszki w r. 1794«, »Wkroczenia wojsk Księstwa warszawskiego do Krakowa w r. 1809«, albo »Śmierci księcia Józefa Poniatowskiego pod Lipskiem w r. 1813«. Malował też i rysował liczne epizody z dawniejszych dziejów narodu, a obrazy jego choć nie mogą zadowolić wybrednych wymagań artystycznych, natchnione są głębszą myślą patryotyczną, miłością tradycyi i przeszłości narodowej, i dziś jeszcze żywo przemawiają do naszych uczuć i wyobraźni [1]). Jak zaś trafiały do serca współczesnych, świadczy fakt, że Stachowiczowi polecono przyozdobić cyklami wielkich malowań ściennych historycznych kilka sławniejszych gmachów publicznych, jak »Salę jagiellońską«, czyli dawną aulę uniwersytecką w bibliotece Jagiellońskiej i salony słynnego za Woronicza pałacu biskupiego w Krakowie, oprócz tego także wnętrza wielu domów prywatnych w Krakowie i dworów szlacheckich na prowincyi. Niestety z tych cyklów malowanych na ścianach scen historycznych nic prawie nie dochowało się do naszych czasów prócz kartonów do niektórych obrazów lub małych szkiców rysunkowych.

Unarodowione co do treści przez Stachowicza i kilku tuż przed nim wymienionych, malarstwo nasze stało jednak jeszcze dosyć nizko pod względem artystycznym i było wynikiem usiłowań pojedynczych, luzem chodzących artystów, którym brakło jakiegokolwiek łącznika, jakichkolwiek wspólnych właściwości. Prywatne szkoły Bacciarellego i Norblina

[1]) Reprodukcyi z dzieł jego znajduje się kilka rozprószonych w tomie I. niniejszego wydawnictwa (fig. 289, 292, 307).

rozbiły się w niespokojnych ostatnich latach XVIII. w. Podniesienie poziomu pojęć artystycznych do wyżyn kultury europejskiej, ujęcie talentów w pewne karby systemu opartego na doświadczeniach sztuki współczesnej, nadanie grupom młodzieży artystycznej wspólnego kierunku stało się odtąd zadaniem szkół publicznych malarskich, które zaczęły powstawać w główniejszych ogniskach nauki i oświaty polskiej.

Pierwszy krok pod tym względem uczyniła ta część kraju, która była także kolebką rozkwitu romantyzmu w poezyi polskiej: Litwa. Tutaj na uniwersytecie fundacyi Stefana Batorego założono w samym roku ostatniego rozbioru Polski Wydział sztuk pięknych, wcale dobrze uposażony i mający odrazu stosunkowo znaczną liczbę profesorów, a zwłaszcza uczniów. Największej powagi dodało mu głośne wówczas u nas imię Smuglewicza, który został profesorem malarstwa w r. 1797. Szkoła ta jednak nie odpowiedziała ani swemu rozgłosowi ani łożonym na nią początkowo funduszom. Smuglewicz, sam jako malarz sztywny, zimny, akademiczny, ale poprawny i poważny artysta, nie tęgim był nauczycielem. Najzdolniejszy z jego uczniów Józef Oleszkiewicz przesiedlił się wkrótce do Petersburga i tam malował obrazy kościelne i portrety równie zimne jak dzieła nauczyciela, a nadto nieznośnie przesadne, nienaturalne. Następcą Smuglewicza był Rustem, spolszczony Turek, uczeń Baciarellego i Norblina, jako kierownik szkoły malarskiej wcale postępowy i niezły pedagog, szczery obserwator przyrody i sumienny portrecista, oraz twórca większych kompozycyi religijnych i historycznych. Lecz mimo tego wszystkiego szkoła, która istniała do r. 1830., wybitniejszych uczniów nie wydała z wyjątkiem dość dobrego portrecisty Wańkowicza, wsławionego głównie wizerunkiem młodego Mickiewicza, którego wymalował w r. 1828., wspartego o »Judahu skałę«, spopularyzowaną przez jego sonety krymskie. Portret ten, tchnący duchem romantyzmu, rozpowszechniony został przez litografię, która w niezliczonych egzemplarzach rozeszła się po kraju.

W Krzemieńcu, który od chwili założenia przez Czackiego liceum stał się na szereg lat intellektualną stolicą tak zwanych Zabranych krajów, nie było wprawdzie szkoły malarskiej w ścisłem słowa znaczeniu, ale obudził się pewien ruch artystyczny wskutek zamianowania w r. 1806. profesorem rysunku Pitschmanna, znanego nam już ucznia Fügera i Lampiego i członka Akademii wiedeńskiej, który przeniósł się w XVIII. w. do Polski, a ostatecznie osiedlił się był we Lwowie. Obok szumnych i teatralnie pojętych scen mitologicznych malował on cenione w swoim czasie por-

trety, których znaczna liczba zdobi po dziś dzień szlacheckie dwory Wołynia, Podola i innych stron Polski.

Za przykładem Wilna powstała i w Warszawie szkoła malarska przy uniwersytecie, założonym tam w drugim dziesiątku lat wieku XIX. Bogato uposażona rozwijała się za Królestwa kongresowego, ściągając licznych uczniów, z których jednak żaden na znaczniejsze w sztuce stanowisko się nie wybił. Panował tam wszechwładnie zacofany, zimny akademizm, widzący ideał swój w naśladownictwie przestarzałego już francuskiego pseudoklasycyzmu szkoły Dawida i jego naśladowców, lubujących się w wielkich bohaterskich kompozycyach i sztywnej rzymskiej manierze. Długi czas szkole warszawskiej ton nadawał Antoni Brodowski, stosunkowo najzdolniejszy z jej profesorów, twórca szeregu bardzo zajmujących portretów wszystkich niemal znakomitszych osobistości Królestwa kongresowego. Obok niego działał mniej uzdolniony a strasznie zmanierowany Antoni Blank, pochodzący z Warmii, malarz scen religijnych i również portrecista, przez współczesnych przeceniony.

Mówiąc o Warszawie nie można przemilczeć Kokulara, Warszawianina, który choć był uczniem szkoły wiedeńskiej, a potem rzymskiej, jednak kierunkiem swym i pojęciami należy zupełnie do szkoły warszawskiej i przyczynił się do przeciągnięcia u nas aż blizko do połowy wieku XIX. klasycyzmu zarzuconego już na Zachodzie. Był to malarz zdolności miernych, wszelako wywarł wpływ niemały jako jedyny w Warszawie nauczyciel malarstwa w epoce po powstaniu 1831. r., kiedy rząd rosyjski zamknął nie tylko uniwersytet, a z nim razem i wydział sztuk pięknych, ale i inne szkoły, przy których istniała nauka malarstwa lub rysunku. Miał on przez pewien czas prywatną swoją szkołę artystyczną, aż doczekał się otwarcia znów publicznej szkoły malarskiej, w której objął profesurę malarstwa i piastował ten urząd aż do swej śmierci w r. 1846. Sam malował kilka scen mitologicznych, portrety dygnitarzy Królestwa polskiego, oraz cały szereg obrazów religijnych do kościołów warszawskich.

Kraków również nie pozostał w tyle w epoce rozciągania nad sztuką u nas opieki publicznej. Już w połowie XVIII. w. uniwersytet Jagielloński uznał był za stosowne podeprzeć dogasający cech malarski i jak umiał przyczynić się do podniesienia sztuki, przez przypuszczenie malarzy cechowych do wolności uniwersyteckich. Odtąd malarze stowarzyszeni, choć bardzo średniej wartości, tworzyli »Kongregacyę św. Łukasza przy Akademii krakowskiej zostającą«. Wkrótce Kołłątaj, przeprowadzając reformę uni-

wersytetu, oderwał odeń tę kongregacyę i zniósł naukę rysunku zaprowadzoną na uniwersytecie od r. 1766., a za to utworzył szkołę malarską przy gimnazyum czyli liceum krakowskiem. Prowadziła ona żywot niedołężny przez lat 20. Rząd Wolnego miasta wystawił sobie niepoślednie świadectwo zrozumienia zadań społeczeństwa oświeconego przez to, że w r. 1818. przyłączył szkołę do uniwersytetu i zorganizował ją na wzór podobnych zakładów istniejących przy uniwersytecie wileńskim i warszawskim. Skromne były ówczesne stosunki i środki Krakowa, skromne też działanie szkoły, skąpo uposażonej i zmuszonej posługiwać się słabemi siłami nauczycielskiemi. Mimo to nie tylko uznać wypada usiłowanie chwalebne, ale był to istotnie zakład poważnie pojmujący swoje posłannictwo i wtedy już położoną została podwalina późniejszego rozkwitu i wpływu szkoły krakowskiej na artystyczne życie w Polsce, jakby na dowód, że w sprawach wyższego porządku nie strona materyalna, ale duch rozstrzyga. Pogrom r. 1831., który wstrząsnął podwalinami narodu, odbił się też złowrogo na losach szkoły krakowskiej. Wprawdzie nie została ona zwiniętą, jak podobne zakłady w Warszawie i Wilnie, lecz wiodła odtąd, jak i cały uniwersytet Jagielloński, znowu żywot nędzny i suchotniczy aż do połowy wieku XIX., a jedynym prawdziwie utalentowanym wśród jej profesorów był w tej epoce Krakowianin Wojciech Stattler. Uczeń szkoły rzymskiej, bawił tam za młodu przez lat kilka właśnie w czasie, gdy szkoła t. zw. Nazareńczyków z Overbeckiem na czele ton nadawała sztuce, a przez naśladownictwo Rafaela i wielkich mistrzów odrodzenia włoskiego usiłowała podnieść zaniedbane malarstwo religijne. Zapał reformatorów był szczerym, lecz nieszczerymi środki, które obrali i zalecali. Świat się wstecz nie cofa, a naśladownictwo epok minionych nie może wydać płodnych owoców. Szlachetna działalność Nazareńczyków przyczyniła się do podniesienia duchowego poziomu współczesnego pokolenia artystów, pogłębiła ich poglądy, ale mimo rozgłosu, jaki chwilowo miała, nie zdołała sztuki wydźwignąć na wyżyny, o których marzyli apostołowie tego kierunku. Dzisiaj dzieła ich, jako szanowne próby, budzą już raczej tylko historyczne zajęcie. Ten sam los spotkał i Stattlera, który około r. 1830. powrócił do Krakowa, poprzedzony sławą, jaką mu przyniosła nagroda paryska za obraz »Machabeusze«. Nie brakło i w kraju zamówień u artysty ulubionego przez swoje pokolenie. Istotnie portretom jego nie można odmówić wartości, lecz większe jego kompozycye historyczno-religijne wrażenia już na nas nie czynią. Wszelako wpływ Stattlera na szkołę był niemałym i dodatnim. Wniósł

on w nią powiew szerszych poglądów Zachodu, a dał pierwszy hasło do zwrotu ku prawdzie i ku pięknu, przez zaprowadzenie studyum z natury i z antyku; obok tego zachęcał młodzież do kompozycyi i popierał twórczość. Był to postęp ogromny. Główną jednak zasługą było wyszukanie i zachęcenie do zawodu nauczycielskiego młodego Władysława Łuszczkiewicza, który z ucznia Stattlera stał się jego pomocnikiem, a później następcą w kierownictwie szkoły i doniośle zaznaczyć się miał w jej rocznikach i w dziejach historycznego malarstwa polskiego. Łuszczkiewicz bowiem zaprowadzeniem ścisłego systemu pedagogicznego, obudzeniem zamiłowania do przeszłości narodowej i do studyów archeologicznych przygotował rozwój szkoły krakowskiej i malarstwa historycznego polskiego, dla którego stara stolica Polski ze swymi przepięknymi zabytkami, niezliczonymi skarbami sztuki i wspomnieniami najdoskonalsze, jakby umyślnie stworzone tło stanowiła i które potem w Matejce najświetniejszy miało znaleźć wyraz.

Jakkolwiek losy szkoły malarskiej w Krakowie za czasów Stattlera pod względem środków materyalnych i opieki urzędowej były opłakane a warunki prawdziwie mizerne, trzeba przyznać, że jej kierownik uczynił wszystko, co było możliwem, aby ją na nowe pchnąć tory. Z jednej strony starał się ją podnieść, wycywilizować, na poziom europejski, z drugiej — przyłożył rękę, aby kiedyś mogła stać się szkołą prawdziwie polską. Sam w dziełach swoich beznarodowy, kosmopolita, umiał jednak szanować zabytki Krakowa i przeszłość kraju i umiał budzić dla nich interes, przytem wlewał w uczniów ducha poetycznego przez zwracanie umysłów ku poetom epoki romantycznej. Na profesorów rad powoływał ludzi wykształconych, którzy miłowali przedewszystkiem rzeczy ojczyste. I tak obok Łuszczkiewicza uczyli się za jego czasów Jan Nepomucen Głowacki i Aleksander Płonczyński, dwaj wcale zdolni peizażyści, którzy całe życie malowali widoki Krakowa, Ojcowa, okolic nadwiślańskich, Tatr i innych gór naszych.

Już dawały się uczuć pierwsze oznaki lepszego powiewu artystycznego w Polsce. Pojawiały się talenty rodzime, wykształcone także i poza istniejącemi u nas szkołami. W Warszawie zaznaczył się głębokością pomysłów malowniczych, w drobnych zwykle zawartych rozmiarach, Marcin Zaleski, który zostawił pewną liczbę olejnych widoków Warszawy, Willanowa, Wilna i wielkopańskich rezydencyi wiejskich. Kongresówka też wydała cenionych i zasłużonych sztycharzy: Jana Feliksa Piwarskiego



Fig. 212. Ks. Kordecki na czele obrońców Częstochowy oblężonej przez Szwedów.
Obraz Suchodolskiego w Muzeum narodowem w Krakowie.

i Antoniego Oleszczyńskiego, ktorzy przyczynili się niemało do rozpowszechnienia znajomości portretów historycznych, widoków, pamiątek artystycznych polskich. Królewiak Rafał Hadziewicz, uczeń barona Grosa, osiadał kolejno w Warszawie, Krakowie i Kielcach i zostawił sporo obrazów kościelnych, a także i kompozycyi świeckich, pretensyonalnych i zimnych, ale świadczących o sumienności oraz wysokiem artystycznem wykształceniu artysty.

We Lwowie odznaczyli się przed połową XIX. w. Alojzy Reichan, uczeń akademii wiedeńskiej, dobry i płodny portrecista, malujący głównie akwarelą czyli farbami wodnemi. Lwowianami też są i we Lwowie długi czas działali dwaj bracia, Franciszek i Maksymilian Siemianowscy, którzy z zawodu prawnicy i urzędnicy, wszelkie wolne chwile poświęcali malarstwu akwarelowemu i zostawili liczny zbiór typów ludzi i koni, widoków i scen rodzajowych w małych zwykle rozmiarach robionych i wspólnym monogramem podpisywanych. Dyletanci to o talencie nie dosyć do dziś dnia ocenionym, nie dosyć nawet znanym, bo nigdy nie szukali rozgłosu, w zamiłowaniu samem i pracy znajdując całą nagrodę.

Do żadnej części Polski specyalnie nie należy January Suchodolski, batalista, urodzony w Grodnie, wojskowy za Księstwa warszawskiego, który kształcił się w Rzymie i Paryżu, i większą część życia przepędził za granicą. Malował on przeważnie bitwy z wojen Napoleońskich, sceny wojskowe z typami żołnierzy polskich, a także epizody z dawniejszej historyi narodowej (fig. 212). Był przez jakiś czas bardzo u nas lubianym, a jego »Somosierra«, »Zdobycie Saragossy« i »Śmierć Czarnieckiego«, malowana w kilku egzemplarzach i rozpowszechniona w reprodukcyi kolorowej, należały do obrazów około r. 1850. nadzwyczaj u nas popularnych. Dziś widzimy w nim jedynie słabego naśladowcę Francuza, Horacego Verneta; lecz nie można zaprzeczyć, że położył niemałą w swoim czasie zasługę, dziełami swemi przemawiającemi łatwo do szerokiej publiczności budząc fantazyę, wywołując wspomnienia historyczne i rycerskie i rozgrzewając uczucia patryotyczne. Również do całej Polski należy wybitny a niesłychanie pracowity sztycharz tej samej epoki Kajetan Kielisiński, który urodzony w Kieleckiem, żył po kolei w Warszawie, Krakowie, Galicyi i Poznańskiem. Jego Album jest nieocenionym zbiorem krajobrazów, widoków miast i sławniejszych gmachów na ziemiach polskich; obok tego rysował lub malował akwarelą niezliczone typy ludowe, portrety, tablice do wydawnictw pieczęci polskich, monet i medali.

Ale z pewnością największym talentem malarskim, jedynym w pierwszej połowie XIX. w. artystą iście z Bożej łaski, niemal genialnym, był Krakowianin Piotr Michałowski, człowiek wyższego umysłu i szerokich horyzontów, razem uczony, biegły w językach starożytnych, fachowy znawca górnictwa, niepospolity mąż stanu, obywatel wiejski wzorowy i filantrop chrześcijański. Była to zdolność wyjątkowa, dziwnie wszechstronna. Czego



Fig. 213. Artylerya. Szkic olejny Michałowskiego, własność rodziny malarza.

się chwycił, wszystko spełniał świetnie, a zawsze z wyższą myślą o sprawie publicznej. Przed r. 1830. okazał się energicznym i znakomitym kierownikiem oddziału górniczego w Komisyi skarbu w Królestwie polskiem przy boku ministra, księcia Lubeckiego; w czasie powstania listopadowego rozwinął niepospolitą działalność organizatorską, podobnie jak i w późniejszych latach, kiedy po wcieleniu do Austryi wolnego miasta Krakowa, powołany został przez rząd na naczelnika Rady administracyjnej W. Księstwa krakowskiego. Wśród tylu największej wagi zajęć znajdował czas, aby wolne

chwile poświęcać sztuce, do której od dzieciństwa miał pociąg nieprzeparty. Powstanie upadło, najgorętsi patryoci szli na emigracyę, lub w kraju oddawali się bezczynnej rozpaczy — on jako już człowiek trzydziestoletni wyjechał na lat parę, ale na to, by jak mawiał: gdy na razie nie może inaczej służyć ojczyźnie, zostać malarzem sławy jej oręża. W Paryżu kształcił się u jednego z wybitnych przedstawicieli szkoły romantycznej, malarza scen wojskowych i Napoleńskich Charleta i zyskał sobie imię u Francuzów, którzy dzieła jego chętnie nabywali. Powróciwszy r. 1835. do kraju, mieszkał częściowo w Krakowie, częściowo na wsi i dzielić musiał zajęcia artystyczne z obowiązkami obywatelskimi. Sam uważał się raczej za amatora tylko i do dzieł swoich nie przywiązywał wielkiej wagi. Przechowywane głównie w rodzinie, były one długi czas nieznane szerszej publiczności, która dopiero na wystawie lwowskiej 1894. r. ocenić mogła całą wartość jego spuścizny. Robił przeważnie akwarele i rysunki, obok tego studya olejne, koni i zwierząt domowych, portrety, sceny wojskowe i typy ludowe. Rzadziej tworzył epizody z wypraw napoleońskich. Raz wyjątkowo zapaliła się jego fantazya do »Zdobycia wąwozów Somosierry« i powstał szkic w wielkim stylu, o zacięciu pełnem heroicznej namiętności, świadczący wymownie o niezwykłym talencie kolorystycznym. Pomimo, że nie zostawił większych obrazów wykończonych, w samych studyach i szkicach (fig. 213. i 214.) podziwiać trzeba prawdę, śmiałość i realizm tych prób, które starczą za dowód, że byłby mógł zostać największym polskim malarzem epoki przedmatejkowskiej; w każdym razie tkwił w nim wielki portrecista, studya zaś zwierząt, zwłaszcza koni, są po prostu znakomite i kilku słynnych malarzy francuskich uznawało go za mistrza swego pod tym względem.

Tak powoli mężniała technika i malarstwo polskie coraz bardziej zaczynało odczuwać prądy poruszające świat artystyczny Zachodu, żyć jego życiem. Zarazem stawało się coraz bardziej polskiem pod wpływem wstrząśnień politycznych, jakich w tych latach doznał naród. Związek tych dwóch stron życia narodowego: politycznej i artystycznej jest wyraźny i niewątpliwy. Epoka kościuszkowska wydała patryotycznego Stachowicza i kilku pierwszych malarzy swojskich. Epoka powstania 1831. r. jeszcze silniej odbiła się skierowaniem umysłów i serc ku rzeczom ojczystym. Na ten zwrot w sztuce niemało wpłynął młody Wincenty Pol, późniejszy autor pełnej ognia »Pieśni o ziemi naszej«, który w r. 1839. ogłosił rozprawkę »O malarstwie i żywiołach jego w kraju naszym«. Nawoływał on w niej gorącemi słowy młodych artystów do zwrócenia się ku przyrodzie polskiej, ku

swojskim obyczajom i przedmiotom. Było to bardzo na czasie, gdy malarze nasi zawsze jeszcze za granicą szukali nie tylko nauki, ale i natchnień do obrazów swoich. Nie dziw, skoro istniejące w kraju szkoły niewiele im dać mogły. W najlepszej stosunkowo krakowskiej Stattler umiał rozbudzać duchowo swoich uczniów, uwielbiał w zasadzie naturę i cenił rzeczy swojskie, ale w praktyce zasklepiony w jednostronnych zapatrywaniach, wierny zwolennik przepisów opartych o wzory sztuki włoskiej epoki odro-



Fig. 214. Fornalka krakowska. Akwarela Michałowskiego, w posiadaniu rodziny malarza.

dzenia, nie szedł równym krokiem za ruchem europejskim, systemem swoim wychowawczym tamował szczere patrzenie na naturę i malować nikogo właściwie nie nauczył. Znalazł się krytyk światły, Lucyan Siemieński, który w r. 1849. gwałtownie na te braki szkoły krakowskiej uderzył i dał pobudkę do jej pierwszego odrodzenia za Łuszczkiewicza. W najtrudniejszych warunkach materyalnych, wielkiem wysileniem osobistem, znajomością prądów zachodnich, wysokiem wykształceniem ogólnem i siłą wrodzonego rozumu zaczął Łuszczkiewicz szkołę reorganizować i podnosić, mając jedynego sprzymierzeńca w wysoko estetycznie wyrobionym Józefie Kre-

merze, który został w r. 1850. profesorem historyi sztuki; zwracali oni obaj uwagę młodzieży na zaniedbane dotąd i nieznane zupełnie zabytki dawnej sztuki w Polsce i nawiązali nić przerwanej zupełnie tradycyi historycznej. Słusznie uznawali, że sztuka polska odżyć może i zakwitnąć nie przez zasiew nasion obcych, ale jedynie przez pielęgnowanie i rozwijanie pierwiastków swojskich związanych z usposobieniem i wiekowem przyzwyczajeniem narodu, płynących niejako we krwi jego. Równocześnie starali się o dostarczanie uczniom możności studyowania natury, o wyrugowanie panującego przez długie lata szablonu i konwenansu.

Była to chwila ocknienia się u nas życia artystycznego i zajęcia ogółu dla sztuki. Monachium stanęło było na czele ruchu świata malarskiego środkowej Europy, a szkoła tamtejsza przez szereg lat ton nadawała sztuce, pod kierunkiem kilku malarzy wykształconych w Rzymie i pokrywających olbrzymiemi kompozycyami religijnemi, legendarnemi i historycznemi ściany kościołów, pałaców i muzeów. Szuka tam nauki cały zastęp młodych, pełnych zapału malarzy z różnych stron Polski, aby powróciwszy do kraju zużytkować nabytą wiedzę i wprawę na chwałę własnego narodu. Patryotycznie usposobieni rwą się do sławienia pędzlem przeszłości narodowej, ale nie mając dostatecznego przygotowania archeologicznego, przenoszą na przedmioty polskie zasób wiedzy historycznej i znajomości historyi kultury, przyniesiony z Niemiec, malują wogóle sposobem monachijskim obrazy pozbawione podkładu realnego, teatralne. Do najbardziej utalentowanych należą Warszawianie: Aleksander Lesser i Józef Simmler. Pierwszego »Oblężenie Trembowli« (albo »Chrzanowska«) cieszyło się przed r. 1850. pewną popularnością. Młodszy od Lessera Simmler w ciągu krótkiego swego zawodu utworzył stosunkowo znaczną liczbę dzieł większych rozmiarów, w których uwydatniły się: jego niepospolity talent kolorystyczny, dar charakteryzowania postaci i nadawania im głębokiego wyrazu indywidualnego, wysoka technika i umiejętność kompozycyi. Jego »Zygmunt August przy łożu umierającej Barbary« (fig. 215) pozyskał sobie odrazu wielką i zasłużoną sławę, odbywał tryumfalną podróż po różnych miastach; i do dziś dnia zachował miejsce zaszczytne: jest to najlepszy wielki obraz historyczny polski z doby przedmatejkowskiej. Cechuje go znakomite wykończenie, wdzięk linii i poetyczność, która pomimo pewnej teatralności wywiera silne wrażenie i podbija widza. Dwa inne wybitne jego obrazy to: »Katarzyna Jagiellonka w więzieniu w Grypsholmie« i »Przysięga Ja-

dwigi«. Simmler zostawił też dobre obrazy kościelne i kilka wybornych portretów.

Rozkwitła w owym czasie szkoła historyczna francusko-belgijska wywierała na to pokolenie malarzy naszych wpływ tylko pośredni — przez Monachium, gdzie silnem echem odbijały się prądy zachodnie. Jedynym



Fig. 215. Śmierć Barbary Radziwiłłównej.
Obraz Simmlera w posiadaniu Tow. zachęty sztuk pięknych w Warszawie.

znakomitym jej u nas przedstawicielem był Henryk Rodakowski, Lwowianin, który uczył się i potem osiadł w Paryżu, już od r. 1852. zwracając swemi obrazami uwagę powszechną i zdobywając medale na wystawach międzynarodowych. Portretami swymi stanął na równi ze słynnymi portrecistami francuskimi i może pierwszy — jeżeli pominiemy studya Michałowskiego — wyprowadził sztukę polską na szeroki horyzont europejski. Jego »Wojna kokosza« była próbą obrazu historycznego, mającą swoje

zalety, ale próbą, która jednak w zawodzie artysty ważniejszej roli nie odegrała. Na starsze już lata przeniósł się Rodakowski do Galicyi, potem mieszkał jakiś czas w Wiedniu, aż wkońcu osiadł w Krakowie, zamianowany niemal w przeddzień śmierci następcą Matejki na posadzie dyrektora Szkoły sztuk pięknych. Malował jeszcze dużo, rwał się do wielkich kompozycyi, jak obraz stanowiący olbrzymi fryz sali sejmowej we Lwowie, a przedstawiający »Dobrodziejstwa Kultury«, tworzył obrazy rodzajowe, rysował typy ludowe i ilustracye do poematów, lecz właściwem polem jego działania pozostał portret, a portrety ciotki artysty (nazywany zwykle przez pomyłkę portretem matki), dalej jenerała Dembińskiego (fig. 216), hr. Rogiera Raczyńskiego, kardynała, mają wartość trwałą w ogólnej historyi malarstwa tej epoki.

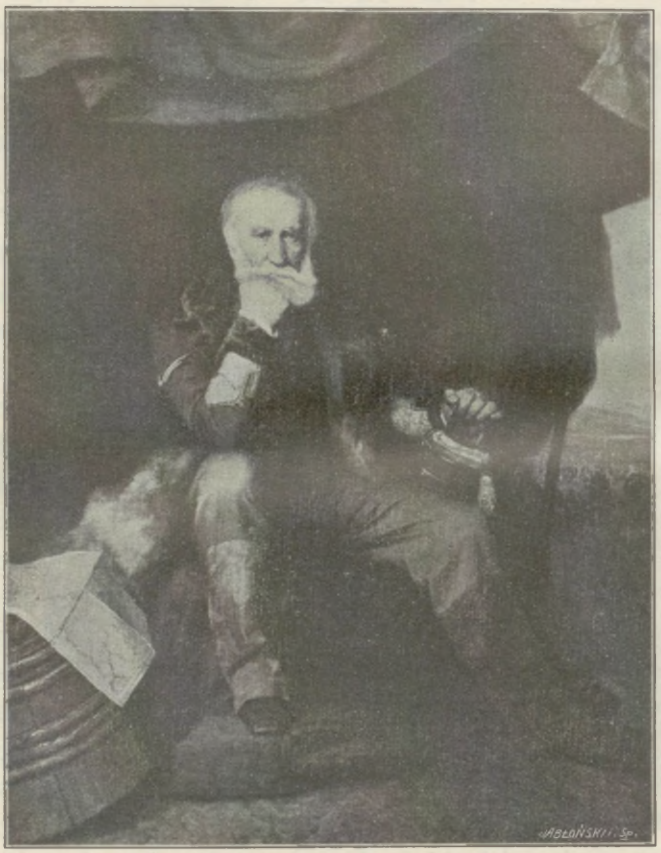

Fig. 216. Portret jenerała Dembińskiego.
Obraz Rodakowskiego w Muzeum narodowem w Krakowie.

Obok tych kilku wymienionych żyło około r. 1850. kilkunastu innych młodych malarzy, którzy już jako początkujący zwracali na siebie uwagę i wielkie rokowali nadzieje. Będziemy o nich mówili niżej.

Wrzało więc w świecie sztuki polskiej. Kto miał oczy ku patrzeniu, musiał widzieć, że malarstwo nasze przebywa jakąś wiosnę, po której można spodziewać się lata i żniwa obfitego, że zanosi się na epokę rozkwitu

i na uznanie nareszcie sztuki polskiej przez Europę. Pojawia się mnogość talentów w różnych stronach rozszarpanej ojczyzny, niektóre z nich jaśnieją nawet za granicą; z płócien tych malarzy, którzy z kraju jeszcze nie wyjeżdżali, bije świeżość pomysłów, zapał, tchnienie poezyi. Znajdują się mecenasi, którzy młodych artystów wspierają rozumną zachętą i pomocą, a dzieła ich kupują. Nie brak dla nich interesu wśród szerszego ogółu i w dziennikarstwie. W Krakowie skupiającym wówczas inteligencyę polską, znalazła się grupa ludzi, którzy zrozumieli, że gród ten ze swemi tradycyami, pamiątkami i zabytkami dawnej a świetnej sztuki, ze swoją szkołą malarską nie pierwszorzędną, ale najlepszą z istniejących na polskiej ziemi, jest jedynem środowiskiem do rozniecenia i skupienia życia artystycznego. Zawiązało się tu w r. 1854. Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych, a urządzane przez nie wystawy dzieł sztuki polskiej znalazły oddźwięk wśród publiczności o smaku wyrobionym przez styczność z Zachodem i przez wpływ artystycznego tła miasta. Za przykładem Krakowa zaczęto urządzać stałe wystawy w Warszawie, potem we Lwowie, wkońcu w bliższych już czasach w Poznaniu. W Poznaniu przedsięwzięcie nie mając odpowiedniego gruntu, po kilku latach upadło; oby powiodło się wskrzesić je obecnym usiłowaniom. Natomiast w Warszawie i Lwowie nie tylko się utrzymało, ale powstały za wzorem Krakowa osobne Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, które stanowią pośrednictwo między artystami a publicznością i przyczyniają się do podniesienia smaku i rozszerzania w społeczeństwie zamiłowania do sztuki.

Pierwsza wystawa krakowska w r. 1850. oprócz dzieł znanych nam już malarzy — przyniosła nazwisko nowe: Juliusza Kossaka. Skromne były początki malarza, który miał później tak ważne zająć miejsce wśród artystów polskich i tak przyczynić się do spopularyzowania sztuki u nas. Urodzony w r. 1824. w Wiśniczu, obrał za wolą rodziny zawód prawny. Jako uczeń uniwersytetu we Lwowie, czuł jednak pociąg silny do malarstwa i ukradkiem uczył się rysunku u Jana Maszkowskiego, który sam artysta średniej miary, ma tę zasługę, że wytworzył we Lwowie grunt dla uprawy sztuki i wyrobił kilku niepoślednich malarzy. Przyszły nasz znakomity akwarelista nie posiadał z domu środków do kształcenia przyrodzonej zdolności. W pomoc przychodzi mu znajomość z kilku obywatelami galicyjskimi, którzy zamiłowanie do koni, polowań i rozrywki umieli jeszcze wówczas łączyć ze szlachetną słabością do sztuki i do artystów. Wśród zabaw myśliwskich i wszelkiego rodzaju sportu uprawianego po szlache-



Fig. 217. Mohort przedstawia stadninę ks. Józefowi Poniatowskiemu. Akwarela Jul. Kossaka, własn. pryw. Z fotogr. Schuberta.

ckich i pańskich siedzibach wiejskich rozstrzyga się los i kierunek talentu młodzieńca na rozdrożu. Swoimi typami koni, scenami myśliwskiemi i wyścigowemi zwraca uwagę na siebie; a umiał pracować pilnie i wytrwale, i obrazki jego cieszyły się powodzeniem. W modzie były wtedy obrazy polowań i koni robione przez akwarelistów angielskich i niewątpliwie przyczyniły się do tego, że Kossak obrał również tę samą technikę, którą przez całe życie miał uprawiać. Doniosłe dlań znaczenie miała styczność z dwoma zawołanymi hodowcami koni. Z Juliuszem hr. Dzieduszyckim odbył podróż na Wschód, do kolebki ulubionych u nas koni tureckich i arabskich. Przez stosunki z Branickimi poznał polskie kresy wschodnie, szerokie krajobrazy stepów ukraińskich, stadniny, jarmarki miast kresowych z całą pstrą a malowniczą mieszaniną typów, ras i strojów. Była to epoka żywego jeszcze

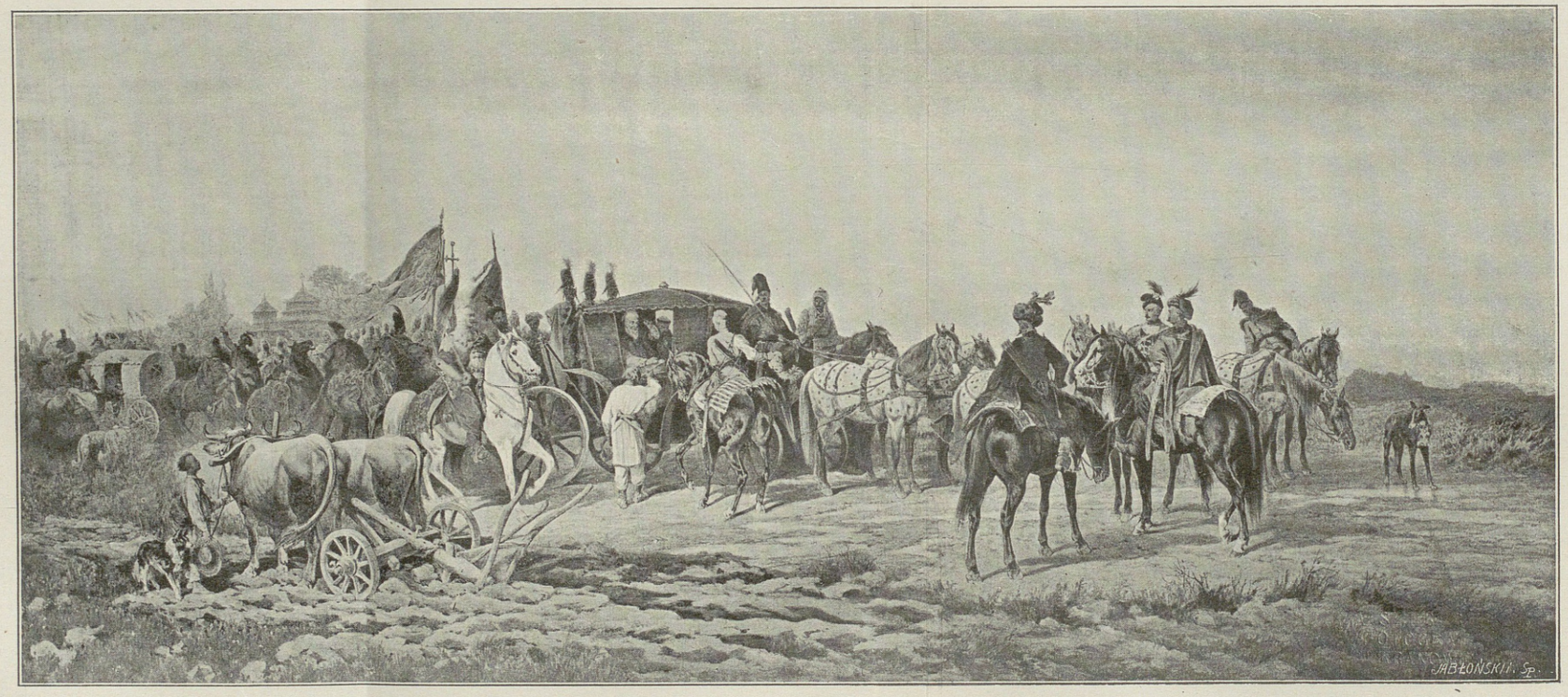

Fig. 218. Rewerze_Potockiemu chłop przynosi buławę hetmańską wyoraną w polu. Akwarela Juliusza Kossaka. Własność prywatna.

wspomnienia bohaterskich walk 1830. r. i niezbyt dawnej tradycyi wojen napoleońskich. Teraźniejszość bez życia politycznego mało przedstawiała interesu. Wieczorami jesiennymi przy kominku i fajce szlachta zabawiała się opowiadaniami o zaznanych epizodach wojennych, o rycerskich czynach przodków. Dzieje pokoleń szlacheckich były jeszcze dla niej historyą narodu. Wszystko to pędzlem lub ołówkiem przenosił Kossak na papier. Przytem rozczytywał się we współczesnych poetach naszych, szczególnie w opowiadaniach z życia szlacheckiego.

Ale sam czuł, że jeszcze nie jest skończonym artystą. W r. 1853. wybrał się do Paryża, zwabiony sławą malarza bitew i koni, Horacego Verneta, którego po kilku latach nauki prześcignął talentem i wprawą, choć nie rozgłosem i rozmiarami kompozycyi. Malował zawsze małe obrazki, tylko że pod wpływem pobytu paryskiego dawny malarz polowań nabrał pewnego zacięcia bohaterskiego, stał się malarzem epizodów wojennych, a rys ten jeszcze spotężniał u niego po krótkim pobycie w Monachium u znakomitego batalisty Franciszka Adama. Resztę życia przepędził w kraju, naprzód w Warszawie, a od r. 1870. osiadł w Krakowie i tu w r. 1899. żywota dokonał.

Kossak należał do najpracowitszych naszych artystów. Trudno zliczyć jego dzieła. Malował sceny z życia wiejskiego, polowania, jarmarki, targi, widoki wsi i miast naszych, typy ludowe, portrety konne i portrety koni, stadniny, epizody z życia i dziejów szlachty, bitwy historyczne. Akwarele jego rozchwytywane, rozproszyły się po całej ziemi polskiej. Do najznakomitszych należą »Mohort przedstawiający stadninę księciu Józefowi Poniatowskiemu« (fig. 217), »Rewera Potocki, któremu chłop przynosi wyoraną w ziemi buławę hetmańską« (fig. 218), »Stadnina w Taurowie«, »Przeprawa przez Dniestr«, »Wesele krakowskie«, »Targ na Kleparzu«. Obok nich znane są bardzo »Czarniecki«, »Leon Rzewuski pod Wawrem« »Rodakowski pod Custozzą«, »Wycieczka myśliwska«, »Polowanie w Byczkowcach«, »Sobieski«, »Kościuszko«, »Książe Józef Poniatowski« (fig. 219). Z wyjątkiem jednego »Odwrotu Bourbakiego« nie znamy w całej spuściźnie po Kossaku żadnego obrazu, któryby nie odnosił się do rzeczy polskich. On nie rozumiał, jak Polak mógłby talent swój oddawać na usługi obcych. Cała uwaga jego, miłość całego życia poświęcona była rzeczom swojskim i śpiewaniu chwały ojczyzny. W Polsce i jej gloryi rozmiłowany, o niej myślał, gdy malował cykle z dziejów starych rodzin: Fredrów, Gniewoszów, Tyszkiewiczów, gdy kreślił portrety zasłużonych żołnierzy

i patryotów: Rzewuskiego, Sanguszki, Kruszewskiego. Peizaże polskie i sceny rodzajowe z życia wiejskiego tworzył z miłością synowską dla matki ojczyzny i kraju rodzinnego. Typy polskie, krajobraz polski, konia polskiego znał i umiał oddawać jak nikt inny. Znał i przeszłość naszą dziejową i historyę kultury: świadczy o tem każdy szczegół jego utworów.



Fig. 219. Książe Józef Poniatowski.
Akwarela Juliusza Kossaka.

Obok obrazów robił ołówkiem niezliczone rysunki, przedstawiające sceny z poematów Pola, które mu szczególnie zawsze przypadały do smaku, z opowiadań Bodzantowicza, powieści Jeża, z »Pana Tadeusza« Mickiewicza. Talent jego ilustratorski znalazł ogromną podnietę, gdy w czasie sześcioletniego pobytu w Warszawie w latach 1862—1868 objął kierownictwo działu artystycznego w »Tygodniku illustrowanym«. Ryciny jego stały się ulubionemi w kraju, nakładcy starali się pozyskać ołówek jego dla swych wydawnictw, które rozchodząc się tysiącami po pałacach, dworach, domkach małomiejskich, popularyzowały literaturę naszą i szerzyły znajomość przeszłości.

Gdy obejmiemy całą działalność i postać Kossaka, musimy przyznać, że był on nawskróś idealistą, idealizował przeszłość naszą, typy, nawet krajobraz i konie — ale idealizm swój oparł na podstawie prawdy. Po epoce fałszywego konwencyonalizmu, który wyjałowił był niwę sztuki, on

umiał zwrócić się do prawdy, do przyrody, do ziemi i tradycyi ojczystej. To była niewyczerpana skarbnica jego motywów, źródło natchnienia, przedmiot miłości wiernej do deski grobowej. Ta prawda i ta miłość dały mu w rękę wpływ dobroczynny, uszlachetniający a zdrowy. Książki ilustrowane przez Kossaka, tak jak reprodukcye obrazów jego, znalazły się w każdym domu polskim, na nich wychowało się więcej, niż jedno pokolenie.

Mieliśmy malarzy większych natchnieniem, siłą talentu, świetną techniką — pod względem tego wpływu wychowawczego bodaj czy jest który, coby mógł mierzyć się z Kossakiem. Wywarł on także wpływ duchowy na całe jedno pokolenie malarzy polskich, które dzieła swoje tworzyło po r. 1863., pod świeżem wrażeniem patryotycznych porywów i strasznego pogromu.

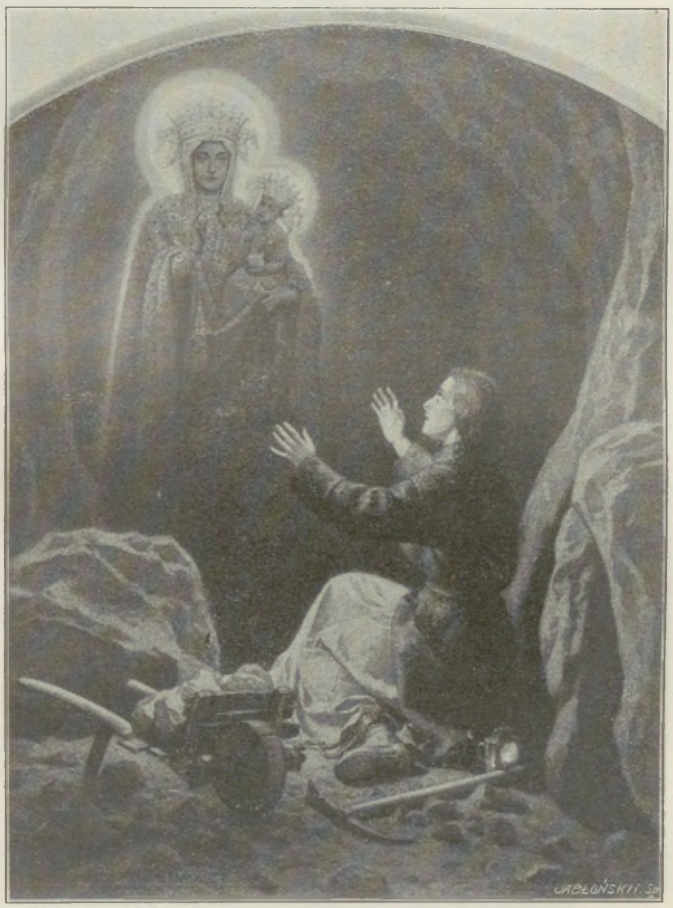

Fig. 220. W kopalni. Z cyklu »Lituania« Grottgera w Muzeum narodowem w Krakowie.

Do najznakomitszych przedstawicieli tego właśnie pokolenia należy Artur Grottger. Jest on wogóle zjawiskiem wyjątkowem nie tylko w polskiej sztuce. Talent to pierwszorzędny, oryginalny, zdumiewający, któremu wtóruje wulkaniczna gorącość uczucia, egzaltacya dla wszystkich najszlachetniejszych czynników życia. Grottger przyszedł na świat w r. 1837. na Podolu galicyjskiem. Początkowo uczyli

go we Lwowie Maszkowski i Kossak, potem był przez dwa lata w krakowskiej szkole sztuk pięknych, pod kierunkiem Łuszczkiewicza, który odrazu poznawszy jego zdolności otaczał go szczególną opieką. Następnie z różnemi przerwami przebywał po parę lat dwa razy w Wiedniu i raz w Monachium. W stolicy Bawaryi kształcił się głównie pod Schwindem, jednym z najwybitniejszych przywódzców szkoły romantycznej, który cyklami olbrzymich scen z legend niemieckich pokrywał ściany teatrów, pałaców i odbudowywanych wonczas z zapałem zamków średniowiecznych.



Fig. 221. Głowa Chrystusa. Rysunek Grottgera.

Często powtarzające się pobyty na obczyźnie, naprzód dla nauki, później z powodu choroby piersiowej, która miała zakończyć się śmiercią trzydziestoletniego zaledwie artysty u wód zagranicznych, w Pireneach — wszystko to mało wpłynęło na kierunek myśli i drogi talentu Grottgera. W Niemczech i w Paryżu wydoskonaliła się biegłość jego ręki, ale duch jego zwrócony był zawsze w stronę ojczyzny; za nią tęsknił całą siłą gorącego uczucia, w niej było jedyne źródło jego natchnienia. Już jako dziecko dziesięcioletnie malował sceny z powstania 1831. r. Potem będąc na nauce, rysował i malował oczywiście najrozmaitsze przedmioty, studya, typy, portrety, sceny z angielskich powieści Walter Scota i innych utworów literatur ob-

cych, które mu wpadały w ręce, peizaże, polowania, nawet pomysły humorystyczne, sceny z życia wiedeńskiego, ilustracye do historyi austryackiej, tkwił bowiem w tej bogatej naturze niewyczerpany zapas fantazyi, wszech-



Fig. 222. Na chórze. Rysunek Grottgera.

stronność obejmująca najróżnorodniejsze strony życia. Zawsze jednak powracał do ulubionych tematów: obrazków wojennych i wojskowych, naprzód na tle r. 1831. i dawniejszych dziejów narodu, potem scen z lat 1862. i 1863. Wogóle w rodzaju natchnienia jego górowały trzy główne pierwiastki: cześć dla sztuki, współczucie dla nędzy ludzkiej i miłość ojczyzny. Wiarę miał prostą, ale bardzo szczerą i głęboką. Aby się o tem prze-

konać, dość spojrzeć na obraz »W kopalni« z cyklu »Lituania« (fig. 220), na ślicznego »Chrystusa w cierniowej koronie« (fig. 221) i kilka innych utworów natchnienia religijnego. Sztukę pojmował jako posłannictwo wysokie, z nieba rodem, jakieś kapłaństwo i apostolstwo piękna i szlachetności wszelakiej. Świadczą o tem jego personifikacye sztuk teatralnych rysowane dekoracyjnie, a znajdujące się w Muzeum narodowem w Krakowie, z których wieje dziwna powaga i nadziemska wysokość pojęcia; świadczy przepiękny »Anioł muzyki« ze skrzypcami w ręku, skomponowany pod wrażeniem muzyki Chopina, jego rysunki »Na chórze« (fig. 222) i »Z kolędą« (fig. 223), świadczy zresztą cała działalność artystyczna Grottgera. Jego współczucia dla nędzy ludzkiej najwymowniejszym wyrazem jest cykl »Wojna«, powstały pod wrażeniem wojny między Austryą i Prusami w r. 1866. Te jedenaście obrazów, to nie są zwykłe sceny i epizody wojenne: to raczej rozpamiętywania na tle okropności wojny. Wyraźnym tego dowodem postaci artysty i geniuszu jego, powtarzające się na każdej scenie, a odźwierciedlające wrażenia i uczucia wywołane okrucieństwami zorganizowanej walki ludzi z ludźmi. Poeta włoski Dante w dwóch pierw-



Fig. 223. Z kolędą. Rysunek Grottgera.

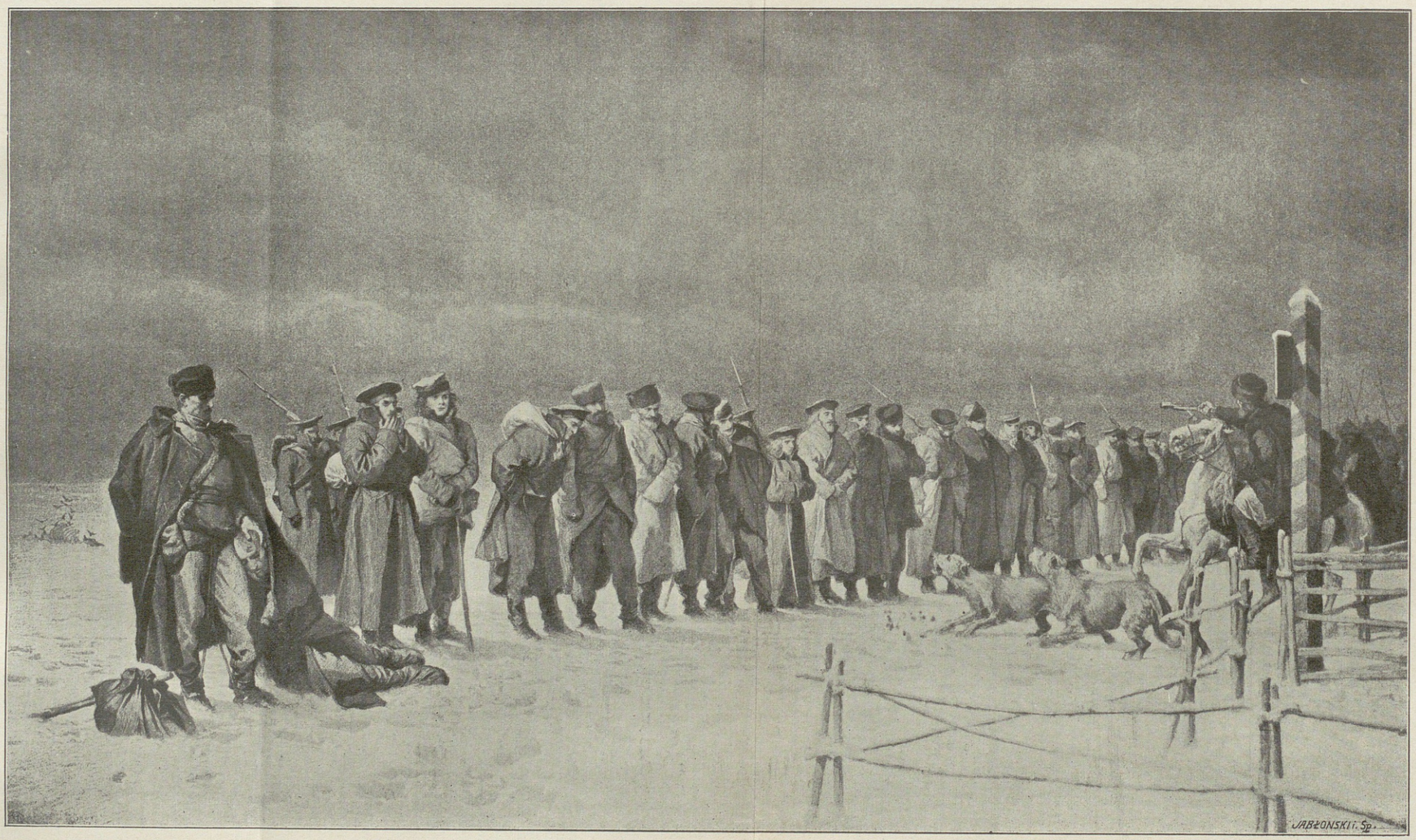

Fig. 224. Pochód na Sybir. Rysunek Grottgera.

szych częściach swojej »Boskiej Komedyi« przesunął przed nami straszne obrazy mąk piekła i czyśca — Grottger, malując okropności wojny, przedstawia geniusza towarzyszącego »artyście« w postaci Beatryksy, która przewodniczyła Dantemu w wędrówce po niebie. Istotnie było w naszym artyście coś dantejskiego, było coś z głębokiego myśliciela i filozofa; dziełami swemi pobudzał, zmuszał do myślenia; miłością swą ogarniał ludzkość, odczuwał jej nędze i cierpienia, i w tem jest tajemnica wpływu, jaki wywarł, powodzenia, jakiego w całej pełni doznał, niestety dopiero po śmierci. Jego »Wojna«, pod tytułem »Na łez padole« reprodukowana w tysiącach egzemplarzy, rozeszła się szeroko po całej Europie, a szczególnie po Niemczech. Niewiele mniejsze powodzenie miały cykle obrazów więcej wyłącznie narodowego znaczenia: »Warszawa«, »Polonia«, »Lituania«, mające za treść wypadki 1861—1863 r. Trzeba przyznać, że nikt tak jak Grottger nie umiał odczuć i uplastycznić cierpień narodu w tych latach strasznej klęski i strasznego rozczarowania. Zwłaszcza niektóre sceny z »Lituanii«, siły poetycznej nieporównanej, uderzają swoją miarą i szlachetną powagą, która także stanowi cechę nienależącego do żadnego cyklu a tak słusznie podziwianego »Pochodu na Sybir« (fig. 224). Unika w nim artysta taniego efektu szarpania nerwami przedstawieniem realistycznem mąk fizycznych, ale przeprowadza przed nami całą skalę tortur duchowych, malujących się na tych pięknych twarzach w najsubtelniejszem stopniowaniu odcieni. Podobnie w innych luźnych obrazach z epoki powstania, których wykonał bardzo wiele (fig. 225), umie zawsze wywołać potężne wrażenie, zachowując jednak nawet w scenach pełnych grozy granice piękna i szlachetnej powagi. Grottger malował niekiedy olejno, częściej akwarellą, największe jednak swoje arcydzieła rysował na papierze kredkami, podtrzymując czasem linie tuszem lub sepią pędzlem kładzioną i wzmacniając światła białą farbą. Ta ulubiona jego idealna technika przyczynia się też w pewnej mierze do podniesienia efektu poetycznego. Grottger pozostanie zawsze jednym z największych poetów wśród malarzy swego wieku, jak jest największym poetą wśród malarzy, jakich Polska dotąd wydała.

Innemi drogami szedł najpotężniejszy geniusz z pośród malarzy polskich, Jan Matejko (fig. 226). Natura nawskróś samodzielna, obiera on bardzo młodo zawód malarski, choć mu pierwsi nauczyciele nie rokują wielkich na tem polu nadziei. Próbuje uczyć się malarstwa w Krakowie, Wiedniu, Monachium, ale nigdzie długo nie zagrzewa miejsca. Wszelki kierunek, wszelki szablon jest mu wstrętnym — on w sobie czuje siłę, by

własną wytworzyć metodę i własne zakreślić sobie szlaki. On ma własne pojęcia i ideały, ktorym wierny pozostanie od dzieciństwa aż do śmierci.

W Krakowie się urodził w r. 1838., tu spędził całe życie i tu umarł r. 1893. Wyjeżdżał tylko kilka razy i to na krótko, za młodu do Wiednia i Monachium, w dojrzalszym wieku do Paryża, do Włoch, do Konstantynopola. Przelotne te pobyty za granicą nie zaznaczyły się widocznymi śla-



Fig. 225. Walka. Scena z powstania 1863. r. Rysunek Grottgera.

dami w jego twórczości. Stosunkowo najwięcej jeszcze wpływu wywarła nań Szkoła sztuk pięknych krakowska, a w niej wybitna postać ówczesnego po Stattlerze kierownika Łuszczkiewicza, który sam przejęty wyobrażeniami francuskiej szkoły malarzy historycznych, a rozmiłowany w przeszłości Polski i specyalny badacz zabytków sztuki w Polsce, skierował młodego a niezwykle się zapowiadającego ucznia ku tym samym ideałom. Odtąd marzeniem Matejki stało się tworzenie obrazów historycznych z dziejów naszych. Studyom w tym kierunku poświęcił życie całe, a kształcił się przeważnie sam, wiedziony wrodzoną genialnością. Była to indywidualność

nawskróś niezawisła. Jak pięknie powiedziano: właściwie jedyną nauczycielką była mu historyczna przeszłość narodu, była stara, podupadła, a przecie tak piękna stolica Kraków, ze swymi pomnikami i wspomnieniami. Pod względem technicznym, formalnym, nie da się zaprzeczyć głęboki na Matejkę wpływ, artystyczne i duchowe pokrewieństwo dzieł snycerskich Wita Stwosza, w którym się młody jeszcze malarz rozmiłował, współdziałając radą i czynem przy restauracyi krakowskiego ołtarza Maryackiego w r. 1868. Matejko był jednym z najbieglejszych i najbardziej wykształconych naszych historyków i archeologów. Ale nie poprzestał na szukaniu w historyi tematów do obrazów, na szukaniu w archeologii motywów malowniczej dekoracyi. Sztuka była mu tylko środkiem do spełnienia wielkiego posłannictwa narodowego, do którego się czuł powołanym. Umysł refleksyjny, niezmiernie głęboko pojmujący życie i świat, wierzył całą gorącością duszy swej ognistej, że Bóg Polsce wyznaczył wielką misyę dziejową wśród ludów słowiańskich. Misyi tej naród nie pojął należycie, nieraz jej się sprzeniewierzał, wkońcu całkiem o niej zapomniał. Stąd źródło jego klęsk i ostatecznego nieszczęścia. Zrozumienie jej tylko może się stać zadatkiem odrodzenia. Misyą tą: prowadzenie słowiańszczyzny do cywilizacyi i do Boga. Punktami jej wytycznymi: chrzest narodu, unia z Rusią i Litwą, walki z wrogami chrześcijaństwa i katolicyzmu, panowa-

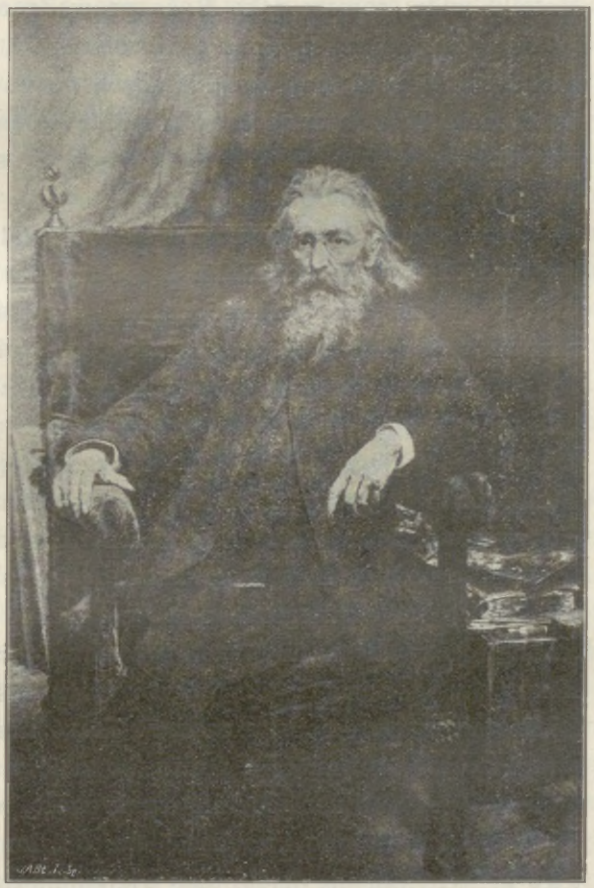

Fig. 226. Portret własny Matejki.

nie Batorego i dążenie do berła nad słowiańszczyzną; momentami ciemnymi niesnaski i objawy prywaty w XVII. w., wreszcie ostateczne zwycięstwo egoizmu i demoralizacya w czasach rozbiorowych. Momentami jasnymi w epoce schyłkowej: tryumfy Sobieskiego, konstytucya trzeciego maja 1791. r., powstanie Kościuszki. W dobrej i złej doli głęboka wiara Matejki widzi zawsze rękę Bożą prowadzącą naród, widzi Opatrzność posyłającą mu od czasu do czasu bohaterów, mężów stanu, kaznodziejów, wielkich świętych, naprowadzających go na drogę właściwą, karcących za zboczenia. Tak pojmując zadanie sztuki, stał się wielki artysta dla swego narodu podobnym niejako do przodków starego testamentu, co żydom wskazywali drogi Boże.

Działalność Matejki zeszła się z działalnością historyków t. zw. szkoły krakowskiej, którzy z Kalinką i Szujskim na czele postanowili szukać prawdy w dziejach, zedrzeć zasłonę przesadnej i szkodliwej gloryfikacyi narodu w epoce romantycznej, odkryć rany i błędy: »niechaj boli jak chce«, bo jedynie w poznaniu prawdy widzieli zbawienie i ratunek. Podobnie i on nie szczędził naszej miłości własnej, a postacią jego ulubioną, powtarzającą się w jego obrazach, i noszącą często rysy samego malarza, jest Stańczyk, historyczny trefniś królewski, mówiący prawdę wszystkim, samemu nawet monarsze, a w chwilach radości i tryumfu smutnie dumający po kątach nad zaślepieniem społeczeństwa, które je do niechybnej zguby prowadzi.

Nie o samo smaganie błędów chodziło jednak Matejce. Drugim jego celem było wysławianie świetnych chwil przeszłości ojczyzny dla podniesienia ducha narodu, dla przypomnienia światu, czem niegdyś byliśmy i jakie są nasze dziejowe zasługi. Te różnorodne cele udało mu się w znacznej mierze osiągnąć, a nadto obudzić w własnym narodzie niebywały interes dla sztuki, uszlachetnić smak ogółu, wywołać ruch olbrzymi na polu malarstwa polskiego i zachęcić do działania całe zastępy artystów. Do tego przyczyniła się, dzięki jego wielkiemu osobistemu znaczeniu, uzyskana w r. 1873. reorganizacya krakowskiej Szkoły sztuk pięknych i zamianowanie Matejki jej dyrektorem. Pozostając na tem stanowisku przez lat 20, kładł największy nacisk na kurs kompozycyjny i na malarstwo historyczne. Była to jednak już epoka schyłku malarstwa historycznego, nowe prądy wiały z Zachodu i to, co minęło, zgalwanizować się nie dało. Matejko nie zdołał utworzyć swojej szkoły, niemniej wywarł wpływ potężny na swoją epokę i na młodsze pokolenie, przez pogłębienie gruntu, przez podniesienie intellektualnego i moralnego poziomu sztuki polskiej, przez posiew

wysokich ideałów, którym pozostał wiernym do grobowej deski. Hasłem jego było: nie sztuka dla sztuki, nie dla zabawki choćby najszlachetniejszej, ale sztuka dla najwyższych celów narodu i ludzkości. W jego przekonaniu talent artystyczny był tym talentem z przypowieści ewangelicznej, z którego kiedyś przyjdzie zdać rachunek przed Bogiem, więc go należy tylko na dobre i na wzniosłe cele używać. Była to wogóle osobistość pod każdym względem wyższa, umysł ogarniający szerokie widnokręgi, inteligencya potężna o wykształceniu niezwykłem i wszechstronnem, serce bardzo gorące, charakter wyjątkowej czystości i wielkoduszności. Wysoko wewnętrznie wyrobiony, był pokornym wobec Boga, lecz niezmierna gwałtowność jego uczuć wybuchała niekiedy ogniem egzaltacyi, niekiedy płomieniem oburzenia wobec małości ludzkiej. Był w nim wielki artysta razem i wielki obywatel. Każda ważniejsza sprawa zapalała go i pobudzała do działania. Zwykle odludek i zamknięty w sobie, chętnie należał do wszelkiej akcyi publicznej szerszego pokroju i przemożnym wpływem swojej indywidualności nadawał jej ton i kierunek. Wyrobił też sobie zupełnie wyjątkowe w społeczeństwie stanowisko, a powaga jego odbijała się silnem echem i poza granicami kraju.

Niepodobna nietylko szczegółowo omawiać, ale nawet wyliczyć dzieł, które Matejko utworzył w ciągu swojego stosunkowo krótkiego, bo zaledwie pięćdziesięciopięcio-letniego żywota. Samych obrazów olejnych, własną ręką wykonanych zostawił 240, a między nimi kilkadziesiąt płócien wielkich, kilkanaście olbrzymich, mierzących 30 i 40 metrów kwadratowych. Oprócz tego pozostała po nim niezliczona moc rysunków i akwarel. Była to pracowitość benedyktyńska połączona z twórczością tytaniczną. Całymi miesiącami zamykał się, całemi latami unikał towarzystwa ludzkiego i malował od wczesnego ranka do nocy. Wieczorami, nawet w kółku rodzinnem, rozmawiając z dziećmi, trzymał ołówek w ręku i rysował. Rysunki jego do pism ilustrowanych, do albumów i wydawnictw książkowych (portrety królów polskich [1]) i znakomitych mężów), szkice do całych cyklów obrazów niewykonanych (»Dzieje cywilizacyi w Polsce«, fig. 227), lub wykonanych przez uczniów, jak np. »Dzieje cywilizacyi« w Auli politechniki lwowskiej, ikonostaz cerkwi unickiej w Krakowie, dekoracya ogromnego wnętrza kościoła P. Maryi w Krakowie — idą w setki, nie licząc setek jeśli nie tysięcy studyów z natury, z przedmiotów muzealnych, zabytków sztuki, przemysłu artystycznego, pieczęci, kostyumów, pomników, widoków miast, wnętrz do-

[1]) Obacz portrety Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego w tomie I. »Polski«.

mów i Bóg nie wie jakich najrozmaitszych przedmiotów. Umysł ten wielki obejmował wszystkie objawy życia ludzkiego i świata zewnętrznego. Rysownik pierwszorzędny i razem kolorysta znakomity, kształty i barwy umiał chwytać jak mało kto i oddawać w swoich obrazach z świetnością niezrównaną. Prawda i plastyczność jego strojów, klejnotów, sprzętów i przyborów — tego wszystkiego, co nazywamy akcesoryami — wymusza podziw. Ale nie jest to naśladownictwo niewolnicze, fotograficzne, niejako



Fig. 227. Wprowadzenie chrześcijaństwa. Z cyklu Matejki: »Dzieje cywilizacyi w Polsce«.

ślepe; Matejko we wszystko, co tworzy, umie wlać życie, tchnienie swego potężnego ducha. Największym zaś mistrzem jest w odtwarzaniu postaci ludzkich. Jego ludzie nie są lalkami martwemi i nieruchomemi ani aktorami udającymi uczucia; oni żyją, oddani z całym temperamentem, z uczuciami i namiętnościami swemi. Sceny figuralne zamieniają się w dramaty przejmujące widza jak rzeczywistość sama. Dramatycznymi stają się pod pędzlem jego nawet portrety, w których strona duchowa każe zapominać o stronie technicznej pełnej prawdy i blasku. Patrząc na postaci jego obrazów, poznajemy nie tylko ich powierzchowność odtworzoną z wiernością dro-



Fig. 228. Kościuszko pod Racławicami. Obraz Matejki w Muzeum narodowem w Krakowie.

biazgową i zdumiewającą wypukłością, ale przedewszystkiem dusze ludzkie, ich temperament, uczucia, myśli i charaktery. W tem leży główna część zajęcia, jakie budzą zarówno w artystach, jak w szerokich warstwach publiczności.

Pojawienie się każdego obrazu Matejki było w kraju zdarzeniem, poruszało masy. Nie było u nas człowieka, któryby nie biegł oglądać ich na wystawie, wszyscy o nich rozprawiali, a dyskusye przybierały nieraz ton gwałtowny. Nikt nie mógł pozostać obojętnym. A choć to już od ich utworzenia minęło lat dwadzieścia i trzydzieści, dziś jeszcze nie straciły nic na znaczeniu i na sile wewnętrznej, a reprodukcye ich zawsze jeszcze cieszą się niesłychaną popularnością i mogą liczyć na pokup pewny.

Pierwszy, wielki obraz historyczny »Piotr Skarga przepowiadający upadek Polski w kazaniu sejmowem za Zygmunta III.« ukazał się w r. 1864. Matejko postawił się nim odrazu na czele malarzy polskich, a w pierwszym rzędzie współczesnych malarzy europejskich. Wrażenie było ogromne. Całe społeczeństwo nasze odczuło radośnie, że ma wpośród siebie artystę genialnego. Przedtem już wymalował był Matejko, począwszy od 17-go roku życia, kilka obrazów, które zwróciły nań uwagę znawców i objawiły go jako niezwykle uzdolnionego malarza historycznego, lecz nie wywołały jeszcze takiego ogólnego podziwu i zapału. Odtąd miał zapewnione powodzenie, które zdobył sobie wstępnym bojem. Nastąpił szereg arcydzieł, które wypływały z pod jego pędzla siłą wulkaniczną i porywały zarówno znawców jak szerokie tłumy: »Rejtan«[1]), »Unia«, »Batory«, »Grunwald«[1]), »Hołd pruski«[1]), »Sobieski«, »Dziewica Orleańska«, »Kościuszko pod Racławicami« (fig. 228) pojawiały się w tak krótkich odstępach, że pojąć nie można, jak na ich wykonanie starczyły siły jednego wątłego i słabowitego człowieka. Ale w tym samym dwudziestoczteroletnim okresie czasu wychodziły z jego skromnej i cichej pracowni całe masy innych mniejszych lecz niemniej cennych kompozycyi: »Dzwon«, »Iwan Groźny«, »Rzeczpospolita Babińska«, »Bitwa pod Warną«, »Wit Stwosz«, »Sędziwój«, »Zygmunt August i Barbara«, »Maciek Borkowic«, »Kopernik« (fig. 229), »Śmierć Przemysława«, »Zjazd monarchów pod Wiedniem 1515. r.«, »Polska po r. 1863.«, »Chrzest Warneńczyka«, »Zamoyski pod Byczyną«, »Złota Brama«, »Śmierć Zygmunta Augusta«, »Ślub Kazimierza Jagiellończyka«[1]), »Konstytucya 3-go maja«[1]), »Śluby Jana Kazimierza«[1]), »Uniwersytet Jagielloński w XV. w.«. To są tylko główniejsze obrazy historyczne. Obok nich artysta malował kilkanaście obrazów treści religij-

[1]) Reprodukcya w dziale Historyi politycznej w tomie I. »Polski«.

nej, alegorycznej lub z historyi kościoła zaczerpniętej, np. »Wskrzeszenie Łazarza«, »Matka Boska« i »M. B. Częstochowska« w kilku odmianach, tryptyk »Królowa korony polskiej« (fig. 230), »św. Kinga« [1]), »Zmartwychwstanie« (fig. 231), »św. Cyryl i Metody«, »Iwo Odrowąż«, »Polonia« i t. d.; a równocześnie co rok wykonywał po kilku portretów, nieraz wielkich rozmiarów i traktowanych jak kompozycye historyczne, między nimi



Fig. 229. Kopernik. Obraz Matejki, w Auli uniwersytetu krakowskiego.

dzieła tak pierwszorzędne, jak portrety żony i dzieci w kilku odmianach, portret nazwany »Kasztelanką«, idealny wizerunek Kochanowskiego, portrety dr. Gilewskiego, Dietla, hr. Stanisława Tarnowskiego [2]), hr. Artura Potockiego, hr. Alfreda Potockiego, hrabiny Alfredowej Potockiej, Szujskiego [2]), hr. Moszyńskiego i portret własny.

W obrazach religijnych, zwłaszcza w »Królowej korony polskiej« i »Zmartwychwstaniu«, podobnie jak w całym szeregu kompozycyj historycznych, w których cudowne wkraczanie świętych, Kościół i jego przed-

[1]) Reprodukcya w dziale Historyi politycznej w tomie I. »Polski«.
[2]) Reprodukcya w Dziejach literatury w tomie II. »Polski«.

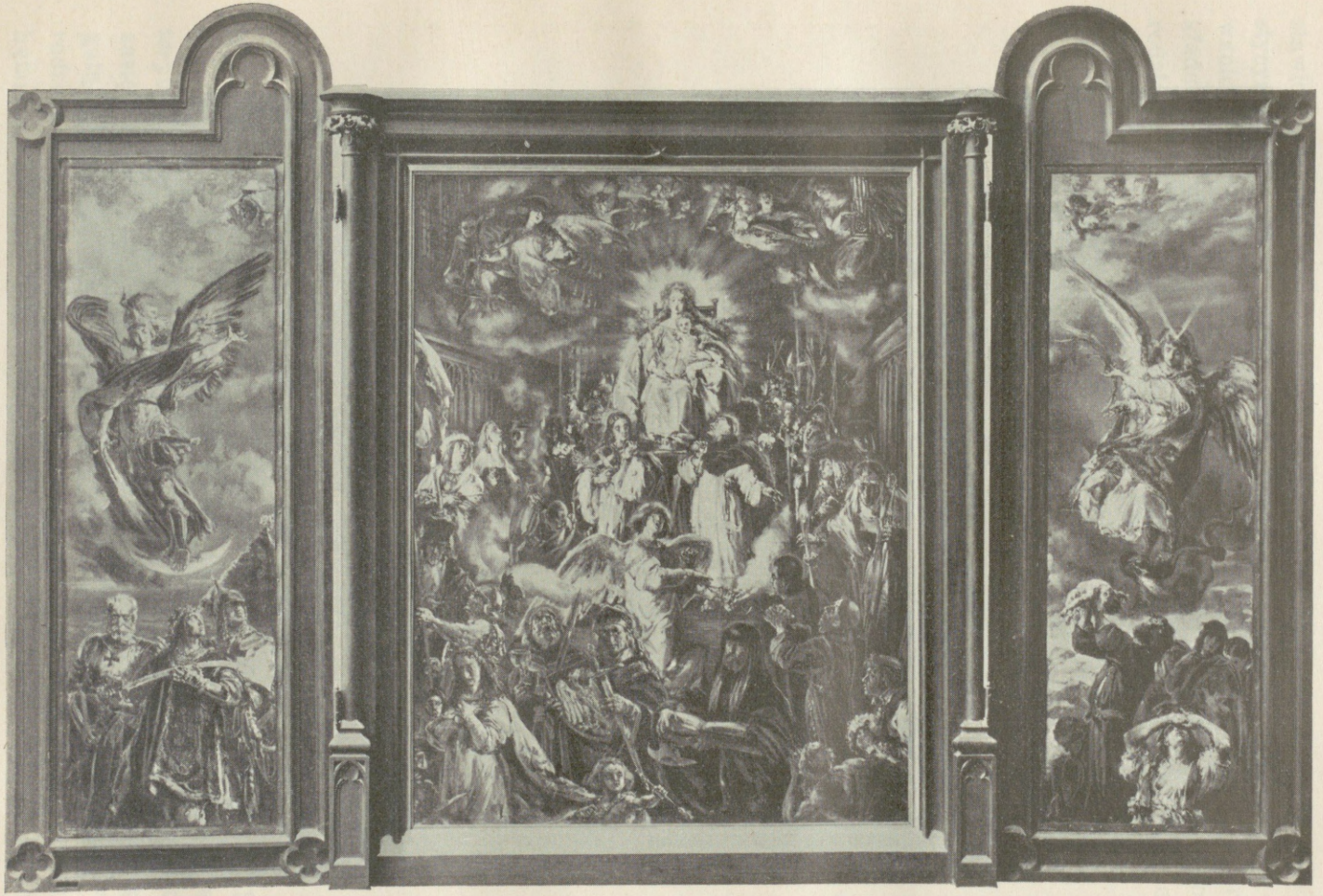

Fig. 230. Królowa korony polskiej. Tryptyk Matejki. Własność prywatna.



Fig. 231. Zmartwychwstanie. Obraz Matejki. Własność prywatna.

stawiciele ważną odgrywają rolę, objawiła się silna, gorąca, pewnym mistycyzmem owiana pobożność Matejki, jego cześć dla Matki Bożej, dla wzniosłych postaci świętych pańskich, którzy społeczeństwo słowem i przykładem ku Bogu prowadzili. Ale cała pełnia miłości synowskiej dla Bogarodzicy, cała gwałtowna gorącość uczuć jego dla tej, która pośredniczy mię-



Fig. 232. Anioł z kobzą. Z polichromii Matejki w kościele P. Maryi w Krakowie.

dzy Bogiem i ludźmi, która jest matką ludzi, a którą naród nasz nazywa Królową korony polskiej, objawiła się we wspaniałej dekoracyi wnętrza presbiteryum kościoła Maryackiego w Krakowie (fig. 232). Polichromia ta z tymi zastępami aniołów niosących na wstęgach inwokacye litanii, z całą swoją bogatą symboliką i tą nieopisaną krasą kolorystyczną, będąc jedynem w swoim rodzaju dziełem sztuki, jest zarazem najrzewniejszym poematem, uroczystym hymnem wznoszącym się z ziemi polskiej jak dym kadzideł ofiarnych ku niebu.

Grottger i Matejko są dwoma słońcami, które oświeciły sztukę polską w drugiej połowie XIX. wieku, rzucając w czasie najcięższego naszego politycznego pogromu dokoła imienia polskiego szerokie w dziedzinie ducha kręgi blasku, odbijającego się na obu półkulach. Sławniejszego w świecie artystę wydała Polska tylko jednego: muzyka Chopina. Pod względem



Fig. 233. Ostatnia chudoba. Obraz Kotsisa z fotogr. Schuberta.

rodzaju natchnienia i znaczenia we własnym narodzie, porównywano czasem Matejkę do Mickiewicza, Grottgera do Krasińskiego lub Słowackiego. Nie będziemy roztrząsać bliżej tych zestawień; ale to jest pewnem, że kiedy wielkich wieszczów epoki romantycznej nie stało, zesłała nam Opatrzność tych dwóch genialnych artystów dla podtrzymania sił, dodania wiary w siebie, odwagi i otuchy. Oni przyczynili się, żeśmy zdołali przetrwać najcięższe chwile, jakie naród kiedykolwiek miał do przeżycia, oni w znacznej mierze sprawili, żeśmy nie upadli na duchu wśród strasznych klęsk

i rozczarowań r. 1863. W tem jest ich wielkie znaczenie, w tem ich doniosłość dla narodu w przeciwieństwie do niemałych nawet talentów doby poprzedniej, którzy przeszli bez wielkiego wpływu, bo ani społeczeństwa tak zrozumieć i myśli jego wyrazić, ani tak do niego przemawiać nie umieli. W tem powód do niewygasłej wdzięczności najdalszych pokoleń naszego narodu.

Wszakże nie byli oni sami błyszczący jak meteor w ciemności; pokolenie ich wydało liczne grono malarzy, którzy współcześnie, choć nie stojąc na takich wyżynach, współpracowali nad rozkwitem sztuki polskiej. Ci drudzy stanowią ich otoczenie i tło, a istnieniem swem stwierdzają, że rozkwit ten nie był przypadkowem i oderwanem zjawiskiem, lecz tylko najwyższym wyrazem organicznego rozwoju kultury naszej w drugiej połowie XIX. w. Malarze ci nie zaznawszy jeszcze za młodu wybitnego ogniska artystycznego polskiego, kształcili się po różnych szkołach zagranicznych.



Fig. 234. Hetman Stefan Czarniecki. Obraz Kaplińskiego.

Akademia sztuk pięknych wiedeńska, której chroniczną chorobą był i jest brak kierującego ducha, była »stacyą przejściową« dla pewnej części młodzieży, przeważnie dla Krakowian. Oto kilku, na których wpływ Wiednia znać jeszcze najwyraźniej: Andrzej Grabowski, bardzo dobry portrecista, ur. 1833., umarł w r. 1886., nie wyzyskawszy wszystkich zasobów swego całkiem niepospolitego talentu. Dzieła jego odznaczają się energią rysunku, siłą światłocienia i charakterystyki. Aleksander Kotsis, ulubiony w swoim czasie malarz rodzajowy, po dłuższej chorobie zmarł przedwcześnie w r. 1875. Malował obrazy przeważnie małych rozmiarów, starannie wykończone; przebijała się w nich prawda obserwacyi (fig. 233), odczucie peizażu polskiego,

niekiedy szczera poetyczność. Wilhelm Leopolski, zdolny portrecista i malarz historyczny, Galicyanin, ur. w r. 1830.

Ze szkoły francuskiej wyszli prócz wymienionych: Kossaka i Rodakowskiego, niepośledni portrecista i twórca wizerunków postaci historycznych Leon Kapliński (fig. 234), dalej Franciszek Tepa, który obok pewnej liczby obrazów rodzajowych, wymalował cały zbiór cenionych portretów współczesnych artystów, poetów i literatów, wreszcie Wojciech Gerson. Ten był pomiędzy nimi najwybitniejszą postacią. Urodzony w Warszawie w r. 1831., rozpoczął studya w tamtejszej szkole sztuk pięknych, potem dwa lata kształcił się w Akademii petersburskiej, wkońcu w Paryżu. Po r. 1857. osiadł w Warszawie i rozpoczął tu działalność wszechstronną. Jako malarz był zwolennikiem linii wdzięcznych i ścisłych zasad kompozycyi opartych na dawniejszych teoryach piękna, ale poprawność i piękno jego obrazów były nieco sztywne i nie miały warunków rozgrzania widza; przyczyniał się do tego również chłodny koloryt jego pędzla. Malował obrazy historyczne, postaci alegoryczne, peizaże. Mimo pewnego braku temperamentu artystycznego pozostawił wśród znacznej liczby utworów niektóre, mające trwałą wartość. Ale główne zasługi położył jako profesor warszawskiej Szkoły sztuk pięknych i jako jeden z lepszych naszych historyków sztuki. Wieloletnią działalnością swoją przyczynił się wielce do obudzenia, wśród niekorzystnych w tamtejszych stosunkach warunków, zamiłowania i znawstwa, tudzież do rozwoju sztuki, którą pojmował z najpoważniejszej strony. Rozciągał również gorliwą opiekę nad zabytkami sztuki dawnej w kraju całym. Był to wogóle umysł nader wszechstronny i czynny, pisywał artykuły do czasopism, a wpływ cywilizacyjny, jaki wywierał, był niemały i dodatni.

Najliczniejszy zastęp naszych malarzy wyszedł z Monachium, i była epoka, w której sztuka u nas wogóle nosiła w znacznej mierze cechy szkoły monachijskiej. Z pokolenia nieco starszego lub współczesnego Matejce należą do niej, prócz Simmlera, Warszawianie: Aleksander Lesser, który scenami z przeszłości ojczystej wyprzedził co do czasu znacznie Matejkę, prócz tego malował obrazy rodzajowe; Ignacy Gierdziejewski, artysta zupełnie genialny, choć w technice naiwny, przedwcześnie zmarły, którego niektórzy chcą uważać za prekursora Grottgera; peizażysta Józef Szermętowski; słynny karykaturzysta Franciszek Kostrzewski; Henryk Pillati, malarz historyczny i rodzajowy, wsławiony szczególnie kilku udatnemi humorystycznemi grupami współczesnych artystów; dalej dwaj Galicya-

nie: Aleksander Gryglewski, znakomity twórca niewielkich obrazów, przedstawiających celniejsze zabytki budownictwa w Polsce, a szczególnie wnętrza kościołów (fig. 235) i pałaców historycznych (fig. 236); i Leopold Löffler, poprawny i poważny malarz scen historycznych, profesor kra-



Fig. 235. Wnętrze kościoła P. Maryi w Krakowie. Obraz Gryglewskiego w Muzeum narodowem w Krakowie, z fotogr. Szubertaj

kowskiej Szkoły sztuk pięknych, którego »Powrót z wyprawy wojennej«, wielokrotnie reprodukowany, należał do obrazów popularnych w kraju.

Akademii berlińskiej zawdzięcza malarstwo polskie jednego głośniejszego na chwilę malarza, Maksymiliana Antoniego Piotrowskiego, który urodzony w Bydgoszczy, zmarł w r. 1875. jako profesor Akademii sztuk



Fig 236. Salon w Łazienkach, pałacu królewskim pod Warszawą. Obraz Gryglewskiego, z fotogr. Schuberta.

pięknych w Królewcu. Dlaczego obraz jego »Wanda« był w swoim czasie tak wysoko ceniony, dziś trudno nam zrozumieć.

Dwóch większej sławy artystów wreszcie wyszło z Akademii petersburskiej: Stanisław Chlebowski, Podolanin, kończył studya w Paryżu, poczem na długie lata wyniósł się do Turcyi i malował świetnym pędzlem sceny wschodnie, studya i portrety. O znakomitym jego talencie świadczy wielkie, niestety niedokończone płótno »Wjazd sułtana Mahometa II. do Konstantynopola«. Litwin Andriolli kończył studya w Rzymie i Paryżu, podróżował bardzo dużo, wreszcie osiadł pod Warszawą na wsi. Zarówno w Paryżu jak w kraju zasilał liczne wydawnictwa swemi illustracyami. Był to rysownik nadzwyczaj płodny, pełen siły i zacięcia, lecz niewolny od przesady i zmanierowania.

Wyliczyliśmy główniejszych tylko artystów. Obok nich grupowały się zastępy drugo- i trzeciorzędnych malarzy, służących im za tło, posiłkujących się ich natchnieniem i zdobyczami technicznemi. Wprawdzie szukali oni wykształcenia po różnych obcych ogniskach sztuki, lecz patenty zagraniczne, z którymi przyjeżdżali do kraju, nie przeszkadzały, że łączyły ich wspólne cechy energicznego temperamentu i charakteru narodowego, skłonności do tematów polskich, ogólny kierunek patryotyczny — a dłuższy pobyt w kraju i pełne miłości studyowanie krajobrazu i typów miejscowych wpływały na wytworzenie się pewnych też wspólnych cech pojmowania i przedstawiania natury, powietrza, światła. Już więc pod koniec trzeciej ćwierci XIX. w., wziąwszy jeszcze w rachubę Szkołę krakowską zorganizowaną pod kierunkiem Matejki, mieliśmy prawo mówić nie tylko o malarzach polskich, ale i o malarstwie polskiem. Wystarczało nam ono już zupełnie; czasy sprowadzania malarzy zagranicznych do większych przedsięwzięć artystycznych minęły stanowczo. Właśni czynili zadość potrzebom miejscowym, illustrowali wydawnictwa, malowali portrety mogące zdobić najwykwintniejsze domy, malowali obrazy religijne, sceny rodzajowe, krajobrazy, a nadto głębokiemi kompozycyami historycznemi i patryotycznemi krzepili ducha, kształcili i cywilizowali szerokie warstwy. Brakowało tylko jeszcze, by malarstwo nasze poznanem i uznanem zostało przez Europę. Niebawem i to przyjść musiało. Początek zrobiły obrazy Matejki, wysyłane na wystawy zagraniczne i zdobywające swemu twórcy najwyższe nagrody. Obok niego pojawiły się wśród młodszego pokolenia gwiazdy pierwszej wielkości. Nie są to wprawdzie geniusze, bo te zwykle rzadkimi bywają wyjątkami, ale talenty pierwszorzędne, a między nimi

bardzo nawet świetne i mające warunki większej niż Matejko przystępności dla publiki zagranicznej.

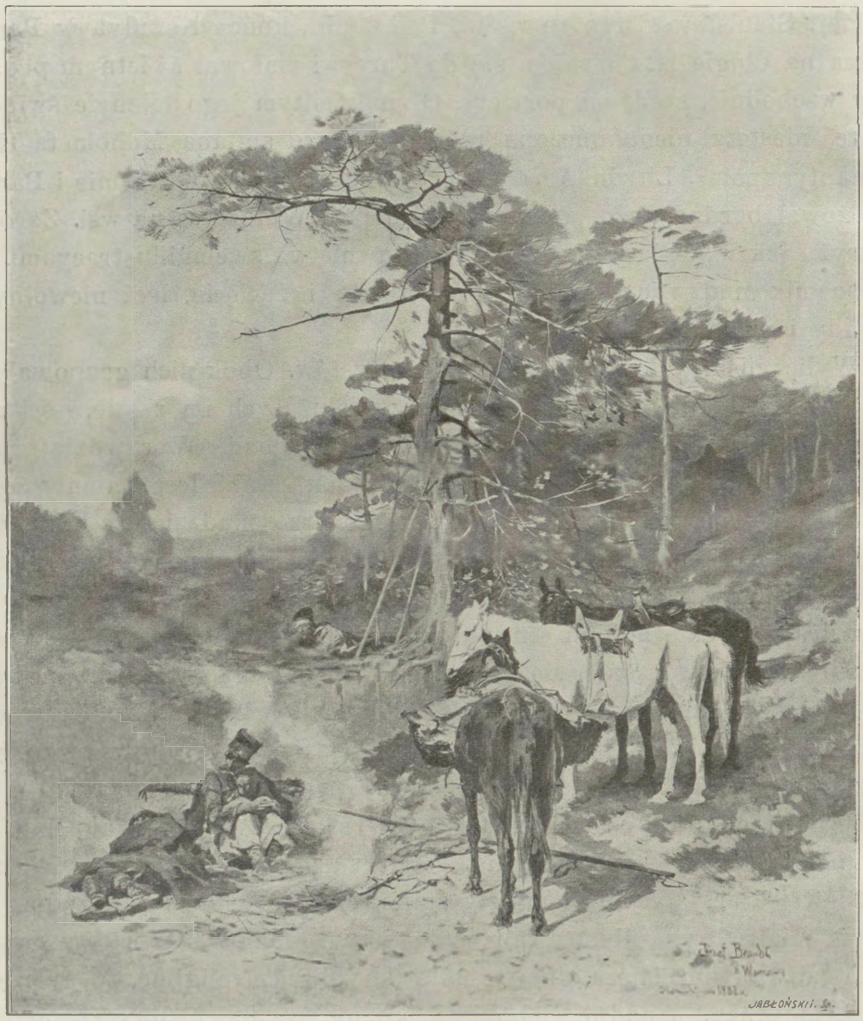

Fig. 237. Na stanowisku. Z cyklu: Polowanie. Obraz Brandta.

Jednym z nich jest Józef Brandt z Lubelskiego. Kiedy jako młody człowiek około r. 1860. zaczął kształcić się naprzód w Paryżu, a potem w Monachium, minęły były w Europie najświetniejsze czasy malarstwa historycznego w wielkim stylu, ale zato rozpoczynała się epoka zwrotu ku studyowaniu natury w najrozmaitszych jej przejawach, więc peizaż,

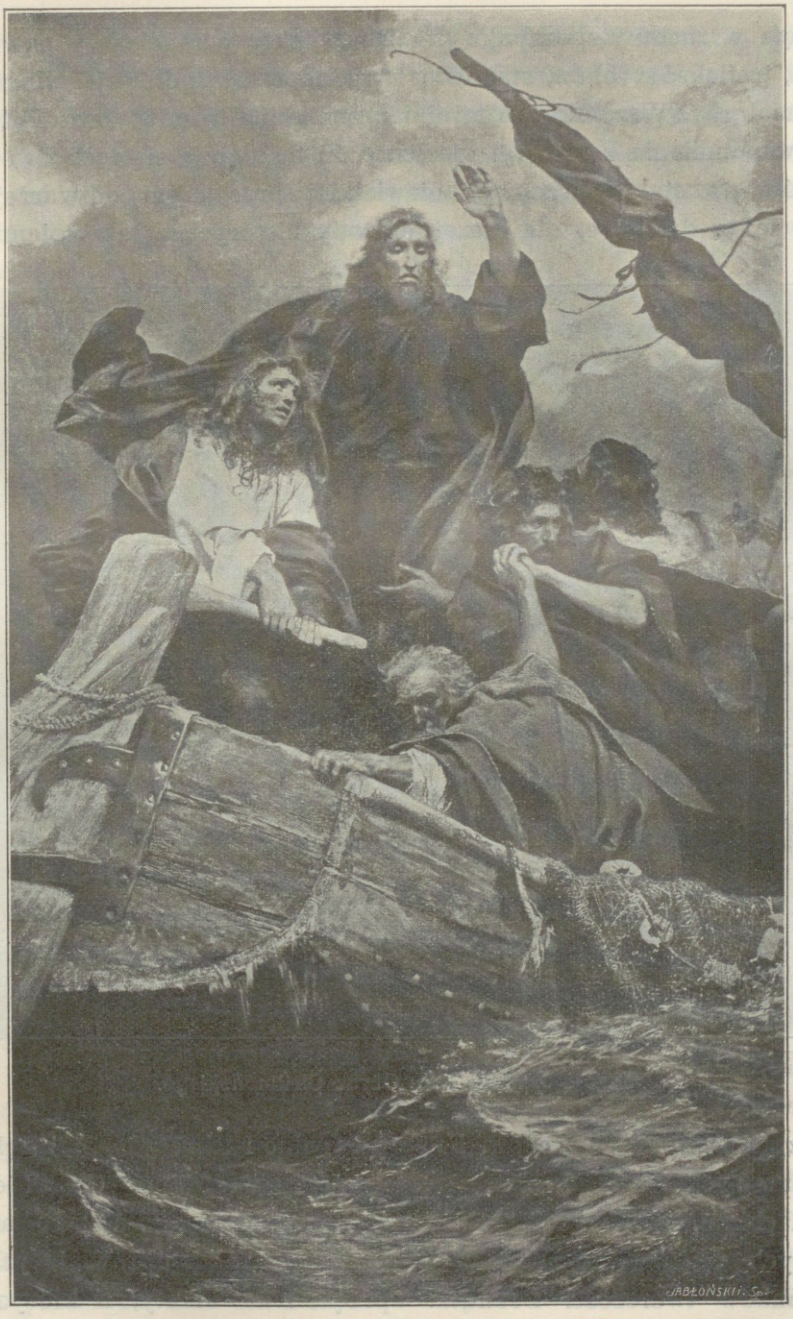

Fig. 238. Chrystus uśmierzający burzę na jeziorze Genezareth.
Obraz Siemiradzkiego w zborze ewang. w Krakowie. Z fotogr. Szuberta.

zwierzęta w ruchu i spoczynku (fig. 237), efekty perspektywy powietrznej, światła, refleksów barw, stanowią przedmiot szczegółowej i długotrwałej nauki malarzy. Wszystkie te tajniki przeniknął Brandt. Lecz Polaka ciągnęły wspomnienia z historyi ojczyzny. Ze spotkania się tych dwóch pierwiastków powstały obrazy na niewielkiej przestrzeni odtwarzające nie wielkie fakty dziejowe, ale raczej epizody historyczne lub wojenne z da-



Fig. 2 9. Babie lato. Obraz Chełmońskiego.

wniejszych i nowszych czasów. Utwory te pełne ruchu, życia, plastyki i blasku barw rychło ustaliły sławę swego twórcy w świecie. Osiadł on stale w Monachium, gdzie otoczyło go i otacza po dziś dzień koło artystów młodszych podobnego zakroju, przeważnie jednak uprawiających jeden z kierunków twórczości Brandta: uprzęże i kawalkaty, w których typy ludu wiejskiego i konie chłopskie główną odgrywają rolę. Do największego w tym rodzaju wirtuozostwa, a zarazem niestety do maniery, doszedł Alfred Kowalski, mający niemałe powodzenie, podobno nawet w Ameryce.

Drugą gwiazdą na widnokręgu sztuki polskiej końca XIX. w. stał się Henryk Siemiradzki. Urodzony w r. 1843. z rodziców Polaków w Charkowie, kształcił się naprzód w Akademii petersburskiej, później w Monachium, wreszcie w Rzymie, gdzie stałe osiadł. Umarł w r. 1902. w Królestwie Polskiem, dokąd corocznie przyjeżdżał, mając tu rodzinę i przyjaciół. Uprawiał głównie kierunek kosmopolityczny i t. zw. klasyczny, malował olejno obrazy wielkie, przedstawiające sceny z życia starożytnych Greków i Rzymian, lub alegorye czyli uosobienia pojęć: piękna, geniuszu, sztuki, dramatu, muzyki — pod postaciami pięknych kobiet i młodzieńców. Istnieje także kilka jego obrazów religijnych (fig. 238). Był to mistrz techniki malarskiej, niezrównany w oddawaniu wdzięku ciała ludzkiego, blasku, złota i lśniących marmurów, jaskrawych szat, powierzchni wody i błękitu południowego nieba. Pięknością linii, harmonii, kolorytu i umiejętnym układem kompozycyi swoich wstępnym bojem podbijał widza. Mniej głęboki niż Matejko, przez pewien czas zdołał przyćmić sławę jego, a za granicą lepiej odeń był rozumiany. Różne Akademie europejskie mianowały go swoim członkiem honorowym, w r. 1878. otrzymał w Paryżu medal złoty za »Świeczniki chrześcijaństwa«, ogromny obraz przedstawiający scenę z prześladowania chrześcijan w Rzymie za Nerona. Obraz ten ofiarował Siemiradzki podczas jubileuszu Kraszewskiego w r. 1879. narodowi i stanowi on zawiązek Muzeum narodowego w Krakowie. Również wielkiem i zasłużonem powodzeniem cieszyły się jego utwory »Taniec wśród



Fig. 240. Św. Cecylia. Obraz Krudowskiego w Muzeum narodowem w Krakowie.

mieczów«, »Wazon czy kobieta«, »Elegia«, »Za przykładem bogów«, »Fryne«. Do najlepszych jego dzieł należą dwie alegoryczne zasłony teatralne: lwowska, szczególnie zaś krakowska.

Do malarzy, którzy do podniesienia sławy sztuki polskiej przyczynili się za granicą, należą dalej: Józef Chełmoński, Warszawianin, malarz rodzajowy i peizażysta, którego »Babie lato« (fig. 239), »Czwórka ukraińska« i kilka innych obrazów olejnych znamionują znakomitą obserwacyę przyrody i oryginalny, niekiedy genialny sposób odczucia i oddania jej duszy; jest on może najznakomitszym u nas przedstawicielem zachodniego impresyonizmu w malarstwie; Władysław Czachórski z Lubelskiego, mieszkający stale w Monachium, malarz rodzajowy, celujący w odtwarzaniu z wielkiem wykończeniem subtelnym pędzlem wytwornych postaci kobiecych; Franciszek Krudowski, twórca obrazów kościelnych (fig. 240) i religijno historycznych, będących jakby dalekim odblaskiem włoskiego malarstwa odrodzenia; wreszcie Bilińska, zawcześnie dla sztuki zgasła portrecistka, pełna męskiej siły charakterystyki, z którą umiała łączyć wirtuozyę pędzla i ołówka, przejętą od młodszych mistrzów francuskich (fig. 241).



Fig. 241. Portret własny Bilińskiej w Muzeum narodowem w Krakowie.

Szkoła krakowska pod kierunkiem Matejki za późno wprawdzie się



Fig. 243. Kwietna niedziela. Obraz Pruszkowskiego w Muzeum narodowem w Krakowie.

rozwinęła, aby w jej uczniach na szersze rozmiary odżyło na polskiej ziemi malarstwo historyczne, które w świecie już się było przeżyło, lecz wydała piękny zastęp talentów, odznaczających się w różnych kierunkach. Należą do nich: Hipolit Lipiński, zmarły przedwcześnie w r. 1884., bardzo uzdolniony malarz rodzajowy scen z życia ludu krakowskiego; Ludomir Benedyktowicz (fig. 242), peizażysta o smaku wykwintnym a usposobieniu poetycznem; Kazimierz Pochwalski, słusznie wysoko ceniony portrecista, który próbował też z powodzeniem sił swoich w większych kompozycyach, obecnie profesor wiedeńskiej Akademii sztuk pię-



Fig. 242. Nad mogiłą w r. 1863. Obraz Benedyktowicza.

knych; zmarły w r. 1897. zdolny portrecista Machniewicz; bardzo młodo zmarły Maurycy Gottlieb, żyd galicyjski niepospolitego talentu, który w kilka, blaskiem kolorytu słynnego malarza Makarta przypominających, obrazów z życia i dziejów swoich współwyznawców zdołał włożyć niezmiernie wiele uczucia i poetycznego nastroju, a przytem wschodniego ognia i blasku; wreszcie Pruszkowski, równie już nieżyjący dziś twórca licznych scen z życia i podań ludu krakowskiego, którego duszę szczególnie głęboko pojął (fig. 243). Pod koniec życia przerzucił on się w świat walk i cierpień narodowych, opromienionych przez poezyę naszą i sposobem pasteli, czyli obrazów robionych proszkami lub kredkami kolorowemi przedstawiał je z wyjątkowym idealizmem. Był to wogóle artysta z Bożej łaski, jeden z największych polskich talentów; z dzieł jego ostatniej zwła-

szcza epoki wieje niezrównany urok nastroju i melancholii. W szkole krakowskiej rozpoczął studya artystyczne, lecz dokończył je w Monachium. Piotr Stachiewicz, peizażysta oraz malarz scen z życia wiejskiego i z życia górników, który jednak szczególnie stał się popularnym jako illustrator zbytkownych wydawnictw, powieści, poezyi i podróży. W »Legendach o Maryi« (fig. 244) i kilku innych cyklach (np. z »Quo vadis« Sienkiewicza) stworzył szereg kompozycyi rysunkowych pełnych wdzięku i wytwornego poczucia piękna. Za granicą, głównie w Paryżu, otrzymali ostateczny chrzest artystyczny uczniowie szkoły krakowskiej: Jan Styka, znany twórca głośnej Madonny »Królowej korony polskiej«, panoramy »Golgotha«, scen z »Quo vadis« Sienkiewicza i licznych innych obrazów, oraz Józef Krzesz, ceniony portrecista tudzież twórca cyklu »Ojcze nasz«.



Fig. 244. Z »Legend o Maryi« Stachiewicza.

Największą chwałą krakowskiej szkoły Matejki i Łuszczkiewicza jest Jacek Malczewski, Królewiak, który dla dokończenia studyów bawił czas jakiś w Paryżu i Monachium, wreszcie na stałe osiadł w Krakowie. Jest to natura na wylot artystyczna i poetyczna, żyje w sferze ideału i dla wyrażenia go szuka ciągle nowych dróg. Słusznie nazwano go lirykiem między malarzami. Z początku zawodu uderzał w struny pokrewne Pruszkowskiemu, malując sceny z pa-



Fig. 245. Dwa pokolenia. Obraz Malczewskiego, własn. pryw.

tryotycznych utworów poetów naszych lub sceny z życia wygnańców syberyjskich, sceny, których nie oglądał, lecz je odczuł siłą swej wyobraźni ogrzanej żarem najszlachetniejszego uczucia. Później zwrócił się do symbolicznych scen z duchowego życia »artysty« i duchowych cierpień Polaka, które od lat kilkunastu maluje w nieprzebranej liczbie odmian. W jednym i drugim rodzaju cechuje go głębokość pojęcia przedmiotu, której towarzyszy technika wprost niezrównana a całkiem oryginalna. Już same pełne wyrazu, śliczne głowy jego postaci to przedmiot wielkiej rozkoszy i długich studyów dla myślącego widza. Pomysły Malczewskiego często zagadkowe, czasem wpadające w niemal dziwaczny symbolizm i mistycyzm, zawsze są wysoce zajmujące. W świecie naszych artystów jest on największą powagą — ale i wśród publiczności znajduje szeroki oddźwięk i wielką sympatyę. Jego »Śmierć Elenai« z »Anhellego« Słowackiego, »Dwa pokolenia« (fig. 245), »W kopalniach Sybiru«, »Etapy wygnańców« w kilku odmianach, wreszcie »Na rozdrożu«, »Błędne koło« i cała mnogość utworów ostatniej epoki (fig. 246) mają trwałe miejsce w historyi malarstwa polskiego.



Fig. 246. Głowa starca. Obraz Malczewskiego.

Tak więc coraz szerszymi kręgami rozrastają się słoje drzewa sztuki polskiej, które już silne w gruncie naszym zapuściło korzenie. Obok głównego pnia krakowskiego grupują się konary i gałęzie, niemniej bujne

i życiem pulsujące. W różnych stronach kraju pojawiają się liczne talenty i tworzą się osobne ogniska. Największem jest Warszawa. Tam mieszkają i działają, lub też rozproszeni po dalszych częściach cesarstwa rosyjskiego dają o sobie znać dziełami przysyłanemi na wystawy: ze starszych ulubiony portrecista kobiet Tytus Maleszewski (zmarły w r. 1889); wiel-

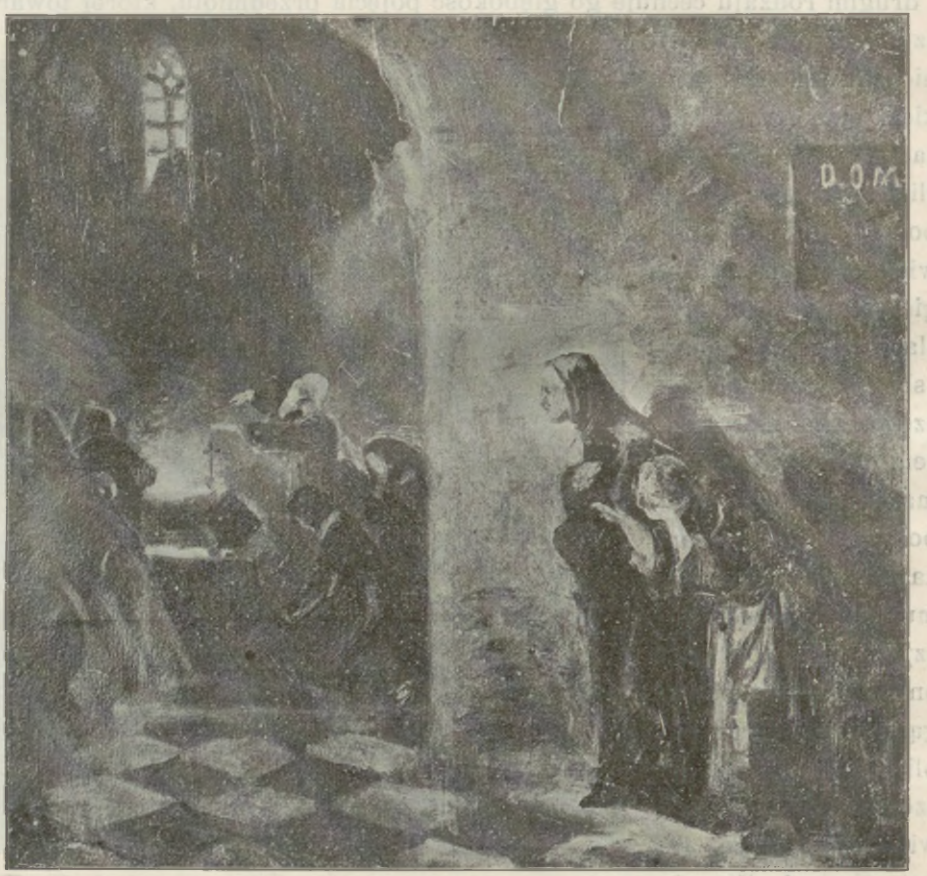

Fig. 247 *a*. »Dziady«. Obraz Maksa Gierymskiego, własn. pryw.

biciel piękności kształtów i wdzięku niewieściego, Franciszek Żmurko; twórca wielkich płócien ze scenami biblijnemi i zaczerpniętemi z obyczajów starych Rzymian i Greków, Wilhelm Kotarbiński; Władysław Bakałowicz, koncentrujący na małych przestrzeniach również tematy ze świata klasycznego; tam żyli przedwcześnie dla sztuki polskiej zmarli: niemal genialny malarz rodzajowy, historyczny i peizażysta Maks Gie-

rymski (fig. 247 *a* i 247 *b*) i pełen ognistej, nieokiełznanej fantazyi Podkowiński; potężny kolorysta Pankiewicz, dziś celujący jako sztycharz; tam dali się polskiej publiczności poznać zdolni peizażyści: Wywiórski i Rapacki.

Krajobraz wogóle zaczyna coraz ważniejszą odgrywać rolę. Zaniedbany w epoce panowania szkoły historycznej, uważany za niższy rodzaj sztuki, został na Zachodzie przywróconym do należnych mu zaszczytów



Fig. 247 *b*. Polowanie. Obraz Maksa Gierymskiego, włas. Tow. zach. szt. pięk. w Warszawie.

pod wpływem wprowadzonej naprzód do Francyi sztuki japońskiej, w której bardzo znaczne zajmuje miejsce. Z czasem peizażyści mnożą się i u nas. Wybijają się naprzód: Lwowianin Roman Kochanowski, odczuwający jak mało kto smętną poezyę lasów sosnowych oświetlonych zachodzącem słońcem, płaszczyzn nadwiślańskich, wód polskich odbijających szare nasze niebo; Stanisław Witkiewicz, wielbiciel przyrody tatrzańskiej, zarazem jeden z najgorliwszych propagatorów t. zw. stylu zakopiańskiego w budownictwie i zdobnictwie sprzętów; Litwin Ruszczyc, kolorysta dzielny



Fig. 248. Ziemia. Obraz Ruszczyca.

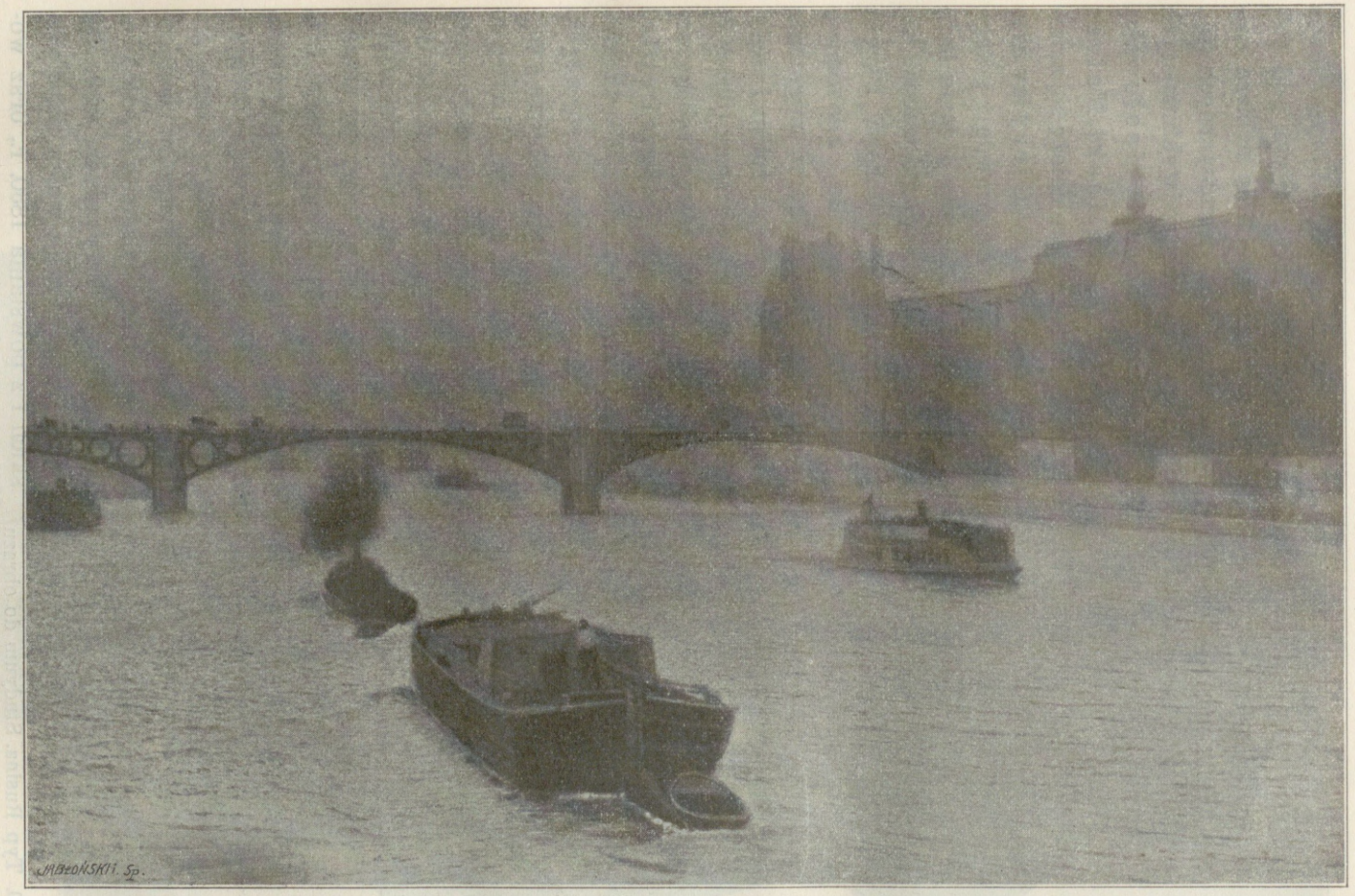

Fig. 249. **Sekwana.** Obraz Aleksandra Gierymskiego w Muzeum narodowem w Krakowie.

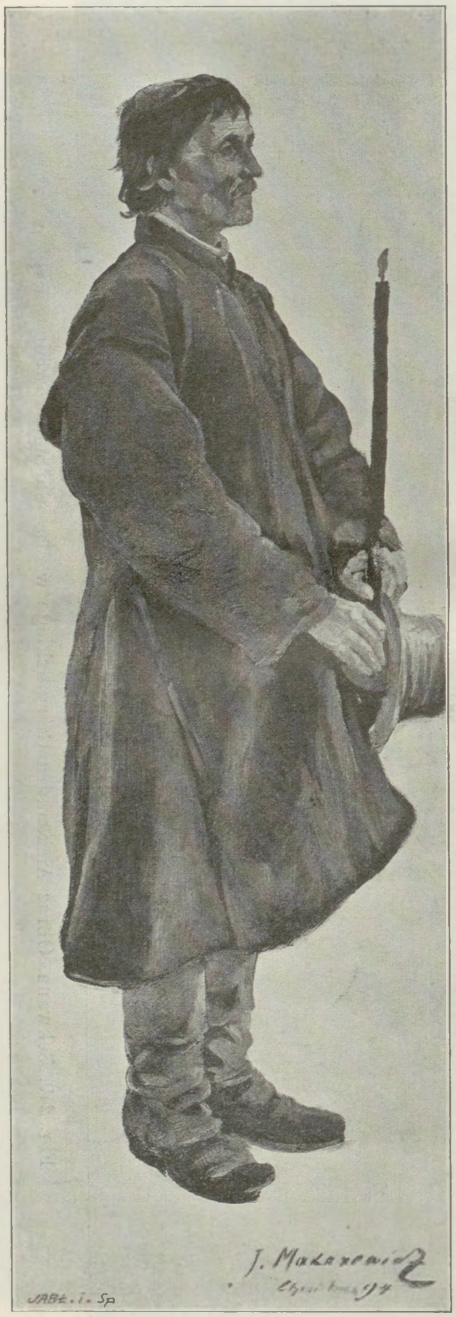

Fig. 250. Typ Rusina. Studyum do obrazu Makarewicza: Święto Jordanu.

o zacięciu energicznem i oryginalnem a niepospolitej sile plastyki, pod którego pędzlem krajobraz nabiera często jakichś cech dramatycznych (fig. 248); oprócz tych najwybitniejszych także Mroczkowski, Masłowski, Ciesielski, Ciągliński, Nałęcz i inni. Osobne miejsce należy się zmarłemu Aleksandrowi Gierymskiemu, który z wielką prawdą i potęgą wyrazu malował sceny z życia ludu wiejskiego i portrety, ale wsławił się przedewszystkiem widokami Paryża pojętymi realistycznie, znakomicie w nich oddając grę barw, migotania świateł, efekty wody w ruchu i mgły, delikatne drgania powietrza (fig. 249). W różnych innych kierunkach zaznaczyli się: Lwowianin Tadeusz Popiel i Krakowianin Kazimierz Wodzinowski, którzy obaj malują sceny z życia i typy ludowe na tle krajobrazu swojskiego; Królewiak Antoni Piotrowski, osiadły przez dłuższy czas w Krakowie, uprawia z powodzeniem peizaż górski, widoki tatrzańskie, rad umieszczając na tem tle grupy zaczerpnięte z życia ludu lub z baśni fantastycznych, maluje też z temperamentem sceny wojskowe z wojny bułgarskiej, z powstania 1863. r. i inne. Na specyalistę scen i portretów wojskowych wyrabia się Tadeusz Ajdukiewicz, zamieszkały przez wiele lat w Wiedniu. Bitwy z wojen napoleońskich i z powstania 1830. r., oraz wogóle epizody wojenne, zwłaszcza szarże



Fig. 251. Kraków w poranek jesienny, widziany z pracowni, z portretem malarza. Obraz Fałata. Własność pryw.

kawaleryi, rzuca na wielkie płótna z nieznaną dotychczas w naszem malarstwie werwą i poczuciem ruchu Wojciech Kossak, syn Juliusza. Parę obrazów jego odtworzonych jest w tomie I. »Polski«. Wszyscy powyżsi są przytem wybornymi peizażystami.

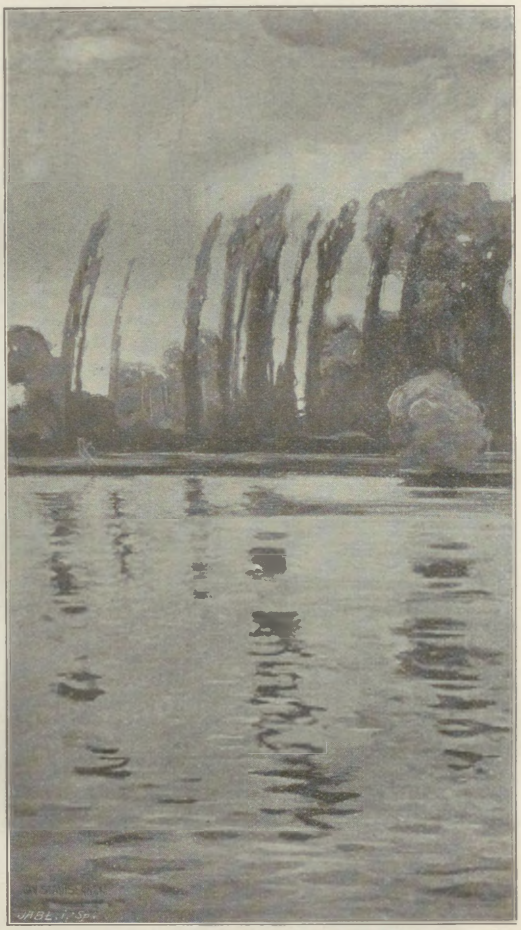

Fig. 252. Topole nad wodą.
Obraz Stanisławskiego.

Doskonale chwyta typy ludowe ruskie Lwowianin Julian Makarewicz (fig. 250), a przytem podobnie jak Popiel próbuje sił swoich jako dekorator kościołów; dział portretu uprawia z powodzeniem Lwowianin Aleksander Augustynowicz; Krakowianka Olga Boznańska, osiadła w Monachium, zyskuje sobie w przedstawianiu postaci ludzkiej słusznie imię znakomitej kolorystki. Wacław Szymanowski, niezrównany też kolorysta, zasłynął kilku scenami z życia ludu wiejskiego, które zwykle przedstawia wewnątrz chat, lubując się efektami światła wpadającego do izby przez małe okienka. Z niemniejszem a może nawet większem powodzeniem przerzucił on się w dojrzalszym już wieku na pole rzeźbiarstwa. Na chwilę zabłysnął przed r. 1890. Chmielowski, samouk pełen głębszego nastroju i niezaprzeczonego talentu, lecz w sile wieku porzucił pędzel, aby jako tercyarz św. Franciszka poświęcić się niesieniu ratunku nędzy fizycznej i moralnej włóczęgów i wyrzutków społeczeństwa. Poważnymi malarzami rodzajowymi są: Warszawianin Kazimierz Alchimowicz i zamieszkały we Lwowie Kaczor-Batowski. Jako bardzo utalentowani ilustratorowie wreszcie poczesne zajęli miejsce Zygmunt Ajdukiewicz i modernista Czesław Jankowski.

W tym pobieżnie tu naszkicowanym a wspaniałym pochodzie sztuki polskiej naprzód, nie pozostała w tyle stara szkoła krakowska. W r. 1895. objął jej kierownictwo Julian Fałat, wsławiony już przedtem w Berlinie i dalej zagranicą jako niezrównany malarz pełnych nastroju peizażów polskich, zwłaszcza leśnych, scen myśliwskich, typów ludowych i widoków Krakowa (fig. 251). Ulubionym środkiem jego jest akwarela, maluje przytem większe też płótna olejno. Nazwano go słusznie malarzem światła i po-



Fig. 253. Portret Sienkiewicza, obraz Wyczółkowskiego.

wietrza. Wnosi on ze sobą najnowsze prądy i nowego ducha w starą instytucyę, którą reorganizuje na nowych zasadach i która jego staraniem podniesioną została w r. 1900. do rzędu Akademii. Sprowadza do Krakowa dziwnie płodnego, rozmiłowanego w studyowaniu krajobrazu polskiego i obdarzonego wyjątkowym zmysłem obserwatorskim i wielką inteligencyą peizażystę Jana Stanisławskiego, zawcześnie dla sztuki polskiej i dla szkoły krakowskiej zmarłego, który na małe swoje obrazki chwyta na gorącym uczynku, jakby migawkowym przyrządem fotograficznym setki wybornych widoków z okolic nadwiślańskich, ukraińskich i innych w ró-



Fig. 254. Przy burakach. Obraz L. Wyczółkowskiego. Własność pryw.

żnych oświetleniach, różnych porach roku i dnia (fig. 252), dalej portrecistę i pastelistę niezwykłego wdzięku Teodora Axentowicza, potężną i wszechstronną indywidualność artystyczną Leona Wyczółkowskiego, który posługuje się zarówno farbami olejnemi jak pastelem, umie jak mało kto podpatrywać światło, maluje świetne portrety (fig. 253), peizaże, sceny rodzajowe (fig. 254), wnętrza pełne nastroju symbolicznego, a niekiedy rzuca pędzel, aby myśl swoją z równą energią wyrazić w rzeźbie. Wkrótce potem obejmują też katedry profesorskie dwaj dawni uczniowie szkoły krakowskiej, zakochani w zabytkach polskiej przeszłości, wykształceni potem głównie w Paryżu: Józef Mehoffer i Stanisław Wyspiański, obaj uzdolnieni niepospolicie. Pierwszy, świetny i oryginalny kolorysta, maluje pełne charakteru portrety (fig. 255), przytem okazuje się pierwszorzędną siłą jako stylowy kompozytor witrażów barwnych i dekorator wnętrz gmachów monumentalnych (fig. 256), wysoko ceniony zagranicą. Jego są między innemi barwne okna katedry we Fryburgu szwajcarskim i polichromia ścian i sklepienia skarbca na Wawelu. Drugi chodzący swoimi szlakami, potężny, czasem niemal brutalny w swej sile rysownik i twórca postaci świętych i postaci z dziejów Polski, wielki miłośnik kwiatów, głęboki myśliciel o usposobieniu mistycznem, obdarzony niemniejszym poetyckim i pisarskim talentem, jako malarz mniejsze ma u ogółu powodzenie



Fig. 255. Portret kobiety. Obraz Mehoffera w Muzeum narodowem w Krakowie, z fotogr. Kriegera.

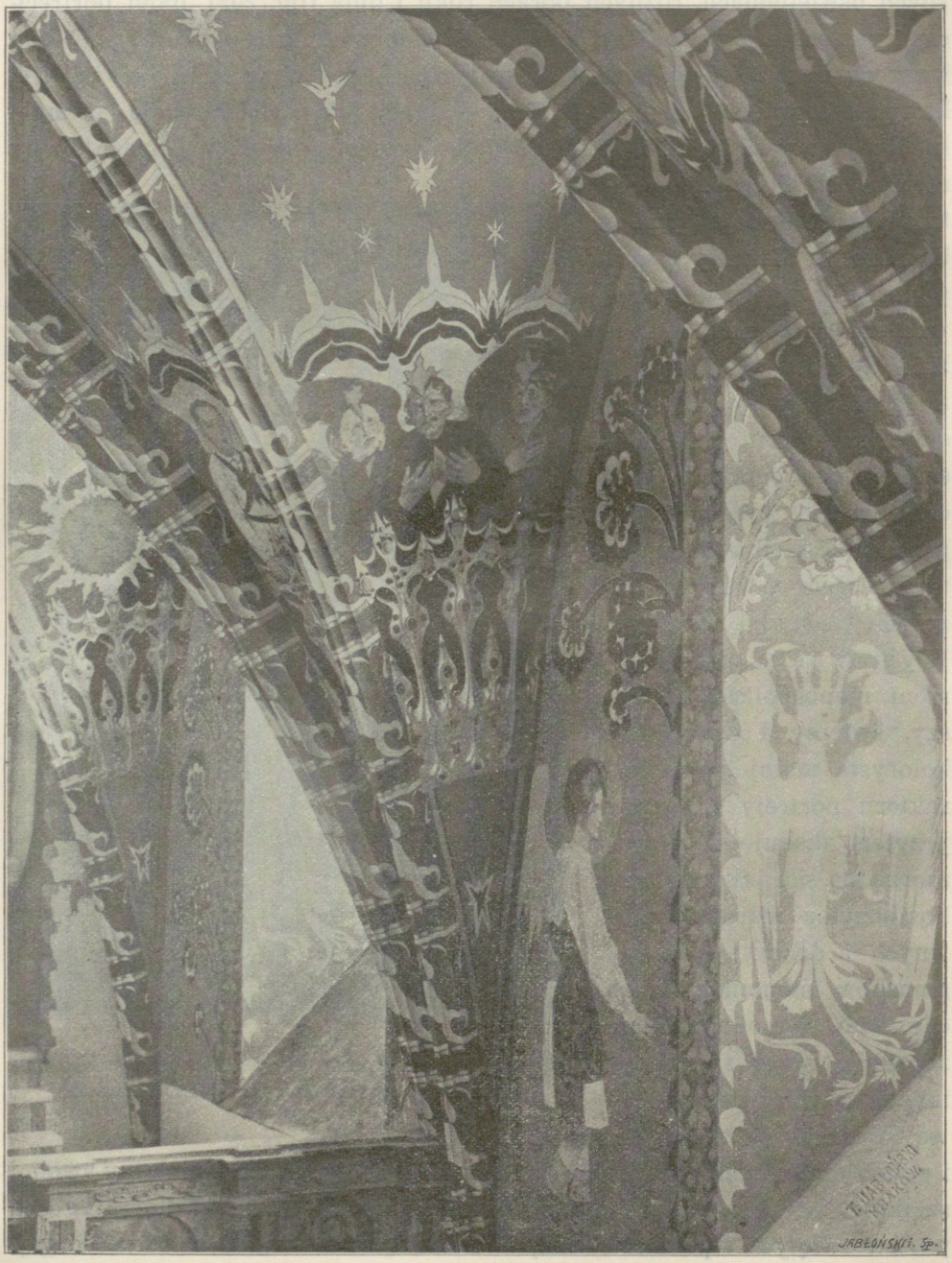

Fig. 256. Z polichromii skarbca katedralnego na Wawelu Mehoffera.

niż jako autor dramatyczny [1]), wszelako w polichromii wnętrza kościoła OO. Franciszkanów w Krakowie, w kartonach pomyślanych jakby były przeznaczone do okien katedry wawelskiej (fig. 257) i w wielu innych utworach zwłaszcza dekoracyjnych, obok niezrozumiałej często dla szerszego ogółu ekscentryczności okazuje pierwszorzędny talent, połączony z potężną siłą żywiołową. Maluje też czasem wyborne, oryginalnie pojęte portrety (fig. 142, 144, oraz portret własny fig. 146).

Niedalekie tym dwom miejsce zajmuje trzeci Krakowianin Włodzimierz Tetmajer (fig. 258), świetny kolorysta, miłośnik życia ludu, malarz scen wiejskich, żniw, wesel i peizażu z okolic Krakowa, który także spróbował sił swoich na szerszem polu dekoracyi wnętrza kaplicy na Wawelu i z próby wyszedł zwycięsko, szczególnie w kompozycyi pięknych witraży barwnych. Wszyscy ci trzej są nawskróś modernistami, choć dwom pierwszym bynajmniej nie brak wykształcenia klasycznego; u Mehoffera zaś i Tetmajera znalazło silny oddźwięk najnowsze hasło wciągnięcia do sztuki monumentalnej pierwiastków zdobnictwa ludowego i całego swojskiego przemysłu artystycznego, którego czynniki coraz częściej u nas zastosowywane bywają do architektury, rzeźby i ma-



Fig. 257. Kazimierz Wielki w trumnie. Karton Wyspiańskiego do witrażu w Muzeum narodowem w Krakowie.

[1]) Czytaj o Wyspiańskim w »Historyi literatury« str. 356.



Fig. 258. Święcone. Obraz olejny Tetmajera.

larstwa, dostarczając natchnieniu źródeł ożywczych. Kierunek ten wpłynął też na odświeżenie kolorytu i wycisnął na sztuce polskiej ostatniej doby piętno młodocianej siły i oryginalności.

W tym pobieżnym przeglądzie bynajmniej nie wyczerpnęliśmy przedmiotu. Dotykając jedynie punktów głównych, pominęliśmy wiele szczegółów i wiele nazwisk. Nie wspomnieliśmy np. o całym zastępie najmłodszych malarzy krakowskich, między którymi znaczy się szereg niepoślednich talentów, o budzących nadzieję peizażystach, uczniach prof. Stanisławskiego, o świeżo założonej prywatnem staraniem i prywatnymi środkami szkole sztuk pięknych w Warszawie, która zaczyna budzić w tej części Polski nowy ruch. Rośnie z dniem każdym życie na polu sztuki, zagarnia coraz szersze obszary, zapuszcza głębsze korzenie, budzi coraz większy interes ogółu i podnosi poziom kulturalny narodu.

Streszczając ogólne wyniki, możemy stwierdzić, że malarstwo polskie po kilku wiekach wegetowania, po stu latach walk i wysiłków, by odzyskać czas stracony, dziś poniekąd dorównało ruchowi objawiającemu się na Zachodzie. W ciągu ubiegłego sześćdziesięciolecia odczuło ono i przeżyło wszystkie fazy, jakie przechodziła sztuka współczesna w Europie, przywłaszczyło sobie wszystkie zdobycze i korzystało z doświadczeń wszystkich niemal z kolei prądów: nie jest mu obcym ani idealizm Nazareńczyków, ani naukowy kierunek szkoły historycznej, ani późniejszy realizm, ani impresyonizm, chcący plamami barwnemi oddawać wrażenia, ani pleneryzm odrzucający sztuczne oświetlenie pracowni a badający pod gołem niebem efekta światła i powietrza, i wzajemne oddziaływanie barwnych powierzchni; ani wreszcie symbolizm ostatniej doby, szukający nastroju, wewnętrznych potrąceń ducha, a gardzący wiernością i prawdą realną. Do skarbnicy cywilizacyi ogólnej wniosła nadto sztuka polska dwa pierwiastki nowe a cenne. Jednym to koloryt i ton osobny, właściwy, na który składa się nie tylko odrębna treść kompozycyi, sceny, typy i tło polskie, odróżniające obrazy naszych malarzy od reszty produkcyi światowej, ale więcej jeszcze pewna świeżość, szczerość niekiedy bezwzględna, ale zawsze zajmująca, siła temperamentu ujawniająca się w rysunku i w barwach, a zwłaszcza ich zestawieniu; wreszcie w dziełach naszych malarzy, zwłaszcza głębszych, smutek nastroju, smętna nuta odpowiadająca warunkom

naszego bytu, naturze polskiego krajobrazu, tonowi pieśni ludowej zwłaszcza ruskiej, nastrojowi największych poetów polskich i całemu obecnemu położeniu narodu. Drugim pierwiastkiem jest zdobnictwo ludowe, wyprowadzone w najnowszej dobie na widownię przez artystów naszych. Sztuka w najświetniejszych swoich chwilach zostawała zawsze w ścisłym sojuszu z przemysłem artystycznym, podnosiła go i uszlachetniała, ale nawzajem z niego czerpała rutynę techniczną i równowagę lotnego ideału z twardą rzeczywistością — podobnie roślina z dołu, z ziemi, ciągnie soki na to, aby w górze, na szczycie korony zajaśnieć najpiękniejszym kwiatem. Chwile rozbratu sztuki z przemysłem bywały zwykle epokami zanikania i więdnienia sztuki w jednostronnym idealizmie, pozbawiającym ją warunków żywotności. Po takiej epoce rozbratu w całej Europie, którego zgubne skutki widzimy w malarstwie, rzeźbie i architekturze lat 1830—1870, nastąpił na całej linii zwrot ku przemysłowi artystycznemu zarówno zbawienny dla sztuki i dla przemysłu artystycznego, któremu rozwój fabrykacyi maszynowej w XIX. wieku ciosy śmiertelne był zadał. Otóż w ten ruch sztuka polska wprowadza obecnie żywioł zdobnictwa ludowego, którego jednem lecz bynajmniej nie jedynem źródłem jest t. zw. »styl zakopiański«. Obok niego uwzględnić jeszcze należy zdobnictwo ludu krakowskiego, dalej ludu ruskiego, Huculów i t. d. Są to wszystko samorodne objawy uzdolnienia ludu naszego do przemysłu artystycznego, po których wiele sobie obiecywać można. Zainteresowały się też nimi szerokie koła, tworzą się muzea, zbierają wystawy specyalne t. zw. »sztuki stosowanej«, publiczność zapoznaje się z tem, oswaja i coraz więcej nabiera smaku w tym kierunku, Artyści studyują to nowe pole i źródło natchnienia, przerabiają zaczerpnięte stąd motywy i zużytkowują je w swej twórczości. Malarstwo przyswoiło je sobie nie bez powodzenia, zwłaszcza do ornamentacyi winiet książkowych, do afiszów, kart korespondencyjnych i t. d., w monumentalniejszem zastosowaniu do okien kolorowych i do barwnego przystrajania wnętrz kościołów i domów. Prąd ten odbił się w pewnej mierze także na właściwem malarstwie sztalugowem. Ruch jest w pełnym toku. Jeszcze nie można powiedzieć o nim ostatniego słowa, lecz w każdym razie dziś już widzimy zbawienny wpływ, ujawniający się tak we wzbogaceniu rysunkowych motywów, jak w odświeżeniu nowymi sokami kolorytu, który pod pędzlem wielu z naszych artystów zadrgał przeciwieństwami żywych i zdrowych barw. Bodaj czy nie tą właśnie stroną swoją kolorystyczną zwróciło malarstwo nasze uwagę powszechną na siebie i na wystawach

zagranicznych wywalczyło sobie w ostatnich czasach zaszczytne stanowisko. A tak pierwiastek najbardziej swojski, rodzimy, narodowy stał się czynnikiem, który sztuce polskiej zdobył powodzenie i uznanie międzynarodowe.

Słowem, ze wszystkich sztuk malarstwo polskie stanęło na najszerszym gruncie i w obecnej chwili stosunkowo na najwyższym stopniu rozwoju i czynną a dodatnią odgrywając rolę, godnie przedstawia narodowość naszą w ogólnym pochodzie kultury europejskiej. Krzyżowały się w niem i dziś jeszcze krzyżują rozmaite sprzeczne prądy. Niewątpliwie sztuka nasza, jeżeli ma dotrzymywać kroku sztuce europejskiej i światowej, nie może się zamykać przed nowemi hasłami i kierunkami wychodzącymi z ognisk postępu i kultury, musi się z niemi liczyć, by się nie cofać w ogólnym pochodzie. Z drugiej jednak strony sądzę, że już dziś na podstawie dotychczasowych doświadczeń można przewidywać, że przyszłość sztuki polskiej leży nie w naśladownictwie obcych wzorów, ale w kroczeniu własnymi szlakami. Naco nam szukać natchnienia w modnych od pewnego czasu utworach dalekiego wschodu japońskiego, które z pewnością mają swoje zalety i swój nawet wdzięk, ale tak są nam obce i dalekie? Wszak mamy własne motywa zdobnicze polskie i ruskie, mamy swój sposób patrzenia na naturę i odczuwania żywości gorących barw. Mamy swój krajobraz i swoje typy i swój własny temperament. Oto naturalny grunt, zdrowa podstawa, na której stanąwszy można wybudować gmach silny i trwały. Jeżeli nas pozory nie łudzą, budowa tego gmachu już jest rozpoczętą.

MUZYKA W POLSCE

NAPISAŁ

DR. ZDZISŁAW JACHIMECKI.

MUZYKA W POLSCE

DR. ZDZISŁAW JACHIMECKI

Jednym z bardzo znamiennych rysów natury słowiańskiej, a zatem także polskiej, jest muzykalność, to znaczy ta przyrodzona chęć i zdolność objawiania w dźwiękach swych przejawów duchowych. Potrzeba muzycznego określania uczuć jest w duszy Słowianina niemal tak głęboko zakorzeniona jak w ptaku. Głównym jednak środkiem, którym się posługuje, jest głos ludzki; instrumentalnie rozwija się ona znacznie później [1]).

Jak wiadomo, poczynają się pewniejsze dzieje Polski dopiero w drugiej połowie X. wieku, zatem w czasie, kiedy klasztory południowych Niemiec i Francyi gorączkowo prawie pracowały nad ulepszeniem pisma muzycznego. W czasie tym powstawały już liczne traktaty (rozprawy) muzyczne, pisane przeważnie przez duchownych, zakonników. Muzyka istniała jedynie jako nieodłączna część kościelnych liturgicznych obrzędów i z czasów około r. 1000. tylko kościelna muzyka przechowała się w zabytkach rękopiśmiennych. Duchowieństwo w Polsce w pierwszej epoce chrześcijaństwa było czeskie lub niemieckie; o ile ze swoją misyą rozszerzania wiary i oświaty łączyło naukę muzyki i czy w pierwszych klasztorach na ziemiach polskich uprawiano ją, nie wiemy. Można przypuszczać, że tak, ale nie mamy zachowanych żadnych traktatów muzycznych rękopiśmiennych z tego czasu. Najstarszym pomnikiem tego rodzaju na ziemiach Polski jest traktat muzyczny Hucbalda mieszczący się w rękopisie pochodzącym

---

[1]) O pieśniach ludu polskiego czytaj szerzej w dziale »Lud« w t. I. »Polski« str. 69—215.

z r. 1211. (Biblioteka Jagiellońska nr. 1965); niewiadomo tylko, kiedy i jaką drogą do Polski się dostał. W każdym razie śpiew kościelny w Polsce nie miał polskiego charakteru i mieć go nie mógł. Że jednak łaciński śpiew ludowi nie wystarczał, bo w nim nie mógł uczestniczyć, a zadowolenia nie przynosiło samo wyśpiewanie słów *Kyrie elejson* po śpiewanych modłach kapłanów, odczuwano pewnie coraz to silniej brak nabożnej pieśni polskiej, która też pojawia się w ostatniej ćwiartce XIII. wieku a jest nią pieśń, zaczynająca się od słów: Boga rodzica, dziewica. Później przypisywano ułożenie jej św. Wojciechowi, apostołowi Prus, pierwszemu patronowi Polski, ale dziś wiemy, że mniemanie to było mylne [1]). Niepewną rzeczą jest także, kto był autorem samejże melodyi tej prastarej pieśni; nosi ona cechy chorału gregoryańskiego, nie występując w żadnej z swoich najstarszych cząstek poza granice praw muzyki kościelnej. Najdawniejszy zachowany odpis »Boga rodzicy« pochodzi z czasu około r. 1400. z Kcyni w Wielkopolsce (niedaleko Gniezna) i zawiera jedynie dwie pierwsze, najstarsze zwrotki, ogólnie admirowanej pieśni. Z biegiem lat przybywało coraz to więcej zwrotek. Dziś śpiewana po kościołach pieśń »Boga rodzica« różni się w melodyi na wielu miejscach od melodyi pierwotnej. Nie wiadomo nam, kiedy »Boga rodzica« stała się własnością całego narodu, ale to pewna, że w r. 1410. śpiewało ją wojsko polskie w zwycięskiej bitwie pod Grunwaldem.

Nie mamy zresztą aż do XV. wieku żadnych istotnych śladów, t. zn. zabytków muzycznych, zaledwo gdzieniegdzie znajdzie się w jakimś starym rękopisie kilka stron zapisanych nutami (n. p. w rękopisie Biblioteki Jagiellońskiej nr. 2214) kilka pieśni łacińskich nabożnych, między niemi jedna do słów *Ave maris stella* (fig. 260). Ale nie ulega wątpliwości, że na dworze królewskim uprawiano muzykę i istniała kapela dworska, jak widzimy z rachunków dworu Jadwigi i Jagiełły; lubiła muzykę żona Kazimierza Jagiellończyka, Elżbieta Austryaczka. Nie traktowano muzyki z lekka, skoro jeden z największych kompozytorów niemieckich przy końcu XV. i na początku XVI. stulecia Henryk Finck, wedle świadectwa bratanka swojego — również znakomitego kompozytora — wykształcenie swoje muzyczne otrzymał na dworze wawelskim, gdzie od lat chłopięcych przebywał, a za Jana Olbrachta piastował urząd kapelmistrza. Nie znamy bliżej działalności Grzegorza z Sanoka [1]), który

[1]) Zobacz »Historyę literatury polskiej« str. 19.

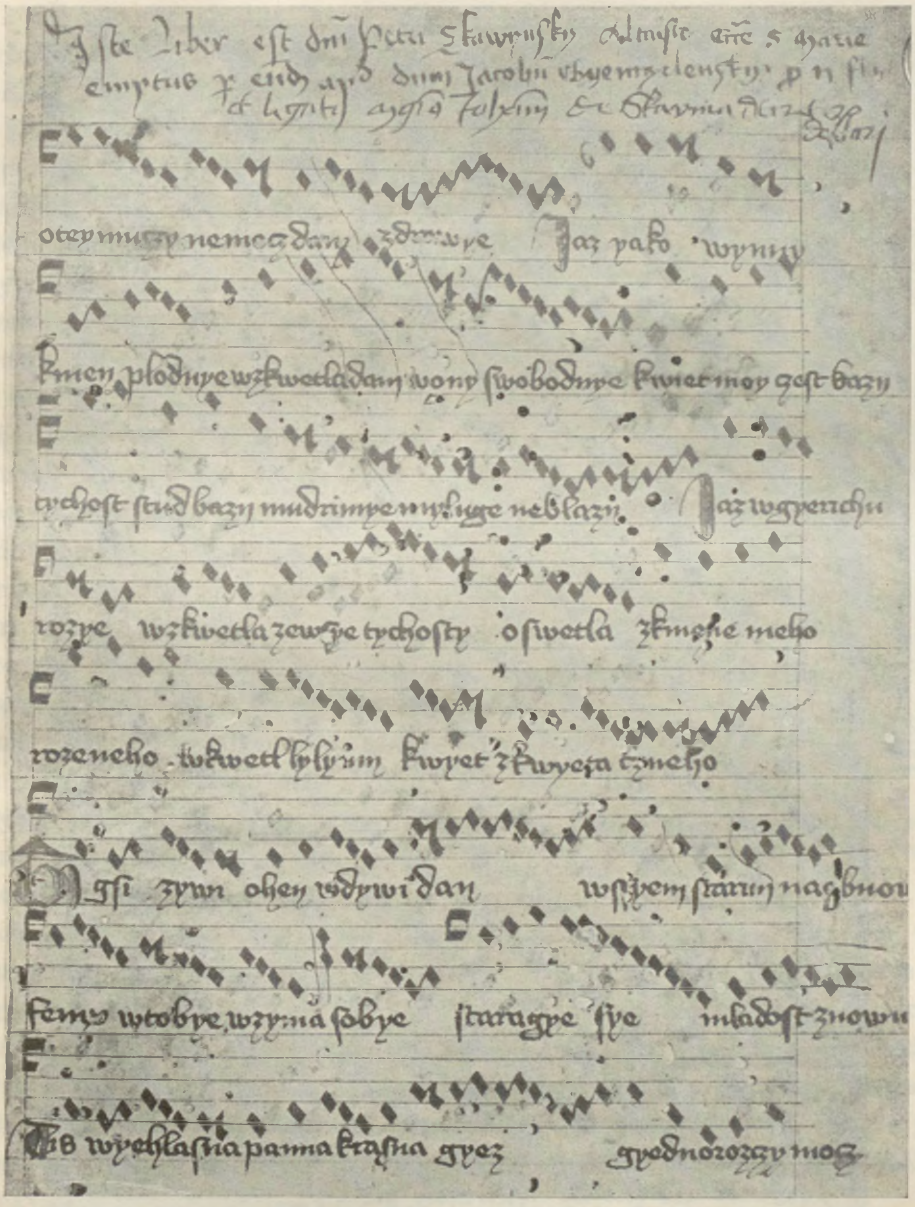

Fig. 259. Pieśń czeska do Matki Boskiej (z rękopisu Bibl. Jagiell. nr. 2415, z XIV. w.).

zanim został arcybiskupem lwowskim, był śpiewakiem na dworze papieża Eugeniusza IV., ani autora dzieł teoretycznych z zakresu muzyki, Mikołaja z Radomia.

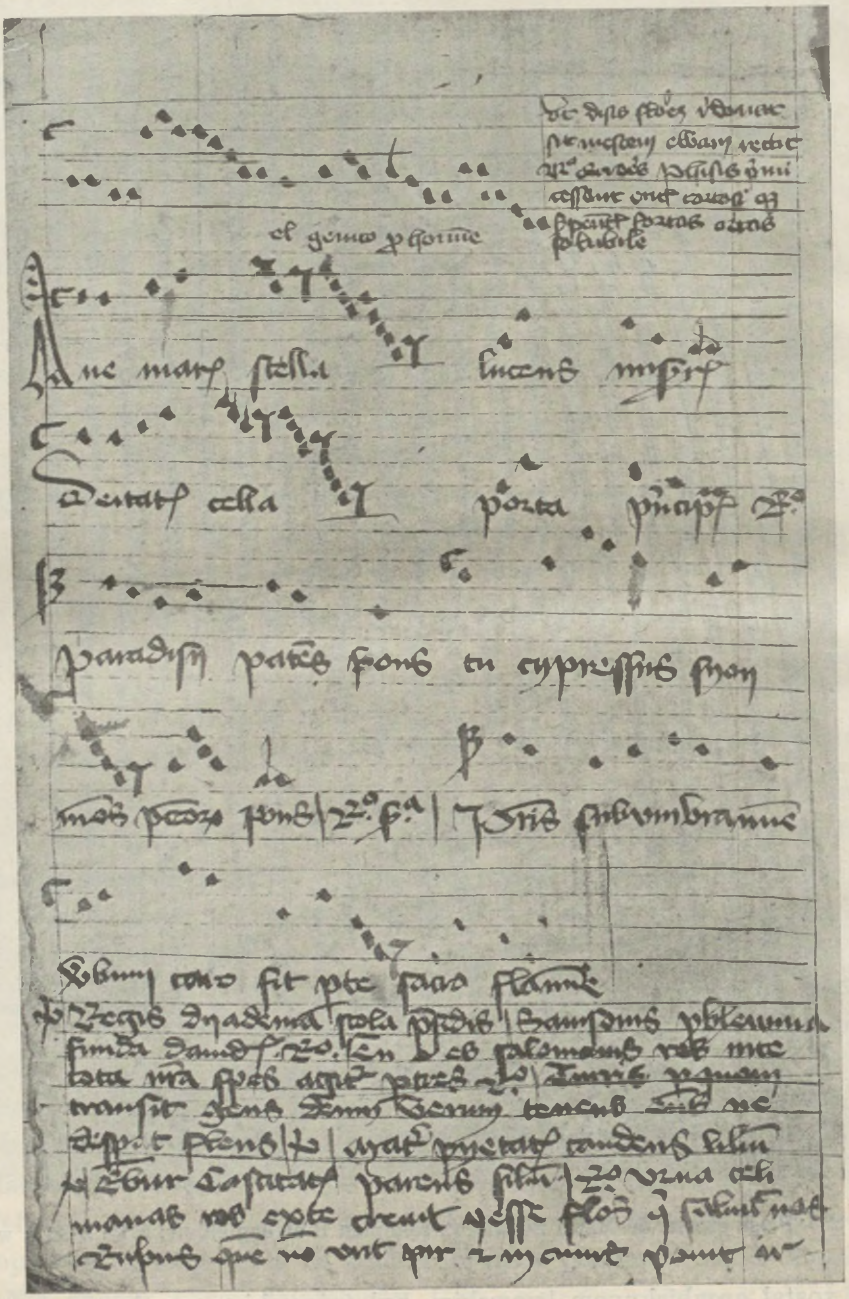

Fig. 260. Pieśń łacińska *Ave maris stella* z XV. w. (z rękopisu Bibl. Jagiell. nr. 2214).



Fig. 261. Podręcznik do nauki muzyki Sebastyana Felsztyńskiego (z Bibl. XX. Czartoryskich w Krakowie).

W pierwszych już latach XVI. stulecia przebywa w Krakowie ks. Sebastyan z Felsztyna, o którym czytamy, że pierwszy zaczął nauczać muzyki w Krakowie. Felsztyński był pierwszym Polakiem, który drukiem ogłosił naukowe rozprawki o muzyce. Dochowało się do naszych czasów kilka podręczników jego pisanych dla nabycia początkowych wiadomości z dziedziny muzyki kościelnej, gregoryańskiej i mensuralnej. Felsztyński nie tworzył nowych dróg, nie starał się być zupełnie samoistnym, oryginalnym, lecz na podstawie dzieł dawniejszych teoretyków muzycznych układał swoje, o czem zresztą w samychże tytułach tych podręczników mówi. Prace Felsztyńskiego wychodziły w licznych wydaniach począwszy od r. 1517. W r. 1522. wyszły drukiem kompozycye religijne Felsztyńskiego p. t. »*Aliquot Hymni ecclesiastici*«, niestety nie zachował się do dziś dnia ani jeden egzemplarz. Jedynie w odpisach, pochodzących z r. 1576., posiada kompozycye Felsztyńskiego archiwum katedralne na Wawelu. Data urodzenia i śmierci tego zasłużonego muzyka nie jest pewna, wiemy tylko, że był proboszczem w Sanoku, także nauczycielem muzyka Marcina ze Lwowa (Leopolity).

Do czasu, kiedy wynalazek druku został przez Giovanni'ego Petrucci przystosowany i dla rozpowszechniania utworów muzykalnych —

[1]) Szerzej o nim w »Historyi literatury« na str. 27.

około r. 1500. — Polska, oddalona od ówczesnych środowisk muzycznych, więc Niderlandów, południowych Niemiec i Włoch, z trudnością jedynie mogła zaznajamiać się z dziełami muzycznemi wybitnych mistrzów zachodniej Europy; w muzycznem jej życiu niewątpliwie udziału nie brała. Po r. 1500. mogła już łatwiej zaopatrywać się w muzykalia, które coraz to liczniej pojawiały się w druku na Zachodzie. Pół stulecia jednakowoż minąć musiało, zanim pierwsze polskie nazwisko znalazło się w zbiorach

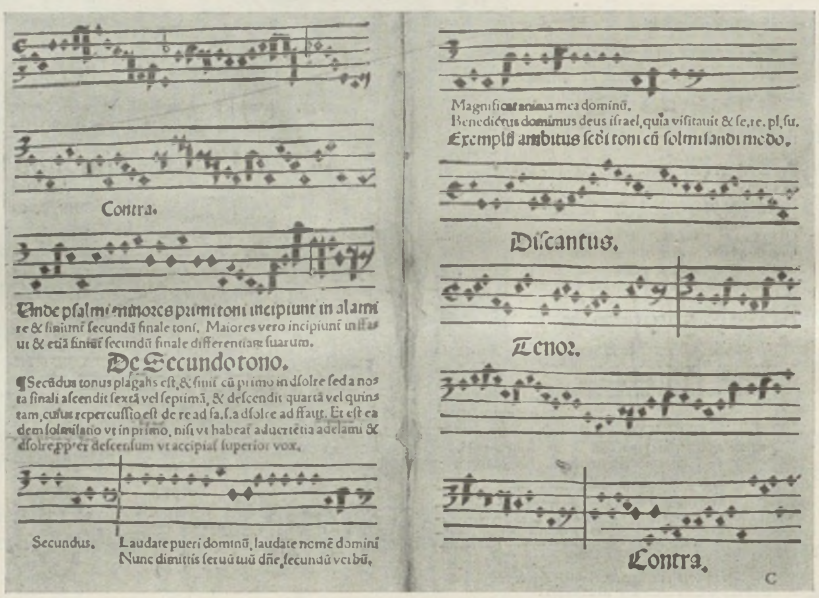

Fig. 262. Podręcznik S. Felsztyńskiego.

utworów muzycznych, wydawanych poza granicami Polski, mianowicie imię Wacława ze Szamotuł Szamotulskiego. Szamotulski urodził się około roku 1529. Po ukończeniu nauk w kollegium Lubrańskiego w Poznaniu, gdzie młodzież zaprawiała się także w muzyce, był na uniwersytecie Jagiellońskim; nie można z pewnością twierdzić, czy uczył się u Felsztyńskiego muzyki. Zygmunt August zamianował go kapelmistrzem swojej nadwornej kapeli. Współczesnym Szamotulskiemu był Marcin Leopolita, organista u ostatniego króla Jagiellonów. Utwory obu tych kompozytorów powstawały zupełnie pod wpływem muzyki niderlandzkiej, tego jej obrazu, którego przedstawicielem był Josquin de Prép. Obaj je-

dnak wymienieni kompozytorowie polscy nie zapuszczali się może tak daleko w komplikacye wielogłosowe — na co im niezawodnie nie pozwalała mniejsza sprawność techniczna — jak ich pierwowzory. Głównem polem ich działalności była muzyka kościelna; ze świeckich utworów Szamotulskiego i Leopolity nic się nie zachowało do naszych czasów, chociaż wiemy o Leopolicie, że sam tworzył pieśni i układał do nich muzykę.

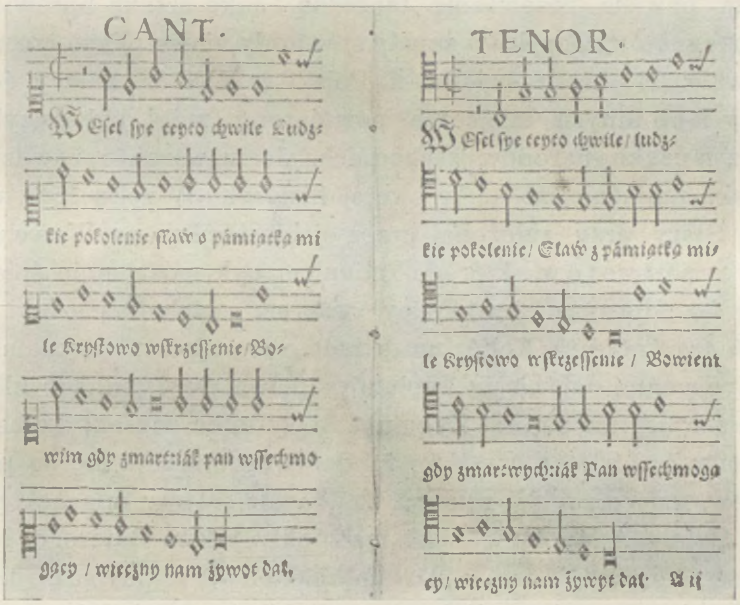

Fig. 263. Pieśń wyjęta z t. zw. Kancyonału Puławskiego, wyd. około r. 1550. (z Bibl. XX. Czartoryskich w Krakowie).

W pierwszej połowie XVI. stulecia zaczyna się już w zachodniej Europie rozszerzać muzyka instrumentalna, szczególnie lutnia wchodzi w powszechne użycie. W muzyce zaś wokalnej (w śpiewie) staje się przemożną forma madrygału, pieśni o podkładzie miłosnym. Siedzibą madrygału były przedewszystkiem Włochy, niemniej jednak przeszczepił się on rychło do Niemiec, Francyi, Niderlandów i Anglii, gdzie stał się ożywczym prądem dla rozwoju rodzimych literatur. U nas epoka madrygału przechodzi bez śladu. Początki zaś muzyki instrumentalnej, z cechami sztuki pięknej, są nam z zapisków wprawdzie znane, ale nieznane kompozycye dla tego rodzaju muzyki. W Krakowie miało istnieć pomiędzy mie-

szczańskiem wielkie zamiłowanie do muzyki instrumentalnej, a muzycy (muzykanci) sami tworzyli osobny cech, którego urządzenie w r. 1549. zatwierdził Zygmunt August. Zresztą cech podobniejszym był raczej do bractwa kościelnego. W wieku XVII. istnieją już w Krakowie fabryki instrumentów muzycznych, których jakość wyrobów powszechnie chwalono. Niezawodnie używano muzyki do uświetniania uroczystości domowych, w pierwszym rzędzie wesel, stąd więc nie było w muzyce wielkiej rozmaitości, była bowiem przeważnie taneczną. Jako sztukę uprawiano ją na dworach magnatów. Chwilowe zapały stwarzały niewątpliwie rzeczy piękne, ale nietrwałe. Z okresu świetności Polski w XVI. w. znamy jeden taki fakt, który i na innych miejscach powtórzony, mógł był muzykę polską zrównać z muzyką narodów zachodnich. Jemu wszakże zawdzięcza muzyka polska najjaśniejsze karty swojej historyi. W roku 1543. ustanawia Zygmunt Stary przy założonej przez siebie kaplicy na Wawelu, Kollegium Rorantystów, którego zadaniem było codziennie śpiewać podczas mszy św. odprawianej w kaplicy »wzorem szlachetnej sztuki włoskiej« *(praenobili arte italiana)*. Kollegium składało się z jedenastu członków: proboszcza-dyrygenta, dziewięciu kapłanów-śpiewaków i jednego kleryka. Na utrzymanie kollegium zapisał Zygmunt Stary kilka wiosek; z czasem liczba ich wynosiła 7. Świetne czasy tej fundacyi ograniczają się do panowania Jagiellonów, najwyższy jej rozkwit zaś zawdzięczamy ofiarnej, pełnej poświęcenia opiece Anny Jagiellonki, małżonki Stefana Batorego. Nie można bez wzruszenia czytać listów Anny Jagiellonki, pisanych do proboszcza kaplicy, księdza Stanisława Zajączka z Pabianic; dowiadujemy się z nich, jak ofiarną była Anna dla dzieła ojca, jak starała się o pozyskanie dobrych śpiewaków dla kaplicy! Po śmierci Anny, odkąd zwłaszcza rezydencyą królewską stała się Warszawa, kollegium Roratystów istniało wprawdzie, ale nie miało już tego znaczenia, co przedtem. Raz tylko jeszcze, na początku XVIII. w. zabłysł w niem większy talent, Grzegorz Gorczycki, ale już raz ostatni. Z rozbiorem Polski skończyły się dnie założonej przez Jagiellonów instytucyi. Konfiskata dóbr przez zaborcze państwa odebrała możność utrzymania kaplicy. Dziś świadczą o istnieniu kollegium Roratystów tylko pozostałe nuty rękopiśmienne przechowane w archiwum wawelskiem. Ogółem przez cały czas trwania kollegium było 17 dyrygentów-proboszczów. Nazwiska ich następujące: Mikołaj z Poznania (rodem Czech), Krzysztof Borek (zaledwie kilka miesięcy w r. 1557.), Benedykt ze Stryjkowa (kapelan Zygmunta Augusta), Stanisław Zajączek z Pabianic

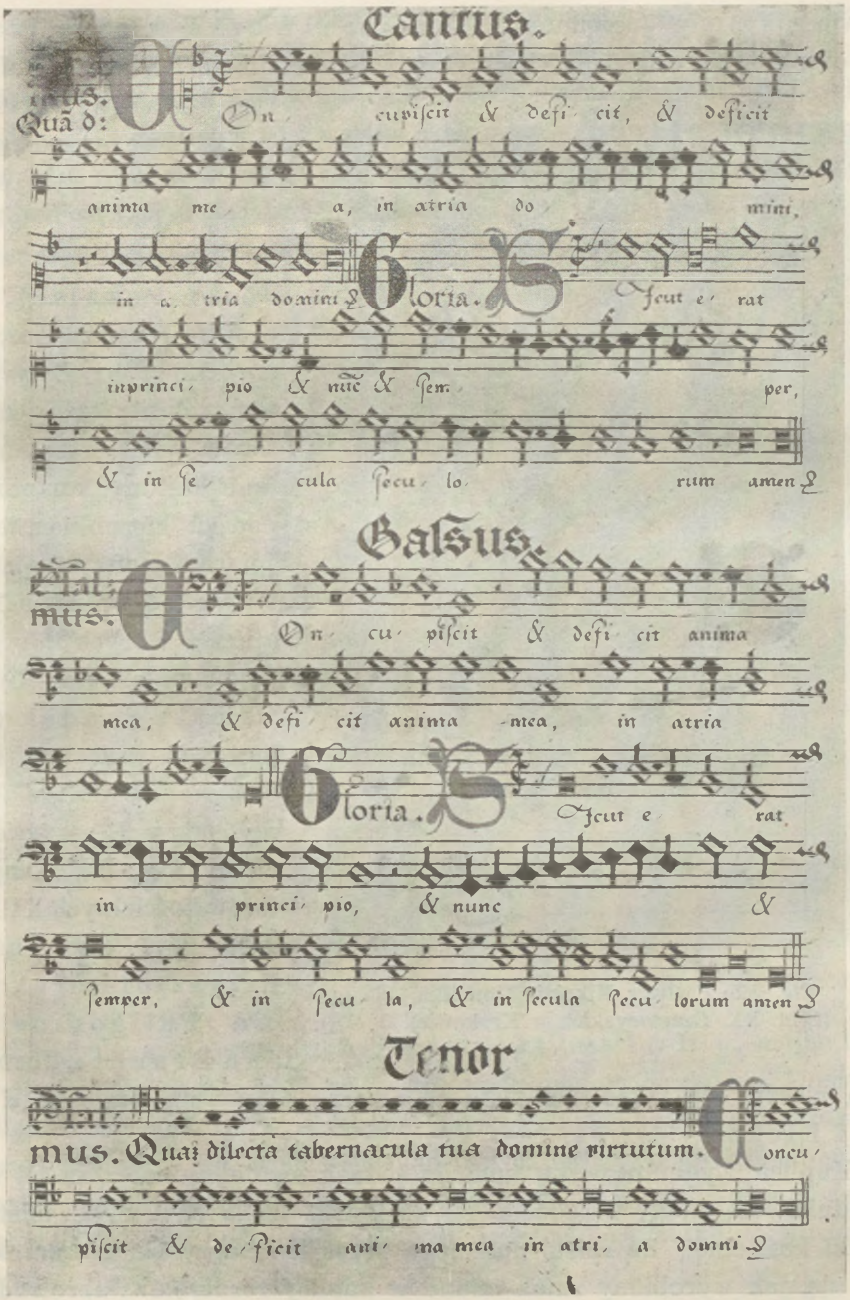

Fig. 264. Karta z rękopisu zawierającego kompozycye Constanza Porty (Bibl. XX. Czartoryskich w Krakowie).

(spowiednik Anny Jagiellonki), Wojciech Warka, kanonik lwowski, Marcin z Mielca, Annibal Ozga, Jan Kromer, Adam Janecki, Maciej Miskiewicz, Maciej Łukaszewicz, Mikołaj Pieskowicz, Jan Porębski, Wincenty Matylewicz, Józef Pękalski, Maciej Zieleniewicz, Bernard Bitter. Z dyrygentów tych nie każdy zapisał się w pamięci potomnych jako ceniony kompozytor; pod ich kierunkiem jednak śpiewali polscy kompozytorowie, członkowie Kollegium, z których w w. XVI. najznamienitszym był ks. Tomasz Szadek (Mszę jego »*in melodiam moteti pismene*« wydał ks. J. Surzyński w I. zeszycie Monumentów). Do kompozytorów kościelnych XVI. stulecia w Polsce należą: Krzysztof Borek, Marcin Paligonius, ks. Jan Brandt z Poznania; sławą cieszył się także organista na dworze Zygmunta Augusta, Krzysztof Kicker.

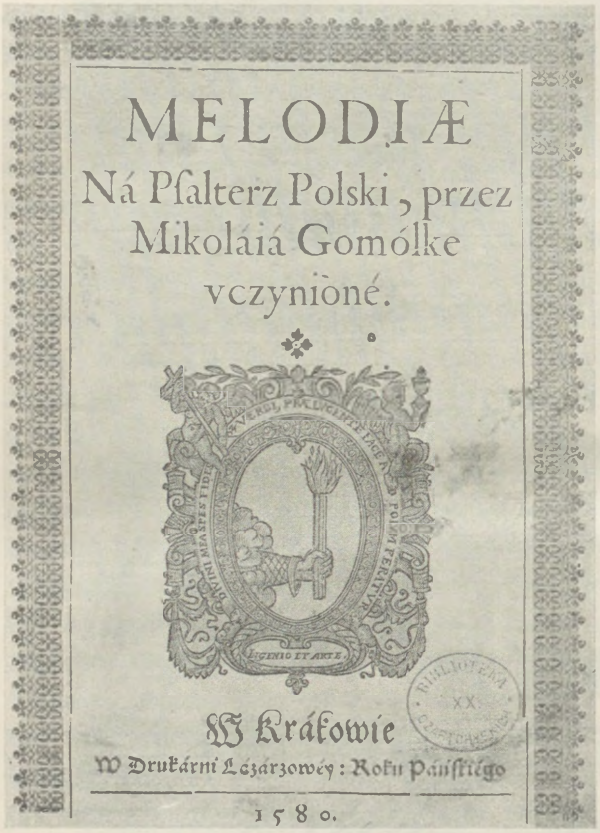
MELODIÆ
Ná Pſalterz Polski, przez
Mikoláiá Gomólke
vczynioné.
W Krákowie
W Drukárni Lázarzowéy: Roku Páńſkiego
1580.

Fig. 265. Psałterz Mikołaja Gomółki (Bibl. XX. Czartoryskich w Krakowie).

Kaplica Zygmuntowska spełniła jednak swoje zadanie: za jej tylko pośrednictwem mogły przedostać się do Polski dzieła poważnych mistrzów muzyki kościelnej. Ze spisu, podanego przez ks. Surzyńskiego, przekonujemy się, jak wyrobiony smak miano w kaplicy roratystów; sprowadzano dzieła najlepszych kompozytorów; często nawet zwracano się z zamówieniami dla wyłącznego użytku kaplicy. Ale imiona jej kompozytorów pol-

skich pokryły się grubym pokładem zapomnienia i próby ożywienia ich dzieł dla naszych czasów okazały się bezskutecznemi.

Najgłośniej rozbrzmiewa z tych czasów tylko nazwisko Mikołaja Gomółki, który uchodził za największego kompozytora dawnej Polski; ale i o nim mało co wiemy. Jedyną pewną datą, którą przeszłość o Gomółce nam przekazała, jest rok 1580., w którym pojawiło się w druku 150 psalmów Dawida w tłómaczeniu Jana Kochanowskiego z muzyką M. Go-

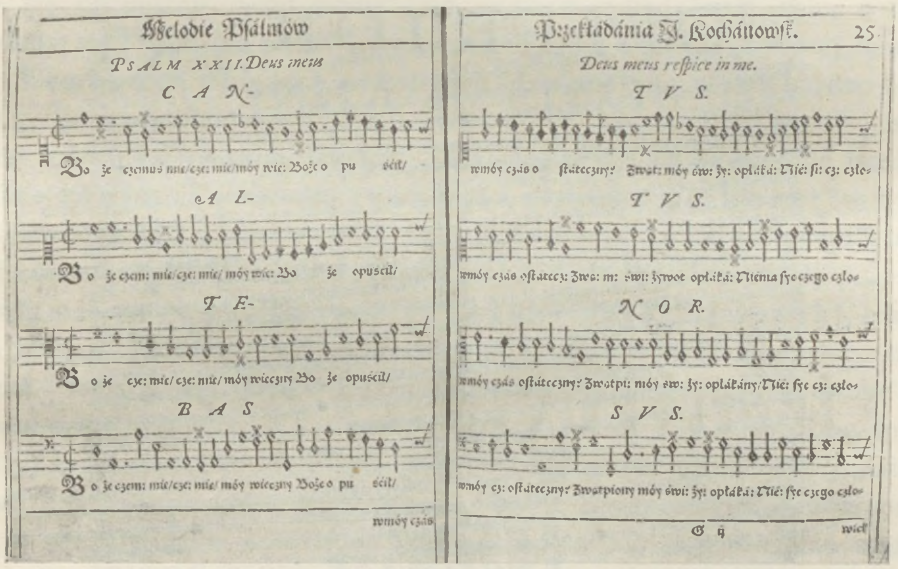

Fig. 266. Psałterz M. Gomółki.

mółki. Nie ulega też wątpliwości, że Gomółka umarł r. 1609., mając lat 65. czyli że urodził się w r. 1544. najprawdopodobniej w Krakowie. Musiał żyć w blizkich stosunkach z biskupem krakowskim, Piotrem Myszkowskim, któremu, podobnie jak Kochanowski swój przekład, poświęcił muzykę do psalmów. Przypuszczać można, że Myszkowski, który Kochanowskiego do jego genialnego przekładu zachęcił, zachęcił i Gomółkę do utworzenia muzyki.

Psalmy Gomółki to najpoważniejszy plon muzyczny wieku XVI. w Polsce. Gomółka chciał, aby jego »snopek pierworodny« (najlepszy) — jak mówi w dedykacyi — służył jego »prostym rodakom«, nie części ich, ale

wszystkim Polakom, zatem zarówno katolikom, jak innowiercom, których było wtedy wielu w Polsce.

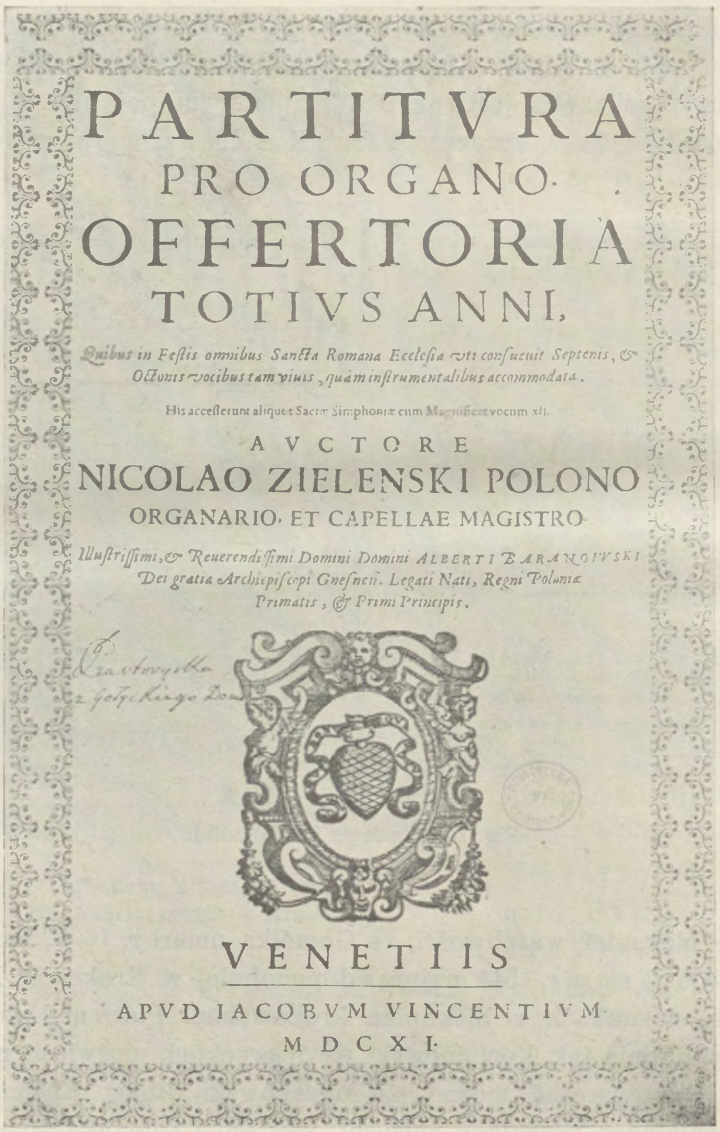
PARTITVRA
PRO ORGANO.
OFFERTORIA
TOTIVS ANNI,
Quibus in Festis omnibus Sancta Romana Ecclesia vti consuevit Septenis, & Octonis vocibus tam vivis, quàm instrumentalibus accommodata.
His accesserunt aliquot Sacræ Simphoniæ cum Magnificat vocum xii.
AVCTORE
NICOLAO ZIELENSKI POLONO
ORGANARIO, ET CAPELLAE MAGISTRO
Illustrissimi, & Reuerendissimi Domini Domini ALBERTI BARANOWSKI
Dei gratia Archiepiscopi Gnesnen. Legati Nati, Regni Poloniæ
Primatis, & Primi Principis.
VENETIIS
APVD IACOBVM VINCENTIVM
M D C X I.

Fig. 267. Dzieło M. Zieleńskiego (Bibl. XX. Czartoryskich w Krakowie).

W wielu względach zbliża się Gomółka do autora francuskiego psałterza Claude Goudimel'a. W niejednem miejscu jest nawet dość po-

dobny do jego psalmów, wydanych w r. 1565. Licząc się z muzycznem wykształceniem najszerszych warstw społeczeństwa i chcąc, aby dzieło jego mogło być dla nich przystępne, więc łatwe do wykonania, Gomółka mógł pisać jedynie w formie prostej, niezłożonej pieśni czterogłosowej, na wzór pieśni włoskich *frottoli* lub *villanelli*. Styl ten to właściwy styl muzyki kościelnej niemieckich protestantów. W Psalmach Gomółki widoczne są wpływy najróżnorodniejsze; nie można im przyznać żadnej odrębności ani w samej formie ani w wyrazie muzycznym. O ile jednak Psalmy zbliżały się do postawionego przez kompozytora w dedykacyi celu, o tyle oddalały się często od celów artystycznych i nie dosięgły wyższej miary.

Wogóle ruch muzyczny w Polsce XVI. w. nie musiał być bardzo ożywiony; poza wymienionemi kompozycyami ukazały się drukiem nieliczne pieśni nabożne z polskim tekstem. Egzemplarze ich, niezawodnie bardzo rzadkie, zebrane są w zbiorku zwanym Kancyonał puławski (w Bibl. XX. Czartoryskich w Krakowie; fig. 263). Najwspanialszy jednak pomnik muzyki kościelnej w Polsce należy do początku XVII. w. Jest nim dzieło p. t. »*Offertoria et communiones totius anni*«; napisał je Mikołaj Zieleński, o którym niestety żadnych nie mamy wiadomości, ani o roku i miejscu jego urodzenia i śmierci, ani też o życiu, prócz notatki zamieszczonej w tytule zachowanego w Bibliotece XX. Czartoryskich w Krakowie egzemplarza (partytury) tych utworów, gdzie Zieleński nazywa się organistą i dyrygentem kapeli arcybiskupa gnieźnieńskiego Wojciecha Baranowskiego. Kompozycye te ukazały się w r. 1611. w Wenecyi, noszą też pod wieloma względami silne nawet cechy ówczesnej muzyki weneckiej. Zdaje się zatem, że Zieleński w Wenecyi odebrał wykształcenie, może jako uczeń Giovanni Gabrieli'ego, kapelmistrza w kościele św. Marka. Zieleński nie ogranicza się do samych tylko głosów ludzkich, lecz częstem używaniem instrumentów wzbogaca barwę tonalną swoich kompozycyi, które dla Polski stanowią to, co dla Zachodu 100 lat wcześniej napisany »*Choralis Constantinus*« wielkiego Henryka Izaaka. Na tem najlepszem, zarazem największem, dziele muzyki kościelnej w Polsce kończy się właściwie okres średniowiecza muzycznego w Polsce, muzyki związanej z kościołem.

Na ślady muzyki wykonywanej na instrumentach natrafiamy już w r. 1096., kiedy przy wjeździe Zbigniewa do Krakowa »poprzedzali

orszak jego muzycy grający na fletach i trąbach«. Później nie brakło nigdy muzyki instrumentalnej przy ważniejszych uroczystościach dworskich. I znowu nie wiemy, jakiego rodzaju była to muzyka. W sferę sztuki wkroczyła muzyka instrumentalna w Polsce niewątpliwie za panowania Zygmunta Starego, którego żona Bona Sforza przywiodła do Polski muzyków — specyalnie lutnistów — włoskich. Najznamienitszym z lutnistów, w Polsce grających, był w XVI. w. Walenty Bacfart, właściwie Graew, u nas zwany Bekwarkiem, rodem Węgier z Siedmiogrodu, który przez pewien czas przebywał na dworze Zygmunta Augusta; za grę swoją, przez współczesnych bardzo chwalony, ze szkatuły królewskiej sowitą pobierał zapłatę. Za przykładem dworu królewskiego szli magnaci polscy; melancholijny dźwięk lutni począł rozbrzmiewać na zamkach i zameczkach. Smutnej pamięci Samuel Zborowski miał u siebie lutnistę Wojciecha Długoraja, który z czasem potrafił pozyskać jego zupełne zaufanie. Za sprawą Długoraja właśnie wtrącono Samuela do więzienia; świetny grajek bowiem wykradł kompro-

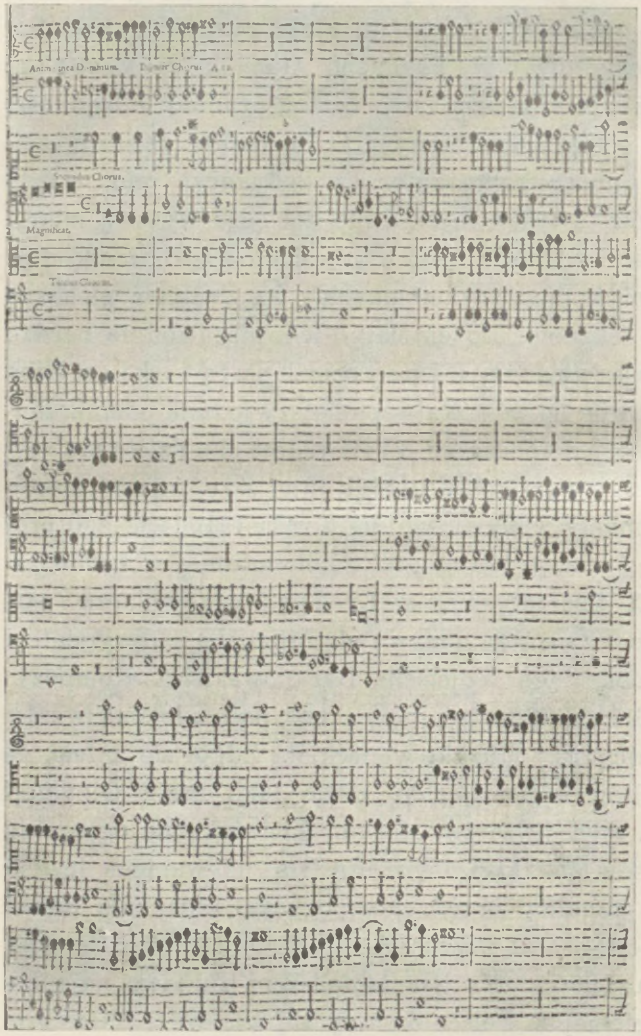

Fig. 268. Magnificat M. Zieleńskiego
(z partytury w Bibl. XX. Czartoryskich w Krakowie).

mitujące Samuela listy i oddał je królowi. Że imię Długoraja jako muzyka nie było obcem zagranicy, świadczy o tem kilka kompozycyi na lutnię wydanych w zbiorze Besard'a »*Thesaurus harmonicus*« w r. 1603. Na dworze Zygmunta III. Wazy przebywał najznakomitszy przedstawiciel madrygalistów włoskich, Luca Marenzio, świetny lutnista. Działalność jego jednak nie zaznaczyła się trwałym wpływem na muzyce polskiej, nie wywołała żadnych ech w rodzimej sztuce naszej.

Nie brakło jednak usiłowań poważnych, aby muzyka nie była tylko przypadkowym pokarmem duszy. Przodują w tym kierunku OO. Jezuici w Krakowie, którzy za czasów Zygmunta III. utrzymują przy kościele św. Piotra i Pawła chór i orkiestrę, których liczba dochodziła 100 osób.

Na Zachodzie, zwłaszcza we Włoszech, rozwinęła się wtedy, na przełomie XVI. i XVII. wieku, muzyka nowoczesna wokalno-instrumentalna: melodya z towarzyszeniem instrumentalnem. To, do czego doszedł Vincenzo Galilei w r. 1590., było wprawdzie poniekąd wynikiem zagłębiania się w literaturę helleńską, t. j. starogrecką, ale naprawdę odpowiadało potrzebie ducha czasu. We Florencyi powstała muzyka dramatyczna i zasłynęli dwaj jej właściwi twórcy: Jacopo Peri i Giulio Caccini. Odtąd zaczyna się po całej Europie pochód opery, tę bowiem nazwę przyjmuje muzyka dramatyczna; najpierw Włochy: po Florencyi Wenecya, Neapol, później (sporadycznie tylko) Niemcy, wreszcie Francya. Do Polski dostaje sią opera dzięki Władysławowi IV. Król ten zakłada stałą operę na zamku warszawskim, urządzoną z wielkim przepychem. W r. 1635. (więc wcześniej o 10 lat niż we Francyi) wykonano operę Jeremiasza Parchati'ego p. t. »Dafnis przemieniona w drzewo bobkowe«, której libretto (t. j. słowa śpiewane) przetłómaczył na polskie Samuel ze Skrzypny Twardowski. Treścią tych oper są opowiadania z mitologii (t. j. o bogach starożytnych), pełne cudowności, a niekiedy i cudacznych pomysłów; splatają się w nich wypadki ze świata pogańskiego z osobami i wypadkami późnych stuleci chrześcijaństwa. Zamiłowanie do opery, jakie miano na dworze, poczęło się udzielać narodowi, ale właśnie w najstosowniejszym dla dalszego rozwoju czasie przyszły nieszczęsne wojny za Jana Kazimierza i stłumiły wszelkie dążenia na polu sztuki. Szlachta polska powoli dopiero oswajała się z widowiskami teatralnemi. Poucza nas o tem

opowiedziany w Pamiętnikach Paska wypadek, jaki zdarzył się na przedstawieniu w Warszawie.

Przez 100 blizko lat milczała opera w Polsce, dopiero August III. Saski sprowadził na czas swego pobytu w Warszawie swoją znakomitą operę z Drezna, która jednak z powodu używanego w niej włoskiego języka nie cieszyła się wielkiem powodzeniem u Polaków samych. W orszaku muzycznym króla znajduje się wielki kompozytor operowy Hasse; jego żona Faustyna Bordoni była najznakomitszą spiewaczką swojego czasu w Europie.

Jakkolwiek zatem przesunęły się przez teatry królewskie liczne opery, to do opery polskiej było jeszcze daleko. Nie narodziła się ona także z założeniem narodowego teatru w Warszawie przez Stanisława Augusta w r. 1765., lecz w trzynaście dopiero lat po niem (w r. 1778.). Pierwszym utworem, zaliczającym się do rodzaju muzyki dramatycznej, jest »Nędza uszczęśliwiona«, operetka Macieja Kamieńskiego, której libretto stanowi komedyjka ks. Bohomolca pod tym samym tytułem. Kamieński pisał pod zupełnym wpływem włoskich oper, przekraszał arye koloraturami, wogóle nie był bardzo interesującym. Późniejsze opery Kamieńskiego noszą następujące tytuły: Zośka czyli Wiejskie zaloty, Prostota cnotliwa (Bohomolca), Tradycya załatwiona, Balik gospodarski, Słowik. Dzisiaj mają one jedynie historyczne znaczenie; przeciętność ich nie pozwoliła na dłuższe powodzenie lub na przedostanie się za granicę Polski. Niemieckie zaś opery Kamieńskiego — dwie tylko — nie zostały nawet nigdy wykonane.

W roku 1779. stanął w Warszawie nowy teatr, a w nim prócz dramatu udzielono gościnę operze; z początku jednakże przedstawiano tylko dzieła włoskich kompozytorów. Skład osób śpiewających w operach był bardzo niedostateczny i musiał ograniczać się jedynie do lekkich rzeczy. W tych dziecięcych latach opery polskiej najcięższem było niezawodnie to, że sami Polacy nie próbowali sił na tem polu, lecz woleli wyręczać się cudzą pracą. Jedynie zięć Kamieńskiego, Antoni Weinert, rodem z Czech, pisze opery do polskich tekstów. Losy polskiej opery warszawskiej w tym czasie związane są ściśle z osobą Wojciecha Bogusławskiego, ale i on pomimo zapału i wszechstronności nie mógł stworzyć nic wiekopomnego. Ale śmiałym był pomysł jego, który miał »stanowić epokę w dziejach narodowej muzyki dramatycznej«, a pomysłem tym było napisanie tekstu do opery p. t. »Cud mniemany — czyli — Krakowiacy i Górale«. Bogusławski zwrócił się o napisanie muzyki do swojego libretta

do Jana Stefani'ego, Prażanina, który za młodu był muzykiem na dworze Józefa II., później zaś Stanisława Augusta. Do propozycyi tej zachęciły Bogusławskiego polonezy Stefani'ego, powszechnie w owym czasie grywane, po których poznał, że autor ich będzie umiał wżyć się w muzykę



Fig. 269. Wojciech Bogusławski.

ludową. Stefani nie brał wprost motywów ludowych do swojej muzyki, tylko starał się swoje melodyjne pomysły wcielać w rytm krakowiaka czy mazura, przyczem zbliżał się linią melodyi swoich ustępów do niektórych znanych dość powszechnie piosnek ludowych. On też pierwszy — chociaż przypadkowym tylko zbiegiem okoliczności — wprowadza pierwiastek ludowy do muzyki dramatycznej polskiej. Następne prace Stefani'ego, utrzy-

mywane w tym samym co »Krakowiacy i Górale« duchu, nie miały ani w przybliżeniu takiego powodzenia.

Po ostatnim rozbiorze Polski przenosi się opera polska w ślad za Bogusławskim i jego trupą do Lwowa. Ale i tu nie mógł utrzymać się dłużej nad 5 lat, po których upływie zmuszony wypadkami politycznymi wrócił do Warszawy. Energiczny organizator, jakim właśnie był Bogusławski, rychło przygotował swój personal do nowych zadań, powierzywszy kierownictwo muzyczne Józefowi Elsnerowi, którego imię »silnie splotło się z dziejami muzyki polskiej«. Służy on muzyce polskiej, a służy z zapałem i poświęceniem się. Elsner był bardzo płodnym kompozytorem; 31 dzieł scenicznych, w ich liczbie kilka, do których i tekst i muzykę sam ułożył; kilka symfonii, sporo kwartetów i przeszło sto kompozycyi do użytku kościelnego. Niektóre utwory Elsnera wychodziły drukiem w Lipsku, nawet w Paryżu — do dziś jednak żaden prawie nie przetrwał. Wszystko to nosi na sobie cechę »dawnych, dobrych czasów«, kiedy publiczność zadawalała się operami o tytułach dziś niewiele mówiących, np.: Siedem razy jeden, Urojenie i rzeczywistość, Trybunał niewidzialny, Żona po drodze, Kabalista, Śniadanie trzpiotów, Ofiara Abrahama; są także i dwa wielkie malowidła muzyczne, których temat zaczerpnięty z historyi polskiej, więc: Król Łokietek i Jagiełło w Tęczynie. Nawet jednego z librett wielkiego Metastasia użył Elsner, *La Ritrersia disarmata*. Na długo jednakże przed śmiercią (1854), bo już po r. 1810. zaprzestał pisać opery, poświęciwszy się muzyce symfonicznej, kameralnej i kościelnej. Najtęższą pracą

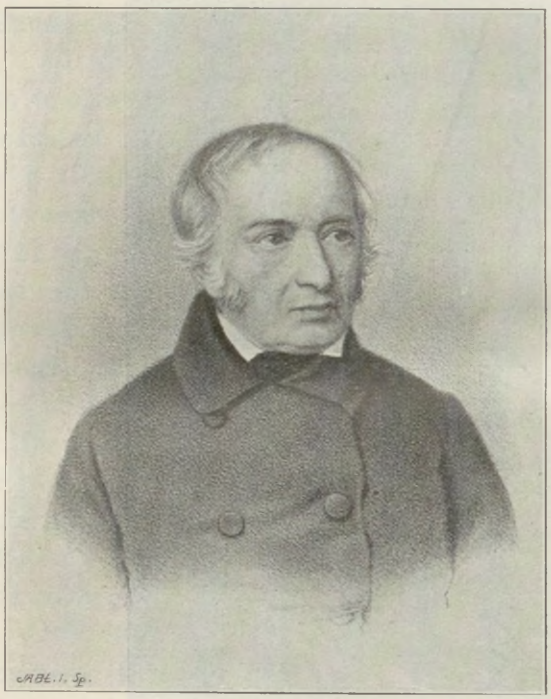

Fig. 270. Józef Elsner.

Elsnera jest oratoryum p. t. Męka Zbawiciela. Powodem, że Elsner tak wcześnie zerwał z muzyką dramatyczną, była konkurencya z młodszym od niego Karolem Kurpińskim. Od chłopięcego już wieku począwszy, miał Kurpiński sposobność zaznajamiania się z muzyką poważną, grając kwartety Haydna i Mozarta, lub też słuchając w teatrze lwowskim oper ostatniego i znakomitych Włochów. Po śmierci opiekuna-mecenasa, starosty Polanowskiego, w którego domu kilka lat przebywał, w niedługim czasie przenosi się do Warszawy i tu udaje mu się otrzymać posadę drugiego dyrygenta w operze pod dyrekcyą Bogusławskiego. Kurpiński nie miał z pewnością większego talentu od Elsnera, potrafił jednak zjednać sobie publiczność zaraz drugą z kolei operą p. t. Pałac Lucypera, gdzie jedna arya (Amandy) okraszona prawdziwym wężem koloraturowym, całość zaś utrzymana w starzejącym się już wtedy stylu włoskiego *bel canto* za wszelką cenę. Kilka następnych oper: Szarlatan, Łaska Imperatora, Jadwiga (żona Jagiełły), Aleksander i Apelles, Mała szkoła ojców, Nowe Krakowiaki, Dziadek, Jan Kochanowski (libretto J. U. Niemcewicza), Czarnomysł, wreszcie Zamek na Czorsztynie, stanowiło o powodzeniu Kurpińskiego, którego najpiękniejszym wyrazem było uroczyste wręczenie kompozytorowi złotego medalu pamiątkowego i adresu podpisanego przez najznakomitszych obywateli. Następne opery pisane pod zupełnym wpływem Rosini'ego to Kalmora (tekst Brodzińskiego), Leśniczy w puszczy Kozienickiej i Cecylia Piaseczyńska.



Fig. 271. Karol Kurpiński.

Takie były — pokrótce opowiedziane, bez zagłębiania się w istotę ich przyczyn — losy muzyki polskiej do czasu wystąpienia Fryderyka Chopina (czytaj Szopena), tego ogromnego, a tak powabnego geniuszu. Twórczość Chopina jest jednym z najwspanialszych objawów ducha polskiego. Dziś jest Chopin własnością całego świata, dla nas zaś tem droższy, że Polka była jego matką, a cała muzyka jego wyrosła na gruncie rodzimej muzyki polskiej. Chopin wystrzelił nagle, zajaśniał i jaśnieje; wyprzedził pojęcia muzyczne swego czasu o całą epokę rozwoju; nie zdołała muzyka polska pójść niestety w jego ślady.

Nieopodal Warszawy, w Żelazowej Woli, majątku hr. Skarbków, urodził się w r. 1810. dnia 22. lutego Fryderyk Franciszek Chopin jako syn Mikołaja Chopina i Justyny z Krzyżanowskich. Ojciec był nauczycielem domowym u Skarbków, rodem Francuz, ale i w jego żyłach, wedle podania, płynęła krew polska, miał być bowiem prawnukiem Mikołaja Szopa, który za czasów króla Stanisława Leszczyńskiego przeniósł się do Lotaryngii, zmieniając nazwisko na francuskie Chopin. W kilka miesięcy po urodzeniu się Fryderyka otrzymał ojciec posadę nauczyciela języka francuskiego w Liceum warszawskiem, za czem poszło przeniesienie się całej rodziny do Warszawy. Mikołaj Chopin uzyskał niedługo pozwolenie na otworzenie pensyonatu dla zamożniejszych chłopców, uczęszczających do Liceum. Zaledwie trzy lata miał Chopinek (jak go w całej młodości nazywano), kiedy już muzykalność jego poczęła się uwidoczniać w przysłuchiwaniu się grze matki na fortepianie, już to w pokryjomych zabawach z klawiszami fortepianu. W piątym roku umiał już nawet grać »niektóre kawałki z repertuaru matki«. W roku 1817. zaczyna Frycek naukę systematyczną gry na fortepianie pod kierunkiem Wojciecha Żywnego, starego muzyka praktyka.

Żywny znakomitością nie był; wcale wzięty jako nauczyciel, nabrał rozgłosu dopiero wtedy, kiedy genialny uczeń poczynał być sławnym. Szczęściem dla talentu Chopina było, że nauczyciele jego, zarówno Żywny, jak Elsner, nie byli pedantycznymi bakałarzami, ani nie starali się zacisnąć na płomienny umysł chłopca krępujących wędzideł. Dbali jedynie o to, żeby nie zszedł na manowce. Chopin sam wydawał później poczciwemu staruszkowi jak najlepsze świadectwo, twierdząc wesoło, że »u pana Żywnego nawet osioł nauczyłby się grać doskonale...« Po dwóch latach nauki postępy Chopina stawały się coraz to silniejszym dowodem jego fenomenalnych zdolności muzycznych. Teraz już nie tylko kółko bliższych znajo-

mych, ale i szerszy świat, poznawszy Frycka, zdumiał się. Imię Chopinka na ustach całej Warszawy; śmiałe porównania go do małego Mozarta stanowią o jego wziętości. Chopin zaczyna grywać w salonach arystokracyi, nareszcie występuje już i w wielkich salach koncertowych — po raz pierwszy na koncercie na dochód Towarzystwa dobroczynności. Rodzice nie wyzyskiwali rozwijającego się geniuszu Chopina, jak to zwykle dzieje się, kiedy pojawi się cudowne dziecko; natomiast pozwalając tylko na rzadkie występy, zachęcali tem samem Frycka do pogłębiania wiadomości, nie zmieniając jego talentu w maszynę, pięknie lecz zawsze jednako grającą. Inny natomiast czynnik zaważył bardzo na temperamencie Chopina, jako człowieka i artysty. Zapraszano Frycka co wieczora prawie do salonów arystokracyi warszawskiej, gdzie produkcye jego stanowiły nie wyślęczone utwory innych kompozytorów, lecz własne improwizacye. — Muzyka, którą w czasach dzieciństwa miał sposobność Chopin słyszeć, to w wielkiej mierze Mozart. Z niektóremi jego operami i Requiem zapoznał się we wczesnem dzieciństwie; przez całe życie lubił muzykę Mozarta, przed śmiercią nawet miał zażądać, aby w czasie nabożeństwa żałobnego za duszę jego wykonano podniosłą kompozycyę Mozarta — ale poza tem wewnętrznem upodobaniem w żadnem z dzieł swych nie dał Chopin poznać tego, na żadnem nie dopatrzymy się wpływu twórcy »Figara«. Waryacye, które Chopin jako młodzieniaszek napisał na temat *»la ci darem la mano«* z Don Juana, pokazują nam najdobitniej, jaka przepaść dzieliła obu mistrzów, tak co do treści, jak zasobów wyrażania jej. Zresztą płynie życie małego Chopina spokojnie, bez żadnych ważniejszych zdarzeń, a ferment, który powoli ogarniać zaczął społeczeństwo polskie, nie mógł odbić się silniejszem echem w duszy dziecka; — artystycznych wydarzeń mało lub nieznaczne. Pieszczą chłopczynę w domu, pieszczą poza domem, szczególnie ks. Czetwertyńska; wielka śpiewaczka Catalani, zachwycona grą Frycka, daje mu na pamiątkę zegarek złoty z napisem. Nawet dom w. ks. Konstantego stoi mu otworem, a z synem w. księcia, Pawełkiem, łączą go węzły dziecięcej przyjaźni; co dziwniejsze, muzyka Chopina uśmierza gniew w. księcia, łagodzi porywczość i do tego środka ucieka się częstokroć ks. Łowicka, żona księcia, przysyłając powóz dworski po Frycka. W czternastym roku życia zaczyna Chopin naukę kompozycyi u Elsnera; ale genialny uczeń śmiało wyprzedza wskazówki szanownego pedagoga i zawarte w książeczce p. t. »Krótka nauka poznania harmonii czyli Generał-basu« Antoniego Simona teoretyczne przepisy. Żywo intere-

suje się nowościami muzycznemi; każda myśl muzyczna, która tkwi w umyśle młodzieniaszka, nie daje mu spokoju, zanim jej nie zrealizuje; częstokroć w nocy wyskakuje z łóżka i na fortepianie uświadamia sobie pomysł harmoniczny. Fortepian staje się jedynym instrumentem, z którym zżywa się coraz bardziej; łamie się z trudnościami technicznemi, pragnie nawet rękę nagiąć do swoich aspiracyi kompozytorskich, naciąga »odpowiednimi przyrządami« palce, byle módz objąć większą ilość klawiszy. Zaznajamia się nakoniec Chopinek z muzyką ludową, wyjeżdżając po skończonym roku szkolnym na wieś niedaleko Warszawy. Tu otworzyło się dla geniuszu Chopina niewyczerpane źródło jego natchnień, otworzyła się ta »arka przymierza między dawnemi a młodszemi laty«, w której Chopin miał złożyć »swych uczuć przędzę i swych myśli kwiaty«; owiał go czar muzyki ludowej, którą Chopin przerobił na wielką, piękną sztukę i całemu światu uczynił zrozumiałą. Jak głęboko wżył się w nią, jak wyczuł w niej całą dolę ludu, jego poezyę i twardy realizm życiowy, o tem wszystkiem mówią nam M a z u r k i Chopina, ta prawdziwa epopeja ludu polskiego; dopowiedzenie muzyczne tego, czego nie dał nam Mickiewicz w »Panu Tadeuszu«; w nich mamy obraz wieśniaka w jego weselu i smutku.

Po ukończeniu Liceum zapisuje się Chopin do Szkoły głównej muzyki, konserwatoryum warszawskiego, którego kierownikiem był Józef Elsner. »Od tej chwili nie było mowy o jakimś innym zawodzie dla Fryderyka, zdecydowano się ostatecznie, by poszedł drogą artystyczną, by został muzykiem«. Obawy rodziców, że droga ta będzie pokryta cierniami, że byt syna nie będzie materyalnie zabezpieczony, na szczęście nie sprawdziły się. Nauczycielem Chopina był już tylko Elsner, który poznawszy istotę talentu ucznia, nie krępował go zupełnie przestarzałymi przepisami, nie kazał iść wydeptaną ścieżką, lecz starał się tylko, by prace Chopina, przy całej ich indywidualności nie grzeszyły przeciw logice muzycznej. Stosunek do Elsnera i jego rodziny był bardzo serdeczny; wszystkie niemal w tym czasie powstałe utwory wpisywał Chopin do »sztambuchu« panny Emilii Elsner. Pomiędzy nimi znajdują się pieśni, np. dziś tak ulubiona: »Gdybym ja była słoneczkiem na niebie...« Innymi utworami Chopina z tych czasów są wymienione waryacye na temat z opery Mozarta (Don Juan) op. 2 i sonata c-moll op. 4 (wydana dopiero po śmierci twórcy), mazurki op. 6 i 7, wreszcie Trio op. 8.

Lat dziewiętnaście liczył Chopin, kiedy miał już ustaloną w Warszawie sławę najlepszego pianisty, ale uznanie lokalne nie wystarczało ambi-

cyi genialnego młodzieńca. Pragnął dać się poznać na szerokim świecie, zaczął myśleć o wyjeździe za granicę. W istocie, roku 1829. w ostatnim dniu lipca przyjeżdża Chopin do Wiednia i zaraz krząta się około wydania niektórych kompozycyi u nakładcy wiedeńskiego, Haslingera. Wchodzi w sfery muzyczne wiedeńskie, poznawszy najpoważniejsze osobistości tamtejsze, jak Schuppanzigha, Gyrowetza, Kreutzera, Karola Czerny'ego. Wszyscy namawiają go do dania koncertu, jakoż na usilne perswazye całego koła muzyków przystał Chopin i w kilka dni dał koncert, który był zupełnym sukcesem Fryderyka. Publiczność i krytyka tak zachęcająco się zachowała, że w niespełna dwa tygodnie dał Chopin drugi koncert. Gra jego odmienną była od gry znanych w Wiedniu wirtuozów, którzy salę koncertową zalewali tonem silnym przedewszystkiem; jakkolwiek ręka Chopina wystarczała do dobycia ze strun fortepianu i najsilniejszych dźwięków, grał on lekko, ciszej, niż może rozmiary wielkich sal tego wymagały, ale grał z nieopisanym wdziękiem, słodyczą, gdzie było na miejscu, a zawsze poetycznie, poezyą melancholii, zamarzenia... i dlatego 'gra Chopina tak wielki czar wlewała w serca ludzi uczuciowych, dlatego tak ją odczuwały kobiety... Te dwa koncerty Chopina to nie tylko ważne wypadki w życiu



Fig. 272. Fryderyk Chopin.

samego kompozytora; na nich po raz pierwszy dostawał świat muzykę, której rdzenna polskość nadawała fizyognomię odrębną zupełnie od stylu muzyki klasycznej, wiedeńskiej szkoły. Ten świeży powiew Wschodu nie przychodził jakimś surowym podmuchem, nie barbarzyńskiej indolencyi były to owoce; promień, wyszły z słonecznych szczytów sztuki, ożywczy, nieznany, przenikający serce, — dla rozsądku wskazówka, jak szeroką sferę wrażeń ma sztuka tonów jeszcze nietkniętą, ile nowej gleby do uprawy. Poza tym nieznanym czynnikiem przynosiły utwory genialnego młodzieńca nowe pierwiastki harmonii, nowe linie melodyjne, nowe pomysły techniczne, zamknięte w formach, do których się przemocą nie wciskały. Wystąpienie Chopina stanowi dla muzyki epokę tak ważną, iż śmiało możemy twierdzić, że cała muzyka Europy zachodniej po roku 1835. bez sztuki Chopina znacznie skromniejsze miałaby barwy, niż je, jedynie pod działaniem świateł z jego dzieł płynących, posiadła. W muzyce fortepianowej specyalnie stanowi twórczość Chopina punkt najwyższy pod każdym względem; w niej zamknęło się całe bogactwo idei tej subtelnej duszy, nie tylko część ich, jak n. p. u Beethovena.

Po wyjeździe z Wiednia, zwiedzeniu Pragi czeskiej i Drezna, wraca Chopin do Warszawy, gdzie wytrwale pracuje nad nowemi dziełami. Z tego czasu pochodzą pierwsze wiadomości nasze o miłości Chopina ku pannie Konstancyi Gładkowskiej. Piękną uczennicą śpiewu w konserwatoryum warszawskiem zajęła się cała wyobraźnia młodego kompozytora, który uczuciu swojemu dawał wyraz w kompozycyach. Czy to była miłość »gorąca i rzetelna« — na pewno niewiadomo, w każdym razie jednak, czy była tylko wynikiem przemożnego wówczas wertheryzmu, czy tą konieczną okrasą młodzieńczych lat, w niewinności swojej jest kartą w życiu Chopina jasnemi zapisaną głoskami. Możnaby nawet uczucia Chopina ku pannie Gładkowskiej, późniejszej pani Grabowskiej, przepomnieć, zwłaszcza, że całą korespondencyę, złożoną z kilkudziesięciu listów pomiędzy obydwojgiem zamienionych, spaliła adresatka na kilka dni przed śmiercią — gdyby nie fakt, że uczuciom tym zawdzięczamy najwspanialsze utwory Chopina z tego okresu jego życia, więc np. Koncert f-moll. Przy sposobności zaznaczyć wypada, że w twórczości Chopina nie dadzą się poprowadzić jakieś linie graniczne, któreby mogły podzielić ją na okresy np. dojrzewania, doskonałości i opadania. Chopin — jak rzadko który umysł twórczy — bardzo wcześnie rozwinął się w pełny kwiat i nie zwiądł do ostatka; w każdem dziele, od najwcześniejszych do ostatnich, pisanych

prawie że pod skrzydłami Anioła śmierci, widzimy równą doskonałość, napięcie łuku natchnienia i refleksyi nie zmniejsza się. Wytłómaczyć to można i tem także, że Chopin w porównaniu do Mozarta np., (od którego o 3 lata dłużej żył), napisał bardzo mało, ale też, co napisał, było godnem geniuszu.

Po roku przepędzonym w Warszawie wyjeżdża Chopin w świat, pchany jakąś koniecznością wewnętrzną. Wyjechał w chwili przed burzą dziejową, przed powstaniem listopadowem, może za jakiemś dziwnem zrządzeniem losów, aby nie paść ofiarą w walce, do której rwał się później; Polska więcej zyskała w jego dalszem życiu, niżby Jej śmierć Chopina na polu bitwy mogła przynieść faktycznej korzyści. Wyjechał artystą wielkim, miał swój własny kierunek, którego do końca życia nie zmienił; szedł po drodze, którą sam sobie i światu torował — zejście z niej równałoby się opuszczeniu skrzydeł, pełzaniu po ziemi, szybował zatem zawsze w zawrotnej wysokości, »nie zniżając lotu« dla dogodzenia smakowi otoczenia, ogólnemu upodobaniu. W tece kompozytorskiej Chopina, kiedy opuszczał mury Warszawy, znajdował się już koncert f-moll, znajdowały się w niemałej już liczbie etiudy, mazurki i walce. Ze zdań zawartych w listach z czasów, kiedy pracował nad temi kompozycyami, dowiadujemy się, jak zależało mu na wartości każdej nuty; nie pisał byle pisać; szamotał się z trudnościami, które mu stwarzały własne wymagania od swoich utworów jego sumienie artystyczne tak było delikatne, że na niejednym może zrobić wrażenie skrupulatności; produkował powoli, w męczarniach prawie nie sypał opusów (dzieł) jak z rogu obfitości. Podróż »w świat« prowadziła przez Wrocław (gdzie Chopin przyjął współudział w koncercie), Drezno, do Wiednia, w którym miał zamieszkać przez kilka miesięcy. W Wiedniu życie wcale wygodne, wizyty, teatr, koncerty, wieczory i przyjęcia. Mniej pracy kompozytorskiej i grania na fortepianie. Ale pobyt ten nie przynosi z sobą żadnego ważniejszego wydarzenia artystycznego, a tylko ku końcowi daje się czasami odczuć Chopinowi brak pieniędzy, z którymi się genialny kompozytor nigdy zbyt ostrożnie nie obchodził. Z Wiednia wyruszył Chopin do Monachium, ostatecznym zaś celem podróży był Paryż, jakkolwiek na paszporcie podał Londyn. W zachodnich Niemczech nie było nieznanem nazwisko Chopina; z Lipska przedostały się za pośrednictwem czasopisma »Neue Zeitschrift für Musik« entuzyastyczne zdania Roberta Schumanna, który omawiając waryacye Chopina na temat *»la ci darem la mano«*, nie zawahał się zacząć od słów: *Hut ab, ihr Herren, ein Ge-*

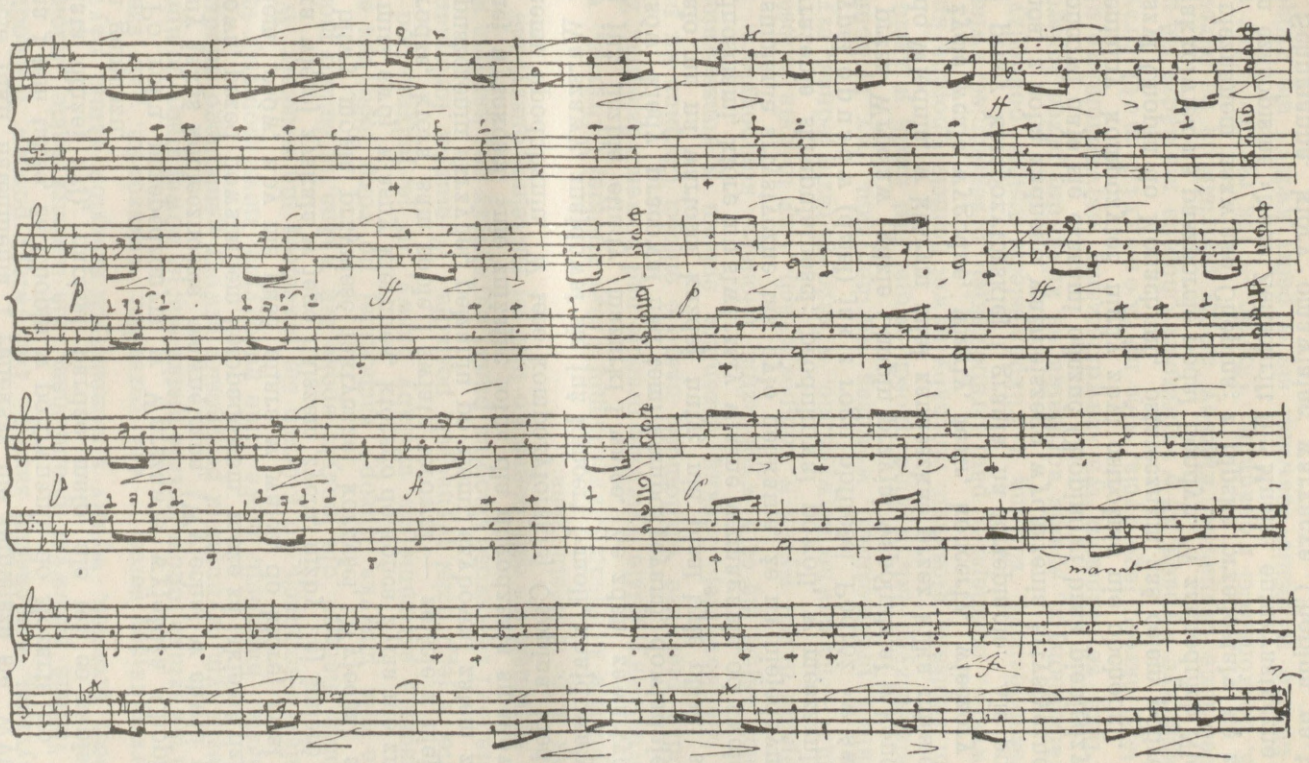

Fig. 273. Autograf Chopina.

nie! Niemniej w drugim, znakomitym kompozytorze ówczesnym niemieckim, Feliksie Mendelsohn-Bartholdym, znalazł Chopin szczerego wielbiciela.

W jesieni r. 1831. przybywa Chopin do Paryża z kilkoma listami polecającymi w kieszeni. Nie znika pod powierzchnią fal, które szumiały na tem prawdziwem morzu ówczesnego życia umysłowego Europy, jakkolwiek utrzymać się na nich nie było rzeczą łatwą. Do Paryża bowiem nie dotarła żadna jeszcze wiadomość o młodym geniuszu; trzeba było zdobywać powoli imię na gruncie, na którym już silne korzenie zapuściły wybitne talenty muzyczne lokalne. Paryż zaabsorbowany był muzycznie operą, tuzinami też pojawiały się nowości podpisane nazwiskami Halevy'ch. Meyerbeerów, Boildieu'ch, Auberów, Rossini'ch, Heroldów, Cherubini'ch... Z wirtuozów fortepianowych błyszczał najsilniej Kalkbrenner, u którego Chopin, co wcale dziwnie wygląda, zamierzał się jeszcze uczyć i nawet był na kilku lekcyach w najwyższej klasie; rychło jednak zaprzestał myśleć o niepotrzebnej i tak nauce, którą Kalkbrenner aż na trzy lata chciał rozciągnąć. Z końcem lutego 1832. roku wystąpił wreszcie Chopin z własnym koncertem, który, nie opłaciwszy się materyalnie, przyniósł ze wszech stron uznanie dla młodego mistrza. Z tego czasu datuje się zbliżenie się i zaprzyjaźnienie z wielkim pianistą-kompozytorem, Franciszkiem Lisztem. Mimo wziętości w salonach, szczególnie Radziwiłłów i Czartoryskich, mimo kilku lekcyi, położenie finansowe Chopina stawało się przykre, tak, że myślał o wyjeździe do Ameryki, od czego go jednak rodzice powstrzymali. Nie powrócił także do Warszawy. Szczęśliwym powodem, że mógł zostać w Paryżu, miał być — jak to na wielu miejscach podają — wieczór u bar. Rotszylda, gdzie grą swoją pozyskał wielu przyjaciół i przez nich otrzymał sporo dobrze płatnych lekcyi. Chopin obraca się w najwyższych sferach; żyje na dobrej stopie z książętami i ministrami; stale przebywa w towarzystwie takich ludzi jak: Al. Dumas, Th. Gautier, Musset, Delacroix... Imię Chopina jako kompozytora ma już niemałe znaczenie w r. 1834., kiedy wydawca Schlesinger za walca (es-dur op. 18) płaci mu 500 franków. W r. 1835. występuje Chopin dość często publicznie, ale sam przyznaje się, że »do dawania koncertów nie jest stworzony; publiczność napełnia go obawą, jej oddech paraliżuje jego ruchy, ciekawe spojrzenia irytują go, przed nieznajomemi twarzami milknie«.

W Paryżu nie odczuwał Chopin jako Polak osamotnienia. Emigracya polska była tam reprezentowana liczebnie bardzo pokaźnie; dość wspomnieć kilka nazwisk tylko, aby mieć pojęcie, w jakiem towarzystwie pol-

skiem obracał się Chopin. Mickiewicz, Czartoryscy, Kniaziewicz, Zaleski, Niemcewicz, Platerowie, Witwicki, Mycielski, Grzymała — z nimi to żył na przyjaznej stopie, »należał do Klubu Polskiego, uczęszczał na posiedzenia Tow. historyczno-literackiego, dawał koncerty na rzecz braci-wygnańców, bywał na prelekcyach Mickiewicza w Collège de France« — »mógł podobnie jak Słowacki powiedzieć do swych towarzyszy wygnania: *Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami*«. Często spotyka się Chopin w Paryżu z pokrewną sobie duszą, ze Słowackim; ich losy niejednokrotnie tak podobne do siebie; nawet miłość w jedną kierują stronę... Jak daleko sięgał wpływ jednego z nich na drugiego — nie wiemy dokładnie; Słowacki grywał Chopina i zachwycał się nim. Mickiewicza natomiast zastał razu jednego malarz Kwiatkowski w salonie Chopina, jak nakłaniał kompozytora do napisania większego dzieła, opery, czemu jednak Chopin nie czuł się na siłach podołać.

Pobyt w Paryżu przerywają niekiedy wyjazdy; w r. 1835. w lecie jedzie Chopin do Karlsbadu w Czechach, celem spotkania się z ojcem. W Dreźnie widzi się Chopin z rodziną Wodzińskich, dobrymi znajomymi z Warszawy; panna Marya Wodzińska zaprząta umysł i serce Fryderyka, przez pewien czas zdaje się, że stosunek ich zaprowadzi oboje do ołtarza; po roku jednak zamiary nie mogły się spełnić. Odwiedza i Lipsk, gdzie nań czekały tak bardzo oddane jego sztuce serca: Schumann, Mendelsohn-Bartholdy, narzeczona Schumanna, świetna pianistka Klara Wieck i jej ojciec, znakomity pedagog, który około rozpowszechnienia dzieł Chopina niemałe zasługi położył. Jak silne wrażenie musiał Chopin na tej wyborowej garstce ludzi zrobić, dadzą nam pojęcie zdania pisane przez Schumanna i Mendelsohna, w których Chopin przedstawia się nam jak jakieś nieziemskie zjawisko, kiedy ci, którzy na niego patrzyli i gry jego słuchali, nie dowierzali własnym zmysłom...

Prawdopodobnie już w roku 1836. zapoznał się Chopin za pośrednictwem Liszta z panią Aurorą Dupin-Dudevant, znaną w świecie całym pod pseudonimem George Sand, znakomitą powieściopisarką francuską. Nie wiadomo dokładnie, kiedy i jak znajomość prosta zmieniła się w stosunek miłosny, który trwał dziewięć lat. Pani George Sand była o całych sześć lat starsza od Chopina; zdaniem Heine'go i innych kobieta w całej pełni piękna, co także i niektóre portrety potwierdzają, posiadała dar pozyskiwania sobie ludzi. Bądź co bądź nie była to kobieta przeciętnego pokroju, nie dziw więc, że Chopin, w którego sercu po zerwaniu planów

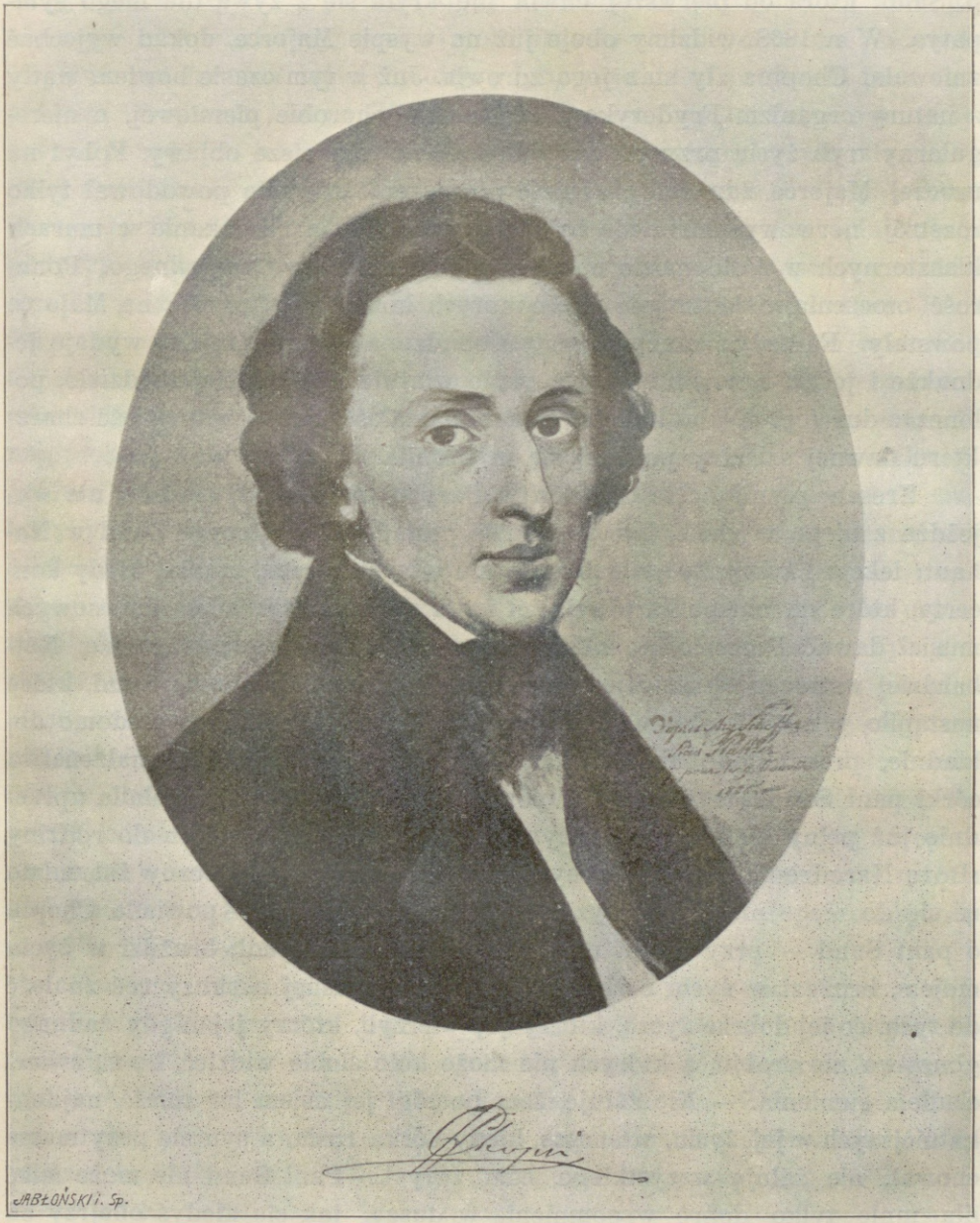

Fig. 274. Fryderyk Chopin (podług portretu Ary Scheffera).

małżeńskich z panną Wodzińską powstała pustka, łatwo uległ wpływowi p. Sand, która od pierwszej chwili nie kryła się z żywą dla niego sympatyą. W r. 1838. widzimy oboje już na wyspie Majorce, dokąd wyjechać zniewalał Chopina zły stan jego zdrowia. Już w tym czasie bowiem wątły z natury organizm Fryderyka zaczął ulegać chorobie piersiowej, a nieregularny tryb życia przyspieszał tylko jej poważniejsze objawy. Pobyt na uroczej Majorce zamiast przynieść polepszenie zdrowia powodował tylko rozstrój nerwowy; zima nie była zbyt łagodną, a mieszkanie w murach klasztornych w Valdemosie nie zasługiwało na nazwę wygodnego. Ponurość otoczenia dała impuls do ponurych kompozycyi, które na Majorce powstały. Fantazya muzyka-poety pobudzona wspomnieniami wydaje jednakże i jedno z najsilniejszych, może właśnie najpotężniejsze dzieło, polonez a-dur (op. 40), w którym cała wspaniałość, buta i rycerskość charakteru dawnej szlachty polskiej się ucieleśniła.

Zresztą płynie życie Chopina w Paryżu prawie jednostajnie, nie wyjeżdża z niego w zimie, lato spędza w posiadłości p. George Sand w Nohaut; lekcye i kompozycye zabierają mu wszystek czas, rzadko kiedy koncerty, które na nalegania przyjaciół i dla dobrych wyników finansowych musiał dawać. Przeszło lat kilka; zdrowie Chopina coraz to gorsze. Najbardziej wstrząsnęło niem jednak zerwanie stosunków z panią Sand, które nastąpiło w r. 1847. Jakie były powody tego rozłączenia, niewiadomo dokładnie, prawdopodobnie ostatnią przyczyną była kwestya małżeństwa córki pani Sand, »lecz była to zapewne ta kropla, która przepełniła uprzednio już pełny kielich«. W jednym z listów Chopina, pisanych do rodziny (Boże Narodzenie 1847) czytamy zdania, zawierające serdeczny żal, mimo że się do niego nie chce przyznać. »Dziwne stworzenie — powiada Chopin o pani Sand — przy całym rozumie! Jakiś szał napadł: bruździ w życiu mojem, bruździ w życiu córki. Chciałaby dla własnej ekskuzy coś znaleźć do tych, co jej dobrze życzą, którzy jej wierzyli, którzy jej nigdy żadnego gburstwa nie zrobili, a których nie może koło siebie widzieć, bo są zwierciadłem sumienia. — Nie żałuję, żem pomógł jej osiem lat znieść, najdelikatniejszych w jej życiu, wtenczas, kiedy córka rosła, a syn się przy matce chował; nie żałuję wszystkiego, com zgryzł... Pani Sand nie może mieć dla mnie tylko dobre wspomnienie w duszy, jak się kiedyś obejrzy za sobą... Kochana pani Sand jeszcze wiele dziwnych kolei przejdzie w życiu swojem, nim się zestarzeje; wiele pięknych i wiele brzydkich się rzeczy nadarzy«. A w następnym liście: »za kaprysami takiej duszy nikt nie bę-

dzie mógł iść w tory. Ale może to są kondycye jej życia, jej talentu pisarskiego, jej szczęścia?...« A dziś, kiedy »krytycznie« patrzymy na życie genialnego kompozytora, pomimo woli nasuwa się niepotrzebne już, może i naiwne pytanie, czy lepiej byłoby, gdyby do skutku przyszedł plan małżeństwa Chopina z Maryą Wodzińską? Niezawodnie ta, która była przyczyną powstania poematu Słowackiego »W Szwajcaryi«, nie stłumiłaby iskry natchnienia w Chopinie. Kaprysy pani Sand nie były poetyczną okrasą życia twórcy Polonezów, nie stanowiły tej koniecznej »duchowej« podpory życia. Przy pani Sand brakło mu może tego ciepła, które miał w całej pełni w domu, a nie skąpiłaby go przyszła teściowa i żona. Jakiś żal nami owłada, kiedy czytamy w liście matki Maryi pisanym w r. 1836. do «kochanego Fryderyka« wzmiankę o szarej godzinie... kiedy niezawodnie zbliżyły się trzy serca i w szczerem wynurzaniu roiły plany wspólnej, pięknej przyszłości. Ale hrabiemu Wodzińskiemu nie wystarczał zięć-geniusz.. Gdybyśmy chcieli usprawiedliwiać ojca Maryi, niezawodnie znalazłyby się motywy, którymi mógł się powodować, nie godząc się na projekty żony i córki. Chopin był delikatny, nie zajmował żadnego stanowiska urzędowego, nie miał ani majątku ani tytułu — czyli że powodów na usprawiedliwienie swojego niezezwolenia mógł Wodziński sporo przytoczyć. Tak się też stało, ale czy dobrze — z pewnością nie... Miękka natura Chopina niechybnie szczęśliwszaby się czuła przy boku kochanej i kochającej żony, niż tylko kochanki, na który-to stosunek ani rodzina, ani ludzie i dalsi i bliżsi, inaczej niż z ukosa nie patrzyli. Wkońcu Marya Wodzińska, zupełnie odmienny typ kobiety od pani Sand, potrafiłaby umysł Chopina utrzymać w koniecznej dlań równowadze, a że do pracy twórczej umiała zachęcać, o tem świadczą choćby króciutkie wzmianki w przypiskach dołączanych do listów matki.

Zerwanie z panią Sand było ciosem dla Chopina okropnym w skutkach. Zdrowie mistrza poczęło upadać gwałtownie, zmniejszyła się także i twórczość. W roku 1847. wychodzą ostatnie już za życia kompozycye, w r. 1848. po raz ostatni daje koncert w Paryżu. Wreszcie nie może już dłużej nad Sekwaną wytrzymać i wyjeżdża do Anglii w nadziei, że zmiana miejsca pobytu i zdrowiu przyniesie polepszenie i pozwoli zapomnieć trochę o doznanem nieszczęściu. Ale ostry, wilgotny klimat Anglii nie sprzyjał nadwerężonym płucom Chopina, którego siły częstokroć na grę w salonach nie mogły wystarczyć. Tymczasem i położenie finansowe było tego rodzaju, że chcąc polepszyć stan swojej kasy, musiał Chopin

urządzać koncerty, nawet i odczyty o swojej metodzie gry na fortepianie. Po kilkumiesięcznym pobycie w Londynie jedzie Chopin do Szkocyi, gdzie

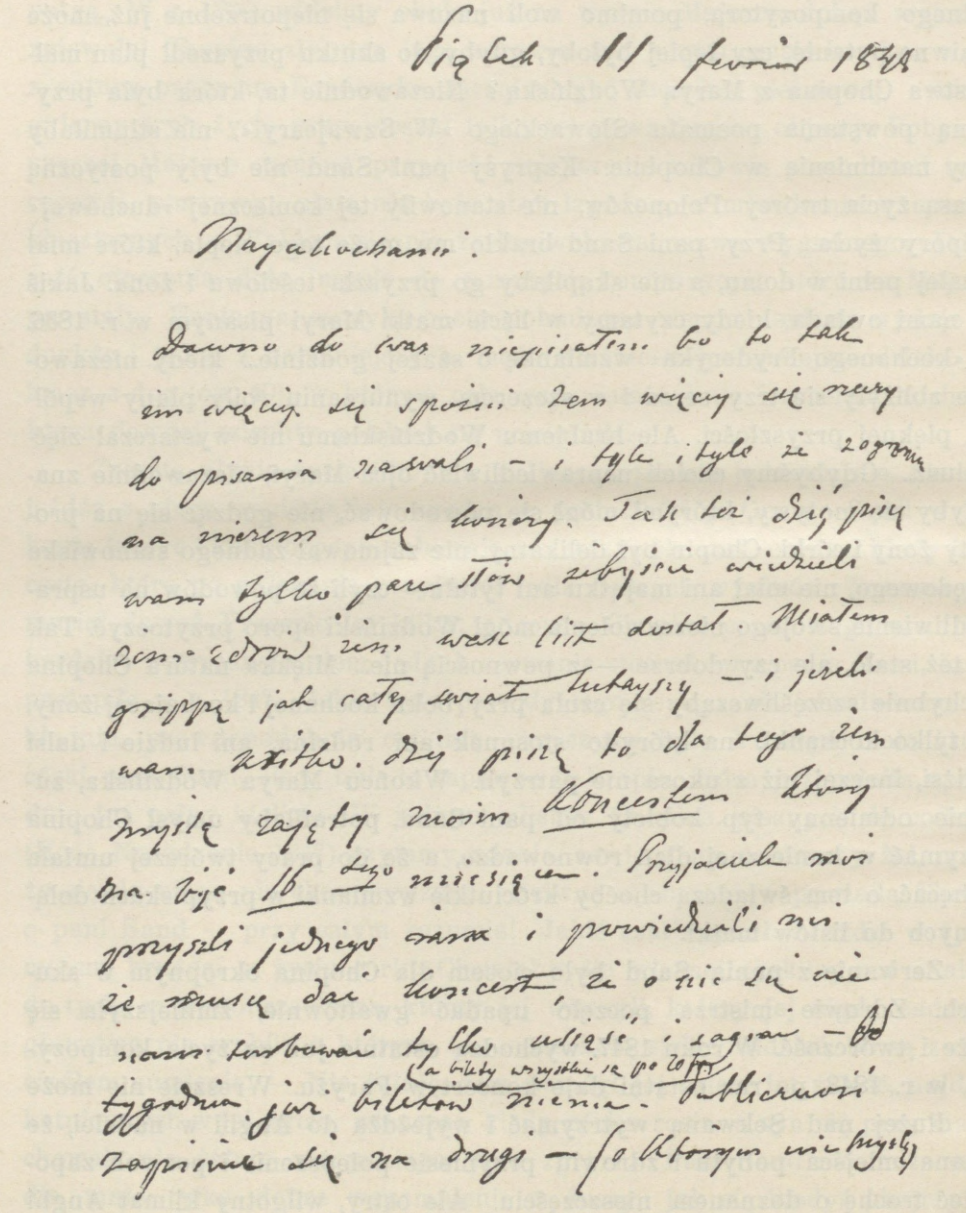

Fig. 275. List Chopina do rodziny.

w Edynburgu i Glasgowie pozyskuje sobie licznych wielbicieli. W wysokiem już stadyum choroby wraca Chopin z początkiem r. 1849. do Paryża,

niezadowolony do żywego z pobytu w Anglii. O zarabianiu na utrzymanie i koszta kuracyi nie było już mowy. O przysporzeniu pieniędzy musieli myśleć wierni przyjaciele i uczniowie. Jakoż znalazł się tajemniczy ofiarodawca, który przesyłką 25.000 franków (niektórzy utrzymują, że tylko 12.000) wybawił Chopina z opłakanego położenia (była to panna Stirling). Po kilku miesiącach powolnego konania umarł Fryderyk Chopin 16. października r. 1849., mając niespełna 40 lat. Ostatnie godziny skreślali różnie, naoczni i nie-naoczni świadkowie. Wedle jednych miała śmierć Chopina nastąpić wśród teatralnych prawie efektów: hr. Delfina Potocka śpiewała, inni grali... Mało w tem prawdy. Umarł Chopin zaledwie w towarzystwie siostry Ludwiki; (przyjaciela i ucznia, Gutmanna, na którego rękach miał Chopin wyzionąć ducha, nie było wtedy nawet w Paryżu). Pogrzeb odbył się z wielką okazałością i powagą. Nie brakło na nim nikogo z Emigracyi polskiej, ni też z sławniejszych osobistości paryskiego świata artystycznego. Dźwięki marsza pogrzebowego z sonaty b-moll żegnały własnego twórcę; w czasie mszy żałobnej śpiewano Requiem Mozarta. Zwłoki pochowano na cmentarzu Père Lachaise, gdzie do dziś dnia spoczywają, czekając, aż wdzięczni rodacy zaproszą prochy do jedynego, godnego miejsca spoczynku, obok Mickiewicza — na Wawelu!...

Twórczość Chopina wydała skromną liczbę dzieł, zaledwie 74 »opusów« i kilka bez oznaczenia. Są to mazurki, walce, polonezy, tarantela, bolero, krakowiak, ballady, sonaty, koncerty, scherza, improm̨pty, nokturny, etiudy, preludya; oddać któremuś z wymienionych rodzajów pierwszeństwo nie można, wszystkie bowiem zawierają w sobie tyle genialnych rysów, tyle poezyi, siły, że każdy niemal utwór w danym gatunku jest dla siebie arcydziełem. Dla Europy zachodniej najoryginalniejszą częścią twórczości Chopina były jego mazurki. W Polsce powstała ich po r. 1820. spora liczba, ale czy miały one jakąś wartość artystyczną, to inne pytanie. Ile rozmaitości w tych krótkich poematach, ile barw, ile wybuchów radości, ile łez... to już nie muzyka, ale życie samo zamknięte w melodyach i harmoniach. Na formach tanecznych opierali się najwięksi kompozytorowie różnych narodów i czasów, nigdy jednak nie przedstawiały takie kompozycye tego cudownego wprost połączenia się czynników jak właśnie u Chopina. Mazurki Chopina to naprawdę »obrazy i opisy Polski«, jej właściwej podstawy, ludu; liczebnie stoją one na pierwszem miejscu w twórczości Chopina.

Drugim typowym tańcem polskim jest polonez. W nim nie dziarskość, ale rycerska powaga, nie zamaszystość, ale jakiś odświętny patos znalazł

swój wyraz. Jak w mazurkach lud polski, tak w polonezach szlachta była modelem do poematów muzycznych Chopina. Jak tam, tak i tu nie tylko to odzwierciedliło się w nich, co łatwo wpada w oczy, co łatwo można także oddać w sztuce każdego rodzaju, ale to właśnie, co tylko dusza równie nastrojona wyczuje, co tylko wielka poezya muzyczna oddać potrafi. Polonezy Chopina to nie przypadkowe kompozycye pisane z czysto artystycznej tylko podniety; takich, jak on, nie napisał żaden kompozytor, mimo, że tylu ich pisało polonezy. Przypatrzywszy się polonezom Karola M. Webera musimy porównać blask ich tylko do wybuchu rakiety, która ciepłem nie darzy. U Chopina powstały one na gruncie znajomości i ukochania przeszłości narodu polskiego; na treść ich wpłynęło to samo, co dało znamię całej poezyi polskiej po r. 1831. W niektórych czuć ten ból i żal, który ogarniał cały naród po upadku powstania, czuć bezsilną rozpacz ludzi marzących o lepszej przyszłości. W innych — gdzie niemal dosłownie napisano tonami genezę »o czem tu dumać na paryskim bruku« — przenosi nas twórca w te czasy wspaniałe, kiedy Polska rozpierała się o brzegi dwóch mórz, kiedy skrzydła husaryi szumiały pod Wiedniem, a tętent kopyt końskich zlewał się z fanfarami bojowemi w harmonię wielkich czynów wojennych — *pro patria et fide*... — pokazuje nam wizye, które snuła jego wyobraźnia poetyczna; widzimy orszaki rycerzy posuwających się w posuwistym kroku — wżywamy się w jego hallucynacye... Polonezy Chopina, szczególnie dwa z nich, a-dur i as-dur, to najpotężniejsza muzyka, jaka kiedykolwiek powstała w duszy polskiej. Polonez as-dur op. 53. jest jednem z najwspanialszych dzieł, jakie wogóle zna literatura muzyczna i mimo, że jedynie na fortepian został napisany, jest dziełem gigantycznem, równającem się w koncepcyi kolosom orkiestralnym największych mistrzów symfonicznych.

Rzadszemi zjawiskami w literaturze fortepianowej są ballady; Chopin napisał ich cztery. Są to zdaniem bardzo wielu znawców szczyty twórczości Chopina tak pod względem treści poetycznej jak i formy. Genialny kompozytor sam mówił, że do napisania ich natchnęły go ballady Mickiewicza; za R. Schumannem można także powtórzyć, że i ballady Chopina natchnąć mogą poetę do tworzenia. W czterech tych dziełach Chopina mieści się tyle siły i powabu, takie czary poezyi są w nich złożone, że trudno o wskazanie dzieł innych kompozytorów, gdzieby tyle serdecznych pomysłów przelało się na papier.

I tylko słowami zachwytu da się coś powiedzieć o Preludyach Cho-

pina. To »drobne szkice, zadziwiające różnorodnością nastrojów, precyzyą wyrazu, ostrością rysunku...« Ale te drobne szkice to karty z najwspanialszego, jaki kiedykolwiek istniał, pamiętnika; najdelikatniejsze drgnienia duszy, przejawy w naturze od słonecznej pogody do ponurej burzy, wszystko to napisane tak niezmiernie pięknie i wiernie, że słuchamy preludyów Chopina w błogiem ukorzeniu i przejęciu.

Można niekiedy spotkać się z zupełnie jednostronnem osądzeniem twórczości Chopina, w którem tkwi właściwie zarzut, jakoby cała ta twórczość była do przesady miękka, słodka, zniewieściała. Zdania takie powtarzają ci, którym wygodnie to twierdzić, ale całej twórczości Chopina nie znają oni, a wnioski takie wysnuwają jedynie z kilku nokturnów Mistrza, z których unosi się zapach bzu lub jaśminu, a intencyą twórcy było właśnie przenieść słuchacza w sferę słodkiego rozmarzenia. Samo bogactwo i piękno melodyi i zwrotów harmonicznych w nocturnach wystarczyłoby na sławę ich twórcy... To znów genialne pejzaże muzyczne; tło melancholijne, rozświetlone jedynie promieniami księżyca, załamującymi się w gałęziach drzew, ślizgającymi się po zwierciadle stawu; wokół ciche szmery natury lub nietajone westchnienia z głębi duszy zbolałej, zmęczonej, pragnącej trochę lubego spokoju, ukojenia...

Pełne sprzeczności zdania zwykło się wypowiadać i pisać o większych rozmiarami dziełach Chopina, więc o sonatach i koncertach fortepianowych. O pierwszej sonacie c-moll op 4., napisanej w 17. roku życia milczy się przeważnie; wyszła ona dopiero po śmierci Chopina i jako dzieło młodzieńca pozostaje znacznie w tyle poza dwiema późniejszemi, zwłaszcza poza sonatą b-moll op. 35. »jednem z najpłomienniejszych dzieł całej literatury fortepianowej«. Czy jednak w któremś z wcześniejszych dzieł Beethovena znajdziemy tyle samodzielności, tyle mocy i tak wielkie aspiracye, jak właśnie w tem niedojrzałem Chopina? — młody Beethoven lubo i starszy od Chopina, to tylko naśladownictwo Haydna i Mozarta, bez cienia własnej indywidualności, ale młody Chopin — to tylko Chopin — to on sam, a taki śmiały w pomysłach, że dopiero w »Trystanie i Izoldzie« wchodzi Ryszard Wagner na tę drogę, na której był Chopin już w sonacie c-moll op. 4. Chopin sam po latach kilkunastu nie patrzał łaskawem okiem na dzieło z okresu, w którym pomysły burzyły się jak młode wino, nam jednak chodzi o stwierdzenie, że te młodzieńcze pomysły równały się śmiałością tym, na jakie wielki geniusz dramatu muzycznego zdobywał się w czasie zupełnej dojrzałości. To jednak, co wniosła do literatury muzy-

cznej sonata b-moll op. 35., równa się wielkiemu zdarzeniu, faktowi, który nie przestaje być zagadką. Dziwią się wielcy i mali, że Chopin pod nazwą sonaty, więc utworu jednolitego, podciągnął cztery części, nie mające między sobą organicznej łączności tematycznej; ale każda z tych czterech części musi tak potężne wrażenie wywrzeć na słuchaczu, że będąc zdolnym do jednego tylko uczucia, do dziękczynienia pamięci Chopina, że dzieło takie wogóle istnieje, musi zapomnieć o warunkach, które stawia mu pojęcie związane z mianem sonaty. Zawarty w sonacie tej Marsz żałobny jest jedną z najszerzej znanych kompozycyi Chopina; każdy takt w nim jest wstrząsająco głęboki i w całej pełni piękny. Muzyka Chopina zbliża się do ideału sztuki właśnie w tem, że nigdy ona nie przestaje być w całem znaczeniu słowa piękną, że groza nie zmienia się w brutalność, że wdzięk nie przeradza się w roztkliwioną, sentymentalną czułostkowość; w kierunku dźwiękowym nigdy nie przestaje muzyka jego być akustycznie piękną.

Jak bardzo chodziło Chopinowi o ideał sztuki, jak mało zważał na uboczne cele, np. na czysto wirtuozowskie efekty, znajdziemy na to odpowiedź w jego obu koncertach fortepianowych: e-moll op. 11. i f-moll op. 21. I tu nie przestawał być Chopin poetą i uczuciu podporządkowywał błyskotki techniczne, które są — jak przeważnie — celem wszystkich koncertów instrumentalnych. W koncertach musiał Chopin walczyć z trudnością, do której natura jego nigdy nie mogła się przystosować, mianowicie z orkiestrą; tu tylko leży przyczyna, że przy całej genialności koncepcyi, przy całem mistrzostwie części fortepianowej, koncerty Chopina reprodukowane w formie właściwej są w połowie nieco suche, w nich też jedynie widać wpływy obce na Chopina i to »nie koncertów Beethovena, gdzie orkiestra współzawodniczy w całej pełni z fortepianem, lecz Humla«. Znajdziemy w nich jednak tyle piękna w melodyach, takie głębie serca ich twórcy odkrywają się przed nami, że o niedostatkach zapominamy.

W scherzach, impromptu'ach, etiudach jest Chopin równie potężny, równie miły, równie piękny, jak we wszystkich innych dziełach; trudno określać je po określeniu tamtych, trudno znaleźć nową definicyę ich absolutnej doskonałości.

Cała twórczość Chopina odcina się ostro od muzyki XIX. stulecia, zajmuje w niej miejsce zupełnie wyjątkowe, uprzedza pojęcia współczesne, ale w stosunku do wyników następnych epok, choćby nawet do przerafinowanych pomysłów ostatniej doby, nie okazuje się zgoła jako przesta-

rzała. Chopin nigdy nie popadł w manierę, czy to w znaczeniu czysto muzycznem czy też technicznem jego utworów; z muzyki jego zawsze wyjmujemy jedną, jego własną duszę, ale nigdy postać muzycznego jej wcielenia się nie będzie przypominała zewnętrznymi rysami drugiej. Chopin na długie jeszcze lata pozostanie zagadką; Chopin należy do tych zjawisk w świecie, których żadnem prawem, żadną ogólną miarą nie potrafimy określić. Zamiast oddawać się takiemu przedsięwzięciu, starajmy się poznawać sztukę Chopina, iść do niej z gorącem sercem, bo im bardziej będziemy się w nią wżywali, tem więcej ją musimy pokochać.

Dłużej stosunkowo musieliśmy się zatrzymać przy Chopinie, bo to najpiękniejszy i najważniejszy temat z całej historyi muzyki w Polsce. Genialny kompozytor musi muzyce polskiej zastąpić trzech wieszczów naszego piśmiennictwa; on jeden musiał dać jej to, co Mickiewicz, Słowacki i Krasiński dali literaturze polskiej i dał istotnie: muzyczną epopeję, lirykę, mistykę nawet, nie dał tylko dramatu muzycznego...

O dziewięć lat młodszym od Chopina był drugi reprezentant muzyki polskiej w XIX. stuleciu Stanisław Moniuszko. Przyszedł na świat w r. 1819. we wsi Ubiel w gubernii mińskiej; w żyłach jego płynęła krew litewska. Muzyki zaczął się uczyć jako ośmioletnie dziecko pod kierunkiem Augusta Freyera w Warszawie. W r. 1837. wyjeżdża do Berlina; tu pobiera lekcye kompozycyi u Rungenhagena (wówczas już pierwszego dyrygenta »akademii śpiewackiej«), poświęcając na naukę u niego dwa lata. Rungenhagen, typ solidnego muzyka »z dawniejszych, lepszych czasów«, wpłynął na twórczość Moniuszki niezaprzeczenie silnie. U niego to wprawił się Moniuszko do produkowania szybkiego i w wielkiej ilości, w sposób prosty, przystępny dla szerokich warstw... Z Berlina wraca Moniuszko do Wilna, gdzie przeważną część lat młodzieńczych przepędził, i dawaniem lekcyi na fortepianie zarabia na utrzymanie; jest także w tym czasie organistą przy kościele św. Jana. Młodo bardzo żeni się z panną Müllerówną, by w pogodzie umysłu, z uśmiechem prawie na twarzy, walczyć z coraz to trudniejszymi warunkami bytu. Powolne, uciążliwe wspinanie się po szczeblach drabiny dobrobytu zahartowało Moniuszkę na niepowodzenia materyalne, a artystę zmieniło w spokojnego pracownika, który — zdaniem ekscentrycznej dość monografii B. Wilczyńskiego — był jednym z tych rzadkich mistrzów, co w naszej zamętnej dla sztuk pięknych epoce

potrafili błędne drogi mijać. Moniuszko, synonim muzyki polskiej po Chopinie, zbyt jest nam drogim, abyśmy mieli niedoceniać zasług jego dla sztuki narodowej położonych, ale nie można tak daleko dochodzić w ocenie znaczenia Moniuszki, żeby sztukę jego stawiać na tym stopniu doskonałości, na którym stoi Mickiewicz lub Matejko, nie można miarą ich natchnień mierzyć natchnień Moniuszki, nie można ich »polskości« w tworzeniu porównywać z polskością w twórczości Moniuszki. W Wilnie założył Moniuszko w roku 1854. Towarzystwo muzyczne im. św. Cecylii; po kilku latach został wezwany na kapelmistrza opery warszawskiej, później został także profesorem konserwatoryum. Umarł nagle w roku 1872.

Kompozytor bardzo płodny, pisał Moniuszko we wszystkich niemal formach muzycznych; główny nacisk jednak położył na muzykę dramatyczną i pieśniarstwo i na tych dziełach zasadza się całe wielkie znaczenie Moniuszki dla muzyki polskiej. W młodzieńczych swoich utworach scenicznych jest Moniuszko dalszym ciągiem i naśladowcą opery warszawskiej Kamieńskiego, Elsnera, Kurpińskiego, nie jest od nich ani lepszym ani gorszym, używa tekstów nie mniej lichych, jak większa część tamtych kompozytorów. Operetki: »Ideał«, »Lotterya«, »Karmaniol«, pisane w r. 1840. i 1841. nie mają dziś większej wartości ani ze względu na melodyę, ani opracowanie, w którem znać pośpiech i niedostateczne opanowanie środków. Pierwszem poważnem dziełem Moniuszki jest uwertura na orkiestrę p. t. »Bajka«, utwór bardzo szczęśliwy. Prócz wymienionych dzieł scenicznych i kilku innych bardzo mało znanych, napisał Moniuszko następujące opery, które stanowią i stanowić będą rdzeń polskiej muzyki dramatycznej: »Halka«, »Flis«, »Hrabina«, »Verbum nobile«, »Straszny dwór«, »Paria«. Na »Halkę« wskazuje się zwykle jako na arcydzieło Moniuszki i dodaje się do nazwy opery określenie: narodowa. Treść libretta bardzo smutna; młody magnat polski, Janusz, uwiódł dziewczynę wiejską Halkę; nie dotrzymuje naturalnie przyrzeczenia wzięcia z nią ślubu, żeniąc się tymczasem z piękną córką Stolnika, równą sobie pochodzeniem szlacheckiem. Halka szuka Janusza w mieście i znajduje go w sam dzień jego zaręczyn w domu Stolnika. Janusz zbywa ją obietnicą, że wnet do niej powróci i naznacza jej nawet schadzkę. Kiedy i to okazało się kłamstwem, Halka, złamana, pod opieką kochającego ją Jontka, górala, wraca w obłąkaniu do wsi rodzinnej i w chwili ślubu Janusza ze Stolnikówną topi się z rozpaczy. Zawiązanie dramatyczne w »Halce« nie stoi w żadnym związku z temi kwestyami, które mają prawo do nazwy narodowych,

stąd też opera nie może nosić miana narodowej; wreszcie i sam motyw dramatu, uwiedzenie i okłamanie dziewki wiejskiej przez szlachcica nie jest bynajmniej tak ogólną wadą społeczeństwa naszego, żeby dramat na tym motywie oparty można było nazwać narodowym; a już z pewnością nie znajdziemy w »Halce« żadnych cnót narodowych. Należy natomiast nazywać »Halkę« operą polską, a bliżej określi ją miano ludowej chyba, gdyż treść libretta jest niejako skargą wystosowaną w imieniu ludu; sceny zaczerpnięte z życia ludu są w »Halce« najpiękniejszemi, najprawdziwszemi i są obrazem stałych zwyczajów, nie zaś zdarzeń przypadkowych. Muzycznie stanowi »Halka« operę w tem znaczeniu, jak ją rozumiemy poza pojęciem dramatu muzycznego, t. zn. że muzyka składa się z form zamkniętych w sobie, stanowiących dla siebie całość i dopiero suma ich daje nam całokształt opery. Nie tu miejsce na przeprowadzenie dowodu, że taka forma w muzyce dramatycznej jest już dzisiaj nie na czasie, ale była na czasie, kiedy Moniuszko »Halkę« pisał (najpierw w dwu aktach, później w czterech). Muzyka w operze tej w przeważnej części wyszła z polskich form muzycznych, form tanecznych i te ustępy nadają piętno »Halce«. Polonez zatem w pierwszym akcie i tańce góralskie w trzecim, niemniej często pojawiające się melodye pieśni ludowych to polskość muzyki w »Halce«. Uczuciowość Halki i Jontka, ich popisowe arye byłyby najzupełniej na miejscu w jakiejkolwiek operze włoskiej... Bellini'ego lub Donizetti'ego. Poza tem wszystkiem jest muzyka w »Halce« dowodem silnego bardzo natchnienia, mniejszej zato może refleksyi artystycznej; mamy w niej tyle piękna w pomysłach melodyjnych, że niejeden



Fig. 275. Stanisław Moniuszko w młodszych latach.

z wielkich mistrzów mógłby pozazdrościć ich Moniuszce; natomiast harmonizacya ich pokazuje nam, że te wylewy melodyi u Moniuszki pochodziły może z zaskórnych tylko źródeł natchnienia. Brak refleksyi w twórczości Moniuszki uwydatnia się przedewszystkiem w błędach przeciw akcentowi mowy, w prozodyi; i do nich z czasem takeśmy się przyzwyczaili, że nie zważamy prawie, kiedy się pojawią, a niestety pojawiają się aż zbyt często w dziełach Moniuszki. Autorem libretta do »Halki« był Włodzimierz Wolski.

Dwoma prawdziwie kontuszowemi dziełami Moniuszki są opery: »Straszny dwór« do tekstu Chęcińskiego i »Verbum nobile« (jednoaktowa opera). »Straszny dwór« to jakby parafraza »Ślubów panieńskich« Fredry. Dwóch rycerzy pancernych, bracia Stefan i Zbigniew, postanawiają żyć w wolnym stanie; nie ożenią się nigdy, »by rdza nie pokryła ich zbroi, by nie zniewieściały serca«. Ale piękne oczy Hanny i Jadwigi, córek Miecznika, rychło zdołały podbić nieugiętych rycerzy, których postanowienie tak było nietrwałem, jak śluby Anieli i Klary w genialnej komedyi Fredry. Tytuł opery »Straszny dwór« stąd pochodził, że przez kilka pokoleń żadna córka domu nie została starą panną, co dla okolicznych rodzin było wystarczającem dla nazwania dworu w Kalinowie »strasznym«. Wesołe dziewczęta urządzają wprawdzie strachy dla przekonania się, czy rycerze nie stchórzą, ale kończą się one bardzo zabawnie; jedynie stary Maciej, sługa Stefana i Zbigniewa, przestraszył się »obrazów praprababek, które wymówiły dwa wyrazy«, a fircyk Damazy, zabawna osoba w dworze kalinowskim, poniewczasie spostrzega się, że niema już dla niego wolnej panny. Taka mniej więcej treść tej pogodnej sielanki szlacheckiej, obfitującej w ustępy bardzo ucieszne, niemniej jak i bardzo liryczne (np. arya Stefana z kurantami). Akcya w »Strasznym dworze« płynie spokojniejszem tempem, niż np. w »Weselu Figara« Mozarta, jest nieporównanie milszą w swoim naturalnym patosie od dziesiątek oper komicznych, a co najgłówniejsza, owiana jest jakąś szczerą, serdecznie ciepłą poetycznością, której w żadnej operze tego rodzaju nie znajdujemy. Muzycznie stoi »Straszny dwór« wyżej od »Halki«, bardziej od niej jednolity w charakterze muzyki, subtelniejszy w ustępach lirycznych. Jeżeli zaś chodzi o różnorodność w wyrazie muzycznym, to w samym trzecim akcie »Strasznego dworu« (w scenach Macieja i Skołuby, kwartecie, aryi Stefana) znajdziemy jej więcej, mimo, że tu tylko czynniki liryczne i wesołe przychodzą, niż w całej »Halce«, nastrojonej — poza scenami ludowemi — na bardzo wy-

soki ton dramatu i melancholii. »Straszny dwór« więcej odpowiadał talentowi Moniuszki, właśnie dla braku momentów tragicznych, na których wierne oddanie nie starczyło sił kompozytorowi naszemu. Liryzm i jowialność to jedyne składniki uczuciowe w »Strasznym dworze«, to właściwa nuta talentu Moniuszki — »Straszny dwór« to najlepszy utwór sceniczny Moniuszki. Nie dorównała mu ani »Hrabina«, ani »Verbum nobile«, tem mniej »Flis« lub i »Paria«, której uwertura jest najlepszem może dziełem instrumentalnem Moniuszki. Dwa razy używał Moniuszko pomysłów poetyckich Mickiewicza do kompozycyi o większych rozmiarach. »Dziady« (sceny w kaplicy) i »Sonety krymskie« stały się podłożem: dla scenicznych obrazów illustrowanych muzyką i wyposażonych w ustępy solowe i chóralne p. t. »Widma« i dla poematu symfoniczno-wokalnego »Sonety krymskie«. W »Widmach« (jakkolwiek niektórzy przypisują muzyce Moniuszki potęgę i grozę mozartowskiego »Don Juana«) nie zdołał twórca dostroić muzyki do napięcia niektórych momentów dramatycznych, lubo zbliżył się do ogólnego tła poematu; najlepiej, najmilej wypadła scena z aniołkami-dziećmi, lecącemi do mamy. Moniuszko, wokalista, zbyt wiele przypisywał możności głosu ludzkiego; dlatego najdramatyczniej pomyślana melodya śpiewaka, nie opierając się na równie silnem podłożu orkiestralnem, sama przez się okazuje się za słabym czynnikiem dramatycznym. To główna wada sceny z duchem niedobrego pana; i znowu lepiej stanowczo przedstawia się liryczna scena z młodą dziewczyną wiejską, co to przeigrała życie i szczęścia nie zaznała.

Najpilniej przez Moniuszkę uprawianym rodzajem muzyki była pieśń z towarzyszeniem fortepianu. Nie odbiegł w niej Moniuszko ani na krok od ówczesnego rozumienia zadań i możności tej formy muzycznej. Jego pieśni są dorobieniem melodyi do słów wiersza i oparciem tej melodyi na prostym akompaniamencie fortepianu; w melodyi chodziło Moniuszce głównie o możliwie najrozlewniejszą linię, zaokrągloną w każdym takcie; akompaniamentu zaś nie indywidualizował Moniuszko w każdej pieśni, wychodząc z ducha poezyi, nie dośpiewywał w nim tego, czego nie dopowiedział autor tekstu, jednem słowem akompaniament w pieśniach Moniuszki jest traktowany zupełnie podrzędnie, służy tylko za harmoniczno-figuracyjny podkład melodyi głosu. W pieśniarstwie stał Moniuszko pozornie na stanowisku zajętem przez Schuberta, nie dorównując mu wszakże. I w pieśni bowiem zbliżał się Moniuszko do stylu pieśni włoskiej, uprawianej przed laty kilkudziesięciu na wielką skalę. Zewnętrzna forma pieśni Moniuszki niczem

się nie wyróżnia, w balladach zaś czuć wcale nawet silny wpływ ballad kompozytora niemieckiego Loewe'go. Pomijając jednakże ogólne niedomagania pieśni naszego kompozytora, należy im przyznać wiele ujmu-

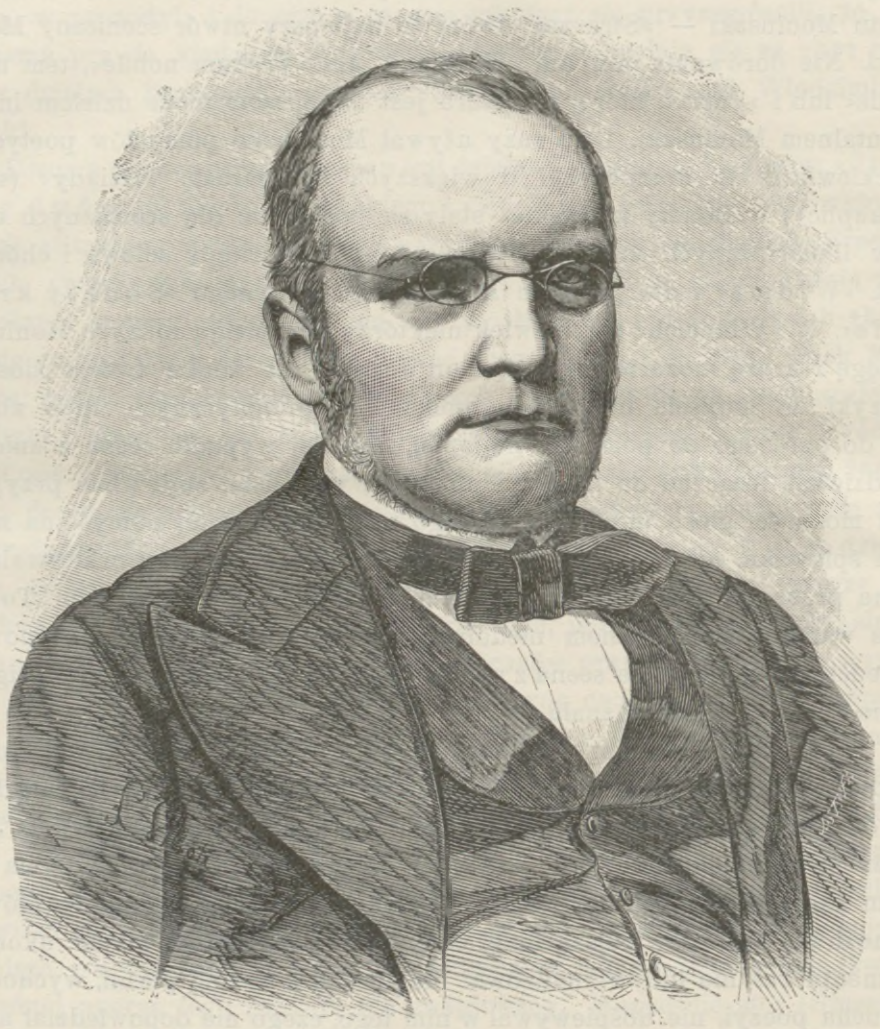

Fig. 276. Stanisław Moniuszko.

jących zalet, przedewszystkiem rzadko gdzieindziej spotykane ciepło uczucia objawionego w melodyach. Liczba pieśni Moniuszki bardzo znaczna, liczymy je na setki; niektóre z nich znane w najszerszych kołach społeczeństwa polskiego, np. »K o z a k«, »O m a t k o m o j a, m a t k o r o d z o n a«,

»Stary kapral«. Z pomiędzy ballad najsilniejsze w wyrazie i kolorycie: »Trzech budrysów« i »Czaty«, są w rytmice prawie dosłownem powtórzeniem tej samej ballady K. Loewe'go, który do niemieckiego przekładu utworzył muzykę. Niemało również pisał Moniuszko i dla użytku muzyki kościelnej, więc: cztery Litanie Ostrobramskie, jedna msza łacińska i trzy polskie, Ojcze nasz na chór mieszany, Requiem.

Działalność Moniuszki ma dla muzyki polskiej znaczenie pierwszorzędne. Nie wolno nam jednakże ani jej przeceniać, ani nie dostrzegać ujemnych stron jego twórczości. Twórczość tę, w całej jej osnowie uznano za typ muzyki polskiej, nie starając się nawet odróżnić w niej pierwiastków rodzimych od tak przemożnie w niej objawiającego się wpływu włoskiego. Przeciw tym, dziś już dość głęboko zakorzenionym pojęciom należy energicznie protestować, tamują one bowiem rozwój muzyki polskiej, nie pozwalając jej udoskonalać się w tym kierunku, który dzisiaj ma racyę bytu. Epoka Moniuszki już się przeżyła; wszystkie jej braki widzimy. Pozwólmy więc sztuce, którą stwarzają dnie teraźniejszości, być od sztuki Moniuszki inną, może lepszą, a polską będzie ona zawsze z tego choćby względu, że z duszy Polaków na świat wychodzi.

Z współczesnej Chopinowi i Moniuszce muzyki polskiej mało dzieł do dziś dnia utrzymało się na widowni. Z uczniów Chopina ani jeden nie zasłynął jako kompozytor; było natomiast kilku znakomitych pianistów, jak Karol Mikuli (1821—1896), dyrektor Towarzystwa muzycznego we Lwowie lub księżna Marcelina Czartoryska. Żyjąc w Paryżu, osobiście nie mógł Chopin wpływać na stosunki muzyczne w Polsce. Zato Moniuszko mógł wydać całą falangę uczniów, których już to prywatnie, już też jako profesor konserwatoryum przygotowywał do zawodu, ale nawet i jego działalność pedagogiczna nie wydała wspanialszych owoców, zważywszy np. fakt, że najtęższy z pomiędzy uczniów Moniuszki, Zygmunt Noskowski, musiał w kilka lat po ukończeniu nauki u twórcy »Strasznego dworu« wyjechać do Berlina, by pod kierunkiem Kiela dwa lata jeszcze studyować. — Do młodszego pokolenia muzyków polskich po Moniuszce należy (zmarły przed kilku laty) Adam Münchheimer, podobnie jak Moniuszko uczeń Freyera. Działalność kompozytorską Münchheimera do r. 1861. uważać można chyba za dyletanckie próbki; po dwóch operach bowiem: »Ottonie łuczniku« i »Biednym Jakóbie«, które (jak pisze autor »Słownika muzyków polskich« W. Sowiński), »dały poznać Münchheimera jako muzyka gruntownego, obznajomionego z efektami scenicznymi i poj-

mującego świetność instrumentacyi, które ustaliły wzięcie Münchheimera jako znakomitego kompozytora, udał się nasz artysta do Berlina, gdzie... pracował pod dyrekcyą Marxa«. Ponieważ estetyka muzyczna w Warszawie jedynie tego kompozytora uważała za wielkiego, który »wielkie« dzieła pisał, a więc opery — pisał je i Münchheimer, nie zasługując niemi jednakże u potomności na przydomek wielkiego kompozytora. Że żydowsko-francuski posiew wielkiej opery Meyerbeera nie mógł wydać na niwie polskiej pięknych plonów, o tem przekonać nas może twórczość Münchheimera. Z pośród wielkiej liczby dzieł tego kompozytora na szczególniejszą uwagę zasługuje jednak opera p. t. »Mazepa«.

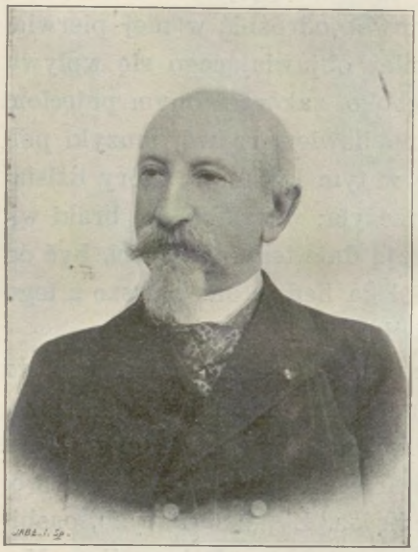

Fig. 277. Adam Münchheimer.

Właściwym spadkobiercą tradycyi moniuszkowskich jest Władysław Żeleński, urodzony w r. 1837. w majątku dziedzicznym Grodkowicach w Galicyi. Muzykę zawodowo począł Żeleński uprawiać dość późno, równocześnie bowiem ze studyami muzycznemi kończył uniwersytet w Pradze i w r. 1867. otrzymał patent doktora filozofii. Kilka lat po r. 1870. przebywa w Warszawie jako profesor konserwatoryum, później zaś zostaje dyrektorem konserwatoryum krakowskiego, na którem to stanowisku do dziś dnia niestrudzenie pracuje. Określić ten bardzo rzetelny talent możnaby, nadając mu miano polskiego epigona Mendelssohna-Bartoldy'ego, czyli że na sztukę Żeleńskiego wpłynął zarówno Moniuszko jak i Mendelssohn. Żadnemu z nich nie jest równy rozległością talentu, obu jednak w ciągu całej swojej twórczości pozostaje wiernym i w młodości zajętego stanowiska nie opuszcza ani na krok. Żeleński wstąpił na widownię muzyki polskiej w czasie, kiedy reforma muzyki dramatycznej, której twórcą był Ryszard Wagner, była już owocem dojrzałym. Wpływowi jednak genialnego twórcy »Pierścienia Nibelunga« nie uległ Żeleński najzupełniej, czego — jak się nam zdaje — żałować wypada. Najważniejszym działem twórczości Żeleńskiego jest właśnie muzyka dramatyczna, libretta zaś pierwszych dwóch jego oper, »Konrada Wallenroda«

i »Goplany«, wysnute są z arcydzieł literatury polskiej, Mickiewicza i Słowackiego. »Konrad Wallenrod«, wystawiony w r. 1885. we Lwowie, został entuzyastycznie niemal przyjęty. »Konrad Wallenrod« ma muzykę w całej pełni patetyczną. Wielkim krokiem naprzód była »Goplana«, w której mieszczą się najszczęśliwsze pomysły Żeleńskiego, melodyjne i harmoniczne. Sceny liryczne wypadły w niej bardzo pięknie, jakkolwiek rzewnością swoją przypominają silnie ulubione frazesy melodyjne i harmoniczne Mendelssohna; na »Goplanie« znać tak samo wpływ twórcy muzyki do »Snu nocy letniej«, jak na Słowackim — w »Balladynie« wpływ Szekspira. W każdym razie »romans Kirkora«, »walc Goplany« lub »kołysanka Aliny« są utworami bardzo pięknymi. Cała zaś »Goplana« jest najlepszem, najbardziej natchnionem dziełem Żeleńskiego. Następna opera Żeleńskiego, »Janek«, wykonana po raz pierwszy na otwarcie nowego teatru we Lwowie, nie przedstawia tej wartości, co wymienione poprzednio. Że libretto jest pozbawione wszelkiej okrasy poetycznej, że w niektórych motywach i nawet formach przypomina »Halkę« i jej całe *milieu* — o tem nie należy zapominać, myśląc o samej muzyce, która i ze względu na libretto i z powodu, że pisana była prawie okolicznościowo, nie wzniosła się do wyżyn sztuki, ale utrzymała się w szanownej średnicy. Ostatnie dzieło sceniczne Żeleńskiego »Stara baśń«, opera w 4. aktach osnuta na tle powieści J. Kraszewskiego, wystawiona w ostatnich czasach na scenie lwowskiej, doznała bardzo serdecznego przyjęcia. Szczery, młodzieńczy zapał, z jakim pisał Żeleński »Starą baśń«, świadczy, że źródło inwencyi naszego kompozytora nie rychło się wyczerpie.



Fig. 278. Władysław Żeleński (według portretu A. Grottgera).

Poza dziełami scenicznemi pisał Żeleński sporą liczbę utworów orkiestralnych, np. uwerturę p. t. »Tatry«, muzykę do dramatu »Wit Stwosz«, symfonię na pełną orkiestrę; z muzyki kameralnej na wyszczególnienie

zasługują dwa kwartety smyczkowe i trio. Wiele zalet w każdym kierunku ma Koncert fortepianowy, jak i mniejsze utwory solowe na fortepian. Nadto wielka liczba pieśni, wiele chórów męskich i mieszanych.

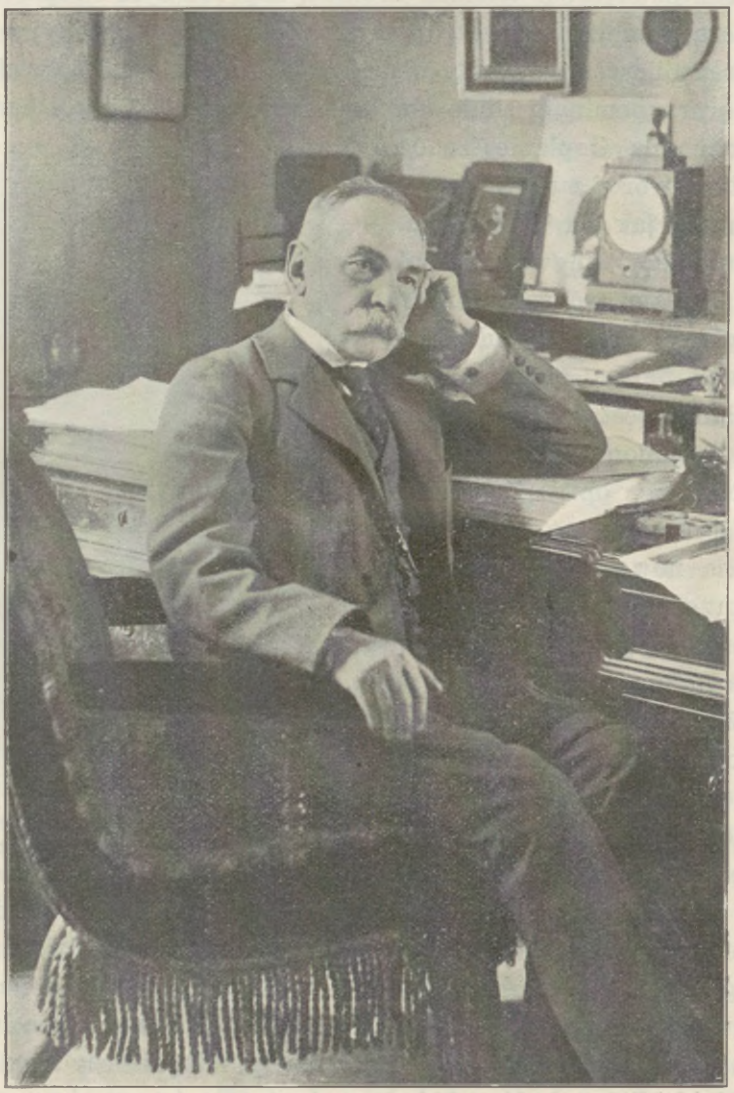

Fig. 279. Władysław Żeleński.

Cała twórczość Żeleńskiego, jakiekolwiek można mieć zdanie o poszczególnych utworach tego kompozytora i dla jego kierunku, nosi na sobie cechy sztuki bardzo poważnej. Za tanim efektem nie goni Żeleński

nigdzie, w najdrobniejszem nawet dziełku. Kompozycye jego są niezawodnie dowodem szczerego przekonania, kiedy ani zmienione pojęcia muzyczne dzisiejszej doby, ani żadne okoliczności, nie zdołały przekonań tych przetworzyć. Już choćby to samo czyni z Żeleńskiego postać w muzyce polskiej bardzo szacowną. Kolej wypadków tak często się powtarza, a mimo woli musimy przypomnieć sobie lata walki klasyków z romantykami. Żeleńskiego zaliczyć do obozu tych pierwszych — prądy zaś dzisiejsze ochrzcić nazwą romantyzmu, przeradzającego się w różne nowe fazy sztuki.

Drugim nestorem dzisiejszej muzyki polskiej jest Zygmunt Noskowski (ur. w r. 1846.), temperament artystyczny jednakże zupełnie odmienny od Żeleńskiego; niemniej od niego wszechstronny, stanowczo większy pan środków technicznych, produkuje łatwo i wiele, ale nie zawsze szczęśliwie. Z zakresu muzyki dramatycznej kilka oper i operetek: »Livia Quintilia« i »Wyrok« (wystawiony w r. 1906. w Warszawie), »Don Kiszot« i »Warszawiacy za granicą«. Najpoważniejszym rodzajem twórczości Noskowskiego jest muzyka symfoniczna, z której zakresu pochodzi kilka dzieł pierwszorzędnej wartości; najznakomitszem z nich — jak wogóle najlepszem dziełem Noskowskiego — jest poemat symfoniczny p. t. »Step«, utwór w każdym calu wspaniały. Niemniej prawie doskonałemi są wolne waryacye symfoniczne na tle znanego preludyum Chopina (a-dur); dobrym jest poemat z młodych lat kompozytora p. t. »Morskie Oko«, nadto trzy symfonie. Bogato wyposażony dział muzyki kameralnej; mnóstwo drobniejszych kompozycyi na sam fortepian — przeważna z nich część jednak bez silniejszego wyrazu, pisane mniej więcej dla codziennego użytku. Spora liczba pieśni; niektóre z nich bardzo miłe i popularne, np. »Skowronek«, »Stach«; ale nie znajdziemy w tym rodzaju prawdziwie poetycznych nastrojów muzycznych, które nam w wielkiej mierze przynoszą teksty; pieśniom Noskowskiego jedno chyba przyznać należy: są one



Fig. 280. Zygmunt Noskowski.

dowodem, że kompozytor cały nacisk swojego talentu kładzie na dzieła większych form, mniejsze zaś trochę po macoszemu traktuje. Z pomiędzy kompozytorów polskich należących do starszej generacyi, może jedynie dzieła Noskowskiego — dzieła instrumentalne — stoją na wysokości pojęć i wymagań dzisiejszej doby. Cechą szczególną dzieł Noskowskiego jest nić słowiańskiej zadumy, melancholii, która przez wiele z nich się przewija. Z wielkiem uznaniem podnieść wypada działalność pedagogiczną Noskowskiego. Stojąc na wysokości swojego zadania, coraz to piękniejsze wydaje owoce, zaprawiając młode pokolenie do poważnej pracy teoretycznej.

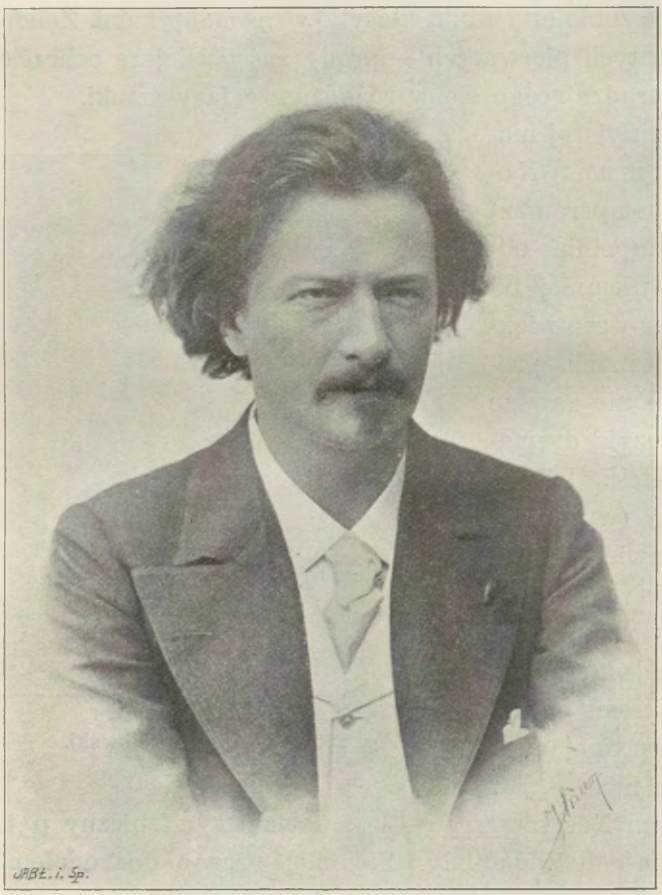

Fig. 281. Ignacy J. Paderewski.

Bardzo zasłużonym około opery lwowskiej jest Henryk Jarecki (ur. r. 1846.), długoletni pierwszy kapelmistrz w teatrze skarbkowskim. Jarecki, uczeń Moniuszki, jako kompozytor nie miał nigdy wygórowanych aspiracyi, lubo że pisał dzieła w poważnym zakroju, np. opery »Barbara Radziwiłłówna«, »Mindowe«, »List żelazny«, lub udramatyzowaną balladę »Powrót taty«, nadto muzykę illustracyjną do »Balladyny«, nakoniec »Nocleg w Apeninach«. Poza tem kilka pieśni, utworów na chóry i poemat »Hugo« na chór mieszany i orkiestrę.

Najgłośniejsze imię z pomiędzy muzyków polskich ma w świecie Ignacy J. Paderewski, jeden z największych dziś pianistów. Wielkości talentu reprodukcyjnego nie dorównuje talent kompozytora, w każdym razie jednak kompozytora o bardzo wysokiej kulturze i ambicyi artystycznej. Świadczą o tem wszystkie dzieła Paderewskiego, z których na planie pierwszym postawić wypada utwory fortepianowe, jak »Fantazya polska« (z orkiestrą), »Krakowiak«, waryacye i fugę i Sonatę op. 21. Szczególnie ostatnia, niedawno wydana, jest dziełem bardzo silnem, w polskiej literaturze fortepianowej po Chopinie niezawodnie naczelne miejsce zajmującem. Przed laty kilku wystawiona opera Paderewskiego p. t. »Manru«, jako pierwsza próba kompozytora w tym kierunku nie mogła być rzeczą skończenie doskonałą. Niemało zawiniło tu libretto osnute na tle znanej powieści Kraszewskiego »Chata za wsią«. W każdym razie »Manru« jest dziełem godnem wielkiego poszanowania, choćby ze względu na piękności czysto instrumentalne. Za słabsze uznać trzeba pieśni Paderewskiego do poezyi Mickiewicza. Jako pianista ma Paderewski mało sobie równych, szczególnie jako wykonawca Chopina; to zaiste jest wielki poeta fortepianu.



Fig. 282. Henryk Melcer.

Zznakomitym pianistą i kompozytorem jest Henryk Melcer-Szczawiński (ur. w r. 1869.), odznaczony kilkoma pierwszemi nagrodami na konkursach międzynarodowych, np. na konkursie Rubinsteina i Paderewskiego za koncerty fortepianowe. Przed kilku laty wystawiona w Warszawie opera Melcera p. t. »Marya« jest dziełem pierwszorzędnej wartości; głębokie, piękne, misternie opracowane, pełne świeżości w harmonizacyi i blasku orkiestralnego. Niemniej inne utwory Melcera, fortepianowe, owiane są ciepłem szczerej poezyi, utrzymane w wykwintnej formie, silne w wyrazie, śmiałe w pomysłach, np. waryacye na temat pieśni Moniuszki p. t. »Kozak«. W twórczości swojej bardzo wyrównany, refleksyjny, należy Melcer do tej grupy kompozytorów nowoczesnych, którzy — jak szczególnie Tschaikowsky — nie zrywają z przekazanemi formami, nie gubią się w drobiazgowych efektach, dając w wielkich liniach poznać treść swych natchnień.

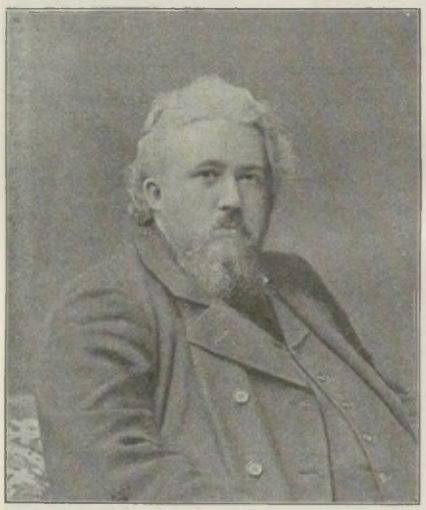

Fig. 283. Jan Gall.

O pewnego rodzaju monumentalność w kompozycyach stara się Mieczysław Sołtys, ale ani prawdziwej pomnikowości, ani głębszych zalet muzycznych nie można przyznać ani »Ślubom króla Jana Kazimierza« (oratoryum historyczne) ani poematowi symfonicznemu p. t. »Ostatni dzień« (podług poezyi Schillera). Sumienny pedagog, w tym kierunku pracuje Sołtys najwydatniej, rzadko jedynie wydając drukiem swoje kompozycye.

Kompozytorami, którzy nigdy nie wyszli poza obręb najmniejszych form muzycznych, ale utworami swymi zyskali zasłużone uznanie i popularność — to Jan Gall i Stanisław Niewiadomski. Gall (ur. w r. 1855.) mógł zdobyć się na kilka zaledwie szczęśliwych bardzo pieśni i chórów *a capella*, w których zupełnie się wypowiedział... Imię Galla rozniosły u nas i zagranicą miłe melodye pieśni: »Gdybym był młodszy«, »Zejdź do gondoli«, »Czarowna cicha noc majowa«, a ugruntowały sławę kwartety męskie i mieszane, oryginalne, lub też — w znacznej mierze — harmonizowane tylko (między nimi pieśni małoruskie). Po tym bardzo szczę-

śliwym początku nie przyszedł zenit; złamane zdrowie porwało struny pięknego talentu. Gall mógł dać muzyce polskiej, mimo że znać na nim silnie wpływy sentymentalności mendelsohnowskiej, bardzo wiele; że dał mało, tego żałować wypada.

W dwóch cyklach pieśni, w »Jaśkowej doli« Konopnickiej i Gawalewicza »Z wiosennych tchnień«, najpiękniej, najszczerzej przemówił pieśniarz Stanisław Niewiadomski (ur. w r. 1859.). Talent tego kompozytora nie potężny wprawdzie, ale świadomy swojej treści i możności. Pieśni Niewiadomskiego są przedewszystkiem zupełnie poprawne w kierunku deklamacyjnym, ich forma mówi o wielkiej dystynkcyi. Można się nie godzić na ten rodzaj muzyki, który jest treścią utworów Niewiadomskiego, a zdefiniować da się określeniem: salonowo-sielankowy akademizm, ale przyznać trzeba, że słodycz lub melancholia pieśni Niewiadomskiego jest szczerym odruchem serca, pobudzonego do inwencyi myślą poety. Do dramatycznych tekstów nie zwraca się Niewiadomski. »Jaśkowa dola« mieści w sobie tyle poezyi i rzewności, że między pieśniami polskiemi mało znajdziemy równych temu cyklowi; a ile ciepła lub szczerego humoru, wdzięku lub dziarskości w drugim cyklu: »Z wiosennych tchnień«. Niemniej sympatyczną fizyognomię mają inne, luźne pieśni Niewiadomskiego, np. pełna rokokowej gracyi »Markiza«. Wszystko, co Niewiadomski napisał w zakresie pieśni, ma warunki zrozumienia i podobania się u najszerszych nawet warstw naszego społeczeństwa. Nie będziemy pieśni Niewiadomskiego stawiali na



Fig. 284. Stanisław Niewiadomski.

najwyższym stopniu w tym rodzaju muzycznym, bo sam twórca ich nie miał najwyższych celów artystycznych na oku, ale są one pokarmem muzycznym bardzo zdrowym i muzyką — nie głęboką wprawdzie — ale poważną. Mniej szczęśliwym od pieśniarza jest Niewiadomski jako kompozytor utworów fortepianowych. Nowych dróg nie szuka; wyznawca tych zasad estetyki muzycznej, które streściły się w rozprawce Hanslicka »Piękno w muzyce« (którą Niewiadomski spolszczył), stoi na gruncie muzyki Schumanna w znaczeniu harmonicznem, ograniczając się do skromniejszych środków technicznych. Prócz działalności kompozytorskiej i pedagogicznej jest Niewiadomski bardzo czynny jako poważny krytyk muzyczny.

Więcej za granicami Polski, szczególnie w Niemczech i Francyi, niż w kraju samym, znane są kompozycye Zygmunta Stojowskiego (ur. w r. 1869.). Przeważnie dzieła fortepianowe, na których poza Chopinem znać chyba najsilniejszy wpływ Griega. Stojowski, jako pianista bardzo ceniony, otrzymał, między innemi, nagrodę na konkursie Paderewskiego w r. 1898. za symfonię na wielką orkiestrę. Prócz niej wydał kilka bardzo zgrabnych pieśni.

Kilka oper, wystawionych w ostatnich latach na scenie warszawskiej, więc »Filenis«, a przedewszystkiem »Marya«, przedstawiło poważny, wielki talent Romana Statkowskiego z najpiękniejszej strony. Jako muzyk dramatyczny przewyższa Statkowski nieskończenie wszystkich innych ze swojego pokolenia, np. Erazma Dłuskiego, autora »Urwasi«, lub Henryka Skirmunta, kompozytora »Pana Wołodyjowskiego«.

Kierownik »Lutni« warszawskiej, Piotr Maszyński, tworzy przeważnie w małych formach; kilka jego chórów męskich, np. »Dwie dole« lub »Letni poranek« są prawdziwemi ozdobami repertuaru chóralnego.

Bardzo rzadko na widownię występujący jako kompozytor Felicyan Szopski (ur. w r. 1865.) wydał dotychczas kilkanaście utworów fortepianowych (»Thème varié«, »Oberek«, »Mélodie«, »Intermède«, »9 Bagatelles«) i kilka pieśni (3 do słów Tetmajera). Kompozytor to bardzo sumienny; w szczęśliwą strunę uderzył w muzyce do »Zaczarowanego koła« L. Rydla. W silnem napięciu dramatycznem utrzymana opera w trzech aktach, której akcya oparła się na balladzie Mickiewicza »Lilie«, miejmy nadzieję, że w niedalekiej przyszłości, odtworzona na scenie, pokaże cały zasób technicznej sprawności i kolorystykę instrumentalną Szopskiego.

Henryk Opieński (ur. w r. 1870.), autor subtelnie pomyślanych pieśni, utworów fortepianowych i kwartetu, ponadto opery p. t. »Marya« i muzyki do »Księcia Niezłomnego« Calderona, w twórczości wszechstronny, śmiały i wyrafinowany w pomysłach, skojarzył w sobie wpływy francuskie i niemieckie, nie przestając jednak być w muzyce swojej Słowianinem.

Mieczysław Karłowicz (ur. w r. 1876.) zaczął zawód swój od skromnych piosenek, utrzymanych w stylu schumannowsko-gallowskim. Wnet jednak wydał kilka dzieł bardzo poważnych, więc symfonia p. t. »Odrodzenie«, muzyka sceniczna do dramatu Nowińskiego p. t. »Biała gołąbka«, koncert skrzypcowy, nakoniec w ostatnich czasach powstała trylogia symfoniczna p. t. »Odwieczne pieśni«. Karłowicz, zasługujący w zupełności na miano pierwszorzędnego talentu, otwiera szereg najmłodszych, pełnych miłości dla sztuki kompozytorów polskich; na kompozycyach jego znać wielką kulturę, a głęboka — na szczęście niepatetyczna — powaga, cechująca ostatnie kompozycye Karłowicza, pozwala nam spodziewać się, że i następne nie mniejszej będą wartości. Pamięci Chopina złożył Karłowicz ofiarę piękną, wydając po polsku i francusku szereg listów Mistrza do rodziny i rodziny do Chopina p. t. »Niewydane dotychczas pamiątki po Chopinie«.



Fig. 285. Mieczysław Karłowicz.

Z prawdziwym podziwem patrzymy na tych kompozytorów, którzy z odwagą kroczą po drodze prowadzącej do przybytku prawdziwej sztuki. O dążeniach takich mówią nam dzieła kilku młodych muzyków polskich, związanych w towarzystwo do wydawania utworów swoich członków. »Spółka nakładowa« zaznajomiła nas z kilkoma talentami, pełnymi siły i zapału, a jeśli nie wszystkie kompozycye mogą nam wykazać zupełnie wyrównane, refleksyjne umysły twórcze, to już sam ferment, którego są

dowodem, świadczy, że zrodziły się kompozycye te w sercach płomiennych, nie zaś w zastygłych komórkach mózgów szablonowych wyrobników. Jak z wydanych dzieł wnioskować można, najpoważniejszym talentem z pomiędzy członków Spółki jest Karol Szymanowski (ur. w r. 1883.). Jego preludya, etiudy i waryacye (na fortepian) mają przedewszystkiem tę wielką zaletę, że zrywają z przestarzałemi pojęciami o pięknie w muzyce, zjawiają się z całym powabem i wdziękiem. W kilkunastu tych utworach dowiedzieliśmy się, że Szymanowski jest technicznie muzykiem chyba tej miary, co nieliczni na Zachodzie; pomysły jego nie są mdłymi, utartymi frazesami; koloryt jego fortepianowych poematów skrzy się promieniami słońca lub roztacza przed uchem szemrzące przestrzenie stepu, zapadającego w sen... Nie lękamy się twierdzić, że twórczość Szymanowskiego będzie jedną z najjaśniejszych chwil w historyi muzyki polskiej...

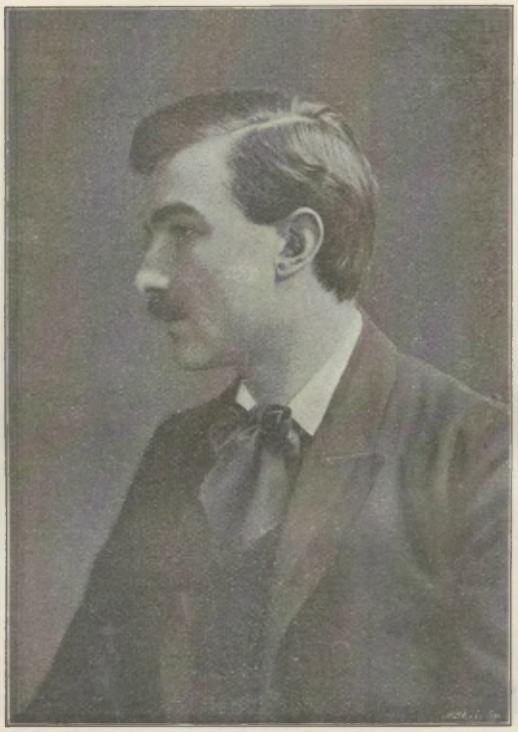

Fig. 286. Karol Szymanowski.

Surowszym od Szymanowskiego w pomysłach, nie tak logicznym w formie jest Ludomir Różycki (ur. w r. 1883.). Główny nacisk położył Różycki na dzieła instrumentalne, z których poemat symfoniczny p. t. »Bolesław Śmiały«, »Stańczyk« i »Pan Twardowski« spotkały się z wielkiem uznaniem kompetentnej krytyki. Na utworach na fortepian widać dobitnie, jak wielkie cele ma Różycki, jak mało mu zależy na uznaniu tych, co to za pierwszy warunek muzyki stawiają, aby po jednorazowem usłyszeniu można ją wygwizdać z pamięci. »Igraszka fal« (illustrująca tak wiernie obraz Boecklina pod tym tytułem) lub preludya i nocturny wnoszą z sobą do muzyki polskiej jakieś świeże powiewy z Zachodu, które do muzyki naszej prawie że nie miały dotychczas

dostępu. Niemało ciepła zamknęło się w ośmiu pieśniach do poezyi T. Micińskiego, jakkolwiek im i ze względu na prozodyę i sam wyraz niejedno możnaby wytknąć. Niechybnie dopiero w wielkich formach (opera p. t. »Bolesław Śmiały«) roztoczy Różycki cały zasób niepospolitego talentu.



Fig. 287. Ludomir Różycki.

Najmłodszy z drużyny (której filarem i duszą jest książę Władysław Lubomirski, sam także autor sympatycznie witanych kompozycyi) Apolinary Szeluta, temperament już nie radykalny ale wybuchowy, za mało ogłosił drukiem, aby można mieć o nim sąd zupełnie skrystalizowany. Niepospolitym talentem kapelmistrzowskim odznacza się Grzegorz Fitelberg, którego poemat symfoniczny »Pieśń o sokole« bardzo życzliwie przyjmowano na koncertach w Warszawie i Berlinie.

Prócz tych kompozytorów, których prace budzić muszą wielkie zadowolenie, wymienić należy kilku innych, od niedawna dopiero znanych szerszemu ogółowi, to: Feliks Nowowiejski, Ignacy Friedmann, znakomity pianista, autor sporej liczby dzieł fortepianowych; F. Gużewski, którego imię w ostatnich czasach rozniosło powodzenie opery p. t. »Dziewica lodowców«.

Oto obraz muzyki polskiej narysowany, raczej naszkicowany tylko; nie miejsce tu na ścisłe, krytyczne uwagi i polemikę; nie sposób wnikać w cześć i ocenę ważniejszych choćby utworów muzycznych. Stwierdzić jednak musimy, że o muzyce nie zapominała Polska ani w chwilach swojej świetności ani też w chwilach najsmutniejszych, czem właśnie dowodzi, że muzyka płynie w krwi Polaka. Pamiętajmy nakoniec o tem, że tem żywiej bije serce, im żywiej muzykę odczuwa, więc i naszem hasłem niech będzie:

Pieśń dla serca — serce dla Ojczyzny!



ROZWÓJ EKONOMICZNY I SPOŁECZNY W POLSCE

DO ROKU 1795.

NAPISAŁ

DR. ADAM SZELĄGOWSKI.

WIADOMOŚCI WSTĘPNE.

Dziejopisarstwo, ogólnie biorąc, polega na opisie zdarzeń życia ludzkiego w ich związku przyczynowym, ale nie wszystkich, tylko takich, które się składają na bieg i kierunek życia narodu. W życiu narodu dokonywują się rozmaite wypadki. Jedne odnoszą się do przyczyn politycznych, jak władza, panowanie, rząd, przemoc i siła, inne do umysłowego rozwoju, jak oświata, literatura, sztuka, nareszcie jest trzeci, odrębny rodzaj przyczyn, które powstają wskutek działalności ludzkiej, mającej na celu wytwarzanie, podział i spożycie bogactw. Nauka, która rozważa zagadnienia z tej dziedziny, nazywa się ekonomiką lub gospodarstwem społecznem.

Działalność ludzka na polu ekonomicznem opiera się przedewszystkiem na pewnych warunkach materyalnych. Tymi warunkami są naprzód ziemia i to, co ona wydaje, dalej narzędzia pracy. Dlatego każde badanie ekonomiczne musi się zaczynać od zbadania tych warunków pracy, a więc rodzaju i składu gleby, bogactw przyrodzonych, naprzykład kopalnych, nadto narzędzi i sposobu pracy, wreszcie stanu dróg lub środków komunikacyjnych. Od nich zależy zarówno rolnictwo, jak przemysł, a nawet i handel, który potrzebuje dla swego istnienia pewnych środków technicznych, a mianowicie dróg i komunikacyi.

Nie sam jednak warsztat ani też same narzędzia pracy są warunkami życia i rozwoju gospodarczego. Wszelka czynność gospodarcza dokonywa się w łonie społeczeństwa czyli przy udziale nie jednej ale wielu jednostek.

Czynność ta dzieli społeczeństwo na rozmaite grupy czyli zawody, z których każdy podejmuje pewną pracę, jak na przykład zawód rolniczy, przemysłowy i handlowy. Prócz tego w każdym zawodzie musi istnieć pewien podział pracy i pewne uporządkowanie jednostek stosownie do roli, którą odgrywają w gospodarstwie społecznem, czy to na zwierzchników i podwładnych, czy to na pracujących umysłowo i fizycznie. Jest to strona organizacyjna wszelkiej czynności ekonomicznej.

Nareszcie twórczość ekonomiczna pociąga za sobą rozkład społeczeństwa na pewne warstwy czyli grupy, odpowiednio do interesów materyalnych, które łączą jednych ze sobą, a dzielą od drugich. Interesa te materyalne stanowią oś interesów wewnętrznych politycznych każdego kraju, wytwarzają w łonie społeczeństwa starcia i walki, których powodem jest interes każdej warstwy sprzeczny z interesami reszty, a celem — władza i panowanie jednej warstwy nad drugiemi.

Tak powstaje układ społeczny z rozmaitych kół i kółek, każde o sile odśrodkowej — rozbieżnej. Łączy zaś i skupia wszystkie te kółka w jedno praca narodowa, która ma na celu podniesienie ogólnych bogactw kraju, spotęgowanie jego wytwórczości i polepszenie doli wspólnej wszystkich członków narodu, a zarazem jego samoobronę od przewagi ekonomicznej innych narodów, które z nim współzawodniczą na polu rozwoju ekonomicznego.

Rozwój ekonomiczny, zawisły od wymienionych czynników, dzielimy — podobnie jak historyę narodu — na okresy.

POLSKA PRZEDHISTORYCZNA.

§ 1. Ziemia. Z czasów przedhistorycznych przechowało się do nas jedno pierwszorzędne świadectwo co do bytu pierwotnego naszych praojców, a tem jest ziemia. Ziemia jest to pierwszy i główny warsztat pracy, od niej zależy w pierwszym rzędzie sposób życia i gospodarstwo ekonomiczne mieszkańców.

Obszar ziem polskich przedstawia pod względem budowy trojaki układ: podgórski, obejmujący przestrzeń od źródeł Wisły na całym stoku północnym Karpat aż po rzekę San; wyżowy na Śląsku tudzież z lewego brzegu Wisły między Wisłą a Pilicą (wyżyna śląsko-małopolska) i z pra-

wego między Wisłą, Bugiem, Wieprzem a Sanem (część wyżu czarnomorskiego) i kotlinny albo niżowy. W skład tego ostatniego wchodzą górny bieg Wisły, dolina nadwiślańska, środkowy wraz z ujściem Bugu i Narwi,

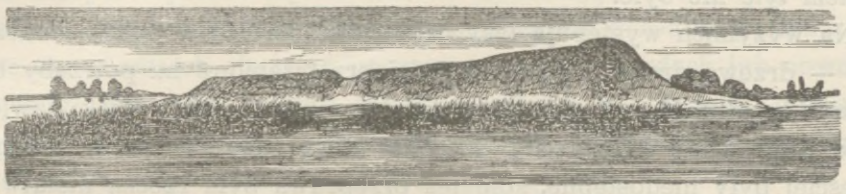

Fig. 288. Widok Ostrowa na Lednicy od wschodu.

kotlina mazowiecka i nizina Wielkopolski i Kujaw, rozciągająca się nad brzegami Warty, Noteci, Brdy i Prosny [1]).



Fig. 289. Widok ruin Ostrowa od zachodu.

Jeżeli w ciągu półtora tysiąca lat naszych dziejów nic się nie zmieniło pod względem gleby i układu wód, to nie można tego samego powiedzieć o zalesieniu i nawodnieniu, a co za tem idzie, o świecie roślinnym lub zwierzęcym. Wielkopolskę, siedzibę i gniazdo Polski, cechowała dawniej wielka ilość bagien, jezior i wód, dziś w znacznej części osuszonych, przed

[1]) Szerzej i dokładniej podaje opis ziem polskich geografia zamieszczona w tem dziele w tomie I. str. 1—67.

wiekami niedostępnych i stanowiących jedną przestrzeń boru. Ten bór po osuszeniu występuje jako przestrzeń torfiasta i do dziś dnia taka gleba nazywa się borowiną. Często porastają na niej lasy sosnowe, których przedtem tyle nie było.

Na wyżynach występują lasy czyli gaje, porosłe w dęby, modrzewie i cisy — drzewa drogie i gęste, później przetrzebione na potrzeby budownictwa i handlu. Nad wodami rosła nizka wiklina, olcha. Rzeki zawierały bardzo wiele wody i rozlewały szeroko kilka razy do roku, brzegi ich najczęściej były niedostępne, stąd też przeprawa była rzeczą niełatwą nawet na łodziach, chyba w miejscach wskazanych, gdzie się znajdowały brody.

Ta cała przestrzeń borów, gajów i lasów tworzyła jedną wielką dziewiczą puszczę, w której gnieździły się dzikie zwierzęta, jak tury, niedźwiedzie, rysie, jelenie, łosie i dziki. Nad wodami ptactwo przelotne, zwłaszcza zaś bobry, których znaczną ilość łowiono jeszcze za czasów Piastów. W lasach wreszcie chowały się pszczoły.

Przy takim stanie niektórych części kraju osiedlenie wypadało rozmaicie. W Wielkopolsce, gdzie przeważały błota, jeziora i moczary, zajmowano przeważnie wyspy na siedziby ludzkie. Ślady jednego z najstarszych siedlisk ludzkich, pierwotnego grodu, znaleziono na wyspie Ostrowie na jeziorze Lednicy (str. 597). W miejscowościach podgórskich lub wyżowych zajmowano doliny lub wzgórza nad rzekami (np. Wawel, wądół, z którego powstał Kraków).

Przy pierwotnem osiedleniu nie były też rzeczą obojętną środki komunikacyjne czyli drogi. Tworzyły je w tych czasach głównie rzeki, ale kotliny rzeczne zwłaszcza Wielkopolski lub Mazowsza nie mogły być odpowiednie na miejsca osiedlenia, a to dla częstych wylewów, brzegów bagnistych i niedostępnych. Główną rolę w komunikacyi wodnej odgrywały brody czyli przeprawy rzeczne. To też tam, gdzie był dostęp do rzeki i przejście na drugą stronę, najczęściej powstawały osady ludzkie. Jedne z najstarszych osad w Polsce, jak Kalisz, Osielsk, Śrem są to właśnie miejsca przeprawy przez Prosnę i Wartę. Tędy to biegła droga ze Śląska na północ ku krajom bogatym w bursztyn nad morzem Bałtyckiem, znana już w starożytności Fenicyanom i kupcom greckim. Na tej właśnie drodze spotykamy później pierwsze zawiązki organizacyi państwowej Polski (miasta Kruszwica, Gniezno).

§ 2. Gospodarstwo pierwotne. Trzebienie puszczy dokonywało

się statecznie, ale powoli, pracą wieków. Puszcza ta była żywicielką i obronicielką mieszkańców. Jeszcze w czasach późniejszych zachowała się puszcza na całem pograniczu Polski jako jeden wał ochronny od nieprzyjaciół, w którym czyniono słynne zasieki, utrudniające dostęp w głąb kraju. Siedziby ludzkie stały tylko odosobnione, samotne wśród tej puszczy, która je otaczała ze wszech stron na pograniczu czyli w ujazdach lub obwodach. Te ujazdy stanowiły jedno z głównych miejsc najprostszej gospodarki pierwotnej, t. j. gospodarki pasterskiej i leśnej, a dopiero z postępem kultury zajmowano je coraz głębiej pod uprawę rolną.

Najdawniejsze jednak wspomnienia o Słowianach nad Wisłą, Notecią i Wartą każą nam przypuszczać, że i w czasach przedhistorycznych prowadzili oni tryb życia osiadły. Ale w owych czasach puszcza lepiej mogła wyżywić mieszkańców aniżeli rola. Oprócz rybołowstwa, myśliwstwa i bartnictwa hodowla bydła odgrywa ogromną rolę. Stada koni, wołów i świń, liczące nieraz po

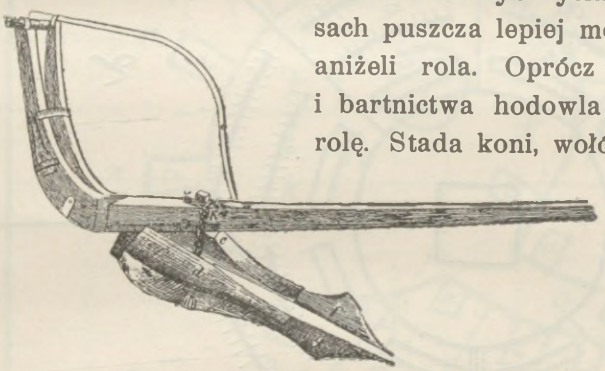

Fig. 290. Socna polska.

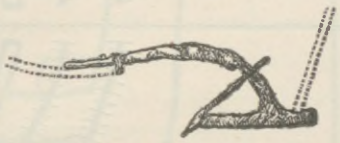

Fig. 291. Radło polskie.

parę tysięcy sztuk tworzyły jeszcze w czasach późniejszych majątek nie tylko osób prywatnych, ale duchowieństwa, klasztorów i biskupów. Wtedy daniny z bydła domowego, jak krowa, wół, wieprz, były przeważną formą świadczeń na rzecz księcia. Rzadziej spotykamy daniny w ziarnie [1]).

Z narzędzi rolniczych znane były Polakom socha, radło, brona. Radło stało się później jednostką mierniczą dla oznaczenia rozmiarów gospodarstwa wiejskiego. Był to obszar ziemi odpowiadający prawie dzisiejszym 15 morgom, który uprawiano jednym koniem albo parą wołów, co stanowiło sprzężaj.

Ze zbóż uprawiano proso i żyto, owies, a może i pszenicę. Z jarzyn, których nazwa sama wskazuje, że były znane jak najdawniej w Polsce, wymienimy: bób, rzepę, gorczycę, koper, ćwikłę. Inne przyszły w czasach

[1]) Czytaj szerzej o osadownictwie i daninach w tomie I. str. 324, 326.

późniejszych z różnych stron do Polski, jak ogórki, rzodkiew, chrzan z Niemiec, fasola, kapusta, cebula, pietruszka z Włoch i t. p.

§ 3. W s i e p i e r w o t n e i s t o s u n k i s p o ł e c z n e. Były dwa typy czyli r o d z a j e wsi w Polsce przedhistorycznej, które się przechowały

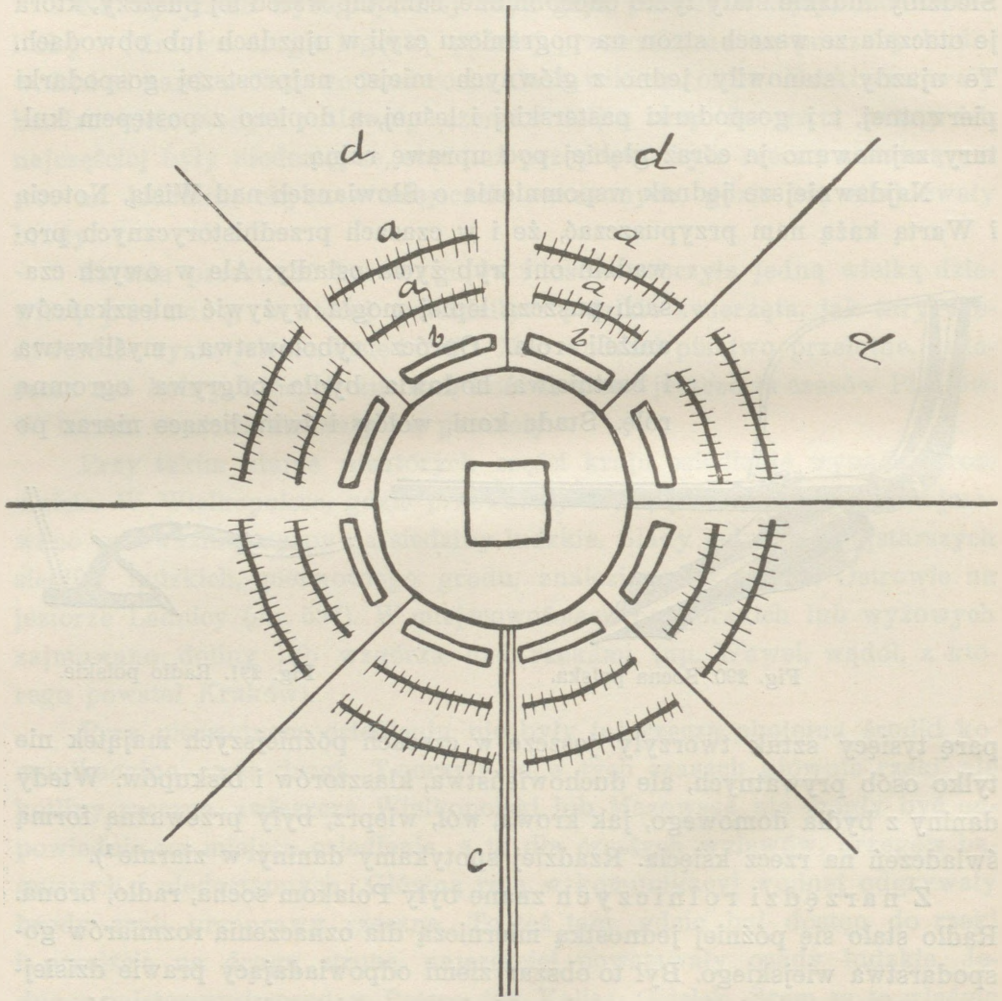

Fig. 292 Okrągła wieś słowiańska *a)* płoty, *b)* domy, *c)* gościniec, *d)* pola.

i do czasów późniejszych. Jeden rodzaj stanowi wieś okrągła, a polega on na tem, że wszystkie domostwa czyli dwory otaczają naokoło pustą przestrzeń czyli plac, leżący pośrodku. Obok każdego domostwa biegną w promieniu pola, do niego należące.

Inny typ wsi stanowi wieś z ulicą biegnącą pośrodku między dwoma szeregami domów. Każdy dom czyli dwór posiada z przeciwnej strony pole i grunta uprawne. Gdy trzeba było przyrobić sobie ziemi, natenczas musiano się udawać poza wieś i trzebić puszczę. Z tego powodu układ ról stał się z biegiem czasu ogromnie nieregularnym i rozrzuconym, co

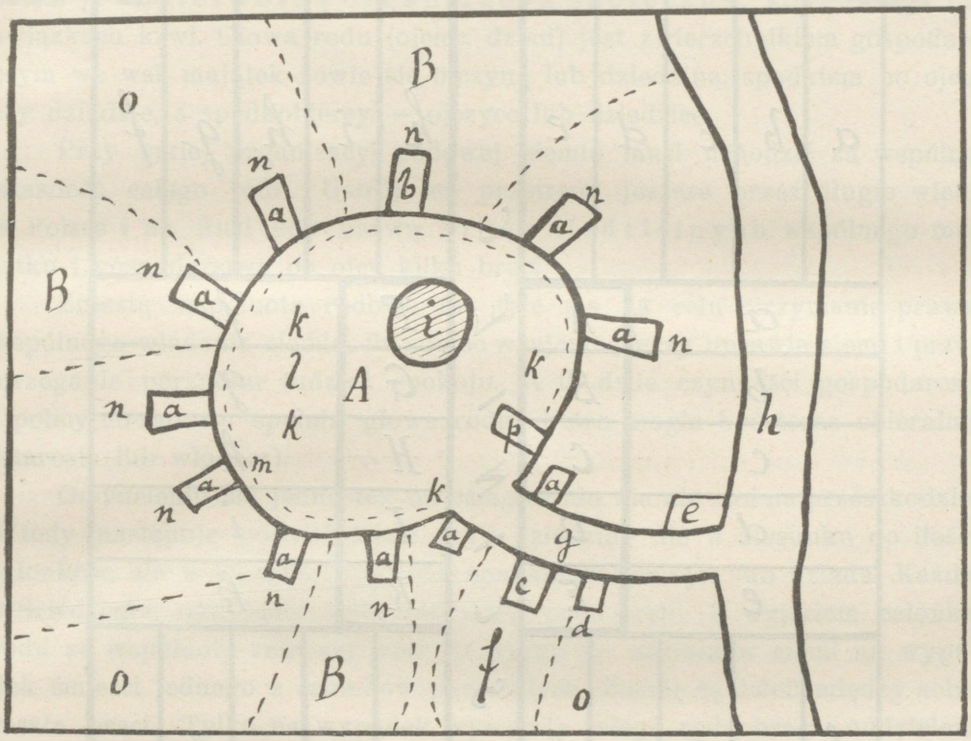

Fig. 293. Okrągła wieś słowiańska (według Fr. Tetznera).

Objaśnienia: *A* plac środkowy, *B* pryzyng, *a)* domy zwrócone czołem ku placowi środkowemu, *b)* dom sołtysa, *c)* kościół, *d)* szkoła, *e)* gospoda, *f)* cmentarz, *g)* dojście do wsi, *h)* gościniec, *i)* sadzawka, *k)* stoły, *l)* gaj dębowy lub lipowy, *m)* ścieżka przed domami, *n)* podwórca tylne, *o)* drzewa, *p)* skład rzeczy gminnych.

bardzo utrudniało postęp rolnictwa. Natomiast skupienie domostw, zwłaszcza takie, jak we wsi okrągłej, miało poniekąd na widoku cele obrony i bezpieczeństwa zewnętrznego mieszkańców. Z nazw wsi, które się przechowały do nas niekiedy nawet z czasów bardzo dawnych, możemy wnioskować co do pierwotnego osiedlenia i organizacyi społecznej. Prawda, iż wiele nazw wsi oznacza tylko pewne właściwości miejscowe ich osiedlenia, jak Ostrów, Ujście lub Chełmno, ale istnieją także wsi z nazwami

właścicieli czy też założycieli. Nazwy te mają dwojakie zakończenia, tak zwane rodowe czyli patronimiczne na *-ice, -owice,* jak Radwanowice, Kwiat-

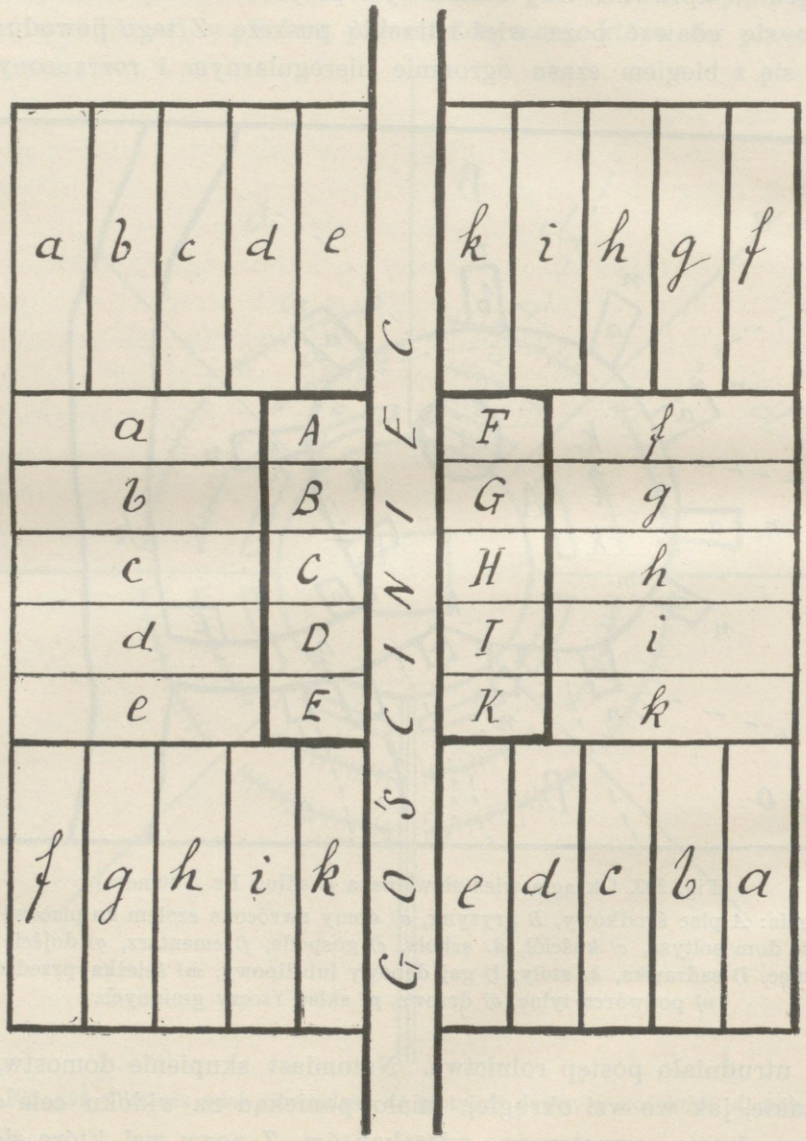

Fig. 294. Prostokątna wieś słowiańska.
A dom, *aaa* zagony należące do domu *A*; *B* dom, *bbb* zagony należące do domu *B* i t. d.

kowice, albo dzierżawne na *-ów, -owo, -in, -yn*: Jordanów, Sieciechów, Ocieszyn, Granowo. Które z tych wsi są starsze, nie da się powiedzieć.

Nazwy rodowe wskazują na pierwotne osiedlenie rodami: Radwanowice — synowie Radwana, nazwy dzierżawne na głowę rodu: Jordanów — dwór Jordana, Granowo — siodło (może stan Grana) [1]).

Tyle więc da się tylko wywnioskować z nazw wsi o stosunkach społecznych, że pierwotne osiedlenie było rodowe z głową rodu na czele. Ród zatem jest pierwotną organizacyą społeczną, która polega na związkach krwi. Głowa rodu (ojciec, dziad) jest zwierzchnikiem gospodarczym we wsi, majątek zowie się ojczyną lub dziedziną, spadkiem po ojcu czy dziadzie, a spadkobiercy — ojczyce lub dziedzice.

Przy takiej organizacyi rodowej ziemia musi uchodzić za wspólną własność całego rodu. Ustrój ten przetrwał jeszcze przez długie wieki w Polsce i na Rusi pod nazwą braci niedzielnych wspólnego majątku i gospodarstwa po ojcu kilku braci.

Zresztą wspólnota rodowa nie tyle ma na celu utrzymanie prawa wspólnego władania ziemią, ile pomoc wzajemną przy uprawie ziemi i przestrzeganie porządku tudzież spokoju. A te dwie czynności gospodarcze i policyjno-sądowe spełnia głowa rodu, która mogła być teraz obieralną (starosta lub włodarz).

Oddzieleniu się jednostek od całego rodu nic nie stoi na przeszkodzie. Wtedy następuje podział ziemi czyli dziedziny nie w stosunku do ilości członków, ale w stosunku do ilości spadkobierców ojca lub dziada. Każdy z dziedziców otrzymuje swój las, dział czyli zreb'. Z wyjściem członka rodu ze wspólnoty rodowej traci on prawo do udziału w ziemi na wypadek śmierci jednego z członków pozostałych. Ziemię tę dzieli między sobą reszta braci. Tylko na wypadek wymarcia całego rodu bracia oddzieleni mają prawo dochodzić dziedziny czyli puścizny po zmarłych. Podobnież spadkobiercy nie mogą rozporządzać dowolnie ziemią bez zezwolenia krewnych w drugiej, trzeciej i dalszej linii, którzy mają pierwszeństwo przy zakupie ziemi. Zwało się to prawem bliższości. Krępowało ono prawo sprzedaży i rozporządzania się ziemią dziedziczną rodową bezpośredniego właściciela, nakładając na niego jako warunek zgodę i zezwolenie krewnych.

Widzimy zatem, że ród ograniczał prawo własności osobistej ziemi, ale go nie znosił. Obok więc wspólnot rodowych istniała zawsze możność powstawania i rozwoju gospodarstw jednostkowych, których podstawą był zreb'. Tę też formę ustroju społecznego i gospodarczego najgęściej

---

[1]) Czytaj o tem w tomie I. str. 324.

rozsiane spotykamy w Polsce na progu czasów piastowskich historycznych.

POLSKA ŚREDNIOWIECZNA.

a. Przed schyłkiem XIII. wieku.

§. 4. Zmiana stosunków społecznych. Z przyjęciem chrześcijaństwa, czyli mniej więcej na przełomie X. i XI. wieku, następuje zwrot stanowczy w życiu ludów zamieszkałych pomiędzy Wisłą, Odrą a Wartą. Dzieje się to nie nagle, ale wolno i stopniowo. Wpływy idą z góry od zdarzeń politycznych ogólno dziejowego znaczenia i przeobrażają, a raczej naginają do swych wymogów stosunki dawne, które na pozór zostają nietknięte, a przecież po latach stu lub dwustu (w XII. i XIII. w.) okazuje się, że nic prawie nie zostało z dawnych urządzeń pierwotnych. Powstają inne pojęcia prawa własności, dziedziczenia, wolności osobistej, tak że gdyby nie oddzielić nowych czynników życia od starych, nigdy nie możnaby wyrobić sobie pojęcia o istocie starego życia i nowego.

Tymi wpływami, przeobrażającymi ustrój prastary, było przyjęcie chrześcijaństwa i powstanie organizacyi państwowej. Wytworzyły się nowe potrzeby życia i nowe zapatrywania na świat, na stosunek wzajemny do siebie ludzi.

Przedewszystkiem działał Kościół, który urabiał wszystko na swoją modłę, począwszy od wierzeń religijnych aż do pojęć i zapatrywań ekonomicznych, jakie się wytworzyły w pierwszych wiekach chrześcijaństwa pod wpływem Ojców Kościoła: św. Ambrożego, Augustyna, Jana Chryzostoma. Wpływ jego sięgnął i głębiej, bo aż do całego sposobu życia gospodarczego. Wielcy papieże, jak Grzegorz I. (590—614), który był zarazem genialnym politykiem ekonomicznym, ustanowili i przekazali swoim następcom formy gospodarowania majątkiem kościelnym, opiekowania się ludnością. Weszły one później do przepisów prawa kanonicznego, które przyniesione przez duchowieństwo i do Polski, zmieniły stosunki i układ pierwotny.

Obok tego i władza państwowa, wziąwszy na siebie obronę mieszkańców, wprowadziła do urządzeń pierwotnych nowe potrzeby. Przedewszystkiem i to głównie narzuciła na ludność pewne daniny i świadczenia bądź

w formie samej służby wojskowej, bądź w formie robót lub ofiar w naturze na utrzymanie obrony [1]). Następnie tacy władcy, jak Bolesław Chrobry, Bolesław Krzywousty próbują zastosować i przenieść do Polski urządzenia zachodnie. To naśladownictwo, zakreślone na razie do ciasnych granic administracyi majątkiem książęcym, ustanowienia pewnych urzędników, mogło się z czasem rozszerzyć i na rozdawnictwo ziemi, wyjęcie z pod pewnych danin czy to jednostek czy to całych klas ludności (immunitety czyli przywileje), co się przyjęło wcześniej na Zachodzie, a weszło w XI. i XII. w. i do Polski.

§ 5. Gospodarstwo księcia. Od chwili, gdy zastajemy ustrój państwowy w Polsce, książę uchodzi za właściciela, dziedzica całej ziemi wraz z ludnością ją zamieszkującą, a cały kraj nazywa się jego dziedziną lub ojcowizną (patrimonium).

Nie możemy wchodzić tutaj w powstanie tego stanu rzeczy, ale musimy go uznać za podstawę wszystkich stosunków prawnych i ekonomicznych. Między gospodarką prywatną księcia a gospodarką ogólno-państwową nie mogło być przeto żadnej zasadniczej różnicy.

Cały kraj był podzielony na grody czyli kasztelanie pod zwierzchnictwem *comesa*, kasztelana, urzędnika książęcego, a temu podziałowi odpowiadał i podział kościelny na parafie. Gród było to miejsce obrony mieszkańców w razie napadu nieprzyjaciół, zazwyczaj położone na wysokości lub wśród niedostępnych jezior i bagien, okopane wałem i rowem, ogrodzone płotem, czasem nawet kilkakrotnie. Cała ludność w okręgu była poddaną bezpośrednio władzy książęcej, a w zastępstwie władzy kasztelańskiej [2]). Prócz danin i kar sądowych płaciła ludność kasztelanii z ziemi od radła poradlne, zwane także powołem, gdyż stanowi ją wół, a dopiero od końca XIII. w. w pieniądzach. Książę gospodarował i użytkował z ziemi tylko pośrednio.

Nadto w każdym grodzie, a także w niektórych wsiach był dwór czyli izba książęca. To był właściwy folwark książęcy pod rządami włodarza, który zbierał dla księcia dochody z danin, a nawet i z uprawy ziemi, ogrodów, winnic przez sługi książęce. Były to dochody prywatne, wsie przypisane do stołu książęcego, które szły na bezpośrednie utrzymanie księcia, podczas gdy resztą dochodów grodowych książę dzielił się z urzędnikami swoimi.

[1]) Czytaj o daninach w tomie I. str. 326.
[2]) Czytaj o grodach i kasztelaniach w tomie I. str. 325.

§ 6. Ludność wiejska. Ponieważ książę był panem ziemi i zarazem panem ludności na niej zamieszkałej, przeto mógł do woli rozporządzać zarówno ziemią jak i ludnością. Widzimy, że książę w pierwszych wiekach rozdaje ziemię ludności wieśniaczej i naodwrót sama ta ludność przenosi się z miejsca na miejsce, wykarczowuje lasy, książę zaś może jej tę ziemię odebrać, jeśli nie wykaże się pozwoleniem książęcem na władanie ziemią lub też prawem dziedziczenia po którymś z przodków, który nią władał. W razie wymarcia właściciela i jego rodu ziemia staje się puścizną czyli przechodzi napowrót na własność księcia.

Rdzeń ludności wieśniaczej stanowi ludność miejscowa wolna, która zarówno co do swej swobody osobistej jak i prawa władania ziemią jest ograniczona tylko prawami zwierzchniczemi księcia. Utrzymała ona prastary system rodowego władania i dziedziczenia ziemią wraz z nazwą dziedziców (po łacinie haeres). Ale obok niej spotykamy już i ludność przypisaną, przypiśników (homines adscripti), służbę grodową, gości albo łazęgów, którzy bezpośrednio są zależni od księcia i zaliczają się do klasy ludności niewolnej. Pochodzenie tej ludności po największej części wywodzą od jeńców wojennych, sprowadzanych przez książąt z wypraw nieprzyjacielskich do Czech, Moraw i Łużyc, za Bolesława Chrobrego, później z Prus, Pomorza lub Rusi przez Bolesława Szczodrego i Krzywoustego.

Ludność ta bądź w celach służbowych bądź też gospodarczych była podzielona na setki i na dziesiątki i poddana władzy kasztelana czyli przypisana do grodu. Dochowały się dotychczas nazwy, jak Dziesiątnice, które wskazują na miejsce zamieszkania tej ludności (dziesiętnikiem zwał się przełożony dziesiątki). Inne nazwy wsi tej ludności, jak Łagiewnicy, Koniary, Rybitwy, wskazują na posługi, które ta ludność dla grodu odbywała, chociaż nie koniecznie ludność ta mieszkała pod grodem, czasem nawet przebywała w innej kasztelanii, co dowodzi, że organizacya ta narokowa była osobista a nie miejscowa. Spotykamy wśród tej ludności nawet żołnierzy, co wskazuje, że służba żołnierska była z początku tylko zawodem a nie przywilejem, i ludność trudniąca się nią mogła być niewolną.

Zresztą, co cechowało wszystkie te klasy ludności, to zajęcia rolnicze, prócz tego myśliwstwo, rybołowstwo, bartnictwo i rozmaite przemysły domowe. Ludność ta mogła mieć nawet swoją czeladź albo najemników.

W pierwszych wiekach spotykamy jeszcze także niewolników, sprzedawanych lub kupowanych w Polsce. Niewola była często karą sądową

za długi albo za zbrodnię popełnioną. Ale ta klasa ludności nie odgrywała wcale wielkiego znaczenia, co najwyżej niewolnicy ci stanowili służbę prywatną (czeladź) zarówno księcia, jak osób prywatnych.

§ 7. Działanie gospodarcze Kościoła (t. j. duchowieństwa) Władza książęca wpływała na ustrój gospodarczy pośrednio, zabezpieczając obronę i spokój wewnętrzny, tworząc system podatków i organizując ludność wiejską. Bardziej bezpośrednim był wpływ Kościoła, gdyż oddziaływał z jednej strony na pojęcia i wierzenia jednostek, z drugiej wprowadzał nowy system majątków i nowy sposób władania ziemią przez Kościół.

Zetknięcie duchowieństwa z ludnością było dwojakie, naprzód za pośrednictwem władzy państwowej drogą uposażeń czyli nadań czynionych Kościołowi przez księcia. A do tych nadań liczono nieraz całe grody wraz z ludnością narokową, rycerzami grodowymi i wsiami wraz z ludnością wolną. W tym wypadku książę przelewał na kościół swoje prawa zwierzchnicze, jak obronę, sądownictwo i daniny pobierane z ludności. Powtóre kościół wymagał dla siebie osobnej daniny od całej ludności czyli tak zwanej dziesięciny.

We wszystkich jednak tych wypadkach podstawą majątku Kościoła była nie ziemia, tylko ludność i dochody z niej pobierane.

Prócz tego jednak Kościół gospodarował i na własną rękę. Miewał folwarki tak samo jak książę, karczował ziemię, osadzał swoją ludnością poddaną pustki, budował dwory i spichrze. Podstawą przeto gospodarki był zawsze ów pierwotny sposób zdobywania coraz to nowych obszarów roli pod uprawę, zaludnianie puszczy i wyzyskiwanie jej skarbów i bogactw, co prowadzili osadnicy pod kierunkiem urzędnika kościelnego.

Spotykamy więc w majątku kościelnym czy klasztornym te same warstwy ludności, co i w książęcym, a więc wolnych, przypiśników, gości i sług, tylko stosunek ich do władzy zwierzchniczej się zmienia. Dopóki tą władzą był książę, była to zależność prawno-publiczna. Z chwilą, gdy władza ta przeszła na Kościół, stosunek ten stał się tylko prawno-prywatnym; wyjątkowo jeszcze książę zachowywał dla siebie prawo zwierzchnicze nad ludnością kościelną, jak prawo sądzenia większych przestępców. Zazwyczaj Kościół starał się o zupełną niezależność swej ludności od władzy książęcej, co mu się też udało przez uwolnienie ze strony księcia ludności w dobrach kościelnych od danin, ciężarów i sądownictwa książęcego. Takie uwolnienie nazywało się immunitetem [1]). Ziemię zaś, przez ludność ko-

[1]) Czytaj w tomie I. str. 329—331.

ścielną zamieszkałą uważał Kościół za swoją prywatną własność, którą ludność uprawiała w zamian za czynsze, daniny lub inne świadczenia, podlegając zarazem sądownictwu czyli juryzdykcyi kościelnej.

Wytworzenie się majątku prywatnego Kościoła, który obejmował znaczny obszar ziemi i powstanie klasy ludności poddanej Kościołowi, to byłaby dopiero strona materyalna wpływu Kościoła na ustrój pierwotny gospodarczy. Ale niemniej także była i strona duchowa. Ponieważ własność kościelna była nietykalną, przeto opieka Kościoła stawała się nieraz w tych czasach jednym ze środków umocnienia swego prawa władania ziemią. Widzimy przeto, że ludność wiejska nieraz przekazuje swe prawa do ziemi na rzecz Kościoła, a w zamian za to zapewnione ma bezpieczeństwo od grabieży i łupiestwa możnych lub wydarcia własności przez księcia. Wpływ Kościoła zaznaczał się także we wprowadzeniu innych zapatrywań na niewolnictwo, które aczkolwiek istniało, musiało złagodzić swe formy i zmienić handel ludźmi jako towarem na zależność czy to osobistą czy też gospodarczą. Podobnież Kościół przyniósł ze sobą uszlachetnienie pojęcia pracy.

§ 8. Własność i prawo dziedziczne rycerskie. Każdy przeznaczony przez księcia do służby wojskowej był pierwotnie obowiązany do jej pełnienia i nazywał się wojem. Spotykamy tę ludność wojskową wśród wsi narokowych razem z ludnością rzemieślniczą, przypisaną do grodu; spotykamy także całe wsie, zamieszkałe przez ludność rycerską, niewolną, jak szczytników lub łuczników.

Ci wojowie stanowili pospolite ruszenie w czasach pierwotnych. Wiemy, że za Mieszka Starego gromadnie osiedlono tych wojów w niektórych punktach obronnych, jak pod Gnieznem i Kruszwicą.

Ale obok tych wojów pospolitych spotykamy rycerzy w zbroje zakutych, których książę pasował, t. j. przez dotknięcie mieczem czynił rycerzami. Pasowanie na rycerza odbywało się już za Bolesława Chrobrego. Była więc jakaś różnica między obroną pospolitą a wyższą sztuką wojenną, przyniesioną zapewne z Zachodu, która stała się odznaką rycerza (Ritter = rycerz, wyraz obcego, niemieckiego pochodzenia).

Dopóki ci rycerze przebywali przy boku księcia na jego dworze, służba ich była bardzo zaszczytną, panujący powierzali im rozmaite urzędy czy to dworskie, jak wojewody, sędziego, czy to grodowe, jak kasztelana, ale dostojeństwo ich było czysto osobiste, zależało od łaski monarszej, która mogła każdego podwyższyć albo poniżyć. Dopiero Bolesław Krzy-

wousty począł obdzielać rycerzy swoich ziemią na wzór zachodni, gdzie nadanie ziemi było połączone z obowiązkiem służby wojskowej.

Wtedy dopiero pojęcie rycerza zostało związane z pojęciem klasy i połączone wzamian za służbę wojenną z ziemią, a prawo rycerskie stało się nowem prawem dziedzicznego władania ziemi. Prawo to było rodowem z zastrzeżeniem prawa puścizny na rzecz księcia, w razie wymarcia całego rodu, i prawa bliższości, ograniczającego dowolne rozporządzanie się własnością zezwoleniem i zgodą krewnych, tudzież pierwszeństwa ich przy sprzedaży lub dziedziczeniu majątku.

Tak powstała nowa klasa społeczna, rycersko-ziemiańska, która się przezwała szlachtą od wyrazu czeskiego šlachte, zapożyczonego w X. w. od Niemców (Geschlecht i staroniemieckie Schlachta). Weszli w jej skład wszyscy, którzy mieli wpływ na dworze przy boku księcia, jego dostojnicy i dygnitarze czyli po łacinie *nobiles, baroni, comites,* jak ich nazywano na wzór zachodni. Podzieliła się ona na rody, które się odróżniały zawołaniem (proklamacyą) czyli hasłem bojowem, jak Starże, Stary Koń. Pod koniec zaś XIII. w. poczęto naśladować rycerstwo zachodnie, przyjmując pewne oznaki wspólności rodowej czyli herby (od wyrazu niemieckiego Erbe dziedzictwo, czeskie erb, poczucie rodowe). To poczucie rodowe, klejnot czyli herb stało się później nawet silniejsze, aniżeli poczucie rycerstwa lub władanie ziemią. Za szlachtę przeto nie uważano wojów albo władyków, którzy nigdy nie mieli herbów. Natomiast najuboższym z klejnotników, jakimi byli później chodaczkowie lub szlachta zagrodowa, nie odmawiano praw szlachectwa.

Ta szlachta czyli możni, panowie (od wyrazu gotyckiego ban, župan = sędzia), baronowie i komesowie poczęli odgrywać obok Kościoła i księcia rolę znaczącą w naszych dziejach. Zwłaszcza z chwilą śmierci Bolesława Krzywoustego, który umierając podzielił państwo między czterech synów, wyznaczając dla jednego z nich dziedzinę Krakowa i rolę starszego czyli seniora, udział ich w sporach dzielnicowych między książętami Piastowiczami stał się rozstrzygającym. Odtąd powstają wiece czyli zjazdy, na których możni panowie i wyższy kler obradują wraz z książętami nad sprawami państwa.

Naturalną jest rzeczą, że ze wzrostem znaczenia politycznego przyszło i spotęgowanie znaczenia ekonomicznego tej warstwy. Panujący książęta dzielnicowi rozdawali im coraz więcej ziemi. Z początku nadawano tę ziemię bez ludności nawet przypisanej. Ale z czasem przyszły nadania

ziemi wraz z ludnością nawet wolną, dziedzicami. Panowie zaś szlachta starali się o rozciągnięcie immunitetów czyli przywilejów, jakie miał Kościół i na swoje dobra, czyli książę zwalniał ludność poddaną z danin i przekazywał je na rzecz pana; podobnież sądownictwo książące ustępowało miejsca sądownictwu patrymonialnemu czyli pańskiemu. Z biegiem czasu nawet sądownictwo kasztelańskie upada.

§ 9. Zaczątki miast, przemysłu i handlu. Aczkolwiek ustrój gospodarczy w pierwszych wiekach jest nawskróś wiejski, to jednak spotykamy już zawiązki życia miejskiego, a przyczyną tego jest handel.

Potrzeba wymiany płodów jest bardzo niewielką, gdyż gospodarstwo wiejskie zaspokaja wszystkie potrzeby. Tak len dostarcza płócien, skóry zwierząt — obuwia i kożuchów, wełna — odzieży sukiennej.

Wszakże już z dawien dawna pewne produkty, niezbędne do życia, potrzeba sprowadzać z daleka. Do takich należy przedewszystkiem sól, w którą zaopatrywali się jeszcze kupcy feniccy i greccy, dla wymiany płodów udając się w kraje nadbałtyckie po bursztyn. Jakoż widzimy, że nawet jeszcze w czasach piastowskich łupki czyli krusze soli służą za środek wymiany czyli pieniądz w handlu. Do tegoż celu służyły także i płatki białego płótna, którymi stroiły się kobiety, według opowieści pewnego kupca podróżnika; stąd nawet powstał wyraz płacić. Nawet za czasów Mieszka Starego kupcy arabscy jeździli przez Pragę i Polskę na Ruś do Kijowa. Przyjęcie, jakie zgotował Bolesław Chrobry cesarzowi Ottonowi III. w Gnieźnie, zdumiało swoim przepychem i bogactwem nawet naszych sąsiadów z Zachodu.

Wszystkie towary drogocenne, jak tkaniny, jedwabie, złotogłów przywozili do nas kupcy obcy, ale nabywać je mogli tylko książęta, po części ludzie możni, duchowieństwo, które potrzebowało naczyń i szat drogocennych dla służby Bożej. Wzamian zato cudzoziemcy wywozili z Polski futra kosztowne, konie i niewolników.

Miejsca, gdzie się zatrzymywali kupcy, stanowiły targi. Targi te zazwyczaj znajdowały się w pobliżu grodów; nieraz tak samo otoczone były rowem, wałem i płotem. Były to przygrodzia. Książęta sprzyjali takim targom, albowiem pobierali opłaty od kupców przyjezdnych, cła, myta, od wszelkiej zamiany płodów, od szynków i ławek, gdzie sprzedawano chleb i mięso, a nawet od monety przy zamianie starej na nową.

Jakoż za dowód stosunków handlowych Polski z zagranicą służą pieniądze srebrne (denary), które spotykamy już za Mieszka I. Denary Bole-

sława Chrobrego są tak grube, że biją na nich stempel z dwóch stron, a ważą po gramie. W czasach książąt dzielnicowych i moneta spodlała; denary Mieszka Starego są to zwykłe blaszki srebrne ze stemplem jednostronnym, tak zwane brakteaty.

Był i przemysł górniczy w zawiązku: rudnicy wydobywali rudę i wytapiali z niej żelazo, kopalnie soli w Bochni i Wieliczce znane były od XIII. wieku.

Rzemiosła, znane z najdawniejszych czasów w Polsce, których sama nazwa wskazuje, że są czysto polskie, były: tkactwo, ciesielstwo, kołodziejstwo, szewstwo, krawiectwo, zduństwo, stolarstwo, piekarstwo, kowalstwo.

Budownictwo czyli architektura, które jest zarówno gałęzią sztuki jak i przemysłu, było w Polsce drewniane. Z kamienia budowano tylko kościoły już od czasów Mieszka I.[1]) Z budowli świeckich najwcześniej pojawiły się mury niektórych grodów w XII. w., w XIII. w. — wieże, a może gdzieniegdzie i zamki. Dopiero na wiek XIV. przypada okres budownictwa murowanego w Polsce. Weszło zato w skład jego wiele pierwiastków rodzimego budownictwa drewnianego, jak np. w szczegółach ornamentacyi, oprawach drzwi, łamaniach węgarów i t. p.

Mamy dowody, że pierwszymi budowniczymi byli duchowni-mnisi klasztorów benedyktyńskich, biegli w sztuce magistrzy czyli parlerzy, którzy przybierali sobie do pomocy ludzi świeckich, konwersów. Tak powstały pierwsze bractwa (confraterniae) mularskie, z których wyrobiły się z czasem cechy świeckie mularskie i kamieniarskie. Przyszły one i do Polski. Ale obok tego wiele przemysłów ozdobniczych, jak szklarstwo, malarstwo zawdzięcza swoje powstanie klasztorom, które wprowadziły te przemysły i do Polski.

b. Wiek XIV. i XV.

§ 10. Przełom na schyłku XIII. wieku. Kolonizacya niemiecka. Z końcem XIII. wieku poczyna się wskutek wielu zmian na Zachodzie, które pociągnęły za sobą przeludnienie, wychodźtwo osadników z Niemiec (ze Szwabii, Frankonii i Saksonii) na Wschód, zwłaszcza do Polski. Tutaj ludność tę chętnie przyjmują książęta śląscy już od XII. w., w XIII. zaś w. zaczyna się osiedlanie jej we Wielkopolsce i Małopolsce. Napływ ten ludności obcej, wieśniaczej i miejskiej, która utrzymała wszystkie swe urządzenia, zmienił ustrój wiejski w Polsce i rozbudził nowe ży-

[1]) Czytaj o tem w tomie II. str. 375 i następne.

cie miejskie, handlowe i przemysłowe. Częste najazdy Tatarów na Polskę od połowy XIII. w. podkopały doszczętnie dawne stosunki rolne, a na ich miejsce tem łatwiej przyjmowano i zaszczepiano nowe stosunki Zachodu.

Wreszcie i na polu handlu międzynarodowego schyłek XIII. w. zjednoczył mocno Polskę z dalszymi krajami. Handel ten prowadził Zachód ze Wschodem za pośrednictwem morza Śródziemnego i Czarnego. To też drogi jego, biegnące przez środkową Europę, łączyły miasta polskie jak Kraków, Lwów, nawet z najodleglejszemi miastami. Rozkwit miast w Polsce schodzi się z rozkwitem miast środkowo-europejskich szwabskich i frankońskich jak Augsburga, Norymbergi, Ratysbony.

Wieś polska była dziełem nie jednorazowego założenia, ale pracą rąk wielu pokoleń. Pociągało to za sobą z czasem tę niedogodność, że układ pól był ogromnie niejednostajny, rozrzucony; działki pól jednego właściciela były przegradzane działkami drugiego; każdy wieśniak miał nie jedno, ale wiele pól, których nie mógł uprawiać jednocześnie, albo też których uprawa utrudniała dostęp drugiemu wieśniakowi do jego gruntów.

Niedogodność tę zasadniczą usuwała kolonizacya niemiecka [1]). Zasadą jej było, że przed założeniem wsi następowała ogólna komasacya gruntów i podział ich na trzy części, odpowiednio do rodzaju gleby. Przytem każda część była podzielona na poszczególne pólka, odpowiednio do ilości nowych osadników. Tak na miejsce układu rozrzuconego pól we wsi na prawie polskiem powstawała regularna szachownica pól, którą spotykamy przeważnie do dziś dnia w Polsce, co dowodzi, że wsie te były założone na prawie polskiem, ale przeniesione później z prawa polskiego na prawo niemieckie.

Właściciel wsi powierzał zwykle osiedlenie jej swemu słudze albo przedsiębiorcy, który się nazywał osadźca (locator). Sprowadzał on osadników, rozmierzał grunta i dzielił je pośród przybyszy. Przytem zarzucono w Polsce dawną jednostkę mierniczą, jaką było radło, a wprowadzono nową — pług, która stała się miarą wielkości ziemi. Odpowiadała ona łanowi (po niem. hufe, haube, po łac. mansus). Były łany różnej wielkości. Najzwyklejszy łan flamiński czyli wielki był dwukrotnie większy od dawnego źrebia czyli radła słowiańskiego, liczył przeszło 30 morgów.

Dawna wieś polska ponosiła rozmaite daniny na rzecz księcia, które się nazywały później ciężarami prawa polskiego. Nawet z chwilą, gdy

[1]) Czytaj o tem także w tomie I. str. 331.

książę uwalniał od poddania wieś polską, co się działo na mocy t. zw. immunitetów, mieszkańcy nie przestali ich składać swojemu panu. Daniny te obciążały do niemożliwości ludność wieśniaczą, a i panom nie wiele przynosiły zysku, zwłaszcza, że większość ich składano w naturze, a nie było środków ich spieniężenia.

Nowy system niemiecki znosił te ciężary, a na ich miejsce ustanawiał jednostajny czynsz gruntowy, płacony w pieniądzach. Od tego czynszu ludność była przez parę lat (5, 10, 15) wolna z chwilą osiedlenia. Mogła się więc zagospodarować. Nazywało się to Wolą. Stąd taką masę posiadamy wsi o tej nazwie, która wskazuje, że wszystkie te wsie były założone na prawie niemieckiem, albo przeniesione z prawa dawnego na nowe.

Nie dosyć na tem. Dawne sądownictwo patrymonialne zniesiono, a na jego miejsce powstała autonomia czyli własna administracya i własne sądownictwo mieszkańców, tworzących gminy (od wyrazu niemieckiego Gemeinde) ze sołtysem na czele. Godność sołtysa była dziedziczną i zajmował ją zwykle osadźca, któremu pan dawał większą ilość gruntów (do 6 łanów), a który prócz tego pobierał pewną część dochodu z czynszów lub też kar sądowych.

Sołtys zbierał czynsze, przestrzegał porządku we wsi i sądził sprawy wraz z ławnikami, wybieranymi z pośród włościan. Grunt był jego własnością, z której obowiązany był służyć wojskowo konno wraz z dwoma kmieciami. Reszta chłopów posiadała grunta tylko jako użytkowcy czyli czynszownicy.

Wsie te dały początek nowym warstwom ludności wieśniaczej — sołtysów, właścicieli kilkułanowych obszarów ziemi, i kmieci wolnych, płacących czynsze.

§ 11. Powstanie nowych miast na prawie niemieckiem[1]). Mówiliśmy, że takie osady, jak Kraków, Sieradz, Gniezno, Kalisz, czyli grody z przygrodziami były z dawien dawna miejscami handlu w Polsce. Ale z biegiem czasu podupadły skutkiem walk między książętami dzielnicowymi, zwłaszcza zaś skutkiem najazdów i spustoszenia krajów przez Tatarów. Nowa era w życiu miejskiem poczyna się dopiero od kolonizacyi niemieckiej. Napływ żywiołu obcego miejskiego do Polski był silniejszy, niż do wsi, które osiedlali przeważnie sami Polacy. To też żywioł niemiecki dłużej zachował swoje cechy w miastach.

---

[1]) Czytaj w tomie I. str. 333.

W XIII. i XIV. w. widzimy, że prócz miast nowo zakładanych, wszystkie najstarsze osady w Polsce otrzymują nowe przywileje lokacyjne, jak Wrocław w r. 1242., Kraków w r. 1257. i t. p.

Zakładanie miast na prawie niemieckiem odbywało się zazwyczaj w ten sam sposób, co i zakładanie wsi. W zasadzie też prawo miejskie niczem się nie różniło od prawa wiejskiego.

Podejmowali się zakładania miast osadnicy (locatores). W Krakowie było ich aż trzech, którzy wzamian zato otrzymywali większą ilość gruntów, dochód z czynszów, placów, ławek mięsnych i chlebowych, sprawowali zarząd i sądownictwo miejskie wraz z ławnikami z wyboru. Tylko w miastach tych dziedzicznych zwierzchników nazywano wójtami, a nie sołtysami jak we wsiach. Przy zakładaniu miast wyznaczano naprzód plac na rynek, dokoło niego miejsca pod budowę domów, od rynku przeprowadzano 4 ulice w formie krzyża. Całą tę przestrzeń obmurowywano, zaopatrywano w bramy, baszty, wały i rowy dla bezpieczeństwa i obrony od nieprzyjaciół. Rynek był główną dzielnicą miasta. Tutaj miasto budowało sobie ratusz i kościół, czasem kramy kupieckie (Sukiennice w Krakowie). Tutaj była waga, na której ważono wzamian za opłatę na rzecz miasta wszystkie towary.

Dochody miejskie opierały się przeważnie na gruntach i to nie tylko domach i placach wewnątrz miasta, ale także na gruntach pozamiejskich, które należały do mieszczan. Zwykle po założeniu miasto otrzymywało pole, stawy i lasy. Miasto stawiało prócz tego własne młyny, cegielnie, postrzygalnie sukna. To był majątek ziemski i nieruchomy mieszczan. Prócz tego pobierało miasto dochód z zatrudniania się rzemiosłem, z handlu, z wyszynku trunków, przewozu ich i wagi.

Ludność miast trudniła się przeważnie kupiectwem i przemysłem. Obydwa te zawody były ściśle zorganizowane. Kupcy łączyli się w związki czyli gildye, na wzór niemiecki, z przełożonymi czyli starszymi na czele (seniores mercatorum). Rzemieślnicy byli złączeni w cechy czyli bractwa.

Każda z tych korporacyi strzegła interesów swego zawodu. Kupcy troszczyli się o to, aby mieli wyłączny przywilej zbytu swoich towarów w mieście lub sąsiednich stronach. Do tego służył przymus drogowy i składowy. Tak nie wolno było obcym kupcom wieźć towarów bez zatrzymania się w pewnych miastach, które miały przywilej na składy. Tutaj musieli odsprzedać swój towar nieraz w całości kupcom miejscowym, którzy zbywali go dalej. Aby kupcy nie omijali pewnych miast, były wyznaczone

stałe drogi, których musieli się trzymać. Gdy z tych dróg zbaczano, wtenczas wolno było ich więzić, a towar zabierać. Od czasu do czasu odbywały się w pewnych miastach jarmarki, na które zjeżdżali się kupcy z dalekich stron. Jarmarki takie trwały po parę tygodni, nieraz miesiąc i dłużej. Na jarmarkach tych nie wolno było sprzedawać towaru inaczej, jak hurtownie kupcom miejscowym, którzy odsprzedawali go mieszkańcom lub też rozwozili dalej. Ten interes handlowy, którego strzegli kupcy, pomagał wzbogaceniu się tej warstwy, natomiast uciskał on inne warstwy ludności zależnej od kupców, t. j. nabywających od nich towary.

Taki sam przymus, co w zakresie handlu, panował w zakresie przemysłu czyli rzemiosł. Nikomu nie wolno było trudnić się rzemiosłem, kto nie należał do cechu. Cech składał się z majstrów, którzy wybierali jednego starszego z pośród siebie czyli cechmistrza. Majster dobierał sobie czeladź czyli towarzyszy i uczniów do pomocy i nauki. Cech przestrzegał równości bezwzględnej wszystkich członków między sobą. Nikt nie mógł się wzbogacać kosztem swoich towarzyszy. Cech określał liczbę czeladzi i uczni u każdego majstra, przepisywał sposób roboty, ustanawiał ceny na towary, ilość godzin pracy.

Panowała solidarność członków cechu na zewnątrz i na wewnątrz. Cech miał zadanie nie tylko ekonomiczne, ale towarzyskie, dobroczynne i religijne. Każdy cech miał wspólną kasę (ladę), gdzie przechowywano oznaki cechowe, przywileje nadane od królów i pieniądze pobierane w formie składek od członków cechu. Za te pieniądze cech sprawiał uczty wspólne, pomagał wdowom i sierotom po zmarłych rzemieślnikach, zakupował msze. Każdy bowiem cech, jakby bractwo kościelne, posiadał swego patrona, nieraz ołtarz w kościele i brał korporacyjnie udział we wszystkich uroczystościach religijnych.

Taka organizacya cechowa odpowiadała w zupełności nizkiemu stanowi przemysłu w wiekach średnich, który był tylko przemysłem ręcznym, domowym i zaspokajał przeważnie potrzeby samych mieszkańców, rzadko szukając oddalonych rynków zbytu. To też przemysł ten nie był obliczany na wywóz, ani też na wielkie zyski. Dochód z rzemiosła odpowiadał ściśle kosztom materyału i produkcyi wraz z wynagrodzeniem rzemieślnika.

Inaczej było z kupcami, którzy przewożąc towary z daleka, narażeni byli na straty i koszta nieobliczalne, które musieli sobie pokrywać zyskami nadmiernymi. Stąd też pomiędzy stanem kupieckim, który był bo-

gatszym czyli patrycyatem i stanem rzemieślniczym uboższym, plebejuszami, wybuchały waśnie i walki, zwłaszcza o samorząd miejski.

Patrycyusze nie chcieli być rządzeni przez wójtów dziedzicznych i dobijali się udziału w samorządzie miejskim. Tak powstała z czasem godność rajców (consules) z wyboru, którzy wybierali z pośród siebie burmistrza (proconsul), powstała Rada miejska, pochodząca z wyboru, obok dawnego dziedzicznego urzędu wójtowskiego. Wzięła ona na siebie większą część spraw policyjnych, finansowych i administracyjnych, a nawet pewien zakres sądownictwa, mianowicie sprawy niesporne, jak o zapisy, testamenty i t. p. Wójtom pozostało się tylko sądownictwo wraz z ławnikami, ale i to z czasem stało się udziałem sędziów z wyborów, ponieważ Rada miejska w większych miastach wykupiła dawne wójtostwa dziedziczne.

Odtąd Rada miejska z burmistrzem i rajcami stanowi główny zarząd miasta. Składa się ona z urzędników, pochodzących z wyboru, a wydaje postanowienia obowiązujące resztę mieszkańców. Ta reszta mieszkańców stanowi tak zwane pospólstwo. Nie bierze ono czynnego udziału w zarządzie miasta, ale swoją postawą wpływa na tok obrad i na uchwały Rady miejskiej. Zresztą prawa pospólstwa rozszerzają się z biegiem czasu. Obok patrycyuszów także przedstawicielstwo cechów czyli cechmistrze zostają dopuszczeni do Rady miejskiej.

§ 12. Stosunki rolne XIV. i XV. wieku. Ziemia należy tylko do tych, którzy posiadają pełne prawo dziedziczenia (ius haereditorium), a więc do panujących, duchowieństwa i do szlachty. Reszta obywateli czyli kmiecie trzymają ją jako użytkowcy, czynszownicy. Ponieważ jednak czynsze, a nie ziemie stanowią główny dochód właścicieli majątków, przeto gospodarstwo chłopskie odgrywa główną rolę.

Ogólny typ wioski stanowi wieś o 15, 20, 30 łanach czynszowych, na których gospodarują kmiecie. Każdy z nich ma po jednym łanie lub więcej i do tego po 2, 3 lub więcej par sprzężaju. Z biegiem czasu następuje rozdrobnienie łanów włościańskich na pół- lub ćwierć-łanki. Ale rozdrobnieniu temu zapobiegają coraz to nowe wsie zakładane czyli Wole. Prócz tych łanowników znajdują się we wsi i kmiecie bezrolni, komornicy, chałupnicy, zagrodnicy, najmujący się do uprawy cudzego pola, lub też wynajmujący co najwyżej parę zagonów pod uprawę, jak ogrodnicy.

Dwór ziemiański posiada nieznaczną tylko liczbę łanów, zajmowanych pod uprawę. Tak w Wielkopolsce w XV. jeszcze wieku grunta fol-

warczne zajmowały co najwyżej $^1/_5$ ziemi, w stosunku do obszaru łanów kmiecych. Główny dochód zaś pański stanowią czynsze i daniny, składane dwa razy lub raz do roku, jako to kury, jaja, kapłony, miód, sery i t. p.

Kmieć gospodaruje samodzielnie na roli i nie składa ze swej uprawy panu żadnego rachunku. Wolno mu jest pana opuścić z warunkiem, że musi rolę zostawić zasianą, zwrócić swemu panu to, co otrzymał na założenie gospodarstwa, i zapłacić pewną daninę. Gdzieniegdzie trzeba było znaleźć dla siebie zastępcę. W niektórych prowincyach, jak na Mazowszu i na Rusi, był zwyczaj rękojemstwa, czyli nowy pan ręczył za kmiecia, że spełni wszystkie warunki przesiedlenia. Jeżeli pan przyrzekł uwolnić chłopa, nie wolno było mu go zatrzymywać.

Aby zapobiedz częstej zmianie właściciela i zaniedbaniu uprawy gruntów, już statut wiślicki Kazimierza W. (1347), ograniczał wysiedlania się ze wsi do dwóch kmieci rocznie. Natomiast wolno było wszystkim kmieciom opuścić pana, jeżeli dopuścił się gwałtu na poddance lub zostawał pod klątwą kościelną.

Kmieć miał prawo dziedziczenia swej ziemi. Grunta po zmarłym kmieciu przechodziły na jego synów. Jeżeli synowie nie mieli dostatecznej liczby sprzężaju, to mogli te grunta sprzedać, czyli osadzić na nich innego kmiecia. Dopiero po upływie pewnego terminu (naprzykład sześciu tygodni), panu wolno było rozporządzać się pustką.

Pan nie mógł samowolnie karać kmiecia. Do tego służyły sądy sołtysie. Kmieć zaś mógł pozwać czy to swego pana, czy to innego szlachcica przed sąd ziemski. Kiedy chodziło o przestępstwo kryminalne, naprzykład o kradzież lub zabójstwo, kmiecie odpowiadali na równi ze szlachtą przed sądami grodzkimi. Szlachcic odpowiadał przed sądem za zabójstwo kmiecia, płacąc karę 10 grzywien. Kmieć ręczył za kmiecia, w razie jeżeli sąd wyznaczył na niego jakąś karę.

Ta swoboda sprzyjała rozwojowi ekonomicznemu warstwy wieśniaczej; rośnie ona w bogactwo i oświatę, posyła swoje dzieci do szkół i t. d. Szczególnie zaś warstwa sołtysów, jako całkiem niezależna i władająca przytem ziemią, staje się groźną dla panów tak, że już statut z roku 1422. pozwala panu odkupić sołtysostwo, jeżeli uzna je za niepotrzebne.

Szlachta natomiast czyli ziemianie ubożeli. Czynsze spadały w cenie, ponieważ wartość pieniądza ciągle malała, wysokość zaś czynszu była zawsze ta sama. Własność ziemska skutkiem rozrodzenia się rodów szlacheckich maleje, niekiedy spada do obszaru jednego łana, który szlachcic sam

musi sobie uprawiać. Tak powstaje najuboższa warstwa szlachecka, szlachta zagrodowa lub chodaczkowa, która ma swój klejnot i obowiązana jest do służby wojskowej, natomiast ekonomicznie stoi na równi, nieraz niżej od kmieci. Warstwa dawna rycerska, władycza, ginie, część jej wsiąka do warstwy niższej kmiecej, część zaś wchodzi w skład warstwy szlacheckiej.



Fig. 295. Kupcy krakowscy w XVI. w.

§ 13. Rozkwit miast, przemysłu i handlu. Miasta rozkwitem swoim przewyższały wsie, a ludność miejska bogactwem i znaczeniem swojem szlachtę.

Obok przemysłów z dawien dawna znanych w Polsce, jak ciesielstwo, kowalstwo, krawiectwo i t. p. w miastach powstają świeże przemysły sprowadzone z zagranicy, jak ślusarstwo, garbarstwo, kuśnierstwo, rymarstwo, murarstwo. Niektóre z nich dochodzą nawet do takiego rozkwitu, że wyroby ich rzemiosł stają się poszukiwane nawet za granicą. Tak w Krakowie kwitnie sukiennictwo i białoskórnictwo. Kupcy krakowscy wywożą rękawiczki na targi flandryjskie do Brügge w ilości po 25 tysięcy sztuk

We Lwowie kwitną wyroby złotnictwa tak pod względem ilości, jak i artystycznego obrobienia.

Ale główny swój rozkwit miasta czerpały z handlu. Zwłaszcza miasta, jak Kraków, Poznań, Lwów, prowadziły ożywiony handel tak



Fig. 296. Krawcy krakowscy w XVI. w.

z Zachodem jak i ze Wschodem. Kraków współzawodniczył z Sączem, położonym na drodze do Węgier, skąd sprowadzano miedź. Stąd też szły drogi na zachód do Wrocławia, na północ przez Piotrków, Nieszawę do Torunia i na wschód przez Lwów do krajów południowo-wschodnich, do bogatych kolonii genueńskich nad morzem Czarnem położonych i do Tartaryi.

Handel północny starał się zmonopolizować Toruń, miasto będące do

r. 1466. w posiadaniu Zakonu Niemieckiego. Tędy przywożono do Polski sól zamorską, sukno, wzamian zaś zato otrzymywano miedź, skóry, wosk, popiół. Bogactwo i przepych tego miasta wzrosły do takich rozmiarów, że



Fig. 297. Garncarze krakowscy w XVI. w.

uzyskało przydomek »królowej Wisły«. Ale mieszczaństwo krakowskie już w r. 1354. uzyskało przywilej, iż niewolno kupcom toruńskim wozić swoich towarów dalej jak za Kraków. Stamtąd wyłącznie wieźli je dalej kupcy krakowscy.

Tak samo, jak Kraków z Toruniem w handlu północnym, podobnie Lwów współzawodniczył z Krakowem w handlu wschodnim, nie przepuszczając dalej poza Lwów na wschód kupców krakowskich. Kupcy lwow-



Fig. 298. Odlewnicy krakowscy w XVI. w.

scy, wśród których było wielu Ormian, zmonopolizowali w swych rękach handel drogocennymi towarami Wschodu, jak kobiercami, kadzidłem, mydłem, korzeniami i t. d. Nawet zboże za Władysława Jagiełły spławiano na południe do Konstantynopola. Wywożono też czerwiec, barwnik, do

Medyolanu, Florencyi i Wenecyi, gdzie rozwinął się przemysł jedwabniczy.

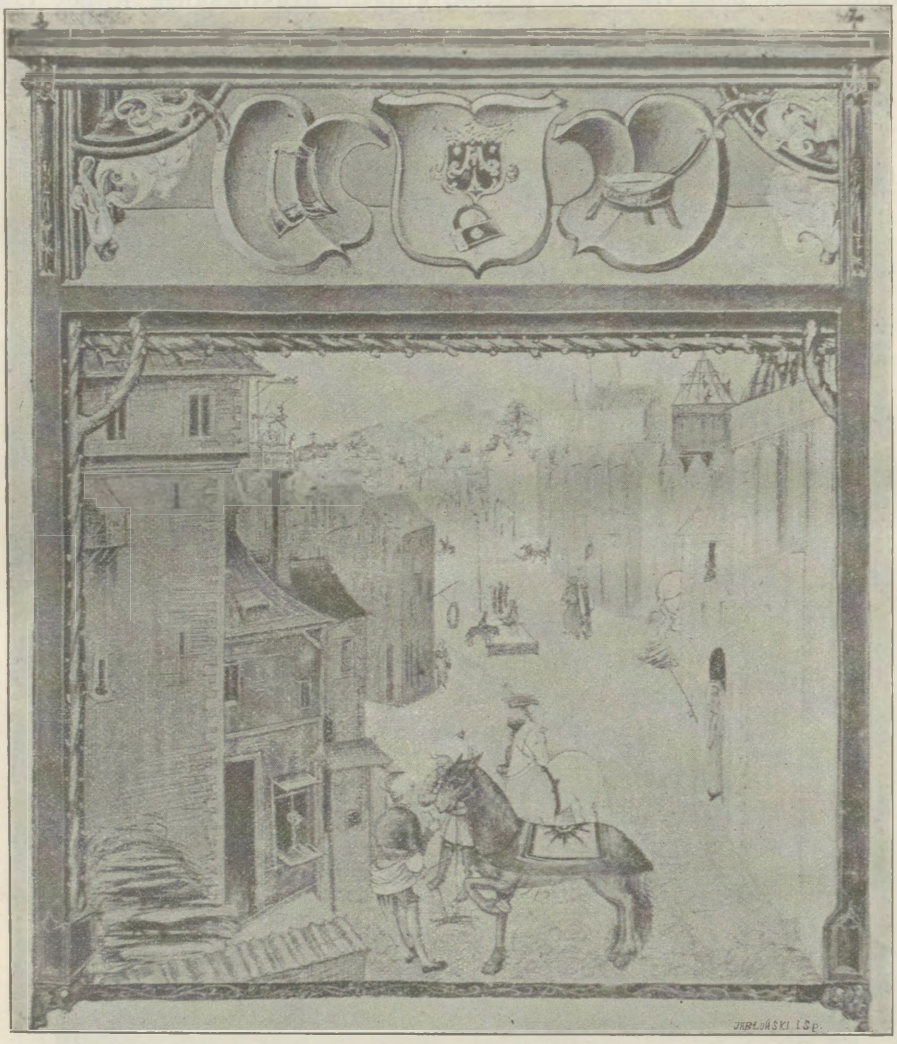

Fig. 299. Kowale krakowscy w XVI. w.

Kupcy bogacą się, wypożyczają pieniądze panującym, jak Mikołaj Wierzynek, który pożycza parę tysięcy grzywien margrabiemu morawskiemu, późniejszemu cesarzowi Karolowi IV. Kupują majątki ziemskie, stawiają kościoły. Tak budowa maryackiego kościoła w Krakowie (1303) jest fundacyi miejskiej.

Ale nie tylko w życiu prywatnem, także i w życiu publicznem potęga ekonomiczna miast przebija się w buncie wójta krakowskiego Alberta przeciwko królowi Władysławowi Łokietkowi. Co prawda, bunt ten został stłumiony, a miasto ukarane utratą jednego z największych przywilejów, jakie uzyskało w r. 1306. Na zjeździe w Radomsku (1374.) ustanowiono zarząd tymczasowy państwa w każdej ziemi, w skład którego wchodziło 6 ze szlachty i 2 przedstawicieli stanu miejskiego.

Mieszczanie mają swoje sądy wójtowskie i wyższy sąd prawa niemieckiego na zamku w Krakowie, ustanowione przez Kazimierza W. (1356 r., zreorganizowane w r. 1361.). Sądownictwo miejskie rozciąga się nad każdym, kto przebywa w mieście, nawet nad szlachtą. Szlachcic więc odpowiadał przed sądem miejskim, podczas gdy mieszczanina niewolno było pozywać przed sąd inny, jak jego własny. W XV. w. rajcy lubelscy wyznaczają karę 4 grzywien, jeżeli ktoś ze współobywateli uciekałby się przed sądy ziemskie.

§ 14. Litwa i ziemie ruskie pod względem gospodarczym w XV. w. Litwa i ziemie ruskie stanowiły ciało odrębne (od r. 1386.) w ustroju Rzeczypospolitej, które tylko stopniowo nagina się i zastosowuje do urządzeń prawnych, społecznych i ekonomicznych wyżej posuniętych pod względem kulturalnym krajów polskich.

Ziemia i stosunek poddańczy całej ludności do księcia zachowały się tam dłużej, aniżeli to było w Polsce. Panujący rozdawali ziemię wzamian za obowiązek służby wojennej, zarówno warstwie wyższej czyli bojarom, jak i niższej, t. zw. ludziom putnym czyli gońcom, którzy wozili listy książęce. Cała masa ludności była niewolną. Nazywano ją dannikami, albo smerdami, rabami czyli chłopami.

Wsie książęce były połączone ze sobą w powiaty czyli tak zwane wołosti. Na czele każdej stał starosta, tiwon. Starostowie znów podlegali władzy książęcej, która w każdej ziemi wyznaczała swego namiestnika lub wojewodę. Namiestnikami byli najczęściej książęta z rodu Gedymina, albo inni książęta ruscy, podlegli wielkiemu księciu litewskiemu.

Miast i żywiołu miejskiego prawie wcale nie było. Dopiero w XV. w. książęta litewscy poczynają naśladować stosunki polskie, sprowadzając rzemieślników, jak na przykład Witold do Wilna, i nadając miastom samorząd miejski czyli prawo niemieckie.

Zresztą gospodarka jest jeszcze bardzo pierwotna. Daniny ludność

poddana składa przeważnie w naturze, rzadziej spotyka się czynsz pieniężny.

Ziemi było podostatkiem. System gospodarski polegał na tak zwanych dworzyszczach, zwłaszcza w ziemiach południowych ruskich, czyli osadach wykarczowanych pośród pustek.

Natomiast wielka była swoboda. Dlatego rozwijały się przemysły leśne, jak myśliwstwo, bartnictwo i wodne rybołostwo. Od tego rodzaju zajęć poszły niektóre klasy ludności nawpół osiadłej, nawpół koczującej.

Z miast ruskich tylko Kijów, który był z dawna założony, cieszył się niejakim rozwojem handlu, zwłaszcza ze Wschodem. Były też tutaj i niektóre słynne przemysły, jak naprzykład wyrób strzał.

POLSKA NOWOŻYTNA

a. Do połowy XVII. w.

§ 15. Okres nowożytny w dziejach ekonomicznych. Na schyłku XV. w. poczynają się opisane stosunki gwałtownie zmieniać. Zazwyczaj przyjmuje się jako początek nowego okresu rok 1492., t. j. odkrycie Ameryki. W rzeczywistości wiele przyczyn wywołało przełom i przewrot w rozwoju ekonomicznym całej Zachodniej Europy, a także w Polsce. Państwo nowożytne przynosi ze sobą nowe wymogi i potrzeby, dla których zadosyćuczynienia potrzeba znacznych środków pieniężnych. Należało utrzymywać stałe lub zaciężne wojska, a skarb królewski zasilany, jak widzieliśmy, bardzo niedostatecznie w pieniądze gotowe, nie mógł temu podołać; trzeba było uciekać się do pożyczki. Napływ zaś kruszców z Nowego Świata spotęgował ilość środków obiegowych t. j. pieniędzy i pośrednio przyczynił się do wytworzenia kapitałów i kredytu.

Kapitał i kredyt były to dwie potęgi całkiem nieznane światu średniowiecznemu, które do gruntu zmieniły cały dawny porządek na nowożytny. Naprzód obaliły one dawny ustrój rolny. Drobna uprawa ziemi chłopska prawie nigdzie ostać się nie mogła. Zastąpiła ją wielka uprawa folwarczna jak w Polsce, lub hodowla bydła jak w Anglii, Hiszpanii, Neapolu. U nas i w Niemczech ten przewrot rolny sprowadza pańszczyznę.

Między przemysłowym Zachodem a przeważnie rolniczym Wschodem następuje żywa wymiana płodów. Handel jednak dawny średniowieczny, śródlądowy, podupada, a z nim razem i miasta środkowo-europejskie; przenosi się on na Ocean i jego przedłużenia na północny wschód — morze Północne i Bałtyckie. Podstawą jego staje się flota. Dlatego główne korzyści z tego handlu spadają na te narody, które zaprawione są do żeglugi i posiadają liczne statki, jak Portugalczycy, Hiszpanie, zwłaszcza Holendrzy, później Anglicy.

Równocześnie działają same państwa na rzecz podniesienia przemysłu i handlu przy pomocy środków sztucznych, ceł ochronnych i t. p. jak tak zwana polityka merkantylistyczna Colberta we Francyi.

§ 16. Przewrót w stosunkach agrarnych (rolnych). Średniowieczny ustrój rolny opierał się na gospodarstwie chłopskiem czynszowem. Przeważającym typem rolnym było gospodarstwo chłopskie łanowe. W każdej wsi było 15, 20 do 30 łanów czynszowych i tyluż gospodarzy.

Prócz łanów chłopskich była i ziemia folwarczna, uprawiana przez pana na własny rachunek. Zazwyczaj jednak obszar folwarczny nie przewyższał jednej piątej części łanów chłopskich.

Stosunki te trwały jeszcze przez cały wiek XV., ale już od połowy jego zaczęły się zmieniać na niekorzyść chłopów. Przyczynił się do tego upadek czynszów, skutkiem obniżenia się wartości pieniądza, i coraz szybszy wzrost renty gruntowej (t. j. dochodu z ziemi) skutkiem coraz większego zapotrzebowania zboża.

Już za panowania Władysława Jagiełły statki cudzoziemskie przybijały do portu gdańskiego po zboże, które dostawiano tutaj po części z ziem pruskich podwładnych zakonowi, po części z Polski. Anglicy kupowali zboże bezpośrednio w Nieszawie od Polaków. W drugiej zaś połowie XV. w. do Gdańska przychodziło z Polski po 150 czółen, naładowanych zbożem i innymi produktami gospodarstwa wiejskiego. W r. 1454. ogłoszono spław na Wiśle i pobocznych rzekach za wolny, czyli nie wolno było tamować, zastawiać przejazdu kupcom na tych rzekach.

Szczególnie zaś od r. 1466., kiedy pokój toruński zawarował Polsce bezpośredni przystęp do morza i port Gdańska, handel zbożowy poczyna być główną osią rozwoju ekonomicznego Polski.

Z początku kupowano zboże do krajów skandynawskich, Anglii, po części Niderlandów. Na początku XVI. wieku zboże polskie idzie do Por-

tugalii, pod koniec zaś tego wieku do Hiszpanii, Włoch i do Francyi. Polska staje się spichrzem dla całej zachodniej Europy.

W przeciągu jednego wieku ilość ziemi pod uprawę folwarczną wyrównała się z ilością łanów chłopskich.

Proces ten przeobrażania się gospodarstwa chłopskiego w pańskie dokonał się w rozmaity sposób i przy pomocy rozmaitych środków, zarówno prawnych jak i nieprawnych. Czasem pan po prostu wyrzucał kmieci z zajmowanej ziemi, albo też łany chłopskie po wymarciu dziedziców włączał do gruntów folwarcznych. Przedewszystkiem postarano się o pozbycie się ze wsi sołtysów, którzy mieli po kilka, do 6 łanów. Już statut z r. 1422., jak nadmieniliśmy poprzednio powyżej, ogłosił sołtysostwa na skupie, czyli pan mógł wykupić sołtysostwo, kiedy mu się podobało. W XVI. i w XVII. w. spotykamy już wszystkie sołtysostwa w rękach szlachty.

Do uprawy gruntów folwarcznych potrzebna była ludność robotnicza. Zaczęto więc ograniczać prawo wysiedlania się chłopów ze wsi i oddawania synów na naukę do rzemiosł lub do miasta. Na sejmie piotrkowskim w r. 1495. zapadła uchwała ograniczająca prawo wysiedlania się ze wsi do jednego chłopa, prawo zaś wysyłania synów do dwóch rocznie i to za osobnem upoważnieniem pana.

Dawny stosunek czynszowy nie znał więcej r o b o c i z n y, jak parę dni w roku, w czasie których ludność była obowiązana kosić i sprzątać siano. Teraz folwark, zwłaszcza zaś sprzęt zboża, wymagał wielkiej ilości robotnika Tak przyszło do powszechnej ustawy naprzód na sejmie w r. 1520. w Toruniu, a później w Bydgoszczy, nakładającej na włościan robociznę w ilości 2 dni w tygodniu na rzecz pana. Niezadługo, bo już w drugiej połowie XVI. w., spotykamy ilość 4 dni w tygodniu. Na tym punkcie zresztą nie było żadnych przepisów ani ograniczeń. Ilość i jakość robocizny zależała od samowolnego rozporządzenia pana [1]).

W XVI. w. typem gospodarstwa rolnego staje się w i e ś s z l a c h e c k a z folwarkiem i gruntami folwarcznymi. Zazwyczaj na grunta chłopskie przypadało do 10 włok ziemi, na grunta pańskie tyleż. Cała posiadłość wynosiła 15—20 włok ziemi i 16 rodzin kmiecych pańszczyźnianych. Przeciętnie przeto jedna rodzina kmieca siedziała na półłanie ziemi. Prócz kmieci byli także zagrodnicy, chałupnicy i komornicy, którzy siedzieli u bo-

[1]) Zobacz tom I. str. 352.

gatszych kmieci na mieszkaniu i co najwyżej wynajmowali dla siebie po parę zagonów ziemi pod uprawę.

Dawne obowiązki włościan pozostały, a więc kmiecie płacą czynsz z roli odpowiednio do obszaru ziemi zajmowanego i ilości sprzężaju. Na przykład jeżeli kmieć miał 3 konie i 4 woły, to płacił 4 grzywny na rok; od 3-ch koni i 2-ch wołów płacono 2 grzywny; kopę groszy od 2-ch koni i od 2-ch wołów. Prócz czynszów płacono różne daniny, jak kapłony, gęsi, jaja, spełniano różne posługi, jak jeżdżenie konno z listami, stróża we dworze, sadzenie kapusty, międlenie przędziwa i tym podobne.

Ale osią gospodarstwa rolnego stał się folwark. Folwark zatrudniał ludność nie tylko uprawą ziemi, ale i rozmaitymi przemysłami. Miał swoich leśniczych, gajowych, bartników. Każdy rzemieślnik powinien mu był składać daninę w swoich wyrobach, jak płótno, klepki, miód, wosk, które pan sprzedawał następnie.

Właściciel wsi był nie tylko jedynym nabywcą, ale zarazem jedynym dostawcą i pośrednikiem wymiany wszystkich potrzeb ludności. Las i wody należały do pana, a więc rybołowstwo i wyrąb drzewa dokonywało się za jego pozwoleniem i po uiszczeniu zapłaty. Podobnież poddani byli obowiązani mleć zboże tylko w młynie pańskim, kupować wódkę, którą pan pędził, a gdzieindziej jak w karczmie swego pana nabywać jej nie było wolno.

Teraz gospodarstwo rolne z naturalnego zmienia się na pieniężne. Wszystko, co produkuje chłop, pan zagarnia i spienięża na swoje własne potrzeby.

Chłop staje się przedewszystkiem narzędziem zysku dla swojego pana. Najwykształceńsi ludzie tych czasów i najznakomitsi gospodarze, piszący Rady dla swoich obywateli w zakresie gospodarstwa, jak Walery Gostomski, kasztelan poznański, opisują ten stan rzeczy. W czasie żniwa mają chłopi na roboty wychodzić wszyscy, nie tylko rolnicy, ale nawet rzemieślnicy i młynarze. Pan rozciągał swoją opiekę nie tylko nad uprawą własnego gruntu, ale i chłopskiego. Jeżeli chłop nie uprawił swej ziemi, jak się należy, to mu ją odbierał. Roztropniejsi gospodarze z pośród szlachty, jak Zawadzki, radzą w czasie żniw przynajmniej tydzień zostawić chłopu wolny dla sprzętu własnego zboża, ażeby resztę żniwa mógł poświęcić wyłącznie dla swego pana.

Wskutek zbyt uciążliwych obowiązków chłopi uciekali na kresy, na Ruś, Wołyń i Podole, gdzie pustej ziemi było jeszcze podostatkiem, gdzie

wola była szeroka, a chłop pyszniejszy nieraz od szlachcica. Jak zaś zbiegostwa chłopów zagęściły się w Polsce, najlepszym tego dowodem są konstytucye nakazujące starostom chwytać zbiegłych kmieci i wydawać panom. Konstytucye te od połowy XVI. w. do końca istnienia Rzeczypospolitej nieustannie się powtarzają na kartach prawodawstwa szlacheckiego. Najszybszy postęp gospodarstwa folwarcznego dokonał się w Wielkopolsce. Tutaj, a po części w Małopolsce, przeważała własność szlachecka średnia jedno-, lub najwyżej dwu-, trzechwioskowa, chociaż zdarzały się wypadki rozdrobnienia własności szlacheckiej na pół- i ćwierćwioskowe. Wtedy na każdą wieś przypadały 2 lub 4 folwarki, z których każdy miał swoich chłopów pańszczyźnianych.

Prócz własności średniej ziemiańskiej była jeszcze własność drobna szlachty tak zwanej zagrodowej lub zagonowej. Ojczyznę jej stanowiło Mazowsze, gdzie siedziała całą ławą na prawym brzegu Wisły wzdłuż dawnej granicy jadźwińsko-prusko-litewskiej. Ale spotykamy też zaścianki szlacheckie równie dobrze w Wielkopolsce na kresach północnych (w województwie brzesko-kujawskiem), jak i w Małopolsce na kresach wschodnich (w województwie lubelskiem). Szlachta zagrodowa posiadała ziemi zazwyczaj po parę, nieraz po jednym łanie i uprawiała ją własnemi rękami bez pomocy chłopów pańszczyźnianych. Był to proletaryat szlachecki, uboższy nieraz od chłopa, ale uherbowiony — i z tego powodu uważający się za równego karmazynom.

Wielka własność, czyli t. zw. latyfundya, rozmieściła się przeważnie na kresach, co wskazuje, że powstała z nadań królewskich i książęcych. Gdy już wnętrze kraju było zaludnione i zagospodarowane, pozostawały tylko na ukrainach państwa obszary, którymi król mógł się swobodnie rozporządzać, nadając je za zasługi swoim dygnitarzom. Z tych obszarów powstały z czasem olbrzymie dobra, klucze lub włości.

W Wielkopolsce mało było wielkich majątków. Te, które były, majątki możnych, jak Górków, Ostrorogów, Czarnkowskich, Leszczyńskich, nie przekraczają rozmiarami 12 do 15 wsi.

Ani w porównanie pod tym względem Wielkopolska nie szła z Małopolską, gdzie wielkich majątków znacznie więcej i obszar każdego przeciętnie dosięga 20 do 50 wsi. Tutaj były majątki Jordanów, Zborowskich, Koniecpolskich, Mieleckich. Najmożniejszy ród Tarnowskich posiadał dobra na prawym brzegu Wisły, ciągnące się długim szlakiem od ujścia Białej aż po Dunajec i Wisłokę, obejmując 80 wsi.

Ojczyzną latyfundyów były jednak dopiero kresy wschodnie: Wołyń, Podole i Ukraina. Na Wołyniu z dawna możne rody litewskie i ruskie miały sobie wydzielone całe księstwa na utrzymanie. Tak powstały fortuny wielkopańskie książąt Ostrogskich, Sanguszków, Zbaraskich. Do Ostrogszczyzny na przykład zaliczała się prawie $^1/_3$ województwa wołyńskiego. Na Ukrainie znów i Podolu wielka własność powstała przeważnie z nadań. Nadawano pustynie, z których przy zapobiegliwem zużytkowaniu powstawały w XVII. w. i później całe klucze, rozmiarami wyrównywujące prowincyom państwa, jak Wiśniowieckich, Siennickich, Potockich, Jabłonowskich.

Prócz wielkiej własności prywatnej była jeszcze wielka własność skarbowa, dobra koronne, z których przeważnie pierwsza została wydzielona. Własność przeto skarbowa z biegiem czasu topniała aż do ostatecznego urządzenia skarbu w r. 1504. i 1562. Ale mimo tego w XVI. wieku obejmuje ona ogromne obszary, na przykład w Małopolsce 469 wsi czyli 9% ziemi w całej prowincyi.

Lepiej przechował się majątek duchownych, ponieważ Kościół dobrze administrował majątkami swymi i nie trwonił ich. Tutaj spotykamy zwarte obszary dóbr kościelnych, co dowodzi, że Kościół starał się zaokrąglać swój majątek, skupując wsi sąsiednie. Tak klucz skierniewiecki, majątek prymasa, obejmował 150 wsi i był jedną z najbardziej zwartych posiadłości wielkich w Polsce; cały zajmował przestrzeń 29 mil kw.

Majątki duchowne były własnością biskupów, kapituł lub klasztorów. Majątek biskupa krakowskiego obejmował 300 wsi i 4 miasteczka. Inne biskupstwa i klasztory miały po sto lub po kilkadziesiąt wsi.

Co do stosunku własności, to w Koronie średnia własność szlachecka przeważa i góruje zarówno nad dobrami czy to koronnemi, czy duchownemi, czy wreszcie magnackiemi. Na ogólną liczbę 5500 wsi w XVI. w. w Małopolsce wypada 770 wsi duchownych, w Wielkopolsce trochę mniej na ten sam prawie obszar. Liczba wsi magnackich w Małopolsce, 800, równa liczbie wsi duchownych, przewyższa liczbą wsie królewskie, a mimo to razem na obszar latyfundyów w całej Małopolsce przypada tylko 40% ogółu wsi. Reszta czyli 60% stanowi średnią własność ziemiańską.

Co do sposobu gospodarowania nie było prawie różnicy między średnią a wielką własnością czy to koronną, duchowną, czy magnacką. Dobra koronne były rozdawane szlachcie w dzierżawę, w formie starostw i tak samo były gospodarowane i administrowane, jak majątki szlacheckie. Ko-

ściół wyznaczał administratorów do zarządu swoich dóbr. Wielcy znów panowie mieli również swoich starostów, sług, pisarzy prowentowych, wójtów i dworników, za których pośrednictwem utrzymywali ten sam system uprawy folwarcznej pańszczyźnianej, jak średnia szlachta.

§ 17. Przewrót w stosunkach miejskich. Rozwój polityczny miast na Zachodzie był odmienny, aniżeli u nas. Na Zachodzie władza monarchiczna zespoliła się z miastami dla obalenia przewagi rycerstwa, stąd też w nowym ustroju państwowym miasta stanowiły czynnik polityczny bardzo ważny.

Inaczej w Polsce, gdzie miasta główne były zawsze miastami królewskiemi i współzawodniczyły w uzyskaniu swobód ze szlachtą i możnowładztwem. Przeobrażenie się stosunków społecznych na przełomie wieków średnich i nowych dokonało się bez ich współudziału, co więcej, mieszczaństwo złożone przeważnie z ludzi obcych, uchylało się od ciężarów, jakie potrzeby państwa nowożytnego wkładały na nie, na przykład służba wojskowa, dlatego nieświadomie, ale z własnej winy dało się wytrącić z kolei życia politycznego. Z przesunięciem się władzy z samorządu stanowego na powszechny, generalny sejm i na sejmiki ziemskie miasta straciły znaczenie czynnika politycznego i podpadły pod zależność już nie króla, ale szlachty [1]).

Dawna zależność miast od władzy króla przejawiała się w formie przysięgi składanej mu na wierność, potwierdzaniu przywilejów miejskich za każdym razem przy wstąpieniu króla na tron. Ciężyły przytem na miastach rozmaite obowiązki podatkowe i wojenne, ale niestałe i nieregularne. Zazwyczaj ograniczały się one do składania podarunków królowi, królowej i rodzinie królewskiej w razie jakiejś uroczystości czy to familijnej, czy to ogólno-narodowej, jak zaślubiny, koronacya, czasem podróż królewska. Prócz tego w razie nagłej potrzeby królowie wymagali większej sumy pieniędzy. Wtedy ściągano ją od wszystkich mieszkańców w formie t. zw. szosu, podatku ogólno-dochodowego od ziemi, od domów przemysłu, handlu, nawet kapitałów. Był to szos t. zw. królewski.

Nad sprawami miasta czuwał z ramienia króla starosta i wojewoda Obydwa te urzędy miały zresztą równe znaczenie i dla ziemian. Tak sądy starościńskie były sądami mieszanymi dla mieszczan i dla szlachty. W stosunku do samorządu ziemskiego miasta odznaczały się nieufnością. Tak

[1]) O sejmie i sejmikach czytaj w t. I. str. 340—348

widzieliśmy, iż zabraniają swoim obywatelom stawać przed sądem ziemskim. Naodwrót ziemianie są również zawistni co do praw i przywilejów mieszczan, jak na przykład co do targów lub cen.

Od połowy XV. w. ruch ziemiański, który się zakończył utworzeniem sejmu, zaczął być wrogim względem miast. Ustawodawstwo nieszawskie (1454) gorliwie popiera interesy ekonomiczne stanu ziemiańskiego kosztem miast. Tak szlachta wymogła na królu, aby jej wolno było dowozić i sprzedawać płody swe na rynki miejskie bez ograniczenia i ażeby ceny były stanowione przez wojewodów i starostów w porozumieniu z magistratami.

Szlachta wyparła miasta z gmin ziemskich, dlatego nie pozwolono mieszczanom na sejmie roku 1496. kupować majątków wiejskich, a tych, które posiadali, kazano im się pozbyć. Wprawdzie zakaz ten za Aleksandra I. zniesiono odnośnie do gmin miejskich, ale w rękach mieszczan prywatnych majątki ziemskie nie zostały się zgoła.

Z drugiej znów strony szlachta wdzierała się w samorząd miejski i czyniła w nim wyłomy dla swoich stanowych interesów. Tak wyjęto szlachtę zamieszkałą w miastach od sądownictwa miejskiego, a nawet uwolniono ją od ciężarów, jakie spadły na ludność miejską.

Nawet organizacye miejskie średniowieczne, jak cechy i targi, były wystawione na liczne napaści ze strony ziemian. Na sejmie r. 1530. za Zygmunta Starego pozwolono kupcom obcym sprzedawać swój towar na jarmarkach; dotychczas sprzedawali go kupcom miejscowym, od których towar przechodził bezpośrednio do rąk kupujących. W r. zaś 1552. za panowania Zygmunta Augusta uchwalono zniesienie cechów i wogóle bractw i związków rzemieślniczych, co zresztą nie zostało wcale wykonane.

Słowem szlachta domagała się zniesienia zupełnego samorządu i odrębności stanowej miejskiej i poddanie gmin pod zależność bezpośrednią urzędników ziemskich. Swobody i przywileje, nadane mieszczanom przez królów, stawały się przez to zupełnie złudnymi. Z drugiej znów strony w zakresie handlu ziemianie domagali się wyzwolenia go z pęt organizacyi cechowej i rynkowej średniowiecznej, ażeby stworzyć jak najszersze pole wolnej konkurencyi [1]).

Podobne dążenia spotykamy i na Zachodzie, gdzie — jak we Francyi — ordonans królewski z r. 1539. znosi bractwa i cechy, gdzie — jak w Anglii — za królowej Elżbiety rozmaitemi ustawami, przywilejami i koncesyami na

[1]) Zobacz tom I. str. 353.

rzecz pewnych jednostek w zakresie przemysłu czy handlu wewnętrznego łamano i nadwątlano starą organizacyę. Mniejsza z tem, że bardzo wiele z tych ustaw i rozporządzeń zarówno u nas jak i na Zachodzie, na przykład w sprawie zniesienia cechów, pozostało martwą literą. Trzeba zaznaczyć, iż z duchem państwa nowożytnego zarówno dawny samorząd miejski, jak i ustrój handlowy i przemysłowy nie były zgodne.

Pomimo jednak podobnych dążeń rezultat walki był zupełnie odmienny u nas, jak gdzieindziej. Nato złożyły się bardzo różnorodne czynniki, które podkopały znaczenie i zamożność miast u nas. Nie przyczyniły się jednak do tego jednostronnie szlachta albo ustawodawstwo sejmowe. Miasta wprzód jeszcze, aniżeli wsie, zmieniły się na ogniska wielkiej g o s p o d a r k i p i e n i ę ż n e j, której powstanie zawdzięczały po większej części handlowi. Miasta takie, jak Kraków, Lwów, Poznań, Lublin prowadziły ożywiony handel ze Wschodem i Zachodem. Tutaj gromadziły się kapitały, zwłaszcza w rękach niektórych rodzin mieszczańskich, jak Bonerów, Betmanów, Morsztynów w Krakowie, we Lwowie znów w rękach Ormian.

Zamożność miast, o której mówiliśmy w XV. wieku, w przeważnej części przetrwała jeszcze przez cały wiek XVI. i do połowy XVII. Za panowania Zygmunta Starego cała skarbowość państwa opierała się na bogatym mieszczaninie Janie Bonerze, któremu król powierzył urząd podskarbiego. Król nie brzydził się mieszczaństwem i naodwrót mieszczanie mieli wielkie zaufanie do króla. W razie potrzeby kupiec krakowski Betman mógł zebrać 100 tys. złp. w ciągu jednego dnia od mieszczan krakowskich w formie pożyczki dla króla. Mieszczanie byli dzierżawcami mennic, żup i komór celnych.

Kapitał i kredyt były to dwie podstawy ekonomicznej potęgi miast, a te dwa czynniki nakazywały szacunek dla mieszczan nawet żywiołowi ziemiańskiemu, nakazywały mu dbać i troszczyć się o rozwój miast i o podniesienie handlu. Jakoż pomimo usunięcia mieszczan od udziału w życiu publicznem, a nawet od dostojeństw kościelnych, które były zawarowane wyłącznie dla szlachty, posłowie ziemscy na sejmach za panowania Zygmunta Augusta zasięgają opinii mieszczan w sprawach dotyczących miast, przemysłu i handlu i uwzględniają jego potrzeby.

Rozkwit i zamożność miast okazuje się zwłaszcza za panowania Zygmunta Starego. Kupcy krakowscy wiążą się w spółki handlowe. Dom bankierski Jana Turzo w Krakowie miał stosunki z największemi firmami ówczesnemi w Europie. Wspólnie z cudzoziemskimi domami handlowymi

zajmował się dobywaniem i przetapianiem miedzi na Spiżu. Inna znów spółka zawiązała się pod kierunkiem Bonerów. Prowadziła ogromny handel w Polsce i w sąsiednich krajach bławatami, towarami norymberskimi i korzennymi, srebrem i woskiem.

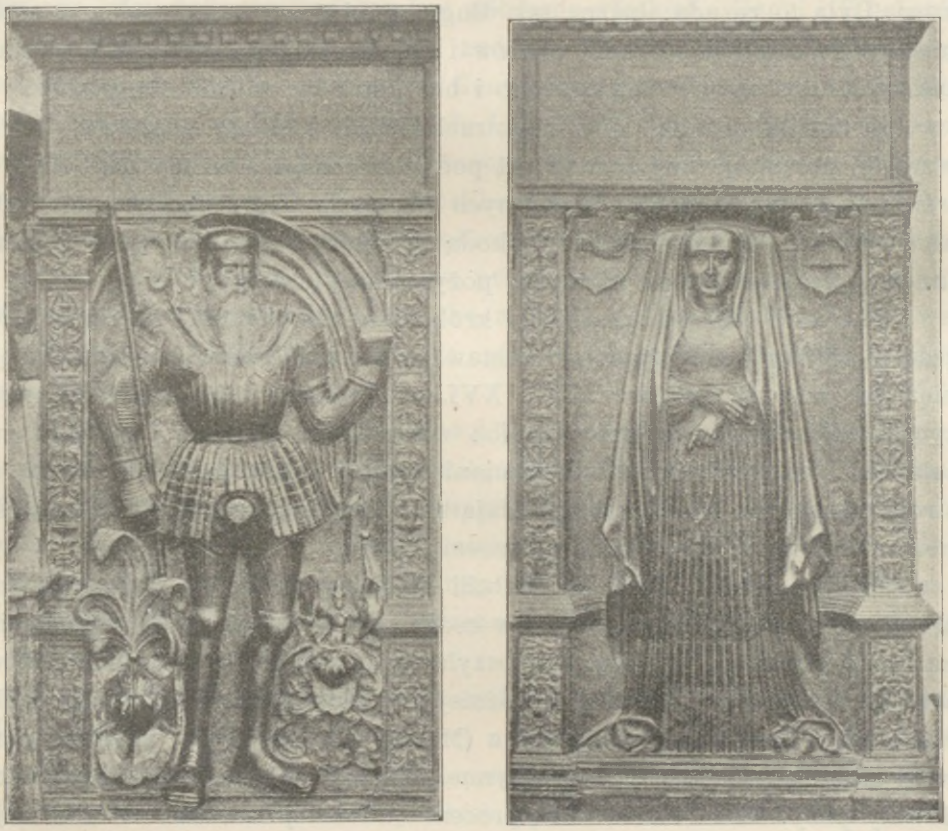

Fig. 300. Pomniki Seweryna i Zofii Bonerów w kościele N. P. Maryi w Krakowie.

Bogate mieszczaństwo stawia sobie pałace, buduje kościoły. Wieżę północną, późniejszą Zygmuntowską, zaczął budować kanonik i archidyakon krakowski Jan Salomon, syn mieszczanina i rajcy krakowskiego.

Tu w miastach rozwinął się po raz pierwszy na wielką skalę kredyt, który w czasach nowożytnych stał się olbrzymią dźwignią zarówno przemysłu i handlu, jak i zmian i przewrotów politycznych. Wieki średnie nie znały innego sposobu pożyczania pieniędzy, jak na ziemię z prawem

wykupu jej. Pożyczający korzystał przeto z renty gruntowej. Ale pożyczanie pieniędzy na procent było uważane za lichwę i trudniących się niem ścigano surowo klątwą kościelną i grzywnami sądowemi. Zwyczaj ten wynikł z przeświadczenia, iż pieniądz sam przez się jest rzeczą nieproduktywną, czyli nie może przynieść korzyści ani wierzycielowi, ani dłużnikowi. Była to zasada słuszna tak długo, póki gospodarka stała na poziomie naturalnego dobywania płodów i bezpośredniego spożywania natury bez wielkiego ryzyka handlowego i bez potrzeby wielkich kapitałów.

Z chwilą jednak, gdy zapotrzebowanie kapitału i obawa ryzyka wzrosły, powstały inne zasady już pod koniec XIII. i na początku XIV. w. wśród handlowych miast w północnych Włoszech. Usprawiedliwiano odsetki albo zyskiem straconym, albo szkodą powstałą w handlu, czy w jakiemś innem przedsiębiorstwie skutkiem pożyczenia pieniędzy.

W Polsce już Statut wiślicki króla Kazimierza (1347) zabrania pożyczać pieniędzy inaczej jak pod zastaw. Ale i tutaj rózwój stosunków pieniężnych uczynił wyłom w XV. i XVI. w. Królowie zaciągali doraźne pożyczki od mieszczan na procent, albo wzamian za dzierżawę ceł, myt, żup solnych. Podobnież pożyczali ziemianie, często rujnując się na zbytki, na stroje wystawne, konie, karoce. Majątki ziemskie przechodziły tym sposobem w dzierżawę mieszczan, a czasem Żydów.

W najgorszem położeniu znaleźli się kupcy drobni, a zwłaszcza rzemieślnicy. Rozluźnienie węzłów cechowych i związkowych, wydało ich na łup kapitału. Z pomocą pospieszyła im ofiarność ludzka. Naprzód we Włoszech w Orvieto (1467. r.), później i w innych krajach poczęto zakładać t. zw. banki miłosierdzia (Montes pietatis). Były to zakłady nawpół finansowe, nawpół dobroczynne. Zakładane przez osoby pobożne, dawały pożyczki na zastaw bez procentu uboższej ludności. Z czasem jednak i one musiały pobierać pewien procent na pokrycie kosztów administracyi. Tak więc i kościół uczynił wyłom w nauce o odsetkach.

Pierwszy taki bank powstał w Krakowie, założony przez jezuitę ks. Piotra Skargę. Za tym przykładem poszły niebawem i inne miasta, jak Wilno, Poznań. Gdzieniegdzie tworzyły się związki i bractwa kupieckie rzemieślnicze, pożyczające pieniądze nieraz na znaczny procent, bo na 10%.

§ 18. Zmiana dróg handlowych europejskich i wpływ jej na handel w Polsce. Rozkwit ekonomiczny miast i handlu w Polsce trwa do połowy XVII. w. Te same czynniki, które go wywołały, spo-

wodowały późniejszy jego upadek. Czynniki te są natury nie tyle miejscowej ściśle polskiej, ile ogólno-światowej.

Mówiliśmy, że w wiekach średnich handel był przeważnie przewozowy i środkowo-europejski. Jedyna droga morska szła przez morze Śródziemne, po części Czarne, na Wschód do Aleksandryi, Smyrny, Trapezuntu; były one w posiadaniu dwóch miast północno-włoskich, Genui i Wenecyi.

Od połowy XV. w. następuje zmiana dróg handlowych. Skutkiem usadowienia się Turków w Europie, Genua traci swe kolonie na wybrzeżu morza Czarnego, jak Kilię przy ujściu Dunaju, Białogród czyli Akermann przy ujściu Dniestru. Podobnież Wenecya traci stopniowo w XV. i XVI. w wyspy na Archipelagu i wyspy Jońskie, a także półwysep Moreę.

Odtąd upada handel wszechświatowy tych miast, również jak i żegluga na morzu Śródziemnem, utrudniona przez korsarzy. Natomiast Kolumb odkrywa w r. 1492. nowy ląd, Amerykę, a Vasco di Gama (1497—9), opływa po raz pierwszy Afrykę i dociera przez Ocean do bogatych Indyi Wschodnich.

Żegluga i handel wszechświatowy przenosi się na Ocean. Miasta położone na krańcach lądu europejskiego, jest Sewilla, Kadyks, Lizbona, później Antwerpia i Amsterdam, poczynają się rozwijać na podwalinach handlu między Europą, a krajami dalekiego Wschodu i Zachodu. Przodownictwo w tym handlu przechodzi naprzód na Portugalczyków i Hiszpanów, później na Flamandów, zwłaszcza zaś po upadku Antwerpii (1585) na Holendrów.

Z upadkiem handlu środkowo-europejskiego przychodzi także upadek miast polskich. Dzieliły one los swój z miastami szwabskiemi i frankońskiemi, położonemi w Górnych Niemczech, jak z Norymbergą, Augsburgiem, Ratyzboną. Handel miast polskich ogranicza się teraz do sąsiednich krajów. Tak Kraków żyje handlem ze Śląskiem (Wrocławiem) i Węgrami, Wielkopolska handlem z Marchią Brandenburską, po części Saksonią. Stosunki handlowe kończą się najdalej na Zachód we Wrocławiu, Lipsku, Frankfurcie nad Odrą. Handel ze Wschodem utrzymują jeszcze w części miasta Małopolski, jak Lublin, Jarosław, zwłaszcza Lwów, na Litwie — Wilno, na Ukrainie Kijów.

Jarmarki w Lublinie pod koniec XVI. i na początku XVII. w. stają się głównymi dla handlu całej Rzpltej ze względu na położenie środkowe tego miasta.

Odczuły tę zmianę miasta w Polsce. Tem usilniej przeto zabiegają

od połowy XVI. w. o potwierdzenie dawnych swych praw i przywilejów. Na sejmie w r. 1565. zbadano wszystkie przywileje miejskie, uznano dawne składy i drogi, potwierdzono jarmarki stare i wyznaczono nowe. Ale wszystkie te zarządzenia były bezskuteczne w kierunku przywrócenia miastom dawnych źródeł dochodu. Nowe prawo, zabraniające kupcom polskim jeździć za granicę, tchnęło również duchem przestarzałym, średniowiecznym. Tymczasem już na tym sejmie okazało się przeciwieństwo pomiędzy miastami koronnemi, a miastami pruskiemi, na które spadały wszelkie korzyści przewrotu w handlu — przeciwieństwo, w którem szlachta w imię swoich własnych praw stanęła po stronie miast pruskich i Gdańska.

Odkąd dawne drogi handlowe zostały dla Polski zamknięte, skierowała ona cały swój ruch handlowy ku morzu Bałtyckiemu. Rzeka Wisła służyła za główny gościniec handlowy. Tylko Wielkopolska spławiała części swoich płodów surowych Notecią i Wartą do Odry, a stamtąd na Pomorze. Reszta Korony, nie wyłączając bardziej odległych prowincyi, jak Rusi Czerwonej i Podola, posługiwała się spławem na rzece Wiśle. W tym celu, jak wyżej mówiliśmy, już za Kazimierza Jagiellończyka w r. 1454. spław ten uznano za wolny, a żeglugi zarówno na Wiśle, jak na jej dopływach, nie wolno było zagradzać ani tamować. Odtąd punkt ciężkości całego handlu przeniósł się na miasta pruskie, a główna rola wśród nich przypadła naszemu Gdańskowi. Zresztą obok Gdańska rozwijał się także handel Elbląga, z którym współzawodniczył. Natomiast Toruń, dawna »królowa Wisły«, znacznie podupadł, gdyż przestał leżeć na granicy Polski i ziem Zakonu.

Jak Gdańsk był portem wywozowym dla Korony, tak Królewiec i Kłajpeda (Memel) służyły za miejsca spławu dla Litwy. Inflanty posiadały swój port w Rydze. To ostatnie miasto położone przy ujściu rzeki Dźwiny, głównej arteryi kumunikacyjnej dla Inflant, a także północnej Litwy, współzawodniczyło w handlu Bałtyckim z Gdańskiem. Stąd też Prusy i Inflanty stały się osią handlowego znaczenia Polski na morzu Bałtyckiem. Od ich posiadania zależał rozkwit ekonomiczny Rzeczypospolitej w XVI. i XVII. w. Nazywano te dwie prowincye skrzydłami orła polskiego.

Wieki średnie są okresem panowania t. zw. Hanzy na morzu Bałtyckiem. Był to związek handlowy i kupiecki, obejmujący przeważnie miasta niemieckie nad morzem Bałtyckiem położone, pod przewodnictwem najznakomitszego z nich Lubeki. Posiadał on swoje składy targowe w szędzie

zarówno w Niemczech, jak i w Polsce, na Rusi w Nowgorodzie, i w Skandynawii w Bergen, w Londynie i Kadyksie. Strzegł zaś zazdrośnie swoich przywilejów handlowych i nie pozwalał obcym kupcom osiedlać się w swoich miejscach składowych, a nawet prowadził zacięte wojny z królestwem Duńskiem. Królowie bowiem duńscy posiadali w swych rękach cieśninę Sund albo Paresund i z tego powodu rościli sobie zwierzchnictwo na

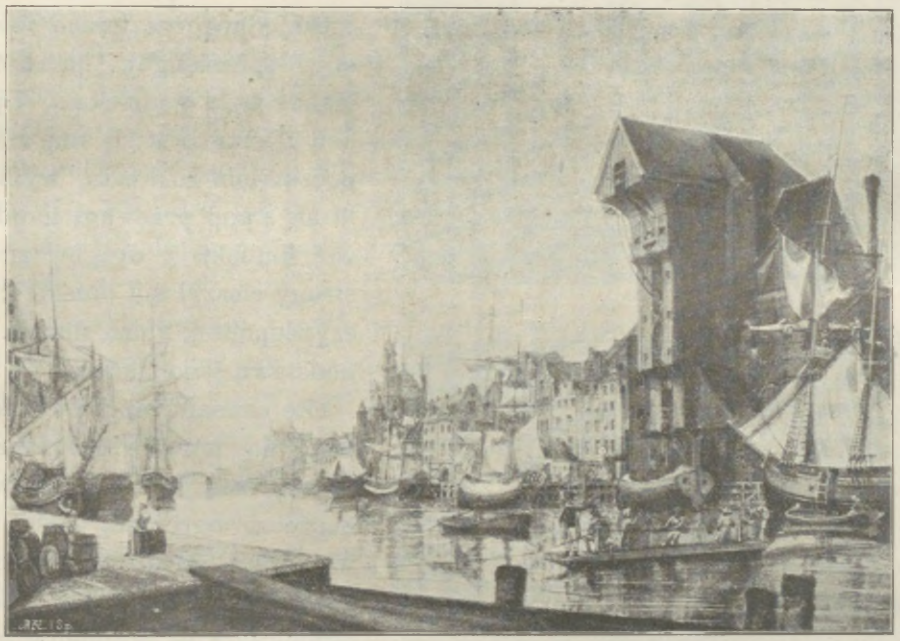

Fig 301. Port Gdański
(z obrazu w Galeryi miejskiej we Lwowie).

morzu Bałtyckiem, nakładali cło na okrety przejeżdżające, zamykali dostęp jednym i otwierali go drugim narodom, konfiskowali statki i towar niedozwolony.

Już pod koniec XV. w. do współzawodnictwa z Hanzą stanęli Holendrzy. Posiadali oni znaczną liczbę okrętów. Teraz, odkąd ruch handlowy rozpoczął się na oceanie Atlantyckim, starali się dostać na morze północne i Bałtyckie, będące dalszem jego przedłużeniem ku wschodowi. Cesarz Karol V. popierał usiłowania swoich poddanych. Między nim a królem duńskim stanął traktat w Spirze, otwierający cieśninę Sundzką dla okrętów niderlandzkich. Rozpoczyna się okres upadku Hanzy i żeglugi

na Bałtyku Holendrów. Także i inne narody prowadziły handel na morzu Bałtyckiem, ale nie szedł on w porównanie z handlem i żeglugą Niderlandów. Żaden naród nie posiadał takiej ilości okrętów i tylu bogactw, które się skupiały na giełdzie w Antwerpii, a później w Amsterdamie.

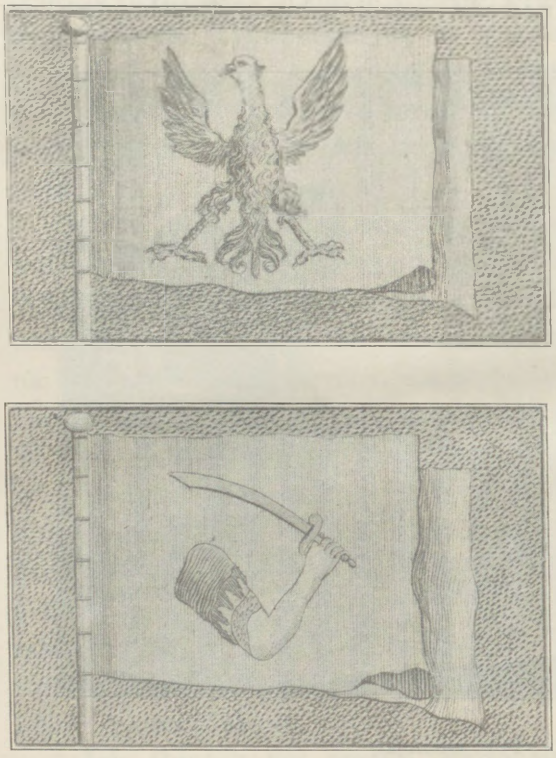

Fig. 302. Flagi (chorągwie) używane na okrętach polskich (na górze flaga narodowa polska, pod nią flaga polska królewska).

Gdańsk wchodził również w skład Hanzy, stał nawet na czele jednego z czterech obwodów (pruskiego), na który Hanza była podzielona. Upadek Hanzy stał się dla niego początkiem rozkwitu, wyzwolił się z pod przewagi handlowej Lubeki, z drugiej znów strony cieszył się opieką Rzeczypospolitej, która służyła za podstawę jego handlu.

Ze zamianą uprawy chłopskiej na uprawę folwarczną Polska zaczyna produkować zboże w ogromnej ilości na wywóz. Było to przeważnie żyto, ale prócz żyta także pszenica, owies, jęczmień, groch, tatarka. Rocznie spławiano w XVI. wieku przez sam port Gdański 50 tysięcy łasztów. Ale był to dopiero początek handlu zbożowego. Ku połowie XVII. w. cyfra roczna wywozu dochodziła do 150 tys. łasztów. Prócz zboża szły do Gdańska jarzyny, len, konopie, wosk, wełna i produkty leśne, jak smoła, potaż, dziegieć, zwłaszcza drzewo rozmaitego gatunku wielkie, używane na budowę okrętów nawet w Portugalii i w Hiszpanii, i małe, jak klepki, wąsosze i t. d. Z początku handel ten szedł z Wielkopolski, Mazowsza, po części z Małopolski. W drugiej połowie XVI. i na początku XVII. w. spławiano płody surowe z Podola i Rusi Czerwonej, dowożąc je lądem do Bugu i do Sanu. Na początku XVII. w. na Wołyniu palą lasy kupcom

gdańskim na sprzedaż. W miarę, jak zapotrzebowanie tych towarów rosło, coraz to szersze kręgi zataczał handel wywozowy Rzeczypospolitej. A obok niego rozwijał się i przywóz wszelkich towarów morzem, zwłaszcza wyrobów przemysłu. Miasta włoskie, jak Wenecya, Florencya, dostarczały jedwabiów, aksamitów, adamaszków. Miasta flamandzkie, po części niemieckie, cienkich płócien, Anglicy i Holendrzy sukien (falendyszu). Z Nowego Świata szły korzenie najrozmaitsze, cukier, srebro i złoto, materyały apteczne. Część tych towarów szła także lądem, ale miasta pruskie domagały się, aby inna droga prócz morskiej była im wzbroniona, a nawet szlachta skłonna była uczynić z Gdańska rodzaj wyłącznego ogniska handlowego dla Korony w interesie cen regularnych. Sprzeciwili się jednak temu kupcy krakowscy i wielkopolscy na sejmie r. 1565. i projekt ten się nie utrzymał. W dalszym ciągu szły niektóre towary z Niemiec i z Węgier, jak wino, także ze Wschodu, jak futra z Moskwy, safiany, kobierce, broń z Turcyi, mydło z Grecyi i t. p.

Przy skierowaniu prawie wyłącznem przywozu i wywozu na morze Bałtyckie, handel lądowy znacznie podupadł, a na tem ucierpiały najbardziej miasta Koronne. Nawet większe z nich, jak Kraków, czerpały główny swój dochód z wywozu płodów surowych, które były wyjęte z pod spławu, jak wosku, skór, czerwca, także ryb, piwa i t. p. Ogromne ilości wołów pędzono również przez komory lądowe na targi niemieckie.

Główne korzyści handlu spłynęły na miasta pruskie, zwłaszcza Gdańsk, który przy autonomii, niemal niezależności państwowej, nagromadził olbrzymią ilość bogactw. Kilkakrotnie nawet opierając się rozkazom króla i Rzeczypospolitej, przeprowadzał swobodnie wszystkie swoje zarządzenia na morzu i na lądzie, naprzykład w sprawie cła portowego lub handlu ze stronami nieprzyjacielskiemi. Gdańsk jednak własnej floty nie posiadał w takiej ilości, ażeby mógł się zająć przewozem morskim. Wyręczali go Holendrzy. Na ich to statkach odbywał się głównie handel morski. Rocznie zawijało do Gdańska po półtora do dwóch prawie tysięcy statków, a giełda zbożowa w Amsterdamie regulowała ceny zboża, przychodzącego z Polski prawie dla wszystkich krajów zachodniej Europy.

Prócz Holendrów trudnili się handlem przewozowym także i Anglicy. Za panowania Elżbiety założyli oni Kompanię Wschodnią z siedzibą w Elblągu i dostarczali przeważnie sukna (rocznie po 40 tysięcy postawów). Kupcy angielscy również zazdrośnie strzegli tego, ażeby towar przywozić i wywozić na własnych okrętach. Za panowania Zygmunta III. Gdań-

szczanie pozyskali przywilej cechowania wszystkich sukien przychodzących morzem do Polski. Był to cios dla Kompanii Wschodniej angielskiej, która musiała przenieść się do Gdańska.

Nawet królowie duńscy ciągnęli korzyści z handlu polskiego, pobierając cła na Sundzie. Jedyny zaś dochód skarbu Rzpltej polegał na tak zwanem portowem (Pfortzoll), pobieranem od towarów od r. 1585.

§ 19. Pieniądz i środki obiegowe. Przewrót w stosunkach ekonomicznych na początku XVI. w. odbił się i na spotęgowaniu oraz pomnożeniu środków obiegowych — pieniądza — który stanowi jedną z głównych sprężyn wszelkiego życia ekonomicznego, a zwłaszcza handlu.

System menniczy przyjęła Polska z Zachodu, gdzie od czasów Karolingów weszła w użycie moneta srebrna t. zw. denar, bita z grzywny myncarskiej w różnej ilości, zależnie od wagi grzywny. Za Bolesława Chrobrego bito grube denary ze stemplem obustronnym. W późniejszych czasach bito coraz to gorsze pieniądze. Denary Mieszka Starego, jak już wspomnieliśmy, bito z cienkiej blaszki; stempel na nich znajdował się z jednej tylko strony. Były to t. zw. brakteaty. Kruszec, jako środek obiegu, należał do rzeczy wyjątkowych za pierwszych Piastów. Zamiast niego były w obiegu kawałki soli czyli krusze (trzysta = kara sądowa), płatki płótna (stąd płacić), bydło (stąd szkojec, nazwa pieniądza), wreszcie skórki wiewiórcze, łasicze, czyli tak zwane łupieże.

W XIII. w. bito po raz pierwszy w mieście Tournois we Francyi szerokie denary t. zw. liwr turoński, które poczęto naśladować w Pradze pod nazwą groszy szerokich albo praskich. Moneta ta za Wacława II. (koło 1300. r.) dostała się i do Polski. Odtąd jednostką systemu menniczego w Polsce staje się grosz, który liczono na wagę (grzywna = 48 groszy), albo na kopy (kopa = 60 groszy). Do końca prawie XV. w. bito w Polsce same półgroszki w ilości 90 sztuk na grzywnę, 4 grosze zwano wierdunkiem lub fertunem (12 na grzywnę), 2 grosze — szkojcem (24 na grzywnę). Drobną monetę stanowiły denary, 12 na grosz czyli 576 na grzywnę.

Z biegiem czasu jednak wszędzie moneta strasznie podlała. Panujący coraz to większą ilość przysadzali miedzi do srebra, i coraz to niższa była wartość monety. W XV. w. zaczęto bić na Węgrzech monetę złotą, czyli tak zwane dukaty. Skutkiem braku dobrej monety zaczęto ich używać powszechnie w Polsce pod koniec XV. w. i wartość ich po raz pierwszy w r. 1496. oznaczano na 30 groszy polskich. Stąd wzięła się nazwa zło-

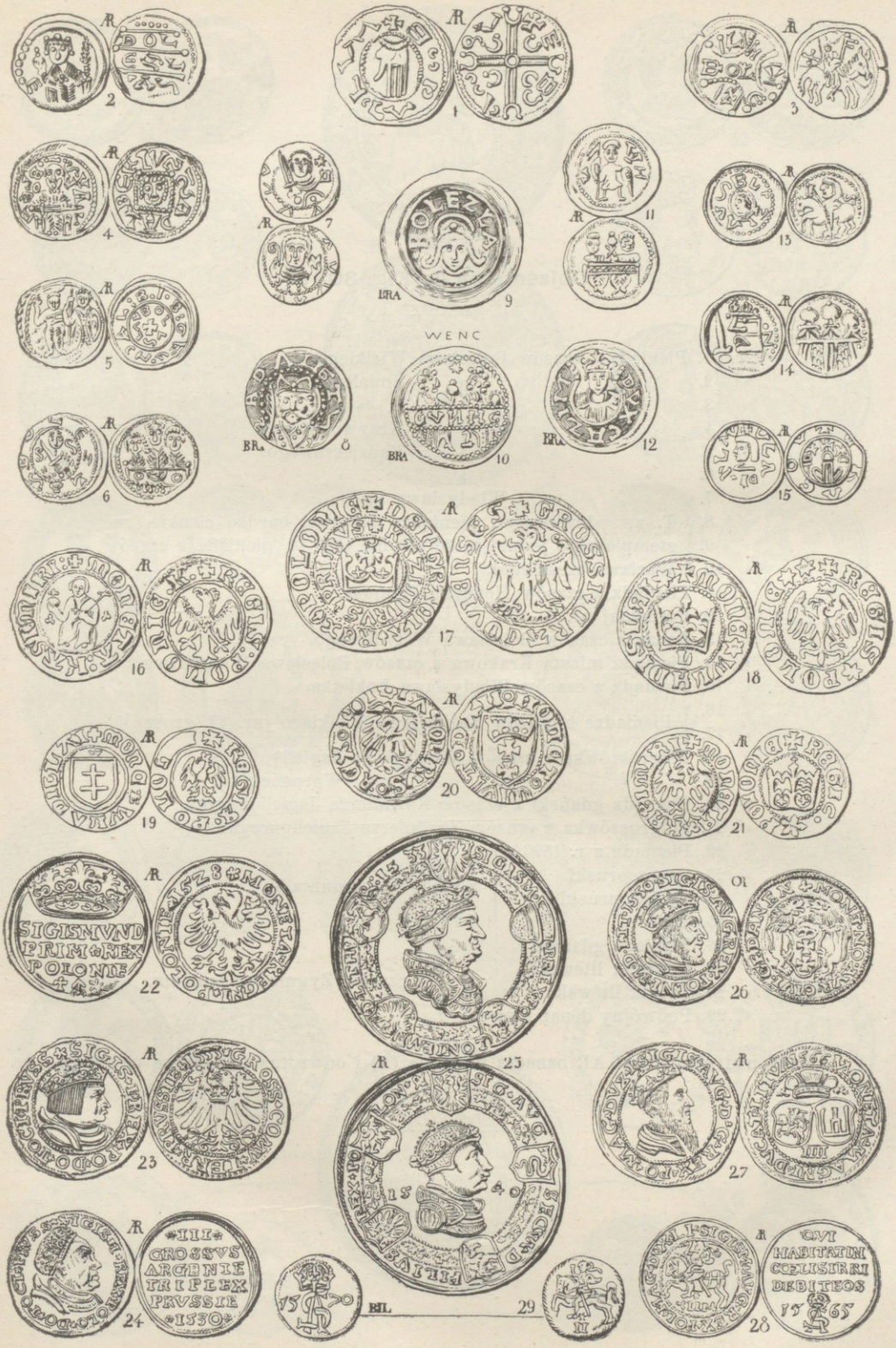

Fig. 303 a. Pieniądze polskie.
(Objaśnienia na odwrotnej stronie).

Objaśnienia do Fig. 303 a.

Nr. 1. Pieniądz z czasów Bolesława Wielkiego.
» 2. » » » Śmiałego.
» 3. » » » »
» 4. » » » Krzywoustego.
» 5. » » » Kędzierzawego.
» 6. » » » »
» 7. » » Władysława II.
» 8. } T. zw. »brakteaty«, pieniądze srebrne, bardzo cienkie, ze
» 9. } stemplem po jednej tylko stronie (Nr. 10. pieniądz z czasów
» 10. } Wacława czeskiego).
» 11. Pieniądz z czasów Henryka Probusa.
» 12. Porównaj nr. 8—10.
» 13. Denar z czasów Bolesława Wstydliwego.
» 14. Pieniądz miasta Krakowa z czasów Bolesława Wstydliwego.
» 15. Pieniądz z czasów Władysława Łokietka.
» 16. } Pieniądze z czasów Kazimierza Wielkiego (nr. 17. grosz).
» 17. }
» 18. Półgroszówka z czasów Władysława Jagiełły.
» 19. » » » Warneńczyka.
» 20. Pieniądz gdański z czasów Kazimierza Jagiellończyka.
» 21. Półgroszówka z czasów Kazimierza Jagiellończyka.
» 22. Pieniądz z r. 1528. }
» 23. Grosz pruski } z czasów Zygmunta I.
» 24. Trojak pruski }
» 25. Talar }
» 26. Pieniądz gdański }
» 27. Czworak litewski } z czasów Zygmunta Augusta.
» 28. Trojak lltewski }
» 29. Podwójny denar litewski }

Znak nad pieniądzmi AR oznacza przednią (A) i odwrotną (R) stronę monety.

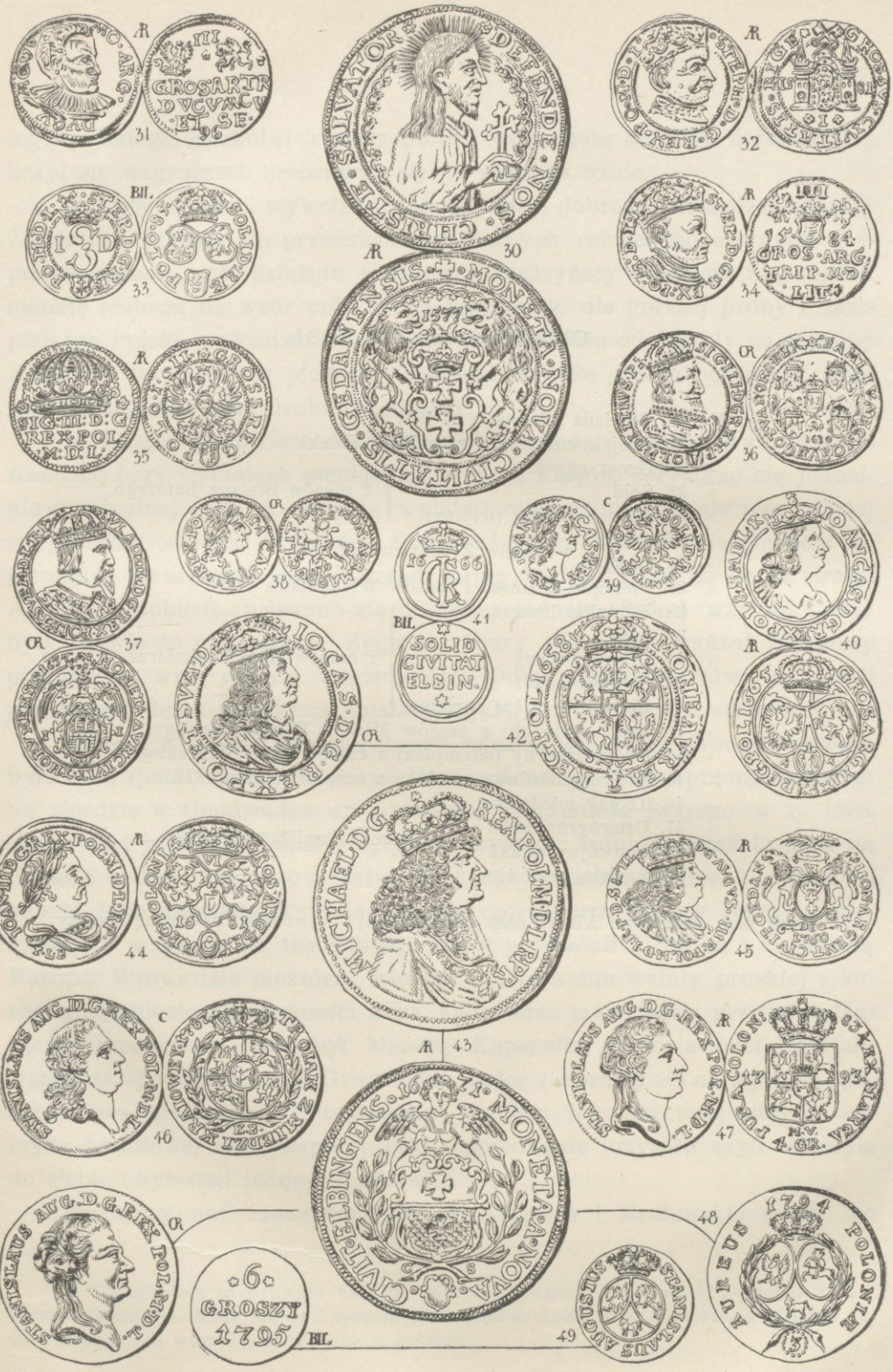

Fig. 303 b. Pieniądze polskie.
(Objaśnienia na odwrotnej stronie).

Objaśnienia do Fig. 303 b.

Nr 30. Pieniadz gdański z r. 1577.
» 31. Trojak kurlandzki z herbami Polski.
» 32. Grosz rygski
» 33. Sold
» 34. Grosz srebrny (triplex)
} z czasów Stefana Batorego.
» 35. Grosz
» 36. Dukat
} z czasów Zygmunta III.
» 37. Pieniądz toruński z czasów Władysława IV.
» 38. Półdukat litewski
» 39. Sold
» 40. Grosz srebrny
» 41. Sold elbląd zki
» 42. Podwójny dukat koronny
} z czasów Jana Kazimierza.
» 43. Talar elbląd zki z czasów Michała Wiśniowieckiego.
» 44. Grosz srebrny (sextuplex) z czasów Jana Sobieskiego.
» 45. Sześciogroszówka gdańska z czasów Augusta III.
» 46. Trojak miedziany
» 47. Czterogroszówka
» 48. Podwójny dukat
» 49. Sześciogroszówka
} z czasów Stanisława Augusta.

Znak nad pieniądzmi AR oznacza przednią (A) i odwrotną (R) stronę monety.

tego polskiego, aczkolwiek złoty polski był monetą srebrną liczebną, t. j. liczył się w groszach srebrnych, ale go nie bito wcale.

Rozwój handlu i wywołane stąd potrzeby dobrego pieniądza, zmusiły Zygmunta Starego do przedsiębrania licznych reform monetarnych. Naprzód sąsiedzi, jak książęta raciborscy, cieszyńscy i inni na Śląsku, bili monetę srebrną na wzór polskich półgroszków, ale gorszej próby i zatapiali nią Polskę, natomiast dobre półgroszki polskie odpływały za granicę. Zygmunt Stary po raz pierwszy rozkazał bić całe grosze polskie, a prócz tego kwartniki i inne drobne pieniądze.

W handlu podówczas pieniądze były kosmopolityczne, czyli posługiwano się przy wypłatach pieniądzmi różnych krajów, trzymano się jednak nie nominalnej (t. j. na monecie wybitej) ceny pieniądza, ale jego wartości, zależnie od ilości kruszców. Ponieważ ta wartość skutkiem psucia się pieniądza nieustannie malała, przeto kupcy byli narażeni na liczne straty. Aby im zapobiedz, uciekano się do złotej monety, której wartość i cena były prawie że niezmienne. Zygmunt Stary pierwszy nakazał bić złoty pieniądz na wzór dukata węgierskiego. Odtąd Polska na równi z innemi państwami chrześcijańskiemi miała dwojaką walutę: złotą i srebrną [1]).

Trzecia wreszcie i najdonioślejsza reforma w zakresie środków obiegu była unia (jednolitość) monetarna Prus z Koroną i Litwą, przeprowadzona na zjeździe w Grudziądzu za panowania Zygmunta Starego w r. 1528. Prusy pod rządami Zakonu były zrujnowane; ruina ta okazała się i na punkcie waluty; dość powiedzieć, że denary pruskie zamiast $^1/_4$ miały $^3/_4$ miedzi, jako przysady. Tymczasem kraj potrzebował waluty stałej i regularnej ze względu na ten handel, który prowadził z Polską i zachodnią Europą. Wprawdzie niektórzy widzieli w zrównaniu waluty pruskiej z koronną osłabienie niezależności Prus, ale interes materyalny przemógł. Gorącym rzecznikiem unii był Mikołaj Kopernik, przedstawiciel kapituły warmińskiej na zjeździe w Grudziądzu, autor rozprawy »O najlepszym sposobie bicia pieniądza«. Przemawiały zdaniem jego za unią nietylko korzyści handlowe, ale i wspólny cel — pojednanie umysłów czyli zbliżenie do siebie obywateli jednego państwa.

Na mocy unii monetarnej Prusy Książece i Królewskie miały bić

---

[1]) Waluta jest to prawnie ustalona wartość monety (pieniądza), porządek monetarny w państwie. Może nią być moneta złota albo srebrna, albo obydwie, a w takim razie stosunek ich wartości rozstrzyga o walucie.

monetę z jednakowej grzywny i jednakowej wagi. Moneta pruska miała na jednej stronie herb Rzeczypospolitej, a na drugiej herb pruski.

Porównanie monety polskiej z litewską było w zasadzie uchwalone już w r. 1501., aczkolwiek weszło w życie naprawdę dopiero w r. 1569.

Pod koniec XVI. w. wchodzi w użycie nowa jednostka monetarna, talar, bita ze srebra, naprzód w Gdańsku za Stefana Batorego, później i w Koronie. Dukat i talar stanowiły grubą monetę, grosze zaś, półgroszki, trojaki, szóstaki — drobne pieniądze.

§ 20. Przewrót cen w XVI. i XVII. w. Wieki średnie były okresem nieustannego psucia się pieniądza. Ponieważ pieniądz jest miarą wartości, przeto zmiana jego odbijała się przedewszystkiem na cenach rozmaitych towarów. Zasadą jest w handlu, że ceny dążą do wyrównania się z wartością pieniądza, czyli w miarę, jak ta wartość pieniądza się obniża, ceny rosną. Na pozór towar drożeje, gdy tymczasem to pieniądz nie odpowiada wartością swej cenie, czyli cena jego jest wyższa, aniżeli wartość wewnętrzna.

Proces ten spadku pieniądza również odbywał się w Anglii, gdzie jednostką monetarną był pence, jak i we Francyi, gdzie jednostką był liwr, jak wreszcie w Niemczech i w Polsce.

Drugą zasadą obiegu pieniądza jest to, iż wszystkie pieniądze muszą mieć jednakową wartość i cenę. Jeżeli w obiegu krążą dwa rodzaje pieniądza — o różnej wartości, natenczas pieniądz gorszy czyli nominalnie wyżej szacowany ponad swoją wartość, wypiera z obiegu kruszec lepszy czyli ten, którego cena odpowiada wartości nominalnej. Zasady te sformułował na początku XVI. w. u nas w Polsce Mikołaj Kopernik.

W Polsce grosz nieustannie obniżał się na wartości. Wpływał na to dowóz obcej fałszywej monety — półgroszków świdnickich — następnie nieprawidłowy stosunek cen złota do cen srebra, skutkiem którego srebro, jako tańsze, pozostawało w kraju, złoto zaś, droższe, odpływało za granicę. Było to powodem ciągłej drożyzny, a z drugiej strony odpływu pieniędzy za granicę. Tak jednemu jak i drugiemu starano się zaradzić regulowaniem cen pieniądza, zakazem wywożenia towarów.

Do tego ciągłego niedomagania stosunków monetarnych od połowy XVI. w. przyłączył się jeszcze nowy czynnik — był to napływ kruszców szlachetnych z Nowego Świata.

Dotychczas ilość pieniądza, dostarczana rocznie przez kopalnie złota i srebra w Europie, była mniej więcej stała. Od r. 1540., ilość kruszców

nagle się powiększyła. Roczny dowóz kruszców szlachetnych z Ameryki dorównywał przeciętnie całej ilości kruszców, znajdujących się w Europie. Stan ten trwał nieprzerwanie przez cały wiek XVI.

Mówiliśmy już o skutkach tego napływu złota i srebra na wzrost przemysłu i handlu. Ale nic to w porównaniu z tem wstrząśnieniem, jakiego doznały ceny towarów, a co za tem idzie, stosunki społeczne. W krajach bezpośrednio otrzymujących kruszce i bliżej położonych, jak w Hiszpanii, Francyi i Anglii, ceny podskoczyły dwukrotnie i trzykrotnie w ciągu XVI. wieku i to zarówno ceny żywności, jak wyrobów przemysłowych, tudzież ceny ziemi. Był to już wzrost nie nominalny cen, jak dotychczas skutkiem obniżenia się wartości pieniądza, ale istotny, skutkiem obniżenia się siły kupna pieniądza. Za tę samą ilość kruszcu — złota czy srebra, można było dostać towarów dwukrotnie lub trzykrotnie mniej, aniżeli dotychczas.

Głównym odbiorcą złota i srebra z Nowego Świata była Hiszpania. Napływ kruszców szlachetnych spowodował tutaj takie wstrząśnienia społeczne, iż podkopał przemysł i rolnictwo. Ceny poszły tak wysoko w górę, iż wygodniej było sprowadzać towary z innych krajów. Pieniądz odpływał natomiast do Francyi, do Anglii i do Niderlandów. Polska leżała nazbyt daleko od krajów, bezpośrednio sprowadzających kruszec z Ameryki, ażeby odczuć odrazu wszystkie skutki obniżenia się wartości pieniądza.

Prowadziła ona handel jedynie za pośrednictwem Gdańska. To też Gdańsk, a głównie rynek jego zbytu Amsterdam, stanowiły ceny na towary wywożone, zwłaszcza zboże. Im bliżej Gdańska, jak w Prusiech, w Wielkopolsce, tem ceny były wyższe i naodwrót, w dalszych prowincyach Polski ceny zostawały się bez zmiany lub też nieznacznie tylko szły w górę. W każdym razie w drugiej połowie XVI. w. ceny zboża stale rosną i to niezależnie od zmian waluty. Nawet na rynkach wewnętrznych, jak w Krakowie, podnoszą się prawie w dwójnasób. Ceny zaś towarów zagranicznych stale idą w górę, zależnie od krajów, gdzie towary były wyrabiane.

Wzrost ten cen skutkiem obniżenia się siły kupna pieniądza trwał tylko przez czas niejakiś. Na schyłku XVI. i na początku XVII. w. ustał prawie zupełnie skutkiem przystosowania się cen do nowej wartości pieniądza, skutkiem zastosowania pieniądza do rozmaitych gałęzi pracy ludzkiej, skutkiem powstania nowych potrzeb i rozszerzenia się ich na coraz to większe masy ludzkości.

Na przełomie jednak XVI. i XVII. w. powstało nowe zamieszanie

w środkach obiegowych. Rozwój państwa nowożytnego wymagał coraz to większych zasobów pieniężnych na prowadzenie wojny, na utrzymanie rozległych stosunków dyplomatycznych z innemi państwami. Nie wszystkie państwa mogły wydołać tym potrzebom, ani też znaleźć ich pokrycie w sile podatkowej społeczeństwa. Trzeba było uciekać się do zaciągania długów. Dla ich pokrycia wypuszczano w obieg coraz to gorszy pieniądz.

Do Polski zamieszanie przyszło z Zachodu. Po reformie 1528. r. za Zygmunta Starego przyszła reforma monetarna r. 1580 za Stefana Batorego, ustanawiająca ilość każdego rodzaju pieniądza na grzywnę czystego kruszcu i grzywnę myncarską wraz z przysadą. Ze wstąpieniem na tron Zygmunta III. bicie pieniędzy dostało się do rąk przedsiębiorców prywatnych, którzy płacili pewien dochód skarbowi. Liczba mennic się rozmnożyła, natomiast pieniądz podlał. To wywołało uchwałę sejmową w r. 1603. ograniczającą liczbę mennic do czterech.

Za Kazimierza Jagiellończyka dukat stanowił 30 gr. pol. W przeciągu jednego wieku cena dukata podniosła się przeszło półtora raza, na 52 gr. Tymczasem od reformy monetarnej r. 1580. do r. 1640. czyli przeszło w lat 60, cena dukata podniosła się do 6 złp. (180 gr.). Należy zauważyć, iż wartość grubego pieniądza, dukata, nie zmieniła się prawie zupełnie od tego czasu, czyli mógł on uchodzić za jednostkę niezmienną w porównaniu do grosza, który zawierał coraz większą ilość przysady (miedzi), coraz mniej natomiast srebra.

Z początku skarżono się na mennice królewskie, na nadmierne zyski skarbu i przedsiębiorców prywatnych. Gdy jednak w trzecim dziesiątku XVII. w. wypuszczano stale pieniądze jednej i tej samej próby, a pomimo to cena grubego pieniądza rosła, spostrzeżono się, że zło jest ogólne i nie tkwi w przyczynach wewnętrznych krajowych, ale zewnętrznych. Z powodu, iż pieniądz obcy miał kurs w kraju równoznaczny z polskim, pieniądze zaś polskie były wyższej próby aniżeli obce, przeto wywożono je za granicę. Chcąc utrzymać pieniądz w kraju, trzeba było przystosować go do cen pieniądza zagranicznego, a gdy wartość tego ostatniego malała, trzeba było bić pieniądze polskie coraz niższej próby, a to wywoływało narastanie cen grubego pieniądza — dukata i talara — oraz drożyznę.

Na sejmie r. 1629. uchwalono przestać bić drobną monetę i ograniczyć się do bicia talarów i dukatów. Stan ten przetrwał przez cały prawie okres panowania Władysława IV. Przed śmiercią prawie na sejmie r. 1632.

król Zygmunt III. zrzekł się dochodu z mennicy i przekazał go na rzecz skarbu Rzpltej.

W 4-ym jednak i 5-ym dziesiątku XVII. w. odpływały talary z Polski skutkiem nadmiernie nizkiego ich szacunku. W Polsce zostawało samo złoto, przyczem na sprzedaży jego kupcy obcy zarabiali tak samo, jak na kupnie dukatów. Z ustaniem bicia drobnej monety okazał się brak jej wielki i zagęściła się obca drobna moneta nizkiej próby.

To przesilenie pieniężne nie miało znaczenia handlowego. Owszem kupcy byli za podniesieniem cen talara i dukata, albowiem porównywało to ceny pieniądza polskiego z cenami zagranicznemi. Żądali tylko cen na towary odpowiednio do cen zagranicznych, nominalnie wyższych, w porównaniu z dawnemi w rzeczywistości niezmienionych. Istotnie z porównania cen żywności, wyrobów przemysłu, a nawet płac w przeciągu lat 60 okazuje się, że ceny pozostały te same, mimo, że wartość ich nominalna trzykrotnie wzrosła.

Inaczej odbiło się to przesilenie na dochodach skarbowych, na czynszach, fundacyach dobroczynnych i t. p. Tych cena nominalna pozostała ta sama, mimo że wartość ich w pieniądzu obniżyła się. Podobnież stracili pożyczający pieniądze na zastaw lub na procent, gdyż odbierali nominalnie tę samą ilość pieniądza, istotnie zaś mniejszą.

§ 21. Polityka ekonomiczna. Na przełomie XV. i XVI. w. narody europejskie wstępują w okres wzmocnienia siły państwowej i skutkiem tego pomnożenia zadań państwa. To spowodowało po raz pierwszy władzę naczelną państwową do wkroczenia w zakres czynności i spraw ekonomicznych. Dotychczas stany i korporacye zawodowe same brały na siebie te zadania.

Mówiliśmy już o walce, którą wydał stan ziemiański korporacyom cechowym i handlowym, zarówno jak i o ulgach, które pozyskał dla siebie w sprawie wywozu płodów surowych za granicę. Ulgi te rzekomo dotyczyły wszystkich konsumentów, jak i producentów (głównie wolność od cła artykułów bezpośrednio produkowanych lub też dowożonych na własne potrzeby), w rzeczywistości jednak stawały się przywilejem jednej warstwy szlacheckiej, która objęła naczelną rolę nie tylko pod względem politycznym, ale handlowym i ekonomicznym w państwie.

Chłop był za słaby ekonomicznie, ażeby mógł konkurować z panem. Zresztą gospodarstwo chłopskie podupada i wystarcza zaledwo na utrzymanie własnej rodziny chłopa. Na stan kupiecki spada cały ciężar ceł

i myt, jako na pośredników w wymianie bogactw. Szlachcic, chociaż podpadał takiemu samemu ograniczeniu w razie, jeżeli handlował towarami nie swymi własnymi, na przykład zbożem, drzewem lub wołami, mógł zawsze uchylić się od odpowiedzialności. Stan rzemieślniczy, którego dawne więzy organizacyi zawodowych łamano, był za słaby, ażeby mógł wytrzymać wszystkie te próby i przystosować się do wymogów wolnej konkurencyi.

Szlachta, która uzyskała zupełną swobodę handlu w zakresie własnych wyrobów, nie dopuszczała jej w zakresie wyrobów przemysłu, tudzież towarów zagranicznych.

Pod tym względem już w ustawodawstwie nieszawskiem spotykamy nakaz, ażeby ceny towarów były oznaczone przez urzędy ziemskie starostów i wojewodów w porozumieniu z magistratami. Odtąd więc mamy taksy wojewodzińskie na wyroby przemysłu miejscowego.

Daleko trudniejsza była sprawa z towarami zagranicznymi. Odkąd zwłaszcza w połowie XVI. w. z obniżeniem się siły kupna pieniądza na Zachodzie ceny ich rosną, szlachta skarży się nieustannie na drożyznę i domaga się ustanowienia cen na towary zagraniczne. Na sejmie r. 1565. była skłonna nawet zostawić samym Gdańszczanom prawo sprzedawania towarów zagranicznych; łatwiej — sądziła — znaleźć sposóbu stanowienia jednostajnych cen na towary dowożone i poddanie ich tej samej reglamentacyi, w jaką ujęła przemysł miejscowy.

Temu sprzeciwiły się miasta koronne, ale już na sejmie r. 1623. za Zygmunta III. uchwalono ogłosić ogólną taryfę cen towarów zagranicznych i powierzono wykonanie tej uchwały komisyi sejmowej, która powołała do swego grona jako rzeczoznawców magistraty gdański, krakowski i lubelski. Tak powstała pierwsza ogólna taryfa na towary w Lublinie 1623. r. Za nią niebawem poszła druga podwójna ułożona w Lublinie i Wilnie w r. 1627. i wreszcie trzecia, ostatnia, czworaka: we Lwowie dla Rusi Czerwonej, w Wilnie dla Litwy, w Krakowie i w Poznaniu dla Wielko- i Małopolski w r. 1633. Wszystkie te próby chybiły. Naprzód sprzeciwili się takiej taryfie kupcy, którzy miejscami zamykali swe sklepy, a nie było środka do zmuszenia ich, aby wprowadzili taryfy te w życie. Powtóre niepodobieństwem było ustanowić jednostajną taryfę bez przyjęcia pod uwagę różnic miejscowych, cen transportu i t. p. Temu starano się zapobiedz, ogłaszając osobną taryfę dla każdej z dzielnic Rzeczypospolitej, zezwalając na zmiany cen zależnie od warunków miejscowych. Wreszcie, i co

najważniejsze, okazało się niepodobieństwem oznaczyć stałe ceny na towary, których cenę stanowiono na rynkach obcych, których cena zaś na rynku miejscowym zależała od podaży i popytu, od warunków transportu i t. p.

Dlatego w r. 1645. komisya sejmowa, po rozpatrzeniu dawnych prób i nowych projektów, przyszła do wniosku, że na towar zagraniczny nie można naznaczyć cen; dlatego uciekła się do środka połowicznego. Pozostawiła kupcom oznaczanie cen na towary, określiła jednak procentowo zysk, jaki każdy kupiec mógł pobierać, największy dla chrześcijan, najmniejszy dla żydów. Oczywista, było to tylko pobożne życzenie. W rzeczywistości zwyciężyła zasada wolności stanowienia cen zależnie od umowy między kupcem a stroną. Dawne taksy i taryfy przetrwały jednak aż do XVIII. w. przeważnie w zakresie żywności i wyrobów rzemieślniczych. Reglamentacya cen na towary zagraniczne rozbiła się o żelazne prawa cen rynkowych.

Walka z drożyzną była najważniejszem zagadnieniem społecznem w XVI. i XVII. w. Przyczyny jej szukano przedewszystkiem w zepsuciu monety, dlatego sprawy monetarne były osią polityki ekonomicznej.

Z tego znaczenia, jakie pieniądz odgrywał w życiu, powstało zapatrywanie, iż pieniądz a właściwie kruszec złota czy srebra stanowi bogactwo narodu. Myśl ta później rozwinięta w zasadach t. zw. merkantylizmu (popierania handlu) i w szczegółach przeprowadzona wydała t. zw. industryalizm ministra francuskiego Colberta, czyli politykę popierania przemysłu kosztem rolnictwa, wywozu kosztem przywozu. Dążeniem najusilniejszem było, ażeby ilość kruszców napływających do kraju była większą aniżeli wychodzących, natenczas bowiem bilans (zamknięcie rachunków) uważano za korzystny, nadwyżka stanowiła o powiększeniu się bogactwa kraju, w przeciwnym razie bilans był ujemny. Przy pomocy taryfy celnej lub też zakazu importu i eksportu (przywozu i wywozu) starano się doprowadzić zawsze do bilansu korzystnego. Mniemano zatem, że pieniądz jest to bogactwo narodu, należy więc odpływ jego tamować, natomiast powodować przypływ. Regulatorem obiegu pieniądza w państwie jest handel. Trzeba więc było przedewszystkiem ująć w ręce kierownictwo ruchu handlowego, ażeby nie wyprowadzał pieniędzy z kraju, natomiast jak najwięcej ich przyciągał. Wieki średnie nie znały ceł ochronnych t. zw. prohibicyjnych (t. j. ceł utrudniających towarowi zagranicznemu współzazawodnictwo z krajowym), lub też dzisiejszych premii wywozowych (na-

gród za wywóz towarów za granicę). Cła były przeważnie przewozowe, czyli w równej mierze dotykały towary swoje jak i obce, wychodzące jak i przychodzące do kraju.

Trzeba przeto było wymyśleć inny środek regulowania handlu i za pośrednictwem jego obiegu pieniądza. Środkiem tym było zamknięcie granicy. Zakaz wywozu pieniądza uderzał tutaj nie w sam pieniądz, ani w towar, tylko w kupców. Chodziło o to, aby kupcy miejscowi nie jeździli za granicę i nie wywozili towaru, a co za tem idzie — pieniędzy, tylko aby na to miejsce kupcy obcy przyjeżdżali i zostawiali za towary krajowe swoje pieniądze. Polityka ta nie była wcale wynikiem działania szlachty, ani też była wymyślona w Polsce, naodwrót kierowano się nią powszechnie jeszcze nawet w XVII. w. w Niemczech.

Bezpośrednim powodem zamykania granicy był dowóz obcej fałszywej monety. Stosował ten środek król Zygmunt Stary wielokrotnie w latach 1528—1538 względem Śląska, zwłaszcza Wrocławia, z powodu napływu fałszywych półgroszków do Polski. Na sejmie zaś r. 1565. zakaz ten jeżdżenia kupców za granicę rozciągnięto powszechnie na wszystkich kupców Korony. Zarządzenie to stoi w jednym szeregu z potwierdzeniem dawnych dróg, składów i jarmarków i rzeczywiście nie przyniosło ze sobą nic nowego. Środek ten ze względu na popieranie i rozwój handlu był przestarzały i całkiem chybiony, co więcej byłby szkodliwym, albowiem tamował swobodę kupców, gdyby go ściśle przestrzegano. W tym wypadku jednakowoż, jak w wielu innych, n. p. w sprawie zniesienia bractw i cechów, lub stanowienia cen na towary zagraniczne, pozostał się on do końca na papierze. Kupcy czy to z Krakowa, czy z Wielkopolski, czy z Rusi, jak przedtem, tak później wywozili swoje towary za granicę. Gdy w okresie przesilenia pieniężnego za Zygmunta III. coraz to liczniejsze głosy poczęły się odzywać za powtórzeniem tej próby ekonomicznej, na sejmie r. 1620. przeszła znowuż ta sama uchwała zamknięcia granicy, ale tylko dla Wielkopolski. Inne ziemie zarówno Korony, jak i Litwy nie śmiały uciekać się do podobnego zarządzenia. Zresztą w czasie zamieszania monetarnego środek ten miał swoje racye. Zdanie, jakoby to zarządzenie podkopało handel w Polsce i przeszkodziło rozwojowi przemysłu, nie wytrzymuje krytyki już dla samej szczupłości czasu i miejsca, w jakiem było stosowane. Zresztą z rozpatrzenia samych artykułów handlu zagranicznego Polski, które stanowiły niemal wyłącznie płody surowe, najlepiej okazuje się, że na przemysł nie mógł oddziałać ten zakaz szkodliwie, co się tyczy zaś

handlu wywozowego, to o swobodę jego nazbyt dbała szlachta i rozkwit jego był z uszczerbkiem finansów państwowych (wolność od ceł), jak i przemysłu (nieograniczony wywóz surowca).

Ustawodawstwo sejmowe wyłącznie prawie szlacheckie zajmowało się popieraniem wywozu, co zaś do rozwoju przemysłu, to mógł go po części popierać król. Tak Stefan Batory uwzględnił żądanie białoskórników z Krakowa, skarżących się, iż wyroby ich podlegają wyższemu ocleniu na granicy, aniżeli surowiec. Z rozporządzenia króla cło na surowiec zostało zrównane z cłem na wyroby przemysłowe.

Z tej samej zasady merkantylizmu, uważającego pieniądz za bogactwo narodu, szły zarządzenia, dotyczące używania towarów zagranicznych, dowożonych i ograniczenie t. zw. zbytku. Narzekania na szerzący się zbytek przybierają coraz większe rozmiary w Polsce pod koniec XVI. i na początku XVII. w. W uchwałach sejmików ziemskich czyli t. zw. laudach spotykamy coraz częściej żądania praw o zbytku (leges sumptuariae). Żądaniom tym uczyniono wreszcie zadosyć w r. 1609. przez wydanie ustawy, zabraniającej mieszczanom strojenia się w jedwabie i drogie futra. Ale niebawem, bo już w r. 1627. zakaz ten w części uchylono, zastępując go nałożeniem podatku po złotemu od osoby na mieszczan, którzy używają towarów zbytkowych zagranicznych.

Zamykanie granicy dla kupców krajowych i prawo o zbytku były jedynemi zarządzeniami merkantylistycznemi, jakie wprowadziła u siebie Rzeczpospolita.

§ 22. Przemysł eksploatacyjny. Kopalnie i huty w Polsce. W Polsce istniała z dawien dawna eksploatacya (wyzyskiwanie) bogactw natury i przedsiębiorstwa fabryczne z nią związane. Spadek wody zużytkowywano dla poruszania młynów, później zakładano papiernie, tudzież huty żelazne. Największe skarby natury zawierały się w pokładach soli Bochni i Wieliczki, tudzież w kopalniach srebra i ołowiu w Olkuszu.

Sól wywożono z Polski do krajów sąsiednich, jak na Śląsk, do Węgier. Ołów wywoziła Polska i dalej na Zachód. Był to jedyny prawie kruszec, z którego słynęła w całej Europie. Na Ukrainie były przytem znaczne obszary, z których eksploatowano saletrę. Wywóz saletry był zakazany, chyba za umyślnem pozwoleniem królewskiem, z powodu zapotrzebowania jej na użytek wojenny w kraju.

Pierwotnie wszystko to, co się kryło pod ziemią, było uważane za regalię czyli należało do panującego. Dopiero Stefan Batory zrzekł się

praw królewskich do skarbów i bogactw kopalnianych: wolno było przeto wydobywać je na własną rękę.

Najbogatsze jednak kopalnie należały do króla, jak żupy solne oraz kopalnie Olkuskie. Pierwsze były wydzierżawiane, albo też oddawane w administracyę urzędników królewskich, z drugich król pobierał dziesięcinę, tak zwaną olborę.

Na czele górnictwa olkuskiego stał olbornik i sędzia żupnik, tudzież jego zastępca podsędek lub podżupnik. Dodany im był do pomocy pisarz i kilku przysięgłych. Sądzili oni spory, zachodzące między górnikami.

Cały obwód górniczy rozszerzał się na przestrzeni blizko jednej mili kwadratowej wkoło Olkusza i był podzielony na części albo gwarki (pod koniec XVII. w. było ich 59); każdy miał swojego właściciela z pośród szlachty i robotników. Gwarnicy mieli swe zjazdy doroczne (dwa razy do roku), na których dawano zezwolenia na otwarcie nowych kopalń lub odnowienie zapuszczonych. Zresztą prawa gwarnicze można było nabyć, kupując je, lub też odsprzedać komu drugiemu. Z 24 miar kruszczu eksploatowanego 4, czyli $^1/_6$ przypadała na rzecz skarbu koronnego, podobnież od każdych 160 czystego ołowiu 10 szło na skarb, który płacił za przetopienie 600 tynfów (pod koniec XVII. w.).

Całe gwarectwo było podzielone na dwie części: jedna obfitowała bardziej w srebro, druga w ołów. Obydwie jednak eksploatowano przeważnie dla srebra. Dochód roczny wynosił prawie 90%, do czego trzeba dołączyć wkłady na piece i t. p. Według Łukasza Opalińskiego produkcya roczna min olkuskich wynosiła 6 tysięcy grzywien czystego srebra i 50 tysięcy cetnarów ołowiu.

Prócz tych najznaczniejszych kopalń soli, ołowiu i srebra, były jeszcze kopalnie miedzi na Spiżu. Miedź wywożono wogóle z Węgier przez Polskę. W jednym roku (w XVI. w.) pewien kupiec holenderski wywiózł miedzi z Gdańska na 70 okrętach. Wogóle Karpaty obfitowały w kruszce i drogie kamienie. Ślady wydobywania tych skarbów w Tatrach pozostały do dnia dzisiejszego w nazwie dolin, jak Kuźnice, Huty. Jest legenda, że Zygmunt III. bił dukaty swoje ze złota dobywanego w Tatrach. W dobrach biskupstwa krakowskiego dobywano żelazo. W okolicach Kielc i Krakowa (niedaleko Pyzdr) były łomy pięknego marmuru. Wywożono galman beczkami z Krakowskiego do Gdańska.

Eksploatacya tych skarbów już w XVII. w. była bardzo niedbałą, gdyż szlachta nie chciała czynić żadnych wkładów, za mało też interesowała się skarbami pozostającymi w ziemi. Tak kopalnie olkuskie powoli zalane zostały wodą ku schyłkowi XVII. i na początku XVIII. w.

Z wód mineralnych historyczną przeszłość mają za sobą wody siarczane w Busku, Swoszowicach, Krzeszowicach, żelazne w Nałęczowie.



Fig. 504. Kopalnia Wielicka w r. 1760.
Obraz Borlacha (z kliszy użyczonej przez p. Feliksa Piestraka).

§ 23. Przemysł w Polsce. Przemysł w Polsce, jak w całej zachodniej Europie, opierał się przeważnie na rzemiosłach zaspokajających prawie wyłącznie potrzeby miejscowe i był zacieśniony w wązkich ramach korporacyi cechowej. Mówiliśmy już o walce z cechami, czy to przemysłowymi, czy kupieckimi i o rozszerzaniu inicyatywy osobistej rzemieślnika zarówno na Zachodzie, jak i u nas. Szlachta w Polsce domagała się zniesienia cechów, ażeby obniżyć ceny na towary, podobnież uwolnienia kupców obcych od przemysłu targowego, ażeby bezpośrednio kupować towary.

Podobnież rozluźnienie węzłów organizacyi kupieckich działo się przez wyłączne oddanie pewnych gałęzi handu w ręce jednostek lub też stowarzyszeń kupieckich. Tak powstały monopole handlowe, z których później wykwitły najrozmaitsze towarzystwa czyli kompanie handlowe kupieckie naprzykład w Anglii kompania Moskiewska, Turecka, Wschodnia. Rozwój tych kompanii na Zachodzie dał dopiero podstawy nowożytnemu handlowi wszechświatowemu, zwłaszcza Wielkie kompanie indyjskie (wschodnio- i zachodnio-indyjska), powstałe prawie jednocześnie w Niderlandach, Anglii, Francyi, później nawet w Austryi, stały się prawdziwemi potęgami nie tylko handlowemi, ale politycznemi. Dzięki im państwa przyszły do posiadania floty i kolonii, nieraz całych obszarów świeżo przyłączonych.

Już Zygmunt August tworzył monopole dla handlu woskiem i inne. Były one usilnie zwalczane przez miasta pruskie, zwłaszcza Gdańsk, i dla tego nigdy długo się nie utrzymały. Ten sam panujący podjął trafną myśl wystawienia floty morskiej na Bałtyku. Na razie miała ona na celu przeszkadzenie handlowi z Moskwą. Używał do tego celu Kaprów (t. j. korsarzy morskich), biorąc ich w swoją służbę. W ten sam sposób w Anglii rozwinęła się z czasem prawdziwa potęga morska (uczynił to sławny w XVI. w. żeglarz Franciszek Drake). I tutaj jednak stanął na przeszkodzie wązki interes kupiecki Gdańszczan, którzy uważali tych kaprów za zwykłych rozbójników. Stefan Batory musiał się wyrzec tej jedynej floty polskiej wzamian za dochód z portowego.

W Polsce do połowy prawie XVI. w. przemysł domowy zaspakajał w przeważnej części potrzeby mieszkańców — gospodarstwo wiejskie dostarczało niezbędnych materyałów na wyrób obuwia, jak skóry, i na wyrób odzieży, jak wełny, lnu. Kromer w swym opisie Polski za ostatnich Jagiellonów powiada, iż Polska, jeżeli ustępuje co do swoich rękodzieł Niderlandom, to żadną miarą nie zostaje w tyle za resztą krajów zachodnio-europejskich. Jeszcze za Zygmunta Augusta wyrób sukien w Wieluniu i Kościanie dosięgał znacznych rozmiarów. Ale już w drugiej połowie XVI. w., a zwłaszcza w pierwszej połowie XVII., wyrób krajowy poczynają wypierać wyroby zagraniczne. Nawet grubsze gatunki sukna (t. zw. falendysz) wprowadzają w ogromnej ilości kupcy holenderscy przez Gdańsk i angielscy, którzy mają swoje kantory w Elblągu i w Kownie. Konkurencya kupców obcych zaznacza się w skargach i narzekaniach na tak zwanych szotów. Ambasador fancuski podaje

liczbę tych kupców angielskich w Polsce, trudniących się sprzedażą wyrobów galanteryjnych i sukiennych na 15. tys., a przywóz roczny na 40 tys. sztuk sukna. Pomimo to spotykamy jeszcze w handlu grube płótno żaglowe, wyrabiane w Krakowie i w Podgórzu i sukna wieluńskie, tudzież kościańskie.

Prawie we wszystkich krajach na Zachodzie przemysł i wyroby rękodzielnicze (t. zw. manufaktury) były zaszczepione przez przybyszów obcych, którym królowie udzielali opieki, aby podnieść przemysł. W Polsce liczono się również z potrzebą stworzenia przemysłu. O ile Zygmunt Stary przyczynił się do powstania fabryki blach mosiężnych i drutu w Starzynowie, trudno nam powiedzieć, tak samo jak nie mamy bliższych szczegółów co do jej rozwoju lub upadku. Z tego jednak, co wiemy o eksploatacyi żup solnych, kopalń srebra i ołowiu w Olkuszu, widać, że ostatni Jagiellonowie baczne oko mieli zwrócone na rozwój przemysłu i górnictwa w kraju i nie żałowali wkładów na wystawienie nowych sztolni, wyprowadzenie wody z kopalń i podtrzymanie ich produkcyi.

Dał wyraz potrzebie państwowej opieki nad przemysłem kanclerz kor. Jan Zamojski w mowie swej na sejmie w r. 1605., gdzie doradzał sprowadzanie rzemieślników z obcych krajów i nauczanie krajowców rozmaitych rękodzieł. Ale władza monarsza za Wazów mniej była dbałą o rozwój i podniesienie ekonomiczne kraju, niż za Jagiellonów. Pozostawała więc jeszcze tylko inicyatywa prywatna. W majątku Zamojskiego zakwitł wyrób sukna, jakoteż przemysł zduński. Podobnież Rafał Leszczyński, wojewoda bełzki i głowa różnowierców w Polsce w drugiej połowie panowania Zygmunta III., chętnie dawał u siebie w majątku gościnę protestantom, uciekającym z Czech przed prześladowaniem cesarza i króla czeskiego Ferdynanda II. Tak zaludniły się miasteczka Rawa, Leszno, Wschowo. Jeszcze w drugiej połowie XVII. w. liczono wo Wschowie 10—12 tys. mieszkańców, gdy tymczasem w Krakowie liczba ich spadła w r. 1787. do 10 tys. We Wschowie było 300—400 rzemieślników Polaków, w Rawiczu 300 sukienników, nie licząc czeladzi. Podobnież znane były z dobroci tkaniny wełniane sulmierzyckie, drelichy jędrzychowskie i t. p.

Widzimy zatem, że Polska w XVI. i od pierwszej połowy XVII. w. wstępowała na tę samą drogę stworzenia przemysłu, którą kroczyły wielkie państwa na Zachodzie. W ślad za Zachodem rozwijała się także literatura ekonomiczna, która rozpatrywała stan rzeczy w Polsce, wskazywała jego niedostatki i braki i podawała rady, jakby je usunąć.

Już Andrzej Frycz Modrzewski, wielki pisarz XVI. wieku [1]), Andrzej Ciesielski w mowie do rycerstwa polskiego (1572.) i wielu innych myślicieli politycznych zajmowali się, chociaż tylko przygodnie, temi sprawami W wieku XVII. liczba autorów i dzieł ekonomicznych rośnie z roku na rok. Niektórzy z nich, jak Stanisław Cikowski (o szkodliwych fortelach kupców), Marcin Śmiglecki (o lichwie), Szymon Starowolski i inni, zwłaszcza bezimienni, zwracali uwagę na zepsucie monety, na upadek miast (dyskurs o pomnożeniu miast 1617), na zyski, jakie ciągnęły miasta pruskie, zwłaszcza Gdańszczanie, a także obcy kupcy, jak Holendrzy, z pośrednictwa w handlu. Był to już zwrot powszechny, nawet w opinii szlacheckiej przeciw wyłączności handlowej Gdańska, której tak gorliwie od połowy XVI. do połowy XVII. w. broniła szlachta. Niestety, praktycznych rezultatów zwrot ten wcale nie wydał.

§ 24. Stan społeczny szlachty, mieszczan i chłopów. Rozkwit ekonomiczny, spowodowany olbrzymią produkcyą i wywozem zboża, tudzież wzrost bogactw i kapitałów obracał się na korzyść jednej jedynej tylko warstwy ludności, a tą była szlachta czyli ziemianie — nie wszyscy, głównie zaś właściciele wielkich obszarów, tudzież majątków średnich jednolub parowioskowych. Łącznie z tem bogactwem i zamożnością dokonała się głęboka zmiana w bycie i sposobie życia tej warstwy. Rozpoczyna się »tycie jej«, które czyni ją niezdolną do przystosowania się do ciągłych zmian i potrzeb życia, zabija ruchliwość i pobudliwość w polityce wewnętrznej, co wszystko razem miało doprowadzić do smutnego skostnienia instytucyi i form państwowych Rzeczypospolitej, zwłaszcza na początku XVIII. w. za czasów saskich.

Schyłek XVI. i pierwsza połowa XVII. w. to jeszcze czasy najbujniejszego rozkwitu, całej rozlewności owej warstwy ziemiańsko-szlacheckiej, która przybierała formy pyszne, wspaniałe, podobne do tych, jakie na Zachodzie uwiecznili pędzlem malarze włoscy lub malarze holenderscy. U nas znaleźli się tylko piewcy słowa, autorowie rozmaitych t. zw. »Zabaw orackich lub ziemiańskich«, jak Słupski, Jeżowski, Zawadzki. Przeważał u nich kierunek satyryczny, t. j. ganiący i wyszydzający: wysławiają oni prostotę życia i skromne potrzeby przodków i porównywują z niemi zbytek i przepych, jaki zagościł w Polsce wśród ziemian. Na to samo zresztą zwracają uwagę piszący rozprawy w części ekonomiczne, jak jezuita Stanisław

[1]) Zobacz tom II. str. 40.

Sokołowski (o oszczędności), w części pouczająco-agronomiczne, jak Walery Gostomski (Gospodarz) albo Jan Ostroróg (Kalendarz gospodarski).

Rozsadnikiem nowych potrzeb był handel zagraniczny. Już Sokołowski gani owe uczty, na które więcej szło towarów z apteki (korzenie i przyprawy zagraniczne), aniżeli z jatek, wyrzuca marnotrawienie pieniędzy na drogie konie, sprowadzane z Arabii, na wino, którego przodkowie nasi prawie nie znali. W parze z tym zbytkiem i marnotrawstwem szły zniewieściałość i gonienie za zyskiem. Sokołowski uskarża się na owe karoce wożące damy, które muchaby udźwigła, i poszóstne zaprzęgi, które lepiej byłoby obracać na wystawienie żołnierza do obrony. Mówi, iż młodzież szuka posagów, jakie przed laty za królewne tylko dawano.

Poeci wysławiali zajęcia ziemiańskie i skromne dostatnie zacisze domowe:

Rola najlepsze, rola klejnot drogi,
Buduje gumna, kopy stawia, brogi,
Panem natychmiast uczyni nędznika,
Żywi bogacza też i rzemieślnika,

pisał Stanisław Słupski w swoich »Zabawach orackich gospodarza dobrego« (Kraków 1618). Przeciwstawia zajęciu na roli handel, który tylko uboży kraj, pozbawiając go pieniędzy. »U oracza wszystko się rodzi«, mówi tenże autor: »przeto do kramów rzadko kiedy chodzi: ma co jeść, pić, sukno, płótno w domu, toż i obuwie. ... Może z swej wełny dać urobić czapkę, delię słudze, kopieniak (szatę od deszczu)... but też wołowy, a ciżmy cielęce«.

Dlatego nie mamy pieniędzy — mówi Słupski — że je wysyłamy do obcych krajów:

za sukna drogie, za korzenie chytne,
za materye owe niepożytne
i za safjan, za picie kosztowne,
też i za fraszki włoskie niepotrzebne,
za piżma, tafty i płocienie złote,
toż za perfumy i kabyty złote,
toż za maszkary, które drogo płacą.

»Przodkowie nasi — mówi tenże autor — o szkarłat nie dbali i o safjan, a pieniężni byli«. Wylicza dalej narody, które się bogacą kosztem Polski, jak Turek, Węgrzyn, Włoch i Niemiec, też i Angielczyk. Gdyby nie zbytek, mniema autor, »byłoby dosyć pieniędzy i chleba, byłoby za co walczyć i budować, musieliby nas sąsiedzi szanować.

Jakkolwiek zmiana ta była objawem naturalnym nie tylko u nas, ale i na Zachodzie w połowie XVI. w., odbiła się jednak znacznie na stosun-

kach społecznych. Nie każdy z ziemian mógł wytrzymać ciężar życia wystawnego, wielu z nich rujnowało się, wpadało w długi, zastawiało wioski żydom i mieszczanom, o czem świadczy już Sokołowski (około r. 1589.). To samo wytyka i Słupski w trzydzieści lat później:

By też wioski zbyć i chłopki zastawić,
Od adamaszku przecię barwę sprawić,
Szatę sobolą, pałasze, kobierce
. . . . . .
Służba od srebra, już za nic cynowa,
a co dzień trzeci, to bacomaga[1]) nowa.

Rujnowano się nawet na fantazye łowieckie, rycerskie albo artystyczne:

za psa bróg zboża albo też za ptaka,
nic bez muzyki, także bez śpiewaka,
nuż co kosztują konie i kareta:
tysiąc złotych dać nic to za dzianeta.

Pod tym względem stosunki nic się nie zmieniły w dwadzieścia lat później, owszem Jeżowski Władysław Stanisław, autor »Oekonomii albo porządku zabaw ziemiańskich« (Kraków 1638) uskarża się, iż »szlachcic musi do miasta uciekać, bo zdrożały wioski, na wsi nic nie może wskórać, arendy mu nie dają, bo żyd lepiej płaci, żydzi wszędzie trzymają co najlepsze włości, a szlachta cudzoziemskim zwyczajem do miast się wynosi«. Były to zapewne objawy poszczególne, nazbyt uogólnione przez autora, który może patrzał na nie przez szkła osobistych swoich stosunków. Bądź co bądź znamienne są jego słowa w drugiem wydaniu w dziesięć lat później, iż niejeden z pośród szlachty tak zubożał, iż ani sam ani syna na wojnę wyprawić nie może (drugie wydanie dopełnione w Krakowie 1648) Zaznacza on już pierwszy wpływ mody francuskiej, która przybyła do Polski wraz z drugą żoną Władysława IV. Ludwiką Maryą (1645), mówiąc o strojach dziewcząt i kobiet, o perukach, któremi się dziwnie ozdabiają.

Mimo całej wyłączności szlachty na polu politycznem, błędne jest mniemanie, jakoby na kulturę polską XVI. i XVII. w. złożyła się jedna jedyna tylko warstwa — szlachecka. Że tak nie było, świadczą o tem najlepiej same imiona nie tylko ze stanu mieszczańskiego, ale nawet wiejskiego, które zasłynęły czy to w poezyi czy to w nauce, jak Klemens Janicki syn wieśniaka, Sebastyan Klonowicz mieszczanin lwowski i Szymon Szy-

[1]) Obuwie kobiece.

monowicz, sekretarz Jana Zamojskiego. Mimo zakazów prawnych synowie mieszczan zdolni i wykształceni posuwali się w zawodzie duchownym. Tak w XVI. w. Marcin Kromer, historyk i biskup warmiński, był mieszczaninem z pochodzenia. Podobnie w XVII. w. biskup przemyski Paweł Piasecki, autor dziejów współczesnych Europy, był otoczony opieką i poparciem ze strony króla, który go brał w obronę wobec szlachty, zarzucającej mu plebejuszowskie pochodzenie.

Prawda, iż szlachta nie ścierpiałaby już w XVII. w. na krześle senatorskiem przedstawiciela mieszczan, ale były na to sposoby. Nie darmo Jeżowski pisał, iż »mieszczanie sztucznie w szlachtę się zmieniają«. Mimo zakazu trzymania majątków ziemskich mieszczanie brali je w zastaw i dzierżawę, »wnaszali się do wsi«. Bogactwo usuwało, jak wszędzie i zawsze, różnicę pochodzenia. Rzadziej lub częściej trafiają się nawet związki rodzinne szlacheckie z mieszczanami.

Wprawdzie szlachta brzydziła się »łokciem i miarą«, zajęciem kupieckiem, konstytucye zaś sejmowe zabraniały się trudnić handlem osobom stanu szlacheckiego pod utratą szlachectwa, ale błędnem jest mniemanie, jakoby uprzedzenia te stanowiły wyłączną cechę szlachty polskiej, albo też nie pozwalały rozwijać się miastom i handlowi. Nie lepiej było i na Zachodzie, np. we Francyi dopiero w drugiej połowie XVII. w. za wpływem ministra Colberta Ludwik XIV. wydaje ordonans (rozkaz królewski), zezwalający szlachcie trudnić się handlem morskim i znoszący mniemanie, jakoby handel morski był niezgodny ze szlachectwem. Nie przeszkadza to nawet w pierwszej połowie XVIII. w. autorowi znakomitego dzieła p. t.: »Duch praw«, słynnemu Monteskjuszowi, wypowiedzieć się, iż »z duchem monarchii jest sprzeczne, aby szlachta trudniła się handlem«. Czegóż wymagać więcej od szlachty w Polsce na półtora wieku przedtem.

Zamożność miast nie była tak znaczną w drugiej połowie XVI. w. i w pierwszej połowie XVII., jak na początku XVI., zwłaszcza zaś w w. XV. Ale o bogactwie mieszczan świadczą konstytucye o zbytku, wydawane przeciwko warstwie mieszczańskiej. Nie brak także świadectw ziemiańskich, wprawdzie zawistnych i niechętnych, ale kierowanych tą samą tendencyą ograniczenia zbytku i wywozu pieniędzy, co względem braci szlachty. Jeżowski uskarża się zwłaszcza na zbytek białogłów miejskich, rujnujących na stroje swoich mężów:

Ujrzysz strojno w bławacie lada rzemieślniczkę,
łańcuszno i w sobolach, karczmarkę, złotniczkę,

także córki w jedwabnych szatach urobionych,
w łańcuchach i w koronie dziwnie ozdobionych.

Zbytek ten i zamożność mieszczan w Koronie nie szły nawet w porównanie z bogactwem i przepychem kupców w miastach pruskich, zwłaszcza w Gdańsku. Wzbudzał on szaloną zawiść szlachty, która wyraziła się na sejmach za Władysława IV. w konstytucyach. Gdy Gdańszczanie powoływali się na swoje przywileje z czasów Kazimierza Jagiellończyka, odpowiedziano im, że wtedy kupcy Gdańscy w sobolach i jedwabiach nie chodzili, ani też spadków milionowych nie zostawiali.

W każdym razie stan mieszczański w Polsce zarówno co do swego bogactwa, jak i co do liczby ustępował stanowi średniemu ziemiańskiemu. Nawet w dobie największego rozkwitu swego pierwsze miasto w Koronie Kraków nie przekraczało 30—40 tys. mieszkańców. W innych miastach Małopolski liczba domów nie przekraczała 200—300, a na każde z nich nie przypadało więcej nad tysiąc mieszkańców.

Zmiana stosunków ekonomicznych odbiła się najgorzej na stanowisku ludności wiejskiej. Przyczyniły się do tego w znacznej części nauka prawa rzymskiego, odnowiona na Zachodzie w XV. i XVI. wieku, i zrównanie w pojęciu prawnem niewolnika rzymskiego z chłopem. Reformacya [1]) również nie wpłynęła korzystnie na polepszenie doli ludności wiejskiej. Wiadomo, że w wojnach chłopskich w Niemczech (1524—1525) Luter stanął wyraźnie po stronie panów i doradzał im zabijać zbuntowanych poddanych jak wściekłych psów. Wprawdzie u nas Frycz Modrzewski, autor książki »O naprawie Rzeczypospolitej«, chociaż różnowierca, gorąco przemawia w obronie ludności wiejskiej przeciwko wyzyskowi i uciskowi jej ze strony panów, ale słowa jego są głosem wołającego na puszczy.

Jeżelibyśmy mieli iść za zdaniem cudzoziemców, piszących o Polsce, natenczas dola ludności wiejskiej przedstawiałaby się nam nadzwyczaj opłakanie. Nuncyusz papieski Visconti pisząc o Polsce (1636 r.) mówi, iż »niema ludzi nędzniejszych na całym świecie nad chłopów polskich«. Tak samo inny autor w opisie Polski powiada, iż szlachta rządzi bezwzględnie swymi poddanymi, władza jej jest wyższa, aniżeli królewska i że szlachta ma po prostu chłopów za bydło.

Są to zwykle uogólnienia cudzoziemców, nie znających dobrze stosunków krajowych i z jednego wypadku wyprowadzających wnioski

[1]) Zob. o reformacyi w t. I. str. 541.

o ogólnym stanie rzeczy. Rzeczpospolita była krajem tak obszernym, iż panowały tutaj pod względem społecznego i ekonomicznego stanowiska chłopów stosunki bardzo rozmaite.

To nie ulega wątpliwości, iż w prowincyach bardziej na zachód położonych i lepiej zagospodarowanych, położenie ludności było o wiele cięższe, niż na kresach, gdzie chłop był wolny i pyszniejszy nieraz od pana. Znamy wszyscy gorący głos Piotra Skargi, kaznodziei i spowiednika królewskiego, jaskrawemi barwami malującego dolę ludu w Polsce. Ale znalazłoby się takich głosów więcej. W »liście szlachcica do szlachcica« prawie współczesnym Skardze (1607) czytamy o chłopach, że ich traktują »jak nie ludzi, ale bydło — dobrze, że ich w pługi nie zaprzęgają«. »Pan na jeden dzień po pięciorga z domu wygania: jedno orać, drugie siać, trzecie młócić, czwarte pleć, piąte siano grabić, i tak nie zostanie w chałupie, ktoby groch uwarzył — namorzy się głodu«. Autor stawia taką naprawę stosunków wiejskich: każdy chłop winien posiadać tyle ziemi, ileby mu sto kóp na rok zboża urodziło, potem łąkę na 20 wozów siana, drzewo i pastwisko darmo. A za to chłop winien robić trzy dni, czynszu dawać złoty, kapłonów 2, gęsi, jajec półkopy, stróży, przewóz. Dalej szlachcic nie powinien się trudnić przekupieństwem, wypiekaniem chleba i szynkowaniem gorzałki. Oznacza to, iż ludzie rozumni w kraju burzyli się przeciwko bezwzględnemu wyzyskowi i uciskowi chłopa.

Wzorowi gospodarze współcześni, jak Gostomski, Ostroróg, nie oszczędzają wcale sił roboczych chłopa i nakazują je wyzyskiwać w interesie własnym, ale przecież i oni doradzają dbać o zapłatę sług, żywność i przyodziewek na zimę, nakazują pilnować, ażeby chłop miał rolę zagospodarowaną, aby mógł wczas sprzątnąć swoje zboże. Zdarzali się i tacy, jak Lew Sapieha, kanclerz litewski, którzy wyrzucali swojemu rządcy ucisk poddanych, albo jak Marcin Krasicki, wojewoda podolski, który wyzwalał swoich chłopów.

Tem mniej należy sądzić, jak niektórzy podają, iż w stosunkach z poddanymi wszelki gwałt uchodził bezkarnie. Od w. XVI. dla chłopów w majątkach prywatnych był zamknięty dostęp do sądów ziemskich i grodzkich, inaczej w dobrach koronnych, gdzie chłop mógł się uciec w Koronie do sądów referendarskich, na Litwie do królewskich od ucisku starosty. Mimo to nawet w dobrach prywatnych czy to duchowieństwa, czy to szlachty, stosunki prawne były uregulowane. We wsiach duchownych chłopi mieli swoje sądy ławnicze, swego sołtysa wyznaczanego z ramienia pana. Wpra-

wdzie odwołanie (apelacya) od tego sądu było do samego pana, jak również pan mógł zawieszać wyroki, ale chłopu w ostatecznym razie zostawała ucieczka. Zabójstwo chłopa było karane grzywną; na sejmie r. 1631. grzywnę tę podniesiono do stu złp.

Pomimo całkiem słusznego gorzkiego sądu, jaki musimy wypowiedzieć o stosunkach ludności wiejskiej, nie powinniśmy jednak pomijać barw jaśniejszych. Nie wszędzie chłop był zgnębiony. Najlepszym dowodem tego udział, jaki okazali Kurpiowie w wypędzeniu Szwedów z kraju w czasie najazdu Karola Gustawa. Zaznaczmy obok tego świadectwo jednego podróżnika cudzoziemca z ostatniego dziesiątka XVI. st., który powiada, iż nie tylko uboższa szlachta, ale nawet mieszczanie i wieśniacy oddają swoich synów do szkół, aby się uczyli czytania i muzyki.

§ 25. Żydzi i ich rola ekonomiczna. Żydzi w Polsce znani są od czasów najdawniejszych, może przedhistorycznych, kiedy trudnili się przeważnie handlem niewolnikami, wywożonymi z Polski na targi wschodnie. Wiek XII. i XIII. zaznacza większy ich napływ do Polski skutkiem prześladowań na Zachodzie w czasie wypraw krzyżowych. Zajmują oni tutaj w wiekach średnich położenie uprzywilejowane w porównaniu do stosunków w innych krajach zachodnio-europejskich, tak naprzykład wolno im nabywać majątki ziemskie. Przywilej dla Żydów z r. 1264. zabezpiecza ich autonomię wewnętrzną. Wolno im przytem trudnić się pożyczaniem pieniędzy, ale nie inaczej, jak pod zastaw (statut wiślicki). W XIV. i XV. w. już szlachta zadłużała się u Żydów, dlatego w statutach nieszawskich (z r. 1454.) domagała się, aby im odebrano wszelkie swobody.

W początkach XVI. w. odbywa się nowy napływ Żydów do Polski skutkiem prześladowań na Zachodzie. Wypędzano Żydów nie tylko z Hiszpanii, ale nawet z Anglii i z miast niemieckich, jak z Frankfurtu, Norymbergi. Odtąd zaczyna się naprawdę znaczna rola Żydów w życiu ekonomicznem kraju. Cieszą się oni opieką panujących, dla których zawsze byli źródłem dochodu. Tak w r. 1514. Zygmunt Stary ustanawia generalnego seniora czyli rabina dla wszystkich Żydów w Polsce w celu prawidłowego i regularnego ściągania podatku. Ale już w r. 1551. Żydzi wielkopolscy uzyskują przywilej od Zygmunta Augusta, zezwalający im swobodnie obierać własnych rabinów, taki sam przywilej otrzymują w r. 1569. Żydzi lwowscy, a za nimi i inni, rozsiani po znaczniejszych miastach. Tak organizuje się gmina żydowska.

Pod względem prawnym Żydzi podlegali wprawdzie władzy wojewodzińskiej, ale władza ta miała sobie wydane przepisy, których nie mogła przekraczać. Tak nie wolno było więzić Żyda w razie, jeżeli stawiał poręczyciela. Podatek od Żydów, czyli t. zw. pogłówne żydowskie, ściągał wojewoda, ale w porozumieniu ze starszyzną żydowską, która zajmowała się rozkładem go na poszczególne rodziny, zazwyczaj bowiem całą sumę ściągano ryczałtem.

Żydzi w XVI. i XVII. w. są dzierżawcami ceł i myt królewskich, mimo ciągłego zakazu konstytucyi sejmowych. Trudnią się propinacyą, wyszyn-



Fig. 304. Stroje Żydów polskich we wszystkich czasach.
(Według Matejki).

kiem gorących trunków. Biorą wsie w dzierżawy. Szczególniej z tego powodu są znienawidzeni na Ukrainie, chociaż bajką jest, jakoby wydzierżawiano cerkwie Żydom. Zdarzało się natomiast czasem, że wydzierżawiono rolę pustą przy cerkwi. Stąd wyrosła opowieść o dzierżawieniu samych cerkwi.

Ze szczególnem jednak upodobaniem trudnili się Żydzi handlem pieniężnym. I tutaj rola ich w czasie przesilenia pieniężnego za Zygmunta III. była bardzo zgubna. Oni to trudnili się przeważnie dowozem fałszywych pieniędzy i wywożeniem dobrych. Z tego powodu wzmagała się i rosła coraz bardziej nieprzychylna opinia o Żydach w kraju. Za wyraz jej służą

liczne wiersze, jak naprzykład wiersz z roku 1622., skierowany przeciw praktykom żydowskim. Już wstęp pod tytułem »Mamon, Bóg żydowski« wskazuje na to znaczenie, jakie dla Żyda ma pieniądz. Autor wyrzuca Żydom, że złupili królestwo z pieniędzy, że psuli monetę »ku szwanku polskiemu«. Mamon powiada: wyście »z groszów fałszywych brzuch ulać kazali, a samiście fajnzylber[1]) do mieszków schowali«. Aby nie sądzić, że autor jest uprzedzony, dość powiedzieć, że i chudzi Żydkowie, zdaniem jego, sarkają na bogatych.

Władze zwierzchnie po miastach, zamiast bronić uboższej ludności, działały często w porozumieniu z Żydami. Żydzi potrafili dotrzeć z pieniądzmi zarówno do starosty, jak i do wojewody. A oto opis łupienia mieszczan przez skarbników miejskich (lunarzy) w porozumieniu z Żydami. Nakazano w pewnem mieście wielkopolskiem płacić podatek w dobrej monecie (ortach), a tymczasem tę już Żydzi wykupili. Dalej więc mieszczanie do Żydów po pieniądze, co zaś odnieśli do lunarzy, to ci znów przelali do kieszeni żydowskiej. I tak za każdym razem Żydzi na zamianie zyskali.

Zagaszczanie się Żydów po drobnych miasteczkach, zwłaszcza prywatnych, szło bardzo powoli i stopniowo. Jeszcze w pierwszej połowie XVII. w. właściciele opierają się temu (naprzykład w biskupstwie przemyskiem Paweł Piasecki), ale niech tylko raz wyłom zostanie uczyniony, Żyd jako szynkarz, przekupień, drobny handlarz, nie da się już wyprzeć z zajmowanego stanowiska.

b. Okres od połowy XVII. do połowy XVIII. w.

§ 26. Zmiana konjunktur[2]) handlu światowego w połowie XVII. w. Całe bogactwo swoje zawdzięczała Polska w XVI. i XVII. w. temu tylko, że była krajem rolniczym i że państwa zachodnie musiały zwracać się o płody rolnicze na rynki nadbałtyckie: do Prus, Korony, Inflant, po części Moskwy. Rozwikt swój przeto ekonomiczny w XVI. i XVII w. zawdzięczała Polska konjunkturom handlu światowego, po części czynnikom politycznym, jak zajęciu Prus i Inflant, przyczem Moskwa była ode-

[1]) Czyste srebro.

[2]) Przez konjunkturę rozumiemy zbieg okoliczności bądź pomyślnych, bądź niepomyślnych, do których należy się zastosować, które można wyzyskać w swoim interesie, lub przeciw którym trzeba szukać środków zaradczych.

pchnięta od morza Bałtyckiego. Komunikacya jej z Zachodem była nadzwyczaj utrudniona, dokonywała się od r. 1553. przez morze Białe i port Archangielska i pozostawała prawie wyłącznie w rękach Anglików z pominięciem innych najbardziej przedsiębiorczych i handlowych narodów, zwłaszcza Holendrów.

Nastręczała się jednak obawa, iż ten stan pomyślny dla handlu i rolnictwa polskiego nie potrwa długo, że zwłaszcza zmiana konjuktur handlowych, jakoteż zachwianie stanowiska Polski na Bałtyku może wstrząsnąć całym rozwojem ekonomicznym Rzeczypospolitej i doprowadzić go do upadku. Jakoż że obawy te nie były płonne, najlepiej dowodzi zajęcie Inflant przez Gustawa Adolfa w r. 1621., a następnie w połowie XVII. w. otwarcie rynków moskiewskich dla Holendrów.

Holandya, ten kraj, który przodował w XVI. i XVII. w. innym narodom na polu handlu, obejmowała bardzo mało ziemi, zdatnej pod uprawę. Wytwarzała u siebie rocznie po 2 funty chleba na głowę. Ilość ta nie wystarczała oczywiście na potrzeby mieszkańców, sprowadzała więc chleb z krajów nadbałtyckich, głównie z Polski. Jakie znaczenie posiadał dla Holandyi handel bałtycki, dość powiedzieć, iż $^3/_4$ kapitałów giełdy w Amsterdamie było zajętych na rynkach nadbałtyckich w XVI. wieku; na jeden statek płynący do Indyj przypadało sto i więcej okrętów udających się na Bałtyk. Z 1035 okrętów przepływających cieśninę Zundu (między 19 czerwca, a 16 listopada 1645. r.) 986 było holenderskich.

Stanowisko Holandyi w handlu i żegludze było wszechświatowe. Około połowy XVII. w. z liczby wszystkich okrętów istniejących na świecie (20 tys.) $^3/_4$ były to statki holenderskie (15—16 tys.)

Nic więc dziwnego, iż handel Polski z Europą pozostawał w rękach Holendrów i niejako od nich zależał. Zależność ta zresztą była obustronna. Gdy w r. 1628/9 wywóz zboża z Polski ogromnie nizko upadł skutkiem wojny szwedzkiej, jaką Polska toczyła z Gustawem Adolfem w Prusiech, ceny na zboże tak podskoczyły, iż w Amsterdamie obawiano się wybuchu rewolucyi. Po zawarciu rozejmu sześcioletniego między Polską a Szwecyą (1629), który zresztą następnie został przedłużony na przeciąg lat 26, wywóz zboża z Polski postępuje normalnie; jeszcze w r. 1648. przed samym wybuchem wojen kozackich dochodzi do 150 tys. łasztów (przez port Gdański). Ale cios zadany Polsce przez Gustawa Adolfa skutkiem zajęcia Inflant i nałożenia ceł na zboże, idące przez Prusy, odbił się w skutkach swoich fatalnie na całym handlu bałtyckim.

Zapotrzebowanie na zboże z Polski staje się coraz to mniejsze. Na Zachodzie, jak w Anglii i we Francyi, podnosi się rolnictwo. Holendrzy nawiązują stosunki handlowe z Moskwą w części przez Inflanty, w części przez Archangielsk i morze Białe. Już w r. 1635. pewien Holender przyrównywa Moskwę do starożytnej Sycylii pod względem urodzajności i produkcyi zbożowej.

Kupcy angielscy po r. 1649. tracą prawie wyłączny przywilej handlu w państwie carów. Na ich miejsce napływają kupcy holenderscy: liczba ich kantorów w początkach XVIII. w. w Archangielsku liczy się na setki. W r. 1703. Piotr Wielki zakłada Petersburg, »wyrębuje okno do Europy«. To, czego nie dopuścił uczynić Zygmunt August i Stefan Batory Iwanowi IV. Groźnemu, powiodło się ich genialnemu następcy w półtora wieku później. Wprzód jeszcze, zanim Rosya pokonała Polskę na polu politycznem, zniweczyła jej stanowisko handlowe i ekonomiczne na Bałtyku.

Zapobiedz temu mogła jedynie potęga morska, czyli założenie floty polskiej na Bałtyku. Myślano o tem już od czasów Zygmunta Augusta, ale szlachta składała to brzemię wyłącznie na panujących, kładąc obowiązek zbudowania floty w liczbę t. zw. paktów konwentów[1]) Henrykowi Walezemu, Zygmuntowi III. i Władysławowi IV. Zygmunt III. założył admiralicyę morską (t. j. dowództwo floty) w Gdańsku, ale wywołało to tylko zatarg z Gdańszczanami, podobny do tego, jaki się wyłonił za czasów Zygmunta Augusta z powodu Kaprów, lub Stefana Batorego (bunt Gdańska, poskromiony w r. 1577). Zaczątki floty polskiej, która w r. 1627. święciła już zwycięstwa morskie, zostały zniszczone przez Szwedów i Duńczyków. Przyczyniło się do tego nieszczęśliwe współdziałanie statków polskich z okrętami cesarskimi na Bałtyku.

Władysław IV. ustanowił cło w Gdańsku (1634), odnowił admiralicyę morską, którą powierzył Gerardowi Denhofowi, wreszcie założył port wojenny w Pucku i zbudował forty nadbrzeżne na półwyspie Hela przy wejściu do zatoki gdańskiej, Władysławów i Kazimierzów. Lecz podobnie jak za Zygmunta III., tak teraz znów za Władysława IV. król duński Chrystyan IV. uznał ten krok za pogwałcenie swego zwierzchnictwa nad morzem Bałtyckiem. Na rozkaz jego statki polskie zostały schwytane. Wprawdzie Władysław IV. otrzymał satysfakcyę, ale pawilon polski odtąd zniknął na wodach Bałtyku. Kiedy w r. 1656. Karol X. Gustaw obległ Gdańsk,

[1]) Zob. tom I. str. 356. i 571.

chcąc nałożyć nowe cła na jego handel, na obronę Gdańska pospieszyła już flota holenderska w liczbie 48 okrętów, która zabezpieczyła neutralizm tego miasta.

§ 27. Przesilenie finansowe za czasów Jana Kazimierza. Tymczasem Polska od r. 1648. podlega strasznemu wstrząśnieniu społecznemu na Ukrainie pod nazwą buntów kozackich, które ciągną się prawie nieprzerwanie przez całe panowanie Jana Kazimierza. Do tego przyłącza się zalew i spustoszenie kraju przez sąsiadów, jak Szwedów, Brandenburczyków, Siedmiogrodzian, Moskwę, Turków i Tatarów. Następują pierwsze ustępstwa krajów: traktaty oliwski, bydgosko-welawski i andruszowski.

Długie i wyczerpujące wojny wywołują przesilenie finansowe w kraju, które się zaznacza upadkiem waluty i ruiną ekonomiczną państwa, podobną do tej, jaka była w Hiszpanii za czasów Filipa III., albo w Niemczech po upływie wojny 30-letniej.

Już w r. 1659. dla zaradzenia kłopotom pieniężnym wzięto się do obniżenia wartości pieniędzy, aby Rzeczpospolita mogła mieć dochód z monety. Tak obniżono ilość srebra w talarach. Prócz tego po raz pierwszy komisya sejmowa rozkazała bić szelągi z miedzi, które miały wartość istotną 15 gr. na sto nominalnie. Rozkazano wybić milion takich szelągów dla Korony i tyleż dla Litwy z tem, aby Rzeczpospolita miała 150 tys. złp. zysku rocznie z tych pieniędzy. Przedsiębiorstwo to powierzono Tytusowi Liwiuszowi Boratyniemu i jego braciom, Włochom z pochodzenia, wzamian za sumy pożyczone Rzeczypospolitej. Przedsiębiorcy ci oczywista starali się pokryć z tej monety swoje długi, jak również ciągnąć zyski dla siebie. Przy braku jednak drobnej monety w Polsce, zamiast której dowożono obcą, szelągi ryskie, nawet wołoskie, zarządzenie to o biciu szelągów nie wywołało jeszcze żadnego przesilenia, aczkolwiek dzierżawca mennicy podlegał licznym oskarżeniom, iż bije nadmierną ilość owych szelągów, że nie mają one nawet w sobie miedzi. Z tego nawet powodu Boratyni odpowiadał przed komisyą wyznaczoną na sejmie r. 1662., która obradowała we Lwowie, ale z zarzutów tych się oczyścił.

Komisya lwowska r. 1663. obradowała nad zapłatą długu wojska, gdy jednak podatki namówione na ten cel nie wystarczały, nie było innego środka dla uniknięcia związku wojskowego i ostatecznej prawie ruiny kraju, jak wypuszczenie nowych szelągów. Oznaczono ich sumę na $5^1/_4$ milionów złp. Ale i tego jeszcze było za mało. Obok Boratyniego, któremu król rozka-

zał podjąć się napowrót prowadzenia mennicy szelążnej, zjawił się inny przedsiębiorca z Niemiec, niejaki Andrzej Tümppe albo Tynff, który podał projekt bicia srebrnej monety, t. zw. złotowego, ale takiej wartości, iż na 2 części srebra przypadało 3 części miedzi. Projekt ten Komisya przyjęła rzekomo z powodu, iż nie wypada wypuszczać w obieg za wiele miedzianych pieniędzy czyli szelągów.

Jednocześnie otworzono mennice złotowe w Krakowie i Bydgoszczy, tudzież szelążną w Ujazdowie pod Warszawą, później i na Litwie. Obydwie pracowały krótko, bo niespełna przez trzy lata (1663—1666), poczem trzeba je było jak najrychlej zamknąć, ale mimo tak krótkiego przeciągu czasu zdołały one podciąć skarb i finanse Rzeczypospolitej, tudzież podkopać pieniężny rynek w kraju.

Mimo zapowiedzi, iż złotowe będą bite dla ograniczenia liczby szelągów, i jednych i drugich w Koronie wybito na łączną sumę prawie 13 mil. złp. (z tego prawie 7 mil. szelągów, reszta złotowych); pierwszych cena była 85% wyższą ponad wartość, drugich 60%. Ale nawet mimo tego lepszego stosunku, złotowe były gorszą monetą, niż szelągi. Te istotnie służyły tylko jako bilon (zdawkowa moneta), choć nadmierna ich ilość przekraczała potrzeby mieszkańców drobnego pieniądza. Tymczasem złotowe musiały wyprzeć z obiegu wszelkie stare srebrne pieniądze, jakie były w kraju, a także pruskie, orty, szóstaki, trojaki o wiele wyższej próby. Cena grubego pieniądza odrazu podskoczyła w dwójnasób w górę: cena dukata z 6 złp. na 12, cena talara z 3 złp. na 6 złp. W tym samym stosunku zaraz podniosły się ceny ziemi, żywności, wszystkich towarów. Nawet chłopi zmiarkowali się co do nizkiej wartości tego pieniądza, a cóż dopiero mówić o kupcach zagranicznych.

Wtedy to dopiero okazało się, jak niebezpiecznym jest środkiem psucie pieniądza. Złotowe, zwane także tynfami, nosiły na sobie ten napis: «dat pretium servata salus» (cenę daje zbawiona ojczyzna). Ale pieniądz ten nie zbawiał, tylko gubił ojczyznę.

Wprawdzie Rzeczpospolita dzięki temu mogła pospłacać swoje długi i rozpuścić skonfederowanego żołnierza, ale długi te były spłacane poniżej swej wartości 60% albo 85%. Było to bankructwo państwa, rodzaj umowy między niem a dłużnikiem, iż zapłaci mu nominalnie to samo, w gruncie zaś rzeczy mniej. Tylko że państwo tak samo miało swoich dłużników, jak starostów, dzierżawców myt, ceł, płacących pobory, z obniżeniem wartości

pieniądza musiało przeto stracić to samo na swoich dochodach. Była to ruina skarbu.

Ale obok niej była to także ruina handlu, albowiem w handlu pieniądz polski stracił swoją wartość. Za wszystkie towary przywożone do Polski kupcy musieli płacić różnicę między wartością pieniądza zagranicznego a polskiego. Jednocześnie handel polski wywozowy ustawał i przenosił się z Prus i Gdańska na Pomorze, do Inflant, tudzież do Moskwy.

Było to wreszcie — wstrząśnienie społeczne, albowiem skutkiem spadku wartości pieniądza jedni tracili, drudzy zyskiwali niesłusznie. Tracili wszyscy, pożyczający pieniądze, mający zastawy, długi, zapisy. Rujnowała się szlachta, sprzedając majątki, gdyż musiała brać za nie nominalnie dawną cenę, w rzeczywistości niższą. Odczuwał wreszcie klęskę tę każdy chłop, rzemieślnik i drobny przekupień, albowiem ceny rosły w dwójnasób, niezawsze jednak płace podążały za cenami równie szybko w podnoszeniu się w górę.

§ 28. Okres upadku ekonomicznego. Druga połowa XVII., a zwłaszcza pierwsza połowa XVIII. w. jest okresem upadku i ruiny ekonomicznej kraju. Zaznacza się to przedewszystkiem obniżeniem się liczby wywozu zboża z Gdańska. Ze 150 tys. łasztów zboża w r. 1648. wywóz ten spada do 53.897 łasztów w roku następnym, później idzie coraz to niżej aż do 510 ł. w r. 1659. Po wojnach szwedzkich znowu się nieco podnosi do 33.901 ł. w r. 1662., do 44.399 w r. 1670. Później idą aż do końca XVII. w. ciągłe wahania od najwyższych do najniższych. Zdaje się, że największa ilość przypada jeszcze na r. 1684., bo 59.719 ł., w r. 1690. spotykamy już tylko 20.287 ł., a w wieku XVIII. te nizkie cyfry stale się powtarzają, tak w r. 1701. tylko 16.595 ł., w r. 1702 — 21.976 ł., w r. 1715. — 3492 ł., a nawet w r. 1737. — 2391.

Pisarze polityczni drugiej połowy XVIII. w. zgadzają się, iż prawie połowa ziemi uprawnej leży odłogiem. W XVI. w. liczba ludności dochodziła prawie 1000 na milę kwadratową (w Małopolsce 900, z tego 667—675 ludności rolniczej, 168—170 ludności miejskiej; w Wielkopolsce 800, czyli tyleż, co obecnie w Rosyi). Po wojnach szwedzkich liczba ta znacznie się zmniejszyła. Opustoszały i wyludniły się wsie. W jednej ziemi łęczyckiej obliczono, iż z 875 wsi w XVI. w. zostało w drugiej połowie XVII. tylko 762. Sejm w r. 1726. obostrza karę za zabójstwo chłopa, z prostej grzywny dotychczasowej zamienia na wieżę, a nie należy sądzić, żeby kara ta była łagodna. Pomimo to zbiegostwo i włóczęgostwo chłopów mnoży się w zastraszający sposób, a do tego wychodźtwo za granicę, już nie tylko na

kresy jak dawniej, ale nawet, jak z Wielkopolski, do sąsiednich Prus i Brandenburgii. Tym sposobem Fryderyk W. mógł osiedlić w swem państwie blizko 8 tysięcy rodzin chłopskich z Wielkopolski, którzy emigrowali wraz z całym dobytkiem, gospodarstwem i rodziną.

Po wojnach szwedzkich miasta nie mogły się już podnieść z upadku. Najazdy nieprzyjaciół, pożary, morowe powietrze (1656, 1662, 1710—12) zniszczyły je doszczętnie. Ilość ludności w miastach spada do połowy i niżej. Z cyfry 800 ludności obniża się od 400—300. W samym Krakowie dochodzi tylko do 10 tysięcy (1787) To wspaniałe miasto doczekało się takiego wyludnienia, iż połowa domów w śródmieściu była niezamieszkałą i zabitą na głucho. Warszawa około r. 1750. liczy tylko 486 posesyi i 13½ tysiąca mieszkańców. Liczba ta w porównaniu z połową XVII. w. (około r. 1655.) jest trzykrotnie niższą.

W tym samym czasie od roku 1676. mennica w Koronie i na Litwie przestaje pracować i w obiegu są obok osławionych tynfów pieniądze obce. Źli sąsiedzi starają się z tego korzystać, bijąc fałszywe pieniądze i nawożąc je do Polski. Fryderyk II. po zajęciu Drezna w czasie wojen z Austryą niszczył skarb i handel w Polsce. Wprawdzie Fryderyk II. uciekał się do tego samego sposobu i w swojem państwie dla wydobycia się z kłopotów finansowych, ale po wojnie śląskiej zabrał się zaraz do naprawy waluty, gdy tymczasem u nas stan ten trwał aż do reformy monetarnej za Stanisława Augusta w r. 1768. Obliczają, iż przedtem nie było więcej pieniędzy polskich w obiegu nad sumę 4 milionów złp.

c. Druga połowa XVIII. w. aż do upadku Rzeczypospolitej.

§ 29. Odrodzenie narodowe. Początek reform. W takim stanie ciemnoty i upadku ekonomicznego pozostawało społeczeństwo do wstąpienia na tron Stanisława Augusta. Pokolenie jednak nowe ze wstydem spoglądało na straszną ruinę materyalną kraju i na upadek jego polityczny. Już w pierwszej połowie XVIII. w. pojawiały się głosy, biorące w opiekę lud uciemiężony, nakłaniające do oświaty i reform politycznych. Były to wypadki jeszcze dosyć nieliczne, jak pismo p. t. »Głos wolny wolność ubezpieczający«. Ale działalność na polu wychowawczem Stanisława Konarskiego, podróże młodych Polaków za granicę, zwłaszcza do Francyi, wpływ króla Stanisława Leszczyńskiego, który na dworze swym w Nancy

chętnie garnął wokoło siebie rodaków, przygotowały stopniowo przewrót w umysłach znacznej części społeczeństwa [1]).

Początek dali ludzie bogaci i możni, którzy przedstawiali najwyższy stopień oświaty w Polsce. Zetknięcie się niektórych z nich z mężami nauki francuskiej podziałało także ożywczo i na polu ekonomicznem. Francya przechodziła bowiem podówczas zmianę od systemu polityki merkantyli-



Fig. 306. Warszawa i Praga w końcu XVIII. w.

stycznej, o której mówiliśmy na poprzednich stronach (§ 21), do wręcz przeciwnych zapatrywań t. zw. fizyokratycznych. Istota fizyokratyzmu polegała na tem, iż kładł on ogromny nacisk na rolnictwo.

Stąd ziemia uważana była za główne źródło bogactw, a nie pieniądz. Ażeby zaś to bogactwo powiększyć, nie trzeba nic innego, jak tylko pozostawić swobodę działania każdemu. Społeczeństwo bowiem ludzkie jest wytworem natury i porządek jego jest porządkiem przyrodzonym. (Nazwa fizyokratyzm wyprowadza się od wyrazu greckiego i oznacza panowanie

[1]) Porównaj tom I. str. 374, 692, tom II. str. 108.

praw przyrody). Dlatego fizyokraci byli przeciwnikami wszelkiego mieszania się władzy i państwa do zakresu życia ekonomicznego, żądali zniesienia wszelkich zakazów wywozu zboża lub przywozu innych towarów, uważali za szkodliwe wszelkie związki, cechy i korporacye — jednem słowem głosili swobodę pracy i swobodę handlu.

Nic bardziej nie mogło się stosować do ówczesnego położenia Polski, która była zawsze krajem rolniczym, jak te zapatrywania. Za wpływem fizyokratów zwrócono u nas nie tylko uwagę na nizki stan rolnictwa w Polsce, ale odniesiono go także z natury rzeczy do strasznej nędzy i skrępowania wolności osobistej chłopa. Dlatego zapatrywania te wpłynęły stanowczo na polepszenie doli ludności chłopskiej i zaczęły wydawać zbawienne owoce. Zaczęło się od inicyatywy osób prywatnych w niektórych majątkach. Tak Joachim Chreptowicz, kanclerz litewski, zniósł pańszczyznę i nadał wolność osobistą chłopom w swoich dobrach. Szlachetny X. Brzostowski uregulował stosunki włościańskie u siebie: w Pawłowie i w Mereczu, oczynszował chłopów, pozakładał kasy pożyczkowe (1769) i t. p. Podobnąż inicyatywą świecili Stanisław Małachowski, późniejszy marszałek wielkiego sejmu, Andrzej Zamojski i inni.

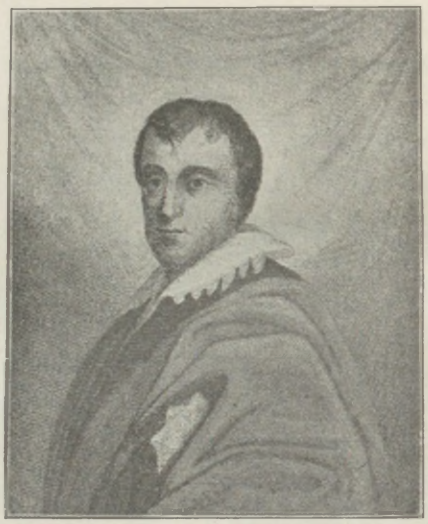

Fig. 307. Kanclerz Andrzej Zamojski.

Ta sama poprawa, co w dobrach prywatnych, dokonała się i w dobrach koronnych. Z polecenia króla wydano »ordynacyę o powinności, porządku, opłacie włościan wszystkich królewszczyzn«. Nadano chłopom prawo sprzedawania ruchomości, ograniczono ilość pańszczyzny do 12 dni z włoki na rok (8 pieszych i 4 sprzężajnych). Król ustanowił osobnego patrona (adwokata) dla spraw włościańskich w sądach referendarskich.

Nawet w zakresie ustawodawczym sejm 1768. r. dał się nakłonić do wyjęcia chłopa z pod władzy dziedzica w sprawach dotyczących życia i śmierci. Pomimo jednak tych reform stosunki naogół nie były do pozazdroszczenia. Włóczęgostwo i zbiegostwo chłopa było na porządku dziennym, nawet tłumne emigracye za granicę do Prus. Ażeby im zapo-

biedz, rozkazano wydawać paszporty chłopom, podróżującym we wnętrzu kraju.

Również na polu rękodzieła i przemysłu robi Polska w w. XVIII. znaczne postępy. Jan Nałęcz Małachowski, kanclerz koronny (1746–62), sprowadza rzemieślników ze Śląska w liczbie 24 rodzin i osadza ich w swojem miasteczku dziedzicznem Końskiem. Księżna Anna z Sanguszków Radziwiłłowa zakłada fabrykę wyrobów szklanych, glinianych i gobelinów u siebie w dobrach. Ks. Józef Czartoryski zakłada w Korcu (powiecie łuckim) fabrykę sukna. W majątkach Radziwiłłów powstają fabryki dywanów (kobierców) w Nieświeżu, w Słucku słynnych pasów dzięki inicyatywie ks. Michała Radziwiłła, ojca »Pana kochanku«. W r. 1766. powstaje pierwsza kompania manufaktur wełnianych pod przewodnictwem Andrzeja Zamojskiego.

Reforma monetarna, przeprowadzona w początkach panowania Stanisława Augusta (1766), kładzie kres zamieszaniu pieniężnemu w cenach, zapobiega ciągłemu odpływowi dobrych pieniędzy i napływowi fałszywych, a nadewszystko dostarcza środków obiegowych, tego nerwu każdego handlu. Między r. 1766. a 1794. wypuszczono w obieg monety na 130 milionów złp. Wywóz zboża z Polski podnosi się już w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta do 57 tysięcy łasztów.

W dodatku zniesiono na sejmie r. 1764. ulgi celne dla szlachty i nałożono cło generalne na przywóz i wywóz. Łącznie z podymnem, generalnym podatkiem stempla i loteryą (1764—1766) były to pierwsze reformy skarbowe od lat wielu w Polsce.

§ 30. Pierwszy rozbiór kraju i jego skutki ekonomiczne. Obszar Rzeczypospolitej w r. 1772. obejmował 13.299 mil kw. Z tego zabrano 3.861 mil kw.[1]), pozostało tylko 9.438 mil kw., czyli przeszło dwie trzecie. Był to bardzo znaczny, bo prawie $^1/_3$ wynoszący ubytek terytoryalny, a dodać należy, że odcięto od Polski najżyźniejsze obszary Podola i Ukrainy, że znaczna część Małopolski, Rusi Czerwonej i w dodatku miasto tak bogate i handlowe, jak Lwów, przeszło pod obce panowanie.

Prócz ubytku w ziemi był to także ubytek ludności. Liczbę jej przed rozbiorami różnie podają; jedni, jak Czacki, na 16 milionów, drudzy, jak Plater, na 20 mil. Ostatecznie z przyrostem w ciągu lat dwudziestu (1791) ludność Rzeczypospolitej po pierwszym rozbiorze nie sięgała wyżej 8–9

[1]) Zob. tom I. str. 710 (podano tam błędnie »przeszło« 4000 mil kwadr., miało być blizko 4000 mil kw.).

milionów, jak oblicza Tadeusz Korzon we wielkiem dziele »Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta«.

Był to ogromny upust sił zarówno w ziemi i w ludziach, którzy stanowią podstawę rozwoju ekonomicznego dla każdego kraju. W dodatku Rzeczpospolita znalazła się odrazu w bardzo ciężkich warunkach z powodu sąsiadów. Austrya nałożyła wysokie cła na granicy polskiej, tak że z tej strony handel Małopolski prawie że ustał. Podobneż utrudnienia dla handlu Wielkopolski czynił Fryderyk Wielki. Ustanowił on na Wiśle komorę, w której pobierano cło w ilości 12% od wszystkich wywożonych towarów.

Jeżeli mimo to rozwój w stosunkach ekonomicznych kraju nie ustał, a nawet wciąż się wzmagał, trzeba to przypisać nadzwyczajnej żywotności narodu, rozbudzeniu się w nim energii i przedsiębiorczości. Ważny współudział w tem odrodzeniu narodu zajął rząd. Jakkolwiek narzucona przemocą t. zw. Rada Nieustająca i z tego powodu znienawidzona, usuwała ona bezrząd czyli anarchię. Wiadome są zasługi na polu oświaty Komisyi edukacyjnej. Podobnież w zakresie ekonomicznem i skarbowem wypadają na rzecz dwóch jej oddziałów (departamentów): policyi tudzież skarbu.

Rozciągają one czujność i opiekę swą zarówno nad rolnictwem, jak i nad stanem przemysłu tudzież handlu, starają się o poprawę dróg i bezpieczeństwo mieszkańców, spieszą z rozmaitemi ulgami bądź w zakresie celnym bądź podatkowym zakładom i przedsiębiorstwom, udzielają nawet zasiłków pieniężnych na nowo powstałe fabryki. Słowem po raz pierwszy rząd w Polsce współdziała ze społeczeństwem na drodze ekonomicznego odrodzenia.

Dlatego mimo znacznego pogorszenia stosunków zaludnienia i obszaru kraju, pojawia się ogromny ruch, postęp i ożywienie.

W zakresie stosunków rolnych panuje ta sama dążność do nadania wolności osobistej chłopom i zamiany pańszczyzny na czynsze. Tak ks. Stanisław Poniatowski w dobrach koronnych od r. 1777. uwalnia chłopów i ustanawia czynsze. Prócz tego wszędzie magnaci krzątają się około zaszczepienia przemysłu w kraju. Szczególniej na tem polu zasłynął Antoni Tyzenhauz, podskarbi nadworny litewski (1765—1780). Niestety działalność ta jego była bardziej dorywcza i sztuczna, rozbudzona »modą«, aniżeli świadoma i produkcyjna.

Tyzenhauz założył (około 1777. r.) w grodzieńskim powiecie (w Horodnicy i Łososnie) 15 fabryk: jedne dla wyrobów sukna, drugie koronek,

jedwabiów, igieł, broni, materyi bawełnianych. W tym celu sprowadził 70 cudzoziemców na kierowników. W fabrykach tych zatrudniono 1500 ludzi, przeważnie chłopów pańszczyźnianych. Prócz tego założył fabrykę sukna w Brześciu litewskim, w Szawlach fabrykę płótna. W dobrach koronnych zakładał olejarnie, krupiarnie, browary, młyny.

Tyzenhauz posługiwał się w tym celu środkami nietylko prywatnymi swymi osobistymi, ale i publicznymi, czerpanymi ze skarbu koronnego. Nie liczył się przytem z żadnymi warunkami, ani z wielkością kapitałów, ani z potrzebami miejscowemi lub łatwością zbytu wyrobów. Nazbyt gwałtownie powstałe, tudzież oparte nie na wolnej pracy najemnej, tylko na stosunkach pańszczyźnianych, zakłady te poupadały rychło, lepiej świadcząc o dobrych chęciach, niż o rozumie i praktycznem uzdolnieniu do przemysłu założyciela.



Fig. 308. Antoni Tyzenhauz.

Lepiej powodzi się przedsiębiorstwom fabrycznym, powstałym w miastach dzięki patryotycznemu i rozumnemu mieszczaństwu, zwłaszcza stolicy kraju, Warszawy. Były one zakładane także przy poparciu rządu krajowego, dzięki zapomogom i ulgom podatkowym. W samej Warszawie spotykamy w okresie sejmu czteroletniego kilkanaście fabryk wyrobów sukienniczych, kapeluśniczych, skór, obić, kart do gry, powozów (słynna fabryka Dangla, zatrudniająca 300 krajowców), i krochmalu (fabryki na Solcu). Wszystko to były firmy poważne, kupieckie i przemysłowe. Większość z nich nawet zdołała przetrwać późniejsze nieszczęścia polityczne i dalej rozwijać przemysł krajowy.

Po raz pierwszy dokonano w kraju wielkich robót melioracyjnych, mających na celu ulepszenie dróg i ułatwienie zbytu produktów bardziej oddalonym prowincyom państwa. Tak w Pińszczyźnie zbudowano groblę na przestrzeni kilkumilowej (od Słonima do Pińska) w majątku ks. Michała Ogińskiego i Butrymowicza, posesora dóbr pojezuickich. Tenże Michał Ogiński przekopał kanał (1788.) własnym kosztem. Kanał ten, noszący nazwę

swego założyciela (kanał Ogińskiego), połączył Szczarę z Jasiołdą. Inny kanał t. zw. królewski, wykopany na przestrzeni 8 milowej (1778—1785), połączył rzekę Wisłę z Dnieprem, czyli otworzył połączenie między zlewiskiem morza Bałtyckiego a Czarnego za pośrednictwem rzek Bugu i Muchawca oraz Piny i Prypeci.

W r. 1784. powstaje kompania handlowa czarnomorska pod przewodnictwem Prota Potuckiego. Do przedsiębiorstw przemysłu krajowego wciągnięto i kapitały zagraniczne. Tak założono w r. 1776. akcyjne towarzystwo dla eksploatacyi soli w Busku. Stosunki handlowo-kupieckie wymogły powstanie ustawodawstwa handlowego. W r. 1783. wydano prawo wekslowe.

Czasopisma i gazety, t. j. prasa, świeżo powołana do życia, zwraca pilną uwagę na potrzeby ekonomiczne kraju. Największe zasługi w tym kierunku położył »Dziennik historyczno polityczny«, wydawany przez Świtkowskiego (1782—1792). Posiadał on licznych korespondentów, którzy dostarczali wiadomości o stosunkach we wszystkich częściach kraju. Powstają nawet pisma, jak »Dziennik handlowy», założony około r. 1786., wydawany przez Kompanię handlową i poświęcony wyłącznie interesom handlu.

W tym dopiero czasie zaczyna się pojawiać literatura ekonomiczna, omawiająca zasady ekonomiczne fizyokratów. Popławski wydał »Zbiór niektórych materyi politycznych« (1774). Dowodzi potrzeby wolności handlu, wskazuje na politykę ekonomiczną ówczesnej Austryi i Prus (Fryderyka W.). Hieronim Strojnowski, profesor i rektor akademii willeńskiej ogłasza »Naukę prawa przyrodzonego, politycznego, ekonomiki politycznej i prawa narodów« (1785). Pisma te wpływają na opinię szlachty w traktowaniu ludności włościańskiej. Dawne stosunki potępiają »Listy patryotyczne« Wybickiego.

Rozwój ekonomiczny kraju w okresie dwudziestolecia między pierwszym i drugim rozbiorem kraju można mierzyć rozwojem stolicy. Warszawa, która w połowie XVIII. w. spadła do 13½ tys. ludności i 486 posesyi, liczy w r. 1787. do 100 tys. mieszkańców. W czasie sejmu czteroletniego było ich już 120 tys. Jest to więc już stolica w całem znaczeniu tego wyrazu, o rozwoju przemysłowym i handlowym. Tutaj ogniskowały się obroty pieniężne kraju (było kilkunastu znacznych bankierów), tutaj rozwinął się ruch przemysłowy, tutaj też wykształcało się pokolenie tych patryotycznych mieszczan, jak Dekiertów, Kilińskich, którzy po raz pierwszy mieli odegrać znaczącą rolę w historyi.

§ 31. Sejm Wielki (1789—1792) i konstytucya majowa. Ten wytężony i gorączkowy postęp ekonomiczny kraju nie był wynikiem żadnego przewrotu ani w stosunkach społecznych, ani w formach produkcyi, ani w konjunkturach[1]) handlu wszechświatowego. Pobudkami tak wytężonej działalności były czynniki polityczne, po części moralne i umysłowe. Najazd nieprzyjacioł wywołał chęć otrząśnięcia się z pod obcych rządów, a do tego za punkt wyjścia musiało służyć odrodzenie narodu na wszystkich polach życia, także i na polu ekonomicznem. Ponad wszystkiemi jednak zagadnieniami górowała sprawa rządu, tudzież bezpieczeństwo Rzeczypospolitej, obmyślenie środków na stworzenie i utrzymanie wojska, odpowiadającego współczesnym wymaganiom i potrzebom Rzeczypospolitej. Tym sprawom musiały być podporządkowane wszelkie inne, a więc i sprawy ekonomiczne w okresie Wielkiego Sejmu[2]).

I tak zniesienie Rady Nieustającej, jako pozostałości wpływów rosyjskich w kraju, pociągnęło za sobą zniesienie dwóch najważniejszych komisyi dla spraw ekonomicznych w jej łonie — departamentu policyi i departamentu skarbu — a to znów musiało się odbić ujemnie na rozwoju tych urzędów przemysłowych i finansowych, które zawdzięczały im swoje powstanie i poparcie. Nowo utworzone ministerstwa nie mogły tak szybko opanować toku spraw, za mało zresztą pozostawiono im czasu dla rozwinięcia działalności.

Natomiast rozwiązaną została nader szczęśliwie reforma skarbowa, która powinna była wywrzeć wpływ stanowczy na rozwój ekonomiczny kraju. Poprzedziło ją postąpienie drugiej kwarty[3]) przez starostów i uchwała podwójnego podymnego w r. 1789., przyczem wyraźnie zostało w konstytucyi zaznaczone, że ciężar ten ma spaść na dwory, a nie na rolników. Nareszcie 26. marca 1789. uchwalono pierwszy stały podatek na potrzeby Rzeczypospolitej pod nazwą »ofiary wieczystej stanu rycerskiego obojga narodów na wojsko«. Wysokość jego oznaczono na 10% od dochodów ziemian i 20% od duchowieństwa.

Jakkolwiek groza położenia Rzeczypospolitej na zewnątrz nie pozwalała myśleć o gruntowych przeobrażeniach wewnętrznych, przecież dwie kwestye, sprawa włościańska i sprawa miast, wybijały się tak dalece na pierwszy plan, iż zupełnie ich pominąć nie było można.

---

[1]) Zobacz notę na str. 666.

[2]) Czytaj o tym Sejmie w tomie I. str. 376 i 725.

[3]) O kwarcie zobacz w tomie I. str. 732.

Do reformy sprawy włościańskiej przygotowywano grunt, starając się o podniesienie oświaty ludowej. W tym celu włożono na plebanów obowiązek utrzymywania szkół parafialnych i nałożono karę 50 grzywien na zaniedbujących tego obowiązku.

Sprawa stanowiska społecznego i politycznego mieszczan była dojrzalszą do rozwiązania, już ze względu na zamożność i powagę stanu mieszczańskiego w kraju. Przygotowywał się zresztą on sam do obrony swoich interesów, a deputaci miast, którzy się zjechali do Warszawy w czasie sejmu, opracowali olbrzymi memoryał, w którym wskazywali na dawne znaczenie stanu mieszczańskiego w Rzeczypospolitej i na stopniowe pozbawienie miast wszystkich praw [1]). Na Litwie zresztą już w r. 1775. uczyniono znaczny wyłom w prawodawstwie względem mieszczan, gdyż pozwolono im kupować majątki ziemskie dla zaludnienia kraju.

Konstytucya ogłoszona 3-go maja 1791. r. przebudowała cały ustrój polityczny Rzeczypospolitej i nadała nowe stanowisko w państwie włościanom i mieszczaństwu. Dążeniem jej było nadać wolność i własność chłopu, ale obawiając się nagłego przewrotu społecznego, rozciągnięto na razie tylko opiekę prawną nad ludnością wiejską i poręczono całość i nieodwołalność wszelkich umów, zawieranych między chłopami a właścicielami gruntów. Dla podniesienia zaludnienia i rolnictwa w kraju, zachęcano cudzoziemców do osiedlania się w Polsce, chłopom zaś zbiegłym, po powrocie obiecywano wolność.

Stan mieszczański zaś na mocy konstytucyi 3-go maja uzyskał odrazu pełne prawa obywatelskie. Zabezpieczono samorząd miejski, pozwolono mieszczanom nabywać majątki ziemskie, otwarto im dostęp do szlachectwa, czyli otrzymania szlachectwa, a nadewszystko powołano mieszczan po raz pierwszy do ustawodawstwa sejmowego. W tym celu podzielono miasta na cyrkuły, wybierały one deputatów do wydziałów każdy zaś wydział wysyłał jednego przedstawiciela na sejm.

Jeżeli w prawodawstwie utrzymał się jeszcze dawny podział na stany, to w opinii następowało już zrównanie obywatelskie trzeciego stanu, t. j. mieszczan z dwoma wyższymi, duchowieństwem i szlachtą. Tak najznakomitsi działacze sejmu czteroletniego z marszałkiem swym na czele Stanisławem Małachowskim, zapisują się do liczby mieszczan, a niebawem po prezydencie miasta Warszawy Janie Dekercie, mieszczaninie, obejmuje tę godność szlachcic Ignacy Zakrzewski.

[1]) Zobacz tom I. str. 732.

§ 32. Tadeusz Kościuszko[1]). Zakończenie. Na tem kończy się właściwie działalność i rozwój ekonomiczny dawnej Rzeczypospolitej. Odtąd zaczyna się już rola innych czynników obco-państwowych w dziejach ekonomicznych Polski — nie tak jednak, aby naród zrzekł się zupełnie swych praw do stanowienia o sobie. Naczelnik narodu Kościuszko i jego manifest pod Połańcami (7 maja 1794. r.). uwalniający od pańszczyzny w całości chłopów idących do powstania, a dla reszty zmniejszający ją do połowy (najwięcej dwa dni w tygodniu), rozpoczyna nowy okres pracy samoistnej narodu nad odrodzeniem ekonomicznem kraju i podniesieniem do poziomu oświaty i uobywatelenia wszystkich warstw ludności. Jakoż po raz pierwszy na polach racławickich lud wiejski wystąpił na polu walki razem ze szlachtą i mieszczaństwem w obronie wspólnej Ojczyzny!

Pomimo utraty niepodległości państwowej dążenie do samoistnej pracy narodu w sprawach ekonomicznych nie ustaje przez cały wiek XIX., wiek walki o niepodległość, trwa i dzisiaj przy różnorodnych warunkach państwowych wszystkich dzielnic dawnej Rzeczypospolitej. Stanowisko mocarstw rozbiorowych jest tutaj rozmaite, zależnie od chwilowych interesów ich politycznych; raz sprzyja jednej, to znów drugiej warstwie ludności, tu popiera, tam hamuje dążenie do rozwoju ekonomicznego kraju.

Ta podnieta jednak, jaką nadały reformy Sejmu Wielkiego rozwojowi Rzeczypospolitej, trwa i przez cały wiek późniejszy. Wielka rola, jaką sprawa uświadomienia ludu w duchu narodowym odgrywa w walce o niepodległość, nie pozwala społeczeństwu polskiemu zdać się na łaskę i niełaskę obcych mocarstw w sprawach ekonomicznych. I tak przez cały wiek XIX. wytwarza się w samem społeczeństwie, wbrew usiłowaniom rządów porozbiorowych, samoobrona narodowa i ciągła dążność do wspólnego jednolitego rozwoju narodu także na polu społecznem i ekonomicznem.

[1]) Czytaj szerzej w »Polsce« t. I. str. 755—769.

STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE

W POLSCE

PO ROZBIORACH.

STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE
W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

I. Ustrój rolniczy Królestwa Polskiego.

Podstawą obecnego ustroju rolniczego Królestwa Polskiego jest prawodawstwo z r. 1864.; wtedy to włościanie zostali właścicielami gruntów, które przedtem już były w ich ręku, lecz z których odrabiali pańszczyznę lub opłacali czynsz.

Wolność osobistą włościanin w Królestwie Polskiem miał już od r. 1807., kiedy ustawą konstytucyjną Księstwa Warszawskiego, utworzonego przez Napoleona I., ogłoszoną została równość wszystkich obywateli wobec prawa i zniesiona zależność osobista włościanina od dworu. Równocześnie nadanem zostało prawo swobodnego przechodzenia z miejsca na miejsce, t. j. prawo opuszczania gruntów z tem jednak, że włościanin zostawić musiał na gruncie cały inwentarz, narzędzia, budynki — słowem cały dobytek pracy życia swego, a jeszcze nadto i ziarno na zasiew. W tych warunkach włościanie mało korzystać mogli z przyznanej im swobody, bo w razie opuszczenia gruntów cóż miał począć rolnik ogołocony z wszelkich środków pracy na roli. Siedzieli więc nadal w dawnych siedzibach, przyjmując warunki, jakie im stawiali dziedzice, odrabiając ciężką nieraz pańszczyznę.

Jednocześnie jednak właściciele czyli dziedzice dla powiększenia i zaokrąglenia obszaru gruntów folwarcznych rugowali nieraz włościan z zajmowanej przez nich ziemi i dopiero prawo z r. 1846. zapobiegło tym rugom,

stanowiąc, że włościanie posiadający nie mniej 3 morgów gruntu nie mogą być ani wydalani ani obciążani nowemi powinnościami.

Stan ten trwał do r. 1864., w którym to czasie reforma włościańska, już przedtem w Rosyi dokonana, rozszerzoną została na Królestwo Polskie. Z mocy jej przeszło na własność włościan z górą 8 milionów morgów. Do gruntów tych zastosowane zostały pewne przepisy prawne, zabezpieczające włościanom posiadanie tych gruntów w przyszłości. Tak więc przedewszystkiem gruntów włościańskich z uwłaszczenia pochodzących nie mogą nabywać osoby innych stanów, t. j. szlachta, żydzi, kupcy i t. d., a tylko wyłącznie włościanie; nadto dla zapobieżenia rozdrabnianiu posiadłości prawo zabroniło dzielić osady włościańskie, jeżeli cząstki z podziału powstające miałyby już mniej niż 6 morgów miary nowopolskiej; prawodawca wychodził z założenia, że drobne gospodarstwo na morgu lub dwóch nie przynosi rolnikowi korzyści, a tylko trzyma go na miejscu w wiecznej nędzy i kłopotach.

Od czasu reformy, t. j. w ciągu ostatnich lat 40 grunta włościańskie powiększyły się znacznie. Wielu gospodarzy, dorobiwszy się grosza, nabywało ziemie z majątków dworskich, które właściciele rozsprzedawali cząstkami. Nadto sporo gruntów dostali włościanie za zwolnienie gruntów i lasow dworskich od służebności i za zrzeczenie się prawa korzystania ze serwitutów. Wiadomo, że za czasów pańszczyzny, kiedy włościanin siedział na gruncie dworskim i odrabiał pańszczyznę, a ani lasu ani pastwiska swego nie miał — i jedno i drugie od dworu dostawać musiał. Wolno mu więc było w roku zebrać z lasu dworskiego pewną liczbę sztuk drzewa na naprawę budynków, oznaczonej długości i grubości, pewną ilość fur gałęzi na opał, liści na ściółkę dla bydła, wreszcie miał również prawo pasać na pastwiskach dworskich pewną liczbę sztuk bydła rogatego, koni, świń i owiec. Przy uwłaszczeniu w r. 1864. wszystkie te prawa włościan, z dawna istniejące i obyczajem uświęcone, spisane zostały i przyznane nadal włościanom, tak że właściciel, chcąc się uwolnić od obowiązku wydawania włościanom z lasu swego drzewa, gałęzi i ściółki i od puszczania bydła włościańskiego na swoje pastwisko, zawrzeć musiał umowę z nimi, dając im w zamian za uwolnienie go od tego serwitutu wynagrodzenie, najczęściej w ziemi. Z tego więc źródła również sporo ziemi włościanom przybyło.

W chwili obecnej włościanie posiadają w Królestwie Polskiem 9½ milionów morgów gruntu (9,505.996), a jeżeli doliczymy do tego z górą milion

morgów gruntu, będących własnością drobnej szlachty, gęsto w niektórych okolicach Królestwa Polskiego rozsianej (1,308.997), to razem wzięte te dwie kategorye własności drobnej stanowić będą prawie połowę przestrzeni ogólnej Królestwa.

Tak jest w całości ogólnej, ale w różnych okolicach kraju różne pod tym względem panują stosunki. Kiedy na przykład w takim powiecie łowickim gubernii warszawskiej włościanie dzierżą w swem ręku prawie $^3/_4$ (70%) wszystkich gruntów, to w powiecie kutnowskim tej samej gubernii mają mniej niż $^1/_4$ (22,2%). Wogóle powiedzieć można, że własność włościan większą jest w gorszych pod względem gatunku gruntów okolicach kraju. Gdzie grunta lepsze, żyźniejsze, urodzajniejsze, tam z dawien dawna rozsiadły się szeroko gospodarstwa folwarczne, rugując włościan do gorszych części kraju. Największą stosunkowo własność włościańska jest w części północnej gubernii suwalskiej, zamieszkałej przez Litwinów. Najmniejszą w Płockiem, na Kujawach, bo tu właśnie powstało najwcześniej i rozwinęło się najbardziej folwarczne gospodarstwo szlacheckie.

Jeżeli całą przestrzeń gruntów, należących do włościan, podzielimy przez liczbę ogólną gospodarstw włościańskich, to wypadnie nam przeciętnie na jedno gospodarstwo 13 morgów. I byłoby to jeszcze nieźle — gdyby takich gospodarstw było najwięcej: lecz o wiele większą jest liczba gospodarstw drobnych, w których ziemia nie wystarcza do wyżywienia rodziny włościańskiej, i szukać ona musi zarobków pobocznych dla powiększenia swego dochodu.

Najlepiej uposażeni są Litwini w gubernii suwalskiej. W powiatach litewskich przeciętna wielkość gospodarstwa włościańskiego dochodzi do 31,8 morga. Stosunkowo dużo ziemi, ale lichej, mają Kurpie w Ostrołęckiem (19 morgów na gospodarstwo), Księżacy w Łowickiem (17 morgów); najmniej zaś ziemi przypada na gospodarstwa włościańskie w Kaliskiem i Kieleckiem.

Jeżeli dla przykładu weźmiemy 100 gospodarstw włościańskich, to 40 będzie miało mniej niż 10 morgów, a tylko 2 więcej niż 40 morgów.

Własność ziemska włościan składa się przeważnie z gruntów ornych (z górą 6 mil. morgów), a tylko w dziesiątej części z łąk; lasów zaś włościanie nie mają prawie wcale. Tem się też tłómaczy przywiązanie włościan do serwitutów na lasach dworskich, które im dają możność zaopatrywania się w drzewo na budowle i na opał.

Stosownie do różnic w uposażeniu gruntowem i do urodzajności ziemi

w zamożności włościan olbrzymie zachodzą różnice. Gospodarz na dwóch lub trzech włókach dobrej ziemi przy oszczędności i pracowitości dochodzi do znacznej zamożności, a gdzie i grunta są rodzajne, tam bogatym nazwać go można: bogaczem jest chłop sandomierski, który nieraz wypłaca córkom po kilka tysięcy rubli w posagu; zamożni są włościanie w księstwie łowickiem lub Litwini w gubernii suwalskiej. Lecz niestety są to wyjątki tylko, olbrzymia większość włościan na lichej ziemi i małych kilkumorgowych gospodarstwach nędzny i ciężki ma żywot, i dochód z roli nie wystarcza im na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb życiowych. Ogólnie rzecz biorąc, lud w Królestwie Polskiem odżywia się niesłychanie nędznie. Z pewnością niema w Europie drugiego takiego kraju, w którymby tak mało spotrzebowywano mięsa. Niedość na tem. Znamy wioski całe, w których nawet chleb żytni należy do wyjątkowych przysmaków, rzadko pojawiających się na stole włościańskim, nie mówiąc już o mięsie, które widują zaledwie parę razy do roku: na Wielkanoc, w zapusty lub na święta Bożego Narodzenia. Ziemniaki, i to nie zawsze z okrasą — oto główny pokarm ludu w Królestwie. W okolicach ubogich — jak na Kurpiach, w niektórych częściach gubernii piotrkowskiej i płockiej — na przednowku głód często zagląda do chałup włościańskich.

Wspomnieliśmy już wyżej o szlachcie drobnej lub chodaczkowej, jak ją w niektórych okolicach nazywają. Stanowi ona w ludności rolniczej Królestwa odłam znaczny, bo blizko milion głów liczący. Sposobem życia i zamożnością mało się od włościan różni i gdyby nie pamięć o pochodzeniu, dawnoby już się z włościanami w jedno ciało zjednoczyła. Rozsiedli się oni na Mazowszu i Podlasiu, w dzisiejszych guberniach płockiej, łomżyńskiej i siedleckiej. Są powiaty, w których cała prawie własność drobna jest w ręku tej właśnie szlachty, tak np. w jednym z powiatów gubernii łomżyńskiej do szlachty należy więcej niż połowa, kiedy do włościan zaledwie $^1/_{10}$ część przestrzeni ogólnej, a gminy Pisznaty, Soboty, Celiny, Jakusze, Nakły, Jaczew, Pióry, Olszów i inne, wszystkie na Podlasiu, są całkowicie przez szlachtę drobną zamieszkałe.

Historycy dowodzą, że szlachta ta pochodzi od osadników, których królowie polscy na kresach osiedlali, darowując im wolność i nadając im ziemię na własność, pod obowiązkiem obrony kresów tych od częstych w tych stronach napadów Jadźwingów i Litwinów. Jest to w Polsce najdawniejsza własność ziemska drobna, przez samych właścicieli uprawiana. Znać to choćby na tej podzielności gruntów, która nigdzie u nas do

takiego niebywałego stopnia nie doszła, jak właśnie wśród szlachty na Podlasiu: od wielu pokoleń dzielili się na równe części synowie spuścizną po ojcu, a gdy gdzie grunt był różny, w jednej części lepszy, w drugiej gorszy, to każdy brał po zagonie w każdej z tych części; po synach to samo robili wnukowie, po nich prawnukowie — i dziś widzimy działki długie a tak wązkie, że jak mówią, gdy pies na zagonie szlacheckim legnie, to mu ogon już o sąsiedzkie pole zawadza, a zdarza się, że jeden właściciel ma takich kawałków 50 i więcej, porozrzucanych w różnych częściach gruntów wioskowych, tak że mu je i wyliczyć i odnaleźć trudno. Stąd też ciągłe spory sąsiedzkie, kłótnie i procesy byle o co, które w szlachcie zamiłowanie do pieniactwa wyrobiły. Małym wózkiem o jednym nędznym koniku odwróceni do siebie tyłem jadą panowie-sąsiedzi o kilka mil do sądu prawować się o szkodę, którą gęś lub kura jednego na polu drugiego wyrządziła.

Już w samych nazwach wsi i wiosek szlacheckich widać, jak się ludność ta rozradzała i rozdzielała. Gdy jest wieś Sikory stare na przykład, to obok znajdziemy późniejsze wioski przez synów, wnuków i prawnuków obok siedzib ojcowskich zakładane: Sikory Bartkowięta — od Bartka, Sikory Wojciechowięta — od Wojciecha, Sikory Tomkowięta — od Tomka, Sikory Pawłowięta — od Pawła, albo obok wsi Załęże będą Załęże Wypychy, Załęże Sędzięta, Załęże Tomki, Załęże Eliasze i t. d. po kilka lub kilkanaście — a mieszkają w nich sami panowie Sikorscy lub Załęscy.

Takich gospodarstw szlacheckich jest obecnie w Królestwie ze 60.000 (z tego z górą 30.000 wypada na gubernię łomżyńską, a 15.000 na siedlecką), a przestrzeń ich gruntów wynosi milion trzykroć sto tysięcy morgów Wypadałoby z tego na jedno gospodarstwo 24 morgi, t. j. więcej niż w gospodarstwach włościańskich, ale i tu różnice są w uposażeniu gruntów z pewnością nie mniejsze niż u włościan.

I wśród gruntów szlacheckich najwięcej jest gruntów ornych, łąk stosunkowo nawet mniej niż u włościan, lasów zato cokolwiek więcej (role — 59,4%, łąki — 7,5%, lasy 11,3%, reszta pod ogrodami lub też nieużytki).

Właściciele wielkiej własności, t. j. obszarów dworskich, posiadają w Królestwie bez mała 9 milionów morgów, t. j. o milion tylko mniej od włościan. W niektórych guberniach, jak w kaliskiej, lubelskiej, warszawskiej, płockiej własność ta stanowi połowę lub prawie połowę przestrzeni ogólnej, a tylko w guberniach suwalskiej i łomżyńskiej wynosi mniej niż $^1/_4$ część. Szczególnie na Kujawach, w ziemi dobrzyńskiej, w dawnych

województwach płockiem, łęczyckiem, w części w kaliskiem z jednej strony, a w Małopolsce w województwach lubelskiem i sandomierskiem, słowem w najżyźniejszych okolicach kraju, przeważa własność wielka, natomiast ubogie Podlasie oraz część litewska Królestwa posiadają folwarków szlacheckich najmniej. Wyjątkiem jest tu wspomniany już wyżej powiat łowicki, w którym rozsiadło się już z dawien dawna na dobrach arcybiskupich zamożne włościaństwo, tak zwani Księżacy.

Wśród tej własności spora część przypada na łąki i lasy, a skutkiem tego stosunkowo mniej jest gruntów ornych, niż u włościan i szlachty drobnej.

Z pozostałej przestrzeni część największą posiada skarb, bo około 1.300.000 morgów, reszta zaś w drobnych częściach dzieli się pomiędzy miasta 300.000 morgów, miasteczka 600.000, urzędy i szkoły gminne oraz kościoły niecałe 100.000, klasztory tylko 468 morgów.

Takim jest podział własności ziemskiej w Królestwie Polskiem obecnie. Trudno odgadnąć, jaką będzie przyszłość najbliższa. Gospodarstwo włościańskie zwłaszcza w niezmiernie ciężkich postawione jest warunkach: dość powiedzieć, że w tak dużym kraju nie posiadamy ani jednej szkoły rolniczej dla synów włościańskich, podczas gdy w Czechach na przykład na mniejszej przestrzeni jest ich aż 35, to też włościanin uczy się ulepszeń gospodarczych tylko patrząc na to, co się na wielkiej własności dzieje, a co nie zawsze do potrzeb jego gospodarstwa zastosować się daje. Niewolno nawet było u nas zakładać kółek włościańskich rolniczych takich jak te, którym Galicya, a szczególnie Poznańskie zawdzięczają postęp rolniczy. Słowem pozostawiony sam sobie bez oświaty i bezradny włościanin nasz tylko powolnym krokiem postępować może po drodze postępu i kultury. Nie mamy też żadnej instytucyi kredytowej na większą skalę, któraby włościaninowi w pomoc przyjść mogła, gdy mu brak środków dla ulepszeń lub dla spłaty rodzeństwa lub wreszcie dla lepszego wychowania dzieci. Istniejące kasy gminne obracają kapitałem zbyt małym i służą zwykle tylko szczupłej liczbie osób, a zarząd tych kas spoczywa w ręku urzędników, których los włościan mało obchodzi, na tym więc gruncie wyrasta lichwa żydowska doprowadzająca nieraz włościan do nędzy i ruiny. Jedynie niesłychana pracowitość i zapobiegliwość polskiego chłopa sprawiły, iż w większości wypadków wybrnął z tych wszystkich trudności, gospodarstwo ulepszył, a nawet i grosza sporo uciułał, skoro — jak wiemy — rok rocznie przykupuje gruntu. Trzeba więc mieć nadzieję, że nie ugnie się on i nadal pod ciężarem przeciwności i zwycięsko z trudności wypłynie.

Na zakończenie powiedzmy jeszcze słów parę, co warsztat rolniczy Królestwa Polskiego rocznie produkuje i jakie gatunki zboża przeważnie uprawia. Najwięcej sieją i zbierają żyta, bo z całej przestrzeni zasiewanej więcej niż $^1/_3$ część (35,9%) na żyto przypada; po życie co do rozległości zajętej przestrzeni następuje owies: blizko $^1/_5$ część przestrzeni (18%), a po nim kartofle (14%). Pszenica zajmuje już tylko mniej niż $^1/_{10}$ (7,6%), a inne zboża jak jęczmień, rośliny pastewne, gryka, groch, buraki — mniej jeszcze. W takim samym porządku idą więc i zbiory: żyta wypada na Królestwo około 100 milionów pudów, owsa z górą 40, pszenicy już tylko 30, owsa 22, grochu 7 i t. d.

Jak włościanin nasz gospodaruje, jakich sposobów trzyma się w tem swojem gospodarstwie — o tem w tej książce osobny rozdział opowie.

W grudniu 1902. r.

Adam Zakrzewski.

II. Rozwój stosunków wiejskich w Królestwie Polskiem.

Sto lat temu dwa czynniki stanowiły treść bytu ludności rolniczej: poddaństwo osobiste włościan i pańszczyzna, czyli obowiązek odrabiania z posiadanych przez włościan gruntów określonej robocizny na rzecz właścicieli ziemskich. Wiemy już, że w r. 1807. wraz z utworzeniem przez Napoleona Księstwa Warszawskiego ogłoszonem zostało zniesienie poddaństwa; ale pańszczyzna prawem pozostała nietkniętą; wskutek tego wytworzyły się stosunki dla włościan bardzo uciążliwe: wolno im było robić z sobą, co im się podobało, ale nie mieli ani własności, ani nawet zabezpieczonych praw posiadania gruntów, wskutek czego pozostawali nadal w zupełnej zależności od właścicieli ziemskich. Właściciel miał prawo z końcem roku bądź podwyższyć pańszczyznę, bądź wprost wyrzucić włościanina z gospodarki, włościaninowi zaś przysługiwało jedynie prawo iść, gdzie go oczy poniosą. Póki stosunki gospodarcze były oparte na starodawnym trybie gospodarowania, to jest trójpolówce i produkcyi zbożowej, dopóty byt włościan

znajdował zabezpieczenie w tem, że w interesie każdego właściciela ziemskiego było mieć większą ilość gospodarzy pańszczyźnianych, a zatem dbać o nich. Ale od początków XIX. stulecia datuje się postęp ekonomiczny w dziedzinie rolnictwa. Pierwsi wprowadzili go Niemcy, którzy po rozbiorach Polski, w końcu XVIII. w., liczne ziemie w swe ręce zagarnęli, na nich osadzali kolonistów i wprowadzali zarazem lepsze systemy gospodarowania. Później zaś po r. 1815. dawni napoleońscy wojacy, powróciwszy do zajęć rolniczych, starali się naśladować u siebie te postępowe urządzenia, jakie w czasie odbywanych wojen za granicą widzieli. Wreszcie postęp rolniczy przenikał do Królestwa drogą naturalnego rozwoju ekonomicznego, ogarniającego coraz szersze kręgi od Zachodu na Wschód. Ówczesny postęp rolniczy polegał na upowszechnieniu uprawy kartofli w polu i urządzaniu gorzelni, pomnażaniu stad owiec i ulepszaniu ich gatunku w kierunku cienkowełnistym, upowszechnianiu uprawy koniczyny, zaprowadzaniu obór dochodowych, oddawanych w dzierżawę. Jednocześnie z tem, jako warunek powodzenia powyższych postępowych urządzeń, zaprowadzano gospodarstwa parobczyńskie, które polegały na tem, że folwark główne czynności gospodarcze dokonywał własnym sprzężajem i parobkami na służbie zostającymi. Okoliczność powyższa, będąca wynikiem postępu rolniczego, stała się źródłem znacznego pogorszenia bytu włościan. Włościanie bowiem pańszczyźniani przestali być niezbędni dla właścicieli ziemskich przy uprawie folwarków, natomiast potrzebnem się stało dla folwarków powiększanie przestrzeni uprawnych i zaokrąglanie pól dla umożliwienia lepszej gospodarki, dla pasania owiec i t. p. Stąd powstały tak zwane rugi, to jest wymawianie przez właścicieli ziemskich włościanom dalszego posiadania gospodarki pańszczyźnianej i wcielanie gruntów włościańskich do obszaru folwarcznego. Najczęściej działo się to jednocześnie z oddzieleniem włościan, przy czem część ich biedniejsza przechodziła do stanu służących parobków, część zaś zamożniejszych osiadała na nowych czynszowych prawach i tworzyła kolonie na ziemiach na krańcu dóbr leżących, przeważnie poleśnych. Polesia często kolonizowane były niezależnie od oddzielenia i regulacyi wsi i wtedy sprowadzano przeważnie Niemców kolonistów.

Od początku wieku do 1846. r. zmiana stosunków rolniczych odbywała się szybkim krokiem. Polegała ona na wytwarzaniu się proletaryatu rolnego i na mnożeniu się osad czynszowych. Pozostałe zaś osady pań-

szczyźniane znajdowały się w coraz gorszem położeniu; posiadłości włościańskie stawały się coraz mniejsze, bo właściciele przedewszystkiem większe osady włączali do folwarków, gdyż pańszczyzna ciągła była dla nich przy gospodarstwie parobczyńskiem zbyteczną; mniejsze osady pozostawiali głównie dla pańszczyzny pieszej. Włościanie zaś obawiając się rugów, godzili się na wszelkie utrudnienia i obciążenia, jakie na nich przy pańszczyźnie nieustannie nakładano. W ten sposób postęp ekonomiczny w Królestwie szedł w parze z niezmiernie szybkiem i znacznem pogorszeniem bytu ogółu ludności wiejskiej: trzecia część tej ludności zeszła niespełna w pół wieku do rzędu proletaryatu, z pozostałej części połowa tylko znajdowała znośne warunki bytu w osadach czynszowych, reszta zaś wpadała w coraz uciążliwsze warunki pańszczyźniane.

Wytworzył się w ten sposób stan społeczny nienaturalny, w którym tkwiły zarodki niebezpiecznych walk klasowych. Obowiązkiem władz krajowych było zapomocą odpowiedniego prawodawstwa uregulować te stosunki.

Gdy w dobrach rządowych za czasów Królestwa Kongresowego przed 1830. rokiem uczyniono przygotowania do oczynszowania włościan i gdy oczynszowanie to w r. 1831. przez rząd polskiego powstania ogłoszone zostało, w r. 1833. rząd wziął się do ostatecznego przeprowadzenia oczynszowania najpierw w dobrach donacyjnych, następnie w r. 1841. i w rządowych. Jednocześnie za przykładem ordynacyi Zamoyskiej wielu innych magnatów przeprowadzało oczynszowanie włościan nie połączone z rugami i wynikłe nie tyle z rachunku ekonomicznego, ile z poczucia potrzeby kraju i dobra społecznego. Jednak te korzystne dla kraju usiłowania lepszych jednostek nie mogły zrównoważyć zła ogólnie panującego. Włościanie zaczęli się burzyć i gdy w 1846. r. w Galicyi zaszły znane wypadki rzezi, cesarz Mikołaj I. wydał dla Królestwa w tymże 1846. roku w interesie porządku publicznego ukaz, mający w pewnej mierze zabezpieczać te prawa włościan, o które im najwięcej chodziło. Na zasadzie tego ukazu dodatkowe obciążenia pańszczyźniane zostały zniesione, a co najważniejsza, przyznane zostało włościanom prawo bezpiecznego posiadania gruntów i osad, o ile odrabiać oni będą dawniej określoną i w tabelach zapisaną pańszczyznę. Ale ukaz 1846. r. nie będąc wynikiem ewolucyi krajowego prawodawstwa, lecz aktem odosobnionym, nie zdołał wyświadczyć włościanom tej ulgi, jaką powinien był im przynieść; natomiast wywołał nowe trudności i niedogodności. Mianowicie po ukazie r. 1846. zatamowane zostały wszelkie układy z właścianami,

nawet i takie, które z wyraźną ich korzyścią następowały, jak czynszowanie całych wsi bez rugów. Włościanie bowiem spostrzegłszy po ukazie r. 1846., że ponad naszem społeczeństwem stoi władza wyższa, od której oni dla siebie mogą doznać korzyści, zamknęli się w biernym oporze przeciw wszelkim układom i propozycyom, jakie spotykały ich ze strony społeczeństwa; nie wierzyli ani właścicielom, ani wójtom, ani naczelnikom powiatu lub komisarzom ekonomicznym, ani księdzu ani żadnemu doradcy z inteligencyi, tylko pokątnym wichrzycielom, wyrzutkom społeczeństwa, którzy z tego żyli, że utrzymywali we włościanach tę niewiarę do swoich; instynktownie zaś włościanie przeczuwali, że na wyczekiwaniu mogą tylko skorzystać, i mieli w głębi duszy nadzieję, że przyjdzie dla nich chwila, w której ziszczone zostaną ich najgłębsze pragnienia posiadania ziemi na własność.

Wobec tego też porozumienie między właścicielami, pragnącymi postępu rolniczego, a włościanami, strzegącymi przedewszystkiem własnych interesów, nastąpić mogło dobrowolnie tylko w zupełnie wyjątkowych wypadkach, gdy właściciel zdobywał się na znaczną ofiarność, niezgodną z jego własnym interesem.

Oczywiście, że bezpośrednim obowiązkiem władz i wynikiem ukazu 1846. r. było uregulowanie stosunków włościańskich drogą państwowych rozporządzeń. Tymczasem dopiero w r. 1858. wydano przepisy, określające wymagania prawa przy dobrowolnych umowach z włościanami na zasadzie wieczystego oczynszowania. Przepisy te jednak nie posuwały wcale sprawy naprzód, bo nie wprowadzały żadnych zobowiązań dla stron godzących się w razie niezgody, co było koniecznem w położeniu, jakie się po 1846. r. wytworzyło. W tym czasie istniejące Towarzystwo Rolnicze rozwinęło energiczną działalność w celu doprowadzenia do skutku ogólnego oczynszowania włościan na zasadzie przepisów 1858. r. Obywatelstwo okazało dużo dobrej woli, Towarzystwo Rolnicze dużo umiejętności organizacyjnej i dużo podniosłej myśli, odwagi i stanowczości w kierownictwie opinią kraju i w oddziaływaniu na nią. Wszystkie jednak te wysiłki natrafiały na bierny opór włościan, wywołany ukazem r. 1846., któremu przepisy z r. 1858. wcale nie były zdolne przeciwdziałać. Ostatecznie w r. 1861. już pewną część umów czynszowych udało się Towarzystwu przeprowadzić, a znaczną część takich umów przygotować. Towarzystwo Rolnicze obmyśliło plan walnej kampanii w tej sprawie, a obywatelstwo gotowe było nawet już przystąpić do ogólnego i jednoczesnego oczynszowania włościan w Królestwie wraz ze skupem tych czynszów, co równało się uwłaszczeniu włościan; w trak-

cie tego z woli Wielopolskiego Towarzystwo zostało rozwiązane. Władze, zwlekające od r. 1846. z uregulowaniem stosunków włościańskich, podczas gdy to uregulowanie drogą wzajemnego porozumienia miało już w łonie społeczeństwa naszego samo się uskutecznić, zamiast ułatwić tak zbawienne dla społeczeństwa naszego przedsięwzięcie, nie dopuściły zawczasu do niego. Po rozwiązaniu zaś Towarzystwa Rolniczego układy z włościanami oczywiście nie mogły przyjść do skutku; na drodze prywatnego porozumienia się, bez udziału przynajmniej władzy moralnej, jaką sobie Towarzystwo Rolnicze umiało wyrobić, rzecz ta była niemożliwą do przeprowadzenia.

Gdy Towarzystwo Rolnicze rozwiązanem zostało, uregulowanie stosunków włościańskich przez władze państwowe stało się sprawą wprost naglącą. Należało je przytem przeprowadzić w ten sposób, by włościanie do własności doprowadzeni zostali, tak bowiem sprawę tę postawiło już Towarzystwo Rolnicze. Tymczasem prawa z roku 1861. o okupie pańszczyzny i z roku 1862. o oczynszowaniu z urzędu, cofały rzecz wstecz zamiast ją naprzód posuwać. Oczynszowanie z urzędu nie zabezpieczało włościanom ani dostatecznie nizkiego czynszu, ani, co dla nich gorsze, należytego uwzględnienia ich dogodności służebnościowych. Warunki więc tego oczynszowania urzędowego były dla włościan gorsze, niż te, jakie Towarzystwo rolnicze proponowało i wprowadzało w życie, a co najważniejsza, nie doprowadzało ono posiadania włościańskiego do praw pełnej własności, jakich włościanie w r. 1862. już jawnie żądali. Własność tę bowiem i Towarzystwo Rolnicze chciało im uprzystępnić i agitatorzy rewolucyjni zarówno jak wichrzyciele społeczni im obiecywali.

Wśród tych warunków wybuchło powstanie 1863. r. Włościanie nie stanęli w takiej mierze do udziału w powstaniu 1863. i 1864. r., jak byli powinni, ale dzięki usiłowaniom obywatelstwa naszego zarówno jak i duchowieństwa, które nieustannie i usilnie pracowały nad tem, by w ludzie wiejskim rozbudzić poczucie solidarności narodowej, włościanie, pomimo zaufania, jakie władzom rosyjskim okazywali, nie dopuszczali się na ogół postępków, któreby wymierzone były czynnie przeciw sprawie narodowej.

Wtedy wyszedł ukaz r. 1864., nadający włościanom posiadanie gruntów na własność. Pod względem prawno-społecznym ukaz ten wprowadzał zupełną reformę stosunków włościańskich, dawał chłopom zupełną niezależność i samodzielność, zabezpieczał w posiadaniu gruntów nie tylko włościan dawniej pańszczyźnianych i czynszowych, lecz i znaczną część proletaryatu

rolnego, dość liczebnego podówczas w kraju. Był on więc w tym względzie zbawiennym i tak go też nasze społeczeństwo przyjęło; odpowiadał bowiem dawno już uświadomionym pragnieniom wybitniejszych jednostek naszej inteligencyi krajowej i żądaniom włościan. Pod względem ekonomiczno-kulturalnym błądził ukaz 1864. r. w tem, że nie zaprowadzał separacyi gruntów włościańskich i zamiany służebności; ale co główniejsze — to, że poza swoją właściwą treścią prawodawczą był ukaz z 1864. r. w motywach i wykonaniu przewrotny, antyspołeczny i antynarodowy. Na dowód tego niech służą niektóre wyjątki z samej treści ukazu: »Środki prawodawcze przyjęte przez nas w Rossyi przy błogosławieństwie Wszechmocnego pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały, dzięki czynnej pomocy udzielonej nam w tem przedsięwzięciu przez szlachtę rossyjską i ofiarom, jakie ona chętnie poniosła dla dobra ogółu i uczucia prawdziwej ludzkości. Lecz w Królestwie Polskiem trzy akty i postanowionia 1858., 1861. i 1862. roku nie znalazły, z głębokim smutkiem naszym, u właścicieli ziemskich tego współdziałania, bez którego skutek przedsięwziętych środków widocznie był niepodobnym«. Tymczasem wiemy, że akty 1858., 1861. i 1862. w niczem położenia włościan nie poprawiały. Zła wola nie była w tej epoce po stronie obywateli, lecz po stronie rządu. W odezwie Namiestnika, oznajmiającej ludności o ukazie, znajdujemy tłómaczenie, że ustawy 1858., 1861. i 1862. r. miały na celu poprawę bytu włościan, obywatele jednak nie chcieli popierać rządu w pieczy o włościan i »wtedy to ludzie niekontenci z tych dobroczynnych dla ludu rozporządzeń, podnieśli otwarty rokosz. Buntownicy powstali... a że otwartą siłą i wojną nie zdołali niczego dokazać, uciekli się do nikczemnego podstępu: usiłowali oszukać Was płonnemi przyrzeczeniami, obiecywali bezpłatnie nadać Wam grunta«. »Włościanie Kr. P.! Wy nie usłuchaliście buntowników, pozostaliście wierni Monarsze. Nadeszła chwila urzeczywistnienia waszych oczekiwań i spełnienia ich w ten sposób, aby na przyszłość panowie, którzy Was uciemiężali, nie mieli ani okazyi ani możności uciskania Was i oszukiwania Rządu«. Nic też dziwnego, że wobec tak wyraźnie zaznaczonych pobudek Ukazu, przy wykonaniu jego mniej zważano na ścisłe przestrzeganie prawa i sprawiedliwe rozstrzyganie sporu społeczno-ekonomicznego, a więcej na wpływ polityczny na włościan. To też, ponieważ prawo 1864. r. nakazywało dochodzenie gruntów posiadanych przez włościan w r. 1846., czego na drodze ścisłych wyrachowań niepodobna było dokonać, skorzystano z tego, aby dowolnie, w miarę większych lub mniejszych oznak wierności wło-

ścian dla Tronu, przyznawać im mniej lub więcej gruntu poza tym, jaki posiadali. W tych stronach kraju, gdzie większość włościan była już dawniej oczynszowaną, tam nadawano grunta parobkom i służącym dworskim pod pozorem kompensaty za włączone niegdyś do folwarku pustki. Właściwie całe wykonanie Ukazu miało na celu wpoić we włościan przekonanie, że dostają oni ziemie na własność nie z prawa im przysługującego, ale z łaski Monarchy, choć łaska ta polegała na dodawaniu włościanom do tego, co im się słusznie należało, tego, co słusznie stanowiło własność większych właścicieli.

Jednocześnie z nadaniem własności włościanom, urządzone zostały gminy wiejskie w ten sposób, by włościanie w nich odgrodzeni zostali od wszelkich wpływów społecznych, a postawieni w ścisłej łączności i zależności od władz rządowych. Tłumne zebrania ogólne włościan są tylko pozorem samorządu, właściciel większy, mający takiż głos, co włościanin, pozbawiony jest wpływu; rządzą w gminie wójt i pisarz; pierwszego wybiera gmina, ale jest on właściwie podwładnym naczelnika powiatu.

Formalnie udało się Ukazowi i późniejszym rozporządzeniom wyodrębnić włościan od reszty społeczeństwa, ale nie stało się możliwem dla rządu powstrzymać ogólnego postępu społecznego, jaki i włościan ogarnął. Wkrótce włościanie spostrzegli, że dobrodziejstwa, jakie im rząd wyświadczał, nie były robione z dobrego serca, a tylko z politycznego wyrachowania i przeto sami oni jęli wobec rządu uprawiać swego rodzaju politykę. Natomiast silnie wzrosło wśród włościan starodawne przywiązanie ich do kościoła, stanowiące główny łącznik między ludem a ogółem naszego społeczeństwa. Duchowieństwo ze swej strony okazuje więcej dbałości o włościan niż dawniej. Dawne uprzedzenia włościan względem obywateli znacznie osłabły i zdają się być mniejsze, niż obojętność obywateli względem włościan. Zato włościanin podlega więcej niż dawniej wpływom ludności miast. Obecnie odosobnienie włościan od reszty społeczeństwa, które rząd starał się utrzymać i nawet spotęgować, zdaje się być już mocno zachwiane, a w każdym razie jest łatwem do usunięcia. Współczesne warunki bytu nie wytwarzają sprzeczności interesów między włościanami a obywatelstwem i inteligencyą, młodsze więc pokolenia zarówno włościan jak i inteligencyi nie czują dawnej nieufności, wyrosłej na gruncie wypadków 1863. i 1864. r. i gotowe są do zbliżenia się wzajemnego.

Pod względem ekonomiczno-wytwórczym okres czasu od r. 1864. do naszych dni wykazał ogromną żywotność gospodarczą naszych włościan.

Choć słabo obdzieleni gruntem, zdołali się oni nie tylko utrzymać na roli, ale i wzmódz niezmiernie. Szybki wzrost ludności włościańskiej od r. 1864. stał się przyczyną, że niezadługo odczuli włościanie potrzebę dokupywania gruntów. Zrazu zaczęli oni wykupywać kolonie niemieckie, oraz pojedynczo oddzielne części folwarków. Było to jednak niewystarczające; dążność do kupowania ziemi była silna, możność ograniczona. Istniejący od r. 1883. Bank włościański udzielał kredytu włościanom na kupno gruntów, ale dopiero od r. 1895., dzięki rozszerzeniu jego ustawy, zdołał on większe włościanom przynieść ułatwienia w nabywaniu gruntów i rozbudził w Królestwie znaczny ruch parcelacyjny.

Gospodarstwa folwarczne do r. 1884. znajdowały podporę materyalnego rozwoju w stosunkowo wysokich cenach wytworów rolnych. Ale cła na nasze zboże do Prus idące i konkurencya zboża i bydła rosyjskiego wpłynęły, począwszy od 1884. r., na obniżenie cen produktów rolnych u nas do tego stopnia, że uniemożliwiły czynienie większych nakładów w rolnictwie i prowadzenie gospodarstwa postępowego. Brak zaś stowarzyszeń i towarzystw rolniczych oraz brak szkół rolniczych sprawiły, że i do roku 1884., przy wyższych cenach, zamiast o produkcyjnych nakładach i pracy dla przyszłości, więcej o chwilowem i osobistem używaniu lub gromadzeniu pieniędzy myślano. Wskutek tego w Królestwie silniej niż w innych krajach, dotknęło naszą większą własność przesilenie rolnicze. Przesilenie to stało się przyczyną parcelacyi. Na majątki brak nabywców; kupują je głównie włościanie i rozdrabniają między sobą. W ten sposób 4,65% własności prywatnej większej przeszło do 1901. r. w ręce włościan. Znikają więc placówki właściwej inteligencyi wiejskiej w kraju, rosną zaś w siłę podstawy materyalne włościanie. Wytwarza to konieczność dla społeczeństwa, by opuszczone placówki zastępować nowemi źródłami wpływu i oddziaływania na włościan. Temi nowemi źródłami winny się stać towarzystwa rolnicze, które w Królestwie rozpoczęły swą działalność. Na razie władze krajowe silnie tę działalność skrępowały, nie dozwalając na powstawanie towarzystw powiatowych, najbardziej potrzebnych obywatelstwu, a szczególnie włościanom, a dozwalając jedynie na towarzystwa gubernialne.

Nad całem rolnictwem krajowem, zarówno folwarcznem, jak włościańskiem cięży konkurencya zboża i bydła rosyjskiego. Ona to nie dozwala na należyty rozwój postępu rolnictwa. Folwarki w tym względzie prędzej sobie nawet radzą od włościan: w uprawie buraków, w gorzelnictwie,

w krochmalnictwie znajdują folwarki źródło przemysłowej intenzywnej wytwórczości, w odstawie mleka do większych miast lub w przerobie go na centryfugach źródło dochodu z inwentarza. Gdy więc mniej odporne ekonomicznie folwarki upadają, ulegając parcelacyi, inne, siłą konieczności i wewnętrznego parcia zdążają w ostatnich czasach wyraźnie w kierunku postępu. Wszystkich tych dobrodziejstw postępu rolniczego włościanie są pozbawieni: z odstawy mleka, centryfug, krochmalni, gorzelni — z tego wszystkiego oni nie korzystają; główny ich dochód stanowią przychówek i zboże, a jedno i drugie jest u nas w nizkiej cenie wskutek konkurencyi rosyjskiej. Włościanin w Królestwie trzyma się ziemi i nawet dokupuje jej jeszcze, ale tylko dzięki pracowitości i przywiązaniu do ziemi »żywicielki«, głównie zaś dzięki niezmiernemu ograniczeniu swych potrzeb: włościanin odżywia się, odziewa i mieszka prawie tak samo, jak pół wieku temu, za czasów pańszczyzny, żałuje sobie na wszelki wydatek, na pismo lub książkę, boi się wszelkich podatków, nawet na szkołę. Zmusza go do tego głównie słaby dochód z gospodarstwa. Kapitały włościańskie, idące na kupno gruntów, są w znacznej części zarobione bądź w miastach na wyrobku, bądź w Ameryce i Prusach. Zresztą kupują ziemię włościanie, często nie mając wcale dostatecznej na to gotówki, i wtedy pierwsze lata przeżywają na swych parcelach prawdziwie jak ludzie pierwotni, w lichych budkach o chłodzie i głodzie. Pomimo więc parcelacyi, która jest koniecznym wynikiem wzrostu ludności włościańskiej i dążeń jej do zabezpieczenia sobie bytu drogą posiadania gruntu, należy stwierdzić smutny stan gospodarstw włościańskich w Królestwie i słabe zasoby ich dobrobytu ekonomicznego.

Ciężkie położenie ekonomiczne rolnictwa w kraju wogóle daje się szczególnie we znaki ludności bezrolnej, zarówno jak i małorolnej, z zarobku żyjącej. Ukaz 1864. r. zmniejszył znacznie liczbę ludności bezrolnej, ale przeważnie sztucznie i pozornie tylko, wytworzył bowiem dla dawnych służących i komorników osady tak małe, że starczyć one mogły ledwo na życie dla jednostek, ale nie dla wyżywienia rodzin włościańskich. To też po 1864. r. ilość ludności bezrolnej zaczęła znów szybko wzrastać. Wynosi ona obecnie blizko milion, a drugie tyle stanowią włościanie małorolni, którzy bądź sami służą, bądź stale z wyrobków żyją jako plantierzy, morgownicy, akordnicy, robotnicy dzienni i t. p. Cała ta rzesza ludności rolniczej od r. 1864. nie doznała prawie żadnego podniesienia zarobków, gdyż na to nie pozwalało z jednej strony silne zaofiarowanie rąk roboczych, z drugiej

zaś to, że gospodarstwa folwarczne, nie mogąc dążyć drogą postępu, nie wprowadzały intenzywnego systemu gospodarowania, a ekstenzywny system zadawalnia się gorszą, byle tańszą pracą.

Dopiero w ostatnich latach pod wpływem emigracyi ludności roboczej wiejskiej na czasowe zarobki do Prus, nastąpiła konieczność podniesienia wynagrodzeń służby wiejskiej i zarobków robotników rolnych; to też stało się to z widocznym uszczerbkiem gospodarstw folwarcznych, bynajmniej jednak nie z podniesionej wartości pracy ludzkiej.

Tak więc stosunki rolnicze w Królestwie Polskiem przedstawiają wyjątkowy obraz zastoju gospodarczego, podczas gdy w sąsiednich Niemczech tak znaczny widzimy postęp. Uwzględnić jednak należy tę okoliczność, że do r. 1860. postęp ściśle ekonomiczny rolnictwa w Królestwie był wyraźny i silny; dowodzi on podatności społeczeństwa do postępu wogóle. Brak tego postępu w czasach obecnych jest więc wynikiem krępujących praw i urządzeń. Dawniej ważnem źródłem korzystnego dla kraju i włościan powiększania intenzywności uprawy rolnej było oddawanie dalszych ziem folwarków w dzierżawę włościanom. Po r. 1864. wszelkie wydzielanie ziem w dzierżawę włościanom ustało, bo sposób przeprowadzenia ukazu wpajał przekonanie wśród włościan, że posiadanie gruntu choćby dzierżawne nadaje już prawo własności. Ze względu na uprawę rolną najkorzystniejszemby było, by w obecnych czasach folwarki sprzedawały włościanom odleglejsze grunta, a bliższe zabudowań sobie zostawiały. Brak jednak zasobów materyalnych u włościan sprawia, że oni gołej ziemi nie będącej w uprawie nie chcą i nie mogą kupować; wymaga ona bowiem nakładów, na które ich nie stać. Gorsze więc ziemie pozostają licho uprawianemi, parceluje się zaś często folwarki dobrze już zagospodarowane, które nieraz, przeszedłszy w ręce mało zasobnych włościan, cofają się w kulturze. Tak więc parcelacya nie jest w stanie wynagrodzić tego zła, jakie zakorzenił Ukaz r. 1864. To zło polega na tem, że nie może przyjąć się u nas system dzierżaw na wzór zachodnio-europejskich ferm włościańskich, które są najdzielniejszym środkiem podnoszenia kultury rolnej tam, gdzie istnieje parcie ekspanzywne drobnej uprawy, i najwłaściwszym sposobem podniesienia bytu ludności bezrolnej, dla której kupno gruntu nie jest dostępnem.

Tylko dzięki wielkiej pracowitości i gospodarności włościan i wielkiemu przywiązaniu ich do roli, obok wyrzeczenia się wielu potrzeb ponad najskromniejszą niezbędną normę z jednej strony, a również dzięki umiejętności przystosowania się większych właścicieli do swego położenia z dru-

giej strony, obecne stosunki rolnicze w Królestwie przedstawiają względny obraz równowagi ekonomicznej i społecznej. Żywotność samego społeczeństwa łagodzi złe skutki ciężkiego położenia rzeczy, tamującego postępowy rozwój rolnictwa, w ostatnich zaś latach żywotność ta dąży do przełamania tam i rozbudzenia bardziej intenzywnego życia gospodarczego i społecznego.

Na zakończenie podajemy tablicę, wykazującą względny wzrost intenzywności gospodarczej przed i po 1864. roku.

Rok	Ilość korcy przypadających z produkcyi Królestwa brutto mniej zasiew na jednego mieszkańca wsi			Ilość sztuk inwentarza przypadająca na 1000 mieszkańców wsi			Ilość sztuk inwentarza przypadająca na 1000 mieszkańców kraju (specyalne dane Komitetu statystycznego)			
	oziminy	jarzyny	kartofli	koni	bydła	owiec	koni	bydła	owiec	świń
1822	1	0,84	0,77	91	350	440				
1848	1,62	1,97	2,43							
1857—58	2,21	1,85	3,61	130	410	720				
1870							124	367	680	181
1883—92	1,8	1,7	3,87	143	371	462				
1894—98	2,25	2	5,5							
1899	2,39	2,3	5,24	126	301	341	147	319	299	129

W grudniu 1902. r.

* * *

III. Przemysł w Królestwie Polskiem.

W życiu zarówno dawnej, jak i dzisiejszej Polski, widzimy bardzo wiele cech wspólnych z życiem zachodnio-europejskiem. Należy jednak zauważyć, że Polska stanowiła jeden z najbardziej wysuniętych na Wschód krajów, ulegała przeto dwom sprzecznym prądom: jednemu, idącemu z Zachodu, którego stanowiła placówkę kresową, drugiemu — wschodniemu lub północno-wschodniemu, niosącemu za sobą niby groźny i mroźny wiatr, to nawałę turecką, to zawieruchę kozacką, to huragan tatarsko-mongolski... Ale wobec tych ostatnich prądów stanowisko kraju było zawsze przewa-

żnie odporne, silny zaś węzeł łączył Polskę zawsze z Zachodem, z jego oświatą i życiem gospodarczem. Ścisła zależność i wzajemność handlowo-wymienna z zachodnią Europą, ta sama gospodarka rolna, takie same stosunki poddańczo-pańszczyźniane, ten sam ustrój cechowy w miastach są tego dowodem na polu ekonomicznem.

Zdawałoby się, że fakt tak doniosły, jak utrata samodzielności politycznej, podział kraju i poddanie jego dzielnic poszczególnych bardzo rozmaitym wpływom i oddziaływaniom, a zwłaszcza przyłączenie znacznej jego części do Rosyi, powinny były poszarpać i zerwać ów węzeł z Europą zachodnią przynajmniej w sferze ekonomicznej. Ale łożysko, którem płyną nurty rozwoju gospodarczego jest głębszem od tych wyżłobień powierzchownych, choć rzucających się w oczy, które są następstwem zmian w układzie stosunków politycznych. To też podobieństwo w rozwoju naszych warunków ekonomicznych z odpowiednimi stosunkami w życiu zachodnio-europejskiem w XIX. stuleciu nie tylko się nie przerwało, ale nawet uwydatniło się silniej niż dawniej. Stulecie to, którego najlepszą charakterystyką jest nazwa »stulecia kapitalizmu« [1]), było epoką olbrzymiego rozwoju przemysłowego, spowodowanego wynalazkami i zastosowaniami mechanicznemi do produkcyi i komunikacyi, epoką olbrzymiego rozwoju handlu międzynarodowego, roztoczenia skrzydeł kapitalizmu nad całem życiem społecznem. Rozwój handlu wszechświatowego wciągnął w tryby kapitalizmu niemal wszystkie kraje na całej kuli ziemskiej, a w Europie i jedno z najbardziej zacofanych ekonomicznie państw: Rosyę. Bardzo zrozumiałe, że Królestwo Polskie tem bardziej nie pozostało poza obrębem kapitalistycznego oddziaływania, jakkolwiek — dodajmy — napięcie odpowiednich przejawów w naszem życiu gospodarczem jest nieraz o wiele słabsze niż na Zachodzie. Wpływowi jednak kapitalizmu uległy niemal wszystkie dziedziny życia ekonomicznego kraju, nie wyłączając rolnictwa, szczególniej zaś wpływ ten uwidocznił się w rozwoju przemysłu wielkiego.

Stanowczą w tym kierunku rolę miała właściwie dopiero druga połowa XIX. w., zwłaszcza okres pomiędzy 1870—1900 r. Pierwsza połowa stulecia przygotowywała tylko i użyźniała grunt, wybierała zagony pod przyszłą uprawę, gromadziła ziarno i próbowała je siać tam, gdzie zdawało się mieć najlepsze warunki dla swego rozwoju. Zabiegi rządów Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, cała działalność Banku

[1]) Przez kapitalizm rozumie się takie stosunki, w których najwięcej zarabia ten, kto posiada kapitał czyli pieniądze.

Polskiego, wreszcie praca i usiłowania jednostek wpływowych lub przedsiębiorczych, jak Staszic, ks. Lubecki, hr. Łubieński, Steinkeller i wielu innych, miały te cechy. Nie wszystkie próby i starania udawały się, nie wszystkie doprowadzały do bezpośredniego celu, jakim być mogło prowadzenie doraźne danego przedsiębiorstwa lub natychmiastowy rozwój pewnej gałęzi produkcyi, wiele usiłowań jednostek spotkało się z obojętnością lub wrogą postawą ogółu, ale żadno z nich nie przepadło bez śladu, wszystkie przydały się jako posiew przyszłości, jako przepowiednia kierunku, w którym szlakiem powszechnego pędu ewolucyi społecznej podążyć miało wkrótce życie gospodarcze kraju. Takim siewcą »pracy organicznej«, prorokiem uprzemysłowienia kraju, jednym z wodzów, prowadzących »lud swój« do ziemi obiecanej kapitału, do której sam wejść nie miał, był Piotr Steinkeller. Wichura niepowodzeń osobistych — po chwilach tryumfów — zmiotła ziarno, rozsypane ręką Steinkellera po jego własnem polu, i rozniosła je szeroko po świecie. Steinkeller zginął, jak przed nim zginął Tyzenhauz w Polsce w końcu XVIII. w., jak po nich zginął Szczepanowski w Galicyi, ale posiew padł wreszcie na glebę przyjazną i spotkawszy się z bardziej sprzyjającymi warunkami, wydał plon obfity — o parę dziesiątków lat później.

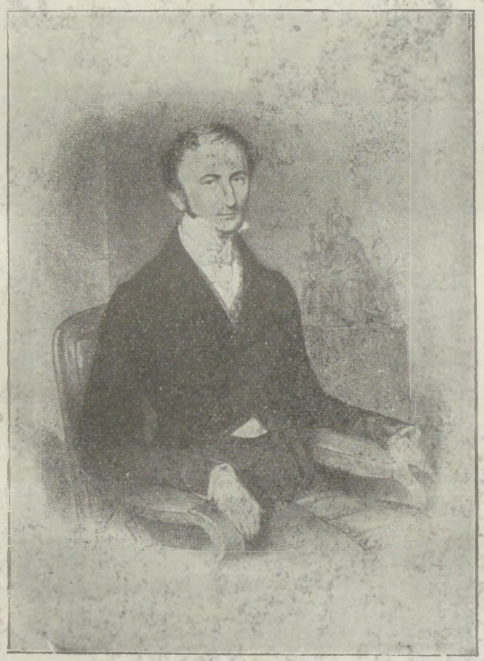

Fig. 309. Ptotr Steinkeller.

Na rozwój przemysłu w Królestwie Polskiem, na jego wznoszenie się lub cofanie i wreszcie na doprowadzenie go do tych znacznych rozmiarów, w jakich zastał go koniec XIX. i początek XX. stulecia, składało się wiele warunków, które oddziaływały kolejno lub jednocześnie.

Najogólniejsze, przyrodzone warunki rozwoju przemysłowego w kraju możemy nazwać bardzo pomyślnymi. Należą tu: klimat umiarkowany, grunt urodzajny, nadający się, poza szerokiem gospodarstwem zbożowem, pod uprawę buraków, lnu, licznych innych roślin przemysłowych, duże lasy,

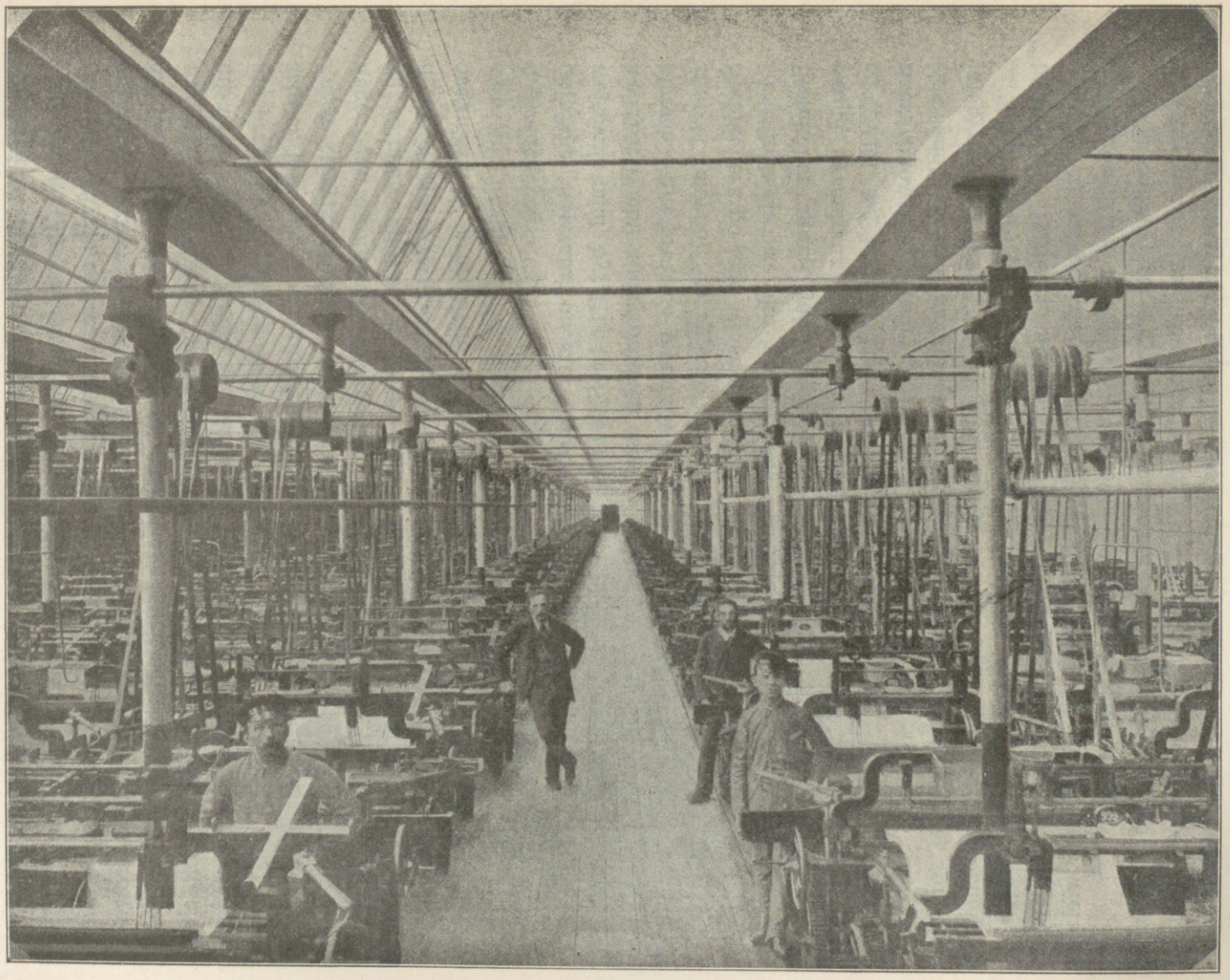

Fig. 310. Wnętrze fabryki wyrobów bawełnianych Tawarzystwa akcyjnego I. K. Poznański w Łodzi.

obfitość bogactw kopalnych, a mianowicie rozmaite gatunki glin, nadających się do szerokiego rozwoju różnych gałęzi przemysłu ceramicznego, piaskowiec, wapienie, gips, siarka, cynk, torf, nawet miedź, ołów, sól, a przedewszystkiem żelazo, jako warunek rozwoju przemysłu metalurgicznego i mechanicznego, wreszcie węgiel, stanowiący żywioł niezbędny dla istnienia i wzrostu niemal wszystkich gałęzi przemysłu przetwórczego. Dodajmy brak naturalnych przeszkód w komunikacyi (jak gór wysokich, błot) i zauważmy, że ogólne położenie geograficzne kraju pomiędzy Europą zachodnią a wschodnią, na drodze handlowej do Rosyi i Azyi, przedstawia się nader dodatnio pod względem handlowym. Istniał więc podatny grunt naturalny, na którym można było szczepić i pielęgnować życie przemysłowe. Nie odrazu jednak były i odpowiednie ku temu warunki społeczno-ekonomiczne. Pierwsze kroki kapitalizmu są zazwyczaj drobne i lękliwe, z czasem dopiero nabiera on pędu olbrzyma w »siedmiomilowych« butach. Przemysł Królestwa, mimo łączności moralnej z usiłowaniami XVIII. stulecia, musiał odradzać się, a raczej rodzić w XIX-stym na nowo. Jego twórcy winni byli pracować nad tem, aby dlań zdobyć kapitały, ręce do pracy, oraz rynki zbytu. W tych kierunkach biegły wszystkie ich usiłowania. Po pierwsze zwrócili się oni na Zachód i stamtąd w następstwie płynęły wciąż kapitały, w ciągu całego stulecia stwarzając i rozwijając znaczniejsze gałęzie przemysłu, jak tkactwo, metalurgia, górnictwo. Po siły robocze początkowo również sięgnięto zagranicę, dopiero z czasem gdy z ludności włościańskiej w kraju poczęły przerzucać się liczne rzesze pracujących ze wsi do miast, a rzemieślnicy zamieniać się na robotników fabrycznych — utworzyła się liczna klasa krajowego proletaryatu przemysłowego. Trzecie wreszcie — rynki zbytu — upatrywano na Wschodzie bliższym i dalszym, o ich zapewnienie dbano nader gorliwie i istotnie w całym rozwoju przemysłu Królestwa grały one i do dziś grają rolę nader ważną. To też najogólniej można powiedzieć, iż: przemysł Królestwa Polskiego kapitałami zachodnio-europejskimi, rękami krajowemi pracuje dla rynków wschodnich. Wprawdzie i kapitały »krajowe« odegrały pewną, choć niezbyt znaczną rolę w produkcyi przemysłowej, wprawdzie obok »rąk krajowych« pracowało i pracuje nieraz sporo »rąk napływowych« ze stron różnych, wprawdzie rynki krajowe lub sąsiednich gubernii Cesarstwa rosyjskiego stanowią ważne rynki zbytu dla miejscowej wytwórczości przemysłowej, — ale po ostatecznym obrachunku okazuje się, iż główne źródła kapitałów biły z zagranicy, praca

była najbardziej rodzimą, krajową, a przeważne ujście zbytu — to rynki wschodnie.

Rozwój przemysłu w Królestwie Polskiem w w. XIX. podzielić można na trzy główne okresy: okres pierwszy, przygotowawczy (produkcya rękodzielnicza) od początku do połowy stulecia, t. j. do chwili powstania pierwszej kolei żelaznej w kraju, warszawsko-wiedeńskiej, zaprowadzenia pierwszych maszyn parowych, a zwłaszcza zniesienia granicy celnej pomiędzy Królestwem a Cesarstwem; okres drugi, przejściowy, w którym



Fig. 311. Fabryka wyrobów bawełnianych Towarzystwa akcyjnego K. Scheibler w Łodzi.

formuje się przemysł kapitalistyczny, fabryczny, do 1870—77 r., pod wpływem wyliczonych wyżej czynników. Rozwój komunikacyi kolejowej i system protekcyi celnej, uwydatnione w końcu tego okresu, wywołują szybki na szeroką skalę zakrojony rozwój przemysłu fabrycznego w okresie trzecim, ciągnącym się do czasów ostatnich.

Zawiązek życia przemysłowego w kraju zawdzięczać należy gorliwej opiece rządu Księstwa Warszawskiego, a następnie Królestwa Kongresowego, oraz staraniom energiczniejszych lub wpływowych jednostek, wyżej już wymienionych (porównaj str. 703). Starali się oni przyciągnąć z zagranicy kapitały i ludzi, fachowych kierowników i robotników,

oraz zapewnić kiełkującemu przemysłowi pomyślne warunki celno taryfowe wobec zagranicy i Cesarstwa. Do 1830. roku warunki te były naogół dogodne dla kraju; pod ich wpływem rozwijał się przemysł sukienniczy i bawełniany. Na scenę występują jako środowiska powstającego przemysłu Łódź, Pabianice, Zduńska Wola, Ozorków, Tomaszów i t. p. Ale po powstaniu 1830/31 roku następuje, jako represya, zamknię-



Fig. 312. Robotnice przy pracy w fabryce Meyerhoffa w Zgierzu pod Łodzią.

cie rynków Cesarstwa dla towarów z Królestwa, wywóz naraz się zmniejsza, przemysł szybko upada. Od ostatecznego upadku ratuje go i przechowuje dla przyszłości — działalność Banku Polskiego. Instytucya ta, która niezatartemi głoskami zapisała się w życiu kraju, w normalnych warunkach jego bytu stwarzała nowe życie, w chwilach krytycznych ratowała, co się uratować dało, roztaczając szeroką akcyę na wszystkich niemal polach życia ekonomicznego. Bank popierał życie przemysłowe, udzielając fabrykom kredytu, przejmując na siebie zarząd nad temi, które szły go-

rzej, powołując do życia nowe gałęzie produkcyi, ulepszając i przeprowadzając komunikacye i t. d. Płodna działalność tej instytucyi ciągnęła się przez cały czas jej istnienia, od 1828. do 1885. r., t. j. do chwili, gdy Bank Polski przekształcony został na oddział Banku Państwa, czyli z centralnej instytucyi krajowej na lokalną filię centralnej instytucyi państwowej ze zmienionemi zadaniami i zakresem działania. Jednocześnie z popieraniem przemysłu przez Bank Polski po 1830. r. skierowano usiłowania do zniesienia lub złagodzenia taryfy celnej pomiędzy Królestwem a Cesarstwem, która tamowała dostęp do rynków wschodnich. Względy polityczne wobec przewidywanych powikłań, które wkrótce doprowadziły do wojny krymskiej, skłoniły Rosyę do zniesienia tej taryfy w 1850. r., co wpłynęło na znaczne ożywienie przemysłu bezpośrednio i w następstwie zapewniło jego rozwój. W tymże czasie (1848. r.) otwarta została pierwsza w kraju kolej: warszawsko-wiedeńska, która połączyła liczne już naówczas miejscowości fabryczne pomiędzy Dąbrową a Warszawą, ułatwiła przewóz węgla kamiennego z zagranicy i z zagłębia dąbrowskiego, dostawę maszyn i materyału surowego do fabryk, pociągając w następstwie rozwój przemysłowy Dąbrowy, Łodzi, Częstochowy, Żyrardowa, Zawiercia, Będzina i t. d.

Zabiegi około szczepienia i hodowania przemysłu w pierwszej połowie XIX. w. sprawiły, iż około 1850. r. istniało 59 zakładów bawełnianych nieco większych, $2^1/_2$ tysiąca drobnych, z 14.000 robotników i produkcyą wartości 2,7 mil. rubli; 19 większych i parę tysięcy małych przedsiębiorstw wełnianych z 10.000 robotników i 2,6 mil. rb. produkcyi; kilka tysięcy drobnych zakładów płóciennych z 7,500 robotników i produkcyą około 1 mil. rubli i parę zakładów większych, wśród nich potężniejący Żyrardów. Dalej w 36 cukrowniach pracowało 3.000 robotników, istniało kilka większych papierni, mnóstwo drobnych i kilkadziesiąt znaczniejszych garbarni, nie mówiąc o rozsypanych po całym kraju po gospodarstwach rolnych browarach, gorzelniach i t. p.

Przemysł górniczy przechodził rozmaite koleje, dostając się z rąk skarbu w dobre ręce Banku Polskiego (który założył między innemi Hutę Bankową), to znów w ręce prywatne. Około połowy stulecia wartość produkcyi górniczo-hutniczej obliczano na 3 mil. rb., ilość robotników na 10.500; prócz tego fabryki przerabiające metale miały parę tysięcy robotników, dając produkcyę około 1 mil. rubli. Cały przemysł krajowy w kilkunastu tysiącach drobnych lub większych przedsiębiorstw przy udziale 50.000 pracujących wytwarzał za kilkanaście milionów rubli.



Fig. 313. Oddział tkacki w Żyrardowie. Czesalnia przędzy.

Były to początki, które w niedalekiej przyszłości rozwinąć się miały bardzo znacznie. Rozwój miał iść utartym torem kapitalistycznej produkcyi w kierunku wzrostu ogólnej wytwórczości przez specyalizowanie się gałęzi wytwarzania oraz ześrodkowanie sił wytwórczych — kapitału i pracy w większych fabrykach, rozrastających się kosztem zanikania i upadku drobnej produkcyi. Podnietę ku temu dało otwarcie szerokich rynków zbytu, dokonane »w zasadzie« przez zniesienie granicy celnej w 1850. r., a w praktyce urzeczywistnione czy dopełnione przez rozwój komunikacyi

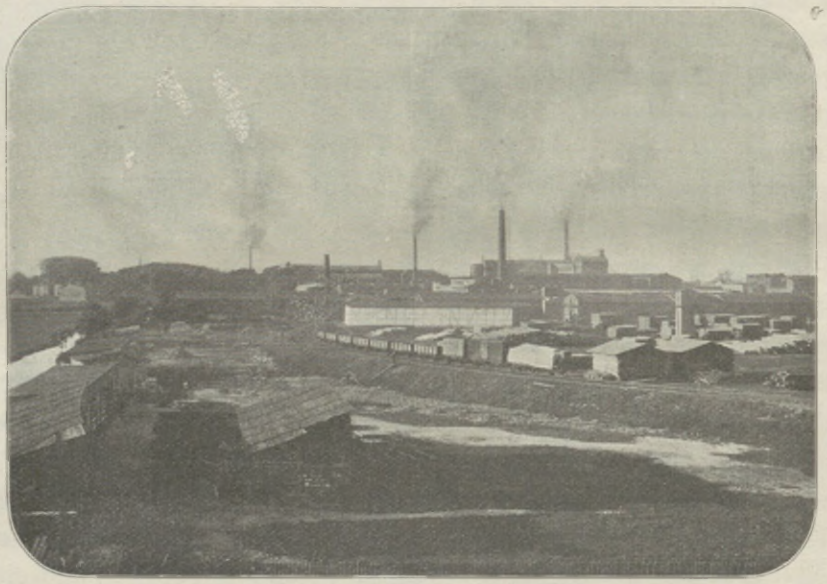

Fig. 314. Ogólny widok fabryki w Żyrardowie.

kolejowych w Cesarstwie i połączenie go z Królestwem szeregiem linii kolejowych (Warszawsko-Petersburska 1862. roku, Warszawsko-Terespolska i Moskiewsko-Brzeska 1860—70. r., Nadwiślańska 1877. r., Łódzka 1866. r.). Wyrazem rozwijającego się w coraz szerszych kapitalistycznych ramach przemysłu był rozwój zastosowania w produkcyi maszyn, uwydatniający się coraz bardziej w okresie lat 1850—1877. Maszyny, wymagające znacznych kapitałów, znajdowały zastosowanie tylko w większych przedsiębiorstwach. To też przed 1850. r. spotykamy je wyjątkowo tylko w nielicznych fabrykach; po 1850. r. upowszechniają się coraz bardziej, świadcząc o rozrastaniu się przedsiębiorstw i wywołując coraz większy ich rozrost.

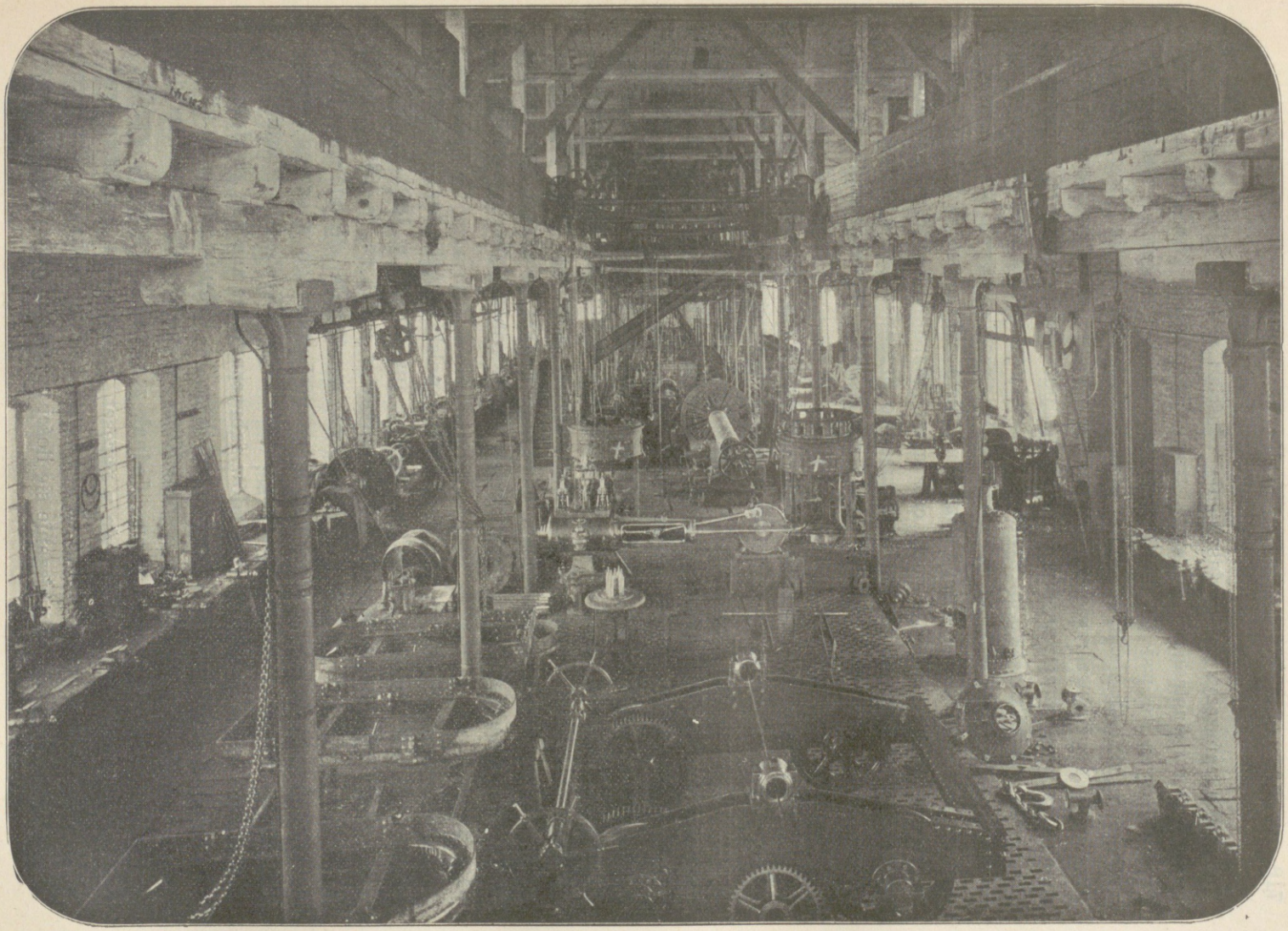

Fig. 315. Oddział mechaniczny fabryki Lilpop, Rau i Loewenstein w Warszawie.

Zniesienie pańszczyzny i uwłaszczenie włościan w 1864. r. miało na przemysł wpływ dwustronny: z jednej strony zatamowało chwilowo napływ rąk roboczych ze wsi do miast wskutek zamiany znacznej ilości bezrolnych na właścicieli ziemi, z drugiej strony stanowiło ono bodziec rozwoju przemysłu, gdyż rozszerzyło kontyngens spożywców: więksi posiadacze rolni musieli nabywać liczne produkty fabryczne, pozbawieni dawnych pańszczyźnianych, a włościaństwo, otrzymawszy z czasem do rąk zasoby gotówki, wystąpiło również w roli nabywcy wytworów przemysłowych. Wraz z przyrostem ludności włościańskiej i rozdrabnianiem jej własności rolnej, wieś poczęła wyłaniać z pośród siebie całe masy bezrolnych, którzy opuszczając ziemię, nienależącą już do nich, masowo przenoszą się do miast i osad fabrycznych i zasilają przemysł tanią siłą roboczą przez ostatnie dziesięciolecie XIX. wieku.

Wyliczone wyżej czynniki, popierane przez zarysowujący się zrazu lekko, a potem coraz wyraźniej system państwowej protekcyi celnej, doprowadziły przemysł Królestwa Polskiego do stopnia względnie znacznego rozwoju około 1870. r. Obok tysięcy drobnych przedsiębiorstw tkackich widzimy blizko 520 większych; produkcyę wszystkich obliczano na 18 mil. rubli, ilość robotników na 28.000. Blizko 40 cukrowni z 12.500 robotników produkowało za $8\frac{1}{2}$ mil. rb. Rozwinął się znaczniej przemysł garbarski, podnosił chemiczny, poczynał rozwijać szybcej górniczy i hutniczy, koncentrował metalowy przetwórczy, a cały przemysł fabryczny pracujący w $6\frac{1}{2}$ tys. przedsiębiorstw, przy udziale 64.000 robotników, wytwarzał za 64 mil. rubli.

Środowisko przemysłu tkackiego Łódź — polski Manchester — w r. 1820. liczyła tylko 800 mieszkańców, w 1840. r. już 20.000, w 1860. r. 32.000, a w r. 1872. już 50.000. Wartość jej produkcyi z 1 mil. rb. w 1840. r. podniosła się do 26 mil. w 1878. r. Warszawa wyróżniała się głównie jako ognisko przemysłu metalowego wogóle, a mechanicznego w szczególności. U schyłku więc okresu przejściowego (1850—70 r.) Królestwo Polskie posiadało już sporo większych zakładów fabrycznych ze znaczną produkcyą, skupiających dość znaczne liczby robotników, po kilkudziesięciu do kilkuset, a nawet (jak Żyrardów) z górą 1000, i rozwijało się coraz bardziej w kierunku wielkoprzemysłowym. Jednak z owych $6\frac{1}{2}$ tysięcy przedsiębiorstw, istotnie »większych« było z paręset, a obok nich mnóstwo średnich, wreszcie cała masa fabryczek i pracowni bardzo drobnych. Już przed 1870. r. widzimy stałe zmniejszanie się ilości przedsiębiorstw małych, a roz-

wój większych w wielu gałęziach produkcyi. Jednak dopiero po 1870. r. rozpoczyna się walka na dobre, a raczej zaborczy pochód przemysłu wielkiego. Pod wpływem rozwoju sieci kolejowych w kraju i w Cesarstwie polityki państwowej ściśle protekcyjnej (od 1877. r.), napływu nowych kapitałów z zagranicy, ubożenia i wywłaszczenia licznych warstw ludowych w mieście i na wsi, rozwoju kredytu i t. d., przemysł wielki w wielu gałęziach produkcyi nabiera sił, rozrasta się i olbrzymieje, a wobec jego wzrostu giną, wiodą żywot suchotniczy lub ledwo żyją (z nielicznymi wyjątkami) jego słabsi współzawodnicy: przemysł drobny i rzemieślniczy. Na czele innych gałęzi przemysłu fabrycznego idą w rozwoju: tkactwo (bawełniane i wełniane), przemysł górniczo-hutniczy (żelazny i węglowy), metalowy przetwórczy, cukrowniczy i t. d.

Ogólna wartość produkcyi tkackiej sięgała w 1897. r. 250 mil. rb. przy 1000 zakładów i 115.000 robotników, wśród których 55% mężczyzn i 45% kobiet. Główne centrum tego przemysłu stanowi Łódź, inne znaczne jego ogniska to Zgierz, Pabianice, Tomaszów, Ozorków, Sosnowice, Częstochowa, Zawiercie, Żyrardów, Zduńska Wola i t. d. Przemysł, oparty na surowym materyale roślinnym, a więc spożywczy (cukrownie, młyny, gorzelnie, browary), drzewny i papierowy ma wartości około 80 mil. rb., około 50.000 robotników i blizko 2000 przedsiębiorstw. Przemysł górniczo-hutniczy wytwarza za 56 mil. rb. w blizko 200 przedsiębiorstwach przy udziale 32.000 robotników; przemysł metalowy i mechaniczny za 73 mil. rubli w 500 fabrykach, zatrudniających 24.000 robotników. Prócz tego wartość produkcyi w przemyśle ceramicznym wynosi 16 mil. rb., w opracowującym produkty zwierzęce 15 mil. rb., w chemicznym 13 mil. rb. Ogółem wartość całej produkcyi przemysłowej wynosi z górą 500 mil. rb., ilość zakładów 4.890, a robotników 244.000. W porównaniu z danemi dla 1870. r. (64 mil. rb., i 64.000 robotników) rozwój to uderzający. Ze wzrostem wytwórczości widzimy i ogromne zmiany w kierunku koncentracyi wielkoprzemysłowej: gdy w 1870. r. na jedną fabrykę przeciętnie przypada 10.000 rb. produkcyi i 10 robotników, w 1897. r. 103.000 rb. i 50 robotników. Dodajmy, że ilość robotników przemysłowych wzrastała znacznie prędzej, niż ogólna ludność kraju. W 1870. r. jeden robotnik pracujący przypadał na 95 mieszkańców, w 1897. r. na 38 mieszkańców. Dziś cały ogół ludności miejskiej i fabrycznej, zaliczanej do proletaryatu wynosi $1^1/_2$ do 2 mil. osób ($^1/_6$ do $^1/_5$ ogółu ludności). Z 500 mil. rb., stanowiących wartość całej produkcyi przemysłowej kraju, $^7/_8$ skupia się w dwóch guberniach:

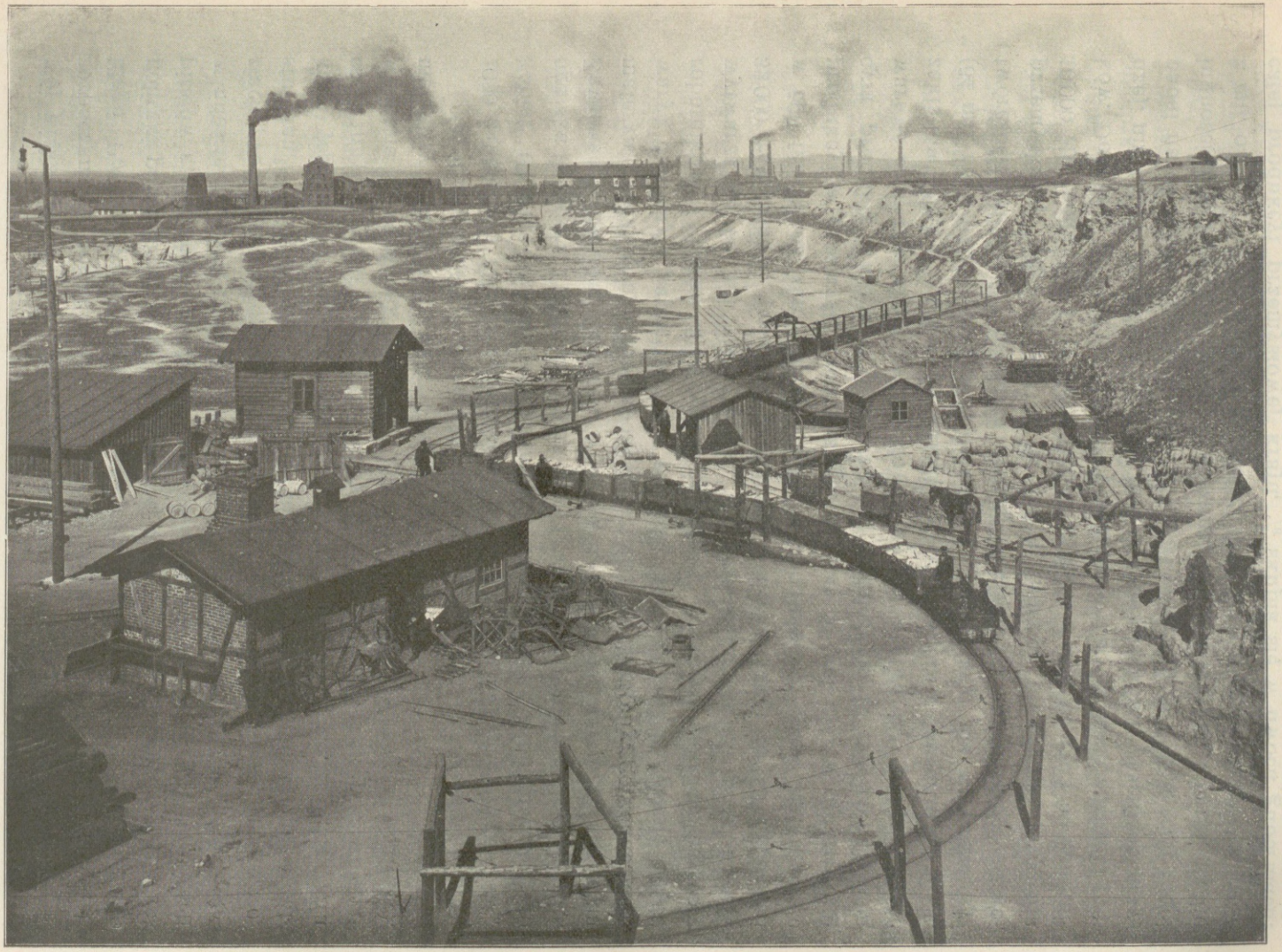

Fig. 316. Odkrywki kopalni Koszelew w Dąbrowie Górniczej

piotrkowskiej i warszawskiej, a $^2/_3$ w samej piotrkowskiej (300 mil. rb.). Również przeszło połowa robotników zajętą jest w przemyśle gub. piotrkowskiej (132.000), a blizko 70.000 w warszawskiej. Nie miejsce na wyliczanie wszystkich tych głębokich zmian, jakie w życiu społeczno-ekonomicznem kraju wywołał jego rozwój przemysłowy. Zauważmy jednak, że poza zjawiskami, bezpośrednio z nim związanemi, jak zrzeszenie w sferze kapitału (rozwój wielkiej produkcyi maszynowej, towarzystw akcyjnych, syndykatów) i w sferze pracy (koncentracya rąk roboczych w fabrykach, rozwój stowarzyszeń, związków, strejki, ruch robotniczy), rozwój przemysłu wpłynął i wpływa stale na kapitalizacyę produkcyi rolnej, wywołuje zmiany w stosunkowym rozkładzie ludności miejskiej i wiejskiej, przez przyciąganie ostatniej do fabryk, oddziaływa na stosunki handlowe i t. d.

W grudniu 1902. r.

St. Koszutski.

IV. Przemysł górniczo-hutniczy.

W krajach dawnej Rzeczypospolitej, wchodzących obecnie w skład cesarstwa rosyjskiego, przemysł górniczo-hutniczy rozwija się głównie w dwóch miejscowościach: 1) na pograniczu ze Śląskiem i Galicyą, w gub. piotrkowskiej i kieleckiej i 2) u podnóża gór świętokrzyskich w gub. radomskiej i kieleckiej.

Pierwsza ze wskazanych miejscowości stanowi należącą do Rosyi część tak zwanego Morawo-śląsko-polskiego Zagłębia i pod względem przyrodniczym przedstawia jedną całość z sąsiednim Górnym Śląskiem i Galicyą. Znajdują się tu we wnętrzach ziemi liczne i grube pokłady węgla kamiennego i brunatnego, obfite złoża rud żelaznych i cynkowych, a więc istnieją wszystkie warunki dla pomyślnego rozwoju przemysłu górniczo-hutniczego. Rzeczywiście przemysł ten powstał tu bardzo dawno; już w XIV. wieku wydobywano w okolicach Olkusza rudę ołowianą, zawierającą srebro (kruszec srebronośny) i wytapiano z niej ołów i srebro; w XVI. w. była w Olkuszu czynną mennica dla bicia srebrnej monety. Kopalnie olkuskie opłacały stale pewien podatek (olborę) do skarbca królewskiego; właściciele kopalń nosili nazwę »gwarków«, a prawa ich i obowiązki były określane ustawami górniczemi, z których pierwsza była wy-

daną w r. 1374. Największego rozwoju dosięgły kopalnie olkuskie w wieku XVI.; niszczące wojny szwedzkie spowodowały wkrótce ich upadek i dopiero dzięki usiłowaniom Stanisława Augusta i następnie ks. Staszica zaczęły się na nowo rozwijać od początku wieku XIX: wtedy rozpoczęto tu wydobywanie rudy cynkowej (galmanu) i wytapianie z niej cynku, poprzednio zupełnie nieznanego. Obecnie w okolicach Olkusza i Sławkowa są

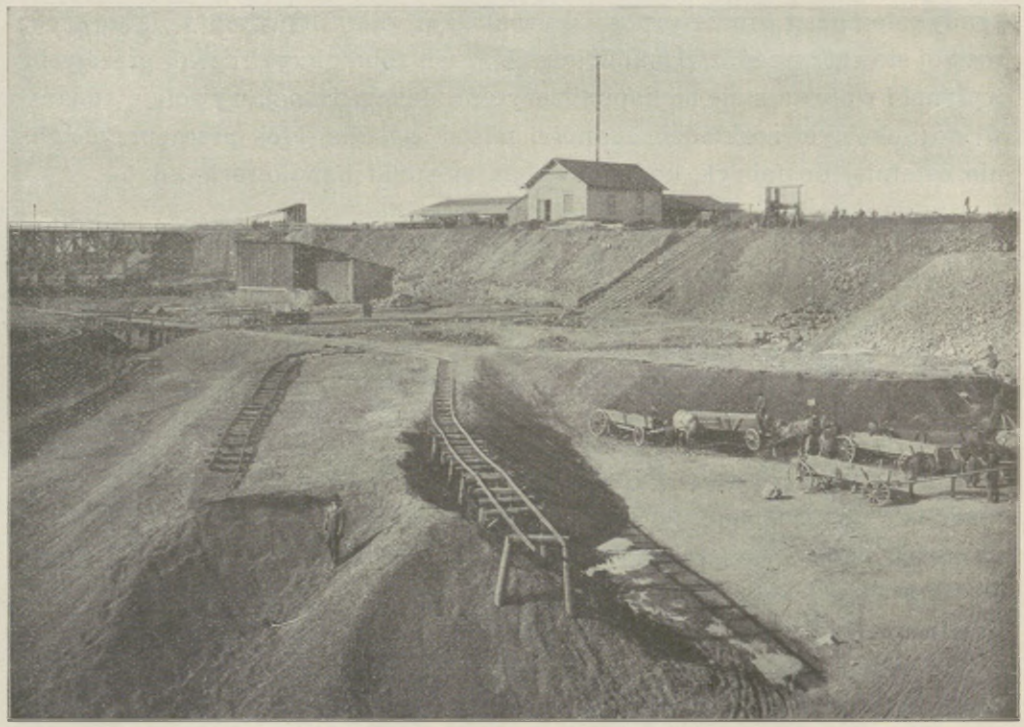

Fig. 317. Widok kopalni galmanu »Towarzystwa Franko-Rosyjskiego« pod Olkuszem.

czynne kopalnie galmanu, należące do dwóch akcyjnych zagranicznych towarzystw; z wydobytej rudy wytapia się cynk w ilości około 6.000 tonn rocznie i następnie wyrabia się blachę i biel cynkową; rudę ołowianą w obecnych kopalniach spotyka się w nieznacznych ilościach.

Pierwsze kopalnie węgla kamiennego i brunatnego w granicach teraźniejszej gubernii piotrkowskiej powstały w końcu XVIII. wieku na ziemiach byłego księstwa siewierskiego, które stanowiło własność biskupów krakowskich. Naturalnie były to początkowo kopalnie niegłębokie



Fig. 318. Wnętrze kopalni galmanu »Towarzystwa Franko-Rosyjskiego« pod Olkuszem.

i niewielkie; często po prostu kopano węgiel tam, gdzie pokład jego wychodził na powierzchnię ziemi; stopniowo jednak w ciągu XIX. wieku kopalnictwo węglowe się rozwijało i obecnie kopalnie Królestwa Polskiego ześrodkowane na stosunkowo nieznacznej przestrzeni przy granicach pruskiej i austryackiej nie ustępują tak pod względem swoich rozmiarów, jak i pod względem urządzeń technicznych, kopalniom sąsiedniego Śląska. Posiadają one potężne maszyny parowe i elektryczne, służące do wydobywania węgla ze znacznej głębokości (do 400 metr. pod powierzchnią), do



Fig. 318. Grupa górników z kopalni węgla w Zagłębiu Dąbrowskiem.

pompowania wody, nagromadzającej się w chodnikach podziemnych, do odświeżania powietrza, do przewozu pod ziemią pociągów z wózkami węgla i t. p. Byt kopalń na długie lata jest zapewnionym, albowiem zapasy węgla są znaczne; grubość jednego z licznych pokładów dochodzi do 20 metrów. Kopalnie stanowią przeważnie własność cudzoziemskich towarzystw przemysłowych (francuskich i niemieckich); ogólna ilość wydobywanego węgla przenosi 4 miliony tonn rocznie; węgiel zużywa się nie tylko w granicach Królestwa, ale wysyłany jest w znacznych ilościach drogami żelaznemi na Litwę, Ukrainę, Podole, dochodzi nawet do takich oddalonych miejscowości, jak Moskwa i Odessa.

Wobec istnienia kopalń węgla kamiennego kopalnie węgla brunatnego, przedstawiającego gorszy materyał opałowy, nie mogły się rozwinąć, i obecnie wydobywa się tego minerału zaledwie 50.000 tonn na potrzeby miejscowej ludności.

Obok przemysłu węglowego rozwinął się na pograniczu Prus i Austryi także przemysł żelazny, dzięki obfitości złóż rud żelaznych. Pierwszą hutę żelazną założył w 30-tych latach ubiegłego stulecia w Dąbrowie Górniczej były Bank Polski, którego działalność wogóle była wielce pożyte-

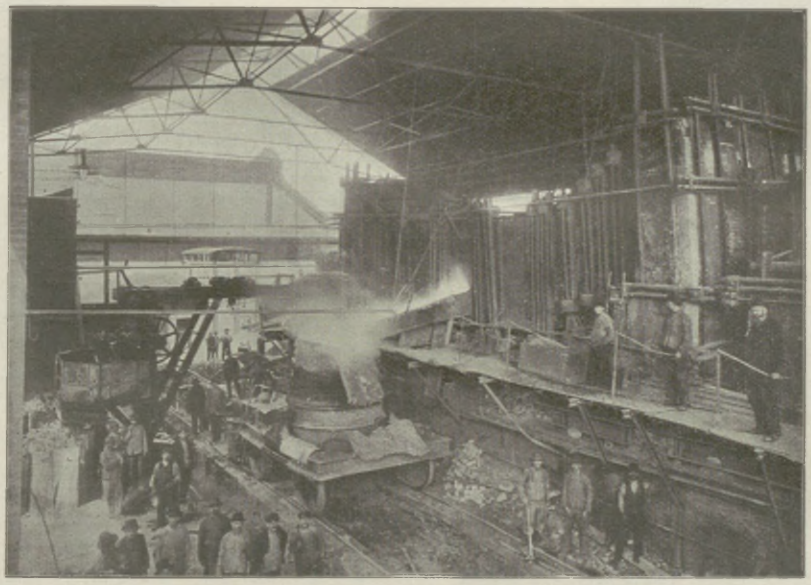

Fig. 319. Spust żelaza z pieców Martenowskich, Huta Milowice, w Zagłębiu Dąbrowskiem.

czną dla krajowego górnictwa i hutnictwa. Huta ta, istniejąca do dnia dzisiejszego pod nazwą »Huty Bankowej«, jest największym zakładem metalurgicznym w kraju; stanowi obecnie własność prywatną i jest dzierżawioną przez francuskie towarzystwo akcyjne. Oprócz Huty Bankowej powstały w późniejszych czasach w tej samej okolicy (Dąbrowa Górnicza, Sosnowiec, Częstochowa) inne huty żelazne, należące również do rozmaitych towarzystw przemysłowych zagranicznych, przeważnie niemieckich. Wyroby swe, jak żelazo handlowe, blachy żelazne i stalowe, rozmaite odlewy, szyny i różne przedmioty stalowe dla dróg żelaznych, huty sprzedają nie tylko w granicach Królestwa Polskiego, ale wysyłają jeszcze dalej

na wschód na rynki Cesarstwa i konkurują tam z wyrobami hut Południowej Rosyi i Uralu.

U podnóża Gór Świętokrzyskich przemysł górniczy jest również starym, jak i w zachodnio-południowej części Królestwa Polskiego. Już w w. XVI. w okolicach Chęcin i Miedzianogóry istniały gwarectwa górnicze, wydobywano rudy miedziane i ołowiane, za panowania Stanisława Augusta była czynną huta do wytapiania miedzi, z której w warszawskiej men-

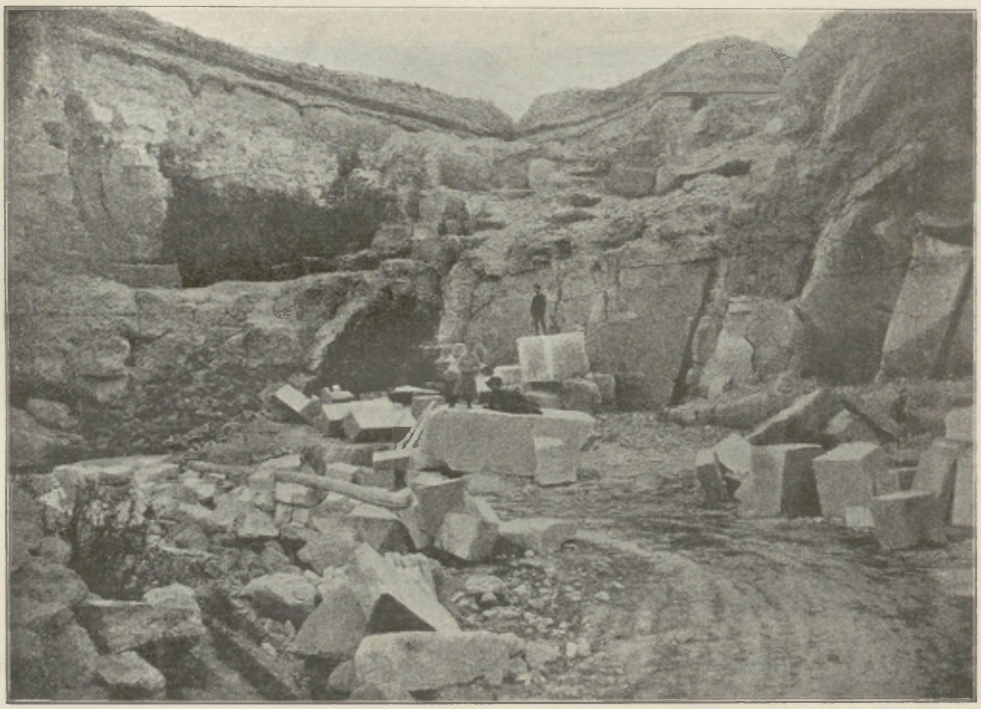

Fig. 320. Kopalnia marmuru w Kielcach.

nicy bito monetę zdawkową. W wieku XIX. z powodu ogólnych klęsk krajowych i wyczerpania rud bogatszych upadł tu zupełnie przemysł miedziany; natomiast rozwinął się pobudzony do życia przez biskupów krakowskich w końcu XVIII. wieku przemysł żelazny. Obecnie w dzisiejszych guberniach radomskiej i kieleckiej, są czynne liczne zakłady metalurgiczne (huty) wielkie i małe, wyrabiające rozmaite gatunki żelaza i stali, jak zakłady w Ostrowcu, w Starachowicach, Bodzechowie i t. d.; niektóre z nich, założone jeszcze przez były Bank Polski, należą do rządu

drugie stanowią własność osób prywatnych (cudzoziemców i krajowców). W ogólnej sumie wszystkie huty Królestwa Polskiego produkują rocznie przeszło 300.000 tonn żelaza i stali.

Wspomnieć jeszcze należy o kopalniach marmurów, znanych oddawna w okolicach Kielc i Chęcin; marmurów tych używano w Polsce na pomniki (np. kolumna Zygmunta w Warszawie) i przy budowie kościołów (np. w Krakowie). W tych samych stronach (okolice Szydłowca) czynne



Fig. 321. Kopalnia »Zelejowa Góra« koło Chęcin (marmuru koloru różowego).

są łomy piaskowca rozmaitych gatunków; dostarczają one doskonałego materyału budowlanego, wywożonego nawet za granice kraju.

Oprócz wymienionych już płodów ziemnych znane są jeszcze w Królestwie Polskiem źródła słone w dwóch miejscowościach: na granicy z Prusami, nad brzegiem Wisły w Ciechocinku i na Granicy z Galicyą w okolicy Buska i Solca. W Ciechocinku, obok zakładu leczniczego, czynną jest warzelnia, dająca rocznie do 4.500 tonn soli; w Busku jest tylko zakład leczniczy, warzenie zaś soli trwało bardzo krótko w końcu XVIII. w. i zostało zaniechanem wskutek małej zawartości soli w solance.

Siarka znaną jest w Królestwie Polskiem w okolicy wsi Czarkowa w gub. kieleckiej; ruda jednak jest biedną i wytapianie z niej siarki mało się opłaca, tak, że kopalnię parokrotnie w ciągu XIX. wieku odnawiano i znowu zatrzymywano.

Torf, kamień wapienny, gliny rozmaitych gatunków spotykają się w znacznych ilościach w rozmaitych punktach kraju; najwięcej torfu wydobywa się w guberniach kaliskiej i płockiej i używa jako opału tam, gdzie dowóz węgla jest drogim. Kamień wapienny służy w wielu

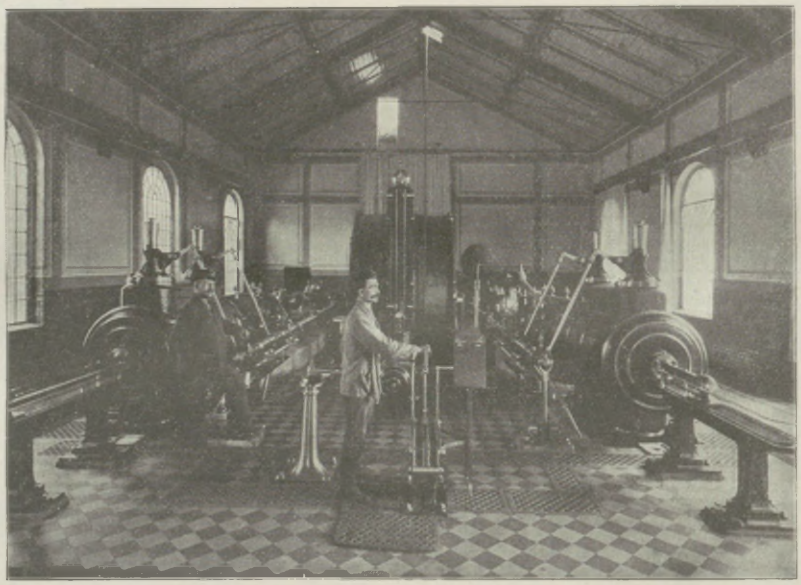

Fig. 322. Maszyna do wydobywania węgla w kopalni Saturn w Sosnowcu.

miejscowościach za materyał budowlany; w licznych, rozrzuconych po kraju piecach, wypala się z niego także wapno, które bywa wywożonem za granice Królestwa Polskiego. Pokłady glin są w kraju bardzo obfite i rozmaitych gatunków, zaczynając od gliny, służącej do wyrobu zwyczajnej cegły, i kończąc glinką ogniotrwałą; przemysł jednak ceramiczny jest stosunkowo mało rozwiniętym.

Ogólna liczba ludzi, pracujących w przemyśle górniczo-hutniczym w Królestwie Polskiem, dochodzi do 50.000; ogólna roczna wartość produktów tego przemysłu wynosi przeszło 50 milionów rubli.

Na Litwie przemysł górniczy nie istnieje zupełnie, gdyż wnętrza ziemi

równin litewskich nie zawierają pożytecznych ciał kopalnych; jedynie spotyka się tu rudy żelazne błotne i darniowe, ale zawierają one tak mało żelaza, że wszelkie próby ich zużytkowania skończyły się niepomyślnie

Na Wołyniu znane są w okolicach Krzemieńca pokłady węgla brunatnego; próbowano go wydobywać, ale przemysł ten się nie rozwinął; upadł także zapoczątkowany tu w XVIII. wieku przemysł ceramiczny



Fig. 3 3. Widok Huty Katarzyny w Sielcu.

(w Korcu wyroby porcelanowe i fajansowe); w końcu ubiegłego stulecia postawiono na Wołyniu hutę żelazną, ale teraz jest ona nieczynna.

Na Ukrainie i Podolu istnieją kopalnie węgla brunatnego, wydobywanego na miejscowe potrzeby (dla licznych cukrowni); oprócz tego w kilku miejscowościach są czynne łomy granitu i labradoru.

W grudniu 1902. r.

Michał Łempicki.

V. Handel w Królestwie Polskiem.

Od czasu, gdy część ziem polskich, stanowiąca obecnie Królestwo, przybrała pod zaborem rosyjskim ustrój prowincyi, politycznie złączonej z całem państwem rosyjskiem, handel nasz oczywiście stracił charakter ściśle samodzielny. Drogi jego złączyły się z kierunkami handlu Rosyi. Granicę celną między Królestwem a Cesarstwem zniesiono w r. 1850. i od tej chwili kraj wchodzi w ogólny prąd rosyjskiej polityki ekonomicznej. Przyznać trzeba, że wynikły stąd niektóre, acz przypadkowe, lecz znaczne

nawet korzyści gospodarcze. Ale zarazem powstała niemożność samoistnego kierowania swoimi losami ekonomicznymi i wytworzyły się warunki, nie poręczające trwałego powodzenia handlowego na dłuższą metę.

Mimo wszystko, ruch ekonomiczny Królestwa pod względem rozmiarów i ożywienia stoi na czele handlu całej Polski. Rozwój ten jest niewątpliwie znaczny, ilościowo poważny i jakościowo wielostronny.

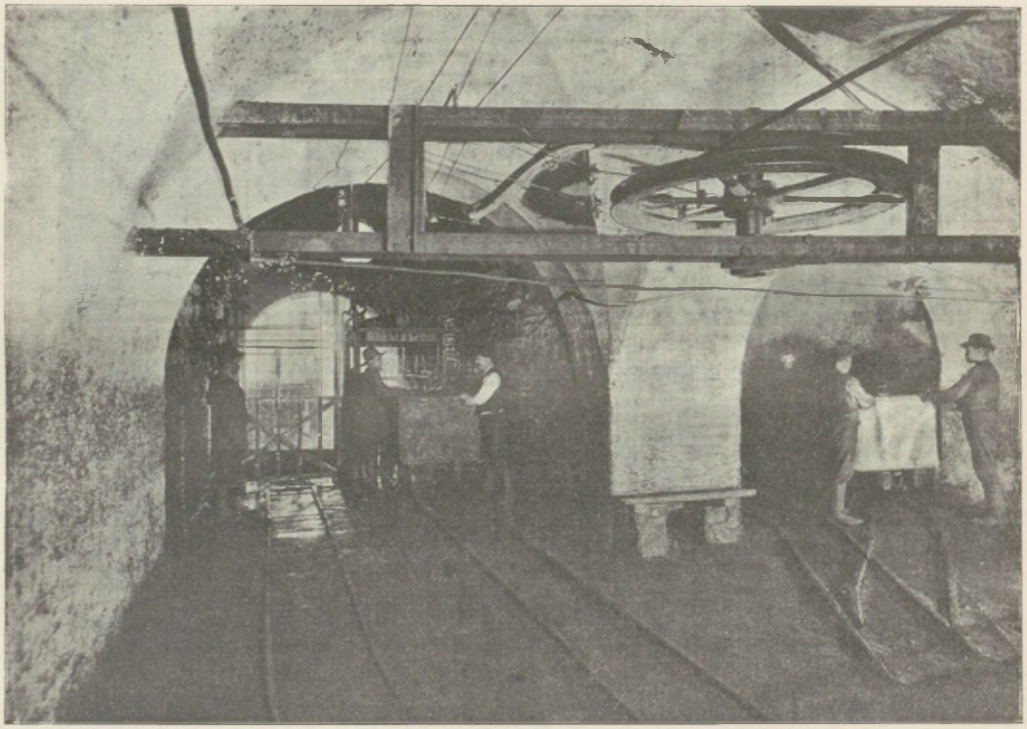

Fig. 324. Kopalnia hr. Renarda w Sielcu.

Ze względu na swe położenie, łączące Zachód europejski z Rosyą, Królestwo ma po części charakter rynku przewozowego i składowego we wzajemnej wymianie płodów między zagranicą a cesarstwem rosyjskiem. Tutejsi kupcy są pośrednikami w wywozie towarów z Niemiec, Francyi, Anglii i t. p. do Rosyi, oraz w eksporcie towarów rosyjskich na targi zagraniczne. Kupiectwo krajowe gra więc rolę tak zwanych komisyonerów, czyli tych ogniw pośrednich, które na rynku przewozowym łączą obcokrajowych wytwórców ze spożywcami. Co do towarów zagranicznych rola

taka przypada Królestwu w zakresie różnych fabrykatów, machin, narzędzi, chemikaliów, galanteryi i t. p.; co do towarów rosyjskich — w zakresie zboża oraz innych surowych płodów rolnych cesarstwa rosyjskiego.

Ale ten charakter przewozowy kraju coraz słabnie w miarę, jak wogóle handel szuka dróg bezpośredniego zbliżenia między rynkami. Zarówno zagranica coraz częściej bez naszego udziału dociera na targi rosyjskie, jak Rosya bez wszelkiego pośrednictwa przenika ze swymi pło-



Fig. 325. Handel zbożem na Pradze w Warszawie.

dami do krajów Zachodu. Postępy w sposobach przewozu i rozwój inicyatywy kupca miejscowego zmianę tę coraz przyspieszają.

W jednym zwłaszcza kierunku powstaje stąd dla Królestwa następstwo bardzo ujemne. Dziedziną tą jest h a n d e l z b o ż o w y. Na rynki polskie napływa w olbrzymich ilościach zboże rosyjskie, po części przeznaczone za granicę, po części współzawodniczące swą taniością z polskimi płodami rolnymi. Te ilości, które już wskutek pierwiastkowego przeznaczenia wywozi się za granicę, przeważnie wymykają się z pod wszelkiego pośrednictwa kupców krajowych, tak, że co do nich Królestwo przestało być na prawdę rynkiem przewozowym, a jest tylko miejscem, przez które kolej bezpośrednio na targi niemieckie dostarcza ładunków zboża. Te zaś dowozy zboża rosyj-

skiego, które zatrzymują się tu na miejscu, wyczekując stosownych konjunktur [1]) najczęściej sprzedawane są na potrzeby naszych konsumentów, wypierając ze spożycia zboże krajowe. Co prawda, Królestwo Polskie nie tylko nie wytwarza już zboża w nadmiarze, lecz nawet ma niedobory, które trzeba pokrywać przywozem z Cesarstwa. (Niedobory te obliczono na około 18 mil. pudów zboża). Nacisk jednak przywozu rosyjskiego w istocie przekracza nasze potrzeby, obniża ceny i spycha wartość płodów rolnych poniżej ich kosztów produkcyi. Dzieje się to pod wpływem taryf przewozowych różnicowych, czyli bardzo nizkich na wielkie odległości. Takie stawki kolejowe sprzyjają dopływowi zboża z gubernii stepowych dalekiego Wschodu, gdzie ziemia jest bardzo tania, a praca rąk ludzkich nie ma ceny prawie. Z kosztami wytwórczymi takich okolic nie może iść skutecznie w zawody nasza kultura rolna. Tym sposobem renta z ziemi w zakresie wytwórczości zbożowej spada niemal do poziomu renty gruntów dziewiczych.

Handel zbożem Królestwa znacznie podupadł. Wywóz, stąd uskuteczniany, albo jest bezpośrednim wywozem zboża rosyjskiego, a na ten ruch handlowy kupcy tutejsi nie mają żadnego wpływu, albo jest bardzo przypadkowym eksportem, bądź uwarunkowanym doraźnemi korzyściami, bądź też obejmującym te przewyżki, które z krajowego spożycia wyparte zostały nadmiarami dowozu z Rosyi.

Tak więc Królestwo powoli traci swoje dawne drogi handlowe, historycznie wytknięte dla wywozu zboża. Przestało ono być tem, czem była dawna Polska: spichlerzem Europy, a stało się słabem ekonomicznem ogniwem w systemie rosyjskich okręgów rolniczych. A stan taki jest tem bardziej niekorzystny, że w naszym ustroju nie odbył się w ścisłem znaczeniu przełom ku przewadze przemysłowej, bo praca rolna stanowi ilościowo jeszcze największą i najrdzenniejszą pod względem narodowym dziedzinę gospodarczą.

Eksport zboża, który w miarę konjunktur uskutecznia się z naszego kraju, ciąży jeszcze do Gdańska, do Prus Zachodnich i na Śląsk. Są to utarte tradycyjnie szlaki handlowe, lecz bardzo już skurczone. Naturalna droga wywozu — Wisła, rozdarta politycznie na trzy części, a zatamowana w swoim biegu rogatkami celnemi, nie może, jak dawniej, sprzyjać rozwojowi handlu. Wywóz odbywa się głównie przez komory w Aleksandrowie, Sosnowcu i Mławie, oraz przez komory wodne. Wygórowane cło niemieckie stanowi też ważną zaporę dla handlu.

[1]) Zob. objaśnienie T. II. str. 666.

Największem ogniskiem wewnętrznego handlu zbożowego w Królestwie jest Warszawa. Tutaj zaopatrują się w płody rolne, zwożone na dwa wielkie targi, komisyonerzy, eksporterzy, młynarze, dostawy dla wojska i t. p. Hurtowny handel odbywa się na Pradze, na stacyi kolei terespolskiej i w t. zw. magazynach tranzytowych, należących do tej samej drogi żelaznej. Uskuteczniają się tu zakupy wagonami. Dowozy krajowego ziarna gromadzą się na placu Witkowskiego, gdzie zaspakajane są mniejsze potrzeby młynów wiatracznych, krochmalni, drobnych handlarzy i t. p.



Fig. 326. Wejście do szkoły handlowej kupców warszawskich.

Pomimo względnie pokaźnych rozmiarów handel zbożowy Warszawy nie jest uporządkowany. Niema też giełdy zbożowej, urzędowych notowań cen, handlu terminowego, prawidłowego pośrednictwa, ustalonych zwyczajów, sprzedaży podług wagi gatunkowej i innych podobnych urządzeń, od których zależy ład w tym handlu. Usiłowania, aby wytworzyć giełdę zbożową, datujące się od lat wielu, nie dały dotychczas pomyślnego wyniku. Skutkiem tego jest tu brak większych domów handlowych i ograniczenie obrotów do sprzedaży komisowej. Oczywiście handel zbożem na prowincyi znajduje się w warunkach jeszcze bardziej pierwotnych.

Nadzieje poprawy tego handlu związane są z rozwojem syndykatów

i towarzystw rolniczych, które powstały we wszystkich miastach gubernialnych Królestwa i skutecznie pracują nad podźwignięciem rolnictwa, oraz nad uporządkowaniem handlu płodami jego. Między innemi wypierają one często nieuczciwe, a prawie zawsze nieudolne pośrednictwo małomiejskich handlarzy-bankierów i faktorów, zmniejszając haracz pośredniczy, który ciążył na rolnikach.

Z handlem zbożowym ściśle się w Królestwie łączy handel wełną. Znaczne obroty wełną odbywają się w Warszawie na jarmarku czerwcowym, który jest głównem targowiskiem tego produktu. Dawniej duże ilości polskiej wełny wyborowej wychodziły za granicę, głównie do Niemiec. Obecnie produkcyę tę spotrzebowywa przeważnie polski i rosyjski przemysł. Zaznaczyć przytem należy, że hodowla wełny u nas nie rozwija się należycie i że na własne potrzeby fabryk wełnianych posiłkować się musimy przywozem z zewnątrz, z zagranicy i Rosyi. Za wełnę, przywożoną do kraju, płacimy rocznie około $27^1/_2$ mil. rubli.

Do przedmiotów rozległego handlu wewnętrznego i zagranicznego należy drzewo. Ale i w tej wymianie stosunki nie są uporządkowane. Stanowi to szczególną anomalię, że główną giełdą drzewną dla Królestwa jest Gdańsk, a po części Toruń i Królewiec, gdzie kupcy niemieccy dyktują ceny tutejszym rolnikom i pośrednikom. Oczywiście w tych warunkach główne korzyści są udziałem zagranicy. Powodem niemożności zogniskowania tego handlu w kraju, tudzież ujęcia go w karby prawidłowe jest brak dobrych portów po naszej stronie na Wiśle. Stąd więc wywożone drzewo dociera do przystani niemieckich i zbyt jego jest już tam zależny od miejscowego zapotrzebowania, zmonopolizowanego i wywierającego nacisk na ceny.

Handel cukrem w Królestwie ogniskuje się w Warszawie. Nie ma on tu ściśle organizacyi giełdowej, ale w każdym razie podczas zebrań giełdy pieniężnej załatwiane są główne obroty. Stan handlu zależny jest od tak zwanego »unormowania rządowego«, t. j. od ustroju, jaki handlowi nadano w drodze rozporządzeń ministra finansów. Jest to rodzaj syndykatu, urzędownie uświęconego i kontrolowanego, który ogranicza sprzedaż wewnętrzną ponad ilości, odpowiadające obliczonym z góry potrzebom spożycia; resztę więc wywozi się za granicę po cenach bardzo nizkich.

Giełda warszawska jest giełdą przeważnie pieniężną. Zawierają się tu obroty wekslami zagranicznymi, papierami procentowymi i akcyami. Znaczenie giełdy tej jest czysto lokalne i uzależnione bądź od Berlina,

bądź od Petersburga. Dawniej obroty wekslowe były większe; zmniejszyły się one skutkiem tego, że rosyjski Bank państwowy prawie zmonopolizował sprzedaż weksli zagranicznych. W wyjątkowych więc tylko obrotach większego wywozu powstaje materyał weksli na różne place zagraniczne i wtedy sprzedaż ich odbywa się na giełdzie po kursach tańszych od cen, które oznacza Bank państwa. Tratty na zagranicę, a głównie na place niemieckie powstają też od czasu do czasu z kredytowych stosunków bankierów tutejszych z zagranicznymi, zwłaszcza w chwilach, gdy różnice stopy procentu obrotom takim sprzyjają. Z papierów procentowych główny



Fig. 327. Giełda warszawska.

obieg na giełdzie warszawskiej mają listy zastawne Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego Królestwa Polskiego oraz Towarzystwa Kredytowego miast Warszawy, Łodzi i innych miast prowincyonalnych. Obroty akcyami upowszechniły się na giełdzie warszawskiej dopiero od r. 1894., gdy wybuchła za przykładem giełd rosyjskich gorączka spekulacyjna. Rozwinął się wtedy zgubny i niemoralny hazard — gra ażyotażowa, która też w następstwie zgotowała zawody bolesne. W przedsiębiorczości akcyjnej zapanowało potem (od r. 1899.) przesilenie i spekulacya giełdowa doznała dotkliwego pogromu. Ale handel akcyami, choć na mniejszą skalę, utrzymał się już i chwilami, wśród konjunktur wyjątkowych, pobudza jeszcze do żywej spekulacyi.

Ustrój kredytowy Królestwa Polskiego jest znacznie rozwinięty. Wprawdzie głównymi ośrodkami kredytu, ze względu na swe formy monopolistyczne, stały się filie petersburskiego Banku państwa z t. zw. kantorem warszawskim Banku państwa na czele, lecz są też poważne instytucye akcyjne wzajemne i prywatne. Największym zakładem kredytowym akcyjnym jest Bank Handlowy w Warszawie, założony w r. 1870. Rozporządza kapitałem zakładowym 9 mil. rubli. Bank Dyskontowy warszawski założony został w r. 1871. i ma obecnie kapitału 7 mil. rubli. W r. 1897. przeniósł się na grunt warszawski istniejący w Łodzi od r. 1872. Bank Handlowy Łódzki, mający kapitału $7^1/_2$ mil. rubli. Do współzawodnictwa z krajowemi instytucyami stanęła przed kilku laty Filia Azowsko-Dońskiego Banku Handlowego, mającego swoją główną siedzibę w Taganrogu. Z innych miast Królestwa tylko w Łodzi rozwinął się na większą skalę system bankowy. Znajdują się tu: Bank Handlowy Łódzki, Bank Kupiecki, filia Banku Handlowego warszawskiego, oraz filie Azowsko-Dońskiego Banku i Banku Rygskiego. W innych miastach założyły oddziały: Bank Handlowy warszawski i Bank Handlowy łódzki.

Nadto są w Warszawie dwa Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, z których pierwsze, założone przed kilkudziesięciu laty, ma bardzo wydatny rozwój. Na podstawie wzajemnej opiera się jeszcze »Kasa Przemysłowców«.

Towarzystwo Kredytowe Ziemskie zostało zawiązane w r. 1825., a prawem z dnia 12. lipca 1869. r. zamienione zostało na stałą instytucyę, która obecnie rządzi się nową ustawą od r. 1888. Towarzystwo Kredytowe Ziemskie jest stowarzyszeniem dłużników, na wzajemności opartem. Pożyczki w listach zastawnych wydawane udzielają się na hipoteki dóbr ziemskich. Dbając szczerze o korzyści swoich stowarzyszonych, Towarzystwo skonwertowało przed kilku laty 5% listy na $4^1/_2$%, a obecnie przystąpiło do nowej reformy, t. j. do emisyi listów 4%, czem wprowadza jeszcze większą ulgę kredytową dla swoich dłużników.

Potrzebom kredytu hipotecznego na nieruchomości wiejskie czynią dotąd zadość: Towarzystwo kredytowe m. Warszawy, istniejące od r. 1869., Towarzystwo m. Lublina od r. 1885, Towarzystwo m. Kalisza od r. 1885., Towarzystwo m. Płocka od r. 1886. Przed kilku laty zorganizowano Towarzystwa miast Piotrkowa, Częstochowy, Siedlec, Suwałek i Łomży.

W ostatnich czasach poczęły się rozwijać i mnożyć małe zakłady kredytowe, oparte na wzajemności, które noszą nazwę kas pożyczkowo-oszczędnościowych i towarzystw kredytowych. Tworzą się one na podstawie nor-

malnej ustawy, opracowanej przez ministeryum finansów w Petersburgu. Mają sprzyjać kredytowi dla drobnego przemysłu, rękodzieł i wogóle dla ludności produkcyjnej, lecz uboższej. Rozwój tych instytucyj byłby jeszcze większy, gdyby nie pewna zapora. Władze lokalne opierają się zatwierdzeniu takich instytucyj po wsiach. To też tylko parę podobnych zakładów wiejskich powstało.

Handel towarami zagranicznymi w Królestwie ma jeszcze znaczne bardzo rozmiary, pomimo, iż ochrona celna przyczyniła się do rozwoju przemysłu miejscowego i do zbytu towarów rosyjskich w kraju.

Część przywozu, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, przechodzi tranzyto przez Królestwo i ma na celu wywóz do cesarstwa rosyjskiego, dużo jednak pozostaje w miejscu na pokrycie naszych własnych potrzeb. Ruch ten obejmuje najróżnorodniejsze artykuły handlu, jako to: żelazo w różnych formach, machiny, narzędzia rolnicze, artykuły techniczne, chemikalia, farby, towary kolonialne, galanterye, skóry, towary wełniane, jedwab, konfekcyę, porcelanę i t. p. Handel ten ma rozmaitą organizacyę, stosownie do przedmiotu, lecz najpoważniejszą postacią są t. zw. komisy i agentury udzielane przez fabrykantów i kupców zagranicznych tutejszym domom handlowym. Domy te są tylko przedstawicielami przedsiębiorstw zagranicznych, zajmują się sprzedażą komisową powierzonych prób, rozszerzaniem wzorów i katalogów. Rzadszą jest forma hurtowych składów wytworów zagranicznych. W ostatnich czasach powstała w Królestwie dążność do wyzwolenia się z pod tej zależności ekonomicznej od zagranicznych rynków, a w szczególności od Niemców. Szeroko też zakwitła już w Królestwie dziedzina handlu hurtowego krajowymi i przywożonymi z cesarstwa artykułami przemysłu. Tu należy bardzo rozległy dział t. zw. »manufaktury«, czyli tkanin bawełnianych, płóciennych i wełnianych. W tej mierze ważną rolę gra przemysł fabryk łódzkich, zgierskich, tomaszowskich i t. p., a obok niego fabrykaty zakładów tkackich cesarstwa rosyjskiego. Handel ten nadaje bardzo ruchliwą postać warszawskim składom w dzielnicy Nalewek (dzielnicy żydowskiej) oraz składom w Łodzi. Całe wielkie domy zapełnione są towarami od suteren do poddaszy. Szczególnem znamieniem tego ruchu handlowego jest, że choć z Królestwa wywozimy olbrzymie ilości towarów do Rosyi, to jednak wzajem z Rosyi dowozi się również znaczne bardzo zasoby manufaktury do nas. Wynika to ze specyalizacyi przemysłu, którego pewne gałęzie odpowiadają ściślej tej czy innej potrzebie konsumcyjnej.

Pomyślność ekonomiczna Królestwa jest pozornie przynajmniej bardzo pokaźna. Ruch handlowy, choć co do form kulturalnych dużo do życzenia pozostawia, ma postać nader ożywioną i przyspieszone tętno. Opieka celna, rozmiary zbytu towarów w Rosyi, a szczególniej na kresach Cesarstwa, tranzytowy przewóz towarów zagranicznych do Rosyi, kredyt względnie uporządkowany i wcale obfity, dość duża ilość kapitałów ruchomych — wszystko to wznosi Królestwo na stanowisko ekonomiczne wyższe od innych dzielnic polskich. Lecz są tu także liczne strony ujemne, a wśród nich przedewszystkiem brak istotnej samodzielności i ściśle narodowego charakteru przemysłu i handlu. Z jednej strony zależni jesteśmy od handlu niemieckiego, z którym związały nas dawne tradycye, nawyknienia i wpływ na stosunki gospodarcze Niemców u nas zamieszkałych. Celem wyzwolenia się od tej zawisłości podniesiono świeżo hasło głośne, lecz niedość jeszcze skuteczne. Z drugiej strony rozmiary naszego zbytu przemysłowego są w ścisłym związku z rozmiarami siły spożywczej różnych gubernij rosyjskich; gdy tam konsumcya słabnie, powodzenie zawodzi nasze fabryki. Przytem trzeba mieć na uwadze, że w miarę wzrostu przemysłu rosyjskiego grozi krajowi utrata zdobytych już pól zbytu, jeśli swych kierunków przemysłowych nie przystosuje do miejscowych potrzeb, a o to wcale nie łatwo. Trzeba pracy nowej, pracy u podstaw, aby przeistoczyć formy produkcyi do zadań, mających zadawalać własne spożycie, które tymczasem tylko częściowe zadosyćuczynienie znajduje w tutejszej wytwórczości. Dalej i stan oświaty szerokich kół kupiectwa jest jeszcze dość nizki. Przewaga w tem kupiectwie nieoświeconego żywiołu żydowskiego przyczynia się do panowania form pierwotnych, niedostosowanych do wymagań postępu.

Ale w końcu należy stwierdzić, że w każdym razie posuwamy się naprzód i że ogólne siły gospodarcze kraju krzepną.

W grudniu 1902. r.

St. A. Kempner.

STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE
NA LITWIE I RUSI.

Litwa i Ruś dostały się pod panowanie Rosyi skutkiem trzech rozbiorów Polski i przyłączenia obwodu białostockiego w r. 1807. Dziś stanowią 9 gubernij cesarstwa rosyjskiego: grodzieńską, wileńską, kowieńską, mińską, witebską, mohilewską, podolską, wołyńską i kijowską. Przestrzeń ich wynosi 8559.68 mil □, licząc wraz z obwodem kijowskim (35.23 mil □) już w w. XVII. przez Rosyę zajętym.

Litwa i Ruś stanowią $^3/_4$ przeszło ($^{8}/_{13}$) terytoryum dawnej Rzplitej. Przestrzeń Galicyi wynosi 16.6% obszaru Litwy i Rusi, Królestwo 27.2%, zabór pruski około 17%. Te rozległe obszary dawnego Księstwa Litewskiego oraz województw ruskich Rzplitej były w ciągu stuleci naturalnym naszym obszarem kolonizacyjnym. Kolonizacya polska tych krajów to nie objaw przypadkowy, trwała bowiem 6 wieków przeszło, historya zaś nie zna sześciowiekowego przypadku. Była ona wywołaną przez jedność geograficzną krajów tych z ziemiami Polski etnograficznej i znacznie rzadszem ich zaludnieniem.

Ludność ziem, przyłączonych (po 3 rozbiorach) do Rosyi sięgała 8,418.000 zaledwie, gdy ludność reszty Polski 8 milionów blizko. Litwa i Ruś posiadały więc u schyłku wieku XVIII. przeciętnie 3 razy rzadszą ludność niż inne dzielnice Polski.

W r. 1861., w przełomowym dla Litwy i Rusi okresie, gdyż podczas zniesienia poddaństwa i pańszczyzny, ludność wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej gubernii wynosiła 5.1000,000, sześć gubernij litewsko-białoruskich 5.400,000. Po odrzuceniu powiatów gubernii kijowskiej, nie wchodzących w r. 1772. w skład Rzplitej, na zabór rosyjski poza Królestwem przypa-

dało 10.400,000 mieszkańców. Ludność zatem Litwy i Rusi w ciągu lat sześćdziesięciu kilku zwiększyła się tylko o dwa miliony czyli 24·8%. W okresie znacznie krótszym Królestwo, zaludnione daleko gęściej, a liczące już w 1815. r. przeszło 2.600,00, podwoiło swą ludność. Jest to rzecz zrozumiała, Litwa i Ruś nie przechodziły w ciągu w. XIX. okresów samodzielności państwowej, jak Królestwo w okresie Księstwa Warszawskiego i Krolestwa Kongresowego (1815—1830).

Konstytucya Księstwa dała chłopom wolność osobistą, na którą włościanie Litwy i Rusi czekali do r. 1861. Królestwo Kongresowe spotęgowało rozwój gospodarczy narodu przez umiejętną politykę uprzemysłowienia, stwarzało warsztat do pracy zapewniającej byt dorastającemu pokoleniu, stąd nie tylko spotęgowało przyrost naturalny, ale i przypływ wychodźców na swe terytoryum. W okresie od r. 1803—1823, gdy kuratorem wileńskiego okręgu naukowego był Czartoryski, sprawy oświatowe pozostawiono w rękach krajowców, nie posiadał kraj jednak autonomii gospodarczej.

Polityka zaś ekonomiczna Rosyi względem Litwy i Rusi albo uwsteczniała ich stosunki gospodarcze, upodobniając je do rosyjskich, albo skierowana do walki z polskością, niszczyła kulturę kraju przez wzgląd na jej polskie pierwiastki.

Napróżno ziemianie powiatu dynaburskiego w 1819. r., a później gubernii grodzieńskiej i wileńskiej domagali się od rządu rosyjskiego uwolnienia włościan, dla Rosyi była ta reforma wciąż jeszcze »przedwczesną«.

Poddaństwo włościan i pańszczyzna daleko bardziej i wcześniej znalazły się w sprzeczności z warunkami rozwoju gospodarczego na Litwie i Rusi niż w Rosyi, gdyż Litwa i Ruś posiadały w wielu okręgach znacznie gęstsze zaludnienie od Rosyi centralnej i lepsze warunki zbytu; płynęła stąd większa łatwość o najemnika, większa dążność do bardziej natężonej gospodarki, wymagającej wolnego robotnika. Gdy więc rząd rosyjski zmuszony był pomyśleć o reformie stosunków włościańskich, pierwszymi obolicyonistami wśród ziemian carstwa rosyjskiego byli ziemianie litewscy Oni to w 1859 r. wystąpili z inicyatywą zniesienia pańszczyzny.

Na reformę włościańską w zaborze rosyjskim dodatni wpływ wywarło powstanie 1863. r. Rząd rosyjski pragnął pozyskać chłopów polskich, uwłaszczył więc ich na lepszych warunkach niż włościan rdzennej Rosyi, gdzie się zbyt rachował z interesami szlachty rosyjskiej.

Gdy w Rosyi spłata nadanych gruntów zależała od ugody dobro-

wolnej między właścicielami ziemskimi a chłopami lub była dla tych ostatnich przymusową na żądanie właściciela, na Litwie i Rusi obowiązywała.

Na mocy ustawy z marca 1863. roku oddawano na Litwie i Rusi włościanom dawne ich działy. Na Wołyniu, Podolu, Ukrainie, w guberniach wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej i mińskiej włościanie otrzymali przy usamodzielnieniu więcej gruntu, niż posiadali za czasów pańszczyźnianych, w gub. mińskicj np. po 8 dziesięcin (8,74 ha), gdy uprzednio mieli po 5,7 czyli więcej o 40%. W gub. witebskiej i mohylewskiej pozostały dawne działy.

Ale rząd miał bardziej cele polityczne niż gospodarcze na względzie i pragnął rozniecenia nieprzyjaźni między dworem a chatą, pozostawił serwituty, nie skomasował gruntów włościańskich, nie urządził ich jako osady zwarte czyli kolonialne. Wszystko to było czynnikiem ujemnym w rozwoju sił wytwórczych kraju.



Fig. 328. Z wystawy rolniczej w Pińsku. Grupa włościan wystawców.

Nic prawie nie zrobiono również dla rozwoju dróg i wogóle dla komunikacyi. Litwa i Ruś obfitują w znaczne rzeki: Niemen, Dźwina, Dniepr, Dniestr, Berezyna, Prypeć, Desna. Połączenie ich kanałami między sobą i z Wisłą, uspławnienie, regulacya mogły być podstawą rozwoju gospodarczego kraju. Rządy polskie u schyłku Rzpltej zrozumiały doniosłość dróg wodnych: przekopano kanały Ogińskiego między Jasiołką, wpadającą do Prypeci (dopływ Dniepru) i Szczorą dopływem Niemna, kanał królewski między Piną (dopływ Prypeci) i Muchowcem (dopływ Bugu).

Za panowania rosyjskiego powstał tylko kanał Berezowski, łączący dopływ Berezyny z Ułą, wpadającą do Dźwiny Zachodniej. Budowę jego rozpoczęto w r. 1798. podług wskazówki znalezionej w papierach po Czackim, budowano nieudolnie, przerabiając wielokrotnie, do 1823. r.

Rozwój dróg wodnych, łączących dwa morza a połączonych z Europą środkową byłby potężną dźwignią tak zjednoczenia gospodarczego krajów, dzielących te morza, jak ich rozwoju.

Kanały posiadałyby olbrzymią doniosłość gospodarczą dla Litwy i Rusi wobec ich charakteru rolniczego, wobec braku węgla kamiennego, który jest niezbędny dla rozwoju przemysłu.

Nie mają również Litwa i Ruś rozwiniętej sieci kolejowej, chociaż jako pasmo, łączące Zachód ze Wschodem, mają jak najodpowiedniejsze położenie geograficzne. Sześć gubernij litewsko-białoruskich na obszarze 267.976 wiorst □ (3,049.668 8 ha) liczy tylko 4.844 w. (5.134·64 klm.) linii kolejowej czyli 23·3 w. na tysiąc w. □. W stosunku do przestrzeni Litwa i Ruś posiadają więc mniej rozwiniętą sieć kolejową od Królestwa, które miało w 1904 r. 26·2 w. na tysiąc w. □. Królestwo zaś pozostaje znacznie w tyle za Galicyą i Poznańskiem. Ostatnie już w r. 1900. posiadało na każdy tysiąc klm. □ 74·4 klm. kolei, wobec ogólnej długości linij 3069·4 klm.; Galicya zaś 35 klm. na tysiąc klm. □ przestrzeni.

Nawet względnie znaczne miasta, np. Kamieniec Podolski, pozbawione są komunikacyi kolejowej. Ten brak dróg nie dozwalał, aby na Litwę i Ruś dostawały się w większej ilości towary, wytwarzane przez przemysł fabryczny tak własny jak krajów ościennych. Stąd w wielu miejscowościach, zwłaszcza w gub. mińskiej i witebskiej zachował się tam przemysł domowy włościański, wyłącznie dla miejscowego użytku, najczęściej nawet jedynie dla rodziny wytwórców. Brak komunikacyi nie daje mu przeobrazić się w przemysł domowy rękodzielniczy, wytwarzający na sprzedaż w większych rozmiarach.

Nie posiadając urzędów nie tylko krajowego, ale miejscowego nawet, gubernialnego i powiatowego samorządu, kraje te cierpią dotkliwy brak dróg podjazdowych i bitych traktów. Gubernia wileńska płaci za przewóz po swych nędznych drogach gruntowych (obliczenia inżyniera Wulfarta) 4,620.000 rb., gdy w razie przeobrażenia ich na drogi bite transport jej produktów kosztowałby 2.486.448 rb., czyli wydaje zbytecznych 2,133.552 rb. Rosyjska taryfa kolejowa (t. j. opłata za przewóz), zmniejszająca się w miarę zwiększania się odległości, stwarza uciążliwe współzawodnictwo dla prowincyj o wyższym poziomie rolnictwa przez przerzucanie na ich rynki wewnętrzne zboża z prowincyj o bardziej rozciągłej uprawie rolnej. Odczuwa to boleśnie Królestwo Polskie, uskarża się też i Litwa. »Do Wilna, czytamy w referacie komitetu gubernialnego wileńskiego, przychodzi z gubernii naszej 200 pudów zboża, tymczasem gubernie innych stref dostarczają przeszło miliona pudów. To przepełnienie rynków miejscowych zbożem obcem — zjawisko ogólne dla całego naszego kraju — tłómaczy się

tem, że dzięki rozwojowi sieci kolei żelaznych i zniżonym taryfom na przewóz zboża do naszych gubernii, rozwinęło się ostatnimi czasy na kresach Rosyi wschodniej zaorywanie nowych pól, a produkcya odbywająca się w sposób najpierwotniejszy, a więc jak najtaniej, opłaca się dzięki naturalnej urodzajności gleby. U nas przeciwnie, ziemia jest gorszą, a wyższe pod względem kultury rolnej gospodarstwo wymaga znacznych nakładów. W kraju przemysł młynarski rozwija się nader słabo, gdyż szkodzą mu taryfy rosyjskie. Istniejąca taryfa przewozowa jednakowo wysoka dla zbóż w ziarnie, jak dla mąki, jest środkiem sztucznym, ustanawiającym premium (większe korzyści) dla poparcia młynów Rosyi Wschodniej. Przy zmieleniu żyta schodzi około 30%, przy zmieleniu pszenicy około 25% otrąb, dla których taryfa przewozowa obniżona jest o 2—3¾ kop. od puda, zależnie od przestrzeni. Przy porównywaniu więc przewozu zboża i mąki okazuje się, iż przewóz puda mąki kosztuje o ⅔—1½ kop. taniej niż puda ziarna. Ponieważ zaś za zmielenie puda pobiera się na Litwie 5—7 kop., premium młynarskie Rosyi wschodniej wynosi więc od 10—21% dochodu brutto młynów litewskich«[1]).

Warunki gospodarczego rozwoju Litwy i Rusi nie są pomyślne.

Po pierwszym i drugim rozbiorze rozpoczęły się konfiskaty i rozdawnictwo ziemi koronnej generałom rosyjskim. To samo odbywało się po roku 1831. Ale nie odebrano jeszcze Polakom prawa kupowania ziemi, dobra więc nowych posiadaczy rosyjskich przechodziły z powrotem do rąk polskich; przed r. 1863. stosunek ziemi rosyjskiej do polskiej wynosił 1 do 70. Przyszły potem nowe konfiskaty, sekwestry, sprzedaż przymusowa — przyszło to, co nosi nazwę prawodawstwa Murawjewa.

Od 9. marca 1865. folwarki skarbowe wolno było oddawać w dzierżawę wyłącznie osobom pochodzenia nie polskiego, zwłaszcza popom prawosławnym, staroobrzędowcom (prześladowani w Rosyi za wiarę osiedlili się w Polsce, w r. 1863. rabowali i mordowali powstańców) i oddanym carowi chłopom. O dzierżawcach i proponowanych przez nich warunkach musieli gen. gubernatorowie donosić ministeryum.

Wcześniej (17. marca 1864.) wydano zasady ulg, przywilejów i zapomóg pieniężnych przy kupnie dóbr skarbowych i prywatnych na Litwie i Rusi. Z ulg tych korzystać mogli wszyscy mieszkańcy Cesarstwa nie polskiego pochodzenia oraz nie Żydzi. Na zapomogi rządowe stworzono

[1]) Prace komitetów miejscowych o potrzebach przemysłu rolnego. Gub. Wileńska w 1905 — w jęz. rosyjskim.

fundusz specyalny, oprócz zaś zapomogi i nader dogodnych warunków kupujący otrzymywali prawo pędzenia wódki, a nawet w razie pochodzenia ze stanu niższego rosyjski tytuł obywatelstwa dziedzicznego (potomstwiennyj poczotnyj graždanin). Pozostałe po uwłaszczeniu włościan dobra skarbowe rozsprzedano bez licytacyi za bezcen osobom pochodzenia rosyjskiego.

23. grudnia 1865. zakazano Polakom kupna ziemi w 9 guberniach »zachodnich«. Dalej w r. 1887., 1892. i 1895. wydano prawa skierowane przeciw własności ziemskiej obcych poddanych; ogromne dobra Hohenloheńskie (po-Radziwiłłowskie) przeszły wtedy w ręce rosyjskie.

Zaczęto utrudniać dzierżawienie ziemi przez Polaków, wreszcie (1884.) ogłoszono zakaz dzierżawy długoterminowej oraz zastawiania dóbr osobom pochodzenia polskiego.

Wszystkie te rozporządzenia skierowane ku tępieniu polskiej a wzmocnieniu rosyjskiej własności ziemskiej musiały wytworzyć nakoniec własność rosyjską na ziemiach Polski historycznej, a zmniejszyć znacznie własność polską. Pomimo to jednak stosunek posiadłości polskich do rosyjskich przedstawiał się w czasach ostatnich, a jeszcze przed częściowem przywróceniem Polakom prawa kupna ziemi, jak następuje:

	Własność polska wykazuje ogólnej przestrzeni	Własność rosyjska wielkiej własności
gub. kowieńska	75%	14%
» wileńska	73%	20%
» grodzieńska	53·6%	40%
» mińska	49·7%	41%
» podolska	48·3%	49%
» wołyńska	47·9%	45·4%
» witebska	40·6%	42·3%
» mohylewska	33%	63·6%
» kijowska	—	59·3%

W r. 1897. pozwolono miejscowej ludności rolnej pochodzenia polskiego nabywać grunta nie wyżej 60 dzies.; w r. 1904. zaś dozwolono wogóle Polakom kupować dobra, od Polaków jednak wyłącznie. Obydwa te rozporządzenia prawodawcze są dotąd zbyt świeże, aby mogły wpływ wywrzeć na stosunki gospodarcze kraju.

Większa własność rosyjska, jako wytwór sztuczny, musiałaby zniknąć drogą parcelacyi lub przejścia do rąk polskich, o ileby nastąpił w kraju zupełnie wolny obrót ziemią.

Wielka własność rosyjska nie odgrywa roli w życiu Litwy i Rusi. Właściciele dóbr Rosyanie mieszkają w stolicach rosyjskich lub za granicą, a gospodarkę prowadzą zarówno jak w dobrach magnatów polskich, Polacy lub niekiedy Niemcy.

Wielkich właścicieli ziemskich Polaków jest w gub. witebskiej, mińskiej, mohylewskiej, kijowskiej i wołyńskiej niemal 20 tysięcy; wraz więc z 10 blizko tysiącami wielkich właścicieli ziemskich w gub. kowieńskiej grodzieńskiej i wileńskiej cyfra większych właścicieli Polaków dochodzi na Litwie i Rusi do 30 tysięcy; są to liczby podane przez Komitet ministrów, więc raczej zmniejszające liczby Polaków.

Przeciętna własność polska jest większą od rosyjskiej.

	Właściciele ziemscy	
	prawosławni, starowiercy i protestanci	katolicy
Gub. witebska	6.669	2.564
» mińska	8.706	4.554
» mohylewska	11.305	2.722
» kijowska	5.776	1.054
» podolska	4.612	1.225
» wołyńska	13.741	3.414

Otóż stosunek obszaru polskiej własności ziemskiej do niepolskiej (własność katolików można w krajach tych przyjąć za polską, inne za niepolską) jest bardziej dla nas korzystną niż stosunek ilościowy właścicieli Polaków do nie-Polaków. Pochodzi to stąd, że największe dobra ziemskie są w posiadaniu polskiem.

Przypadkowi posiadacze, Rosyanie, oficerowie i urzędnicy, nabywający za bezcen dobra, obdłużali je, wycinali lasy, nieraz ogrody i sady. Tak zniszczony majątek parcelowali później częstokroć między włościan miejscowych.

Bardziej niepożądaną była rosyjska kolonizacya włościańska. Podejmował ją rząd niejednokrotnie, np. w r. 1874. osadza rząd kolonistów rosyjskich na olbrzymich wyrębach leśnych w pow. poniewieskim. Była to kolonizacya nienaturalna, gdyż idąca z krajów niższej do krajów o wyższej kulturze rolnej, kosztowna dla skarbu państwa, a szkodliwa dla ludności miejscowej, bo pozbawiała ją gruntu do parcelacyi, nie dając wzamian wzorów kultury wyższej.

Bank włościański (założony przez rząd 1883. r.) spełniał częstokroć

zadanie rosyjskiego banku kolonizacyjnego. Chłopi katolicy byli przy kupnie gruntów przez bank ten zwykle pomijani. Pomimo to od uwłaszczenia nabyli włościanie litewsko-białoruscy 1,792.200 dzies. (195.797·85 ha) z trzech zaś południowych gubernij około 350 tysięcy dziesięcin (powyżej 382 ha), t. j. mniej niż uprzedni, lecz ziemi znacznie lepszej wobec wielkiej urodzajności gleby w tych guberniach.

Na Litwie i Rusi, zarówno jak na całym obszarze ziem dawnej Rzplitej odbywa się proces parcelacyi. Czyni on szybsze postępy na Białej Rusi

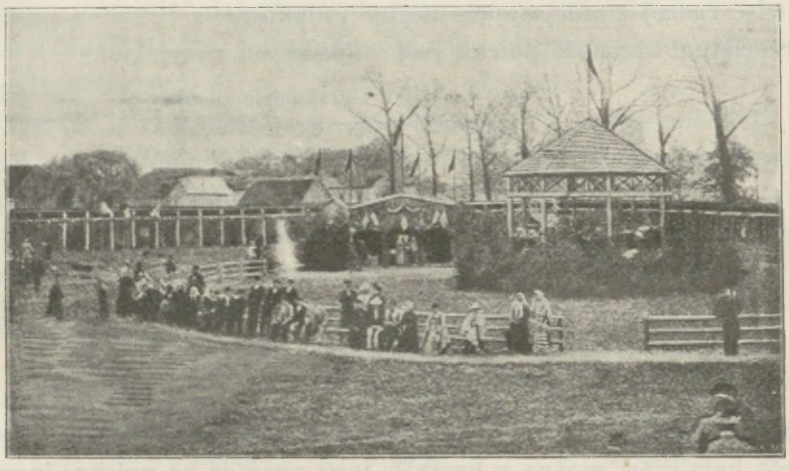

Fig. 329. Ogólny widok wystawy rolniczej w Poniewieżu.

i na Litwie, niż na Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Dostrzegamy przytem, że pomimo wszelakich udogodnień kredytowych, dostarczanych przez bank szlachecki rosyjskim właścicielom ziemskim, dobra ich w daleko większym stopniu uległy parcelacyi niż dobra Polaków.

Przyrost ludności wiejskiej, wobec słabego rozwoju miast na Litwie i Rusi, był bardzo znaczny.

Ludność wiejska wzrosła od 1861—1900:		Zbiory z dziesięciny (1·0925 ha) zwiększyły się:
w gub. wileńskiej	74%	54%
» » grodzieńskiej	60%	54%
» » kowieńskiej	61%	35%
» » witebskiej	85%	30%
» » mińskiej	97%	50%
» » mohylewskiej	87%	52%

Ludność wiejska wzrosła od 1861—1900:		Zbiory z dziesięciny (1·0925 ha) zwiększyły się:	
w gub. kijowskiej	73%		64%
» » wołyńskiej	77%		40%
» » podolskiej	61%		58%

Wogóle rozszerzenie obszaru gruntów chłopskich przy nie dość szybkiem wzrastaniu wytwórczości rolnej, utrzymuje chłopów Litwy i Rusi na poziomie gospodarczym niewiele wyższym od osiągniętego wnet po wyjściu ze stosunków pańszczyźnianych.

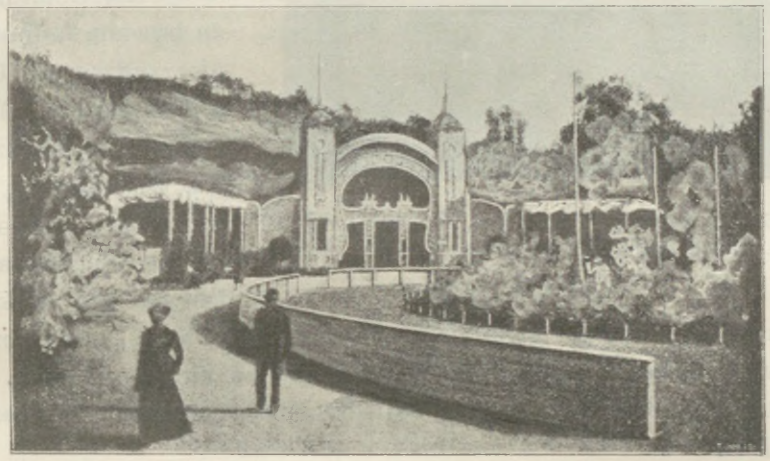

Fig. 330. Pawilon główny wystawy rolniczo-przemysłowej w Wilnie.

Przeciętnie na zagrodę włościańską wypada w gub. białoruskich po 10·5 dziesięcin gruntu, w litewskich 11, w ukraińskich 5·9 (dziesięcina = 1·0925 ha).

Dla ocenienia wartości gospodarki włościańskiej na Litwie i Rusi uwzględnić musimy tameczne ceny ziemi; dla porównania podajemy ceny w Królestwie.

	Rb. za dziesięcinę		Rb. za dziesięcinę		Rb. za dziesięcinę
Gub. wileńska	66	Gub. kijowska	128	Gub. siedlecka i łom-	
» grodzieńska	65	» podolska	183	żyńska	81
» kowieńska	83	» warszawska	138	» piotrkowska	104
» mińska	34	» kaliska	138	» płocka	119
» mohylewska	63	» kielecka	129	» radomska	94
» wołyńska	74	» lubelska	131	» suwalska	121

Cały szereg czynników wpływa na cenę ziemi. Nadzwyczajna urodzajność gleby Wołynia, Podola i Ukrainy oraz ich gęste zaludnienie (gub. podolska 92·7 na wiorstę □, kijowska 91, wołyńska 54·6, wiorsta □ = 113·8 ha) podniosły tam do znacznych rozmiarów ceny ziemi, jest ona jednak w gub. wołyńskiej i kijowskiej tańszą niż w gub. lubelskiej. Ostatnia posiada bowiem ludność rolną nie rzadszą jak Ukraina, a przytem ludność ta odznacza się większą energią gospodarczą, skierowaną na kupno ziemi. W wielu guberniach Królestwa, np. w kaliskiej, cenę ziemi wyśrubowuje gęste zaludnienie (94·3 na w. □), oraz emigracya zarobkowa chłopów, dostarczająca pieniędzy na kupno gruntów. Wobec tego naturalną byłoby rzeczą przesiedlenie się ludności z Królestwa na Litwę i Ruś.



Fig. 331. Z wystawy rolniczej w Poniewieżu. Koń rasy belgijskiej z Wysokiego Dworu.

Jakkolwiek 3 gubernie południowe są półtora, 6 gubernij północnych 2½ razy większe od Królestwa, całkiem inaczej przedstawia się jednak stosunek pól uprawnych i zbiorów tych krajów.

Pola obsiane oziminą i zbożem jarem od r. 1894—1904:

W Królestwie	3,077.539	dziesięcin	187,892.700
w 6 gub. północnych	4,064.500	»	157,133.800
w 3 gub. południowych	4,431.300	»	274,474.300

Gubernie litewsko-białoruskie nie są naogół mniej urodzajne od Królestwa, na znacznie jednak większej przestrzeni uprawiają mniejszą ilość zbóż i mają gorsze zbiory. Zaludnieniem dorównywując niemal Królestwu, wytwarzają na głowę mniej zboża niż ostatnie. Gdy w Królestwie wypada na głowę 15 pudów (pud = 16.38 kilo), w 6 północnych tylko 13½. Potrzebnem jest dla Litwy i Rusi podniesienie ich uprawy rolnej przez nową płonkę kolonizacyi polskiej, wnoszącej wyższą kulturę rolną.

Na słaby rozwój rolnictwa Litwy i Rusi wpływa słaby rozwój prze-

mysłu. Przemysł dostarcza bowiem nie tylko zbytu na produkty rolne, ale oraz sił technicznych i handlowych, które następnie podnoszą rolnictwo.

Rozwój rolnictwa i przemysłu z niem związanego w trudnych na Litwie i Białej Rusi jest warunkach. Tylko dzięki nader urodzajnej glebie kresów południowych i wogóle ich warunkom przyrodzonym zajmują one tak w rolnictwie jak w przemyśle rolnym pierwszorzędne w całem państwie stanowisko.

Pomimo jednak wyjątkowo urodzajnej gleby dają kresy południowe mniejszy stosunkowo urodzaj buraków niż Królestwo.

Gub. kresów południ.	pudów na dziesięcinę 1901 r.	1900
Wołyńska	850	980
Kijowska	920	730
Podolska	940	790
Gub. Królestwa		
Warszawska	1480	920
Kaliska	1840	1130
Kielecka	1240	1120
Łomżyńska	1540	1270
Lubelska	1240	1090
Piotrkowska	1000	750
Płocka	1600	1070
Radomska	1350	1210
Siedlecka	900	850

W r. 1901. zasiano buraków w gub. południowych 292.706 dziesięcin, niemal więc o $^1/_3$ mniej niż w Królestwie, gdzie pod burakami było 328 828 dziesięcin. Liczba cukrowni w guberniach południowych wynosiła 140 z produkcyą cukru 33,263.000 pudów (rachując bez akcyzy po 4 ruble pud) wartości 133 mil. rb. W tym samym czasie 51 cukrowni Królestwa wyprodukowało pudów 11,108.000, czyli produkcya cukrownicza Królestwa wynosiła mniej więcej trzecią część produkcyi kresów południowych. O olbrzymiem znaczeniu cukro-



Fig. 332. Z wystawy rolniczej w Kownie. Krowa czystej rasy holenderskiej jako typ najbardziej rozpowszechniony we większych majątkach w Kowieńskiem.

wnictwa na kresach południowych stanowi jeszcze ta okoliczność, że jest ono przemysłem opartym na miejscowym materyale surowym. Uprawa buraków przedłuża sezon pracy rolnej i daje znaczne zarobki włościanom. Dziesięcina pod burakami, należąca do wielkiej własności, daje włościaninowi do 50 rubli, a więc znacznie więcej, niż dziesięcina jego własnego gruntu pod kulturą zbożową.

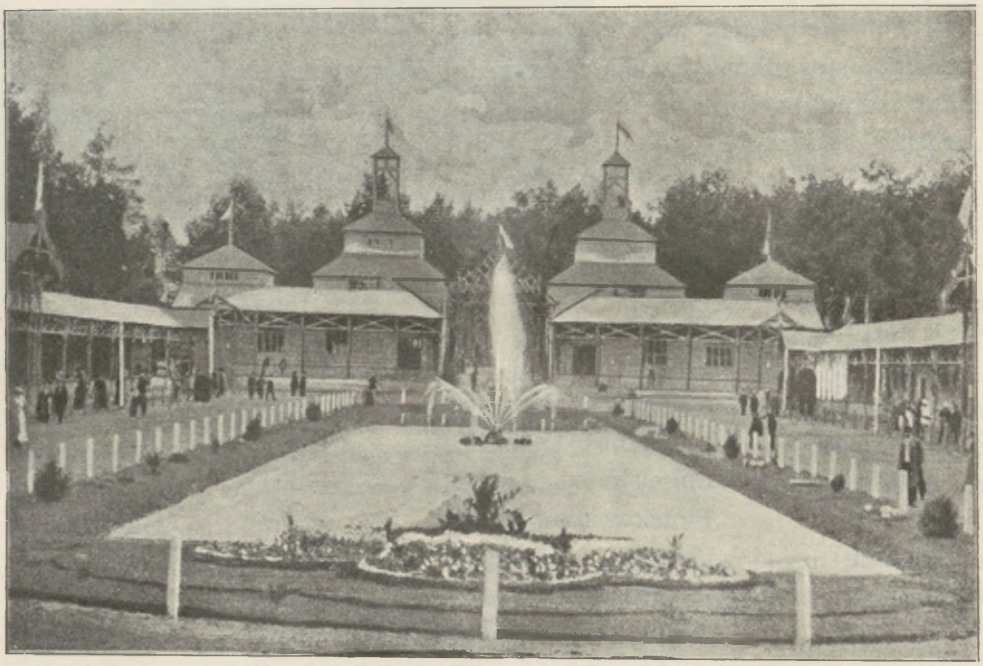

Fig. 333. Wystawa w Dźwińsku w Witebskiem. Pawilony przemysłu i rękodzieł.

Cukrownictwo na kresach południowych posiada dla nas znaczenie narodowe, gałąź ta produkcyi krajowej spoczywa przeważnie w rękach polskich, nie tylko bowiem większość cukrowni należy do Polaków, ale Polacy przeważają także wśród techników i ukwalifikowanych robotników.

Drugą ważną gałęzią przemysłu, związanego z rolnictwem, jest gorzelnictwo. Gdy nie spotykamy wcale cukrowni w 6 guberniach litewsko-białoruskich, gorzelnie i browary stanowią tam ze względu na rozmiary produkcyi główną gałęź przemysłu. Odgrywają one również rolę wybitną w życiu gospodarczem kresów południowych.

Produkcya wódki r. 1903. wynosiła w całem państwie 72.893.670 wia-

der (wódki t. zw. 40-stopniowej). Z tego na produkcyę 6 gub. litewsko-białoruskich przypadało 9.034.490 w., kresów południowych 8,847.752 w., a Królestwa 7,327.950 w.

Produkcya okowity przechodzi na Litwie i Rusi znacznie jej spożycie, znaczna zaś część idzie do Rosyi właściwej, trzymającej w państwie prym w konsumcyi wódki. Sprzedaż wyskoku stanowi w Rosyi monopol państwa, rząd więc rozstrzyga, gdzie i ile ma być wywiezione wódki, wywóz więc jej do poszczególnych miejscowości ulega znacznym wahaniom. Wywóz np. wódki z Litwy i Białej Rusi za granicę chwiał się w ciągu dzie-

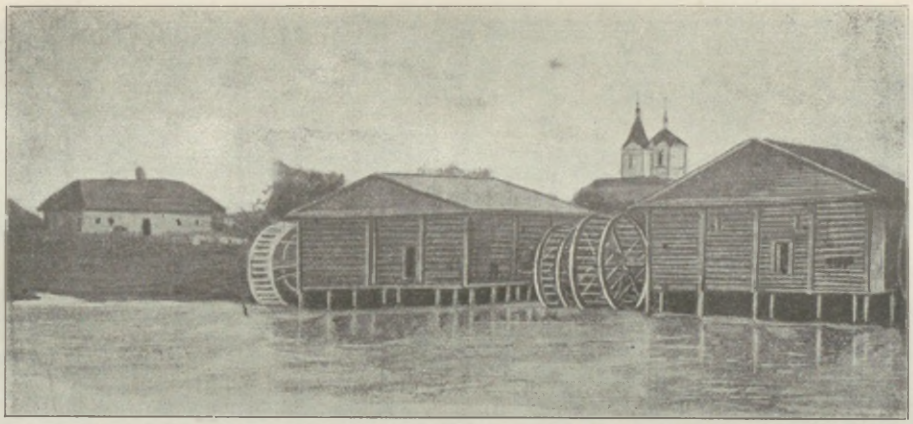

Fig. 334. Młyny na Rusi.

sięciolecia 1893—1903 r. między 102.000 wiader a zerem. Z gub. południowych od 580.500 (w 1893 r.) do 1,750.800 (w 1898 r.).

Wywóz wódki stanowi pierwszorzędną pozycyę w gospodarstwie handlowem 6 gub. północnych, a ważną pozycyę dla 3 gub. południowych. W r. 1902. sześć gubernij półn. liczyło 500 gorzelni (najmniej 16 kowieńska, najwięcej 113 mohylewska), w których pracowało 3901 robotników płci obojga. Trzy gubernie południ. miały 251 gorzelni o 3198 robotnikach.

Przemysłu tego, tak bardzo zależnego od rządu, nie uznajemy za pewny, jest on nawet pod względem politycznym wobec monopolu państwowego niebezpieczny. Względny rozwój jego na Litwie i Rusi tłumaczyć się daje warunkami historycznymi. Doszedł on znacznych rozmiarów przed wprowadzeniem monopolu rządowego.

Produkcya piwa nie doszła na Litwie i Rusi do znacznych rozmiarów. Sześć gubernij półn liczyło w 1902. r. 101, trzy południowe 72 bro-

warów, pierwsze zatrudniały 1059, drugie 1009 robotników, gdy Królestwo w 1902. r. liczyło 354 browarów o 2205 robotnikach.

Jak stosunkowo znaczną jest na Litwie i Rusi produkcya napojów wyskokowych, ocenić można przy zestawieniu: oto przeciętna produkcya fabryczna w gub. wileńskiej wynosiła od 1896—1906 rocznie 13,351,220, na produkcyę zaś napojów wyskokowych przypadało z tego 2,904.176, przeszło więc 20%. Dawniej stosunek ten był jeszcze wyższy. W r. 1880. na 2,546.037 rb produkcyi fabrycznej przypadało na produkcyę wódczaną 990.740, piwną 570.473 czyli razem 1,561.213 rb. W gub. mińskiej w 1887. aż 71,5%.



Fig. 335. Tartaki i garbarnie w Łukiszkach pod Wilnem.

Młynarstwo, jedna z głównych gałęzi przemysłu, zapisana w statystyce rosyjskiej jako przetwory materyałów spożywczych, jest słabo rozwinięte w sześciu guberniach litewsko-białoruskich. Cały przemysł przetworów spożywczych, a więc prócz wyrobu mąki i kaszy produkcya krochmalu, makaronów, wypiek chleba i ciasta, produkcya serów, konserwy mięsne i owocowe w r. 1904. wyrażał się dla 9 gubernij półn. w sumie 4,698.700 rb. (najmniej gub. mińska 448.200, najwięcej kowieńska 1,225.500).

Względnie większy rozwój dostrzegamy w 3 guberniach południ. — 12,814.900 rb., ale i tu przemysł ten jest nikły w porównaniu do produkcyi nie tylko gub. saratowskiej, wynoszącej 34.6 mil. rb., lecz samarskiej z prze-

tworem produktów spożywczych za 14.9 mil. (jest to niemal wyłącznie produkcya mąki).

Wobec obfitości lasów na Litwie przemysł drzewny ma tam wiele szans powodzenia.

W r. 1904. istniało w 6 guberniach litewsko-białoruskich 127 zakładów, przerabiających drzewa za 5,196.680 rb. i zatrudniających 3966 robotników (najwyżej stała pod tym względem gub. mińska: 44 zakładów o 1755 robotnikach i 2,760.770 rb. produkcyi, najniżej kowieńska: 22 zakładów, 330 robotników i 306.130 rb.

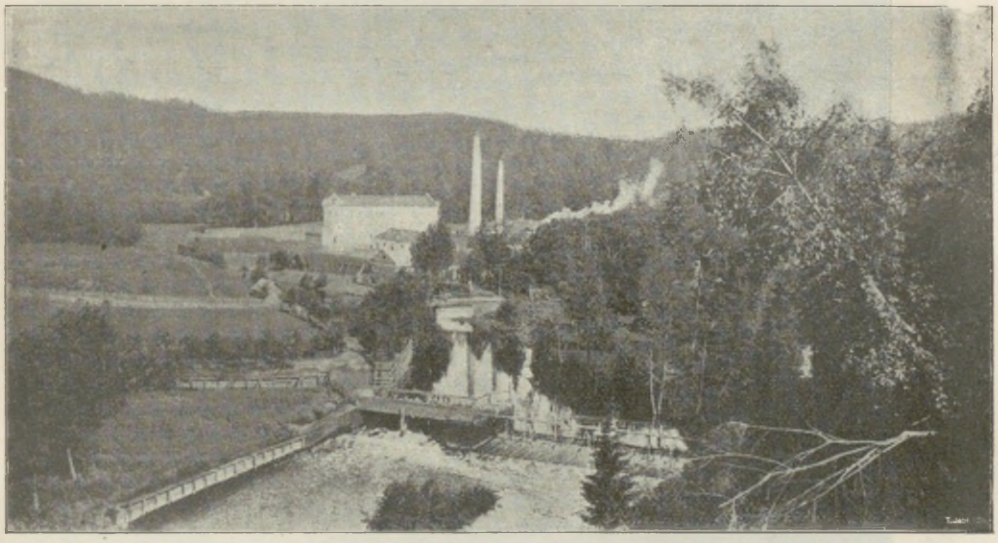

Fig. 336. Papiernia w Kuczkuryszkach pod Wilnem.

Brak lasów uniemożliwia znaczny rozwój przemysłu drzewnego w kraju południowym, a jednak stoi on nie o wiele niżej na Ukrainie jak na Litwie, gubernie bowiem wołyńska i kijowska (każda powyżej 1 mil. rb.) przewyższają wszystkie północne oprócz gub. mińskiej, a samo tylko Podole daje cyfrę istotnie bardzo nizką (84.830 rb. produkcyi, 2 zakłady o 34 robotnikach).

W ścisłym pozostają związku z przemysłem drzewnym papiernie, oparte dziś na materyale drzewnym i są naturalnym towarzyszem tego przemysłu.

Cała Litwa i Ruś (9 gubernij) posiadają razem 146 papierni o 8096

robotników, z produkcyą w sumie 8,623.600 rb. Najwyższe cyfry spotykamy w gub. kijowskiej (2,476.700 rb. produkcyi, 32 papierni i 3065 robotników),

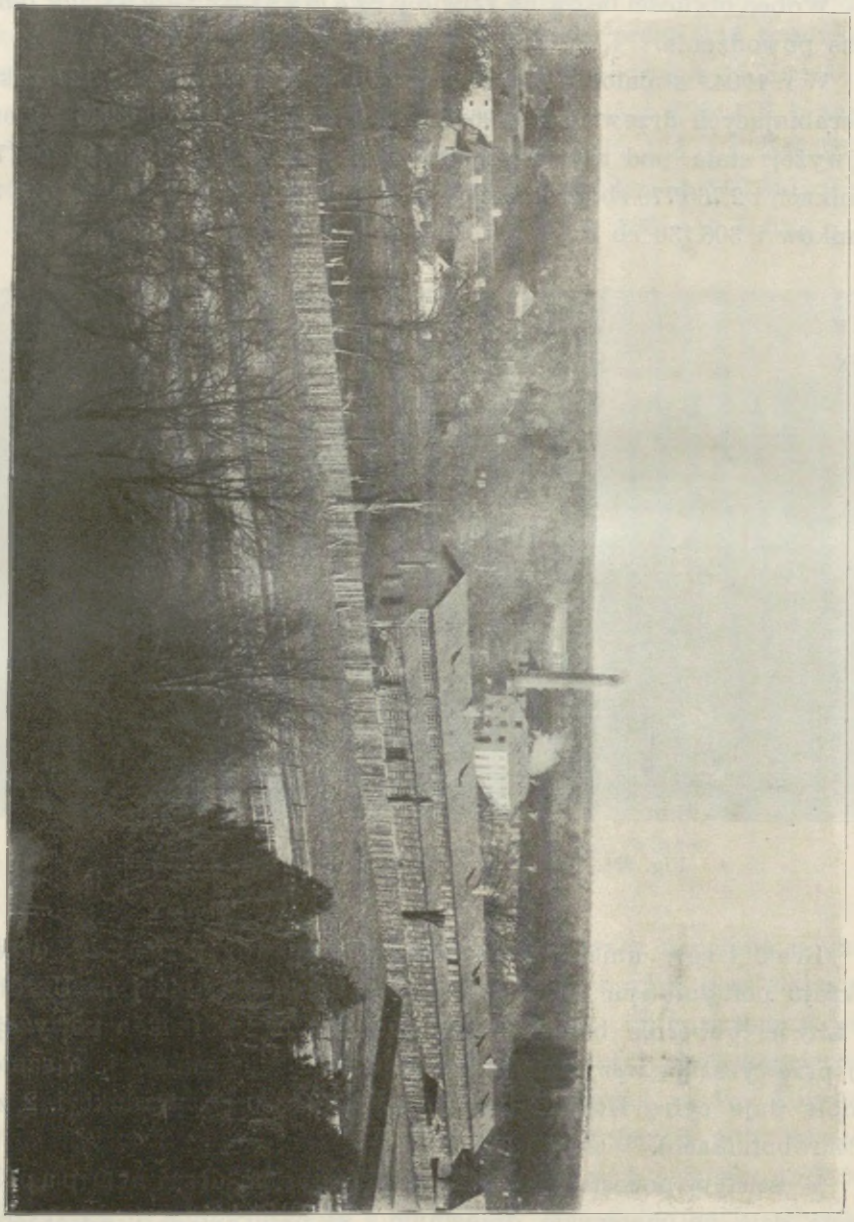

Fig. 337. Widok fabryki sukna ks. Sanguszki w Slawucie.

najniższe w podolskiej (36.000 rb., 1 papiernia, 56 robotników). W guberniach litewsko-białoruskich cyfry wahają się między 68 tys rb. w gub.

kowieńskiej a 1,727.900 w mohylewskiej. Względnie znaczny rozwój papierni na Wołyniu i na Ukrainie daje się wytłómaczyć zapotrzebowaniem

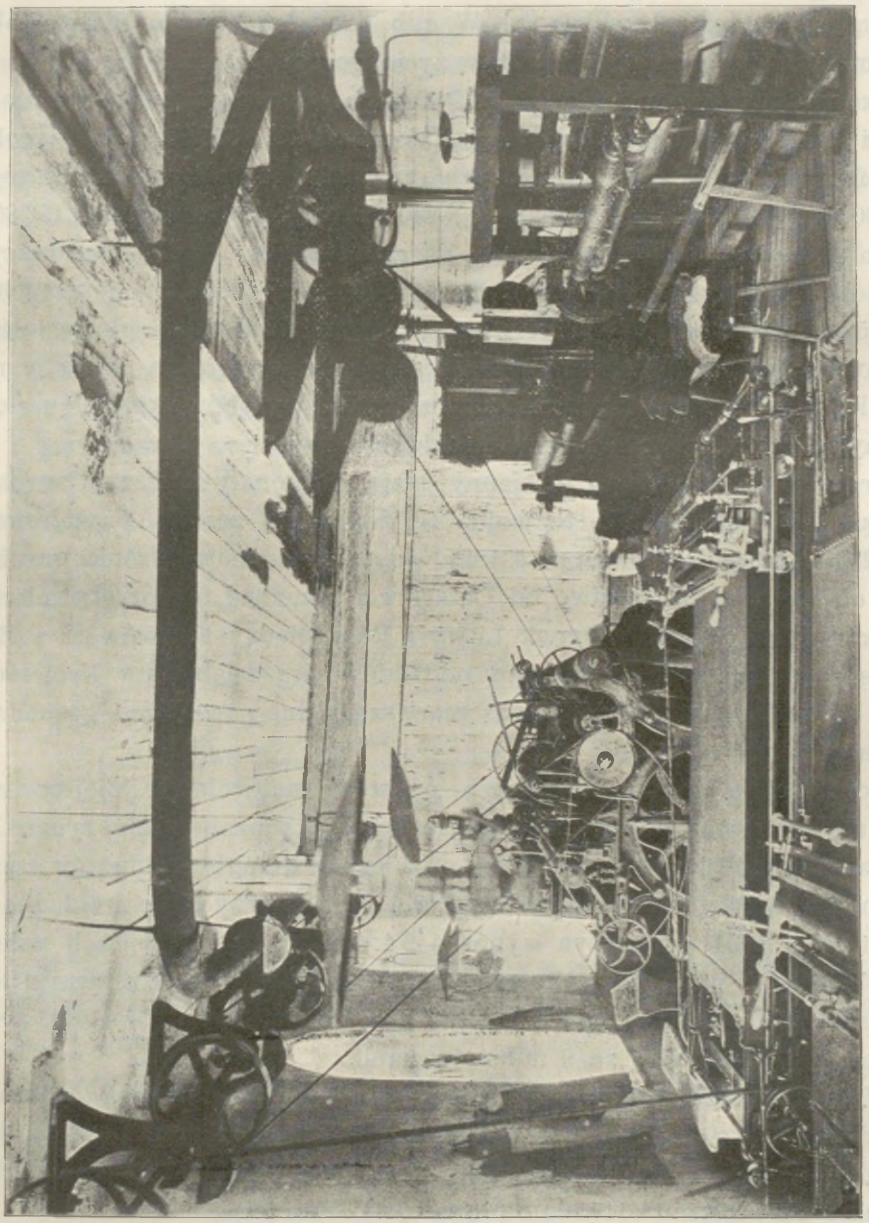

Fig. 338. Postrzygalnia w fabryce sukna ks. Sanguszki w Sławucie.

papieru w cukrowniach. Podole, nie posiadające niemal przemysłu drzewnego, nie mogło rozwinąć produkcyi papieru.

Nie doszedł również znacznego rozwoju przemysł tkacki. Jego gałęź nowożytną, przemysł bawełniany, spotykamy tylko w bardzo nikłej produkcyi w gub. wileńskiej (158.400 rb.) i witebskiej (5000 rb.). Daleko lepiej rozwinął się przemysł wełniany. W gub. grodzieńskiej, w Białymstoku zwłaszcza, odgrywa on główną rolę w życiu gospodarczem. Poza gub. grodzieńską jednak, produkującą za 5,494.900 rb., w pozostałych guberniach Litwy i Rusi produkcya roczna dochodzi razem do 6,667.900 rb. Wyroby lniane fabryk obu prowincyi dochodzą sumy 2,935.448 rb. (r. 1904.), z czego 2,615.400 przypada na gub. mińską. Nakoniec wyroby mieszane 4,156.800, z czego przeszło 3 miliony przypada na gub. mińską. Ogółem produkcya tkacka Litwy i Rusi, kraju o 20 milionach ludności (1904. r.) nie przechodziła 15 mil. rb. rocznie, wynosi więc przeciętnie 75 kop. na głowę. Stąd pomimo bardzo rozpowszechnionego tkactwa domowego, na potrzeby rodziny, kraje te muszą sprowadzać znaczną ilość wyrobów tkackich z ziem ościennych: z Królestwa i okręgu moskiewskiego.

Przemysł sukienniczy i płócienny mają doskonały materyał surowy w kraju i posiadają widoki rozwoju. Sukiennictwo zostało przeniesione do Białegostoku z Królestwa po r. 1831., gdy wobec podwyższenia granicy celnej, oddzielającej Królestwo od Cesarstwa, przemysł ten przeżywał ciężkie przesilenie. Walka o rynek Litwy i Rusi między Królestwem a Moskwą sprowadzić może tworzenie oddziałów przedsiębiorstw Królestwa w tych krajach, co miałoby dla nas pierwszorzędne narodowe i gospodarcze znaczenie.

Do gałęzi przemysłu, mających podstawy naturalne w miejscowym materyale surowym, należy przemysł garbarski, związane z nim rymarski, siodlarski i wogóle wyroby ze skóry, oraz przetwarzanie produktów zwierzęcych. Przemysł ten doszedł w 6 guberniach północnych do względnego rozwoju, w r. 1904. produkcya wynosiła 9.4 mil. rb. (najwięcej gub. wileńska 3,877.300 rb., najmniej mohylewska 649.200). O ile jednak przemysł ten wyżej stoi w Królestwie, sądzić można z tego, że sama tylko gub. warszawska wyprodukowała za 9 milionów rubli.

W kraju południowym dość znaczną produkcyę garbarską posiada gubernia kijowska (powyżej 1.6 mil. rb.), spotykamy tam w pow. berdyczowskim wielkie garbarnie Szlenkiera. Poza tem przemysł garbarski dostrzegamy na Wołyniu (347.500 rb. produkcyi rocznej).

Przemysł garbarski Litwy i Rusi znajduje się w pewnym związku z przemysłem Królestwa. We wszystkich większych garbarniach chrześci-

jańskich przeważają robotnicy Polacy. Wśród majstrów jest wielu Królewiaków.

Musimy uwzględnić przemysł żelazny i wogóle metalowy, pomimo skromnych jego na Litwie i Rusi rozmiarów, gdyż istnienie jego i rozwój wiąże się nierozerwalnie z innemi gałęziami przemysłu: muszą istnieć na miejscu warstaty reperacyjne, narzędzia, aparaty, mechanizmy do zmiany uszkodzonych części maszyn. Brak żelaza i węgla w kraju, będący wogóle przeszkodą zasadniczą w jego uprzemysłowieniu, stoi na zawadzie pomyślnemu rozwojowi tej gałęzi produkcyi.

W najbardziej przemysłowych guberniach dochodzi on zaledwie do 3,520.000 rb. (gub. kijowska), 1.252.000 (wileńska), spada do 307,000 (grodzieńska) i do 193.700 rb. (Podole) w mniej przemysłowych. Jest więc bardzo nikły w porównaniu do produkcyi np. gub. piotrkowskiej (20,8 mil. rb.) lub warszawskiej (30,3 mil. rb.).

Statystyka rosyjska rozróżnia dwa działy przemysłu: obłożony podatkami pośrednimi, akcyzą, jak produkcya wódki, cukru, tytoniu, zapałek, i wolny od podatków pośrednich przemysł żelazny, tkacki, skórzany. Produkcya tej drugiej kategoryi przedstawia się w 6 guberniach litewsko-białoruskich jak następuje:

	Rocznie rb.	Ludności
Gub. wileńska	10,563.330	1,770.000
» grodzieńska	9,597.840	1,768.000
» kowieńska	6,358.470	1,660.000
» mińska	5,358.470	2,492.000
» witebska	4,306,030	1,668.000
» mohylewska	4,358.480	1,954 000
Ogółem	40,542.620	11,312.000

Wypada więc produkcyi przemysłowej w 6 guberniach litewsko-białoruskich po $2\frac{1}{2}$ rb. na głowę (w gub. wileńskiej i grodzieńskiej dochodzi 5 rb. na głowę).

Gubernie południowe posiadają znaczniejszą produkcyę:

	Rocznie rb.	Przy ludności
Gub. wołyńska	7,952.330	3,440.000
» kijowska	20,507.130	4,075 000
» podolska	5 008 140	3,424 000
Ogółem	33,467.600	10.939.000

Nie licząc więc przemysłu wódczanego i cukrownianego, produkcya przemysłowa w 3 guberniach południ. wynosi na głowę 3 rb. Gdy zaś dodamy produkcyę napojów wyskokowych, otrzymamy około 60 mil. rb. na produkcyę 6 gubernii północnych, a 70 blizko na 3 południowe.

Dostrzec można znaczny udział ludności polskiej w przemyśle Litwy i Rusi. Rzecz to zrozumiała: przeszło połowa wielkiej własności ziemskiej jest tam w rękach polskich, a ponieważ rosyjscy obywatele ziemscy przeważnie w kraju nie mieszkają i głównym przemysłem ich jest wyzyskanie i niszczenie tanio nabytych dóbr, przemysł więc, związany z rolnictwem, reprezentowany być musi przez Polaków najczęściej.

W 6 guberniach półn. Żydzi posiadają 51% przedsiębiorstw fabrycznych, ale produkcya ich wynosi 47·6% produkcyi przemysłowej kraju. W guberniach południowych przedsiębiorstwa żydowskie są również względnie mniejsze od chrześcijańskich. Na Wołyniu Żydzi posiadają 45·9% ogółu przedsiębiorstw z produkcyą wynoszącą 30·7% ogółu produkcyi przemysłowej; na Ukrainie 35% i 34·1%, na Podolu 21·3% i 8·2%.

Podług dat z 1897. r. stosunek zakładów przemysłowych żydowskich do chrześcijańskich w 6 guberniach litewsko-białoruskich tak się przedstawia:

Rodzaj produkcyi	Zakłady przemysłowe chrześcijańskie	żydowskie
Przetwory ziarna	6,159.100	14,831.900
Przemysł włóknisty	7,984 400	7,264.700
Przetwory produktów zwierzęcych	1,609.800	5,097.900
Przemysł drzewny	1,755.600	4,439.300
» metalowy	3,999.000	1,070.200
» papierowy	2,643.600	1,266.400
Przetwory minerałów	2,333.500	1,431.800
Produkcya środków spożywczych	137.700	399,300

Powyższe przedstawienie rzeczy tyczy się przemysłu fabrycznego. Poza nim wiele rąk zatrudniają na Litwie i Rusi r z e m i o s ł a. Tu ilościowo górują Żydzi. W 6 guberniach północnych zaregestrowano 500.986 rzemieślników Żydów, z tego na majstrów przypada 259.396, na czeladników 140.528, na uczniów 101.062. Cyfry rzemieślników chrześcijan nie posiadamy dla całego kraju. W gub. mohylewskiej w 1880. r. pracowało w rzemiosłach 4290 Żydów czyli 78% ogółu 5509 majstrów, w witebskiej

2111 Żydów czyli także 78% 2972 majstrów, w grodzieńskiej w 1897. r pracowało 16.726 chrześcijan i 26·518 Żydów czyli 67%.

W rzemiosłach kraju południowego również przewagę liczebną posiadają Żydzi, Wołyń liczy 36.964, Ukraina 43.386, Podole 40.621 rzemieślników Żydów (stanowiło to 15·3%; 16·1%; 12·7% w stosunku do żydowskiej ludności kraju, oraz 36%; 37%; 29% w stosunku do dorosłej męskiej ludności żydowskiej).

Zarówno chrześcijańskie jak żydowskie warstaty rzemieślnicze są na Litwie i Rusi nikłe, np. 70·4% warstatów żydowskich i 74% chrześcijańskich w gub. witebskiej obywało się bez czeladników, 19% żydowskich i 15% chrześcijańskich miało po jednym czeladniku.

Olbrzymia większość tak żydowskich jak chrześcijańskich warstatów na Litwie i Rusi zawdzięcza istnienie swym właścicielom współczesnym. Warstaty przechodziły z rąk do rąk drogą dziedziczenia dość rzadko, częściej u chrześcijan niż u Żydów, jeszcze rzadziej drogą kupna (u chrześcijan 1·3%, u żydów 0·3%). Niemal z reguły warstaty rzemieślnicze na Litwie i Rusi posiadają wartość zbyt nieznaczną, aby stać się mogły przedmiotem tranzakcyi gospodarczej, t. j. przechodziły przez kupno w inne ręce.

Rzemieślnicy, zwłaszcza Żydzi, na Litwie i Rusi mają bardzo liche przygotowanie; w gub. witebskiej np. spotykamy wśród majstrów Żydów 6% samouków. Nie o wiele więcej umieją ci, co przechodzili okres terminowania. Na 3000 z górą majstrów i podmajstrzych w gub. witebskiej 3 tylko pobierało naukę w szkole rzemieślniczej. Nauka rzemiosł u Żydów jest gorzej zorganizowana i trwa krócej niż w warstatach chrześcijańskich (3—2 lat trwa w Witebskiem nauka ślusarzy u Żydów, 5 lat najmniej u tamecznych Niemców). Żydzi majstrowie biorą od ucznia 25 rb. za 2 lata, Niemcy po 25 rb. rocznie w ciągu lat 5, albo po 12 rb. mies., jeżeli uczniowie stołują się u nich.

Żydzi nie należeli do cechów, które były praktyczną szkołą rzemiosł, ich lichsza robota robiła konkurencyę rzemieślnikom polskim. Szlachta, która wskutek swej niezamożności nie mogła nabywać dobrych wyrobów cechowych, była naogół przeciwniczką cechów, tak wielokrotnie w Polsce znoszonych. Ułatwiało to rozplenianie się »partactwa żydowskiego«. Nizki poziom techniczny rzemiosł u Żydów obniżył naogół poziom rzemiosł w Polsce.

Na Białej Rusi dostrzegamy wielkie przeludnienie w rzemiosłach, zwłaszcza w krawiecczyźnie, w takim Połocku np. przypada 1 krawiec

(licząc czeladników, uczni oraz szwaczki) na 20 mieszkańców mieściny. Wogóle w miasteczkach jest ich względnie więcej niż w miastach o bardziej rozwiniętym handlu i przemyśle, w Dynaburgu np. widzimy 1 krawca na 60 mieszkańców. W małych mieścinach Żydzi krawcy, nie mogąc wyżyć ze swego rzemiosła, zajmują się przeważnie handlem.

Rzemieślnikom Litwy i Rusi, wytwarzającym liche wyroby masowego użytku, czynią znaczną konkurencyę warstaty mechaniczne lub rzemiosła, zorganizowane przez kapitalistę, dającego im zamówienia i poszukującego rozleglejszych rynków zbytu.

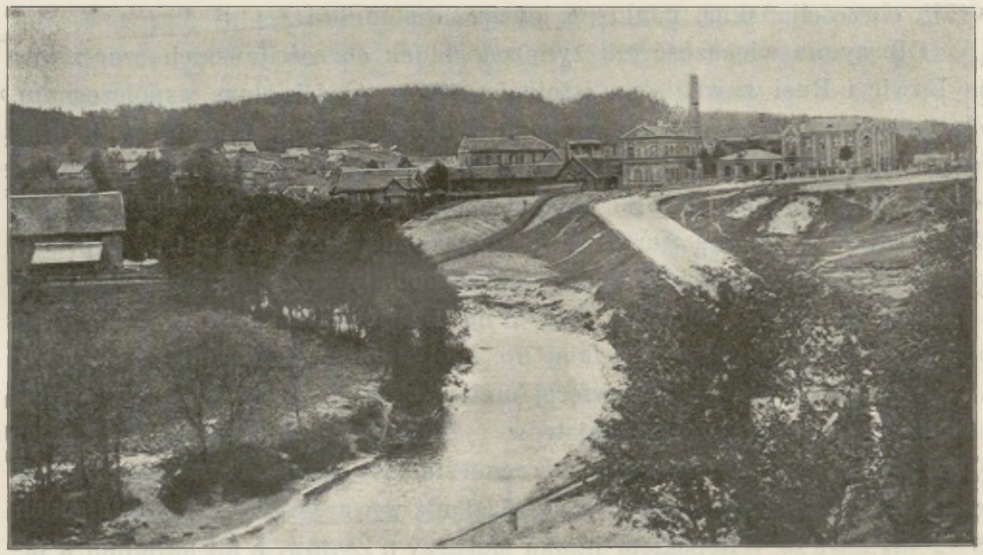

Fig. 339. Polska fabryka haftów (Mozera) w Wilejce pod Wilnem.

Słabe pod względem kapitalizmu Litwa i Ruś z trudnością dochodzą do większych zakładów przemysłowych, nie mogąc sprostać konkurencyi krajów bardziej rozwiniętych gospodarczo.

Wspomnieliśmy, że rzemiosła żydowskie stoją niżej od chrześcijańskich pod względem technicznym. A ponieważ w walce ekonomicznej jak wogóle w walce o byt zwyciężają nie formy doskonalsze, lecz te, które są najbardziej przystosowane do warunków zewnętrznych, lichsze więc, ale tańsze wyroby żydowskie wypychają częstokroć lepsze, ale drogie wyroby chrześcijańskie. W Witebsku np. Niemcy ślusarze musieli wyjechać lub przejść do innych gałęzi pracy, gdyż oprócz niebezpiecznej konkurencyi warsta-

tów mechanicznych uniemożliwiała im istnienie konkurencya warstatów żydowskich, obniżających nieraz o połowę wynagrodzenie za pracę. Robotnik i rzemieślnik żydowski, jak kulisi w Ameryce, obniżają zarobki robotnikom chrześcijańskim. Występuje to z całą jaskrawością na Litwie i Rusi.

Agitacya socyalistycznego żydowskiego Bundu zjednoczyła w ostatniem 5-leciu robotników i czeladników żydowskich do walki o lepsze warunki bytu, ale zdobycie warunków istotnie ludzkiego bytu uniemożliwionem jest przez fatalny stan przemysłowy kraju; następuje więc znowu fala



Fig. 340. Żydzi garbarze w Witebskiem.

emigracyi żydowskiej. Wobec takiego stanu palącą jest wprost dla Litwy i Rusi sprawa zniesienia granicy osiadłości żydowskiej [1]).

Potrzebom zamożniejszej publiczności w zakresie szewstwa, krawiectwa, stolarstwa i t. d. czynią zadość rzemieślnicy bardziej ukwalifikowani, zwłaszcza po większych miastach. Wśród takich rzemieślników spotykamy przybyszy z Królestwa. Przynoszą oni wyższą kulturę rzemieślniczą i są jedynym czynnikiem, podnoszącym technicznie rzemiosła na Litwie i Rusi.

Złe warunki rozwoju rzemiosł w tych prowincyach uniemożliwiają

[1]) Rząd rosyjski po zaborze ziem polskich zakazał Żydom mieszkającym na obszarze b. Rzplitej przesiedlać się do Rosyi, wyjątek stanowiły kresy południowe państwa, chodziło bowiem o ich zaludnienie. Obecnie wolno Żydom mieszkać w 10 guberniach Królestwa, w 9 gub. Litwy i Rusi oraz w 6 gub. czarnomorskich.

im wyłonienie z siebie form produkcyi, będących ogniwem przejściowem między rzemiosłem a wielkim przemysłem.

Obok przeludnienia w rzemiosłach przy nizkim ich stanie spotykamy na Litwie i Rusi zjawisko dobrze znane tak w Galicyi jak w Królestwie: przeludnienie w handlu, wobec tego, że jest on głównem zajęciem licznej tam bardzo ludności żydowskiej. Żydzi stanowią na Litwie i Rusi znaczniejszy procent niż w Galicyi, a mianowicie:



Fig. 341. Jarmark w Smoleńsku.

Gub.	grodzieńska	17.28%	Gub.	mohylewska	11.6%
»	mińska	15.77%	»	kijowska	15.77%
»	kowieńska	13.71%	»	wołyńska	13.3%
»	wileńska	12%	»	podolska	12.1%
»	witebska	11.8%			

Znaczna część Żydów zajmuje się handlem. Stąd 6 gubernii półn. posiada 12.8 handlujących na tysiąc mieszkańców, 3 południowe 15.6, gdy

na tym samym poziomie stojące prowincye rosyjskie południowo-wołżańskie 5.9, północno-wołżańskie 8.9. Tylko Królestwo polskie ze swym znacznym procentem ludności żydowskiej (14%) ma względnie liczniejszą cyfrę osób zatrudnionych w handlu, bo 16.6 na tysiąc. Ale Królestwo jako bardziej rozwinięte pod względem produkcyi mniej jest przeludnione w handlu od gubernii południowych, a tem bardziej od północnych.



Fig. 342. Gmach Towarzystwa rolniczego w Mińsku.

Przeludnienie w handlu na ziemiach dawnej Rzplitej czyni to zajęcie mało zyskownem naogół. Domokrążca jest u nas proletaryuszem handlowym, szanse jego przejścia do wyższej kategoryi handlowej — stania się sklepikarzem — niewielkie. Sklepikarz z trudnością stać się może kupcem, a kupiec grosistą-hurtownikiem. Wielki handel, znający dobrze rynek zbytu, wyłania najwięcej kapitału przemysłowego. U nas zaś kapitał handlowy słabo przeobraża się w kapitał przemysłowy. Przemysł Królestwa rozwinął się w znacznej mierze na obcych kapitałach. Przemysł, związany z rolnictwem na Litwie i Rusi, rozwinął się przeważnie ze skapitalizowanej renty gruntowej, inne gałęzi przemysłu z kapitału handlowego, przeważnie

miejscowego; ich słaby rozwój tłumaczy się słabym rozwojem kapitału handlowego w kraju.

Wprowadzenie kapitału z Królestwa, działającego dziś na Litwie i Rusi w formie kredytu towarowego, udzielanego kupcom tamecznym przez hurtowników i przemysłowców Królestwa już dziś dostrzedz się daje w guberniach wileńskiej i grodzieńskiej. Sądzimy, że dojdzie znaczniejszych rozmiarów w przyszłości.

Wprowadzenie kapitałów zagranicznych mogłoby być znacznem na Litwie i Rusi, gdyby nie ciążyło nad krajem prawo cywilne rosyjskie, nie znające współczesnych hipotek.



Fig. 343. Nowo wzniesiony gmach Spółki rolnej w Kownie.

Rozwój życia gospodarczego byłby szybszy, gdyby dwa najzasobniejsze w środki materyalne żywioły miejscowe, Polacy i Żydzi, nie byli skrępowani prawami wyjątkowemi w nabywaniu nieruchomości na wsi. Żydzi są prawa tego pozbawieni po dziś dzień, Polacy byli go pozbawieni w ciągu lat 40, dziś mają prawo nabywania dóbr tylko od Polaków.

W rezultacie Litwa i Ruś pozostają krajami zacofanymi gospodarczo. Charakteryzują je względnie mały procent ludności miejskiej i brak wielkich miast. Największe z miast kraju południowego, Kijów, liczy 200 tys. mieszkańców, kraju północnego Wilno 160 tys. Sześć gubernii północnych liczy 12.9% ludności miejskiej, trzy południowe 10.5%, podczas gdy Królestwo 30%.

Liczba osób pobierających z domu w mieście powyżej tysiąca rb. rocznie wynosi w guberniach półn. 2667, dochód przeciętny na osobę 2569.

W 3 południowych jest takich właścicieli 3614 z dochodem przeciętnym 3000 rb., w Królestwie natomiast 7523 z dochodem przeciętnym 4652 rb. Cyfry te dowodzą, że miasta litewsko-białoruskie są znacznie uboższe nie tylko od miast Królestwa, lecz i kraju południowego.

Dochód z przemysłu i handlu od przedsiębiorstw, dających powyżej 1000 rb., wynosi w 6 guberniach północnych 22.3 mil., w południowych 42.8 mil., w Królestwie 65.1 mil. Dla 50 gubernii Rosyi europejskiej z ludnością 100 mil. dochód ten wynosi 531.3 mil., przeszło więc 20 razy więcej, niż w 6 guberniach półn., jakkolwiek ludnością nie przewyższa Rosya kraju tego nawet dziesięciokrotnie.

W 6 guberniach północnych własność ziemska poza ziemią chłopską wynosi 12.7 mil. dziesięcin z dochodem 42.4 mil. rb., w 3 południowych ziemi takiej jest 6.6 mil. dziesięcin z dochodem 46.6 mil. rb., w Królestwie 5.4 mil. dziesięcin z dochodem 37.2. Gdy więc w Królestwie dochód miejski (z domu i z przemysłu) przewyższa dochody wiejskie, na Litwie i Rusi ziemia daje przeszło połowę dochodu kapitalistycznego. Więcej niż połowa tej ziemi pozostała mimo burz i nawałnic w rękach polskich. Ten fakt nadaje Litwie i Rusi ważne znaczenie w naszej gospodarce narodowej. Wspominaliśmy już, że uprzemysłowienie tych krajów przyjść może z Królestwa, jeżeli nie z polskim kapitałem, to z robotnikiem polskim. Jak przemysł Królestwa miał zaczyn i zabarwienie niemieckie, tak przemysł Litwy i Rusi może mieć zaczyn i zabarwienie polskie.

Rzemiosła tych krajów podnoszą już przedstawiciele wyższej kultury rękodzielniczej, rzemieślnicy z Królestwa.

Wreszcie kolonizacya rolna z Królestwa przyniosłaby do kraju wyższą uprawę, zaznajomiłaby mieszkańców z bardziej natężoną kulturą rolną, wzbogacając przez to ich ziemię.

W ciągu lat 40 Litwa i Ruś pozbawione były pracy polskiej, polskich stowarzyszeń naukowych i oświatowych. Gazetom polskim w Królestwie nie pozwalano pisać o współczesnej Litwie i Rusi. To wszystko zacierało w świadomości naszej interesy nasze, związane z tymi krajami, stawały się one dla nas niby obce.

Dokładne poznanie Litwy i Rusi ważnem jest dla naszej pracy gospodarczej i narodowej. Poznanie to jest tem trudniejsze, że dotąd nie posiadaliśmy ani jednej dobrej książki o stosunkach gospodarczych Litwy i Rusi.

Władysław Studnicki.

STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE
W WIELKIEM KSIĘSTWIE POZNAŃSKIEM.

Przy opisie całej Polski opis W. Ks. Poznańskiego niepoślednie zająć winien miejsce, skoro ma w sobie zawierać opis ziem, na których w przedhistorycznych czasach potężny szczep Polan się rozsiadł, na których wyrósł i zakwitł jako naród polski, z których zaczerpnął soki i siły żywotne na stworzenie tysiącletniej polskiej kultury i cywilizacyi na wielkich obszarach aż po Wartę i Odrę a Dźwinę i Dniepr, — aż po Bałtyk i Morze Czarne!

Przedrozbiorowa Wielkopolska, składająca się z województw Poznańskiego i Kaliskiego, mieszcząca w sobie Kruszwicę i Gniezno — oto komórka, z której wyrosło potężne ciało królewskiej Rzeczypospolitej Polskiej Jagiellonów. Po dokonaniu ostatniego gwałtu na tem ciele w r. 1815. na kongresie wiedeńskim, odkrojono od Wielkopolski województwo Kaliskie, a pozostałe województwo Poznańskie z częścią dawnego województwa Kujawskiego przyczepiono do królestwa Pruskiego pod nazwą W. Księstwa Poznańskiego. Tak więc nowy ten sztuczny utwór częścią tylko jest historycznej Wielkopolski.

Niemniej jednak pomimo tego uszczuplenia dzisiejsze W. Ks. Poznańskie to samo ma posłannictwo, to samo zadanie dziejowe, jakie miała Wielkopolska w przeszłości — co mówię, jakie miała cała Rzeczpospolita Polska przez tysiąc lat ubiegłych, a mianowicie:

1-o Pośredniczenie w wymianie idei i zdobyczy kultury pomiędzy Zachodem i Wschodem Europy;

2-o zarazem obronę własnej kultury polsko-słowiańskiej od zalewu fali germańskiej.

Spełnienie podwójnego tego zadania, jeżeli trudnem i znojnem było w czasach niepodległości i potęgi narodowej — o ileż trudniejszem jest dzisiaj, gdy druga połowa historycznej tej misyi polskiej: obrona słowiańska przed naporem germanizmu spoczywa prawie cała na barkach W. Ks. Poznańskiego z Prusami Zachodniemi i Śląskiem, jako skrzydłami głównej centralnej pozycyi obronnej Poznańskiego. Prawda! lecz tem szczytniejszem to zadanie. A czyż nie skuteczniejszą może być obrona oparta na tysiącletniem doświadczeniu i skierowana na jeden punkt, aniżeli akcya podwójna na dwa fronty, której Rzeczpospolita Polska sprostać nie zdołała? Niektórzy historycy twierdzą, że szczep Polan, chociaż najpotężniejszy pomiędzy Słowianami zachodnimi, za słabym był, bo za mało licznym, by zarazem kolonizować wielkie obszary na wschodzie, na Rusi, i bronić dzierżaw swoich na dwa fronty: przeciwko Krzyżakom-Niemcom z jednej, a przeciwko Turkom, Tatarom i Moskwie z drugiej, z dodatkiem szwedzkich, wołoskich, węgierskich, nawet rakuskich najazdów z trzeciej i czwartej strony.

Zapewne, zadanie to było ponad siły szlacheckiej Rzeczypospolitej Polskiej, ale właśnie dlatego, że była tylko szlachecką!

Silna monarchia Piastów, Bolesławów stworzyła państwo polskie od Odry do Dniepru; Bolesław I. Chrobry z Gniezna szedł do Elby, a z drugiej strony pod Kijów; to samo Bolesław II. Śmiały — oni zakreślili państwo polskie na tak szerokie granice, odpowiednie ich geniuszowi; już jednak Bolesław II. Krzywousty całą energią swej na wskróś wojowniczej duszy strawił na walce z Niemcami o Śląsk i o Pomorze — on ostatni rozumiał, że walka o przyszłość państwa polskiego głównie rozgrywać się musiała na wielkich nadodrzańskich płaszczyznach, od śląskich Gór Olbrzymich aż do morza, do Bałtyku. Całe jego życie to jeden krwawy turniej na tem olbrzymiem boisku, a śmierć jego, testament, podział państwa pomiędzy synów — to tragiczny zwrot w dziejach tego państwa. Z wielkiej chwały, z wielkich szerokich zadań i przeznaczeń schodzi ono do pasowania się ciągłego z zadaniami przenoszącemi siły państwa, które wydźwignąwszy się z niemocy podziałów na pojedyńcze słabe dzielnice pod Władysławem Łokietkiem — z Kazimierzem Wielkim stanowczo zwróciło się do zadań na wschodzie, na Rusi, pozostawiając zachodnie granice ścieśnione, cofnięte na całej linii. Śląsk i Pomorze — dostęp do morza —

stracone niepowrotnie, a wewnątrz, we własnem łonie jad, wrzód potwornych przywilejów panów i szlachty, wylęgły w czasach podziałowych, a wydobyty na światło dzienne po śmierci Kazimierza Wielkiego w Koszycach, w paktach wymuszonych na Ludwiku węgierskim jako ohydna poczwarka, która toczyła organizm Rzeczypospolitej przez cały ciąg następnych wieków, aż go stoczyła do reszty.

Nie był więc zbyt szczupłym liczebnie naród polski, by ostać się jako pośrednik i łącznik kultury zachodniej ze wschodnią, lecz za słabym był politycznie organizm narodowy polski, bo rozwijał się społecznie w sposób nieprawidłowy.

Otóż doprowadzenie tego organizmu społecznego do prawidłowego stanu, dalszy więc ciąg pierwszej roboty podjętej konstytucyą 3. maja, ale w warunkach nierównie trudniejszych, bo po utracie samodzielnego bytu politycznego i po klęskach powstań ogniem i mieczem stłumionych — oto zadanie wszystkich dzielnic dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, a szczególnie dzielnicy pruskiej, której W. Ks. Poznańskie główną jest częścią. Jak bowiem w niezależnej Rzeczypospolitej Polskiej na polu ekonomicznem i społecznem zawsze Wielkopolska przodowała, tak i dzisiaj w porozbiorowej Polsce W. Ks. Poznańskie wraz z Prusami Zachodniemi, a od wczoraj z prastarym piastowskim Śląskiem naprzód kroczyć winno w pochodzie ku odrodzeniu społeczno-ekonomicznemu całego narodu.

Pomimo bowiem, że Wielkopolska bynajmniej nie była najżyźniejszą częścią Polski — z wyjątkiem małych skrawków, które stanowią niziny nadwiślańskie, Żuławy i gleba kujawska, równać się ona nie mogła z obszarami czarnoziemów Podola, Ukrainy, Lubelskiego i Sandomierskiego — pomimo to rolnictwo zawsze wyżej stało w Wielkopolsce, niż w Małopolsce, nie mówiąc już wcale o Rusi. Historyk Korzon w dziele »Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta« (wydanie II. tom I. str. 329—332) stwierdza, że siła i wydatność gospodarstwa rolnego wzrastała w miarę posuwania się od wschodniej do zachodniej granicy... Świadczą o tem współcześni. I tak na Sejmie Czteroletnim poseł Rożnowski różnicę pomiędzy Wielko- a Małopolską tak oznacza: »W Wielkopolsce gospodarstwo tak wygórowało, że już podobno wyżej iść nie może, a w Małopolsce dopiero ekonomika do doskonałości przychodzi«. Świętosławski zaś, poseł wołyński, twierdził, że intratę 100.000 zł. p. ledwie ze 100 dymów osiągnąć można na Rusi, podczas gdy w Wielkopolsce 10 dymów intratę tę czynić

może«. Zapewne są to przesady i ozdoby krasomówcze; że się w nich jednak jądro prawdy mieściło, dowodem na to fakt przez tego historyka przytoczony, że w r. 1785. »zagon roli pod Rawiczem kosztował 4 czerwone złote, gdy pod Warszawą tylko 4 zł. polskie«. Przyczyna tej wielkiej różnicy w cenach ziemi ówczesnych łatwą jest do zrozumienia, gdy się zważy, że Wielkopolska zawsze miała odbyt na swoje płody rolne na zachód, pod Rawiczem na Śląsk; że przeważała w niej mniejsza i średnia własność szlachecka, że stąd gęściej była zaludnioną, że posiadała przemysł rękodzielniczy więcej rozwinięty i t. p., a tak pozostało dotąd w wielkich zarysach. Rolnictwo, pomimo mniej żyznej gleby, i dzisiaj wyżej stoi w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich, niż w zaborach austryackim i rosyjskim i to nie tylko na wielkich obszarach dominialnych, lecz i na mniejszych włościańskich, a i co do przemysłu, jeżeli chodzi o wielki przemysł fabryczny i górniczy, oczywiście W. Ks. Poznańskie, ani z Galicyą ani z Królestwem równać się nie może — poprostu wielkiego przemysłu opartego na węglu i żelazie wcale nie posiada — zato mały przemysł rękodzielniczy w małych miasteczkach w W. Ks. Poznańskiem rozwija się i staje się coraz więcej polskim, a coraz mniej niemieckim i żydowskim, pod którym to ostatnim względem góruje szczególnie nad miasteczkami Królestwa i Galicyi.

Aby jednak należycie wyświetlić dzisiejsze ekonomiczno-społeczne położenie W. Ks. Poznańskiego i zrozumieć ogrom zadania, jakie ma do spełnienia, by się ostać wobec olbrzymiego naporu germanizacyjnego, nie wystarcza porównanie z innemi dzielnicami dawnej Rzeczypospolitej, lecz raczej potrzeba porównać W. Ks. Poznańskie z innemi prowincyami monarchii pruskiej, a więc z Zachodem. Jest to odwrotna strona medalu, bo jak względnie do Wschodu naprzód kroczy W. Ks. Poznańskie, tak w stosunku do Zachodu ledwo zdąża za nim w postępie społeczno-ekonomicznym i cywilizacyjnym.

I.

Położenie dzisiejszego W. Ks. Poznańskiego (oficyalnie już tylko prowincyi poznańskiej) pod względem geograficznym i ekonomiczno-społecznym — nie bacząc na razie całkiem na względy polityczne — bynajmniej nazwać nie można korzystnem. Wciśnięte bowiem klinem pomiędzy Brandenburgią na zachód, Pomorzem i Prusami Zachodniemi na północ,

a Śląskiem na południe — całą wschodnią granicą przytyka do Królestwa Polskiego (oficyalnie już tylko kraju prywiślańskiego), a więc do muru celnego cesarstwa rosyjskiego. O tyle w gorszych znajduje się warunkach od Bran-



Fig. 344. Fabryka wyrobów z miedzi i mosiądzu B. Ziółkowskiego w Poznaniu.

denburgii, ciążącej do wielkiego środowiska handlowego i przemysłowego Berlina, od Pomorza i Prus Zachodnich, przytykających do morza, i od Śląska, posiadającego dwie wielkie dźwignie przemysłu: węgiel i żelazo. Przytem posiada tylko dwie niedostatecznie uregulowane i stąd nie-

całkiem i niezawsze spławne rzeki Wartę i Noteć, nie wpadające do morza, lecz jedna przez drugą do Odry, która sama nieuregulowana w całej rozciągłości, tylko w pewnych porach roku pośredniczyć może w komunikacyi wodnej, a więc najtańszej, z Berlinem, całym Zachodem i morzem.

Obszar W. Ks. Poznańskiego wynosi 2,895.770 hektarów, z których

roli ornej	1,760.899 hektarów	= 60,8%	obszaru
łąk	237.686	» = 8,2%	»
lasów	592.960	» = 20,5%	»

Liczby te wyjęte są z t. zw. »Gemeindelexikon« na rok 1885 [1]). Obszar ten podzielony jest na dwie rejencye, poznańską i bydgoską, z których poznańska, większa, 60% całości stanowi, a na 40 powiatów, z których 27 na poznańską, a 13 na bydgoską rejencyę przypada.

Oszacowanie, czyli tak zwana bonitacya ziemi nastąpiła w latach od 1860 do 1865 roku i to w celu uzyskania podstawy dla podatku gruntowego. Nie daje ona zupełnego obrazu żyzności ziemi i łąk i ich wartości ekonomicznych w stosunku do dzisiejszych cen nie tylko dlatego, że od 40 lat stosunki ekonomiczne wielce się zmieniły, ale już i dlatego, że zaraz przy bonitacyi jedni się starali o jak najniższą taksę z obawy przed wysokim podatkiem (Polacy na lepszych ziemiach), drudzy o jak najwyższą w celu uzyskania jak najwyższego i najtańszego kredytu (Niemcy na gorszych ziemiach). Stąd wogóle powiedzieć można, że gorsze ziemie przecenione, lepsze niedocenione zostały, na co dotąd cierpią wszelkie taksacye i sądów i towarzystwa kredytowego ziemskiego.

Z całego jednak obrazu, jaki przedstawia W. Ks. Poznańskie w świetle bonitacyi z roku 1860—65, wynika niewątpliwie, że większa część obszaru jego składa się z piasczystej glinki, przeplatanej z jednej strony szczerym piaskiem nad Wartą, murszami nad Notecią i Obrą, lecz z drugiej strony napływowemi czarnoziemami nad Prosną i głębokim humusowym czarnoziemem na Kujawach. Zważywszy przytem, że już dzisiaj tylko 20,5% całego tego obszaru jest zalesioną, z lasów 66% w ręku prywatnem, niedającem gwarancyi trwałej przyszłości, że skutkiem tego, okrom dotkliwych nieraz wyjątków, susza w klimacie poznańskim przeważa [2]) — wypada

---

[1]) Według statystyki pruskiej z r. 1906 obszar ten wynosi 2,898.318 hekt. Skąd różnica prawie 3.000 hekt. pochodzi, nie mogłem dociec.

[2]) Opady atmosferyczne w przecięciu wynoszą w W. Ks. Poznańskiem 513 mm., w Prusach Zachodnich 541 mm., w Prusach Wschodnich 600 mm., na Śląsku 680 mm., podług Hellmanna Regenbunde der Pr. Posen u. Westpreussen.

stąd, że W. Ks. Poznańskie bynajmniej do bogatych krain wogóle ani nawet do bogatych prowincyi królestwa pruskiego zaliczonem być nie może [1]).

Dowodem także średniej tylko urodzajności ziemi jest statystyka uprawy poszczególnych ziemiopłodów. I tak wynosiła w r. 1899. przestrzeń ziemi ornej [2]):

pod żyto	48%	
pod pszenicę	7%	
pod jęczmień i owies	19%	
pod kartofle	22%	
pod buraki cukrowe	4%	
Suma	100	ogólnej przestrzeni pod pługiem.

Produkcya buraków cukrowych, wymagających najwięcej pracy i kultury obok najlepszej ziemi z 1179 ha w roku 1878., wzniosła się do 47.140 ha w roku 1899., a więc dość szybko w ciągu 20 lat doszła do cyfry 4% całego obszaru, ale z nią zapewne niedaleko szczytu stanęła, chociażby już dla smutnych widoków, jakie otwiera konwencya brukselska i wzrost produkcyi trzciny cukrowej za morzem dla buraka cukrowego europejskiego.

Sprzęty z hektara zboża, które w pięcioleciu 1893—99 wynosiły:

Żyta	12,9%	metrycznych	cent.	z ha
Pszenicy	15,3%	»	»	»
Jęczmienia	15%	»	»	»
Owsa	12,7%	»	»	»
Kartofli	120,3%	»	»	»

niewiele się różniły od odnośnych sprzętów w innych wschodnich prowincyach pruskich; co do sprzętu kartofli przewyższały nawet Prusy Wschodnie, Zachodnie i Śląsk.

Również w chowie koni, bydła, owiec i trzody chlewnej W. Ks. Poznańskie niepoślednie zajmuje miejsce wśród wschodnich prowincyi, a nawet w stosunku do całej monarchii pruskiej. I tak w roku 1897. naliczono

koni	249.600	sztuk
bydła	836.900	»

[1]) Zob. Meitzen: Der Boden und die landwirtschaftlichen Verhältnisse des preussischen Staates. 1868. Band I; jest to niezaprzeczenie najlepsze dzieło w tym przedmiocie.

[2]) Statistisches Jahrbuch des deutschen Reiches. 1900.

owiec 695.000 sztuk
trzody 665.100 »

Powyższa liczba koni wynosi na km.□ 8,6 koni, podczas gdy w całej monarchii przeciętnie na 1 km.□ tylko 8,1 wypada. Bydła posiadało W. Ks. Poznańskie w tym czasie 28,9 na km.□, podczas gdy w całych Prusach 30,3 sztuki na km.□ naliczono; zato w Prusach Wschodnich tylko 27,6 sztuk, w Zachodnich 23,6 sztuk, na Pomorzu tylko 21,8 sztuk. Owiec coraz mniej na całym obszarze Prus się chowa — w przecięciu 22,5 sztuk na km.□; w Poznańskiem nad przeciętną, bo 24 sztuki na km.□, co nie świadczy na



Fig. 345. Fabryka wódek, likierów i napoi bezalkoholowych Klóskowskiego i Sp. w Poznaniu.

korzyść intenzywności rolniczej. Trzody chlewnej w W. Ks. Poznańskiem było 23 sztuk na km.□, podczas gdy na Pomorzu 26 sztuk, w przecięciu całej monarchii 26,9 sztuk — zato w Prusach Wsch. tylko 21 sztuk, w Zachodnich 20,9 sztuk, a na Ślązku 19,6 sztuk na km.□ przypada.

Inaczej i wprawdzie korzystniej dla W. Ks. Poznańskiego przedstawia się chów inwentarza żywego w stosunku do ludności. I tak na 100 mieszkańców przypadało w roku 1897

W W. Ks. Poznańskiem,	podczas gdy w całem państwie pruskiem tylko:	
koni	13,6 sztuk	8,8 sztuk
bydła	45,8 »	33,1 »
owiec	38,0 »	24,7 »
trzody	36,4 »	29,5 »

Że im mniejsza własność, tem więcej stosunkowo inwentarza się chowa, wprawdzie szczególnie trzody, o tem świadczy następująca tabela porównawcza z lat 1882—95, w której własność ziemska w trzech klasach jest ugrupowana. Na 100 ha areału rolnego przypada:

	1882 roku	1895	1882 roku	1895	1882 roku	1895
I. niżej 2 ha	3 konie	5	142 sztuk bydła	135	172 sztuk trzody	328
II. od 2—20 ha	15 »	16	47 » »	50	24 » »	45
III. ponad 20 ha	8 »	10	20 » »	26	7 » »	14

Podpada tutaj nadzwyczajny wzrost chowu trzody chlewnej z 172 na 328 sztuk na 100 ha ornej przestrzeni w grupie parcel niżej 2 ha, który to wzrost w związku jest z wędrówkami ludu na robotę i większy zarobek do Saksonii i Westfalii i również przy średniej własności od 2 do 20 ha, z 24 na 45 sztuk na 100 ha. Natomiast ilość bydła zmniejsza się ze 142 na 135 sztuk w tejże drobnej własności, podczas gdy ilość bydła w średniej z 47 na 50, a w wielkiej własności z 20 na 26 sztuk się podnosi. Z obrazu tego statystycznego wynika, że głównym inwentarzem wielkiej własności jest bydło, podczas gdy średniej i drobnej własności jest trzoda chlewna; a ponieważ robotnika wiejskiego prawie wyłącznym inwentarzem jest trzoda, wynika stąd, że od ilości uchowanej i sprzedanej trzody zależy wprost cały dobrobyt drobnej własności ziemskiej i ludu roboczego wiejskiego. Zamknięcie granicy dla trzody chlewnej od Rosyi i Austryi i szczepienie czerwonki lymfą Lorenza sprawiły, że dobrobyt ludu roboczego w ostatnich latach znacznie się podniósł i że włościanin kupujący parcele za nader wysokie ceny, z wysokich procentów się wypłaca i jeszcze długi umarza, pomimo ostatnich dwóch lat (1901—02) nieurodzaju w W. Ks. Poznańskiem, który wielką własność o dotkliwe straty przyprawił, a nawet po części doprowadził do upadku.

Wogóle W. Ks. Poznańskie niedomaga dotąd z powodu niewłaściwego stosunku wielkiej własności do średniej i drobnej. W roku 1895. jeszcze większa część, bo 52,29% całego areału było w ręku wielkiej własności ziemskiej ponad 100 ha. Od tego czasu, jak poniżej wykażemy, przez kolonizacyę niemiecką, dobra rentowe i parcelacyę polską wiele drobnej wła-

sności przybyło, a wielkiej ubyło, ale względnie do innych prowincyi pruskich zawsze jeszcze W. Ks. Poznańskie tylko z Pomorzem równać się może, gdzie w roku 1895. nawet 55,13% areału w ręku wielkiej własności się znajdowało, podczas gdy w Prusach Zach. 43,60%, w Prusach Wsch. 39,47%; w Śląsku 33,86%, w całych Prusach 30,94% na większą, a zatem przeszło $^2/_3$ areału na mniejszą własność niżej 100 ha przypadało.

Z tej mniejszej własności ziemskiej w W. Ks. Poznańskiem na 100 ha areału ogólnego tylko 20,49% większa własność włościańska (od 20 do 100 ha) ma w ręku; mniejsza własność włościańska (od 5 do 20 ha) posiadała 20,83%, drobna własność włościańska (od 2 do 5 ha) posiadała 3,67%; w ręku zaś parcelników (niżej dwóch ha) tylko 2,82% czyli absolutnie 58.898 ha całego areału Księstwa w r. 1895. się znajdowało.

Gdy porównamy ten podział ziemi w W. Ks. Poznańskiem z cyframi odnośnemi w całych Prusach, które w roku 1895.

w ręku	drobnej	włośc.	własności 33,2%
»	średniej	»	» 28,8%
»	wielkiej	»	» 38,0%

wykazują[1]), łatwo nam zrozumieć, dlaczego W. Ks. Poznańskie należy do najmniej zaludnionych prowincyi pruskich; a gdy zważymy, że większa i mniejsza własność włościańska są formami własności, które wobec ogólnego przesilenia rolniczego są najodporniejszemi i wykazują najwyższy dochód czysty z morgi, o czem poniżej przy historyi uwłaszczenia włościan obszerniej będzie mowa, równie łatwo zrozumieć, że W. Ks. Poznańskie zaliczonem być musi do najuboższych prowincyi pruskich.

Obok rozkładu własności ziemskiej na rozwój ekonomiczny kraju wielce wpływają środki komunikacyjne. Jak już wyżej powiedziano, posiada W. Ks. Poznańskie tylko dwie spławne rzeki Wartę i Noteć, z której druga większe ma znaczenie dlatego, że zapomocą kanału łączy Wisłę z Odrą; przytem Warta tylko od Poznania ku ujściu do Odry jest spławną; powyżej Poznania głównie dlatego, że w obrębie obszaru rosyjskiego nie jest uregulowaną, tylko częściowo i w niektórych porach roku jest spławną.

Żwirówek i bruków posiadało W. Ks. Poznańskie w roku 1895. ogółem 3975. klm., t. j. 137 klm. na 1000 km.□ przestrzeni, podczas gdy Pomorze i Prusy Wsch. po 154, Prusy Zach. 175, Brandenburgia 176, a Śląsk aż 262 km. na 1000 km.□ przestrzeni wykazywały.

Lepiej uposażone było W. Ks. Poznańskie pod względem kolei żela-

[1]) Preussische Statistik, Band 146. I. Teil.

znych; do końca roku 1898. miało 2049 km., t. j. na 1000 km.□ 77,7 km., a na 100,000 mieszkańców 108 km. W stosunku do ludności żadna prowincya pruska nie posiadała tyle kolei żelaznych, a względnie do przestrzeni więcej, tylko Westfalia i Nadreńska prowincya. Od roku 1898. oprócz jeszcze kilku szerokotorowych cała sieć wązkotorowych kolejek powstała, w czem jednak Pomorze i Brandenburgia prześcignęły wszystkie inne prowincye pruskie. Ani jednak lepszy podział własności ziemskiej, ani lepsze środki komuni-

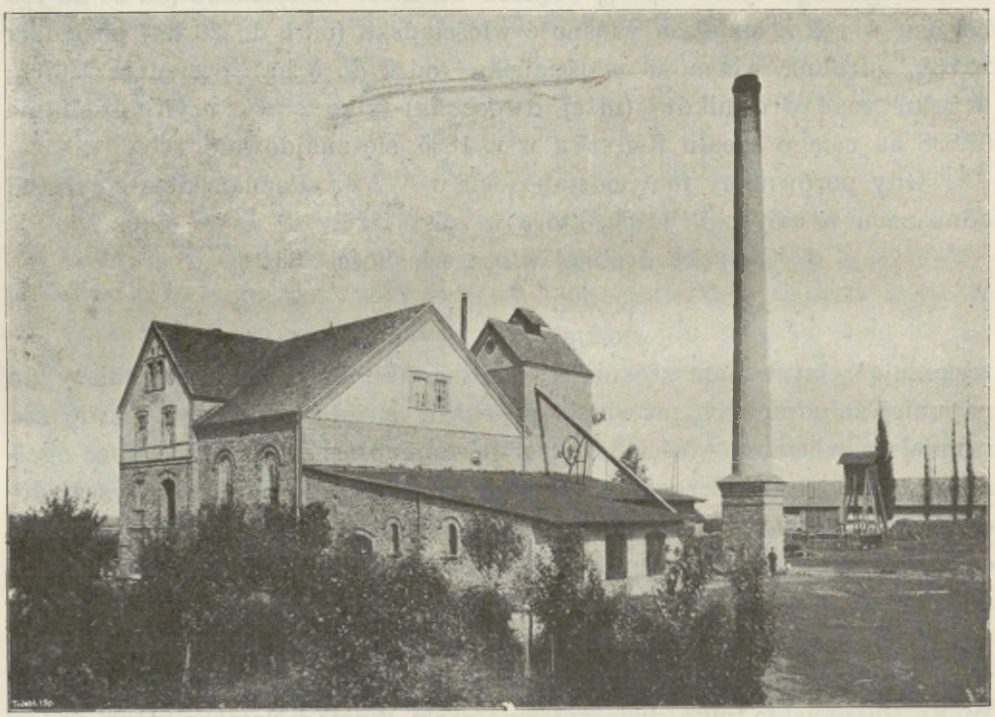

Fig. 346. Gorzelnia w Karminie w dobrach dra Witołda Skarżyńskiego.

kacyjne nigdy W. Ks. Poznańskiego na tak wysoki stopień kultury, dobrobytu i zaludnienia wznieść nie mogą, na jakich stanęły Śląsk i zachodnie prowincye pruskie dzięki wielkiemu przemysłowi opartemu na własnym węglu i żelazie.

W W. Ks. Poznańskiem tylko wielki przemysł rolniczy zdołał się rozwinąć. Na czele tutaj stoją:

I. gorzelnie[1]). W roku 1899. z całej przestrzeni pod pługiem $^1/_6$ obsa-

[1]) Stat. Jahrbuch 1900.

dzoną była ziemniakami, z których 487 gorzelni wypaliło 607.123 hl. alkoholu z najwyższym kontyngentem w Prusach, bo z 314.477 hl. kontyngentu.

II. cukrownie. W kampanii na rok 1898/9 przerobiło 20 cukrowni 1,310,385 ton buraków cukrowych; więcej przerobił tylko Śląsk w 59 fabrykach 1,658.208 ton i Saksonia w 118 fabrykach 3,309.061 ton. Z hektaru sprzątnęło W. Ks. Poznańskie buraków cukrowych 278 metrycznych cent., Śląsk 285, Saksonia 303, Nadreńska prowincya 319 metr. cent.

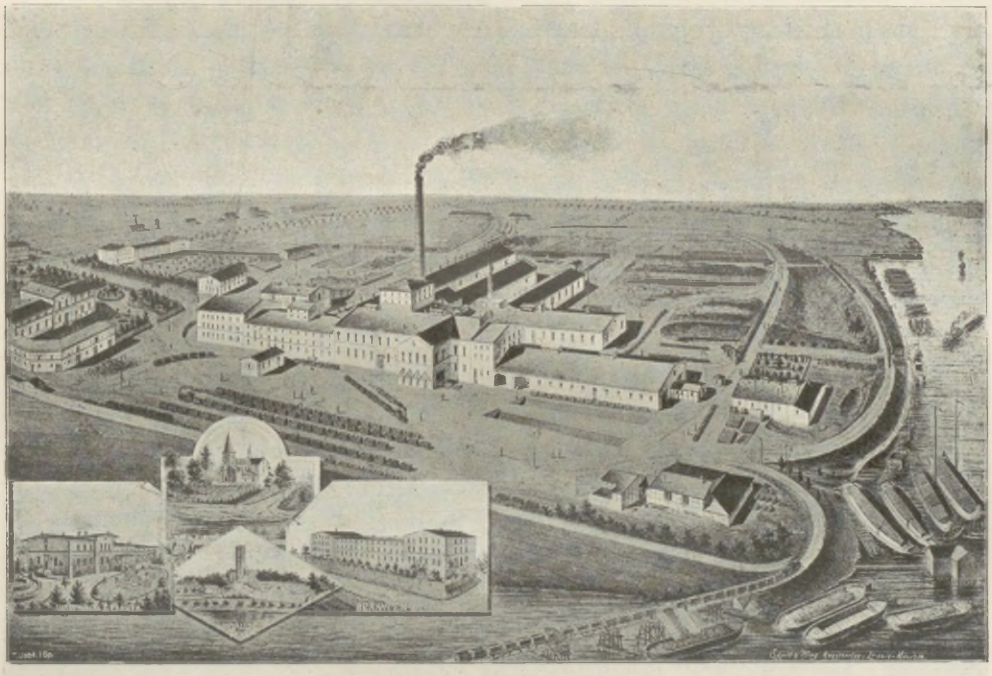

Fig. 347. Cukrownia w Kruszwicy.

III. browary. W roku 1898 było 141 browarów w biegu, względnie do ludności mało, co się tłómaczy zamiłowaniem do ciężkich piw i stąd znacznym importem piwa z Bawaryi, z Norymbergi i Kulmbachu.

Oprócz tych wielkich fabryk rolniczych istnieją jeszcze cegielnie parowe, młyny i tartaki, wszystkie w związku z rolnictwem, a przynajmniej z wielką własnością ziemską; reszta właściwego przemysłu fabrycznego znachodzi się w bardzo tylko skromnych rozmiarach i to głównie w rejencyi bydgoskiej.

Wynika stąd, że znaczna część ludności jest rolniczą, a przynajmniej od rolnictwa zależną

W statystyce Rzeszy niem. z roku 1895. znachodzimy w grupie zawodowej A, obejmującej rolnictwo, ogrodnictwo, chów bydła i leśnictwo 57,7 na 100 osób pracujących w rozmaitych zawodach, a gdy się do nich doliczy nieczynnych zawodowo, lecz także żyjących z rolnictwa, wypada 59,4 osoby na 100 czerpiących swe utrzymanie w zawodzie rolniczym. Ludność ta pracujących w zawodzie rolniczym składa się przeważnie z robotników wiejskich. Znachodzimy bowiem w tej liczbie samodzielnych przed-

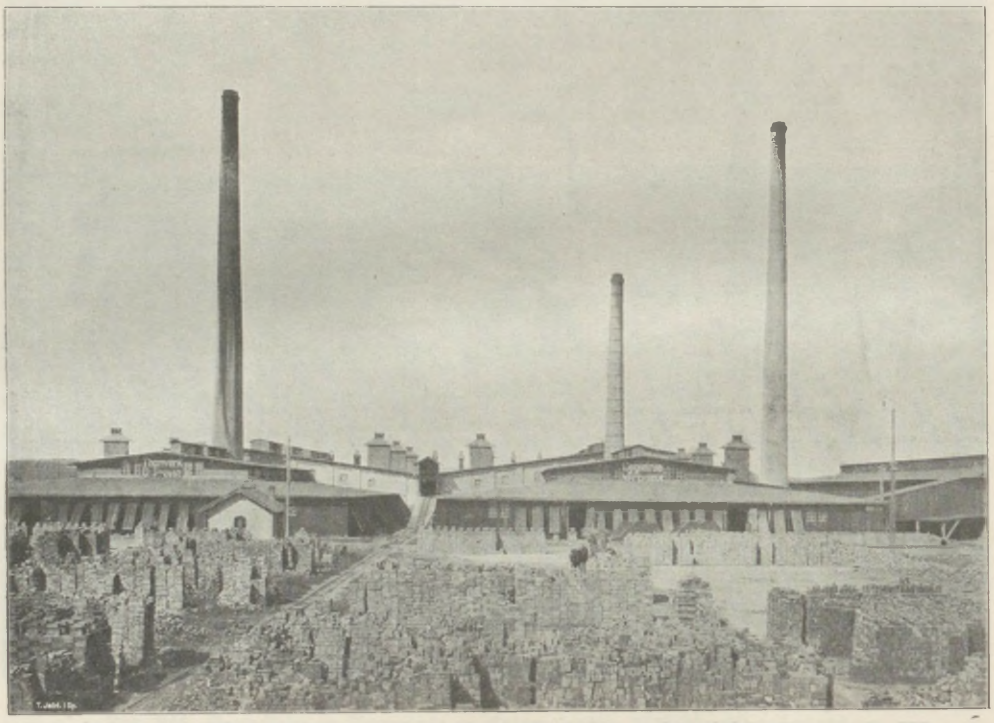

Fig. 348. Cegielnia w Przysiece w dobrach hr. Zygmunta Kurnatowskiego.

siębiorców rolniczych tylko 21,6%, urzędników i innych oficyalistów 2,1%, robotników zaś 76,8%; gdy doliczymy do tej ostatniej cyfry rodziny robotników wiejskich, wypada liczba ogólna robotników wiejskich wraz z ich rodzinami: 605,869 osób, czyli 34% ogólnej ludności W. Ks. Poznańskiego.

Większość też znaczna ludności mieszka na wsi pomimo licznych miast i miasteczek; na 1000 mieszkańców 725 mieszka na wsi, a 275 w miastach.

W grupie zawodowej B przemysłu i górnictwa wykazuje statystyka z roku 1895 z całej ludności 20,7% w stosunku $^2/_3$ w przemyśle, a $^1/_3$ w górnictwie; z pomiędzy zaś całej grupy przemysłowej przypada 57% na proceder przemysłowy o jednej osobie; większa zatem połowa przemysłu jest drobnem rzemiosłem o jednym rękodzielniku; 37% zatrudnia 2 do 5 osób jako czeladników i uczni; ponad 6 osób tylko 2730 warsztatów i fabryk z ogólną liczbą 60.237 robotników zatrudnia.

Do grupy zawodowej C należą osoby zatrudnione w handlu, w rozmaitych gałęziach zabezpieczeń, w zawodach hotelowym, restauracyjnym i szynkarskim naliczono osób do grupy tej należących wraz z rodzinami 7,4% całej ludności w roku 1895., a szczegółowo w handlu zatrudnionych na 1000 osób tylko 14,3 osoby.

W grupie zawodowej D, zawierającej służbę domową i rozmaitych ludzi najemnych, daje się uczuć tak w Poznańskiem, jak w innych prowincyach pruskich znaczny ubytek w ostatnich latach. Roku 1895. liczba tej kategoryi osób wynosiła już tylko 1,9%, podczas gdy w r. 1882. jeszcze 3,1% całej ludności wynosiła.

Zato w grupie zawodowej E, obejmujących urzędników cywilnych i wojskowych, nauczycieli i t. p. liczba osób zatrudnionych z rodzinami z 4,3% w roku 1882. skoczyła na 5,2% całej ludności w roku 1895., a liczba ta, jak w całych Prusach, tak i w W. Ks. Poznańskiem wzrasta z rokiem każdym, a nawet tutaj szybcej skutkiem powiększania załóg wojskowych, szkół, komisyi kolonizacyjnej i t. p. Do wzbogacenia ludności przyrost ten urzędników i wojskowych mało się przyczynia, grupa ta bowiem zawodowa po większej części rekrutuje się poza Księstwem, a po kilku latach, jak tylko może, z W. Ks. Poznańskiego się wynosi.

Chcąc, chociaż w głównych tylko zarysach, dać wyobrażenie o stopniu dobrobytu ludności W. Ks. Poznańskiego względnie do innych prowincyi monarchii pruskiej, przytoczyć wypada kilka liczb ze statystyki podatku dochodowego i majątkowego pruskiego [1]). Czytamy tam, że w roku podatkowym 1897/8 liczba ludności wynosiła 1,823.827 mieszkańców, z których 1,456,582 osób wcale podatku dochodowego nie płaciło, ponieważ dochód ich nie przenosił 900 marek rocznie. Reszta ludności złożyła cały podatek dochodowy w sumie 2,980.000 marek, co daje na głowę całej ludności 1,63 marki, podczas gdy w Prusach Zach. 1,76 mk., w Pru-

[1]) Mitteilungen der Verwaltung der directen Steuern. Berlin 1897.

sach Wsch. 1,79 mk., na Pomorzu 2,68 mk., na Śląsku 2,95 M. — w całem królestwie pruskiem 4,24 mk. podatku dochodowego na głowę całej ludności przypada.

Podobny jest stosunek poszczególnych prowincyi w świetle podatku majątkowego (Ergänzungssteuer). Tylko 9,78% całej ludności w W. Ks. Poznańskiem podlega podatkowi od majątku, mniej jeszcze tylko w Prusach Zach., bo 9,62%, w Prusach Wsch. 10,77%, na Śląsku 10,21%, na Pomorzu 12,71%, w Królestwie pruskiem w przecięciu 13,93%.

Aby dopełnić obraz ten pod względem dobrobytu ekonomicznego całej masy niepłacącej ani dochodowego ani majątkowego podatku, podajemy w końcu kilka cyfr wykazujących, jaki udział ludność W. Ks. Poznańskiego brała w kasach oszczędności, w których głównie mała własność miejska i wiejska i ludność robocza zaoszczędzony grosz składa. Otóż w r. 1896 [1]) na 100 marek złożonych w kasach oszczędności całego Królestwa pruskiego przypada na W. Ks. Poznańskie tylko 1,63 mk., na Prusy Zach. 1,80 mk., na Prusy Wsch. 1,91 mk., na Berlin 4,47 mk., na Pomorze 6,69 mk.; a na 100 mieszkańców przypada w W. Ks. Poznańskiem 8,36 książek oszczędności, w Prusach Zach. 11,28, w Prusach Wsch. 9,41, na Pomorzu 22,47 książek oszczędności.

Przytoczone daty statystyczne wystarczyć muszą na określenie w głównych zarysach obrazu stosunków ekonomicznych i społecznych, w jakich znajdowała się cała ludność W. Ks. Poznańskiego przy końcu wieku XIX. Obraz ten bynajmniej nie jest wesołym. Względnie do innych prowincyi monarchii pruskiej bowiem W. Ks. Poznańskie jest mniej zamożne, a i pod względem społecznym nie przoduje, bo będąc przeważnie rolniczem, nie posiada dość licznego stanu tego, który w kraju rolniczym stanowi o jego dobrobycie i przyszłości, a mianowicie dość licznego i silnego, na własnej ziemi osiadłego stanu włościańskiego. Przeważa dotąd wielka własność ziemska t. zw. dominialna, która wobec wielkiego przesilenia rolniczego, srożącego się od przeszło 30 lat w Prusach, sama coraz bardziej zadłuża się i ubożeje [1]). Spadek cen wszystkich niemal produktów rolniczych skutkiem przemożnej konkurencyi zagranicznej, spowodowanej taniością tychże produktów zagranicą i rozgałęzioną siecią komunikacyi morskich i lądowych wprowadzających produkta te za bezcen do kraju, a przytem stałe

[1]) Meitzen u. Grossman, Der Boden und die landwirtschaftlichen Verhältnisse des preuss. Staates. Bd. VI., S. 425 ff. Berlin 1901.

[2]) Słowa te pisane w r. 1903.

podnoszenie się podatków i płacy robotnika sprawiły, że wielka własność tylko przy wielkiem ryzyku, t. j. przy wielkich nakładach na sztuczne nawozy, maszyny, kupną paszę, fabryczne zakłady, drenarkę, kupny inwentarz i t. p. wygospodarować jest w stanie wysokie procenta od długów hipotecznych zwykle na niej ciążących i od kapitału obrotowego. O rencie gruntowej ziemi lub chociaż tylko o zysku odpowiednim dla przedsiębiorcy

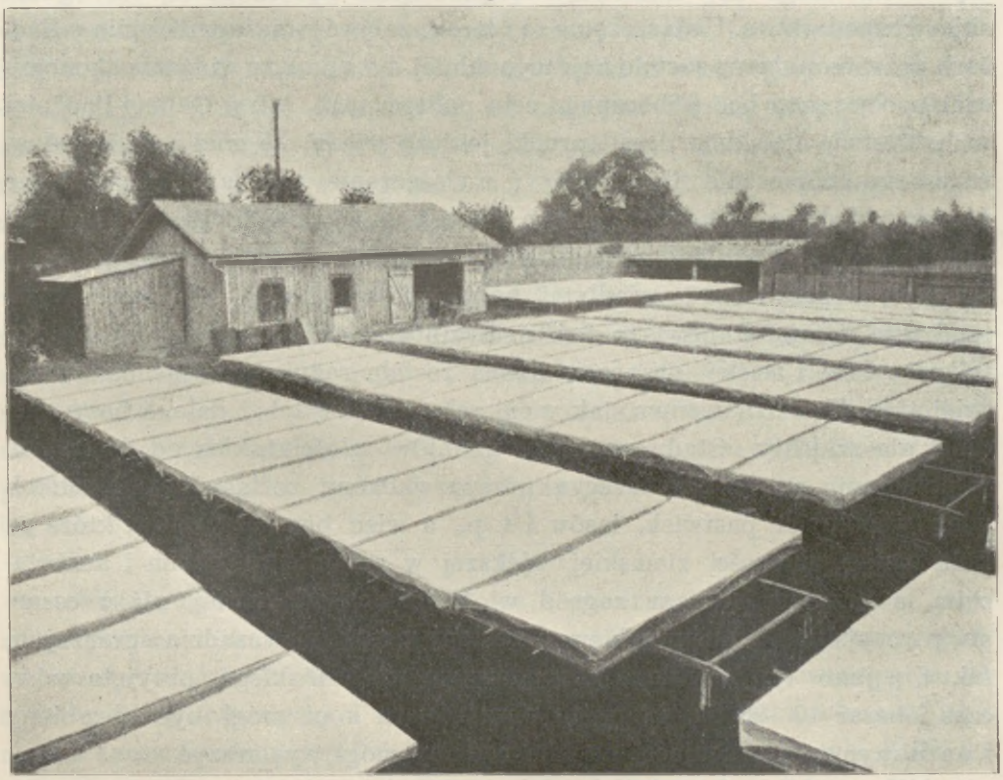

Fig. 934. Bielenie wosku w fabryce wyrobów z wosku pszczelnego M. Sobeckiego w Poznaniu.

wielkiego rolniczego zwykle tylko na ziemiach o wielkiej kulturze i w dobrych latach może być mowa; lata zaś nieurodzajów, jak rok 1901. i 1902. przyprowadza do coraz większego zadłużenia i stąd wprost do ruiny wielką własność.

Jedynie mniejsza własność ziemska 10 do 25 ha przesileniu temu może stawić czoło, a to po prostu dlatego, że obrabiając z rodziną sam takie gospodarstwa, włościanin bez wielkich ryzykownych nakładów przy-

najmniej to dla siebie zdoła wygospodarować, co wielka własność w postaci zasług i najmu musi wypłacać.

Taką mniejszą własność 10—25 ha stworzyło w W. Ks. Poznańskiem uwłaszczenie chłopów prawem o regulacyi dla W. Ks. Poznańskiego z 8. kwietnia 1823. r. Powstało wtedy do r. 1848. zagród włościańskich 48.068 na 3,441.810 morgach obszaru i wprawdzie w W. Ks. Poznańskiem przeciętnie 55,3 morgowe, w Prusach Zach. przeciętnie 82,4 morgowe t. zw. »gburskie« gospodarstwa. Uwłaszczenie to z trzech zaborów niezaprzeczenie w Prusach przeprowadzone zostało najracyonalniej, bo z punktu widzenia ekonomiczno-społecznego bez pobocznego celu politycznego, jak w Galicyi i później w Królestwie Polskiem. Rząd pruski jeszcze wtedy nie miał na celu jednostronnego »popierania niemczyzny«; uwłaszczenie zresztą rozgrywało się prawie wyłącznie pomiędzy polskim dworem a polskim ludem — koloniści niemieccy i t. zw. holendrzy po większej części w uwłaszczeniu nie uczestniczyli, będąc odrazu osiadłymi na prawie własności — wobec których rząd pruski zajął stanowisko dość neutralnego sędziego i rozjemcy. Daleko tylko szybcej i ściślej przeprowadzoną została regulacya własności ziemskiej w W. Ks. Poznańskiem, jak w innych prowincyach i daleko bezwzględniej dla szlachty. Stąd separacya gruntów włościańskich od dworskich w połączeniu z t. zw. komasacyą przeprowadzona została bez jakichkolwiek wspólnych pastwisk, lasów i t. p., a więc bez serwitutów, które są kulą u nóg własności ziemskiej większej w zaborze rosyjskim i austryackim, a przytem i obszar zagród włościańskich właściwiej, niż w cesarstwie rosyjskiem i austryackiem określony został na zasadzie sprzężajności, t. j. jako typ zwykłego gospodarstwa włościańskiego przyjęto wówczas obszar 10—25 ha, który to obszar parą koni mógł być obrobiony i na utrzymanie pracującej na nim rodziny mógł wystarczyć.

Własność ta włościańska w pierwszej generacyi nie rozwijała się tak, jak w drugiej i obecnie trzeciej; raz dlatego, że zaraz po separacyi i dwór i włościanin znaleźli się w warunkach tak odmiennych od poprzednich, że długiego potrzebowali czasu, aby się opatrzeć i do nowych warunków gospodarczych przystosować; i wielki i mały właściciel zrazu licho gospodarowali, przytem skutkiem działów pomiędzy liczne zwykle dzieci, gospodarstwa sprzężajne się rozdrabniały. Już od roku 1823—59 stwierdzono utratę 129,743 mórg sprzężajnych gospodarstw na rzecz drobnych parcel, a gdy konjunktury [1]) rolnicze stały się korzystnemi, w okresie od 1848—

[1]) Zob. objaśnienie T. II. str. 666.

1870. r., wielka własność, która pierwsza gospodarować się nauczyła umiejętniej, z dobrych tych konjunktur rolniczych korzystając, wiele gospodarstw wykupiła i przyłączyła do obszarów dworskich. Nie można jednak twierdzić, że własność włościańska taka, jak ją stworzyło uwłaszczenie, nie miała warunków istnienia, lub że ich niema w przyszłości; jeżeli bowiem gospodarstw sprzężajnych w roku 1880., a więc prawie 60 lat po separacyi, znachodzimy wprawdzie już tylko 39.389 na obszarze 3,292.993 mórg, to z drugiej strony ubytek ten własności większej włościańskiej nagrodzony został przybytkiem 44,470 gospodarstw niesprzężajnych, a zatem niżej 10 ha na obszarze 522.642 mórg. W ostatecznym rezultacie więc do r. 1880. w ręku włościan znajduje się o 400.000 mórg ziemi więcej, niż w r. 1823., a od czasu przesilenia rolniczego, które mniej więcej od r. 1880. się datuje, do r. 1892., a więcej jeszcze w ostatniem dziesięcioleciu skutkiem polskiej i niemieckiej kolonizacyi, obszar ziemi w ręku włościan małorolnych powiększył się znacznie. Niezawodnie korzystniejszem byłoby wstrzymanie i pomnażanie średniej własności włościańskiej, obok małorolnej, drobnej, która ciągle rośnie, lecz jest to tylko życzeniem dopóty, dopóki prawnie każde gospodarstwo na parcele rozbite być może, majoratów zaś chłopskich, ani rząd pruski przeważającym dzisiaj polskim włościanom narzucić nie myśli, ani też polscy włościanie nie życzą ich sobie.

Jakkolwiekbądź, czy gospodarz na zagrodzie 30—80 morgowej, czy małorolnik na kilkunastu, czy parcelnik na kilku morgach — wszyscy ci włościanie, właściciele ziemi, wielkie mają zadanie ekonomiczno-społeczne a jak poniżej zobaczymy, i narodowe do spełnienia. Wielka własność topnieje i coraz bardziej topnieć będzie — utrzyma się tylko o tyle, o ile na większej części swego obszaru włościan, jako dzierżawców, zdoła osadzić; nabywcy zaś parcel, czy na własność, czy na dzierżawę, z robotników wiejskich się rekrutują, którzy w Saksonii, Westfalii, Hanowerze i t. d. miliony zarabiają i wprowadzają do W. Ks. Poznańskiego. Na tym więc ludzie polskim cała przyszłość narodu polskiego się opiera, bo im chłop polski więcej będzie miał ziemi i pieniędzy, tem więcej zarobku będzie miał rzemieślnik i przemysłowiec w polskich miasteczkach, a z nimi i adwokat i doktor i aptekarz; jakie zaś są widoki na przyszłość tego ludu polskiego, zobaczymy, gdy rozpatrzymy się w statystyce narodowościowej, chociażby tylko w głównych zarysach.

II.

Gdyby zadaniem naszem było opisanie W. Ks. Poznańskiego pod względem ekonomiczno-społecznym dla jakiego wydawnictwa międzynarodowego lub jako część opisu monarchii pruskiej, poprzestaćbyśmy mogli na dopiero co zamkniętej I. części niniejszej rozprawy. Skoro jednak opis nasz W. Ks. Poznańskiego częścią ma być opisu całej Polski, przeto organiczną częścią II. naszego tematu jest przedstawienie, ile liczebnie i jako-



Fig. 350. Główna sala maszyn w fabryce wyrobów z papieru Pilczka i Putiatyckiego w Poznaniu.

ściowo narodu polskiego w W. Ks. Poznańskiem dzisiaj się mieści i jakie ma odłam ten narodu polskiego widoki bytu i rozwoju w przyszłości?

Dla kogoś, coby nie znał naszej historyi, takie postawienie sprawy — określenie takie zagadnienia — wydawaćby się mogło dziwnem! Jak to, czy już tak daleko rozkład narodu polskiego postąpił, że samo jądro Wielkopolski, a zatem główny korzeń, z którego cały pień narodu polskiego wyrósł, już tylko częściowo jest zdrowym w znaczeniu etnograficznem i politycznem, t. j. polskim?

Otóż na pytanie to odpowiedzieć można wręcz przeciwnie, zależnie od znaczenia, jakie się do pojęć narodu i narodowości przywiązuje. Chodzi o to, czy W. Ks. Poznańskie dotąd jest polskiem? Czy nie tylko histo-

rycznie i geograficznie, pomimo podziału politycznego, częścią jest jednej etnograficznej Polski, a ludność jej odłamem jednego narodu polskiego?

Otóż od tego, jakiego stopnia czystości etnograficznej się wymaga, by kraj jaki uznać za należący do pewnej narodowości, zależy, czy się W. Ks. Poznańskie uzna za należące do etnograficznej grupy słowiańsko-polskiej, czyli też do mieszanej germańsko-polskiej. Spór na ten temat przechodzi zakres niniejszej rozprawy i zresztą wydaje nam się zupełnie bezcelowym. Obojętnem jest, czy się w danej chwili, a więc np. obecnie W. Ks. Poznańskiemu charakter polskiego kraju przyzna, lub czy mu go się zaprzeczy. Jedynie interesującym, bo rozstrzygającym, zdaniem naszem, jest spór ten, o ile i jak rozgrywa się praktycznie i faktycznie; rozgrywa on się od początku historyi rasy germańskiej i słowiańskiej, więc od lat tysiąca, a zamienił się dzisiaj na walkę o każdą piędź ziemi, o każdy dźwięk głosu, o każde brzmienie mowy, o każde tchnienie piersi, o każdy tętent serca i pulsów!

Jest to losem wszystkich krajów kresowych, granicznych pomiędzy rasami i narodami, tak jak pasów ziemi nad brzegami morza, że chociaż granicę stanowią pomiędzy żywiołami, często podlegają wdzieraniu się jednego żywiołu w drugi, zalewom lub cofaniu się fal, i dlatego etnograficznie nigdy nie są tak czystymi, jak kraje od granic historycznych i etnograficznych oddalone, środkowe.

Wielkopolska, chociaż kolebka narodu polskiego, skutkiem jednostronnego rozwoju państwa polskiego ku wschodowi, już w XIV. wieku od Władysława Łokietka, który stolicę przeniósł do Krakowa, a bardziej jeszcze czasów od Kazimierza Wielkiego, który Ruś Czerwoną do państwa przyłączył, stała się prowincyą kresową, graniczną, i jako taka wystawioną była przez cały czas naszej następnej, pięciowiekowej historyi na zalewy czy pokojowe, czy wojenne wielkiej fali germańskiej.

Pierwsza fala germańska pokojowa, cywilizacyjna, bo chrześcijańska, popłynęła do Wielkopolski zaraz po przyjęciu chrześcijaństwa przez Mieczysława I., męża chrześcijanki Dobrówki w r. 965. Chociaż bowiem Dobrówka była słowianką, czeszką; chociaż misyonarzem nie tylko Czech, lecz Wielkopolski, Pomorza i Prus był nie Niemiec, lecz Słowianin, św. Wojciech, pierwsze, biskupstwo w Poznaniu przydzielone zostało do metropolii w Magdeburgu i stąd całe niemal duchowieństwo świeckie i zakonne, pierwsze, jakie działało w Wielkopolsce, szerokiem korytem napłynęło z Niemiec. Tu się rozegrał pierwszy akt wielkiego dramatu germań-

sko-słowiańskiego; gdyby kościół w Wielkopolsce i nadal zależnym był pozostał od Magdeburga, Wielkopolska niechybnie wtedy byłaby została zgermanizowaną. Założenie niezależnego polskiego arcybiskupstwa w Gnieźnie w r. 1000. przez Bolesława Chrobrego za zgodą cesarza Ottona III., olśnionego potęgą i przepychem, z jakim go Bolesław przyjął, któremu to arcybiskupstwu nowo w tym czasie założone biskupstwa w Krakowie, Wrocławiu i Kołobrzegu (od Karpat po Odrę do Bałtyku) i dawniej założone w Poznaniu zostały podporządkowane — oto fakt historyczny, który stanowczo przechylił na dziesięć wieków następnych szalę na stronę słowiańsko-polską. Doniosłość faktu tego ten ocenić potrafi, kto sobie uprzytomni, czem był kościół w owych wiekach, a mianowicie nietylko dzierżycielem i krzewicielem światła wiary chrześcijańskiej i płynącego z niej moralnego podniesienia na pół dzikich pogańskich rzesz, lecz zarazem krzewicielem jedynej wtedy kultury umysłowej, a rozsadnikiem kultury ekonomicznej — wielkim uprawcą dzikich, zalesionych, zabagnionych, a mało zaludnionych przestrzeni.

Benedyktyni i Cystersi, oto najprzedniejsi siewcy kultury i cywilizacyi w nowym chrześcijańskim świecie po wędrówkach ludów na niezmierzonych obszarach germańsko-słowiańskich. Od założenia pierwszego klasztoru Benedyktynów w Trzemesznie, gdzie ciało zamordowanego św. Wojciecha przez Bolesława Chrobrego najpierw zostało złożone, a po którym w r. 1065. powstały klasztory Benedyktynów w Mogilnie i Lubiniu, po przez klasztory Cystersów, sprowadzonych aż z Altenberga pod Kolonią do Lądu nad Wartą i do Łekna nad Wełną w r. 1103., dalej z Pfordty do Przementu nad Obrą w r. 1210. i do Ołoboku nad Prosną pod Kaliszem, po przez klasztory w Paradyżu w r. 1230., w Obrze w r, 1231., w Owińskach r. 1252., w Koronowie r. 1278. — jak nić czerwona ciągnie się działalność oświatowa i ekonomiczna kościoła, który politycznie i geograficznie był polskim, etnograficznie zaś pierwotnie niemieckim, a dopiero w czasach wzmocnienia się państwa polskiego po podziałach, za Łokietka i Kazimierza Wielkiego, stał się z krwi i kości polskim w swem duchowieństwie świeckiem i zakonnem.

Z duchowieństwem niemieckiem napłynęła cała fala niemieckich rolników i rękodzielników, z których pomocą biskupi i panowie zakładali osady wiejskie, a szczególniej miasta na wzór miast niemieckich z osobnem prawem niemieckiem, magdeburskiem; z niemcami napłynęli Żydzi do miast, a szczególnie za Kazimierza Wielkiego, który ich popierał, aby przeciw-

działać potężnemu wpływowi Niemców po miastach. W celu zapobieżenia germanizacyi miast Kazimierz Wielki w Małopolsce najwyższy sąd ustanowił dla miast dotąd do Magdeburga apelujących, a gdy całe prawodawstwo Rzeczypospolitej później jednostronnie przywileje szlachty rozszerzyło, a przywileje miast ograniczyło — przez kilka wieków polonizacya, lecz zarazem i zżydowienie, przeważnie niemieckich dotąd miasteczek, nastąpiły na wielką skalę.

Równocześnie nastąpiła na Rusi i na Litwie kolonizacya polska, która tak dalece kraje polskie wycieńczyła i wyludniła, że gdy podczas wojny trzydziestoletniej w Niemczech skutkiem prześladowań religijnych emigrowało wielu Niemców i Żydów, za Władysława IV. rozlała się druga wielka fala germańska na wielkopolskie niwy. Powstały wtedy owe liczne osady »holendrów« w dobrach wielkich panów, którzy mieli za zadanie karczować lasy (stąd nazwa hauländer = holender) i ziemię z pod nich mało urodzajną, ale też prawie darmą uprawiać; po miasteczkach zaś zakwitły rękodzieła, jako to sukiennictwo, tkactwo, garbarstwo i t. p. Fala ta germańska rękodzieł i przemysłu, mających swój odbyt do Królestwa Polskiego, po rozbiorach i po zamknięciu granicy rosyjskiej wysokiemi cłami protekcyjnemi dla przemysłu, — po przez tamy te rozlała się na sąsiednie Królestwo Kongresowe, gdzie wówczas powstały wielkie przemysłowe zakłady niemieckie w Łodzi, Zgierzu i Pabijanicach.



Fig. 351. Fabryka wyrobów z żelaza Markowskiego i Linka w Poznaniu.

Do Wielkopolski zaś wyniszczonej i wyludnionej skutkiem wojen

szwedzkich, trzecia fala germańska po pierwszym rozbiorze za Fryderyka II. napłynęła do okręgu noteckiego i do Prus królewskich; do samego okręgu nadnoteckiego Fryderyk II. wprowadził 2207 rodzin kolonistów niemieckich [1]). Odtąd od rozbiorów, z małemi przestankami, w czasie wojen napoleońskich i za W. Ks. Warszawskiego, napływ fali germańskiej jest ciągły, to powolniejszy, to silniejszy, jak za czasów prezydentury Flottwella, aż do roku 1867., w którym prawodawstwo Północno-Niemieckiego Związku prawem o wolnem wędrowaniu (Freizügigkeitsgesetz), zniesieniem wpłat za prawo osiedlenia się w miastach i przymusu wstępowania do cechów, zniosło wszelkie szranki, tamujące przypływ ludności wiejskiej do miast. Gdy bowiem i konjunktury handlowe od francuskiej wojny r. 1870. korzystniej dla przemysłu i handlu miast, niźli dla rolnictwa, się ukształtowały, nastąpiła na odwrót wędrówka Niemców z Księstwa do wielkich środowisk przemysłowych Zachodu i Żydów do wielkich miast, na których miejsce żywioł miejski polski w miasteczkach w W. Ks. Poznańskiem zaczął się sadowić.

Daty statystyczne biją tu w oczy; w roku 1831. liczyło W. Ks. Poznańskie 302,763 ewangelików, a 674,036 katolików; w r. zaś 1867. ewangelików 503,094, a katolików 951,364. W 35 latach tych pomnożyli się więc ewangelicy o 66%, katolicy zaś tylko o 41%. Gdy się zaś wstawi w miejsce ewangelików Niemców i Żydów, a w miejsce katolików Polaków, co w przybliżeniu jest trafnem, okazuje się wtedy, na jak pochyłej drodze do germanizacyi, do zupełnego zalania przez falę germańską znajdowało się W. Ks. Poznańskie temu lat 30.

Od wojny francuskiej, a więc od czasu największego tryumfu oręża niemiecko-pruskiego w wielkiej walce germańsko-słowiańskiej karta się odwraca na korzyść narodu polskiego, jak o tem świadczą następujące daty statystyczne:

Pierwsze liczenie ludności według języka odbyło się r. 1837. za rządów naczelnego prezesa Flottwela. Podzielono wtedy ludność Księstwa na 1-o mówiących po niemiecku, 2-o mówiących tylko po polsku. Przy tym podziale pozostało jednak zupełnie niewiadomem, ile Polaków do pierwszej kategoryi zaliczono i o ile Polak mówić miał po niemiecku, aby go do pierwszej lub do drugiej kategoryi zaliczono? Rozstrzygnięcie tego pytania pozostawione zostało władzom, które liczenie urządziły. Gdy wy-

[1]) Zob. Beheim-Schwarzbach: Friederich der Grose als Grûnder deutscher Colonien, Berlin 1864.

niki tego sposobu liczenia nie zadowoliły nikogo, użyto innego, a mianowicie podzielono ludność na 1-o mówiących po niemiecku i po polsku i 2-o na mówiących albo po polsku, albo po niemiecku i to w okresie od 1840—50 roku. Przy tej metodzie przekonano się, że mniej więcej jedna piąta ludności mówiła i po niemiecku i po polsku, lecz ile pomiędzy tymi dwujęzycznymi do Polaków, a ilu do Niemców zaliczyć należało, pozostawiono znowu widzimisię władz, a jakie różnice zdań, nawet u statystyków, w tej mierze powstały, świadczą o tem: z jednej strony prezydent generalnej komisyi w Bydgoszczy Klebs, który z tej jednej piątej, $^4/_5$ do Polaków, a z drugiej Beckh i Meitzen, który z tej piątej $^2/_3$ do Niemców a tylko $^1/_3$ do Polaków zaliczyli.

W r. 1858. próbowano nowego sposobu liczenia ludności według języka i wprawdzie kazano ojcom rodzin wpisywać narodowość według języka, którego ojciec rodziny używał w domu; oczywiście i ta statystyka pewnego rezultatu dać nie mogła, przy służbie bowiem przeważnie polskiej, ojcowie rodzin niemieckich i całą służbę pod rubrykę niemiecką zapisywali; przytem wszystkich nieobecnych wówczas wpisano, chociaż dłużej, niż od roku byli wywędrowali, i w końcu wojska nie wliczono. Podług tej bardzo stronniczej statystyki wyliczono, że od r. 1858—1861. ludność niemiecka podniosła się o 7·4%, polska zaś tylko o 2·1%.

Od roku 1861—1890, tak długo, dopóki książe Bismarck był prezesem ministrów pruskich, nie zarządzono żadnego spisu ludności w W. Ks. Poznańskiem Bismarck w międzynarodowej polityce, polityk w całem tego słowa znaczeniu realny, w wewnętrznej polityce oddawał się złudzeniom. Dla niego sprawa polska w Prusach istniała tylko odnośnie do szlachty i duchowieństwa polskiego — lud polski zdaniem jego był na najlepszej drodze do germanizacyi; równocześnie jednak do żywego dotknął ten lud polski przez kulturkampf[1]), wydalania gromadne, szkołę całkiem zniemczoną i kolonizacyę, wykluczającą chłopa polskiego od kupna ziemi. Wynik tej fałszywej polityki Bismarcka względem Polaków, nawet z stanowiska interesu państwa pruskiego i germanizacyjnego, nie mówiąc już o całej jej ohydzie ze stanowiska uczciwości — był całkiem przeciwny celowi zamierzonemu.

W roku 1890., gdy wzięto się do dokładniejszego spisu ludności i gdy każdemu wpisać pozwolono następujące daty: język ojczysty,

[1]) O t. zw. kulturkampfie, t. j. walce rządu pruskiego z kościołem katolickim czytaj w T. I. str. 921.

religię, płeć, wiek, stan, pochodzenie rodzinne, — a więc gdy użyto sposobu najwłaściwszego, — okazało się, że już od r. 1849. polska ludność szybcej wzrastała od niemieckiej. Pan Dr. Leo Wegner, autor książki »Der wirtschaftliche Kampf der Deutschen mit den Polen um die Prov. Posen« (W Poznaniu 1903), przypisuje ten smutny w jego oczach objaw nadaniu konstytucyi w r. 1850. z wolnością stowarzyszenia się i prasy, a w końcu daleko liczniejszej emigracyi Niemców, a szczególniej Żydów, aniżeli Polaków z W. Ks. Poznańskiego na Zachód i do Ameryki. Większej płodności Po-

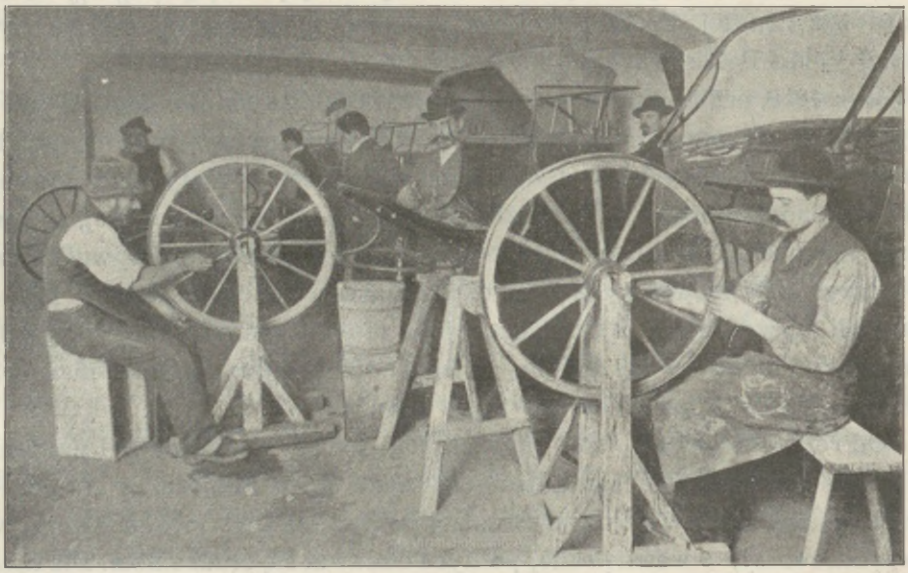

Fig. 352. Fabryki w Poznańskiem.
(Lakiernicy przy pracy w fabryce powozów Degórskiego w Poznaniu).

laków, jako przyczyny wzmagania się ludności polskiej nie uznaje; autorstwo frazesu o królikach i zającach pozostawia nieuszczuplone kanclerzowi hr. Bülowowi; do roku 1867. Polacy wolniej od Niemców się rozmnażają, skądżeby naraz od r. 1867—1900. szybcej rozmnażać się mieli? Prawdą jedynie jest, że podczas, gdy w okresie od roku 1819—60. śmiertelność dzieci polskich znacznie obniżała przewyżkę urodzeń, wyłącznie stanowiącą wzmaganie się stałe ludności — od wojny r. 1870., a z nią na miliardach francuskich wzniesionego przemysłu niemieckiego, podniósł się zarazem dobrobyt robotnika polskiego, który fabrykom i kopalniom w Westfalii i nad Renem, rolnictwu w Saksonii i Hanowerze rąk dostawił za wy-

sokim zarobkiem, a wędrówkami swemi »w świat« zarazem płacę pozostałej ludności roboczej w domu podźwignął.

Od tego czasu dzieci stały się dla robotników bogactwem, żywiono i pielęgnowano je lepiej i wnet śmiertelność ich się obniżyła, a nadwyżka urodzeń podniosła; przytem chociaż wędrówka Polaków »w świat« była znaczną — świadczą o tem całe kolonie polskie w Westfalii i nad Renem — wielka część t. zw. »obieżysasów« rolnych i część robotników w fabrykach i kopalniach tylko czasowo wędrowała i albo z zarobkiem letnim na zimę do domu wracała, albo po kilku latach kapitalik uskładawszy i wróciwszy do kraju, parcele roli kupowała, dom z podwórkiem na niej budowała i tym sposobem dochodziła do własności i pewnego dobrobytu. Niemcy tymczasem i Żydzi na wielką skalę z W. Ks. Poznańskiego emigrowali i już napowrót nie wracali.

Obraz w przybliżeniu dokładny ruchu ludności pod względem wyznaniowym i narodowym przez cały przeciąg czasu od r. 1849—1900. daje tablica V. w książce wyżej przytoczonej Dr. Leona Wegnera na stronie 236. Uwidocznionym jest na niej liczbami fakt, nie dający się zaprzeczyć, że podczas gdy w W. Ks. Poznańskiem do r. 1867. Niemcy protestanci szybcej wzrastali, niż Polacy katolicy, — od tego czasu, pomimo wydalań gromadnych i pomimo kolonizacyi osadzającej przeważnie Niemców protestantów, — ci ostatni wraz z Żydami topnieją. I tak:

	protestantów	katolików	żydów
w r. 1849. liczono na 1000 mieszk.	308	635	57
« » 1867. » » » »	331	626	43
» » 1900. » » » »	303	678	19

Z katolików mniej więcej 10% na Niemców katolików potrącić należy tak, że Polaków liczyć można 668.

Liczby te dodać chyba muszą otuchy walczącym dzisiaj z całym 50-milionowym z górą naporem germanizacyjnym, a zarazem rządowi pruskiemu dowieść powinny, że z polityką swoją gwałtownego wynaradawiania na fałszywej znajduje się drodze [1]).

III.

Pozostaje nam, przedstawiwszy w poprzednim rozdziale, naturalny wzrost narodu polskiego w W. Ks. Poznańskiem pomimo ucisku i naporu germani-

[1]) Według »Statistisches Jahrbuch für den Preussischen Staat«, p. 293, wynosiła ludność polsko-mazursko-kaszubska w r. 1905.: 3,645,445 głów, t. j. 97,78 na 1000 mieszkańców całych Prus, podczas gdy w r. 1900 mniej, a mianowicie: 95,90 na 1000 mieszkańców.

zacyjnego, dać w krótkim zarysie obraz toczącej się walki na śmierć lub życie — obraz tak zaczepnej, jak odpornej broni używanej w tej walce. A jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu, że w przedstawieniu tej walki posługiwać się możemy datami, podanemi przez Niemca hakatystę. Nie będzie to więc samochwalba, lecz świadectwo oddane przez człowieka, który uważa naród polski, wogóle całą rasę słowiańską, za »minderwertig« (mniej wartościową) wobec prusaków-germanów.



Fig. 353. Wielkie przedsiębiorstwa kupieckie w Poznańskiem.
(Część podręcznego składu zapasów w drogueryi Czepczyńskiego w Poznaniu).

Polska akcya obronna sięga wstecz mniej więcej tych samych czasów, co pruska akcya zaczepna, t. j. lat od 1831. roku począwszy. Do tego czasu przez pierwsze 20 lat po okupacyi i 15 lat po kongresie wiedeńskim, w których to obydwóch aktach Polakom w W. Ks. Poznańskiem przez królów pruskich obiecanem było poszanowanie ich języka, religii i narodowości, akcya wprost i systematycznie germanizacyjna i obrona przeciwko niej, tak dobrze, jak nie istniały jeszcze. Przemoc objawiła się przy okupacyi jedynie haniebną frymarką dóbr koronnych i duchownych ze strony Kamaryli z Hoymem i Beichofswerderem na czele: namiestnik

ks. Radziwiłł, małżonek księżniczki pruskiej, był niejako uosobieniem stosunku, jaki chciał nadać kongres wiedeński W. Ks. Poznańskiemu względem monarchii pruskiej, i był dowodem, że dwór pruski pojmował zrazu stosunek ten w myśl traktatów wiedeńskich. Współczesne Królestwo polskie kongresowe w myśl traktatów wiedeńskich zażywało równolegle i w większej jeszcze mierze samorządu pewnego i narodowej odrębności Polaków To też od r. 1815—31. W. Ks. Poznańskie pogrążonem było w stanie gnuśnej rezygnacyi, poniekąd zrozumiałej w pokoleniu, składającem się z ojców, którzy przeżyli napoleońskie tryumfy z bezbrzeżnemi nadziejami, a potem z rozpaczliwą ostateczną klęską, i synów zaprzątniętych wielkim przewrotem stosunków społeczno-ekonomicznych, skutkiem uwłaszczenia włościan. Nie mniej jednak wiadomość o wybuchu powstania listopadowego w Warszawie zabłysła i piorunem uderzyła wśród tej ciszy; cała niemal młodzież uniwersytecka polska we Wrocławiu i w Berlinie przerwała studya, przeszła granicę i stanęła do broni.

Wtedy to, obok licznych zastępów szlachty wielkopolskiej, stanął do szeregu młody lekarz poznański, Dr. Karol Marcinkowski [1]), mąż, który wśród walki i po niej — po strasznym pogromie, w którym wielu pogrzebało wszelkie nadzieje — począł i w czyn wprowadził w W. Ks. Poznańskiem wielką myśl: Odrodzenia narodowego na szerokiej ludowej podstawie! Marcinkowski z Memla na Anglię i Francyę powróciwszy w r. 1834. do Księstwa, skazany na pół roku fortecy za przejście granicy w r. 1831., karę tę w r. 1837. w Świdnicy chciał odsiedzieć; gdy jednak w tym czasie cholera wybuchła w Poznaniu, naczelny prezes Flottwell postarał się o zwolnienie Marcinkowskiego od kary, aby zapewnić sobie znakomite jego lekarskie usługi. Spotkali się wtedy oko w oko dwaj ludzie, którzy niejako sygnał dali do podjęcia na nowo i prowadzenia dalej wiekowej walki germańsko-słowiańskiej na kresach. Marcinkowski bronił nietylko ciała swych ziomków od zarazy, lecz i ducha od wynarodowienia. Pierwszą akcyą jego było założenie »bazaru«, przedsiębiorstwa przemysłowego, czynem jednak wielkim, w służbie wielkiej myśli, było stworzenie Towarzystwa pomocy naukowej imienia Karola Marcinkowskiego dla młodzieży w W. Ks. Poznańskiem.

Dnia 19. kwietnia roku 1841. stanęli najwybitniejsi obywatele W. Ks. Poznańskiego na wezwanie w koło syna ludu — szlachta i duchowień-

[1]) Patrz »Polska« t. I. fig. 338.

stwo — i spisawszy statuty nowego Towarzystwa, podali je na ręce naczelnego prezesa Flottwella do zatwierdzenia rządowi.

»Flottwell nic nie miał przeciw temu«, powiada Dr. Leo Wagner, »ponieważ był głęboko przekonany, że Polacy, chłonąc oświatę, będą równocześnie poddawali się wpływowi ducha niemieckiego; Marcinkowski zaś wręcz przeciwnie wierzył, że tylko w ten sposób zdoła zachować, a w przyszłości zbawić narodowość polską«. Który z dwóch był bystrzejszy i dalej w przyszłość patrzał, okazało się w ciągu następnych lat 60.; Flottwellowi zamgliły oczy, jak to w ciągu całej historyi bywało, zarozumiałość i buta germańska, wiecznie z góry patrząca na niższą rasę słowiańską, skąd niemożliwe porozumienie, niemożliwy pokojowy, jeżeli nie przyjacielski sposób pożycia pomiędzy dwoma sąsiedniemi rasami.

»Towarzystwo pomocy naukowej« imienia Dr. K. Marcinkowskiego stworzyło wśród szlacheckiego i chłopskiego społeczeństwa wielkopolskiego, jakie pozostawiła po sobie szlachecka Rzeczpospolita Polska, stan średni (tiers — état) mieszczański, przemysłowy i inteligencyę, pracującą i zarabiającą, a tem samem posunęło społeczeństwo poznańskie na pierwszy stopień odrodzenia polskiego narodowego.

Od r. 1850. po ogłoszeniu konstytucyi pruskiej, akcya obronna polska prawną zyskuje podstawę, lecz zrazu mało ją wyzyskuje, zwłaszcza że rządy Fryderyka Wilhelma IV. do i po roku 1848. w stosunku do flottwellowskich zaciekłych germanizacyjnych zapędów scharakteryzować można jako zwolnienie pewne nigdy zresztą nieustającej, systematycznej akcyi germanizacyjnej.

Od r. 1870. dopiero datuje się po zwycięskiej wojnie francuskiej i zjednoczeniu Niemiec w nowem cesarstwie niemieckiem, wznowienie walki prusko-polskiej zrazu przez kulturkampf, po przez prawa i orędzia o języku urzędowym w sądach i w szkołach, po przez wydalenie 40,000 Polaków poddanych rosyjskich i austryackich, po przez kolonizacyę, zaprowadzenie religii po niemiecku w szkołach i t. d., która to walka z rozszerzeniem towarzystwa H. K. T. w r. 1899. na całe Niemcy, jako »Ostmarkverein«, — zamieniła się na walkę rasową germańsko-słowiańską na całej linii.

Naprzeciwko tej walki germanizacyjnej nietylko ze strony rządu pruskiego, lecz i ze strony niestety znacznego odłamu narodu niemieckiego, społeczeństwo polskie w W. Ks. Poznańskiem na drodze ściśle legalnej, sypać zaczęło wały obronne jedne po drugich i tak w r. 1872. założonem

zostało »Tow. Pomocy naukowej dla dziewcząt polskich«, jako dopełnienie Tow. pomocy naukowej dla młodzieży męskiej. Równocześnie od 1871—73 r. zaczął się ruch na polu stowarzyszeń ekonomicznych polskich, a więc spółek pożyczkowych, które pod patronatem ks. Samarzewskiego w r. 1877. stanowczo w bieg wprowadzone zostały; w roku tym 43 spółki z 7660 członkami zostały zapisane; w ciągu 30 lat następnych liczba spółek z rokiem 1901. wzrosła do 134 z 30,727 członkami; suma udziałów członków urosła z 623,000 Marek w r. 1873. do 8,275,000 Marek w r. 1901; suma depozytów, złożona w nich w r. 1873. w liczbie 2,600,000 Marek, wzrosła do r. 1901. na 42,248,000 Marek. Obok tego najstarszą spółką polską jest »Bank Przemysłowców«, który w r. 1900. wykazuje 3000 członków z udziałami wynoszącymi 1,465,278 Marek, a depozytami dochodzącymi do 3,418,845 Marek. W r. 1875. patron spółek ks. Wawrzyniak, dzielny następca ks. Samarzewskiego, jeszcze jako wicepatron, przeprowadził założenie »Banku Związku Spółek Zarobkowych«, aby pieniądze w spółkach zbytnie w jednem miejscu zespolić i produktywnie umieszczać. Prócz tego w roku 1872. powstał »Bank Włościański«; później rozmaite spółki zarobkowe, jako to »Spółka szewska«, »Spółka krawiecka«, »Spółka stolarska«, »Spółka melioracyjna« i t. d., a obecnie wzięto się do zakładania »Związków zawodowych« polskich.

W odpowiedzi niejako na pierwsze 100 milionów komisyi kolonizacyjnej, uchwalonych 26. kwietnia r. 1886., podwyższonych o drugie 100 mil. d. 20. kwietnia r. 1898., a w r. 1902. jeszcze o 250 mil. wzmocnionych, założony został dnia 14. września 1888. r. »Bank Ziemski« w Poznaniu, towarzystwo akcyjne, z pierwotnym kapitałem zakładowym 50,000 Marek, który to kapitał dopiero w r. 1902. dosięgał liczby 3. mil. Marek. Zaiste stosunek liczb, przypominający walkę Dawida z Goliatem. Pomimo to, 23,026 ha. ziemi zakupionej w celu parcelacyi do r. 1901., z których 19,873 ha. już wtedy oddane zostały w posiadanie włościan polskich, świadczą chyba o tem, że porównanie z Dawidem niezupełnie pozbawionem jest podstawy.

Obok banku ziemskiego powstały »Spółki ziemskie« w Poznaniu, Toruniu, Pinczynie, Ołoboku i t. d., nadto »Spółka parcelacyjna« i »Bank Parcelacyjny« w Poznaniu, które mając również parcelacyę na oku, zajęły się rozbijaniem gospodarstw włościańskich na parcele; w ostatnim czasie jednak nabyły kilka większych majątków, w celu rozparcelowania ich między włościan. Podczas gdy powyższe instytucye utrzymanie ziemi polskiej przez średnią i drobną własność włościańską położyły sobie za cel, »Zwią-

zek Ziemian«, o ile możności utrzymać usiłuje ziemię w ręku większej własności polskiej i to zapomocą głównie częściowej parcelacyi wielkiej własności w formie dzierżawy ze strony włościan.

Obok tych banków, spółek, akcyjnych towarzystw i t. p., obrona interesów polskich duchowych i fizycznych, prowadzoną była przez cały szereg towarzystw, jako to: »Towarzystwo Przyjaciół nauk«, »Centralne Towarzystwo rolnicze« z całą siecią Towarzystw rolniczych filialnych, dla wielkiej własności ziemskiej; równolegle i pod opieką tegoż Centralnego towarzystwa rolniczego powstały w r. 1873. »Kółka rolnicze« dla średniej i drobnej własności ziemskiej włościańskiej, które pod 50-letnim patronatem Maksymiliana Jackowskiego, na całej przestrzeni W. Ks. Poznańskiego wielce przyczyniły się do oświaty i dobrobytu włościan polskich. Obok zaś tych towarzystw dla ziemian, powstały towarzystwa przemysłowców Starych i Młodych w Poznaniu; tamże katolickie towarzystwo rzemieślników polskich, a nadto towarzystwo przemysłowe i rzemieślnicze po wszystkich miasteczkach, nietylko Księstwa, lecz wszędzie, gdzie przemysłowcy polscy w większej liczbie na obczyźnie się znajdują; aby organizacyę tę dopełnić i wzmocnić, uchwalił wielki zjazd delegatów z całych Niemiec w Poznaniu r. 1895. założenie »Związku Towarzystw Przemysłowych« na całe Niemcy.

W ścisłym związku z towarzystwami przemysłowemi, które duchowe i ekonomiczne interesy swych członków mają na oku, powstały towarzystwa gimnastyczne »Sokołów«, aby »zdrową duszę w zdrowem ciele« uchować szerokim masom ludowym, aby Polaków »karności i dyscypliny nauczyć, których im tak bardzo nie dostawało«. Obok prasy, która w czasie tym znacznie wzrosła, szczególnie jako prasa ludowa, towarzystwo »Oświaty Ludowej«, które się później na »Towarzystwo Czytelni Ludowych« przekształciło, a w przeciągu 20 lat założyło 1590 biblioteczek i rocznie rozdawało około 18,000 książek, zaspakaja potrzeby duchowe ludności polskiej.

Oto w głównych zarysach obraz W. Ks. Poznańskiego w dobie obecnej [1]) pod względem ekonomiczno-społecznym i narodowym. Jakie wśród opisu »Polski« współczesnej W. Ks. Poznańskiemu na mocy powyższych danych przypadnie miejsce? Odpowiedzi na to pytanie przesądzaćbyśmy nie chcieli. Staraliśmy się dać opis ściśle przedmiotowy, trzeźwy, na liczbach

[1]) Pisane w r. 1903.

i faktach oparty; to też nie braknie w obrazie cieni, obok światła. Z 800-letniej historyi wyszedł ten kresowy kraj polski po rozbiorach, skutkiem osiedlania się Niemców i Żydów i dobrowolnej ze strony polskiej kolonizacyi niemieckiej w $^2/_3$ tylko polski, a w $^1/_3$ niemiecki. Jeszcze w r. 1831. stosunek ten polskiej do niemieckiej ludności (około 600,000:300,000) mało się zmienił. Od roku 1831. do 1867. wzmaga się żywioł niemiecki, a polski topnieje (w stosunku około 950,000 do 503,000), dopiero od tego czasu, po roku 1870, po wojnie francuskiej, na drodze naturalnego rozwoju ekonomicznego i kulturalnego, a z podniesieniem się samowiedzy narodowej w masach ludowych, skutkiem kulturkampfu i strasznego ucisku na każdem polu — ostatnie liczenie ludności w r. 1900. wykazuje przyrost żywiołu polskiego, a zanik niemieckiego. W ostatnich 10 latach z 59,8 w r. 1890. podniosła się liczba Polaków na 61,3 na 100 mieszkańców W. Ks. Poznańskiego, pomimo ogromnej emigracyi do Westfalii, Nadrenu i Hanoweru. Oprócz tych kolonii polskich[1]) w Zachodnich Niemczech jest nas Polaków w trzech dość zwartych masach, w W. Ks. Poznańskiem, w Prusach Zachodnich i na Śląsku, przeszło 3,000.000 głów, a co ważniejsza: nie cofamy się, lecz idziemy naprzód!

Prawie cztery lata minęły od czasu, jak powyższy opis W. Ks. Poznańskiego skreśliłem dla »Macierzy Polskiej«.

Obraz, jaki wówczas W. Ks. Poznańskie w stosunku do monarchii pruskiej i w stosunku do innych ziem polskich przedstawiało, tak co do statystycznych dat, jak i co do położenia politycznego nie wiele się zmienił. Co do pierwszych, a więc co do ziemi, ludności, ilości posłów, wybranych do koła polskiego i t. d. położenie nasze się polepszyło[2]). Natomiast pod względem prawodawczo-politycznym znacznie się pogorszyło, a widoki na przyszłość pod tym względem tak są ponure, czarne, jak nimi nigdy nie były.

---

[1]) I tak w Gelsenkirchen urośli Polacy w tym czasie z 7,4 do 11,7 na 100 mieszkańców, w Recklinghausen z 5,9 do 13,8 na 100 mieszkańców. Jest to niezawodnie strata dla W. Ks. Poznańskiego, Prus i Śląska, lecz z drugiej strony im liczniejsze te kolonie i im więcej zwarte, tem łatwiej i pewniej narodowość swoją utrzymają i zachowają w późniejszych pokoleniach.

[2]) Mamy w obecnej kadencyi 20 posłów, z tych 5 ze Śląska, a pomimo kolonizacyi niemieckiej i noweli osadniczej podług Statistisches Jahrbuch z r. 1906. zyskaliśmy 58,500 hekt. ziemi.

O ile statystyka Prus i Rzeszy Niemieckiej sięga poza rok 1900., w przypiskach do tekstu została dopełnioną. Ziemi i ludności nam przybyło — również posłów polskich. W ostatnich wyborach r. 1907, koło polskie wzmocnione wyborem 4 posłów ze Śląska, liczby 20 członków dosięgło, a koło to rzeczywiście reprezentuje wszystkie warstwy społeczeństwa polskiego w Zaborze pruskim.

Ponieważ zaś i szlachta w części nagrodziła, w czem była zawiniła, a lud pomimo baryery noweli osadniczej z r. 1905. nie ustawał w dokupywaniu ziemi — widoki utrzymania się naszej narodowości w Prusach pod tym względem się polepszyły.

Natomiast pogorszyło się znacznie położenie nasze prawno-polityczne, bo wzmaganie się żywiołu naszego, chociaż powolne i bądź co bądź nieznaczne w stosunku do strat i klęsk, jakieśmy w ciągu 100 lat ponieśli, stało się hasłem do nowych prześladowań, do dalszej przyspieszonej i zaostrzonej akcyi germanizacyjnej. Etapami w tym kierunku była 1) nowela osadnicza z r. 1905., stawiająca zaporę przechodzeniu ziemi z rąk niemieckich w polskie — parcelacya i kolonizacya polska bowiem na zasadzie noweli tylko jeszcze tam możliwa, gdzie budowanie mieszkania niepotrzebne (stąd wóz na kółkach Drzymały), 2) zaprowadzenie nauki religii po niemiecku, nawet na najniższych stopniach szkoły elementarnej, które to rozporządzenie wywołało rozpaczliwy strajk, 3) zagrażające przymusowe wywłaszczenie i większe jeszcze utrudnienie, równające się uniemożliwieniu polskiej parcelacyi i kolonizacyi [1]).

Pomimo złowrogiego tego ze wszech miar widoku na przyszłość, nie tracimy wiary w żywotność naszego narodu w Wielkopolsce — nie tracimy nadziei, że uzbrojeni w hart duszy, zyskany wśród ciężkich prześladowań w przeszłości, potrafimy iście po męsku stawić czoło dalszym, coraz zacieklejszym prześladowaniom także w przyszłości, przeświadczeni, że:

»Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy«

i że:

»większy Pan Bóg jak Pan Rymsza«.

W Spławiu, w styczniu r. 1908.

Dr. Witołd Skarżyński.

[1]) Ustawa o przymusowem wywłaszczeniu Polaków już po napisaniu tych słów weszła w życie. *(P. R.).*

STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE
W PRUSIECH KRÓLEWSKICH.

Polska ludność w Prusiech Królewskich trudni się głównie rolnictwem. Czy to w powiatach kaszubskich, czy w borach tucholskich, czy na dawniejszej ziemi chełmińskiej i michałowskiej, czy w żyznych nizinach nad brzegami Wisły (o ile je Polacy zamieszkują), przeważa rolnictwo.

Wielkich majątków mało w polskiem ręku i coraz więcej ich w ostatnich dwudziestu latach ubywało. Albo rozparcelowano je między włościan, albo przeszły w posiadanie Komisyi kolonizacyjnej.

Przeważa natomiast własność mniejsza, między którą rozróżnić można większych gospodarzy, posiadających 100—300 mórg ziemi (zwą ich gburami — od niemieckiego Bauer), tudzież małych chałupników, posiadających 10—50 mórg, których zowią ketnerami (od niemieckiego Kathe — chałupa).

Jak wielkie majątki przez parcelacyę coraz więcej w ostatnich 30 latach się rozpadły, tak i w tym czasie bardzo wiele większych gospodarstw rozdrobniono przez parcelacyę. Właśnie teraz, kiedy przez uchwalenie nowego pruskiego prawa osadniczego parcelacya wielkich majątków między Polaków stała się niemożliwą, parcelują większe gospodarstwa w ten sposób, że chałupnicy dokupują do swej posiadłości po kilka lub kilkanaście mórg i zaokrąglają małe swe posiadłości.

Na ogół gospodarzą i gospodarze i chałupnicy Polacy racyonalnie i nie pozostają w sposobie uprawiania roli i gospodarzenia poza Niemcami. Lecz przypatrując się bliżej, zauważymy, że gospodarze mieszkający w Prusiech Królewskich, nie dorównują pod względem racyonalnego gospodarzenia gospodarzom (włościanom) w W. Księstwie Poznańskiem. Włościanie w Poznańskiem stoją pod względem racyonalnego gospodarzenia bez

wątpienia wyżej od włościan w Prusiech. Wyższość ich pod tym względem osiągnęli włościanie w Poznańskiem przez liczne Kółka rolnicze, które w różny sposób wpływają na członków, ażeby właściwiej gospodarzyli i z ziemi i gospodarstwa coraz większe zyski osiągali.

O ile w Poznańskiem Kółka rolnicze wzrosły do niebywałej liczby i z roku na rok ich liczba i przytem liczba członków wzrasta, o tyle tutaj pomimo wszelkich prób i starań Kółka rolnicze wiodą żywot suchotniczy.

Pierwsze towarzystwo rolnicze założono w r. 1850. dla ziemi chełmińskiej i michałowskiej we Wąbrzeźnie. Pomału przybywały nowe Kółka rolnicze w różnych stronach Prus Królewskich; w r. 1875. istniało ich 49, od tego czasu zaczęła ich liczba upadać, a obecnie liczymy ich około 20. Podczas gdy w r. 1875. było około 3000 członków, dzisiaj w Kółkach rolniczych naliczylibyśmy ich z biedą 1500. Różne przyczyny składają się na tak niepomyślne stosunki pod tym względem. Nie mamy przedewszystkiem dość inteligencyi chętnej do pracy nad oświatą i dobrobytem ludu, zwłaszcza między duchowieństwem; dalej policya stawia wiele trudności, wreszcie brak lokali do posiedzeń. Główną jednak przyczyną jest odrębny charakter gospodarza naszego i jego usposobienie. Gospodarz nasz pod względem usposobienia powolniejszy, mniej rozumie siłę pracy zbiorowej i korzyści, jakich w towarzystwach nabyć można, i nie chce wierzyć, że Kółka rolnicze wpłynąć mogą na ulepszenie gospodarstwa i podniesienie dobrobytu. W ostatnim czasie powstała myśl stworzenia urzędu patrona dla Kółek rolniczych, któryby na wzór działalności patrona w Poznańskiem pobudził Kółka do większej czynności i przyczynił się do powiększenia ich liczby. Wątpić jednakowoż należy w skuteczność środka tego, bo charakteru gospodarzy się nie zmieni.

Inaczejby było, gdyby Kółka rolnicze zakładano nie dla gospodarzy, lecz dla t. zw. chałupników, o których wyżej mówiłem. Chałupnicy ci, posiadający po 10—50 mórg roli, są o wiele chętniejsi i wyrozumialsi dla pracy zbiorowej niż gospodarze. Odznaczają się oni wielką zabiegliwością, większem zrozumieniem dla spraw narodowych i zarobkowych i tworzą w pracy narodowej i społecznej główną siłę, na której się opieramy.

Od rolnictwa do przemysłu krok tylko, bo w racyonalnem gospodarstwie bez przemysłu rolniczego się nie obejdzie. Nie mamy wprawdzie cukrowni wyłącznie polskiej, ale są gorzelnie, mleczarnie i młyny. Wprawdzie jest ich niewiele, lecz każdy prawie w i ę k s z y majątek ma gorzelnię własną i mleczarnię, albo należy do mleczarni spółkowej, którą zwykle kilku wła-

ścicieli ziemskich na własny koszt wybudowało i prowadzi na wspólny rachunek.

I włościanie również mają spółkowe mleczarnie, które dobrze prosperują i dają ładny zysk. Taka mleczarnia spółkowa włościańska istnieje n. p. niedaleko Tucholi w Gostycynie i świadczy o obrotności i sprężystości tamtejszych gospodarzy.



Fig. 354. Mleczarnia w Gostycynie.

P r z e m y s ł u większego (fabrycznego) jest bardzo mało w rękach polskich.

W ostatnich latach wieś Czersk, leżąca w Borach tucholskich niedaleko Chojnic, stała się środowiskiem przemysłu drzewnego, lecz przemysł ten pozostaje głównie w rękach żydowsko-niemieckich. Mała fabryka listew (do obrazów) należąca dawniej do Klińskiego, zlała się z wielką fabryką Schütta i zamieniono ją na fabrykę akcyjną, której akcyonaryuszami są w wielkiej części Polacy. W fabrykach drzewnych w Czersku zatrudnionych jest około 1000 robotników polskich.

Oprócz tego istnieje w Czersku fabryka narzędzi rolniczych »Victoria«, której właścicielami są Polacy. Fabryka ta, przed kilku laty założona, zatrudnia około 50 robotników.

Największym zakładem przemysłowym polskim jest fabryka cygar Pokory w Wejherowie niedaleko Gdańska. Fabryka ta, z małych początków powstała, rozrosła się dzięki sprężystości właściciela tak dalece, iż zatrudnia teraz 300 robotników (fig. 356). Oprócz tej wybudował Pokora drugą fabrykę cygar w Śliwicach (w Borach tucholskich), którą właśnie otworzył.

W Grudziądzu istnieje polska pralnia chemiczna Sterca, w Brusach (w Borach tucholskich) parowa piekarnia i tartak drzewny Wróblewskiego; w Toruniu jest większa introligatornia i wydawnictwo książek do nabożeństwa Buszczyńskiego.

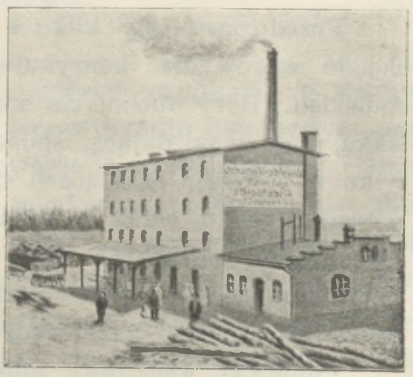

Fig. 355. Parowa piekarnia w Brusach.

Wspomnieć także należy o drukarni »Gazety Grudziądzkiej« w Grudziądzu; gazetę tę drukują 3 razy tygo-

dniowo w nakładzie 70 tysięcy egzemplarzy. Drukarnia posiada także maszynę do drukowania obrazów kolorowych.

Niewielkim zatem poszczycić się możemy większym przemysłem. Zato polski przemysł drobniejszy coraz więcej się rozrasta w miastach i po wsiach i coraz więcej przybywa nam rzemieślników Polaków. Odcięci od urzędów Polacy coraz więcej poświęcają się rzemiosłu i dlatego w miastach i miasteczkach naszych, w których dawniej głównie Niemcy rzemiosło uprawiali, coraz więcej polskich rzemieślników.

Przemysł domowy bardzo mało u nas rozpowszechniony. Niedaleko miasta Nowego (nad Wisłą) wyrabia około 100 ludzi wyroby koszykarskie, które sprzedają przedsiębiorcom.

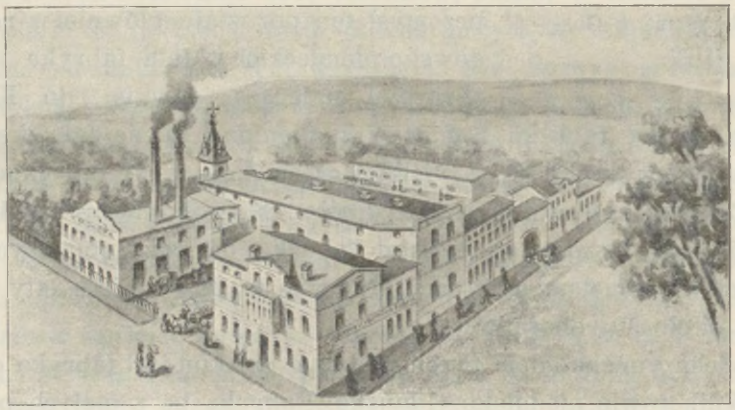

Fig. 356. Fabryka cygar Pokory w Wejherowie.

Przed paru laty kilku z inteligencyi, pracującej chętnie dla ludu, chciało wprowadzić koszykarstwo jako przemysł domowy w Borach tucholskich. Bory tucholskie mają mało roli do uprawy, a przytem rolę lekką, małe zyski dającą. Sposobności do zarobku mało, bo prace w borach tylko w pewnych miesiącach są podejmywane i zarobek nie bardzo duży. Z tego powodu około $^2/_3$ ludności wędruje na letnie miesiące na Zachód i wyludniają się prawie całe wsie. Obrachowano, że w parafii śliwickiej, która leży w środku Borów tucholskich i liczy około 10.000 dusz (6500 ludzi ponad 14 lat), 4000 ludzi wędruje na letnie miesiące na Zachód.

Ponieważ wędrówka ludu naszego na Zachód i przebywanie poza domem tyle miesięcy wywołuje pod względem narodowym i moralnym

różne niebezpieczeństwa, miało wprowadzenie przemysłu koszykarskiego zapewnić ludowi naszemu odpowiedni zarobek i powstrzymać go od szukania zarobków na Zachodzie. W tym celu założono w r. 1896. szkołę koszykarską w Tucholi, na której czele stanęli dr. Karasiewicz i ks. Kiedrowski. Z powodu niedostatecznej ilości uczniów przeniesiono ją do Śliwic i założono zarazem kilka mniejszych szkółek w innych wsiach. Wszelkie zabiegi ks. dr. Sychowskiego, żeby szkoły te utrzymać, były bezowocne. Brak uczniów i za wysokie koszta utrzymania szkółek spowodowały ich zamknięcie.



Fig. 357. »Kupiec« w Brusach.

Handel spoczywał u nas dawniej (z małymi wyjątkami) w rękach żydów. I dzisiaj handel hurtowny dzierżą, lecz w handlu detalicznym stosunki się zmieniły. Niemożliwość konkurowania z zasiedziałemi i zamożnemi firmami żydowskiemi, które ubijały młodych kupców Polaków zniżaniem cen, nieraz nawet poniżej wartości towaru, naprowadziły na myśl przeciwstawienia kapitałom żydowskim zbiorowych kapitałów polskich. W tym celu założono w r. 1898. w Brusach (w Borach tucholskich) zbiorowymi pieniądzmi pierwszy skład bławatny pod nazwą »Kupiec«, który miał tak świetne powodzenie, że niedługo założono po innych miasteczkach

i wsiach filie. Obecnie »Kupiec« rozrósł się do potężnej instytucyi finansowej, liczącej około 4000 członków, posiadającej kilka filii równie świetnie prosperujących i mającej, pomimo wysokiej dywidendy, uskładanego funduszu rezerwowego około 70.000 marek.

Za przykładem Brus ruszyły się i inne okolice i z pomocą »Kupca« lub za jego poradą powstały podobne handle w różnych miastach Prus Królewskich. Przedewszystkiem pocieszającym objawem jest, że w podobny sposób założono interesa kupieckie na Kaszubach.

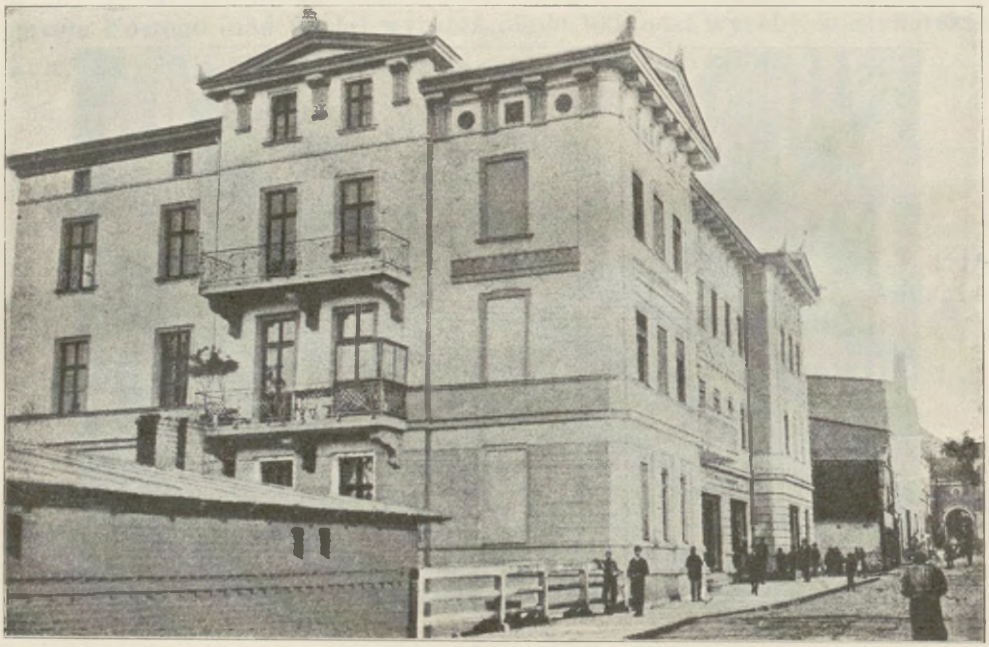

Fig. 358. Bank ludowy w Lubawie.

Pobudką najgłówniejszą, ażeby zbiorowymi kapitałami ugruntować i rozszerzyć handel polski, były znakomite doświadczenia, jakie nam dały banki pożyczkowe. Kapitałami, jakie złożono w bankach pożyczkowych, udało się zupełnie wyrugować lichwiarstwo w pożyczaniu pieniędzy. Pierwszemi spółkami pożyczkowemi u nas był Bank w Brodnicy i Golubiu. Obecnie mamy 4 spółki pożyczkowe, liczące około 20.000 członków, a złożono w nich przeszło 15 milionów marek oszczędności. Największą spółką pożyczkową jest Bank w Lubawie,

mający 2500 członków i $2^1/_2$ miliona marek złożonych oszczędności. Oprócz tego mamy 3 spółki parcelacyjne w Kościerzynie, w Tucholi i Toruniu, a w Pelplinie spółkę »Rólnik«, która trudni się sprzedawaniem zboża i innych produktów rolniczych.

Dr. Karasiewicz.



Fig. 359. »Rólnik« w Pelplinie.

STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE
NA ŚLĄSKU POLSKIM.

Rzućmy okiem na ziemię oderwaną przez całe wieki od pnia ojczystego, a której odzyskanie w czasach największego ucisku narodowego stanowi słusznie dumę Polaka: na Śląsk Górny.

Usuńmy najpierw nieporozumienie co do nazwy. Śląskiem górnym nazywają powszechnie tylko polską część Śląska pod panowaniem pruskiem, a część austryacką nazywają już niektórzy — w odróżnieniu od tamtej — dolnym Śląskiem. Jest to zupełnie błędne. Nazwa jakiegoś kraju: górny — średni — dolny — stosuje się do biegu rzeki, w tym wypadku do biegu Odry. Śląsk Dolny, zniemczony w zupełności jeszcze za Piastów, przejmuje już trochę żywiołu polskiego w okolicach najbardziej na północ wysuniętych, dzięki bezpośredniemu sąsiedztwu Wielkopolski; ale są to dopiero pierwsze krople padające na kamień. Śląsk średni, wrocławski, polszczyć się poczyna od strony południowej, od sąsiednich okolic górnośląskich. Cały Śląsk polski, i pruski i austryacki, jest Górnym Śląskiem, a nawet austryacki jest bardziej od pruskiego »górnym«, bo leży bardziej w górę rzeki Odry. Dla odróżnienia można te dwie części Górnego Śląska nazywać: Cieszyńskiem i Bytomskiem.

Nie tylko dla samej ambicyi narodowej musi nam zależeć niezmiernie na Śląsku. Łączą się z tem najdonioślejsze interesy realne.

Wszak to jedna z najbogatszych krain nie tylko Europy, ale całego świata! Dzięki temu, że podłoże powierzchni tego szczęśliwego skrawka ziemi odznacza się nadzwyczajną rozmaitością geologiczną, obdarzony jest Śląsk jak najhojniej przez przyrodę. Znajdzie się tu granit, piaskowiec

biały i czerwony, kamień wapienny, marmur, gips, łupek gliniany, glina na cegły i glinka porcelanowa, fluspat, kwarc, porfir i tyle innych jeszcze bogactw przyrody, że trudno je wszystkie wyliczać, a przy tem wszystkiem żelazo i coś jeszcze, co warte więcej od dyamentów — węgiel.

Najlepsze kopalnie dyamentów dadzą stałego zajęcia tysiącu, półtora tysiąca ludziom, dobrobyt setce jednej lub dwom, bogactwo rzadko komu, bo trzeba nieraz miesięcy długich próżnej pracy, nim się znajdzie okruch drogiego kamienia, wart oszlifowania. To też przy kopalniach dyamentów

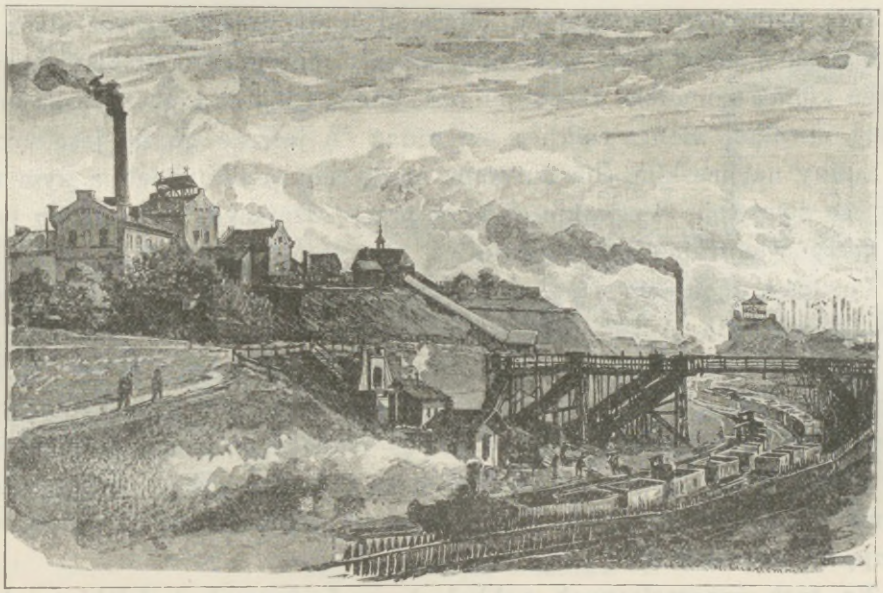

Fig. 360. Kopalnie węgla hr. Wilczka w rewirze ostrawskim na Śląsku austryackim.

doznaje sto razy więcej osób klęski, niż pomyślności; zawodów i utrapień stokroć tam więcej, niż radości, i prędzej dziesięciu straci przy nich resztkę swych zasobów i ochotę do życia, niż jeden coś zarobi.

Ale kopalnia węgla, raz w ruch puszczona, nikomu nie sprawi zawodu. Można go czerpać każdej godziny z zupełną pewnością, że się go znajdzie, i prędzej dziesiątki tysięcy na nim zyskają, niż się zdarzy, że przez jakiś szczególny zbieg okoliczności jeden na nim straci. Gdzie węgiel — tam dobrobyt.

Te czarne skamienieliny jakby miały ducha w sobie. Wszystko, co koło nich, ożywiają, wprawiają wszystkie inne płody ziemi w dobroczynny ruch

i zwołują ludzi zewsząd: Garnijcie się do mnie, tu zarobek pewny dla was, dla waszych dzieci i praprawnuków!

Obliczono, że węgla na Śląsku starczy choćby na dwa tysiące lat.

Fabryki najlepiej stawiać blizko kopalń węgla, żeby mieć taniej to, bez czego niema przemysłu: te skamieniałe przedpotopowe drewna. Takie fabryki, same mniej mając wydatków, mogą dawać towar taniej i mają ogromne ułatwienia w konkurencyi. Dlatego to Śląsk tak się roi od kominów fabrycznych, a są w nim takie okolice, że od dymu niebo szare.

Gdy podróżny, nie znający dobrze tych stron, jedzie przez Śląsk koleją żelazną w jasny dzień słoneczny, na trzy mile przed Ostrawą zaczyna wróżyć koniec pogodzie. Horyzont posępnieje, robi się szary i coraz brudniejszy, chwilami słońca całkiem nie widać. A jeszcze gorzej jest w okolicy Lipiny na pruskim Śląsku: tam nigdy słońca nie widać, a dym taki gęsty, że zamykają wszystkie okna w przejeżdżającym pociągu, bo tylko tamtejszy potrafi to wytrzymać.

Powiecie, że to brzydkie. Może to jednak być ładne, a nawet wspaniałe, tylko trzeba jechać szosą. W promieniu dwóch mil, gdzie oko sięgnie, cała okolica ma oświetlenie z dużych ognisk, ze słupów ognia, wysokich nieraz aż na 30 metrów, i z niezliczonych mniejszych ognistych kręgów, wstęg i młynków. Jakby jakieś podziemne moce urządzały co nocy straszną, żywiołową sobótkę. Bo też i prawda, że to moce są podziemne, w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Wprzągnięte do roboty, wysługują się człowiekowi.

Na tych urozmaiconych pokładach geologicznych i dzięki węglowi porozstawiał człowiek jaki milion maszyn i urządził przemianę surowych płodów na towar fabryczny, czyli stworzył przemysł. Kwitnie tu każdy rodzaj przemysłu, a nawet takie, do których w samej ziemi niema tworzywa. Sprowadza się skądinąd surowiec, żeby go przerobić na Śląsku, bo taniej przysłać tu materyał, niż stąd sprowadzać węgiel. Pomyślmy sobie cokolwiek, czegokolwiekby nam się zachciało: wszystko wyrabia się na Śląsku, wszystkiego tu z pierwszej ręki dostanie.

W samem zagłębiu ostrawskiem (którego kawałek tylko leży na Morawach, a reszta w księstwie Cieszyńskiem) wydobyto jednego roku (1900) pięć milionów ton węgla, a w tym samym roku na Śląsku pruskim 35 milionów ton. Trzeba sobie wartość tony na miejscu, w samej kopalni, obliczyć przynajmniej po 10 koron (w ostatnich dwóch latach zdrożało nagle,

ale liczmy po cenie dawniejszych, tańszych lat) i trzeba sobie pomyśleć, że te 400 milionów koron nie leżą w kasach na skromnym procenciku, ale idą zaraz w przemysł, gdzie pieniądze rodzą pieniądze bez końca, a zyski dzielą się między ludzi, którzy, rosnąc w dobrobyt, dają też sobie nawzajem coraz więcej zarabiać, tak, że ten pieniądz idzie nieustannie z ręki do ręki i po każdej wypłacie, dwa razy na miesiąc, obraca się — a będziemy mieli pojęcie, jaki jest obrót pieniężny na Śląsku.

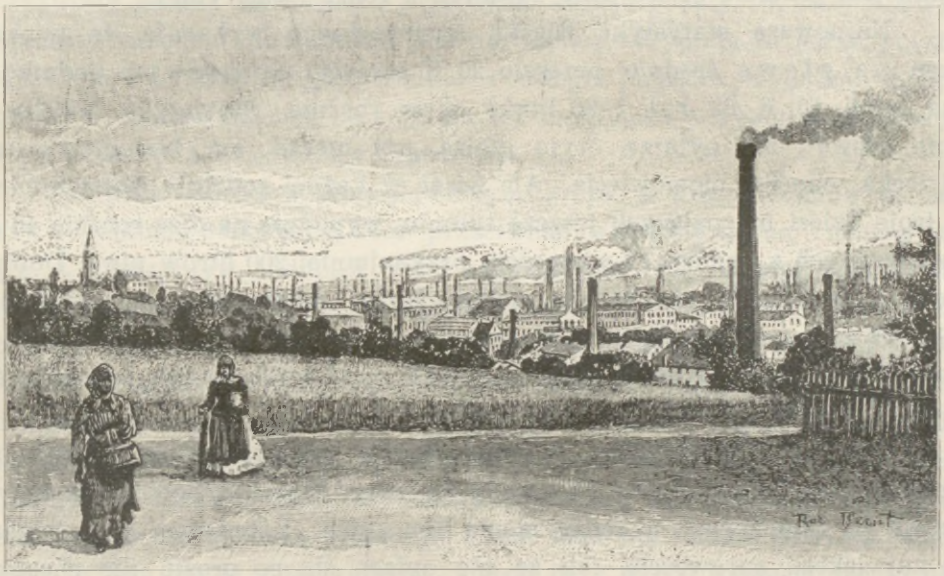

Fig. 361. Fabryki w Bielsku.

To też Ślązak lubi wygodę. Stać go na to. Płaci ogromne podatki krajowe, żeby mieć najlepsze obok Belgii w całej Europie drogi i sieć kolei żelaznych taką, iż bez przesady powiedzieć można o takiej np. okolicy Bytomia, że tam niedługo nie będzie już gdzie piechotą chodzić. Na Śląsku austryackim wynoszą dodatki krajowe do podatków państwowych 69% przy podatkach t. zw. realnych, a 76% przy osobistych. Ale trzeba jeszcze zapłacić podatki gminne. W Michałkowicach np. wynoszą one 120% państwowych, w Cieszynie 136%, w Bielsku 174%, w Polskiej Ostrawie 212%, a w Karwinie 556%. To znaczy, że ktoś płacący np. 8 koron rocznie państwowego podatku realnego, a 2 korony osobistego, musi prócz tego zapłacić jeszcze w Karwinie podatków krajowych i gminnych 62 K. 64 h.

I nikt na to nie sarka. Płacą, bo mają z czego, a chcą mieć światło

elektryczne, wodociągi, dużo szkół w pięknych gmachach, wyborne bruki, czyściutko przymiecione ulice, kanalizacye, piękne i obszerne ogrody publiczne i t. p.

W małem miasteczku śląskiem tyle jest wygód i takie przyjemne życie, jak w żadnym innym kraju tej części Europy. To też do okolic bardziej oddalonych od węgla, gdzie niema zaćmień słońca od dymu, bo kominów mniej, zjeżdżają sobie na stare lata emeryci. Na Śląsku austryackim jest przeszło 32.000 osób żyjących z renty i emerytury.

Najnowsza statystyka Śląska austryackiego wykazuje, że wypada tam na głowę średnio przeszło 20 K samych państwowych podatków, na tytoń 10 K 62 hal. i 60 litrów piwa rocznie. Statystyka oblicza to »na głowę«, nie pytając, czyja głowa, czy męska, czy białogłowy, czy dziecka, choćby niemowlęcia. Ale licząc w każdej rodzinie jedną kobietę i troje dzieci nie palących jeszcze tytoniu, wypadnie na ojca rocznie 40 K, puszczanych z dymem, i z pewnością przynajmniej 200 litrów piwa. Dobrze tedy żyje Ślązak, nie żałując sobie. Może lekkomyślny, marnotrawca? Gdzież zaś! powiada ta sama statystyka, że wypada tam na głowę 1194 K leżących w Kasie oszczędności. A Ślązak część tylko swoich oszczędności zwykł składać do kasy, a resztą obraca!

Tak wypada »średnio«. W rzeczywistości nie brak obok wielkich bogaczów ludzi ubogich. Ale doprawdy, że ubogi Ślązak uchodziłby w innym kraju za zamożnego, a nędzy niema tam zgoła. Żebractwo jest ścigane z największą surowością, tak że nie opłaca się po prostu nie chcącym pracować; więcej przy niem kłopotu, niż zarobku, a Ślązak nie lubi dawać jałmużny. Tyle wszędzie do około sposobności do zarobku, że kto puszcza się na żebry, z pewnością hultaj. Kaleki mają urządzone doskonale przytułki, a bogate gminy nie żałują im kęsa chleba. To też na śląskich odpustach spostrzega się ze zdziwieniem, że niema na nich żebrzących kalek.

Niema na Śląsku okolicy, któraby nie była przemysłową, ale nie wszystkie są jednakowo przemysłowemi. W niektórych stronach kominów fabrycznych więcej, w innych mniej; tu komin przy kominie, tam dosyć jeszcze gęsto, a gdzieindziej zrzadka. Są okręgi przeważnie górniczo-przemysłowe, są też takie, w których przeważa rolnictwo.

Milami całemi widać wiosną i jesienią przedziwnie gęstą i równą ruń zielonych zasiewów, na jej tle wsie wyglądające na miasteczka, białe dworki, będące własnością zamożniejszych włościan, i obszerne budynki gospodarskie, zazwyczaj stawiane lepiej i kosztowniej od domów mieszkal-

nych. Wśród tego dużo wież kościelnych, bo w niejednej osadzie po dwa domy boże: katolicki i ewangelicki, wsi zaś bez kościoła niewiele. I zawsze na horyzoncie choćby tylko ze trzy lub cztery kominy fabryczne na dowód, że i w takiej okolicy ludzie umieją pracować wszelakim sposobem. Nie mącą one wcale widoku, dodają mu tylko urozmaicenia.

Wejdźmy do wsi. Wszędzie szkoła i poczta, sklepy, gospody z bilardami. Nawet w uboższej wsi górskiej można zjeść smaczny obiad, znaleźć przyzwoity pokoik na nocleg i przeczytać świeże gazety. W całej Austryi najwięcej urzędów pocztowych jest na Śląsku. Wypada tu jedna poczta na 19 klm. □, podczas gdy średnio z całego państwa wypada 1 urząd pocztowy dopiero na 35½ klm. □. Bo też na Śląsku przypada »na głowę« 40 listów rocznie i po kilka czasopism.

Nie brak chleba w błogosławionym kraju, a więc nieznaną tu jest prawie całkiem emigracya, lecz przeciwnie, widzi się liczną immigracyę, t. j. przypływ ludności obcej. Ślązak ma rolę, handel, rękodzieła, drobny przemysł i t. p., i tyle osób znajduje tu byt samodzielny, że do zajęć służebnych odczuwa się brak rąk. Zazwyczaj większa część ludności jakiegoś kraju żyje z zajęć robotniczych (które oddzielić należy od rękodzieł czyli rzemiosł) i z prostego wyrobku. Ślązaków zaledwie czwarta część potrzebuje zarabiać w ten sposób, a więc w kopalniach i fabrykach wszędzie pełno ludności napływowej, która w niektórych okolicach ma nawet znaczną przewagę. Jeżeli taka np. Polska Ostrawa miała przed 30 laty tysiąc mieszkańców, a dziś liczy 22.000 ludności, toć to nie dzieci tamtego tysiąca, ale przybysze, wśród których pierwotne obywatelstwo gminy już ginie jako znikoma mniejszość.

Zaludnienie jest też niezmiernie gęste. Austryacka część Śląska liczy »średnio« 132 mieszkańców na jeden kilometr kwadratowy, a na Śląsku pruskim ciśnie się jeszcze więcej ludzi na niewielkiej przestrzeni, zwłaszcza w stronach od Katowic, Królewskiej Huty i Bytomia. Najwięcej ludności — i kominów fabrycznych — jest w trójkącie, który otrzymamy na mapie, łącząc liniami prostemi Piekary, Katowice i Gliwice. Okolica ta, zajmująca do 4 polskich mil □ obszaru, jest właściwie jednem miastem, niby Londynem polskim. W tym kącie Śląska każda wioszczyna przemieniła się już w miasto, chociaż nie wszystkie mają przyznane sobie urzędowo prawo miejskie. Skupienie osad miejskich, przytykających nieraz do siebie tak bezpośrednio, że gdzieś w środku ulicy jest granica dwóch gmin, urozmaicone jest jeszcze gdzeniegdzie łąkami, stawami i t. p., ale

coraz tego mniej, a nigdy się naprawdę z pośród domów nie wyjeżdża. Tuż za Przemszą, graniczną rzeką Prus i Rosyi, leżą Dąbrowa Górnicza, Sosnowiec i t. d., stanowiąc takie samo skupienie miastowe po drugiej stronie granicy, a łączące się niemal bezpośrednio ze Śląskiem. Wszystkie te osady razem tworzą najrozleglejsze na całym świecie miasto czy okręg miejski. Od północy kończy się ten polski Londyn na Niemieckich Piekarach (osada polska wbrew swej nazwie), a że okrąg przemysłowy po stronie zaboru rosyjskiego nie sięga tak daleko na północ, więc tu druga strona Przemszy jest rolnicza.

Skutkiem tego można tu mieć w pewnem miejscu widok niezmiernie oryginalny, jedyny na świecie. Przejdźmy od starej fary piekarskiej nieco pod górę, ku Przemszy, na t. zw. Kalwaryę, i stańmy na szczycie niewielkiego pagórka nad rzeką. Z jednej strony kamienne morze, z drugiej morze zieleni; tu huk, ryk, syk — tam spokój i cisza. Z jednej strony kończy się widnokrąg smugą młodego lasu, a z trzech innych stron ujęty jest w popielatą ramę, przybierającą szczególniejsze odcienia przy zachodzie słońca. Rama ta utkana jest z dymów fabrycznych po obydwóch stronach prusko-rosyjskiego kordonu.

Tak!... prusko-rosyjskiego! Przemsza nie szeroka i nie głęboka, przejśćby ją można w bród, a nie wolno! Chciałoby się pójść na drugi brzeg i tam wśród łąk i zagonów wyszukać sobie dogodne do widoku miejsce, bo stamtąd gdyby podejść o jaki kilometr ku leśnej smudze, miałoby się jeszcze ciekawszy widok w trzy ćwierci koła, z pewnością najoryginalniejszy może na polskiej ziemi. I tu i tam polska ziemia, piastowska. Przejść nie wolno...

Na Kalwaryę Piekarską schodzi się na odpusty dziesiątki tysięcy ludu i patrzy na tę »granicę«, rozpierającą kości i członki jednego ciała. Lud to oświecony, szlachetny i myślący, i nie jest to wcale przypuszczeniem, ale zupełną pewnością, do której mamy wiele powodów, gdy powiemy, że myślą oni o tej przeklętej granicy, a wśród modłów, zanoszonych tu przed tron Boga, nie brak modlitw za Polskę.

Góruje patryotyzmem pruska część Śląska, a wśród niej pierwsze miejsce należy się owemu polskiemu Londynowi. Okolice rolnicze mniej są uświadomione narodowo, ale już doganiają, co zaniedbały, i uświadomienie narodowe szerzy się coraz dalej ku północy, zdobywając dla Polski na nowo już północne strony Opolszczyzny, ku Śląskowi Średniemu. Księstwo Cieszyńskie nie ma tyle ruchu w sobie i przedsiębiorczości, ale

wypływa to z ogólnego charakteru ludności, która na Śląsku, czem dalej na południe, tem jest stateczniejszą, ale i powolniejszą we wszystkiem, mniej wrażliwą, dłuższego więc potrzebuje czasu, żeby się rozmyślić i nakłonić na nową drogę. Ale gdy cieszyński Ślązak raz coś postanowi, można mu już wierzyć na całe życie. Bądź co bądź, i w Cieszyńskiem $^2/_3$ polskiej ludności są już narodowo uświadomione.

Spisy urzędowe z roku 1900. podają 1,100.831 Polaków na Śląsku po stronie pruskiej, a 220.472 po austryackiej. W rzeczywistości było ich więcej i tu i tam. Arkusze urzędowe do spisów ludności nie posiadają rubryki: »narodowość«, tylko: »język towarzyski« (Umgangssprache). Prowadzi to do nieporozumień i do nadużyć. Niejeden, nie rozumiejący właściwej istoty spisu, skoro umie po niemiecku, zapisze obydwa języki jako swoje »towarzyskie«, a urząd wliczy go potem do Niemców. Na pruskim Śląsku, gdzie spisu dokonują zazwyczaj nauczyciele, zajadli wrogowie polszczyzny, wykazuje się z reguły takich tylko, jako Polaków, którzy oświadczą, że po niemiecku całkiem nie umieją; inni muszą się dopiero dopominać i sami dopilnować tego, żeby im zapisano język polski jako ich język »towarzyski«. Uwzględniwszy to wszystko, możemy przyjąć na pewno, że te cyfry urzędowe obejmują tylko Polaków narodowo uświadomionych. Nie dbając już o osoby polskiego pochodzenia, ale zgermanizowane i nie życzące sobie, żeby ich uważano za Polaków, należy jeszcze doliczyć do cyfr urzędowych jakie 150.000 takich, którzy uważają się za Polaków, ale nie protestują dosyć stanowczo, gdy ich zapisują za Niemców. Dodajmy naturalny przyrost ludności za 7 lat i przyrost immigracyi polskiej (głównie z Galicyi), a wolno nam będzie ocenić ilość Polaków na Śląsku z początkiem 1908. roku przynajmniej na 1,700.000, licząc na pruski okrągło 1,400.000, a na austryacki 300.000, jeśli nie więcej.

Na samym więc Śląsku, w prowincyi, którą uważało się już za straconą, jest nas więcej, niż wynosi liczba niejednego małego narodu w Europie! A skorośmy już doszli do tego, że ludność ta ma się za jedno z Polską całą i z polskim patryotyzmem, byłoby doprawdy wstydem, gdybyśmy ustali w połowie drogi. Miejmyż otuchę, że damy sobie też radę z drugą połową roboty.

Jakaż-to druga połowa? Nie wystarcza narodowe zdobycie Śląska, trzeba go zdobyć ekonomicznie. Zaraz to wyłuszczymy:

Zróbmy wycieczkę do dwóch stolic polskiego Śląska: do Cieszyna i Bytomia.



Fig. 362. Z fabryki stali w »Hucie Rudolfa« pod Cieszynem.

Na stacyi w Cieszynie nie zawsze się można rozmówić po polsku. Napisy ulic wyłącznie niemieckie, burmistrz i rada miejska niemiecka, urzędnicy gminni urzędują po niemiecku, nawet policyanci cieszyńscy lubią udawać, że nie rozumieją po polsku. W hotelach, restauracyach gwarno od niemieckiej mowy; na poczcie urzędnik zachowuje się grubijańsko względem Polaków, po sklepach trzeba się upominać o prawa języka polskiego. A ten Cieszyn ma znaczną większość polskiej ludności i leży w czysto polskiej okolicy. Dopiero w niedziele i dni świąteczne przybiera miasto

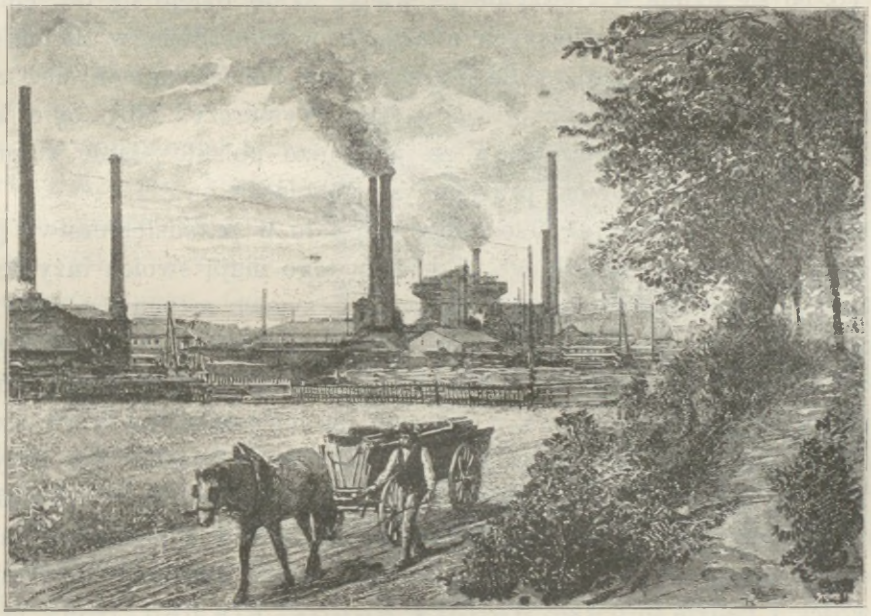

Fig. 363. Huta »Cesarza Franciszka Józefa« pod Cieszynem.

cechę polską. Wtenczas trzeba długo nadstawiać ucha, żeby usłyszeć na ulicy słowo niemieckie. To lud polski wyległ na ulice Cieszyna, korzystając z dnia świątecznego, i w jednej chwili okazało się, że niemczyzna jest tu tylko zewnętrznym pokostem, łupiną, pod którą jest jądro czysto polskie.

Czemuż jednak i łupina nie jest naszą? Odpowiedź będzie się zrazu może wydawała dziwną: Bośmy na to, na tym bogatym Śląsku — jeszcze za ubodzy. My tu mamy na chleb powszedni dostatnio, ale inni mają bogactwa tego kraju, a my jesteśmy od nich zależni. Niema zaś prawdziwej niezależności, gdzie jest zależność ekonomiczna.

Na całym Śląsku niema ani jednej większej fabryki, ani jednej kopalni i — ani jednej większej posiadłości ziemskiej w polskiem ręku. Wszyscy opłacający wyższe podatki są Niemcami, a że ordynacya gminna daje im przewagę, dlatego oni rozstrzygają o radzie miejskiej i magistracie, a gdzie magistrat niemiecki, tam już całe miasto przybrane w urzędową niemiecką szatę. Nie zdobędziemy miasta Cieszyna i innych, póki tam nie będziemy mieli odpowiedniej ilości Polaków, płacących wyższe podatki.

To, co się dzieje w Cieszynie na wielką skalę, dzieje się też, chociaż na skalę mniejszą, w mniejszych miastach: w Skoczowie, w Strumieniu, w Jabłonkowie i t. d. A gdzie nie natrafimy na Niemca, natrafi się Czech, i niektóre gminy przybierają pokost czeski. Wystarczy, żeby było kilku Czechów w wydziale gminnym, a za pieniądze polskie stanie w gminie szkoła czeska takiem samem prawem, jak niemiecka.

Czesi mają sporo już włożonego kapitału w przedsiębiorstwa przemysłowe Księstwa Cieszyńskiego. Skutkiem tego mają swoich inżynierów, dyrektorów fabryk i kancelaryj i wreszcie — swoich sztygarów. Robotnik polski odbiera od nich rozkazy nie tylko przy robocie, ale także przy wszelkich wyborach, przy posyłaniu dzieci do szkoły i t. d. Będą mu dokuczali, jeżeli ich nie posłucha, a lud nasz nie ma jeszcze na tyle poczucia i siły, żeby się tym nadużyciom oparł solidarnie; jednostki zaś przypłacają słuszny opór częstokroć utratą chleba. To też z wyższych urzędników przemysłowych prawie wszyscy należą do wydziałów gminnych i nadają osadom przemysłowym pokost niemiecki lub czeski, stosownie do swej narodowości. I będzie to trwało d o p ó t y, d o p ó k i n i e b ę d z i e m y m i e l i p o l s k i c h i n ż y n i e r ó w n a Ś l ą s k u.

Dopiero w grudniu 1907. r. założono polską szkołę sztygarów w Dąbrowie. O polskiej szkole realnej w Cieszynie zaczyna się ledwie szeptać po cichu.

Nie brak w Polsce bogaczy i to wielkich bogaczy, ale żaden z nich nie umieszcza swych kapitałów na Śląsku. Zdarza się w ostatnich czasach coraz częściej, że polscy magnaci kupują wielkie dobra na Morawach, ale żaden z nich nie pomyślał jeszcze, że kupując ziemię na Śląsku, miałby i zysk i zasługę.

Cały Śląsk, tak austryacki, jako też pruski, ma ogromnie dużo t. zw. l a t y f u n d y ó w, t. j. wielkich obszarów gruntów, skupionych w jednym ręku. Właściciele — czy to fabryk, czy to latyfundyów — nie troszczą się

z reguły o sprawy narodowościowe i byle tylko mieli swoje zyski, reszta im obojętna. Wszystko jedno byłoby im, kto jest ich dyrektorem, plenipotentem, rządcą, inżynierem, ekonomem, sztygarem i t. p., czy Niemiec, czy Czech, czy też Polak. Ale polska inteligencya techniczna i rolnicza nie garnie się wcale do Księstwa Cieszyńskiego, a więc zostają do wyboru tylko Niemcy i Czesi.

Głównymi latyfundystami Cieszyńskiego są hr. Larischowie i t. zw kamera arcyksiążęca. Blizko trzecia część Księstwa jest prywatną własnością domu Habsburskiego i ktoś z arcyksiążąt pobiera dochody z tych rozległych dóbr, których zarząd sprawuje »kamera«. Urzędnicy kamery są prawdziwymi panami tej części. Był czas, kiedy z góry umyślnie używano kamery, jako narzędzia germanizacyjnego. Od dłuższego czasu niema już u góry umyślnej takiej niechęci względem żywiołu polskiego, a jednak stosunki nie zmieniły się na lepsze, i urzędnicy kamery wydziwiają po dawnemu.



Fig. 364. Gimnazyum polskie w Cieszynie.

Techniczną i rolniczą inteligencyę należałoby sprowadzić z innych prowincyj polskich. Śląsk nie prędko zacznie ją wytwarzać.

Cieszyńskie wytwarza inteligencyę polską, ale tylko do tych zawodów, które mają bardzo niewiele wpływu na ekonomiczny ustrój kraju. Mając seminaryum nauczycielskie i gimnazyum, zapełnimy zwolna posady sędziów, profesorów, lekarzy powiatowych i gminnych i t. p., ale nie wpłyniemy ani na przedsiębiorstwa przemysłowe, ani na kamerę.

Bądź co bądź, założenie polskiego gimnazyum w Cieszynie jest epoką dla nas w tym kraju. Jest to zasługą stowarzyszenia »Macierzy Polskiej«, które założyło ten zakład ze składek całej Polski, a głównie z pomocą Warszawy (największym dobrodziejem adwokat warszawski Osuchow-

s k i) i utrzymywało go aż do upaństwowienia. Ilość uczniów w gimnazyum niemieckiem topnieje z roku na rok, a młodzież śląska wychowuje się w ideałach Kościuszki i Mickiewicza, wyrasta nowe pokolenie przywódców ludu polskiego. Jest to tryumf polskiej sprawy wielki, bezsprzeczny, a dobroczynne skutki tego będą wzrastały z roku na rok. Przyspieszy się spolszczenie urzędów państwowych, przybędzie nam wyborców inteligentnych i kandydatów do wydziałów gminnych, wyrobi się polski ruch umysłowy, polska literatura i nauka będą miały o jedną prowincyę więcej. Przybędzie nam tu i ówdzie więcej oporności przeciw nadużywaniu na naszą niekorzyść przewagi ekonomicznej naszych nieprzyjaciół, ale przewaga zostanie przewagą i pozostanie w obcym ręku. Trudno — żaden gimnazyalista nie zostanie inżynierem... A tylko technicy i agronomowie polscy mogliby potęgę głównych ekonomicznych mocarzów Księstwa Cieszyńskiego uczynić nieszkodliwą dla polskości.



Fig. 365. Dom narodowy w Cieszynie.

Przypatrzmy się tym samym sprawom na Śląsku pruskim. Bytom jest w niedziele i święta także polskiem miastem, podobnież Katowice, Gliwice, Królewska Huta, Lipiny i t. d., ale mają na sobie pokost niemiecki o tyle jeszcze grubszy, że tu polszczyzna jest przez rząd prześladowana i do urzędów dostępu mieć nie może. Choćby rada miejska bytomska składała się z samych Polaków, i tak nie możnaby w magistracie urzędować po polsku. Chociażby ofiarność społeczeństwa była jak największa, nie można tu mieć »Macierzy Szkolnej« i zakładać szkół nawet prywatnych. Tutejsi przemysłowcy i latyfundyści należą po większej części

do »hakaty«, do tego sprzysiężenia na zagładę polskości. Polskich techników i agronomów uczonych nie brak nam pod zaborem pruskim, ale w przedsiębiorstwach śląskich nie dostaną oni posad. Na pruskim Śląsku możemy być w ustroju tego przemysłu, rozwiniętego do najpotężniejszych rozmiarów — tylko ludem roboczym.

Zawisłość ekonomiczna od Niemców jest tu ogromna, a jednak lud polski nie da im rozkazywać sobie i głosuje podług przekonania narodo-

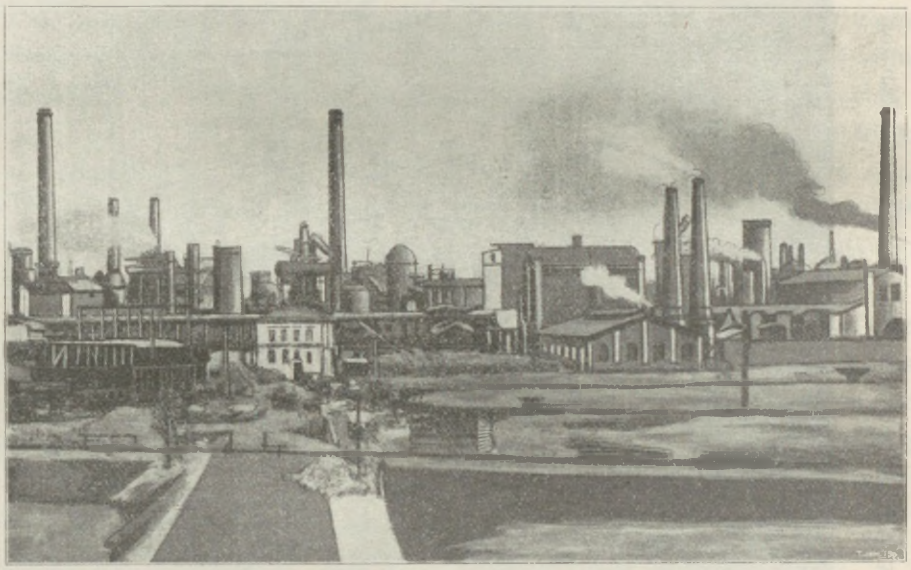

Fig. 366. Fabryki żelaza w Hucie Królewskiej na Śląsku pruskim.

wego. Są solidarni i doskonale zorganizowani. W tem cała tajemnica ich niezawisłości politycznej, niemal zupełnej, pomimo zależności ekonomicznej.

Zorganizowanie ludu polskiego na Śląsku pruskim dokonało się w sposób nigdzie indziej nie praktykowany, a mianowicie przez gazety. To, co gdzieindziej bywa dopiero skutkiem organizacyi, tutaj było jej przyczyną, początkiem i jest do dnia dzisiejszego jej podwaliną. Ś. p. Karol Miarka począł wydawać gazetkę »Katolika«, a wydawnictwo to rozwinęło się w największe w całej Polsce przedsiębiorstwo wydawnicze. Jest to już od szeregu lat spółka, mająca firmę: »Katolik», zarejestrowana, z ograniczoną poręką. Kiedy ją zakładano, umieszczenie w niej funduszów było ryzykiem, do którego mógł skłaniać kogoś tylko patryotyzm. Nie za-

wahał się przed tem Ksiądz Radziejewski i dobrał sobie innych wspólników, a kiedy go wyrzucił za to z dyecezyi biskup wrocławski Kopp,

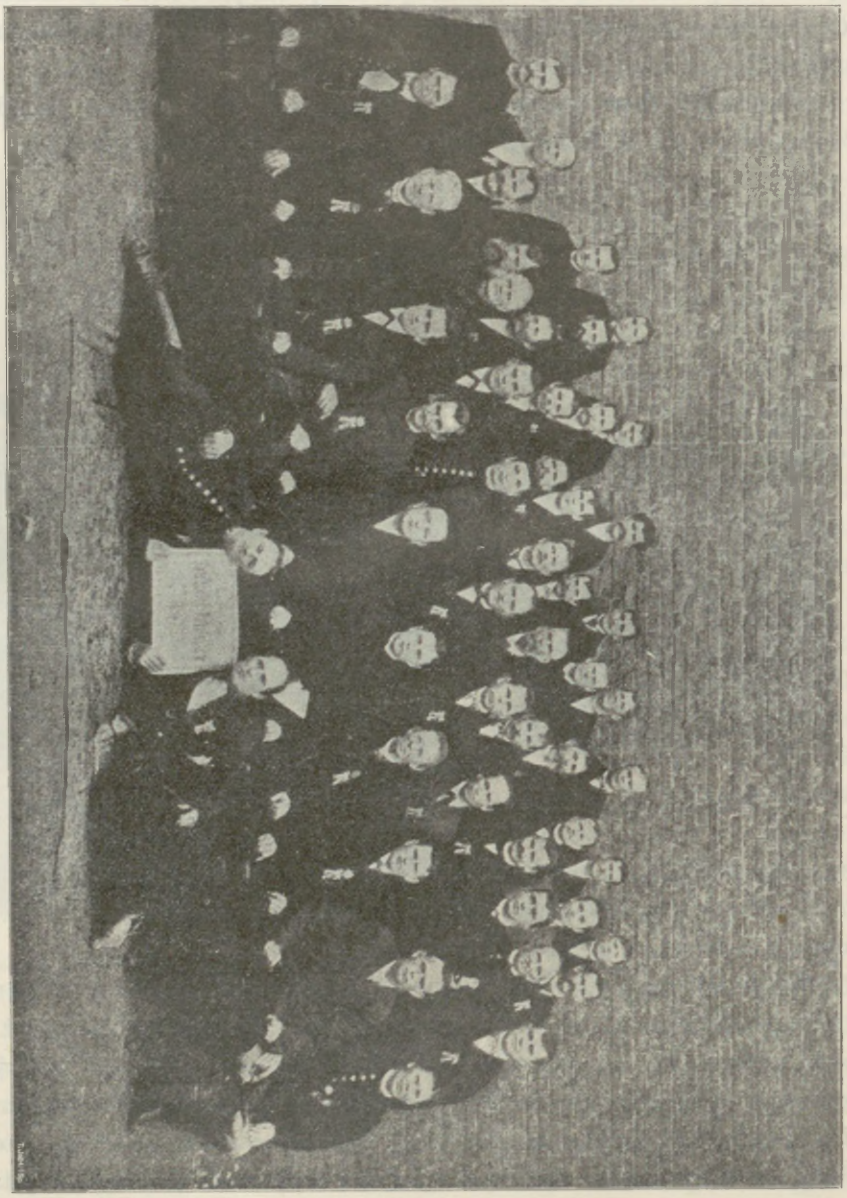

Fig. 367. Towarzystwo katolickich robotników Polaków w Michałowicach pod Bytomiem.

została na miejscu w Bytomiu siostra jego panna Ludwika Radziejewska i poświęciła całe swe życie pielęgnowaniu »Katolika«. Długo trzebaby

opowiadać, żeby wypisać jej zasługi, a nie wszystko dziś jawnie głosić wypada; nie przesadzę, jeżeli ją nazwę matką górnośląskiej sprawy. Pracowała cicho, publiczności całkiem nieznana, długie lata, i pracuje jeszcze z niezmordowaną gorliwością, a tak mało o sobie sądząca, że nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, jak jest zasłużoną.

Miał też »Katolik« szczęście, gdy pozyskał na redaktora Adama Napieralskiego, który strawił przy nim młodość i przy nim doszedł siły lat męskich. Okazał się niezrównanym organizatorem, a siłą roboczą taką, że ilość spraw na jego głowie spoczywających, a sumiennie zawsze załatwianych, musi budzić podziw. Niema tam ani jednej takiej roboty narodowej, od najprostszych stowarzyszeń aż do Banków Ludowych, do której on nie przyłożyłby ręki. Zostawszy dyrektorem Spółki »Katolika«, rozwinął działalność pełną rzutkości, a zarazem roztropności. Dziś »Katolik« wydaje kilka pism, kilka innych popiera, ma największą w całej Polsce drukarnię, introligatornię, kliszarnię (sporządzanie illustracyj) i jest zarazem nakładcą księgarskim na coraz większą skalę.

W Cieszyńskiem są gazety skromnym przydatkiem w całym ruchu narodowym, a w Bytomskiem są one jakby machinami, poruszającemi wszystko. Różnica wynika stąd, że pod zaborem pruskim gazety są jedynemi ostojami polskości. Z nich wyszło wszystko a wszystko, co tam posiadamy, nawet organizacya ekonomiczna, która jest znakomitą. Przybywa nam coraz więcej wyborców opłacających podatki gminne, a banki ludowe czynią też coraz więcej osób niezawisłemi od kapitału niemieckiego.

Z pruskiego Śląska wraca się zawsze ze wzniesionem sercem; tak wspaniale rośnie tam sprawa narodowa. Ale bądź co bądź, jakżeż nam jeszcze daleko do celu.

Jeszcze dwa pokolenia przynajmniej będą musiały wytężać siły swe i na austryackim i na pruskim Śląsku.

Zawisłość Śląska od niemczyzny ma korzenie głębokie. Łączy się to ze sprawą wielkich ogólnoświatowych dróg handlowych. Handel śląski zależny jest od Niemiec. Nawet z austryackiego Śląska odbywa się wywóz przeważnie przez Hamburg i to pod firmą niemiecką. Korzystniejszy dla naszych interesów byłby wywóz przez Tryest, przynajmniej z Cieszyńskiego, ale my nic nie znaczymy w tych sprawach, bo niema jeszcze ani jednej wielkiej firmy handlowej polskiej.

Radujmy się z postępów, jakie robimy na Śląsku, ale nie bądźmy zarozumialcami. Patrzmy trzeźwo na rzeczy, pamiętajmy, że jest do zro-

bienia jeszcze przynajmniej drugie tyle, co już zrobiono, bo my — bądź co bądź — jesteśmy w tym kraju jeszcze bardzo zależni od drugich, a oddanie głosu przy wyborach nie jest jeszcze wszystkiem.

Wytwory śląskiej pracy mają rozległy eksport (wywóz). Biorę przykłady tylko z austryackiego Śląska: Blacha cynkowa, sukna i papier idą do Japonii, wstążki i likiery do Chin, przyrządy wiertnicze na Wyspy Sundajskie, materye »tureckie« tu się wyrabiają i stąd idą do Turcyi i Persyi (także fezy), śląskim węglem i koksem palą w Serbii i Rumunii — a cóż z tego mają Polacy? Polacy nawet o tem nie wiedzą, ani się na tem nie znają... To wszystko dzieje się poza nami i bez nas.

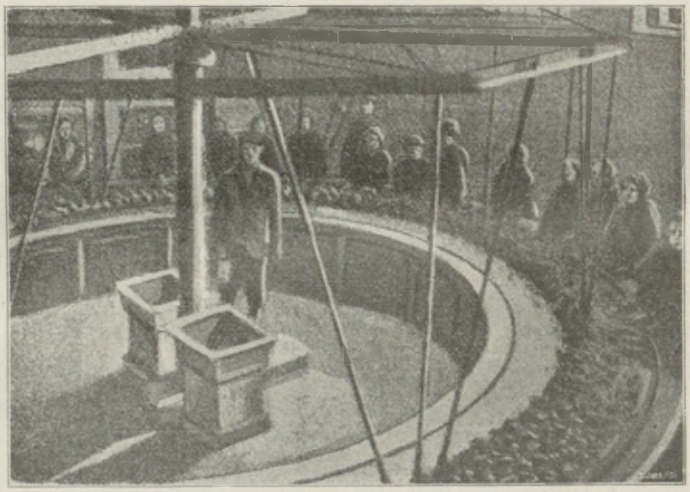

Fig. 368. Płuczkarnia rudy pod Bytomiem.

Jest jeszcze jedna okoliczność, podająca Śląsk w zależność od niemczyzny, i jest to największą chwałą naszych śląskich rodaków, że umieją sobie radzić w tem trudnem położeniu, choć należą do niemieckiej organizacyi kościelnej.

Cały Śląsk należy do dyecezyi wrocławskiej. Biskup wrocławski, ks. kardynał Kopp, wielbi w publicznych przemowach system rządowy pruski, wydaje listy pasterskie przeciw »Katolikowi«, zakazuje księżom polskim posłować do parlamentu, znosi w seminaryum dyecezyalnem wrocławskiem naukę prywatną języka polskiego, seminaryum dla austryackiej części dyecezyi umieszcza na uboczu od ruchu polskiego, pomiędzy Niemcami, we Windawie, księży patryotów prześladuje. Rząd pruski obsadza wro-

cławską stolicę zawsze zaciekłym jakim germanizatorem. W Cieszynie jest sufragan, i zależność od Wrocławia nie tak wielka, ale na pruskim Śląsku są czasy strasznie ciężkie. A jednak — przybywa nam coraz więcej księży patryotów! Jest to najsilniejszy ze wszystkich dowodów niezmożoności ducha polskiego. Ileż jednak sił traci się na tę cichą walkę?

W Cieszyńskiem są też protestanci polscy. Rozdwojenie religijne nie wywołuje tu rozdwojenia narodowego, a sprawiedliwość każe przyznać, że ewangielicy Księstwa Cieszyńskiego ruchliwsi byli w ruchu narodowym od katolików. Protestantyzm śląski jest atoli grubo podszyty katolicyzmem. W czasach, kiedy dawni książęta śląscy zaprowadzali tu protestantyzm, nie zdołali ludu naszego oderwać od katolickiego poczucia w zupełności, i tem się tłumaczy, że protestantyzm śląski jest inny od niemieckiego. W luterskich kościołach Śląska dzwoni się na Anioł Pański, lud ma głęboką cześć dla N. Maryi Panny, wzywa nawet świętych patronów i uczęszcza tłumnie na wszystkie odpusty katolickie. Najwyższy zarząd protestanckiej organizacyi wyznaniowej spoczywa także w niemieckiem ręku i to germanizatorskiem; ale już się przekonali, że zakusy ich na nic się nie zdadzą! Lud jest patryotyczny, a polscy pastorzy to ludzie godni, dzielni i dobrzy Polacy.

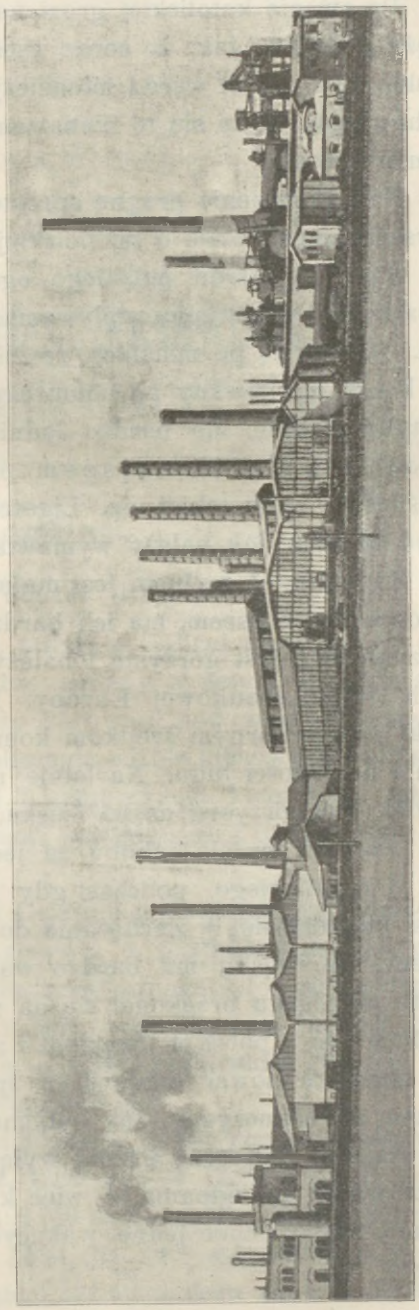

Fig. 368. Huty żelaza w okręgu Zabrze na Śląsku pruskim.

Po stronie katolickiej grozi nam jedno niebezpieczeństwo, a to brak księży Polaków, tak, że coraz częściej dostają się polskie parafie w niepolskie ręce. Jeżeli wśród młodzieży nie będzie więcej powołania do stanu duchownego, może się to niebawem dać grubo we znaki naszym narodowym interesom.

Na zakończenie pragnę sprostować dwie mylne, a ciągle jeszcze rozpowszechniane opinie o tej polskiej ziemi.

Sądzi się wśród polskiego ogółu, że język śląski jest jakąś kaleczą polszczyzną, popstrzoną wpływami niemczyzny, że tu mówią jakby żargonem. Zdarza się po miastach, że Niemiec mówi taką popsutą polszczyzną, lub Polak wychowany po niemiecku. Ale lud, a zwłaszcza wiejski, mówi nie tylko dobrze, ale bardzo ładnie po polsku, tak, że mowa śląska jest stanowczo najpiękniejszem polskiem narzeczem, a wymowa tak śliczna, że w takiej np. Ligotce Kameralnej i jej okolicy można się uczyć od ludu, jak należy wymawiać po polsku.

Zupełnie też mylnem jest mniemanie, jakoby Śląsk nie miał pięknych krajobrazów. Owszem, ma ich bardzo wiele, a południowa część Księstwa Cieszyńskiego jest górzystą i należy z wszelką pewnością do najpiękniejszych okolic środkowej Europy. Nadaje się do turystyki jak najlepiej, dzięki przewybornym środkom komunikacyjnym, czystości domów zajezdnych i uczciwości ludu. Na letnie mieszkanie można zajechać do którejkolwiek wsi górzystej części Śląska, nie tylko do Wisły za Ustroniem. Ta wieś uchodzi mylnie jakoby za jedyną turystyczną górską okolicę Księstwa Cieszyńskiego, podczas gdy ono ma takich zakątków kilkanaście, a wsi kilkadziesiąt [1]). Zachęcanie do wyboru letnich mieszkań i spędzanie wakacyi na Śląsku ma bardzo ważne znaczenie: Chodzi o to, żeby lud prosty na Śląsku przekonał się na własne oczy, że i »panowie« mogą być Polakami, że z polskim językiem i z polskiem poczuciem narodowem można także zajmować stanowiska społeczne i że polskość nie jest niczem niższem od niemczyzny. Jak dotychczas — z jedynym wyjątkiem Wisły — uprawiają tu turystykę niemal wyłącznie Niemcy. Jest to z naszej strony ciężki grzech zaniedbania. A więc kto może sobie pozwolić na letnie mieszkanie, niechże choć jedne wakacye spędzi w górach Księstwa Cieszyńskiego!

Dr. Feliks Koneczny.

---

[1]) Szczególnie uroczą jest okolica tej samej Ligotki Kameralnej, gdzie tak ślicznie mówią po polsku (stacya kolejowa Gnojnik).

STOSUNKI SPOŁECZNE I EKONOMICZNE W GALICYI.

...

Pogląd ogólny.

a) Ludność i obszar kraju.

Jak w innych dzielnicach Polski, tak i w Galicyi powstały od czasu przyłączenia jej do Austryi zasadnicze zmiany w całym układzie społecznym i w stosunkach ekonomicznych, zarówno pod wpływem wielkich światowych reform i wynalazków (zniesienia różnic klasowych i pańszczyzny, rozwoju produkcyi maszynowej i komunikacyi kolejowej), jak pod wpływem wzrostu ludności i przeobrażeń politycznych i finansowych w samym kraju.

Ludność Galicyi wynosiła (wraz z okręgiem Zamojskim i Tomaszowskim, a bez Tarnopolskiego) wedle spisu z 8. października 1776. razem 2,580.796 głów, a 32 mieszkańców na obszarze jednego kilometra kwadratowego. Wedle spisu ludności z końca r. 1900. wynosiła cała ludność żyjąca w Galicyi niemal trzy razy tyle jak w r. 1776., mianowicie 7,315.939 głów, 93 na obszarze jednego kilometra kwadratowego.

Przyrost naturalny w Galicyi jest znaczny, przewyższa bowiem w niektórych latach 100.000 głów. N. p. w r. 1903. było w Galicyi żywo urodzonych 315.469, zmarło zaś w tym roku 197.719 osób, tak iż przewyżka urodzonych nad zmarłymi wynosiła 117.750 głów. Na 1000 mieszkańców przypadało w r. 1903. żywo urodzonych dzieci 42, wypadków śmierci 26, czysty przyrost ludności więc wynosił 16 głów, najwięcej w stosunku do ludności w całej Austryi. Jeśliby cała przyrastająca ludność wraz z dawniejszą

pozostała w kraju, wynosiłaby obecna ludność Galicyi z końcem r. 1907. około 7,900.000 głów. Ze względu na to jednak, że w kraju panuje silny ruch emigracyjny do Ameryki i że w dziesięcioleciu 1890—1900 wyemigrowało z kraju około 300.000 osób, można przyjąć ludność obecną w Galicyi z końcem r. 1907. w cyfrze przybliżonej około 7,700.000 mieszkańców, niespełna 100 mieszkańców na obszarze jednego kilometra kwadratowego. Ludność w Galicyi jest w stosunku do obszaru kraju gęstszą, niż ludność Królestwa Polskiego, Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich. Okoliczność ta, w związku z brakiem rozwiniętego przemysłu w kraju i intenzywnej kultury gospodarstw włościańskich, tłumaczy w części znaczną emigracyę z kraju.

Obszar Galicyi wynosi 7,849.622 hektarów. Miast jest w kraju 98, miasteczek 197, gmin wiejskich 5.948, obszarów dworskich 5.523.

Nie bez wpływu na stosunki ekonomiczne kraju jest podział ludności wedle wyznań i narodowości, oraz rozkład jej w zachodniej, środkowej i wschodniej części Galicyi. Ludność polska, przeważnie rzymsko-katolicka, jest żywiołem w kraju najkulturniejszym i najbardziej zróżniczkowanym pod względem społecznym i zawodowym; ludność ruska, przeważnie grecko-katolicka, jest mniej ruchliwą i w przeważnej swej części (w 94·4%) oddaje się rolnictwu; ludność żydowska, przyznająca się w przeważnej części do narodowości polskiej, w części jednak do niemieckiej i ruskiej, lub uważająca się za narodowość odrębną, oddaje się głównie handlowi i pośrednictwu i skupia się przeważnie w miastach i miasteczkach.

Katolików było w kraju z końcem roku 1900. ogółem 6,456.284 głów, czyli 88·24% całej ludności, żydów było 811.183 głów, czyli 11% całej ludności. Z pośród katolików było 3,109.127 grecko katolickiego, reszta zaś 3,347.157 rzymsko- i ormiańsko-katolickiego obrządku.

Polaków było w kraju wśród ludności do Austryi przynależnej 3,982.033 głów. Nadto znaczną część »cudzoziemców«, nie będących obywatelami austryackimi, obecnych w Galicyi w czasie ostatniego spisu ludności w liczbie 31.236 osób, należy zaliczyć do Polaków, wskutek czego ludność polską w dniu spisu ludności, można przyjąć w okrągłej cyfrze 4 milionów. Rusinów było w dniu spisu ludności 3,080.443, Niemców (przeważnie żydów) 212 427. Procentowo przypadało na ludność polską niespełna 55%, na ludność ruską 42·3%, na niemiecką 2·9% całej ludności kraju. Z całej ludności przypadało na zachodnią część Galicyi, obejmującą niespełna 30% obszaru kraju, 2,501.768 ludności przeważnie polskiej (2,370.532

Polaków), na środkową i wschodnią część kraju, t. zw. Galicyę wschodnią 4,814.171 mieszkańców, w $^1/_3$ części narodowości polskiej (1,618.170 Polaków), w większości zaś narodowości ruskiej.

b) Układ społeczny Galicyi.

Układ społeczny w Galicyi doznał zupełnego przeobrażenia, podobnie jak w innych krajach, przedewszystkiem od czasu zniesienia przywilejów klasowych, stosunków pańszczyźnianych, oraz równouprawnienia wyznań. Jak w Polsce, tak i w Austryi panowała w XVIII. w. pańszczyzna, polegająca na zawisłości ekonomicznej i osobistej włościan od dziedziców. Wprawdzie nie brakło w Polsce usiłowań złagodzenia i uchylenia tej zawisłości, a piękny przykład pod tym względem dała rodzina książąt Czartoryskich już za Augusta III., następnie Andrzej Zamojski, podskarbi Poniatowski, Tyzenhaus, Chreptowicz, książę Brzostowski i inni. Konstytucya 3-go maja nie zniosła pańszczyzny, pozostawiając rozwiązanie tego stosunku inicyatywie prywatnej i dobrowolnej umowie między panami i włościanami, oddała jednak chłopów pod opiekę prawa. Galicya, przyłączona do Austryi już przy pierwszym rozbiorze, nie korzystała z dobrodziejstw tej konstytucyi; mimo inicyatywy, podjętej przez stany galicyjskie celem zupełnego zniesienia stosunków poddańczych, wzbraniał się rząd austryacki aż do pierwszych czasów konstytucyjnych w Austryi zadośćuczynić temu żądaniu. Dopiero patentem z 7. września 1848. r. zniesiono w Austryi pańszczyznę oraz powierzono administracyę i sądownictwo w państwie władzom rządowym, a konstytucya austryacka z 21. grudnia 1867. postanowiła, iż »wszelkie związki poddańcze i pańszczyźniane zostały raz na zawsze uchylone. Wszelkie długi i świadczenia, jakie ciążą na nieruchomościach, mogą być wykupione, i na przyszłość nie wolno żadnej nieruchomości obciążyć świadczeniem, któregoby wykupić nie było można«.

Włościanie więc weszli w skład społeczeństwa jako wolni i równi, mogą jako tacy swobodnie rozporządzać swoją osobą, pracą i majątkiem. Obowiązki włościan świadczenia robót pieszych i ręcznych, niemniej robót zaprzężnych końmi i wołami, płacenia dziesięcin, danin w naturze w zbożu, oraz w pieniądzach, zostały w ten sposób wykupione, że uprawnieni dziedzice otrzymali rentę indemnizacyjną, wedle oszacowanej wartości owych świadczeń. Przy owem oszacowaniu obliczono, iż robocizna roczna w Galicyi wynosiła 16,853.010 dni pieszej i ręcznej roboty, 7,302.498 dni roboty

z zaprzęgiem końmi i 7,148.087 dni roboty z zaprzęgiem wołami. Tyleż dni roboczych zatem zostało zwolnionych od pracy przymusowej i mogło być odtąd użytych bądź na rzecz własnego gospodarstwa włościan, bądź za odpowiedniem wynagrodzeniem na rzecz dziedziców na roli lub w innych zajęciach. Zniesienie stosunków poddańczych wpłynęło na podniesienie się płacy włościan i robotników w Galicyi w przeciągu ośmiu lat w dwójnasób, oraz stworzyło warunki ekonomicznego rozwoju całego kraju, wzrostu produkcyi zarówno rolniczej, jak przemysłowej. Ze względu na to, że patent z r. 1848. nie załatwił wielu kwestyj spornych i przeszkód racyonalnego gospodarstwa, wskutek istniejących wówczas służebności lasowych i wspólnych praw posiadania i użytkowania lasów i pastwisk, służących dziedzicom, gminom i włościanom, zostały te zawikłane stosunki uregulowane patentem z 5. lipca 1853. i przez ustawy krajowe, wydane w nowszych czasach.

Równocześnie ze zniesieniem stosunków pańszczyźnianych zaświtała w Austryi era powszechnej wolności ekonomicznej, zwanej wolną konkurencyą. Wolna konkurencya nie przyniosła niestety Galicyi dotychczas owych ekonomicznych korzyści, jakiemi mogą się wykazać kraje zachodnie. Galicya bowiem nie była dostatecznie przygotowaną na podjęcie trudnego współzawodnictwa na polu przemysłowem i handlowem z innymi krajami austryackimi, nie miała ani wyrobionych sił zawodowych, ani nagromadzonych kapitałów pieniężnych, ani wielkich fabryk. Dawniejsze rządy austryackie nie sprzyjały krajowi, nie popierały w nim rozwoju przemysłu, tak jak w innych krajach koronnych, a nadto nasze powstania i klęski narodowe zwróciły istniejące u szlachty zasoby pieniężne w inną stronę, dla obrony ideałów ojczyzny. Pod wpływem zatem wolnej konkurencyi osłabła siła ekonomiczna swojskiego rzemiosła, przemysłu domowego i istniejących małych fabryk; liczne osady rękodzielnicze w kraju znikły z widowni, nie mogąc ostać się w nierównej walce z obcym kapitałem i przemysłem. Równocześnie jednak społeczeństwo silniej się zespoliło i zmężniało na zasadzie równouprawnienia i wspólności interesów całego kraju, oświata ogólna i zawodowa zapuszcza w kraju coraz głębsze korzenie, rośnie siła zespalania się także na polu ekonomicznem, a przy pomocy samorządu krajowego i lokalnego powstają coraz trwalsze warunki rozwoju produkcyi rolnej i przemysłowej na nowoczesnych podstawach.

Ważnym czynnikiem ekonomicznym w kraju stało się także równo-

uprawnienie żydów. Położenie żydów w Galicyi pogorszyło się zrazu znacznie wskutek zaboru kraju przez Austryę, albowiem tutaj dosięgły ich o wiele dotkliwsze podatki i ograniczenia administracyjne, wykluczenie od handlu obnośnego, od wszystkich arend i szynków, z dzierżaw dóbr, młynów, browarów i t. d. Żydom, nie trudniącym się wyłącznie rolnictwem lub rzemiosłem, zakazano pobytu na wsi, koncentrując ich w ten sposób w miastach i miasteczkach, nadto powołano ich do pełnienia służby wojskowej. Ludność żydowska wskutek tego tłumnie emigrowała z Galicyi do innych krajów polskich. W okresie konstytucyjnym zmieniły się stosunki na korzyść żydów. Obecnie ludność żydowska przedstawia 11% całej ludności kraju. W niektórych zawodach, mianowicie w handlu towarowym, w przedsiębiorstwach szynkarskich i restauracyjnych, w pośrednictwie, w przemyśle chemicznym, skórzanym, papierowym, w komunikacyi wodnej, przedstawiają żydzi absolutną większość ludności czynnej w tych zawodach w całym kraju. Także we własności ziemskiej, zwłaszcza większej tabularnej, mają żydzi dość znaczny udział. W roku 1902. obejmowała własność tabularna żydów w Galicyi 302.000 hektarów, około 15% własności tabularnej chrześcijańskiej w kraju.

Podstawą układu społecznego jest w Galicyi, jak w każdym kraju rolniczym, ludność pracująca w rolnictwie. Z ogólnej liczby ludności całego kraju przypada nieco więcej niż połowa, mianowicie 3,886.250 osób, na ludność pracującą, czynną w rozmaitych zawodach, 3,342.054 osób na dzieci i innych członków rodzin zawodowo nieczynnych, 87.635 osób na służbę domową. W zawodach mają przewagę ludzie samoistnie pracujący wraz z pracującymi członkami swoich rodzin. Mianowicie wykazuje statystyka Galicyi z r. 1900. osób samoistnie pracujących 1,206.460, a razem z pomagającymi im w pracy, zwłaszcza w rolnictwie, członkami rodzin 3,046.417, czyli ogółem przeszło trzy czwarte części całej ludności pracującej. Pracowników i robotników, zajętych zawodowo w obcem gospodarstwie, było w Galicyi razem 839.833, niespełna jedna trzecia część ludności zawodowo czynnej. Wielką przewagą gospodarstw samoistnych wykazuje rolnictwo wskutek tego, że gospodarstwa rolne są liczne a drobne i mogą być uprawione pracą samego gospodarza z dorosłą rodziną. W handlu i komunikacyach równoważy się w Galicyi liczba samoistnych pracowników (wraz z czynnymi członkami ich rodzin), a pracowników i robotników zawisłych; natomiast w przemyśle przewagę liczebną mają zawiśli pracownicy i robotnicy.

Z rolnictwa żyje w Galicyi 77% całej ludności, z rękodzieła i przemysłu tylko 9%, z handlu i komunikacyi niespełna 8%, w zawodach wolnych i urzędach publicznych znajduje zajęcie zwyż 6% ludności.

W porównaniu z krajami przemysłowymi, wyżej rozwiniętymi, jest układ społeczny Galicyi pod tym względem zdrowszym, że wykazuje przewagę ludości samoistnie gospodarzącej. Zato jednak ludność naszego kraju jest mniej zróżniczkowaną zawodowo i mniej zamożną. W krajach przemysłowych bowiem, n. p. w Austryi Niższej, Czechach, Morawach, Śląsku, z rolnictwa żyje mniejsza część ludności, większa jej część zaś znajduje utrzymanie w przemyśle, handlu i zawodach wolnych. Dalej posunięty społeczny podział pracy oddaje wprawdzie coraz szersze zajęcia w ręce zawisłych pracowników i robotników, podnosi jednak kulturę i dochód całego społeczeństwa.

c) Ogólny stan ekonomiczny.

Ogólny stan ekonomiczny ludności w Galicyi jest mniej pomyślny, niż w Królestwie Polskiem lub pod zaborem pruskim. Główną przyczyną takiego stanu jest przedewszystkiem nierozwinięty społeczny podział pracy, mianowicie słaby rozwój wielkiego przemysłu, niedostateczne wyzyskanie naturalnych i społecznych sił kraju w rolnictwie i górnictwie, w związku ze znaczną gęstością zaludnienia i nizkim stanem oświaty w wielu okolicach kraju. Złożyły się na te stosunki zarówno czynniki światowe, mianowicie wypieranie drobnego przemysłu i rzemiosła przez obce i tańsze wyroby fabryczne, tudzież wdzieranie się mody światowej do coraz szerszych warstw społecznych, jak czynniki państwowe i lokalne, długoletnia niechęć dawnych rządów austryackich dla kraju, system fiskalny i szykany administracyjne, brak uzdolnionych sił technicznych, zaniedbanie ludności włościańskiej w okresie przedkonstytucyjnym, znane klęski narodowe w okresie porozbiorowym, zwycięskie współzawodnictwo ekonomiczne innych krajów austryackich. Mimo to nie ulega wątpliwości, że stan ekonomiczny kraju stopniowo się dźwiga, zwłaszcza w okresie autonomicznym, że cała ludność uczestniczy w powszechnym wzroście stopy życiowej, że włościanin galicyjski, szczególnie polski, podniósł się bardzo pod względem oświaty i wiedzy zawodowej, ruchliwości, pracowitości i zamożności, że także miasta galicyjskie, w pierwszym rzędzie Lwów i Kraków, rosną nie tylko w ludność, ale zarazem w przemysł, handel i dobrobyt. W porównaniu z przemysłowymi bogatymi krajami jest Galicya krajem ubogim, ale ucze-

stniczy w ogólnym rozwoju oświatowym i ekonomicznym, nie cofa się, lecz postępuje widocznie naprzód. Tylko własność folwarczna ziemska w Galicyi ulega coraz szybcej obdłużeniu i parcelacyi, co łączy się z powszechnem w Europie zjawiskiem zmniejszania się średniej własności ziemskiej.

Nie mamy ścisłych dat statystycznych dla cyfrowego oznaczenia majątku i dochodów Galicyi. Pośrednio tylko ze statystyki austryackiej podatkowej można stwierdzić, że w porównaniu z przemysłowymi krajami Austryi Galicya pod względem ekonomicznym pozostaje na szarym końcu, chociaż siła i wydatność podatkowa kraju corocznie wzrasta.

W Austryi istnieje od r. 1898. podatek osobisto-dochodowy, nałożony na wszystkie osoby, mające rocznie czystego dochodu przynajmniej 1200 koron. W r. 1901. nałożono w Galicyi ten podatek na 67.920 osób, w r. 1906. zaś na 82.459 osób. Ogólny dochód tych opodatkowanych osób oszacowano w r. 1901. na 261,152.145 koron, w r. 1906. zaś na 323,784.703 koron. Równocześnie w r. 1906. oszacowano sumę dochodów wyższych nad 1200 koron w Czechach na 811,544.661 koron, pomimo że ludność Czech jest o milion głów mniejszą, niż w Galicyi. Porównanie tych cyfr daje obraz niższej zamożności Galicyi w stosunku do Czech w tych warstwach ludności, które cieszą się średnimi i wyższymi dochodami, nie wyjawia jednak stosunku dochodów olbrzymiej większości ludności, żyjącej z dochodów niższych.

Milionerów, mających dochód roczny wyższy nad 200.000 koron, ma Galicya tylko 16. Wszystkich zaś osób, mających dochód wyższy nad 20.000 koron, było w r. 1906. w Galicyi 901. Do tak skromnej liczby osób ogranicza się warstwa zamożna, ekonomicznie »wyższa« w całym kraju.

d) Finanse Galicyi.

Skarbowość publiczna Galicyi obejmuje dochody i wydatki państwa, kraju, powiatów i gmin. Podstawą skarbowości państwa i ciał autonomicznych są przedewszystkiem podatki państwowe, tak bezpośrednie, jak pośrednie, ponieważ w podatkach tych mają udział w formie dodatków także ciała autonomiczne.

W roku 1905. przyniosły podatki bezpośrednie w Galicyi skarbowi państwa 29,739.443 koron, dodatki zaś do tych podatków na rzecz kraju, powiatów i gmin 35,067.584 koron. Razem więc z tego źródła wpłynęła suma 64,807.027 koron na rzecz skarbowości publicznej.

Z podatków konsumcyjnych i monopolów, tudzież z opłat i biletów

kolejowych pobrało państwo, nie licząc ceł, około 100 milionów koron, razem z cłami około 110 milionów koron. Ciała autonomiczne pobrały równocześnie z opłat konsumcyjnych, z propinacyi, z myt i gminnych podatków czynszowych niespełna 30 milionów koron.

Ogółem więc, nie licząc dochodów z majątków i przedsiębiorstw, rozporządza skarbowość państwa i ciał autonomicznych w Galicyi sumą roczną przeszło 200 milionów koron z publicznych źródeł, na zaspokojenie ogólnych potrzeb państwa tudzież publicznych potrzeb kraju i ciał lokalnych.

I. Rolnictwo.

a) Ludność rolnicza.

Rolnictwo wraz z ubocznemi zajęciami rolnika, mianowicie chowem bydła, leśnictwem, rybołowstwem, pszczelnictwem, było w całej Polsce i jest dotychczas w Galicyi głównem źródłem i podstawą utrzymania ludności. W r. 1890. żyło w Galicyi z rolnictwa 77·38%, w r. 1900. zaś 76·82% ogółu mieszkańców, stosunek ten więc nie uległ dotychczas znaczniejszej zmianie. W kolei wieków jednak zmieniły się stanowczo stosunki agrarne i system uprawy roli. W Polsce piastowskiej i jeszcze za pierwszych Jagiellonów szlachta oddawała się rzemiosłu rycerskiemu i osadzała na posiadanych przez siebie obszarach chłopów czynszowników, którzy za opłatą czynszów i innych danin samoistnie uprawiali ziemię. Wówczas było mnóstwo obszarów pustych, ludność rzadka, stąd też zapewniano chłopom kolonistom chętnie wszelkie możliwe ulgi i korzyści. Gdy jednak dzięki zwycięstwom oręża polskiego, zwłaszcza nad Krzyżakami, zapanował w kraju pokój i otwarły się drogi handlowe Wisłą do Gdańska i na Zachód, oraz równocześnie na Wschód do Carogrodu, wówczas zboże, bydło i inne produkty rolnicze uzyskały wyższą cenę, gospodarstwo folwarczne stało się intratnem, i wskutek tego szlachta poczęła się sama oddawać gospodarstwu rolnemu, zmieniała system czynszowy na robociznę i starała się samowolnie, a następnie za pomocą prawodawstwa zatrzymać stale włościan i czynszowników na swoim obszarze, aby nie utracić niezbędnych sił roboczych. W owym to czasie zakwitło rolnictwo w Polsce, zboże spławiano do Gdańska i do Kłajpedy, wysyłano je stamtąd do Holandyi i na Zachód, a Czarnem morzem także Wschód zasilano zbożem

polskiem. Polska wraz z dzisiejszą Galicyą stała się spichrzem Europy, równocześnie ożywił się wywóz drzewa, popiołu, wełny, ryb, miodu, wosku, skór zwierzęcych, lnu i konopi. Miasto Jarosław nad Sanem w dzisiejszej Galicyi stało się centralnem targowiskiem europejskiem na bydło i konie, miasto Lwów zaś było wielką składnicą handlową, pośrednikiem handlu między Wschodem a Zachodem. W całym kraju mnożyły się majątki szlachty i mieszczan, z drugiej jednak strony rozwielmożnił się zbytek wśród warstw zamożnych i wzmagała się surowość pańszczyzny, albowiem ludność była rzadką, kraje wschodnie Polski nęciły włościan do emigracyi, aby więc zapobiedz temu niebezpieczeństwu, przywiązano lud wiejski do wsi i do roli.

W czasie zaboru Galicyi dawna świetność rolnictwa polskiego należała już do przeszłości. W Galicyi stosunki agrarne pogorszyły się głównie wskutek polityki dawnych rządów austryackich, wygrywających chłopów przeciw panom, aby wśród niechęci i waśni wewnętrznych ułatwić sobie panowanie w kraju. Nakoniec zniesienie pańszczyzny oparło gospodarstwo rolne na nowych podstawach, wyzwalając włościan i ich grunta od dawniejszej zależności, równocześnie zaś dziedziców od obowiązków sprawowania sądownictwa, administracyi i opieki nad ludem wiejskim. Odtąd zarówno chłop jak dziedzic są wolnymi ziemianami, rolnikami, mogą się samoistnie i wyłącznie oddać swoim zajęciom pod ochroną ustaw i władz państwowych.

Wolność zastała jednak chłopów nieprzygotowanych i dlatego nie przyniosła rolnictwu w Galicyi owych korzyści, jakich się po niej spodziewano. Chłopi, przyzwyczajeni przez wieki do wyższej opieki i kierownictwa, niezdolni zrazu do samodzielności, a nadto wystawieni na rozmaite podszepty i pokusy nieprzyjaznych naszemu narodowi czynników, nie umieli w całej pełni z wolności swej korzystać, przeciwnie nadużywali jej niebacznie, zaniedbywali uprawę ziemi, obdłużali się długami lichwiarskimi, dzielili ją i rozdrabniali w złudnej nadziei, że bez ich czynnego współudziału przyszłość ułoży się pomyślniej. Tak upływały dziesiątki lat, ludność rosła w liczbę, ale upadała ekonomicznie, i dopiero w okresie autonomicznym, pod wpływem oświaty, usiłowań Sejmu, stowarzyszeń rolniczych i organów autonomicznych nastąpił stanowczy zwrot ku lepszemu.

W roku 1900. żyło w Galicyi z rolnictwa 5,619.982 osób, w tej liczbie 926.229 rolników samoistnych, 1,808.967 czynnych członków ich rodziny, 2,365.630 nieczynnych członków rodziny, 6.282 urzędników, 198.592 robotników, 297.685 zarobników, 16.597 służby domowej.

b) Podział własności ziemskiej.

Posiadaczy gruntowych, opłacających podatki gruntowe, było w r. 1906. wedle wykazów ewidencyi podatku gruntowego w Galicyi 2,224.990. Z tej liczby jednak przeszło połowa przypada na drobne parcele, nie tworzące gospodarstwa rolnego. Wedle spisu posiadłości rolnych z 3. czerwca 1902. było wówczas w Galicyi ogółem 1,007.550 gospodarstw rolnych i 107.824 gospodarstw lasowych. Wśród gospodarstw rolnych przeważały gospodarstwa małe, obejmujące 1—5 hektarów obszaru. Gospodarstw takich było 609.837. Gospodarstw mniejszych, niżej 1 hektara, naliczono 193.238, gospodarstw zaś powyżej 5—10 hektarów było 150.471, powyżej 10—20 ha. było 38.667, powyżej 20—50 ha, było 8.258, powyżej 50—100 ha. było 2.603, powyżej 100 hektarów było 5.467.

Cyfry te wykazują niemal brak najzdrowszej, średniej własności włościańskiej, wskutek bowiem silnego rozmnażania się włościan i pozostawania na roli ulega własność ziemska ciągłemu rozdrabnianiu. Potężny prąd parcelacyjny ogarnął także własność folwarczną, najpierw w Galicyi Zachodniej, w ostatnich zaś latach również w Galicyi Wschodniej. W Galicyi Zachodniej wynosił obszar tabularnej własności ziemskiej w stosunku do całego obszaru kraju:

w r. 1866 . . . . . 37·4%
w r. 1889 . . . . . 32·9%
w r. 1902 . . . . . 29·7%.

W tym samym stosunku wzrósł obszar własności włościańskiej nietabularnej.

W Galicyi Wschodniej wynosił obszar własności tabularnej w stosunku do całego obszaru kraju:

w r. 1866 . . . . . 44·4%
w r. 1889 . . . . . 42·1%
w r. 1902 . . . . . 40·3%.

W całości przeszło w owym czasie 405.529 ha. czyli zwyż 5% obszaru całego kraju z własności tabularnej do własności nietabularnej, a proces parcelacyjny trwa i rośnie w dalszym ciągu.

c) Produkcya rolna.

Na ogólny obszar kraju 7,849.252 hektarów przypada w Galicyi wedle wykazów rewizyi podatku gruntowego z r. 1897.:

na role	3,799.879	ha.	czyli	48·4 %	całego	obszaru
» lasy	2,021.230	»	»	25·8 »	»	»
« łąki	875.045	»	»	11·2 »	»	»
» pastwiska i połoniny	750.267	»	»	9·5 »	»	»
» ogrody	108.818	»	»	1·4 »	»	»
» stawy i bagna	20.859	»	»	0·3 »	»	»
» grunta wolne od podat.	273.154	»	»	3·5 »	»	»

Ze wzrostem ludności i kultury rolniczej zwiększa się w kraju corocznie obszar oddany uprawie przez osuszanie bagien i karczowanie lasów. Przed r. 1809. liczono w Galicyi wraz z Bukowiną 2,885.415 morgów nieużytków, w r. 1850. jeszcze 2,044.626 morgów, obecnie wynoszą one zaledwie około 75.000 morgów.

System gospodarowania trzypolowy ustąpił niemal wszędzie miejsca gospodarstwu płodozmiennemu. W roku 1906. wynosił cały obszar roli w kraju 3,804.304 ha., z czego pozostawało ugorem 187.117 ha. czyli niespełna 5%. Natomiast użyto w stosunku procentowym do całego obszaru roli pod uprawę żyta 18·6% obszaru, pod uprawę owsa 17·3%, ziemniaków 14·5%, pszenicy 13·2%, jęczmienia 9·3%, koniczyny 8·5%, roślin strączkowych 3·7%, kukurudzy 2·1%, hreczki 1·7%, mieszanki (trawy) 1·7% całego obszaru, resztę zaś pod uprawę prosa, rzepaku, lnu, konopi, buraków pastewnych i cukrowych, kapusty, chmielu, tytoniu i innych roślin.

Ziemia w Galicyi jest urodzajna, jednakowoż klimat, zwłaszcza w Galicyi Wschodniej, jest ostry i zmienny. Nadto w znacznej części kraju jest ziemia nieprzepuszczalna, wskutek czego mokre lata sprowadzają na kraj klęskę nieurodzaju. Z tego powodu coraz żywszą jest w kraju akcya krajowego biura melioracyjnego i stowarzyszeń rolniczych, zmierzająca do racyonalnego zdrenowania nieprzepuszczalnych obszarów.

Statystyka urzędowa rozróżnia w Galicyi Zachodniej głównie dwa obszary, mianowicie przestrzeń ziemi piaszczystej w dolinie Wisły, oraz ziemi glinkowatej i pagórkowatej w reszcie kraju. We wschodniej części kraju rozróżnia statystyka agrarna 17 obszarów, wśród nich, obok żyznej humusowej ziemi sokalskiej, wilgotne piaski między Rawą, Jarosławiem i Jaworowem, ziemię gliniastą od Rawy po Złoczów i Przemyślany, piaszczystą nad Styrem i Bugiem, urodzajną glinkę ziemi przemyskiej i samborskiej, żyzne Podole południowe i północne góry Karpackie.

W dziesięcioleciu 1895—1904 wynosił w Galicyi przeciętny zbiór roczny z jednego hektara uprawionej ziemi:

pszenicy	9·9	cetn.	metr.,	ogółem	rocznie	4,040.375 c. m.
żyta	8·2	»	»	»	»	4,457.836 » »
jęczmienia	8·0	»	»	»	»	2,650.012 » »
owsa	7·1	»	»	»	»	4,840.843 » »
kukurudzy	10·6	»	»	»	»	835·795 » »
ziemniaków	100·3	»	»	»	»	42,738.566 » »
buraków cukrowych .	203·7	»	»	»	»	820.896 » »
owoców strączkowych	11·3	hektolitrów,		»	»	1,625.567 hkltr.

Daty te nie są ścisłe, opierają się bowiem na oszacowaniu przez oddziały Towarzystwa Gospodarczego. W porównaniu z innymi krajami austryackimi, mianowicie z Czechami, Morawami i Śląskiem, jest wydatność roli galicyjskiej znacznie niższą, wskutek stosunków klimatycznych i mniej postępowej kultury.

Do najwięcej zaniedbanych gałęzi produkcyi rolnej należy w Galicyi sadownictwo. Okoliczność ta jest tem bardziej ubolewania godną, że w kraju o tak rozdrobnionej własności ziemskiej nadaje się właśnie sadownictwo jako ważne źródło zajęcia i zarobku gęstej ludności wiejskiej W roku 1906. wynosił w całym kraju zbiór owoców ziarnistych tylko 168.030 cetn. m., pestkowych 117.120 cetn. m., orzechów 2.531 c. m. W Czechach i Morawach, mających razem mniej przestrzeni niż Galicya, wynosił w r. 1906. zbiór owoców ziarnistych 2,227.686 cetn. m., owoców pestkowych 3.829.275 cetn. m. Cyfry te dają jaskrawy obraz zaniedbania pod tym względem Galicyi, pomijając wzgląd bardzo ważny, że pod względem jakości owoców Galicya tylko wyjątkowo może współzawodniczyć z krajami zachodnimi. Na tem polu, jak na wielu innych, otwiera się przed krajem szerokie i wdzięczne pole pracy, którą w ogólnym interesie należy jak najenergiczniej podjąć, pomimo mniej przyjaznych warunków klimatycznych. Dotychczas słabe początki usiłowań w tym kierunku widać w uchwałach Sejmu i w działalności Towarzystw i Kółek rolniczych. Należałoby równocześnie wpoić w ludność wiejską silniejsze poczucie poszanowania cudzej własności w tej gałęzi kultury ogrodowej.

d) Leśnictwo.

Leśnictwo w Galicyi ma w stosunkach gleby i klimatu sprzyjające warunki rozwoju. Obszar lasów w kraju wynosi wedle wykazów katastru gruntowego 2,021.230 hektarów, jest jednak w rzeczywistości mniejszym,

ponieważ wiele lasów systemem rabunkowego gospodarstwa wyniszczono lub wykarczowano bez zezwolenia władzy.

Lasy są częścią w ręku rządu i funduszów publicznych, częścią w ręku właścicieli prywatnych, przeważnie większych. W r. 1900. było własnością rządu w Galicyi 281.127 ha czyli 14% całej przestrzeni lasowej; gminy miały w swem posiadaniu tylko 104.534 ha czyli 5·2% całego obszaru lasowego; fundusz religijny, kościoły i inne fundusze publiczne 126.578 ha czyli 6·2% całego obszaru; fideikomisowe lasy obejmowały 38.471 ha; prywatne 1.449.402 ha czyli 72·1% przestrzeni lasowej. Około połowa obszaru lasowego, bo 933.635 ha., przypada na lasy iglaste, przeszło czwarta część:

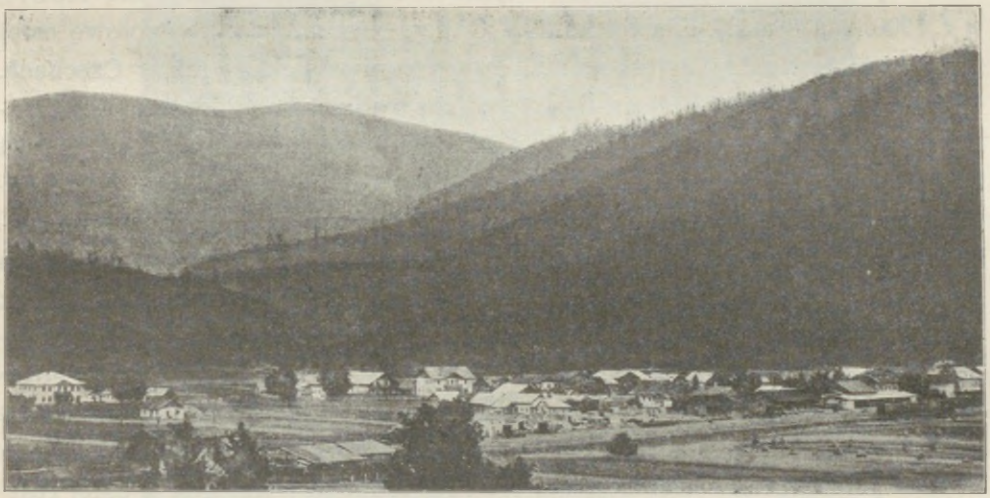

Fig. 369. Lasy w Skolem.

583.085 ha., na lasy liściaste, niespełna czwarta część: 496.837 ha, na lasy mieszane. Roczny przyrost drzewa wynosi 7,531.646 metrów, 3·7 metra z hektara, w tem 52% drzewa materyałowego, 48% drzewa opałowego.

Lasy galicyjskie ucierpiały wiele wskutek nieracyonalnego, rabunkowego gospodarstwa. Wysprzedane dawniej za bezcen przez rząd austryacki, który je objął był jako królewszczyzny polskie, dostały się w ręce rozmaitych spekulantów, nie dbających o trwałe gospodarstwo lasowe i zabezpieczenie gospodarstwa krajowego. Jest to gałęź produkcyi krajowej bardzo zaniedbana. Nawet w lasach państwowych nie rozwinięto dotychczas przemysłu drzewnego i produkcyi racyonalnej. Sejm krajowy dąży do objęcia lasów rządowych w ręce kraju, dotychczas jednak bezskutecznie.

e) Chów bydła i koni.

Pod wpływem usiłowań Sejmu, Koła Polskiego w Wiedniu i stowarzyszeń rolniczych chów bydła w Galicyi rozwija się pomyślnie. Wywóz bydła opasowego i świń z kraju stanowi obecnie jedną z najważniejszych pozycyj w bilansie krajowym Galicyi.

Zamknięcie granicy dla dowozu bydła i nierogacizny z Rumunii i Rosyi poprawiło stosunki zdrowotne i przyczyniło się skutecznie do szybkiego podniesienia stanu bydła pod względem ilościowym i jakościowym.

Ilość koni podawała statystyka urzędowa w r. 1817. na 311.953; w r. 1880. było ich 735.262, w r. 1890. tylko o 4% więcej, mianowicie 765.570, w r. 1900. zaś 864.427. Liczba koni w Galicyi wynosi przeszło połowę całej ilości koni w Austryi i jest niemal czterokrotnie większą niż w Czechach. Objaw ten jest w części następstwem rozdrobnienia własności włościańskiej, w części zaś przyzwyczajenia włościan do trzymania koni nawet w drobnem gospodarstwie. Zwyczaj ten jest o tyle korzystnym, o ile włościanin ma sposobność zarobkowania przy pomocy koni poza swojem gospodarstwem, natomiast jest zbytnim ciężarem dla rolnika, jeżeli wyłącznie z plonów swego gospodarstwa o kilku morgach musi utrzymać oprócz rodziny jeszcze parę koni. Pod względem jakości różnią się znacznie konie w Galicyi zachodniej od koni włościan w Galicyi wschodniej, gdzie utrzymuje się dawny zwyczaj zaprzęgania koni zawcześnie i nie widać jeszcze dbałości o ulepszenie ich rasy. Statystyka z roku 1900. wykazuje w Galicyi aż 137.963 źrebiąt niżej i wyżej jednego roku, gdy w całej reszcie Austryi było źrebiąt tylko 94.068.

Bydła rogatego liczono w Galicyi w roku 1817. razem 1,116.121, w r. 1846. już 1,612.670, w r. 1880. wzrosła ta liczba do 2,242.861, w r. 1900 zaś wynosiła 2,714.622. W tej ostatniej liczbie było krów 1,504.890, cieląt i jałówek 859.030, wołów 268.175.

Nierogacizny liczono w Galicyi w r. 1846. sztuk 200.000. w roku 1880. już 674.302, w r. 1890. o 16% więcej, mianowicie 784.500, nakoniec w r. 1900. aż 1,254.334, w tej liczbie prosiąt niżej jednego roku 745.019. Hodowla nierogacizny ma szczególnie dla włościan doniosłe znaczenie, albowiem umożliwia im zdobycie niezbędnej gotówki na większe wydatki pieniężne, zwłaszcza na podatki.

Ilość owiec zmniejsza się stale w Galicyi. W r. 1843. liczono owiec 1,564.229, w r. 1890. było ich w kraju 630.994, w r. 1900. zaś tylko 437.697

Podobnie liczba k ó z wynosiła w r. 1890. tylko 21.095, w r. 1900. zmniejszyła się zaś do liczby 17.952.

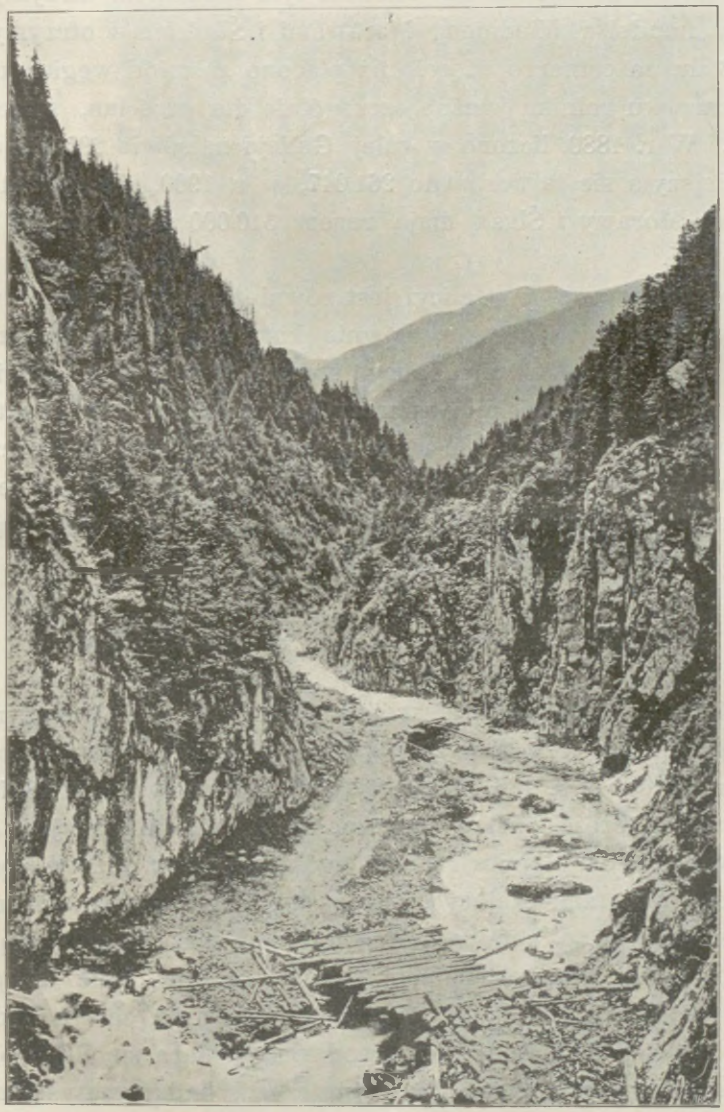

Fig. 370. Lasy w Tatrach (dolina Kościeliska).

D r o b i u naliczono w r. 1900. w Galicyi 7,754.870 sztuk, przeważnie kur, których było 6,878.377. Gęsi było 457.939, kaczek 285.319.

Na uwagę zasługuje stały upadek p s z c z e l n i c t w a w Galicyi. Je-

szcze w połowie XIX. wieku istniały na Podolu ogromne pasieki, które w r. 1849. przyniosły 16.000 cetnarów miodu i do 7.000 cetnarów wosku, ogólnej wartości do miliona złr. Miodem tym i woskiem utrzymywała Galicya stały handel z Wiedniem, Morawami i Śląskiem i otrzymywała zań około 2—3 złr. na cetnarze więcej, niż płacono za miód węgierski. Obecnie gałęź ta zarobku rolnika, ważna szczególnie dla włościan, straciła dawne znaczenie. W r. 1880. liczono w całej Galicyi zaledwie 295.686 ulów, w r. 1890. zmniejszyła się ta liczba do 261.047, w r. 1900. zaś do 211.157. Dzisiaj Czechy, Morawy i Śląsk mają razem 310.000 ulów, więcej zatem niż Galicya.

Rybołowstwo w Galicyi jest również zaniedbanem, z wyjątkiem stawów, w których hoduje się głównie karpie, liny i szczupaki. Jest to gałęź rolnictwa, którą dawniej Galicya słynęła w Polsce i za granicą i która mogłaby szczególnie dzisiaj dostarczyć korzystnego zarobku tak licznej ludności wiejskiej. W tym celu stara się Wydział Krajowy o podźwignięcie hodowli ryb w kraju, i pragnąć należy, aby usiłowania te zjednały sobie uznanie i współdziałanie włościan, inaczej bowiem nie osiągną pożądanych dla kraju skutków.

f) Działalność kraju, państwa i stowarzyszeń.

Opiekę nad całą kulturą krajową sprawuje w pierwszym rzędzie Sejm i jego organ wykonawczy Wydział Krajowy, w myśl postanowień statutu krajowego z r. 1861. i konstytucyi grudniowej z r. 1867. Działalność Sejmu jest częścią ustawodawczą, częścią administracyjną. Jako ciało ustawodawcze wydał Sejm w ramach ogólnych ustaw państwowych szereg ustaw krajowych, zmierzających bądź do uregulowania stosunków własności ziemskiej, n. p. ustawę o wewnętrznem urządzeniu ksiąg gruntowych, o ochronie własności polnej, ustawy wodne, bądź do popierania i ochrony produkcyi rolnej, rybołowstwa, polowania, chowu bydła i przemysłu. Obok tej działalności ustawodawczej stara się Sejm o szerzenie wiedzy zawodowej zapomocą szkół rolniczych, badań statystycznych, stacyj doświadczalnych, stypendyów, popierania czasopism naukowych, krajowych towarzystw rolniczych, kolei lokalnych, kredytu rolnego, melioracyj, przemysłu rolniczego i innych środków.

W szczególności utrzymuje kraj akademię rolniczą w Dublanach (obok państwowego Studyum rolniczego w Krakowie), szkołę średnią rol-



Fig. 371. Akademia rolnicza w Dublanach.

niczą w Czernichowie, sześć niższych szkół rolniczych: w Horodence, Jagielnicy, Kobiernicach, Bereźnicy, Suchodole pod Krosnem, w Miłocinie i w Dublanach, szkołę gospodarstwa lasowego we Lwowie, szkołę gorzelniczą w Dublanach, szkołę ogrodniczą w Tarnowie, stacyę doświadczalną botaniczno-rolniczą we Lwowie, chemiczno-rolniczą w Dublanach, zakład sadowniczy w Zaleszczykach, zimowe szkoły rolnicze w Niewiarowie i Wojsławiu, szkołę mleczarską w Rzeszowie, nauczycieli wędrownych dla włościan, subwencyonuje akademię weterynaryi we Lwowie, towarzystwa rolnicze wschodniej i zachodniej Galicyi, towarzystwo kółek rolniczych i inne towarzystwa oraz ich czasopisma. Państwo popiera te usiłowania Sejmu, utrzymując przy uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie Studyum rolnicze i popierając zakłady i towarzystwa krajowe subwencyami.

Na szczególną uwagę zasługuje działalność kraju na polu melioracyj i regulacyi rzek, oraz dążenie do komasacyi rozdrobnionych gruntów, tworzenia włości rentowych i popierania organizacyi kredytu włościańskiego.

Galicya obfituje w liczne rzeki, wzbierające gwałtownie w czasie większych opadów i groźne wówczas dla całych przylegających okolic. Szczególnie od czasu wyniszczenia lasów górskich stały się gwałtowne wylewy częstszymi i niebezpiecznymi dla całych powiatów. Kraj rozwinął ożywioną działalność przy pomocy państwa i państwowego funduszu melioracyjnego celem stopniowego zabudowania potoków górskich i uregulowania koryta rzek. Ustawy krajowe z r. 1901. i 1907. przeznaczają na te roboty niespełna 100 milionów koron.

Jeszcze większą doniosłość dla rolnictwa krajowego, zwłaszcza dla włościan, mieć będzie komasacya gruntów, jeżeli zostanie systematycznie przeprowadzoną. W Galicyi bowiem nie tylko drobne rozmiary posiadłości włościańskich są przeszkodą racyonalnego gospodarstwa, ale zarazem rozdrobnienie tych posiadłości na oddzielne parcele, rozrzucone w obrębie gminy. Dla ułatwienia uprawy i nadzoru gruntów, niemniej dla uniknienia ciągłych zatargów i procesów granicznych, uproszczenia komunikacyi okazało się niezbędnem skupienie czyli komasacya rozrzuconych gruntów, należących do jednego właściciela. W myśl ustawy krajowej obowiązującej od d. 1. kwietnia 1903. r. przeprowadza komasacye w całych gminach krajowa komisya komasacyjna. Dotychczas jednak działalność komisyi nie postępuje szybko. W r. 1906. przeprowadzono w Galicyi dwie komasacye dla 959 rolników o przestrzeni 1402 hektarów.

Ważną jest także ustawa krajowa w sprawie zakładania włości rentowych, wynoszących co najmniej 3 hektary, najwyżej zaś 60 hektarów. Włości takie tworzy się zapomocą pożyczki rentowej na gospodarstwie zabezpieczonej i są niepodzielne tak długo, dopóki pożyczka nie będzie umorzoną.

Uchwałą z r. 1899. postanowił Sejm poprzeć usiłowania kółek rolniczych na polu zakładania włościańskich kas pożyczkowych systemu Raiffeisena, utworzył w tym celu krajowy patronat kas pożyczkowych i przeznaczył na utworzenie funduszu pożyczkowego dla nich kwotę dwóch milionów koron w 50 rocznych ratach. Dzięki temu poparciu Sejmu ma obecnie kraj przeszło 600 takich spółek oszczędności i pożyczek, a liczba ta rośnie corocznie.

Z pośród towarzystw rolniczych w Galicyi najdawniejszemi są Towarzystwo gospodarskie dla Galicyi wschodniej i Towarzystwo rolnicze dla Galicyi zachodniej. Towarzystwa te mają urzędową cechę reprezentacyi spraw rolniczych kraju, strzegą interesów rolnictwa zapomocą wniosków, memoryałów i delegatów u władz rządowych i autonomicznych, rozporządzają subwencyami państwa i kraju na cele rolnicze, wydają czasopisma rolnicze. Rozległą i skuteczną działalność dla włościan rozwinęło Towarzystwo Kółek rolniczych, założone w roku 1882. Obecnie istnieje w kraju około 1500 kółek rolniczych, utrzymujących bądź sklepy wiejskie, bądź spółkowe rzeźnie, mleczarnie, kasy pożyczkowe, spichlerze, piekarnie. Niektóre kółka sprowadzają dla swoich członków nawozy sztuczne, nasiona, narzędzia i maszyny rolnicze, drzewka owocowe, utrzymują straż pożarną, drenują grunta, dzierżawią myta, pośredniczą w ubezpieczeniu budynków od ognia, a część zysków przeznaczają na potrzeby kościołów i na cele dobroczynne. Towarzystwo kółek rolniczych wydaje dwutygodnik rolniczy »Przewodnik kółek rolniczych«, oraz peryodycznie rozprawki rolnicze dla ludu.

Obok powyższych towarzystw rolniczych ogólnych istnieją w kraju towarzystwa ogrodnicze, towarzystwo rybackie, chowu drobiu (we Lwowie i Jarosławiu), dla uprawy tytoniu i inne.

II. Przemysł.

a) Ludność przemysłowa i miejska.

Mylną jest powszechna opinia, że Galicya jest z natury krajem tylko rolniczym. Wszystkie bowiem dzisiaj potężne kraje przemysłowe, jak An-

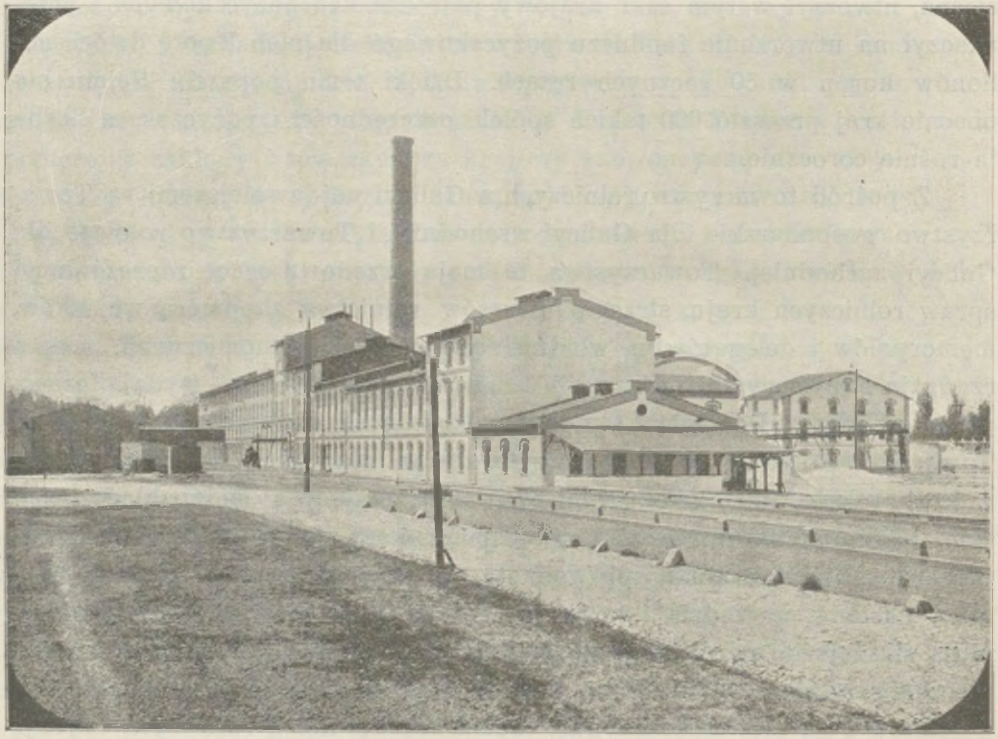

Fig. 372. Widok cukrowni w Przeworsku od strony wschodniej.

glia, Ameryka północna, Francya, Niemcy, rozpoczęły również od rolnictwa, ale wzbogaciły się i doszły do potęgi dopiero przez rozwój przemysłu i handlu. Każdy kraj rolniczy potrzebuje wyrobów przemysłowych, zarówno dla zaspokojenia osobistych potrzeb ludności, jak dla celów produkcyi rolniczej, komunikacyi, obrony. Jakoż w historycznej Polsce istniały od czasów najdawniejszych osady rękodzielnicze, a w XIII. wieku i następnych powstały miasta, zaludniające się rozmaitymi rękodzielnikami, zorganizowanymi w cechy. Były więc liczne cechy kuśnierzy, garbarzy,

szewców, sukienników, krawców, rymarzy, tkaczy, szklarzy, murarzy, złotników, kapeluszników, garncarzy, łuczników, dzwoniarzów, ludwisarzów, kołodziejów i inne. Dotychczas w wielu miastach zachowały się nazwy ulic od siedziby pewnych rzemieślników, n. p. ulica tkacka, szewska, garbarska, garncarska i t. d.

Galicya miała również w miastach swoich cechy rzemieślnicze, a nadto wiele osad rękodzielniczych, mianowicie kuśnierzy, szewców, ślusarzy, tkaczy, garncarzy. Były też w XIX. wieku liczne małe fabryki, mianowicie obok przemysłu rolniczego (młynów, gorzelń, browarów, cukrowarni, tartaków) także huty szklane w Korzeńcu, Jasienicy, Duszatynie, Koziowie, Miłkowej, Sielcu, Mikuliczynie, Beniowie, Polanach, Pieniakach, Rohaczynie, huty żelazne w Skolem, w Smolnej, w Suchedniowie, koło Wiśnicza, w Cisnej, w Dembinie, Duszatynie, w Górce węgierskiej i w wielu innych miejscowościach powiatów wadowickiego, sądeckiego, stryjskiego, samborskiego, żółkiewskiego, garbarnie w Busku koło Złoczowa (słynęła w drugiej połowie XVIII. wieku), w Gródku, Drohobyczu, Przemyślanach, Podbużu, Ustrzykach, Przemyślu, Stanisławowie, Bohorodczanach, Brodach, Sasowie, Żółkwi, gdzie była też fabryka sukna, wyrabiająca rocznie 250 postawów. O rozgałęzieniu tkactwa w Polsce i Galicyi od najdawniejszych czasów świadczą nazwy miejscowości, jak Krosno, Krościenko, Tkaczew, Konopnica i inne, lubo w wielu z nich zaginęły już ślady dawnego przemysłu.

Wiek XIX. stał się zabójczym dla rozwoju przemysłu w Galicyi wskutek zniesienia przywiiejów cechowych i wskutek przewagi wielkiego przemysłu austryackiego i czeskiego, tudzież niechętnej polityki dawnych rządów austryackich wobec usiłowań stworzenia w kraju wielkiego przemysłu. Stopniowo więc traciły podstawę swego bytu istniejące w kraju małe fabryki i huty, system wolnej konkurencyi odebrał cechom ich dawne przywileje i osłabił ich siłę, rękodzielnicy i przemysłowcy domowi utracili dawne szerokie pola zbytu na rzecz obcego przemysłu i powszechnej mody światowej. Miasta dzisiejsze straciły cechę dawnych ognisk przemysłowych; ludność miejska wprawdzie wzrasta, ale mieszczanie rękodzielnicy i przemysłowcy tworzą wśród niej tylko szczupłą garstkę.

Galicya obfituje dzisiaj w ludne miasta, w których gromadzi się liczna rzesza handlującej ludności żydowskiej, urzędnicy, wojsko, robotnicy, młodzież szkolna i rękodzielnicy, zorganizowani w stowarzyszenia. Z pośród miast Galicyi najludniejszą jest stolica Lwów. W r. 1857. miał Lwów

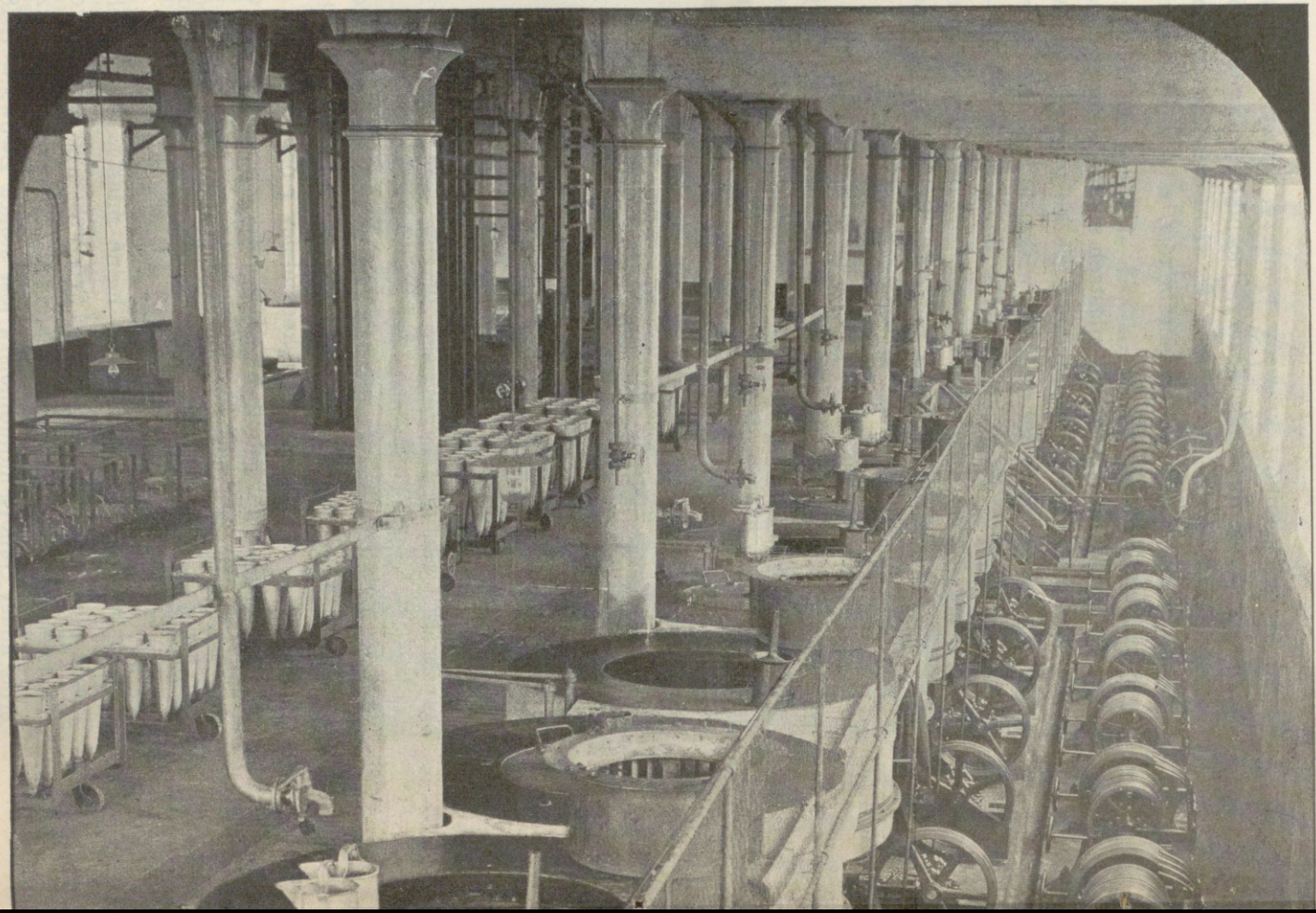

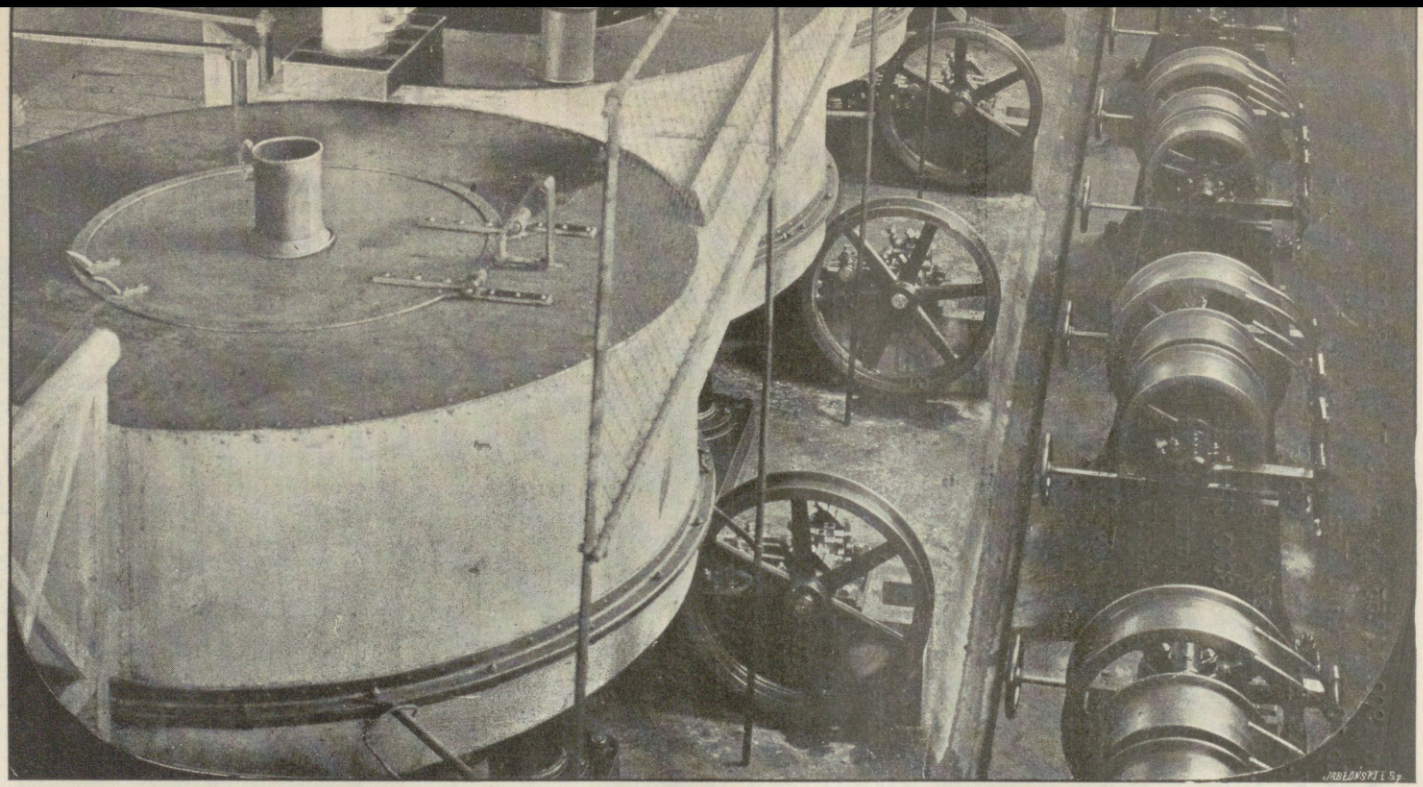

Fig. 373. Cukrownia w Przeworsku. Rafinerya.

ludności cywilnej 70.384, w r. 1900. 140.551, w r. 1907. zaś 181.000, nadto załoga wojskowa wynosi około 10.000 głów. Kraków, dawna stolica Małopolski, przyłączony wraz z W. Ks. Krakowskiem do Galicyi, miał w r. 1857 ludności cywilnej 41.086, w r. 1900. już 85.274, obecnie zaś przeszło 100.000, prócz tego załogi wojskowej jest przeszło 6000. Z miast prowincyonalnych wykazuje największą ludność Przemyśl, głównie dzięki znacznej załodze wojskowej (razem z tą załogą miał w r. 1900. 46.295 mieszkańców), dalej Kołomyja, licząca 34.188, Tarnów 31.691, Tarnopol 30.415, Stanisławów 30.410 mieszkańców. Gmina miasta Stanisławowa dąży do połączenia się z przyległą wsią Knihinin, mającą 14.013 mieszkańców, i z kolonią Knihinin, mającą 3875 mieszkańców; w razie połączenia się z temi gminami miałby już w r. 1900. Stanisławów 48.298 mieszkańców.

Dwa miasta, mianowicie Stryj i Jarosław, mają nad 20.000 mieszkańców, mianowicie Stryj 23.205, Jarosław 22.660 mieszkańców.

Sześć miast, mianowicie Drohobycz, Podgórze, Brody, Sambor, Nowy Sącz, Rzeszów mają nad 15.000 do 20.000 mieszkańców.

Z przemysłu żyło w Galicyi w roku 1900. razem 659.475 osób, w tej liczbie było czynnych zawodowo 228.504, a samoistnych przemysłowców 86.958. Wedle osobnego spisu przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych z d. 3. czerwca 1902 r. było w przemyśle wytwórczym zajętych 238.116 osób, w handlu i komunikacyi 146.473 osób. Najwięcej osób zajmował przemysł gościnny i szynkarski (39.455 osób), oraz przemysł środków żywności (40.692 osób), następnie przemysł odzieży (36.486 osób), dalej przemysł tkacki wraz z domowym przemysłem tkackim (31.418), przemysł koszykarski wraz z domowym, przemysł budowlany, metalowy, kamienny i szklany, maszynowy.

b) Statystyka górnictwa i przemysłu.

W roku 1905. było prócz salin państwowych w Galicyi czynnych przedsiębiorstw górniczych 336, w tej liczbie 304 przedsiębiorstw naftowych, 15 wosku ziemnego, 12 węgli kamiennych i brunatnych, 2 rud żelaznych, 2 rud cynkowych i jedno przedsiębiorstwo rud ołowianych. W tych cyfrach mieści się obraz kopalnictwa Galicyi.

Na czele całego kopalnictwa galicyjskiego stoją żywice ziemne (nafta i wosk ziemny), tudzież sól kamienna. W roku 1905. wynosiła produkcya nafty w Galicyi 7,943.912 cetnarów metr. wartości 19½ milionów koron, wosku ziemnego 29.572 c. m. wartości 4,132.000 kor., soli kamiennej, prze-

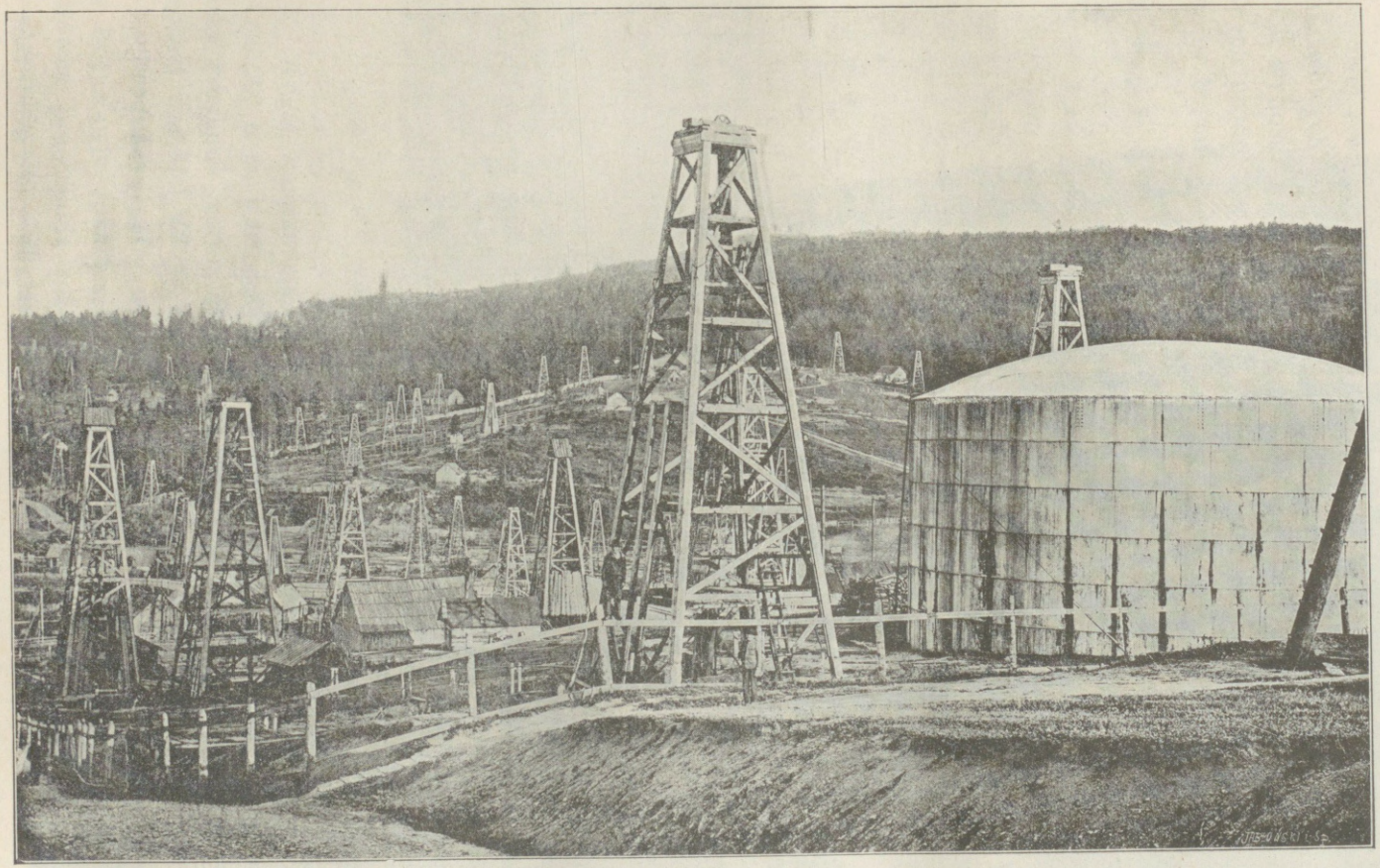

Fig. 374. Szyby naftowe w Schodnicy.



Fig. 375. Kopalnie wosku i szyby naftowe na Potoku w Borysławiu.

mysłowej i warzonki 1,764.933 c. m, wartości monopolicznej (wedle cen państwowych) 19,168.000 koron. Wartość produkcyi nafty, wosku ziemnego i soli wynosiła razem okrągło 43 milionów koron, wartość zaś wszystkich innych produktów górniczych niespełna 7 milionów, wartość ogólna 50 milionów koron.



Fig. 376. Widok szybu wydobywawczego Artur w Sierszy.

Węgla kamiennego i brunatnego wydobyto w roku 1905. w Galicyi 11,653.000 c. m. wartości 5,713.000 koron, rudy ołowianej 68.000 c. m. wartości 1 miliona koron, rudy cynkowej 36.000 c. m., żelaznej 81.000 c. m., łącznej wartości 226.000 koron.

Produkcya nafty w Galicyi ma główną siedzibę u podnóża Karpat, w Borysławiu, rozszerza się jednak wzdłuż Karpat na Zachód i Wschód. Główną przeszkodą rozwoju produkcyi jest współzawodnictwo w kraju i zagranicą, które obniża ceny ropy poniżej kosztów produkcyi. W ostatnich czasach z powodu ciągłego drożenia drzewa i węgla zdobywa nafta

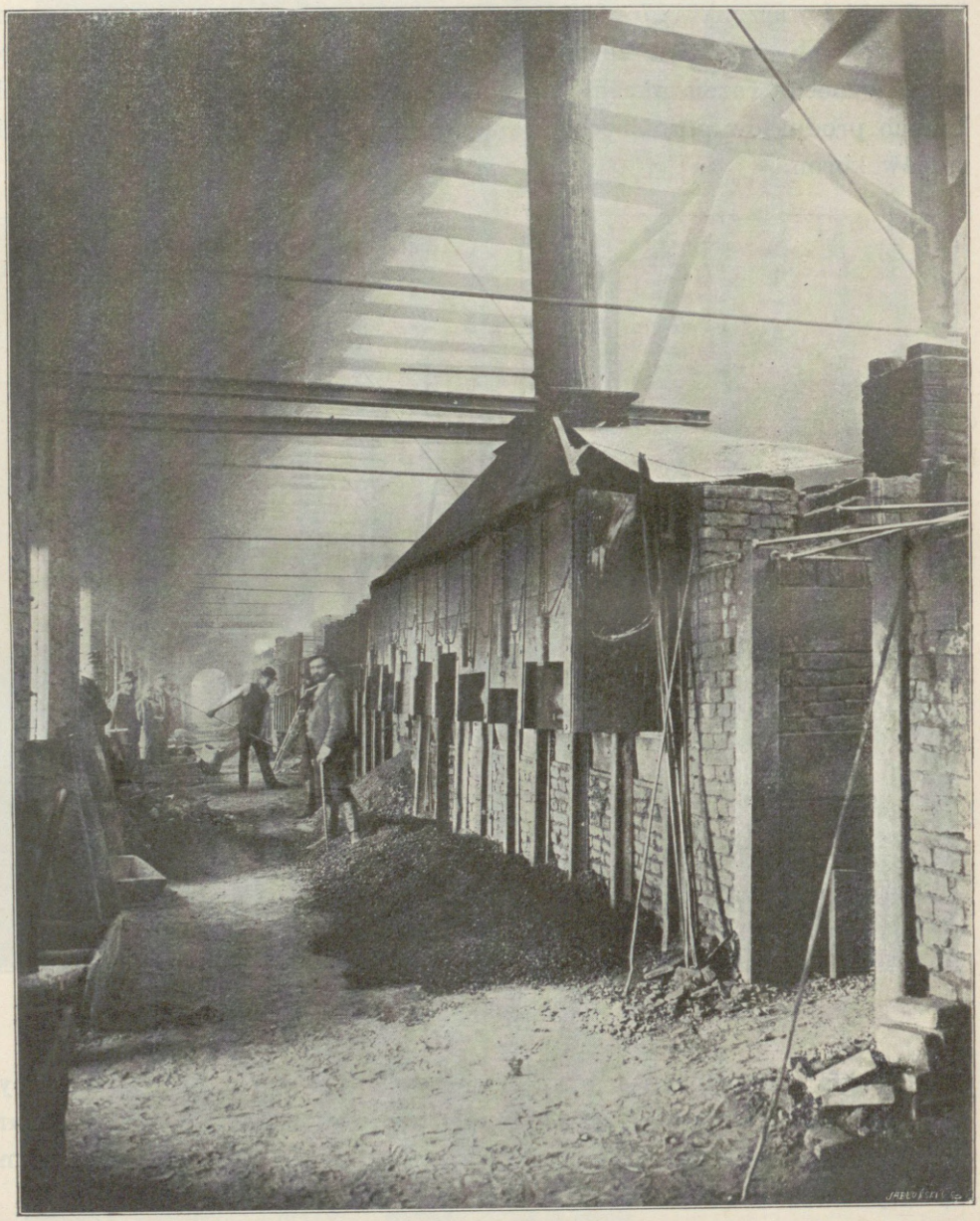

Fig. 377. Widok pieców cynkowych huty w Krzu.

coraz szerszy zbyt jako materyał opałowy dla maszyn w gorzelniach, fabrykach, salinach i w kolejowych przedsiębiorstwach.

Kopalnie soli w Bochni i Wieliczce oraz liczne warzelnie soli są zastrzeżone monopolicznie państwu. Usiłowania kraju objęcia we własny zarząd kopalń i salin państwowych były niestety dotychczas bezskuteczne.

W r. 1905. było zajętych w kopalniach i salinach galicyjskich ogółem 17.115 robotników, mianowicie w górnictwie naftowem i wosku ziemnego 9.538 robotników, w kopalniach soli 2.031, w kopalniach węgla kamiennego i brunatnego 4.893 robotników.

Wartości i ilości całej produkcyi przemysłowej nie utrzymuje się w Austryi w ewidencyi. W zakładzie ubezpieczeń od wypadków we Lwowie (dla Galicyi i Bukowiny) ubezpieczono w r. 1904. obowiązkowo 107.116 robotników przemysłowych o rocznej sumie płac 44,223.565 koron. W galicyjskich kasach chorych ubezpieczono z końcem r. 1904. razem 140.427 robotników.

Czynnych gorzelń było w 1904/5 w Galicyi 790 o łącznej produkcyi alkoholu 647.758 hektolitrów. Browarów czynnych było w r. 1904/5 w kraju 103 o łącznej produkcyi 1,187.679 hektolitrów piwa. Cukrownia była w kraju tylko jedna (w Przeworsku), a wyrobiono w niej w roku 1904/5 razem 80.000 cetn. m. cukru z 603,000 c. m. buraków. Państwowych fabryk tytoniu było w r. 1905. w Galicyi 5; zajmowały one 4.880 robotników i wyrobiły 53.331 cetn. m. fabrykatów tytoniowych.

Przemysł młynarski w Galicyi objawia, jak wszędzie, tendencyę do przemysłu wielkiego. Mimo to utrzymało się w kraju wiele młynów wodnych i wiatraków. W r. 1897. liczono w Galicyi 3.688 młynów.

Galicya ma kilka większych fabryk maszyn i narzędzi. Przedewszystkiem na wzmiankę zasługują dwie fabryki akcyjne, Braci Zieleniewskich w Krakowie i Fabryka wagonów i maszyn w Sanoku. Fabryki sukna w Kętach, Żywcu i Rakszawie nie mogą się jeszcze mierzyć z rozwiniętym przemysłem, przeważnie niemieckim, w Białej w Galicyi i w sąsiedniem Bielsku na Śląsku. Z innych fabryk wymieniamy 8 fabryk zapałek, 9 fabryk przemysłu chemicznego i liczne rafinerye nafty, 17 hut szklanych, 3 fabryki oleju, 2 fabryki cementu i wapna hydraulicznego, liczne fabryki dachówek, wzorowe fabryki papieru w Sasowie, Białej i Czerlanach.

Z wyrobów przemysłu domowego wybiły się na czoło wyroby koszykarskie (w Rudniku, Wiązownicy i w innych miejscowościach), wyroby ślusarskie świątnickie, kilimy wschodnio-galicyjskie, makaty buczackie i andrychowskie, wyroby kuśnierskie w Starym Sączu i Tyśmienicy, zabawki jaworowskie.

Ważną gałęzią przemysłu i bogactwa krajowego mogłyby się stać przy odpowiedniej solidarnej organizacyi handlu krajowe wody lecznicze, mogące współzawodniczyć zwycięsko z wodami obcemi, mianowicie woda szczawnicka, krynicka, żegiestowska, rymanowska, iwonicka, morszyńska i inne.

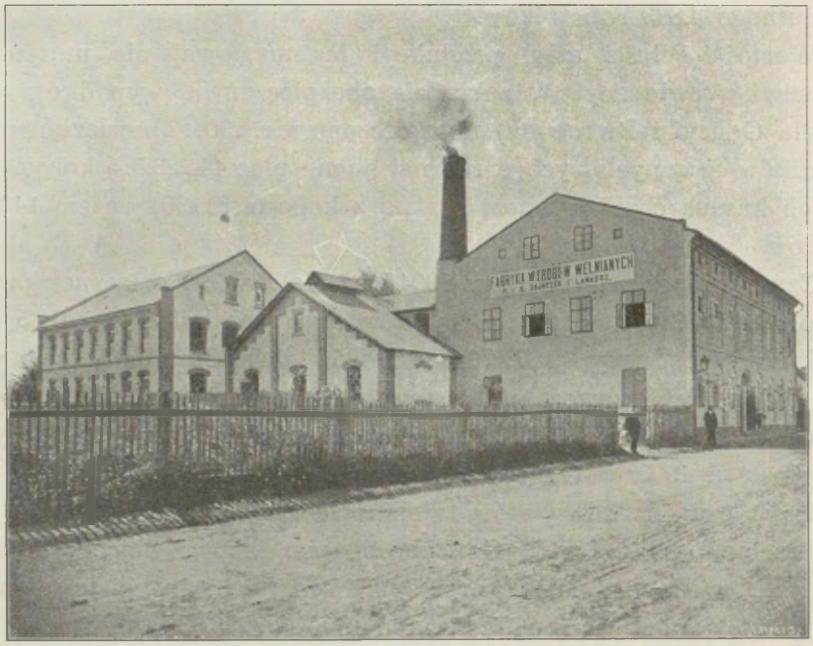

Fig. 378. Fabryka wyrobów wełnianych Zajączka i Lankosza w Kętach.

c) Działalność kraju, państwa i stowarzyszeń.

W miarę sił finansowych popiera Sejm krajowy szkolnictwo przemysłowe i rozwój przemysłu, uznając niezmierną doniosłość produkcyi przemysłowej dla dobrobytu i przyszłości całego kraju. W pierwszym rzędzie rozwinął Sejm żywą działalność na polu przemysłu domowego, zakładając i subwencyonując szkoły i warstaty przemysłowe, wystawy i muzea. Dla rozbudzenia przemysłu wielkiego utworzył Sejm fundusz pożyczkowy oraz uwolnił ustawą z r. 1886. i późniejszemi z r. 1893. i 1902. nowe zakłady przemysłowe na lat dziesięć od dodatków autonomicznych do podatków. Dla poparcia górnictwa krajowego utrzymuje kraj szkołę górniczą i wiertniczą w Borysławiu, stacyę doświadczalną produktów naftowych, udziela

stypendyów górnikom i uczniom, zbiera i ogłasza daty statystyczne z dziedziny tej produkcyi.

W roku 1908. utrzymuje kraj przy udziale państwa i gmin 54 szkół przemysłowych uzupełniających, dalej 36 szkół fachowych przemysłowych i warstatów (dla wyrobów z drzewa i łoziny, garncarskich, skórzanych, tkackich, powroźniczych, koronkarskich i haftu, kapeluszniczych,

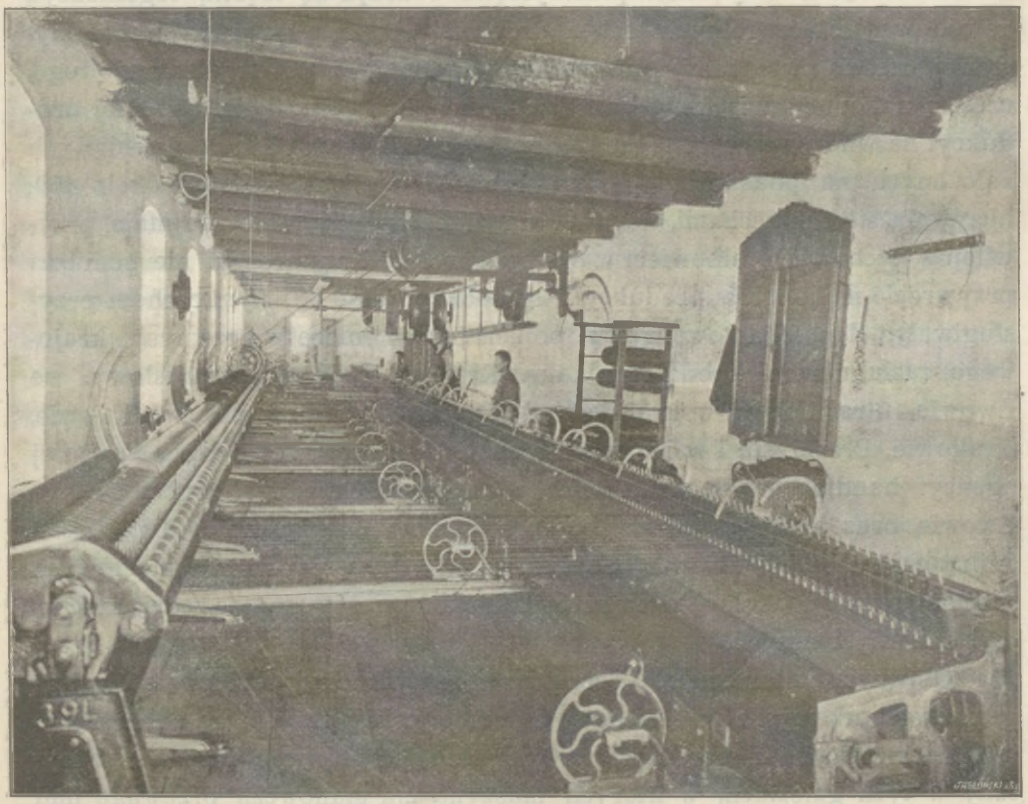

Fig. 379. Przędzalnia fabryki wyrobów wełnianych Zajączka i Lankosza w Kętach.

dla murarstwa), subwencyonuje 5 państwowych szkół przemysłowych w kraju dla przemysłu drzewnego, ślusarstwa i kowalstwa, oraz 33 szkół i pracowni przemysłowych nie krajowych, kursa majsterskie, nauczycieli wędrownych, keramiczną i technologiczną stacyę doświadczalną we Lwowie. Dla ułatwienia zbytu krajowych wyrobów przemysłowych subwencyonuje kraj istniejący we Lwowie »Krajowy Związek przemysłowy« jako krajową agencyę przemysłową.

Państwo utrzymuje w Galicyi dwie ogólne szkoły przemysłowe we Lwowie i Krakowie, pięć specyalnych szkół, mianowicie dla przemysłu drzewnego w Kołomyi i Zakopanem, szkołę kowalską w Sułkowicach i ślusarską w Świątnikach i w Tarnopolu, subwencyonuje szkoły krajowe, udziela stowarzyszeniom przemysłowym maszyn tytułem pożyczki lub ratalnego kupna, niemniej stypendyów i pożyczek na cele przemysłowe.

Liczne stowarzyszenia przemysłowe w kraju są częścią organizacyą zawodową poszczególnych gałęzi przemysłu, opartą na ustawie przemysłowej, częścią związkami dobrowolnymi dla poparcia przemysłu krajowego, częścią nakoniec związkami dobrowolnymi wytwórczymi dla wspólnej produkcyi na własny rachunek. Stowarzyszeń przemysłowych rękodzielniczych założonych na podstawie ustawy przemysłowej, jest w kraju około 450; nazywają się one cechami, na wzór dawnych cechów, lubo nie mają przywilejów cechowych, albowiem w systemie wolnej konkurencyi nie podobna przywrócić monopolów produkcyi i sprzedaży, jakie dawnym cechom przysługiwały. Z pośród towarzystw, popierających interesy przemysłu krajowego, zasługują na osobną wzmiankę »Krajowy Związek przemysłowy« we Lwowie, utrzymujący w kraju składy wyrobów krajowych (we Lwowie, Krakowie, Przemyślu i w Nowym Sączu) i wypełniający zadania krajowej agencyi handlowej »Centralny związek gal. przemysłu fabrycznego« we Lwowie, oraz towarzystwa pomocy przemysłowej, związane w «ligę» z siedzibą centralną we Lwowie. Stowarzyszeń wytwórczych przemysłowych istnieje w kraju około 40, najwięcej tkackich, następnie szewców, kuśnierzy, stolarzy i innych.

Głównem zadaniem kraju na polu przemysłowem jest podnieść i zorganizować przemysł rękodzielniczy i domowy, aby uczynić go zdolnym do współzawodnictwa z wyrobami obcymi, tudzież popierać przemysł fabryczny w tych gałęziach, w których maszyna ma stanowczą przewagę nad rękodziełem. W dzisiejszym stanie ludności i konsumcyi krajowej Galicya musi się starać o uprzemysłowienie kraju, albowiem niebawem wszystkie płody rolnictwa i leśnictwa krajowego będą musiały pozostać w kraju dla zaspokojenia potrzeb właściwej konsumcyi i braknie krajowi funduszów dla sprowadzania obcych towarów przemysłowych i płacenia procentów od długów poza krajem zaciągniętych. Wprawdzie przemysł fabryczny kraju natrafia na niezmierne trudności, albowiem kraj nie ma samodzielności handlowo-cłowej, nie może chronić swej produkcyi cłami przed nawałem obcych towarów, nie ma dostatecznych kapitałów i dostatecznego

kredytu przemysłowego, ani sił wyrobionych fachowo, brak mu węgla kamiennego, będącego dotychczas niezbędnym pokarmem maszyny parowej, nie ma taniej komunikacyi wodnej, jest zbyt oddalonym od portów morskich, a na całej swej granicy północnej i wschodniej zamkniętym od Rosyi wysokiemi cłami ochronnemi. Ważną przeszkodą przemysłu krajowego jest także brak organizacyi krajowego handlu, który przeważnie znajduje się w ręku kupców żydów, zawisłych ekonomicznie od obcych kupców i fabrykantów, nie pozyskanych jeszcze dla idei narodowych i ogólnych interesów krajowych. Także praktyka fiskalna w kraju, wysokie dodatki autonomiczne do podatków, zniechęcają wielu do zakładania fabryk.

Są jednakowoż w kraju także jaśniejsze strony, które nie pozwalają zwątpić o jego lepszej przyszłości. Mamy bowiem dostatek taniego robotnika, mamy wielu ludzi zdolnych i technicznie wykształconych, którym brak tylko praktycznego doświadczenia; mamy obfite rzeki o silnym prądzie, nadającym się do tworzenia centralnych stacyi elektrycznych, mamy znaczne obszary torfu i obfitość ropy naftowej, które mogą zastąpić brak węgla; do pewnego stopnia chroni nas także położenie geograficzne, albowiem obcy towar musi opłacić większe koszta dowozu do kraju. Reprezentacya kraju ma coraz skuteczniejszy wpływ na taryfy kolei państwowych, a dzięki jej staraniom przeszła wroga naszym interesom kolej północna im. ces. Ferdynanda na własność i w zarząd państwa. Przez organizacyę handlu swojskiego, uwolnienie nowych zakładów przemysłowych od dodatków autonomicznych, złagodzenie fiskalizmu w kraju, ułatwienie kredytu przez wzmocnienie zespolenia się ekonomicznego, możemy stworzyć warunki powodzenia przemysłu krajowego i zwrócenia na pole przemysłowe nie tylko krajowych, ale i obcych kapitałów.

III. HANDEL I KOMUNIKACYE.

a) Ludność handlowa.

Mówiąc o handlu, mamy na myśli nie tylko handel właściwy, t. j. zawodowe pośrednictwo w wymianie towarów, ale także pokrewne zawody, mianowicie komunikacye, banki, stowarzyszenia kredytowe, zakłady ase kuracyjne. Z zajęć tych tylko handel właściwy zachował dawną formę pośrednictwa i stracił w Galicyi na znaczeniu z powodu upadku drobnego

przemysłu i małych przedsiębiorstw przewozowych, niemniej z powodu rozwoju komunikacyi kolejowej, która zbliża wytwórców do konsumentów. Wprawdzie ogólna liczba osób, oddających się w Galicyi zajęciom handlowym, jest stosunkowo znaczna, jednakowoż okoliczność ta jest głównie wynikiem istnienia w kraju licznej ludności żydowskiej, wychowanej historycznie dla zajęć handlowych i kredytowych. Dowodem na to, że tak znaczna liczba pośredników handlowych jest w kraju zbędną, jest znana powszechnie nędza wśród ludności żydowskiej panująca i wynikająca stąd niezdrowa, często wprost nieuczciwa konkurencya, która utrudnia uzdrowienie stosunków handlowych a w następstwie także przemysłowych w kraju. Natomiast inne zawody handlowe, wielkie zakłady kolejowe, bankowe, asekuracyjne, są wytworami nowożytnego rozwoju ekonomicznego zajmują stosunkowo mniej pracowników, opierając się na znacznym kapitale.

W roku 1900. wynosiła ludność, żyjąca w Galicyi z handlu i komunikacyi, 571.095 głów, czyli 7·81% całej ludności kraju. Samoistnych gospodarzy było w tych zawodach 72.734, urzędników 10.578, robotników i zawisłych pracowników 78.524, członków rodzin zaś i służby domowej 409.259.

Handel właściwy, pośredniczący w sprzedaży towarów, ma swą siedzibę głównie w miastach. W ostatnich dziesiątkach lat powstało także w gminach wiejskich około 1000 sklepików kółek rolniczych, tudzież kilkaset innych, polskich i ruskich.

Handel towarowy jest przeważnie w rękach izraelitów. Na 78.893 osób żyjących w tym handlu było 69.398 izraelitów, a 9.282 katolików. Samoistnych kupców towarowych izraelitów było 47.056, katolików 4.615.

b) Statystyka handlu i komunikacyi.

W roku 1902. liczono w Galicyi 85.576 głównych i 4.091 ubocznych przedsiębiorstw handlowych. Przedsiębiorstw handlowych o stałej siedzibie było 69.754, wędrownych 1.672. Przedsiębiorstw kredytowych, pieniężnych i asekuracyjnych było 2.213, pomocniczych handlowych 5.120, komunikacyjnych 6.584, nie licząc zajęć handlowych ubocznych. Nie znamy cyfr bilansu handlowego Galicyi z innymi krajami, ponieważ w Austryi prowadzi się tylko ogólną państwową statystykę dowozu i wywozu z całego państwa. Głównymi towarami wywozowymi z kraju są produkty rolnicze, mianowicie nierogacizna, bydło, drób, jaja, drzewo, nadto spirytus, nafta, wosk ziemny, sól, kosze, papier, niemniej praca wychodźców, którzy znaczną

gotówkę corocznie bądź sami przywożą, bądź przysyłają do kraju. Natomiast dowozi kraj obcy węgiel, żelazo i maszyny, gotowe wyroby tkackie kruszcowe i galanteryjne, porcelanę, skóry, mnóstwo drobiazgów, towary kolonialne.

Komunikacya drogowa i wodna jest w kraju niedostateczna, mimo korzystnych warunków naturalnych. W roku 1905. miała Galicya ogółem 14.500 kilometrów dróg, czyli 18 kilometrów na 100 kilometrów □ powierzchni, gdy równocześnie w Czechach było 59 kilometrów dróg na takiej przestrzeni. Nadto stan dróg galicyjskich, mianowicie gminnych, wiele pozostawia do życzenia, dróg zaś bitych, rządowych, krajowych i powiatowych było tylko 7.250 kilometrów, czyli 9·1 klm na przestrzeni 100 klm. □.

Natomiast obfituje Galicya w spławne rzeki; pod względem dróg wodnych stoi na czele krajów austryackich, Niestety nie umiano dotychczas odpowiednio wyzyskać tej taniej i naturalnej komunikacyi, która może się stać błogosławieństwem dla całego kraju po wykonaniu uchwalonej przez parlament austryacki sieci kanałów galicyjskich, łączących Dunaj i Odrę z Wisłą, a Wisłę z Dniestrem i Czarnem morzem. Połączenie Wisły z Odrą miało wedle ustawy nastąpić najpóźniej do r. 1912. Do r. 1900. miały drogi wodne w Galicyi wedle dat władz politycznych 2.103 kilometrów długości, z których 637 kilometrów nadawały się do przejazdu okrętów parowych. W tymże roku przepłynęło Wisłą i jej dopływami razem 5.546 łodzi i galarów, które przewiozły 1,838.285 cetn. metr. towarów, głównie drzewa, węgla, wapna i różnych minerałów. Ruch na Dniestrze był znacznie mniejszy i ograniczył się przewozem około 774.765 cetn. metr. drzewa budulcowego.

Sieć linii kolejowych wynosiła w r. 1905. w Galicyi 3.830 klm. długości, t. j. 5 klm. na 100 klm. □ powierzchni. Koleje lokalne miały w swej sieci około 1000 klm.

Urzędów pocztowych w Galicyi było w r. 1905. razem 1224, jeden urząd na 64 klm. □ i na 6.000 mieszkańców. Wszystkie poczty w Galicyi przewiozły w r. 1905. listów, kart i druków przeszło 180 milionów sztuk, w tem 22·6 milionów sztuk dzienników, nadto $6^1/_4$ miliona pakietów i przesyłek, oraz $10^1/_2$ miliona przekazów pieniężnych, na które wpłacono w kraju 249 milionów koron, wypłacono zaś $278^1/_2$ miliona koron. Telegramów nadano w kraju 1,809.438, oprócz rządowych.

Z pośród zakładów bankowych w kraju jest najpoważniejszą instytucyą »Gal. Towarzystwo kredytowe ziemskie« we Lwowie, udzielające

pożyczek na hipotekę większych obszarów ziemskich w formie listów zastawnych. »Bank krajowy« we Lwowie udziela pożyczek na hipotekę dóbr większych, włościańskich i domów w formie listów zastawnych, gminom w formie obligacyj komunalnych, wydaje obligacye kolejowe na rzecz kolei lokalnych, tudzież popiera kredytem wekslowym rolnictwo, przemysł i handel w kraju. Na prowincyi ma bank 70 zastępstw w stowarzyszeniach zaliczkowych. Akcyjny »Bank hipoteczny« we Lwowie z filiami w Krakowie, Tarnopolu i Czerniowcach udziela pożyczek na hipotekę nieruchomości i na osobisty kredyt wekslowy. Z większych zakładów bankowych



Fig. 380. Galicyjska kasa oszczędności we Lwowie.

krajowych wymieniamy jeszcze akc. »Bank związkowy« we Lwowie. Obok tych zakładów działają w kraju także centralne banki austryackie, mianowicie bank austryacko-węgierski, mający w Galicyi dziesięć filij, zakład kredytowy dla handlu i przemysłu i inne. W r. 1905. miały wszystkie powyższe zakłady bankowe w Galicyi w swoich aktywach 671½ miliona koron, w tem 527½ miliona pożyczek hipotecznych.

Potrzebom kredytu w Galicyi służą następnie kasy oszczędności Było ich w Galicyi w roku 1905. razem 46, z Galic. kasą oszczędności we Lwowie na czele. Ogólna liczba książeczek oszczędności wynosiła z końcem roku 276.624, t. j. 3·6% ludności. Suma wkładek wynosiła 250,792.000 ko-

ron, t. j. przeciętnie 906 koron na jedną książeczkę, a 32·4 koron na głowę ludności. Od wkładek płaciły kasy oszczędności w r. 1905. przeważnie 4%, najwyżej zaś 5%. Kapitały swe lokują kasy oszczędności przeważnie na pożyczkach hipotecznych, w r. 1905. ulokowały w ten sposób z ogólnego kapitału swego 55%, resztę zaś w pożyczkach wekslowych, papierach wartościowych, w realnościach i innych aktywach. Na publiczne cele wydały galicyjskie kasy oszczędności do końca roku 1905. z swoich dochodów 4,675.865 koron, równocześnie zaś kasy w bogatych Czechach 103 milionów, a w małym Śląsku 7 milionów koron! Wkładki oszczędności przyjmuje także urząd pocztowych kas oszczędności w zakładach pocztowych.

Stowarzyszenia zarobkowe i gospodarcze w Galicyi rozwijają się najpomyślniej w zakresie stowarzyszeń kredytowych, zwanych zaliczkowemi. Z końcem r. 1906. było w Galicyi oprócz kas Raiffeisenowskich 1134 stowarzyszeń, z tych 873 zaliczkowych, a 261 innych. Stowarzyszenia kredytowe miały z końcem roku 1906. ogółem 730.934 członków i rozporządzały kapitałem 224 milionów koron, w tej sumie 53 milionów koron kapitału udziałowego i rezerwowego i 181 milionów koron wkładek.

Niestety nie wszystkie stowarzyszenia kredytowe działają w duchu obywatelskim. Znaczna ich liczba, przeszło połowa, oddaje się wprost lichwie i wyzyskiwaniu ludności pod formą stowarzyszeń. Tylko 163 stowarzyszeń należy do »Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych« we Lwowie i poddaje się kontroli organów Związku, gdy inne uchylają się z pod tej kontroli; niektóre pobierają po 10% i wyżej od pożyczek, lub wcale nie podają w sprawozdaniach pobieranej stopy procentowej. Stowarzyszenia związkowe korzystają z kredytu banku krajowego, banku związkowego dla stowarzyszeń we Lwowie, niemniej banku austryacko-węgierskiego. Stowarzyszenia ruskie mają odrębną organizacyę związkową, »Sojuz kredytowyj« we Lwowie, będącą zarazem dla nich bankiem związkowym.

Galicya ma dwa własne zakłady ubezpieczeń, z których krakowskie »Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń« ma byt oddawna ustalony i powszechne uznanie, drugie zaś towarzystwo ruskie »Dniestr« we Lwowie opiera się w części zapomocą reasekuracyi na pierwszem. Towarzystwo krakowskie ubezpiecza od ognia, na życie i od gradu, towarzystwo ruskie tylko od ognia. Obydwa zakłady polegają na wzajemności członków i pobierają od nich w formie premii asekuracyjnych zaliczki, od których zwracają corocznie kwoty, nie użyte na wypłatę szkód i innych kosztów.

Oprócz tych zakładów krajowych mają w kraju swoje agencye także inne zakłady austryackie i zagraniczne. W dziale ogniowym wszystkie zakłady ubezpieczyły w r. 1904. w Galicyi ogólną sumę 1.640 milionów koron, pobrały tytułem premii rocznej 12 milion. koron, wypłaciły zaś 11.764 szkód w sumie 11,180.000 koron. W dziale gradowym było w Galicyi 7.171 polic (umów) ubezpieczenia na sumę 71·8 milionów koron; tytułem premij pobrały zakłady 1,562.000 koron, wypłaciły zaś w 812 wypadkach tytułem szkody 470.000 koron. Wobec faktu, że szkody nieubezpieczone dotykają głównie włościan, nie rozumiejących dostatecznie korzyści ubezpieczenia, uzasadnionem jest dążenie do przymusowego ubezpieczenia w kraju od ognia i od gradu.

c) Działalnoś kraju, państwa i stowarzyszeń.

Na polu uzdrowienia handlu galicyjskiego dotychczas niewiele zdziałano. Państwo wspólnie z krajem, gminą miasta Lwowa i z izbą handlową lwowską utrzymuje we Lwowie szkołę handlową, państwo i kraj udzielają subwencyi szkole handlowej w Krakowie i zasiłków na popieranie wykształcenia handlowego. Towarzystwo kółek rolniczych utrzymuje niższą szkołę handlową w Czernichowie dla wykształcenia kierowników sklepików wiejskich. Wszelako samo wykształcenie handlowe jest wprawdzie niezbędnym warunkiem moralnego i materyalnego podźwignięcia stanu handlowego, nie zdoła jednak usunąć fatalnych stosunków w tym zawodzie panujących z powodu braku organizacyi, nieuczciwej konkurencyi i przeludnienia.

Urzędową reprezentacyę zawodu handlowego i przemysłowego stanowią trzy krajowe izby handlowe, we Lwowie, Krakowie i w Brodach. Oprócz nich czuwają nad interesami handlu stowarzyszenia (cechy) i dobrowolne związki. Jedną z przeszkód uzdrowienia stosunków handlowych kraju jest rozłam między handlem żydowskim i chrześcijańskim, lubo także w handlu chrześcijańskim nie rzadkie są ujemne, niezdrowe objawy.

O rozwój komunikacyi drogowej starają się przedewszystkiem ciała samorządne, kraj, powiaty i gminy. Także budowę lokalnych kolei gospodarczych popiera w pierwszym rzędzie kraj, przyjmując gwarancyę oprocentowania części kapitału zakładowego, w drugim zaś rzędzie państwo. Natomiast budowa kanałów spławnych przyjdzie do skutku głównie kosztem państwa.

Budżet krajowy na r. 1908. przeznacza na komunikacye 4,301.761 koron, nadto na budowy wodne i melioracye 6,913.576 koron. Powiaty galicyjskie używają 70% swoich dochodów, około 7 milionów koron rocznie na budowę i utrzymanie dróg powiatowych.

Celem poparcia kredytu wytwórczego w kraju, szczególnie dla celów przemysłowych, powołał Sejm do życia w r. 1883. Bank krajowy, dzięki inicyatywie ówczesnego marszałka, ś. p. Zyblikiewicza. Także utworzenie osobnego funduszu pożyczkowego dla przemysłu, takiegoż funduszu dla sklepików kółek rolniczych, tudzież dwumilionowej sumy dla spółkowych kas oszczędności i pożyczek, świadczy o rzetelnych usiłowaniach Sejmu około podniesienia kredytu wytwórczego w kraju.

Głównem źródłem siły ekonomicznej i dobrobytu każdego kraju jest atoli samo społeczeństwo, jego zdrowie fizyczne i moralne, wychowanie i doświadczenie zawodowe, samodzielność, zaufanie we własne siły i w lepszą przyszłość. Tej samodzielności, energii i hartu brakuje dotąd niestety naszemu społeczeństwu, skołatanemu smutnymi losami politycznymi i ekonomicznymi. Odrodzenie naszej samodzielności i wiary we własną żywotność, przebudzenie się z długoletniego uśpienia, naśladowanie naszych dzielnych ziomków w innych częściach wspólnej Ojczyzny, stanie się dźwignią i rękojmią lepszej przyszłości w tej, pod względem politycznym najswobodniejszej, a jednak najwięcej zubożałej i w kulturze zacofanej dzielnicy.

Dr. Stanisław Głąbiński.

OSTATNIE LATA 1904—1908

NAPISAŁ

DR. LUDWIK FINKEL

OSTATNIE LATA 1904—1908

NAPISAŁ

DR. LUDWIK FINKEL

Płyną lata, płyną wieki... — całe tysiąclecie spłynęło nad naszą ziemią, odkąd światło dziejów rozprószyło ciemności i mroki, które pokrywają początki narodu i państwa polskiego. To tysiąclecie pracy i znojów, dążeń i zabiegów, doli i niedoli, było osnową tych ksiąg, które w obrazach i opisach przesunęły przed oczyma i wyobraźnią czytelnika wszystkie ważniejsze zdarzenia przeszłości, najprzedniejsze zdobycze umysłu i ducha polskiego, trwałe nabytki oświaty i kultury, wreszcie liczny poczet ludzi zasłużonych i znakomitych. Kto to dzieło uważnie przeczytał, przyjrzał się rycinom, zastanowił nad związkiem, który sprzęga poszczególne jego części w jednolitą całość — ten chyba wie, czem Polska była, czem jest dzisiaj i czem w przyszłości być powinna.

Z chlubą i z rozkoszą czuć się będzie cząstką drogiej Ojczyzny, odważnie i śmiało stawać może wobec całego świata z dostojnem mianem Polaka.

Jest zaprawdę czem się pochlubić, jest na co się powołać w tysiącletniej przeszłości polskiego narodu: wskazać na wyniki owocnej pracy długiego szeregu pokoleń, na ich zasługi położone około dobra powszechnego, bądź to na krwią ociekłych pobojowiskach, bądź też w codziennej, mozolnej a twórczej działalności na wszystkich dziedzinach ludzkiej pracy, w postępie wiedzy i w uszlachetnieniu życia. Wśród ustawicznych bojów, broniąc siebie i pokrewnych ludów słowiańskich przed naporem Niemców od Zachodu, i zasłaniając piersiami swych synów społeczeństwa europejskie od zalewu dzikich najeźdźców Wschodu, naród polski nie tylko prze-

jął oświatę zachodnią, lecz umiał ją w rodzimy, sobie właściwy sposób, przetworzyć i rozwinąć. W wielowiekowych wysiłkach nagromadził mnogie bogactwa, wielki kapitał dóbr narodowych, które tworzą właściwą istotę każdej narodowości. Z przeszłości bowiem, z dziejów leją się szerokim potokiem, jak pięknie powiedziano, najszlachetniejsze uczucia w łono żyjącego narodu, aby się plenić i pomnażać i posłużyć jako zdrowy pokarm dla przyszłych pokoleń.

Do tych bogactw narodowych należy naprzód i przedewszystkiem ziemia ojczysta, nie tylko podstawa i warsztat pracy, lecz również rodzicielka i żywicielka wszystkich pokoleń, które z niej wyszły i do niej powracają. W niej i przez nią łączą się w jedną wielką rodzinę zmarli z żywymi, żywi z tymi, którzy przyjdą po nich — ona obejmuje społem wszystkich, cały naród od początku aż po dni nasze, — aż po wieki.

Polska socha i polski pług rozorały dziewiczą ongi skibę: Polak pierwszy karczował lasy, osuszał moczary i rzucał urodzajne ziarno na sprawioną rolę; wsiąknęły w tę ziemię ojczystą poty i łzy twoich, Czytelniku, przodków, a trudy ich niestracone przeszły, jako dobrze zapracowany narodowy kapitał, na następne pokolenia. Polak pierwszy założył tu stałe siedziby, rozniecił ognisko, dokoła którego skupiała się jego rodzina; stanęła chata polska z gliny ulepiona i zabielał dwór z modrzewia pobudowany, zaroiło się od osad i wsi polskich. Z czasem wzniosły się domy z kamienia i cegły, naprzód kościoły i zamki, potem murami obronne miasta, ludne i strojne środowiska rzemiosł i handlu, nauk i sztuk.

Ale droższe nad wszelakie bogactwa, przyozdobiły ziemię ojczystą wiekopomne czyny dzielności, poświęcenia i miłości najlepszych jej synów Niemal każda piędź ziemi, każdy zakątek przypomina chlubne boje stoczone w obronie narodu, bohaterskie zapasy z wrogiem: nie tylko znojem, lecz krwią okupiona, pieśnią i wspomnieniami opromieniona, jest nasza Ojczyzna!

Drugim, niemniej cennym skarbem narodowym jest język ojczysty, język ojców, dziadów i pradziadów, nabytek i spuścizna wieków, najmocniejszy łącznik tych, którzy się czują jedną wielką rodziną. Tworzył się on, kształtował i udoskonalał, nabierał mocy, wyrazistości i piękności pospołu z rozwojem i postępem narodu, naginał się do jego potrzeb, zakreślał coraz szersze kręgi jego pojęciom, przetapiał na swoją modłę przejęte od obcych słowa, mnożył się i uszlachetniał w twórczem działaniu wielkich myślicieli i poetów. Język jest wskazówką stopnia, do którego

przyszedł naród w cywilizacyi i oświeceniu — trafnie powiedział Jan Śniadecki. Jedynie w ojczystym języku, który zrodził się i urósł z krwi i ducha polskiego, Polak może wyrazić szczerze i prawdziwie swoje myśli i uczucia czy to w modłach do Boga, czy w cichej z sobą rozmowie, czy też we wzajemnych stosunkach z rodakami; w swoim języku najłatwiej zrozumie i przyswoi sobie wyniki wiedzy i nauki.



Fig. 381. Stary sztandar polski niesiony w pochodzie narodowym d. 5. listopada 1905. roku w Warszawie.

Ziemia ojczysta i język ojczysty — oto dwie mocne podwaliny, na których spoczywa budowa narodowa: porówno drogie sercu, jak konieczne dla istnienia narodu, krwią w jedną wielką rodzinę skojarzonego, tworzącego dla siebie całość jednolitą i spoistą. Ziemią związani miejscowo, wspólnym językiem duchowo, tworzą narody wpośród ludzkości te ustroje, przez które społeczeństwa i jednostki działają i jedynie działać mogą dla dobra powszechnego. Podnosząc się coraz wyżej, mnożąc wiedzę, uszlachetniając się w swoim narodzie, przyczyniamy się do ogólnego postępu, przyczyniamy się do tego, aby wszystkim wogóle ludziom było lepiej na świecie. Miłość rodziny nie wyłącza miłości narodu, owszem umacnia ją i potęguje; praca dla narodu jest jedyną drogą w działaniu dla dobra całej ludzkości.

Z rodzimego pnia, chociaż nie bez oddziaływania bliższych i dalszych sąsiadów, zwłaszcza zaś pod wpływem Chrześcijaństwa i Kościoła, rozwijały się inne bogactwa narodowe: jednakowe zwyczaje i obyczaje, owoce długoletniego doświadczenia przodków, przystosowane do współżycia i współpracy narodu, ujęte później i ściśle określone w prawach, urządze-

nia państwowe, które przetrwały wieki i spełniały dobrze swe zadanie. W obrębie tychże rozwinęło się całe gospodarstwo społeczne, zakwitło bujne, różnolite życie, krzewiło się i pleniło wszystko to, co nazywamy zazwyczaj kulturą polską.



Fig. 382. Sztandar z r. 1830. niesiony w pochodzie narodowym d. 5. listopada 1905. r. w Warszawie.

Szeroko zakreślił oręż trzech wielkich Bolesławów granice państwa Piastowskiego. Po okresie władztwa dzielnicowych książąt zjednoczył ziemie polskie król-wojownik Władysław Łokietek, a urządził król-gospodarz i król-prawodawca Kazimierz Wielki. Przez ślub królowej Jadwigi z Władysławem Jagiełłą rozległe kraje Litwy i Rusi połączyły się z państwem polskiem w potężne mocarstwo, które, na cztery wieki potomne, położyło zaporę zarówno dalszemu posuwaniu się Niemców na Wschód, jak Rosyi ku Zachodowi. Skojarzone Unią Lubelską wielkie narody, Korona z Litwą, stanowiły jedno z najprzedniejszych państw europejskich i rozbrzmiewały daleko i szeroko chwałą imienia i oręża polskiego, błyszczały świetnym zastępem znakomitych mężów stanu, dziejopisarzy, poetów, mowców i t. d.

Samodzielne, własne państwo narodowe, zapewniające porówno swobodny rozwój wewnętrzny, jak obronę od nieprzyjaciół zewnętrznych, jest wielkim, nieocenionym skarbem, którego narody czujnie strzegą i ochraniają krwią, mieniem i zasobem wszystkich sił swoich fizycznych i duchowych. Jak rodzina zamyka się w sobie, nie dopuszcza obcych do mięszania się w jej sprawy, podobnie wielka rodzina-naród, chce się sam rządzić,

sam stanowić o swoich potrzebach i losach. Naród, który wyrzekłby się na zawsze własnego państwa, który nie dążyłby do podtrzymania samodzielnego bytu, przestałby, rzec można, być narodem.

Ale państwo, chociaż jest właściwym, niejako przyrodzonym związkiem dla pełnego a swobodnego rozwoju wielkiego narodu, nie jest ani jedynym, ani nawet niezbędnym warunkiem jego życia. Przez wieki niektóre ludy (n. p. Włosi lub południowi Słowianie) pozostawały pod obcem panowaniem, a nie postradały ani poczucia swojej wspólności, ani bytu narodowego — aż nadeszła dla nich chwila oswobodzenia.

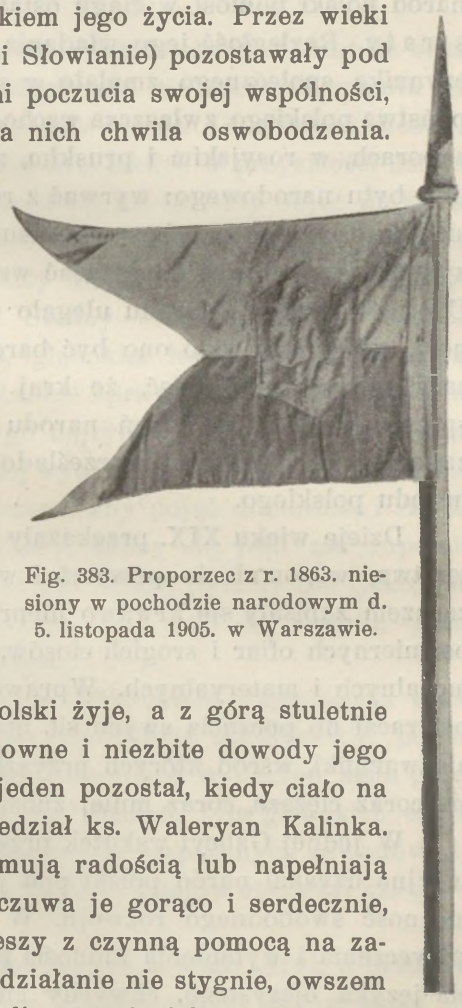

Fig. 383. Proporzec z r. 1863. niesiony w pochodzie narodowym d. 5. listopada 1905. w Warszawie.

Naród polski utracił w końcu XVIII. wieku niepodległe, własne państwo, uległ najtwardszemu i najboleśniejszemu losowi: trzy sąsiednie mocarstwa rozebrały ziemie jego pomiędzy siebie, a Polacy nie umieli obronić się przemocy. Historya polityczna, zamieszczona na poprzednich kartach tego dzieła, podała przyczyny strasznego nieszczęścia i wyświetliła okoliczności, wśród których dokonało się to bezprawie, wskazując zarówno na winy narodu, jak na bezecne postępowanie sąsiadów.

Ale mimo rozdarcia ziemi na trzy części, mimo dzielące granice, naród polski żyje, a z górą stuletnie dzieje jego porozbiorowe składają wymowne i niezbite dowody jego jedności i żywotności. »Duch nasz cały jeden pozostał, kiedy ciało na kilka rozpadło się części« trafnie powiedział ks. Waleryan Kalinka. Doniosłe sprawy każdej dzielnicy przejmują radością lub napełniają smutkiem wszystek naród; nie tylko odczuwa je gorąco i serdecznie, lecz w miarę możności, ręka w rękę spieszy z czynną pomocą na zagrożone stanowiska. To spółczucie i spółdziałanie nie stygnie, owszem wzmaga się mimo wiekowej już rozłąki politycznej i wielorakich różnic, które wskutek odmiennych stosunków musiały się wytworzyć nawet wśród synów jednej matki. Żywotności narodu dowodzi olbrzymi jego rozrost liczebny i fakt pozyskiwania coraz to szerszych warstw ludu polskiego dla szczytnych dążeń narodowych, a wreszcie ocknienie i rozkwit rodzimych pierwiastków drzemiących przez wieki, wśród starych Piastowskich dziel-

nic śląskich. Ponad granicznymi słupami unosi się ten sam świat duchowy, świat idealny, na którym, jak na sklepieniu niebieskiem, zabłysły w XIX. wieku mnogie gwiazdy wielkich wieszczów i znakomitych myślicieli, wskazujące całemu narodowi drogę ku lepszej przyszłości...

Nie można jednak zaprzeczyć i nie należy ukrywać przed sobą, że naród polski poniósł w ciągu ostatniego stulecia nieprzeliczone i dotkliwe straty. Rozległość jego władania ziemią skurczyła się, znaczenie, jako czynnika społecznego zmalało w szerokim pasie dokoła granic dawnego państwa polskiego, zwłaszcza wschodniej i zachodniej jego rubieży. W dwóch zaborach, w rosyjskim i pruskim, zdołano wyszczerbić nawet owe podwaliny bytu narodowego: wyrwać z rąk polskich znaczne obszary ziemi i zasiedlić je obcymi przybyszami, usunąć ze szkoły i z życia publicznego język polski, rozniecić i podsycać wrogie nam waśnie narodowe i religijne. Chociaż położenie narodu ulegało w każdej dzielnicy kilkakrotnym zmianom, nie przestawało ono być bardzo trudnem i niepewnem, a bez przesady można powiedzieć, że kraj był polem niemal ustawicznych starć sprzecznych z sobą dążeń narodu i rządów, zmagań się sił nierównych, zakończonych klęskami i prześladowaniem, gnębieniem ducha i tępieniem narodu polskiego.

Dzieje wieku XIX. przekazały nam pełne chwały, poświęcenia i bohaterstwa, wspomnienia powstań i wojen o odzyskanie niepodległości, ale zarazem zapisały się krwawo nieprzerwanem pasmem wielkich nieszczęść, bezmiernych ofiar i srogich ciosów, które pozbawiły naród wielu zasobów moralnych i materyalnych. Wprawdzie dźwigał on się rychło z niemocy, powracał do poczucia swych sił, nie uronił żadnego z szczytnych ideałów, ale warunki, wśród których przyszło mu pracować i rozwijać się, stawały się coraz cięższe, coraz mniej znośne.

W jednej Galicyi wskutek przekształcenia Austryi w państwo konstytucyjne uzyskał naród polski pod panowaniem sprawiedliwego Monarchy możność swobodnego rozwoju. W zaborze pruskim usiłowania rządu do zniweczenia i wytępienia ludności polskiej, do odebrania jej ziemi, wydarcia języka ojczystego, chwyciły się wprost potwornych, barbarzyńskich środków. Rosya po stłumieniu ostatniego powstania, w zaślepieniu rozpasanej zemsty, nie zawahała się przed stosowaniem najokrutniejszych zarządzeń, które przez lat czterdzieści podtrzymywała i potęgowała [1]). »Sta-

[1]) Czytaj szerzej o stosunkach po r. 1863 w t. I. str. 541—550.

łym stanem, w jakim żyje naród polski w państwie rosyjskiem, pisał w r. 1904. znakomity »Polak« do Ministra rosyjskiego, jest jak najgłębsze cierpienie...«

I.

Wszyscy znamy i pamiętamy zdarzenia lat ostatnich, bośmy je sami przeżyli, przemyśleli i przecierpieli, a jednak nikt nie zdoła do gruntu ich rozpoznać, całkowicie zrozumieć i bezstronnie ocenić. Ukrytymi pozostają dla nas tajemne czyny ludzkie, które dopiero kiedyś w przyszłości dziejopisarz wydobędzie z aktów na światło dzienne; nie umiemy objąć umysłem i ściśle określić działań potężnych czynników politycznych, społecznych i ekonomicznych, ponieważ w nich tkwimy niejako wrośnięci w nie mocno uczuciami i całem naszem jestestwem. Stoimy wśród wypadków współczesnych jak wędrowiec w nieznanym, głębokim lesie, w którym widzi każde drzewo z osobna, ale nie zdaje sobie sprawy ani z rozmiaru lasu, ani nie wie, jaka ścieżka wyprowadzi go najrychlej z gęstwiny. Potrzeba pewnego oddalenia, spojrzenia z znacznej wysokości, aby ogarnąć okiem całość lasu; potrzeba większego upływu czasu, aby pojąć doniosłość i skutki zdarzeń historycznych. Mimo to pragniemy, silimy się, jeśli nie zupełnie zrozumieć, to odgadnąć to, co się dokoła nas dzieje, pytamy nie tylko, jak się stało, dlaczego się stało, lecz również, co z tego się wyłoni, jakie skutki wynikną i co czynić, aby było lepiej!

W czterech latach ostatnich (1904—1908) zagadnienia takie narzucały się ustawicznie, domagały się odpowiedzi natarczywie, ponieważ byliśmy świadkami wielkich a niespodziewanych wydarzeń, sami przeżyliśmy w krótkim czasie tyle silnych wstrząśnień, tyle głębokich wzruszeń — przerzucani od promiennych nadziei do rozpacznych zawodów, że doprawdy można było uwierzyć z poetą, iż »Bóg dziejów otworzył księgę — niechaj w niej światy czytają...«

Na dalekim, bardzo dalekim Wschodzie, na kresach Azyi, u brzegów Oceanu Spokojnego, o dziesiątki tysięcy kilometrów od nas, zapaliła się nagle w lutym 1904. wojna japońsko-rosyjska, która trwała z górą półtora roku (do września 1905.). Wstrząsnęła ona do głębin olbrzymiem państwem »białego cara«, oddziałała na wzajemne stosunki potęg całego świata, a zatargała także silnie losami naszego narodu. Jak szeroka, gorejąca na niebiosach łuna rzuciła jaskrawe światło w ponure przepaści

upadku Rosyi. Wojna odsłoniła bowiem całą niemoc państwa niewoli i ucisku.

W chwili wybuchu starcia Rosya stała w pełni blasku swojej potęgi. Wprawdzie mawiano nieraz, że »kolos rosyjski spoczywa na glinianych nogach«, ale zawsze przedtem spoglądano przecież z szacunkiem i obawą na jego rozmiary, na zdobycze sięgające w szerz i głąb Azyi, aż po brzegi Oceanu Spokojnego. Republikańska Francya uciekła się po klęsce z r. 1870 pod opiekuńcze skrzydła cara, Niemcy i Austrya zabiegały o jego przyjaźń: głos i wpływ Rosyi w sprawach europejskich ważył niepomiernie. A chociaż wewnątrz państwa odzywały się raz po raz jakby podziemne ruchy, wybuchające buntami i zamachami, tłumiono je rychło z bezwzględną srogością. Nikt też nie wątpił, że Rosya, prędzej czy później, da sobie radę z małą Japonią, która ośmieliła się stanąć na drodze dalszemu postępowi zaborów rosyjskich w Mandżuryi i wypowiedzieć wojnę wszechpotężnemu caratowi.

Aliści oto co się okazało w toku zapasów wojennych: Rosya mimo wyzywającego zachowania się i groźnego manifestu, nie była dostatecznie przygotowana do podjęcia wojny na dalekim Wschodzie. Samo gromadzenie i zaopatrywanie wojsk nastręczyło ogromne trudności; nadomiar złego wyszły przytem na jaw liczne nadużycia czynowników (urzędników) praktykowane przez długie lata, zarówno bezradność, jak nieuczciwość gospodarki państwowej. Nieoświecone masy ludowe nie pojmowały zgoła, w jakim celu ma się przelewać krew tysięcy ich synów na odległych kresach, dlaczego »Japończycy mają być ich wrogami«. W wielu miejscowościach, nawet rdzennej Rosyi, powołanie pod broń i wysyłka żołnierzy wywoływały opór i rozruchy; sztucznie zaś podniecany zapał wojenny budził drzemiących i uciśnionych do myślenia o tem, co się dokoła nich dzieje.

Natomiast Japonia, zagrożona w najistotniejszych swych interesach handlowych i państwowych w sąsiadującej z Mandżuryą Korei, w której zdobyła sobie wpływ przez zwycięzką wojnę z Chinami (1894—1895), przewidziała, rzec można, wszystko i oczekiwała uzbrojona na lądzie i na morzu chwili rozpoczęcia działań wojennych. Naród japoński, pochodzenia mongolskiego (jak znani z naszej historyi Tatarzy), przeszedł w drugiej połowie XIX. wieku przez wielkie przeobrażenie. Nie wyrzekłszy się wcale swych wierzeń i rodzinnych cnót, owszem szanując je i krzewiąc w szerokich masach, Japończycy przejęli w krótkim czasie wyniki wiedzy i postępu, przekształcili swoje państwo i swoje wojsko na wzór europejski, pozakła-



Fig. 384. Bitwa pod Laojanem w sierpniu 1904 r.

dali liczne szkoły, wyższe i niższe, słowem stali się narodem rządnym i oświeconym. Każdy Japończyk rozumiał i odczuwał głęboko, że wojna z Rosyą jest sprawą wielkiego znaczenia narodowego. Miłość Ojczyzny, wierność dla Mikada (cesarza), bezgraniczne poświęcenie, zapał i karność, wiodły w bój zastępy japońskie.

Zaraz pierwsze działania wojenne okazały wyższość wodzów, przewagę floty i wojsk japońskich. Admirał Togo napadł niespodziewanie (w nocy z 7 na 8 lutego) na zgromadzoną dokoła Portu Artura eskadrę rosyjską, zadał jej dotkliwe ciosy i trzymał odtąd na uwięzi, co umożliwiło wylądowanie licznych wojsk japońskich w Korei, którą jako główny przedmiot sporu obsadziły. Napróżno flota rosyjska usiłowała przebić się przez linię japońskich okrętów wojennych; po szeregu utarczek Japończycy wtłoczyli resztki jej do przystani, otoczyli dokoła, od morza i lądu Port Artura, a nadesłaną z Mandżuryi odsiecz odparli.

Tymczasem lądowa armia japońska, zapewniwszy sobie posiadanie Korei, przeszła zwycięsko przez rzekę Jalu (1. maja) i wtargnęła do Mandżuryi. Naczelny wódz rosyjski, generał Kuropatkin, cofał się przed połączonymi oddziałami wojsk japońskich pod marszałkiem Ojamą. Dopiero z końcem sierpnia (24—31) rozegrały się krwawe boje dokoła Liaojangu (Laojanu). Mimo równości sił (po każdej stronie około 200.000) wojska rosyjskie, których lewe skrzydło Japończycy obeszli, musiały się cofać dalej ku Mukdenowi. Zasilony nowymi pułkami Kuropatkin, podjął raz jeszcze boje nad rzeką Szaho (9—18 października), ale po niezliczonych stratach zaniechał ich i zajął oszańcowane stanowisko pod Mukdenem.

Rosya wytężała wszystkie siły, aby nie dopuścić do ostatecznej klęski. Flota Morza Bałtyckiego pod admirałem Rożdżestwieńskim popłynęła długą okolną drogą na wody azyatyckie (15 października), powołano pod broń rezerwę 150 powiatów Rosyi europejskiej, nawet z rejonów wojskowych Warszawy, Wilna, Kijowa i Moskwy (24 października). Ale zanim flota zdążyła na plac boju, poddał się Port Artura (d. 2 stycznia 1905) bez koniecznej potrzeby, jak się później okazało. Wzmocnione siłami, zajętemi przedtem oblężeniem portu, szeregi marszałka Ojamy mogły rozpocząć działanie zaczepne, a po krwawych zapasach (d. 1 do 10 marca) armia rosyjska oddała Mukden z mnóstwem zasobów. Kiedy wreszcie nadpłynęła flota bałtycka, admirał Togo rozbił ją zupełnie u wysp Czużima d. 27 i 28 maja. Klęska była okropna i stanowcza, ponieważ dalszą wojnę z Japonią bez floty czyniła wprost niemożebną. Więc jakkolwiek armia lądowa zu-

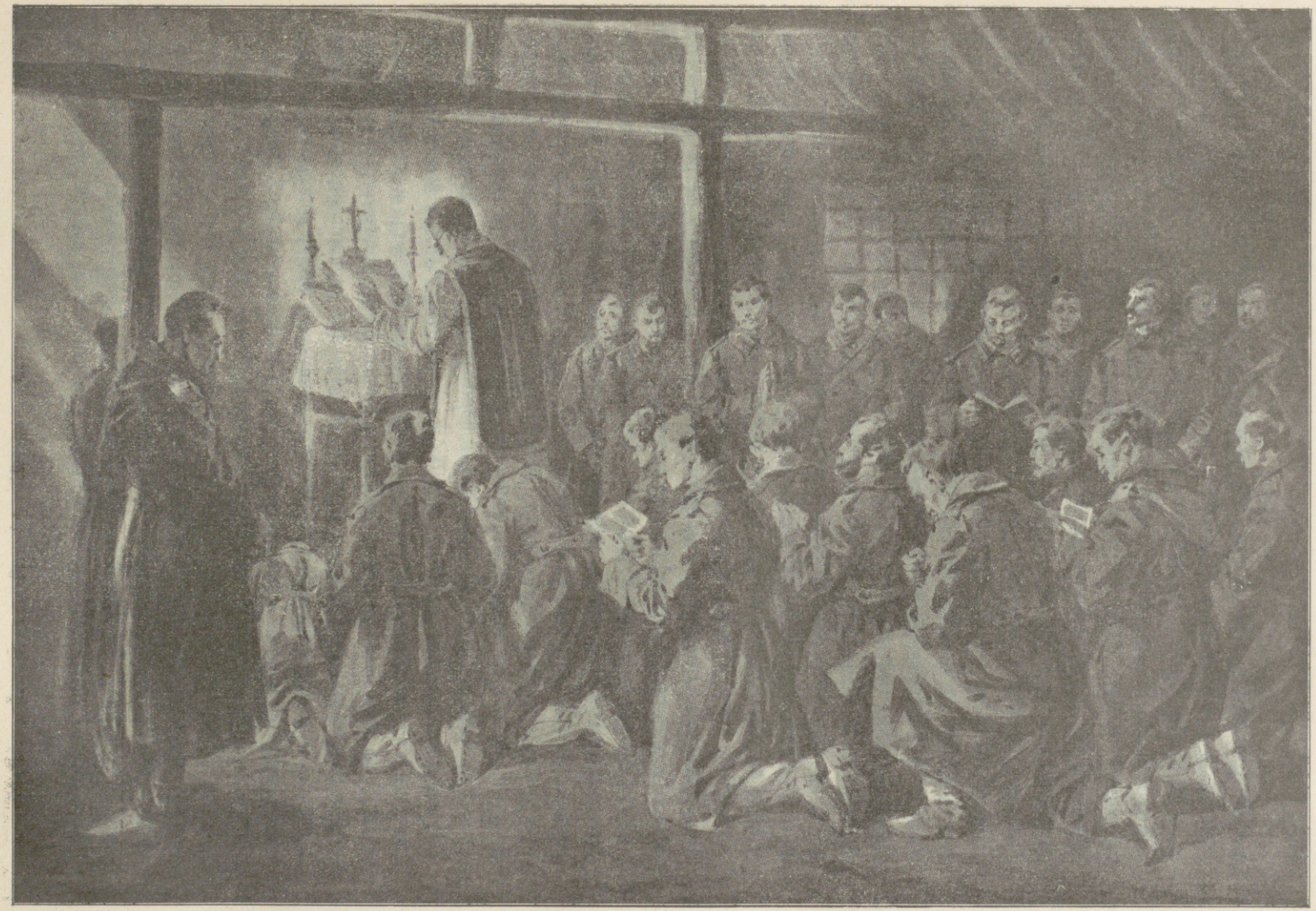

Fig. 385. Ks. Dominik Mikszys, odprawiający Mszę św. przed bitwą Mukdeńską

pełnie pokonaną i rozbitą nie została, poczęto myśleć o zawarciu pokoju...

W miarę, jak nadchodziły wieści o niepowodzeniach oręża rosyjskiego, objawiało się wzrastające z każdym dniem zaniepokojenie umysłów w Rosyi europejskiej. Korzystały z niego zaraz partye rewolucyjne, których nie brak nigdy wśród uciśnionych społeczeństw, a w Rosyi wiją się nieprzerwanym korowodem przez cały wiek XIX. Liczne zamachy na wysokich urzędników zapowiedziały podjętą na nowo podziemną robotę: padały gęsto strzały i bomby. Agitacya znajdowała łatwo przystęp w sferach robotniczych, zorganizowanych przez socyalną demokracyę, sięgnęła nawet do ludności chłopskiej, której nędza i głód doskwierały w ostatnich latach prawie rok rocznie; dostała się w części do szeregów wojskowych, w których przybrała postać kilku otwartych buntów.

Ludzie oświeceni, mężowie stanu i patryoci rosyjscy, pytali w dziennikach, broszurach i książkach, jaka jest przyczyna tej niemocy państwa, jak jej zaradzić, a zarazem, jak kres położyć wewnętrznemu wrzeniu? A na te pytania była jedyna, zawsze równobrzmiąca prawie odpowiedź: absolutne państwo, oparte na samowoli monarchy, rządzone przez czynowników niesumiennych, przedajnych, patrzących tylko swoich korzyści — ono jest źródłem powszechnej niedoli. Biurokracya (czynownictwo) odgradzająca monarchę od narodu, winna jest straszliwego stanu rzeczy: niechże cesarz pozwoli przemówić przedstawicielom ludu, niech nada konstytucyę, wtedy nastąpi odrodzenie Rosyi. Ruszyło się, rzec można, całe społeczeństwo, a wołania o zmiany, o reformy, wyrywały się z wszystkich piersi.

Już w połowie r. 1904, położenie rządu stało się nadzwyczaj trudnem. Wojna domagała się nowych wysiłków, przedewszystkiem środków finansowych t. j. zaciągnięcia wielkiej pożyczki państwowej, a równocześnie wychylało się coraz groźniej widmo wewnętrznej rewolucyi — rewolucyi wprawdzie niezwiązanej w jednolitą całość, ale wybuchającej z siłą żywiołową w wielu stronach. Na dworze cesarskim spostrzeżono, że trzeba ustępować, ustępować chociażby pozornie i bardzo powoli. Z okazyi narodzin następcy tronu (12 sierpnia) znosi car kary cielesne, które aż dotąd istniały w Rosyi; odwołując się do zapowiedzianych już w lutym r. 1903 reform, daje pewne ulgi. W miejsce znienawidzonego, zamordowanego ministra Plewego (wieloletniego prokuratora Izby sądowej w Warszawie), powołuje księcia Światopełka-Mirskiego, byłego gubernatora wileńskiego, który głośno wyznaje potrzebę reform. Dozwolono też zebrać się w Peters-

burgu, u boku cesarza delegatom Ziemstw (t. j. istniejącym w guberniach Rosyi właściwej ciałom samorządnym, wybieranym z właścicieli ziemskich, gmin miejskich i wiejskich) w listopadzie r. 1904. Poważne to zgromadzenie, złożone z najwybitniejszych mężów, uznało znaczną większością głosów (71 przeciw 27) konieczność zasadniczych zmian, przedewszystkiem dopuszczenia społeczeństwa do udziału w ustawodawstwie i kontroli gospodarki państwowej, domagało się zapewnienia bezpieczeństwa osób i mienia, wolności słowa i stowarzyszania się. W ślad za tem odbywają się, już bez pozwolenia władz, liczne zebrania we wszystkich większych miastach, zgromadzenia adwokatów, lekarzy, dziennikarzy i uczniów uniwersytetów, połączone z demonstracyami i zaburzeniami. Pod naciskiem tych wypadków car wydał 25 grudnia pismo do Senatu, zapowiadające szereg doniosłych reform, które miał jednakowoż uprzednio rozważyć komitet ministrów, aby je ostatecznie przygotować. Pismo to nie uspokoiło umysłów. Prawie równoczesny, a nieusłuchany zakaz zbierania się i omawiania zmiany ustroju państwowego, wiadomość o upadku Portu Artura, podnieciły i rozgorączkowały tłumy.

Dnia 22 stycznia 1905 w t. zw. »krwawą niedzielę« tysiączne rzesze robotników z popem Jerzym Gaponem na czele, krzyż i portret carski niosąc przed sobą, przewalają się ulicami Petersburga ku pałacowi cesarskiemu, aby wręczyć samemu Mikołajowi II prośbę o polityczne i społeczne reformy [1]). Ale wojsko zastępuje tej fali ludzkiej drogę, na przejściach przez Newę dochodzi do ostrego starcia, w którem pada kilkaset trupów. Okrzyk zgrozy i zemsty za przelaną krew rozlega się w całej Rosyi; a wtedy car, który po Jordanie (wskutek tajemniczego zamachu, jak się zdaje), opuścił stolicę i zamieszkał w Carskiem Siole, mianuje dyktatorem wojskowym znanego ze srogości generała Trepowa, poczem Ks. Światopełk-Mirski ustąpił. Odpowiedzią na zarządzenia rządowe było prawie powszechne bezrobocie, które ogarnia wszystkie wielkie miasta (Petersburg, Moskwę, Rygę, a także Warszawę i Łódź): powstaje zamęt nie do opisania, zastój w całem życiu ekonomicznem i publicznem, wśród którego słychać już tylko wybuchające bomby...

* * *

[1]) Później wyszło na jaw, że ów pop Gapon był tajnym agentem prowokatorem policyi petersburskiej.

Wszystkie te gromami brzemienne wypadki, zarówno na polu walki, jak we wnętrzu państwa rosyjskiego, silnie oddziałać musiały i oddziałały w istocie na ziemie polskie. Jedne — jako to Litwę i zabrane prowincye, t. zw. kraj zachodni — porywał wprost wir tych samych haseł, których odgłosy dolatywały od stolic do najdalszych krańców monarchii. Królestwo znowuż Polskie przedstawiało grunt dla działań rewolucyjnych bardzo podatny. Stosunki, jakie zapanowały tutaj wskutek długoletniego ucisku, były powodem powszechnego niezadowolenia, wytworzyły stan rozdrażnienia, którego nawet wzmagający się dobrobyt nie zdołał złagodzić. Obce, rosyjskie czynownictwo, znienawidzone u siebie w domu, tu otwarcie wrogie społeczeństwu, odepchniętemu od załatwiania swoich spraw, spełniało rządy jak najgorzej. Dbając tylko o własne korzyści i o utrzymanie się na zajmowanych stanowiskach, podejrzliwością swoją bruździło każdej pracy społecznej, wywoływało ustawicznie nieporozumienia i starcia.

Wielkie zaburzenia robotnicze wybuchły w Królestwie nawet wcześniej, niż w Rosyi. Już w czerwcu r. 1904 doszło w Łodzi, w Zagłębiu Dąbrowskiem i w Warszawie do groźnych rozruchów, stłumionych krwawo przez policyę i wojsko. Przyczyniły się do tego niewątpliwie niepowodzenia ekonomiczne lat poprzednich (posucha r. 1901, powodzie 1903), ale w wywołaniu bezrobocia znać było wyraźnie obcą komendę, rękę konkurencyjną niemiecką, a może nawet działanie polityczne, pruskie. W rezultacie przyniosły one szkodę wielkiemu przemysłowi Królestwa i robotnikom polskim; wiele fabryk zamknięto[1]): nędza i głód doskwierały pozbawionym pracy tak dotkliwie, że musiano się uciekać do pomocy społecznej, do »składek na głodnych Warszawy«. Nie omieszkały z tego stanu rzeczy korzystać związki rewolucyjne. Partye socyalistyczne, jedna międzynarodowa t. zw. Socyal-demokracya (pod komendą niemiecką), druga najliczniejsza i najczynniejsza z zabarwieniem narodowem t. zw. socyalna demokracya Królestwa Polskiego i Litwy — poczuwały się do solidarności z robotniczym ruchem rosyjskim, a strajki tam ogłaszane znajdowały posłuszne echo w ogniskach fabrycznych Królestwa polskiego. Do nich przyłączył się żydowski »Bund«, walczący o uprawnienie Żydów w Rosyi, a złożony z najskrajniejszych żywiołów. Bezrobocia wytwarzały zaś tutaj za-

[1]) Do wiadomości podanych w t. II. str. 701—723 o fabrykach w Królestwie, dodajemy z dziełka St. Koszutskiego (p. t. Nasz przemysł wielki na początku XX wieku, Warszawa 1905), że liczba fabryk wynosiła w r. 1905 — 2.901, wartość produkcyi 506.838.000 rubli, liczba zajętych robotników 289.102.

mięszanie jeszcze większe, niż w Rosyi, ponieważ w tym nieszczęsnym kraju panowały od wielu już lat stosunki wprost zatrważające pod względem bezpieczeństwa publicznego. Władze rosyjskie, liczne wprawdzie i mocne, zajęte jednak »robotą polityczną«, dozwoliły rozmnożyć się w Warszawie osławionemu nożownictwu, a szajkom opryszków rozwielmożnić w kraju. Brak oświaty, długoletnie zaniedbanie moralne, bezkarność wreszcie, pomnażały z roku na rok liczbę zbrodni. Do band już istniejących przybywały teraz, wśród zamętu i osłabienia rządu, nowe; podszywały się one pod hasła rewolucyjne i już prawie jawnie wykonywały napady, rabunki i mordy. Szerzył się b a n d y t y z m najpospolitszego gatunku, który, jak zmora, zawisł nad całą ludnością.

W takich potwornych kleszczach znalazło się Królestwo Polskie w czasie, w którym wskutek dokonywującego się przewrotu w państwie rosyjskiem miało samodzielnie pomyśleć o sobie. Nastała »chwila osobliwa«: po 40-letniej martwocie zabiło przyspieszonem tętnem życie narodu, obudziły się wielkie, promienne nadzieje...

Wypadki zaskoczyły społeczeństwo polskie, jak w ogólności całą Europę, niespodziewanie. Nie było ono przygotowane do podjęcia tego trudnego zadania, do którego zostało siłą faktów powołane. Wprawdzie nie ustawało, nawet w latach najcięższego ucisku, w pracy około dobra powszechnego, około dźwigania się materyalnego i moralnego, ale pozbawione przez pół wieku możności otwartej dyskusyi i jawnego działania w dziedzinie potrzeb narodowych, nie mogło to społeczeństwo zorganizować się, urobić sobie zdania o najważniejszych zagadnieniach politycznych, nie posiadało uznanych przywódców, za których głosem rade poszłoby z pełną ufnością. Wniesiony nagle ferment musiał wywołać zamęt i wytwarzanie się rozlicznych stronnictw, grup i grupek, samozwańcze występowanie tychże na widownię, wzajemne licytowanie się w projektach i żądaniach. Wprawdzie nie brakło nawoływań do upamiętania, do trzeźwości i dojrzałości, ale »rozbujanie fal« nastąpiło, bo nastąpić musiało. Wśród wewnętrznych rozruchów, prawie powszechnego bezrobocia, pod groźbą bandytyzmu, głodu i nędzy, społeczeństwo miało się dopiero zorganizować, skupić dokoła jednej myśli politycznej, miało załatwić obfitość i różnorodność spraw, które domagały się rozwiązania. Nie dziw zatem, że odbywało się to bezładnie, gorączkowo, że nie wiedziano, od czego zaczynać, raczej podziwiać należy, że równocześnie zabrano się z pełnym zapałem, z godną uznania ofiarnością i wytrwałością do pracy pozytywnej na wszystkich polach, jakby

chciano wygoić skutki długiej, przymusowej bezczynności i złożyć dowody niewygasłej żywotności.

Poza zorganizowanemi partyami socyalistycznemi i rewolucyjnemi zarysowały się wśród polskiego, biernego przeważnie społeczeństwa dwa główne kierunki w pojmowaniu stosunku narodu do państwa i rządu rosyjskiego.

Jeden stawał na gruncie trwałej wspólności państwowej z Rosyą, pragnął drogą ugodową, przez okazywanie zupełnej wierności, wyjednać u rządu carskiego lepsze warunki dla bytu narodowego, t. j. zniesienie praw wyjątkowych a uzyskanie pewnych ustępstw na rzecz języka polskiego i samorządu miejscowego, chociażby tylko w szczupłym zakresie. Nieliczni zwolennicy takiej polityki, zwani dawniej »ugodowcami«, przybrali w obecnej dobie, sformułowawszy swoje zasady w sposób bardziej określony, nazwę realistów (t. j. ludzi liczących się z istniejącymi, realnymi stosunkami). Niestrudzonym krzewicielem tego kierunku był Włodzimierz Spasowicz, niepospolity uczony, założyciel pisma polskiego w Petersburgu p. t. »Kraj« (zmarły 26. października 1906. r.). Realiści rozwinęli w latach ostatnich (od r. 1897, od pobytu Mikołaja II. w Warszawie) dosyć ruchliwą działalność dziennikarską i piśmienniczą, ale oddźwięku wyznawców w szerszych kołach nie znaleźli. Rząd nie myślał przystępować do ugody, nie czynił żadnych ustępstw (prócz nielicznych, bardzo drobnych), więc także z tej strony brakło ugodowcom poparcia.

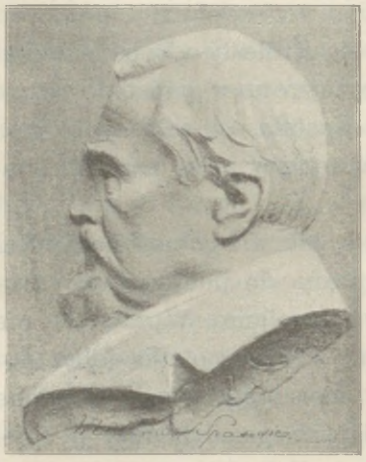

Fig. 386. Włodzimierz Spasowicz.

Drugi kierunek odpowiadał lepiej nastrojowi znękanego, cierpiącego społeczeństwa, ponieważ głosił poczucie własnych sił i budził z długoletniego odrętwienia, do życia, do czynu. Nie wyrzekał się dążenia do niepodległości, przeciwnie stawiał je jako swoją ideę przewodnią, obejmował programem wszystkie trzy dzielnice Polski, nawiązywał nawet do tradycyj spiskowych i emigracyjnych, opierając się o tajemną organizacyę polityczną, o t. zw. »Ligę Narodową«, czem budził obawę przed wywołaniem nowego niewczesnego porywu. W istocie podjęli założyciele i kierownicy

tego stronnictwa (wśród nich najwybitniejszy Jan Ludwik Popławski, zm. d. 12. marca 1908. r.) przedewszystkiem pracę wychowawczo-polityczną, »głębszą orkę« — jak pisali [1]) — »celem przerobienia od podstaw współczesnej umysłowości polskiej« w duchu narodowym i demokratycznym przez spotęgowanie poczucia jedności, samoistności i odporności narodowej i przez pozyskanie dla ideałów narodowych najszerszych warstw społecznych. W imię tych haseł występowali stanowczo i bezwzględnie zarówno przeciw konserwatystom i »ugodowcom«, jak przeciw socyalistom i wszystkim, chociażby postępowym ale nienarodowym, żywiołom. »Naród w tem położeniu, co nasz — pisali — musi być zachowawczym, ale zachowawczość jego winna być twórczą i zwróconą przedewszystkiem ku utrwaleniu i rozwojowi bytu narodowego...« »Wpływy ruchu rewolucyjnego w Rosyi działają rozkładająco na nasz organizm narodowy, rozbijają go na atomy« — więc nie należy się z nim łączyć. Zdołali też rychło pociągnąć za sobą znaczne zastępy młodzieży, którą wydarli w części agitacyi socyalistycznej, zdołali rozbudzić myśli i, co za tem idzie, namiętności polityczne, rzucić nawet plenne ziarno wśród ludu w Królestwie. Narodowa Demokracya (ND). przezwana według pisma, która wydawać poczęła we Lwowie w r. 1895. (od r. 1902. w Krakowie) p. t. »Przegląd Wszechpolski«, stronnictwem wszechpolskiem, miała prawie dziesięć lat tej pracy przygotowawczej za sobą, kiedy obudzone nadzieje rychło przyciągnęły ku niej przeważającą większość ogółu polskiego z wszystkich warstw społecznych, a wypadki powoływały do czynnego, praktycznego działania. Wprawdzie powstały obok niej inne partye, między niemi najwybitniejsze stronnictwo postępowo-demokratyczne (PD), opierające się na hasłach liberalnych i szukające sojuszu z liberalnemi kołami rosyjskiemi, ale Narodowa Demokracya, posiadająca gotową organizacyę, odegrała ostatecznie główną rolę

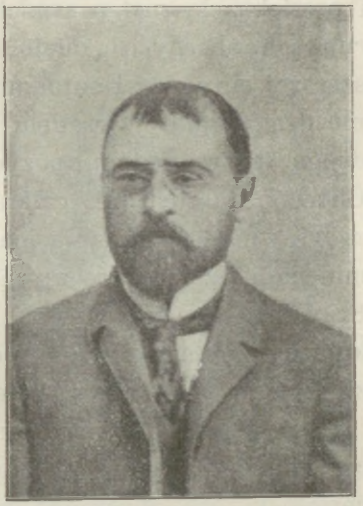

Fig. 387. Jan Ludwik Popławski.

[1]) Por. dzieło p. t. Dziesięciolecie Przeglądu Wszechpolskiego, artykuły i rozprawy Z. Balickiego, R. Dmowskiego, J. L. Popławskiego, W. Tokarza, G. Topora, Z. Wasilewskiego i innych pod redakcyą R. Dmowskiego, Kraków 1905.

w wielkim ruchu narodowym, który objął niebawem całe Królestwo i sięgnął nawet poza jego granice. Kierownicy tejże »czując też odpowiedzialność za losy całego kraju« i rozpatrzywszy się w jego położeniu, poznali rychło, ktoby zyskał najwięcej na rewolucyi lub powstaniu w Królestwie, i postanowili wszelkimi sposobami powstrzymać naród od porywu, któryby jemu szkodę, nieprzyjaciołom korzyść przyniósł. W tej myśli Liga Narodowa wydała zaraz w lutym 1904. r. odezwę, którą powstrzymała gorętsze żywioły wśród młodzieży, silnie pociąganej przez rewolucyjne partye ku sobie, od rozpoczęcia ruchu zbrojnego, czem zdobyła sobie rzetelną zasługę i powiększyła zastęp swoich zwolenników. Program jej działania »w warunkach obecnych« obejmował »osiągnięcie jak najdalej idącej, jak najszerszej odrębności autonomicznej Królestwa Polskiego« zdobytej jednakże nie drogą ugody z rządem lub dobrowolnych z jego strony ustępstw, lecz drogą »bezwzględnej opozycyi, drogą walki codziennej o prawa narodowe«. Chociaż nie odsuwali całkiem »zbliżenia się z rosyjskimi żywiołami opozycyjnymi dla poznania ich wartości i zapoznania ich z kwestyą polską», mniemali, iż w walce z rządem wystarczy oprzeć się na własnych siłach. Przykład Japonii zachęcał i olśniewał, szerzono w licznych pismach i artykułach wiadomości o niej i o jej powodzeniach; przedstawiano Rosyę jako zgniecioną, bezwładną i tem samem do ustępstw przymuszoną.

Realiści-ugodowcy i narodowi demokraci stanęli, rzec można, na przeciwległych biegunach, chociaż na jednym gruncie. Jedni i drudzy nie chcieli rewolucyi lub zbrojnego powstania, nie przemawiali za oderwaniem się od państwa rosyjskiego, w środkach jednak działania różnili się zasadniczo: pierwsi szli daleko w uległości dla rządu, drudzy w bezwzględnej opozycyi. Poza temi stronnictwami pozostawała jednak jeszcze ogromna większość ludności, która nie wchodziła w szeregi żadnej z tych partyj, była bezpartyjną, mniej lub więcej sympatyzującą z głoszonemi hasłami.

Pierwsze starcie poglądów nastąpiło zaraz na początku wojny, kiedy chodziło o zajęcie wobec niej stanowiska. Realiści przestrzegali przed objawami radości z powodu klęsk rosyjskich na Wschodzie, ponieważ »skoro politycznie i ekonomicznie jesteśmy organiczną częścią Rosyi, więc klęski jej odbić się muszą nieuchronnie i u nas«. W liczbie około 250.000 ludzi, walczących przeciw Japonii, jest około 30.000 Polaków, należy zatem pospieszyć z pomocą, kiedy zagraża ich życiu niebezpieczeństwo i wysłać na plac boju, chociażby z czystego poczucia ludzkości, ambulans, złożony z lekarzy, Sióstr Miłosierdzia, księży katolickich i oddziału sanitarnego. Mimo

protestów, a nawet demonstracyj, rzecz doszła do skutku pod patronatem arcybiskupa warszawskiego ks. Teofila Wincentego Popiela. Ambulans polski zdążył już z początkiem lipca do Charbina i spełnił zaszczytnie swoje zadanie w toku krwawej wojny.

Ale rychło zaostrzyły się przeciwieństwa wyraźniej. Wielkie poruszenie w Rosyi, zapowiedź doniosłych reform, zjazd Ziemców w Petersburgu i życzliwe ich wystąpienie w sprawie polskiej, wreszcie rozluźnienie żelaznych oków, rozbudziło nagle życie zbiorowe — zgromadzenia, wiece i narady — posypały się liczne projekty, adresy, pisma ulotne. Memoryał realistów, »t. zw. 23 ugodowców« z d. 27. listopada 1904, trzymany w ramach umiarkowanych życzeń i próśb, nie odpowiadał już zgoła nastrojowi i dążeniom społeczeństwa. Z oburzeniem i wzgardą odepchnęły te »próby i usiłowania pojednawcze«, nawet poważne, umiarkowane koła. Ukazał się »List otwarty Polaka do Ministra rosyjskiego« skreślony przez tego, ku któremu zwrócone były oczy całego narodu, o którym trafnie powiedziano w »Uwagach z powodu listu«, że »odezwał się ktoś taki, który wybornie odczuwa ducha narodu a zarazem pojmuje ducha chwili i w lot pochwycił jej potrzeby«. List Henryka Sienkiewicza [1]) do ks. Światopełka-Mirskiego i uzupełniające go uwagi profesora Szymona Askenazego mają znaczenie pierwszorzędnego dokumentu, ponieważ przedstawiły wiernie stan, w jakim żyje naród polski pod panowaniem rosyjskiem i gorzkie owoce długoletniej gospodarki czynownictwa — a równocześnie zapewniały, że »powstania nie będzie«, że rzucane na naród podejrzenia są rozmyślnie oszczercze. Słowami pełnemi godności kończył wielki pisarz



Fig. 388. J. E. X. Arcyb. Winc. Chościak Popiel.

[1]) O Henryku Sienkiewiczu czytaj w t. II. str. 315—329, portret tamże.

swe wywody: »Jeżeli warunkiem zaufania ze strony państwa do nas jest wyrzeczenie się przez nas narodowości, języka i wyznania, to niechże pań-



Fig. 389. Ambulans warszawski w przeddzień wyjazdu na Daleki Wschód.

stwo nie ufa nam nigdy, albowiem nigdy na taką ufność nie zasłużymy. — Jeżeli jednak we własnym dobrze zrozumianym interesie potrafi zdobyć się na to, na co nie zdobyło się dotychczas, to jest poszukać i zjednać

sobie sprzymierzeńca w naszej miłości do naszego kraju, to niech wie, że to jest sprzymierzeniec najpewniejszy ze wszystkich, jakich kiedykolwiek miało«. W tem oświadczeniu, za którem stała najlepsza część społeczeństwa, przejawił się stanowczy przełom politycznej myśli polskiej, która nie w zbrojnem powstaniu, nie w nowym krwi rozlewie, lecz w pracy pokojowej, w granicach państwa rosyjskiego, pragnie zdobyć warunki ochrony i rozwoju bytu narodowego.

Z tej myśli i z tego samego koła ludzi wyszedł »Memoryał o położeniu i potrzebach Królestwa«, który złożył Władysław hr. Tyszkiewicz dnia 23. grudnia 1904. r. rządowi z upoważnienia ministra ks. Światopełka-Mirskiego. Wymieniono w nim potrzeby najniezbędniejsze, wprost nieodzowne, stawiano je w słowach umiarkowanych ale stanowczych. Domagano się wprowadzenia języka polskiego w szkołach, urzędach i sądach; dopuszczenia Polaków do wszelkich stanowisk służby publicznej; samorządu w okręgach miejskich i wiejskich z udziałem wszystkich warstw ludności oraz z uznaniem gminy za podstawową jego jednostkę; wreszcie zapewnienia swobody wyznania Unitom i przywrócenia pewnych praw Kościołowi katolickiemu.

Ale zanim ten memoryał stał się przedmiotem narad komitetu ministrów, nastąpiły krwawe dni styczniowe nad Newą, rozruchy i strajki sprowadziły powszechny w państwie zamęt. Gwałtowny ruch rewolucyjny udzielił się szybko Królestwu Polskiemu: w dniach 27—29 stycznia **1905.** r. Warszawa stała się widownią i ofiarą wielkich zaburzeń i krwawych starć z policyą i Kozakami. Po latach czterdziestu padły znowu pierwsze strzały na ulicach, a chociaż pisma polskie ogłosiły zaraz, że stronnictwa narodowe nie miały żadnego udziału w tych rozruchach, gazety pruskie w Berlinie pisały o nich wprost jako o początku powstania polskiego.

Dla obozów patryotycznych była to chwila bardzo ciężka i bardzo niebezpieczna. Gorętsze umysły rwały się do działania, do czynu, aby nie przespać sposobności, na którą czekały całe pokolenia, aby nie pozostać w tyle, kiedy wszyscy ruszają naprzód. Nie tylko w Królestwie, na wszystkich ziemiach polskich dało się uczuć drżenie, jakby nagle zakipiało na dnie dusz ludzkich... Odezwały się »wspomnienia bojów i walk głośnem echem w sercach młodzieży; zabiła żywiej w żyłach krew ojców i dziadów...« Wprawdzie Narodowa Demokracya powstrzymywała młodzież od niebacznego porywu, ale równocześnie rozpoczęła działalność opozycyjną

na kilku polach. Poddawszy szczegółowemu zbadaniu stosunek prawnopolityczny Królestwa do Rosyi, wyraziła przekonanie, że urzędnicy rosyjscy w licznych wypadkach przekroczyli na naszą niekorzyść granicę obowiązujących przepisów, że »my sami wyrzekliśmy się praw, których nam nawet nie odbierano«. Teraz postanowiono z pomocą t. zw. biernego oporu upomnieć się o przywrócenie stanu prawnego. Powołując się na cyrkularz generał-gubernatora ks. Imeretyńskiego z r. 1897., stwierdzający, że gminom włościańskim przysługuje prawo urzędowania w języku ojczystym, nakłoniono przełożonych kilkunastu gmin do usunięcia języka rosyjskiego a zastąpienia go polskim. Ale władze rosyjskie pociągnęły wójtów do odpowiedzialności karnej i ruch niebawem stłumiły. Lepiej powiodło się zrazu na kolei warszawsko-wiedeńskiej, której urzędnicy w czasie powszechnego strajku kolejowego postanowili wprowadzić od d. 15. lipca urzędowanie polskie w całym zakresie swoich czynności poza stosunkami z władzami rosyjskiemi. Rząd, pogrążony w ciężkich kłopotach, przyzwolił tymczasowo na tę zmianę. Również wystąpienie młodzieży w gimnazyach wschodniej części kraju o wykład religii w języku polskim uwieńczone zostało powodzeniem, co zachęcało do dalszego działania na tem polu.

Sprawa szkolna, sprawa publicznego wychowania młodzieży, była od dawna jedną z najdotkliwszych ran społeczeństwa, rakiem toczącym jego organizm. Szkoła rosyjska, wprowadzona r. 1872., należała do najszkodliwszych i najbardziej znienawidzonych urządzeń. Nie tylko sam obcy język wykładowy czynił ją katownią dusz młodocianych, lecz bardziej jeszcze panujący w tej szkole systym: duch wrogi, policyjny i donosicielski, nauka płytka a zaprawiona wstrętną tendencyą. Przyznawali to sami gubernatorowie rosyjscy. »Szkoła rządowa« — pisał nawet generał-gubernator Hurko w memoryale r. 1890. — zwraca się do dziecka polskiego nie tylko bez miłości, lecz wprost wrogo; tam stawia mu się zarzut jego polskiego pochodzenia, obraża jego uczucia narodowe, jego religię, traktuje się podejrzliwie, jego językowi ojczystemu pozostawia się miejsce po językach cudzoziemskich, po francuskim i niemieckim«. To samo potwierdził ks. Imeretyński. Owoce tej gospodarki szkolnej były też wprost przerażające. Królestwo na przeszło 30.000 wsi i 7 milionów ludności wiejskiej katolickiej liczyło ledwo 2½ tysiąca szkół początkowych wiejskich a 150.000 uczniów. Według obliczenia z r. 1897. liczba analfabetów (nieumiejących czytać) wynosiła 80%! Nie lepiej działo się ze szkołami średniemi, w których kwitło »łapownictwo, szpiegostwo, brutalstwo i nieuctwo«. Uniwersy-

tet warszawski, jedyny na 11-omilionową ludność, miał słuchaczów 1½ tysiąca, w tym zastępie znaczną liczbę Rosyan, Polaków zaś niespełna tysiąc [1]).

Społeczeństwo jęczało długo pod tym obuchem szkoły rosyjskiej, protestowało nieraz — ale bezskutecznie. Wszystkie memoryały stawiały sprawę wychowania młodzieży na pierwszem miejscu, jak na to sprawa ta rzeczywiście zasługiwała. Odpowiedzi z Petersburga nie było, długie oczekiwanie wytwarzało zniecierpliwienie, zwłaszcza wśród młodych zapalnych umysłów, na które działały hasła rewolucyjne. Równocześnie w Rosyi na skutek krwawych wypadków styczniowych wybuchł powszechny strajk szkolny w gimnazyach i uniwersytetach, co dodało bodźca młodzieży polskiej. W tajnych kółkach zrodziła się wtedy i dojrzała myśl zbojkotowania szkoły rosyjskiej, powstał »Związek unarodowienia szkoły« i ten wydał, zaraz po krwawej niedzieli w Petersburgu, rozkaz bojkotu. Jakby na dany znak opuściła młodzież polska w ostatnich dniach stycznia i pierwszych lutego szkoły w całem Królestwie [2]).

»Był to okrzyk nagromadzonego przez lata bolu«, jak trafnie powiedziano, krok uczyniony w chwili największego podniecenia, krok o nieobliczalnych następstwach — pozbawiał bowiem nauki szkolnej przeszło 40.000 dzieci, rzucał w wir walk młode pokolenie, najdroższy skarb narodu. Ale w one dni zapalnej gorączki nie zdawano sobie z tego sprawy; sądzono, że »rząd będzie zmuszony ustąpić«. Nawet rodzice dzieci nie rozumieli całej doniosłości wielkiego niebezpieczeństwa. Wiec rodzicielski, który odbył się dnia 19. lutego w Warszawie, w obecności kuratora szkolnego Szwarza, mimo niektóre ostrzegające głosy, stanął po stronie bojkotu; w terminie przez władze szkolne naznaczonym (14. marca) uczniowie nie powrócili do szkół publicznych. Mimo nawet pewne ustępstwa ze strony rządu, prawda drobne i niezadowalające, które przecież dawały dobrą sposobność do cofnięcia się z fałszywej drogi, mimo gorących nawoływań listu pasterskiego arcybiskupa ks. Popiela (z d. 10. lipca) i głosów najpoważniejszych mężów w narodzie, zebranych d. 11. lipca u hr. Adama Krasińskiego [3]), bezrobocie szkolne trwało dalej, a jako zasada utrzymało się aż

---

[1]) Prof. Askenazy podaje te daty w broszurze »Uwagi z powodu listu Polaka do Ministra rosyjskiego«, Lwów, 1905.

[2]) W tym czasie było w gubernii warszawskiej 18 zakładów średnich, 876 szkół niższych; w gub. lubelskiej 9 średnich, 537 niższych; w gub. piotrkowskiej 6 średnich, 617 niższych; w płockiej 3 i 252; w radomskiej 4 i 225; w siedleckiej 4 i 474. Adolf Suligowski określił stan szkolnictwa początkowego w Warszawie (Warszawa 1905).

[3]) Naprzód ukazał się w czasopiśmie »Biblioteka Warszawska« (w zeszycie lipcowym)

po dziś dzień... Nadarmo pisał Henryk Sienkiewicz, aby »nie zacinać się w wielkim i nieszczęsnym narodowym błędzie«. Ruchem, poczętym w kołach patryotycznych, zaopiekowały się pochopnie partye socyalistyczne i rewolucyjne, a nawołując do wytrwania w imię honoru narodowego działały zarazem pogróżkami i terrorem. Społeczeństwo potrzebowało równowagi i zjednoczenia, a sprawa szkolna pogrążyła je w kłopotach i troskach o przyszłość dzieci.

Rząd, któremu patryotyczna manifestacya w Królestwie szła bardzo na rękę, nie omieszkał z niej na swój sposób skorzystać. Już wysłanej do Petersburga deputacyi rodziców, która wiozła adres, opatrzony tysiącami podpisów, wszechwładny podówczas sekretarz stanu Sergiusz Witte odpowiedział, że »przed strajkiem rząd nie ustąpi«. Nie możemy nic czynić »pod batem« — mówiono na innem, decydującem miejscu.

Wprawdzie pismo cesarza do nowo zamianowanego generał-gubernatora »Przywiślańskiego kraju«, K. K. Maksymowicza z d. 27 marca wzywało go do opracowania projektu nieodzownych przekształceń w ustroju miejscowym Królestwa »dla dalszego rozkwitu tego zawsze sercu memu — jak się Mikołaj II. wyraził — blizkiego kraju«. Ale zarazem dodawał, że ma się to stać »w nierozerwalnem jego zjednoczeniu z pozostałemi częściami monarchii«, że »niektóre koła społeczeństwa polskiego, wypowiedziały nadmierne żądania co do granic języka państwowego, któremu we wszystkich częściach różnoplemiennego cesarstwa rosyjskiego powinno być zapewnione należne wysokie znaczenie bez zbytecznego atoli i niesprawiedliwego uszczuplenia języków miejscowych«.

Narady komitetu ministrów (ze współudziałem Maksymowicza) nad reformami w Królestwie odbywały się w drugiej połowie kwietnia i z początkiem maja, a wyniki tych narad, znane z dzienników już rychlej, ogłoszono d. 19. czerwca 1905. r.

Kiedy w Petersburgu nie chciano zaspokoić »nadmiernych żądań«, nastrój społeczeństwa polskiego podnosił się i rozgrzewał w atmosferze rewolucyjnej i w wytężonej pracy wewnętrznej, w której objawiła się utajona dotychczas siła narodu. Już zarysowane w grudniowym memoryale zasady reform mało kogo zadowalały. Na czoło żądań wysunęła się teraz

artykuł prof. Szymona Askenazego, osobno wydano »Głosy w sprawie bezrobocia szkolnego« (ks. biskupa Ruszkiewicza, Henryka Sienkiewicza, Ludwika Górskiego, Tadeusza Korzona, Aleksandra Rembowskiego, Ignacego Chrzanowskiego i hr. Maurycego Zamoyskiego) wszystkie przeciw dalszemu strajkowi szkolnemu. Cały przebieg sprawy przedstawia Dr. A. Karbowiak w czasopiśmie »Muzeum« (Lwów 1907).

»zupełna autonomia Królestwa Polskiego, oparta na ustawie uchwalonej przez polski Sejm w Warszawie z zachowaniem tylko jedności państwowej z Rosyą, t. j. wspólnej armii i ministeryum spraw zagranicznych«. Hasło »autonomia« rozbrzmiewało na wszystkich ustach, układano już zarysy nowego prawno-politycznego ustroju.

Uchwały Komitetu Ministrów przychodziły za późno, a przynosiły tak niezmiernie mało, że były jakby kubłem wody, wylanej na rozżarzone żelazo. W miejsce oczekiwanej szkoły polskiej publicznej wprowadzały w szkole ludowej (jednoklasowej i pierwszych klasach szkół początkowych) naukę wszystkich przedmiotów, prócz języka rosyjskiego, po polsku [1]), w dalszych zaś klasach utrakwizacyę (dwujęzyczność) z większą liczbą godzin dla nauki języka polskiego; w średnich szkołach rządowych naukę języka polskiego i religii po polsku, w uniwersytecie (od 3. kwietnia zamkniętym) katedrę języka i literatury polskiej z wykładem w języku polskim (katedra taka z wykładem rosyjskim istnieje od r, 1883.); zezwalały dalej uczniom rozmawiać po polsku między sobą poza lekcyami, a nadto, co było najważniejsze, upoważniały mieszkańców do tworzenia prywatnych zakładów trzyklasowych (progimnazyów) z wykładem polskim wszystkich przedmiotów z wyjątkiem języka rosyjskiego, »historyi i geografii«; w istniejących zaś już dozwolonych pełnych szkołach średnich miało być wolno odbywać wszystkie wykłady po polsku z wyłączeniem przedmiotów historycznych i fizyko-matematycznych. Szkołom tym nie dawano jednak żadnych praw szkół rządowych [2]). Wkońcu mówiono o wprowadzeniu samorządu gminnego i miej-



Fig. 390. Stanisław Chełchowski.

[1]) Wyraźnie i urzędownie stwierdził to inspektor szkół początkowych Władymirow w okólniku wydanym w kwietniu 1906 r.

[2]) Najwyższy ukaz w sprawie prywatnego szkolnictwa w Królestwie Polskiem, rozszerzający pozwolenie na szkoły handlowe, przez spółki i stowarzyszenia utrzymywane, wydany został dopiero 14 (1) października 1905. r. Nie powiedziano w nim wyraźnie (prawdopodobnie z umysłu), czy przepis stosuje się do historyi i geografii Rosyi, czy również do historyi i geografii powszechnej.

skiego, ale pozostawiono opracowanie szczegółów obradom, które miały się odbyć w Warszawie. Zaproszeni do wzięcia w nich udziału obywatele (W. Spasowicz, St. Chełchowski († 1907), St. Dzierzbicki, J. Jeziorański A. Krasiński, St. Łubieński, J. Orłowski, M. Radziwiłł (syn), A. Suligowski, M. Zamoyski) nie otrzymali później wezwania na posiedzenie. Nawet najbardziej umiarkowani przyjęli te uchwały z nietajonem rozczarowaniem. Były one w istocie tylko cofnięciem tych zarządzeń, które gen. Hurko samowolnie wprowadził po r. 1888., »atomem«, odrobiną, której już podzielić nie było można. Niebawem ukazał się też w gazetach petersburskich rodzaj protestu, podpisanego przez 300 z górą obywateli, na których czele: Henryk Sienkiewicz, Władysław hr. Tyszkiewicz, Maurycy hr. Zamoyski, Stanisław Chełchowski i Tadeusz hr. Zyberg Plater. Tryumfowały tylko partye rewolucyjne i hulały po swojemu na ulicach Warszawy (koniec maja), Łodzi (21—25 czerwca), Częstochowy i innych miast.

Duch narodu jednakże nie upadł, nie dał się złamać. Z hasłem: »do pracy!«, chociażby na tak wąskiej podstawie, do pracy narodowej, jawnej i solidarnej przystępowano celem wyzyskania nawet tych nieznacznych ulg i ustępstw. W tem samem kole mężów, którzy oświadczyli się przeciw bezrobociu szkolnemu, powstała już pod sam koniec kwietnia r. 1905. myśl założenia stowarzyszenia pod nazwą »Polskiej Macierzy Szkolnej«, któraby przez zakładanie szkół prywatnych zastąpiła, chociażby częściowo, szkoły rządowe. Znany od wielu lat opiekun Macierzy Śląskiej, adwokat Antoni Osuchowski, był tej myśli gorliwym i skrzętnym krzewicielem. W tych samych miesiącach niepokojów, strajków i rozruchów otwarto Muzeum przemysłu i rolnictwa i świetną wystawę Maryańską w Warszawie, powstała pierwsza książnica publiczna, wszystkim dostępna, założono warszawską kupiecką szkołę handlową, Muzeum hygieny ludowej w Częstochowie, w Płocku urządzono wystawę powiatową. Panuje ożywiony ruch, pełen pomysłów i inicyatywy, krzepki i płodny, mimo trzasku pękających bomb i grozy mordów ulicznych.

Podtrzymują go i podnoszą nadzieje rychłego, już zapowiedzianego, przeobrażenia Rosyi w państwo konstytucyjne i wydane właśnie zarządzenia bądź ogólno-państwowe, bądź też tyczące się Litwy i krajów zabranych — zarządzenia, które przynosiły na ziemie te, po długich latach ucisku i niedoli, ożywcze promienie nowego rozwoju. Dnia 30 (17 st. s.) kwietnia ogłoszono niezmiernej doniosłości u k a z t o l e r a n c y j n y, to jest prawo o wolności wyznań, które przyniosło ulgę po wielowiekowym okresie

prześladowań Kościoła katolickiego w państwie rosyjskiem. Ważna ta ustawa orzekała, że odtąd wolno wyznawać otwarcie wiarę, jaką kto ma, chwalić Boga, jak kto wierzy, wolno dzieci chrzcić według swego wyznania, stawiać kościoły i t. d. Krwawo do niedawna przedtem prześladowani Unici, zesyłani za wiarę na Sybir, powracali teraz do ojczyzny. Nad doprowadzeniem do skutku tego wiekopomnego aktu współdziałał czynnie i dzielnie arcybiskup-metropolita ks. Jerzy Szembek, wezwany w tym celu przez cesarza do Petersburga. On też pierwszy rozpoczął zaraz wizytacyę dyecezyi mińskiej, a potem podążył z radosną wieścią do Rzymu, ale w drodze zmarł u rodziny pod Krakowem d. 7. lipca ku ogólnemu żalowi. Rychło inni biskupi w Królestwie i na Litwie poczęli odbywać wizytacyę swych dyecezyj: ks. Franciszek Jaczewski, biskup lubelski, ks. Edward Ropp, biskup wileński, ks. Stanisł. Zdzitowiecki, biskup brzesko-kujawski, witani wszędzie uroczyście przez rzesze pobożnego ludu. A był już ostatni czas do podjęcia tych zabranianych dotychczas odwiedzin biskupich, ponieważ wśród rozluźnionej karności i zamieszek trąd obłędu chwytał się w niektórych okolicach dusz kapłanów i owieczek,



Fig. 391. J. E. ks. Jerzy hr. Szembek.

a w okolicy Zgierza w Królestwie powstała nawet sekta t. zw. Maryawitów albo Mankietników, potępiona przez Ojca świętego.

Ukaz tolerancyjny miał największe znaczenie dla Litwy, gdzie jeszcze ostatnie lata XIX. wieku zapisały krwawe męczeństwo Krożan, a wznoszeniu nowych kościołów katolickich stawiano nieprzezwyciężone trudności. Jednocześnie Polacy i katolicy w t. zw. kraju zachodnim i po-



Fig. 392. Z wizytacyi biskupa Jaczewskiego w Siedlcach. Procesya z kościoła parafialnego.

łudniowo-zachodnim odzyskali częściowo przynajmniej odjęte im prawa nabywania własności ziemskiej. Ukazem z 14. (1.) maja uchylone zostały ukazy z 10. grudnia 1865. i 27. grudnia 1884.; dozwolono ludziom polskiego pochodzenia dzierżawić wioski bez zastrzeżeń, nabywać zaś tylko z rąk nierosyjskich; chłopom katolikom jednak bez tego ograniczenia (które istniało od 2. lutego 1901.). Nadto ukaz wprowadzał znowu wybory szlacheckich marszałków i dozwalał w tych szkołach ludowych i średnich , które mogły się wykazać większością uczniów Polaków lub Litwinów, na naukę języka polskiego lub litewskiego. Tym sposobem zaradzono najnaglejszym potrzebom ludności polskiej, jęczącej przez lat 40 pod obuchem strasznego prześladowania, a Litwa i ziemie zabrane odetchnęły po

ciężkiej niedoli. Rozbudziło się życie polskie i katolickie, długo zamknięte w kryjówkach, szły dziękczynne pielgrzymki na Jasną Górę częstochowską, zaczęły powstawać pisma polskie zwłaszcza w Wilnie i Kijowie, towarzystwa oświatowe i naukowe, zaczęły się odbywać zebrania, przedstawienia teatralne i t. p. Wprawdzie nie ustała waśń polsko-litewska, zaszczepiona tam przez naszych wrogów — przeciwnie przybrała nawet ostrzej-



Fig. 393. Banderya witająca biskupa Zdzitowieckiego w Kole.

sze formy — ale narody, wiekową wspólną przeszłością złączone, zdołają chyba porozumieć się w przyszłości.

Oto były jedyne, bardzo skąpo odmierzone ulgi, które naród polski uzyskał w dniach pierwszego wielkiego przesilenia w państwie rosyjskiem.

* * *

Wojna rosyjsko-japońska, jedna z najokropniejszych w dziejach świata, dobiegała już swego kresu. Z końcem maja wdał się w ten wielki zatarg prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Roosewelt, jako pośrednik, i skłonił łatwo wyczerpane ośmnastomiesięcznymi zapasami państwa, do wysłania pełnomocników do Porthsmout w Ameryce. Rokowania p o k o-

jowe rozpoczęły się d. 9. sierpnia, a d. 5. września stanął między Rosyą (pełnomocnik S. Witte) i Japonią (minister Komura) pokój, z którego Rosya, pomimo nieprzerwanego szeregu porażek na lądzie i na morzu, wyszła stosunkowo dosyć obronną ręką. Oddawała to tylko, co Japonia istotnie zdobyła: zwierzchnictwo nad Koreą, południową część wyspy Sachalinu, którą Japończycy posiadali do r. 1875., dzierżawę Portu Artura i Dalnego; Mandżurya powracała pod władzę zwierzchniczą Chin i otwarta została dla handlu powszechnego, a zatem także rosyjskiego. Od żądania kosztów wo-



Fig. 394. Pielgrzymka litewska na Jasną Górę.

jennych Japonia odstąpiła. Straty wojenne były oczywiście olbrzymie: Rosya wydała na wojnę w przybliżeniu dwa miliardy rubli, postradała z miliona, wyprowadzonego na widownię walki wojska, około 400.000 żołnierzy, zabitych, rannych lub jeńców, w tej liczbie kilkadziesiąt tysięcy synów Polski, nadto trzy floty i 700 dział. Zachowała zatem wprawdzie stanowisko swe w Azyi wschodniej, bo nie uległo ono zbyt znacznemu zwężeniu i osłabieniu, ale mocarstwowe jej znaczenie mocno ucierpiało, mimo »honorowego« bądź co bądź traktatu pokojowego.

Niemal jednocześnie z zawiązaniem rokowań pokojowych okazały się na widnokręgu pierwsze zwiastuny zwrotu w polityce wewnętrznej. Dnia 4. lipca cesarz przyjął deputacye »ludzi prawdziwie rosyjskich«,

przedstawicieli wstecznictwa, wzywających go w imię starorosyjskiej tradycyi do nieustępowania nowym hasłom, do utrzymania samodzierżawia. W ślad za tem rozpoczęła się zaraz robota ich w całem państwie; pogromy żydów, agitacya przeciw »innoplemieńcom«, napady »czarnych secin«, złożonych z motłochu, pociąganego i zachęcanego do napadów i rabunków cudzego mienia. Policya przyglądała się z założonemi rękami tym rozbojom t. zw. huliganów, co gorsza, niejednokrotnie dopomagała nawet jawnie w dziele niszczenia.

W końcu lipca (d. 23. i 24.) Mikołaj II. zjechał się w zatoce fińskiej koło wyspy Björke z cesarzem niemieckim Wilhelmem II. Jakkolwiek niewiadomo, co z sobą mówili i co postanowili obaj cesarze, jest rzeczą uderzającą, że po tym właśnie zjeździe nastąpił stanowczy zwrot w postępowaniu rządu rosyjskiego, zwrot bardzo niepomyślny, zwłaszcza dla Królestwa polskiego.

Cesarz rosyjski nie cofnął wprawdzie danego uprzednio przyrzeczenia, że powoła wybranych przedstawicieli narodu do współpracy państwowej. Domagały się zresztą tego nadszarpane finanse, które należało ratować nową pożyczką zagraniczną, za poręką zgromadzenia narodowego. Manifest cesarski z 19 sierpnia (6 sierpnia st. s.) obwieszczał ustawę o przedstawicielstwie, nazwanem według dawnych zebrań bojarów moskiewskich, »gasudarstwiennaja duma« (państwowa), która miała być zwołaną w połowie stycznia 1906. r. Powitano manifest z radością, ale rychło dostrzeżono, że przyszła duma nie odpowiada wielkim nadziejom narodu, że wymierzono jej zakres władzy nader skąpy. Miała być »ciałem doradczem, któremu powierza się opracowanie przygotowawcze i rozważenie projektów ustawodawczych i roztrząsanie budżetu, dochodów i wydatków państwowych«, t. j. dozwolono jej działać w takich granicach, w jakich dotąd obracała się czynność ustawodawcza istniejącej od dawna Rady Państwa, złożonej z wysokich urzędników, która to rada pozostawała nadal i wchodziła do Dumy, jako Izba jej wyższa. Dodano jej jedynie prawo wnoszenia projektu ustaw i prawo interpelacyi (żądania od ministrów wyjaśnień i sprawozdania z wypadków niezgodnych z prawem), ale Manifest wyraźnie zachowywał »niewzruszonem zasadnicze prawo państwa rosyjskiego o istocie władzy samodzierzczej cara«, czyli nie wypowiadał naczelnej zasady konstytucyjnej, że żadna ustawa bez uchwały Dumy nie może nabrać mocy prawnej. Ukazy mogły nadal wychodzić — jak przed ustawą, która wprowadzała tylko pozory ustawodawczej wła-

dzy przedstawicielstwa narodowego. Zjazd delegatów Ziemstw i miast w Moskwie (25. września) dał wyraz temu niezadowoleniu. Rozgoryczenie z powodu doznanego zawodu ogarnęło szerokie masy, przewodzili studenci uniwersytetów. We wszystkich wyższych zakładach naukowych odbywały się zgromadzenia; tysiące ludzi najrozmaitszych zawodów napełniały izby szkolne, a mowcy skrajnych stronnictw wzywali naród do rewolucyi. Zakotłowało znowu w całem państwie. Niebywałe w dziejach strajki wybuchły w październiku we wszystkich miastach, »pogasły ognie na bezmiernych przestrzeniach carstwa, stanęły koleje, zamknięto wodę, odjęto paliwo, zawieszono sądy, szkoły, teatry« — słowem całe życie zamarło, a w utarczkach studentów i robotników z »czarnemi secinami« krew lała się potokiem...

Dopiero wtedy rząd ustąpił. Głuche wieści dochodziły o walce, która rozgrywała się na carskim dworze w tych dniach zamętu; wreszcie jednak wzięła górę partya oświadczająca się za rozszerzeniem praw ludu. Dnia 30. października (17. st. s.) wydał Mikołaj II. manifest konstytucyjny. »Zamieszki i zaburzenia w stolicach i w wielu miejscowościach cesarstwa naszego — są słowa manifestu — przepełniają serce nasze boleścią wielką i dotkliwą... Rozkazawszy władzom właściwym powziąć zarządzenia celem usunięcia bezpośrednich objawów swawoli i gwałtu, oraz obrony ludzi spokojnych... poczytujemy za obowiązek rządu wykonanie nieugiętej woli naszej: 1. nadać ludności niewzruszalne podstawy wolności obywatelskiej na zasadach rzeczywistej nietykalności osób, wolności sumienia, słowa, zgromadzeń i stowarzyszeń. 2. Nie zawieszając zarządzonych już wyborów, powołać niezwłocznie do udziału w Dumie warstwy ludności pozbawione obecnie prawa wyborczego i 3. ustanowić przepis niezłomny, ażeby żadna ustawa nie mogła osiągnąć mocy bez przyjęcia jej przez Dumę państwową i ażeby wybrańcy ludu mieli zabezpieczony udział w kontroli nad prawowitością postępowania ustanowionych przez nas władz«.

Ogłoszenie manifestu wywołało wszędzie ogromne wrażenie, nieopisana radość ogarnęła umysły. Utworzył się związek stronników konstytucyi t. zw. sojusz 30. października czyli październikowców, partyi niebawem najpotężniejszej w państwie, złożonej z umiarkowanych żywiołów monarchicznych, reprezentujących zarazem bardzo silnie ideę narodową rosyjską, a skutkiem tego wrogich dla żądań Królestwa Polskiego. Ale manifest rozpętanych ciemnych i złowrogich sił już nie powstrzymał. Nawet mimo amnestyi, tylko częściowej co prawda, bo wydanej jedynie dla przestępców

politycznych (3. listopada), mimo zniesienia cenzury na czasopisma (8. grudnia), nie było końca niepokojom, strajkom, pogromom żydowskim i krwawym starciom. We wschodnich i południowych guberniach cesarstwa (saratowskiej, tambowskiej, włodzimierskiej i kijowskiej) zerwał się nagle ruch włościański t. zw. agrarny i przybrał groźne rozmiary. Chłopi, obałamuceni konstytucyą, pobudzeni nędzą i agitacyą, zażądali rozdania im gruntów pańskich, jęli się rzucać na dwory i folwarki, szerząc dokoła zniszczenie. W Moskwie rewolucya pod czerwonym sztandarem w boju z czarną chorągwią wyrzutków, zwerbowanych z mętów społecznych (22 do 28 grudnia) stłumiona została przez wojsko po zaciętej walce ulicznej. Było to pierwsze zwycięstwo rządu, który nawracał wbrew nadanym już swobodom na dawną drogę.

* * *

Nawrót rządu ku środkom i zwyczajom, uchylonym, jak się zdawało, nowemi ustawami, nie objawił się nigdzie rychlej, wyraźniej i jaskrawiej, jak w Królestwie Kongresowem. Korzystano tu z każdej nadarzającej się sposobności, aby okazać stanowczość i siłę państwa, tak bardzo w opinii świata poniżonego; chciano obudzić w Rosyi widmo niebezpieczeństwa polskiego, aby wykopać przepaść między obu narodami. Działał też silnie wpływ wrogiego rządu pruskiego, który gnębiąc i prześladując u siebie Polaków, nie chce dopuścić do wzmocnienia się ich w Królestwie. Nie są to tylko domysły, wysnute z kombinacyj politycznych, że zjazd lipcowy obu cesarzy dotknął także sprawy polskiej; mimo tajemnicy stanu dostały się niektóre szczegóły do powszechnej wiadomości [1]). Najbliższe zarządzenia w Królestwie stwierdziły je niemal zupełnie.

Zaraz po zjeździe w Björke następuje zmiana generał-gubernatora:

[1]) Już w styczniu 1905. r. prezydent ministrów Witte »w rozmowie z jednym z poważnych przedstawicieli naszego społeczeństwa rzekł, że osobiście żadnych uprzedzeń nie ma, ale u nas (t. j. w Komitecie ministrów) ważnym argumentem przeciw wszelkim ustępstwom na korzyść Polaków jest to, że rząd niemiecki uważa za rzecz niezbędną ograniczenie praw ludności polskiej«. Wiadomość podał prof. Kazimierz Morawski (Świat słowiański 1905, zeszyt za luty). Prezes Akademii hr. St. Tarnowski wypowiedział otwarcie (na zebraniu Klubu konserwatywnego w Krakowie w lutym 1905), że interes Prus działa w Królestwie. Czasopismo słowieńskie p. t. Slovenec z 18. października 1906. Nr. 239 podało wprost wiadomość, jakoby o groźbie cesarza Wilhelma w Björke, gdyby cesarz rosyjski dał autonomię Królestwu. Wiadomość ma pochodzić od »osoby zajmującej bardzo wysokie stanowisko w Rosyi i pozostającej blizko osoby carskiej«. W sierpniu r. 1907. odbył się nowy zjazd obu monarchów w Swinemünde — poczem nastąpiły nowe represye.

w miejsce gen. Maksymowicza, którego półroczny pobyt nie zaznaczył się zresztą żadnym ważniejszym czynem, objął rządy gen. Jerzy, syn Antoniego, Skałłon (ur. 1847.), pomocnik dowódzcy wojsk warszawskich, dawniej oficer do szczególnych poruczeń gen.-gubernatora Hurki, spowinowacony z pruskim konsulem w Warszawie. Jednocześnie, w trzy dni po ustawie o Dumie państwowej, ogłoszono (22. sierpnią) stan wojenny w całem Królestwie. Wprowadzenie stanu wojennego było wprawdzie uzasadnione zaburzeniami i mordami dni ostatnich, grasowaniem »bojowych drużyn« żydowskiego Bundu i zamachami na policyę, wszystkie te zajścia jednak nie dosięgły tej miary, co bunty, pogromy i rabunki czarnych secin w miastach rosyjskich, w których nie zastosowano jeszcze tego środka. Zwracał się on tutaj zarówno a może nawet w sposób bardziej stanowczy przeciw szeroko rozlewającemu się działaniu patryotycznemu, zgoła nie zagrażającemu porządkowi publicznemu, przeciw coraz głośniej rozbrzmiewającemu hasłu autonomii wewnętrznej Królestwa.

Hasło to jednoczyło już wszystkie stronnictwa narodowe, sprzęgało z sobą wszystkie umysły, stało się dźwignią odrodzonego życia i wytężonej pracy, najdroższą myślą społeczeństwa polskiego. A nie było w tem haśle nic wrogiego dla państwa rosyjskiego, skoro bez wyrzekania się trwałej jedności z państwem dążyło do uzyskania tych warunków samodzielnego zagospodarowania u siebie, które są konieczne dla zdrowego i prawidłowego rozwoju narodu polskiego. Nie mogli temu zaprzeczyć zebrani na wrześniowym zjeździe w Moskwie delegaci Ziemstw i miast, najwybitniejsi, przodujący w ruchu wolnościowym mężowie rosyjscy. Poważne to zebranie, w którem Polacy z Litwy i Rusi (wśród nich Tadeusz Wróblewski z Wilna, Włodz. hr. Grocholski i ks. St. Drucki-Lubecki z Rusi) brali udział wespół z Rosyanami, a na które przybyło z Królestwa Polskiego siedmiu przedstawicieli wszystkich stronnictw (M. Zdziechowski, A. Suligowski, L. Grendyszyński, Makowiecki, Stecki, Libicki i Lednicki) uchwaliło rezolucyę, w której stwierdziwszy, że »Królestwo Polskie stanowi w większej części zupełnie jednolitą a zarazem wyraźnie odosobnioną od pozostałych dzielnic państwa całość«, uznało zasadę jego autonomii »z oddzielnym sejmem pod warunkiem zabezpieczenia państwowej jedności cesarstwa i poczynienia pewnych poprawek jego granic«.

Właśnie też ogłoszona (d. 24. października) ordynacya wyborcza dla Królestwa, wypracowana przez osobną komisyę pod przewodnictwem hr. Solskiego, przy współudziale Władysława hr. Wielopolskiego i Eustachego

Dobieckiego, przystosowała wybory do szczególnych stosunków społecznych w Polsce, stanowiąc trzy kurye wyborcze (ziemiańską, miejską i gminną), a liczbę przedstawicieli Królestwa w Dumie państwowej oznaczyła na 36 [1]). Postanowienie to, przyjęte z wielkiem zadowoleniem, rozbudziło zaraz przygotowawczą akcyę przedwyborczą: zebrania i porozumiewanie się stronictw, ożywioną dyskusyę nad ich programami, poszukiwanie najodpowiedniejszych kandydatów na posłów, rozprawy o solidarności przyszłego Koła polskiego w Dumie i t. d.

To też nawet mimo zaostrzonego wskutek strajków generalnych stanu wojennego (t. zw. trzeciego stopnia, d. 28. października) cesarski manifest konstytucyjny z 30. października zastawał społeczeństwo polskie — jakkolwiek pogrążone w odmęcie wewnętrznych zaburzeń, wywołanych przez partye socyalistyczne, które wskutek wypadków w Rosyi uważały się już za panów placu i władzy — w stanie pełnej wiary w niedalekie już, jak mniemano, ziszczenie najgorętszych jego życzeń.

Z żywiołową siłą, jak wezbrana rozlewająca się rzeka, buchnęła radość niepohamowana, szczera, płomienna. W dzień Wszystkich Świętych (d. 1. listopada) cała Warszawa wylega na ulicę Marszałkowską i na plac Teatralny, roi się od mrowiska głów ludzkich. Patrole wojskowe, przejeżdżający wśród tłumu ułani, salutują i ustępują. Kilkunastotysięczny pochód płynie w stronę Saskiego ogrodu, wylewa się na Krakowskie Przedmieście i coraz to nowe łącząc w sobie oddziały, zdąża przed Zamek królewski — ale tu wojsko zastępuje mu drogę. Tłum rozbija się na grupy, otacza mowców, którzy w ognistych, namiętnych słowach starają się porwać, przekonać zgromadzonych. Ale zarysowuje się zaraz także rozdźwięk: jedni padają na kolana przed kościołem św. Krzyża, a z piersi ich wydziera się pieśń ludu: »Boże coś Polskę«... drudzy rozwinęli czerwone sztandary i z okrzykiem »zwolnijmy więźniów« ruszają przed ratusz. Wysłano delegacyę do policmajstra, który wypuścił kilkadziesiąt osób, ale tłum żąda uwolnienia wszystkich i dobywa się groźnie do bram. Wtedy nagle i niespodziewanie wypadają dwie sotnie kozaków, sieką szablami, tratują kopytami końskiemi — wśród krzyków i przekleństw pada 11 zabitych, 170 odnosi rany. Nazajutrz i w dni następne zgromadzenia i wiece, nowe manifestacye i — nowe ofiary...

W niedzielę, dnia 5. listopada, bierze wreszcie górę zdrowy duch na-

[1]) D. 14. października wyszedł też wreszcie ukaz w sprawie prywatnych szkół, o czem wspomnieliśmy już powyżej.



Fig. 395. Atak Kozaków na tłum zebrany przed ratuszem.



Fig. 396. Pochód narodowy z d. 5. listopada 1905. przed pomnikiem Mickiewicza.

rodowy, uroczysty, podniosły nastrój łączy i stapia wszystkie umysły i wszystkie serca. Z kościoła katedralnego św. Jana wyrusza olbrzymi pochód, poprzedzony przez duchowieństwo i pastorów, z sztandarami narodowymi, z orłem i pogonią, z pieśnią pobożną i patryotyczną, która płynie z 100-tysięcznych piersi ku niebiosom. Porządek panuje wzorowy — wszyscy czują, że przeżywają chwilę pamiętną i wielką...

»Niezapomniany, święty dzień braterstwa — pisał pod świeżem wrażeniem Władysław Reymont — umilkły salwy, żołnierze prawie zniknęli z ulic. W uroczystej ciszy niedzieli zabrzmiały dzwony wszystkich kościołów... Morze ludzkie wylewało się zwolna na Krakowskie Przedmieście, amarantowe sztandary chwiały się nad zwartą falą głów, wynosiły się ze wszystkich stron, ze wszystkich bocznych ulic leciały orły i szumiały proporce«.

»Pod pomnikiem Mickiewicza pierwsze mowy«.

»Staje się cisza, słychać tylko radosne płacze i łopot chorągwi, orkiestra zaczyna grać i naraz ze wszystkich piersi, ze wszystkich serc zrywa się pieśń-huragan, pieśń-modlitwa:

»Boże, coś Polskę«...

»Trzysta tysięcy ją śpiewa, jednym, niebosiężnym głosem uniesień. Trzysta tysięcy wynosi ją z siebie, jak najświętszy sakrament narodu. Ruszyli w pochód, idą, płyną, wzbierają, prą się niezmożoną mocą za pieśnią, która nabrzmiała krwią wszystkich serc, bije ku niebu słupem ognistym, błyska i grzmi jak krzak ognisty«.

»Sztandary się krwawią w słońcu, rozwijają, trzepocą, a orły Racławic, orły Legionów, orły Grochowa, orły powstańcze przodem się niosą i do słońca, do nieśmiertelnego życia prowadzą«.

»Cała Warszawa idzie w karnym ordynku. Stanęli wszyscy ramię przy ramieniu, dusza przy duszy i wszystka dusza narodu śpiewa«:

»Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie«!

Do nocy trwał pochód...

Był dzień piękny, podniosły — ale niestety jeden jedyny, aż po dni dzisiejsze.

. . . . . .

Ukaz cesarski z d. 11. listopada rozciągał na całe Królestwo Polskie stan oblężenia, a d. 13. listopada ogłoszono komunikat rządowy, którym wyłączono je z pod udzielonych manifestami z 19. sierpnia i 30. października swobód konstytucyjnych. Gorszem jeszcze, niż samo odjęcie praw, było jego uzasadnienie. Komunikat, o którym trafnie powiedziano,

że pisany był nahajką, odzywał się w sposób wprost obelżywy. »Działacze polscy« — mówiono — »nie bacząc na dotkliwe nauki przeszłości, objawiają dziś ponownie zarówno niebezpieczny dla ludności kraju, jak zuchwały względem Rosyi zamiar odłączenia się od państwa..., odrzucają oni myśl wspólnych z narodem rosyjskim prac w Dumie państwowej... żądają zupełnej autonomii Polski z własnym Sejmem konstytucyjnym, widząc w tem stopień do przywrócenia w przyszłości państwa polskiego... W tymże kierunku działają niektórzy pisarze, publicyści i mowcy ludowi... Rząd nie ścierpi zamachu na całość państwa. Buntownicze zamiary i działania zmuszają go do stanowczego oświadczenia...« (do zawieszenia swobód i wprowadzenia w całym kraju Przywiślańskim stanu wojennego)... »przestrzega ludność przed wejściem na niebezpieczną drogę, niestety nie pierwszy już raz próbowaną«.

Cios był gwałtowny i dotkliwy. Komunikat przywodził argumenty z prawdą niezgodne, ponieważ nie było w Królestwie ani jednego stronnictwa, któreby odmawiało udziału w sejmie państwowym, lub dążyło do oderwania się od Rosyi; godził zaś wprost w najgorętsze pragnienie wszystkich stronnictw t. j. w »autonomię«, którą przedstawiał jako hasło powstańcze.

Zawieszenie swobód konstytucyjnych nastąpiło w chwili, kiedy powszechnie spodziewano się i oczekiwano zniesienia, usunięcia na zawsze zarządzeń wyjątkowych. Dnia 10. listopada trzej obywatele miasta Warszawy, Wład. hr. Tyszkiewicz, Stanisław Libicki i Edward Jantzen udali się w tej sprawie do gen. Skałłona i przedstawili mu, że jedynym środkiem uspokojenia kraju jest nadanie Królestwu szerokiej autonomii politycznej. Zaraz zaś po ogłoszeniu manifestu cesarskiego, wyjechała do Petersburga delegacya złożona z 22 najpoważniejszych obywateli z wszystkich warstw społecznych Królestwa, w celu wskazania rządowi istotnych potrzeb kraju. Ale tam spotkała się już z nowym ukazem i dlatego ograniczyła się do ogłoszenia deklaracyi (d. 21. listopada), w której wyraźnie zaznaczyła, że »pojęcie autonomii nietylko nie sprzeciwia się jedności państwowej, lecz owszem mieści w sobie pojęcie przynależności do państwa«, i domagała się przywrócenia praw konstytucyjnych, zniesienia zarządzeń wyjątkowych, wprowadzenia języka polskiego w szkole, sądzie i administracyi, i powierzenia Polakom cywilnego zarządu kraju. Prezydent ministrów hr. Witte odepchnął szorstko te życzenia narodu. W Warszawie nastąpił szereg aresztowań i zsyłek; w Łodzi otoczono kościół św. Krzyża

wojskiem z powodu śpiewania hymnu »Boże, coś Polskę« i aresztowano wychodzących mężczyzn około 500 osób; zabroniono sprzedaży ulicznej pism w Warszawie, a wiele z nich zawieszono. Z umysłu łączono i utożsamiano manifestacye patryotyczne z rewolucyjnemi.

Mimo takiej nagłej, zgoła niespodziewanej odmiany rzeczy — społeczeństwo polskie nie dało się na szczęście wyprowadzić i teraz z równowagi i porwać do czynów rozpacznych. Wszystkie pisma polskie nawoływały do spokoju, a zarazem wykazywały, jak zgoła niesłusznymi są zarzuty komunikatu rządowego. Prawie jednomyślnie przypisywano srogie zarządzenia nie tylko oszczerczym donosom czynownictwa miejscowego, lecz także, i przedewszystkiem, wpływom i intrygom pruskim. Zdrowy instynkt narodu odgadywał uczuciem współsprawcę swej niedoli [1]). Wprawdzie ze strony rządowej zaprzeczono (w drugim komunikacie z końca listopada) tym pogłoskom, ale przyznano, że »sprawa wewnętrznego urządzenia bytu Polski jest kwestyą wszechnarodową« i przemawiano w odmiennym, przyzwoitszym tonie. Dnia 3. grudnia zniesiono stan wojenny w Polsce i przywrócono prawa konstytucyjne.

Ale ustępstwa te były i tym razem pozorne, spowodowane chwilową koniecznością. Cała Rosya, jak to podaliśmy powyżej, stanęła w tych »dniach konstytucyi i krwi« w płomieniach groźnych zaburzeń. Listopadowy zjazd ziemski w Moskwie (d. 19—25) uchwalił większością 168 głosów przeciw 10 konieczność zaprowadzenia autonomii w Królestwie Polskiem i żądał w celu uspokojenia kraju zniesienia stanu wojennego. Równocześnie odbyły się w Petersburgu pierwsze wiece polsko-rosyjskie, na których profesor uniwersytetu I. Kariejew, znawca dziejów i stosunków Polski, Ł. F. Pantelejew, przyjaciel Polski jeszcze od r. 1863., i inni gorąco przemawiali w sprawie polskiej.

Warszawa i całe Królestwo odetchnęło znowu po zniesieniu stanu wojennego — ale były to tylko krótkotrwałe chwile. Przerzucanie się szybkie i nagłe narodu od rozpaczy do radości, od bolu i rozczarowań do nadziei musiało wywołać stan przeczulenia i pomięszania pojęć, liczenie nawet na pomoc rewolucyjnych partyj rosyjskich.

Narodowa demokracya, która zdołała opanować większość umysłów i podjąć walkę z socyalistami przez mowców ulicznych i tworzenie narodowego stronnictwa robotniczego, a zarazem przełamać strajki, hamujące

[1]) W listopadowym zeszycie Biblioteki Warszawskiej ukazał się artykuł prof. S. Askenazego, który w przekonywujący sposób uzasadniał te podejrzenia.

całą pracę społeczną — z wyjątkiem szkolnego, z którym się solidaryzowała — urządziła w grudniu pierwszy wiec włościan polskich w Warszawie, na który to zjazd przybyło kilka tysięcy uczestników. W salach filharmonii, pod przewodnictwem Romana Dmowskiego, odbywały się obrady pod hasłem: »pracujmy w gminie, pracujmy na gruncie jedności narodowej«. Wprawdzie usiłowania wprowadzenia języka polskiego w urzędowaniu gminnem nie odniosły pożądanego skutku, ale lud polski

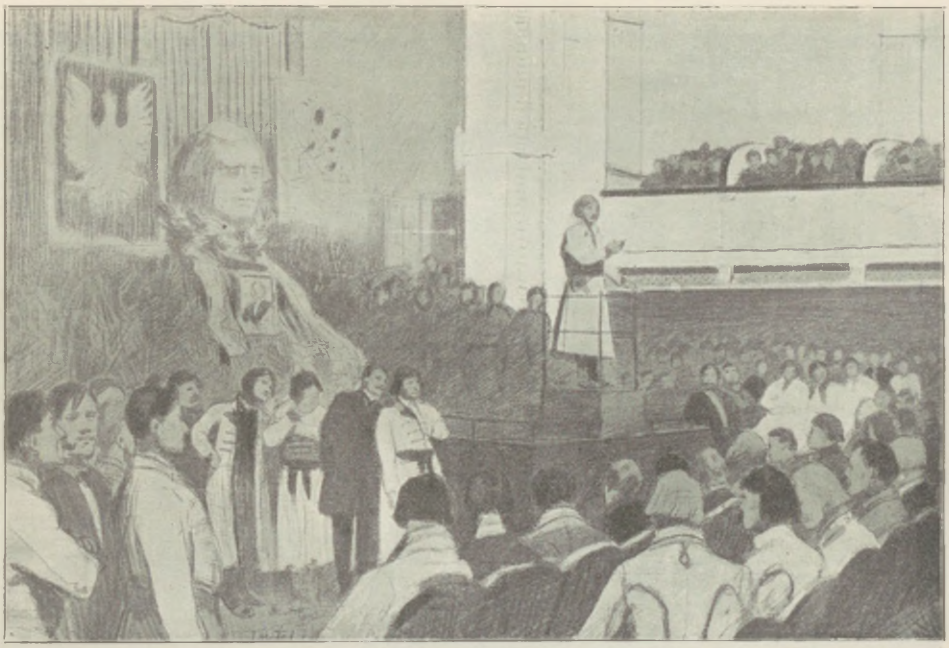

Fig. 397. Wiec włościan w Warszawie w r. 1905.

stwierdził tu uroczyście swoje przywiązanie do Ojczyzny i jednomyślnie wypowiedział przez swych przedstawicieli, że »chce budować przyszłość kraju na zasadach narodowych i religijnych, przekazanych nam przez ojców naszych«. Słowami pełnemi otuchy przemówił jeden z włościan:

»Panienka Przenajświętsza dopuściła pożar Częstochowskiej wieży. Opłakaliśmy ruinę po pożarze, ale zrozumieć człowiek mógł wolę Bożą dopiero wtedy, gdy nowa, ładniejsza niż dawniej wieża podniosła się z gruzów i dziś się wznosi okazale ku niebu. Tak samo i z naszą Ojczyzną. Dziś, zda się ona w gruzach i strach przejmuje patrząc na pożar, ale zo-

baczymy z pewnością kraj nasz znów odnowiony i piękny, jak tę jasnogórską wieżę«.

Już równocześnie wychylało się w tych ponurych dniach powszechnego zamętu i zupełnego zastoju widmo głodu, któremu zapobiegano ofiarami i składkami publicznemi. Za brakiem pracy, za nędzą szła w ślad złowroga zbrodnia...

W całem Królestwie ogłoszono ponownie d. 28. grudnia 1905. r. stan wojenny, który odtąd przez z górą półtrzecia roku był faktycznie stanem



Fig. 398. Nędza w Warszawie w r. 1905.

normalnym życia i rozwoju narodu w tej dobie rzekomo konstytucyjnej...[1]) Generał-gubernator Skałłon uzasadniał go »koniecznością, nie tylko dla zabezpieczenia spokojnego życia społecznego, lecz także dla prawidłowego dokonania wyborów«. Ale stan wojenny nie przywrócił ładu i porządku, nie zapobiegł rozprężeniu, nie obronił mienia i życia ludzkiego. Zbrodnia

[1]) Dopiero w październiku r. 1908. został zmieniony na »stan ochrony«, złagodzony zatem cokolwiek. Mimo to zamknięto nagle, bez słusznej przyczyny, wszystkie prywatne szkoły polskie, które dopiero po kilku dniach napowrót otworzyć dozwolono. (Przypisek dodany już podczas druku).

dalej, jak chroniczna choroba, szerzyła się wśród tych wyjątkowych warunków, w których zachęta do niej i gwałty szły raz z góry, od rządu, to znów z dołu, od mas ciemnych i rozpasanych.

Rząd carski nawracał już teraz zupełnie jawnie i świadomie do dawnego systemu; umiał też pobudzić i pozyskać dla swych celów część narodu rosyjskiego. Z ziem rosyjskich dawało się słyszeć coraz silniejsze wołanie o wzmocnienie jedności i jednolitości państwa, odsądzano na licznych zebraniach od prawa do autonomii »kresowych innoplemieńców i in-



Fig. 399. Koło Polskie Królestwa, Litwy i Rusi w Radzie Państwa.

nowierców«. Na Litwie i Rusi, które podawano od dawna za kraje rdzennie rosyjskie, poczęto przywracać znowu język rosyjski w szkolnictwie, nie oszczędzając nawet zakładów prywatnych; pozamykano prywatne szkółki polskie, zakazano składek na pomnik Mickiewicza w Wilnie i t. d. Ośmielone tem »czarne seciny«, »ludzie prawdziwie rosyjscy« wykonywali »w imię przywrócenia porządku« bezkarnie mordy i rabunki równocześnie z napadami i zamachami rewolucyonistów i t. zw. «składkami dla partyj skrajnych«.

Otwarcie Dumy państwowej przesunięto z stycznia na miesiąc maj. Dnia 5. marca **1906.** ukazał się manifest cesarski, uzupełniający poprzednie

manifesty, a zarazem ustanawiający nowy skład Rady państwa, która odtąd, jako Izba Wyższa Dumy, miała liczyć w równej liczbie członków zamianowanych przez cesarza i wybranych przez naród, a to 6 z pośród duchowieństwa prawosławnego, 18 z pośród szlachty, 32 z Ziemstw, 6 przedstawicieli nauki, a 12 przedstawicieli przemysłu i handlu; z tych na Królestwo przypadało 6 reprezentantów szlachty i 3 przemysłu i handlu, zatem tylko 9 członków. Rada państwa otrzymała te same prawa, jakie przyznano Dumie, w razie zaś niezgody obu Izb rząd zastrzegał sobie (ukazem z 21. marca) prawo wydawania samoistnych zarządzeń. Z początkiem kwietnia pojawiły się ograniczenia prawa prasowego, a nawet ukazu tolerancyjnego (na korzyść prawosławia). W przededniu otwarcia Dumy dnia 10. maja ukaz cesarski orzekał, że zasadnicze prawa o samowładzy cesarza nie podlegają rozprawom lub uchwałom ciał prawodawczych.

Wybory do Dumy w Królestwie Polskiem, z umysłu opóźnione, odbyły się na ogół biorąc w porządku i poważnie. Po 75-letniej przerwie naród przystępował do obioru posłów w warunkach zgoła odmiennych, ale z tradycyą parlamentarną, przekazaną mu przez wieki. Wyraźnie zarysowały się teraz stronnictwa i ich programy. Między realistami i narodową demokracyą stanęła »Spójnia«, zbliżona bardziej do realistów, na skrajnej lewicy narodowej postępowa demokracya, z której wyłonił się osobny »związek demokratyczny«. Partye socyalistyczne w części nawoływały do nieobsyłania Dumy, która nie daje dostatecznych praw ludom, w części zasilały stronnictwa postępowe.

Szeroka dyskusya, prowadzona w pismach codziennych i na zebraniach, o zadaniach przedstawicielstwa polskiego w Dumie, o utworzeniu i solidarności Koła polskiego, o stosunku do posłów Polaków wybranych na Litwie i Rusi, ożywiła znacznie społeczeństwo. Wybory i głosowanie odbywały się w języku polskim.

Z walki wyborczej do Dumy państwowej wyszła zwycięsko, jak można było przewidzieć, narodowa demokracya — »narodowa samoistna polityka, jak pisali jej kierownicy, oparta na niezachwianej wierze w siły narodu, myśl demokratyczna, oparta na udziale najszerszych warstw, na udziale ludu, który jest rdzeniem narodu i główną podstawą jego przyszłości«. Z 36 posłów Królestwa Polskiego, zasiadających w pierwszej Dumie, 25 należało już poprzednio do tego stronnictwa. Natomiast wśród 9 wybranych z Królestwa członków Rady państwa większość posiadali realiści.

Na Litwie i Rusi, mimo poniesione w Grodnie i Kownie porażki, Po-



Fig. 400. Wyborcy i posłowie wileńscy (w środku ks. biskup Edward Ropp).

lacy liczyli 23 członków, ale z tych niektórzy, mianowicie t. zw. »terytoryaliści« nie chcieli łączyć się w jedno Koło z posłami Królestwa; inni należeli do partyi wolnomyślnych kadetów rosyjskich.

W Rosyi właściwej wybory odbywały się pod rewolucyjnemi hasłami: »*zemla* i *wola*« t. j. »ziemia i wolność«, czyli w imię żądania przy wszelkich swobodach politycznych: nowego rozdziału ziemi, obdzielenia nią bezrolnych lub małorolnych włościan, co oczywiście dokonać się mogło tylko przez przymusowe wywłaszczenie dotychczasowych właścicieli gruntów, przez targnięcie się zatem na własność prywatną. Ale nietylko stronnictwa rewolucyjne szerzyły te hasła; stały one się tak bardzo popularnemi, że kadeci (t. j. partya konstytucyjno-demokratyczna, od pierwszych liter (K. D.) tak nazwana) przyjęli do swego programu sprawę włościańską t. zw. agrarną, aby pozyskać szerokie masy i ująć ster spraw w swoje ręce. Na ogólną liczbę 448 posłów Dumy, liczyli oni około 200 zwolenników. Mimo bowiem usilnych zabiegów i widocznego nacisku rządowego, wybory w Rosyi wydały przeważną liczbę posłów z partyj skrajnych lub rewolucyjnych.

Uroczyste otwarcie Dumy państwowej przez cara nastąpiło d. 10. maja 1906. r. Już pierwsze posiedzenia okazały niemożebność wspólnej pracy przedstawicielstwa i rządu. Adres, który Duma uchwaliła (17. maja) w odpowiedzi na przemówienie carskie, domagał się zarówno zmiany zasadniczych ustaw konstytucyjnych (odpowiedzialności ministrów, zniesienia Rady państwa) jak powszechnej amnestyi t. j. ułaskawienia wszystkich politycznych przestępców, a nadto wysunął na czoło sprawę włościańską. Rząd widział w tych żądaniach przekroczenie zakresu nadanej Dumie władzy: »amnestya jest wyłącznie prawem monarchy, a chociaż rząd uznaje, że poprawa doli chłopów jest pierwszorzędnej wagi, nie dopuści do naruszenia własności prywatnej«. Długie, gorące i namiętne rozprawy nad tą kwestyą agrarną (od 29. maja do 20. lipca), doprowadziły wkońcu do gwałtownych zatargów, które rozogniły świeże wypadki mordów i rozbojów czarnych secin, zwłaszcza wielki pogrom żydów w Białymstoku (14—18 czerwca). Wniosek o zniesienie kary śmierci za polityczne zbrodnie upadł w Radzie państwa. Prócz uchwalenia 15 milionów rubli na zapomogi dla zagrożonej głodem ludności, Duma nie zdołała doprowadzić nic do skutku. Utonęła w niepomiernem gadulstwie, przybrała postać nieokiełzanego, rewolucyjnego wiecu. Chciano wydać odezwę do ludu oświetlającą zachowanie się rządu w sprawie rolnej, ale 21. lipca 1906 r. została Duma nagle ukazem cesarskim rozwiązana. Posłowie partyj skrajnych liczyli na po-

parcie narodu, udali się do Wiborga w Finlandyi i wydali odezwę, wzywającą do odmówienia rządowi podatków i rekruta — ale zawiedli się w zupełności. Rząd zgniótł rychło zaburzenia chłopskie, które wybuchły w niektórych okolicach; zamach na prezydenta ministrów Stołypina (25. sierpnia) nie udał się, chociaż kosztował życia 30 ofiar. Przewaga rządu nad rewolucyą objawiła się w sposób dobitny i stanowczy.

Posłowie Polacy, zarówno z Królestwa jak z Litwy i Rusi, znaleźli się w pierwszej Dumie w położeniu bardzo trudnem. Podzieleni na dwa koła: Koło Polskie, jednolite i solidarne, obejmujące tylko posłów z Królestwa, i t. zw. koło terytoryalne posłów z krajów zabranych, do którego mogli należeć posłowie wszelkich wyznań i narodowości — nie przedstawiali zwartej, silnej narodowej organizacyi. Stojąc na stanowisku odrębnem, przedewszystkiem obrony interesów narodowych i wywalczenia podstawowych warunków bytu społeczno-politycznego, znaleźli się w obcej sobie atmosferze rewolucyjnych prądów rosyjskich, z którymi musieli się liczyć, chociaż łączyć się nie mogli. W nadziei uzyskania poparcia autonomii Królestwa u stronnictwa kadetów, wiązali się mimochcąc z ich dążeniem w sprawie włościańskiej, nie odpowiadającem zgoła ani stosunkom ani życzeniom naszej ludności wiejskiej.

Podczas rozpraw nad adresem Koło Polskie wniosło (13. maja) przez Dra I. Harusewicza, posła łomżyńskiego, deklaracyę czyli oświadczenie, w którem powołując się na traktaty kongresu wiedeńskiego z r. 1815. i nadaną przez cesarza Aleksandra I. konstytucyę, domagało się przywrócenia autonomii Królestwa polskiego, którego nazwę nawet »pominięto w prawach zasadniczych państwowych z d. 21. kwietnia (8. maja) 1906.«, »w przeddzień otwarcia Izby państwowej... w chwili, gdy cała ludność Królestwa Polskiego gorąco i jednogłośnie domagała się praw autonomicznych dla swojego kraju«, kiedy »żądania te polskiego narodu znalazły jednogłośny oddźwięk w rosyjskim ruchu wolnościowym«... »Przeciwko temu zamachowi i wogóle przeciwko zdeptaniu praw narodu polskiego« posłowie protestują i »protest ten zanoszą przed reprezentacyę narodu rosyjskiego«.

Ale na tej reprezentacyi deklaracya nie wywarła wrażenia, uzasadnienie jej aktami dyplomatycznymi monarchów nie odpowiadało w zupełności nastrojowi zgromadzenia i raczej szkodziło, niż dopomagało do uznania naszych praw. Nie przyjęto do adresu nawet wzmianki o autonomii Królestwa polskiego; wspomniano w nim zaledwie o »sprawie zadowolenia żądań poszczególnych narodowości«.

W sprawie reform agrarnych, t. zw. »wniosku 42«, orzekającego przymusowe wywłaszczenie wszelkiej własności rządowej, cesarskiej, duchownej i prywatnej ponad pewną najwyższą miarę posiadania i upaństwowienie jej celem utworzenia drobnych gospodarstw oddawanych włościanom w długoterminową dzierżawę, posłowie polscy zajęli wprawdzie stanowisko odporne. Zwracali uwagę Dumy na odmienne warunki w naszym kraju, na przywiązanie ludu do własności ziemi — włościanin poseł Nakoneczny żądał wprost gwarancyi dla posiadanych na własność gruntów; wymownie przedstawiali rzecz posłowie Jan Stecki, Szczęsny Poniatowski i Stan. Horwatt — ale przecież uznali za właściwe oświadczyć się »za przyjęciem wywłaszczenia ziemi w ogólności z tem tylko zastrzeżeniem, że sprawa cała zostanie załatwiona na warunkach miejscowych a nie na podstawie jakiejś ogólnej normy stosowanej równomiernie do całego cesarstwa«. Nie zadowolili tem oświadczeniem żadnej strony, zarzuty posypały się zewsząd, nie zadowolili przedewszystkiem swojego narodowego sumienia.

Do odezwy wiborskiej jednakże nie przyłączyli się. Uznali trafnie, że mięszać się do czynów wychodzących poza udzielony im przez wyborców mandat nie mają prawa. Dowiedli tem, że obrady pierwszej Dumy nie minęły dla nich bez korzyści — dojrzeli wśród nich politycznie, chociaż mimo najlepsze zamiary i usiłowania powracali z próżnemi rękami.

Ale szczęściem nie ustawała praca wytężona i owocna na samych ziemiach polskich, nawet w uciśnionem stanem wojennym Królestwie. Bujne życie, obudzone w poprzednim roku, pozbywało się powoli gorączki pierwszych miesięcy, a nabierało tęgości i wytrwałości w walce z nieprzyjaznymi warunkami. Zabrano się usilnie do zaradzenia dotkliwym stratom w przemyśle i handlu, do polepszenia doli ludności robotniczej. Powstawały liczne szkoły prywatne, aby umożebnić naukę młodzieży, która nie powróciła do szkół rządowych. Przodowała w tem »Polska Macierz szkolna«, stowarzyszenie, które uzyskało d. 21. czerwca 1906. zatwierdzenie rządu, a d. 8. lipca odbyło pierwsze swe zgromadzenie pod przewodnictwem prezesa Antoniego Osuchowskiego, który potrafił w tak ciężkich stosunkach z niespożytą energią zebrać fundusze na cele Macierzy, pokierować jej organizacyą i stworzyć z niczego niemal całe szkolnictwo polskie. Już dotychczasowa jej działalność, oparta na ofiarności społeczeństwa i niezmordowanej wszechstronnej pracy kilku jednostek, musiała obudzić szczery podziw i zjednać sobie powszechne uznanie,

Wkrótce objęła ona siecią swych ognisk cały kraj: do końca r. 1906. liczyła kół 781, członków 116,341, szkół własnych 141, nadto udzielono zasiłku pieniężnego innym już istniejącym szkołom prywatnym. Nie ograniczono się jednak do tworzenia szkół, zakładano domy ludowe, czytelnie, biblioteki, ochronki dla dzieci, nawet sklepy spożywcze. W Warszawie powstało Koło uniwersytetu ludowego, stowarzyszenie kursów dla analfabetów, Muzeum szkolne, a pod stolicą w Ursynowie założone również przez mecenasa Osuchowskiego Seminaryum dla nauczycieli ludowych, na które Adam hr. Krasiński oddał swój pałac do użytku. Nie licząc darów w placach pod budowę szkół i t. p., suma składek dosięgła 810,673 rubli. W zakładach Macierzy pobierało naukę 63.000 osób, korzystało z ochronek 14.401 dzieci, z czytelń i bibliotek 400.544 osób (po koniec r. 1906.). Same te cyfry mówią za siebie. — Równocześnie powstawały inne stowarzyszenia, jak Towarzystwo naukowe (zatwierdzone 4. czerwca 1906.), podzielone na trzy wydziały, założone przez najwybitniejszych uczonych mężów w Warszawie;

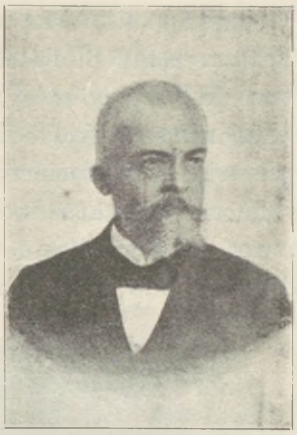

Fig. 401. Antoni Osuchowski, Prezes Polskiej Macierzy Szkolnej.



Fig. 402. Czytelnia uniwersytetu ludowego Polskiej Macierzy Szkolnej.

Towarzystwo kursów naukowych, Stowarzyszenie nauczycielstwa polskiego, Towarzystwo Biblioteki publicznej dla wszystkich przystępnej, Towarzystwo kultury polskiej i t. p. Dnia 1. lipca nastąpiło uroczyste otwarcie Sokolni warszawskiej. Za przykładem stolicy szły miasta i miasteczka, wiązały się Koła Macierzy, różne towarzystwa użyteczności społecznej, kółka rolnicze, związki Sokołów. Jak w rojnym ulu bez przerwy mnożyła się ta praca w całym kraju, mimo stawiane przez rząd przeszkody, wśród mordów, napadów, pogromów [1]).



Fig. 403. Biblioteka Polskiej Macierzy szkolnej przy ul. Leszno w Warszawie.

Wybory do drugiej Dumy w r. 1907. odbywały się pod temi samemi hasłami, co wybory do pierwszej, ale w większem skupieniu stronnictw narodowych, które złączyły się w związek centralny wyborczy z Henrykiem Sienkiewiczem na czele. Obok 27 posłów z narodowej demokracyi weszło 2 z partyi realistów a 3 z postępowej demokracyi do przedstawicielstwa.

Na Litwie i Rusi, mimo również ściślejszego zespolenia sił [2]), Polacy ponieśli porażkę: liczba posłów polskich spadła z 23 na 12, ponieważ stron-

[1]) Od 10. maja do połowy września 1906. padło 760 ofiar ruchu rewolucyjnego w Warszawie, z tych 164 na miejscu zabitych.

[2]) W r. 1906. i 1907. powstał i zorganizował się »Związek oficyalistów na Rusi«, który urządził liczne wiece, a do 1. marca 1907. liczył 3.802 członków.

nictwa skrajne, rosyjskie i żydowskie, posługując się hasłem przymusowego wywłaszczenia, pozyskały głosy włościańskie. Dzięki jednak powstaniu zwartego »Koła Polskiego Litwy i Rusi«, zgodnego w działaniu na zewnątrz z »Kołem Polskiem« Królestwa, Polacy rozporządzali 46 głosami w Dumie państwowej, a wobec składu jej mogli łatwo wpływać stanowczo na uchwały, przechylać szalę w tę lub ową stronę. Chociaż rząd po rozpędzeniu pierwszej Dumy z dniem każdym zdobywał sobie coraz silniejsze stanowisko, a przez częściowe reformy w sprawie włościańskiej i robotniczej starał się pozyskać zaufanie ludności, z wyborów wyszli przeważnie ludzie zasad skrajnych, rewolucyjnych, tak że rząd bez głosów polskich nie posiadał większości. Polacy zaś głosowali za uchwaleniem rekruta, wyrażając nadzieję, że silna armia da państwu niezależność wobec obcych mocarstw, ale nie chcieli przyznać rządowi budżetu bez zapewnienia, że w Królestwie nastąpią stanowcze zmiany na lepsze; przedstawili uzasadniony wniosek o autonomii Królestwa, a nadto wniosek nagły o wprowadzenie języka wykładowego w szkołach państwowych. Prezydent ministrów Stołypin, który głosił zasadę, że tylko Rosyanie mają prawo decydować o losach państwa, innym zaś narodowościom tego prawa odmawiał, skorzystał z odkrytego spisku, do którego należeli także posłowie rewolucyjnej partyi rosyjskiej, i rozwiązał d. 16. czerwca 1907. Dumę. Równocześnie ukaz cesarski stanowił nową ustawę wyborczą, która miała zapewnić większość w Izbie rządowi, większość taką, aby »żywioły nierosyjskie nie mogły decydować o losach państwa«. Liczbę posłów z Królestwa zmniejszono z 36 na 12, wśród których jeden z Rosyan, mieszkańców Warszawy. W krajach zabranych odjęto prawo wyborcze dzierżawcom i oficyalistom dworskim (Polakom), a przyznano ministrowi prawo rozdzielenia mandatów w taki sposób, aby zapewnić je Rosyanom. Ordynacya wyborcza z 16. czerwca zastosowała zatem do Polaków przepisy wyjątkowe, wypowiadała wprost, bez osłonek, wojnę całemu narodowi. Ale społeczeństwo polskie, już zahartowane wobec brutalności postępowania rządu, przyjęło z godnością i powagą ten nowy cios, nie usunęło się nawet od wyborów do trzeciej Dumy, z których wyszli wyłącznie posłowie z na-



Fig. 404.
Adam ordynat hr. Krasiński.

rodowej demokracyi. Jednakowoż udział wyborców był o wiele mniejszy [1]), ponieważ utracono wiarę w działalność Dumy i intencye rządu — objaw, który zaznaczył się w całem państwie rosyjskiem. Koło Polskie Królestwa liczy w trzeciej Dumie tylko 11 członków, na których czele stoi Roman Dmowski.

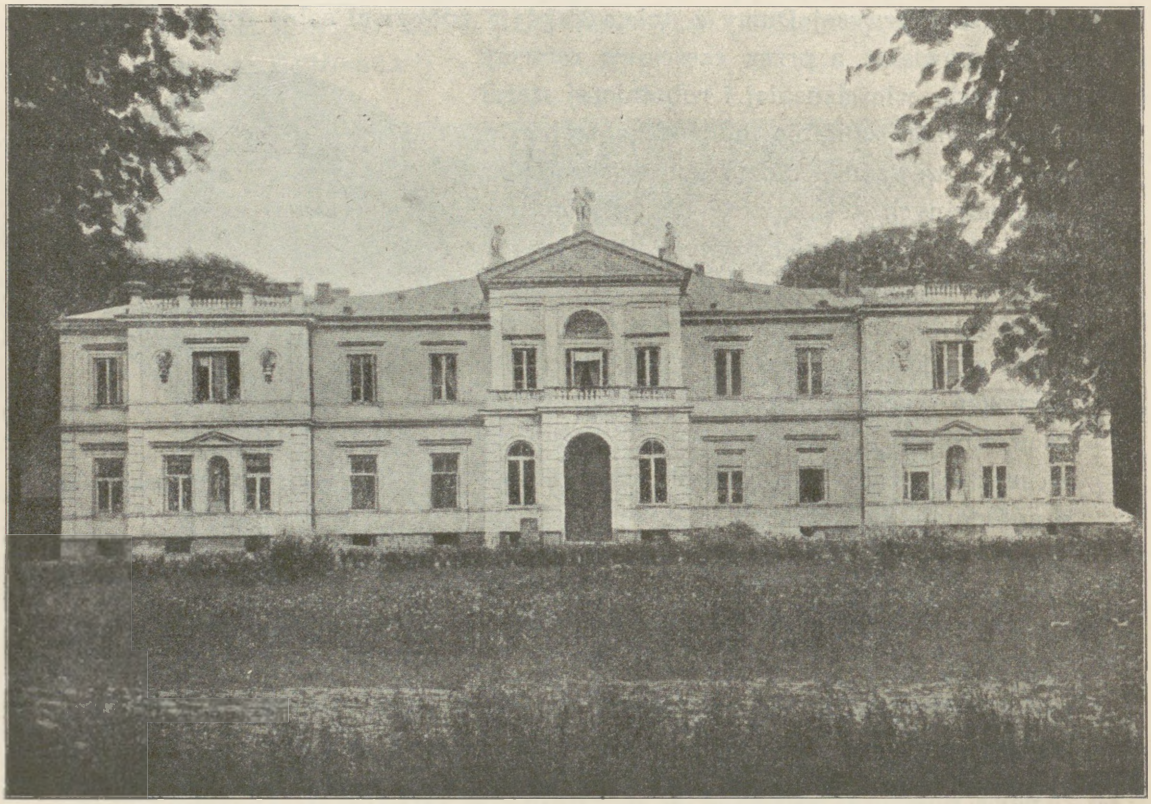

Fig. 405. Pałac w Ursynowie, obecnie seminaryum nauczycielskie.

Na Litwie i Rusi powstało w czasie wyborów stronnictwo krajowe (polskie) z dewizą tej osnowy: »z koniecznością walczyć nie należy — trzeba się do niej przystosować«, stronnictwo złożone z przedstawicieli wielkich majątków ziemskich. Posłów Polaków wysłano z tych krajów tylko 7, tak że razem delegacya polska liczy 18 członków, nie posiada zatem nawet liczby posłów, potrzebnej do stawiania samoistnych wniosków. Mimo to,

[1]) Na 70.000 wyborców głosowało w Warszawie do I. Dumy 63.000, do II. 56.000, do III. tylko 19.000.

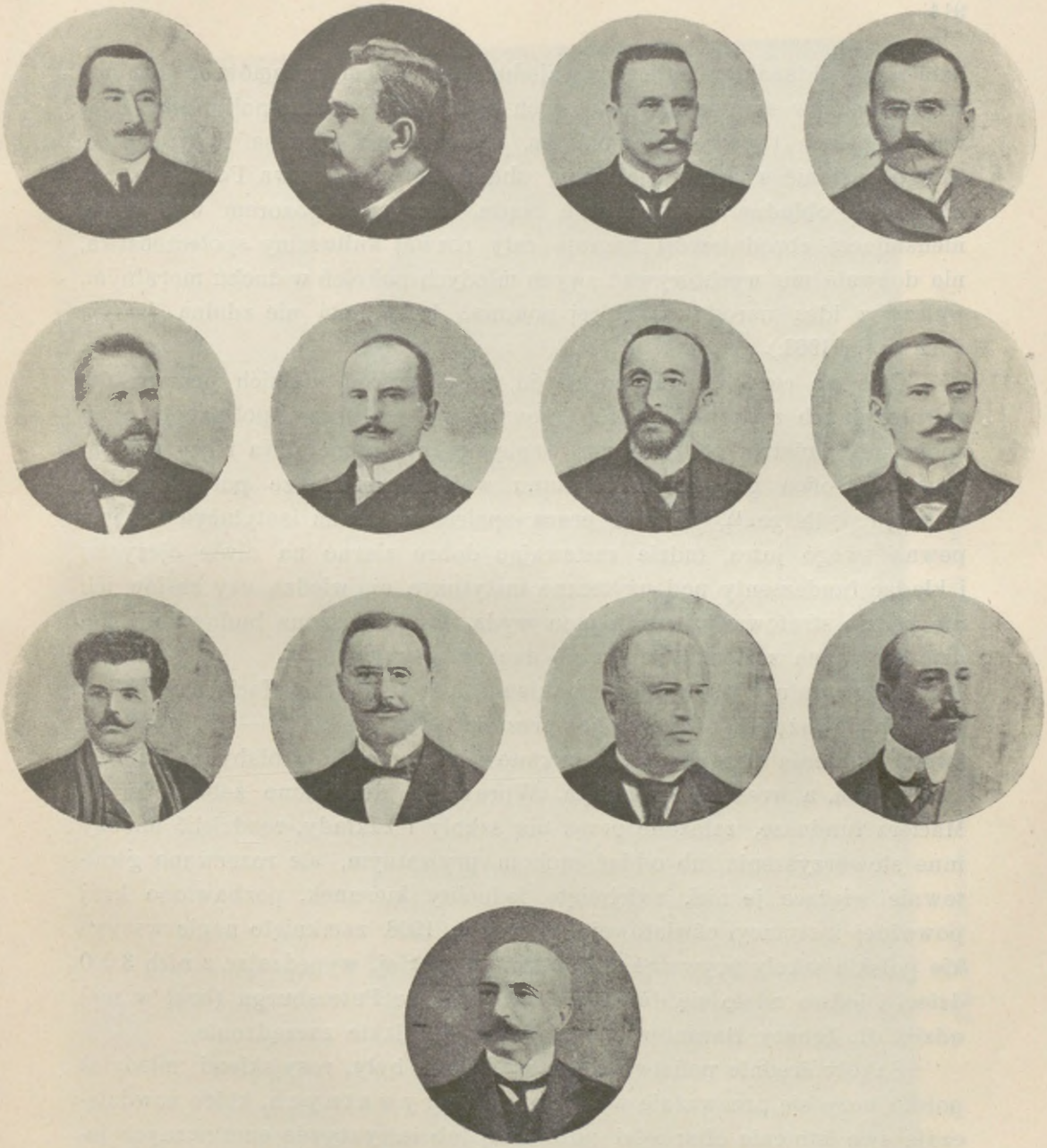

Fig. 406. Posłowie polscy do trzeciej Dumy.

Roman Dmowski, prezes Koła — Alfons Parczewski, Władysław Żukowski, Władysław Grabski

Dr. I. Harusewicz, Ludomir Dymsza, Józef Świeżyński, Wiktor Jaroński

Józef Nakonieczny, Dr. Antoni Rząd, Józef Montwiłł, Stanisław Wańkowicz, Kazimierz Zawisza

(braknie portretów posła Andrzeja Bułaka i posła Hipolita Wąsowicza).

działając solidarnie, umiała sobie zjednać szeregiem przemówień gruntownych bądź w sprawach finansowych bądź też w ogólno-politycznej dyskusyi posłuch i poważanie w Izbie, a w mowach prezesa Koła Dmowskiego odsłonić w pełnej prawdzie obecny stan Królestwa Polskiego, napiętnować obłudne postępowanie rządu, który pod pozorem wytępienia nieustającej zbrodniczości hamuje cały rozwój kulturalny społeczeństwa, nie dozwala mu wychowywać swych młodych pokoleń w duchu moralnym, walczy z ideą narodową, której pokonać żadna siła nie zdolna (mowa z 12. maja 1908.).

Cios po ciosie spada na naród, który wśród wielkich przewrotów rewolucyjnych zachował spokój i powagę, jął się pracy społecznej, pracy spokojnej, państwu pod żadnym względem niegroźnej. Na mocy trwającego od końca grudnia 1905. stanu wojennego władze postępują jak w kraju podbitym [1]). »Żadna praca społeczna, żadna instytucya nie jest pewna swego jutra, ludzie zasiewając dobre ziarno na niwie ojczystej i kładąc fundamenty pod użyteczne instytucye, nie wiedzą, czy zasiew ich nie będzie stratowany, zanim plon wyda, czy wznoszona budowa nie będzie zrównana z ziemią, zanim się dachem nakryje«.

W grudniu r. 1907. uległa takiemu losowi Polska Macierz Szkolna, pomimo poważnych ostrzeżeń jej prezesa Osuchowskiego — od początku swego istnienia przez władze szykanowana, potem dla błahych pozorów zawieszona, a wreszcie zamknięta. Wprawdzie dozwolono zebrane przez Macierz fundusze, założone przez nią szkoły i zakłady, rozdzielić między inne stowarzyszenia lub oddać osobom prywatnym, ale rozerwano gwałtownie wiążące je nici, zwichnięto jednolity kierunek, pozbawiono kraj poważnej instytucyi oświatowej. W maju r. 1908. zamknięto nagle wszystkie polskie szkoły prywatne w gubernii kieleckiej, wypędzając z nich 3.000 dzieci i ledwo udało się deputacyi wysłanej do Petersburga (brał w niej udział dr. Ignacy Baranowski) cofnąć to nieludzkie zarządzenie.

Szkoły średnie państwowe pozostały, jak były, rosyjskiemi; młodzież polska uczy się przeważnie w szkołach prywatnych, które zawdzięczają swe istnienie ofiarności publicznej lub inicyatywie energicznych jednostek i mimo wielkich trudności, zdołały stanąć na wysokości zakładów zagranicznych — jak 8-klasowe gimnazyum obywatelskie i 7-klasowa szkoła realna, gimnazyum gen. Chrzanowskiego i t. d. [2]) — ale świadectwa przez

[1]) Zob. notę na str. 902.

[2]) W r. 1907/1908 było 32 polskich szkół prywatnych, z tych 4 realne z 1.461 ucz-

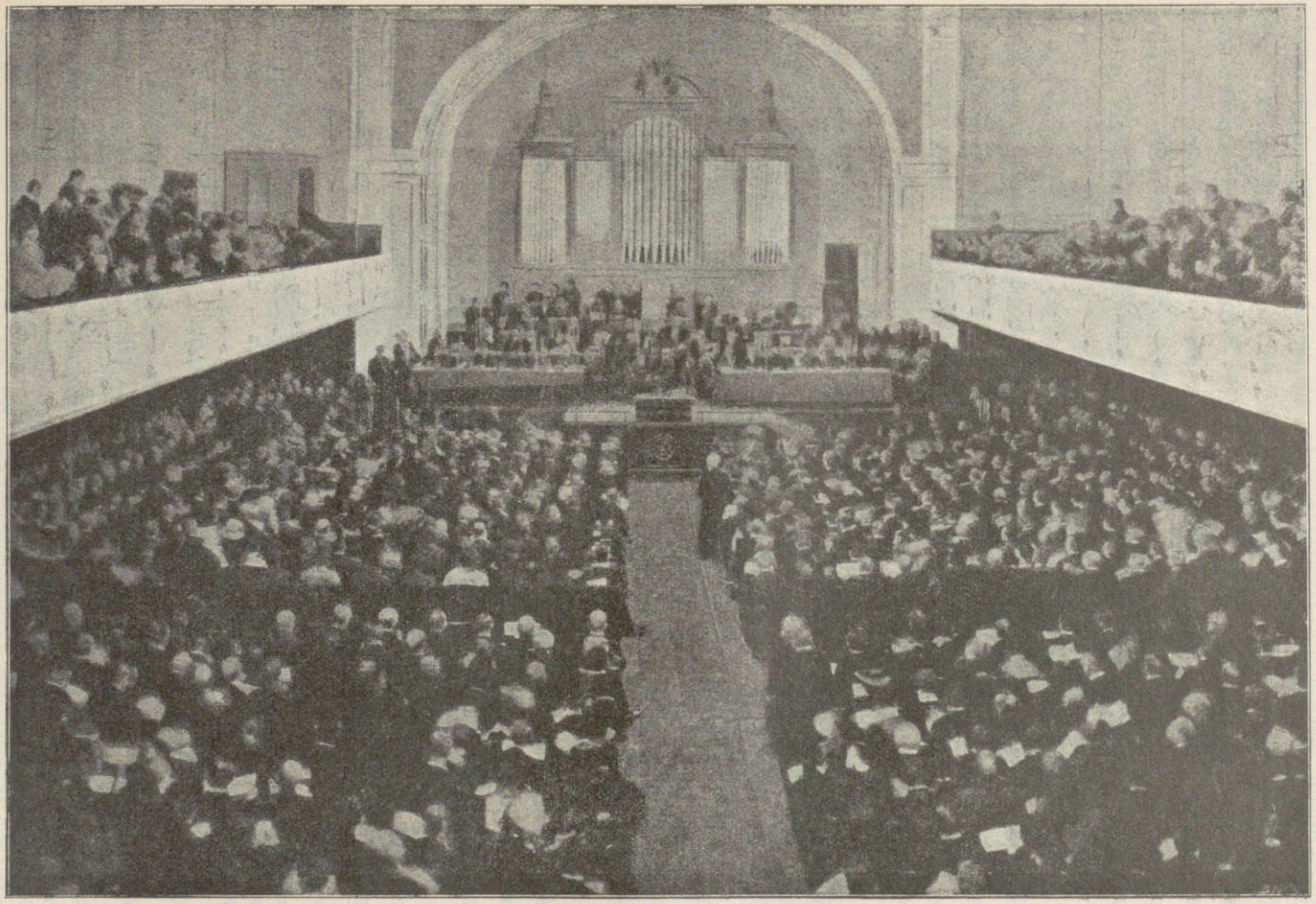

Fig. 407. Pierwsze doroczne zebranie Polskiej Macierzy Szkolnej w r. 1907.

te zakłady wydawane, nie uprawniają do studyów uniwersyteckich i politechnicznych w państwie rosyjskiem, ani też nie dają ulg wojskowych. Zresztą uniwersytet i szkoła politechniczna w Warszawie były przez trzy lata zamknięte: młodzież szuka wyższego wykształcenia za granicami kraju; dyplomy jednak tamże uzyskane nie mają znaczenia w Rosyi [1]). Szkody, wynikające z takiego anormalnego stanu wychowania publicznego, muszą odbić się na całem pokoleniu współczesnem.

Lata zamieszek wewnętrznych, przyniosły też materyalne straty, które nie dadzą się rychło powetować. Liczba fabryk i zakładów przemysłowych spadła z r. 1905. na r. 1906. z 2.901 na 2.277, liczba zatrudnionych robotników z 289.102 na 231.821 [2]). W Warszawie wskutek zamknięcia niektórych wielkich przedsiębiorstw i opuszczenia miasta z powodu rewolucyi i bandytyzmu ubyło 22.000 mieszkańców (spis z 1. stycznia 1905. podaje — 768.000, z 1. stycznia 1906. — 746.000). Nie mało również ucierpiały rzemiosła (w r. 1903. liczono w Warszawie 18.500 rzemieślników, którzy wyrobili towarów za 13.682.000 rubli, w r. 1904. było rzemieślników ogółem 17.000, wartość produkcyi wynosiła 10.928.000 rubli).

Ale mimo te straty i szkody, mimo inne fatalne skutki powrotnej fali ucisku, która zmiotła wiele zdobyczy z roku 1905, uniosła z sobą ciężko zapracowane zadatki lepszej przyszłości — ostatnie lata nie minęły bez korzyści dla narodu. Ujawniła się jego żywotność, przybyło świadomości własnych sił. Gorżkie doświadczenia również nie pójdą na marne, zeszła niejedna oćma z oczu: wzięto raz jeszcze nadzieję za podstawę działania i narażono się na zawód bolesny...

Stan rzeczy obecny przedstawia się niewątpliwie w posępnych barwach, ale nie jest gorszy, niż przed wielkimi przewrotami: wobec tego, co działo się dawniej, należy owszem bezstronnie przyznać, że jest lepszy,

---

niami, 14 filologicznych z 5.615 uczniami i 14 handlowych z 4.915 uczniami. Liczba uczniów w szkołach prywatnych wynosiła r. 1906/7 11.437, w r. 1907/08 12.031. Personal nauczycielski składa się z górą z 700 osób.

[1]) W roku szkolnym 1908/9 otwarto uniwersytet i politechnikę, ale pozostały one, jak były, rosyjskimi.

[2]) Według ogłoszonej świeżo statystyki urzędowej z r. 1906. rodzaje produkcyi przemysłowej w Królestwie, przedstawiają się tak: fabryk zajmujących się obróbką bawełny 183, robotników 53.212, fabryk wełny 405, rob. 1515, jedwabiu 18 fab., 1515 rob., lnu 8 fab., 11.686 rob., materyałów włóknistych 131 fab., 1.157 rob. — Zakładów poligraficznych i papierni 146, rob. 9.367. Obróbka drzewa 220—9.465; metalów 347—35.349, minerałów 220—14.197, artykułów zwierzęcych 146—6.225. Wyrób artykułów żywności 395—28.750. Fabryk chemicznych 58, w których pracowało 4.703 robotników.

znośniejszy. Wolność wyznania (ukaz tolerancyjny) wbrew wrogim zapędom prawosławia, pozostanie, jako nieoszacowany nabytek. Wolność słowa jest szersza, niż była przed konstytucyą; wolność stowarzyszania się, cho-



Fig. 408. Towarzystwo Naukowe w Warszawie.
Tadeusz Korzon Jan Sosnowski
Samuel Dickstein Henryk Dobrzycki Władysław Jabłonowski
Ignacy Chrzanowski Adam A. Kryński

ciaż skrępowana i narażona na ustawiczne niespodzianki, pozostawiła przecież narodowi pole do pracy samodzielnej i jawnej. Ostały się prądowi reakcyi towarzystwa naukowe, założone w Warszawie i w Wilnie.

Szkoły prywatne pozwalają bądź co bądź wychowywać, przynajmniej część młodego pokolenia, w innych zasadach niż krzewione przez szkołę rosyjską. Mimo zmniejszonej liczby posłów, mimo bardzo trudnego położenia ich w teraźniejszej Dumie, oddanej w większości swej zupełnie na usługi

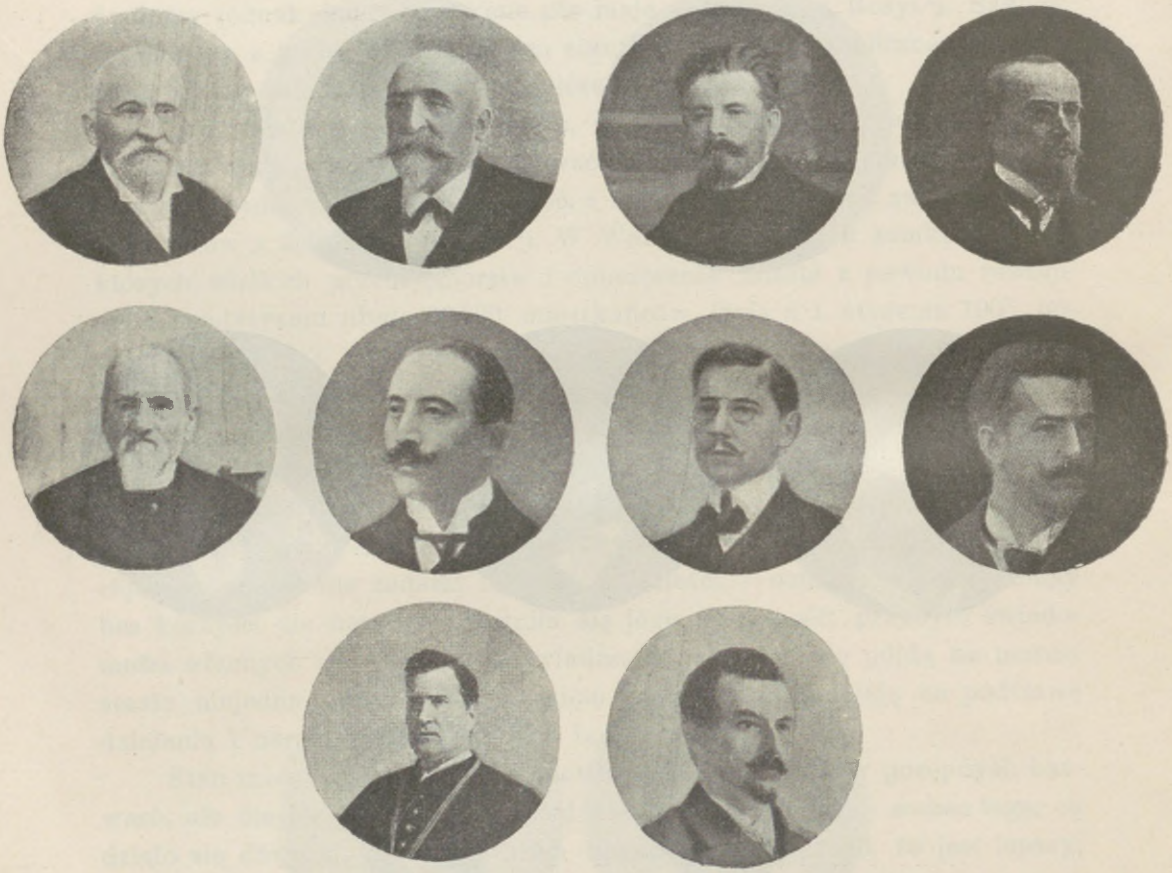

Fig. 409. Towarzystwo naukowe wileńskie.

Al. Jelski, Bol. Rusiecki, W. Szukiewicz, Wł. hr. Tyszkiewicz, Ks. J. Kurczewski, Cz. Jankowski, M. Brenszteyn, Dr. Wł. Zahorski. T. Wróblewski L. Uziębło

rządu, naród posiada przecież w niej trybunę, z której może wypowiadać głośno swe skargi wobec całego świata, może roztaczać jawnie obrazy swej niedoli i domagać się wytrwale i uporczywie poprawy swojego losu.

Pewne, chociaż bardzo nieokreślone nadzieje lepszego współżycia Polski i Rosyi obudziły się wskutek zbliżenia się wybitnych mężów narodu

rosyjskiego i polskiego na zjeździe, a raczej na t. zw. konferencyach praskich w miesiącu lipcu 1908. r.

Zbliżenie to przyszło do skutku za pośrednictwem przedstawicieli innych narodów słowiańskich, a było wynikiem prądów, które obecnie coraz silniejszy odgłos znajdują w Słowiańszczyźnie. Jest to t. zw. neoslawizm, który w przeciwieństwie do dawnego panslawizmu, dążącego do zatopienia wszystkich Słowian w morzu rosyjskiem, ma postawić zasadę równouprawnienia i swobodnego rozwoju każdego z narodów słowiańskich w łącznem działaniu i popieraniu się wzajemnem, zwłaszcza na polu kultury. Wytrwałym krzewicielem polskiego słowianofilstwa stał się zawiązany w grudniu 1901. w Krakowie »Klub Słowiański« (pod przewodnictwem profesora Maryana Zdziechowskiego), stowarzyszenie, które zjednało sobie rychło członków wśród najwybitniejszych uczonych krakowskich, a od r. 1905. wydaje



Fig. 410. Uczestnicy konferencyj praskich, grupa polsko-rosyjska.
Siedzą: Makłakow, Olizar, Krasowskij, Kramarz, Dmowski, Giżyckij, Dementjew, Bechtierow. Stoją: Hlebowicki, Sytin, Smólski, Zdziechowski, Montwiłł, (śród nich) Stecki, Filewicz, Święcicki, (wśród nich) A. Stachowicz, Świeżyński, Gutowski, Lwow (nad Kramarzem), Swatkowski, z jego prawej strony: prof. Francew (Warszawianin), z lewej strony Wergun, nad Dmowskim jen. Wołodimirow, na prawo Łypacewicz, Ostrowski, Potocki, Kosiakiewicz, na ziemi hr. Bobrinskij.

miesięcznik p. t. »Świat Słowiański« pod redakcyą Dra Feliksa Konecznego.

Ziszczenie słowiańskiego programu będzie oczywiście tylko w takim razie możliwe, jeżeli zapanuje trwała zgoda w pośród samychże Słowian, a zatem przedewszystkiem między Polską i Rosyą i o ile rząd rosyjski nie nadużyje tego ruchu w celach swej polityki zaborczej. Pierwsze zaś zbliżenie nastąpiło właśnie naprzód w Petersburgu, a następnie w Pradze. Prezes Koła polskiego w Dumie Roman Dmowski oświadczył się za koniecznością czynnego uczestnictwa Polaków w ruchu słowiańskim i wziął udział w konferencyach, w których sprawa wzajemnego stosunku obu narodów była, jeśli nie głównym, to najistotniejszym przedmiotem obrad.

Z natury rzeczy wynikło, iż ostrze rozpraw zwracało się głównie przeciw naporowi Niemców ku wschodowi, a »walka polsko-niemiecka w zaborze pruskim uznana została za główny moment walki Słowian z ich odwiecznym wrogiem«.

II.

Osłabienie mocarstwowego stanowiska Rosyi po nieszczęśliwej wojnie z Japonią i wskutek wewnętrznych zamieszek pociągnęło za sobą jako nieuniknione następstwo spotęgowanie znaczenia sąsiednich Niemiec i zwiększenie wpływów tego państwa zarówno w całej Europie, jak zwłaszcza w carstwie rosyjskiem. Jakkolwiek królowie pruscy, od r. 1871. cesarze zjednoczonych Niemiec, starali się i starają utrzymać przyjaźń z carami rosyjskimi, wysługują się im przedewszystkiem w zatargach z narodem polskim, w istocie rzeczy interesy ich nie są bynajmniej zgodne i rychlej czy później musi przyjść między nimi do starcia.

Od wieków bowiem Niemcy napierają na wschodnią granicę swych osiadłości, wydzierają ziemie ludom słowiańskim i zakładają na ich zgliszczach swoje siedziby. Już w zaraniu dziejów uległy najpierw plemiona połabskie przemocy tej germańskiej nawały, która następnie zaczęła się wdzierać gwałtownie poza progi młodzieńczego państwa piastowskiego. Ale Polska zdołała, jak wiemy, powstrzymać dalsze postępy fali germańskiej. Dopiero upadek Rzeczypospolitej i rozbiory, przejście kolebki narodu pod panowanie Hohenzollernów pruskich, otworzyło Niemcom na

oścież wrota do ziem polskich. Odtąd też poczyna się rosnący z każdym dziesiątkiem lat pochód żywiołu germańskiego ku wschodowi [1]).

Spór, który rozgrywa się od początku historyi, więc od lat tysiąca, »zamienił się dzisiaj na walkę o każdą piędź ziemi, o każdy dźwięk głosu, o każde brzmienie mowy, o każde tchnienie piersi, o każdy tętent serca i pulsów!« Tak go określił na poprzednich kartach tego dzieła (II. str. 779) Dr. Witołd Skarzyński, którego wszechstronny obraz stosunków społecznych i ekonomicznych w W. Ks. Poznańskiem uzupełnimy tylko kilkoma wspomnieniami ostatnich, najbolesniejszych wypadków.

Od osławionej mowy cesarza Wilhelma II, wypowiedzianej w r. 1902. na zamku Malborskim, siedzibie pokonanych przez Polskę i Litwę Krzyżaków, od tej mowy, w której król pruski wzywał wszystkich Niemców do walki »z butą polską«, stało się rzeczą zupełnie jawną, że nie tylko rząd pruski, nie tylko hakatyści, t. j. stowarzyszenie Niemców sprowadzonych do ziem polskich, ale sam monarcha stanął po stronie wrogów obywateli polskich swojego państwa. Odtąd też nie było już żadnego hamulca w tej bezkrwawej, ale okrutnej wojnie, która poczęta przez kanclerza Ottona Bismarcka (zob. t. I. str. 921), przerwana chwilowo w latach 1890—1894, podjęta znowu ze spotęgowaną zawziętością przez kanclerza Bernarda von Bülowa (od 1900 r.), rozszalała nad starą piastowską dzielnicą i przybrała wprost potworne rozmiary.

Po jednej stronie rząd pruski, który już całkiem jawnie wypowiada swe zamiary wydarcia nam ziemi ojczystej, pozbawienia nas języka i rozwoju narodowego, rząd uzbrojony w przemoc wytrwałą, zaciętą i niecofającą się przed żadnymi środkami — po drugiej społeczeństwo polskie, broniące najdroższych swych skarbów, sypiące wał ochronny przeciw niemieckiej nawale, która ciśnie na nie siłą 80 milionowego olbrzyma. W tej nierównej walce tarczą osłaniającą je przed pociskami wrogów jest tylko miłość Ojczyzny, jest rosnąca świadomość obowiązków narodowych, i jest nadto sumienie i wiara w sprawiedliwość i czystość polskiej sprawy. Bój wre we wszystkich dziedzinach życia, ustawiczny, nieubłagany, nigdy nie spoczywający.

Po zniemczeniu wszystkich szkół i urzędów publicznych, wszystkich ogłoszeń i napisów, nawet nazw wielu miejscowości — po pociągnięciu, jakby pokostem niemieckim całego kraju — zabrano się do samej rdzeni

---

[1]) Por. Historyę polityczną t. I. od str. 710.

rzeczy, do wykupywania ziemi polskiej, do rugowania Polaków z ich stanowisk. Ze skarbu państwa, do którego wpływają także podatki obywateli polskich, Sejm pruski uchwalił na ten cel w r. 1886. 100 milionów, r. 1898. drugie 100 milionów, w r. 1902. nowych 150 milionów marek do dyspozycyi komisyi kolonizacyjnej, zorganizowanej na podstawie ustawy z 26. kwietnia 1886 r. Ale, że mimo zużycia tak wielkich kwot i innych wszelakich wysiłków rządowych, działalność komisyi nie okazała się dosyć owocną, że Polacy krzyżując zręcznie jej plany, zwłaszcza przez parcelacyę polską skutecznie przeciwdziałać umieli, Sejm pruski uchwalił w czerwcu r. 1904. niegodziwe prawo osadnicze, według którego nie wolno nowej osady utworzyć bez potwierdzenia przewodniczącego komisyi, iż przedsięwzięcie to nie sprzeciwia się »celom i zadaniom ustawy kolonizacyjnej z r. 1886.«. Protestowali wprawdzie przeciw takiemu ukróceniu prawa własności posłowie polscy: Witold Skarzyński w Izbie poselskiej, ks. Radziwiłł i Józef Kościelski w Izbie Panów, a nawet poważni posłowie niemieccy przyznawali, że taka ustawa jest bezprawiem. Była ona zaś w istocie tylko przygrywką do większego jeszcze bezprawia, które miało rychło otrzymać sankcyę tego sejmu i tego rządu, »jedynego w swoim rodzaju rządu« — jak mówił Józef Kościelski — »który wszczyna walkę przeciw dobrobytowi własnych obywateli, nie dozwala, aby powstawały nowe strzechy wieśniacze, który będzie burzyć chaty i gasić ogniska rozwijającego się życia«. Rzeczywiście też zdarzyło się, że Wojciechowi Drzymale w Podgradowicach nie pozwolono wystawić na własnym jego gruncie domu, ponieważ nowa osada nie odpowiadała planom komisyi kolonizacyjnej. Co prawda, przemyślny chłop polski poradził sobie i zamieszkał z rodziną w wielkim wozie, takim, jakiego zazwyczaj używają do przewożenia mebli, a »cygański wóz« ten Drzymały stał się głośnym nie tylko na ziemiach polskich, lecz w całym świecie. Powszechnie wyrażano zdziwienie, że takie prawo mogło powstać w państwie, które chce uchodzić za przodujące na polu kultury, piętnowano słowami oburzenia barbarzyństwo, które nie zawahało się stawiać zapory swobodnemu budowaniu mieszkań ludzkich [1]).

[1]) »Wzywam cały świat cywilizowany, aby wydał swój wyrok na to«! — pisze Niemiec Paweł Fuss, królewski zawiadowca domeny i właściciel dóbr rycerskich Wituchowa. »Postanowiono ustawę, której celem jest, żeby żadnemu Polakowi w niemieckich dzielnicach wschodnich nie przysługiwało więcej prawo ponownego osiedlenia się, zbudowania sobie kiedykolwiek domu i stworzenia własnego ogniska, własnego zakątka. Ograniczenie to prawa obywatelskiego równa się najzupełniej przekroczeniu artykułu 4. konstytucyi.

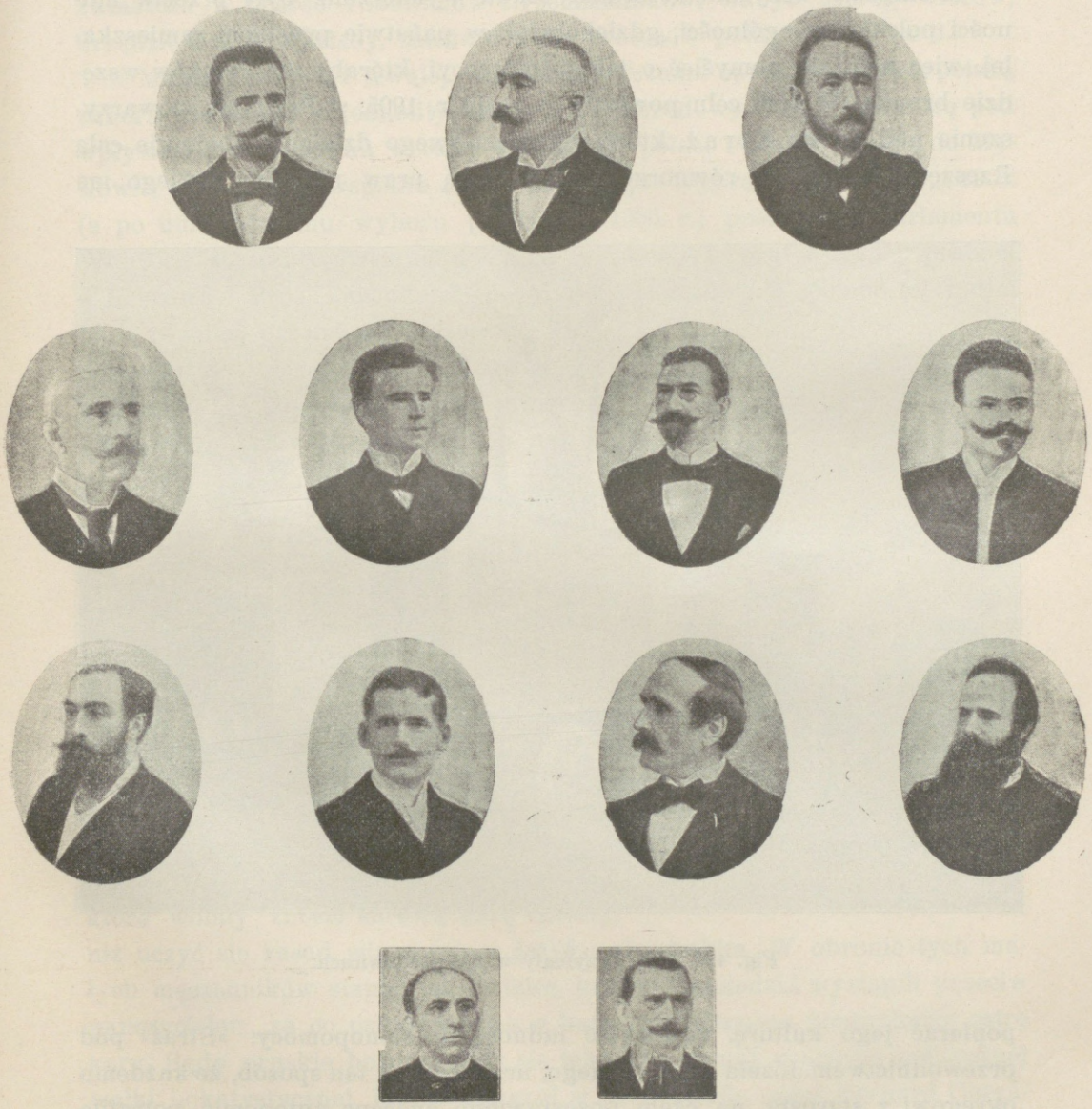

F g. 411. Posłowie polscy do parlamentu Rzeszy Niemieckiej.

Adam Napieralski Dr. Witold Skarzyński Bernard Chrzanowski
Książe Ferd. Radziwiłł Wojciech Korfanty R. Janta-Polczyński Wiktor Kulerski
Leon Grabski M. hr. Mielżyński Leon Czarliński Jan Brejski
Ksiądz prałat Stychel Dr. Dziembowski.

Ponieważ wszystkie te środki rządu wymierzone były przeciw ludności polskiej w ogólności, gdziekolwiek w państwie pruskiem zamieszkałej, więc należało pomyśleć o takiej instytucyi, któraby też Polaków wszędzie broniła. W tym celu powstało w maju r. 1905. w Poznaniu stowarzyszenie pod nazwą S t r a ż, które zakresem swego działania obejmuje całą Rzeszę niemiecką, a równorzędnie z obroną praw narodu polskiego ma



Fig. 412. Wóz Drzymały w Podgradowicach.

popierać jego kulturę, zaprawiać ludność do samopomocy. »Straż« pod przewodnictwem Józefa Kościelskiego, urządzona w ten sposób, że każdemu okręgowi z starostą na czele pozostawiono znaczną autonomię, potrafiła mimo liczne trudności, z jakiemi przychodzi jej walczyć, rozwinąć tak w sekcyi organizacyjno-kulturalnej jak i w sekcyach ekonomicznej i prawno-politycznej skuteczną akcyę, zgromadzić do 1907. r. 22.894 członków,

---

Pruski obywatel państwowy polskiego pochodzenia został tem samem zdegradowany, prawa jego obcięto, a jego samego zepchnięto do pośledniej klasy obywateli państwowych«.

zwłaszcza z pośród robotników i rzemieślników, odbyć szereg wieców, urządzić liczne wykłady, załatwić wiele procesów politycznych i t. d.

Mocniej jednak i trwalej niż stowarzyszenia sprzęga ludność polską zaboru pruskiego w jednolity zastęp ruch narodowy, który budzi się pod wpływem prześladowań w całej wschodniej połaci Prus, od Pucka do Mysłowic, a w walce o wspólne dobra potężnieje. Wybrany na Śląsku r. 1903. (a po unieważnieniu wyboru powtórnie 1905. r.) posłem do parlamentu Wojciech Korfanty, wstąpił do Koła polskiego i ręka w rękę z posłami z Księstwa i Prus Zachodnich broni praw narodu. W pomoc tej spójni idzie również przemiana społeczna, która z warstw mieszczańskich i ludowych wynosi coraz liczniejsze jednostki, oświecone i do boju życiowego zaprawione, na widownię straszliwych zapasów.

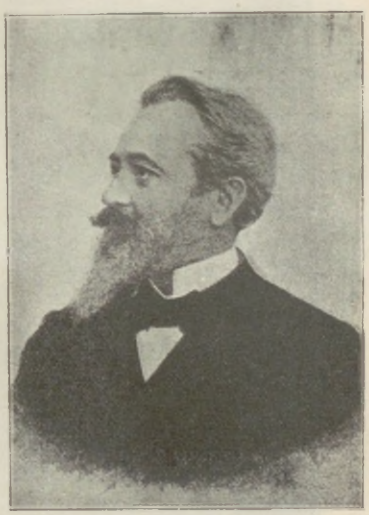

Fig. 412. Józef Kościelski.

Konieczność obrony języka ojczystego połączyła wszystkich pod jednym sztandarem. W r. 1906. rząd postanowił znieść doszczętnie naukę religii w języku polskim, nawet w klasach najniższych, w których jedynie jeszcze się utrzymała. Próbował to uczynić już przed laty pięciu (1901.), ale zamachowi temu oparły się wówczas w wielu szkołach same dzieci; szczególną odwagą i wytrwałością odznaczyły się mianowicie dzieci w mieście Wrześni koło Gniezna, które wolały znosić surową karę chłosty, niż uczyć się zasad wiary św. w języku niemieckim. W obronie tych małych męczenników stanęli ich rodzice, krewni i sąsiedzi i wystąpili przeciw nauczycielom, za co oskarżono ich o bunt i wymierzono niesłychanie ostre kary. Sądy pruskie bowiem dały się także zaciągnąć w usługę politycznej walki lukatystycznej, jak to wykazał w parlamencie poseł Bernard Chrzanowski (d. 14. marca 1906. r.), sam dzielny obrońca w wielu procesach prasowych. Wydane wyroki wywołały powszechne oburzenie; okrzyk zgrozy wyrwał się wtedy z wszystkich piersi polskich, sprawa nabrała szerszego, światowego, rzec można, rozgłosu. Teraz rząd pruski poszedł jeszcze dalej, bo wydał nakaz przygotowywania 6- i 7-letnich dzieci polskich do spowiedzi i komunii św. w języku niemieckim.

»I oto przebrała się miara cierpliwości ludu polskiego; doprowadzony do ostateczności, użył jedynego środka, który mu jeszcze pozostawał« — pisze poważny sprawozdawca tego zdarzenia. »Opierając się na prawie przyrodzonem, boskiem i na prawach swych rodzicielskich, przez kodeks



Fig. 414. Grupa chłopców i dziewcząt strajkujących we wsi Juńcewo pow. Żnińskim.

cywilny uznanych, zaczęli rodzice dzieciom zakazywać odmawiania pacierza szkolnego w niemieckim języku, odpowiadania w nauce religii na pytania niemieckie oraz przyjmowania niemieckich katechizmów i podręczników historyi biblijnej od nauczycieli. Drobna dziatwa, aczkolwiek wiedziała, co ją czeka, spełniła jednak wolę rodziców z powagą i dziwnem poświęceniem«. Zaczęło się to tu i ówdzie pod koniec jesieni roku 1905.,

a wybuchło z imponującą mocą po wakacyach świętomichalskich w październiku 1906 r. »Strajk dzieci« objął całe W. Ks. Poznańskie, gdzie, według urzędowych wiadomości, przystąpiło do tegoż 60.000 dzieci, i Prusy Zachodnie, w których »zbuntowało się« 40.000, sięgnął także do Warmii na północy i na Śląsk do dyecezyi wrocławskiej — razem liczył z górą 100.000 dzieci.



Fig. 415. Ks. arcybiskup Floryan Stablewski.

Sędziwy arcypasterz dyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej ks. Floryan Stablewski, który długo starał się zachować dobre z rządem stosunki, kiedy do głębi dotknięty tem, że wszystkie jego starania i przedstawienie niczego wyjednać nie mogły, uznał, że wyczerpała się już miara cierpliwości, i w okólniku z d. 19. października stanął w obronie pogwałconych praw narodu i Kościoła, który wyraźnie nakazuje pouczania wiernych o prawdach wiary w języku rodzinnym (Sobór trydencki na 24. posiedzeniu). »Setki podań z niezliczonymi podpisami — pisze — nadesłano mi od rodziców, w których wyrażają boleść z powodu niedostateczności nauki religii ich dzieci, z powodu coraz większego usuwania z niej języka ojczystego...« A nawiązując do wydanej d. 6. września instrukcyi dla duchowieństwa, w której powołał się na przepisy kościelne i wskazał na ich pogwałcenie, pouczał: »Wśród danych okoliczności nie pozostaje nam, jak abyśmy złączeni w wspólnej boleści serca, uzupełniali szkolną naukę religii domową i kościelną nauką. Niechaj domy nasze staną się odtąd szkołą, a w naszych świątyniach niechaj tem gorętsze wznoszą się modły, aby Opatrzność Boża roztoczyła szczególniejszą opiekę nad tą dziatwą, która ma od nas przyjąć spuściznę wiary«.

Za głosem arcybiskupa stanęło całe duchowieństwo, stanął cały naród polski. Ale także za granicami naszemi, wszędzie opinia cywilizowanych

narodów potępiła nieludzką i nierozsądną politykę rządu pruskiego, walczącego z dziatwą szkolną. Rząd jednak nie chciał ustąpić, lecz zabrał się do prześladowania dzieci chłostą i aresztem, do karania rodziców, duchownych, redaktorów pism i tych wszystkich, w których upatrywał sprawców strajku. Posunął się nawet dalej, bo jął wydalać ze szkół starsze rodzeństwo, braci i siostry dzieci strajkujących, groził wbrew ustawom zatrzymaniem dzieci w szkole ponad wiek obowiązujący, nawet odbierał dzieci rodzicom... Bezskuteczne były przemowy posłów polskich w Sejmie pruskim i w parlamencie niemieckim; bezowocne ostrzegawcze głosy poważniejszych przedstawicieli niemieckich, którzy nazywali to postępowanie rządu bezrozumnem.

Nie doczekał schorowany i wielkim bolem przejęty arcypasterz końca tej walki: d. 24. listopada umarł cicho, a raczej usnął na wieki. A jeżeli przez czternaście lat ciężkiego pasterzowania nie wszyscy byli mu przyjaciółmi — pisze w pięknem wspomnieniu ks. prałat Chotkowski — to w chwili jego zgonu biły wszystkie serca wielkopolskie, wtórując jękom dzwonów jednem uczuciem serdecznego żalu.

Rok całkowity trwał bohaterski opór dzieci i rodziców; zabrakło sił do wytrzymania dalszego nacisku. Zwłaszcza wobec ustawicznego wydalania starszej młodzieży ze szkół średnich, usprawiedliwiona obawa, żeby skutki takiego prześladowania nie odbiły się bardzo niekorzystnie na przyroście inteligencyi polskiej, skłoniła do ustąpienia. Ale ustępowano z powagą i zastrzeżeniami. Pismo rodziców do rządu stwierdzało, że »ulegają przemocy, ale protestują przeciw nauczaniu religii w języku niemieckim, zapewniając, że nie przestaną nigdy upominać się na innej drodze o pogwałcone prawa«. Walka nie minęła bez doniosłych skutków: przepaść między rządem i ludem polskim pogłębiła się, lud nabrał więcej hartu w sprawie narodowej, a to młode pokolenie, któremu u progu życia napojono goryczą serca — ono chyba zachowa na zawsze w pamięci one chwile niewinnego cierpienia... Zresztą i rząd pruski musiał poczynić niejakie ustępstwa: powrócili do szkół wydaleni młodzieńce, a przygotowanie do św. sakramentów pozostawiono Kościołowi, przekonawszy się, że w Rzymie u Ojca św. nie sposób uzyskać, mimo usilnych zabiegów, aprobaty dla zaprowadzonej przemocą zmiany. Nie doprowadziły również dotychczas rokowania o mianowanie następcy arcybiskupa do pożądanego dla rządu pruskiego wyniku; snać Stolica Apostolska nie godzi się na kandydatów

rządowych. Wskutek tego od dwóch lat arcybiskupstwo gnieźnieńsko-poznańskie nie jest obsadzone.

* * *

Jeszcze nie oschły łzy katowanych dzieci, nie ucichły skargi i narzekania, nie ułożyły się pobudzone namiętności, nie doszły do kresu liczne procesy sądowe — a już rząd pruski wystąpił z dwoma nowymi projektami, godzącymi w Polaków, z projektami ustaw, których uchwalenia nikt zrazu nie uważał za prawdopodobne, tak niezgodnymi były z jakiemkolwiek poczuciem prawa, z obowiązującą konstytucyą, z przyrzeczeniami i przysięgami, składanemi wielokrotnie przez królów pruskich narodowi polskiemu.

Pojawiły się one naprzód w nieśmiałej formie na łamach służących rządowi dzienników, a wypłynęły jawnie jako żądania Hakatystów na zebraniu ich w Bydgoszczy w sierpniu r. 1907., podczas którego ci nasi wrogowie policzyli swoje siły i swoje zdobycze. Towarzystwo »Ostmarkverein« zgromadziło 45.000 członków (11.000 w W. Ks. Poznańskiem, 7890 w Prusach Zachodnich, 3730 w Wschodnich, 1937 na Pomorzu, 8500 na Śląsku, 13.000 w innych prowincyach niemieckich); w tej liczbie 4446 urzędników państwowych, 1053 nauczycieli. Spółcześnie ukazało się właśnie także urzędowe sprawozdanie z działalności Komisyi kolonizacyjnej za lat 20, t. j. od jej powstania r. 1886. po koniec r. 1906.: zakupiono polskiej ziemi za 300 milionów marek w obszarze 326.000 hektarów czyli mniej więcej 50 mil □, z tego 70% z niemieckich a 30% z polskich rąk; osiedlono na nich (włącznie z rodzinami) 100.000 osadników; założono 315 nowych wsi, co wszystko pochłonęło ogólną kwotę 450 milionów marek, uchwalonych przez Sejmy pruskie. Zgromadzenie szalało upajaniem się swą siłą, pito na zagładę Polaków, wygłaszano mordercze mowy, kuto nowe pociski. Domagano się wprost, aby komisya kolonizacyjna została wyposażona prawem wywłaszczania Polaków z ziemi i mocą sprzeciwiania się kupnu lub sprzedaży gruntów, gdyby to okazywało się potrzebnem dla uplanowanej roboty kolonizacyjnej. Przedstawiając przytem w przesadnych barwach »niebezpieczeństwo«, jakie grozi Niemcom ze strony polskiej, domagano się, aby na publicznych zgromadzeniach wolno było przemawiać jedynie w języku niemieckim.

Już sama myśl, już sam wyraz »wywłaszczenie« — że posłużymy się znowu określeniem rzeczy przez uczciwego Niemca p. Fussa — »mieści w sobie pojęcie czegoś tak gwałtownego, że mimowolnie myśl zwraca

się ku czasom ciemnych wieków średnich. Pomysł ten jest pozbawiony wszelkiego poczucia ludzkości, wszelkiego pojęcia chrześcijaństwa. Bezrozumnie chce się przypuszczać szturm, aby przeprowadzić na wskróś socyalistyczną ideę, bez wszelkiego względu na bliźniego. »Wywłaszczenie« znaczy: komuś zabierać własność jego, przemocą. A jak tutaj, ma znaczyć: wypędzić go z domu i ogniska, wygnać go samowolnie za garść mamony ze wszystkiego, co otrzymał od swych praojców, ze wszystkiego, co mu się stało drogiem i miłem, i czego pieniądz nie opłaca. Byłby to przepis, któryby bezwzględnie kopnął w podstawę konstytucyi, ochronę własności prywatnej — przepis, któryby pociągnął za sobą najstraszliwsze nieszczęście«! »Serca z piersi ani języka z ust nie można wydrzeć Polakom«. A inny Niemiec W. von Massov w książce wydanej przeciw Polakom, a rozpatrującej wszystkie środki przydatne dla poparcia rozwoju niemczyzny w wschodnich prowincyach pruskich, ostrzegał jednakże: »wyjątkowe prawo w tej formie wykluczyłoby nawet możność, żeby Polak odnalazł jeszcze drogę do lojalnej działalności, jako obywatel państwa pruskiego« [1]). Stanowczo oświadczyło się zrazu przeciw takiemu projektowi również wielu innych mężów stanu i nauki, jako to mianowicie: zacny profesor z Marburga Walter Schücking, który rozważając wogóle prawa narodów, wykazał, że żądania Polaków nie polegają na żadnych uroszczeniach, ale oparte są na traktatach i przyrzeczeniach królewskich. Zawrzała dyskusya szeroka i namiętna nie tylko w pismach niemieckich; cała Europa potępiła środki, których rząd pruski zamierzał użyć przeciw własnym obywatelom. Nie wierzono jednak długo w możliwość przedłożenia tychże, ani też uchwalenia w Sejmie pruskim.

Aliści, wbrew oczekiwaniom nawet zaciekłych wrogów naszego narodu, prezydent ministrów v. Bülow przedłożył Sejmowi d. 26. listopada projekt ustawy o wywłaszczeniu, uzasadniając ją koniecznością poparcia Komisyi kolonizacyjnej, której dodawano nowych 300 milionów, koniecznością obrony niemieckości zagrożonej przemożnym jakoby rozrostem polskości. Mowa jego, w której stwierdzał, że nabycie dobrowolne ziemi z rąk polskich stało się niemożliwem, że polska własność ziemska w ostatnich latach powiększyła się w Poznańskiem i Zachodnich Prusach, była zaprawdę najlepszem świadectwem dla pracowitości i odporności ludu polskiego, dla tej jego żywotności narodowej, która mimo przeszkód i trudności

[1]) Die Polennot im deutschen Osten. 2 wyd. Berlin 1907. str. 364.

wszelakiego rodzaju trwa, mnoży się i rozwija. »Ale właśnie ten chwalebny jak fakt — trafnie odpowiedział poseł ks. dr. Jażdżewski — podnosi rząd jako powód, aby dalszą działalność ekonomiczną Polaków pod każdym względem krępować i podkopywać; pilność ich i gospodarność, powaga w każdem położeniu życia do tego przyczyniać się muszą, aby ją nowemi, osadniczemi ustawami wypierać, a pochwały godną zabiegliwość powstrzymywać i podciąć«.

Z powagą i spokojem słuchała delegacya polska tych wywodów kanclerza niemieckiego, niekiedy tylko przerywając je gromkim protestem lub ironicznym śmiechem; wszelako zarzuty odpierała prawie bez namiętności, w rzeczowem uzasadnieniu nieprawości nowej ustawy, naruszenia konstytucyą poręczonej równości wszystkich obywateli wobec prawa i własności prywatnej, krzyczącej o pomstę krzywdy i obrazy narodowego naszego honoru, którego nikomu tknąć nie pozwolimy. »Cały ten projekt — wołał poseł dr. Dziembowski — dyktowało wyłącznie i jedynie uczucie nienawiści przeciw wszystkiemu, co imię polskie nosi, a uczucie nienawiści jest niechrześcijańskiem«.

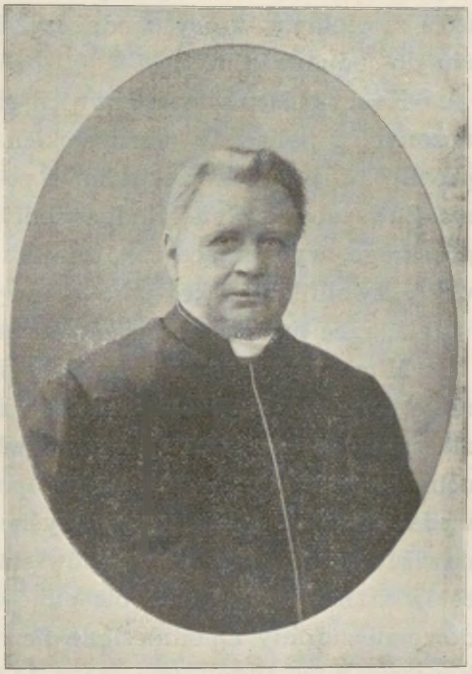

Fig. 416. Ks. prałat dr. Jażdżewski.

Używano różnych sposobów, aby odwrócić cios okropny. Już przed wniesieniem projektu pojawiła się broszura polskiego obywatela S. Turny[1]) podająca »pierwsza rękę do zgody«, ale rząd odepchnął ją brutalnie w mowie kanclerza; próba zaś ponownego nawiązania układów, podjęta przez posła Dziembowskiego w komisyi wybranej dla przedłożonej ustawy, również nie osiągnęła celu. Zdawało się na chwilę, że energia narodu słabnie; ale było to tylko zjawisko przemijające i pozorne.

[1]) Turno S. von. Zum Enteignungsprojekt, offenes Wort eines preussischen Staatsbürgers polnischer Nationalität. Mit einem Brief des Prof. Hans Delbrück als Vorwort. Posen 1907.

W istocie rzeczy ustawa o wywłaszczeniu wywołała na całym obszarze ziem polskich obok okrzyku zgrozy, oburzenia i bolu, od którego krwawiły się wszystkie serca, nie upadek ducha, lecz silniejsze zrzeszenie się dla wspólnego oporu przeciw gwałtowi i przemocy. W austryackiej Radzie państwa i we Wspólnych Delegacyach posłowie polscy dali dosadny wyraz tym uczuciom narodowym. W Galicyi i w Królestwie postanowiono odpowiedzieć na ustawę bojkotem towarów pruskich. Nastał wielki ruch, iście żywiołowy, który zjednoczył i sprzągł silniej dusze polskie w dążeniu do jednego celu.

Henryk Sienkiewicz zwrócił się do wszystkich znakomitych pisarzy, uczonych i polityków europejskich i amerykańskich z odezwą, w której prosił o wypowiedzenie opinii z powodu pruskiego projektu wywłaszczenia. Zewsząd nadpłynęły odpowiedzi, potępiające okrutne zarządzenia rządu pruskiego, wykazujące zarówno ich niegodziwość, jak nierozum i bezcelowość, kwalifikujące je, jako objawy obłędu politycznego. Na tem tle powstała, rzec można, obszerna literatura.

Mimo to wszystko rząd pruski dopiął celu. Wprawdzie w zmienionej nieco formie, z obniżeniem kwoty z 300 na 200 milionów marek i z ograniczeniem terenu, dostępnego wywłaszczeniu, do 70.000 h., obydwie Izby uchwaliły ustawę; — tak nizko upadło przedstawicielstwo narodu, który wydał ze siebie tylu wielkich myślicieli, prawodawców i mężów stanu. Nienawiść zaślepiła pruskich mężów stanu, rząd umiał ich pozyskać dla swych celów i znieprawić. W Izbie panów zrobiono wprawdzie wnioskowi rządowemu zarzuty i podniesiono liczne zastrzeżenia, ale ostatecznie nawet konserwatyści oddali swe głosy za wywłaszczeniem. Kiedy zaś d. 3. marca ustawa powróciła raz jeszcze do Izby posłów, a nie ulegało już żadnej wątpliwości, że będzie przyjęta, poseł ks. prałat Antoni Stychel cisnął całą prawdę w oczy Sejmowi pruskiemu:

»Tej ustawy nie podyktowało ani sumienie ani rozum, jest to prawo brutalnej pięści. Nasz protest zwraca się nie przeciw niemieckości, lecz przeciw obecnemu rządowi, który nie spełnił żadnego z obowiązków wobec Polaków, lecz pozbawił ich od wypadku do wypadku wszystkich dóbr moralnych, intelektualnych i materyalnych«.

»Rozdarto Polskę przez zdradziecki podstęp. Następnie dano nam królewskie przyrzeczenia i poręczenia, ale — nie dotrzymano ich... Pozbawiono nas wszystkich praw narodowych, praw do języka ojczystego w szkole, sądownictwie i administracyi, zabrano się do germanizacyi nazw miejsco-

wości, skrępowano naszą swobodę stowarzyszania się, ogłoszono ze strony rządu bojkot, pozbawia się Polaków chleba... Przez kłamstwo i zdradę usiłuje rząd Polaków zdemoralizować...«

»Hakatystyczne, nieodpowiedzialne żywioły podpowiedziały rządowi przedłożenie o wywłaszczeniu, ten potworny wykwit chorego mózgu. Znaczna większość narodu niemieckiego, co należy podnieść na jej cześć, stanowczo przeciw niemu zaprotestowała. Siódmego przykazania nie można znieść ani w dziedzinie prawa prywatnego, ani prawa publicznego. W Rosyi car oświadczył wyraźnie, że naruszenie własności nigdy nie uzyska jego sankcyi; natomiast książę Bülow oświadczył, że działa w porozumieniu z Koroną... Niemcy wzięli nam wszystko, chcą zabrać nasze serca, ale serc polskich nigdy mieć nie będziecie!«

Wkońcu ks. Stychel upominał rodaków, aby nie tracili zimnej krwi i nie dali się porwać do gwałtów... »Są w duszy polskiej utajone siły, których nie podobna osłabić. Sił tych w Polakach nie zniszczą takie zarządzenia, jak obecne, lecz raczej je wzmocnią. Polacy z tej walki wyjdą zwycięsko!«

Tak też Polacy przyjęli ten nowy cios, w skupieniu i pogotowiu do odparcia wymierzonych ku nim pocisków... Król pruski nie odmówił ustawie o wywłaszczeniu swojej także sankcyi.

Równocześnie, tegoż samego dnia 26. listopada 1907., wniesiono w parlamencie Rzeszy niemieckiej projekt nowej ustawy o stowarzyszaniu się, której paragraf 7 orzekał, że w całem cesarstwie niemieckiem rozprawy na publicznych zgromadzeniach mają się odbywać w języku niemieckim, a wyjątki są tylko dopuszczalne za pozwoleniem krajowych władz centralnych. Ustawa ta zwracała się także przedewszystkiem przeciw Polakom, jak to przyznał sekretarz stanu, uzasadniając wniosek rządowy.

Sejm Rzeszy, który po rozwiązaniu poprzedniego, zebrał się d. 19. lutego 1907. r. na pierwsze posiedzenie, liczył o czterech posłów polskich więcej t. j. 20, dzięki uzyskaniu na Śląsku pięciu mandatów. Wynik to wielkiego narodowego odrodzenia ludu polskiego, który opisano szerzej na poprzednich kartach tego dzieła [1]) i skupienia wszystkich Polaków na Śląsku w jedno zwarte stronnictwo — dzieła lat ostatnich. Zwiększenie liczby przedstawicieli narodu polskiego nie uchroniło nas jednak od cię-

[1]) Czytaj w tomie II. str. 800—818.

żkich klęsk w parlamencie, ponieważ wybory w samych Niemczech wypadły zresztą po myśli cesarza Wilhelma II. i kanclerza Bülowa, który utworzył z różnych stronnictw t. zw. »blok konserwatywno-wolnomyślny« i posiadł w nim oparcie dla swojej polityki.

Jakkolwiek ustawa o stowarzyszeniach a zwłaszcza siódmy paragraf tejże sprzeciwia się najprostszym zasadom wolności, uzyskała ona większość (co prawda, bardzo nieznaczną) w brzmieniu tylko o tyle złagodzonem, iż w ciągu 20 lat najbliższych ma być wolno obradować po polsku w tych powiatach, w których Polacy stanowią co najmniej 60% ludności. Po upływie 20 lat nawet w okolicach czysto polskich używanie języka polskiego na zebraniach publicznych będzie wzbronione. Ale nawet w takiej postaci przepis rzeczony grozi dotkliwym uszczerbkiem życiu narodowemu w głównych onego środowiskach i to tak ruchowi społecznemu, zarobkowemu jak i umysłowemu. W liczbie 42 powiatów W. Ks. Poznańskiego ludność polska tworzy zaledwie w 18 większość 60%, a do powiatów z mniejszością Polaków należy sama stolica kraju, Poznań. W Prusach Zachodnich na ogólną liczbę 18 powiatów już tylko w 6-ciu będą mogły odbywać się zebrania publiczne polskie; na obszarze wschodnio-pruskiego Mazowsza tylko w 3 powiatach (na 10); na Śląsku stosunek będzie względnie najkorzystniejszy, bo tam polskość przeważa w 12 powiatach (na 22). Po upływie lat 20 (od r. 1928) język polski ma zamilknąć zupełnie na zebraniach publicznych z jedynym wyjątkiem zebrań, urządzanych w okresie wyborczym. Tu już nie tylko rząd, ale sam naród niemiecki, reprezentowany w parlamencie, dopuścił do podeptania zastrzeżonych konstytucyą, poręczonych traktatami praw narodu polskiego. Napróżno polscy posłowie wykazywali, jakiego niesłychanego bezprawia stanie się współwinnym Sejm Rzeszy niemieckiej, uchwalając tę ustawę. »Spełnialiśmy zawsze, mówił ks. Ferdynand Radziwiłł w Komisyi parlamentarnej, i spełniać będziemy wszelkie obowiązki nasze wobec państwa, do którego zostaliśmy przyłączeni. Ale jeżeli ktoś od nas żąda, abyśmy się wyrzekli bytu narodowego — to mamy na to tylko jedną odpowiedź: »Nigdy! Nie jesteśmy »morituri« (na wymarciu) i nie myślimy jako naród umierać!«

Wskutek obu nowych ustaw, pruskiej o wywłaszczeniu i niemieckiej o języku zebrań publicznych, ziemie polskie stanęły u progu nowej niedoli i ucisku, który wymaga też obmyślenia nowych sposobów obrony. Społeczeństwo polskie zdaje sobie jasno sprawę z całej grozy położenia, a w tem

leży jego siła największa, że jak umiało zawsze, tak umie obecnie śmiało spojrzeć niebezpieczeństwu w oczy.

»Zapominać na chwilę nam nie wolno — pisał »Dziennik Poznański« po uchwaleniu ustawy — że już nie same Prusy, ale większość narodu niemieckiego, z którym losy nas złączyły, nie poszanuje nigdy praw naszych, że zamanifestowała już uroczyście wrogie wobec nas uczucia. Szeregi nieprzyjaciół zwiększyły się, a na naszych tylko barkach, tak samo jak dawniej, obrona spoczywa; nikt nam dopomódz nie może i żadnej pomocy nie pragniemy. Walka nasza, to walka idei najwznioślejszych z brutalną siłą; w niej musimy wyszlachetnieć, podnieść się moralnie tak wysoko, aby żaden pocisk wrogów dosięgnąć nas nie mógł, a przytem rozwinąć się także materyalnie, abyśmy na polu ekonomicznem stanowili potęgę, z którą bądź co bądź wróg liczyć się musi. Nie łatwą mamy przed sobą drogę; potrzeba wielkich ofiar, wielkiego zaparcia się, wielkiej pracy...«

»Upadać na duchu nie wolno nam! Ostać się na ziemi naszej musimy Polakami!«

III.

Wypadki, które wstrząsnęły Królestwem Polskiem, ciosy spadające na polskie społeczeństwo w zaborze pruskim, nie tylko odbijały się głośnem echem w Galicyi, lecz przejmowały do głębi umysły i serca, napełniając je raz dobrą nadzieją lub trwożnem oczekiwaniem, to znowu bolem i oburzeniem. Można rzec bez przesady, że Polacy pod panowaniem austryackiem, będąc sami w szczęśliwszem położeniu, żyli w tej dobie ustawiczną troską o los rodaków innych dzielnic swej Ojczyzny. Toczące się tam walki, dokonywane bezprawia zawisły także nad nimi całym ciężarem dręczącej niepewności o przyszłość narodu.

Ale również Galicya przechodziła w ostatniem czteroleciu przez ostre przesilenie, na które złożyły się bądź zmiany w ustroju monarchii austryackiej, zwłaszcza wprowadzenie powszechnego głosowania, bądź też zaogniona w kraju waśń, która przybierała nieraz postać bratobójczej, nawet krwawej walki. Zarówno zachowanie stanowiska, zdobytego przez naszą reprezentacyę w Radzie państwa, jej wpływu na sprawy monarchii, jak obrona zagrożonej w Galicyi wschodniej polskości domagały się nieustannego, czujnego i wytężonego działania.

Kiedy bowiem austryacki parlament tonął w sporach narodowościowych i okazał się do pracy zupełnie niezdolnym, a hasła socyalnej demokracyi rozbrzmiewały coraz głośniej w szeregu demonstracyi i strajków na rzecz prawa powszechnego głosowania, Korona i rząd oświadczyły się — może pod wpływem zatrważających wypadków w Rosyi — w jesieni r. 1905. za zmianą prawa wyborczego, a prezydent ministrów Paweł baron Gautsch przedłożył projekt odpowiedni Izbie posłów d. 23. lutego 1906. r. Projekt ten wprowadzał »powszechne, równe, bezpośrednie, tajne« prawo wyborcze w wyborach do Rady państwa, ale pełnej równości nie dawał, ponieważ krajom niemieckim przyznawał jednego posła na 30 lub 40 tysięcy ludności, krajom czeskim na 50.000, a Galicyi tylko jednego na 83.000. Liczbę posłów pomnażał o 30 (t. j. z 425 na 455), z czego jednak na Galicyę przypadało tylko 88 mandatów, tak rozdzielonych, że miało być 61 polskich a 27 ruskich przedstawicieli. Ponieważ zaś po ten czas Galicya miała 78 posłów (z nich 8 ruskich), projekt rządowy przedstawiał się wprost jako zamach na prawa i znaczenie narodu polskiego w państwie. Koło Polskie dało też przez usta prezesa Wojciecha hr. Dzieduszyckiego [1]) dosadny wyraz swojemu niezadowoleniu, a chociaż zasadniczo nie zwalczało prawa powszechnego głosowania, zapowiadało wobec tej ordynacyi wyborczej stanowczą opozycyę. Śmiałe i energiczne wystąpienie naszej delegacyi odniosło pożądany skutek. Ministeryum bar. Gautscha ustąpiło, a po krótkich rządach jego następcy, ks. Hohenlohego, objął d. 3. czerwca baron Włodzimierz Maksymilian Beck ster gabinetu, w którym zasiedli dwaj Polacy: Dr. Witołd Korytowski, jako minister skarbu, i hr. Dzieduszycki jako minister dla Galicyi. Przewodnictwo Koła przeszło w ręce dotychczasowego jego wiceprezesa Dawida Abrahamowicza, pierwszym wiceprezesem zaś został dr. Michał Bobrzyński. Wytrwałej i umiejętnej obronie interesów polskich, zarówno w komisyi dla ordynacyi wyborczej (posłowie dr. St. Starzyński i dr. St. Głąbiński) jak w pełnej izbie, udało się podnieść liczbę posłów z Galicyi na 106, w zwiększonej, co prawda, do 516 ogólnej liczbie posłów, i uzyskać dla wiejskich okręgów w Galicyi t. zw. system proporcyonalny t. j. że każdy z tych okręgów obok posła większości miał wybierać drugiego posła mniejszości narodowej. Nadto poruszono sprawę rozszerzenia autonomii krajowej, co też Galicya w pewnej mierze, na polu szkolnictwa, niebawem uzyskała.

[1]) Od śmierci Apolinarego Jaworskiego, wieloletniego zasłużonego prezesa Koła († 24. października 1905.).

Po długich targach rząd bar. Becka doprowadził do porozumienia między stronnictwami (d. 21. lipca); Izba posłów uchwaliła reformę wyborczą d. 1. grudnia; Izba panów, po ostrej opozycyi, d. 20. grudnia; poczem ustawa otrzymała zaraz sankcyę cesarską.

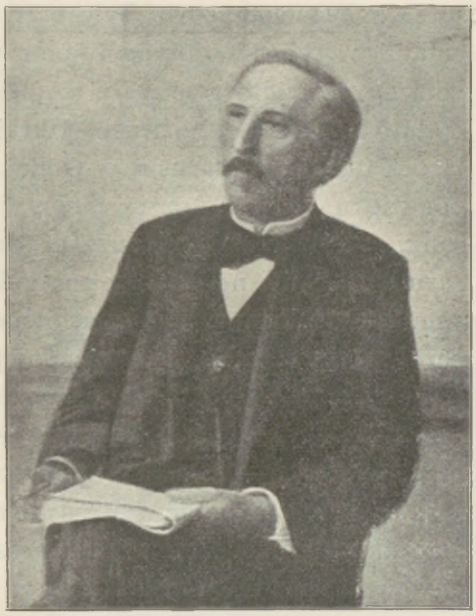

Fig. 417. Wojciech hr. Dzieduszycki

Jakkolwiek dawniejszy system wyborczy nie dałby się był już długo utrzymać i na reformę wyborczą w duchu powszechnego prawa głosowania od dosyć dawna się zanosiło, to jednak nagły przeskok do reprezentacyi, jedynie na tej zasadzie wybranej, przedstawiał się jako przejście niebezpieczne dla Galicyi, zwłaszcza pod względem narodowym. Koło Polskie w Wiedniu liczące dotychczas 65 członków (na 425 ogólnej liczby posłów w Izbie), oparte na zasadzie solidarności zjednoczenie stronnictw narodowych, mogło wyjść z wyborów powszechnych z uszczerbkiem pod względem liczebnym, a co gorsza, jakościowym i stracić znaczenie i wpływ, które sobie poprzednio zdobyło dzięki działalności doświadczonych i wytrawnych polityków.



F. 418. Dawid Abrahamowicz.

W samym kraju zapowiadała się ostra walka stronnictw polskich. Do utworzonej przez Koło Sejmowe d. 29. grudnia 1906. r. »Rady Narodowej« (pod przewodnictwem posła Tadeusza Cieńskiego), mającej przeprowadzić wybory w duchu narodowym i pod hasłem solidarności przyszłego Koła Polskiego w Wiedniu, stronnictwo ludowe nie przystąpiło, przeciwnie gotowało się do otwartej walki o zdobycie dla siebie największej liczby mandatów.

Zorganizowana i karna demokracya socyalna wysuwała w miastach, a nawet w okręgach wiejskich Galicyi zachodniej swoich kandydatów.

Niebezpieczeństwo było o tyle bardziej uzasadnione, że od czasu ostatnich wyborów urosły i spotężniały w Galicyi wschodniej dwa wrogie nam żywioły, które wiązały się wzajem w bezwzględnem zwalczaniu kandydatów polskich t. j. Rusini-Ukraińcy i Żydzi-Syoniści.

Zatarg polsko-ruski w Galicyi, wprawdzie nie nowy, bo już z górą pół wieku liczący [1]), przez nieprzyjaciół naszych podtrzymywany i podsycany, zaostrzył się w ostatnim dziesiątku lat i przybrał wprost groźne rozmiary. Rusini, którzy poczynili znaczne postępy zarówno pod względem ekonomicznym jak umysłowym, urośli w siły, a opierając się na swej liczebnej przewadze we wschodniej części kraju, zapragnęli rychło zawładnąć tą częścią Galicyi w zupełności. Nieliczna inteligencya ruska podzieliła się mimo jedności w głównych celach na dwa wrogie i zwalczające się wzajem obozy — jeden, starszy, wcale nie uznający odrębnej narodowości ruskiej, lecz uważający lud ruski za składową część rosyjskiego, a mowę jego za narzecze języka wielkoruskiego; drugi narodowy, który przyjął niedawno nazwę ukraińskiego w części dla odróżnienia się od Rosyan (russkich) w części dla związania tradycyi kozackiej Ukrainy z historyą Rusi Czerwonej czyli Halickiej [2]). Dzięki poparciu rządu, zarówno państwowego jak krajowego, Rusini-ukraińcy wzięli górę nad »moskalofilami«, zorganizowali masy ludowe i rozpoczęli zażartą walkę z Polakami. Odkąd stronnictwa radykalne, przepojone zasadami socyalizmu, a nawet anarchii, wysunęły się na czoło »ukraińskiego« ruchu ruskiego, walka ta rozgorzała we wszystkich dziedzinach życia społecznego, od szkółki ludowej aż do uniwersytetu, od cerkiewki wiejskiej aż do stolic biskupich, od rad gminnych i powiatowych aż do Sejmu krajowego i Rady państwa, w której rozbrzmiewają najgłośniej skargi Rusinów na »ucisk polski«. Hasło wyparcia »Lachów za San!«, otwarcie głoszone przez radykalne pisma i broszury ruskie, równie bezrozumne jak nieuznawanie narodowości ruskiej lub hamowanie jej rozwoju kulturalnego, znalazło szeroki odgłos w masach chłopskich, a strajki rolne w r. 1902. i 1903. wprost miały służyć jako środek do uniemożebnienia prawidłowej gospodarki polskich właścicieli większych obszarów.

Wobec takiego stanu rzeczy Polacy spostrzegli, acz późno, ile szkody przyniosło im niedocenianie agitacyi ruskiej i wystąpili w obronie swego

[1]) Zobacz w Historyi politycznej t. I. str. 894.

[2]) Porównaj o tem wywody p. Aleksandra Jabłonowskiego w dziale etnograficznym (t. I. str. 91—117).

stanowiska w Galicyi wschodniej, w obronie swoich praw historycznych i stworzonej wiekową pracą kultury polskiej. Nastała pierwsza organizacya społeczeństwa polskiego we wschodnich powiatach kraju; wszczęła się czujniejsza opiekuńcza działalność dla podtrzymania polskiej rzymsko-katolickiej ludności wiejskiej, która łatwo zanikała w masie ludowej ruskiej [1]), a to drogą zaopatrywania potrzeb jej religijnych — co stało się przedmiotem szczególnej troski arcypasterza ks. Józefa Bilczewskiego — jakoteż przez rozbudzanie miłości dla języka ojczystego i rozniecanie świadomości narodowej. Chodzi tu o los półtora z górą miliona dusz polskich (1,800.000), zatem o $^1/_{12}$ część Polaków żyjących na obszarze ziem dawnej Rzeczypospolitej, jak trafnie zauważył p. Fr. Bujak w gruntownem dziele p. t. Galicya (wydanem w r. 1907.), o liczbę zatem, której nie wolno lekceważyć żadnemu narodowi; chodzi zarazem o materyalne dobra i polityczne znaczenie Polaków w kraju, który przez wieki tworzył część ich Ojczyzny i jako taki przeszedł pod panowanie austryackie. Rusini zmierzają do podziału kraju, a na to Polacy zgodzić się nie mogą. Przeciwdziałanie akcyi ruskiej ze strony polskiej musiało zaostrzyć walkę, która doprowadziła do starć, głośnych w całem państwie.



Fig. 419. Ks. arcyb. dr. Józef Bilczewski.

Spór szerszego znaczenia i większej doniosłości zogniskował się dokoła polskiego Uniwersytetu lwowskiego, w którym obok kotedr (wykładów) polskich istnieją katedry z wykładowym językiem ruskim, a młodzież ruska gromadzi się obecnie w liczbie dosięgającej prawie tysiąca słuchaczy (w r. 1906/7 na ogólną liczbę słuchaczy 3582 było Rusinów 956). Młodzież ta, biorąca wybitny udział w politycznem życiu swego narodu, pragnie zdobyć sobie osobne, narodowe ognisko wyższego wykształ-

[1]) Zobacz t. I. str. 100.

cenia t. j. uniwersytet ruski. Ponieważ jednak to zupełnie uprawnione dążenie nie da się rychło urzeczywistnić, studenci ruscy postanowili zmusić władze akademickie przemocą, wbrew istniejącym rozporządzeniom i przepisom, do urzędowania także w języku ruskim, do zatarcia zatem polskiego charakteru zakładu naukowego, do czego ani profesorowie ani młodzież polska ani społeczeństwo dopuścić nie mogło. Po gromadnem opuszczeniu uniwersytetu ze strony młodzieży ruskiej w grudniu 1901, po szeregu gwałtownych demonstracyi nastąpił zorganizowany napad (23. stycznia 1907.), zniszczenie wielu sal wykładowych i auli uniwersyteckiej, w której portrety rektorów uległy znacznym uszkodzeniom. Sekretarz uniwersytetu dr. Alojzy Winiarz odniósł ciężkie rany. Sprawa oparła się o sądy, wywołała w kraju wrzenie, stała się głośną przez liczne artykuły w pismach krajowych i zagranicznych. Odwet młodzieży polskiej (4 marca), która stanęła w obronie swego ogniska naukowego, spowodował nawet chwilowe zawieszenie wykładów. Polscy profesorowie i docenci uniwersytetu (razem 106) wydali zaś d. 2. marca deklaracyę czyli oświadczenie, w którem »nie przesądzając kwestyi osobnego uniwersytetu ruskiego« oświadczyli się stanowczo przeciwko utrakwizacyi polskiej wszechnicy we Lwowie.

Z Rusinami połączyli się w Galicyi wschodniej Żydzi narodowcy, zwani Syonistami. Syonizm powstał na Zachodzie i objawił naprzód dążność do wskrzeszenia państwa żydowskiego w Palestynie pod zwierzchnictwem Turcyi. Ponieważ jednak rychło nabrano przeświadczenia o nieziszczalności tego pomysłu, ruch syonistyczny przyjął inny kierunek, stawiając sobie za cel zorganizowanie Żydów całego świata i wytworzenie osobnej narodowości żydowskiej, opartej na znajomości języka hebrajskiego i wspólności dążeń politycznych. Żydzi zachowali wprawdzie mocą swej rasy i religii odrębność wśród społeczeństw chrześcijańskich, a łączność ich objawiała się zawsze w szczególnej dbałości o swoich współwyznawców, ale nie prowadzili dawniej samodzielnej polityki, nieprzyjaznej narodom, wśród których znaleźli przytułek i oparcie. W Galicyi przyznawali się przeważnie do narodowości polskiej i w walkach wyborczych działali zgodnie z Polakami, którzy oddawali im kilka mandatów. Tym zasadom pozostali też wierni Żydzi-Polacy w czasie ostatnich wyborów. Odłam syonistyczny jednak poszedł drogą przeciwną. Pozyskawszy część młodzieży wyższych szkół, która domagała się u władz uznania narodowości żydowskiej, wystąpili jako »narodowe stronnictwo żydowskie«, zjednali dla swych haseł masy biednego proletaryatu żydowskiego, w którym obu-

dzili niechęć do społeczeństwa polskiego, i połączyli się w wrogiej przeciw niemu akcyi z Rusinami. Dzięki temu przymierzu zdobyli trzy mandaty z których jeden dostał się Żydowi cudzoziemcowi, nie mieszkającemu w kraju i nie władającemu polskim ani ruskim językiem.

Rusini zaś wywalczyli wybór 27 posłów, wśród których znajduje się 6 Starorusinów.

W ogólności jednak, mimo kilku porażek, wybory powszechne nie przyniosły sprawie narodowej przepowiadanych szkód. Wybitni i zasłużeni kierownicy polityki polskiej w Wiedniu weszli do reprezentacyi kraju, wzmocnieni nowemi siłami, głównie z obozu narodowej demokracyi, która także w Galicyi pozyskała sobie szerokie koła zwolenników. Koło Polskie liczyło wprawdzie początkowo wraz z jednym narodowym posłem ze Śląska (Janem Michejdą) tylko 55 członków, t. j. o 10 mniej aniżeli w starym parlamencie, ale polskie stronnictwo ludowe, które zdobyło 17 mandatów, w sprawach narodowych szło zgodnie z Kołem, a przystąpienie tegoż stronnictwa do wspólnej organizacyi było przedmiotem układów, które podjęto zaraz obustronnie. Dzięki umiejętnemu kierownictwu nie utraciło Koło znaczenia ani wpływu w Radzie państwa i w najważniejszych sprawach państwowych odegrało poważną rolę. Jednym z wiceprezesów Izby jest dr. Stanisław Starzyński, profesor uniwersytetu lwowskiego.



Fig. 420. Dr. Stanisław Głąbiński, prezes Koła polskiego.

Przewodnictwo Koła spoczęło naprzód w doświadczonych rękach posła Dawida Abrahamowicza, powtórnie (16. czerwca 1907.) wybranego prezesem, zaś po objęciu przez tegoż teki ministra dla Galicyi został zgodnie z zmianami, które powszechne głosowanie wprowadziło w skład naszej reprezentacyi, obrany prezesem (d. 12. listopada 1907.) dr. Stanisław Głąbiński, profesor uniwersytetu lwowskiego, pierwszy demokratyczny kierownik Koła Polskiego.

»Wielkie, wytyczne linie polityki Koła (mówił, obejmując urząd) pozostają te same: lojalność wobec Monarchy i państwa, a nawzajem żądanie od rządu spełnienia wszystkiego, co się należy naszemu narodowi i krajowi; poważanie i poszanowanie uchwał Sejmu krajowego i autonomii

jego, którą zabezpieczyć i rozszerzyć pragniemy, aby podnieść nasz przemysł, nasze miasta z upadku, aby dźwignąć materyalnie i moralnie nasze warstwy włościańskie i robotnicze«...

»Pamiętać zawsze będziemy o tem, że jesteśmy Polakami i braciom naszym zawsze podawać będziemy dłoń pomocną«.

»W stosunku do innych narodów i stronnictw, nie wyłączając Rusinów, zachowamy zawsze pełną lojalność i gotowość do współdziałania i do wyrównania istniejących nieporozumień«.

»Ze szczególną serdecznością odnosić się będziemy do polskiego stronnictwa ludowego, zanim myśl zjednoczenia się w jedną całość w fakt się nie przemieni«.

Kierując się temi zasadami Koło Polskie przyczyniło się walnie do przyjęcia w parlamencie ugody austryacko-węgierskiej i do uchwalenia budżetu państwowego na r. 1908., do czego przez kilka lat poprzednich nie można było doprowadzić. Uzyskano natomiast szereg korzystnych postanowień i rozporządzeń i sankcye ustaw uchwalonych przez Sejm krajowy. Przez śmiało i stanowczo postawione żądanie przeprowadzono w komisyi budżetowej i w Izbie rezolucyę, wzywającą rząd do rozpoczęcia budowy kanału, mającego połączyć Dunaj, Odrę i Wisłę, Kraków zatem z Wiedniem, sprawy wielkiej doniosłości, zwłaszcza dla rolnictwa w Galicyi, budowy uchwalonej już w r. 1901. a dotąd nie podjętej. Dla przemysłu naftowego, zagrożonego wskutek nadmiaru produkcyi ropy i spadku jej cen, wyjednano znaczną pomoc u rządu.

Wytrwałą opieką otacza Koło rodaków naszych na Śląsku, gdzie nastąpiło ostatecznie otwarcie polskiego seminaryum nauczycielskiego z internatem rządowym w Bobrku koło Cieszyna, i broni ich przed gwałtami Niemców, którzy raz po raz napadają na spokojną ludność polską; popiera również potrzeby polskich mieszkańców Bukowiny, którzy utracili wskutek nowej ordynacyi wyborczej swego przedstawiciela w Radzie państwa. — Z walki z radykalną partyą ruską, która wytoczyła przed Izbą nieuzasadnione skargi »na ucisk polski«, Koło wyszło zwycięsko i »przeprowadziło u rządu zasadę, że bez jego wiedzy i zgody żadne koncesye narodowe naszym kosztem nie mogą być udzielane« [1]), chociaż nie zamierza bynajmniej przeszkadzać rozwojowi kulturalnemu Rusinów, ani wogóle żadnym ich słusznym żądaniom.

[1]) Co prawda, Minister-prezydent baron Beck zawarł z posłami ukrainofilskimi d. 26. października 1907. umowę, w której przyrzekł im cały szereg koncesyj.

W Izbie poselskiej i we wspólnych delegacyach przedstawiciele polscy podnieśli głośny protest przeciw zamachom rządu pruskiego na byt i prawa narodu w zaborze pruskim, przyłączyli się do nich posłowie innych narodów słowiańskich (prócz Ukraińców), a wtórowały im liczne wiece w całym kraju.

Nastrój, który zapanował wśród społeczeństwa polskiego wskutek »dzikiego gwałtu pruskiego«, jak mówił przewodniczący klubu ludowego p. Jan Stapiński, przyspieszył zjednoczenie całej reprezentacyi polskiej Dzięki rokowaniom, podjętym przez najwybitniejszych członków Koła i rządu krajowego, nastąpił — po grudniowym zjeździe stronnictwa ludo-



Fig. 421. Wydział Rady naczelnej polskiego stronnictwa ludowego 1907. r.
1. Franciszek Krempa. 2. Dr. Szymon Bernadzikowski. 3. Jakób Bojko. 4. Ant. Styła. 5. Michał Olszewski. 6. Filip Włodek. 7. Dr. Fr. Bardel 8. Jan Stapiński, prezes. 9. Antoni Bomba. 10. Franciszek Ptak. 11. Franciszek Wójcik.

wego i wyborach do sejmu — d. 10. kwietnia 1908. uroczysty akt wstąpienia posłów ludowych do Koła Polskiego. Odzyskało ono przez to »swój pierwotny charakter ogólnego, narodowego przedstawicielstwa, a wraz z nim całą swoją moralną i materyalną siłę«. Koło Polskie liczy odtąd 72 głosów w Izbie poselskiej i należy w niej do najsilniejszych

stronnictw. Jakkolwiek nie zdołało przeprowadzić wszystkich swych żądań, odzyskało jednak poważne stanowisko, z którem liczyć się musi zarówno parlament jak rząd austryacki.

Ważniejszem nad te korzyści jest zwycięstwo idei narodowej nad stanową wyłącznością, zjednoczenie wszystkich warstw przy haśle obrony praw i interesów całego narodu. Radość, która zapanowała z tego powodu w Kole, znalazła echo w milionach serc polskich...



Fig. 422. Stanisław hr. Badeni, Marszałek krajowy.

Ale zaledwie wieść o szczęśliwym fakcie dotarła do kraju, zanim jeszcze zdołano zmierzyć jego doniosłość i wśród ustawicznych smutków rozpogodzić czoła — straszny grom uderzył nagle i niespodziewanie i zgłuszył krótkie chwile wesela. Od zatrutych nienawiścią strzałów padł ten który najwięcej może przyczynił się do pomyślnego narodowego zjednoczenia...

* * *

Wewnętrzny rozwój Galicyi postępuje powoli, ale statecznie wśród rozlicznych trudności, na które składają się niekorzystne pod względem przemysłowym i handlowym położenie tej prowincyi, długoletnie zaniedbanie jej przez rząd, a wreszcie także brak przedsiębiorczości i odpowiedniego wykształcenia mieszkańców. Na poprzednich kartach (t. II. str. 819—857) przedstawiono wszechstronnie, w szczegółach i liczbach, dzisiejszy stan rzeczy. Praca nad dźwignięciem kraju, rozdzielona między instytucye publiczne, bądź państwowe, bądź krajowe autonomiczne, i przybywające z każdym rokiem stowarzyszenia, ogniskuje się w Sejmie krajowym, który w r. 1907. zakończył, licząc od nadania konstytucyi, ósmy okres swoich czynności [1]).

[1]) O działalności Sejmu w latach poprzednich czytaj w t. I. str. 899 i 922—930.

Sejm pod laską marszałkowską Stanisława hr. Badeniego, znakomitego gospodarza kraju, dokonał mimo ograniczonego zakresu swego działania i niewystarczających środków finansowych, szeregu doniosłych reform, odnoszących się zarówno do podniesienia rolnictwa i przemysłu, jak do rozszerzenia kultury i oświaty. Obok wymienionych już w tem dziele ustaw o komasacyi rozdrobionych gruntów i o włościach rentowych, o powiatowych biurach pośrednictwa pracy, obok ustawy naftowej, drogowej i łowieckiej, Sejm krajowy zajmował się w ostatniem czteroleciu sprawą uregulowania parcelacyi, która dokonywa się na wielką skalę w kraju, i poparciem ruchu przemysłowego, który od r. 1904., od powstania Ligi pomocy przemysłowej, a także wskutek bojkotu towarów z Niemiec sprowadzanych, zatoczył szersze kręgi. Podwyższenie płac nauczycieli szkół ludowych i uchwalenie znaczniejszej kwoty (10-milionowej) na budowę szkół w gminach, które dotąd ich nie posiadają, zapobiegły najnaglejszym potrzebom, (wskazał na nie liczny zjazd nauczycielstwa ludowego we Lwowie r. 1904). Większe znaczenie dla szkolnictwa krajowego i w ogólności dla politycznej samodzielności kraju mają ustawy o rozszerzeniu zakresu działania Rady szkolnej krajowej, które szereg praw, dotąd przysługujących Ministerstwu oświaty w Wiedniu, przekazały tej władzy krajowej, zorganizowanej na podstawie własnego statutu. W ślad za tem ustawa »o kształceniu nauczycieli oraz o uzdolnieniu do nauczania w szkołach ludowych« urządziła na mocy szczegółowych postanowień dla Galicyi seminarya nauczycielskie, poddając je ustawodawstwu krajowemu. Również ustawa o języku urzędowym ciał autonomicznych, dająca im prawo stanowienia dla siebie przepisów w tej sprawie, zabezpiecza przed możliwością zarządzeń rządowych w tym względzie. Rychło też wyjednano sankcyę cesarską dla tych ustaw, co było, jak już wyżej wspomnieliśmy, wynikiem roztropnej polityki Koła Polskiego w Radzie państwa.

Zdobyczą o historycznem i narodowem znaczeniu jest odzyskanie (r. 1905.) zamku królewskiego na Wawelu, który od r. 1851. używany na koszary dla wojska, a obecnie opróżniony, powróci do dawnego stanu świetności i tworzyć ma w części rezydencyę cesarską, w części zaś posłuży do przechowywania pamiątek narodowych i dzieł sztuki.

Pod koniec sesyi Sejm uchwalił nowy regulamin obrad i przystąpił do sprawy pierwszorzędnej wagi, t. j. do zmiany ordynacyi wyborczej, która okazała się nieodzowną z powodu zaprowadzenia powszechnego głosowania w wyborach do Rady państwa, a raczej głównie wskutek prze-

obrażenia społecznego, dokonanego w ostatniem dziesięcioleciu. Równorzędnie z przyrostem dobrobytu i oświaty pogłębiało się także uświadomienie polityczne i wzmagała się dążność szerokich warstw ludności do zdobycia udziału we władzy. Wszystkie stronnictwa sejmowe uznały też konieczność rozszerzenia prawa wyborczego, zachodziły jedynie różnice w poglądach co do zakresu i sposobu przeprowadzenia tej reformy. Ostatni Sejm jednakże nie zdołał już sprowadzić wyłaniających się projektów do wspólnego mianownika i załatwić sprawy pomyślnie.

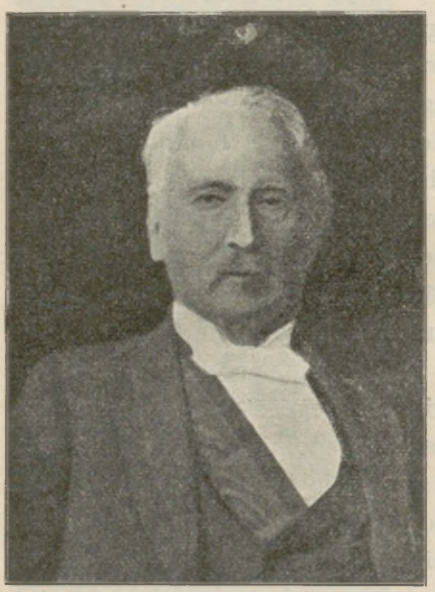

Fig. 423. Julian Dunajewski.

Wprowadzenie głosowania powszechnego przez ordynacyę wyborczą do Rady państwa, jako też stojące na porządku dziennym rozszerzenie prawa wyborczego do Sejmu wywołało u wszystkich stronnictw potrzebę silniejszego związania się w zwarte szeregi i ściślejszego sformułowania swoich programów. Nastąpiło to w ciągu r. 1907. zarówno w stronnictwach zachowawczych (konserwatywnych) jak postępowych (demokratycznych, złączonych w Kole Polskiem w t. zw. Unię demokratyczną) i ludowych (t. zw. ludowcy i centrum). We wrześniu r. 1907. przetworzyło się t. zw. stronnictwo krakowskie w »stronnictwo prawicy narodowej« na zasadach programu zastosowanego do nowych stosunków.

Z pośród grona tego stronnictwa, które od czasu wprowadzenia konstytucyi posiadało decydujący głos we wszystkich sprawach krajowych i odegrało wybitną rolę w całem odrodzeniu politycznem, gospodarczem i moralnem narodu, ubył mąż wielkiego rozumu politycznego, Julian Dunajewski (ur. 1824. r.), były profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, zasłużony minister skarbu w Austryi (w latach 1880—1891), członek Izby panów i poseł sejmowy (zmarł 30. grudnia 1907. r. w Krakowie).

Wybory do nowego Sejmu odbyły się w lutym i marcu r. 1908. jeszcze na podstawie dawniejszej ordynacyi. Mimo to zarówno przebieg tychże jak niemniej ostateczny ich wynik ujawnił całą przemianę, której uległy

stosunki wewnętrzne kraju. Skład nowego Sejmu wykazuje prawie równowagę stronnictw konserwatywnych (zachowawczych) i demokratycznych (postępowych). Klub prawicy Sejmowej (dawniejsza Unia konserwatywna) liczy 57 członków, klub lewicy sejmowej 29, klub polskiego stronnictwa ludowego 22, klub centrum 5 członków.

Dzięki wzajemnemu zbliżeniu stronnictw do siebie, spełnionemu już podczas ostatniej sesyi sejmowej, a zwłaszcza wskutek wstąpienia ludowców do Koła Polskiego we Wiedniu, należy się spodziewać w Sejmie zgodnej, skutecznej i owocnej pracy [1]).

* * *

Sroga i namiętna burza wrzała podczas wyborów wpośród Rusinów. Uzyskali oni wprawdzie znaczniejszą, prawie podwójną liczbę posłów (w miejsce 12 weszło ich 21), ale rozdwojenie istniejące we własnym ich obozie (była o tem mowa powyżej) wybuchło w otwartą, zaciętą walkę; przyszło do rozlicznych napadów, gwałtów, a nawet krwi rozlewu. Wybór zaś 9 Starorusinów rozniecił wśród Ukraińców istny szał oburzenia, który zwracał się przeciw rządowi, »rządowi polskiemu«, jak mówiono i pisano, z tej mianowicie przyczyny, że tenże miał dopomóc do takiego wyniku wyborów, a że na czele władzy rządowej w Galicyi stał jako namiestnik Andrzej hr. Potocki, więc przeciw niemu zwrócone było ostrze tej złości. Rozpętane namiętności wzbierały nad wszelką miarę, porywcze pogróżki i wołania o pomstę obłąkały, rzec można, umysły, pławiące się już od kilku lat w niepohamowanej nienawiści, i — zrodziły wkońcu okropną zbrodnię.

Dnia 12. kwietnia, w niedzielę palmową, młody student Uniwersytetu, Ukrainiec-socyalista — jakim się sam mienił — uzyskawszy posłuchanie u namiestnika pod pozorem ubiegania się o posadę nauczycielską, ugodził go trzema strzałami z broni palnej, z których jeden był śmiertelny...

* * *

Andrzej hr. Potocki, urodzony w r. 1861., syn zasłużonego męża stanu Adama hr. Potockiego [2]), już od r. 1890. czynny w służbie publicznej.

---

[1]) W istocie Sejm, który zebrał się d. 16. września, a odroczony został d. 5. listopada 1908. przedstawiał obraz niebywałej zgodliwości i wytrwałej pracowitości. Nie piszemy szerzej o obradach jego, ponieważ odroczona sesya nie nadaje się do przedstawienia i oceny wyników działalności sejmowej. (Dopisek podczas druku).

[2]) Zobacz t. I. str. 928.

poseł na Sejm i do Rady Państwa, dzierżył w latach 1901—1903. laskę marszałkowską, poczem w czerwcu r. 1903. objął, po ustąpieniu Leona hr. Pinińskiego, rządy kraju jako namiestnik cesarski.

Należał do najlepszych synów narodu, do najwybitniejszych ludzi swego pokolenia. Zdrów fizycznie i moralnie, niepospolitych zdolności i gruntownego wykształcenia, szerszego poglądu i dobrej woli, oddał się całą duszą, z żelazną wytrwałością sprawom publicznym i rychło zjednał sobie powszechne uznanie w kraju, poważanie u rządu centralnego i zaufanie u tronu. Pan wielkiej fortuny i potomek znakomitego rodu zajmował w społeczeństwie niemal wyjątkowe stanowisko, na którem działał dla dobra kraju powierzonego jego pieczy. Z energią i stanowczością łączył szczere poszanowanie prawa, pragnął i dbał o to, żeby każdemu dostawało się ono w udziale po słusznej mierze.

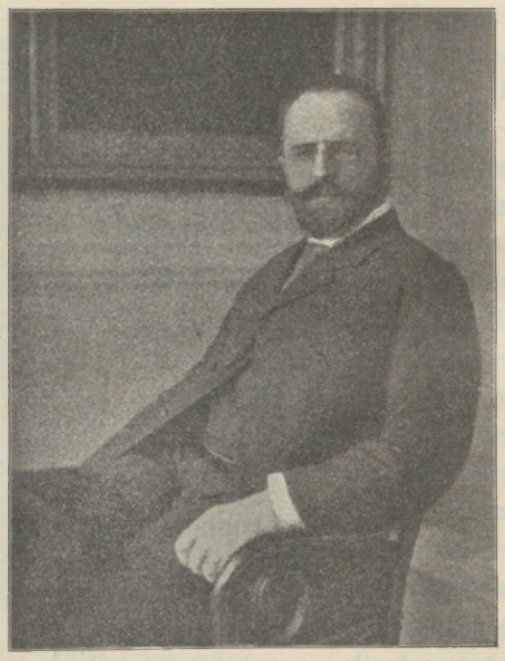

Fig. 424. Andrzej hr. Potocki.

Wobec zaognionej waśni ruskopolskiej zachowywał nie tylko bezstronność, lecz okazywał nawet życzliwość względem Rusinów: »aby ten naród«, jak sam mówił, »został naprawdę naszym bratnim narodem«. »Ani na chwilę nie ustawał w staraniach«, stwierdził w mowie pogrzebowej marszałek krajowy, powiernik i codzienny nieledwie świadek działań zmarłego, »aby przeciwieństwa łagodzić, sprzeczności usuwać i łączną pracę umożliwiać«.

»Myślą i dążeniem życia Zmarłego — pisała osierocona małżonka w podziękowaniu za powszechne objawy wielkiego narodowego żalu i współczucia — była łączność w trudzie dźwigającym Ojczyznę i łączność miłości chrześcijańskiej, która trud ten wspomaga i osładza. Pragnąc tego najgoręcej, dążył do zbliżenia w duchu prawdy, wspólnej dla kraju pracy i zasługi dwóch zamieszkujących kraj ten narodowości. Oby Bóg w miło-

sierdziu Swem dał nam wszystkim tę pociechę, by krew, niewinnie przelana, użyźniła grunt ojczysty ku zgodzie i lepszej przyszłości«.

Prawdziwy hart ducha opromienił iście bohaterski skon Andrzeja hr. Potockiego. W chwili, kiedy śmiertelnym ugodzony ciosem, żegnał ukochaną rodzinę, kiedy wydawał ze zdumiewającą jasnością ostatnie rozporządzenia, wyszła na jaw, rozchyliła się, rzec można, utajona w głębi serca, ukryta dla oczu dalszych, cała moc przeczystych, szlachetnych jego uczuć i całe piękno jego cnót chrześcijańskich i obywatelskich.



Fig. 425. Krystyna hr. Potocka.

* * *

Namiestnikiem Galicyi, po Andrzeju hr. Potockim, został dr. Michał Bobrzyński, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, były wiceprezydent Rady szkolnej krajowej, długoletni poseł na Sejm i do Rady państwa, znany szeroko i chlubnie uczony i mąż stanu niepospolitego talentu [1]). Obejmując rządy, jako główne zadanie swoje uznał i wskazał: uspokojenie kraju i stworzenie sprężystej administracyi.

[1]) Zobacz t. II. str. 336—337 (tamże portret).

Wśród zdarzeń i przejść, których przebieg w każdej z trzech dzielnic naszej Ojczyzny przedstawiliśmy powyżej, płynęło życie duchowe, życie zjednoczone całego narodu, obejmując swymi kręgami nie tylko zamieszkałych na ziemiach Rzeczypospolitej Polaków, lecz również rozprószonych po całym świecie rodaków naszych, najliczniejszych w Ameryce północnej [1]) i południowej, a także licznych w głębi Rosyi i w Syberyi, w Niemczech (Westfalii) [2]) i we Francyi.

Mimo gwałtownych wahań i wstrząśnień w Królestwie Polskiem, mimo ciężkiej i trwałej niedoli pod zaborem pruskim, mimo walk politycznych i społecznych w Galicyi — rozwijało się to życie bez przerwy, mocą własnej żywotnej siły narodu.

Wymienić zdobycze ostatniego czterolecia, policzyć dorobki jego w dziedzinie nauki, literatury i sztuki w treściwym przeglądzie, rzecz arcytrudna, ponieważ są to wyniki rozmyślań i usiłowań wielu lat, a ogólne prądy myśli polskiej z uwzględnieniem objawów chwil niemal wczorajszych, określono już powyżej w odpowiednich rozdziałach tego dzieła. Zaznaczono tam również straty ciężkie i bolesne, które ponieśliśmy w ostatnich latach: odeszli nas na zawsze liczni, zasłużeni pracownicy na ojczy-

[1]) W roku 1904—1905. przybyło z trzech dzielnic Polski do Stanów Zjednoczonych 102.437 Polaków, 18.604 Litwinów, 14.473 Rusinów a 119.730 Żydów (por. Caro L. Statystyka Emigracyi polskiej i austro-węgierskiej. Kraków 1907).

[2]) Według spisu dokonanego w grudniu 1905 r. mieszka w pruskich prowincyach niemieckich 427.267 Polaków (z tego w Westfalii 139.806).



Fig. 426. Pogrzeb Wyspiańskiego w Krakowie.

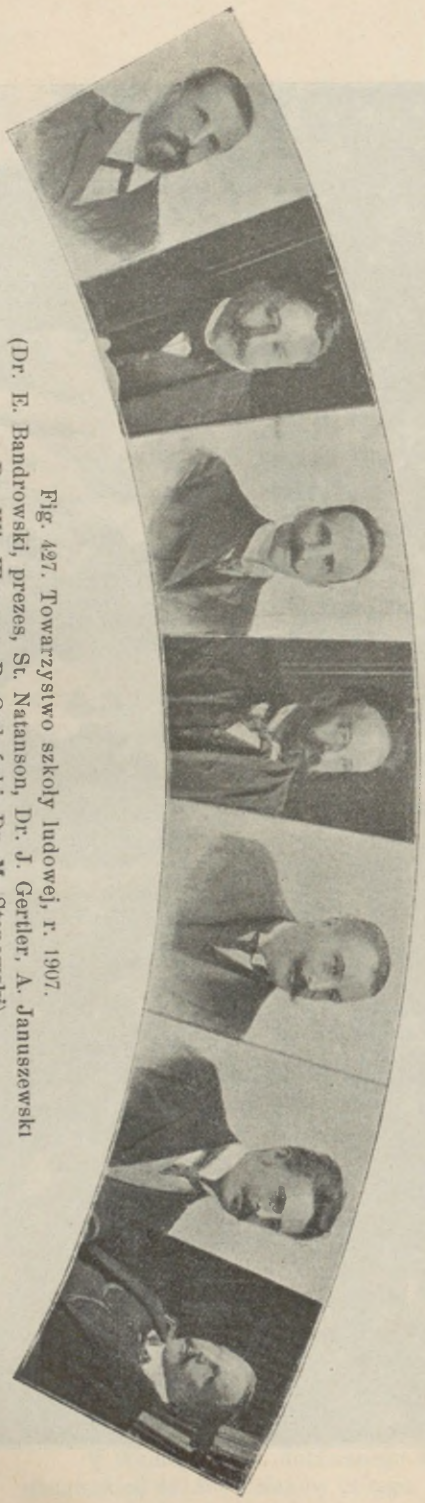

Fig. 427. Towarzystwo szkoły ludowej, r. 1907.
(Dr. E. Bandrowski, prezes, St. Natanson, Dr. J. Gertler, A. Januszewski
Dr. Wł. Wasung, R. Ordyński, Dr. M. Stępowski).

stej niwie, wpośród nich wybitni twórcy i kierownicy myśli polskiej [1]). Szczęściem, na opuszczone posterunki wstępują nowe, młode siły, pełne zapału i tęgości — szeregi nasze nie przerzedzają się, lecz mnożą i zapełniają, ale jakie będą owoce ich dążeń i wysiłków — dopiero przyszłość okaże...

O zgaśnięciu jednej gwiazdy, »świecącej w długie narodowe noce«, osobno tutaj wspomnieć musimy, ponieważ dokoła martwych zwłok »poety bolu dnia dzisiejszego» uklękła cała Polska, zjednoczyły się wszystkie serca i umysły w głębokim żalu. Dnia 28. listopada 1907. zmarł w Krakowie Stanisław Wyspiański, poeta i malarz [2]), którego »duch jak ognia słup« płonął przed narodem i rozświetlał, co na dnie duszy jego kłębiło się i łamało — wszystkie zwątpienia i wszystkie nadzieje. »Śpiące pobudzał«, kiedy wskazywał »tyle sił w na-

[1]) Prócz wymienionych już w tem dziele notujemy tutaj dla pamięci potomnych jeszcze kilka ciężkich strat. Zmarli w r. 1903.: Jan Karłowicz, autor działu etnograficznego w tem dziele (t. I. str. 69—216); w r. 1904.: Walerya Marrené-Morzkowska, Antoni Pietkiewicz (Adam Pług); w r. 1905.: Tadeusz Romanowicz, Wiktor Brodzki, rzeźbiarz, Seweryna Duchińska (Pruszakowa), Karol Brzozowski, Władysław Folkierski; w r. 1906: Aleksander Rembowski, Marya Wysłouchowa, Hieronim Łopaciński, Stanisław Szachowski, Julian Klaczko, Franciszek Piekosiński, Antoni Kalina, Walery Eliasz-Radzikowski; w r. 1907.: Jan Stanisławski, Ludwik Górski, Kazimierz Wróblewski, Władysław Łebiński, Aleksander Hirschberg, Karol Potkański, Henryk Rewakowicz; w r. 1908.: Władysław Ochenkowski, Władysław Pilat, Karol Estreicher.

[2]) Zob. t. II. str. 356—360, tamże portret.

rodzie« — tyle zdrowych pierwiastków w polskim ludzie; gromił gorżką prawdą, dreszczami przejmował, ale nie ranił, lecz uzdrowić pragnął. Miał olbrzymi zastęp oddanych sobie dusz, a za białym rydwanem, wiozącym doczesne jego szczątki do grobowca zasłużonych na Skałce, postępowały nieprzeliczone tłumy; trumnę jego okryto żywymi kwiatami z wszystkich stron Polski...

* * *

Dwa kierunki dążeń doniosłego znaczenia wysunęły się na czoło zadań narodowych w ostatnich latach: podniesienie dobrobytu i szerzenie oświaty wśród ludu i sprawa wychowania młodych pokoleń. Obydwa te zadania znalazły licznych i dzielnych pracowników i wywoływały częste i gruntowne rozprawy i dyskusye.

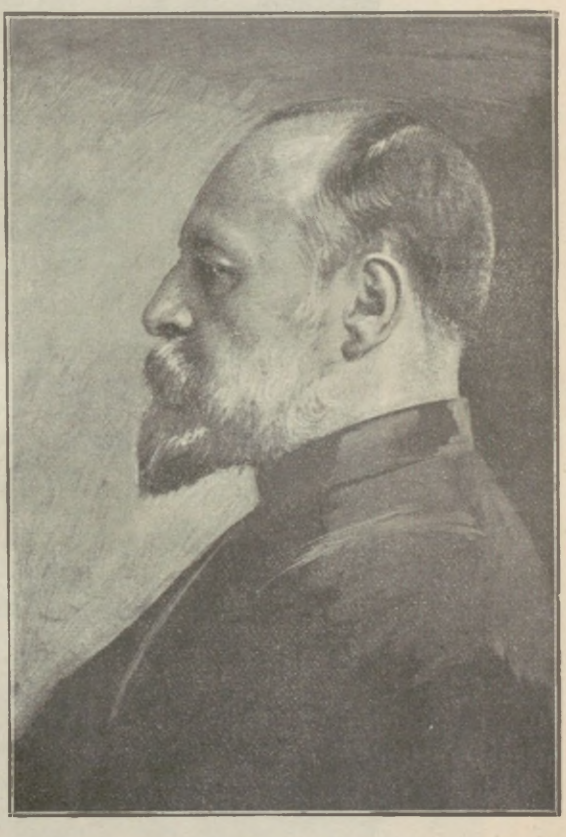

Fig. 428. Konrad Prószyński (Promyk).

Stowarzyszenia oświatowe, zwłaszcza Towarzystwo Szkoły ludowej w Galicyi, Towarzystwo Czytelni ludowych w Poznańskiem, Szkolna Macierz Polska w Królestwie, rozwiązana niestety przez rząd rosyjski w grudniu 1907., Uniwersytety powszechne we Lwowie, w Krakowie i w Warszawie, szkoły dla analfabetów, domy ludowe i t. d. rozwinęły wielostronną i skuteczną działalność, która wydaje z każdym rokiem dojrzalsze owoce.

Wprost imponującym jest rozwój Towarzystwa Szkoły Ludowej, które w ciągu 16 lat swego istnienia zdołało utworzyć (po koniec r. 1907.) 247 kół, zajmujących się sprawą oświaty, założyć 1496 czytelń i wypożyczalń, utrzymywać lub otoczyć opieką 36 szkół i zorganizować 203 kursów dla analfabetów i szkółek początkowych.

Towarzystwo Czytelń Ludowych w Poznaniu wśród ciężkich stosunków, w jakich działa, założyło od roku 1880. do 1906. czytelń 1913, które

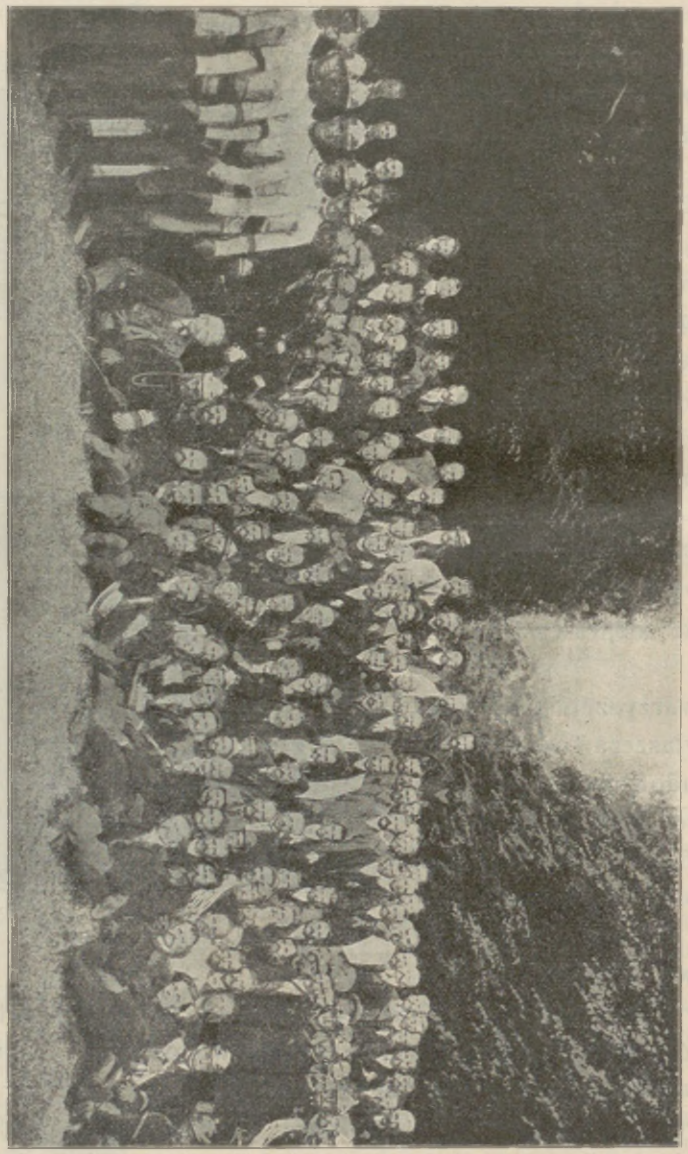

Fig. 429. Zjazd jubileuszowy delegatów kółek rolniczych we Lwowie, r. 1907.

siecią swą obejmują zarówno Księstwo jak Prusy Zachodnie i Wschodnie, Górny Śląsk i prowincye niemieckie, w których pracuje ludność polska.

O gorącem zabraniu się do pracy na polu oświaty ludowej w Kró-

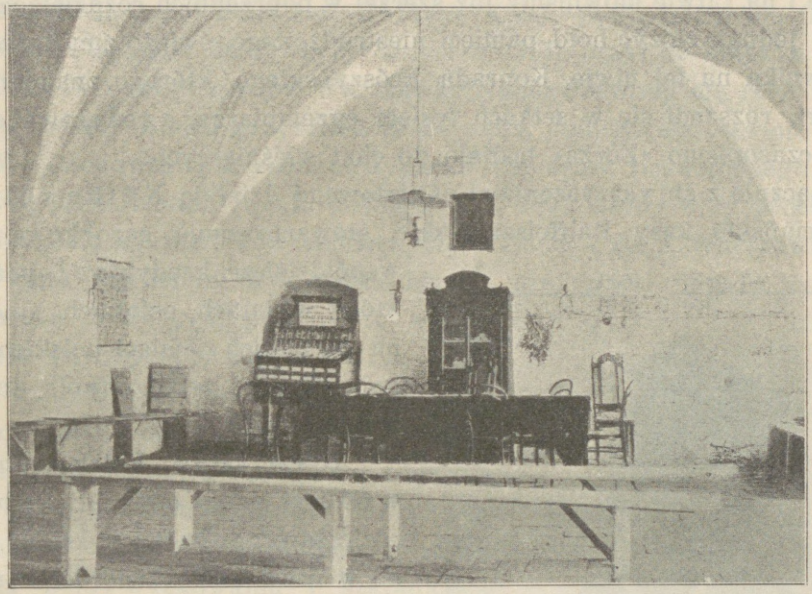

Fig. 430. Kółko rolnicze w Czerwińsku.



Fig. 431. Spółka mleczarska z udziałem włościan w Gorze.

lestwie i na Litwie mówiliśmy już szerzej w poprzednich rozdziałach. Tutaj należy jednak złożyć hołd pamięci niestrudzonego, świeżo zmarłego (1908.) pracownika na tej niwie, Konrada Prószyńskiego, którego znakomity elementarz rozszedł się w setkach tysięcy egzemplarzy, a redagowane przez niego czasopismo »Zorza« trafiało do chat wieśniaczych.

Łącznie z stowarzyszeniami oświatowemi działają Kółka rolnicze, i włościańskie, kasy Raiffeisenowskie, stowarzyszenia zarobkowe, spółki współdzielcze, kredytowe i spożywcze, które w latach ostatnich mnożą się na wszystkich ziemiach polskich i dźwigają, chociaż tylko powoli, dobrobyt naszego ludu.



Fig. 432. Maksymilian Jackowski.

Towarzystwo Kółek rolniczych w Galicyi, druga obok Szkoły ludowej rozległa organizacya w kraju, założone w roku 1882., święciło w r. 1907. uroczystość swego dwudziestopięciolecia położeniem kamienia węgielnego pod budowę własnego gmachu we Lwowie i obradami delegatów nad najważniejszemi zagadnieniami, związanemi z rozwojem instytucyi. Zdołało ono dotychczas założyć 1320 kółek i przyczyniło się walnie do ułatwienia i podniesienia gospodarstwa włościańskiego. Przeważna część kółek posiada własne domy, a niemal wszystkie utrzymują czytelnie, w których wieśniacy schodzą się dla poważnej wymiany myśli, a w związku z niemi pozostają sklepiki chrześcijańskie,których dotąd założono z górą 2000. Do Kółek należało w r. 1907. członków 55.519; na czele Zarządu głównego stoi poseł Artur Zaremba Cielecki.

W Księstwie Poznańskiem gorliwym patronem Kółek włościańskich był przez 30 lat Maksymilian Jackowski (zm. 15. stycznia 1905.), który pozostawił następcom swoim 230 kółek z 12.000 członków, prawdziwy opiekun i nauczyciel włościan. Jako patron spółek pożyczkowych położył wielkie zasługi ksiądz Piotr Wawrzyniak.

Obok Kółek rolniczych przy Centralnem Towarzystwie Rolniczem

powstał w Królestwie Polskiem »Związek Kółek pod patronatem imienia Stanisława Staszica«, który przy końcu r. 1907. liczył 37 kółek z blizko 2000 członków i odbył zjazd w Warszawie. Nadto rozwinął się ruch współdzielczy, mający wielką przyszłość przed sobą, pod kierownictwem Stanisława Wojciechowskiego, redaktora pisma »Społem«, poświęconego wyłącznie współdzielczości. Spółki dosięgły w r. 1907. liczby 679; prócz tego powstało około 90 sklepików spółkowych w Łodzi i 20 w Warszawie.

Drugim węgielnym kamieniem lepszej przyszłości narodu jest wychowanie młodych pokoleń, wychowanie tak fizyczne, jak umysłowe i moralne, zdolne pasować młodzieńców na zdrowych, dzielnych ludzi i obywateli. W ślad za dążnościami reformatorskiemi, które objawiły się wśród wszystkich narodów cywilizowanych, nabrał także u nas pełniejszego życia ruch na polu wychowania i szkolnictwa. W licznych stowarzyszeniach nauczycieli polskich, na wiecach rodzicielskich, w czasopimach i książkach podjęto tę arcyważną sprawę, która też skutkiem tworzenia prywatnych szkół w Królestwie stała się u nas aktualniejszą, niż gdzieindziej.

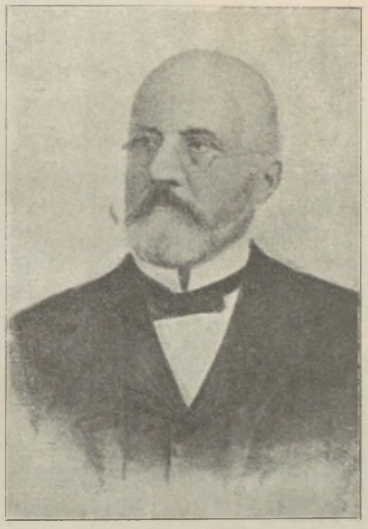

Fig. 433. Dr. Henryk Jordan.

Hasło »unarodowienia« szkoły, głoszone naprzód przez Stanisława Szczepanowskiego, rozbrzmiewać poczęło coraz rozgłośniej, wielokrotnie dobrze niezrozumiane i nadużywane. Określił je i umotywował najtrafniej profesor filozofii Kazimierz Twardowski na wiecu rodzicielskim we Lwowie w r. 1906., oraz w łamach czasopisma »Muzeum«, organu Towarzystwa szkół wyższych, którego jest przewodniczącym. Domaga się on potrójnej reformy w szkole: reformy programu nauczania, wprowadzenia odrębnej dydaktyki, przystosowanej do właściwości psychicznych rasy polskiej i rozwijania w szkole uczuć narodowych oraz tych zalet charakteru, jakie niezbędne nam są ze względu na wyjątkowe nasze położenie polityczne, przedewszystkiem zaś karności i obowiązkowości, szczerości i otwartości.

Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych wysunęło się na czoło prac i zabiegów około wychowania młodzieży, a Koło jego w Krakowie podjęło myśl stworzenia zreformowanej szkoły średniej.

Obok odmiennej, skierowanej ku przyszłym zadaniom życia, drogi kształcenia umysłowego, jęto się także z większą usilnością sprawy lepszego wychowania fizycznego. Za przykładem wskazanym przez profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Henryka Jordana (zmarłego w r. 1907), zacnego obywatela i wychowawcy dzieci, powstają urządzone według wzoru znanego »parku Jordana« w Krakowie zakłady w większych ogniskach życia polskiego.

Dzielnie dopomaga w tych usiłowaniach »Sokolstwo Polskie«, którego gniazda rozmieszczone na wszystkich już dzisiaj ziemiach polskich,

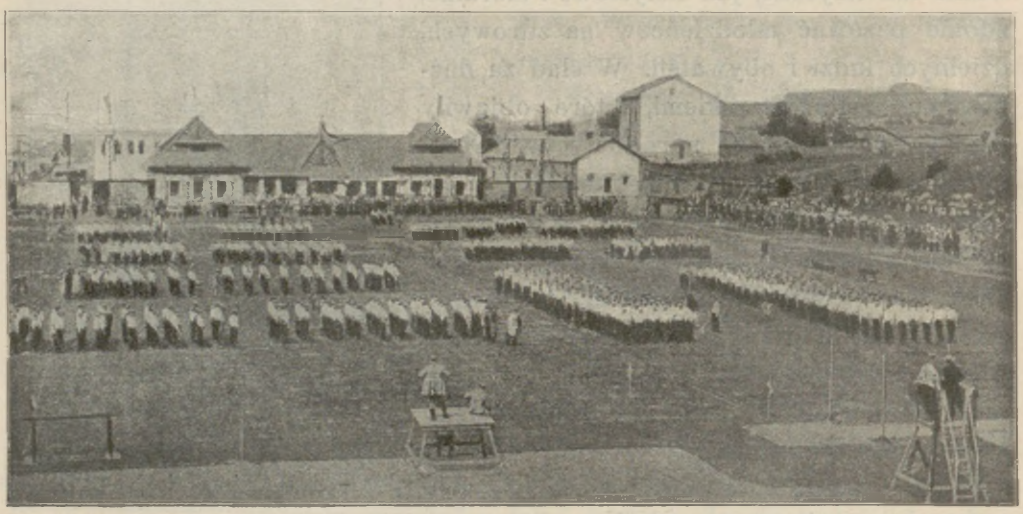

Fig. 434. Czterdziestolecie Sokoła lwowskiego r. 1907.
(Ustawianie się na próbie do ćwiczeń).

zjednoczone wszędzie jedną myślą i jednym duchem, krzewią wielką zasadę: »w zdrowem ciele zdrowa dusza!«

W r. 1907. obchodził »Sokół« lwowski 40-stą rocznicę swego założenia, a ponieważ był on pierwszem wogóle gniazdem sokolskiem w Polsce, zlot jego jubileuszowy stał się świętem całego polskiego sokolstwa, które przyniosło społeczeństwu prócz zamiłowania do ćwiczeń gimnastycznych, wiele pierwiastków natury moralnej: krzepkość duchową, karność i poczucie własnej siły, pierwiastków tak bardzo nam potrzebnych.

* * *

Jakkolwiek czeka nas zadań jeszcze bez miary i wiele pól leży odłogiem, dzięki nieustającej, świadomej swych celów pracy wewnętrznej, społeczeństwo polskie wyszło z tych lat ciężkich prób i doświadczeń obronną ręką, moralnie podniesione i przy sztandarze narodowym liczniej, silniej i bardziej zwarcie skupione. Mimo doznanych zawodów i klęsk nie



Fig. 435 Wydział Sokoła poznańskiego.

mamy powodu oddawać się rozpaczy. Wiemy obecnie dobrze, że tylko w sobie, w udoskonaleniu się, szukać możemy i powinniśmy nadziei lepszej przyszłości, że od sił, które zdołamy wytworzyć, od hartu ducha, który zdobędziemy, zależy nasza przyszłość.

»W życiu publicznem wygrywają tylko te jednostki i te narody«, trafnie powiedziano, »które umieją przetrwać przez niekorzystne dla siebie czasy, a przygotować się na to, aby chwile i warunki przyjazne uchwycić i wyzyskać. Życie narodu nie mierzy się żywotem ludzkim!«

We Lwowie d. 25. sierpnia 1908.



TREŚĆ.

Str.

I. Dr. Konstanty Wojciechowski. Dzieje literatury polskiej 1
II. Dr. Feliks Kopera. Dzieje budownictwa i rzeźby w Polsce 365
III. Dr. Stanisław Tomkowicz. Malarstwo w Polsce 453
IV. Dr. Zdzisław Jachimecki. Muzyka w Polsce 535
V. Dr. Adam Szelągowski. Rozwój ekonomiczny i społeczny w Polsce do r. 1795 593
VI. Adam Zakrzewski, * * *, St. Koszutski, Michał Łempicki, St. A. Kempner. Stosunki społeczne i ekonomiczne w Królestwie Polskiem 683
VII. Władysław Studnicki Stosunki społeczne i ekonomiczne na Litwie i Rusi . 733
VIII. Dr. Witold Skarzyński. Stosunki społeczne i ekonomiczne w W. Księstwie Poznańskiem 760
IX. Dr. Karasiewicz. Stosunki społeczne i ekonomiczne w Prusiech Królewskich . 793
X. Dr. Feliks Koneczny. Stosunki społeczne i ekonomiczne na Śląsku polskim . 800
XI. Dr. Stanisław Głąbiński. Stosunki społeczne i ekonomiczne w Galicyi . . . 819
XII. Dr. Ludwik Finkel. Ostatnie lata 1904—1908 859

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
1/3

